BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
KUL V-251/38
1885+2

IV
451

№ 6834.

ATENEUM

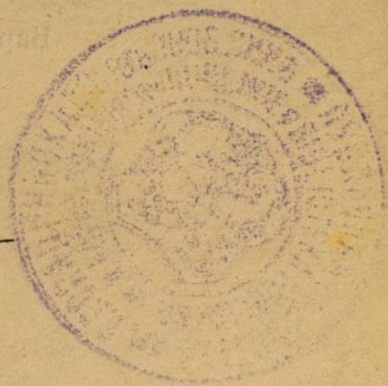
PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

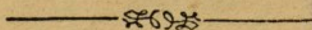
1885.

TOM II.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXVIII.







WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 23.

1885.

Дозволено Цензурю.
Варшава, 21 Мая 1885 года.



V-251

SPIS RZECZY.

I. HISTORYA.

2. RZECZY SPOŁECZNE.

3. LITERATURA I BELETRYSTYKA.

4. NAUKI PRZYRODNICZE.

5. BIOFRAFIE.

6. GEOGRAFIA.

7. SZTUKI PIĘKNE.

8. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

3052.

DWIE POETKI-MYŚLICIELKI.

I. Augusta Klemencya Royer.

Gdy rządy Peryklesa wabiły do zbogaconych Aten najgłębsze umysły filozoficzne i najszczęśliwszych kochanków muz z Jonii, téj kolebki pieśni helleńskiéj, wyszedł zastęp kobiet, by razem z nimi apostołować mądrość i piękno; na ucztach były one tém, czém późniéj grecy - niewolnicy u rzymian - panów, a czarowna Aspazya nawet sztukę rządzenia znała i kochankowi swemu niejedną dała wskazówkę. Gdy myśliciele ośmnastego wieku przygotowywali przewrót w pojęciach i urządzeniach ludzkich, mnóstwo uczonych kobiet dzieliło ich trudy lub epikurejskie próżniactwo, encyklopedya bowiem spiskowała w salonach przeciw kościołowi i państwu.

Gdy po restauracyi Burbonów, co nudą zapełniała umysły nawykłe do jaskrawych barw ognia i krwi, romantyzm wypowiedział walkę zatęchłéj atmosferze mieszczaństwa i stworzył liberalizm w sztuce, Aurora Dudevant, w imieniu płci swojéj, zapisała się pod jego sztandary.

Gdy myśl niemiecka zatęskniła za średniowiecznemi ideałami i utopiła trzeźwość w sztuce dla sztuki, Dorota Mendelson, Karolina Michaelis i dziesięć innych nadawały ruchowi wyrazistość.

I wiek dzisiejszy szarym nie jest. Znamionują go w życiu społecznym wulkany podwodne, w nauce pomysły obfite w nieobliczone następstwa, w filozofii kierunki choć nie nowe, ale dosadnie i wyraziście zarysowane. Dla czegóż-by więc teraz kobiety miały pozostać nieczułemi na gwałtowne prądy? Jeżeli dotąd zawsze umiały się dostrajać do górującego u myśli ludzkiéj tonu—i dziś potrafią. Piśmiennictwo zna ich kilka; są to nie odbicia bierne promieni, ale organizacye ruchliwe i czynne, a tę mają wyższość, w oczach pe-

danta może niższość, że są wielostronne. Chcemy podać sylwetki dwóch wybitnych téj kategoryi przedstawicielek, dwóch francuzek. Stoją one na przeciwległych biegunach kryteryum, jakie myśl dzisiejsza stosuje do wszechrzeczy, mianowicie kryteryum szczęśliwości. Jedna, Klemencya Royer, widzi na odległym widnokręgu niebo empirejskie—i, by je przybliżyć, tworzy misterne plany,—druga, Ludwika Ackermann, utkwiła wzrok w odwrotną stronę medalu i bezustannie boleje nad niedolą świata. Tamta buduje, ta przeczy i burzy; obiedwie, wychodząc z założenia naukowego, rychło o krytycyzmie, tym nigdy niezawodzącym drogowskazie, zapominają i wpadają w dogmatyzm, więcéj nawet w fanatyzm. Jest-to rys, wspólny wszystkim córom Francyi. George Sand, p. de Staël, Royer, Ackermann węzłem krwi połączone są z Joanną d'Arc, Karoliną Corday, Ludwiką Michel. Ackermann najwięcéj z nich jest filozoficzną i najmniéj francuską, bo najwrażliwszy okres życia spędziła w Niemczech, a pomimo to w swych objektywnych na pozór skargach przybiera ton również wyzywający, agitatorski, jak niegdyś autorka Korynny, podżegająca umysły przeciw Napoleonowi. Ale przypatrzmy się pierwéj pani Royer.

Zdumiewa ona nie jednego urzędowego myśliciela swą różnobarwnością. Nieodrodna to córka okresu gorączki z wszelkiém orędziem rozległéj inteligencyi, poezyą i prozą, powieścią i filozofią pragnie uszlachetnić ród ludzki, rozszerzyć jego umysłowy widnokrąg i zapewnić korzyści zespolonego życia. Ogrom zadania odstraszył już wielu najszlachetniejszych szermierzy i do rozpaczy doprowadził, ale p. Royer, dzięki zapałowi niewieściemu, zniechęcających podszeptów zimnego rozsądku nie zna, z ślepą energią i naiwną wiarą we wszystkich dziedzinach ducha niezmordowanie pracuje.

Literatura francuska zawdzięcza jéj bardzo dużo, choć warunki i otoczenie, wśród których p. Royer rozpoczęła działalność, nic dobrego wróżyć nie mogły. Od dzieciństwa oddychała atmosferą kościelną, rodzice kazali jéj uwielbiać króla i rządy ciążące nad ojczyzną od roku 1830, mniéj więcéj roku jéj narodzin, a wychowanie odebrała w Sacré Coeur, jak niektórzy utrzymują częściowo tylko.... Podobno literackie pierwociny nosiły wybitne piętno klerykalnego wpływu, ale wielkiém uznaniem czytający ogół ich nie nagradzał. Ogłaszała je przeważnie w formie poetyckiéj w czasopismach. Nie była jednak widocznie krępowaną kajdanami towarzyskiemi,—które z egzaltowanych dziewcząt robią zazwyczaj boginie salonu lub w najlepszym razie mistyczne czcicielki wiary, w rodzaju baronowéj de Krüdener,—skoro mogła opuścić rodzinne Nantes w dwudziestym

roku życia, by zaczerpnąć w Anglii ze źródeł nieco zdrowszych wiedzy pożywniejszéj, a nadto poznać dokładnie język, co pozwoliło jéj, jak zobaczymy, osiągnąć ogromne korzyści naukowe. Ale nie na gruncie brytańskim, gdzie tylko w gabinecie uczonego żyć może myśl niezależna, lecz gdzie społeczeństwo nie przestaje być nigdy prawowierném, a pismo święte jedynym prawodawcą obyczajowym, ale w Szwajcaryi zyskała najwięcéj. Tam z zapałem oddała się badaniu nauk przyrodzonych i filozofii. Jak szybkie czyniła postępy, dowodzi fakt, że już w r. 1859 otworzyła kurs propedeutyki filozoficznéj dla kobiet w Lozannie, któréj inteligencya i dziś pochlebne wydaje o niéj sądy, a w końcu i saméj filozofii, tym razem powodzenie miała ogromne; to upoważniło ją moralnie do ogłoszenia wstępu drukiem, p. t. *Introduction á la philosophie.* Jednocześnie zasilała kilka pism naukowych, a głównie miesięcznik „Nouvel écenomiste“ pracami licznemi, a gdy późniéj rząd Kantonu Vaud ogłosił konkurs na dzieło o podatkach, p. Royer za swoją „Theorie de l'impot et de dime sociale“, zaszczyconą została, pospołu z Proudhonem, pierwszą nagrodą. W charakterze publicystki występowała niejednokrotnie. Niezupełnie wolna od wspomnień młodości chciała pogodzić dogmatyczną wiarę z wymaganiami rozumu i w tym celu napisała: *Ce que doit être une Eglise nationale dans une republique.* Zarówno to, jak i wiele innych dzieł, jak „Sur l'avenir de Turin“; „Sur la fondation d'un collége international rationaliste“, utonęło w falach niepamięci, bo je skazała na zagubę miernota pomysłów. Nie one zyskały p. R. rozgłos szerszy. Ale obok mnóstwa utworów wartości chwilowéj, uwagę zatrzymuje szereg publikacyj dotyczących zagadnień tak ważnych i rozwiązujących je tak śmiało, że warto rozpatrzyć je zblizka, zwłaszcza, że wszystkie łączy jedna idea przewodnia, każda następna stanowi nowy szczebel w rozwoju zasadniczego poglądu, całość zatém nadaje p. R. fizyognomią wydatną, indywidualną. Choć nie w jednakiéj szacie ukazywały się, wzrok dostrzegł między niemi pokrewieństwo, niekiedy nawet za blizkie, by mogło autorkę uchronić od mimowoli nasuwającego się zarzutu, że sztucznie pomnaża liczbę dzieci swego ducha i przebrane w nową sukienkę podaje za nowonarodzone. Szczęściem sukienka sama wabi oko i godną jest widzenia.

Jeżeli p. Royer dzieli ze znakomitemi ludźmi właściwość posiadania zapalonych wielbicieli i nieubłaganych szyderców, zawdzięcza to przedewszystkiém stanowisku swojemu w obec najnowszych teoryj przyrodniczych. Świat czytający francuski, który o wielu doniosłych rzeczach wié zaledwie z nazwiska, lat dwadzieścia temu i Darwina znał tylko ze słyszenia. Z ignorancyi wyrwała go pani R.,

znakomicie przełożywszy epokowe dzieło przyrodnika angielskiego: „O pochodzeniu gatunków“. Sława oryginału przeszła w części na tłómaczenie i zasłużenie zresztą, albowiem poprzedzała je samodzielna rozprawa, w któréj p. R. okazała niepospoltią, jak na kobietę, wiedzę naukową. Lecz co zawierała przedmowa, powinno było raczéj zamykać przekład, były to wyniki, jakie każdy konsekwentny myśliciel wyprowadza z nauki o walce o byt. Ale sędziwy mędrzec angielski, wierny do grobu kultowi faktów, nie lubił wysnuwać domysłów, których nie mógł poprzéć niezbitemi dowodami. I zamiast podziękować za współpracownictwo, jak by to uczynił każdy dobrze wychowany dżentlmen, bez ceremonii wyparł się wszelkiéj z nią solidarności. Dla czego ten sam los nie spotkał drugiego entuzyastę w szkole Darwina, Ernesta Haeckla, opowiedziéć trudno. Profesor Jenajski opowiada, iż został przez mistrza w jego cichem ustroniu przyjęty z otwartemi rękoma. Kluczem do zagadki było-by chyba przypuszczenie, że Darwin, jak każdy śmiertelnik, żyć samemi przesłankami, bez bezwiednego wyciągania z nich konsekwencyj, nie mógł. Nieraz na wierzchołku ewolucyjnéj drabiny wyobraźnia musiała dostrzedz człowieka, lecz razem widział jasno między nim a małpą kilka szczebli próżnych, więc przezornie, w obawie nieporozumień, zatrzymywał się na nich. Uczony Haeckel ostróżności zachować nie chciał lub nie umiał, nie wypadało mu jednak przeczyć, ale kobiecie najzupełniéj, tém bardziéj, że namiętną i zapalczywą obroną swego twierdzenia zachęcała poniekąd do surowéj nagany.

Jakkolwiekbądź p. R. jest ewolucyonistką w najszerszém tego słowa znaczeniu. W całéj rozciągłości przyjmuje ona teoryą rozwoju. Prawa przystosowywania się do otaczających warunków przyrody i odziedziczania własności nabytych przez rodziców w téj walce o byt p. R. nie zamknęła w ciasnych granicach, ale przeniosła na pole dążeń ludzkich, na téj zasadzie, że życie społeczeństw, to tylko więcéj udoskonalony byt zwierząt. Nie po raz pierwszy to i nie ostatni socyologia zostaje w podobny sposób spowinowaconą z nauką o życiu.

Ale pomimo to i pomimo mnóstwa śmiesznych nieraz sprzeczności, których tu rozbierać nie chcemy, p. R. daje wiele nowego, albowiem uzupełnia systemat „drapieżności“ w społeczeństwie ludzkiém. Kiedy inni jego glosiciele zatrzymywali się w połowie drogi, ona mężnie przebyła całą i stanęła u mety. Wyznawcy dewizy „walki o byt“ mogą ją widziéć w całéj rozciągłości, ze wszystkiemi logicznemi wynikami w dziele p. R. „Les origines des hommes et des

societés“ (1). Nieprzyjaciele mogą sobie myśléć co chcą, ale muszą oddać sprawiedliwość cywilnéj odwadze autorki, muszą jéj przyznać wyższość nad patentowanymi uczonymi, którzy nie dopowiadają tego, co dyktuje rozsądek i kokietują połowicznemi teoryami; należy ona do niebezpiecznego rodzaju „enfants terribles“ co to zdradzają tajemnice domowe.

P. R. zgodnie z tradycyą znakomitych swych rodaczek dużą cząstkę swéj siły poświęca wyzwoleniu niewiast—i zawzięcie, tak! nieprzytomnie prawie, kruszy kopie w ich obronie. Gdy skromna w swych wymaganiach Sand żądała tylko niezależności uczucia i rozumu, kiedy niekiedy tylko skarżąc się na samolubstwo mężczyzn, którzy nawet Boga przywłaszczyli wyłącznie sobie; zawadyacka pani Royer, odsądza ich na przyszłość od wszelkich praw uczestnictwa w pracy cywilizacyjnéj. Płeć silniejsza zostaje zmiażdżoną pod niemiłosiernemi ciosami autorki, która na scenie życia zgadza się mężczyznom powierzyć w najlepszym razie role komparsów, lub mówiąc jéj językiem — trutniów, i nie żartem wzoruje przyszły ustrój społeczny na organizacyi ulów. Wypływa stąd zaoczny a smutny dla brzydkiéj połowy rodu ludzkiego wyrok, skazujący ją na wyłączną rolę rozpłodową. Stanowisko na czas pewien dla wielu może ponętne, lecz *à la longue* zanadto monotonne. Prócz przyrodoznawstwa i mitologia jest mistrzynią nielitościwéj prawodawczyni. Legenda o amazonkach odżyła w jéj pamięci i ma kiedyś, jéj zdaniem, przywdziać dotykalne kształty. Kobiety przyszłości będą jak amazonki trzymać mężczyzn z daleka, a kiedy niekiedy tylko zblizka, jako narzędzie, bez którego pomocy sam ród niewieści wkrótce wyginął-by, natomiast potomków męzkich, wśród ich grona się rodzących, będą przy powiciu uśmiercały.

Fantastyczną mrzonką chęci nierównie wyższego rzędu, jest system etyki, wyłożony w dziele „Le bien et la loi morale, ethique et téléologie. Paris Guillaume et comp.“ 1881. Myślicielka zapragnęła stworzyć syntezę filozoficzną, w którejby pierwiastek kosmiczny tj. ten od którego filozofowie poczynają, łączył się bezpośrednio z etycznym, tj. tym na którym kończą. Przy téj sposobności zrobiła wycieczkę w krainę metafizyki, obdarzyła świat zarysem nauki o bycie, według niéj zupełnie świeżym; nazwanym przez nią „substancyalizmem.“

Istnieje nieokreślona liczba atomów, z których każdy jest ogniskiem siły odpychającéj; w ruchu swym napotykają one inne podobne jednostki i ze starcia z niemi nabierają kształtów wielogrania-

(1) Ogłoszoném w roku 1869.

stych. Powierzchnie atomów są zarazem organami zarodkowego czucia, albowiem spychane niejako w głąb samych siebie, nabierają wiedzy dokładnéj i określonéj o swém istnieniu i zajmowanéj przestrzeni oraz mglistego poczucia o istnieniu innych. Ten zwięzły zarys,—gdyż bliższe streszczenie ani potrzebném ani zajmującém nie byłoby—brzmi w uszach naszych nutą znajomą i przypomina wiele zamierzchłych melodyj. I genialny twórca atomizmu Demokryt i wszelacy rozjemcy powaśnionéj z duchem materyi, jak Leibniz ze swemi monadami, jak idealnorealny Herbart, jak najnowszy ich tłómacz Lilienfeld cisną się całym tłumem, zagłuszają p. R. krzykiem, iż nieprawnie nazywa „absolutnie nową“ ideę, którą oni już sto i tysiące lat temu bałamucili łatwowierne głowy.

P. R. przywiązuje szczególną wagę do tego fantastycznego utworu, gdyż chce oprzéć na nim wszechetykę i przy jego pomocy określić dobro absolutne. Innemi słowy, usiłuje zbadać, czy zło czy dobro przeważa w całym wszechświecie, i o ile. Rachunek napozór niemożliwy staje się łatwym, skoro przyjmujemy za części składowe wszechrzeczy atomy, obdarzone czuciem. Jeżeli w bycie każdéj niedziałki cierpienie góruje nad rozkoszą, ogólny dla świata w nieskończoności czasu i przestrzeni rezultat będzie ujemny, przy stosunku odwrotnym, dodatni. Nie zmienia postaci rzeczy warunek śmiertelności lub wieczności indywiduów, albowiem nieskończoność następstwa jednych po drugich w pierwszym razie jest tym samym mnożnikiem, jakim w drugim jest nieskończoność osobista. Wypadkowa wyrażona przez równanie jest tu jak tam jednakowa i obie nawet znajdują w rzeczywistości potwierdzenie, tu dla istot organicznych, tam dla nieorganicznych. Świat w którym suma jednostkowego szczęścia wyrównywałaby takiejże sumie niedoli byłby jeszcze za złym, by mógł nazywać się dobrym, powinna w nim choć trochę przeważać szala zadowolenia, możliwie zaś dobrym tj. doskonałym będzie wtedy, gdy wygrane wszystkich osobników, czyli udziały w szczęśliwości będą równe. Otóż p. R. zapewnia, że temu oderwanemu rozumowaniu najzupełniéj odpowiada rzeczywistość. Ponieważ atomy są jestestwami niezniszczalnemi, wiecznotrwałemi, przeto w tak długim ich życiu szanse boleści i rozkoszy nie tylko że się zrównoważą, ale dadzą zawsze dodatnią resztę.

Jak widzimy wszystko w téj dowolnéj ekwilibrystyce umysłowéj zrodziła bujna wyobraźnia, któréj wierzyć musimy na słowo; anegdotyczny pasterz jakiś na zapytanie: ile jest gwiazd na niebie, raźno podał pewną określoną ich liczbę i tryumfował, bo mu nikt zaprzeczyć nie mógł, nikt dowieść, że jest ich więcéj lub mniéj. Takiego samego manewru logicznego użyła p. Royer.

Przyjąwszy jednak ową rachubę za nieurojoną, otrzymamy, iż we wszechświecie przeważa żywioł dobry. Gdy zaś uwzględnimy fakt, że twory układają się w drabinkę hierarchiczną, na któréj im wyżéj, tém bardziéj wrażliwe i pożądliwe stoją istoty, wypadnie iż światu organicznemu a przedewszystkiém człowiekowi szczęście uśmiecha się w całéj pełni—szczęście w drugiéj potędze, albowiem istota organiczna własném, świadomem do zadowolenia dążeniem nieskończenie potęguje i tak już zapewnione jądro elementarnego szczęścia atomów, z których się składa.

Tak tedy etyka p. R. jest kosmiczną. Cały świat czuje, raduje się i cieszy. Do pokaźnéj liczby filozofematów, z których każdy inną stronę ducha wysuwa naprzód i stawia na miejsce bóstwa, przybywa teorya powszechnego czucia. Rodowód jéj jest jasny. Spencer bada zjawiska etyki ewolucyjnie, od najwcześniejszych tworów żyjących i dochodzi do rodzaju ludzkiego. P. R. uczepiła się go, sięgnęła jeszcze głębiéj i zaczęła od martwych żywiołów. To téż doszła do wyniku o wiele rozleglejszego. Prawidła postępowania jakiemi kłopoczą się zazwyczaj myśliciele, roztopiły się w jednym wielkim, dla wszechrzeczy: atomów, planet, gatunków, ras, narodów, rodzin i jednostek rozkazie współdziałania sumie życia, jego różnobarwności i natężeniu. Dla prozaicznego padołu naszego wypływa ztąd jedna reguła: że interes gatunku winien pokonywać dobro osobiste. Tutaj uczennica odbiegła znacznie od nauki mistrza, albowiem Spencer, nie przeoczając dobra powszechnego, oddaje téż należny haracz słusznéj żądzy i osobnikowego szczęścia; gdyby bowiem każdy wspaniałomyśnie zrzekał się swéj cząstki gdzieżby się dobro podziało?

Co się tyczy obecnéj wartości popędów moralnych człowieka p. R. jest o niéj dosyć dobrze powiadomioną, ale przyszłość wróży ludzkości świetną. Nadejdzie czas, kiedy dbałość o dobro bliźnich stanie się wewnętrzną nieodbitą potrzebą; dojrzeją instynkta społeczne, które teraz trzeba budzić nawoływaniem i biciem. Ponura groźba niezgody między zapotrzebowaniem a środkami jego zaspokojenia nie przestrasza naszéj pisarki, jak przestrasza ekonomistów. Ród ludzki może dążyć w spokoju niezamąconym do doskonałości, gdyż niewątpliwie potrafi on zrównoważyć wymagania z możnością.

Nie podobna nie dziwić się polotowi w tym obrazie kosmicznym. To nie zwyczajna kopia utartego pomysłu, lecz pełna samodzielnéj, rzutkiéj fantazyi przeróbka, godna tego, by ją postawić w jednym szeregu z uprzywiliowanymi mędrcami niemieckimi, jak Hartmann, u którego dziesięć niedorzeczności przypada na jeden zaledwie absurd p. Royer. Fanatyczny pesymizm niczém nie prze-

wyższa optymizmu p. R., a podkład realny u niéj jest bądź co bądź znaczniejszym niż w idei bezwiednéj, uposażonéj we wszelkie możliwe zalety samowiedzy; a przecież p. R. jest tylko kobietą. Jakkolwiek dowodzenia powyższe ratuje pozór ścisłości, bo przeplatane są formułami algebraicznemi i autorka z założenia dochodzi do ostatecznych wywodów za pomocą działań nad równaniami, to jednakże myśl nie jest u nich żadnemi względami prawdziwéj ścisłości krępowaną. Ogólny koloryt pism jest tak fantastyczny, że maleńka doza suchéj matematyki nie wystarcza dla nadania mu cech wiarogodności. Wszędzie przeważa dowolność i marzenie.

To téż daleko wydatniéj zarysowuje się ta ciekawa postać w żywiole bardziéj właściwym, w rozumnéj powieści. Zanadto wielostronna i uczona by zostać nowelistką, za uboga w oschły temperament, by zostać gabinetową uczoną, czuje się jak w domu, tam gdzie swobodnie może się poruszać fantazyą połączoną z myślą filozoficzną. Tu puszcza wodze pegazowi, który ją unosi na niezmierzone przestworza ideału, tu harcuje wolna jak wicher, a... niekiedy wyprawia w rozhukanéj logice łamania niebezpieczne.

Dotąd znamy z jéj przeszłości tylko jeden taki utwór. Są to „Bliźnięta Hellas“ wielkich rozmiarów romans, który ujrzał światło dzienne już lat dwadzieścia temu. Wbrew szykowi chronologicznemu, zostawiliśmy go na sam koniec nie bez ważnéj przyczyny. Upoważnia do tego doniosły fakt, że jestto ogólna synteza o nadobnéj formie wszystkiego co myślicielka przedtém lub późniéj stworzyła. Wszystko, co ukazywało się dotąd w ramach dzieł poważnych, tutaj wyhaftowaném zostało barwnie na kanwie opowiadania; oderwanie zastąpił widzialny i dotykalny obraz.

Poetka wydobyła z pod serca najskrytsze myśli, najtajniejsze pragnienia, z zapałem i patosem prawi o rzeczach dla których nauka mało okazuje gościnności. Ponad filozofią, ponad historyą, ponad wielu zagadnieniami społecznemi unosi się nieśmiertelny eros. Ten tak mały postacią, a tak wielki znaczeniem i powabem bożek romantycznym tchem owionął cały ten wielki dramat złożony z dramatów setki. Mistyczne sprężyny miłości w tysiącznych swych działaniach ukazują się zaciekawionemu oku, wszędzie oświetlone promieniem wiedzy; dzielny umysł nie ukrywa najbardziéj realnego pierwiastku.

Na samym wstępie uderza nas osobliwa dewiza:

„Poszukiwanie ojcowstwa jest wzbronionem.“

„Dziecię zrodzone podczas związku ma za ojca—męża matki.“

Myśl oryginalna z góry zaciekawia czytelnika. Tam gdzie zwykle kładą aforyzm myśliciela, lub wiersz poety, p. R. przytoczyła

rzecz najprozaiczniejszą w świecie—dwa artykuły z kodeksu Napoleona. Zdziwienie wszakże pierzcha, gdy przypominamy, jak wielkiemi czynnikami w tragedyi ludzkiéj są te dwa tak zwięzłe, tak małe zdania.

Dwaj bracia—bliźniacy, nieprawe dzieci szlachetnego powstańca greckiego i królowéj neapolitańskiéj, tułają się po uroczéj Italii, nieświadomi pochodzenia i ręki która ich losami kieruje. Mistrzem ich jest dziedzic wielowiekowéj przebiegłości—jezuita; on to wychowuje ich z polecenia jakiegoś ministra kardynała, osobistości wysoce sympatycznéj, lecz wychowuje ich po swojemu. Starszego Mateusza przemocą zatapia w wyuzdaniu i rozpuście, by ujarzmić prometejskiego ducha i skarcić buntowniczą myśl, która rozwijając się samopas, mogłaby stać się grozą dla kościoła i państwa. Niszcząc hart ciała chce zniweczyć hardą duszę. Z młodszego Stefana, młodzieńca o miękiém sercu niewieściem, marzyciela, lgnącego ku wszelkiéj cudowności kuje powolne narzędzie dla pewnych odłamów kleru. Szlachetne popędy, miłość bezgraniczną, dla wszystkiego co dobre i piękne skierowuje na jeden tor, pracę apostolską dla kościoła. Ale ani czarujący cherub gwałtem zepchnąć się w kałużę nie daje, ani melancholijny seraf szalbierzem zostać nie chce, w obu tło naturalne zostaje zdrowém i czystém. Są to dwaj geniusze, nad którymi podłość i wyrachowanie ludzkie nie mają władzy, silniejsi od zwykłych śmiertelników, bo ich zrodziła miłość wielka, święta, nie skrępowana arlekinadą, nie ujęta w karby sparodyowanego małżeństwa, miłość, jaką w człowieka wszczepiła sama natura, sam Bóg. Tak więc usiłowania szlachetnego wychowawcy spełzły—nie udaje mu się wykopać między nimi przepaści, starszego zrobić Kainem dla młodszego sieroty, mimo całą różnicę przekonań kochają się najgorętszą miłością. Jednakże zupełnie bez wpływu nie pozostają knowania jezuity. Czasem dzieli bliźniaków namiętny spór. Obadwaj są w posiadaniu gruntownéj i głębokiéj wiedzy. Ale podczas gdy jeden czerpał ją u pisarzy świeckich, delektując się cynizmem w sztuce i filozofii, drugi pił pełną czarą mądrość ojców kościoła i myślicieli nowoplatońskich, bo wszelką herezyą pedagog troskliwie z drogi usuwał. Mateusz radby oziębić gorączkę religijną w bracie i wykłada mu raz wraz materyalizm, nielitościwie szydząc z złudzeń i przesądów, niemiłościwie chłoszcząc jezuickie namowy. Trwożliwy Stefan tak daleki jest od wszelkiéj brutalności myśli i czynu, że cierpi z powodu niedowiarstwa najdroższéj sercu istoty, lituje się nad nią i usiłuje nawrócić naiwnie poetyzując królestwo niebieskie. Ta dysputa wolteryanina o twarzy i powabie Byrona z wierzącym Pascalem ciągnie się po przez całą powieść.

W Mateuszu, zdobywcy serc niewieścich, kochają się najpiękniejsze kobiety, a najwięcéj pewna córa Melpomeny, talent pierwszorzędny, połączony z niepospolitą urodą i mniéj jeszcze powszednią inteligencyą, ale cel jéj pragnień choć uściskiem jéj nie gardzi nie odpłaca wszakże równą wzajemnością; pomimo, że kochanka dla niego porzuca dawny lekki sposób życia i kona z miłości—on, ciałem blizki myślą jest od niéj daleki, albowiem tryumfy salonowe znudziły go a nęcą zagadki świata i żywot czynny. Stefan posyła westchnienia obrazowi, który w wizyach mu ukazuje mglistą postać matki, którą przeczuwa i za którą tęskni. W istocie matka żyje; o istnieniu swych synów wie, ale porywy macierzyńskie tłumi, w obec siły wyższéj męża monarchy. Poślubiła ona go wbrew woli spłaciwszy poprzednio dań miłości, tak iż bliźnięta zaledwie na świat przyszły, skazane zostały na zagładę i tylko rozpacz i łzy nieszczęśliwéj, uroczyste przyrzeczenie wywiezienia ich na drugi biegun ziemi ocaliły je. Król doczekał się z czasem potomków legalnych—tém konieczniejszém przeto stawało się pokrywanie tajemnicą życia dwu braci. Prawo zwyczajem nadto uświęcone żądało by oni zostali następcami tronu, dla serca ojcowskiego cios to zbyt bolesny wydziedziczyć kość z kości, krew z krwi swojéj na rzecz odrośli jakiegoś przybłędy.

Ztąd długi, męczący dramat, ogarniający niemal Włochy całe. Zbiegi okoliczności uświadomiają bliźniętom ich prawa i stanowisko. Pewne stronnictwo z rządów króla niezadowolone buduje na podniosłéj naturze braci plany rewolucyi i reformy, i chce ich wystawić jako pretendentów w obliczu prawa do tronu. Wywiązuje się walka na śmierć i życie między królem a niewidzialnymi spiskowcami. Intryga dworska wraz ze wszystkiemi tajemnemi środkami zbrodni oplata młodzieńców. Po stronie króla stoi Rzym z Papieżem, którym głuchy szmer, zwiastun przewrotu, nie tylko w rządach ale i w stosunku do kościoła, uszu bynajmniéj nie pieści. Sprawę zaostrza postępowanie królowéj, która widuje się z ukochanemi dziećmi, tém podpisuje na siebie wyrok śmierci przez otrucie. W końcu bliźnięta Hellas na czele stronnictwa, uniknąwszy szczęśliwie zasadzek, podnoszą bunt jawny i opanowują Neapol, dopomaga im: naród łaknący zmiany, wieść o otruciu królowéj i istnieniu właściwych spadkobierców tronu.

Nadzieje pokładane w siłach nowych władców nie zawiodły ludzi. Bliźnięta, utworzywszy wraz z kardynałem tryumwirat przystępują do odrodzenia państwa, żaden z nich berła ująć nie chce, ludowi zostawiają wolność i ogłaszają nowe prawodawstwo, do gruntu zmieniając istniejące porządki. Niestety, szczęście wskrzeszonego

miasta trwało krótko, dwory europejskie nie zniosły uchylenia się od powszechnéj formy rządu, ruszyły koalicyą na Neapol i zdusiły go masą. Po zwycięstwie ludu, zwyciężyli królowie.

Oto zasadnicza osnowa powieści. Około wątku tego obraca się mnóstwo dramatów ubocznych, nie tyle związanych z akcyą główną, ile niezbędnych dla uwydatnienia myśli kierowniczéj.

Jakież są dążności i ideały? Czego domaga się powieściopisarka?

Przedewszystkiém swobody uczucia. Miłość spętana przez prawo jest parodyą prawdziwego uczucia i rodzi karły. Natomiast poczęte w prawdziwéj namiętności dzieci wyrastają na geniuszów. Oddanie się mężczyznie ukochanemu nie jest hańbą, choć-by go nie uświęciła bliskość ołtarza, owszem dowodem natury niezależnéj, wyższéj. Królowa w przeddzień przymusowych zaślubin z monarchą, poświęcając kochankowi swą dziewiczość, była świadomą tego. Bardziéj jeszcze siostra jéj, która córkę swoję w zasadach podobnych otwarcie wychowywała. Ustawy grzeszą, zakazując poszukiwania ojca; ani on ani matka nie są wspólnikami zbrodni, lecz uczestnikami uprawnionéj rozkoszy; grzeszą jeszcze więcéj, zniewalając spółmałżonków do wychowywania dzieci obcych, dla tego tylko, że przyszły na świat pod ich dachem. Ofiarą błędu prawnego padł król i rozpaczliwe środki, jakich chwytał się dla unicestwienia współzawodników swych spadkobierców, nie mogą mu być za winę poczytane. Ofiarą padła królowa, a następstwem bezpośredniém jest cała ta krwawa tragedya.

Z koła tych pragnień, jak z ogniska rozchodzą się dalekiemi promieniami coraz mniéj poetyczne dążności. W postaciach braci, którzy ostatecznie wypierają się dawnego dogmatyzmu poglądów, widać uosobienie odwiecznego sporu między kultem idei i religią materyi, poniekąd także między nauką niezależną, a świętobliwą filozofią: jeden uwierzył nareszcie w jakąś niewidzialną potęgę—fatalizm, drugi—w szalbierstwo jezuity i jego mistrzów. Rozbrat kończy się w obydwóch razach przymierzem. To, cośmy widzieli w „substancyonalizmie“, istniało zatém na lat dwadzieścia przedtém; p. Royer nigdy nie zniża się w filozofii do jednostronności, jest-to wyżyna, na którą mało mężczyzn się wspięło. Więcéj jeszcze pokojowym duchem tchnie sąd o kościele. Nużące dysputy między jezuitą i kardynałem dają sposobność do wynurzenia przez usta tego ostatniego marzeń o reformie ustroju duchowieństwa. Takiém, jakiém ono dziś jest, widzieć go nie chce i z niesłychaną odwagą wydobywa kilka gorszących zdarzeń z dziejów życia i stosunków klasztornych, lubując się cynizmem niemal w najdrobniejszych szczegółach. Jakie

są owe marzenia—odgadnąć nie trudno, nic w nich nowego wymyśléć nie można było po dwudziesto-wiekowym rzucaniu grochu o ścianę.

W miejscu gdzie dramat uczuć rodzicielskich przechodzi na widownią polityczną, autorka przybiera fizyognomią działacza społecznego i ideały swoje w tym względzie uzmysłowia odpowiedniemi epizodami—autonomia narodu, oddzielenie spraw świeckich od duchownych—równość wszystkich w obliczu prawa, niezależna od różnicy pochodzenia, wyznania i płci—malują je dostatecznie. Ale i tu nie obeszło się, zwyczajem kobiecym, bez sentymentalizmu. Bliźnięta myślą tak szlachetnie, że nie chcą przyjąć nadawanéj im przez naród władzy królewskiéj! Że jednak tłumy lubią mieć bicz nad sobą, czują się więc rozczarowanemi, szemrzą i jakeśmy napomknęli, godzą się na tryumwirat.

Tu raz jeszcze potrąciła p. R. o sprawę swéj płci. Świat zajmował się wiele i dziś jeszcze zajmuje się rolą kobiet w życiu państwowém, nic przeto dziwnego, że przekształciwszy rdzennie rządy, ustawodawczyni powierza w nich należny udział kobietom—trzéj mężowie, dzierżący ster nawy państwowéj, obradują razem z kobietami: siostrą królowéj, córką jéj, ową nadobną aktorką, która, jak się okazało, była blizko spokrewnioną z bliźniętami, tym sposobem, obok wielkorządców oficyalnych, stoi w półcieniu sztab przyboczny z białogłów złożony, zachęta to w istocie wielka, ale czy do wypracowywania not gabinetowych?

Im bliżéj końca, témbardziéj traktat społeczny wypiera ze stanowiska powieść. Są rozdziały, które jaknajwygodniéj figurować by mogły w projektach ustaw. Połączone tryumwiraty wydają coś w rodzaju „Deklaracyi praw człowieka“, gdzie określiły pojęcie prawdziwego obywatelstwa i zaznaczyły jego wszystkie prawa i obowiązki. W krótkim szkicu ogłoszono tam zmiany, dotyczące wszystkich stron społecznego życia. Wysoko po nad głową podnosząc chorągiew wolności, powiewa nim autorka na cztery strony świata, powiewa nad nauką, religią, przemysłem, handlem, konkurencyą—wolność i wolność bezwzględna, bezgraniczna, nieokiełznana, oto alfa i omega całego prawodawstwa. Oto talizman mający zbawić ludzkość.

Szczególną pieczą cieszy się stosunek obywateli do rządu, czyli prawo państwowe i instytucya małżeńska. Kobieta zyskuje więcéj praw niż ich obecnie używa, ona to przekazuje majątek i imię dzieciom, w ten sposób role obecne małżonkowie zamieniają. Wzajemna skłonność poślubiających się jest jedyną rękojmią trwałości związku. Zniknie więc zło uwarunkowane przez dwa złowieszcze

artykuły kodeksu francuskiego. Obrządku nikomu narzucać nie można, rozwód staje się ucieczką uświęconą przez prawo, ale za to wszelkiemu wiarołomstwu grozi nader surowa kara, co zaś najważniejsza zniesioną zostaje pewna instytucya, która stanowi prosty wynik spaczonéj idei małżeństwa i tak olbrzymią rolę odgrywa w życiu dzisiejszém. P. R. dba do tego stopnia o czystość obyczajów, że zabrania po za obrębem związku normalnego być posłusznym zmysłom. Prawdziwie zazdrościć trzeba wskrzeszonéj „republice Partenopejskiéj“, że tak mądre posiada ustawy. Optymizm posunął panią R. zadaleko. Wygląda ona tutaj, jak owa surowa hiszpanka w pierwszéj pieśni Byronowskiego Don - Żuana, co tak troskliwie oczyszczała otaczającą synalka atmosferę moralną, aż go wykierowała na protoplastę uwodzicieli. Poeta okazał się tu przenikliwszym daleko pedagogiem, niż uczona badaczka społeczna.

W dalszym ciągu znajdujemy nudny zarys reszty prawa cywilnego i prawo karne, następnie postępowanie cywilne i postępowanie karne, politykę gospodarczą, prawo finansowe, brak tylko prawa międzynarodowego—szczęściem dla czytelnika; wartość tego wyrobu autorka zresztą najlepiéj, choć zdaje się bezwiednie, oceniła w owym napadzie zbiorowym na nową rzeczpospolitą. W istocie wszelkiego rodzaju zawiłości w stosunkach międzypaństwowych najczęściéj podobnie bywają rozstrzygane. Reguły wyłożone są językiem technicznym, świadczącym o znajomości przedmiotu.

Tak się przedstawia treść i zadanie „Bliźniąt Hellas“. Utwór to widzimy nie zupełnie do literatury nadobnéj należący. Za dużo w nim filozoficznych tyrad i społecznych rozpraw. Najwłaściwiéj zaliczyć by go było do cyklu owych marzeń w rodzaju utopii Tomasza Morusa, Cabeta, gdyby nie wybitny w nim zakrój realny, który mimo wiedzy wkradł się. To, co ze stanowiska pani R. jest lepszém, mianowicie doradzany przez nią nowy ustrój społeczny, nie jest ani lepszém ani nowém całkowicie. Wielu, którzy ludzkości życzą bardzo dobrze, wyklina go jako sprawcę niedoli i nędzy. Ale p. R. pozostała w zgodzie z sobą — nie sprzeniewierzyła się godłu walki o byt w socyologii.

Jedna jeszcze wydatna cecha odróżnia „Bliźnięta“ od innych tendencyjnych dzieł—żywiół estetyczny. Pomimo rozwlekłych rozumowań, zajmujących dziesiątki stronic, pomimo wielu przedmiotów, jak najmniéj licujących z naturą powieści, takie w nich bogactwo działania, dramatu i barw, że wzbudzają nie mały interes i miejscami pozwalają zapominać, iż są wypchane tendencyą, która wszystkiemi szparami wyłazi. P. R. złożyła w nim niepospolity zasób twórczego talentu. Samo już połączenie w jednéj misternie sple-

cionéj nici opowiadania tylu różnych i obcych sobie włókien dowodzi niezwykłéj pomysłowości. Są tam postacie stare i wytarte, ale są i sympatyczne, działające na nas potężnym urokiem, jak postać kardynała, Leony aktorki, która żywo przypomina czarowną Aspazyą, obu bliźniąt i inne. Prawda, że autorka jest idealistką i gdzie niegdzie tylko daje wierne odbicie prawdziwego świata, ale rzadko bohaterów z krwi i kości ogałaca, drgają oni życiem gorączkowém i lubo zawsze zbyt jak na zwykłych śmiertelników wykształceni, mają wybitną indywidualność i ostro w umysł się wrażają.

Nie mile uderza przestarzała, w znacznéj części klasyczna forma opowiadania, w listach kobiecych przeważnie, które, znowu mimowoli autorki, znamionuje nadzwyczajny realizm, mianowicie gadatliwość, jaką tylko na jawie znaleść można. Czułe wynurzenia, łzy i zaklęcia, drobiazgowe spowiedzi są tu zjawiskiem stałym. Obok tego namiętna słabość do wystawności, czczéj dekoracyi, cudownych zbiegów wypadków—awanturnicze wyprawy, wstrząsające nerwy—rys czysto męski, a zapożyczony od szkoły romanso-pisarzów francuskich.

Wpływ maniery ojczystéj bardziéj jeszcze uwidocznia się w trywialnych i pełnych nieprawdopodobieństwa sprężynach akcyi. Przez całą długość przygotowań do walki politycznej i saméj walki, Leona, opuszczona przez żądnego czynu i prawdy Mateusza, towarzyszy mu w przebraniu męskiém, niepoznana, pomimo klasycznych swych kształtów i tysiąca niesprzyjających podobnéj maskaradzie okoliczności. Wogóle maskaradą, zawsze uwieńczaną dziwném powodzeniem, poetka posługuje się również swobodnie, jak autorowie operetek najnowszych.

Chwilowo znowu talent p. R. wzbija się bardzo wysoko. Ponurą satyrę zawarła ona w maleńkiéj scenie śmierci królowéj; przy łożu stoją jéj dzieci „prawe“, z wyrazem tępoty na twarzy, w obec okropnéj chwili, ogłupione i onieśmielone etykietą dworską, machinalnie szepcące pacierze za spowiednikiem-jezuitą, jak manekiny.

Często też autorka nie umié korzystać z chwili. Mateusz w okresie największego wyuzdania kochał się w siostrze ciotecznéj, kobiecie silnego i samoistnego charakteru. Zwiedziony raz oszczerstwem jakiegoś nikczemnego druha, zemścił się nad niewinną straszliwie, zbezcześcił ją gwałtem. Tajemnica pokryła zbrodnię. Gdy po latach kilku dowiedział się prawdy i pojął ogrom swéj winy i podniosłość duszy kochanego niegdyś dziewczęcia, które go obrzucało teraz wzgardą i odtrącało nieugiętą dumą, zapałał powtórną prawdziwą miłością, cóż, kiedy Stefan serce jéj już pozyskał—materyał na dramat wspaniały, umotywowany psychologicznie, ale u p. Royer

wszystko w stosunkach działających osób kończy się harmonią—małżeństwami, zupełnie jak w komedyach francuskich.

Nie wiemy jak przyjęto w swoim czasie „Bliźnięta“ we Francyi. Wzmianki odnośnéj znaleść nam się nie udało nigdzie, w piśmiennictwie naszém témbardziéj. Zresztą wiele wody od narodzin ich upłynęło. Nie ulega wątpliwości, że ci, którzy w utworze p. R. spodziewali się znaleść jedynie zwykłą fabułę powieściową—doznali gorzkiego zawodu i pomijać musieli całe obszerne rozdziały, pozostawiając nie rozciętemi kartki, a jednak i te rozwlekłe wycieczki w odległe okolice zawierają wiele pouczającego i ciekawego dla poważniejszego umysłu. Autorka lubi obcować zblizka z piękną Italją i Heladą—nazwisko ojca bliźniąt jest nazwą ojczyzny Leony—lubi rozszerzać się nad nieporównaném bogactwem jéj natury i sztuki. Dziennik, jaki Mateusz w swéj podróży prowadzi, jest zbiorem znakomitych spostrzeżeń i uwag gruntownego estetyka i historyka. Takie jak u p. R. zrozumienie losów i ducha starożytnéj Romy, napotyka się tylko chyba w pieśniach tułacza Child-Harolda. Gdy czytamy te obrazy lotne, zdaje nam się, że widzimy drugą Korynnę, jak wędruje pomiędzy zabytkami nieśmiertelnego ducha klasycyzmu, lub Irydiona, stojącego z Massynissą nad gruzami zburzonéj stolicy świata. Ten polot dziejopisarski filozofki i poetki towarzyszy nam wszędzie i owiewa całość atmosferą prawdziwéj wytworności ducha, tak, iż chętnie zapominamy o pospolitych, naciąganych i nieraz śmiesznych efektach.

„Jumeaux d'Hellas“ i pisma filozoficzne p. R. są dziećmi jednéj i téj saméj indywidualności, ogniwami jednego i tego samego łańcuha działalności. Nie masz między niémi żadnego rozdwojenia co do wewnętrznéj dążności, lecz tylko różnica w formie. Pisarze wielostronni miewają w najlepszym razie osobne temata dla nauki, osobne dla poezyi, osobne dla publicystyki. P. R. widzimy ukutą z jednéj bryły; w różnobrzmiącéj mowie głosi ona te same ideały, z jednakową siłą i odwagą broni nowych zdobyczy naukowych i napada na pojęcia i urządzenia, które chciała-by widzieć rozsypanemi wproch.

Taka w kobiecie energia należy do zjawisk mniéj tuzinkowych. Niezmordowanéj téj pracy i dziś jeszcze świadkami są francuzi. Wiemy, że najpoważniejsze dzienniki, jak „Presse“, „Temps“ i czasopisma naukowe, w rodzaju „Jurnal des Economistes“, korzystały i korzystają dziś jeszcze z współpracownictwa p. R. W połowie zeszłego dziesięciolecia wiele wrzawy narobiły i żywém zajęciem cieszyły się wykłady „Entretiens philosophiques“, któremi autorka zamierzała wpłynąć na ogół wykształcony i odnowić zupełnie dzie-

dzinę badań filozoficznych. Przyczém działała wysokim polotem i rozległością poglądów i tematów, takich jak „Nieskończoność w nauce i naturze“ itp. Wogóle czynną jest bezustannie i szerzy naokół wiedzę częstemi konferencyami.

Ale nadewszystko cenić należy w p. R. męstwo, którego godłu hołduje tak świadomie. „Logika i niezależność umysłu—mówi ona—nie wystarczają, gdy chodzi o rozwiązanie problematu naukowego. Potrzeba jeszcze energii temperamentu, również niezbędnéj dla ustalenia idei, jak i dla wykonania dzieła“. Choć-by kompetentna krytyka zasługi jéj dla pewnych gałęzi nauki sprowadziła do niewielkich rozmiarów, w literaturze ogólno-ludzkiéj będzie ona zawsze wybitną i oryginalną postacią. Dziwak Szkocki Carlyle nauczył nas, że więcéj niż wysoka inteligencya i bogactwo wiadomości warta odwaga, szczerość i siła przekonań. Tę miarę przyłożywszy do pani R., wypadnie wyróżnić ją wśród tysiąca głośniejszych pisarzów. A dodajmy do tego—wielostronność ducha—tę ciągłą harmonią między suchem badaniem, dociekaniem filozoficzném i poezyą, między abstrakcyą i uczuciem, czego daremnie szukamy w tylu mumjach niemieckiéj nauki, w tych molach bibliotecznych, które przecież chełpią się, że wydały Fausta.

II. Ludwika Ackermann (z domu Choquet).

W bliskości gajów oliwnych Nizzy, w starożytnym klasztorze po-dominikańskim, z którego górnych okien roztacza się widok na cudny błękit zatoki, schroniła się przed światem i jego zgiełkiem poetka-myślicielka. Samotne cele pozostawiła nietkniętemi i tylko wieżyczkę dobudować kazała, skąd przypatruje się lazurowemu niebu i pięknéj naturze u stóp jéj rozpostartéj i kiedy niekiedy zaledwie chwyta słabe odgłosy ludzkiego zamętu.

Musi to być niewiasta świętobliwa i pobożna, skoro siedlisko wybrała wpośród zczerniałych murów, wilgotnych wypłakanemi kiedyś łzami, albo dusza pokutująca za ciężkie grzechy, jeśli jéj trupi oddech nie wypędza na przesycone aromatem wiecznéj wiosny kobierce z zieleni i kwiatów. Bynajmniéj, pustelnica to niezależna, nie opętana żadnym religijnym obłędem; jak zatopiony oczyma i myślą w gwiazdach astronom noce przepędza na wyniosłéj czatowni, tak ona uciekła tam, by dogodniéj, jak z lotu ptaka przypatrywać się ziemskiemu padołowi; z ust jéj wychodzą słowa nie miłością bóstwa natchnione, nie uczuciem skruchy, pokory nacechowane, ale ziejące dumą i szyderstwem. Posłuchajmy:

„Mniemają, że religia jest wychowawczynią człowieka. Radzę jéj być dumną z takiego uczucia: to edukacya, którą trzeba rozpocząć na nowo". „Chciałabym doprawdy uwierzyć w dar Łaski. Potrzeba w istocie osobliwszéj przychylności Niebios, by módz zrozumiéć dogmaty i sakramenta. Potrzeba koniecznie żeby się w to Bóg wdał, bo sam człowiek nigdy tego nie osięgnie".

Żaden chyba anachoreta bluźnierstwami podobnemi uszu naszych-by nie kalał. Ale zapytajmy, skąd ta pogarda i nienawiść dla wszystkiego, cośmy dotąd tylko czcić umieli. Oto odpowiedź:

Kobieta, co zamiast wznosić w górę załzawione oczy, posyła niebu tak zjadliwe wyrzuty, musiała wiele przeboleć i więcéj jeszcze przemyśléć. Zapuśćmy na chwilę wzrok w tajniki jéj życia, które rzadko tylko i szczupłéj liczbie wybranych odsłaniała.

Była tam kiedyś wiara naiwna a silna. W dzieciństwie swém i zaraniu młodości poetka była budującym przykładem dla całego swego otoczenia, dosłownie rozumiała historyą grzechu i odkupienia, z całą powagą i łatwowiernością słuchała baśni świętych i jak sama wyznaje, była-by po téj drodze trafiła wprost do klasztoru, gdyby nie był znalazł się w wychowaniu jéj czynnik odwrotnéj natury, w osobie ojca, który wszelkiemi siłami starał się osłabiać potężny wpływ matki - dewotki. Wolteryanin starego autoramentu spostrzegłszy marzycielskie skłonności córki zatrwożył się o jéj równowagę umysłową i wsunął do rąk jedno z dzieł wielkiego szydercy. Skutek przeszedł oczekiwania. Chciwie neofitka rzuciła się do biblioteki ojca, którą już dawniéj pożerała oczyma, rozkoszowała się przekładami Platona a nadewszystko zachwycała się Buffonem. Z kolei surowa rodzicielka, widząc dziecko zagrożone niebezpieczeństwem herezyi, rozpostarła nad niém opiekuńcze skrzydła i oddała Ludwikę na pensyą, utrzymywaną w Paryżu, jéj mieście rodzinném, przez matkę jakiegoś szanownego księdza, kobietę z wykształconym umysłem i sercem, na któréj bogobojność wiele liczyła. W rzeczy saméj, poczciwy kapłan wykładał bardzo troskliwie nowéj wychowance zasady teologii. Tym razem wszakże nauki, które ją przed laty kilku przejmowały namaszczeniem, wywarły skutek wprost przeciwny—rozśmieszały ją tak, iż z trudnością udawało się ukrywać przed czcigodnym mistrzem jałowość gruntu, w który posiew jego padał.

Odtąd poetka wszystkiemi porami wchłania w siebie atmosferę wiedzy i piękna. Stroni od świata, do którego ciągnęła ją rodzina, dnie całe przepędza nad księgami i w niemém kontemplowaniu tworów natury i zawiera znajomości z znakomitymi ludźmi, pomimo, że

otoczenie domowe, przy całém swém zamiłowaniu literatury, nie lubiło krępować się powagą wybitnych osobistości. Tym sposobem znalazła przystęp do Stanisława Julien, Eichoffa, Letronne'a, mężów szanowanych dla głębokiéj nauki. Jednocześnie w skrytości ducha sposobiła się na poetkę. Jeszcze za czasów szkolnych probowała młodocianych sił na polu rytmotwórstwa. Zwycięstwa, jakie tu odnosiła nad rówieśnicami, które napastowały ją niemiłosiernie szykanami za dzikie i nie śmiałe zachowywanie się w obec ludzi i obdarzały przydomkiem „niedźwiadka", zwróciły uwagę profesora literatury, a że pozostawał w stosunkach przyjacielskich z domem Wiktora Hugo, przeto w uniesieniu zaniósł mu kilka jéj poezyj. Wielki romantyk przyjął je nader łaskawie i opatrzył kilkoma wskazówkami i radami, dotyczącemi rytmu. Ten sam wielbiciel jéj pierwocin miał dla niéj zwykle pełne kieszenie księgarskich nowości i obznajmiał dokładnie z takiemi wieszczami, jak Szekspir, Byron, Goethe, Schiller. Całą swoję pracę nad książkami, robotę całą wewnętrzną poświęcała zrozumieniu poetów i chociaż późniéj nie miała żadnego przewodnika i najmniejszéj zachęty, upragnionego celu z oka nie spuszczała. W uczuciach zarówno jak i poglądach, nieznosząc paraliżujących polot więzów i prawideł—szybko odsunęła klasyków, a z zapałem wzięła się do Alfreda de Vigny, Musseta, Wiktora Hugo, Sénancourta, którymi na czytaniach wieczorkowych w rodzinném kole zastąpiła poprzednich bogów.

Wielostronnie zatém rozwijał się umysł naszéj bohaterki. W swéj żądzy poznania była nienasyconą. Zawładnąwszy doskonale językiem niemieckim, którego ojczyzna nęciła zawsze jéj zmysł filozoficzny, udała się do Berlina w roku 1838, mając lat 25—stanęła u szczytu marzeń znalazłszy się w stolicy, „któréj mieszkańcy żyją po to tylko, by uczyć się lub nauczać." Tu zaznajomiła się z znanym lingwistą Pawłem Ackermannem. Aczkolwiek sama wolną była od wszelkich popędów erotycznych, i pragnienie miłości było jéj obcem—zdołała wzbudzić głębokie przywiązanie w uczonym wydawcy literackiéj spuścizny po Fryderyku II i nie mogąc oprzéć się jego szczerym, błagalnym prożbom, zgodziła się na związek dozgonny, który miał sprowadzić nowy przełom w jéj życiu.

Marzyła ona nieraz o spójni duchowéj, ujętéj w formę małżeństwa, ale nie wierzyła, by to stać się mogło jéj udziałem. Los jednakże okazał się szczodrobliwszym i przez pewien czas obsypywał ją wszystkiemi darami, za jakiemi wzniosły duch tęsknić może. W spokojnéj pracy naukowéj pędziła życie przy boku męża, była mu nieocenioną pomocą w trudnych badaniach językoznawczych i sama wyniosła z jego sfery nieoszacowaną korzyść i zamiło-

wanie do języków, których poznała aż kilkanaście, w téj liczbie łacinę, grecki, hebrajski, sanskrycki, chińszczyznę, i literaturę klasyczną. Nie dziw,—obracała się w gronie nielicznêm, lecz dobranêm, Aleksander Humboldt, Jan Müller, Boekh, Varnhagen uprzyjemniali im chwile od pracy wolne. Własnéj twórczości zaparła się z taką bezprzykładną skromnością, że mąż nawet nie podejrzewał w niéj kapłanki muz. Ale błogi ten stan nie trwał długo. Śmierć nieubłagana zabrała cichego pracownika. Przygnębiona boleścią i złamana sieroctwem po jedynym człowieku, którego prawdziwie wielbiła—ojciec już dawno spoczywał w grobie — poetka uległa namowom sióstr i przeniosła się pod pogodne niebo Nizzy.

Tutaj całą duszą pogrążyła się w filozofii i poezyi; zasklepiona w sobie i nikomu się nieudzielając, tak, iż okoliczni mieszkańcy więcéj znali ją z zajęć ogrodniczych niż umysłowych. Siłą woli stłumiła ból, i wezbranemu falą łzawych skarg sercu dawała ujście w rymach. Z czasem tak zagłuszyła wspomnienia utraconego raju, że mogła zająć się chłodno przekładem staroindyjskich pieśni, które ją zwabiły znajomą melodyą, opiewały bowiem miłość małżeńską. Sama jednak w swéj bezpretensyonalności nazywa te prace „nietaktem literackim“ i surowo je potępia.

Poetka, choć chińskim murem odgrodziła się od świata, okazuje żywe zajęcie dla donioślejszych zdobyczy wiedzy; tysiącem promieni spływa do niéj światło nauk: w postaci mnóstwa pism, broszur i dzieł. Sama z ustronnéj celki odzywa się do ludzi rzadko, ale za to mową, która długo, długo brzmi w oczarowanych uszach naszych, jak tajemnicze odgłosy arfy eolskiéj. Ale strun jéj liry nie porusza swawolna, jak zefir, gra uczuć;—potrąca je ból wielki, głęboki, obejmujący wszechświat cały; wstrząsa niemi dławione łkanie lub zuchwały protest przeciw nędzy i niedoli téj ziemi.

Prócz nie wielkiego zbiorku powiastek klasyczną francuszczyzną wyhaftowanych misternie na kanwie fantazyi indyjskiéj, a poświęconych miłośnikom akademickiego stylu—wszystkie jéj pieśni tchną głęboką melancholią, aż w końcu wybuchają rozpaczliwym, beznadziejnym, jak piekło Dantejskie, pesymizmem. W małym tomiku poezyj lirycznych, wydanych (r. 1877) w kilkuset egzemplarzach zaledwie—dla duchów pokrewnych, nie lękających się siarczystego dżdżu, jako pomsty niebios za niezadowolenie z ich arcydzieł—huczy tak potężny rokosz przeciw rządom Bóstwa, że dziw nas ogarnia, jak mogło serce kobiety nie pęknąć pod taką nawałnicą gniewu i oburzenia.

Skromniejsza jeszcze wyglądem książczyna, ogłoszona lat trzy temu, rozwiązuje ciekawą zagadkę zwięzłym życiorysem i kilkoma

2*


K.U.L.

dziesiątkami świetnych, treściwych, jak myśl sama aforyzmów. Z niéj dowiadujemy się, że poetka nie własnego życia koleje opłakuje w natchnionych strofach, nie nad osobistemi zawodami rozżala się, w przedmiotową ubrawszy je formę, ale nad ogarniającém całą istność, byt powszechny, nieszczęściem. Wieszcz, który myśli tylko o sobie — twierdzi ona — stanie prędko u kresu swych śpiewów. W imię natury, a przedewszystkiém w imię ludzkości należy podnosić głos. Te źródła natchnienia są jedynie głębokie i niewyczerpane. Widziany zdaleka przez szkła samotnych dumań poetki—rodzaj ludzki wydaje się jéj „bohaterem opłakanego dramatu, który się gdzieś w zapadłym kącie świata odgrywa, w obec obojętnéj natury, ślepych praw i z jedyném zbawieniem—w nicości“.

W istocie, p. Ackermann za mało złego doświadczyła, by można było słusznie pomawiać ją o subiektywizm. Dotknęła ona zaledwie ustami kielicha goryczy, jaki nie jeden wychylić musi do dna.

Los zesłał jéj dwa lata błogiego szczęścia, a jeśli potém wyrwał ją szorstko z słodkiego upojenia, czyż nie nagrodził tego wieloletnim spokojem, którym sama się szczyci. Były tam i chwile wesela; ilekroć napotykała subtelny dowcip i rozumny żart, śmiała się chętnie, a walk wewnętrznych do dziś dnia nie zna. Czyż-by próżność autorska kazała zapierać się podmiotowości, próżność, któréj dziwny, bezprzykładny brak wszędzie indziej nas zastanawia? Nieraz już usiłowano z utworów Ackermannowéj zedrzéć urok oryginalności, przypisując ich bezdenną rozpacz wpływowi Schopenhauera i Hartmanna, z którymi długo pod jednym pozostawała niebem, ale poetka zwycięzko zadała kłam tym podejrzeniom, gdy z kosza zbutwiałych już zwierzeń młodzieńczych wydobyła zapomniany wiersz również gorzki, jak późniejsze płody jéj muzy. W siedmnastym roku życia pisała ona w poemacie zatytułowanym „Człowiek“:

Wśród bólów jęku zrodziła cię matka
Na świat przyszedłeś jako syn katuszy.
Tak rozpoczęta istnienia zagadka
Krzyki żałośne wydarła ci z duszy.

a kończy przepowiednią:

Pod brzemieniem niedoli ugnie się twe ciało znużone
Usta słodyczy niebytu łaknące, nie wydadzą głosu,
Oko na wieki zagaśnie cichym snem śmierci sklejone,
Raduj się, starcze, bo będzie to pierwsza pieszczota losu!

Zdaje się, że wykład pesymizmu choćby tak wymowny jak zgryźliwego czciciela Nirwany, nic do tego „credo“ dorzucić nie był-

by wstanie. Ale dobitniéj niż najszczersze wyznanie wiary, przemawiają do nas zwykłe modlitwy lub przekleństwa poety. One tylko należycie oświecić nas mogą o naturze i wartości opiewanych przezeń tryumfów lub cierpień. W tém źwierciedle odbija się prawdziwy obraz wieszcza, a u Ackermannowéj dziwnie czysty, jak krynica przezroczy styl, pozwala dojrzéć najdrobniejsze rysy jéj indywidualności, bez wielkiego wysiłku myśli.

Napróżno szukałbyś tam jakiegokolwiek systematu. Nieznane są jéj zachcianki odkrycia nowych prawd, lub co się zdarza najczęściéj, olśniewa świat utartym pomysłem w błyszczącéj szacie. Fantastyczne mrzonki i dowolniejsze jeszcze proroctwa myślicieli germańskich, jakoś drogi do jéj mózgu nie znalazły. Ten nawet rutyniczny podkład, jaki wyziera z narzekań Leopardiego a zwłaszcza z dyalogów, jest jéj obcym. Nie okazuje ona najmniejszéj skłonności do prowadzenia naukowych dysput, jéj filozofia jest bezsporną, niewątpliwą, nie potrzebuje żadnych dowodów,—wychodzi prosto z serca i wyraża się samém uczuciem—jedną wielką skargą. To téż poetka wlała w nią całą siłę, którą inni zazwyczaj dzielą pomiędzy dyalektykę i poezyą.—Metafizyczne poglądy Ackermannowéj należą do najpospolitszych ale téż najprawdziwszych w dziejach filozofii: są panteistyczne; do niéj najłatwiéj dałyby się zastosować głębokie słowa Musseta wyrzeczone o Spinozie: „zmęczony daremném szukaniem Bóstwa, łudził się w końcu, że je znajduje wszędzie“ (L'Espoir en Dieu). Poetka zachwyca się wprawdzie pięknym kwiatem, czarownym dźwiękiem, jako wyrazem nieśmiertelnego i powszechnego ducha, lecz innym jego objawom zaprzecza rozumu. Nie „ideą bezwzględną,“ nie „pierwiastkiem bezwiednym“ jest dla niéj owo tchnienie ożywiające wszechświat, ale zwyczajnie Jehową, Jowiszem. Najchętniéj wysławia się językiem miłości macierzyńskiéj, jaką każda kobieta mierzy dobro—i nazywa go matką, a raczéj macochą żarłoczną, która płodzi bezustannie ale dzieciom zostawiwszy śmierć, dla siebie zagarnęła wieczność. Myśli ona o tych jedynie, co mają się narodzić,—żyjący giną w zapomnieniu. „Gdy tuląc do serca, które niezadługo bić przestanie, inne serce cierpiące, mniemacie śmiertelni, że uściskiem namiętnym obejmiejcie nieskończoność—owo uniesienie święte, pragnienie bezgraniczne to już ludzkość przyszła, która w łonie waszém się porusza.“ Możnaby w tym wyrzucie dopatrywać się śladu szkół niemieckich, dla których miłość to tylko podstęp natury służący jéj do utrzymania rodu ludzkiego na ziemi i zadowolenia życiodawczéj żądzy, gdybyśmy takiéj saméj historyozofii nie napotykali, w podobnéj nawet formie, u innych poetów rozpaczy (Musset Leopardi). Cóż dziwnego? jak kotwicy chwytają się miłości na bez-

brzeżnym oceanie nudy lub niedoli, a ona ich zdradza i w złą naturę świeże wlewa soki; jedyna, niekłamana rozkosz—źródłem tysiąca boleści: co za gorzka i nieubłagana losu ironia!

W przepysznéj apostrofie poetka rzuca w twarz naturze wszystkie jéj zbrodnie, których się względem człowieka dopuściła i szydzi zjadliwie ze skargi i obrony bóstwa, w równie piękną ujętéj apostrofę. Wszechrodzicielka wstydzi się poronionego swego tworu tak dumnego jednak wyższością nad inne stworzenia, i zapowiada, że twórczości zaniechać nie myśli, owszem będzie bezlitośnie niszczyć owe puste a głośne zlepki gliny, bez żalu ciskać trupy na trupy, dopóki zbolałe od rodzenia łono nie pocznie istoty idealnéj, wolnéj od więzów ciała,—dziecięcia, które zdruzgocze nieubłagane kajdany materyi i fatalności i wędrować będzie po ziemi w promieniach własnego światła: oto druga postać téj saméj filozofii dziejów którąśmy widzieli przed chwilą, lecz już nie na poetyckiéj wykuta teologii, tylko urobiona z materyału współczesnéj nauki o życiu. Ackermannowa z wysokim zajęciem śledziła teoryą rozwoju i wyraża zdziwienie, że żaden z młodszych i żywotniejszych poetów nie odkrył w niéj nowéj dla wyobraźni dziedziny. Jednakże, co badacza usposabia do różowych rojeń—poetę, który czuje i „cierpi za miljony“ napełnia bólem i zgrozą. To niegodziwie—na ołtarzu niedojrzanego jutra składać krwawe hekatomby z jestestw teraźniejszości. Matka zabijająca własne niemowlęta nigdy szlachetnego potomka nie wyda. A więc wyprzéć się jéj trzeba i plunąć w oczy przekleństwem. Poetka wzywa słońce na świadka okropnego widowiska: ciągłych narodzin dla bezustannéj agonii śmierci i woła:

Niechaj więc siły źródło wyschnie w twoim łonie,
Niech materya, straciwszy ziaren życia krocie,
Pozostanie bez ruchu i po władzy skonie
Odmówi ci podpory w rozszalałym locie,
Niechaj podmuch śmierci wionąwszy w świata bryłę
Zagasi na niéj wszystkie żywota pochodnie,
Bo z wspaniałego gmachu zrobiłaś mogiłę
I miast nas uszczęśliwiać—spełniasz na nas zbrodnię.

(„L'homme à la nature“)

To ulubiona konsekwencya wszystkich śpiewaków nieszczęścia. Inaczéj być nie może; błogosławieństwa i apoteozy są dla siebie same celem, potępienie musi być uwieńczone zniszczeniem. Umysł ludzki w swéj niezwalczonéj skłonności do wcielania oderwań w postaci i osoby, złe wyobrażać sobie lubi jako miłośnika cudzych męczarni, płaci mu nienawiścią i grozi zemstą. Poetka szuka obelgi tak ciężkiéj by uniesiony wściekłością duch niedoli wyrwał glob ziemski z niebios przestworza i zmiażdżył go na proch, a wtedy

Odwaga nasza od bytu męki was uchroni,
Was, co drzemiecie jeszcze w pomroce przyszłości
I skonamy, z wawrzynem tryumfu na skroni,
Żeśmy z człowiekiem Boga oddali nicości,.
Jakaż rozkosz po takim bezmiarze cierpienia
Ponad popioły życia, po nad kości bratnie,
Módz nareszcie wyrzucić okrzyk wyzwolenia:.
Niema już łez pod niebem, bo my tu ostatni!

(„Pascal")

Wrodzoną każdemu z nas właściwość uosabiania potęguje tradycya biblijna, pod którój wpływem wychowujemy się a mity klasyczne do reszty wypierają z głowy język oderwań. Groźna potęga żydowskiego Jehowy dreszczem przejmuje bojaźliwe umysły a dla poezyi stanowi niewyczerpaną skarbnicę majestatycznego piękna, zwłaszcza dla poezyi pesymistycznéj. Stary testament, to archiwum inkwizycyi, w którém co krok napotykasz wyroki ścinające krew w żyłach. Wygnanie z raju, Kain, Hiob, Sodoma kryją w sobie bezdeń dramatu, dotąd nieprzebraną. Korzystali z niéj mistrze rymu jak Milton, Wiktor Hugo, Byron, Ujejski. Potop, ta niepojęta kara za przestąpienie despotycznych rozkazów oburza zarówno tych, co weń naiwnie wierzyli, lecz surowego sędzię oceniali miarą miłości ewangielicznéj, jak i tych co w podaniu widzieli uzmysłowienie prostaczego sumienia. W śliczném mysteryum „Niebo i ziemia" Byron zapytuje niewyraźnie dla czego aniołom, synom nieba niewolno wybierać oblubienic z pośród cór śmiertelnych. Pani Ackermann daleko śmieléj złorzeczy niebu i do zarzutu złości dodaje hardy zarzut ślepoty. Tu tkwi właśnie zasadnicza różnica, między punktem widzenia artystycznym a myślicielskim. Poeta, lubujący się w tematach szerokich i motywach silnych, dobiera i opracowuje zdarzenia wstrząsające nerwy, nie pomny na ich sens filozoficzny; wieszcz-myśliciel łączy jedno z drugiem: prócz wyobraźni, którą nęci wielki obraz powszechnéj zagłady, działa w nim zmysł krytyczny, który w potopie widzi tylko symbol niezliczonych klęsk trapiących ludzkość. Trzęsienia ziemi, zarazy, posuchy, głody, wojny itp. „bicze Boże," wszystko co jest w Biblii i wszystko czego w niéj niema będzie ze stanowiska celowości jednakowo bezrozumném. Byron dopiero w nieśmiertelnym „Kainie" wzniósł się na wyżyny poezyi filozoficznéj, w tragedyi potopu jest jeszcze artystą.

Pogodna fantazya greka mniéj wątku nastręcza do ponurych rozmyślań, ale za to sama jedna, jedyną baśnią objęła cały ogrom ludzkiego przeczenia. Poezya hebrajczyków nasuwa zadumę pessy-

mistyczną, wielki myt o Prometeuszu jest téj zadumy świadomym wyrazem.

Prometeusz. Ile wspomnień budzi w nas to uroczyste imię, ile melodyj potężnych przypomina ten starożytny a wiecznie świeży, magnetyzujący akkord. Całe dzieje nieszczęśliwéj ludzkości od pierwszéj doby istnienia streściły się w nim. Grek, który tragikomedyą życia odmalował w czarownych legendach i na wsze czasy dał zmysłowe kształty najważniejszym jego momentom, wysilił swą twórczość by zawrzéć w symbolu Prometeuszowéj walki niespokojne, pełne udręczeń dążenie człowieka do ideału. Sformułował w nim zarazem całą swą etykę i wytknął cel, do którego droga tak obficie cierniami usłana. Światła i ciepła potrzeba ludzkości, tego co umysł rozjaśnia i serce ogrzewa, wiedzy i szczęścia! Czuł on, że gdzieś te skarby leżały ukryte, gdzież jeśli nie na Olimpie, u przedwiecznych jego mieszkańców, co samolubnie obchodząc się z człowiekiem, przywłaszczyli sobie całkowicie ów ogień, ku któremu daremnie wyciągamy dłonie. Ale człowiek-tytan zimna i ciemnoty znosić dłużéj niechciał. Zbuntował się i wykradł z wyniosłego bogów siedliska święty płomień. Niestety, krótko trwało szczęście świętokradzcy. Straszliwie ukarał go Zeus: przykuł bezbronnego do skały a sęp żarłoczny szarpie mu odtąd wnętrzności.

Harmonia w usposobieniu greków nie mogła pogodzić się z wieczną rozterką. Zrodziły ją w wyobraźni czasy burz i chaosu, kiedy życie społeczne hellenów nie było się jeszcze ukształtowało; z chwilą gdy ślepą grę żywiołów zastąpił ustalony byt państwowy i umysłowy, znalazł się rozjemca w osobie Eschylosa i Prometeusza z niebianami pojednał. Wszakże tych zatargów pierwiastkiem najznamienniejszym pozostał Prometeusz przykuty do opoki. Ludzie późniejsi, wykształceni już tylko na zwaliskach świata starożytnego jego pokojowych gustów nie dzielili a harmonii nie rozumieli. Cywilizacya dzisiejsza cierpi więcéj niż dawna i we wszystkiém snadniéj odkrywa stronę ujemną. To téż, chociaż pięknym jest wypieszczony w zbytku i równowadze grek, ale niemniéj chyba ciekawym zahartowany w zapasach ducha w katuszach myśli własnéj chrześcijanin. Jego rozdzierają na poły sprzeczne siły i namiętności i odbierają mu utoczone kształty ciała, któremi zachwycał się ateńczyk z jednéj bryły marmuru wykuty. Co dla inteligencyi greckiéj było przenośnią, w oświacie nowoczesnéj stało się dotykalną rzeczywistością. Prometeizm przeszedł poniekąd w osobny kierunek literatury nadobnéj a Prometeusz jest typem całego szeregu ludzi, męczenników ideału. Nieszczęsny syn Klimeny znalazł braci, acz młodszych, w Byronie, Shelleyu, Goethem, w Szekspirowskim Hamlecie, który męczy

się własną wyższością, w Heinem, Alfredzie de Musset, Flaubercie i innych. Eschylos nie z głębi własnéj duszy czerpał dla swego dzieła natchnienie, lecz z wzorów, jakich mu dostarczała alegorya, Faust i Manfred w osobistéj za wiedzą lub pięknem pogoni. Już nie słabe oceanidy, jak w znakomitéj grupie Edwarda Muellera, współczują ofierze zemsty bogów, lecz wszystkie jednostki wybrane. Wobec podwójnéj samowiedzy człowieka nowożytnego, badającéj własne wnętrze refleksyi, rozkładającéj każde uczucie analizy, dosyć jest raz rzucić okiem w zakazaną sferę ideału, by nazawsze popaść w tęsknotę za nim, czczość i niezadowolenie, by ustawicznie być pożeranym przez nieugaszone pragnienie, nie wiele znośniejsze od szponów i dziobu drapieżnego ptaka.

Po rozmaitych odmianach, jakich doświadczał typ Prometeuszowski, każdą świeżą mytu parafrazę bierzemy do rąk z obawą niesmaku i przesytu, cóż bowiem nowego da się o nim powiedziéć? Ackermanowa dowiodła niepospolitego talentu, wlawszy w poemat swój tyle siły i ogólnoludzkiéj miłości, że słuchamy jéj z dreszczem namaszczenia, jak się słucha organów kościelnych gdy powtarzają znaną nam pieśń skromnéj „mandoliny.“ Nadto wydobyła rys, którego dopatrzéć się mogło tylko żądne poświęceń serce kobiety, a który męczennika zazdrośnego olimpu opromienia świetniejszą jeszcze aureolą bohaterstwa. Poetka nie chce, by myślano o nim, że rozpamiętywa swój ból fizyczny i kładzie mu w usta żarliwą obronę.

Jeśli chłodne szczyty, które oblega burza
Dostrzegły jak strumienie łez do ich podnóża
Płyną po śnieżnéj szacie, oszukawszy oko:
Wy wiecie o tém głazy, ty twarda opoko,
Że źródło moich łez z głębiny duszy tryska,
Że nad ludzkością boleść mózgi me odurza,
Że nad bliźnimi litość serce moje ściska.

Ale nigdy nad własną mego ciała męką;
Te tu wnętrzności, Boga rozszarpane ręką,
Przepełnione współczuciem są dla bliźnich doli
Usidłanych przez losy w wieczną walkę krwawą.
Straszliwe widmo drażni źrenicę mą łzawą
Rój wielki klęsk, co biedne głowy ich okoli.
Ich męczarni bez końca obawa złowroga
Katusze me nieznośne co chwila odmładzą.
Moim prawdziwym sępem jest świadomość sroga
Ze nasion złego, które niegodziwość Boga
Rzuciła w ich krew—żadna nie wypleni władza.

Ale pociesza się ona, że wielki czyn spełnił swoje dzieło, Prometeusz przekaże nieukróconą odwagę wolnym, święta spuścizna

nie zaginie, rozum wzrasta w potęgę i kiedyś ludzie ośmieleni spytają pana swego: za co tyle nędzy, za co ta nienawiść i kaprys? Twój sędzia, samowiedza człowiecza, zbliża się; on ciebie nie rozgrzeszy, lecz wyprze się. Ach! jakie czyste tchnienie miłości i wesela przebiegające świat cały, upoi duszę w dniu, kiedy ofiara twoja, mniéj harda, niż wspaniałomyślna, zamiast oskarżać, zaprze się swego ciemiężcy.

Oto wizerunek p. Ackermann, jako poetki. Jakież są cechy wybitne, które warunkują jéj indywidualność w gronie innych wieszczów pessymistów?

Leopardi, smętny kochanek śmierci, którą ubóstwiał jako belistima fanciulla, z tęsknoty za którą usychał,—podobnym jest do owego pasterza, bohatera z jednego z jego poematów, co zazdrości swéj trzodzie że co dnia z nową rozkoszą wybiega na zielone łąki, że się nie nudzi ciągłym zabójczo prawidłowym wschodem i zachodem słońca, i jak on dni i godzin życia nie liczy. Umysł przejmuje trwogą i podziwém ta nieskończona i tak wierna sobie boleść; w obec któréj całe chóry śpiewaków nieszczęścia wydać się jeszcze mogą, namiętną apoteozą bytu. Nikt ze zrospaczonych tak bezwzględnie nie był odartym z pragnień i ideałów.

Dumny Byron wpadał nieraz w zwątpienie, lecz nie wszczepiał w ludzi pogardy dla życia. Była to dusza harda, nieznosząca jarzma. Jako Manfred nie chiał poddać się pod panowanie duchów i skonał niepodległy, jako Kain nie chciał zginać karku z dobrodusznym Ablem w uwielbieniu za krzywdy, które niesłusznie cierpiał. Wolność i sprawiedliwość, dwa ziemskie, humanitarne hasła królowały w jego uczuciach.

Heine zapijał robaka refleksyi najsłodszemi sokami życia a gdy ich brakło, karmił się ze szczególném upodobaniem głupotą i śmiesznością ludzką. Choćby więc przeznaczenie zesłało mu lata Matuzala, mógłżeby kiedykolwiek zaznać głodu.

Musset rwał obficie owoce z drzewa dobrego i złego—i nie tyle cierpiał na próżnię w sercu ile go trawiła jałowa walka między lubieżnością zwierzęcia a miłością serafa, walka, która się w obliczu jego wyryła.

Lecz mniema ona—jeśli myśliciel, którego sama natura wyniosła ponad czerń, nie wysnuwa podobnego wniosku, staje się dla świata pośmiewiskiem. Mistycyzm filozofów został wyszydzony przez

Ackermannową we wspaniałym poemacie szerszych rozmiarów p. t. „Pascal.“ Tutaj talent jéj dosięgnął zenitu.

Gdy Pascal rzucał Sfinksowi okrzyk zwycięstwa, dumny, że odgadł tajemnicę bytu—nie on, lecz potwór tryumfował, a padł za skały na ziemię, by go pozrzeć. Wtedy chrześcijanin nieustraszony, skupił całą siłę ducha i nie bacząc na buchające krwią rany, uderzył raz jeszcze na strasznego wroga z męztwem jakiego nigdy dotąd niewidziało słońce, czy teraz go pokonał? Bynajmniéj. Jak skała zimny i nieruchomy stoi przed nim Sfinks i urąga konwulsyjnym ciosom— dla czego? bo je wymierza nie rozum, lecz serce, lecz miłość, która wszystkiemu wierzy i na wszystko się zgadza. Gdy zwierzę skrzydlate zatapiało swe szpony w jego ciele, on bólu nie czuł ale wzrokiem wiary tonął w lazurze.

A jednak ten opętany religijnym obłędem prorok, dotykał kiedyś ziemi. Dzieje pamiętają jakąś nieznajomą, przed któréj pięknością skłonił głowę. Żarem namiętności zapłonęło serce. Musiała to być niezwykła kochanka, jeśli zdołała wzruszyć pysznego orła! Porwał on ją jak słabą gołębicę w obłoki, ale po to by ją zgubić. Nieszczęsna, jak ćma przywabiona światłem wśród nocy musnęła skrzydełkiem ogień i zgorzała. Ale on ocknął się z czarodziejskiego snu, wytarł go z pamięci, jako grzech śmiertelny, i całą myślą zwrócił się ku Bogu. Odtąd tylko niebios pokusy będzie słuchał.

Taką jest mniéj więcéj treść poematu. To samo opiewa druga część „Potopu“, pełna rzewnego płaczu nad sieroctwem ziemi, którą bezrozumne żywioły ogołociły z krasy. Gdyby cała wściekłość oceanu miała zburzyć tylko kilka odwiecznych wieżyc, które z podziwem widzimy dumnie jeszcze sterczącemi, zastarzałe prawodawstwa, te schronienia błędu i krzywdy, przesłaniające nam widnokrąg, a których same szczątki tyle rzucałyby cienia by na długo opóźnić rozkwit człowieczeństwa: natenczas wołalibyśmy morzu: śmiało, śmiało! szlachetném jest twe dzieło. Ale gdzie tam! Dla takiego drobiazgu miałoż-by z łożyska swego występować? Wszystko skazane na zagładę: przybytek światła i świątynie ciemności, zakrystya i pracownia uczonego, głębokie lochy i wyniosłe szczyty, z których witaliśmy postęp. O! stara ziemio, tyś nie zasłużyła zaprawdę na ten straszliwy kataklizm, ty, tak jeszcze płodna, ty, na któréj dosyć było jednego wyrazu: „wolność“ i „ojczyzna“, by wytrysło źródło heroizmu.... Co pomyślą niebiosa i gwiazdy, gdy ich promienie napróżno szukać będą wierzchołków, one, co się łudziły, że wiecznie do ciebie uśmiechać się będą: Jakiém okiem patrzyć będą na nagie lądy, bez kwiecia i zieleni, wyłaniające się z wód tam, gdzie się roztaczały twoje przepychy.

Tym małym skrótem nie możemy dać pojęcia o całéj piękności utworu. Zaznaczymy jeszcze dwa równie głębokie: „Wojna“ i „Nieszczęśliwi“, dwie łzami brzemienne skargi, tchnące najwyższą humanitarnością.

Raz jeden tylko poetka wyznaje swą niemoc w obec nieprzepartego uroku wiary, w wierszu p. t. „Pozytywizm“, gdzie z prawdziwie filozoficzną przenikliwością, odgaduje, jak trudno jest nie zakradać się myślą do zaryglowanéj przez jednostronną logikę nieskończoności. Po za tym wyjątkiem jest raczéj poganką niż chrześcianką. Zadawalnia się bóstwami ziemi: miłości, wiedzy, poezyi, muzyce składa całopalne ofiary i wielbi całym szeregiem elegij, niezrównanie wdzięcznych, w stylu klasycznym pisanych. „Hebe“, „Dwa wiersze Alceusza“, przypominające mu miłość dla Safony, „Lira Orfeusza“, „Pożegnanie z Poezyą“, „Odjazd“, „Do Alfreda de Musset“, „Lampa Herony“, „Róża“, są jak owe małe rzeźby z terakoty, wykopane z greckiéj ziemi, którym się dosyć napatrzyć nie można. Piękną parafrazę mętów erotycznych znajdujemy w „Endymionie“, oraz „Amorze i Hymenei“. Miłość uświęcona węzłem małżeństwa—to oaza na pustyni niedoli, kwiecista wyspa na morzu łez, którą poetka wszystkim wskazuje i zaleca, i któréj drogocennėm wspomnieniem sama żyje. Czar minionego szczęścia jest dla niéj na tym padole najcenniejszą relikwią. „Czara króla z Thule“ przedstawia obrazowo-tajemniczą moc wspomnień, a bólem rozdzierającym serce drga „In memoriam“, poświęcone zgasłemu przedwcześnie małżonkowi. Miłości nie oddała-by za żadne świata skarby. Gardzi nieśmiertelnością i odrodzeniem w niebie:

Na co mię w waszych wyżyn wabicie pomrokę,
Mnie, który jestem samą czułością, zapałem?
Moje niebo jest tutaj, otwarte, szerokie;
Więc tonę w niem duszą i ciałem. (*Paroles d'un amant*).

Dwa stopnie natężenia przechodzi pesymizm Ackermanowéj. To przybiera ona postawę hardéj i zrospaczonéj i płaci naturze tysiącem obelg za każde doznane w życiu rozczarowanie,—Bogu tysiącem „nie“ za każdą chwilę dawnéj wiary, to wpada w melancholią po zgonie klasycznéj pogody w chrześciaństwie i przypomina owe nimfy w pięknéj elegii Turgieniewa (Poezye w prozie), których wesołe pląsy i rozkoszny śmiech zmroził widok złocistego krzyża, połyskującego w dali. To wstydzi się gwiazdy, która jest co wieczór świadkiem jéj mozołów nad marnym rymem, i zapytuje „po co to wszystko?“ to jak Tyrteusz piorunującą wymową zagrzewa do boju ze złém i piętnuje mianem hańby religijną małoduszność.

Życie swoje porównywa ona do życia tych owadów, które schroniwszy się na końcu gałązki, w listku jakimś snują sobie delikatne przędziwo, ażeby się w niém zagrzebać. Samotność—mówi—jest moim listkiem; w niéj tkam sobie mój mały kokon poetycki (1).

Napoleon Hirszband.

---

(1) Nie będzie zbyteczną następująca wzmianka bibliograficzna: „Contes et poésies", wydane zostały, ku końcowi szóstego dziesiątka bieżącego stulecia, nakładem księgarni Hachette w Paryżu. „Poésies" (Premières poésies—Poésies philosophiques) wydała księgarnia Alphonse Lemerre w r. 1877, wreszcie „Poésies d'une solitaire" (Précédées d'une autobiographie), wyszły tym samym nakładem w r. 1882.

STARA KASIA.

FOTOGRAFIA Z NATURY.

Czy była kiedy młodą—niewiem. Zapewne być nią kiedyś musiała; ja jednak odkąd ją znałem a znałem blisko lat dwadzieścia, nie pamiętałem jéj inną. Robiła na mnie wrażenie zasuszonéj rośliny, która się już nie zmienia. Nie duża, z wypukłemi plecami, twarzą podłużną zafarbowaną suchym, ceglastym rumieńcem i załzawionemi oczami, chodziła zawsze prędko, drobnym truchcikiem, jakby się jéj ciągle śpieszyło a gdy mnie spotkała na ulicy, dawała nurka głową, co miało znaczyć ukłon i mówiła: kłaniam się *pięknie* wielmożnemu panu. Znała mnie bowiem z domu, gdzie bywałem dość często, u starego nauczyciela muzyki, Czecha rodem, ale od dawien dawna zamieszkałego w Krakowie. Ona także podobno była zkądś ze Szląska, od Białéj, co się przebijało więcéj w jéj ubraniu, niż w mowie. Ubierała się krótko a fałdzisto, zawsze w ciemne kolory i przepasywała czoło i gładko uczesane włosy wąskiemi aksamitnemi tasiemkami, co jéj nadawało trochę zakonny wygląd. I była téż rzeczywiście bardzo nabożna: należała do bractwa różańcowego, nosiła podobno na gołem ciele pasek świętego Franciszka a w każdą niedzielę i święto szła regularnie, jak zapisał, do OO. Dominikanów na nieszpory z dużą książką do nabożeństwa i wykrochmaloną chustką do nosa. To jéj nie przeszkadzało być wzorową służącą, wierną i przywiązaną jak pies a pracowitą jak mrówka. Dość powiedzieć, że od czasu jak przybyła do Krakowa, służyła ciągle w jedném i tém samém miejscu tj. u mego nauczyciela muzyki Gileczko. Przyszła do niego jeszcze za życia żony i wyniańczyła im dwoje dzieci Lucynkę i Karolka. Była niby to nazywało się do dzieci, ale przy tém i prała i gotowała i pomagała sprzątać w pokoju, a gdy Gileczkowa przeniosła się na cmentarz, poczciwa Kasia zastępowała sierotom matkę,

jak mogła i umiała. Wisus Karolek nie bardzo zgadzał się na to zastępstwo i nieraz na macierzyńskie napomnienia staruszki odpowiadał wywieszaniem języka albo przedrzeźnianiem. To téż Kasia nie miała do niego wielkiego serca i przepowiadała mu, że z niego niebędzie nic dobrego, ale za to do Lucynki przywiązała się tak, że do rodzonéj córki bardziéj nie można. Miałby się z pyszna taki, coby się ośmielił wyrządzić jaką krzywdę jéj pieszczotce. Nawet ojcu niepozwalała powiedziéć jéj marnego słowa. Bo téż Lucynka była dobra, łagodna—bez żółci, jak gołąbek, według wyrażenia się Kasi. Piękną, co prawda, nie była, tyle tylko, że oczy miała pogodne, niebieskie, jakby je kto z jasnego nieba wykroił i w twarzyczkę, niby szybki, wprawił. Kasia jednak w macierzyńskiém zaślepieniu nieprzypuszczała, żeby można być piękniejszą, jak jéj panienka i dziwiło ją, jak młodzi kawalerowie obojętnie przechodzili koło niéj na ulicy, jakby oczów nie mieli. A niechno który z nich pokazał się w ich domu, choćby przyszedł z najobojętniejszym interesem, naprzykład po nuty lub na lekcyą, wnet Kasia z takiéj przypadkowéj wizyty wysnuwała wnioski i domysły względem jego małżeńskich zamiarów i ledwie się drzwi za którym zamknęły—ona zaraz biegła do panienki z zapytaniami:

— No—cóż panienko?—a ten? jakże?—podobał się panience?—chciałaby panienka iść za niego.

Lucynka śmiała się pobłażliwie z tych zapytań, bo była rozsądną i wiedziała dobrze, że chociażby ona i chciała, to pewnie żaden z tych panów nie miałby ochoty żenić się z nią, co nie była ani piękną ani bogatą,—miała tylko tyle, co zarabiała lekcyami muzyki, a lubo zarabiała tyle, że nawet coś zaoszczędzić sobie mogła, choć Kasia utrzymywała, że panienka z takim sercem i z taką anielską dobrocią warta miljony, to Lucynka wiedziała dobrze, że żaden młodzieniec nie złakomiłby się na takie urojone miljony. Powtarzała to nieraz swojéj Kasi; ale Kasia niedała się tém przekonać i w każdym zjawiającym się w ich domu kawalerze upatrywała konkurenta i zasięgała zaraz o nim wiadomości zapomocą swego biura wywiadowczego to jest braci i sióstr Różańca świętego, stróżów, pokojówek, praczek, lokajów, co on za jeden, jakie ma utrzymanie, stanowisko itd. Na podstawie takich informacyi ja zostałem wykluczony przez Kasię z listy kandydatów, jako nie mający odpowiednich kwalifikacyj.

— To nie dla panienki—orzekła gdy się dowiedziała, że pisaniem zarabiam na moje utrzymanie i mogłem odtąd spokojnie bywać w domu starego muzyka bez obawy, abym był posądzony o małżeńskie zamiary.

Za to było wielu innych, na których liczyła, ale zwykle się tak zdarzało, że jak o którymś zebrała potrzebne wiadomości, z których się pokazało, że byłby zdatny na męża, konkurent niepokazał się wcale ku wielkiemu zgorszeniu Kasi, która nie mogła się dosyć naprzyganiać, jaka to teraz młodzież niestała i lekkomyślna,—takich konkurentów, którym się ani śniło starać się o pannę, przewinęło się nie mało. Kasia naliczyła ich coś ze trzydziestu.

Nareszcie zjawił się jeden, który utrzymał się dłużéj, niż inni i bywał nawet częstym gościem w domu. Był to akademik jakiś, co się uczył na doktora, a więc według orzeczenia Kasi, był w sam raz na męża dla jéj panienki. Była to niepozorna figurka, blondynek nie duży i wątły, ale cichy i stateczny i jak utrzymywała Kasia, dobrze mu z oczów patrzało. Przychodził w każdą niedzielę po południu ze skrzypcami w szkatułce i grywali po kilka godzin we czworo tj. on, Lucynka, jéj ojciec i jeszcze jakiś emerytowany urzędnik i passyjonowany do muzyki. Ten urzędnik grywał na altówce, akademik na skrzypcach, panna na fortepianie, a Gileczek, który umiał grać na każdym instrumencie, na jakim kto chciał, zastępował w tym kwartecie wiolonczelistę.

Z czasem akademik tak się wciągnął do domu, że nie czekał niedzieli, ale i w dnie powszednie przychodził często wieczorami i jak nie zastał ojca, to z panną grywali we dwoje duety. To wystarczało zupełnie, aby Kasia uważała go już jak zdeklarowanego konkurenta. To ją tylko niepokoiło, że młodzi zamiast się z sobą coprędzéj porozumiéć w kwestyi miłości, grali tylko i grali bez upamiętnienia.

— Po co tu mitrężyć czas daremnie—mówiła. Jak się kto ma oświadczyć, to się oświadczyć i nie robić długich ceregielów.

A gdy jéj Lucynka zrobiła uwagę, że wmawia w tego pana zamiary, których on ani ma w myśli, uparta Kasia niechciała w to uwierzyć, bo mówiła—jeżeli niema zamiarów, to po cóż chodzi?

— Lubi muzykę, więc chodzi—tłómaczyła jéj Lucynka. Przecież i sędzia chodzi także a Kasi nie przyszło na myśl posądzać go o żadne zamiary.

— E, to co innego—odpowiadała Kasia—sędzia stary i łysy, to go nikt o to nie posądzi, zresztą nie ma w domu nic lepszego od roboty, to niedziwota, że mu się chce rozrywki; ale ten młody, mógłby się przecież gdzieindziéj zabawić, bo mało to rozrywek mają młodzi panowie po kawiarniach, *tyjatrach*, nie żeby tu rzępolił naszemu panu na skrzypcach. A jeżeli to robi, to przecie nie dla kogo innego, tylko dla panienki. Toby ślepy namacał.

Lucynka z początku żartowała z tych domysłów staruszki, nieprzywiązując do nich żadnéj wagi, gdy jednak codzień słyszała cóś w tym guście, gdy Kasia znosiła jéj coraz to różne swoje spostrzeżenia mające niby dowodzić miłości pana doktora—(bo tak go już nazywała), gdy on sam coraz częstszemi wizytami zdawał się potwierdzać niejako domysły Kasi, a nareszcie gdy raz na imieniny przysłał jéj bukiet i nuty własną ręką przepisane, i ona w końcu musiała powiedziéć sobie w głębi duszy: a może téż...., i odtąd innemi już oczami zaczęła patrzéć na pana Hipolita,—już przyjście jego nie było jéj teraz obojętném, wyczekiwała go z niecierpliwością i wzruszeniem, stępanie jego na schodach przyśpieszało bicie jéj serca, a wejście do pokoju wywoływało żywe rumieńce. Jeżeli się czasem zdarzyło, że nieprzyszedł o zwykłéj porze, albo się przez parę dni nie pokazał, to sobie miejsca znaleść nie mogła.

Były to widoczne oznaki budzącéj się miłości, których jednak pan Hipolit zdawał się nieuważać, bo nie wpłynęło to zupełnie na zmianę jego postępowania. Chodził jak dawniéj regularnie co niedzielę na kwartety,—w dnie zwyczajne na tria i duety,—weszło mu to w zwyczaj i stało się niejako nałogiem, trzeba już było bardzo ważnéj przeszkody aby opuścił który wieczór. W chwilach zaś wolnych od grania, jeżeli rozmawiał z panną to albo o muzyce, albo o potocznych rzeczach. Nigdy rozmowa ich nieprzybrała czulszego charakteru, nigdy nieprzyszło mu na myśl żądać od niéj czegoś więcéj jak przyjaźni. Uważał ją jak siostrę, jak przyjaciółkę, nie przypuszczając wcale, żeby i ona mogła dla niego żywić inne uczucia. Lubił zarówno córkę i ojca, dobrze mu było w ich domu, bo mu zastępowali rodzinę, któréj już nie miał—i w tym stosunku pozostawał względem nich niezmiennie, co starą Kasię do desperacyi doprowadzało.

Z początku przypuszczała, że to z nieśmiałości, więc próbowała ośmielić go dając mu nieraz do poznania, jak mile widzianym jest przez panienkę. Robiła to bardzo oględnie, żeby nie wyglądalo, że się z nią narzuca. Duma jéj nie pozwalała na to, bo ona chciała, żeby się o jéj panienkę dobijano jak o skarb jaki i nieledwie na kolanach proszono o nią. Ale o ile mogła bez ubliżenia panience zdradzała przed nim jéj skłoność i życzliwość.

Akademik zdawał się być tém bardzo ucieszony, wdzięcznym był za życzliwość, ale ani na włos nie posunął się daléj w stosunku do panny. To już Kasię zaczęło gniewać na dobre.

— Na co on jeszcze czeka?—pytała niezadowolniona, a gdy jéj Lucynka wytłómaczyła, że pan Hipolit czeka może na to, aż zda egzamina, odpowiadała jéj zawsze.

— Przecież do kochania niepotrzeba *agzaminu*. Nikt tu nie wymaga, żeby się od razu żenił, ale niech się przynajmniéj oświadczy. żeby się już raz wiedziało, czego się trzymać, bo jak nic, to niech innym po próżnicy miejsca nie zabiera. A rozumie się. Nie jedenby może miał także szczerą intencyą do panienki, ale jak widzi kawalera jaki taki w domu, to nie ma śmiałości.

Rada nierada jednak musiała uzbroić się w cierpliwość i czekać razem z panną na ten *agzamin*. Ale mijały lata, a o tym egzaminie ani słychu. Co więcéj - dowiedziała się za pomocą swojéj tajnéj policyi, że kawaler w ostatnim roku dla braku funduszów całkiem zaniedbał medycynę a wziął się do dawania lekcyj, które mu jakie takie dawały utrzymanie.

To odkrycie wytlómaczyło całkiem jego dwuznaczne postępowanie. Teraz już było jasne, dlaczego się nie oświadczał. Jakże się biedaczysko miał oświadczyć, skoro nie był niczém, nie miał nic, nawet nadziei lepszéj przyszłości. I dziwna rzecz, to odkrycie zamiast odstręczyć od niego pannę, (no i Kasię rozumie się, bo Kasia podzielała we wszystkiém uczucia panienki), zwiększyło jeszcze jéj sympatyą dla pana Hipolita. Współczucie spotęgowało miłość. Kobiety, gdy kochają, nawet w błędach i wadach ukochanych umieją odszukać dobre strony. Tak i tu się stało. Ani jednéj ani drugiéj nie przyszło na myśl posądzać młodego człowieka o niechęć do nauki, o brak energii, wytrwałości, litowały się tylko nad jego położeniem i podziwiały jego szlachetność, że gwałt zadawał sercu, krył się ze swemi uczuciami, niechcąc pannie zawiązywać losu swoją miłością a w tém, że nieprzyznał się wcale przed niemi do swego ubóstwa i do tego, że był zmuszony porzucić nauki, upatrywały szlachetną ambicya i hart duszy. Odtąd i Kasia i Lucynka podwoiły dla niego swoją serdeczność i życzliwość, jakby mu tém chciały osłodzić jego położenie. Częściéj go teraz zatrzymywano to na kawie, to na kolacyi, a największa szklanka i najlepsze kąski zawsze się jemu dostawały. Ile razy Kasia *upitrasiła* jaki smaczny placuszek albo babkę, albo leguminkę jaką, zawsze porządną porcyą z tego zawijano w papier i posyłano panu akademikowi niby dla spróbowania. Poczciwe niewiasty niepoprzestawały na tych drobiazgowych oznakach swojéj troskliwości; myślały one nad czemś ważniejszém. i nieraz odbywały ze sobą jakieś tajne narady, konszachty, których rezultat był taki, że jednego dnia pan Hipolit odebrał pocztą list z pięcioma pieczęciami, w którym znajdowało się trzysta reńskich i dopisek bezimienny téj treści: pożyczka na czas nieograniczony dla dokończenia medycyny.

Pan Hipolit odebrawszy w tak tajemniczy sposób zapomogę długo łamał sobie głowę, ktoby mógł być owym nieznajomym dobroczyńcą. Ani na chwilę nie przyszło mu na myśl, żeby to mogła być Lucynka, raz dla tego, że był pewnym, iż niewiedziała o tém, że porzucił medycynę, bo przez wstyd nieprzyznał się przed nią do tego. a powtóre że nieprzypuszczał, aby ona, utrzymująca się sama z lekcyj, mogła zdobyć się na taką sumkę. Prędzéj podejrzywał o to swoję sąsiadkę, jakąś wdówkę, która mieszkała obok niego a która często spotykając go czy to na schodach, czy na ulicy obrzucała go tak zalotnemi spojrzeniami, że mu się aż gorąco robiło od tego. Pulchna ta wdówka miała tę samę obsługaczkę, co on; miała także kuzynka medyka, który u niéj bywał częstym gościem a który był jego kolegą; było więc prawdopodobném, że od nich mogła się dowiedzieć o jego położeniu i chciała mu przyjść z pomocą.

Hipolit miał na tyle ambicyi, że wsparcia, jałmużny nie byłby przyjął od nikogo; ale pożyczką, ofiarowaną mu do tego w tak delikatny sposób, nie mógł pogardzić, zwłaszcza, że ona mu dawała sposobność ukończenia studyów. Przyjął więc tę pomoc i zabrał się z zapałem do nauki. To mu jednak nie przeszkadzało myśléć dość często o powabnéj protektorce swojéj; tajemniczy związek, który ich łączył ze sobą, podnosił jeszcze więcéj jéj urok w jego oczach. Niby się nie znali, a jednak znali się dobrze. Dla młodego człowieka taki stosunek niezwykły był niesłychanie ponętny, bo działał przez imaginacyą na serce, sztucznie je rozpalał i pociągał. Ile razy spotkał teraz swoję sąsiadkę, a miał sposobność spotykać ją dość często, nieraz nawet na korytarzu, w ranném negliżyku, w którym jéj było tak do twarzy—płonął wstydliwie, jak dziewczyna, co jéj widocznie się podobało, bo filuternym uśmiechem odwzajemniała się za te uczucia, jakie w nim wzbudzała.

Taka znajomość niby z bliska a z daleka nie mogła trwać długo, mało potrzeba było, aby przekroczyła granicę nieśmiałości z jednéj a względów przyzwoitości z drugiéj strony. Raz on przechodząc koło niéj, mimowiednie sięgnął rękę do kapelusza i ukłonił się, ona go o coś zapytała i znajomość już gotowa. Z czasem przybrała ona wyraźniejszy charakter, więcéj realny, bo w parę dni potém pan Hipolit przekroczył próg téj świątyni, w któréj kryło się jego bóstwo—nadobna wdówka.

Przy téj pierwszéj wizycie napomknął coś o jéj dobroci i swojéj wdzięczności, ale zamknęła mu odrazu usta, oświadczając, że nie cierpi wdzięczności, bo to jest najlichszy gatunek uczucia, jaki mężczyzna ofiarować może kobiecie, że wolała-by być prześladowaną z nienawiści, niż kochaną z wdzięczności, i dla tego prosi go, aby

między niemi o wdzięczności nigdy mowy nie było, że to, co zrobiła dla niego, zrobiła wcale nie dla zyskania jego wdzięczności.

Mówiąc to, miała na myśli swoje poprzednie względy, któremi zaszczycała go, jakkolwiek nieznajomego. Akademik jednak inaczéj sobie to wytłómaczył i stosując się do woli swojéj protektorki nie wspominał już nigdy w rozmowach z nią o wdzięczności i nie wątpił jednak już teraz, że to ona, a nie kto inny tak serdecznie opiekuje się jego losem.

Nie zadługo miał sposobność ponownie się przekonać, że się nie pomylił w domysłach swoich. Oto dla przygotowania się do egzaminów potrzebował kilku dzieł medycznych. Wartość ich wysoka przenosiła jego fundusze, pożyczyć zaś ich nie mógł, bo koledzy jego także tych dzieł do nauki potrzebowali. Brak tych książek opóźniał znacznie jego przygotowania do egzaminów, do których mu tak pilno było, bo chciał-by się był teraz odbyć z niemi jaknajprędzéj. Trapił się tém więc bardzo; gdy w tém w dniu swoich imienin otrzymuje jakąś paczkę, a w niéj... wszystkie te książki, które mu były potrzebne. Teraz już nie wątpił, że nikt inny, tylko jego nieoceniona wdówka mogła zrobić mu tę wielką przysługę. Wyczytała mu z twarzy zmartwienie, wypytała się prawdopodobnie kuzyna o powód i co tchu spełniła jego życzenia. Taka troskliwość wzruszyła go do głębi. Nie śmiał dziękować jéj za to, bo mu zakazała mówić o wdzięczności, ale uczucie jego dla niéj spotęgowało się niesłychanie. Rozkochał się w niéj na dobre, i wszystkie chwile wolne od nauki przepędzał u niéj. Cieszyło ją to widocznie i nieszczędziła mu oznak wzajemności.

Rozumie się, że w takich warunkach, wizyty jego w domu nauczyciela muzyki przerwać się musiały. Zapomniał o kwartetach, duetach i po dwa trzy tygodnie nieraz niepokazał się u dawnych znajomych. Lucynka cierpiała bardzo z tego powodu, a z nią razem i Kasia także; ale obie tłómaczyły go i pocieszały się tém, że się uczy, że jeżeli się niepokazuje, to dla tego, aby przyśpieszyć wspólne szczęście.

Nieraz wieczorem stara Kasia dla przekonania się przechodziła koło domu, w którym mieszkał pan Hipolit, a skoro zobaczyła światło w jego oknie, biegła co tchu do panienki, aby jéj powiedzieć:

— Panienko! siedzi kamieniem i uczy się.

A Lucynie serce rosło w piersiach na tę wiadomość, bo wierzyła, że to dla niéj tak się męczy. To światło, co oświecało jego okno, oświecało zarazem jéj życie, jéj duszę,—nie cieszyła-by się pewnie tak bardzo, gdyby wiedziała, że nader często w oświeconym

lampką pokoju było pusto, a pan Hipolit trawił długie godziny w towarzystwie zalotnéj wdówki.

I to prawdopodobnie było przyczyną ociągania się jego z egzaminami. Odkładał je z miesiąca na miesiąc, usprawiedliwiając się sam przed sobą najrozmaitszemi przyczynami, to potrzebą chwilowego odpoczynku dla wzmocnienia zdrowia, nadwątlonego ślęczeniem po nocach, to niedostateczném wystudyowaniem tego lub owego przedmiotu, to wreszcie brakiem funduszów na opłatę taksy egzaminów, która wynosiła dość znaczną kwotę. O téj ostatniéj przeszkodzie dowiedziała się Lucynka za pośrednictwém swojéj Kasi i niebawem postanowiła temu zaradzić, wysyłając znowu pocztą potrzebną sumę, z życzeniem, aby mu Pan Bóg poszczęścił przy egzaminach. Sumę tę zebrała w ostatnich dwóch miesiącach, w których przyjęła dwa razy tyle lekcyj, co dawniéj. Obarczyła się niemi nad siły prawie, bo uważała sobie za obowiązek pracować teraz ile możności, skoro on także męczy się, aby dojść do upragnionego celu. Odmawiała sobie wszystkiego, aby więcéj zaoszczędzić, pocieszając się tą myślą, że każdy zaoszczędzony grosz—to cegiełka do ich wspólnego szczęścia. Wiedziała, że on nic nie ma, że dopóki nie zdobędzie sobie stanowiska, nie wyrobi sobie praktyki, z któréj będzie mógł zapewnić utrzymanie jéj i sobie, będą musieli żyć z jéj oszczędności. Składała więc skrzętnie grosz do grosza, przeznaczając część pieniędzy na urządzenie mieszkania, na sprawienie mebli, jaką taką wyprawkę, a resztę na utrzymanie. Wystarczyć to mogło na czas jakiś, bo przez kilkanaście lat pracy zebrała przeszło trzy tysiące guldenów. W ostatnich zaś miesiącach, ponieważ pracowała więcéj i płacono jéj lepiéj, zebrała tyle, że mogła bez naruszenia kapitału, złożonego w kasie oszczędności, posłać panu Hipolitowi potrzebną sumę na opłatę egzaminów. Oprócz pieniędzy posłała mu serdeczne życzenia, aby mu się poszczęściło, a oprócz życzeń, posyłała co dzień gorące modlitwy do Boga, aby się jéj życzenia ziściły,—Kasia na tę samę intencyą odprawiła nowennę do serca Jezusowego i suszyła środy i piątki. Obie kobiety wyczekiwały tego egzaminu z niepokojem, który się jeszcze więcéj spotęgował, gdy się ostatecznie dowiedziały o dniu, w którym egzamin ten miał się odbyć. Na trzy dni przedtém prawie nie jadły, nie spały, tylko modliły się.

W sam dzień egzaminu pan Hipolit, który już od miesiąca nie był u nich wcale, zjawił się we fraku, białym krawacie, w czém, jak się wyraziła Kasia, było mu nadzwyczaj do twarzy. W tym świątecznym stroju, z twarzą bladą trochę, może z niewyspanych nocy, może ze wzruszenia przed egzaminem, wyglądał tak jakoś uroczy-

ście, poważnie, że obie patrzały na niego z pewnym respektem i nieśmiałością, jak na coś nadzwyczajnego a radowały się w duszy, że przyszedł do nich jakby po błogosławieństwo i życzenie szczęścia. Było to złudzenie także, bo pan Hipolit nie myślał o tém wcale. Przyszedł, bo mu było po drodze, bo czuł pewne wyrzuty sumienia, że tak od jakiegoś czasu zaniedbał swoich dobrych znajomych, a szło mu także o to, aby się przed nimi pochwalić, że przecież raz już siada do tego egzaminu, który tak przeciągał z roku na rok, że go aż wstyd było; a wreszcie był jeszcze jeden powód, który go tutaj właściwie zapędził: oto idąc na egzamin, spostrzegł po drodze, że parę guzików u fraka nadto mu się obluzowały i wisiały, prawie na jednéj nitce, a że miał jeszcze godzinę blisko czasu, więc wstąpił poprosić panny Lucyny o przyszycie. Lucynka dopełniła téj czynności rękami drżącemi ze wzruszenia i szczęścia. Cieszyło ją, że może mu choć tém przysłużyć się w tak uroczystéj chwili, że ostateczne uzupełnienie toalety na ten ważny akt w życiu jéj rękom powierzył, i była mu wdzięczną w duszy niesłychanie za ten dowód zaufania z jego strony. Zdawało się jéj, że on już teraz całkiem do niéj należy, że wyprawia go z domu prawie jak żona męża. To przekonanie dodało jéj tyle śmiałości, że nie tylko mu guziki przyszyła, ale odważyła się nawet poprawić mu krawat, który się przekrzywił trochę i podała mu grzebień własny, aby sobie włosy zburzone przyczesał. Chodziło jéj o to, żeby się ludziom ładnie zaprezentował.

Kasia także ze swojéj strony pomagała jak mogła: ona nawlekała igłę do światła, bo panienka ze wzruszenia nie mogła trafić nitką w uszko, odczyściła mu cylinder, że się świecił jak lustro i pomagała mu wdziać okrycie, gdy już miał wychodzić. Obie niewiasty wyprowadziły go aż na schody, życząc mu wszelkiéj pomyślności, a gdy już był na pierwszém piętrze, staruszka jeszcze wychyliła się przez poręcz, aby mu powiedziéć:

— Niech tam Pan Bóg da panu doktorowi jak najlepiéj.

Te kilka godzin, przez które miał trwać egzamin, przepędziły biedaczki w śmiertelnéj trwodze i niepokoju, wzywając na pomoc dla zdającego egzamin i Pana Boga i Pana Jezusa i Matki Boskiéj i wszystkich ważniejszych świętych. A kiedy te kilka godzin, które dla nich wydawały się strasznie długie, bo je liczyły przyśpieszonemi uderzeniami serca, przeszły nareszcie,—z natężoną uwagą nasłuchiwały i z zapartym oddechem w piersiach wyczekiwały powrotu pana Hipolita. Każdy szmer na schodach, każde stuknięcie ruszyło je z siedzenia, bo zdawało im się, że już idzie; Kasia kilka razy wyglądała do sieni zobaczyć, czy to nie on; ale nie. Przechodziła szwaczka z trzeciego piętra, wracająca od roboty, służąca z wo-

dą, druga służąca na strych wieszać bieliznę, wreszcie i sam Gileczek powrócił do domu, a pana Hipolita jak nie widać tak nie widać. Śmiertelna trwoga zaczęła ogarniać obie niewiasty, z powodu tego spóźnionego powrotu; nie śmiały głośno przed sobą wypowiadać swoich domysłów; ale z jednéj i drugiéj przychodziło na myśl, że to nic innego, tylko musiał mu się niepowieść ów egzamin, i dla tego się nie pokazał. Kiedy latarnie już zaczęto zapalać na ulicach, domysły te zamieniły się w pewność i Kasia pierwsza odważyła się głośno powiedziéć:

— Pewnikiem jak amen w pacierzu te heretyki profesory uwzięli się na niego, żeby nie zdał tego agzaminu.

— Ale dla czego nie przyszedł—narzekała Lucynka.

— Bo chłopiec ma ambicyą, to go wstyd biedaka.

— Byłybyśmy mu wyperswadowały, rozerwały go trochę, pocieszyły.

— A może-by pójść po niego panienko?

Lucynce oczy zajaśniały żywiéj na te słowa i spójrzeniem pełném wdzięczności podziękowała za nie Kasi; to też ta widząc, jak jéj zamiar przypadł do gustu panience, zarzuciła co prędzéj derową chustkę na siebie i pobiegła do mieszkania p. Hipolita.

Ale w oknie u niego było ciemno i drzwi zastała zamknięte. Czekała może z godzinę w bramie i doczekać się go nie mogła. Zobaczyła tylko jego posługaczkę, jak wchodziła do kamienicy z paką ciast i dwiema butelkami wina pod pachą. Kasia znała tę posługaczkę, ale jéj nie lubiła, co była nałogową i siedziała na wiarę z jakimś gachem. Ale teraz z potrzeby pierwsza zagadała do niéj, pytając, czy nie wié, gdzie jest pan Hipolit.

— A jest u mojéj pani. Właśnie niesę dla nich te przysmaki, bo to dziś pan nasz po egzaminie, to oblewają tę uroczystość.

— Cóż to za pani?— spytała Kasia zaniepokojona trochę.

— A kto ją ta wié, co ona za jedna. Różnie ta o niéj mówili ludzie; ale teraz się ustatkowała, skoro pan Hipolit oświadczył się o jéj rękę.

— Oświadczył się, on?—to być nie może— zawołała Kasia głosem takim, jakby ją kto w bolące miejsce uraził.

— Cóż znowu gadacie, czy ja to nie mam oczów i nie widzę, co się dzieje. Przecież to oni nie od dzisiaj romansują ze sobą i sama na własne uszy słyszałam, że się pobierą, jak tylko mój pan egzamina pozdaje.

Gdyby wieża maryacka była się jéj zwaliła na głowę, nie byłoby to sprawiło większego bólu i zamętu, jak ta wiadomość o małżeństwie. Biednéj kobiecinie zdawało się, że jéj to głowę rozsadzi,

bezwiednie objęła ją obiema rękami, żeby się nie rozleciała w kawałki, jak stary czerep, w oczach się jéj zaćmiło i zatoczyła się jak pijana na ścianę.

— Czyżcie chciała czego od niego?—spytała ją posługaczka—może-by go zawołać?

— Nie, nie, nic pilnego. Przyjdę jutro—odrzekła śpiesznie, bo się przestraszyła na samą myśl, żeby musiała się spotkać oko w oko z człowiekiem, co tak pokrzywdził jéj panienkę. Czuła to, że mogłaby ją krew zalać z oburzenia. To też powtórzyła jeszcze co prędzéj:

— Nie, nie, nie wołajcie go.

— Racya... na co im przeszkadzać, niech sobie gołąbeczki gruchają — rzekła z dwuznacznym uśmiechem posługaczka i poszła na górę.

Kasia została pod bramą, oparta o ścianę, zapatrzona w ziemię i kiwając smutnie głową, powiedziała z głębokiém westchnieniem:

— Biédna moja panienka! — i łzy strugą polały się jéj po twarzy.

Złamana, przygnębiona boleścią zawlekła się powoli ku domowi.

Szła krok za krokiem leniwo, bo jéj nogi ciążyły jak ołów, a jednak zaszła jeszcze prędzéj, niż chciała. Rada-by była w nieskończoność odwlec tę chwilę, w któréj przyjdzie jéj stanąć przed panienką, bo co jéj powié? Całéj prawdy powiedziéć nie śmiała, a kłamać nie umiała nigdy, szło jéj to tak niezręcznie. Skłamać jednak trzeba było koniecznie, bo taka wiadomość mogła-by na miejscu zabić jéj panienkę. Wiedziała dobrze, co jéj się działo, gdy się o tém dowiedziała, a cóż dopiero taka wątła i delikatna istotka. Powiedziała jéj więc, że pana Hipolita nie było w domu.

— Bo może Kasia nie stukała mocno, on tam pewnie zamknął się, może mu się słabo zrobiło. Trzeba było się dobijać.

— Ależ dobijałam się panienko; ale mi posługaczka powiedziała, że wyszedł.

— I nie przyszedł do nas. Żeby sobie aby co złego nie zrobił—mówiła trwożliwie.

— E, cóż też to panience się zwiduje — odrzekła nieco ostro nawet, bo ją oburzało, że Lucynka trapi się o takiego niegodziwca, który nie wart tego.

— A cóż sobie Kasia myśli. On taki ambitny, jak zacznie przybierać do głowy, to kto wié, do czego by go mogło doprowadzić.

— O! niech ta o to panienkę głowa nie boli. Panowie tam umią się pocieszać. Pójdą sobie do piwiarni, zjedzą dobrze, wypiją jeszcze lepiéj i pociecha gotowa.

— Fe, Kasiu, co się Kasi stało? Kasia nigdy taką nie była— odezwała się Lucynka, z bolesnym wyrzutem.—To dla tego, że on teraz nieszczęśliwy, Kasia nie ma litości dla niego.

— Ale mam, mam panienko—mówiła zmiękczona tym wyrzutem starowina i całowała panienkę po rękach na przeprosiny, tylko mi żal, że się panienka tak niepotrzebnie trapi.

— On się tam więcéj trapi, moja Kasiu. Trzeba, żeby Kasia zaraz jutro rano poszła dowiedziéć się co z nim słychać. Zaraz z rana, jak Kasia po bułki pójdzie. Dobrze? nie zapomni Kasia.

— Ale nie zapomnę, nie zapomnę — uspokajała ją staruszka, choć sama bardziéj jeszcze potrzebowała uspokojenia, bo ile razy spójrzała na swoją pieszczotkę, to się jéj serce krajało z żalu, gdy sobie pomyślała, co to biédne dziewczątko będzie cierpiéć, gdy się dowié o wszystkiém. Łamała sobie głowę nad tém, jak jéj to powiedziéć, jak przygotować ją do wysłuchania prawdy. Na drugi dzień, na trzeci będzie można jeszcze cóś wymyśléć, że chory, albo zajęty, ale w końcu trzeba będzie przecież powiedziéć jéj, jak się rzecz ma właściwie. A wtedy co się z nią stanie? Staruszka truchlała na tę myśl, całą noc oka nie zmrużyła, męcząc się nad wynalezieniem jakiego sposobu, aby uniknąć téj strasznéj ostateczności i nie znalazła żadnego. Dopiero przy rannym pacierzu, kiedy mówiła: i odpuść nam nasze winy, przyszła jéj nagle myśl, jak objawienie, zrzucić pychę z serca i iść do tego przeniewiercy, roztrząsnąć mu sumienie i prosić, żeby nie robił panienki nieszczęśliwą. Kosztowało ją to bardzo wiele, ale nie było innéj rady, tu szło o szczęście, a może o życie jéj najdroższéj panienki, nie można było wahać się i zwlekać. To téż zaraz rano wybrała się cichaczem z domu w tym celu. Po drodze wstąpiła do kościoła, wysłuchała całéj mszy świętéj i modliła się tak gorąco, jak nigdy może, aby jéj się udało. Liczyła wiele na to, że skoro mu odkryje, co panienka dla niego robiła (bo szła z mocném postanowieniem zdradzenia téj tajemnicy wbrew zakazowi Lucynki), to chyba-by serca nie miał, żeby go to nie wzruszyło, a skoro tylko nawróci się do niéj i ożeni się z nią, choć-by nie kochał jéj nawet tak bardzo, to była najmocniéj przekonaną, że ją będzie musiał pokochać, jak pozna z bliska, co to za anioł, jakie to serce poczciwe i zacne. Tak sobie rozumowała staruszka i szła pełna najlepszych nadziei do mieszkania pana Hipolita. Nie zastała go jednak już w domu i od obsługaczki jego dowiedziała się, że właśnie co wyjechał na kolej, bo jedzie do rodzinnego miejsca po metrykę i papiery, co mu potrzebne będą do ślubu.

Kasia tak była nieprzygotowaną na podobną wiadomość, która wszystkie jéj plany pokrzyżowała, że stanęła jak głupia, wytrzesz-

czyła bezmyślnie oczy na mówiącą i zbladła i słowa przemówić nie mogła. Dopiero gdy obsługaczka powiedziała jéj, że jeżeli ma pilny interes do jéj pana, to może go jeszcze na kolei przydybać, bo do odejścia pociągu jeszcze kawał czasu, odżyła biedaczka, odetchnęła swobodniéj i pocwałowała co tchu na kolej.

Trafiła na czas, bo nawet kasa jeszcze nie była otwarta, a pan Hipolit z torebką, przewieszoną przez ramię, przechadzał się zamyślony w przedsionku dworca. Kasia przeciskając się przez gromadę posługaczy, którzy tamowali wejście, zbliżyła się do niego i zastępując mu drogę, odezwała się głosem stłumionym, bo go tamowało wzruszenie.

— Sługa pana *komsyliarza.*

Podniósł głowę do góry.

— A! Kasia!—odezwał się zmieszany—a ty tu co robisz?

Nie myślała odpowiadać mu na to pytanie, bo wewnątrz niéj wszystko się teraz burzyło, gotowało, nie wiedziała sama od czego zacząć. Wreszcie patrząc na niego surowym wzrokiem i kiwając głową rzekła:

— Czy się to godzi, czy się to godzi tak robić, panie komsyliarzu.

— Co takiego? — spytał zdziwiony, nie rozumiejąc o co jéj chodzi.

— To panienka już nie zasłużyła sobie, żebyś pan po tym egzaminie przyszedł chociaż powiedziéć jéj: Bóg zapłać.

— Nie miałem czasu być wczoraj u was, a dziś, jak widzi Kasia, jadę.

Nie uważała na jego usprawiedliwienie i mówiła daléj:

— A komu to pan komsyliarz ma do zawdzięczenia, że wyszedł na człowieka, jeżeli nie jéj, kto panu dawał na edukacyą, na książki, na egzamin.

— A Kasia zkąd wié o tém?—spytał żywo.

— Jak nie mam wiedziéć, skora ja to wszystko nosiłam na pocztę własnemi rękami.

Chwycił ją za rękę i wpatrując się w nią z przerażeniem i badawczo, jakby chciał zajrzeć jéj do dna duszy, zawołał:

— Co Kasia mówi? jakto? więc to panna Lucyna, nie tamta? Ależ to było-by okropne, potworne.

Ostatnie słowa adresował w myśli do pięknéj wdówki, bo nie daléj jak wczoraj, kiedy zaklinał ją, aby mu się przyznała, czy to ona była tą tajemniczą dobrodziejką jego, co mu pomogła ukończyć studya, przyznała się do tego, z tak dobrze udaną skromnością, że byłby przysięgał, iż mówi prawdę, a tymczasem teraz dowiadywał

się czegoś innego, nie wiedział komu też wierzyć. Odciągnął staruszkę na bok i zaczął ją rozpytywać się o różne szczegóły, które mu opowiadała na pół z płaczem, bo nie mogła mówić bez rozrzewnienia o dobroci i skrytych cierpieniach swojéj panienki. Pan Hipolit słuchał jéj wzruszony, z oczyma spuszczonemi ku ziemi, nachylony ku niéj, jak spowiednik, a im więcéj słuchał, tym więcéj odsłaniała mu się piękna dusza, szlachetny charakter panny Lucyny, tym wyżéj bolał nad tém, że nie poznał się na jéj cichéj miłości, nie umiał jéj odczuć i ocenić. Ile razy Kasia chciała przestać, bojąc się, czy nie za wiele powiedziała, ściskał zaraz jéj spracowaną rękę i prosił, by nic nie taiła przed nim, a gdy skończyła, rzekł:

— Bogu dzięki, że się o tém dowiedziałem jeszcze dość wcześnie, bo bym sobie to całe życie musiał wyrzucać. O jaki ja byłem niedomyślny.

Potém nagle zmieniając ton spytał:

— Czy panienka już wstała? — ubrana?

— O! zapewne już.

— Niech Kasia wraca do domu, ja tam niezadługo będę.

— Więc pan komsyliarz już nie odjedzie?—spytała ucieszona z żywą radością w twarzy.

— Teraz nie mam już powodu. Za godzinę będę u was.

— Tylko przed panienką nie trzeba nic mówić, że tu byłam co mówiłam.

— Więc nie ona Kasię przysłała?

— Zkądże znowu? Ona by umarła z żalu, a nie zrobiłaby tego. Pan doktór nie zna jéj jeszcze, co to za charakter.

— Więc dobrze. Powiem jéj, że od kogo innego przypadkiem dowiedziałem się, że naprzykład urzędnik z poczty zdradził mi tajemnicę z temi listami.

— Niech Bóg broni—niech Bóg broni—upominała go staruszka, niech się pan nawet nie zdradzi z tém, że się domyślasz czego, bo byś jéj pan popsuł całą przyjemność.

Kiedyś, późniéj—to może.

Już miał odchodzić, kiedy przytrzymała go za połę i nachylając się ku niemu odezwała się z nieśmiałością:

— I niech pan nie wspomina nic przed nią o tamtéj.

Pan Hipolit się zaczerwienił po same uszy.

— Więc Kasia wie o tém?

— Ja wiem; ale ona nie wie o niczém. Niech się nigdy nie dowie, bo by ją to zmartwiło, niech myśli biedaczka, że tylko ona jedna.

Nie śmiała dokończyć; ale ją zrozumiał dobrze, uścisnął jéj rękę z wdzięcznością i pobiegł w miasto. Śpieszno mu było do nadobnéj wdówki, bo chciał coprędzéj wytłómaczyć się z pomyłki, któréj stał się ofiarą, a do któréj ona przyczyniła się w części swojem postępowaniem. Nie myślał robić jéj żadnych wyrzutów z tego powodu, chciał tylko usprawiedliwić się, że powziął dla niéj uczucie na podstawie wdzięczności, do jakiéj czuł się obowiązanym, gdy jednak teraz przekonał się, że nie ma dla niéj żadnych obowiązków wdzięczności, tym samym i ona do miłości jego nie może rościć sobie żadnego prawa. Układał sobie przez drogę całą tę obronę swego postępowania, przygotował nawet replikę na możliwe zarzuty, bo wiedział, że wdówka nie zgodzi się tak łatwo na zerwanie, był przygotowany na spazmy, płacze, do których skłonną była. Miał próbkę tego dziś rano przy pożegnaniu, jak się zanosiła od płaczu, wieszała na jego szyi, choć się tylko na parę tygodni rozstawać mieli. Teraz czekały go stokroć gorsze sceny. Dałby wiele za to, aby mógł uniknąć tego ostatniego spotkania, ale konieczność, sumienie nakazywały mu iść tam. Chciał skończyć godziwie z jedną, aby z czystém sumieniem mógł stanąć przed drugą, która miała stokroć większe prawa do jego miłości i wypowiedziéć jéj uczucia swoje.

Z pewném więc zakłopotaniem zbliżał się do mieszkania wdowy i doszedłszy do drzwi namyślał się chwilę czy wejść czy nie wejść. W ostatniéj chwili zabrakło mu odwagi. Gdy w tém doleciał do jego uszów wesoły śmiech i odgłos pocałunków. Uszom własnym nie wierzył, podniósł oczy na numer drzwi, czy się przypadkiem nie pomylił, tak mu się to nieprawdopodobném wydawało, bo przecież przed godziną zostawił ją tonącą we łzach, zrozpaczoną. To chyba nie ona—pomyślał sobie, i dla przekonania się otworzył nagle drzwi i zobaczył pulchną wdówkę w negliżyku, w tym negliżyku, w którym jéj tak było do twarzy, spoczywającą w objęciach jakiegoś nieznajomego mężczyzny na wpół rozebranego. Gdy zobaczyła pana Hipolita krzyknęła i odskoczyła coprędzéj od owego mężczyzny, udając że przemocą wyrwała się z jego objęć; ale ten manewr nie udał się, Hipolit zrozumiał wszystko i już on nie potrzebował się teraz usprawiedliwiać. Trzasnął pogardliwie drzwiami i pobiegł tam, gdzie go czekała czysta, cicha radość i szczęście prawdziwe.

W godzinę potém w mieszkaniu starego nauczyciela muzyki Hipolit i Lucynka siedzieli razem przy fortepianie, nuty były wprawdzie rozłożone; ale niegrali, zapomnieli w téj chwili nietylko o muzyce, ale o całym świecie; siedzieli trzymając się za ręce—on trochę nieśmiały i zawstydzony: bo nie czuł się jeszcze godnym tego szczę-

ścia, jakie spadło na niego tak niespodziewanie, a ona zachwycona, rozpromieniona, upiększona uczuciem i rozmawiali o swojéj przyszłości,—a stara Kasia, obcierając w ciemnéj kuchni talerze; przypatrywała im się z błogiem zadowoleniem i wzruszona często przez zapomnienie, zamiast talerzy, łzy z oczów ścierką wycierała.

Ślub jednak nie odbył się jeszcze tak prędko. Rozsądna i rozważna zawsze Lucynka uważała za konieczne, żeby Hipolit wprzódy wyrobił sobie jaką taką praktykę, a sama chciała także lekcyami powiększyć ile możności swój kapitalik, aby im wystarczył na czas jakiś. Dopiero w rok blisko, w czasie rozpoczęcia wakacyi zdecydowała się na oznaczenie dnia ślubu.

Byłem i ja zaproszony na tę uroczystość i pośpieszyłem na nią z całą przyjemnością w oznaczonéj godzinie tj. o siódméj do mieszkania panny młodéj. W sieni, do któréj przez okratowane okienko wpadały złociste pasy słońca, staczającego się już ku zachodowi, spotkałem jakąś staruszkę, która w ręku dźwigała ogromny ręczny koszyk i sypała z niego kwiaty na podłogę drżącą ręką. Nie byłbym poznał, że to Kasia, gdyby sama nie była mnie zaczepiła swojém stereotypowém: „kłaniam się pięknie wielmożnemu panu"—tak mi się odmieniła w świątecznym stroju. Ale bo też była ubrana jak nigdy jéj niewidziałem, nie w swoje zwykłe krótkie, fałdziste spódniczki, jeno miała na sobie jedwabną suknię, którą dostała w spuściznie po matce Lucynki a którą podobno wdziewała tylko raz do roku na Wielkanoc, na głowie zaś miała duży, tiulowy czepek z kokardami i wstążkami zielonemi, umyślnie sprawiony na tę uroczystość. Uprosiła sobie przytém panienki, że wszystkie kwiaty były kupione za jéj pieniądze, bo chciała koniecznie kwiatami usłać panience swojéj drogę do ślubu. Brała więc pełną garścią z kosza i rozrzucała je po ziemi, po schodach na sam dół. Chłopcy z pierwszego piętra śmiali się z niéj, robili jéj psoty, to skubiąc ją za materyalną suknię i pytając po czemu łokieć, to porywając jéj co piękniejsze kwiatki z któremi uciekali na dół i ztamtąd pokazując je drażnili staruszkę. Z dobrotliwym uśmiechem znosiła te figle, bo nie była dziś wstanie gniewać się na nikogo, czasem tylko pogroziła malcom mówiąc: a dam ja wam, źbereźniki jakieś,—ale po chwili sama rzucała im kwiatki na głowy i powtarzała: macie, macie, nacieszcie, żebyście pamiętali lepiéj wesele panienki. Macie, macie, kwiatków jest dość, nie braknie nikomu.

Stałem jakiś czas przypatrując się temu i bawiłem oczy radością staruszki, która dzisiaj przebijała się w każdém jéj słowie, w każdém spojrzeniu i ruchu. Gdy wróciła na górę z koszem już wypróżnionym, poklepałem ją przyjaźnie po ramieniu i spytałem:

— A cóż? Kasia dziś bardzo szczęśliwa?

Pocałowała mnie w rękę z wdzięczności za to zapytanie i odrzekła:

— O! wielmożny panie, to się nie da opowiedzieć—i rozbeczała się staruszka, jak dziecko.

Czekałem aż się uspokoi, niepróbowałem przeszkodzić jéj w płaczu rozmową, bo odczuwałem, jakie taką łzy rozkosz sprawiać musiały jéj sercu. Zamazała sobie niemi biedaczka twarz całą ocierając się to kułakiem, to rękawem, przy czém paradny czepek przekręcił się jéj całkiem na bakier na głowie. Wyglądała pociesznie, a jednak ten widok zamiast uśmiechu łzy mi dobywał, i może byłbym zawtórował niemi staruszce, gdyby nie była, przypomniawszy sobie, odezwała się:

— Ale wielmożny pan niema jeszcze bukietu. Niechże wielmożny pan pofatyguje się z łaski swojéj do pokoju,—bo tam już wszyscy goście czekają,—rzekła i osuszywszy co prędzéj oczy pobiegła przodem, żeby mi, jak mówiła, wybrać najładniejszy.

Wszedłem za nią. W saloniku, do którego zachodzące słońce wdzierało się przez gęste listki kwitnących pelargonij i fuksyj, zebrała się spora gromadka gości weselnych, był nawet jakiś kontuszowy między nimi. Starsze panie w jedwabiach i ciężkich szalach rozsiadły się na kanapie, fotelach, ze sztywną powagą; panienki przeważnie uczennice panny młodéj, w białych, różowych i błękitnych sukienkach skupiły się w jedném miejscu pod oknem, szeptając po cichu i zerkając na młodzież, która poprawiając sobie krawatów naciągając rękawiczki, skubiąc wąsy palcami dla dodania sobie lepszéj miny, przechadzała się z kąta w kąt albo oglądała stare *kopersztychy* na ścianach.

Starsi panowie, między którymi poznałem po łysinie owego sędziego grywającego na altówce, skracali sobie chwile oczekiwania polityką, bo słyszałem coś o Bismarku i sprawie egipskiéj. Na środku zaś pokoju z miną zwycięzką i rozstawionemi szeroko nogami, stał ów wisus Karolek, dziś już poważny kapitan c. k. armii i spoglądał ze smakiem na piękną druchnę, brunetkę z alabastrową twarzą, która mu właśnie bukiet przypinała do piersi; uważałem, że najwięcéj czasu poświęcił na obserwowanie linii pogranicznéj między wyciętą sukienką a biustem rozkosznie zaokrąglonym. Zmiarkowałem z tego, że Karolek zostawszy panem Karolem i do tego kapitanem nie zmienił się wiele. Nie chcąc naśladować go w tym względzie, skierowałem moje oczy, gdy piękna brunetka z kolei i mnie przyszła przypinać bukiet, na powoje, które fantastycznie wiły się po jéj hebanowych włosach.

Nareszcie otwarły się drzwi drugiego pokoju i ukazali się państwo młodzi, idąc pod rękę. On był trochę nieśmiały i niezgrabny przy tym akcie uroczystym, ale za to panna młoda wyglądała wspaniale, imponująco. w białéj atłasowéj sukni z długim ogonem, a przez ślubną zasłonę spadającą aż do ziemi oczy jéj, te dobre poczciwe oczy, błyszczące w téj chwili niezwykłym blaskiem, patrzały na wszystkich tak pogodnie, przyjaźnie, że chwytały za serce. Można było przysiądz, że w tém gronie gości weselnych, które ją otaczało, nie byłoby jednego, któryby jéj z głębi duszy nie życzył wszystkiego najlepszego. Czuła to dobrze i dziękowała wszystkim serdecznym uściskiem ręki.

Stary Gileczek pobłogosławił młodą parę i pokropił święconą wodą, a stara Kasia pokropiła ich łzami i zeszli wraz z orszakiem weselnym na dół po kwiatach, które wydawały się jak wspaniały, różnobarwny dywan rościelony na schodach i ziemi. Kilka fijakrów czekało przed bramą. Dla panny młodéj była błyszcząca kareta z białem obiciem wewnątrz, którą jedna z jéj uczennic przysłała wraz z wspaniałym bukietem.

— Kasia siędzie z nami—rzekła Lucynka prowadzona przez dwóch drużbów, zwracając się do swojéj piastunki, która za nią niosła troskliwie ogon, aby się nie powalał po ziemi.

— Jakto?—ja? w takiéj karecie?—ale ktoż widział panienko, zawołała przestraszona i zażenowana, cofając się.—Ja sobie piechotą pobiegnę.

— Ależ siadaj Kasiu, proszę.

— A gdzież starszy pan będzie siedział?

— Tatko sobie usiędzie we fijakrze z panem Hipolitem.

— Bożeż kochany, jakżeby to wyglądało, ja służąca razem z panienką. Za nic w świecie. Broniła się biedaczka jak mogła, jednak widać było z jéj zarumienionéj i błyszczącéj od potu twarzy, jaką jéj to radość sprawiało, że panienka tak pamiętała o niéj w téj chwili, taki jéj honor oddała w obec wszystkich. To też skoro panienka oświadczyła stanowczo, że bez niéj nie pojedzie, wskoczyła co tchu ucieszona i wcisnęła się w sam kąt karety, aby jak mówiła panience wstydu nie robić przed ludźmi. Także, gdy zajechali przed kościół i zobaczyła takie mnóstwo osób stojących przed drzwiami, nie miała odwagi wysiąść—ona, biedna sługa z takiéj *aleganckiéj* karety, bo coby ludzie sobie pomyśleli. Ale gdy zobaczyła, że ogon sukni ślubnéj wlecze się po ziemi i jakiś niezgrabiasz nastąpił na niego, wyskoczyła jak oparzona z karety, zebrała ostrożnie, delikatnie ogon w obie ręce i poniosła go za panienką do ołtarza.

Kościół był przepełniony ludźmi, bo panna młoda miała dużo życzliwych i znajomych. Towarzystwo muzyczne, ze względu, że to córka muzyka i sama nauczycielka muzyki, zebrało się w komplecie na chórze i zaśpiewało *Veni creator*, a ksiądz gwardyan OO. Kapucynów, który był spowiednikiem panny i przyjacielem jéj ojca, kazał na tę uroczystość pozapalać wszystkie światła i ustroić ołtarz bogato w kwiaty. Ślub więc odbył się nadzwyczaj okazale i pięknie.

Żałowałem mocno, że niemogłem być także na uczcie weselnéj, na któréj bawiono się podobno bardzo wesoło. Pilny interes zmusił mnie wyjechać tego dnia jeszcze wieczornym pociągiem do Lwowa. Wróciłem dopiero po paru miesiącach. Rozumie się, że pierwszą dla mnie rzeczą było odwiedzić państwa młodych. Byli już w swojem własném gniazdeczku, w mieszkanku składającém się z kilku pokoików, nader schludnie i gustownie umeblowanych. Zastałem panią doktorową w rannym szlafroczku z wypieczonemi rumieńcami, bo wyszła właśnie na moje przyjęcie z kuchni, gdzie, jak mi mówiła, przygotowywała według recepty pani Ćwierciakiewiczowéj, jakąś paradną legóminkę dla swojego pana. Jego samego nie było w domu,—wyszedł był na miasto do pacyentów, których miał podobno już dosyć. Z pewną radośną dumą pochwaliła się z tém przedemną a ja odczuwałem jéj radość i podzielałem ją całém sercem.

Niezadługo nadszedł mąż i oboje zatrzymali mnie na obiedzie. Młoda gosposia bowiem chciała pochwalić się przedemną ze swoją znajomością sztuki kuchennéj, szczególniéj z ową legóminką. Nie dałem się długo prosić, bo dobrze mi tu było w ich maleńkiém kółeczku. Atmosfera ich mieszkanka miała jakąś serdeczną woń i ciepło. Nie pieścili się przy mnie, nie całowali, a jednak z oczów widać im było, że się kochają i są szczęśliwi. Jedno ich tylko smuciło i zachmurzyło pogodne, miodowe miesiące: Kasia coś w trzy tygodnie po weselu umarła. Śmierć litościwa zdawała się czekać tylko na to, dopóki swojéj panienki za mąż nie wyda, a gdy doprowadziła to do skutku, zabrała staruszkę jak swoją na cmentarz, na wieczny odpoczynek.

W. Bałucki.

WNIOSKI Z OSTATNIÉJ EPIDEMII.

Głęboka cisza, jaka zapanowała w dziennikach o ostatniéj epidemii paryskiéj, jest jednym dowodem więcéj, że na wszystko bywa moda. Podniesiono gwałt, gdy niebezpieczeństwo ukazało się; pisano sto razy więcéj niż było potrzeba; a dziś, gdy nadeszła chwila obrachunku i wniosków, gdy pora „zmądrzéć po szkodzie“, nikt się już cholerą nie zajmuje. Nawet komisya wyznaczona do przestudyowania przyczyn złego, nie daje znaku życia, a pisma, które teraz dopiero, mogły-by dać zdrową naukę, na dowodach faktycznych opartą, uważają że rzecz już nie na czasie.

Zróbmy wyjątek z téj reguły.

Epidemia paryska miała dwa okresy: w jednym szybko rosła (przez tydzień), w drugim z małemi wahaniami (przez trzy tygodnie) spadała, a ogon jéj ciągnął się jeszcze przeszło miesiąc (1).

Nie jest to zwykły bieg rzeczy. Zazwyczaj, a mianowicie w epidemiach całkiem rozwiniętych, można odróżnić *pięć* okresów. (Pomijam wstępny, przedepidemijny):

1. *Okres pierwszego przyrostu*, w którym powstaje popłoch, w skutek ukazania się, a głównie ogłoszenia pierwszych wypadków. Liczba chorych ciągle rośnie, ale okres ten jest zawsze *krótkim*.

2. *Pierwszy okres wahań*, w którym pierwsze ogólne przerażenie słabnie, ale postrach krzewi się w grupach, odpowiednio usposobionych; przyczém najtchórzliwsi uciekają. Okres ten bywa mniéj lub więcéj długim, w miarę odporności, jaką wycieńczeniu nerwowemu stawia pora roku, warunki sanitarne i hygiena jednostek. Liczba chorych jest jednego dnia większa, drugiego mniejsza; w poniedziałki i dni poświąteczne zwykle większa.

(1) Ostatni rekonwalescenci opuścili szpital 15 stycznia.

3. *Okres maximum*, w którym, bądź-to wycieńczenie długotrwałym strachem, bądź nagła zmiana atmosfery, jakiś wypadek szczególnie działający na imaginacyą, lub wreszcie inne nieznane przyczyny, wywołują najpierw nieco większy przyrost, a po nim panikę. Wówczas liczba zasłabnięć dochodzi do szczytu. Okres ten trwa najwyżéj dni kilka, ponieważ przerażenie maksymalne nie może trwać dłużéj.

4. *Drugi okres wahań*, w którym, podobnie jak po pierwszym przyroście, następuje względne uspokojenie, a pozostała część bojaźliwych, o ile może ucieka. Liczba chorych utrzymuje się znów mniéj więcéj na jednym poziomie, zależnie od stałych przyczyn patogienicznych. Niekiedy, z powodów niestałych, bywa jeszcze w tym okresie *drugie maximum*, zwykle mniejsze. Wreszcie:

5. *Okres spadku*, w którym łagodne przewlekanie epidemii przestaje ludzi straszyć, artykuły o cholerze wyczerpują się, lub przestają być czytane i ludność dochodzi do przekonania, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, jak się wydawało. Okres ten bywa mniéj lub więcéj *długim*, stosownie do pory roku, dobroci wody, stanu ekonomicznego i specyalnych wpływów moralnych.

Co się tyczy śmiertelności, ta jest jednakową prawie dla wszystkich epidemij i wynosi średnio 50%, czyli, że połowa chorych umiera. W okresie *pierwszego przyrostu* jest zawsze największą (60% i więcéj), ponieważ wtedy umierają najbardziéj przygotowani; w następnych spada do 40% mniéj więcéj, i zwykle dopiero na samym końcu epidemii znów nieco liczba gwałtownych wypadków przeważa, ponieważ szereg ofiar epidemii stanowią ci, którzy albo nie mogąc uciec wycieńczyli się długim strachem i zbyt wielką zmianą hygieny, zalecaną przez niektórych lekarzy, albo też ci z najwrażliwszych, którzy uciekłszy wcześnie, wracają, sądząc, że już cholera ustała.

Tak było w Tulonie; tak było w Marsylii, a każdy, kto zada sobie pracę przestudyowania wykazów epidemicznych, dojdzie do przekonania, że ten typ rozwoju wielkich epidemij jest najpospolitszym.

Jeżeli jednak *maximum* przerażenia, możliwego dla danéj ludności, powstanie odrazu, wówczas *okres pierwszego przyrostu* zlewa się z pierwszym okresem wahań i z okresem maksymalnym, a drugi okres wahań z *okresem spadku* i wtedy epidemia, niezależnie od swéj gwałtowności, przybiera formę *skróconą*. Wówczas linja krzywa wypadków idzie nagle do góry, a potém nieco wolniéj spada.

Ten drugi typ skrócony widzieliśmy w Neapolu. Epidemia w tém mieście miała tylko dwa okresy: przyrostu i spadku. Jeden

i drugi był nagłym. Odrazu bowiem powstała wielka panika i odrazu prawie ją stłumiło przybycie króla, po którego pierwszych wizytach śmiertelność zmniejszyła się i zaczął się stały spadek liczby chorych (1).

Ten sam typ odnajdujemy w Paryżu, z tą różnicą, że tu spadek trwał względnie dłużéj, ponieważ przyczyny uspakajające nie były tak silne jak ów, z takim entuzyazmem przyjmowany, wpływ króla Humberta w Neapolu—i że cała epidemia była wogóle słabszą, z powodu znacznie lepszych warunków sanitarnych i znacznie spokojniejszego zachowywania się mieszkańców. Zresztą *forma* epidemii jest tą samą; i tu bowiem popłoch był tylko z początku (od 5 do 10 listopada) i tu działały przyczyny paraliżujące rozwój epidemii, a mianowicie zmiana frontu w prasie, wpływ rozsądnych lekarzy (o czém niżéj) i pora zimowa. Saméj porze zimowéj nie można przypisywać powstrzymania epidemii, tak jak jéj wybuchu nie można przypisywać samemu ociepleniu się powietrza na początku listopada; ponieważ na początku grudnia mieliśmy znowu nagłe, stosunkowo nawet większe, podniesienie się temperatury (9°, 10° do 14° ciepła— w grudniu!), a mimo to epidemia nie wzmogła się.

Okres pierwszy skończył się 10 listopada. Już dnia 9-go, w niedzielę, zwiedzając najciężéj wówczas dotkniętą ulicę św. Małgorzaty, nie znalazłem popłochu. Już żartowano sobie z cholery. To też wzrost liczby zasłabnięć 10 listopada, w poniedziałek, zresztą mniejszy stosunkowo niż dni poprzednich (patrz rysunek krzywéj w *Revue Scientifique* Nr. 23) przypisać należy raczéj niedzielnym libacyom, aniżeli przedłużeniu się popłochu, którego już nie było. Samo się przez się rozumie, że jeśli *maximum* zasłabnięć (około 200) przypadło na dzień 10-ty, to *maximum* śmierci mogło się objawić dopiero dnia następnego, ściśléj w nocy z 11-go na 12-ty.

Od téj chwili epidemia, z małemi wahaniami, zaczęła spadać. Spadek ten nastąpił równocześnie ze zmianą frontu dzienników, które, spostrzegłszy, że zrobiły głupstwo, zaczęły zmniejszać rubrykę cholery, a nawet obniżać wykazy statystyczne.

Tak np. dnia 13 do północy w samych szpitalach przybyło 93 chorych, to znaczy o 9 więcéj niż dnia poprzedniego, a śmierci było 45, wogóle zaś umarło tego dnia 85 osób, tymczasem *Temps* podał tylko 33, *Matin* tylko 11, zapewniając, że liczba śmierci „znacznie się zmniejszyła“ itp. Ludność więc sądziła, że epidemia słabnie. Nazajutrz zaczęła słabnąć naprawdę. Dnia 22 *Intransigeant* podał, „według prefektury policyi“, 17 wypadków, a *Matin* (który pierwéj

(1) Szczegółowe zestawienie dat i faktów podałem w *Gazecie rolniczéj*.

najwięcéj robił hałasu) tylko 7 (w rzeczywistości było samych śmierci 20). Dnia 23 zaś ogłosił „koniec epidemii“, chociaż trwała jeszcze przeszło tydzień, a z ogonem przeszło miesiąc. Gdy wreszcie d. 24 prefektura policyi i prefektura Sekwanny przestały podawać wykazy, spadek liczby zasłabnięć zaczął być stanowczym, pomimo, że jeszcze tegoż dnia był dość nagły przyrost. Liczba śmierci nie przewyższała już 10 dziennie i w tydzień potém epidemia mogła być uważana za skończoną. W pierwszéj połowie grudnia trafiały się już tylko średnio 2 wypadki dziennie, a mianowicie od 1 do 14 grudnia przybyło w szpitalach 30 chorych, z których 18 zmarło. W drugiéj połowie grudnia był średnio jeden wypadek dziennie, a w pierwszéj połowie stycznia już tylko kilka sporadycznych.

Trzeba przyznać, że wcześnie się opatrzono. Już dnia 9 zaczęły się budzić w niektórych dziennikach wyrzuty sumienia, prowadzące nieraz do zabawnych sprzeczności. Tak np. *Matin* z tego dnia na 1-éj stronicy jeszcze siał postrach, drukując wielkiemi literami:

„Cholera“
„*Dwieście sześćdziesiąt trzy wypadków*“
(Nigdy tyle nie było).
„*Środki ostrożności są niedostateczne*“ itd.

a na 3-éj stronicy uspokajał, mówiąc:

„Ludność najniesłuszniéj w świecie przesadza niebezpieczeństwo cholery. Obowiązkiem prasy jest przeciwdziałać temu. Jesteśmy pewni, że gdyby zamiast *cholerą* nazywano tę chorobę *oneleb* po persku, albo *hachaisa* po arabsku, albo *ho luan* po chińsku etc., wszyscy by się z niéj śmieli...“

Najwięcéj mnie ubawił dziennik lekarski *Union médicale*. Jedném z jego redaktorów jest dr. Brouardel, mianowany w chwili wybuchu wiceprezesem rady hygienicznéj (ten sam, co napróżno szukał w Tulonie „szpary“, przez którą cholera przyjechała z Indyj). Widocznie pilno mu było zdobyć tę godność, bo nie mógł przebaczyć d-rowi Dujardin - Beaumetz, że zataił epidemię w Aubervillers, a dziennik jego z furyą napadał na administracyą Nantes, że nadużywa zaufania publicznego, nie ogłaszając wykazów cholerycznych (1) (Nr. z d. 4 listopada).

Gdy zaś epidemia w Paryżu wybuchła nazajutrz i gdy reporter dziennika *Matin* czémprędzéj wysłany, zapytał go co zamyśla robić, odpowiedział:

---

(1) Dzięki temu roztropnemu postępowaniu administracyi nantejskiéj, cholera w tém mieście wygasła, bez większego przyrostu.

— Ogłaszać całą prawdę o postępach złego. Możesz pan to oświadczyć śmiało ludności paryskiéj. Widziałem dziś pana Rouvier (ministra handlu), który jest bezwzględnie tego samego zdania i na nasz wniosek rada zdecydowała ogłaszać *dwa biuletyny dziennie* (!). Zresztą—dodał szanowny wiceprezes z dumą — nie byłbym przyjął żadnéj misyi w innych warunkach (!!) (*Matin* z 7 listopada).

W rzeczywistości jednak rada ogłaszała tylko *jeden* biuletyn dziennie, a p. wice-prezes nie zrzekł się swojéj posady, chciałem powiedziéć „misyi". Ale zaraz po ogłoszeniu pierwszego biuletynu (8-my list) nastąpił *największy przyrost epidemii* (9-ty i 10-ty list.). Pytam się co sądzić o wiceprezesie komitetu hygienicznego, który na pytanie, co w obec wybuchu epidemii czynić zamierza—odpowiada: „ogłaszać o postępach złego"?

Ale mniejsza z tém; jest więcéj zagadek w mózgach niektórych ludzi aniżeli w biegu epidemii, o któréj tenże pan Brouardel powiedział, że naigrawa się z wszelkich przewidywań. Humorystyka nie w tém leży.

Zaledwie upłynęło parę tygodni, kiedy taż sama *Union médicale* tak pisała: „Winne są gazety codzienne, które od wybuchu epidemii tyle hałasowały, tyle narobiły gwałtu, że jestem przekonany, iż *liczba chorych ze strachu była o wiele większą niż prawdziwych ofiar cholery* (Nr. 165).

Podkreślam to szacowne wyznanie. Czy nie zabawne? Ale skąd u licha *Union Médicale* doszła do tak surowego potępienia dzienników politycznych, skoro sama tak usilnie domagała się rozgłosu?

A ba!.... *C'est toute une histoire.* Streszczę ją w dwóch cytatach feljetonu z tegoż dziennika:

„Jakże wy musicie być zajęci w Paryżu! pisał do mnie niedawno przyjaciel z prowincyi. Zapewne! Jest w Paryżu 3.500 lekarzy i około stu cholerycznych, to znaczy 300 (?) lekarzy na jednego chorego. Co za zajęcie!"

Dzienniki polityczne narobiły *zawiele* hałasu i „klijenci zamożni z humorami, migrenami, katarami itp. drobnemi dolegliwościami uciekli jak stado wróbli..."

Da liegt der Hund begraben. Zatém: „Winne są gazety codzienne itd."

Felietonista *Un. méd.* posuwa się aż do zarzutu, że właściciele niektórych wielkich dzienników, dowiedziawszy się o wypadkach sporadycznych, zakupili lub wynajęli całe domy w Cannes, Mentonie i Nicei, a następnie „pawiemi krzykami" wypędzili bogatszych z Paryża, wiedząc z góry, że się na nich obłowią.

Mniejsza z tém, że ludność biedna padła ofiarą popłochu—ale dla czego na nim skorzystali niektórzy *wydawcy* a nie niektórzy *lekarze*?

Nawiasem mówiąc: wart Pac pałaca.

Mimowoli przychodzą na myśl słowa dra Fauvel'a, który umarł, rzec można, na wiadomość o wybuchu epidemii w Paryżu, a który w testamencie swoim, przesłanym akademii, tak pisał: „Nie chcę, żeby wypowiadano jakiekolwiek mowy nad moim grobem. Czas sprawiedliwości nie nadszedł jeszcze dla mnie. Odda mi ją przyszłość, gdy nie będzie już *namiętności i interesów*, zamieszanych do sprawy cholery...“

Union médicale nazywa tegoroczną cholerę „epidemią niespodzianek“. Dla mnie największą w niéj niespodzianką było znalezienie się saméj *Un. méd.* Poznaliśmy już jedną stronę téj niespodzianki—poznajmyż i drugą:

„Jeden z najlepszych dzienników lekarskich Nowego Świata, *Journal of the American Medical Association*, w numerze z 18 października ogłosił pracę dra Raymonda Rogersa, p. t. „Cholera, jéj przeszłe spustoszenia i lepsze co do niéj widoki na przyszłość“. Owe przeszłe spustoszenia—mówi autor—były dziełem nietyle saméj choroby, ile *opłakanego o niéj wyobrażenia* i *środków, których przeciw niéj używano.* W przyszłości będzie można ją zwalczyć bardzo prostém postępowaniem. Dotychczas zupełnie fałszywie pojmowano naturę téj choroby; pozostała ona całkiem niezrozumianą, jak o tém świadczy najlepiéj zawsze i wszędzie taż sama śmiertelność 50 na 100, przy najrozmaitszych systemach leczenia. Trzeba zerwać ze staremi tradycyami, ze staremi teoryami, które tak nędzne wydały owoce. Fakt, że chorzy umierają nieraz gwałtownie, dowodzi, iż przyczyna choroby musi opanowywać *system nerwowy*, za czém przemawia także przygnębienie chorych. Cholera jest więc *chorobą nerwową.* Inne objawy, jak dyarya itp.. przemawiają za wysiękiem krwistym (*haemorhagia*); ze stanowiska więc symptomów, cholera jest *newrozą hemoragijną.* Ponieważ zaś w ataku bywa anemia mózgu i serca, jedynym więc środkiem racyonalnym, czyli takim, którego działanie zrozumiéć możemy, jest... *odpowiednie ułożenie ciała.* W wypadkach lżejszych wystarcza położenie dokładnie poziome, w cięższych bardziéj pochylone, głową na dół. W ten sposób krew musi choć w części wrócić do mózgu i do serca i zmniejszyć parcie ku dołowi zarówno saméj krwi, jak i płynów kiszkowych, które to parcie powiększa stan zapalny. Z drugiéj strony na nerwy trzeba działać morfiną, ale tylko z początku choroby i tylko w bardzo małych dozach, oraz przeciw kurczom wdychaniami chloroformu. Wreszcie

lód i woda zimna w małych łykach, wcierania i ogrzewania—oto cała kuracya. System ten miał wydać dobre rezultaty nawet w najcięższych wypadkach (1).

Przytoczywszy treść powyższéj rozprawy, *Union médicale* dodaje: „Niejeden będzie może uważał za waryactwo tę pretensyą leczenia cholery przez przewracanie chorego do góry nogami, ale kto wié, może ta myśl jest istotnie szczęśliwą. Autor broni jéj całkiem seryo i twierdzi, że ją oparł na doświadczeniu. Pochylanie ciała było już zresztą stosowane z pożytkiem w pewnych krwotokach i w zaduszeniu, wywołaném przez środki anestezyjne. Oba te warunki znajdują się właśnie w cholerze w formie analogicznéj... Użyteczność więc położenia poziomego powinna-by być ogłoszoną publiczności. Praca powinna się przyczynić do rozkrzewienia tych pojęć, zarówno jasnych, jak łatwych do zastosowania..... *Oto czém dzienniki zająć się powinny*, zamiast prawić o cholerze, szastając wiadomościami na prawo i na lewo i przyczyniając się do wzrostu epidemii postrachem, *który jest jedną z najpewniejszych przyczyn rozwoju téj choroby*. Łatwo bowiem zrozumiéć, że jako newroza, zależy ona najściśléj od wpływów moralnych“. (*Un. Méd.* Nr. 169).

Takie tedy były różnice zachowania się prasy lekarskiéj i nielekarskiéj w pierwszym i drugim okresie epidemii.

Ale oprócz prasy, do uspokojenia ludności przyczynili się głównie rozsądni a wpływowi lekarze. Przedewszystkiém wielkie wrażenie zrobił swojém doświadczeniem dr. Bochefontaine, szef laboratoryum, prof. Vulpian'a. Doświadczenie to nie przedstawiające ścisłości naukowéj dostatecznéj (2), wybornie jednak podziałało na publiczność. Znam osoby, które żyjąc w pierwszych dniach w ciągłym strachu, uspokoiły się dopiero przeczytawszy o niém wiadomość, powtórzoną naturalnie przez wszystkie dzienniki; a ponieważ przykład jest zaraźliwym, znalazło się wielu takich, którzy w szlachetnéj myśli powstrzymania popłochu ofiarowali się powtórzyć je na sobie. Następujący list, zamieszczony przez *Opinion* 14 listopada, charakteryzuje ten nastrój umysłów:

---

(1) Można się domyśléć, że „mikrob przecinkowy nie budzi w autorze zaufania, a jeszcze mniéj admiracyi. Znaleziono go nietylko w cholerze, a natomiast w wielu wypadkach cholery nie znaleźli go obserwatorowie najbardziéj kompetentni. W rezultacie więc mikroby tak zwane „choleryczne“ są tylko objawem towarzyszącym chorobie (*simply occasional concomitants of the disease*), a nie jéj przyczyną“.

(2) O wartości tego rodzaju doświadczeń pisałem przed kilku miesiącami w „Kuryerze Warszawskim“, w artykule: „Reakcya w pojęciach o cholerze“.

Do profesora Vulpian'a.

Panie doktorze! Za przykładem dzielnego i szlachetnego dra Bochefontaine, mam zaszczyt oznajmić panu, iż jestem do całkowitéj jego dyspozycyi, w przedmiocie doświadczeń jakiéjkolwiek natury (mających stwierdzić niezaraźliwość cholery). Mám lat 41, jestem zdrów i silny. Mam żonę i dwoje dzieci także zdrowe. Żona moja nie obawia się niczego. Sądzę, że trzeba dowieść, iż złe nie jest tak straszném, jak się ludziom wydaje. Racz pan przyjąć etc.

Ludwik Blaret
współpracownik *Opinion*.

Przeciw zaraźliwości cholery oświadczyli się także dr. Ricord, członek akademii, który już w r. 1832 walczył z cholerą, dr. Perin, członek wojskowéj rady zdrowia, prof. Vulpian, słynny fizyolog i jeden z najpopularniejszych lekarzy w Paryżu. Z zastrzeżeniami zaś bardzo wielu innych, a mianowicie: dr. J. Guérin, dziekan akademii i dr. Dujardin-Beaumetz, dyrektor służby cholerycznéj.

Wreszcie rozsądnie się znalazła policya, zakazując roznosicielom gazet obwoływania po bulwarach wiadomości o cholerze.

Wszystkie te czynniki zbiegłszy się razem, przy współdziałaniu chłodnéj pory roku elektrycznych zmian atmosfery i niektórych ulepszeń sanitarnych, sprawiły, że epidemia została ubezwładnioną. Rosła nagle, ale odrazu ją obcięto. Podrywała się jeszcze parę razy, ale nie na długo.

Można by sądzić, że w drugim okresie epidemii lepiéj zabezpieczano się od zarazy i dla tego ustała; że staranniéj dezinfekcyonowano i odosobniano chorych? Było wprost przeciwnie. Zrazu postanowiono umieszczać chorych tylko w osobnych szpitalach za miastem, dezinfekcyonowano na zabój, do sal cholerycznych nie wpuszczano nikogo, kto nie miał specyalnego upoważnienia; ale po kilku dniach, gdy liczba wypadków gwałtownie rosła, spostrzeżono niedorzeczność przewożenia chorych milę drogi za miasto i umieszczano ich w szpitalach miejskich, mniéj kadzono, poprostu przez niemożność nastarczenia i — wtedy epidemia zaczęła słabnąć. Przestano też przestrzegać poprzednich surowych zakazów i w dwóch szpitalach cholerycznych *św. Ludwika i Lariboisière*, mogłem wejść wprost do sal na ten cel przeznaczonych, nie będąc przez nikogo zaczepionym. Nie potrzebuję dodawać, że przebywając między chorymi po kilka godzin z rzędu dotykając ich wszystkich bez wyjątku (1) i rozmawiając z nimi nie używałem późniéj żadnego ze środ-

---

(1) Chodziło bowiem o próby z hipnoskopem, przyczém musiałem nakłuwać lekko skórę chorych szpilką, a od czasu do czasu kłuć swoję rękę, ażeby mieć porównaw-

ków dezinfekcyjnych, któremi mnie częstowano i że mam się dziś równie dobrze jak przedtém. Odwaga, powiesz może czytelniku. Pochwała byłaby niezasłużoną. Dałbym dowód prawdziwéj odwagi wtedy, gdybym np. wypił który z tych specyałów, jakiemi tu i owdzie traktowano cholerycznych, ale tak daleko ciekawość moja nie sięgała.

Kiedyś... znajdzie się może jaki heroiczny lekarz lub fizyolog, który chcąc imię swoje zapisać obok Desgenettes'a i Bochefontaine'a zażyje, będąc zdrowym, już nie pigułki z odchodów cholerycznych, ale jedno z tych „energicznych" lekarstw, jakich za wskazówką dra Kocha używano przeciw mikrobom w Tulonie. Wówczas z sekcyi pośmiertnéj będzie się można przekonać jak wyglądają niektóre z „obrażeń" anatomicznych, przypisywanych mikrobom. Czy prędko znajdzie się taki bohater? Wątpię. Natomiast co wiém napewno, to to, że pod koniec epidemii obudziła się reakcya przeciw truciu chorych. Nie używano już prawie żadnych środków, z wyjątkiem pierzyn, któremi okrywano pacyentów. W niektórych tylko szpitalach, np. u św. Antoniego, leczono energicznie. Prof. Hayem wstrzykiwał im w żyły *po dwa litry wody z solą*; w ten sposób wyleczył dwudziestu... na stu. Z owych wyleczonych 20, jeszcze było 2 wątpliwych; nie jestem pewien czy wyszli cało. Prof. Hayem był bardzo kontent z tego rezultatu, utrzymywał bowiem, że ze stu innych (których leczono innemi środkami) *prawie wszyscy* umarli. (Posiedzenie akademii medycznéj 2 grudnia).

W jednym z artykółów, drukowanych w „Kuryerze Warszawskim" zaznaczyłem ten fakt, że z początku każdéj epidemii, gdy powstaje zamięszanie, zalecone są te same środki, od których zaczęto w r. 1830, a więc przedewszystkiém opium; pod koniec epidemii lekarze przekonywają się, że opium jest szkodliwe, a gdy po pewnéj liczbie lat przyjdzie druga epidemia, jedni mieli czas o nauce zapominać, drudzy jeszcze jéj nie zdobyli (bo nie znają literatury), i dają znowu opium... Kiedy arcykapłan mikrobów zjechał do Tulonu, ażeby powagą swoją zalecić... kwas karbolowy i rzucić postrach na Europę wyliczaniem portów, w których cholera ukaże się kolejno, zalecał także opium. Obecnie, gdy epidemia się skończyła, czytam w dziennikach lekarskich artykuły „o zgubném działaniu opium w cholerze". (*Gaz. méd.* z 29 listopada *Gaz. des hôp.* z 9 grudnia etc.)

---

czą miarę czucia. Znalazłem procent wrażliwych 37 na 100. Procent normalny wynosi około 30%.

Ażeby zrozumiéć o co tu chodzi, muszę nadmienić, że już znakomity fizyolog Magendie zauważył w pierwszéj epidemji, że podczas okresu oziębienia choleryczni znoszą największe, zabójcze dozy trucizn bezkarnie. Toż samo ma miejsce w niektórych innych atakach nerwowych, a mianowicie we wściekliznie a niekiedy i w histeryi. Jakim sposobem się to dzieje? Odpowiedź nietrudna dla tego kto wie, że w cholerze nerwy rządzące przyswajaniem *są porażone.* Każdy pokarm czy napój, o tyle tylko może być przyswojonym o ile na to owe nerwy pozwalają, gdy zaś są sparaliżowane, żołądek chorego staje się martwą butelką, w którą można lać co się podoba. Lekarz, tego wpływu nerwów nie uwzględniający, który po pierwszéj energicznéj dozie nie otrzymał żadnego skutku, daje drugą, także bezskuteczną, potém trzecią itd. W ten sposób powstaje fakt, stale powtarzający się w cholerze: *nagromadzenia lekarstw w organizmie*; lekarstwa nagromadzają się, ponieważ nie są ani przyswajane, ani wydzielane (anuria). Lecz w znacznéj większości wypadków paraliż nerwów rządzących odżywianiem jest tylko chwilowym; po „okresie oziębienia“ następuje „okres reakcyj“ nerwy budzą się do życia, krążenie krwi prawie wstrzymane przyśpiesza się i wtedy, *dopiero wtedy*, lekarstwa nagromadzone zaczynają działać, ponieważ wchodzą w obieg fizyologiczny. Chory zaczyna być konwalescentem i—zostaje otruty.

Zrozumiemy teraz następujące cytaty:

„Nagromadzanie się lekarstw w organizmie chorego nie ulega (w cholerze) wątpliwości. Czyż więc można się dziwić, że w tych warunkach użycie wstrzykiwań morfiny (morfina jest alkaloidem opjum), próbowane na tak wielką skalę w szpitalu marynarki w Tulonie i w innych, podczas ostatniéj epidemji, wydało tak opłakane rezultaty (1)? Opium jest nietylko środkiem antidyareicznym ale i bodźcem krążenia, który, *o ile jest absorbowany*, o tyle pobudza ruchy serca, przywraca puls etc. Otóż na téj zasadzie (zapominając tylko o nerwach) dr. Cuneo, naczelny lekarz owego szpitala w Tulonie, sądził (2), że jeżeli gdzie, to właśnie w cholerze, oba te środki są wskazane. „Na nieszczęście—pisze on sam—przekonaliśmy się nietylko o bezskuteczności, ale o szkodliwości tych środków, używanych w formie wstrzykiwań (3). Zaduszanie zwykle się powię-

(1) E. Riclin. Sur le traitement du cholera (*Gaz. méd.* Nr. 48).

(2) Cuneo. Sur le traitement du cholera dans les hôpitaux de la marine de Toulon. (Bull. Gen. de Thérap. z 30-go lipca r. b.)

(3) Uwaga powyższa o niemocy chwilowéj lekarstw, wskutek wstrzymania obiegu fizyologicznego, stosuje się zarówno do wstrzykiwań, jak do płynów lub ciał stałych połkniętych.

kszało, puls i tak słaby, słabnął jeszcze więcéj, temperatura ciała zniżała się, stan nieprzytomności powiększał się; jeżeli zaś reakcya już się zaczęła; to te środki opóźniały ją i wstrzymywały" (loc. cit. str. 59)... Chorzy umierali przedstawiając już tylko ślady ataku cholerycznego.

Czy jasne? Toż samo potwierdzają drowie: Netter, Riclin i Dujardin-Beaumetz.

Cóż więc robić, jeżeli jedyny „pewny" środek przeciw dyaryi wstępnéj ma być szkodliwym?—pyta dr. Nettera dr. de Conflans:

— *Używać czystéj wody*—odpowiada dr. Netter. I wcale nie na żarty cytuje cały szereg faktów natychmiastowego wyleczenia z dyaryi wstępnéj przez użycie wody zwykłéj lub sodowéj z gumą lub czystéj. Jest to środek wskazany przez instynkt natury, chorzy bowiem mają nieugaszone pragnienie, a lekarze kontagjoniści z obawy mikrobów zabraniają im pić. Fakta wspomniane przez Nettera potwierdzają dr. E. Lévy i prof. Hecht (*Gaz. d. hôp.* nr. 142).

Jeżeli *Un. méd.* uważała za konieczne popularyzowanie rad Rogers'a o poziomym układzie cholerycznych, sądzę, że i ten ustęp o zbawiennym wpływie wody (z mikrobami!) zasługiwał na ogłoszenie (1).

Zasługuje na nie także jeszcze jedna konkluzya tegorocznéj epidemji. Wyraziłem już dawniéj nadzieję, że nierozsądna teorya kordonów sanitarnych w cholerze nie ostoi się wobec ostatnich wypadków. Nadzieja ta zaczyna się urzeczywistniać. Dziennik angielski *British medical journal* ogłosił ocenę krytyczną kwarantann urządzanych tego roku we Francyi, we Włoszech i w Hiszpanii i dochodzi do konkluzyi, którą nam tytuł artykułu przeczuć pozwala: „The Folies of quarantine," to znaczy: „obłędy kwarantannowe." „Tytuł ten, dodaje od siebie inny dziennik lekarski (*Gaz. méd. de Paris* nr. 47) wydaje nam się najzupełniéj usprawiedliwionym. Rozbierając z jednéj strony środki przedsięwzięte, a z drugiéj rezultaty otrzymane, nie wahamy się twierdzić, iż na przyszłość trzeba będzie zmienić system; *doświadczenie tegoroczne potępia wszystko, co w téj epidemii przedsiębrano.*"

---

(1) Zbawienny wpływ czystéj wody w cholerze zauważył już dawniéj Sydenham. Magendie radzi zdać się na pragnienie i instynkt chorych i dawać im wedle życzenia napoje zarówno zimne, jak gorące. Samo się przez się rozumie, że na sparaliżowanie nerwów szklanka wody zimnéj nie pomoże; ale przynajmniéj nie zaszkodzi. Mowa tu tylko o dyaryi wstępnéj—chociaż niektórzy lekarze i w okresie oziębienia zalecali wielkie ilości wody.

Jędném słowem, miałem słuszność przewidywać, iż epidemia tegoroczna wyda owoce pożądane i że nareszcie nauka o cholerze pogodzi się z logiką.

Dotychczas było to niemożliwém.

Jest to zwykła historya w epidemjach cholerycznych, że zaczynają się one *przed* początkiem urzędowym, a kończą *po* końcu urzędowym. Ponieważ cholera nigdy nie jest importowaną w całości, jak sobie wyobrażają poszukiwacze „szpar“ importacyjnych, ale musi mieć grunt przygotowany, na którym powstaje, na którym się *urabia* nigdy więc nie ma stanowczéj granicy pomiędzy dniami, w których nie było epidemji, a tym, w którym się jakoby zaczęła. Dlatego pierwszy urzędowo stwierdzony wypadek cholery prawie nigdy nie jest pierwszym. Przy bliższém badaniu okazują się wcześniejsze bądź wyraźnie choleryczne, bądź choleroidalne, co dowodzi, że nawet w tych epidemjach, gdzie importacya (przez zarazę nerwową) jest pewną, stanowi ona tylko ostatnią kroplę dolaną do pełnego, iskrę rzuconą na materyał palny poprzednio przygotowany. Ta to myśl spowodowała, żem się zapytywał dr. Richarda, czy pewnym jest, że pani Beaujeta była pierwszą ofiarą epidemji. Odpowiedział mi, że tak, ale okazało się, iż się mylił. Na dzień przed nią (3-go listopada) zachorował, a nazajutrz umarł, w północnéj stronie miasta, przy ulicy św. Antoniego, posługacz w pralni, znany pijak. Od nikogo się nie zarazil i sam nikogo nie zaraził. Wypadek ten znany już był drowi Beaumetz, gdy szedł na owo sławne posiedzenie akademji 4-go listopada, ale o nim przemilczał, ponieważ uważał go za cholerę swojską; niemniéj jednak popłoch został przygotowany, ponieważ i dyrektor służby cholerycznéj i prefekt policyi zjechali z kadzidłami na miejsce. Pani Beaujeta (środek miasta), o któréj już wiemy z relacyi dra Richarda, że się od nikogo nie zaraziła i że sama nie zaraziła nikogo, nie miała téż żadnego zbliżenia z owym posługaczem z ulicy św. Antoniego. Jednocześnie z nią, także bez żadnego związku, zachorował gałganiarz przy ulicy św. Małgorzaty (strona północna), niedaleko od owego posługacza, ale niezależnie od niego. Nareszcie nazajutrz zachorowały prawie jednocześnie trzy kobiety w Salpétrière (strona południowo-wschodnia). Ale i te bez związku nawet jedna z drugą, gdyż jedna w oddziale dra Charcot, druga w oddziale dra Voisin, trzecia w oddziale dra Terillon. W dodatku, pierwsza z nich, obłąkana, nie wychodziła z zakładu od lat 4, a ponieważ nikt więcéj obok niéj nie zachorował, dr. Rivière uważa ten wypadek za sporadyczny.

Zatém: 1) Cholera ukazała się prawie współcześnie na północy, w środku i w południowo-wschodniéj stronie miasta.

2) Pierwsze jéj wypadki były uważane za sporadyczne, dopóki się nie zjawiły inne. Wtedy i pierwsze zaliczono do „azyatyckich.“

3) Z czterech pierwszych ofiar epidemji żadna nie pochodziła z miejsc zarażonych, żadna nie miała stosunków z osobami pochodzącemi z miejsc zakażonych i żadna drugiéj nie zaraziła.

Dlaczego?

1) Bo w otoczeniu chorych nie było osób odpowiednio usposobionych.

2) Bo nie było jeszcze popłochu.

Natomiast zasługuje na uwagę, że z czterech osób, które pierwsze zachorowały, jedna była nałogowym pijakiem, druga kobietą znajdującą się w stanie wyjątkowym i przeciążoną pracą, trzecia gałganiarzem, żyjącym w najgorszych warunkach sanitarnych, czwarta wreszcie kobietą chorą nerwowo.

Dopiero po tych czterech ofiarach zaczęła się właściwa epidemia (5-go listopada). Wiadomości już się rozeszły i na wycieńczonych, chorych lub wrażliwych padł postrach.

Cholera zaczęła zarażać.

Utworzyły się dwa główne ogniska zarazy, jedno małe w jednéj z najludniejszych dzielnic (ulica św. Małgorzaty), drugie większe, ale bardziéj skupione, w jednéj z najzdrowszych dzielnic (Avenue de Breteuil). Doniosłość pierwszego przesadzono nad miarę i, przyznaję, że sam dałem się złudzić tym wiadomościom, skorom się wybrał na ulicę św. Małgorzaty, jakby do głównéj kwatery zarazy. Przekonanie to było tak powszechne, że nawet podzielał je prefekt policyi, lekarze i wszystkie dzienniki.

Zkąd to poszło?

Iskrą, która wzniecila tę sztuczną epidemią, było ogłoszenie faktu i szczegółów epidemji już od trzech tygodni skończonéj, tuż pod Paryżem, w Aubervilliers. W sprawozdaniu tém opowiadano szczegółowo, że w Aubervilliers umierali głównie gałganiarze, co było prawdą; postrach więc padł głównie na tę klasę ludzi. Chodziły wieści, że wymierają jedni po drugich i że ulica św. Małgorzaty niedługo będzie pusta. Ale gałganiarze, mimo najgorszych warunków sanitarnych w jakich żyją, nie należą do ludzi zbyt tchórzliwych i ostatecznie więcéj straszyli drugich niż samych siebie. Cholera więc wybrała tylko co najodpowiedniejszych, oszczędzając resztę. Iluż w rezultacie umarło? W całym Paryżu przez cały czas epidemji z dwudziestu kilku tysięcy gałganiarzy umarło... *jedenastu.* Co nie przeszkodziło dziennikom pisać uczone artykuły o mikrobaeh, które kryjąc się w gałganach, powodują zarazę. Z tych jedenastu, dwu

tylko umarło obok siebie, a więc z pozorami zarazy materyalnéj— reszta w domach oddzielnych. *Suma sumarum* w téj dzielnicy śmiertelność wynosiła tylko 12 na 10,000 mieszkańców.

Znacznie większym i w ogóle największym był procent śmiertelności w drugiem ognisku zarazy w okolicach szkoły wojskowéj 39 na 10,000 mieszkańców). Jak wspomniałem, dzielnica ta należy do czyściejszych, a cholera wybuchła w zabudowaniach najbardziéj hygienicznie urządzonych, pomijając sąsiednie nieporządne. Czy znaczy to, że brudy nie mają wpływu na rozwój epidemji?—Nie, to znaczy tylko, że brudy mają wpływ mniejszy niż usposobienie indywidualne. Ale jakim sposobem w jednéj dzielnicy i w jednym budynku skupiło się tylu ludzi usposobionych? Bardzo prostym: był tam zakład przytułku dla starców. W ciągu kilku dni połowa z nich wymarła; najmłodszy z tych, którzy padli ofiarą, miał lat 74 (1). Niemniéj lekarze kontagioniści suszyli sobie głowy na tém: zkąd tak nagle wybuchła zaraza w tym zakładzie? kto ją przyniósł? Zjeżdżała komisya po komisyi, zjechał i sam Pasteur. Napróżno. Badania pokarmów i napojów nic nie wykryły, nie wykryto także tego, ktoby mógł przynieść zarazę. Więc miejsce? Ale miejsce samo jest bardzo zdrowe. Zresztą jeden ze starców, który wyszedł za urlopem do miasta *przed* wybuchem epidemji, dowiedziawszy się, że w zakładzie wszyscy wymierają, sam zachorował i umarł, nie wróciwszy do zakładu. Jakim sposobem? Tajemnica! Tajemnica bardzo jasna dla nieuprzedzonych.

Starcy w Breteuil są to wszystko ludzie w najwyższym stopniu wycieńczeni. Gdyby ich jeszcze odżywiano jako tako, mogliby być mniéj podatni na działanie strachu i innych wpływów patogenicznych; ale karmiono ich jaknajgorzéj, karmiono ich z łaski tém, co zakonnice uzbierały, gdyż niedawno rada miejska odmówiła zakładowi dotychczas pobieranéj zapomogi, z powodu (jak się wam ten powód podoba?) że utrzymują go zakonnice. Były z tego tytułu sceny w radzie, niektórzy bowiem wprost oskarżali ją o przyczynienie się do śmierci tych nieszczęśliwych. Dość, że karmiono ich niedostatecznie. Trafiło się, że jednego dnia pokarmy i napoje (bardzo liche piwo) były jeszcze nieco mniéj strawne, niż zwykle (czerpię ten szczegół z relacyi lekarza zakładu) i jeden ze starców dostał „cholery,“ ściśléj: dyaryi połączonéj z wymiotami. Było to w chwili najwię-

(1) Przeciwnie w koszarach wojskowych, a więc między ludźmi silnymi i lepiéj odżywianymi, chociaż współcześnie wielu zachorowało, ale prawie wszyscy wyzdrowieli.

kszego wrzasku dzienników. Reszty domyśléć się łatwo. Na osłabionych biedaków padł postrach i marli jak muchy.

Ponieważ zaś pierwszy zachorował mężczyzna, postrach padł głównie między mężczyzn i w pierwszym tygodniu żadna kobieta nie zachorowała, pomimo że, jak mówi dr. Beaumetz, wszyscy jedli i pili toż samo i żyli w tych samych warunkach.

Wogóle z 215 starców obojéj płci zachorowało w Breteuil 79 a mianowicie 55 mężczyzn i 24 kobiety—zmarło osób 65 (na 79 chorych!) a mianowicie 47 mężczyzn i 18 kobiet. Nadto dwie zakonnice; o czem niżéj.

Przypatrzmy się teraz jak w ogóle wyglądała kwestya zarazy podczas ostatniéj epidemji.

Z wyjątkiem zakładu starców innego podobnego ogniska zarazy nerwowéj nie było. W wykazach dziennych, według okręgów miasta, najczęściéj figurowała jedynka. Toż samo na przedmieściach i w wioskach sąsiednich.

Pod koniec epidemji nawet w tygodniowych wykazach przeważały jedynki. Tak np. w okresie czasu od d. 23-go listopada do 1-go grudnia liczba zmarłych wynosiła: w Clichy 6, w Alfort 1, w Aubervilliers 1, w Boulogne 1, w Charenton 1, w Montrouge 1, w Neuilly i Pantin 1.

Nie trzeba wielkiego wysiłku myśli, ażeby zrozumieć, że każda taka jedynka jest protestem przeciw zaraźliwości cholery, „gdy warunki nie są sprzyjające,“ to znaczy gdy nie ma popłochu.

Porównywając ze sobą dwa okresy epidemji, widzimy, że objawy zarazy, bądź istotne, to jest przez pośrednictwo nerwów, bądź pozorne, to jest przez proste przypadkowe zbliżenie, występują prawie wyłącznie w pierwszym okresie. Wówczas téż w szpitalach widziéć było można twarze wystraszone, lękające się każdego zbliżenia lekarza lub infirmera, zczerniałe i zmienione do niepoznania. Śmiertelność wynosiła wtedy przeszło 60%. W drugim okresie fizyognomja chorych zmienia się: przeważają twarze spokojne, nawet między ciężko chorymi. Nerwowa bojaźliwość jest już tylko wyjątkiem. Chorzy szybko przychodzą do siebie i odzyskują ciało. Widziałem kobietę lat 40, która była już całkiem czarną a w pięć dni potem odzyskała rumieńce. Ta miała cholerę naturalną, nie była wrażliwą na hipnoskop i nie bała się zarazy.

Ale i między chorymi z pierwszego okresu objawy zarazy nerwowéj *zbliska* (przez dotykanie lub widok) były bardzo rzadkie. Gdybym się opierał tylko na moich obserwacyach, to musiałbym nawet całkiem powątpiewać o ich istnieniu, gdyż ze wszystkich chorych, których pytałem o domniemane przyczyny choroby *ani jeden* nie odpowiadał mi: „zaraziłem się tam a tam.“ Znaczna większość

odpowiadała tak: „Alboż ja wiem zkąd mi to przyszło? Zrobiło mi się źle i musiałem się położyć; cholerycznego nigdy przedtém nie widziałem.“ Niektórzy przypisywali chorobę zaziębieniu, inni głodowi, jedna tylko chora, młoda szwaczka, podejrzywała zarazę: przybyła ona do Paryża z Brukselli w pierwszym okresie epidemji, zamówiona do jednego z magazynów. W magazynie tym pracowały także dwie dziewczyny z ulicy św. Małgorzaty.

— A czy która z nich zachorowała?

— E, nie. Ja tylko tak przypuszczam, że może to one przyniosły zarazę.

— A czy bałaś się pani cholery przedtem?

— O tak! Tyle o niéj mówiono w Brukselli! Przyjechawszy do Paryża, drżałam ciągle ze strachu, zwłaszcza jak się dowiedziałam, że te dwie dziewczyny mieszkają na ulicy św. Małgorzaty.

Dla kontrastu muszę przytoczyć, że w szpitalu Lariboisière znalazłem chłopca, na pół idyotę, który już był rekonwalescentem i jeszcze nie wiedział, że miał cholerę. W tym wypadku trudnoby podejrzywać wpływ moralny. Ale taki był jeden. Winienem zresztą dodać że chłopiec ów już poprzednio znajdował się w szpitalu jako chory. Na co? Nie umiał mi powiedziéć. Nie mogłem się téż dowiedziéć od niego, czy przed ostatnią chorobą widział cholerycznych.

W każdym razie był to wypadek „wewnętrzny“ a więc należący do kategoryi tych, które służą za pozór dla uzasadnienia materjalnéj zaraźliwości cholery. Interesującém więc będzie dla nas pytanie, ile w ogóle takich wypadków wewnętrznych okazało się w szpitalach?

Mógłby kto sądzić, że ponieważ cholera jest chorobą zaraźliwą, i to zaraźliwą w tak wysokim stopniu jak się wydaje, że więc każdy chory powinienby zarazić, jeżeli nie całe otoczenie, to przynajmniéj *jedną* z otaczających go osób!

Tymczasem na 1067 chorych, których leczono w szpitalach, było tylko 67 wypadków wewnętrznych.

Zapewne najwięcéj wystawieni byli na zarazę ci, którzy znajdowali się najbliżéj chorych? Nie. Gdyż z owéj liczby 67 przypada 47 na chorych rozmieszczonych w oddzielnych pawilonach, a *tylko 20* na osoby otaczające cholerycznych.

Zatém liczba wypadków, w którychby można podejrzywać materyalną zaraźliwość cholery przez dotknięcie, lub oddychanie tém samém powietrzem, wynosiła mniéj niż 20 na 10,000 tysięcy, to znaczy mniéj więcéj tyle co między osobami, które nigdy nie widziały cholerycznych.

Przypatrzmy się tym dwudziestu.

Myliłby się ktoby sądził, że wszystkie te dwadzieścia osób miały zetknięcie z cholerycznymi. Do wewnętrznych bowiem wypadków zalicza się w ogóle służba szpitalna, a więc i służba tych pawilonów, które były całkiem odcięte od baraków lub sal cholerycznych. Tym posługaczom nie wolno było nawet wchodzić do sal cholerycznych. Ale pomińmy ten szczegół, bo trudno byłoby sprawdzić, który z nich wchodził a który nie. Jednego z tych, który wchodził, ponieważ był używany do dezinfekcyi, widziałem w szpitalu św. Ludwika. Historya jego taka: będąc w nędzy i bez zajęcia zgłosił się zaraz po wybuchu epidemii, do obsługi cholerycznych w szpitalu Tenon. W kilka dni jednak liczba chorych zmniejszyła się i dano mu odprawę. *Dwanaście dni* chodził po mieście bez roboty, trzynastego dostał cholery.

— Czy sądzisz pan, że zaraziłeś się przy obsługiwaniu cholerycznych?

— Gdzież tam! wtedy mi było dobrze bom miał co jeść.

Wszystkich posługaczy umarło 4.

Odłączywszy jeszcze 1 urzędnika rachunkowego, który się do służby cholerycznéj nie mięszał; będziemy mieli 1 mamkę szpitalną, 3 infirmierów i 8 infirmierek. O jednéj z nich dr. Rivière podaje, że zachorowała i umarła w barakach *przeznaczonych wyłącznie dla konwalescentów.* Dwie inne umarły w zakładzie dla matek („Maternité") *„gdzie ani przedtém, ani potém innych wypadków cholery nie było"*. Skądże więc dostały cholery? W sprawozdaniu swém drukowaném w *Gaz. des Hop.* dr. Rivière podaje ten szczegół, że owe dwie infirmierki i tylko te dwie niechciały pić wody przegotowanéj. Czy znaczy to że woda zwykła naraża, a woda przegotowana zabezpiecza od cholery? Tak sądzi wielu lekarzy, ale zdanie to wymaga objaśnienia. Byłoby ono słuszném, gdyby istotnie osoby pijące wodę przegotowaną nie dostawały cholery lub przynajmniéj dostawały ją w stopniu znacznie mniejszym niż pijące wodę zwykłą. Na nieszczęście tak nie jest. Odosobniony fakt owych dwu infirmierek niczego nie dowodzi. Dla ustalenia zasady trzeba trochę szerszéj podstawy faktów.

Z jakiego powodu niektórzy lekarze zalecają wodę przegotowaną? Bo nie zawiera mikrobów. To prawda. Ale woda przegotowana tylko wtedy nie zawiera mikrobów, kiedy jest użyta zaraz po przegotowaniu, a taka woda jest nie smaczna i nie zdrowa choćby dlatego że nie zawiera powietrza (1). Ażeby ją uczynić dobrą do pi-

---

(1) Jeden litr wody rzecznéj zawiera przeszło 50 cent. kub. powietrza. Woda deszczowa tylko 25 c. k.

cia trzeba ją potrzymać na powietrzu a wtedy wraz z powietrzem wchodzą w nią mikroby. I kto wie czy nie dobrze robią, bo obecność mikrobów w wodzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, *ułatwia* trawienie (1). Szkodliwemi dla organizmu są nie mikroby, które żołądek zdrów doskonale i z pożytkiem trawi, ale *materye organiczne gnijące*, które służą za pokarm mikrobom.

Te niewątpliwie szkodzą człowiekowi. Ponieważ zaś woda przegotowana nie zawiera materyj organicznych gnijących, prawdą więc jest, że woda przegotowana jest zdrowszą, niż zepsuta materyami gnijącemi. Jeżeli więc woda którą pito w *Matérnité*, była nieczystą, to dobrze robiono, że ją przegotowywano: ale zrobionoby lepiéj gdyby dostarczano wprost wody czystéj. Taką zaś jest albo woda źródlana albo w braku źródlanéj rzeczna filtrowana. Filtrowanie zwykłe nie chroni od mikrobów, ale zatrzymuje materye organiczne nieorganizowane. Taką wodę piją zwykle w Paryżu, taką piłem przez cały czas epidemii a wraz zemną tysiące innych osób, które niedostały cholery, pomimo że woda ta, mianowicie pochodząca z okolic *Chatelet* zawiera mnóstwo mikrobów przecinkowych. Przegotowanéj bym nie pił, bo jest niesmaczną i obciąża żołądek. Nadto woda przegotowana nie zawiera soli wapiennych (2), które nie są potrzebne dla osób starych, ale dla młodych brak ich stanowiłby uszczerbek. Jednérn słowem, owe dwie kobiety mogły zachorować od wody nieprzegotowanéj, jeśli była nieczystą, ale mogły też zachorować wskutek tego, że już przedtem niedomagały na żołądek i że nie mogąc znosić wody przegotowanéj, miały ciągle na myśli obawę zarazy. Jakkolwiek tam było, dziś te dwa wypadki nie wystarczają do zalecania wody przegotowanéj. Jedyny człowiek zamożny, który umarł podczas ostatniéj epidemii pił tylko wodę przegotowaną. W Tulonie, wiem o dwu wypadkach śmiertelnych po użyciu nadmiernérn wody przegotowanéj. W Yport gdzie według zapewnienia dr. Gibert, ludność wcale wody niepije, stosunek śmiertelności był znacznie większym niż w Paryżu. W Paryżu wreszcie największy procent był między tymi, którzy pili tylko wino i wódkę. Niechże

---

(1) Obecnie świeżo Pasteur wystąpił z twierdzeniem że życie nasze stałoby się niemożliwém bez mikrobów. One to bowiem wywołując fermentacyą pokarmów czynią je strawnemi.

(2) Głównie węglan wapna potrzebny do rozrostu kości. Woda jest dobrą do picia gdy zawiera średnio 5 decigramów soli wapiennych na litr. Gdyby zawierała więcéj byłaby za twardą. Wogóle jednak czystość widzialna dla oka i smak w użyciu, wystarczają w zupełności do rozpoznania wody dobréj. Wodę taką można pić bez obawy z mikrobami.

więc ci, którzy wierząc ślepo zaleceniom teoretycznym piją wodę przegotowaną mogąc pić zwykłą czystą, albo co gorsza unikają całkiem wody z obawy mikrobów, zastanowią się nad tém, czy niepsują sobie żołądka bez potrzeby.

Wracając zaś do naszych infirmierek, dochodzimy do wniosku, że z owych ośmiu, tylko 5 możnaby podejrzywać o to, że zaraziły się od chorych. Byłby to *procent mniejszy niż między tymi, którzy wcale nie zbliżali się do chorych.*

Pozostają zakonnice i lekarze. O pierwszych mam tylko słowa pochwały. Gdyby cholera była zaraźliwą powinne były wszystkie powymierać. Widziałem jedną z nich gdy przyniesiono właśnie cholerycznego w najcięższéj fazie choroby. Natychmiast otuliła go pierzynami, gołą ręką otarła mu zimny pot z czoła i z uśmiechem na ustach z przymileniem macierzyńskiém, zapewniała, że zaraz będzie lepiéj, że powinien być dobréj myśli.

Lekarz siedział sobie na fotelu z daleka i czyścił paznokcie.

Z zakonnic, przez cały czas epidemji, umarło dwie. Jedna z wycieńczenia dostała cholery, druga wprost umarła z wycieńczenia. Obie pracowały w zakładzie starców przy Avenue Breteuil i obie *pięć nocy z rzędu niespały.*

Z lekarzy umarł jeden, dr. Fonsagrive, który już miał od kilku dni dyaryą, jadąc, po raz pierwszy do cholerycznego na wieś. Był to człowiek zdolny jako pisarz i niegdyś profesor; jako lekarz niemiał praktyki, był wątły i nerwowy.

Z lekarzy szpitalnych żaden nie umarł i żaden nawet nie chorował.

Tak wygląda zaraźliwość cholery widziana zbliska. Oczywiście bywa niekiedy gorzéj, nie ma bowiem przyczyny, dla którejby lekarze mieli być całkiem zabezpieczeni od cholery. Oswojenie nerwów dużo znaczy, ale i między nimi są ludzie skłonni do zarazy nerwowéj, są słabi, są wycieńczeni pracą, są bojaźliwi, są przesądni, mogą więc w chwilach popłochu padać ofiarą na równi z innymi. Wreszcie mogą dostawać cholery naturalnéj niezależnie od wszelkiéj zarazy. Zazwyczaj jednak procent śmiertelności jest między nimi słabszy od ogólnego. „Fakt to niezaprzeczony, mówi dr. Caudemberg (1), że infirmierowie i lekarze, którzy mają codzienne zetknięcie z cholerycznymi są *prawie zawsze* oszczędzani przez zarazę.“

A teraz dla kontrastu, i ażeby mieć pojęcie o tém jak bywa w chorobach naprawdę zaraźliwych, proszę przeczytać następne przytoczenia:

---

(1) Cholera etc. Paris 1884 str. 9.

„Jest regułą ogólną, mówi Griesinger, że infirmierowie, lekarze i studenci zarażają się tyfusem wysypkowym i to tém łatwiéj, im bardziéj się zbliżają do chorych.“

W Irlandyi w okresie lat 25, na 1220 lekarzy szpitalnych 560 zaraziło się tyfusem a 132 umarło (Murchison).

Podczas epidemji tyfusowéj w Pradze w r. 1855 w dwu oddziałach szpitalnych przeznaczonych dla téj kategoryi chorych zachorowało 20 lekarzy i wszyscy infirmierzy; lekarze i infirmierowie innych oddziałów wcale nie chorowali. (Wien. Med. Jahrb. 1862). „W czasie wojny Krymskiéj, w okresie 57 dni zachorowało w armii francuskiéj 603 infirmierów na ogólną liczbę 840 a przeszło 80 lekarzy umarło.“ (Griesinger §. 153).

Pytanie: Dlaczego o tyfusie wysypkowym publiczność mało co wie i nielęka się go, kiedy o cholerze wiedzą wszyscy i wszyscy drżą przed nią?..... Bo cholery łatwo dostać ze strachu—a tyfusu trudno.

Nie jest to wcale paradox; choć wygląda na obrócenie kota w worku. Ktoś co się obawia tyfusu wysypkowego, strzeże go się i niedostaje. Otaczający go więc, widzą, iż dobrze zrobił strzegąc się, sami robią toż samo i są spokojni. Przeciwnie, ktoś co się obawia cholery jak ognia, strzeże się jéj i pierwszy dostaje. Otaczający go więc wnoszą, iż nawet największa ostrożność nie zabezpiecza od cholery i sami ulegają chorobie.

Drugie pytanie, tym razem bez odpowiedzi: Medycyna posiada środki ograniczenia zarazy tyfusowéj a nie posiada środków ograniczenia zarazy cholerycznéj; dlaczegóż jednak, gdy panuje epidemia tyfusu, żadne buletyny nieostrzegają publiczności, podczas gdy o epidemii cholerycznéj wice-prezesi komitetów sanitarnych chcieliby mieć aż dwa buletyny dziennie?..

Jest rzeczą przyjętą między kontagionistami, że najbardziéj krzewią zarazę nieczystości ludzkie. Ma to być tak dalece pewném, że jeden z nich powiedział wprost, iż zetknięcie z tego rodzaju wyziewami „prawie niewątpliwie zaraża.“ Dlaczego? Bo w nich żyją mikroby choleryczne. Biada więc praczkom i wywożącym nieczystości!

W pierwszym okresie epidemji paryzkiéj ukazywały się z tego tytułu po dziennikach rady, ażeby broń Boże bielizny nieoddawać na miasto, a nawet... choćby się nie było królem nie wychodzić za dom piechotą.

Kiedy epidemia minęła, zaczęto liczyć praczki. Pokazało sie że brakowało tylko 34, to znaczy mniéj niż szwaczek, bo tych umarło 57, chociaż igłą mikrobów niełapały. Co zaś do wywożących nieczy-

stości, to z tych nie umarł *ani jeden*. „Tak samo było w r. 1832“ dodaje znany chemik Boussingault. W rzeczywistości umarło ich wówczas kilku (licząc z temi którzy dozorują kanały 11) ale był to procent niewielki. W latach 1853—54 umarło 4; w 1865 także 4 na 1000.

Więc może nieczystości zabezpieczają od cholery? Nie, tylko tego rodzaju zajęciom nie mogą się oddawać ludzie delikatnych nerwów lub słabego zdrowia. Oto cała tajemnica. Nie cała, przepraszam; istnieje jeszcze druga. Kiedy w r. 1832 z początku epidemji mimo gwałtowności zarazy, nie umarł żaden z czyścicieli, powstała między ludem wiara, że wyziewy i nieczystości zabezpieczają od cholery, a wiara ta była tak silną że mieszkańcy niektórych wsi pod Paryżem (dzisiejszych przedmieść) umyślnie zwozili przed dom nieczystości. *Śmiertelność w tych miejscach była słabszą niż w innych* (1). Nic więc dziwnego, że tradycya przetrwała do dziś dnia.

Jaka kategorya ludzi dostarczyła największego procentu śmiertelności?

Biedni wyrobnicy, powiększéj części będący bez zajęcia. Tych zmarło blisko 200.

Na drugiem miejscu służący, których padło ofiarą 128.

Na trzeciem, szwaczek 57.

A do najmniéj dotkniętych profesyj należały: praczki (34), pracujący nad metalami (25), (z obrabiających miedź chorował tylko jeden i ten wyzdrowiał, w sprawozdaniu dra Riviera podano błędnie 2); mularzy (17), woźniców (13); szewców (11); *gałganiarzy* (11), *czyścicieli kanałów* (2) *wywożących nieczystości* (0).

Czy można się spodziewać, że na podstawie tych faktów niektórzy „uczeni“ przestaną głosić, że główną przyczyną choroby są mikroby żyjące w nieczystościach?...

Niewiem—ale muszę zauważyć że mi to przypomina historyą o salamandrze. Przez długie wieki ludzie wierzyli że salamandra nie ginie w ogniu. Wkrótce téż znaleziono teoryą, która szczególny ten fakt objaśniała: nie mówiono że salamandra ma w sobie mikroby zabezpieczające od ognia, bo wówczas niebyła moda na mikroby, ale mówiono, że nie ginie dla tego, ponieważ ma w sobie „siłę antiflogistyczną.“ Fakt tedy nieulegał wątpliwości, tém więcéj że był objaśniony. Ale w parę tysięcy lat potém przyszło komuś do głowy, żeby *sprawdzić* czy istotnie salamandra nieginie w ogniu? I ku wielkiemu zdziwieniu przekonał się że jéj ogień wcale nieoszczędza. Co jednak

---

(1) Szczegółowe cyfry i inne dowody, na poparcie tego twierdzenia podałem w *Gazecie Rolniczéj* N. 51.

nieprzeszkodziło temu, że teorya „flogistonów“ i „antiflogistonów“ tułała się jeszcze w nauce aż do początku bieżącego wieku.

Znów pytanie: ilu ludzi głodnych, bez zajęcia, można-by nakarmić za miliony wyrzucane na dotychczasową „dezinfekcyą“ miejsc ustępowych? I powtóre: czy nie było-by prościéj, zamiast zatruwać rzeki najprzód nieczystościami, a potém nieczystościami zatrutemi przez trucizny, *odwaniać* te nieczystości naprawdę proszkiem torfowym, nie drogim, a następnie, nie szkodliwe już dla zdrowia, wywozić na rolę i tym sposobem odnosić korzyść podwójną?

Ostatecznie tedy kto umierał na cholerę?

— „Wogólności—mówi raport złożony Akademii:—olbrzymią większość, jeżeli nie ogół wypadków stanowią jednostki osłabione dawnemi chorobami chronicznemi, wycieńczone ekscesami wszelkiego rodzaju, albo też pogrążone w nędzy fizycznéj lub fizyologicznéj najgłębszéj, i żyjące w warunkach najbardziéj nie hygienicznych“.

Znający moje dawniejsze artykuły, przypominają sobie, że pisałem to samo *przed* epidemią.

Przewidywałem (w Kuryerze Warszawskim), że epidemia zabierze około tysiąca ofiar. Było ich do 1 grudnia 912 i późniéj jeszcze 20 kilka, co czyni 4 na 10.000 mieszkańców. Jakim sposobem mogłem przewidywać, że liczba ofiar nie będzie większą?

Proszę nie sądzić, że opierałem się w tym względzie na zaufaniu do przedsięwziętych przeciw chorobie środków. Co te środki warte, już wiemy. Co wart w tym kierunku postęp terapii, łatwo wywnioskować z téj okoliczności, że ogólna śmiertelność między chorymi wyniosła przeszło 52%, czyli, że więcéj niż połowa chorych umarła.

Opierałem się na czém inném zupełnie: na przekonaniu, że w tych miejscowościach gdzie postęp kultury i oświaty jest najszybszym, epidemje choleryczne muszą najszybciéj słabnąć. Gruntem cholery są: ciemnota, przesądy, niechlujstwo, nędza, bojaźliwość, pijaństwo, złe powietrze, zła woda, złe odżywianie, przeciążenie pracą.

Te wszystkie warunki w departamencie Sekwanny są rzadsze niż gdziekolwiekbądź indziéj, a postęp ku lepszemu szybszy niż gdziekolwiekbądź indziéj; to też z każdą epidemią ogólna liczba chorych zmniejszała się w proporcyi uproszczonéj:

1832	—	1849	—	1853,4	—	1865	—	1877	—	1884
235	:	176	:	82	:	27	:	7	:	4

Na zasadzie więc prawdopodobieństwa przypuszczałem, że liczba tegoroczna będzie mniejszą od 7. Jakoż była mniejszą, wynosiła bowiem tylko 4.

Gdyby cholera jeszcze raz ukazała się w Paryżu, to na téj saméj podstawie godziło-by się przypuszczać, że następna liczba proporcyj będzie mniejszą od 4.

Co zaś do środków przedsiębranych, to potém wszystkiém com już dotychczas pisał, pozostaje mi tylko przytoczyć opinją prof. Hardy, członka Akademii Medycznéj.

Na posiedzeniu z d. 9 grudnia, kiedy dr. Beaumetz, opowiedziawszy przebieg epidemii, uważał za właściwe pochwalić środki przedsięwzięte przez władze, a właściwie przez niego samego (był bowiem, jak już wiemy, dyrektorem służby cholerycznéj). Dr. Hardy zabrał głos w te słowa:

„Historya epidemii, którą nam opowiedział kolega Beaumetz, zasługuje na bliższą uwagę. Jesteśmy zmuszeni wyznać, że przebieg jéj wstrząsa pojęcia, jakie wyrobiliśmy sobie o zaraźliwości cholery. Można nawet powiedzieć, że zdaje się on przeczyć punkt po punkcie *wszystkiemu cośmy mniemali dotychczas o początku, trwaniu i krzewieniu się téj choroby*". (Porów. *Sem. Med.* Nr. 50).

Byłem na téın posiedzeniu i łatwo się domyśléć, że nie żałowałem, wraz z innymi, oklasków, gdy dr. Hardy rozebrawszy referat Beaumetza, tak daléj mówił:

„P. Dujardin - Beaumetz twierdzi, że środki użyte przez władze, przyczyniły się do powstrzymania epidemii. Nie myślę odmawiać władzy dobrych chęci, ale sądzę, że popierwsze można było robić to samo z mniejszym hałasem, a powtóre, że można było nie używać niektórych środków, *nie opartych na żadnéj podstawie naukowéj*, a siejących postrach między ludnością. Mówię o dezinfekcyi mieszkań cholerycznych. Widziałem dom prawie szturmem zdobyty przez oddział dezinfektorów, którzy przyszli kadzić w mieszkaniu. Pytam się, jakiém prawem rzucano postrach między rodziny, dezinfekcyą, któréj skutek jest co najmniéj wątpliwym, w chorobie w któréj zaraźliwość jest co najmniéj nieokreśloną... Czy wiemy napewno, że cholera jest zaraźliwą? Nie. Co do mnie, sądzę, że obcowanie z cholerycznym nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. Czy wiemy na pewno, że głównéın źródłem zarazy jest woda? I która? Jaka? Czy woda Sekwanny? Ależ piliśmy ją wszyscy. Cholera była tylko w Nantes i w Yport, a ani z Nantes ani z Yport, o ile wiém, żadna rzeka nie przypływa do Paryża (Śmiechy). Ale co wiém napewno, to, że wasze ogłoszenia, podtrzymujące wiarę w zaraźliwość cholery, wstrzymywały zarazem zdrowych od niesienia pomocy chorym i że zachwiały nasz przemysł i handel. Epidemia skończyła się tak jak się zaczęła, to znaczy z przyczyn nieznanych, tkwiących

prawdopodobnie w powietrzu. Wasze środki mogły tylko powiększyć popłoch, ale nie wstrzymały epidemii“ (oklaski).

Ani jeden głos nie podniósł się w obronie mikrobów?

Podniósł się dr. Béchamps, który powiedział, że „warunki wywołujące cholerę tkwią głównie w powietrzu, wraz z którémi wciągamy miliardy mikrobów. *Gdyby więc nawet było dowiedzioném*, że przyczyną cholery są mikroby, to jeszcze środki owe były-by bezskutecznemi. Krzewienie się cholery zależy nie tyle od ilości przyczyn patogenicznych, ile od *wrażliwości jednostek.* Choroba powstaje u nas i z nas. Przyczyny zewnętrzne nie są wystarczające“.

Po odpowiedzi dra Dujardin - Beaumetz, który z początku potakiwał głową z uśmiechem, a spoważniał dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że zarzuty Hardy'ego i do niego się stosują, i który tłómaczył się tém, że jakkolwiek nie znamy przyczyny cholery, mamy jednak prawo stosować do niéj te same środki zaradcze, które się okazały skutecznemi w tyfusie i innych chorobach zaraźliwych. Dr. Hardy przemówił raz jeszcze:

„Oskarżyłem władze, ale winienem był skarżyć z większym jeszcze naciskiem *dzienniki*. Sądzę, że dziennikarze uchybili swoim obowiązkom, zapełniając całe szpalty wiadomościami o cholerze“ (Oklaski).

Poczciwy dr. Beaumetz był właściwie kozłem ofiarnym w całéj téj historyi. Jeżeli kto, to właśnie on rozumiał niebezpieczeństwo rozgłosu. Ale cóż miał robić? Epidemia wybuchła bezpośrednio po wyjawieniu (4 listopada) ukrywanéj przez niego i już od trzech tygodni skończonéj małéj epidemii pod Paryżem. Jakby na usprawiedliwienie swoje przytaczał, że już przedtém, bo w nocy z 3 na 4 umarł ów posługacz, znany pijak; który to wypadek z razu mówca uważał za sporadyczny. Ponieważ jednak nazajutrz ukazały się inne, trzeba go było uznać za epidemiczny. A skoro była epidemia, trzeba było coś robić. Nie dawno Akademia poleciła mu wypróbowanie najpraktyczniejszych sposobów dezinfekcyi. Sprawdził, że najpraktyczniejszym z niepraktycznych jest palenie siarki. Jakże więc nie miał używać tego środka, kiedy cholera wybuchła, i gdy zrobiono go dyrektorem służby zdrowia? W zaraźliwość cholery on sam bardzo nie wierzy i twierdzi, że nie jest ona zaraźliwą, *jeśli tylko pada na grunt nie przygotowany*, co najdokładniéj odpowiada rzeczywitości. Ale—co było robić? Gdyby nie dezinfekcyonował, powiedziano-by, że nic nie robił!

Jak tam było, tak było, dość, że epidemia się skończyła.

Dla czego się skończyła?..

Znów naiwne pytanie! powiész łaskawy czytelniku. Nie tak bardzo naiwne jak sądzisz. Pozwól sobie powiedziéć, że Griesinger, który chociaż był kontagionistą, umiał rozumować logicznie, bynajmniéj nie uważał tego pytania za naiwne. Uważał on owszem ustawanie epidemii za fakt „całkiem tajemniczy“. I ze swego stanowiska nie mógł myśléć inaczéj. Proszę tylko zastanowić się: cholera azyatycka jest w najwyższym stopniu, materyalnie zaraźliwa, przybywszy raz z Indyj przenosi się „od człowieka do człowieka“ i tylko od człowieka do człowieka; ci którzy pierwsi się zarazili, zarażają drugich; nie ma żadnéj podstawy do twierdzenia, że ostatni, którzy umierają na cholerę mają inną chorobę niż ci, którzy umierali pierwsi, *czemuż jednak nie zarażają*? *Dla czego epidemia ustaje*? „Nie podobna twierdzić, mówi znakomity patolog niemiecki, że cholera ustaje, ponieważ mieszkańcy *przyzwyczaili* się do miazmatów cholerycznych, gdyż i przyjezdni nie ulegają im w téj epoce. Wyczerpanie się epidemii musi polegać na zniknięciu przyczyny, która ją wywołuje; lecz dla czego ona znika, dla czego się nie odradza w dalszym ciągu?....“ tajemnica!

W saméj rzeczy zje... mikroba kto ten węzeł rozplątа.

Przyzwyczaić się do mikrobów? *Allons donc*! czy nie łatwiéj byłoby przyzwyczaić się do tego, żeby być zjadanym przez wilki? Te przynajmniéj widujemy i znamy, ale bądź-że tu za pan brat z mikrobem!

„Cholera jest zaraźliwą“. Ale nie w ostatnim okresie, bo by nigdy nie ustała. I nie w pierwszym przedepidemijnym, bo by się od razu zaczęła. I nie w chwili maximum, bo by rosła daléj, zamiast spadać. Kiedyż więc? Prawdę powiedziawszy pozory materyalnéj zaraźliwości cholery są tylko w jednym, jedynym okresie *pierwszego przyrostu*. Ładna mi teorya, która mając do objaśnienia trzy okresy długie i dwa krótkie, objaśnia jeden krótki!

Proponuję jednak sposób wyjścia: mikrobów jest tak dużo na świecie — dla czego-by nie miało być mikrobu *anti-cholerycznego*? I dla czego-by on nie miał zjadać mikrobu cholerycznego? Jeżeli tylko ten ostatni nie *przyzwyczaja się* do tego żeby być zjadanym — teorya gotowa. Gotowa także karyera dla drugiego Ajaxa patologii niemieckiéj. Zatém—*cherchez le microbe*! Choć-by to była tylko kaczka a nie mikrob, ręczę, że wszystkie dzienniki powtórzą wiadomość.

A może mikrob choleryczny powstaje przez samorodstwo, a potém sam sobie życie odbiera?.. A może, patrząc na środki, jakich ludzie przeciw niemu używają *pęka* od śmiechu?..

Tajemnica! Rozum ludzki wszystkiego zgłębić nie może. Niechże mi więc kto wytłómaczy dla czego salamandra, która przecież jest ogniotrwałą, jednakże w ogniu ginie?

Same tajemnice.

Ale żart na stronę; czas skończyć poważnie:

Zbierając wszystko razem, dochodzimy do następujących wniosków:

Ostatnia epidemia zaprzeczyła punkt po punkcie wszystkim twierdzeniom kontagionistów i dualistów.

A natomiast stwierdziła, że:

1) Nie ma różnicy zasadniczéj między cholerą „swojską“ i „azyatycką“, czyli sporadyczną i epidemiczną.

2) Że cholera nie udziela się przez samo dotykanie lub obcowanie z chorymi.

3) Że nawet spożycie wydzielin cholerycznych może nie wywołać żadnych następstw szkodliwych.

4) Że zaraza działa przeważnie z daleka i obejmuje tylko ludzi odpowiednio usposobionych.

5) Że kordony sanitarne i okadzania do niczego dobrego nie prowadzą.

6) Że wskutek błędnych pojęć o naturze cholery nie zrobiono dotychczas w leczeniu jéj żadnego postępu.

7) Że chcąc, ażeby na przyszłość było lepiéj, trzeba przedewszystkiém zrozumiéć, iż oprócz chorób nerwowych systemu mózgo-rdzeniowego, istnieją choroby nerwowe systemu ganglionarnego i że cholera jest właśnie ich typową i najgwałtowniejszą formą.

8) Że wreszcie, z powodu iż punktem wyjścia cholery są dyarye i zimne dreszcze, które mogą powstać wprost ze strachu i ze zmiany sposobu życia, i ponieważ cholera więcéj niż którakolwiek inna choroba zależy od wpływów moralnych i zarazy nerwowéj, przeto władze, lekarze i dzienniki, krzewiąc wiarę w materyalną jéj zaraźliwość i popierając bezmyślne środki przeciw niéj przedsiębrane stają się współwinnymi złego.

Ile wody upłynie zanim te proste spostrzeżenia zostaną powszechnie przyjęte?

Julijan Ochorowicz.

NOWY PRZEKŁAD ILIADY.

Z wielu różnych powodów studya klasyczne nie budzą u nas żywszego i powszechniejszego interesu. Ci, co są nauczycielami lub profesorami, i ci, co ich nauk z obowiązku gimnazyalnego i uniwersyteckiego słuchają, tworzą swój światek zamknięty, z którym reszta inteligencyi w rzadkie i niezbyt poufne wchodzi stosunki. Po wyjściu z gimnazyów wiadomości w nich nabyte zacierają się z czasem, niepodtrzymywane ani uprawą dalszą, ani nawet zajęciem dla tego rodzaju studyów. Nawet wśród literatów, którzyby w sprawie porównawczego badania piśmiennictwa stosunkowo najbardziéj pracami z zakresu filologii klasycznéj interesować się powinni, nie wielu jest takich, coby rzeczywiście do samych źródeł zaglądali, gdyż się zazwyczaj zadawalniają czytaniem opracowań obcych. Jeszczeż łacina, jako nieodzowna przy studyowaniu dziejów naszych, ma znawców większą liczbę, ale greczyzna nader mało ceniona jest i rozumiana. Należy się więc istotna wdzięczność téj szczupłéj garstce, co nie zrażona obojętnością nie tylko już szerokiego ogółu, ale nawet szczupłego koła inteligencyi, nie zaniedbuje pracy na niewdzięcznem polu i od czasu do czasu ma odwagę przemówić po polsku w imię prawdy lub piękna, zawartych w dziełach starożytnéj Hellady.

W roku 1877 podało *Ateneum* ocenę wszystkich do owego czasu wyszłych przekładów polskich Iliady. Od téj chwili przybyło tłómaczenie całéj epopei dokonane przez p. Pawła Popiela, którego próbki poprzednio w czasopismach ogłoszone znalazły ocenienie już we wzmiankowym artykule, znany filolog p. Augustyn Szmurło przygotował także przekład Iliady wierszem nierymowym.

Obecnie podajemy czytelnikom próbkę z tłómaczenia p. Stanisława Mleczki, który dotychczas przełożył 18 pieśni téj epopei; pozo-

staje więc tylko sześć jeszcze do uzupełnienia całości. Przekłada wierszem nierymowym, starając się usilnie o zachowanie *rytmu*. Heksametry jego są wogóle bardzo udatne; zwykłego akcentu wyrazowego nie usiłuje tłómacz nałamywać dla wymogów wiersza, lecz dba o to, ażeby wymogom tym zadośćuczynić nie łamiąc zwyczaju. Przekład odznacza się wielką wiernością; wiersz tłómaczenia odpowiada wierszowi oryginału; ale składni polskiéj nie nagina autor, jak niektórzy zbyt wierni tłómacze klasyków do składni greckiéj. Dobór wyrażeń jest zwykle trafny i uczucia poetycznego nie razi.

Przekład ten zasługiwałby na ogłoszenie go drukiem w całości; wyższym jest bowiem od tych, które dotychczas wierszém nierymowym wykonano. Może kto z możnych lubowników literatury greckiéj zainteresuje się tym ustępem; który tu z XVIII pieśni podajemy i zapewni tłómaczowi możność ogłoszenia drukiem całości. Oby ta nadzieja nie zawiodła!

Tetida przybyła na Olimp z prośbą do Hefesta i tak kończy:

. . . .

Otóż przybywam do ciebie, objęłam ci nogi i błagam,
Abyś zbrojicą obdarzył mi syna, co zginąć ma wkrótce.
Puklerz mu sporządź i szyszak i nagolenice z klamrami
Także i pancerz; bo jego rynsztunek Patroklos utracił
W walce z Hektorem, a syn mój w rospaczy po ziemi się tarza.
Odpowiadając odrzecze jéj Hefest, kulawiec przesławny:
„Dobréj bądź myśli, Tetido, niech troska ci serce opuści.
Bodajbym syna twojego tak zdołał przed śmiercią okrutną
Schronić, podówczas, gdy Dola go nieprzejednana dosięgnie;
Jako mu teraz rynsztunek zgotuję, wspaniały, że pewno
Każdy śmiertelnik podziwiać go będzie, gdy ujrzy go tylko.
Rzekł, pozostawia Tetidę, i poszedł do kuźni, i miechy
Wszystkie ku ogniu skierował i razem pracować rozkazał.
Tak to, dwadzieścia aż miechów poczęło się silnie wydymać:
Dęły w czeluście ogniska potężnie, i żar rozniecały,
Dopomagając mu w pracy, to znów ustawały chwilowo,
W miarę potrzeby, stosując się całkiem do woli Hefesta.
Miedzi wybornéj uprzednio nałożył on w żar rozniecony,
Także i cyny, i srebra i złota cennego—następnie
Ciężkie kowadło osadził na pniu, i, do dzieła się biorąc,
Ujął prawicą za młot, a lewicą obcęgi uchwycił.
Tarczę mu naprzód wykuwa, ogromną, a szczelnie spojoną,

Przyozdabiając przedziwnie: i rąbkiem otacza dokoła
Trójkarbowanym, świetlistym, i pas srebrnolity przytwierdza.
Z pięciu składała się warstw zestawionych; na wierzchnim zaś blacie
Wiele przedziwnych obrazów wyrzeźbił ze sztuką mistrzowską.
Ziemię najpierwéj przedstawił, i morze, i niebo ze słońcem,
Nieutrudzonym w swym biegu, i pełnię księżyca błyszczącą;
Także i znaki niebieskie, co strop zalegają dokoła:
Owóż Plejady, Hyjady i Oryonowe zastępy;
Więc Niedźwiedzicę północną, więc tę, co ją Wozem nazwano,
Która się toczy po niebie, a, wiecznie w Oryona się patrząc,
Do Oceanu nie schodzi i w falach się jego nie kąpie.
Daléj wyrzeźbił dwa miasta, licznego narodu siedziby.
Miasta wspaniałe, a w jednym biesiady i gody weselne:
Oblubienice wywiedli z komaty, przy blasku pochodni
Przeprowadzają przez miasto i pieśni zawodzą weselne.
Młodzież, puściwszy się w tan, korowody zatacza, a inni
Grają tancerzom na fletach i lutniach. Niewiasty dostojne
Stoją przed drzwiami w domostwach, a patrzy się każda z podziwem.
Zaś nieopodal na rynku zebranie narodu, bo kłótnia
Wszczęła się sroga, zawzięta; mężowie się dwaj powaśnili:
Poszło o wynagrodzenie za męża zabójstwo, i jeden
Twierdzi, że karę uiścił, a drugi mu wręcz nie przyznaje,
Sędziów obadwaj wezwali, by waśń sprawiedliwie rozstrzygnąć.
Każdy ma ludzi za sobą gromadę, a ci przytakują.
Uspokoili heroldy swarliwe pospólstwo, i oto
Pozasiadali sędziowie na głazach ciosanych, a berło
Rozgłosiciele, heroldy, skoleji do rąk im podają,
Berło trzymając, powstają, i głoszą naprzemian wyroki.
Dwa zasie złota talenty pośrodku—przygotowane,
Aby otrzymał je ten, kto najsłuszniéj prawo wymierzy.
Wokół zaś grodu drugiego dwa wojska do boju stanęły,
Błyszcząc jasnemi zbrojami. A oblegający żądali,
By wydzielili im tamci połowę dostatków i bogactw,
Jakie się w grodzie znajdują; inaczéj grozili zniszczeniem.
Tamci nie godzą się jeszcze i zbrojną gotują zasadzkę.
Mury zaś grodu wyniosłe, małżonki i dzieci nieletnie
Stojąc, zaległy, za niemi zaś męże starością schyleni.
Wszczęła się wojna: tym Ares, a tamtym Atena przywodzi:
Z złota oboje i również szatami złotemi odziani;
Piękni, w rynsztunkach wspaniałych, zupełnie, jak bogom przystało;
Najokazalsi oboje, mężowie zaś mniejszéj postaci.
Tamci, gdy doszli do jarów, dogodnych na miejsce zasadzki,

Właśnie nad rzeką, w dolinie, gdzie bydło do picia pędzano;
Tu zatrzymali się, siadłszy gromadnie w zbroicach spiżowych.
Dwóch wojowników zaś przodem na straży wpobliżu stanęło,
Ponad strumieniem, czatując na owce i bydło rogate;
Wkrótce też ono nadeszło, a dwaj je przygnali pasterze,
Grając wesoło na fletach, nie wiedząc o niebezpieczeństwie.
Skoro ich ujrzą mężowie w zasadzce, na łup czyhający,
Biegną i wraz otoczyli i bydła gromadę i stado
Białowełnistych baranów i pozabijali pasterzy.
Gdy posłyszano w obozie zamieszkę i krzyki przy stadach,
Właśnie, gdy społem radzili mężowie;—co żywiéj na wozy
Wskoczą, i, pędząc rumaki, niebawem do miejsca dotarli.
Oto zawiązał się bój nad brzegami strumienia bystrego:
Jedni mężowie na drugich spiżowe oszczepy ciskają;
Kłótnia szaleje i Groza bojowa, a Śmierć, okrutnica,
Jednych morduje na miejscu, a innych rannemi dobija;
Wlecze poległych za nogi śród zgiełku i szczęku oręży.
Szaty jéj zaczerwieniały się krwią wojowników zbryzgane.
Tłumy ścierają się, walczą, a każdy jak żyw wyrzeźbiony,
Jedni i drudzy chwytają poległych i ciągną ku sobie.
Daléj przedstawił znów pole i orkę: więc rolę spulchnioną,
Żyzną, a przeorywaną trzykrotnie; i liczni rataje
Orzą pługami i tam i napowrót, raz koło razu;
Każdy zaś z nich, co swą skibę dociągnie do pola granicy,
Wina słodkiego dostaje kubeczek, a człowiek osobny
Wino rozdaje; a oni, wypiwszy, zwracają się znowu
Wstecz, ku drugiemu krańcowi ugoru ochoczo zdążając.
Rola za niemi się czerni, zupełnie jak świéżo zorana,
Chociaż ze złota wykuta, tak sztucznie to było zrobione.
Daléj przedstawiał znów żniwo i zboże na łanie: i oto
Liczni żniwiarze sierpami ostremi, zwijając się raźno,
Żną i garściami użątki raz—wraz na zagony składają;
Inni zaś w snopy je wiążą, ściągając w słomiane przewiąsła,
Trzech oto stoi na polu i snopy związują, a chłopcy
Skrzętnie zbierają im garście do garści i znoszą rękoma.
Wszyscy pracują ochoczo; pośrodku gospodarz spokojnie
Stanął, a laskę ma w ręce i dusza się jego raduje.
Wdali heroldy pod dębem przygotowują wieczerzę,
Z wołu dużego ofiarę składając; zaś obok niewiasty
Warzą posiłek żniwiarzom i krup dosypują jęczmiennych.
Daléj przedstawił winnicę, a w niéj winokrzewy wzrastają
Bujnie i gęsto, ze złota, pokryte gronami czarnemi.

Srebrne paliki przy krzewach, rzędami pozatykane.
Rowkiem stalowym otoczył winnicę i płotkiem ogrodził
Z cyny błyszczącéj; a środkiem wąziutką drożynę wyżłobił,
Kędy zbieracze zdążają, bo czas winobrania już nadszedł:
Oto dziewczęta i dziarscy młodzianie z wesołą pustotą
Niosą koszyki ozdobne z winogronami słodkiemi;
Środkiem podąża chłopaczek, a w ręku lutnię trzymając,
Mile im wszystkim przygrywa i nuci piosenkę wesołą
Głosem cieniutkim; a chłopcy i dziewki zdążają ochoczo
Pośród okrzyków radośnych, i pląsów i raźnych poskoków.
Daléj znów błonie przedstawił i bydło się pasie rogate:
Krowy to z cyny porzeźbił, to znowu ze złota cennego.
Właśnie wygnano je zrana z obory na żyzne pastwisko
Tuż nad strumieniem, szemrzącym pomiędzy trzciną powiewną.
Bydło przygnali na paszę pasterze — ze złota ich wykuł —
Czteréj, a z niemi i dziewięć aż psów chyżonogich przybiegło.
Oto zuchwałe dwa lwy, przyskoczywszy ku stadu znienacka,
Byka naprzedzie porwały i ryczał duszony w pazurach
Byk, a na głos przybiegają pasterze i psy chyżonogie;
Lwy tymczasowo zdławiły już byka, rozdarły mu skórę,
Krew pochłaniają i wnętrza. Napróżno pasterze nadbiegli,
Lwów nie zdołali odstraszyć; i psami je szczują daremnie,
Zbrakło odwagi i psom chyżonogim z zębami się rzucić;
Lecz ujadają wpobliżu, przyskoczą, to znów umykają.
Daléj znów owiec gromadę wyrzeźbił Kulawiec przesławny:
Pasie się stado wełniste, przeliczne, śród pięknéj doliny;
Tamże zagrody i szatry i oparkanione podwórze.
Wreszcie też grono tancerzy przedstawił Kulawiec przesławny:
Całkiem podobne do tego, co w Knosie rozległéj przed laty
Niegdyś Dedalos wymyślił na cześć pięknowłoséj Arjadnie.
Oto, dokoła stanąwszy, chłopaki i dziewki dorodne
Tańczą ochoczo, a dłońmi się wszyscy za dłonie trzymają.
Młodzież przybrana świątecznie: dziewczęta w osłonach cieniutkich,
Chłopcy w chitonach przedziwnie utkanych, jak oléj świetlistych;
Dziewki z wieńcami pięknemi na głowach, a dziarscy młodzianie
Z puginałami przy bokach, złotemi, na pasach srebrzystych,
Tak to puścili się w tan i pląsają zwinnemi nogami
Lekko i raźnie, i kołem wirują, jak krążek garncarski,
Kiedy próbuje go zdun, czyli będzie obracał się gładko.
Potém rozkręcą się w rzędy i tańczą naprzeciw stanąwszy.
Wkoło zaś widzów gromada, a każdy się z upodobaniem
Patrzy na grono taneczne; a śpiewak im boski na lirze

Gra, przyśpiewując; a dwaj wyborowi tancerze pośrodku
Kręcą się w kole, w poskokach ochoczych, przy śpiewie pieśniarza.
W końcu zaś Hefest, Kulawiec, Ocean płynący rostoczył
Wokół pięknego puklerza, poniżéj obłogi zewnętrznéj.
Taką to tarczę sporządził, ogromną, a szczelnie spojoną,
Wykuł następnie i pancerz świetlejszy nad blaski płomienia;
Wykuł i twardą przyłbicę do skroni w sam raz przystającą,
Ślicznie zdobioną dokoła z wspaniałym buńczukiem złocistym;
Wykuł nareszcie mu z cyny i nagolenice wyborne.
Skoro te wszystkie przybory wykończył Kulawiec przesławny,
Poniósł je, wziąwszy oburącz, i kładzie przed matką Achilla.
Ta poleciała jak sokół, ze szczytu Olimpu śnieżnego,
Promieniejący rynsztunek bojowy synowi poniosła.

Przełożył Stanisław Mleczko.

STOWARZYSZENIA
ROBOTNIKÓW ANGIELSKICH.
(TRADES-UNIONS).

(Das Arbeitsverhältniss gemäss dem heutigen Recht. Geschichtliche und ökonomische Studien von Lujo Brentano. Leipzig. Duncker et Humblot. 1877).

Metoda historyczna, zastosowana przez Roschera do studyów ekonomicznych, rozwinięta na wielką skalę w ostatnim lat dziesiątku przez liczną grupę profesorów niemieckich, socyalistów naukowych czyli z katedry, ma, w obec agitującéj się dzisiaj kwestyi społecznéj, tę wielką zasługę, że z wyżyn abstrakcyi sprowadza ją na pole realne, na którém łatwiéj ona zrozumiéć się daje; rozrywa niejako zaczarowane koło syllogizmów wysnuwanych z kilku aksiomatów i walkę przenosi na swobodniejsze obszary badań dziejowych i psychologicznych, a teoryą socyalizmu przekształca powoli na jeden ustęp z nauki socyologii.

Rozpatrując się w wewnętrznych dziejach narodów przekonano się, że niepokoje społeczne nie są żadną specyalnością naszych czasów, że przez cały ciąg historyi snują się one niemal nieprzerwanie, że choroba, w téj lub owéj formie w stanie chronicznym lub zapalnym, nigdy prawie nieprzestawała grasować wśród społeczeństw ludzkich, ucichała tylko chwilowo, kiedy ją zagłuszały wojny zewnętrzne, albo kiedy jedna klasa ludzi brała przewagę nad innemi i mogła czas jakiś władzy swéj używać na stłumienie wszelkich zachcianek reformatorskich czy rewolucyjnych.

I.

Silniejsi i słabsi zawsze obok siebie istnieli na świecie; fakta użycia swéj przewagi dla wyzyskania słabszych, zarówno jak usiło-

wania obrony od przemocy czy wyzysku, są tak stare jak powstawanie społeczeństw ludzkich. Czy to silny łowiec wśród lądu azyatyckiego, czy przemyślny kupiec nad morzem śródziemném, wykwintny Grek czy poważny Rzymianin, każdy w starożytności uważał niewolę za główną podwalinę porządku społecznego, za pierwszą podstawę cywilizacyi; dzieje starożytne wspominają też nieraz o buntach niewolników, które w owych czasach podejmowały po swojemu kwestyą socyalną. Po upadku państwa rzymskiego, kiedy ludy giermańskie z chaosu wędrówek i wojen zaczęły przechodzić do stalszych urządzeń i osiedlać się na roli, niewola trwała jeszcze ciągle, ale ziemię na własność dostawał wojownik i w pojęciach tych ludów własność ziemi była znamieniem człowieka wolnego. Owóż pomiędzy wolnymi znaleźli się właściciele więksi i mniejsi, tj. silniejsi i słabsi. Przy rozmnażaniu się ludności, prastara organizacya rodowa zaczęła się rozluźniać, związek rodowy przestawał zapewniać opiekę i bezpieczeństwo od napaści ludzi obcych; jednocześnie władza wodza naczelnego słabła i nie była w stanie utrzymać spokoju i porządku społecznego, wtedy na wszystkich obszarach zamieszkanych przez ludy giermańskie możniejsi mogli uciskać bezkarnie wolnych, ale uboższych, swych sąsiadów, a wślad zatém, stosownie do usposobienia ludzi i do warunków wśród których żyli, rozpoczęło się zrzekanie się swobody i oddawanie się pod opiekę możniejszego, albo łączenie się słabszych w grupy i związki, celem opierania się przemocy i zabezpieczenia sobie życia niepodległego i bezpiecznego posiadania swéj własności.

Taki był początek staro - germańskich gildyj. Były to związki ścisłe, zaprzysiężone nawet, ożywiał je duch społeczny, panujący dawniéj w rodach, duch wzajemnego szacunku i pomocy między ludźmi wolnymi i wiernymi; celem ich była opieka nad osobami i mieniem członków. Związki takie istniały po wsiach i w miastach, ale w miastach łatwiéj im było utrzymać się i wzmocnić, tam też przetrwały one dłużéj i rozwinęły się o wiele silniéj. W miastach, szczególnie biskupich, mieszkało dużo ludzi wolnych, właścicieli gruntów miejskich; w samych początkach życia miejskiego pełne prawo obywatelstwa wiązało się z posiadaniem ziemi, dla tego też własność ziemska jest cechą najstarszego mieszczaństwa, które obok tego zajmowało się handlem albo rzemiosłem. Bliskość zamieszkania w szczupłym obrębie ułatwiała porozumienie, wspólność interesów ściśléj łączyła wszystkich, pozycya obronna lub mury umyślnie wzniesione ochraniały lepiéj od napadów; więc też tutaj gildye trzymały się silniéj i wzbogacały się, co z czasem ułatwiło im wybicie się z pod władzy książąt i biskupów.

Póki walka trwała, każda jednostka mogła się w niéj przydać, bogatsi więc chętnie łączyli się z uboższymi; ale w miarę stopniowego osiągania niepodległości, stosunki się zmieniały. W czasach spokojniejszych ludzie wzbogacali się prędzéj, szczególnie ci, którzy zajmowali się handlem, dającym zyski obfitsze, handel nie wymagający pracy ręcznéj jak rzemiosło, uważanym był za zajęcie szlachetniejsze; z okolic przybywali do miast nowi osadnicy, zwiększały się różnice majątkowe, co doprowadziło do zamykania się w sobie starych gildyj i do formowania obok nich nowych; dawniejsze jednak zachowywały pierwszeństwo i przodowały wszystkim, powstawał stąd w miastach patrycyat, który przy dziedziczności zacieśniał się powoli w ciało odrębne, arystokratyczne, przypisujące sobie wyłączne prawo przewodniczenia i rządzenia w mieście, na podstawie swego prawa własności gruntów miejskich. W skład téj arystokracyi wchodzili potomkowie starych rodów kupieckich, oraz szlachty okolicznéj w miastach osiadłéj i dawniejszych urzędników książęcych; ludzie ci będąc bogaci, nie potrzebowali pracować, a więc łatwo im było próżnowanie uważać za znamię honorowe stanu obywatelskiego, rzemieślników stopniowo wykluczano z gildyj obywatelskich, tak, że w wieku XII już prawo wyróżniało rzemieślnika od obywatela i pozwalało temu ostatniemu nie tylko wymagać od niego dla siebie uszanowania, ale i karcić go nawet.

Oprócz pewnéj liczby ludzi wolnych, zajmujących się rzemiosłem po miastach, przybywali tam coraz nowi przybysze z pomiędzy właścicieli małych kawałków ziemi w okolicy, których rolnictwo wyżywić nie mogło, a którzy w rzemiosłach znajdowali obfitsze środki do życia. Znaczna téż liczba rzemieślników pracowała na dworach książęcych i biskupich, lub w bogatych klasztorach, ale ci zależeli od swoich panów, byli ich poddanymi (hörige); kiedy zależność poddańcza zaczęła wygasać, ludzie ci, oswobodzając się od prawa dworskiego, osiadali w miastach, gdzie z tego powodu liczba rzemieślników wzrastała szybko. W miastach jednak niechciano ich przyjmować do gildyj, popadali więc w zależność nową od rządzącego mieszczaństwa, które poprostu próbowało zapędzić ich w poddaństwo; za środek do czego służyła policya rzemiosł i targowa; sprawując ją stronnie, znajdowano dużo sposobów uciskania rzemieślników. Nie brakło przy tém usiłowań zwalenia całego ciężaru podatków na biedniejszych; podatki zwiększano a dochody miejskie najczęściéj szły na korzyść rodów patrycyuszowskich. Już w XII wieku w miastach niemieckich wrzała walka rzemieślników z patrycyatem, osłabionym sporami wewnętrznemi o pierwszeństwo, o zaszczyty miejskie lub godności przynoszące dochód większy. Im gę-

ściéj szerzyły się swary u góry, tém ściśléj łączyli się między sobą w oddzielne związki słabsi od patrycyuszów rzemieślnicy. Chodziło im o wywalczenie dla siebie samych prawa policyi i sądu wśród danego rzemiosła, o zabezpieczenie sobie zysków, jakie ciągnęli ze swéj pracy wspieranéj małemi ich kapitałami. Stąd początek cechów rzemieślniczych, które organizują się na wzór gildyj mieszczańskich, w celu ochrony swych zarobków, zysków i swojéj niezależności.

W pierwszych szeregach do walki z patrycyatem stawali bogatsi od innych tkacze. Oni to stanowili w wieku XIII klasę pośrednią między patrycyatem a rzemiosłem właściwém. Zajścia bywały wcale poważne, Brentano cytuje kilka faktów z ich historyi. Tak w r. 1301 w Magdeburgu spalono 10 starszych z cechu tkaczy; w r. 1371 w Kolonii tkacze przegrali bitwę z patrycyuszami, skutki téj przegranéj były tragiczne; na rynku ścięto 33 tkaczy, przetrząsano miasto całe i 1800 ludzi wygnano z żonami i dziećmi, a dom cechowy zburzono. Jednakże ku końcowi wieku XIV wszędzie już uznawano prawo cechów rzemieślniczych do niezależnych sądów i rządów w wewnętrznych sprawach rzemiósł, chociaż niedopuszczano ich jeszcze do zarządu miast. Kupcy w swych gildyach trzymali się korzystnéj dla nich zasady handlu wolnego, rzemieślnicy zaś chwycili się polityki opieki nad zarobkiem, niedopuszczając na rynki swoje wyrobów z miast obcych i ograniczając liczbę warsztatów dla uniknienia miejscowego współzawodnictwa.

Jednocześnie niemal z osiągnięciem niezależności, cechy rzemieślnicze zaczynają się zamykać, majstrowie chcą dla siebie wyłącznie zatrzymać korzyści przemysłu, te usiłowania majstrów doprowadzają do formowania się nowego stanu robotników. Jeszcze w początkach wieku XIV czeladnik nie różnił się od majstra prawami, tylko stopniem umiejętności, czeladź nie stanowiła osobnéj klasy lecz była czasowym stanem przejścia; majster sam pracował z czeladzią, czeladnik jako przyszły majster społecznie niczém się nie wyróżniał od swego przewodnika, brał udział w naradach cechowych i głosował tam na równi z innymi. Ale wzrastający popyt na wyroby przemysłu, otwierał drogi szerszego rozwoju, przy którym do prowadzenia rzemiosła potrzebnym się stawał coraz większy kapitał i większa ilość rąk roboczych; odkrywające się zarobki ściągały robotników do miast, byli oni potrzebni majstrom, jednakże w każdym z nich można było obawiać się przyszłego spółzawodnika; wydawano więc przepisy porządkowe stanowiące, że czeladnik nie syn majstra, ani żonaty z jego córką lub wdową, nie może być majstrem, jeżeli nie wykaże majątku dostatecznego do założenia

warsztatu. Skutki tego okazują się w mnożącéj się liczbie robotników, których interesa zaczynają stawać w sprzeczności z interesem majstrów, jakoż w XIV jeszcze wieku znajdują się ślady sporów pomiędzy temi dwoma stanami; krawcy wiedeńscy np. nie pozwalają czeladnikowi opuszczać majstra na dwa tygodnie przed świętami, kowale londyńscy nie pozwalają uczyć robotników tajemnic rzemiosła. W połowie XIV wieku dżuma nawiedziła całą Europę, po dżumie robotnicy widząc swą liczbę znacznie zmniejszoną, wymagali wyższéj zapłaty za pracę, ale postanowienia cechowe nakazują im pracować za dawniejszą cenę. Zajścia z tego powodu musiały bywać wszędzie, bo ku końcowi XIV wieku zjawiają się już między robotnikami związki braterskie, które organizują się na wzór cechów.

W zakres cechów, oprócz interesów rzemiosła wchodziły rozliczne stosunki towarzysko-społeczne: jak wspólne nabożeństwa i uczty, opieka nad chorymi, co w owych czasach znaczyło pielęgnowanie ich, a także grzebanie zmarłych. Wzbogaceni majstrowie, niechętnie zapewne dopuszczali czeladników do równości towarzyskiéj, bo pierwsze związki pomiędzy robotnikami powstają właśnie dla tych celów towarzyskich i miłosiernych, a majstrowie chętnie ułatwiają im urządzanie się, zatwierdzają statuta, uważają stowarzyszenia podobne za instytucye dodatkowe, uzupełniające organizacyą cechów. Jednakże robotnicy, zbliżeni pomiędzy sobą, niebawem rozponawali odrębność swych interesów, bo zaraz słychać narzekania majstrów na narady czeladników około sposobów podwyższenia zarobków, i w ślad za tém cechy nakazują ażeby majstrowie przewodniczyli na zgromadzeniach czeladników. Pomimo to w rzemiosłach silniéj rozwiniętych, pomiędzy sukiennikami, cieślami, mularzami we Francyi, w Anglii i w Niemczech ku schyłkowi XIV wieku są ślady formalnych bezroboci, w skutek już których korporacye mieszczańskie biorą tę sprawę w swe ręce i stanowią, że w sprawach między majstrem a czeladnikiem rozstrzygać mają starsi cechowi, co znaczy, że majstrom przyznano prawo rządzenia robotnikami, pozostawiając im możność odwoływania się od decyzyi starszych cechu do burmistrzów i ławników.

Z czasem przewaga kapitału staje się coraz wyraźniejszą, coraz to nowe przepisy podnoszą opłatę za naukę, przedłużają jéj czas, uczeń wyzwolony na czeladnika musi coraz dłużéj wysługiwać się nim go dopuszczą do godności majstra, a przytém wymagają od niego kosztownych majstersztyków, zbytkownéj uczty, wykazania przodków w rzemiośle, narzeczonéj uczciwéj, która-by też przodków mogła wykazać; synowie zaś majstrów i krewniacy znajdują wszelkie ułatwienia. W ciągu XV wieku przebija się wy-

rażna dążność do monopolizowania rzemiósł w rodzinach, a jak powiada Brentano: „sklep, piekarnia, browar, jatka rzeźnicza, warsztat kowalski lub szewcki miały podobieństwo do prebendy, ale dostawały się stosunkowo trudniéj a były korzystniejsze, bo mogły być dziedziczone“.

Majstrowie rozwielmożnieni zażywali w cechach samorządu zupełnego, pomiędzy sobą spierali się i prawowali, ale wynajdywali coraz to nowe sposoby utrzymania robotników w zależności. Czeladnicy broniąc się, wprowadzają zwyczaj wędrówek, utrzymują więc między sobą stosunki w całym kraju i ze składek zbierają dość znaczne nawet sumy pieniędzy, któremi wzajemnie się wspierają. Bezrobocia zaczynają się urządzać poważniéj, w Magdeburgu np. w r. 1600 majstrowie musieli przystać na podwyższenie zarobków.

Około tego czasu powstaje siła nowa zorganizowanego państwa nowożytnego, która władzę podzieloną pomiędzy wielu i ściśle miejscową bierze w swe ręce, ona też ogranicza autonomią cechów i podejmuje pracę ustawodawstwa dla nich. Władza państwowa szanowała interesa miast, widząc w nich źródło dochodów dla siebie, cechy zaś uważano wtedy za najskuteczniejszy środek podniesienia przemysłu a więc i bogactwa, nie zniesiono cechów, ale dotychczasowe ich ustawy porządkowano i nakazano ścisłe ich spełnianie. Taki charakter miało w Anglii prawo Elżbiety z r. 1562 i we Francyi późniejsze edykta Colberta z lat 1663 i 1673, które stosunek majstrów do czeladzi regulowały stałemi przepisami, poruczając władzom sądowym lub administracyjnym kontrolę nad ich spełnieniem.

II.

Prawo Elżbiety z r. 1562 nazwane *prawem o uczniach*, nie przynosiło nic nowego, sankcyonowało tylko uporządkowane stare przepisy cechowe, w ciągu lat kilkuset stanowione zawsze w interesie majstrów. Główne prawa tego artykuły orzekały: że nikt kto nie odbył lat siedmiu nauki nie ma prawa zajmować się rzemiosłem, ani prowadzić przemysłowego przedsiębiorstwa w charakterze majstra czy robotnika; każdy majster-gospodarz obowiązany był przyjmować uczniów, kto miał ich trzech musiał trzymać przy nich jednego czeladnika, a na każdego ucznia wyżéj trzech znowu osobnego czeladnika; umowa z czeladnikiem musiała być roczna, z kwartalnym naprzód wypowiedzeniem jéj z każdéj strony, dzień roboczy latem wynosił godzin 12, zimą zaś od wschodu do zachodu słońca; opłatę robotników oznaczał corocznie sędzia pokoju lub magistrat, te same władze miały opiekować się uczniami i rozstrzygać spory pomiędzy

nimi a majstrem. Pominąwszy dalsze przepisy szczegółowe, widzimy już z tego, że prawo wykluczało od roboty w rzemiosłach każdego kto nie odbył siedmioletniéj nauki, a więc zmniejszało liczbę rzemieślników i zabezpieczało im zyski pewne, ale obok tego ustalało pozycyą czeladników wyuczonych, którzy przy małéj ilości uczniów mieli zapewnione zarobki stałe, a długi termin umowy dawał im rękojmię dochodu trwałego, tém bardziéj, że magistraty i sędziowie pokoju mieli wyznaczać opłatę, wystarczającą na utrzymanie. Majstrowie więc zarówno jak czeladnicy byli z tego prawa zadowolnieni, ale samo rozwijanie się rzemiósł niosło z sobą opozycyą przeciwko tym przepisom. Większe zyski rzemieślników skłaniały ich do powiększenia warsztatów, a zatém do ściągania do siebie robotników. Kto posiadał kapitał większy i chciał go użyć korzystnie w przemyśle unikał nauki siedmioletniéj, bo jemu chodziło o zysk z majątku a nie z umiejętności, a jeżeli sam przebył naukę nie chciał najmować czeladników wyuczonych, którym musiał płacić drożéj, owszem starał się nabierać jaknajwięcéj uczniów, bo z tych w lat parę miał już robotników dostatecznie biegłych. Umowa roczna z robotnikiem mogła być dogodną dla majstra sprzedającego swój towar na miejscu w pewnym ograniczonym promieniu, bo w takim razie można było przewidzieć potrzebowanie i urządzić się odpowiednio, ale skoro wyroby angielskie zaczęto wywozić zagranicę, trzeba było, w razie zmniejszenia się popytu, wyrabiać mniéj, a zatém robotników uwalniać w każdym czasie, trzeba téż było przy zwiększonym popycie mieć środek zciągania robotników do swych warsztatów, podwyższając im zarobki, a tego niedopuszczała jednostajna dla całego rzemiosła taksa robocza, utrudniała téż ona w wysokim stopniu zniżanie zarobków, czego próbowali przedsiębiorcy, żeby ułatwić sobie spółzawodnictwo obniżeniem ceny wyrobu. Ulepszenia techniczne w narzędziach, za które trzeba było płacić drożéj, prowadziły do wymagania dłuższego dnia roboczego, żeby drogie narzędzie prędzéj się mogło wypłacić. Wszystkie te interesa ludzi bogatszych stawały w sprzeczności z prawem Elżbiety i już w XVII wieku kapitaliści domagają się zniesienia tego prawa i nie mieszania się urzędów do umowy o robotę. Majstrowie cechowi, którym fabryki na większą skalę urządzane groziły ruiną, stają w obronie praw cechowych i wtedy już toczyła się walka pomiędzy małym a dużym kapitałem. Na korzyść tego ostatniego, oprócz doskonalenia przyrządów dającego możność wyrabiania tańszego, obraca się jeszcze ścisłe, a raczéj ciasne, czysto angielskie pojęcie o legalności, powodując się nim władze sądowe i prawodawcze stosowały prawo Elżbiety o uczniach jedynie do rzemiósł, które

istniały przed r. 1592 i do miejscowości w których one istniały. Kapitaliści wynoszą się z miast starych i w miejscach gdzie prawo nie obowiązuje urządzają warsztaty na wielką skalę, Birmingham i Manczester temu obowiązane swój wzrost prędki.

Wolne umowy o cenę i o warunki pracy były korzystne nie tylko dla kapitalistów, ale i dla tych z pomiędzy robotników którym wyższe uzdolnienie lub zręczność dawały możność wymagania zapłaty wyższéj, w tym kierunku swoboda od przepisów działała pomyślnie, była bodźcem do coraz nowych usiłowań i ludzi wyróżniających się z pośród ogółu prowadziła z czasem na stanowiska wyższe majstrów lub nawet przedsiębiorców; ale masie robotników przeciętnych nie zdawała się być rzeczą pożądaną, wprowadziła chwiejność zarobków a nieraz i brak roboty. I oni próbowali się bronić, najprzód na drodze legalnéj domagali się ustanowienia taksy na pracę i utrzymania mocy obowiązującéj dla prawa o uczniach, ale sędziowie i parlamenta odrzucają ich skargi i petycye; widząc bezskuteczność zabiegów prawnych, próbują własnéj siły, rzucają się do kroków gwałtowniejszych podnoszą bunty, palą warsztaty, i starają się urządzać bezrobocia.

Straszne to narzędzie wojny używane już dawniéj przez czeladników, teraz przy ogromnie zwiększonéj liczbie robotników, nie związanych pomiędzy sobą żadnemi węzłami wspólności oprócz interesu w podwyższeniu zarobków i nienawiści do przedsiębiorców, przy nieumiejętném kierownictwie, działało w sposób niszczący na obie strony; pomimo to jednak ci którzy ze swych zarobków wyżyć nie mogli chwytali się go coraz częściéj. Zmowy na bezrobocia były miejscowe, działały bardzo krótko, porzucano robotę w jednéj fabryce, szukano pomocy u robotników innych fabryk, ci zbierali pomiędzy sobą składki, ale przy małych środkach długo wspierać nie mogli towarzyszy, którzy musieli zdawać się na łaskę przedsiębiorców i przyjmować nieraz warunki gorsze od tych, przeciwko którym protestowali. Nauczeni ciężkiém doświadczeniem przemyśliwiali nad urządzeniem stowarzyszeń trwałych, gdzie składki pobierane stale mogłyby dostarczyć środków na procesa legalne i podtrzymanie bezrobocia. Szło to jednakże bardzo ciężko, kapitaliści ciągle brali górę i nieprzestawali zaskarżać robotników o zamachy na porządek społeczny, na pokój domowy. W końcu XVIII wieku walka zaogniła się jeszcze silniéj, bo przedsiębiorcy stawali już do niéj z bronią stokroć silniejszą niż dotąd: usługę tę wyświadczyły im wynalazki Arkwrighta i Watta.

W r. 1767 Ryszard Arkwright zbudował prządkę mechaniczną, zaraz potém w północnych hrabstwach Anglii, nad brzegami rzek

pobudowano całe szeregi ogromnych budynków, w których pomieszczono machiny i do których zewsząd ściągano, już nie samych tylko robotników, ale dzieci i kobiety, do lekkiéj roboty pilnowania mechanizmu. Parafie z domów ubogich, dostarczały dzieci, a dostarczały ich darmo, nawet płaciły za to że je brano; fabrykanci obowiązywali się utrzymywać je lat siedm, przypisywali ich do fabryki jako część inwentarza, i zdarzało się, że były one razem z fabrykami sprzedawane przez licytacyą. Machiny pracowały dzień i noc, urządzano dwie zmiany dzieci, które kolejno po 6 godzin stały przy machinach, tak że najkrótsza ich robota trwała 12 godzin na dobę, a dochodziła do 15 i 17 godzin. Naturalnie, że te nowe urządzenia pozbawiły zarobku całe masy robotników, którzy znowu, doprowadzeni do rozpaczy, nieprzebierali w środkach nasycenia swéj nienawiści ku fabrykantom a zarazem jak sądzili dopomożenia sobie w znalezieniu roboty; jawne gwałty i niszczenie machin stawały się coraz częstsze: ludzie bogaci dopatrywali przyczyny złego w zmowach robotników i w r. 1800 przeprowadzili w parlamencie prawo zabraniające robotnikom wszelkiéj zmowy czy stowarzyszenia w celach podwyższenia zarobków.

Z drugiéj jednak strony, w obec coraz większéj nędzy szerzącéj się wśród klas roboczych, opinja publiczna zaczęła się niepokoić. W ostatnich latach w. XVIII w Lancashire panowały uporczywie gorączki zaraźliwe, zwróciło to uwagę całego kraju, zarządzono śledztwo urzędowe i ku zgrozie publiczności wykryto źródło i gniazdo zarazy w tych fabrykach, gdzie całe kupy dzieci na wpół głodnych i niewyspanych pilnowały nitek rwących się na warsztatach. Wtedy okrzyk oburzenia powstał w całéj Anglii, lat parę nie ustawały dyskusye nad szkodliwością fabryk i niecnotą fabrykantów, którzy krzywdzą biedne dzieci i urządzają rozsadniki zarazy grasującéj potém swobodnie—nawet pomiędzy ludźmi zamożnymi. Pod wpływem tego usposobienia w r. 1802 na wniosek Roberta Peela parlament postanowił, że sędziowie pokoju mają rozciągnąć opiekę nad uczniami z parafii do fabryk oddanemi. Akt parlamentu uspokoił opinią, ale władza sędziów pokoju była bodaj zbyt słabym czynnikiem w walce z interesem fabrykantów, bo na ogół rzeczy wcale się nie zmieniły.

Tymczasem Watt zbudował machinę parową, która fabrykantom pozwoliła nie szukać już rzek i strumieni, budowali więc nowe fabryki w miastach, a tu nie potrzebowali już zciągać dzieci z domów ubogich po parafiach, ale ojcowie sami wynajmowali je chętnie i posyłali do fabryk swe żony, szczęśliwi, że sami niemając ro-

boty, mogli za pracę dzieci i żon dostać chociażby kawałek suchego chleba.

Machina parowa otwierała kapitalistom widoki zysków olbrzymich; chcąc mieć przed sobą drogę zupełnie swobodną, zaczęli się powoływać na teorye nowéj nauki, która, chociaż z innych powodów, dowodziła konieczności oswobodzenia pracy. Adam Smith wydał swe dzieło w r. 1776, domagał się w nim swobody pracy w interesie robotników, znajdując, że najwyższą dla nich krzywdą był obowiązek pracowania prawie darmo w ciągu lat siedmiu w charakterze uczniów, kiedy nauka co najwyżéj paru lat czasu wymagała; że krępowanie czeladników rozlicznemi przepisami co do wykonywania roboty i narzucanie im urzędowéj ceny za pracę pozbawia ich samoistności i zniechęca do pracy starannéj, któraby mogła być drożéj opłacaną. Kapitaliści angielscy, którym prawo Elżbiety, jakkolwiek od dawna już nie wykonywane, zawsze jednak bruzdziło w ich kombinacyach przemysłowych, pochwycili argumenta Smitha z najwyższym zapałem, i już pod hasłem dobra ogólnego a nie swego interesu domagali się usunięcia wszelkich ścieśnień w rzemiosłach i przemyśle; odnieśli też zwycięstwo, bo w r. 1814 parlament przekonany o potrzebie reformy, a nie wiedząc jak do niéj przystąpić, zniósł poprostu prawo Elżbiety z r. 1592 i ogłosił zupełną swobodę pracy, nie mięszanie się władzy rządowéj w umowy pomiędzy przedsiębiorcą a robotnikiem.

Kiedy w roku wydania dzieła Smitha, z porady Turgot'a edykt królewski znosił cechy we Francyi, lud paryski powitał nowe prawo okrzykami radości, uprzywilejowani zaś oburzyli się na taką zuchwałość i za ich wpływem w krótkim czasie wrócono do dawnego porządku. Robotnicy angielscy przeciwnie powitali najwyższém niezadowoleniem zniesienie prawa cechowego. W Paryżu w r. 1776 nie było jeszcze wielkich fabryk, machina parowa jeszcze nie była wynalezioną, prządkę mechaniczną Arkwrihgta w Anglii jeszcze tylko próbowano stosować do urządzeń fabrycznych na większą skalę, robotnicy więc paryscy, pracujący pod ferułą cechowych przepisów, mieli powód radowania się z zapowiedzianéj swobody, która im lepszą przyszłość obiecywała. W r. 1814 robotnicy angielscy już byli wyprobowali stosunki, wywiązujące się w fabrykach urządzanych przez wielkich kapitalistów, a czując się w obec nich słabymi, pragnęli jakiéjkolwiekbądź opieki i ze smutkiem przyjęli nowe prawo, które ich pozbawiało możności legalnego odwoływania się do władzy.

Prawo Elżbiety z dawien dawna nie było wykonywane w ogromnéj większości osad fabrycznych, a więc i zniesienie jego nie pociągnęło za sobą skutków praktycznych ogólniejszego znaczenia; ale

nowy akt parlamentu wywierał wpływ czysto idealny, z czasem oddziałał on na pojęcia o stosunkach społecznych. Praca ludzka w obliczu prawa miała być uważana za towar, do warunków jéj kupna i sprzedaży ani władza ani prawo mięszać się nie mogły, ale zarazem robotnik został uznany, nie jak dawniéj za sługę, lecz za równego pracodawcy, z którym wchodził w umowę. Oba te pojęcia prowadziły do coraz wyraźniejszego przedziału pomiędzy interesem robotnika i pracodawcy, do coraz jaśniejszego przez robotników rozumienia solidarności swoich interesów i przez mnóstwo zajść, ścierań się, strat materyalnych, cierpień fizycznych i moralnych, po latach sześćdziesięciu doprowadziły do wyraźnego zgrupowania się tych dwóch sił społecznych, do uznania przez nie nawzajem siły i znaczenia przeciwnika i postawiły ich na stanowisku realniejszéj równości, na którém mogą dochodzić do kompromisu i zgody.

Kiedy w r. 1800 wzbroniono robotnikom koalicyi i wszelkich zmów w celach podwyższenia zarobków, nie powstrzymało to ich bynajmniéj od usiłowań w tym kierunku, a jak wszelkie prawo represyjne wywołało tylko ten skutek, że zaczęto robić skrycie co dotychczas robiono otwarcie. Pod firmą wzajemnéj pomocy organizowały się daléj towarzystwa zbierające składki, w tajonym już celu wspierania bezrobocia, tylko, dążąc do rzeczy odtąd prawu przeciwnéj, chwytano się dla własnego bezpieczeństwa środków gwałtowniejszych, któreby teroryzując zarówno swoich jak przeciwników, utrzymywały karność w szeregach robotników, a postrachem zniewalały fabrykantów do ustępstw. Zmuszanie do składek, rozkazy porzucania roboty, popierane były coraz gęściéj biciem a nawet morderstwem, podpalania fabryk i niszczenie machin stawały się rzeczą zwyczajną.

Około roku 1815 Robert Owen, bogaty fabrykant, rozpoczął agitacyą za wprowadzeniem dziesięciu-godzinnego dnia roboczego, popierając ją przykładem wzorowego urządzenia własnéj fabryki w New-Lannark, i całym systemem ekonomiczno-filozoficznym dążącym do własności wspólnéj, a opartym na moralném kształceniu człowieka. Opinja publiczna znowu zaczęła się przechylać na stronę robotników, przeprowadzane śledztwa parlamentarne wykrywały fakta czystéj niesprawiedliwości w sądach, do roku 1823 niebyło ani jednego wypadku wymierzenia kary na fabrykanta za należenie do koalicyi przeciwko podwyższeniu zarobków, kiedy robotników nie tylko skazywano na duże kary, ale oskarżonych więziono albo na samą rękojmię stawienia się przed sądem wymagano od nich kaucyj dochodzących do 200 f. str. Statyści angielscy zaczęli rozpoznawać, że prawo zabraniające koalicyi prędzéj złe aniżeli dobre wywołuje

skutki i po dyskusyi ciągnącéj się dwa lata w r. 1824 prawo to zniesiono, ustanawiając jednak w ślad zatém osobne kary za zbrodnie mające związek z koalicyami, bo nie można się było spodziewać, ażeby zakorzenione już w obyczajach gwałty prędko same ustały.

Od roku 1824 rozpoczyna się tolerowanie związków robotniczych, które naturalnie mnoży je i daje im możność coraz lepszego organizowania się. Pomiędzy pracą a kapitałem zawiązuje się coraz gorętsza walka, komplikowana przez długie lata agitacyą polityczną; dopiero w r. 1871 miała ona doprowadzić do przyznania związkom robotniczym charakteru korporacyj prawnych i przez to poddać je warunkom prawa pospolitego.

W pierwszéj ćwierci naszego wieku przemysł angielski, jakkolwiek rozwijający się żywo przy pomocy machiny parowéj, przechodził jednak ciężkie koleje, które oczywiście oddziaływały o wiele zgubniéj na robotników niż na kapitalistów. Ciągła wojna odrywała ludzi od roboty, a po każdéj skończonéj kampanii rzucała ich znowu, odzwyczajonych od pracy, na rynek, na którym roboty prawie nie można było znaleść, gdyż olbrzymie wysilenia finansowe dla podtrzymania wojny pochłaniały kapitały, systemat zaś kontynentalny zamykał odbyt wyrobom angielskim a jednocześnie podnosił do najwyższego stopnia cenę chleba i wszystkich niezbędnych do życia produktów. Kiedy po uspokojeniu Europy zaczęto spodziewać się lepszych czasów, stronnictwo liberalne agitujące na korzyść reformy wyborczéj, obiecywało, dla zjednania sobie poparcia, pomyślność ogólną w razie przyjścia do skutku reformy, ale nadeszła ona w r. 1832 i dopuściła do wotowania tylko część zamożnego mieszczaństwa, a przywódcy Whigów ogromną większością ogłosili w parlamencie że na tém już koniec, że daléj posuwać reform nie można. Zawiedzeni w nadziejach radykaliści rozpoczęli nową agitacyą na korzyść głosowania powszechnego.

Z drugiéj strony, nauka Owena o wspólności interesów fabrykanta i wyrobnika, o wspólnéj własności zarówno narzędzi do pracy jak i wyrobu, o wpływach moralnych, o skuteczności wszelkiego działania wspólnemi siłami, propagowana od lat blisko dwudziestu, zjednała już sobie wielu zwolenników, którym wprawdzie nie udawały się próby zakładanych przez nich kolonij rolniczo-przemysłowych opartych na własności wspólnéj, którzy jednak uczyli ludzi ubogich łączenia swych sił w stowarzyszenia na mniéj radykalnych zasadach. Zaczęły się zawiązywać towarzystwa spożywcze, kredytowe, wytwórcze nawet, a chociaż to wszystko nie oddziaływało na punkt najważniejszy, na węzeł życiowy kwestyi robotniczéj, na wysokość zarobków, jednakże kierowało usiłowania na drogi nowe,

wskazywało, że i najsłabsi mnożą swe siły używając ich zgodnie w celach dla wszyskich użytecznych.

Obok tego w r. 1834 parlament skasował istniejące od lat trzechset blisko przytułki parafialne dla ubogich i nakazał urządzenie domów roboczych, w których nędzarze znajdowali przytułek pod warunkiem pracy przymusowéj. Przy naprężonych stosunkach ekonomicznych, częstych a zawsze prawie nieudałych bezrobociach, przy wydalaniu robotników z powodu zaprowadzania coraz to nowych machin, wielka ich ilość znajdowała się w ciężkiéj alternatywie wyboru pomiędzy nędzą i niemal śmiercią głodową a wszystkiemi okropnościami pracy przymusowéj. Rzucali się więc całemi masami do ruchu i agitacyi na korzyść reformy, ale dowodzili jéj potrzeby i opierali konieczność: nie na kwestyi metafizycznéj o tem czy wola ludzka jest wolną lub nie, nie na doktrynerskich argumentach o prawie ludu do wybierania swych prawodawców, ale na twierdzeniu arcy popularném: że każdy człowiek ma prawo być sytym i odzianym. Wszystkie te trzy prądy zlały się w jeden olbrzymi ruch chartystów, który lat kilkanaście niepokoił całą Anglią.

W roku 1837 spisana w kółkach robotników londyńskich wielka *charta* ludu, domagała się praw w sześciu punktach krótko streszczonych: głosowanie powszechne i tajne, równe okręgi wyborcze, obieralność każdego pełnoletniego mężczyzny, parlamenta coroczne, diety deputowanych. Lat dwanaście była ona ewangelią robotników, bo przywódcy ruchu tłómaczyli im, tak samo jak w lat trzydzieści potém Lassale nad Renem, że reforma odda im w ręce rządy kraju, że charta znaczy: mieszkanie ciepłe, życie wygodne, jedzenie obfite i krótki dzień roboczy.

Agitacya chartystów przez lat kilkanaście przechodziła różne koleje, nie brakło wśród niéj scen krwawych, utarczek z wojskiem, zbrodni tajnych, zarówno jak i propagandy legalnéj. Zakończyła się ona w r. 1848 wielkim fiasko zapowiedzianéj sceny niesienia do parlamentu petycyi z kilku miljonami podpisów, która to scena niepowiodła się kompletnie, i zachwiała ostatecznie wiarę klas roboczych w agitatorów politycznych.

III.

Do uspokojenia się umysłów, do wygasania rewolucyjnego ducha chartyzmu, przyczyniło się bodaj najskuteczniéj rozwijanie się silniejsze i działanie z każdym rokiem skuteczniejsze stowarzyszeń i związków pomiędzy robotnikami, które około tego czasu przybie-

rają formy swe dzisiejsze i coraz ściślejszym węzłem solidarności jednoczą liczne grupy ludzi, znajdujących w téj organizacyi nie tylko opiekę i pomoc w potrzebie, ale kierownictwo i wskazówki postępowania we wszystkich ważniejszych chwilach życia.

Udzielone w r. 1824 robotnikom pozwolenie stowarzyszania się, oddziałało korzystnie szczególniéj na więcéj rozwiniętych i oświeconych, którzy przewidywali możność skupienia sił rozproszonych pod opieką organizacyi legalnéj. Naturalnie pierwszym celem związków było wytargowanie czy wywalczenie wyższéj opłaty za dzień pracy, środkiem najprościéj do tego wiodącym zdawało się wypowiedzenie wojny przedsiębiorcy tj. bezrobocie. Jednakże stowarzyszenia zawiązywane w oddzielnych miejscowościach nie mogły być bardzo liczne, składki zbierane okolicznościowo na podtrzymanie bezrobocia dawały środków nie wiele, które wyczerpywały się bardzo prędko i fabrykant, wyczekując czas jakiś, pewny był zawsze zwycięstwa. W każdém stowarzyszeniu robotników decydowano o interesach na zebraniu wszystkich stowarzyszonych, chodziło tu zwykle o wspólne wszystkim warunki roboty, o wysokość składek, o użycie pieniędzy zebranych, w każdéj miejscowości rządzono się więc według własnego pojęcia o warunkach w jakich rzemiosło mogło prosperować. Pierwsze kroki na tym polu samopomocy zbiorowéj okazały się bardzo trudne i mało skuteczne. Nie zrażało to jednak charakterów energiczniejszych i umysłów bystrzejszych, obdarzeni niemi robotnicy nie przestawali przemyśliwać i pracować nad ulepszeniem i wzmocnieniem stowarzyszeń, a chociaż przypatrywali się agitacyi rewolucyjnéj chartystów ze współczuciem sympatycznėm, nie zaniechali swéj pracy w słusznėm przewidywaniu, że burza przeminie a skutki działania spokojnego pozostaną i okażą się zapewne trwalszemi.

Około r. 1830 robiono już próby urządzenia federacyi pomiędzy stowarzyszeniami jednego rzemiosła w rozmaitych okolicach kraju, ale te nie miały powodzenia: rozchodziło się najczęściéj o to, że każda grupa chciała być samodzielną, sądziła że rozumie lepiéj interes ogólny, a skoro nikt niechciał ustąpić nie mogło być działania wspólnego. W kilka lat potém sprobowano innego sposobu. W miejscach większego skupienia fabryk jakiéj gałęzi przemysłu, stowarzeszenie robotników bywało liczniejsze a więc bogatsze i silniejsze, skoro się zdarzało że z takich miejscowości robotnik wydalał się dla szukania roboty gdzieindziéj, polecano mu aby przybywając na nowe siedlisko, starał się pomiędzy tamecznemi robotnikami zawiązać filją czy gałęź stowarzyszenia, do którego w miejscu rodzinném należéć nieprzestawał. Nowa korporacya przez to samo już była zsoli-

daryzowana ze starszą, wchodziła z nią w stosunek stały, mogła korzystać zjéj doświadczenia, szukać u niéj rady i pomocy, a w razie potrzeby i możności sama mogła okazać pomoc. Odnalazłszy tę drogę łączenia się naturalnego, szybko się po niéj posuwano i po latach kilkunastu około r. 1850 wszystkie niemal rzemiosła w Anglii miały już liczne stowarzyszenia miejscowe, połączone pomiędzy sobą stosunkami wzajemności i kierownictwa wspólnego, co nadawało im charakter prawdziwych związków silnie zorganizowanych, na ten czas właśnie przypada upadek ruchu chartystów i usuwanie się robotników od wszelkiéj agitacyi politycznéj.

Związkiem takim kierowało koło delegatów, wybieranych w każdéj miejscowości, zjeżdżających się co lat dwa i stanowiących o interesach ogólnych; załatwianie interesów bieżących poruczano jednemu ze związków miejscowych, zwykle najstarszemu co do czasu powstania. Ale ten rodzaj zarządu okazał się zamało sprężystym a zatém niedostatecznym, więc po kilku latach doświadczenia nadano zarządowi formę jego dzisiejszą. Delegaci mianują komitet wykonawczy i sekretarza generalnego, którzy w pewnych odstępach czasu składają im sprawozdanie ze swych czynności; stowarzyszenia miejscowego kierownikiem jest sekretarz miejscowy, utrzymujący stałą korespondencyą z sekretarzem generalnym. Naczelne stanowisko w związku zajmuje więc sekretarz generalny, a że tu chodzi o wybór jednéj osoby pomiędzy wszystkimi robotnikami danego rzemiosła w całym kraju, łatwo więc osadzać te miejsca ludźmi zdolnymi i oświeconymi, którzy zostając w stałym porozumieniu ze wszystkiemi w kraju związkami, mają możność zapatrywać się ze stanowiska wyższego na stosunki każdéj miejscowości, rozumiéć je lepiéj i rządzić się poglądami korzyści ogólnéj robotników całego swego przemysłu.

Następnie zaprowadzono jedność kasy dla całéj korporacyi; składki, w początkach dobrowolne i czasowe, przy lepszém urządzeniu zaczęto oznaczać i pobierać stale; zwiększone dochody pozwoliły dawać pomoce w wypadkach choroby lub kalectwa i w miarę potrzeby wyświadczać inne usługi; wszelkie wydatki dokonane gdziekolwiekbądź szły na rachunek ogólny, co pół roku obliczano się i pozostałe fundusze dzielono pomiędzy wszystkie stowarzyszenia miejscowe w stosunku do liczby uczestników, przyznając im własność odpowiedniéj sumy. Jednomyślne działanie związków zwiększyło w znacznym stopniu regularność zarobków, co znowu pozwoliło stosować wysokość składek do potrzeby wykrytéj doświadczeniem. Jeżeli składki stałe nie wystarczają na czasowo zwiększające się wydatki zwyczajne, a także przy wypadkach nadzwyczaj-

nych, członkowie obowiązani są dawać składkę do wysokości potrzebnéj, tak żeby wszelkie szczerby w kasie mogły być zapełnione.

Wzrost liczebny i zwiększenie funduszów pozwoliły związkom rozszerzyć swe działanie; w początkach występowały one jako szeregowanie sił roboczych w celach wojny z kapitałem, z czasem objęły kierunek wszystkich spraw przemysłu o ile one tyczą się robotników, dzisiaj są one w Anglii korporacyami pełnemi siły żywotnéj i stanowią dopełnienie swobód obywatela angielskiego, bo każdemu robotnikowi angielskiemu dają w jego słusznych żądaniach poparcie siły zorganizowanéj tysięcy ludzi dążących świadomie ku celowi jasno wytkniętemu. Naturalnie celem ich ostatecznym, jeżeli nie jedynym, jest podwyższenie zarobku, opłaty za pracę w fabrykach pobieranéj—*żołdu pracy* jak to na zachodzie Europy nazywają. Jednakże obrabianie tego interesu na wielką skalę, doprowadziło związki robotnicze do przeświadczenia, że bezrobocie nie jest najskuteczniéj ku temu wiodącym środkiem; środek to ostatni, używany dopiero wtedy kiedy żadne inne nie pomagają; ale jako zbyt kosztowny, prowadzący za sobą straty ogromne i ruinę wielu osób, a tém samém narażający siłę związku i jego znaczenie, służy on więcéj za postrach, i dzisiaj uciekają się doń tylko po długim namyśle, i po wyczerpaniu wszystkich innych. Tutaj tak samo jak w stosunkach międzynarodowych, dyplomacya oparta na sile realnéj i dokładnéj znajomości położenia strony przeciwnéj, często zapobiega wojnie niszczącéj.

W znaczeniu naukowo-ekonomiczném działanie związków robotniczych przedstawia się jako zrównoważenie, o ile to być może przy danych warunkach rynku, szans we spółzawodnictwie pomiędzy pracodawcami a robotnikami. Prawo nowoczesne uznaje pracę pełnoletniego mężczyzny za towar, o kupno i sprzedaż którego strony swobodnie między sobą się umawiają, cenę tego towaru na każdym rynku oznaczać ma stosunek podaży do popytu i konkurencya zarówno wolna pomiędzy ofiarującymi jak i poszukującymi towaru. Otóż wiadomo, że w tym targu o cenę roboty kapitalista fabrykant ma za sobą o wiele więcéj szans aniżeli robotnik pojedynczy; robotnik potrzebujący zarobić na życie nie może zmniejszyć podaży swego towaru, kiedy kapitalista, w dwóch wypadkach na trzy przynajmniéj, może zmniejszać popyt dowolnie i przez to narzucać robotnikowi swoje warunki. Otóż działanie związków robotniczych zależy na tém, że, do pewnego stopnia, dają one robotnikowi możność usuwania swego towaru z rynku w razie zbytniéj jego obfitości; wspierając go czasowo lub przenosząc w inną miejscowość, gdzie nie ma przepełnienia.

Praktyczny zmysł anglików naprowadził ich tu na drogę na któréj rzeczy te dokonywać się mogą bez silnych starć pomiędzy stronami. Związki robocze nie mięszają się zgoła do umowy pomiędzy robotnikiem a pracodawcą, ale nie przyjmują do związku człowieka, który nie zarabia tego co w danéj okolicy stanowi cenę średnią panującą w tym fachu. Więc od żądającego przystąpić do związku wymagają dowodu, że zarabia tyleż co wszyscy dobrzy robotnicy i że odbył naukę rzemiosła, a oprócz tego musi przedstawić poręczenie dwóch członków związku, że jest robotnikiem dobrym. Robotnicy nieumiejętni, niedbali albo leniwi krępują w robocie wprawnych i starannych, a mniejsze ich zarobki służą często pracodawcom za pretekst do prób zniżania zarobków wogóle. Jeżeli więc nowoprzyjęty członek nie może zarabiać stale sumy oznaczonéj, bywa usuwany; jeżeli zaś sądzi, że robota jego warta więcéj aniżeli ogólna cena normalna, a związek to uznaje, pracodawca zaś niechce mu płacić ceny wyższéj, opuszcza wtedy fabrykę i otrzymuje od związku pomoc na czas póki nie znajdzie roboty, to się nazywa podarunkiem; jeżeli związek nie uzna że robota jego warta więcéj a pomimo to fabrykę opuszcza, podarku nie dostaje. Jeżeli cała gałęź związku uznaje, że stan rzemiosła w jéj okolicy usprawiedliwia żądanie dla wszystkich zarobków wyższych, albo nie zgadzanie się na zniżenie zarobków postanowione przez fabrykanta, obowiązana w takim razie zawiadomić komitet wykonawczy; skoro komitet uzna słuszność takiego żądania do pracodawcy wysyłają deputacyą i rozpoczynają się konferencye, które obecnie najczęściéj doprowadzają do układów i kompromisu; w razie spełznienia na niczém konferencyi i niedojścia układów, robotnicy zawieszają roboty i wtedy dostają wsparcia od związku. Ponieważ związki są silne liczebnie, posiadają znaczne fundusze, a karność w nich wielka, więc pracodawcy nauczyli się nie lekceważyć ich postanowień, wysłuchują zawsze ich propozycyi, dyskutują je a często ustępują ich żądaniom. Związki mają w ten sposób możność korzystania z okoliczności przyjaznych i wyzyskiwania na korzyść robotników pomyślniejszego położenia rynku.

W każdéj gałęzi związku sekretarz miejscowy prowadzi osobną księgę gdzie wpisuje każdego z członków nie mającego roboty i każde niezajęte w fabrykach miejsce, na miejsce opróżnione posyła robotnika. Przy końcu miesiąca przesyła sekretarzowi generalnemu spis ludzi niezajętych i miejsc opróżnionych z opisaniem stanu rzemiosła w swéj okolicy; sekretarz generalny wiadomości te konfrontuje i robotników niezajętych wysyła na koszt związku w miejsca gdzie ich potrzebują; w ten sposób dokonywa się przystosowanie po-

daży do popytu. Ażeby zapobiedz zbytniéj podaży rąk w przyszłości, robotnicy do związków należący, nie biorą roboty w fabrykach utrzymujących uczniów więcéj aniżeli tego dozwala oznaczony przez związki stosunek uczniów do robotników wykwalifikowanych; fabrykanci poszukujący dobrych robotników i dbający o nich sami już pilnują się tego stosunku. Robotnik należący do związku, opłacając składkę, wiedząc na co używają się składane pieniądze, czując że w razie jeżeliby nie mógł sobie wystarczyć stanie się ciężarem dla towarzyszy, już przez to samo bywa oględniejszy, życie prowadzi porządniéj, a nawet nie żeni się bez namysłu i zastanowienia.

Jeżeli który związek, usiłowaniami swemi i umiejętnym wyzyskaniem okoliczności, potrafił zarobek doprowadzić do normy odpowiadającéj przeciętnym potrzebom robotników, mniéj już myśli o dalszym jego podwyższaniu, ale pilniéj zwraca uwagę na inne warunki pracy; domaga się skrócenia godzin roboty, lepszego pomieszczenia dla warsztatów, lepszego zabezpieczenia zdrowia i życia robotników, dogodniejszych terminów wypłaty, zmniejszenia liczby uczniów, lepszego obchodzenia się przełożonych, większego poszanowania osobistości robotników; dawniéj pracodawca stanowił o tém wszystkiém wedle swego własnego rozumienia, obecnie robotnicy wspólnemi siłami wywalczają sobie w tych stosunkach stanowisko lepsze i korzystniejsze.

Polityka związków robotniczych, którą tu wskazaliśmy w ogólnych zarysach, działa świadomie ku największéj korzyści ludzi o średniéj sile fizycznéj i moralnéj, o przeciętnym stopniu wykształcenia umysłowego i fachowego, jacy wszędzie są najliczniejsi i stanowią właściwie masę. Po nad nią znajdzie się zawsze pewna liczba ludzi zdolniejszych, zręczniejszych, którym czy to silniejsze poczucie wartości własnéj, czy temperament energiczniejszy nie pozwalają stosować się do wymagań masy i poddawać się warunkom dogodnym dla ogółu; związki nie dbają o takich ludzi wyjątkowo silnych, dla tego téż wystąpienie ze związku nie wzbrania się nikomu kto ma nadzieję że sam sobie potrafi dać radę; wielu przełożonych w fabrykach i majstrów prowadzących warsztaty na własną rękę rozpoczynało zawód roboczy w związkach do których dzisiaj już nie należą. Z drugiéj strony robotnicy źle pracujący, leniwi, słabi lub wyraźnie nieuczciwi bywają ze związków usuwani, odpadają oni do najniższéj kategoryi niezdatnych, niezdolnych wlokących żywot w nędzy albo i zbrodni. Odbywa się tu pono ten sam proces, który widzieliśmy przy powstawaniu gildyi, cechów i stowarzyszeń czeladników; ci którzy się czują silniejszymi oddzielają swój interes od

interesu słabszych, pozostawiając ich własnemu losowi i samopomocy osobistéj. Związki tymczasem usiłują, a jak dzisiaj w Anglii najczęściéj dokazują tego, że ogół robotników przeciętnie uzdolnionych może z własnéj pracy żyć znośnie, że ma zabezpieczony, o ile warunki wielkiego przemysłu na to pozwalają, byt odpowiedni swoim potrzebom i wymaganiom swéj sfery; w razach zaś nieszczęśliwych wypadków choroby, kalectwa, a nawet jak w wielu związkach na starość, znajduje ratunek i wsparcie wśród swych towarzyszy, z funduszów, do złożenia których sam się przyczynił; więc działanie związków wypada na korzyść całego narodu nawet finansowo, bo oszczędza znaczne sumy podatkowi na ubogich.

Dawniéj na każdy z celów tu wskazanych płacono osobne składki i formowano z nich kasy oddzielne, ale od lat blisko trzydziestu weszło w zwyczaj, że kasy przy związkach bywają jedne i składka wnosi się tylko jedna. Zjednoczenie kasy wpłynęło stanowczo na uspokojenie robotników; przy braku oddzielnego funduszu na popieranie bezrobocia ludzie okazują się mniéj do niego pochopni; wiedzą, że ono wyczerpuje zasoby, zmniejsza możność dostania wsparcia przy zwykłych wypadkach nieszczęśliwych, nakoniec pieniądze wyszafowane na bezrobocie trzeba uzupełnić w przyszłości nowemi składkami. W jednym z wielkich związków kamieniarzy do niedawna jeszcze istniała kasa osobna na cele bezrobocia i pomiędzy nimi właśnie najczęściéj chwytano się tego środka. Przy zarządzonym w roku 1867 śledztwie parlamentarném sekretarz generalny związku zjednoczonych maszynistów w zeznaniu swém mówił: „Członkowie naszego stowarzyszenia stanowczo przeciwni są wszelkiemu zawieszaniu robót, a posiadany przez nas wielki fundusz wzmacnia ich w tém przekonaniu, chcą oni zachować to co zebrali. Kto nie posiada ani szylinga nie ma się o co kłopotać, ale z uzbieranym majątkiem i to tak znacznym jak my go mamy, skłonni jesteśmy do przezorności największéj i dbamy o to, żeby go nie strwonić lekkomyślnie, sądzimy, że każde bezrobocie jest zupełném marnowaniem pieniędzy“.

Widać też w związkach starania około uszlachetnienia i uprzyjemnienia życia robotników; dbają one o honor swego stanu: oszustów, pijaków, zbójów usuwają ze związków, kto opuszcza gospodę nie opłaciwszy długów, płaci za to karę, robotnik wydalony z fabryki za złe prowadzenie się nie dostaje podarku, wydają wsparcia na pogrzeb żony, ale nie nałożnicy, urządzają dla robotników czytelnie, odczyty pouczające, a do miesięcznych sprawozdań sekretarzy, które bywają drukowane, dodają zwykle rozprawy poważne, w kwestyach obchodzących ogół robotników.

W r. 1876 zaczęło się w Anglii przesilenie przemysłowe i handlowe, silniejsze niż kiedykolwiek; ciągnęło się ono lat kilka, w r. 1878 doszło do najwyższego stopnia natężenia i dopiero w r. 1880 stan rzeczy zaczął się poprawiać. W ciągu tych lat związki rzemieślnicze ciężką miały do wytrzymania próbę, środki ich wyczerpywały się stopniowo i trzeba było niezwykłéj energii a nawet poświęcenia, ażeby wszelkiemi możliwemi wysileniami utrzymać samo istnienie związków wśród okoliczności tak ciężkich; w roku jednak 1882 fundusze związków nanowo zaczęły wzrastać. Przebyły więc one próbę prawdziwie ogniową, przetrwały ją pomyślnie, dając dowody odwagi bohaterskiéj i nie pospolicie mądrego urządzenia wewnętrznego. Wszystko tu bowiem opiera się na dobréj woli członków, składki dobrowolne, zebranemi funduszami administrują ludzie, którzy po całodziennéj pracy w nocy muszą odczytywać podania, układać rachunki i wyznaczać co komu dać należy. George Howell studyował sprawozdania związków za te nieszczęśliwe lata, i ciekawe dane o rezultatach ich czynności ogłosił w „Contemporary Revue" (September 1883). Przytaczamy tu kilka cyfr z jego pracy, ażeby dać pojęcie o faktach i istotnej skuteczności starań i zabiegów robotników angielskich. Zestawia on cyfry ze sprawozdań nie wszystkich naturalnie związków (1), ale wybrał z pomiędzy nich siedm ważniejszych, które, jego zdaniem, mogą być uważane za typowe, a mianowicie: połączonych maszynistów, robotników hut żelaznych, odlewów żelaznych, okrętów pancernych, machin parowych, cieśli i krawców. W r. 1882 w tych siedmiu związkach istniało stowarzyszeń lokalnych 1542, które liczyły członków 131,130; składki pobierane były we wszystkich prawie jednostajne 1 szyling (30 kop.) tygodniowo, albo trochę mniéj; przychód wynosił w ciągu tego roku 329,165 funt. sterl., rozchód 259,641 f. st. Suma rozchodu tak się rozkłada:

Na wspomożenie chorym	68.345	f. str.
Na pomoc nie mającym roboty	62.566	„
Na pensye emerytalne	38.198	„
Na pogrzeby	19.288	„
Na pomoc w wypadkach nieszczęśliwych	6.168	„
Podarki v. zasiłki jednorazowe.	4.582	„
Na sprawy rzemiosła, tj. podtrzymanie strików (bezrobocia)	5.675	„

(1) Na kongresie w Nottingham we wrześniu 1883 było reprezentowanych związków 136, liczących około miliona stowarzyszonych.

W ciągu pięciu lat najcięższych (1876—1880) przychód tych siedmiu związków wynosił 1.784.410 f. str., rozchód zaś 1.984.003 f. str., z téj sumy wydano w tym czasie:

Na wsparcia dla nie mających roboty	807.459 f. str.
Dla chorych	313.566 „
Na pensye emerytalne	118.196 „
Na pogrzeby	89.810 „
Na wsparcia w wypadkach nieszczęśliwych	28.305 „
Podarki v. zasiłki jednorazowe	36.130 „
Razem	1.393.466 f. str.
Na sprawy rzemiosła, tj. striki v. bezrobocia	158.361 „
Zasiłki dla innych związków	2.468 „

Cyfry te wyjaśniają charakter czynności związków, główny rozchód idzie na wsparcie dla chorych i nie mających roboty, sumy zaś użyte na podtrzymanie bezrobocia, w porównaniu z innemi, są mało znaczące. Bezrobocia zdarzają się coraz rzadziéj, szczególnie w związkach silnych, a rozchód na sprawy rzemiosła mieści w sobie wydatki na pomoc urzędnikom związkowym, których przedsiębiorcy najczęściéj pozbawiają roboty, jako ludzi sobie najmniéj miłych, mszcząc się na nich za rozmaite ustępstwa, do których bywają znagleni. Nieraz jakaś kłótnia kilku robotników z dozorcą powoduje wydalenie ich z fabryki; otóż jeżeli związek uzna, że nie ma w tém ich winy, daje im wsparcie póki nie znajdą roboty. Pomoc udzielana ludziom pozbawionym roboty — chociażby i w tych wypadkach, a témbardziéj kiedy robota na fabrykach ustaje wskutek zastoju w handlu, to dobrodziejstwo, którego żadna instytucya dotąd nie świadczyła, ciężar, którego nikt nie podejmował i podjąć nie mógł nikt inny jak sami robotnicy wzajemnie sobie własnemi środkami niosący wsparcie. Brak roboty i choroba, to dwa najstraszniejsze widma dla każdego robotnika i najcięższe w życiu jego przejścia; jeżeli oni własnemi siłami zabezpieczają siebie w tych nieszczęściach, społeczeństwo winno im za to szczere uznanie; każdy zaś członek związku, czując rozciągnioną nad sobą skuteczną opiekę swych towarzyszy, przywiązuje się do związku z pełną ufnością i umié cenić swoje w nim stanowisko. Ceni go témbardziéj, że związki postępując już może zanadto śmiało, podejmują obowiązek wypłacania pensyi emerytalnych robotnikom na starość. Ten ostatni ciężar, do niesienia najtrudniejszy, zwiększa się z każdym rokiem i z czasem może wyczerpać wszystkie środki stowarzyszeń. Związek maszynistów w r. 1876 wypłacił pensyi 12.538 f. str., w r. zaś 1880 już 20.958 f. str. Stalsze dochody robotników i regularniejsze ich życie przedłużają

wiek przeciętny, który już dzisiaj pomiędzy robotnikami stowarzyszonemi przewyższa wiek przeciętny ludności krajowéj w ogóle. Obecnie zdarzają się często wypadki, że ludzie starzy nie chcą pobierać przyznanych sobie pensyj emerytalnych, zawsze jednak przyjaciele i najgorętsi obrońcy związków robotniczych widzą w przyznawaniu tych pensyj prawdziwe niebezpieczeństwo, bo możność bankructwa. Sami związkowi niechcą się zrzekać tego warunku i przemyśliwają ciągle nad wprowadzeniem jakiéj nowéj kombinacyi, która-by ich od wyczerpania zasobów z tego powodu mogła ochronić.

IV.

Jeżeli robotnik pojedyńczy jest słabszym od fabrykanta i nie może wymódz na nim dla siebie wyższéj opłaty za pracę, ani lepszych jéj warunków, to znowu w obec związku zorganizowanego, silnego liczbą i zasobnego w fundusze, fabrykant pojedyńczy nie potrafi sobie poradzić i musiał-by najczęściéj ulegać żądaniom robotników. Stąd związki pomiędzy przedsiębiorcami. Właściciele fabryk nie czekali naturalnie przykładu robotników, żeby się porozumiewać pomiędzy sobą co do ceny i warunków, jakie mają im stawić; przychodziło to im nierównie łatwiéj, bo mniéj są liczni i mogą utrzymywać stosunki szersze; ale od robotników dopiero zaczęli się uczyć wytrwałości w swych postanowieniach i żeby sobie w téj walce dopomagać wzajemnie, zaczęli pomiędzy sobą zawiązywać stowarzyszenia stałe. W każdym jednak związku mającym na celu interes ogólny, im kto czuje się osobiście silniejszym, tém mniéj chętnie zwykł ulegać woli ogółu, tém więcéj rozwija się w nim siły odśrodkowéj, to téż ludzie rozpatrujący się zbliska w stosunkach fabrycznych angileskich twierdzą, że fabrykanci łatwiéj aniżeli robotnicy zdradzają swój interes ogólny.

Stowarzyszenia robotnicze prowadzą swe interesa z biegłością dyplomatyczną, żądając lepszych dla siebie warunków, zwracają się z tém zwykle do jednéj jakiéj firmy; przedsiębiorca zagrożony opuszczeniem fabryki przez robotników musiał-by przyjąć ich warunki; żeby więc wzmocnić swe stanowisko, wszystkie, albo przynajmniéj pewna liczba firm każdéj gałęzi przemysłu, zobowiązują się nie robić żadnych zmian ani ustępstw bez decyzyi komitetu wspólnie przez wszystkich wybranego. Jeżeli komitet nie zgodzi się na ustępstwa, a robotnicy porzucą robotę, firma poszkodowana likwiduje straty za czas bezrobocia i rachunek swój składa komitetowi, który rozkłada sumę na wszystkie firmy, należące do związku i te

płacą; jeżeli-by kto wzbraniał się płacić, sprzedają jego weksle, złożone w tym celu jako gwarancya u bankiera związku. Ale używają innego jeszcze, o wiele skuteczniejszego środka obrony; jeżeli robotnicy w jednéj fabryce porzucą roboty, wszyscy fabrykanci tego fachu z decyzyi komitetu zamykają swe warsztaty (*lock-aut*) i odprawują robotników, żeby powiększyć liczbę ludzi bez roboty, prędzéj wyczerpać środki związkowych i osłabić tém przeciwnika. Przy takiém ogólném zamknięciu fabryk wojna przybiera rozmiary przerażające, doświadczenie jednak wskazuje, że fabrykanci, chociaż mniéj liczni i bogatsi, chętniej ulegają pokusom spółzawodnictwa pomiędzy sobą; kto pierwszy otworzy fabrykę, może, przy ogólniejszym braku towaru, ściągnąć zyski ogromne; chociaż więc taka zdrada pociąga za sobą kary pieniężne, dochodzące do 50.000 fun. str., chociaż pociąga za sobą potępienie w opinii towarzyskiéj, nie zawsze to jest dostatecznym hamulcem i zdarzały się wypadki podobnéj zdrady.

Stają tedy naprzeciwko siebie dwa obozy zorganizowane. Bywały bezrobocia, które obejmowały dziesiątki tysięcy robotników, a ciągnęły się całe miesiące do pół roku nawet. Gdy postanowiono bezrobocie lub zamknięcie warsztatów, fabrykanci rozsyłają kolegom spisy swoich robotników, żeby ich nie przyjmowali, robotnicy stawią straż przy fabrykach, żeby do nich nie dopuszczać ludzi obcych i tłómaczyć im o co chodzi. Dawniéj w podobnych wypadkach nie cofano się przed gwałtami i zabójstwem nawet, teraz już się to nie zdarza, robotnicy stowarzyszeni uważają za punkt honoru nie dopuszczanie się gwałtów, szczególnie od r. 1875, kiedy zniesiono osobne prawa karne za przestępstwa z bezrobociem związane. Każda ze stron stara się najprzód opinią publiczną usposobić na swoją korzyść, przesyłając do dzienników tłómaczénie sprawy i usprawiedliwienie swych wymagań; na wyczekiwaniu schodzi parę tygodni, tymczasem towar drożeje, stosunki handlowe zaczynają się komplikować, robotnicy obcy związkom, raz wraz tracą robotę i przechodzą na utrzymanie kas ubogich, opinia wśród publiczności zaczyna się poruszać i zajmować żywiéj tą sprawą, dzienniki poważne najczęściéj występują przeciwko robotnikom, ale pomiędzy nimi zawziętość wzrasta, szczególnie kobiety podrażnione podtrzymują energią mężów. Zdarzało się, że fabrykanci wypędzali robotników z wynajmowanych im domów, wynosili się więc oni na pola lub do lasów, dzieci i starcy chorują i umierają, sprzęty domowe, odzież sprzedają się sztuka za sztuką, kredyt się wyczerpuje do ostatka, głód dokucza, pomimo pomocy innych związków, środki wyżywienia urywają się codziennie; fabrykanci czasami bankrutują,

robotnicy często mrą, aż nareszcie wycieńczenie sił doprowadza do układów i zgody. Strona zwyciężająca uważa siebie za obficie wynagrodzoną za wszystkie te straty.

Ekonomiści i publicyści tłómaczą, że zysk, jaki się ze zwycięstwa osięga, nie może powetować strat, zrządzonych przez bezrobocie, ale ani fabrykanci ani robotnicy nie chcą temu wierzyć i twierdzą stale, że jest to środek konieczny, chociaż bolesny i kosztowny, ale niepodobna wyrzec się prawa do jego użycia. Robotnicy chcą widzieć w kosztach bezrobocia kapitał wyłożony na stałe w zarobku podwyższenie renty ze swéj pracy. Zniżenie zarobku o *jeden penny* (5 groszy) na godzinę, przy dziesięciu godzinach pracy wyniesie 25 kop. dziennie na człowieka, przy 10.000 robotników, zagrożonych takim obniżeniem, wyniesie to 15.000 rub. tygodniowo, a 780.000 r. rocznie; jeżeli przyjmiemy tę cyfrę za piąty procent, kapitał odpowiedni równać się będzie 15.600.000 r., żadne bezrobocie tyle kosztować nie może. Fantazyjny to rachunek: w obec głodu i nędzy cyfry te nikogo pocieszyć nie mogą. Ale bezrobocia okazały skutek zbawienny w tém, że obie strony, przebywając tak twarde doświadczenie, nabyte stratami boleśnemi, uczą się wzajemnéj wyrozumiałości; fabrykant raz przez to przeszedłszy, nie projektuje już zmian w widokach zysku chwilowego, doprowadza go do tego chyba ostateczna konieczność, a w takim razie robotnicy rozpoznawszy stan rzeczy, zgadzają się na zmiany; ze swojéj strony podwyższenie opłaty proponują oni tylko w czasach dla przemysłu prawdziwie pomyślnych, w chwilach silniejszego jego rozwoju, a wtedy fabrykanci ustępują bez wielkich trudności. W ten sposób osiąga się podwyższenie zarobków nie nagłe, ale za to trwałe; podobne korzystanie z okoliczności przyjaznych znacznie poprawiło byt robotników, którzy widząc, że mają do czynienia z fabrykantami połączonemi w związki stałe, powstrzymują się od wymagań nieodpowiednich. Kiedy obie strony, nauczone smutném doświadczeniem, przekonały się, że jedna bez drugiéj nie potrafi zmienić warunków umowy na czas dłuższy, zmiękczyło to je i otworzyło drogę do układów polubownych, które się przeprowadzają w izbach pojednawczych.

V.

Jeszcze w starych cechach średniowiecznych, kiedy ulatniać się z nich zaczął ożywiający je początkowo duch patryarchalnego obyczaju, a majstrowie wyróżniali już swe interesa od interesu czeladników, przez czas długi warunki najmu pracy były roztrząsane i ustanawiane przez wyznaczone do tego w cechach osobne, jakby

je dziś nazwano komitety, złożone z równéj liczby majstrów i czeladników. W Anglii prawo Elżbiety wkładało na magistraty i sędziów pokoju obowiązek stanowienia o cenach najmu robotników; po zniesieniu tego prawa robotnicy niejednokrotnie zanosili do parlamentu petycye o wyznaczenie władz, które-by mogły w téj sprawie decydować stanowczo; parlament jednak trzymając się teoretycznéj zasady wolności pracy, nigdy tym prośbom zadość nieuczynił. Kiedy zorganizowane związki robotników groziły już fabrykantom stratami poważnemi, a wśród sporów o wysokość płaty za pracę bezrobocia szerzyły zniszczenie, właściciel fabryki pończoch w okolicach Nottingham, a dzisiejszy członek gabinetu Gladstone'a *Mundella* wpadł na myśl szczęśliwą próbować porozumienia z robotnikami. Przejście to sam on opisuje w ten sposób.

Mniéj więcéj od r. 1810 w kilku hrabstwach środkowéj Anglii w fabrykach pończoszniczych zagnieździły się najgorsze stosunki pomiędzy robotnikami a pracodawcami, zawziętość była tak silna, że rozbijanie machin stało się niemal zwyczajem. Dla zapobieżenia temu karano surowo podobne gwałty, tak, że sądy skazywały na powieszenie po kilku naraz robotników. Gdy w roku 1860, w czasie bezrobocia w wielu fabrykach trwającego już trzy miesiące, fabrykanci zebrali się na naradę, z zamiarem zamknięcia wszystkich warsztatów w trzech hrabstwach sąsiednich; Mundella zaproponował im sprobowanie środka, który-by mógł usunąć raz na zawsze podobne wypadki, mianowicie porozumienia z robotnikami; znalazł kilku stronników i upoważniono ich do próby. „Poszliśmy" — powiada — „do robotników, uniżyliśmy się, jak niektórzy mówili i przekładaliśmy im, że każdy z nich pozbawiony zarobku musi wydawać jednego albo półtora szylinga tygodniowo, żeby z nami wojować, sprobujemy lepiéj rozmówić się i obliczyć jakie ceny być powinny". Trafili na szczęśliwą chwilę, robotnicy okazali się chętni do rozmowy, Mundella miał chociaż niedokładne pojęcie o polubownéj instytucyi francuskiéj *conseil des prudhommes*, zaczął o niéj mówić i rozwijać praktyczne znaczenie ugody polubownéj, umysły się uspokajały i powrócono do roboty. „A chociaż" — powiada — „kilka lat przeszło nimeśmy rzecz całkowicie w należyty sposób urządzili, jednakże okazała się ona o tyle skuteczną, że odtąd w téj gałęzi przemysłu nie było ani jednego bezrobocia, a w okolicy całéj panuje obecnie najlepszy stosunek pomiędzy robotnikami i pracodawcami". Rzecz tak się urządziła:

Corocznie w styczniu związki robotnicze z jednéj a fabrykanci z drugiéj strony wybierają po 9-iu delegowanych, których postanowienia i decyzye uznane są z góry za obowiązujące dla stron obu.

Delegowani składają Izbę pośredniczo - pojednawczą, przed którą wnoszą się wszelkie kwestye, powstające pomiędzy fabryką a robotnikami z powodu ceny i warunków roboty. Procedura któréj Izba ma się trzymać, opisana jest w ustawie, a zależy na uznaniu zupełnéj równości praw obu stron, tak dalece, że dla uniknienia pozoru zależności robotnicy płacą połowę kosztów na utrzymanie izb pojednawczych. W r. 1865 w innéj okolicy Anglii w Worcesterskire za inicyatywą sędziego *Roberta Kettle* powstała podobna instytucya Izby pośredniczéj w przemyśle budowniczym, na trochę odmiennych zasadach, ale również skutecznie działająca; odtąd inne gałęzie przemysłu zaczęły naśladować te wzory, a w r. 1872 parlament osobną ustawą nadał postanowieniom Izb pojednawczych moc prawnie obowiązującą.

Dotychczas jest to krok ostatni na drodze urzeczywistnienia realnego owéj, dawno już przez prawo uznanéj, równości pomiędzy pracodawcą a robotnikiem, która jednakże tak trudno przesiąka w obyczaj, że i dzisiaj jeszcze pomimo dwudziestu lat praktyki najpomyślniejszéj izby pojednawcze mają w saméj Anglii wielu przeciwników, a na lądzie europejskim jeszcze nigdzie nie weszły w życie.

Teoretycy zarzucają izbom bezskuteczność ich usiłowań, bo wszakże cena pracy zależy od warunków naturalnych, które nią rządzą, a których zmienić nikt nie jest w stanie. Jakkolwiek wypadnie decyzya izby, na stronę kapitału czy pracy, jedni mogą przytém stracić drudzy zyskać czasowo, ale rzeczy pójdą daléj swoją drogą właściwą, a sztucznie wywołana korzyść jednych odbije się na innych, którzy stratę poniosą niesłusznie. Zbyt szeroko musielibyśmy rozpisywać się tutaj w kwestyach teoretycznych, ażeby zbijać zarzuty, osnute po większéj części na niezupełnie prawdziwych twierdzeniach niektórych ekonomistów: o zapasie funduszu z którego wypłacają się zarobki, o cenach na rozmaite towary, o kosztach produkcyi w obec konkurencyi zagranicznéj, o wydajności i sprawności pracy dłuższéj lub krótszéj, lepiéj lub gorzéj opłaconéj i innych tym podobnych, o które ekonomości jeszcze spierają się między sobą. Dwudziestoletnia pomyślna praktyka, coraz rzadsze bezrobocia, zniknienie ich zupełne w tych gałęziach przemysłu, które zaprowadziły u siebie izby pojednawcze, upoważniają nas do wniosku, że są one krokiem zrobionym naprzód w urządzeniach przemysłowych, krokiem postawionym szczęśliwie, bo zbliżającym stosunki ludzkie ku sprawiedliwości i uspakajającym burze i wojny domowe.

Charakter działania izb pojednawczych nie nosi zgoła cechy namawiania do zgody ludzi powaśnionych, nie stają one pomiędzy

zaciętemi przeciwnikami, ażeby ich przekonywać, że zgoda lepsza od kłótni, że każda strona powinna coś ustąpić i zadowolnić się tém co dostaje, a zatém „pogódźcie się i żyjcie w pokoju". Nie, one podjęły zadanie usuwania powodów do kłótni, nie rozsądzaniem sprawy i kwestyi prawnéj, ale wyjaśnieniem okoliczności, w jakich się przemysł i rynek handlowy w danéj chwili znajduje; przeprowadzają zaś to wyjaśnienie starannie i sumiennie, a po takiém roztrząsaniu faktów nawet bardzo rzadko przychodzi do głosowania, najczęściéj wszyscy się godzą na jedno. Mundella opowiada jak-to raz nowowybrany delegat od robotników, zasiadając po raz pierwszy na sesyi izby postawił wniosek: że ponieważ wszyscy żyją w zgodzie i przyjaźni nicby nie zaszkodziło fabrykantom płacić robotnikowi 1 szyling więcéj za tuzin zrobionych pończoch, bo cenę towaru podniesie to nieznacznie, spożywcy ani się obejrzą, a jeżeli wszyscy fabrykanci zrobią to jednocześnie nikt z nich na tém nie straci. Przekonywano go długo że to nie da się zrobić, że zbyt towaru nie jest łatwy, a zwyżka w cenie utrudniając go jeszcze, zmusi do zmniejszenia ilości wyrobu, a zatém do zmniejszenia liczby robotników zajętych, albo do zmniejszenia godzin pracy. On jednak twardo obstawał przy swojém, wskazywano na konkurencyą fabryk francuskich i niemieckich, które korzystając z podwyższonéj ceny w Anglii, przy istniejącym systemie wolnego handlu będą tam przysyłać więcéj swego wyrobu; nie chciał temu wierzyć. Wysłano więc dwóch robotników do Francyi i jednego do Niemiec, żeby mogli na miejscu obejrzéć tameczne fabryki i sprawdzić ceny, dopiero kiedy ci za powrotem złożyli sprawozdanie, delegat odstąpił od swego wniosku a robotnicy uspokoili się zgadzając się czekać lepszych czasów ze swym żądaniem. Procedura to długa i kosztowna, ale jeżeli oszczędza dużo boleśnych ofiar warto ją przeprowadzić. Bez tych wyjaśnień łatwoby mogło przyjść do bezrobocia i wszystkich opłakanych jego skutków.

Związki robotnicze chętniéj aniżeli stowarzyszenia fabrykantów przystają na zaprowadzanie izb pojednawczych. Pomijając już wszelkie argumenta teoretyczne któremi fabrykanci wojować umieją, bodaj że silniéj działa tu po prostu niechęć stawania na stopie zupełnéj równości z robotnikami; wyrobiony tradycyonalnie stosunek pana do sługi i tyloletnie do niego nawyknienie nie daje się łatwo zmienić w umysłach i sercach ludzi, którzy się czują powołanymi do panowania. Ten nastrój moralny więcéj podobno stoi na zawadzie porozumiewaniu się spokojnemu i więcéj sprowadza nieszczęść, aniżeli warunki ekonomiczne spółzawodnictwa i cen zmiennych. Kiedy na żądanie robotników fabrykant odpowie, jak się wyraził jeden

z nich przy składaniu świadectwa swego w komisyi śledczéj królewskiéj w r. 1867 „ja jestem panem a oni sługami, oni muszą słuchać kiedy ja każę,“ robotnicy odpowiadają na to— „myśmy nie niewolnicy“—spór zaogni się od razu, namiętność podrażniona bierze górę nad rozsądkiem, wszyscy zapominają o celu pierwotnym, nikt nie myśli o warunkach produkcyi i sprzedaży towaru, bo tu już chodzi o obronę od tyranii kapitału i każdy gotów wszystko poświęcić byle postawić na swojem.

Robotnicy angielscy, przy zwiększonym dobrobycie i staraniach usilnych całego społeczeństwa około podnoszenia ich godności moralnéj i oświaty, mają już w wysokim stopniu rozwinięte uczucie honoru, nietylko więc podobne narzucanie swéj woli ale i prosta niegrzeczność oburza ich, kiedy sądzą że mają prawo być traktowanemi na stopie równości. R. Kettle opowiada wypadek taki. W kopalniach w Strafordshire w r. 1865 panowało bezrobocie, kiedy już obie strony dużo straciły, zgodzono się na konferencyą delegowanych, którzy mieli się zejść w jednym z hotelów okolicy. Delegowani od robotników stawili się w oznaczonéj godzinie, wprowadzono ich do salonu wspaniałego, w którym znaleźli siedzących za stołem dziesięciu przedsiębiorców, wskazano im miejsca na ławie pod ścianą, usiedli w milczeniu kręcąc w palcach kapelusze, po paru minutach przypatrywania się wzajemnego, prezydujący pomiędzy fabrykantami, człowiek zresztą grzeczny i chcący rzeczy załatwić ugodą, odezwał się do nich: „Cóż tam chłopcy macie do powiedzenia w waszéj sprawie.“ Układy tak rozpoczęte spełzły na niczém, robotnicy przebąkiwali półsłówka żaden z nich niechciał puszczać się w objaśnienia. „Wyrazy te“—powiada Kettle, „były poprostu klęską publiczną, kosztowały one okolicy sumy ogromne, co najmniéj 50000 f. str. robotnicy szli z intencyą zgody, ale nie doszło do tego i bezrobocie ciągnęło się jeszcze kilka tygodni.“ Izby pojednawcze usuwają wszelkie podobne powody do rozdrażnienia, celem i podstawą ich działania jest zapewnienie robotnikom głosu swobodnego i zupełnie równego z pracodawcami, przy debatowaniu warunków umowy i sprzedaży towaru—pracy ich własnéj tj. siły i umiejętności które mają do ofiarowania.

Czy ten cel umowy prawdziwie wolnéj przy tak odmiennéj pozycyi ekonomicznéj stron obu osiągniętym być może? Jeżeliby nam chodziło o absolutną równość, zapewne że nigdy rzeczy do tego doprowadzić się nie dadzą. Ale, że wszelki postęp w sprawach ludzkich może zależéć jedynie na zbliżaniu się do tego co w pojęciach ludzie za dobre i słuszne uznają, więc i na tém polu, skoro nierówności przyrodzone, a chociażby tylko z dawna wytworzone ale żywe

i broniące swego prawa do życia, oddziaływają słabiéj niż uprzednio na stosunki ekonomiczne, skoro sprzeczność interesów nie prowadzi koniecznie do podrażnienia trwałego, a może wyrównywać się czasowo na pewnych stanowiskach i zrównoważeniem sił doprowadzać do pewnego rodzaju harmonij w stosunkach społecznych,—postęp oczywiście się dokonywa.

Filozofowie XVIII wieku twierdzili że wszyscy ludzie obdarzeni są od natury zdolnościami i siłą jednakową, warunki zaś życia społecznego wytwarzają między nimi nierówność sprzyjając rozwijaniu się jednych tłumiąc je u innych; z tego twierdzenia powstało dążenie do równości absolutnéj, które było błędném, bo równości zupełnéj nietylko między wszystkimi, ale nawet między kilku ludźmi nigdzie dopatrzyć nie można; człowiek zaś rodzi się tak słabym i tak nieudolnym że może być tylko tém co z niego zrobią stosunki społeczne. Dzisiejsi filozofowie uniewinniając społeczeństwo robią rozwój człowieka zależnym od warunków otoczenia i od stopnia w jakim organizm jego do tych warunków przystosować się może i potrafi, widząc zaś w organizmach ludzkich nierówne siły, uznają fakt nierówności za prawo przyrodzone i dopatrują w nim pierwszéj przyczyny postępu ludzkości, bez niéj nie mogłaby się ona wznosić na wyższe stopnie rozwoju. Schodząc z tych wyżyn abstrakcyi do stosunków życia praktycznego ujrzymy, że zrodzona pod wpływem filozofii przeszłowiecznéj zasada równości ludzi wobec prawa, w niczém się nie sprzeciwia wywodom filozofów dzisiejszych, bo skoro rozwój człowieka zależy od tego o ile on potrafi przystosować się do warunków otoczenia, wszyscy powinni mieć równe prawo rozwijania swoich usiłowań w tym kierunku. Owszem sama zasada równości przed prawem, w obec rezultatów do jakich dochodzi filozofia ewolucyonistów, musi się jeszcze udoskonalić i rozwinąć szerzéj. Dla tych, którzy twierdzili że ludzie z natury są równi dość było usunięcia sztucznéj budowy przywilejów wytwarzających nierówności, reszta miała się zrobić sama, przeszkody usunięte pozwalały wykwitać harmonii społecznéj; w praktyce okazało się że wolność zapewniona wszystkim przez uznanie ich równości w obliczu prawa, rozwiązała wszystkie siły wyższe, pozwoliła każdéj zdolności niepospolitéj rozwijać się łatwiéj i prędzéj, pobudziła do życia wszystkie pędy silniejsze w organizmie ludzkości, ale na wzrost pędów słabszych oddziałała mniéj korzystnie, dla nich nie wystarcza atmosfera równości i wolności prawnéj, potrzebują one środków odżywczych więcéj skoncentrowanych. Nad obmyśleniem takich środków pracują obecnie wszystkie umysły wyższe we wszystkich krajach cywilizowanych; ale pracują téż i maluczcy na drogach drobniutkich praktyk życia co-

dziennego. Téj to pracy drobnéj podjęli się robotnicy angielscy a powiodło się im, na ich ciasno ograniczonym polu, lepiéj aniżeli filozofom, statystom i socyologom, którzy, dla kombinacyj swych na wielką skalę zamierzonych, nie mogą dotąd znaleść stałego gruntu pod założenie fundamentów.

Wszakże równość w obliczu prawa, jako zasada faktyczna przyjęta w większości prawodawstw europejskich, bynajmniéj nie uznaje równości absolutnéj pomiędzy ludźmi, tylko przyznaje każdemu prawo używania sił własnych wedle własnego rozumienia, że zaś siły te nie są równe, silniejszy więc nie powinien przeszkadzać w tém słabszemu. Dotąd jednak nie ustaliło się pojęcie o owém przeszkadzaniu i tak dalece jest ono chwiejném, że w Anglii, w kraju politycznie najswobodniejszym, pięćdziesiąt lat zeszło na walkach najzaciętszych nim uznano w drodze prawodawczéj: że nikt nie może przeszkadzać robotnikom, ani zaprzeczać im prawa stowarzyszania się we własnym interesie i zawiązywania korporacyj czuwających nad wyrównaniem warunków w jakich się pracodawca i robotnik znajdują przy umowie o cenę pracy.

Trwałe zabezpieczenie zarobków wyższych jest głównym warunkiem otworzenia dla robotników dostępu do życia odpowiadającego wymaganiom cywilizacyi; to jedno da im możność żyć porządniéj w mieszkaniu zdrowszém, mieć jedzenie lepsze, odzienie całe i czyste, to jedno pozwoli im nie wybijać się z sił przy pracy ale zażywać niezbędnego wypoczynku, a zatém i myśl zwracać do innych przedmiotów niż sama praca mechaniczna, więc szukać oświaty i wchodzić na drogę moralnego kształcenia się. A chodzi tu nie o to jeszcze, żeby pewna liczba ludzi, korzystając ze swych zdolności i okoliczności wyjątkowo pomyślnych, mogła wznieść się po nad stan robotniczy i przejść na łono klas wyżéj wykształconych, ale o to głównie żeby robotnicy jako tacy, tj. największa pomiędzy nimi liczba mogła podnieść stopę swego życia na stanowisko odpowiednie godności natury ludzkiéj, jak je dzisiaj pojmujemy. Skutki osiągnięte w Anglii przez związki robotnicze dowodzą, że niepotrzeba na to zgoła zmieniać i wywracać dzisiejszego porządku społecznego, dosyć aby wolność była dla wszystkich jednakową wolnością, bo pod jéj panowaniem potrafili robotnicy wytargować i utrwalić zarobki odpowiadające ich potrzebom; klasy zaś wyższe widząc to chętnie i energicznie podjęły pracę mnożenia wszędzie najrozliczniejszych ognisk oświaty, ażeby owe korzyści materyalne o ile można prędzéj ożywić duchem myśli zdrowéj i kierunku moralnego.

Zdawałoby się, że wykryta przez robotników angielskich droga prowadząca do polepszenia stosunków społecznych, powinnaby

wszędzie być skwapliwie rozczyszczaną i prostowaną przed ludem roboczym; ale tak niejest, bo robotnicy francuscy w syndykatach swoich marzą o urządzeniach ogólnych, któreby ich prawa zabezpieczyły a do kroków praktycznych mało okazują skłonności; gewerkschafty niemieckie zawiązywane najczęściéj z czyjejś namowy albo w skutek agitacyi, pędzą życie po większéj części sztuczne; w innych krajach ogół robotników zbyt jeszcze mało wykształcony, żeby umiał samodzielnie nagiąć się do wymagań interesu wspólnego; zresztą i wśród klas oświeconych istnieją inne kierunki myśli, albo raczéj pojęcia fałszywe bardzo jeszcze rozpowszechnione.

Niegdyś szlachta francuska niechciała słuchać nawoływań Turgot'a do reform i odpowiadała że lud jest i zawsze być musi: tailliable et corvéable à merci; i dzisiaj jeszcze wśród klas zamożnych nie braknie ludzi mniéj wykształconych, nie nawykłych do myślenia poważnego, zadawalniających się czczemi frazesami jeżeli one odpowiadają ich usposobieniu, i uznających je ochoczo za zasady poważne kierujące ich czynnościami. Tacy ludzie posługują się chętnie zdaniami wypowiedzianemi przez niektóre powagi naukowe, przekręconemi trochę i przystowanemi do ich użytku przez usłużnych pisarzy. Powiadają więc że ponieważ ludzie równemi być nie mogą przeto wszelkie dążenie do zmniejszania różnic społecznych jest czczą ideologią; że powodzenie przemysłu zależy na tém iżby miał zawsze na zawołanie masę robotnika taniego, że póki człowiek jest wstanie nędznym, łatwiéj nim powodować i lepiéj spełnia każdą robotę; daléj egoizm ich filozofujący tłómaczy jako zawsze masy muszą orać, piłować i heblować, kuć i prząść dla tego, żeby mniejszość swobodna od grubych wysileń mogła myśléć i badać, kierować i rządzić; że nakoniec bogactwo i nędza muszą zawsze istniéć obok siebie na świecie. Takie mięszanie kwestyi robotniczéj z kwestyą ubóstwa i żebractwa wskazuje złą wolę, albo zupełną niewiadomość. Czyż robotnicy są żebrakami? właśnie o to chodzi żeby ich do żebractwa niedopuścić. Każdemu wiadomo, że robota gruba zawsze będzie potrzebna, ale tu chodzi o to jakie warunki życia i jakie wykształcenie mieć mogą rolnicy i stolarze, kowale i tkacze, jakie są sposoby zabezpieczenia im trwale bytu możebnie najlepszego. Nasi egoiści-filozofowie biednych i nędzarzy za cierpienia doczesne odsyłają po nagrodę do życia przyszłego w świat lepszy, chociaż w obec tak szeroko dzisiaj panującego sceptycyzmu wolno wątpić czy do tego przyszłego życia przywiązują wielką wagę. A jednak czy może być stan społeczeństwa groźniejszy jak ten, w którym bogaty i ubogi przestaną rozumieć się nawzajem, kiedy nie mają z sobą nic wspólnego, ani interesu do popierania, ani ciężaru do dźwigania,

kiedy myśli ich i pragnienia rozchodzą się w strony przeciwne, jednocześnie zaś masa dochodzi do świadomości swéj siły; kultura klas wyższych będzie wtedy narażoną na wielkie niebezpieczeństwo, jeżeli do niéj nie będzie pociągana coraz większa liczba ludzi. Więc nawet egoizm powinien-by wskazywać każdemu, że dzisiaj nie można dążyć do utrzymania mas na stanowisku niższém, że owszem należy usiłować szczerze, zrobić w ich interesie, co do zrobienia możliwe, a dla spokoju społecznego konieczne.

Z drugiéj strony demokracya socyalna domaga się dla mas ludowych udziału w korzyściach kultury nietylko większego niż ten który im dzisiaj przypada w udziale, ale równego dla wszystkich. Dla ogólnego wszystkich rozwoju domaga się ona jednostajnych i równych warunków bytu dla wszystkich; ztąd też chce usunąć prawo własności i dziedzictwo, jako źródło nierówności i ucisku. Wielu jest gotowych do poświęcenia całéj cywilizacyi dzisiejszéj i wszystkiego co ludzkość przez nią nabyła, jeżeli te dobrodziejstwa nie mogą się równo rozdzielać pomiędzy ogół, nad taką ruiną zapanować ma prawo równości bezwzględnéj, które, wedle ich mniemania, wytworzy kulturę nową od dzisiejszéj doskonalszą. Jakkolwiek zdrowy rozsądek musi potępić wiarę w wytworzenie nowego świata szczęśliwości za pomocą czarodziejskiéj różczki proroków socyalizmu, lubo zrozumiéć niepodobna, jak po zniszczeniu wszystkiego, czego ludzkość dobiła się tysiącami lat walk i pracy, z ciemnéj otchłani ruiny i nędzy wyłoni się nagle pomyślność ogólna i zadowolenie wszystkich, jednakże dzisiaj w Europie setki tysięcy ludzi wierzą w to, a niewiadomo, setki czy tysiące rozpoczynają już kroki wojenne gwoli spełnienia pierwszéj części programu, a mianowicie—zniszczenia. Zniszczyć dzieła ludzkie można zapewne, ale żaden dekret nie zrobi ludzi równymi, rozmaitość zdolności, sił i usposobień, a więc nierówność była dotąd przyczyną postępu, nieprzestanie ona istnieć, a więc też nie wyschnie źródło z którego biorą początek wszelkie szlachetne usiłowania podnoszenia się wyżéj, stanowiące sam wątek cywilizacyi, snujący się pomiędzy węzłami stosunków społecznych. Jeżeli ludzie korzystający z pomyślniejszych dla siebie warunków nierówności spełniają swoje zadanie, wywiązując się ze swych względem ogółu obowiązków, prawo ich własności jest zupełnie usprawiedliwione. Nie można wymagać, ażeby wszyscy bez wyjątku byli pod tym względem bez winy i zarzutu; lecz w takiém społeczeństwie, w którém chociaż-by część bogatych rozumie i spełnia swoje powołanie, już podział dóbr tego świata odbywa się słuszniéj i sprawiedliwiéj, aniżeli-by to być mogło pod panowaniem jakiéjkolwiek formułki socyalistycznéj, albo z rozporządzenia najmądrzéj urządzonéj władzy biurokratycznéj.

Trzeci prąd, nieprzychylny kształtowaniu się stosunków społecznych pod wpływem zabezpieczonej robotnikom swobody zawiązywania pomiędzy sobą stowarzyszeń według własnego rozumienia, płynie z obozu zachowawczego, ze sfer, które dzisiaj w Europie nazywają klerykalnemi albo feudalnemi. Tam kwestya socyalna uznawaną jest w całej swéj rozciągłości, nie mniéj gorzko i ostro od socyalistów powstają zachowawcy na despotyczne rządy kapitału wśród dzisiejszych warunków życia ekonomicznego, a zło główne widząc w tém, że nędza robotników zdzicza, kładą nacisk na zobojętnienie ich przez to dla kościoła, co ich w ostateczności pozbawia nieba i szczęścia w życiu przyszłém. Kościół, szczególniéj katolicki, który niegdyś tak czynnie przyczyniał się do krzewienia cywilizacyi w Europie, nie zrywa ze swemi tradycyami, potępia więc energicznie stosunki utrzymujące klasy robocze w nędzy i zezwierzęceniu, ale w oczach jego pierwszym znamieniem oświaty jest uznanie marności dóbr doczesnych, a rozwijając motywa czerpane w podaniach ascetyzmu, potępia kulturę nowożytną piętnując ją mianem materyalizmu. Liberalizm naszego wieku wybił się z pod kierownictwa kościoła, więc klerykalizm niechce puścić klas roboczych na ścieżki liberalizmu, broni je od wpływów nieprzyjaznéj sobie kultury; zwraca swe usiłowania ku bogatym, nawracając ich pracowicie wymaga od nich fundacyj pobożnych, któreby dały jemu środki pomagania biednym; rozdając wsparcia, karmiąc i odziewając dotkniętych nędzą, ma nadzieję łatwiéj utrzymać masy ludowe pod swym kierunkiem. We Francyi, we Włoszech, w katolickiéj części Niemiec duchowieństwo pracuje usilnie nad zawiązywaniem pomiędzy ludem najrozmaitszych związków i stowarzyszeń, w których biorą udział ludzie z klas oświeconych, a które zawsze pozostają pod kierunkiem księży i noszą nazwę *dzieł pobożnych*. Wpływ moralny tych kółek ma niezaprzeczenie wielką doniosłość, ale ekonomicznie nie oddziałały one dotychczas w niczém na stosunek przedsiębiorców do robotników, chyba tylko łagodzeniem zajść ostrych tam, gdzie fakrykanci sami należąc do kółek, w zetknięciu osobistém z robotnikami, powodują się poczuciem chrześciańskich swych obowiązków wyrozumiałości i życzliwości dla bliźnich.

Od téj miękości patrona, wypływającéj z uczuć zapewne chwalebnych, bardzo daleko jeszcze do niezależnego stanowiska robotnika, do postawienia go w możności debatowania warunków umowy o sprzedaż swéj pracy, ze swobodą, jeżeli nie równą téj z jaką do targu przystępuje kapitalista, to przynajmniéj znacznie większą aniżeli dzisiejsza. Tego zaś właśnie dobijają się i w znacznym stopniu

już dokazały związki rzemieślnicze angielskie. Mogą one służyć za dowód, że liberalizm, pomimo wszelkich zarzutów jakie dzisiaj przeciw niemu są na porządku dziennym w prasie całéj Europy, nie przestaje wywierać skutków dobroczynnych na stosunki ludzkie, naturalnie pod warunkiem wierności hasłu, które go powołało do życia, i nie przedzierzgania się w obłudnego stróża interesu bogatych przy pozorach równości praw i wolności. Wolność i równość prawa, to nietylko szumne hasło, ale pojęcia głębokie najpłodniejsze w skutki dla wszystkich pomyślne; ale sama głębokość tych pojęć wskazuje już, o czém i praktyka stuletnia przekonała ludzi, że dla wprowadzenia w życie tych zasad nie dość zapisać je w księdze prawa, ale trzeba wypełnić je treścią, dać im kształt, niby ciało, tj. zabezpieczyć używanie ich rzeczywiste nie tylko tym którzy sami sobie wystarczyć mogą, ale i tym, których ubóstwo i niższy stopień wykształcenia stawią w niemożności przedzierania się o własnych siłach przez twardą sieć powikłanych stosunków społecznych do świątyni prawa, gdzie sprawiedliwość bywa wymierzaną, ani na zgiełkliwym rynku interesów ekonomicznych oryentowania się w porę co i jak o sprawach swoich postanowić należy.

Środkiem, jak dotąd najpraktyczniejszym i najobfitszym w skutki, okazało się zabezpieczenie robotnikom prawa swobodnego stowarzyszania się. Związki rzemieślnicze w Anglii trzymają już w skupieniu więcéj miliona robotników, więc oddziaływują na losy i sposób życia czteromilionowéj ludności, a istnienie ich prawem zabezpieczone trwa dopiero od lat kilkunastu, więc ta forma wynaleziona przez praktycznych anglików, może być uważana za szczęśliwą i odpowiednią celowi. Związki te przyczyniły się w znacznym stopniu do uspokojenia ludności robotniczéj angielskiéj, która nie ulegała zgoła wpływom teoryi Marksa i propagandzie międzynarodówki, widząc pewniejszą i bezpieczniejszą dla siebie drogę w faktycznem załatwieniu na miejscu interesu o swe zarobki, aniżeli w nadziejach na przewrót stosunków ekonomicznych całego świata; tu więc praca wolała wchodzić w kompromis z kapitałem, aniżeli wypowiadać mu wojnę ostateczną.

Stowarzyszenia te w zupełności odpowiednie dla stosunków społecznych angielskich, złożone wyłącznie z samych robotników, wszędzie są tém, czém są robotnicy; działanie ich w ogóle dobroczynne, a co do zasad ogólnych jednostajne, w praktyce zależy od temperamentu, usposobień i stopnia wykształcenia stowarzyszonych i dla tego rozmaicie się przedstawia w różnych okolicach kraju. Nie można więc téj mianowicie formy stowarzyszenia uważać za ogólne lekarstwo na cierpienia społeczne, za środek uspokojenia powszech-

nego, bo i w Anglii nie zapewni ona pokoju trwałego, który zależy nie od pewnych form użytecznych w danym miejscu i czasie, ale od ustawicznéj pracy wszystkich sił społecznych nad doskonaleniem stosunków wzajemnych.

Próby organizowania związków pomiędzy robotnikami rolnemi dotąd mało mają powodzenia, pomiędzy robotnikami fabrycznymi i rzemieślniczymi wszystko co się niedostraja do przeciętnego typu robotnika porządnego pozostaje po za związkami, wśród téj to ludności w Anglii znalazł się materyał gotowy do szerzenia propagandy socyalizmu w nowéj jego odmianie. Hasło do tego wyszło z Ameryki, podała go książka Henryka George. „Postęp i nędza" od r. 1879 w stu wydaniach rozkupiona w Ameryce, a przedrukowana w Anglii w sześćdziesięciu tysiącach egzemplarzy. Trafił tu autor w czułą strunę—w punkt drażliwy ludności angielskiéj, wśród któréj nie ma małéj własności ziemskiéj, a własność wielka uprzywilejowana podaje obszerne pole do zarzutów przeciwko sobie. George uniewinnia kapitał tak zniesławiony przez socyalistów europejskich, a całą winę nędzy i cierpień biorących w niéj początek składa na prawo własności przyznane ludziom do ziemi, dowodząc, że renta przez właściciela pobierana pochłania cały przyrost bogactwa, wytwarzany ciągle przez mnożącą się ludność i udoskonalenia w przemyśle. Powstałe stąd hasło *znarodowienia ziemi* (*naliolisation of land*) burzy namiętności i znajduje chętny posłuch u ludzi, na których tak mało działało wzywanie do wojny z kapitałem. Cieszyli się publicyści angielscy z praktyczności swego narodu, który nie dawał do siebie przystępu złudnym marzeniom socyalizmu; ale praktyczność broni od ułudy bodaj tylko w sferze bezpośredniego działania człowieka, w tém kole, w którém się on styka z rzeczywistością. Ziemi lud nie posiada na własność, nie wié skąd się bierze renta, ani rozumie jéj znaczenia, dla tego wierzy z łatwością wszystkiemu co na jéj karb składają. Zasady liberalizmu prawdziwego wprowadzone do stosunków fabrycznych, dając robotnikom angielskim możność polepszenia bytu ułatwiły im zrozumienie tych stosunków, uspokoiły ich i uciszyły tak groźną przed laty burzę chartyzmu. Można mieć nadzieję, że całe społeczeństwo angielskie pozostanie wierném zasadom, które się dla niego tak dobroczynnemi okazały, a wprowadzając je w stosunki rolne i ożywiając nimi formy prawne własności ziemskiéj potrafi zapobiedz gromadzeniu się w swém łonie zbyt silnych potęg niszczących.

A. Oskierka.

ADAM FERDYNAND ADAMOWICZ

SZKIC BIOGRAFICZNY.

Ten jest dobrym obywatelem, kto sobie położył za stałe prawidło: być wedle możności użytecznym społeczeństwu, do którego należy.

I. Klaczko.

Uniwersytet Wileński prawie od chwili swego powstania zajaśniał niezwykłym blaskiem na horyzoncie naukowym kraju. Opieka księcia kuratora Czartoryskiego, gorliwe spółdziałanie rektorów Strojnowskiego i Śniadeckiego sprawiły, że ciało nauczające składało się ze wzorowych nauczycieli; a bogate zakłady ciągle wzrastające, odpowiadały ówczesnym wymaganiom nauki,

Znakomici uczeni w Europie zachęceni dostateczném materyalném uposażeniem i zabezpieczeni powagą, jaką uniwersytet otoczony został przez cesarza, przybywali do Wilna. Celniejsze katedry jeżeli nie były zajęte przez znakomitych polaków jak np. przez Jędrzeja Śniadeckiego, im były powierzane. Nauki wykładane przez nich, już to nowemi tory były prowadzone, już na szerszą skalę.

Wielu wprawdzie z wezwanych nieodpowiedziało pokładanym w nich nadziejom,—większość jednakże zjednała dla siebie niespożytą sławę; dla społeczeństwa zaś, wśród którego działalność ich rozwijała się, pozostawiła trwałą pamiątkę wychowując młode pokolenie uczonych polaków. Tym ostatnim dostało się w udziale podnieść poziom oświaty na Litwie i święty ogień nauki przechowywać w społeczeństwie przez długie lata.

Nie piszemy historyi Uniwersytetu, dla tego nawiasem tylko wspomnimy o wydziale lekarskim jako najbliżéj dotyczącym zajmu-

jącego nas przedmiotu. W nowo uorganizowanym Uniwersytecie, pierwszą potrzebą okazało się założenie kliniki lekarskiéj i zaprowadzenie wykładów weterynaryi. Jak dbałym był Zarząd Uniwersytetu w wyborze profesorów, jak nie szczędził nakładu, dowód w wezwaniu Franków Piotra i Józefa z Wiednia słynnych klinicystów (na koszta podróży wysłano im 6.000 rubli) i Ludwika Bojanusa z Darmsztadu, jednego z najznakomitszych w Europie zoologów i anatomopatologów. Piotr Frank przybywszy do Wilna przystąpił do założenia kliniki chorób wewnętrznych, na wzór pawijskiéj i wiedeńskiéj przez niego również założonych. Był to mąż głośnéj sławy. Wilno przyjęło go w swych murach ostentacyjnie, a otwarcia kliniki dopełniono z wielką uroczystością (1).

Po dziesięcio miesięcznym pobycie opuścił Wilno, a kierunek młodziutkiéj kliniki wziął na siebie nie mniéj sławny syn Józef. Z objęciem kliniki przez Józefa Franka i wykładów przez tegoż Terapii szczegółowéj—wydział lekarski zaczął się najpomyślniéj rozwijać. Frank, zachęcając do samodzielnych badań tak profesorów jak i uczniów, ogłaszał zadania do nagrody, drukując lepsze prace w Dzienniku Wileńskim i Gazecie Literackiéj. Nic dziwnego przeto, że lat 18 zarządzając w ten sposób kliniką, postawił ją w rzędzie pierwszych tego rodzaju zakładów europejskich; co więcéj klinika wileńska przewyższała inne starannością i kosztownością (2). Wykład Franka, jak pisze jego biograf Adamowicz (3) był gruntownym i pociągającym a ten szczególny dar uczenia stawiał Franka między pierwszemi profesorami europejskiemi.

O Franku jako o plikologu wspomnimy poniżéj,—tu dodamy, że współcześni, jak Broussais, Bischoff, zarzucali mu wprowadzenie *dyatezy* do terapii. Tymczasem był to w istocie wybieg naukowy, uwalniający Franka od wykładów teoryi spekulacyjnéj, a prowadzący drogą praktyczną, która będąc dla słuchaczy bardzo dostępną, wzniecała w nich wstręt do wszelkiéj teoryi, lecz wiodła wprost do empirycznych spostrzeżeń.

Nie potępiał Frank jednakże teoryj lekarskich, przeciwnie—dowodził, że jeżeli nie w każdéj może być cokolwiek prawdy, z każdéj korzystać można nie wyłączając i błędów. Jednostronność uwa-

---

(1) Baliński—Dawna Akademia Wileńska str. 398 i n.

(2) Gąsiorowski—Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce tom III, str. 74. Rudomina—Żywot Hieronima Strojnowskiego, a także odpowiedź tegoż na recenzyą w Przyjacielu ludu z r. 1840. N. 32, umieszczoną w wizerunkach i roztrz. nauk. poczet II tom V.

(3) Adamowicz—Rimembranza r. 1843 str. 149, 150.

żał za szkodliwą, a średnią drogę często za najlepszą: *medium tenuere beati*. Obserwacye dawnych klasyków wielce cenił (1). Fryderyka Hoffmanna zalecał uczniom dla studyów, jako najodpowiedniejszego przy obserwacyi chorób na Litwie. Sydenhama zaś polecał ze względu obserwacyi nad chorobami panującemi,—ojca zaś swego Jana Piotra stawiał za wzór klinicysty (2).

Rozpisując się obszerniéj o teoryi Franka, mieliśmy na uwadze tę okoliczność, że teorya powyższa przyjęła się na Litwie i stała się własnością, z niewielkiemi modyfikacyami, wszystkich prawie lekarzy z epoki Uniwersytetu i późniejszéj Akademii Medyko-Chirurgicznéj.

I przybycie Bojanusa (1806 r.) do Wilna poprzedziła głośna sława, lecz w początkach nie sprostał Frankom. Miejscowe okoliczności paraliżowały dobre chęci sławnego lekarza. Weterynarya bowiem za owych czasów mało była znaną na Litwie. Poprzednicy Bojanusa jak np. Gilibert i X. Jundziłł, jakkolwiek oceniali ważność nauk weterynaryjnych dla kraju, jednakże w pracach swoich tylko z lekka dotykali tego przedmiotu. Znalazł przeto Bojanus dla siebie grunt nieprzygotowany. Brak ukształconych pomocników, którzyby oprócz nauki posiadali jeszcze jako warunek konieczny język polski, sprawiły, że na otworzenie szkoły weterynaryjnéj, biorąc rzeczy ściśle, musiał czekać aż do r. 1823. Ci dwaj sławni cudzoziemcy a z Polaków Jędrzej Śniadecki, wpłynęli przeważnie na karyerę naukową Adamowicza; pod ich kierunkiem kształcił się i wreszcie zastępcą ich i przedstawicielem w późniejszéj epoce pozostał (3).

---

(1) Adamowicz, l. c. str. 149.

(2) Adamowicz, l. c. str. 149 i 150.

(3) Dopóki nie będziemy mieli historyi Uniwersytetu Wileńskiego i powstałéj późniéj Akademii Medyko-Chirurgicznéj, marzyć nie możemy o dokładnéj biografii męża takiéj niepośledniej zasługi jakim był Adam Ferdynad Adamowicz. Należałoby przedewszystkiém przedstawić dokładny obraz społeczeństwa i napisać dzieje rozwoju nauk na Litwie w pierwszéj połowie bieżącego stulecia. Tymczasem historya Uniwersytetu zaledwie została rozpoczętą, a o Akademii jeżeli wyłączymy sprawozdania urzędowe, panuje najzupełniejsze milczenie. Do historyi téj Akademii znam tylko źródła następne: 1) Collectanea medico-chirurgica. Vilna, 1838. 2) Opisanie statystyczne m. Wilna. Balińskt, 1835. 3) Gąsiorowski—zbiór wiadomości itd. tom III.

Mamy wiadomości że z polecenia Zarządu Uniwersytetu mieli się zająć spisywaniem Historyi, Stanisław Jundziłł, Kontrym i Eichwald.

Fragmenta Jundziłła drukowało „*Pismo zbiorowe Wileńskie*" z r. 1859. Kontryma papiery przeglądałem, lecz oprócz planu jak należy przystąpić do pisania historyi Uniwersytetu, spisanego na jednym arkuszu, żadnych materyałów nie znalazłem. O Eichwaldzie nie wiem czy co pisał i drukiem ogłaszał (ob. Estreicher. Bibliografia polska XIX stulecia tom I str. 455 i n.).

Niepowetowana szkoda że wzmiankowani uczeni mając w swém rozporządzeniu materyały dziś niedostępne, nie wywiązali się należycie z zaszczytnego polecenia.

I.

Adam Ferdynand Adamowicz (1) urodził się dnia 6 grudnia 1802 r. Wilnie. Ojciec Józef pochodził z Królewca, matka Zofia Jochemówna z Gdańska (2). Wychowany w niezamożnym domu rodzicielskim, wcześnie się przejął głębokim uczuciem prawdziwego poświęcenia się dla dobra bliźnich; zasada ta zaszczepiona przeważnie przez matkę, towarzyszyła mu w ciągu całego życia aż do grobu. W dzieciństwie już zajmowała go budowa roślin, rysunek szczególniéj topograficzny, kaligrafia i muzyka, któremi się i ojciec jego, niegdyś nauczyciel szkół publicznych, zajmował. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pierwszemi przewodnikami w młodociannych latach, oprócz światłych rodziców, byli tacy ludzie jak: Tomasz Zan, Lach Szyrma i Kaczkowski. Umysł dziecka przy zręcznem pokierowaniu szybko się rozwijał; nic dziwnego przeto, że w Gimnazyum wileń-

---

Dopiero Michał Baliński swojemi pamiętnikami o Janie Śniadeckim przyczynił się nie mało do wyświetlenia życia wewnętrznego téj sławnéj Instytucyi.

O pamiętnikach Onacewicza i odnośnych pracach Lelewela wspomnimy poniżéj. Najcenniejszém ze źródeł do historyi Uniwersytetu są bez wątpienia *Pamiętniki Franków* ojca i syna, spisywane przez Józefa przeważnie w Karlsbadzie u doktora Carro i tam pozostawione. Hr. Tyzenhaus kupiwszy je ofiarował Cesarskiemu Towarzystwu lekarskiemu wileńskiemu.

Żałować przychodzi, że tak cenne dzieło spoczywa ukryte. Bodajby nie przyszło do tego, że nim Towarzystwo zdecyduje się zrobić z nich użytek publiczny to i pamiętników nie stanie. Z sześciu tomów własnoręcznie spisywanych przez Józefa Franka, jeden już zaginął bez śladu. Strata to niepowetowana bo kopii nie ma. W tym właśnie tomie zapisaną była historya Uniwersytetu za rektoratu Pelikana, odegrywającego tak wybitną rolę w owych czasach.

Gdyby nie dobra wola Dominika Chodźki (Przegląd Europejski 1863 r. NN. 8, 13) i Homolickiego („Na dziś"—1872 r. wydawca Kirkor), o pamiętnikach albo nic, albo nie wielebyśmy wiedzieli. Szczególniéj streszczenie pamiętników przez Homolickiego opatrzone notami wydawcy Kirkora, jest cennym przyczynkiem, chociaż nie dającym o całości dokładnego pojęcia.

Towarzystwo lekarskie może jeszcze oddać przysługę społeczeństwu, ogłaszając drukiem pozostałe pięć tomów; a zdarza się jak raz po temu sposobność bo 80-letnia rocznica istnienia Towarzystwa.

Publikacya ta będzie z jednéj strony wyrazem hołdu złożonego pamięci Franka z drugiéj dowodem że Towarzystwo, tak słynne niegdyś w Europie nie wegetuje tylko ale żyje i działa.

(1) Neugebauer Ludw. Adolf dr. Adam Ferdinand Adamowicz nach schriftlichen Mittheilungen des Herrn dr. Hipolit Kozlowski in Wilna und anderweitigen Quellen biographisch dargestellt. (odbitka z Leopldin. XVIII). Dresden Druck von E. Blochmann Sohn 1882. 4 o str. 6.

(2) Tygodnik Illusrtowany, 1863, VIII. 497; 1868. II. 37.—Kłosy 1872. N. 355 — Słownik lekarzów polskich Kośmińskiego str. 3 i następne.

skiém powszechną zwracał uwagę nauczycieli, celując wielkiemi zdolnościami i nadzwyczajną pracowitością. Naukom filologicznym oddawał się z wielkiem zamiłowaniem. Będąc uczniem 5-éj klasy napisał drobną broszurkę: *An Socrates cicuta necatus fuerit* (1817 r.). Był to pierwszy przykład drukowania w Wilnie rozprawek uczniów gimnazyalnych. Rozprawy téj bronił pod kierunkiem St. Czerskiego przeciw zarzutom prof. Grodka słynnego filologa i prof. botaniki Spitznagla. Dowodził w niéj Adamowicz że dla tego Sokrates otruty był cykutą (*cicuta virosis*), że domieszany był do niéj makowiec (*opium*).

Podczas pobytu Adamowicza w gimnazyum, niejednokrotnie odwiedzał uczących się i egzaminował rektor Uniwersytetu Jan Śniadecki. Egzamina te przeważnie z geografii i zoologii, prowadzone były w nieznany dotychczas sposób. Kazał np. rektor któremu z uczniów odbywać podróż (po sali) z jednéj części świata do drugiéj, opisywać szczegółowo najdalsze wyspy, ich mieszkańców, zwierzęta itp. Swemi pytaniami i objaśnieniami bardzo zaciekawiał młodzież; starszym uczniom przy tłómaczeniu mów Cycerona, zadawał często oderwane pytania.

Przy takim systemie nauczania, przy ogólnym naówczas rozwoju nauk w Wilnie, Adamowicz świetnie ukończył szkoły. W 1818 r. zapisał się na wydział Fizyko-Matematyczny i po otrzymaniu stopnia kandydata filozofii w r. 1819, przeszedł na wydział lekarski. Epoka ta, o któréj należałoby bardzo dużo mówić aby dokładnie wyjaśnić doniosłość i wpływ jéj na późniejszy lecz niedaleki już okres czasu, przedstawia stadyum najwyższego rozwoju naukowego w Wilnie. Jakkolwiek pomiędzy starszyzną uniwersytecką zdarzały się kwasy i częste nieporozumienia, nie zawsze dobro ogółu, lecz przeważnie prywaty mające na celu;—a między młodzieżą nurtowały prądy dla niektórych podejrzane—jednakże nie dawały one naówczas ujemnego rezultatu. Mam tu na myśli Filomatów i Filaretów (1).

Przewodnikami Adamowicza w okresie jego studyów od 1818 do 1821 r. byli następujący profesorowie: Jędrzej Śniadecki wykładał Chemię, Stanisław Jundziłł Botanikę i Zoologię; Ferdynand Spitznagel wykładał Terapią ogólną i Materyą lekarską; August Becu Patologią i Hygienę—a Józef Frank prowadził klinikę chorób wewnętrznych, wykładając równocześnie patologią i terapią szczegółową. Ludwik Bojanus wykładał weterynaryą i zajmował się młodziutką naówczas Anatomią patologiczną. Mikołaj Mianowski wykładał Aku-

(1) Filareci i Filomaci. List Ignacego Domejki Poznań. 1872.

szeryą i choroby kobiece, był przytém dziekanem wydziału lekarskiego po śmierci Lobenweina 1820 r.

Lobenwein Jan Andrzej, jako pierwszorzędny uczony anatom, wiele wpłynął na wykształcenie anatomiczne Adamowicza swemi wykładami, które prowadził prywatnie we własném mieszkaniu dla niewielkiéj liczby wybranych.

Fizyologią wykładał Michał Homolicki, a chirurgią tyle głośny późniéj ostatni rektor Uniwersytetu Wacław Pelikan.

Adamowicz będąc na 3 im kursie medycyny, przetłómaczył z niemieckiego broszurę Bernarda: *O płodności hypospadaryuszów* (1). Na czwartym kursie, nie ustając w gorliwości zajmowania się naukami, był używanym przez Franka, jako tłómacz dla tych chorych, którzy po polsku nie umieli a przy łóżku których prowadził Frank kliniczne wykłady. Liboschütz, jeden z najwięcéj wziętych ówczesnych praktyków (2), polubił bardzo Adamowicza, rad brał go z sobą do swych pacyentów na mieście i wtajemniczał w niektóre osobliwości chorobne, ostatecznie przez ówczesną naukę niezdeterminowane, a tylko przez więcéj utalentowanych lekarzy—praktyków odgadywane.

Otrzymawszy stopień naukowy kandydata medycyny, a wreszcie magistra (1822 r.), w drodze konkursu został pomocnikiem profesora anatomii porównawczéj. Liboschütz i inni wiedząc, że jest niezamożnym, doradzali aby porzucił drogę naukową, do jakiéj się przygotowywał, a zajął się raczéj praktyką. Lecz Adamowicz jakkolwiek wielką miał skłonność i zamiłowanie do praktyki, niepomny na przeróżne trudy, zawody, mimo ciągłéj a usilnéj pracy, za które, przy najlepszych warunkach, może zyskać tylko pamięć u potomnych,—nie chwycił się sposobu łatwego naówczas wzbogacenia się, bo dobrych lekarzy było nie wielu, aby zapewnić tą drogą przyszłość bezpieczną i od wielu trosk wolną;—przeciwnie, z podwójnym odtąd zapałem rzucił się do mozolnych studyów naukowych i z raz obranéj drogi nie zboczył przez cały okres długiego życia.

Gdy w r. 1821 Uniwersytet ogłosił konkursa do różnych katedr wydziału lekarskiego, wówczas książę kurator i prof. Bojanus z in-

(1) Pamiętniki Towarzystwa lekarskiego wileńskiego T. II. str. 313. Myśli o możności zapładniania mężczyzn zwanych *hypospadiae*, we względzie lekarsko sądowym przez dokt. Jana Bernarda (tłómaczenie z niemieckiego).

(2) Józef Frank niesłusznie i bardzo stronnie wspomina o Liboschützu w swoich pamiętnikach (Przegląd Europejski 1863. N. 9 str. 510). Że zaś i o innych mężach, skąd inąd znanych i cenionych, jeżeli nie z lekceważeniem, to bardzo stronnie a rzadko korzystnie wyraża się, przeto na te część pamiętników należy się krytycznie zapatrywać.

nymi uznali Adamowicza za godnego do przyszłéj profesury medycyny weterynaryjnéj, nie tylko dla kończących medycynę studentów, lecz i dla weterynarzy. Dotąd bowiem nie było ani szkoły ani instytutu osobnego dla weterynarzy praktycznych, tylko uczony wykład po łacinie dla lekarzy i umiejętne kucie koni dla użytku obywateli miejskich i wiejskich. Od r. 1822 zajął się Bojanus z polecenia Uniwersytetu kształceniem Adamowicza, na przyszłego profesora zootomii i weterynaryi; przewodniczył mu w dysekcyach zootomicznych i weterynaryjnych. Przez lat trzy dni i noce z nim przepędzał, wydoskonalając w rzeczonych przedmiotach.

Wspomnieliśmy powyżéj, że Bojanus na założenie szkoły weterynaryjnéj musiał czekać aż do r. 1823. W dniu 15 września t. r. ujrzał ziszczony dawny swój projekt przy pomocy Adamowicza. W nowo otworzonéj szkole wszystkie gałęzie téj obszernéj i ważnéj nauki zaczęły być wykładane w języku polskim. Ponieważ śladu nie pozostało z tych murów, gdzie mieściła się szkoła weterynaryjna, lub téż to co pozostało ma dziś inne przeznaczenie, a w Pamiętnikach o Janie Śniadeckim (t. I. str. 469, 496) tylko wzmiankę znajdujemy, przeto, z okazyi że tam Adamowicz zaczął stawiać pierwsze kroki jako profesor,—pozwalamy sobie przytoczyć wyjątek z autografu profesora, opisujący ową szkołę w takim stanie, w jakim była w owe czasy.

„Gdy ustawy Uniwersytetu, pisze Adamowicz, wymagały katedry weterynaryi, a ją otrzymał przez konkurs Bojanus i przybywszy w roku 1806 nie mógł być dla kraju użytecznym bez zakładu osobnego, przeto mury Spaskiéj cerkwi w 1805 r. na seminaryum katolickie przeznaczone, a nie stosowne, obrano na ten cel. Czynił trudności biskup unicki Brzeski dowodząc że tylko mury metropolity a nie cerkiew była oddaną przez cesarza Aleksandra I uniwersytetowi. Jednak Śniadecki Jan załatwił tę sprawę. Zasięgnął bowiem zdania Bojanusa i Lobenweina oraz architekta Szulca. Podał projekt 1807 r. aby anatomią ludzką osadzoną w murach Collegii medici niewygodnie i nie zdrowo przenieść z prof. Lobenweinem do Spaskiéj cerkwi i tam razem z anatomią zwierząt założyć na ustroniu. Cesarz zgodził się na ten projekt 1808 r. (ukazem) a klasztor Augustyanów na seminaryum zamienił.“

„Kościół Spaskiéj cerkwi zamknięty był w obwodzie murów metropolitalnych, ale pusty; była wieża przy cerkwi i ruiny dwóch pałaców metropolity unickiego. Szulc, Bojanus i Lobenwein podali taki plan: 1) Przerobić mury cerkwi na dwa zabudowania osobne, oddzielone murem środkowym od fundamentów prowadzonym, a do frontu nie dochodzącym; jedno z tych zabudowań z prawej strony

przeznaczyć na weterynaryą, z drugiéj, lewéj na anatomią ludzką. Od frontu mają być dwie sale na dole oświecone z góry, każda z amfiteatrem, na lekcye i demonstracye publiczne. 2) Za każdą izbą będzie izba do prosekcyj anatomicznych. 3) Dwie izby wielkie na laboratoryum dla uczniów zajmujących się lekcyami. 4) Dwie kuchnie obszerne z pompą i kanałem podziemnym do Wilenki, tuż przy dawnym obwodzie wałów miasta. 5) Składy ziemne na trupy do lekcyj. 6) Mieszkania 2-ch prosektorów i 2-ch stróżów. 7) Trzy sale na piętrze od frontu nad amfiteatrami i nad sienią z paradnemi wschodami. Sala środkowa największa z jednem oknem półkolném nad wejściem od ulicy, była z początku przeznaczoną na posiedzenia publiczne, potém na preparata kostne zwierząt, a nakoniec na gabinet zoologiczny; dwie sale boczne na zbiory anatomiczne, a przy nich dwie mniejsze izby na preparata zootomiczne i na skład szkła. Na przyległym dziedzińcu, w tak zwanym pałacu metropolity większym, wybudowano klinikę weterynaryjną z apteką, składami, mieszkaniami dla uczniów weterynaryi a późniéj adjunktów. W murach pałacu metropolitalnego mniejszego, było mieszkanie profesorów, a na dole kuźnia weterynarska i składy, oraz klatka na kucie koni, obok wozownia. Z tyłu cerkwi rajtszula, z salą do sztuk gimnastycznych, która późniéj zamienioną została na blech do bielenia kości, przytém mieszkanie dla berejtera i stajnie na konie maneżowe“.

Połączenie w jednem zabudowaniu anatomii ludzkiéj i zwierzęcéj—miało ten ważny dla uczących i uczących się pożytek, że można było porównywać równocześnie organizm zwierząt i ludzi, wydoskonalając się w historyi naturalnéj, medycynie i weterynaryi. Istotnie nigdzie nie było w Europie takiego zakładu wygodnego i porównawczego jak w Wilnie, co kosztowało 50.000 rs. (Adamowicz), nie licząc dodatków i murów gotowych.

Sprężyną tego był Bojanus, lecz w tém chybił, że nie postarał się wcześnie o dobrych profesorów, a przynajmniéj pomocników polaków; może być, że brak funduszów był główną przyczyną, lecz to najprawdopobniejsze, że brak ochotników. Na to ostatnie składało się wiele momentów, lecz się nie omylę, jeżeli dodam, że pogarda, z jaką w początkach traktowano anatomią i weterynaryą, najwięcéj się przyczyniła po sparaliżowania tego przedsięwięcia.

II.

Adamowicz po obronieniu obszernéj rozprawy o patologii porównawczéj w dniu 30 maja 1824 r., pod skromnym tytułem: *Conspe-*

ctus morborum, otrzymał stopień doktora medycyny. Rozprawa ta zwróciła na siebie uwagę w kraju i zagranicą, torując ostatecznie drogę do katedry po Bojanusie, który będąc już chorym w dniu 24 września 1824 r. opuścił na zawsze Wilno (1).

Rok ten 1824 był klęską dla Wilna i nauk niepowetowaną. Z przyczyn, o których Baliński mówić nie chce (2), pozostawiając wyjaśnienie historykowi uniwersytetu, książe-kurator tyle zasłużony dla oświaty na Litwie, a szczególniéj dla uniwersytetu usunął się (3). Śniadecki Jan otrzymał uwolnienie (4), Frank Józef także nie mogąc pogodzić się z ówczesnemi prądami, nurtującemi w Uniwersytecie w dniu 24 czerwca 1823 opuścił Wilno (5), Bem i Groddeck zmarli. Słowem rok ten zbyt był fatalnym, aby nie zaciążył na dalszém życiu uniwersytetu. Pod smutną tedy wróżbą rozpoczynał swą karyerę naukową Adamowicz. Pragnąc jednakże godnie odpowiedziéć położonemu w nim zaufaniu, zajmując miejsce po takim człowieku jak Bojanus, który pracami swemi szczególniéj dokonanemi w Wilnie, jak np. wypracowaną i ogłoszoną anatomią żółwia (6) szeroko zasłynął w świecie naukowym—postanowił wydoskonalić się w naukach weterynaryjnych, zwiedzając ważniejsze zakłady na początek rosyjskie.

Dnia 15 maja 1825 r. opuścił Wilno i udał się do Dorpatu, Petersburga i Moskwy. Rozprawa inauguralna (7), znana zaszczytnie w Europie i ta okoliczność, że był uczniem Bojanusa, wysoko cenionego przez wszystkich uczonych—były powodem gorącego przyjęcia, jakiego doznał Adamowicz od uczonych profesorów. W Moskwie poznajomił się z prof. Bunge, który podobnie jak i Adamowicz studyował jednocześnie medycynę ludzką i zwierzęcą, kolejno zajmując katedry weterynaryi i kliniki chorób wewnętrznych ludzkich.

Co było wówczas jeszcze rzadkością w Europie, widział już Adamowicz w Wilnie, albowiem i Jan Piotr Frank i późniéj już za

---

(1) Adamowicz: „Ludwik Bojanus". Wizer. i roztrz. nauk. 1836. XI.

(2) Baliński: „Pamiętniki o Janie Śniadeckim", t. I, str. 871 i n.

(3) Lelewel: „Polska, dzieje i rzeczy jéj", t. XII.

(4) Baliński, l. c. Adamowicz: „Wspomnienie o Pelikanie", drukowane po rosyjsku w Protokułach cesarsk. towarz. lekarsk. wileń. rok 1873, str. 131 i n.

(5) Adamowicz: „Józef Frank"—Rimembranza, str. 21.

(6) Anatome testudinis europeae. Vilna 1819, 1821. 31 tabl.—Estreicher: Bibliogr. polska XIX stolecia, t. I, str. 129.

(7) Dissertatio inauguralis medico-veterinaria morborum inter animalia domestica observatorum, indicem et signa exhibens, adnexa synonymia germanica, gallica, russica et polonica. Vilnae 1824, str. 132.

czasów jego Bojanus uprawiali z jednakową gorliwością oba te działy nauk lekarskich.

W Moskwie wybranym został na członka *Towarzystwa badaczów przyrody*. W Dorpacie i Petersburgu starannie zwiedzał zakłady i skrzętnie notował to wszystko, co w dalszéj naukowéj karyerze, a szczególniéj profesorskiéj ważnem by się okazać mogło.

Powróciwszy do Wilna, rozpoczął lekcye anatomii i patologii porównawczéj dla studentów medycyny i posiłkując się doświadczonemi radami znakomitego Jędrzeja Śniadeckiego, rozpoczął szereg licznych poszukiwań i doświadczeń w klinice weterynaryjnéj. Gdyby jednak na nich poprzestał, byłby w połowie zadania; Adamowicz poszedł daléj: doświadczenia te zaczął zastosowywać do medycyny ludzkiéj. Lekarze jednozgodnie muszą przyznać, że podobnego rodzaju poszukiwania są doniosłéj wagi. Dzieło wydane w Wilnie w 1838 r. pod tytułem: *Collectanea medico - chirurgica*, jest pracą zbiorową, lecz przeważnie owocem studyów przedsiębranych w wyżéj oznaczonym kierunku przez Adamowicza.

W tymże roku 1825 dnia 15 listopada wybrany został na członka *Towarzystwa Wileńskiego lekarskiego*. Młodemu profesorowi nie przychodziły z łatwością wykłady w języku polskim. Wypadło mu tworzyć terminologią. Wiadomą jest rzeczą, że wykłady w Uniwersytecie Wileńskim prowadzone były z początku po łacinie. Poczobut języka polskiego nie lubił jako upośledzającego godność nauk (1); Frank go nie znał w początkach, a do końca pobytu w Wilnie odzywał się, że tylko w języku łacińskim winny być wykładane nauki lekarskie, chociaż-by dla tego, aby uniknąć zamieszania z różnego mianowania chorób i indywidualnego zapatrywania się na symptomata chorobowe - wypływajacego. Lecz Jędrzej Śniadecki a późniéj Jan, zasadzając się już to na ustawie uniwersyteckiéj, już z głębokiego przekonania, że język polski w zupełności może zastąpić łacinę—dzielnymi byli pionierami na téj drodze. Adamowicz władał językiem polskim jako polak bez zarzutu, dowodem czego są dzieła, które się pojawiły w druku przed r. 1830, lecz terminologią weterynaryjną stwarzać musiał. Dbały przez całe życie o czystość języka strzegł się neologizmów, aby nie wprowadzać wyrazów napstroszonych, dziwacznych, sprzecznych z duchem języka, a sekretem tego było zatrzymanie wyrażeń łacińskich w tych wypadkach, gdy takowe nie dawały się spolszczyć.

Dzieła Adamowicza przed 50-u laty pisane nie wiele się różnią pod względem terminologii od dzisiejszych,—najlepszy to dowód, że

(1) Adamowicz.— z Autografów.

zrobił dużo w tym kierunku; pod względem jasności nic nie tracą i z wielką korzyścią dla studyujących te umiejętności mogą być używane.

Ażeby faktami poprzéć powyższe dowodzenie, dość będzie zacytować dzieło *O kuciu koni i chorobach kopyt*, 8-o, część 1-a, 1827 r., część 2-a 1828, z sześciu tablicami rysunków, podług preparatów zootomicznych Laupmana, w druk. Zawadzkiego. Niektóre egzemplarze z r. 1827 przez omyłkę drukarską wyszły pod tytułem Laupmana zamiast Adamowicza. W tymże czasie wydał: *Nazwania wewnętrznych części ciała końskiego*. 1829. Glücksberg, 1 tabl. rycin.

W 1828 r., dnia 5 stycznia został pomocnikiem prefekta „Instytutu lekarskiego". O początku i rozwoju téj tak pożytecznéj instytucyi, jaką był bezwątpienia Instytut lekarski, znajdujemy wzmiankę w cytowanéj powyżéj biografii Franka.

Niedostatek lekarzy cywilnych, pisze Adamowicz, i wojskowych, oraz usilna chęć wywdzięczenia się i wynagrodzenia choć w części krajowi wielkich kosztów łożonych na uniwersytet, pobudziły Franka do chwalebnéj myśli ukształcenia lekarzy kosztem skarbu. W tym celu podczas powtórnéj bytności w Petersburgu (latem 1806 r.), zasięgnąwszy tamże rady doświadczonych mężów, wyjednał u tronu założenie Instytutu lekarskiego i wybrany został tegoż Instytutu prefektem dnia 23 marca 1807 r. Nowe te obowiązki spełniał z największą gorliwością, nawet bezpłatnie. Przy pierwszém rozwinięciu tak użytecznego zakładu, na niezliczone natrafiał trudności: musiał albowiem pierwotną w krajowcach odrazę do medycyny przełamywać; rozmaitemi sposobami zachęcać (1); niedostateczną nawet w początkach wypłatę na utrzymanie 20-u zrazu uczniów z własnych funduszów zastępować. Tak więc za staraniem Franka znajdowało się coraz więcéj ochotników, iż zamierzona 50 skarbowych uczniów liczba po kilku leciach uzupełnioną, a nareszcie do 100 pomnożoną została. Gorliwie się przykładał do zaopatrzenia uczniów w książki i narzędzia dysekcyjne, a nawet za jego radą doskonałego majstra narzędzi chirurgicznych Malliard'a z Wiednia sprowadzono.

W dniu 4 grudnia 1828 r. zatwierdzony został Adamowicz adjunktem uniwersytetu, które to obowiązki pełnił dotychczas zastępczo. Na kilka miesięcy przedtém wstąpił w związki małżeńskie z Eweliną Zborowską, córką skarbnika nadwornego litewskiego. Była to osoba bardzo wykształcona i pod tym względem dorówny-

(1) Discours à l'ouverture de l'institut des éleves en médecine entretenus aux frais de la Couronne auprès l'Univ. Imp. de Vilna. 1809. Sept. 16.

wała mężowi. Wspominaliśmy powyżéj, że Adamowicz pragnął zawsze zwiedzić zakłady naukowe zagraniczne w celu bliższego zapoznania się z postępem umiejętności, którym się poświęcał; otóż w d. 3 sierpnia 1829 otrzymawszy uwolnienie od obowiązków pomocnika prefekta instytutu lekarskiego, puścił się w trzyletnią podróż po Europie wraz z małżonką. Dla tak przygotowanego pod względem naukowym, jakim był Adamowicz, przy takim wrodzonym zmyśle obserwacyjnym, podróż ta była wysoce pouczającą; zważywszy prócz tego, że nic nie uszło jego uwagi, a co było godném pamięci skrzętnie zapisywał,—żałować przychodzi, że praca ta pozostała dotąd w rękopiśmie. Z notatek Adamowicza dowiadujemy się, że między innemi rękopismami, o których poniżéj wspomnimy, przesłany został ś. p. Girsztowtowi: *Dziennik podróży naukowéj i noty podróżne Adamowicza od r. 1829—1832 z planami, kopiami rycin, itd.*

Z Wilna udał się do Galicyi, gdzie dłuższy czas przebywał, obserwując panujący tam podówczas księgosusz. We Lwowie bawił krótko, zwiedził tylko Uniwersytet i niezwłocznie wyjechał do Węgier. W Peszcie zwiedzał bibloteki, czyniąc w nich naukowe poszukiwania.

W Wiedniu, gdzie na dłuższy czas przybył, z całém zapałem poświęcił się badaniom naukowym, a przewodnikami jego byli sławni lekarze specyaliści jak Jäger okulista, Czermak fiziolog. Na lekcye znakomitego Bischoffa, wykładającego w Iosephinum, pilnie uczęszczał. Nad anatomią praktyczną pracował wspólnie ze słynnym Rombergiem w *Allgemeines Krankenhaus*. Przy Instytucie weterynarskim wiedeńskim zamieszkał czas niejakiś i tu oddał się mozolnym studyom, pragnąc stanąć na wysokości zadania i największą korzyść z téj podróży osiągnąć. Opuściwszy Wiedeń przeniósł się do Salzburga, a ztąd pośpieszył do Monachium, aby uczęszczać na wykłady anatomii porównawczéj słynnego Ockena. Nazwisko to nie było obcem Adamowiczowi, albowiem pracując wspólnie z Bojanusem nad preparatami anatomicznemi: *o tworzeniu się błony doczesnéj* (1) spotkali w Ockenie zaciętego przeciwnika téj teoryi. Ocken przyjął Adamowicza serdecznie, jakby dawnego znajomego, wprowadził w koło ówczesnych powag naukowych i zapoznał między innemi z słynnym naturalistą Agassizem. Prócz nauk lekarskich, uprawiał jeszcze Adamowicz filozofią, słuchając takowéj na wykładach Schellinga.

---

(1) Isis. 1821, tom VIII.—Neugebauer L. A. Akuszerya t. I. p. 523. Dzisiejsze pojęcia *o błonie doczesnéj*, z uwzględnieniem dawniejszéj literatury tego przedmiotu, bardzo przystępnie są wyjaśnione.

Przez Carlsruhe i Stuttgard przybył do Paryża, a będąc zaopatrzonym w listy rekomendacyjne do Cuvier'a, zapoznał się z nim i pod jego kierunkiem studyował muzea w Jardin des Plantes. W wolnych chwilach korzystał ze znajomości z Cuvier'em i na sobotnich zebraniach u tego nieśmiertelnego badacza bywał, spotykając się tam i zaznajamiając ze wszystkiemi znakomitościami naukowemi i literackiemi. Studya nad naukami przyrodniczemi nie przeszkadzały uczonemu polakowi zajmować się rozmaitemi naukami medycyny praktycznéj. Kliniki i szpitale były dla niego otwarte. Na wykłady Chomela, Dupuytrena, Broussais'go i innych pilnie uczęszczał, notując rzeczy co ważniejsze. Bywając na wykładach Cuvier'a w College de France, skorzystał późniéj z nich, uzupełniając licznemi dodatkami przekład polski dzieła Cuvier'a: *Historya nauk przyrodniczych*,—a dopełnienia te, rzeczy krajowe głównie miały na celu.

O analogii w budowie organów zwierzęcych, a zatém o przedmiocie, któremu lat już tyle oddawał się Adamowicz, miał sposobność słyszéć w Instytucie francuskim. Humboldt bowiem zdawał sprawę ze swych wypraw naukowyeh, a Cuvier z Geofroi de St.-Hilaire przedmiotowi temu specyalne rozprawy poświęcali.

Ażeby żadnego dnia bez korzyści nie spędzić, zwiedzał Adamowicz zakłady obłąkanych w Charenton i słuchał wykładów Esquirol'a o chorobach umysłowych.

Pobyt jego w Paryżu miał jeszcze donioślejsze znaczenie ze względu na teoryą kołtuna, w którą wierzył jako Litwin i jako uczeń Franka. Gdy na posiedzaniu Towarzystwa lekarskiego pod przewodnictwem znakomitego Larreya odbywającém się, przedstawił kołtun przywieziony z sobą, a zebrani członkowie, po pilném zbadaniu zawyrokowali, że to nie żadna swojska choroba, a tylko przypadkowe zlepienie się włosów, Adamowicz zachwiał się w dotychczasowych poglądach i za powrotem do kraju, przeważnie w tym kierunku rozpoczął badanie, aby dojść prawdy.

Przed wyjazdem z Francyi dłuższy czas przepędzał w Alfort, i tam całkowicie poświęcił się zbadaniu Szkoły weterynaryjnéj.

W Niemczech zwiedzał rozmaite uniwersytety, słuchając wykładów najznakomitszych ówczesnych profesorów i wchodząc zarazem w stosunki naukowe i przyjazne z takiemi powagami jak Blumenbach w Getyndze, Rudolphi w Berlinie, Carus w Dreznie, wreszcie, jak to już wzmiankowaliśmy, Ocken w Monachium.

Podczas swego pobytu w Berlinie, wybrany został na członka *Towarzystwa do podniesienia nauk przyrodzonych* w 1831 r.

Po wydrukowaniu rozprawy: *Ueber den Gebrauch des Brechweinsteins* w Busch'a: „Zeitschrift für die Thierheilkunde" 1831, Marburg, i *Notizen zur Veterinärlitteratur*, wybrany został na członka rzeczywistego *Hesseńskiego Towarzystwa przyrody* d. 31 stycznia 1831 roku.

W Dreznie pracował nad anatomią porównawczą, studyując zbiory Carusa. W tym czasie (5 listopada 1831 r.) wybrany został na członka: *Towarzystwa nauk przyrodzonych i lekarskich*. Wydrukowawszy u Barthold'a „Beyträge zur Physiologie", Götingen 1832, rozprawy: *Etwas ueber den Weichelzopf*, na początku 1832 roku przez Królewiec powrócił do Wilna.

III.

Bolesne nad wyraz zmiany czekały Adamowicza za powrotem do Wilna, dokąd przybył w styczniu 1832 r. Uniwersytet zamknięty, dawni jego profesorowie albo byli rozproszeni, albo legli w grobie, a znajomych i przyjaciół, również się nie doliczył. W pół roku potém wyszedł ukaz cesarski z dnia 31 lipca 1832 roku (1), mocą którego dawniejszy wydział lekarski zamieniony został na cesarską akademią medyko - chirurgiczną. Między wykładającymi okazał się tylko jeden, który używał europejskiéj sławy, a tym jedynym był Jędrzej Śniadecki. Podczas podróży po Europie Adamowicz główną uwagę zwracał na szkoły weterynaryjne, a szkoła w Altorf najwięcéj odpowiadała duchowi czasu i postępowi nauk, przeto przygotował plan na jéj wzór, z zamiarem wprowadzenia go w życie. Lecz postać Wilna zbyt była zmienioną, aby możebném było jakiekolwiek reformy zaprowadzać, przeto pochowawszy w głębi serca wiele projektów i planów, zajął się leczeniem chorych w szpitalu wojskowym, dokąd był naznaczony natychmiast po przybyciu do Wilna.

Dnia 1 września zaliczony został do składu ciała nauczającego w akademii i rozpoczął wykłady z epizoocyologii i anatomii porównawczéj dla studentów medycyny; dla uczniów zaś weterynaryi wykładał patologią, terapią i prowadził klinikę terapeutyczną zwierzęcą.

W skutek rozporządzenia konferencyi akademii z 7 sierpnia 1833 roku, wykładał nadetatowo fiziologią, hygienę i naukę o zewnętrznych częściach zwierząt.

---

(1) Baliński: Opisanie statystyczne miasta Wilna, 1835 r., str. 68.

Dnia 18 czerwca 1834 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym, a 6 października 1835 r. zwyczajnym. W zimowém półroczu 1837/8 prowadził klinikę chorób wewnętrznych w zastępstwie chorego Śniadeckiego.

W tym okresie czasu, tj. od objęcia katedry w akademii, aż do czasowego prowadzenia kliniki terapeutycznéj, Adamowicz dużo pisał i drukiem ogłaszał (1). Należał on podówczas do najcelniejszych przedstawicieli ruchu umysłowego w Wilnie. Żadne przedsięwzięcie literackie, zdaje się, nie mogło się obejść bez udziału Adamowicza: Wizerunki i roztrz. naukowe, Encyklopedya powszechna przez Glücksberga wydawana, Tygodnik Petersburski i przeróżne pisma zbiorowe wymównym są tego dowodem. Jako lekarz-praktyk, anatomo-patolog, weterynarz wreszcie nie wielu miał sobie równych, winniśmy tylko wyłączyć od porównania Jędrzeja Śniadeckiego. Lecz sędziwy ten patryarcha lekarzy wileńskich usuwał się z pola działania—złożony był bowiem ciężką niemocą, z której nie miał się już podźwignąć. Śniadecki rozumiejąc swój stan, nie mało się troskał nad losem swego dziecięcia—kliniki; komu-by ją powierzyć—wahał się. Nie zapominajmy, że stosunek Śniadeckiego do kliniki był innym aniżeli dzisiaj, stosunek ten jest niezrozumiałym w obec dzisiejszych pojęć, chociaż tradycya w nielicznych przy życiu pozostałych uczniach Śniadeckiego przechowywana, zdaje się, że dokładnie o nim poucza.

Otóż powiadają, że otaczającym sędziwego mistrza wskazywał Śniadecki Adamowicza jako jedynego, któremu by powierzył następstwo po sobie. Lecz gdy dnia 12 maja 1838 r., wielka ta gwiazda wszechnicy wileńskiéj zagasła — nie stało się zadosyć woli genialnego człowieka—klinika Adamowiczowi przeznaczona, przeszła pod zarząd Rymkiewicza. Czyż współcześni koledzy nie chcieli, czy nie mogli pojąć, że profesor kliniki zwierzęcéj może z korzyścią prowadzić klinikę ludzką? czy téż prywata wypłynęła na wierzch, niewiadomo.

W dniu 18 października t. r. polecono Adamowiczowi niezależnie od nauk weterynaryjnych prowadzić wykłady historyi medycyny i literatury lekarskiej. Na tém ostatniém stanowisku pozostał aż do zamknięcia akademii.

Widzieliśmy już powyżéj jak Adamowicz pojmował powołanie nauczyciela, z jakiém przygotowaniem przystępował do wykładów; a nie zapominajmy, że będąc od natury wysoce uposażony, przy ciągłéj pracy, był tak wykształconym, że nie wielu miał naówczas

(1) Bibliografia czasopism wileńskich (1805—1860).

równych sobie na Litwie. Bez względu na to, nowa katedra, nowe wkładała na niego obowiązki. Rozpoczął tedy poszukiwania do historyi medycyny, a przedewszystkiém polskiéj. Między papierami znajdujemy luźne noty, już to Mikołaja Malinowskiego, już ks. biskupa Krasińskiego, Sobieszczańskiego i innych, wyjaśniające nie jedną wątpliwość w umyśle sumiennego badacza powstałą.

Poszukiwania Adamowicza po bibliotekach krajowych i zagranicznych i zamiłowanie do bibliografii, było niejednokrotnie uwieńczone pomyślnym rezultatem i prowadziło do odkryć szczególnie odnoszących się do polskich zielników i greckich hippiatrów. Przezierał pilnie biblioteki w Peszcie, gdzie znalazł kronikę Bielskiego po węgiersku w Krakowie drukowaną (1). W Getyndze znalazł rękopisma Piotra Campera, w Paryżu—dzieło Michała o Litwinach; w Berlinie pisma Förstera; w Petersburgu—rękopisma tyczące się medycyny polskiéj; w Królewcu — dzieła weterynarskie; w Wiedniu—rękopisma greckie i wiadomość o hippiatrze Hipokratesie. W Medyolanie—monety litewskie.

Nie mało mu téż dostarczyły wiadomości biblioteki w Pradze, Kijowie, Poporciach (w powiecie trockim), w Wenecyi itd. Oprócz bibliotek wertował archiwa kościołów ewangielickich w Wilnie, Kownie, Kiejdanach itd.

W tym okresie czasu wydał oddzielnie: *Nauka utrzymania i ulepszania zwierząt domowych, z dodaniem wiadomości o poznawaniu wieku. Wilno 1836. Glücksberg.* Dzieło to było owocem podróży pierwszéj za granicę, oparte na osobistych studyach autora, z uwzględnieniem teoryj najznakomitszych ówczesnych weterynarzy. Akademia przedstawiony sobie rękopism przychylnie oceniła i wydrukowała go własnym kosztem na korzyść autora. W Tygodniku Petersburskim wydrukował w tymże roku obszerny życiorys swego nauczyciela Bojanusa, a skrócony w Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych.

Wykłady terapii zwierząt opierały się przeważnie na rozprawie inauguralnéj, o któréj wyżéj mówiliśmy. W dwanaście lat późniéj tęż samą rozprawę uzupełniając odpowiednio do postępów nauki, wydrukował w „Magazin f. d. gesammte Thierheilkunde“, Berlin 1836, pod tytułem: *Synopsis nosologiae veterinariae comparatae.*

Nie mając gotowych podręczników wykładał podług własnych nonat, prawie wszystkie gałęzie nauk weterynaryjnych. Chcąc swoim następcom trwalszą zostawić pamiątkę, zamierzył ogłosić dru-

(1) Sobieszczański: Album (warszawskie) literackie, wydawca Wójcicki 1849 r. t. 2.

kiem zoopatologią i terapią, w całkowitym zakresie; lecz nad akademią zawisły już groźne chmury (1), które, czy-to pozbawiły energii energicznego dotąd profesora, czy też przeczuwając, że nie będzie wkrótce możności czytania publicznie specyalnych prac weterynaryjnych—nie wiadomo; to tylko pewna, że zamierzonego dzieła nie wykończył, a tylko część I-a pod tytułem ogólnym: *O poznawaniu i leczeniu chorób zwierząt domowych dla użytku gospodarzy. Część I-a, o chorobach koni* z *tablicą rycin*, Wilno, 1838, wydał u Glücksberga.

Będąc współpracownikiem Encyklopedyi powszechnéj, wydawanéj w Wilnie przez Glücksberga, zamieścił następujące artykuły: Bisio, Bojanus, Briotet, Broussais, Broussonet, Burserius, Buxbaum; Cardano, Carus, Carro, Cullen, Cuvier; Brzuchomówca, Bydło, Chirurgia w ogólności, a w szczególności w Polsce i Rosyi, Cholera, Choroba, Człowiek pod względem fizycznym, Człowiek skamieniały, Czas.

W Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych ogłaszał rozbiory krytyczne pism lekarskich i z dziedziny nauk przyrodzonych, biografie z poglądami krytycznemi i wreszcie rozprawki różnéj treści. Między innemi ogłosił: wspomnianą już biografią Bojanusa (XI. 1836); rozbiór krytyczny Zoologii Kunulskiego i S. B. Gorskiego (1836); rozbiór Historyi medycyny w Polsce Gąsiorowskiego (XI. 1839). Tu razem umieścił krytyczną wiadomość o zielniku polskim, jakoby 1423 r. pisanym, na co Adamowicz nie zgadza się, uważając go za zielnik czeski, albo raczéj za Falimierza, tłómaczonego na język ruski, kosztem Stanisława Gasztolda, wojewody trockiego 1588 r.

W r. 1840 pomieścił uwagę *o kichaniu.*

W „Magazin f. d. Gesammte Thierheilkunde" wydrukował: *Biographische Skizze von Bojanus* (1839 V. Jahrg.), i *Einige zoopathologische Bemerkungen* (1840). W ostatniéj rozprawie zawarł najciekawsze obserwacye swoje nad wścieklizną u zwierząt, wraz z opisem odnośnych preparatów patologicznych. Wspominaliśmy powyżéj, że Adamowicz poszedł w ślady najznakomitszych ówczesnych lekarzy, jak Bojanus, Bunge, Jan Piotr Frank i inni, którzy robili równoczesne obserwacye nad ludźmi i zwierzętami, kładąc podwaliny anatomii porównawczéj i fiziologii (1). Otóż jedną część odnośnych spostrzeżeń drukował Adamowicz w r. 1838 w „Collectanea medico-chirurgica", pod tytułem *Adnotationes practicae in Clinica Zoother. viln.*; drugą zaś część, traktującą przeważnie o porównawczéj

(1) Russkaja Starina. 1878, Nr. 7, str. 382 i n.

(2) Cuvier: Historya nauk przyrodzonych. Wilno 1854. Zawadzki. T. III, str. 151 i n.

fiziologii, wydał pod tytułem: *Zoonomia weterynarna, czyli nauka o życiu zwierząt gospodarskich, dla użytku badaczów przyrodzenia, medyków, weterynarzy, z tablicą objaśniającą treść dzieła.* Wilno 1841.

Na posiedzeniu cesarskiego towarzystwa lekarskiego wileńskiego w dniu 12 października, wybrany został prezesem tegoż towarzystwa.

Tymczasem smutne nastały chwile dla wileńskiéj akademii. Wskutek rozporządzenia ministra oświaty, utworzony został komitet, który miał się zająć przygotowaniem zbiorów naukowych akademii, do wysłania ich do innych zakładów naukowych w Rosyi.

Był to grom, acz spodziewany, okropne jednakże czyniący wrażenie. Adamowicz wybrany członkiem tego komitetu dnia 26 lutego 1841 roku, miał przed sobą zadanie i przykre i trudne. Postanowił połączyć je z gorliwą chęcią utrzymania jakichkolwiek przynajmniéj pamiątek dawnych, do których od młodości był szczerze przywiązanym. Aby tego dopiąć zajął się: opisaniem zbiorów anatomicznych dawnego uniwersytetu i obecnéj akademii w dziele: *Museum anatomicum Vilnense*, a powtóre utrzymaniem bytu cesarskiego towarzystwa lekarskiego, do którego od młodości z zapałem przylgnął. Zachować przeto ile możności niektóre pamiątki wydziału lekarskiego, niektóre zbiory i duplikaty dla zbiorów towarzystwa uważał za obowiązek obywatelski.

W „Museum anatomicum Vilnense“, skreślił wstęp, zawierający historyą tych zakładów; w części pierwszéj, traktującéj dział patologiczny, opisał wszystkie preparata podług własnego układu.

Dzieło to było już ostatnią pracą czynnego profesora w akademii wileńskiéj, — w dniu bowiem 1 sierpnia 1842 r., w skutek zamknięcia akademii, uwolniony został od obowiązków.

Aby oddać ostatni już hołd instytucyi, dla sławy któréj przez lat dziesięć usilnie pracował,—przyjął udział w komitecie, utworzonym z najwyższego rozkazu, dla dokończenia spraw byłéj akademii i w takowym przebywał aż do jego zwinięcia, tj. do d. 1 stycznia 1843 roku.

IV.

W dniu 12 grudnia 1805 roku, Józef Frank podał myśl założenia towarzystwa naukowego z grona profesorów medycyny i farmacyi. Myśl ta żywo się przyjęła i 15 członków stało się założycielami.

Głośne to imiona—wielu z nich miało sławę europejską; mniéj sławni są jednakże drogiemi, bo na naszéj ziemi światło boże ujrzeli

Imiona założycieli dla pamiątki wypisujemy z statutu (1): August Becu, Jan Chrzciciel Braun, Eliasz Eincholm, Józef Frank, Jerzy Gutt, Herz Heiman, Jakób Liboschütz, Jan Lobemoein, Andrzej Matusewicz, Jan Schlegel, Andrzej Śniadecki, Ferdynand Spitznagel, Jakób Szymkiewicz, Karol Wagner, Jan Wolffgang.

Towarzystwo to, któremu w 1819 roku przydany był tytuł *cesarskiego*, pierwszém było towarzystwem w Polsce i Rosyi. Śniadecki był pierwszym prezesem, a sekretarzem Frank.

Znaczenie towarzystwa lekarskiego dla Litwy, było wielkiéj doniosłości; ostatnia to instancya w kwestyach naukowych, a na rozwój nauki dzielnie wpływało; nad ogólném zdrowiem miasta i okolic czuwało, a w chwilach wielkich klęsk, jakiemi są epidemie, z wielkiém poświęceniem ratowało ofiary epidemii, wynajdując środki, już to łagodzenia gwałtownych objawów, już tamując rozwój choroby, lub nie dopuszczając dalszego szerzenia się epidemii.

Były to zajęcia towarzystwa zewnętrzne. Na posiedzeniach miesięcznych zajmowało się nauką, a że to był okres największéj świetności medycyny na Litwie, przeto i każde posiedzenie, jako bardzo pouczające licznie było odwiedzane, nietylko przez członków, ale i przez najznakomitszych lekarzy i uczonych różnych stron Europy. Towarzystwo miało swój organ naukowy: z początku pod tytułem *Pamiętnika*, późniéj *Dziennika medycyny, chirurgii i farmacyi*, które-to wydawnictwo przerwane w owym pamiętnym 1824 roku, wznowiono w 1830 r. Lecz z przyczyn niezależnych od towarzystwa na pierwszym tomie przerwane zostało. Dopiero w 1838 r. pod tytułem *Collectanea medico-chirurgica* wyszły prace członków towarzystwa, lecz nie miały już one charakteru specyalnego wydawnictwa towarzystwa lekarskiego.

Po takich głośnych mężach jak Frank i Śniadecki, zajął ich prezesowskie krzesło Adamowicz, za miejsce katedry uniwersyteckiéj.

Wielkim szacunkiem otoczone było towarzystwo, najznakomitsi ludzie uważali za zaszczyt dla siebie być jego członkami. Wprawdzie w skutek ogólnego naprężenia sytuacyi, ogólnéj apatyi moralnego przygnębienia, jakie ostatniemi czasy wszędzie czuć się dawało, — i stan towarzystwa znacznie podupadł. Należało tedy umiejętnie wziąć się do pracy, aby do dawnego blasku, do dawnéj

---

(1) Statuts de la Société de Médecine de Vilna fondée le 12 Décembre 1805 par les soussignés et approuvée par Sa Majesté l'Empereur Alexandre I Autocrate de Toutes es Russies. Vilna 1806. 4-o, Zawadzki.—Pamiętniki Towarz. lekarsk. wileńsk. t. II. str. od III—XLIV..

wziętości przywrócić tyle zasłużoną dla oświaty instytucyą. Kto inny uląkł-by się ciężaru nad siły, lecz Adamowicz, jakkolwiek głęboko przygnębiony, jakkolwiek nie tajném mu było, że z rozproszeniem się profesorów akademii po świecie, owych filarów, podtrzymujących budowę—budowa sama może się zachwiać i runąć, dla braku sił i ogólnego poparcia (1)—przyjął na swe barki cały ciężar i dzięki niezwykłéj energii, zapewnił byt towarzystwa. Na tém stanowisku położył największe zasługi Adamowicz.

Nie zamknął się prezes w ciasném kole dyskusyi, interes tylko miejscowy i przechodni mających, lecz przyzwyczajony do działania na zewnątrz i dbały o sławę towarzystwa, po kilka razy w pewnych odstępach czasu ogłaszał drukiem prace członków, pod ogólnym tytułem: *Praktyczne najnowsze postrzeżenia niektórych lekarzy*. Wilno 1846, 2 tomy; Warszawa 1852, 2 tomy; Wilno 1862, tom I.

Na posiedzeniach czytywał żywoty uczonych lekarzy i drukiem je ogłaszał, jak np. Franka, Bojanusa, Gorskiego, Schönleina, Försterów, Larreya i wielu innych.

Starał się pobudzić członków do samodzielnych badań naukowych, do obserwacyi chorób nagminnych, słowem wszystko robił, aby wskrzesić lepsze czasy pod względem naukowym, jakie były udziałem towarzystwa w pierwszém dwudziestopięcioleciu jego egzystencyi. Własnym przykładem wskazywał drogę do naukowych poszukiwań i studyów. Od r. 1845 nieustannie zalecał lekarzom staranie o podniesienie farmacyi.

W „Kuryerze Wileńskim", późniejszym organie towarzystwa, drukował wiele prac i spostrzeżeń naukowych. Ważniejsze między niemi są następujące: *O wodach druskienickich* (1840); *o zębie mamutowym, znalezionym blisko Wilna i o zwierzętach zaginionych w ogólności* (1846 Nr. 97—99); *o wykonaniu operacyj chirurgicznych bez bólu, przez wdychanie eteru siarczanego* (1847, Nr. 14 i 15); *o wrzodach na nogach atonicznych i skorbutycznych, zwanych niesłusznie kołtunowemi* (1860); *o tasiemcach i trychinach*, które własnym kosztem sprowadził z zagranicy dla zbiorów towarzystwa; *o przyczynie potworności głowy owczéj, wziętéj mylnie za dziecię*; *o szkodliwości tytoniu* (1860); *o odradzaniu się części żywych* (1860); *Listy z podróży* (1861, Nr. 60, 62); *o liczbie i cenie pijawek* (1862. Nr. 29) i wiele innych.

W trzydziestoletnim okresie życia i działalności uczonéj i obywatelskiéj Adamowicza obecnie rozpatrywanym, mianowicie od 1842 do 1872 r., kilka razy podróżował on po Europie, już to dla poratowania zdrowia, już téż żądny nauki, dla odświeżenia własnych wiadomości

---

(1) Archiwum towarzystwa Nr. 235, 237, 239, 243 i 248.

i przyswojenia nowych zdobyczy naukowych. Szczególniéj go interesowały zjazdy lekarzów i oftalmologów. Na każdym takim zjeździe był obecnym, i wszystko to co mogło być użytecznem dla kraju notował i drukiem ogłaszał przeważnie w Pamiętnikach towarzystwa lekarskiego warszawskiego.

Między innemi godne zanotowania prace: 1) *Krótka wiadomość o wypadku najnowszych zjazdów lekarskich w Belgii i Niemczech* w r. 1857. (1858 t. XV); 2) *Związek dla badań mikroskopijnych* (ibidem); 3) *Kongres oftalmologów w Brukselli* (ibidem); 4) *Zgromadzenie pracujących dla podniesienia naukowéj medycyny w Bonn* (ibid.); 5) *Wydział lekarski 3-o statystycznego kongresu narodowego w Wiedniu* (ibid.); 6) *Wiadomość o chorobach postrzeganych dawniéj w Litwie w ogólności a w szczególności w Wilnie i jego okolicach od r. 1826* (ibid. t. XXV—XXVI).

Ta ostatnia praca niezmiernéj jest doniosłości i nadzwyczaj praktycznego kierunku. Pomimo tego mało jest ona znaną i nie jest tyle cenioną, ile na to zasługuje.

Ażeby nie zrywać naukowéj nici, jaka łączyła lekarzy wileńskich z zagranicznymi, ogłaszał od czasu do czasu w pismach zagranicznych własne rozprawy naukowe i przyrodnicze. „W Amtlicher Bericht der Königsberger Versammlung der Aertzte und Naturforscher" z r. 1860 wydrukował: *Exotrophia vesicae urinariae cum tabula tilhochr.*

W „Medizinische Zeitung Russlands. St. Petersburg 1855" i następnych latach drukował: 1) *Ueber die Rinderpest* (1855 N. 1); 2) *Ueber Kondyloma bey Thieren* (ibid. N. 14); 3) *Ueber die Classification der Krankheiten* (ibid N. 4); 4) *Ueber Miasmen* (ibid); 5) d. *Impfung der Lungenseuche* (N. 4 str. 30); 6) *Obliteratio arteriae cruralis equi* (ibid); 7) *Die Hautkrankheit Wastza und Ugger der Russen* (ib. N. 40); 8) *Beytrag zur Statistik von Wilna* (1856 N. 11); 9) *Geschichte d. Kays. Med. Gesellsch. zu Wilna* (ibid N. 14); 10) *Ueber Dysenterie und die Larven von Bombyx* (ib. N. 17); 11) *Cortex China gegen die Watle* (ib. N. 27); 12) *Ueber pharmacopea* (ib. N. 28) i w. in.

W „Bulletin de la Societé botanique de France": *Notice historique sur le jardin botanique de Vilna.* Paris 1862 N. 1.

W „Bulletin de sciences naturelles de Moscou" 1853, N. 4: *Notice sur le C-te Constantin Tyzenhaus*; a wspomnienie pośmiertne tego zasłużonego ornitologa pomieścił w „Revue et Magasin de Zoologie" Paris 1857: *Notice necrologique sur le C-te Tyzenhaus.*

W autografach znajdujemy następującą notatkę: „*Dissertation sur les teigner de la chevelure avec un dessein sur la teigne du corps d'une fille avec une Tinea capitis. Manuscrip. envoyé par le Depar. Méd. de St. Petersb. a Paris en 1863.*"

Czy powyższa rozprawa doszła swego przeznaczenia i co się z nią stało—nie jest mi wiadomo.

Prócz prac o kołtunie, o których poniżéj jeszcze mówić będziemy—w rozpatrywanéj przez nas epoce, drukowane są między innemi, rozprawy Adamowicza godne wspomnienia:

W Ondynie, piśmie zbiorowém wydawaném w Grodnie w 1845 i następnych latach ogłosił: *O lekarstwach tajemnych*; w Tece wileńskiéj N. 4: *O metalu Glin* (aluminium); w Gazecie lekarskiéj (warszawskiéj): *Porównanie teoryi Józefa Franka i Jędrzeja Śniadeckiego* (1869); w Tygodniku lekarskim (warszawskim): *O kąpielach morskich w Croisie* (1861. VIII); w Tygodniku ilustrowanym: *Jan i Jerzy Försterowie* 1865 NN. 290, 291.

Wiele innych życiorysów znakomitszych profesorów wileńskich, znajduje się w rozporządzeniu prof. Bądzkiewicza w Warszawie (1).

Przy pomocy ludzi dobréj woli hr. Eustachy Tyszkiewicz założył w Wilnie Muzeum starożytności objaśnione zbiorami historycznym, teologicznym i przyrodniczym. Okruchy jakie się pozostały po zakładach naukowych wileńskich i prywatna ofiarność złożyły się na instytucyą, która od pierwszéj chwili swéj egzystencyi chorowała, nie mając ani wytkniętego planu, ani dobréj metody organizacyjnéj. Ogołocenie tedy prywatnych zbiorów *pro publico bono*, przynajmniéj w danym wypadku było chybione (2).

Oddziałem historycznym zarządzał Kirkor, a przyrodniczym Adamowicz. Na posiedzeniach komisyi archeologicznéj Adamowicz czytywał rozprawy, które w streszczeniu podawał następnie Kuryer Wileński w 1862 i 1863 roku. Ważniejsze między niemi były: *O dawności bursztynu*; *o dawnych czaszkach pruskich*; *o chemicznym składzie monet starożytnych*; *o owadach lasom szkodliwych* itd.

Wspomnieliśmy powyżéj, że dla podtrzymania towarzystwa, Adamowicz ogłaszał od czasu do czasu praktyczne postrzeżenia członków towarzystwa.

W 5° tomowym zbiorze prace Adamowicza były następujące:

1. *O zapaleniu błony pęcherzyków płucnych u dzieci*, I. 1.
2. *O krupie prawdziwym i fałszywym*, I. 4
3. *O wyjściu robaków przez ścianę brzuchową*, I. 56.

---

(1) Adamowicz—Autografy.

(2) Pamiętniki komisyi Archeologicznéj wileńskiéj. Część 1, Wiln. 1856).—Wilna i okrestnosti. Putjewoditel. 1883, str. 261.—Katalog predmetow muzea drewnosti itd. 1879, str. VI i VII.

4. *O przypadkowém skrzywieniu się i niezupełném złamaniu kości u dzieci* I. 82.
5. *O śledzeniu plam pod względem lekarsko-sądowym*, I. 85.
6. *O sińcach pod względem lekarsko-sądowym*, I. 99.
7. *O wpływie miejscowości na niektóre choroby* II. 14.
8. *Postrzeżenia o chorobach w Pińszczyźnie, mianowicie około Kożangródka zdarzających się*, II. 17.
9. *Uwagi o kołtunie, mianowicie w Pińszczyźnie*, II. 26.
10. *O grzybkach na ciele ludzkiém* (*de Epiphitis*), II. 33.
11. *Leczenie zwane arabskie, choroby syfilitycznéj trzeciowéj*, II. 58.
12. *Krótkie uwagi o herbacie*, II. 60.
13. *O używaniu okularów*, II. 66, IV, 146.
14. *Kilka uwag o teoryi i pigułkach Morrysona*, II. 70.
15. *Wspomnienie o Larreyu*, II. 92.
16. *O wodach morskich*, III. 105.
17. *O kąpielach morskich*, III. 110.
18. *Teorya wód mineralnych* III, IV. 113.
19. *O wodach mineralnych gubernii kowieńskiéj*, III, IV, 119,
20. *O wodach lekarskich sztucznych*. III. 126.
21. *O wodach w Stokliszkach*, III. 129.
22. *O wodach mineralnych u Kemmern w Inflantach*, III. 139.
23. *Ocenienie homeopatyi dawniejszéj i nowszéj*, V. 1.
24. *O zapobieżeniu grzebania żywych* itd. V. 112.
25. *Przypadek niewyrabiania się moczu w nerkach*, V. 112.
26. *Wzmianka o obchodzie jubileuszowym pięćdziesięcioletnim w cesarskiém towarzystwie lekarskiém wileńskiém* V. 118.
27. *Myśli o cholerze przez Onufrego Żorgo w Paryżu*, V. 261,

Zbliżył się rok 1855 a 50-y istnienia towarzystwa lekarskiego wileńskiego. Adamowicz poczynił starania, aby uroczyście urządzić obchód jubileuszu.

Znalazłszy ogólne poparcie w dniu 12 grudnia, po nabożeństwie u św. Jana zagaił posiedzenie publiczną mową wypowiedzianą po francuzku, w któréj objaśnił początek towarzystwa, cel i wpływ na medycynę krajową.

Obchód ten arcyważny godziłoby się dla pamięci opisać na tém miejscu, z uwagi jednakże, że Adamowicz w kilkunastu artykułach własnego pióra, wydrukowanych równocześnie w przeróżnych pismach czasowych, odnowił pamięć téj znakomitéj instytucyi i o jéj jubileuszu zawiadomił—wolę interesujących się towarzystwem lekarskiem wileńskiém, odesłać do sprawozdania o obchodzie jubileuszu, znakomicie napisanego i ogłoszonego w 5-ym tomie praktycznych postrzeżeń od str, 118—142.

Mówiąc o jubileuszu towarzystwa należy dodać, że Adamowiczowi danem było nie jeden urządzać jubileusz jak np. dr. Kowalskiego i 300 letnią rocznicę istnienia kościola ewangelicko-luterskiego w Wilnie. Za każdym razem starał się o wybicie pamiątkowego medalu, i o wydrukowanie rozprawy odpowiedniéj uroczystości. I tak np. na pamiątkę jubileuszu towarzystwa wydał: *Początki i postęp anatomii w Polsce i Litwie*; a na pamiątkę jubileuszu kościoła: *Kościół Augsburgski w Wilnie. Kronika.*

Jako dopełnienie uroczystości jubileuszowych, ogłosił konkurs w imieniu towarzystwa, wierzącego w bytność kołtuna, a sam siebie wyłączył od nagrody, za rozprawę, nad którą od 10-u lat pracował, walcząc ciągle z wrodzonym przesądem ludu. W swoim czasie wskazaliśmy, że sam wierzył w kołtun, lecz w r. 1830 zachwiał się w swoich wierzeniach będąc w Paryżu i odtąd nie odrywając się od zajęć głównych, cały czas swobodny poświęcił dochodzeniu prawdy. Przez zastanawianie się ciągłe nad znaczeniem cierpień, powszechnie zwanych kołtunowemi u ludzi i zwierząt, nad istotą i związkiem tych cierpień między sobą, doszedł do wypadku logicznego nieistnienia osobnéj choroby kołtunowéj.

Licznemi rozprawami dopiął tego, że cała plicologia tak upadła, jak niegdyś alchemia i astrologia.

Jeszcze za czasów Franka był ogłoszony konkurs (w czerwcu 1805 r.) lecz ten upadł po kilku latach bez żadnego rezultatu. Zasada konkursu była wówczas inną. Frank bowiem jakkolwiek nie umiał stanowczo wypowiedziéć ostatniego słowa, co właściwie rozumiał pod tém nazwiskiem kołtun (1), wierzył w niego sam, zaciągnął pod ten sztandar nie tylko uczniów swoich, lecz i kolegów, a szczególniéj Niszkowskiego i Malinowskiego. Z późniejszych w myśl téj nauki Franka pisali o kołtunie zasłużeni na innych polach, sławni nawet lekarze jak Karol Kaczkowski, Rymkiewicz, Abicht i w. innych.

W konkursie 1855 roku zastrzegło się towarzystwo między innemi, że ono nie wierzy w istnienie osobnego płynu we krwi służyć mającego do wyrabiania materyi rogowéj chorowitéj (*lues cornificativa*) o jakim wspominał Jędrzéj Śniadecki (2) na wykładach klinicznych.

Jakkolwiek Adamowicz w rozprawie swéj dowodzi że Śniadecki dla tego o jadzie kołtunowym we krwi (*virus*) wykładał, aby od-

---

(1) Adamowicz: Kilka słów do historyi kołtuna i teoryi o nim Józefa Franka Pamięt. Tow. Lek. warsz. czerwiec i lipiec, 1870 r.

(2) Adamowicz—l. c. lipiec str. 19.

wrócić uwagę uczniów od włosów i paznogci, jednakże jest przekonanym, że Śniadecki w kołtun nie wierzył. W innem miejscu znajdujemy wzmiankę (1) o Śniadeckim i jego stanowisku w obec kołtuna: kto się trzymał dedukcyi filozoficznéj, mówi Adamowicz, i ją publicznie chwalił w mowie swéj 1799 r. jak Śniadecki, i w Teoryi jestestw organicznych, gdzie chwali teoryą Browna opartą na dedukcyi, ten nigdy nie mógł wierzyć w prawdziwą chorobę kołtunową, lecz uważał ją za zdanie fałszywe w medycynie, oparte na przesądzie; za błądzenie, a nie za fakta na czystym rozumie oparte. Pomimo przedłużenia terminu konkursowego, dzieł kwalifikujących się do nagrody 500 rs. powstałéj z daru hr. Rajnolda Tyzenhausa nie nadesłano. Adamowicz już to aby zachęcić lekarzy do badań nad tym przedmiotem, już też aby ostatecznie przekonać wahających się, że kołtun jako choroba nie istnieje,—drukował krytyczne rozprawy i sprawozdania z dzieł plicologów w Protokułach towarzystwa lekar. wileńskiego w 1866 r.; w Protokułach lekarzy mińskich (1869); w Wileńskich gubernskich wjedomostiach 1866—po rosyjsku;—po polsku zaś w Gazecie lekarskiéj z 1868 NN. 5 i 9.

Rozprawa w Mińsku drukowana najobszerniejsza, a w rękopiśmie z rysunkami włosów i grzybków włosowych, oraz z 70-u opisami klinicznemi mniemanego kołtuna,—zaległa w redakcyi Departamentu lekarskiego petersburskiego, nieogłoszona z powodu kosztowności rycin i sprzeczności z ustawą o przyjmowaniu rekrutów.

Dopiero w 1875 roku nadesłano na konkurs, kilka razy wznawiany, dwie monografie, z tych jedną z dewizą: „*Salva meliori*“ po dokładném sprawozdaniu osobnéj komisyi z łona członków towarzystwa naznaczonéj. przyznano jako odpowiadającą warunkom konkursu. Autor, dr. Dobrzycki dowiódł, że kołtun ani z punktu anatomii, ani fizyologii, ani wreszcie klinicznéj obserwacyi, nie może być zaliczony do patologii. Po wysłuchaniu obszernego referatu komisyi, obecni członkowie większością głosów przyznali autorowi premjum. Mniejszość z 5-ciu członków złożona (2) podzieliła się na dwa obozy: jedni utrzymywali, że kołtun jest chorobą ogólną organizmu; drudzy, w liczbie dwóch, że jest chorobą miejscową.

W taki sposób słynna niegdyś sprawa o pochodzeniu kołtuna i jego znaczeniu—zdaje się, że ostatecznie już załatwioną została.

Historya szkół i szpitali jest wyrazem cywilizacyi danego kraju, dla tego też uczeni ludzie starannie notują to wszystko, co do wyjaśnienia powyższych dwóch kwestyj posłużyć by mogło. Zrozumiał to

---

(1) Adamowicz—autografy.

(2) Protokuły towarzystwa lek. wileń. 1876 str. 116.

zasłużony obywatel Girsztowt i w swojem wydawnictwie „*Historya szpitali i drugich zakładów dobroczynnych w królestwie polskiém*" wskazywał i torował drogę przyszłym badaczom; przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu dokończyć zaczętego dzieła. O szpitalach i zakładach dobroczynnych wileńskich nie wiele wiemy: Kraszewski wprawdzie wskazywał (1) gdzie należy szukać źródeł do wyjaśnienia pierwotnych dziejów tych instytucyj i nakreślił pokrótce dzieje szpitali do 1750 roku; po nim, o ile mi wiadomo, nikt nie podjął organicznéj pracy, a tylko z fragmentami możemy się czasami spotykać jako z dowodem pojedyńczych usiłowań (2).

Między papierami Adamowicza znajdujemy notatki z dziejów szpitali i zakładów dobroczynnych. Notatki te noszą ślady, że już były użyte, ale gdzie jest praca, czy była ona wykończoną i jakich była rozmiarów dojść niepodobna z pojedyńczych świstków poprzekreślanych i zaopatrzonych tylko w odnośniki.

Zapewne Adamowicz zajął się tą robotą już po zamknięciu akademii, gdy został starszym lekarzem w szpitalu żydowskim (5 sierpnia 1842 r.). Niezawodnie miał zamiar opisać dokładnie zakład, którego reformę przeprowadzał i do takiego stopnia doskonałości doprowadził że to zwróciło na siebie uwagę władz rządzących i uznanie; za reformę bowiem z gruntu szpitala jak również za usługi jakie niósł społeczeństwu podczas trzykrotnéj epidemii cholery został radcą stanu (26 lutego 1844 r.).

Ciągła praca, ciągłe usługi dla wszystkich, a przytém służbowe obowiązki—było to zawiele dla organizmu wycieńczonego nadmierną pracą;—potrzebował wytchnienia, dla tego prosił o uwolnienie od obowiązków starszego lekarza, co nastąpiło 20 czerwca 1845 roku. To jednakże, nie uwolniło Adamowicza od obywatelskich posług. Jako doświadczony lekarz bywał wzywany do narad lekarskich w szpitalach cywilnych i wojskowych jak również w zarządzie lekarskim. Urządził bezpłatne ambulatoryum przy towarzystwie lekarskiem dla przychodzących chorych, własne narzędzia i książki dla użytku tegoż ambulatoryum ofiarował. Ludową szkołę weterynaryi na wzór Alfortskiéj urządził. Do pierwszych patologów porównawczych w Europie był przez uczonych zagranicznych zaliczany. Niepodobna jest wyliczać wszystkich towarzystw naukowych, których był członkiem. Pamiętano o tém, że dostarczał najlepszych

(1) Kraszewski: „Wilno", t. III.

(2) Dzieje dobroczynności, Wilno 1820—1824. Rogalski, Chlebowski, Marcinkowski.—Zestawienie przedmiotów zawartych w „Dziejach Dobroczynności" przez dr. Szeligę, (Bibliogr. czasopism wileńskich od 1805—1860).

uczniów i profesorów dla kraju, dla tego był wzywanym na profesora do Petersburga, Charkowa, Kazania, Berlina i Warszawy—lecz przeniósł pobyt w Wilnie nad wszystkie zaszczyty. Alboż to mały był dla niego zaszczyt, gdy zastępował Śniadeckiego w klinice, Józefa Franka w towarzystwie lekarskiem a Bojanusa na katedrze?

W dniu 1 kwietnia 1872 roku odbyła się w murach towarzystwa lekarskiego uroczystość bardzo rzadka, mówimy tu o jubileuszu pięćdziesięcioletniéj działalności lekarskiéj Adamowicza. Wszystkie warstwy społeczne wileńskie pośpieszyły uczcić mistrza, który tyle dziesiątków lat przodował w dziele cywilizacyi i oświaty. Dzień ten jak dla każdego jubilata był nader uroczystym dla Adamowicza. Towarzystwo lekarskie uczciło długoletniego prezesa honorowém prezesostwem; uniwersytet Jagieloński—dyplomem honorowym doktora medycyny; rząd—rangą rzeczywistego radcy stanu.

Adamowicz był znanym w kraju najpierw pod imieniem *Weterana*, a późniéj *Jubilata*; za granicą zaś pod imieniem *Bojanusa drugiego*.

V.

Mało kto z żyjących doczekał się takiego uznania u swoich i cudzoziemców jak Adamowicz. Wszystkiego dosięgnął, czego osobistą zasługą dosięgnąć można. Nie urodzenie, nie pieniądze, lecz ciężka praca, ustawiczna, wytrwała torowała mu drogę do coraz większych dostojeństw, do sławy.

Zdawałoby się że w takich będąc warunkach, należał do ludzi bardzo szczęśliwych. Bynajmniéj. Zajmowaliśmy się dotąd Adamowiczem jako uczonym, lekarzem, znakomitym prezesem towarzystwa lekarskiego, jedném słowem, przodownikiem we wszystkiém, co wielkie, dobre i zacne; ale nie przedstawiliśmy go w kółku nabliższém, częstokroć najdroższém dla człowieka, w kółku rodzinném. Otóż z góry zapisujemy, że przy domowém ognisku nie był szczęśliwym. Z małżeństwa zawartego w r. 1828 miał jedynego syna Władysława. W nim złożył wszystkie swe marzenia, nadzieję; dobijał się sławy dla niego, a nawet program swego życia, przyszłości na nim oparł. Jedyném, niepodzielném pragnieniem ojca było wychowanie tego dziecka na zacnego obywatela kraju. Będąc sam głęboko religijnym, czego dał dowody w życiu uczciwém, w czynnościach swoich i pracach literackich (napisał np. i ogłosił drukiem *Pierwsze początki pisma św. dla dzieci*. Wilno 1858 r.), tylko na religijném wychowaniu, jako na fundamencie pragnął oprzéć przyszłość dziecka. Ojciec protestant, wskutek wzajemnéj umowy z żoną katoliczką, po-

wierzył swego jedynaka dwom bardzo zasłużonym pedagogom: ks. Stanisławowi Krasińskiemu późniejszemu biskupowi wileńskiemu i ks. Łunkiewiczowi ex pijarowi, ludziom znanym z głębokiéj nauki i niewzruszonych przekonań, aby ci w zasadach religii katolickiéj ugruntowali go i do uniwersyteckich studyów przygotowywali. Dziecko odpowiadało najzupełniéj pokładanym w nim nadziejom; zdolności miało wielkie, pojęcie nad wiek rozwinięte;—tymczasem w 15 roku życia przyszła śmierć, a ojciec swe nadzieje złożył do grobu. Był to cios straszny. Religia tylko podtrzymywała go i praca, któréj się oddał z nadmierném wytężeniem, aby niepowetowaną stratę zapomniéć. Niestety, nie zapomniał jéj do śmierci! Nigdy przed nikim nie skarżyl się, ani wspominał nawet, lecz w głębi swego serca ukrył ranę, jaką mu zadała nieubłagana konieczność. Żona, osoba wysoce wykształcona, wielkiéj zacności, dobroci i słodyczy charakteru, ostatnie lat ośmnaście przepędziła w łóżku. Cierpienia tyloletnie natury nerwowéj wyrobiły w niéj niecierpliwość, cierpkość. Rozumiał dobrze mąż powody zmiany łagodnego niegdyś charakteru; był przeto bardzo wyrozumiałym, a z miłości dla nieszczęśliwéj, będąc z natury już łagodnego charakteru—nigdy nie dał poczuć małżonce, jak niekorzystnie zmieniła ją choroba. Przeciwnie, większą jeszcze czułością, pieczołowitością i dobrocią otaczał męczennicę. Po jubileuszu wkrótce umarła.

Niezmiernie czuł się pokrzywdzonym od losu Adamowicz, gdy towarzyszkę długoletniego pożycia utracił. Wyjechał za granicę, lecz tam długo nie przybywał, pokrzepienia bowiem na siłach nie znalazł. Odtąd życie jego ciągnęło się daléj w zupełném osamotnieniu. Pracując całe życie i teraz nie wypuszczał pióra z ręki, chociaż sędziwy wiek domagał się odpoczynku. Nie mogąc przedsiębrać większéj pracy, zbierał noty tyczące się Wilna i uniwersytetu. Mamy wskazówki że nad dziejami Wilna pracował poprzednio z Homolickim, Balińskim i Malinowskim,—musiał przeto posiadać i materyały, lecz te albo porozpożyczał, albo może być, że są ukryte między rękopismami, których pozostało się dużo; lecz te nie są obecnie dostępnemi, chociaż pani Zofia Adamowiczowa zapewniła piszącego, że dla użytku publicznego udzielić je chętnie się zgadza. W swojem rozporządzeniu miałem tylko dorywcze noty. Samotność, brak opieki w podeszłym wieku koniecznéj, zniewoliły sędziwego jubilata do powtórnego małżeństwa. Po ślubie wyjechał z żoną Zofią z Karnickich do Krynicy. Ostatnia to już była podróż za granicę. Uznanie wielkich zasług naukowych i obywatelskich jubilata towarzyszyło mu w ciągu podróży, przeplatanéj owacyami. Najpierw Warszawa, późniéj Kraków, gdzie zamiast zamierzonych trzech dni, cztery tygodnie prze-

pędził—starały się okazać Adamowiczowi, jak społeczeństwo, kraj cały ocenia prace jego dla dobra i sławy kraju przedsiębrane.

Za powrotem do domu zaczął do sił przychodzić, wydobrzał; powoli w rozmowach z przyjaciołmi przerwane od dawna marzenia zaczął snuć na nowo. W Wilnie oczekiwali wszyscy zmiany sądownictwa, gdyż szeroko o tém rozpisywały się gazety, Adamowicz zaś oczekiwał wskrzeszenia uniwersytetu. Widział siebie jak niegdyś na katedrze, otoczonego młodzieżą, którą tak kochał, dla dobra której napisał w ciągu życia około *dziewięćdziesięciu* dzieł, broszur i rozprawek, nie licząc rękopismów nie uporządkowanych i nieogłoszonych drukiem. Marzenia te były już ostatnim odbłyskiem dawniejszéj energii jubilata. Przenosiły go one w ubiegłe dni, z których czerpał obficie i w rozmowach licznie go odwiedzających przyjaciół i wielbicieli, starał się wskrzesić czasy Franka, Śniadeckich i wreszcie czasy swéj działalności. Trzeba było słyszéć z jakiém uczuciem prawdziwego synowskiego przywiązania wspominał o swych mistrzach; jak zachęcał do pracy naukowéj, w któréj zawsze znalazł osłodę, ilekroć razy życiowe warunki gorzko mu się uczuć dawały. Był on prawdziwym Mentorem dzisiejszego pokolenia, szczerym, otwartym, chętnym do posług nawet wówczas, gdy już przycisnięty wiekiem prócz wielkiego serca nic już społeczeństwu nie mógł ofiarować.

Zasłużony ten mąż syt lat i chwały zasnął w Panu dnia 30 kwietnia (v. s.) 1881 roku.

Znajomość języków europejskich nadzwyczaj ułatwiała Adamowiczowi studyowanie nauk. Poprawnie pisał po łacinie, po polsku, francuzku, po rosyjsku i po niemiecku; znał prócz tego język grecki, włoski i angielski.

Był bardzo przenikliwy i rozważny w sądzeniu o rzeczach naukowych. W zdaniach swoich chwiejnym nie był, ale i nie upartym. Do studyów przystępował z pewną metodą i krytyką. Nim napisał jakie dzieło, przygotował się należycie; przedmiot rozprawy zgłębił wszechstronnie, zapanował nad nim w zupełności. Układ dzieła kunsztowny—język bez zarzutu.

Będąc głębokim erudytą, nie cytuje dzieł z których korzystał, tylko dla wykazania bogactwa literatury danego przedmiotu, lecz każde z nich krytycznie rozbiera, wykazuje zalety ich i wady; tym spospobem niezmiernie ułatwia studyowanie nauk czytającym jego dzieła; gdyż im oszczędza czas przedewszystkiém a prócz tego czy-

tający jego dzieła przychodzą już do gotowego, nie potrzebują bowiem wertować nie zawsze dostępne źródła.

Za postępem nauki szedł ciągle aż do ostatnich lat swego życia, dla tego anachronizmów naukowych nie spotykamy u niego. Miał swoje idee naukowe, których się nie pozbywał przez całe życie, lecz te nigdy nie raziły najbardziéj postępowego lekarza. Zresztą przy ciągłych zmianach i efemeryczném trwaniu niektórych teoryj lekarskich, które jak mówi poeta: *błysną kometą a potém znikną bez śladu*, kto wié, czy Adamowicz nie miał racyi, będąc konserwatystą. Nie ulega wątpliwości, że będąc ostatnim przedstawicielem sławnéj szkoły lekarskiéj wileńskiéj,—godnie wywiązał się ze swego posłannictwa. Praktyczny duch obserwacyjny, jak go wówczas nazywano: *hippokratesowy*—niepodzielnie panuje we wszystkich jego dziełach lekarskich.

Jako pisarz rozgłośnéj sławy, nauczyciel kilkunastu pokoleń lekarzy polskich, twórca u nas anatomii porównawczéj, staje się własnością nie już Litwy, ale całego społeczeństwa.

Nie możemy lepiéj zakończyć niniejszego szkicu, jak przytoczeniem głęboko odczutych słów niezapomnianéj pamięci naszego profesora ś. p. Girsztowta: „Wzorowy i sumienny profesor, poprawny pisarz, pełen taktu i godności prezes towarzystwa, lekarz niepospolity, rzadkiéj prawości człowiek, Adamowicz zawsze będzie chlubą i ozdobą naszego społeczeństwa, a w dziejach naszéj nauki lekarskiéj zajmie miejsce obok Śniadeckich, Franków, Bojanusów, Czerwiakowskich, Gałęzowskich“ (1),—a my od siebie dodamy: Girsztowtów i wielu innych.

— Oby ta ziemia, są słowa Girsztowta, więcéj podobnych Adamowiczów rodziła i młodsze pokolenie lekarzy więcéj podobnych wzorów do naśladowania miało!

Dr. Szeliga.

---

(1) Girsztowt: Wspomnienie jubileuszowe, (Kłosy 1872).

POCZĄTEK
SĄDÓW KAPTUROWYCH. (1).

Rozpatrując dzieje sądownictwa polskiego, wykazać możemy w organizacyi jego instytucyą na wskróś oryginalnie pomyślaną, jakiéj szukalibyśmy napróżno gdziekolwiek indziéj w Europie. Są to sądy kapturowe. Wprowadzone po raz pierwszy we właściwéj swéj formie po zgonie Zygmunta Augusta, przetrwały one całe dwa wieki, jako instytucya żywotna, spoczywająca za życia każdorazowego króla, powoływana do działania z chwilą jego śmierci, przez ciąg całego bezkrólewia; a kiedy wreszcie w r. 1768 wyszła ustawa, znosząca te sądy, zdarzyło się, że ustawa ta nigdy już nie miała wejść w zastosowanie, bo ją wydano po ukończeniu ostatniego *interregnum*. Jedynym tedy wyrazem sądownictwa polskiego podczas bezkrólewi przez ciąg całego t. z. okresu królów elekcyjnych, są sądy kapturowe. Jeżeli jednak sięgniemy wzrokiem daléj wstecz, w czasy jagiellońskie, nie mówiąc już o piastowskich, szukać będziemy napróżno jakiegokolwiek rzeczywistego śladu téj instytucyi. Tak zaś mając przed sobą dwa te okresy: jeden z przed roku 1572, w którym sądów kapturowych nie ma wcale, i drugi po roku 1572, w którym sądy te istnieją, pytamy mimowoli, czém się to stało, że instytucya dawniéj nie istniejąca, stała się naraz konieczną; wśród jakich okoliczności i dla jakich powodów znalazła nagle warunki do życia,

(1) Rzecz niniejszą, wypowiedzianą w formie wykładu publicznego, musieliśmy ze względu na krótkość czasu, jaki nam stał do dyspozycyi, ująć w granice jak najściślejsze, skąd téż niejeden szczegół, zasługujący na bliższą uwagę, musiał pozostać bez należytego wycieniowania. Oddając pracę w téj samej formie do druku, uzupełniliśmy ją tylko, celem rozjaśnienia rzeczy, kilku uwagami i przypiskami.

i wreszcie, dla czego nie pojawiła się ani prędzéj ani późniéj, lecz właśnie w czasie pierwszego po wygaśnięciu dynastyi jagiellońskiéj bezkrólewia?

Odpowiedź na te pytania, a raczéj na jedno, sumujące je wszystkie, pytanie: jaki jest początek sądów kapturowych,—oto rzecz, którą się bliżéj zajmiemy.

Jeżeli sięgniemy głębiéj w istotę średniowiecznego sądownictwa polskiego, znajdziemy tam jednę myśl przewodnią, jeden rys charakterystyczny, przenikający całą organizacyą tegoż sądownictwa, a dający się streścić w zdaniu, że według pojęć ówczesnych, król jest przedstawicielem i orędownikiem prawa, źródłem wszelkiéj sprawiedliwości, najwyższym zwierzchnikiem sądownictwa krajowego. Sądownictwa tego nie wykonywa on oczywiście sam, bezpośrednio we wszystkich wypadkach, bo byłoby to rzeczą fizycznie niemożliwą; wyręczają go po części inne subsellia niższe, jak: sądy ziemskie, podkomorskie, wiecowe i komisarskie, ale wyręczają go w zastępstwie. To pojęcie zastępstwa znajduje zaś swój wyraz w dwojakim kierunku. A naprzód w kierunku formalnym, bo wszystkie pozwy, nietylko przed sąd królewski, ale i przed jakikolwiek sąd niższy, wychodzą stale pod tytułem i imieniem królewskiém; jedyny wyjątek stanowią tu tylko pozwy przed sąd grodzki, które noszą nazwisko i tytuł starosty, ale tylko dla tego, że już sam urząd starosty, według znaczenia, jakie doń przywiązywano podówczas, był władzą, działającą wprost i bezpośrednio z ramienia i w zastępstwie króla. A daléj, i we względzie materyalnym widoczną jest ta zależność instancyj niższych w obec króla, przysługuje mu bowiem prawo czynnéj i wszechstronnéj ingerencyi w działalność tych sądów. Może on wydać inhibicyą, mocą któréj zakazuje sądowi niższemu pociągać pewne osoby przed swoje *forum*, może rozpoczęte już postępowanie sądowe znieść lub zawiesić w drodze abolicyi, może skazańca albo zupełnie ułaskawić, albo wydać mu glejt, czyli list bezpieczeństwa, którym na pewien czas uchyla skutki wyroku karnego, może nawet wywołać proces z przed sądu niższego przed sąd swój własny, albo téż, osobnym przywilejem wyjąć raz na zawsze pewne osoby z pod jurysdykcyi sądów zwyczajnych, a poddać je tylko sądowi królewskiemu, czyli, jak się podówczas wyrażano, nadać im t. z. prawa nieodpowiedne; wreszcie zaś, z przybyciem króla do pewnéj ziemi następuje zawieszenie zwyczajnego sądownictwa ziemskiego; sędzia i podsędek ziemscy jawić się mają na jego dworze, i tutaj, w sądzie nadwornym, uczestniczyć w rozstrzyganiu tych spraw, które wśród zwykłych okoliczności należą do zakresu własnéj ich kompetencyi. Jedynym sędzią najwyższym nie jest wprawdzie król w wiekach

średnich; ostatnią instancyą, obok sądów jego nadwornych, są także sądy starościńskie, wiecowe i delegowane przezeń od wypadku do wypadku sądy komisarskie; ale wszystkie one kończą bieg instancyj procesowych, jedynie tylko za zasadzie idei reprezentacyi, na zasadzie teoretycznego przedstawienia, że działają w zastępstwie panującego.

Takie pojęcia o sądownictwie królewskiém przekazały w Polsce wieki średnie nowszym; co większa, pod wpływem czynników, jakie się pod koniec tego okresu, w drugiéj połowie XV stulecia objawiły, pod wpływem dążności do wzmocnienia i skonsolidowania władzy królewskiéj, zaostrzono te pojęcia i spotęgowano je bardziéj niż kiedykolwiek indziéj; postawiono zasadę, że prócz jedynego sądu królewskiego nie ma w Polsce żadnéj innéj instancyi najwyższéj dla spraw sądzących się prawem ziemskiém; sądy grodzkie, wiecowe, komisarskie spadają do rzędu bądź-to instancyj najniższych, bądź też średnich; jedyną władzą, powołaną do wydawania wyroków, których w drodze dalszych środków prawnych zaczepić nie wolno, staje się sąd królewski, bądź-to nadworny, bądź też sejmowy. Nowsza era rozwoju państwowego Polski, wprowadzając w tylu innych kierunkach rozliczne ograniczenia powagi królewskiéj, zarówno w administracyi, jak i ustawodawstwie, nie zmieniła jednak niczego w tém pojęciu szerokiéj władzy sądowniczéj królewskiéj; na tym samym punkcie rozwoju, na jakim rzecz cała zatrzymała się w drugiéj połowéj wieku XV, stoi ona także przez cały ciąg panowania Aleksandra, Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, i sięga nawet, po za oba pierwsze bezkrólewia, w początek panowania Stefana Batorego, dopóki organizacya trybunału koronnego z roku 1578 zasady téj częściowo nie obaliła. „Król jest sędzią najwyższym, i *panem wszystkich sądów swojego królestwa* (*rex iudiciorum omnium regni sui dominus et iudex supremus*) — oto krótka, ale dobitna, wszechstronna i najtrafniejsza charakterystyka całéj téj myśli przewodniéj, tkwiącéj w urządzeniu sądownictwa ówczesnego, jaką nam przekazała jedna z prób kodyfikacyjnych z pierwszéj połowy XVI stulecia (1).

Łatwo zrozumiéć, że z tych wygórowanych pojęć o sądowniczéj władzy panującego, z idei, jakoby król był reprezentantem prawa, panem władz, powołanych do jego wymiaru, mocodawcą wreszcie bezpośrednim wszystkich niższych instancyj, płynęła bardzo nie-

---

(1) T. z. Korrektura Taszyckiego, art. 344 (Starodawne prawa polskiego pomniki, tom III). Cały poprzedzający wywód o istocie sądownictwa królewskiego uzasadniłem i rozprowadziłem szczegółowo w mojéj Genezie Trybunału Koronnego.

bezpieczna konsekwencya: iż ze śmiercią króla, aż do koronacyi jego następcy, tj. aktu, który prawnie przelewa na elekta władzę królewską, prawo zostaje niejako zawieszonėm, i gaśnie władza, nietylko właściwego sądu królewskiego, ale zarazem także i wszelkich innych sądów krajowych. Wniosku tego nie wyprowadzano u nas jednak zawsze z ścisłą bezwzględnością; całe prawie wieki średnie, lubo się w nich zrodziła teorya, która dała podstawę do tych wniosków, nie posunęły jednak sprawy aż do jéj ostatecznych konsekwencyj. Zaprzestawał wprawdzie działalności swéj, z zejściem króla, sąd jego nadworny, bo to wynikało z saméj natury rzeczy, ale działały nadal, mimo bezkrólewia, inne sądy, w których król bezpośrednio nie miał udziału, i wykonywały, nietylko akta jurysdykcyi niespornéj, ale przeprowadzały nawet, zupełnie niekrępowane, postępowanie w sprawach procesowych. Pozytywnie stwierdzają to dowody jeszcze z czasów bezkrólewia po śmierci Władysława Jagiełły, przed koronacyą Władysława III (1), tudzież z czasów bezkrólewia po zgonie tego ostatniego, i to nawet już wtedy, kiedy się przestano łudzić nadzieją powrotu jego z wyprawy tureckiéj i miano już następcę w osobie obranego, lubo niekoronowanego jeszcze Kazimierza Jagiellończyka (2).

Odmiennie już przedstawia się nam cała ta sprawa, jeżeli rzucimy na nią światło stosunków z końca XV stulecia. Ów większy jeszcze niż poprzednio wzrost sądowniczéj władzy królewskiéj, który właśnie przypada na te czasy, owo silniejsze zaakcentowanie pojęć i wyobrażeń, które istniały wprawdzie już dawniéj, których jednak nie sformułowano poprzednio z wszelką ścisłością i precyzyą, z których nie wyciągnięto wszelkich możliwych wniosków,—wywołały teraz skutek, który można było przewidziéć: wyrobiło się przekonanie, że sądownictwo w kraju ustaje z chwilą skonu monarchy. W roku 1492, z zejściem Kazimierza Jagiellończyka, ustają nagle wszelkie zapiski jurysdykcyi spornéj, w licznych już zresztą podówczas księgach naszych sądowych, i nie pojawiają się napowrót, dopóki na tronie nie zasiadł Jan Albert. Po śmierci tego ostatniego wyraźnie już zaznaczają akta, że działalność sądów zawieszoną zo-

---

(1) I tak przytoczyć możemy przykłady jurysdycyi niespornéj, vykonywanéj podówczas przez sądy, u Liskego, „Akta grodzkie i ziemskie“ V. 59; u Helcla, Starodawne prawa pol. pomniki II, Nr. 2549, 2553, 2554; przykłady aktów jurysdykcyi spornéj, Helcel II, Nr. 2550, z 25 czerwca 1434, o główszczyznę; Nr. 2551, z téjże saméj daty, w sprawie bliżéj nieznanéj (pro contentis in libro); Nr. 2552, z tejże saméj daty, o „przekazane rzeczy“; Nr. 2555, z 26 czerwca 1434, o gwałty i szkody.

(2) Dowodów mnóstwo u Helcla II, pod rokiem 1445—1447.

staje z powodu bezkrólewia (1), dodając jednak ten nader ważny dodatek, że nowe, tj. podczas bezkrólewia popełnione gwałty, mimo to wszystko sądzić się będą przed starostą (2). Był to, jak widzimy, wyjątek od uznanéj już powszechnie zasady, wyjątek podyktowany względem na potrzebę utrzymania bezpieczeństwa i spokoju publicznego, które wśród tego ogólnego zastanowienia sądownictwa najłatwiéj mogły być narażone na niebezpieczeństwo. Niebawem jednak, i to jeszcze za czasów jagiellońskich, przy dalszém, coraz ściślejszém określaniu rzeczy, zatracił się i ten wyjątek; nie spotykamy już bowiem późniéj żadnych śladów jakiéjkolwiek jurysdykcyi spornéj, chociażby nawet w sprawach świéżo popełnionych gwałtów, a jedyną czynnością, jaką sądy w tych czasach wykonywują, to tylko jurysdykcya niesporna, przyjmowanie wpisów i zeznań do ksiąg sądowych, tudzież wydawanie ekstraktów, które w grodach praktykuje się w sposób zwyczajny, w ziemstwach zaś na t. z. leżeniu ksiąg ziemskich (*positio actorum terrestrium*), odbywaném zamiast przypadających na czas bezkrólewia roków ziemskich (3).

W chwili skonu Zygmunta Augusta (dnia 7 lipca 1572) rzecz cała nie przedstawiała już dla nikogo najmniejszéj wątpliwości. Bez wyraźnéj ustawy, bez jakiegokolwiek zresztą rozporządzenia ze strony tymczasowego rządu, jedynie tylko na podstawie wyrobionego zwyczaju, wszystkie sądy polskie, na pierwszą wieść o śmierci królewskiéj, jak gdyby na dane hasło, zawiesiły wszelkie swoje czynności procesowe (4). „Ze śmiercią króla wszystkie prawa ustają,

---

(1) Stanislaus de Chodecz, capitaneus Leopoliensis, transtulit terminos... occasione mortis Serenissimi Principis Johannis Alberti. Zapiska z r. 1501 w Castr. Leopol. t. VII str. 30 (w archiwum lwowskiém).

(2) Omnes termini et causae quarumcunque personarum, in diem hordiernum et in dies sequentes cadentes, una cum interrogationibus earumdem, iuramentis et documentis, de potestate capitaneali propter obitum Serenissimi domini Regis (Johannis Alberti) dantur et transponuntur.... et cum causis, quae sunt ad litteras datas ex officio ad querelam. *Novis tamen violentiis exceptis, quae interim poterint iudicari.* Zapiska z 23 czerwca 1501 u Helcla, II, 4533.

(3) Positio actorum praesentium ob mortem Serenissimi Principis domini domini Sigismundi, Dei gratia Regis Poloniae... intervenientem, loco terminorum terrestrium celebrata est. Zapiska z 18 czerwca 1548 w aktach ziemskich czchowskich XIII. 153, obecnie w archiwum krakowskiém. Konfederacya, zawarta po śmierci Stefana Batorego r. 1586, powołuje się wyraźnie na to, iż podczas bezkrólewi zwykło się odbywać tylko leżenie ksiąg ziemskich: Ksiąg ziemskich, *obyczajem zwykłym*, leżenie ma być. Vol. leg. II. 1051.

(4) Przytaczamy tu kilka przykładów. W aktach grodz. bełskich, t. 442, str. 879, 880 (archiwum lwowskie), czytamy pod 7 lipca 1572: Limitatio iudiciorum. Termini iudiciorum capitaneales castrenses Belzenses in diem hodiernam incidentes, ex certa ratione, videlicet propter mortem Serenissimi Sigismundi Augusti Regis Poloniae, ob cuius mor-

milczą; z śmiercią króla wszystkie sądy stanąć muszą; *ex morte regis iudicia omnia cessant*; *mortuo rege mortua est vis legum et iustitiae*; *mortuo rege tribunalia et iudicia, quae nomine regis vigorem obtinent, cessant et silent*,"—oto zapatrywania (1) któremi fakt ten uzasadniano, różne w słowach, jedne w treści, wyraz owych skrajnych konsekwencyj, do których prowadziło pojęcie o bezpośredniéj niejako emanacyi prawa i sprawiedliwości z osoby królewskiéj. Ów zlecony, pełnomocniczy charakter polskich władz sądowych wystąpił tu z całą jaskrawością na jaw, a zasada, iż wszelka władza pełnomocnika gaśnie ze śmiercią mocodawcy, została urzeczywistnioną z wszelką bezwzględnością, i to w sposób oryginalny i samodzielny, bo przecież i gdzieindziéj w Europie pojęcie zleconéj władzy sądów niższych nie było zupełnie obcém urządzeniom prawa publicznego, a przecież nigdzie indziéj nie wydobyto zeń tak daleko sięgających wyników. Polska znalazła się nagle bez wszelkich organów do wymiaru sprawiedliwości.

Taki stan rzeczy przedstawiał w bezkrólewiu z r. 1572 więcéj niebezpieczeństw, niż kiedykolwiek indziéj. Widzieliśmy, że jeszcze na samym początku wieku XVI, sądy zwyczajne, mimo zawieszenia

---

tem iura silerunt, ad futurum regem libere electum non sunt celebrati et... in toto suo vigore limitati, ad hoc usque tempus, quando erunt de mandato iudicii capitanealis castrensis Bełzensis per certum ministerialem obclamati et praefixi.—W aktach gr. przemys. (t. 765 str. 846, arch. lwow.), pod datą nieoznaczoną szczegółowo, pochodzącą jednak w każdym razie z lipca 1572: Finiunt acta praesentia omnium generaliter causarum... ob decessum SS. Regis Sigismundi Augusti... Postquam notitia (de morte regis) ad officium praesens castrense Premisliense venit, officium praesens a disiudicatione omnium generaliter causarum officio capitaneali disiudicationi pertinentium desiit.—W aktach gr. oświęcimskich, pod 14 lip. 1572 (t. 45 str. 673, arch. lwow): Roki sądowe grodzkie starościńskie, na dzień dzisiejszy przypadłe, przez starostę zasiedziane, odłożone.—W aktach gr. sanoc. pod 14 lipca 1572 (t. 31 str. 164, arch. lwow.): Hic cessavit administratio omnium et singularum causarum et actionum tam iudicii quam officii castrensis capitanealis Sanocensis propter discessum ex hac luce Serenissimi Principis olim Regis Poloniae, ut quam primum ad notitiam officio ipso castrensi capitaneali Sanocensi de obitu ipsius Serenissimi Principis Sigismundi Augusti Regis Poloniae devenit, acta castrensia capitanealia Sanocensia clausa sunt, et causae omnes iudicii et officii eiusdem cessaverunt.—W aktach gr. krakows. pod d. 17 lip. (t. 1 rel. str. 43 arch. krak.): Omnes termini et causae officii castrensis capitanealis Cracoviensis quaerelarum... per officium castr. capitaneale Crac. sunt transpositi. . propter obitum regium. Zaznaczyć zresztą winniśmy, że nie we wszystkich powyżéj przytoczonych lub im podobnych limitacyach odkładano sądy aż do koronacyi przyszłego króla; czasami odkładano je tylko na kilka tygodni; w tym wypadku jednak, po upływie tego terminu następowały dalsze limitacye, przez ciąg całego bezkrólewia.

(1) Powyższe zdania zebrane zostały ze współczesnych aktów sądowych. Kilka im podobnych zawierają cytaty przytoczone w poprzedzającéj uwadze.

swéj działalności, mogły przecież wyjątkowo sądzić przynajmniéj świeżo popełnione gwałty, i utrzymywać jako tako bezpieczeństwo publiczne w kraju; w r. 1572 nikomu nie przyszło na myśl dopuścić takiego wyjątku. A daléj potęgowała niebezpieczeństwo następująca okoliczność. Lubo za poprzedników Zygmunta Augusta przez cały ciąg panowania dynastyi jagiellońskiéj istniała w Polsce w teoryi zasada elekcyjności tronu, to jednak faktycznie zasadę tę stosowano raczéj w jéj formie, niż w treści; mimo pojawiającéj się od czasu do czasu kandydatury innych książąt, wybór padał zawsze na Jagiellona; w chwili śmierci poprzednika, już sam stopień pokrewieństwa wskazywał niejako jego następcę, nie było prawie wątpliwości co do kandydata; nie mówiąc już o wypadku, który się zdarzył w pierwszéj połowie XVI wieku, gdzie jeszcze za życia ojca, syna jego obrano następcą. Stąd téż i bezkrólewia były spokojniejsze, i, co najważniejsza, krótsze. Począwszy od r. 1492, kiedy to, jak zaznaczyliśmy, po raz pierwszy śmierć królewska wpływa na zawieszenie funkcyj władz sądowych, czas między skonem poprzednika a koronacyą następcy wynosi zawsze kilka zaledwie miesięcy; najdłuższe z tego okresu bezkrólewie między Olbrachtem a Aleksandrem nie dochodzi nawet pół roku. W czasie stosunkowo tak krótkim można było snadniéj obyć się bez sądów. Obecnie jednak, z wygaśnięciem linii męzkiéj Jagiellonów, wobec pojawiających się z najrozmaitszych stron kandydatur, wobec tylu stronnictw przeciwnych, z których każde miało upatrzonego adepta do korony, groziły daleko większe niż poprzednio zamięszania, a, co już najbardziéj można było przewidywać, groziło dłuższe, nie kilka miesięcy, ale kilka może lat trwać mające bezkrólewie. Stąd téż i ów poniewolny spoczynek sądów przedstawiał obecnie większe niż kiedykolwiek niebezpieczeństwo. Dodajmy do tego jeszcze jeden wzgląd ważny, a zrozumiemy całą grozę położenia, w jakiém się podówczas kraj znalazł. Wspomnieliśmy już, że w drugiéj połowie wieku XV, w miejsce wszystkich dawniejszych sądów najwyższych, stanął sąd królewski jako jedyna instancya ostatnia. Przez pewien czas mógł on jeszcze podołać swojemu zadaniu; ale niebawem, od drugiéj zwłaszcza połowy rządów Zygmunta I, nastąpił w sądownictwie królewskiem, skutkiem zbytniego nawału spraw, niesłychany zastój; dziesiątki tysięcy procesów zalegały przez długie lata niezałatwione, a każdy nowy rok przynosił z sobą coraz większą ilość zaległości, którym król, jako jedyny sędzia najwyższy, mimo energicznéj i wytężonéj pracy, nie mógł żadną miarą podołać. To rozluźnienie stosunków w dziedzinie najwyższéj sprawiedliwości pociągnęło za sobą, jeszcze za życia obu ostatnich Jagiellonów, skutek całkiem naturalny; wzmogła się w kra-

ju swawola, nieposłuszeństwo i lekceważenie prawa, gwałty i rozboje przeszły na porządek dzienny, morderstwa i zabójstwa wzrosły w sposób zastraszający (1). Takie opłakane stosunki przekazywało panowanie Zygmunta Augusta potomności; o ileż groźniejszą postać przybierał cały stan rzeczy w bezkrólewiu po jego śmierci, kiedy nie tylko już sam sąd królewski, ale i inne sądy nie mogły stać na straży bezpieczeństwa publicznego, kiedy nieokiełznana swawola, która już dotąd rozrosła się tak bujnie, mogła teraz śmieléj jeszcze podnieść głowę, w czasie, kiedy, jak się wyrażano, milczą wszystkie prawa. Posłuchajmy głosu współczesnych, z jaką obawą spoglądali z tego powodu w otwierające się bezkrólewie: „Za życia Zygmunta Augusta—powiada Heidenstein—biegały po kraju dziwne przepowiednie, jakoby po śmierci jego państwo całe razem z nim zaginąć miało. Umysły wielu przejmowały strach i obawa. Niebezpodstawną była ta obawa, w ostatnich bowiem czasach Zygmunt August z powodu słabości sądów odprawiać nie mógł, a swawola wielu ogromnie rosła. Gdyby tedy razem ze śmiercią króla bojaźń prawa ustała, wszystko rzuciłoby się na rozboje i mordy“ (2). Takie były obawy; jakąż okazała się rzeczywistość? Zaledwie w dwa tygodnie po śmierci króla, wyraża się zjazd łowicki w publicznym akcie urzędowym: „Gwałty, najazdy, mordy i rapiny już się na wielu miejscach wszczynają“ (3).

Znalazła się Polska nagle i niespodziewanie w nader przykréj i drażliwéj kolizyi. Owe skrajne wnioski, jakie wyprowadzano z pojęcia o zleconéj władzy sądów, kazały jéj w bezkrólewiu zawiesić ich działalność; wzgląd na zapobieżenie największemu rozstrojowi stosunków wewnętrznych, domagał się koniecznie utrzymania téj działalności. Obie rzeczy wykluczały się nawzajem; przeprowadzenie jednéj musiałoby obalić drugą; że zaś żadną miarą nie chciano, czy też nie umiano się zdecydować na porzucenie całéj owéj skrajnéj teoryi, przeto nie pozostawało nic innego, jak tylko szukać jakiegoś pośredniego punktu wyjścia, który, nie ubliżając teoryi, potrafiłby przecież powołać w jakiś sposób zawieszone sądownictwo do życia, a tém samém usunąć groźne ze wszech miar niebezpie-

---

(1) O tym upadku sądownictwa królewskiego i skutkach, jakie stąd wynikły zob. dokładniéj w Genezie trybunału koronnego, cz. I.

(2) Heidenstein, Rerum ab excessu Sigismundi Augusti, ks. I.

(3) Teki Naruszewicza w Bibl. ks. Czartoryskich w Krakowie. t. 80, N. 41: Poselstwo od Rad koronnych, które się były do Łowicza zgromadziły, do Rad W. Księstwa Litewskiego. Por. téż pismo u Noailla (Henri de Valois III. 89): cum multi de rapinis homicidiis. oppressionibus expostularent.

czeństwo. Tym pośrednim punktem wyjścia stała się dla Polski— konfederacya.

Nie ma może rzeczy, uzasadnionéj bardziéj ustrojem dawnego, zwłaszcza zaś średniowiecznego państwa, zarówno w Polsce, jak i gdzieindziéj na Zachodzie, jak właśnie konfederacya. Państwo średniowieczne, z organizacyą swoją na wskróś odśrodkową, z słabą władzą centralną, z niedostatecznemi siłami i środkami, nie było w stanie przeprowadzić wszystkich celów państwowych: wiele z nich trzeba było albo zaniechać zupełnie, albo, jeżeli miały być koniecznie urzeczywistnione, pozostawić je inicyatywie prywatnéj. Jakoż w istocie, inicyatywa ta prywatna występuje podówczas częstokroć na jaw, ale że siły jednostek, a nawet korporacyj, nie starczą do spełnienia tych obszernych zazwyczaj i trudnych zadań, przeto budzi się i rozwija w wiekach średnich duch assocyacyi, łączący pewną, zazwyczaj większą ilość tychże jednostek czy korporacyj, związanych jednemi widokami i jednym interesem, dążących wspólnemi środkami do osiągnięcia wspólnych celów. Tak działając, jako mniéj lub więcéj silna potęga, obok państwa, a czasem nawet przeciw państwu, tworzą się związki o najrozmaitszych częściach składowych, dążące do najrozmaitszych celów, przybierające najrozmaitsze formy zewnętrzne i nazwy, jak: fraternitety, bundy, hanzy, konspiracye, kolligacye, a już najczęściéj konfederacye. I w Polsce konfederacye oddawna już były znane. Wprowadzają je naprzód miasta w pierwszéj połowie wieku XIV, idąc za wzorami niemieckimi; w r. 1352 pojawia się pierwsza konfederacya rycerstwa i powtarza odtąd kilkakrotnie przez ciąg wieków średnich (1). Sięgając, w bezkrólewiu po wygaśnięciu Jagiellonów, do tego środka, nie wprowadzano wtedy żadnéj innowacyi, opierano się na instytucyi, która nabyła już obywatelstwa w publiczném prawie polskiém. Był to zaś jedyny środek, za pomocą którego ominąć było można niebezpieczeństwo, grożące podówczas Rzeczypospolitéj; gdy bowiem konfederacya już z istoty i pojęcia swego służyła do przeprowadzenia nadzwyczajnych, wyjątkowych celów, do których osiągnięcia nie wystarczały ani zwyczajne środki, ani normalne stosunki państwa, przeto można było, stosując tę zasadę do sądownictwa, postawić tezę, że z chwilą, gdzie kończy się prawidłowa działalność sądów zwyczajnych, konfederacya powołać może do życia sądy nadzwyczajne, których władza opierać się będzie nie na teoretycznéj idei o pełnomocnictwie królewskiém, ale na zleceniu saméj konfederacyi, które zatém dzia-

(1) Dokładniéj o początku konfederacyi w Polsce traktuje Szujski w szkicu: Maćko Borkowicz i pierwsza konfederacya rycerstwa.

łać mogą mimo śmierci królewskiéj, owszem, które działać mogą tylko w bezkrólewiu, skoro konfederacya, źródło i podstawa ich władzy, na ten tylko czas anormalnych stosunków zawartą została. Oto myśl zasadnicza, na któréj oparto istotę i władzę sądów kapturowych.

Stało się to zaś, w roku 1572, po raz pierwszy dopiero. Jeżeli bowiem przywiążemy do pojęcia sądów kapturowych znaczenie ścisłe i właściwe, jeżeli pod nazwą tą rozumieć będziemy sądy nadzwyczajne, oparte na konfederacyi, wykonywujące sprawiedliwość tylko podczas bezkrólewia, i co najważniejsza, z zawieszeniem działalności innych sądów zwyczajnych, to spostrzeżemy, że wszelkie konfederacye, jakiekolwiek zawierano poprzednio, zdążały zawsze do odmiennych celów, że żadna z nich nie wprowadziła właściwych sądów kapturowych. I tak, jedne z nich, jak np. konfederacye z r. 1352 i 1439 (1) powstają za życia królów, nie wprowadzają zatém żadnych sądów z powodu bezkrólewia; inne, jak mianowicie konfederacya radomska z r. 1382 (2), lubo się zawiązała po zgonie Ludwika przed koronacyą Jadwigi, zobowiązywała wprawdzie uczestników, pod wiarą i poczciwością, ruszyć przeciw gwałtownikom, ale nie ustanowiła żadnych nowych sądów, określiła tylko formę egzekucyi, zupełnie w ten sam sposób, jak ją określały konfederacye, zawierane za życia królów. Jedyny wyjątek zdawała-by się tu stanowić druga konfederacya radomska z r. 1384, która ustanawiając tymczasowy rząd w bezkrólewiu po śmierci Ludwika, przyznała temuż rządowi prawo wykonywania sądownictwa nad wszystkimi, którzy się sprzeciwią jego rozporządzeniom (3). Wyjątek to jednak tylko pozorny, nie wprowadza on jeszcze właściwych sądów kapturowych. Jurysdykcya bowiem sądu tego konfederacyjnego zawarunkowaną była uprzedniém wydaniem rozporządzenia przez rząd i nie usłuchaniem go przez winnego, uprawniła zatém tylko do karania występków przeciw powadze i działalności administracyjnéj krajowéj; o uchy-

---

(1) Pierwsza w Raczyńskiego „Cod. dipl. Maioris Pol.“, str. 108, przedrukowana także w nowym kodeksie dypl. wielkopolskim; druga w Vol. leg. I. 141.

(2) Vol. leg. I. 58.

(3) Item in conventione celebrata nuper in Radomske domini concluserunt, quod in qualibet terra adiuncti sunt sex domini et duo cives ipsius terrae capitaneo eiusdem terrae, qui recipiant promissiones et iuramenta a communitate, quod ipsi omnes coniunctim et divisim praedictis dominis tenentur in omnibus obedire. Si quis ausu temerario memoratis dominis vellet contraire et ipsis non obedire, extunc ipsi domini praefatos rebelles debent incaptivare, incarcerare de bonis ipsorum se intromittere, aut ipsa destruere et cremare, nec unquam ista ab aliquo iure repetere, pro quibus tunc perpetuum silentium imposuerunt. Rozpr. i sprawozd. wydz. hist. fil. Akad. Umiej., t. I, str. 163—173 „Codex epistolaris saeculi XV“, str. 1.

leniu władzy sądów zwyczajnych, zarówno w sprawach cywilnych, jako też zwykłych sprawach karnych, nie ma tu jeszcze mowy, jak jéj nie było aż do połowy wieku XV.

Mając to wszystko na uwadze, możemy teraz przystąpić do wyjaśnienia kwestyi, skąd się wzięła nazwa sądów kapturowych. Kwestya ta jest sporną w nauce prawa polskiego, a to głównie dla tego, że celem wyjaśnienia jéj stawiano hipotezy więcéj oryginalne, niż naukowe. Argumentowano na przykład, że sądy kapturowe stąd się tak nazywają, iż mają prawo pojmać (*capere*) winowajców, albo znowu dla tego, że naród po śmierci króla zawdziewa niejako kaptur na siebie, czy-to dla okazania żałoby, jak mówili jedni, czy téż dla zaznaczenia jedności swéj, tak potrzebnéj w czasie bezkrólewia, jak twierdzili drudzy, i pod osłoną tego kaptura ustanawia sądy, kapturowemi stąd zwane, na czas tegoż bezkrólewia. Wszystkie te wykładnie, jak widoczna, dzielą się na dwie grupy: jedna z nich wyprowadza nazwę od funkcyj sądu kapturowego, nie troszcząc się bynajmniéj o podstawę, na któréj się władza jego opierała, o konfederacyą; druga bierze za punkt wyjścia samę konfederacyą, twierdzi, że pojęcia konfederacya a kaptur, to rzeczy identyczne, ale tylko o tyle, o ile konfederacya powstała w czasie bezkrólewia. Obie interpretacye są błędne, lubo druga więcéj już niż pierwsza zbliża się do prawdy.

Bezstronne rozpatrzenie źródeł przekonywa nas, że według pojęć, jakie istniały u nas jeszcze w czasie bezkrólewia z r. 1572, każda konfederacya nazywała się kapturem, i to bez względu na to, czy ją zawiązano za życia króla, czy téż po jego śmierci. W licznych pismach z czasów tegoż bezkrólewia spotykamy się co chwila ze zwrotem: *confoederatio alias kaptur*, przyczém powołując się na wzory dawniejsze, pisma te nazywają wyraźnie kapturami nietylko konfederacyą radomską z r. 1382, ale i nowokorczyńską z r. 1439; gdy zaś ostatnia zawiązaną została za życia Władysława III, przeto odpada wszelki powód do przypuszczenia, jakoby tylko konfederacye z czasów bezkrólewia nosić mogły nazwę kapturów, a wraz z tém rozwiewa się samo z siebie twierdzenie, jakoby w pojęciu kaptur tkwił jakiś objaw żałoby z powodu zgonu panującego. Jeszcze dobitniéj wyjaśniają całą tę sprawę słowa instrukcyi, wydanéj na sejmiku województwa sandomierskiego w r. 1563, a więc na dziewięć zaledwie lat przed bezkrólewiem. Opierając się podatkom nałożonym przez sejm, wyraża się szlachta w téjże instrukcyi (1): „Aby żadna angaria przez urzędy wkładana być nie mogła, aż wszystkim

(1) Rpis Bibl. ks. Czartoryskich w Krakowie, Nr. 1604.

ku wiadomości ustawa ta przyjdzie, która, gdyby była przeciw wolnościom, aby ich na sobie rozciągać nie dopuścili; stądże urosły te spiski, które my kaptury zowiemy, w których stoi, jako się przysięgą przodkowie nasi sprzysięgli, nietylko duszę przed Bogiem krzywoprzysięstwem obowiązując, ale też i ciało przed ludźmi poczciwością, aby każdy bronić był powinien praw tych" itd. Widoczna tu ze słów tych, że grożono zawarciem konfederacyi, ale nie z powodu bezkrólewia, co większa, nie celem wprowadzenia jakichkolwiek sądów; chodziło jedynie o związek, mający się sprzeciwiać nałożonym podatkom, a jednak związek ten nazwano kapturem. Tak zaś wykazawszy identyczność obu tych nazw, możemy już z całą łatwością wyjaśnić pytanie, skąd się wzięła nazwa sądów kapturowych. Zwano je tak dla tego, ponieważ się opierały na konfederacyi, czyli kapturze; sądy kapturowe nie znaczą tedy nic innego, jak tylko sądy konfederacyjne, i gdyby np. konfederacya jaka zawiązana za życia króla była ustanowiła sądy, sądy te, według współczesnéj terminologii były-by się mogły zwać z równém prawem sądami kapturowemi, choć-by nie miały przeznaczenia działać podczas bezkrólewia. Z tego punktu widzenia sądem kapturowym był także ów sąd z r. 1384, o którym wspomnieliśmy poprzednio, dla tego że się opierał na postanowieniach konfederacyi. Jaki był powód, że konfederacyą samę nazywano kapturem, to rzecz, któréj rozbiór nie do nas należy; rozwiązanie jéj ostateczne i stanowcze, da nam przyszła historya konfederacyj w Polsce, jak również i rozwiązanie drugiego pytania, które się z poprzedniém łączy bezpośrednio, dla czego póżniéj nazwa kaptur przybrała znaczenie ściślejsze, dla czego z czasem nie wszystkie już konfederacye znaczono jéj mianem, ale tylko te, które w czasie bezkrólewia powoływały sądy kapturowe do życia.

Nie było naszym zamiarem wdawać się w niniejszym artykule w kwestyą organizacyi sądów kapturowych z r. 1572. Mimo to jednak, dla uniknięcia nieporozumień, zaznaczyć musimy, że cała ta instytucya, właśnie dla tego, że znajdowała się podówczas dopiero w stadyum tworzenia, nie przybrała odrazu form jasno i stanowczo określonych, lecz przechodziła powoli przez rozmaite stopnie rozwoju. Były mianowicie dwie główne fazy w tym rozwoju. W pierwszéj z nich nie ma jeszcze mowy o właściwych sądach kapturowych. I tak mianowicie kaptur krakowski z 19 lipca 1572 roku (Vol. leg. II. 839) nakłada na skonfederowanych obowiązek, pod wiarą i poczciwością, powstać przeciw każdemu, który-by się dopuścił gwałtów, najazdów, łupiestw lub innych zbrodni i wykonać

na nim karę śmierci, infamii i konfiskaty majątku. Było to znowu, jak widzimy, dosłowne powtórzenie zasad, wyrażonych w dawniejszych konfederacyach, była tylka określona forma egzekucyi; w jaki jednak sposób winny miał być przekonany o swéj zbrodni, a przedewszystkiém, jaki sąd przeprowadzić miał proces przeciw niemu, konfederacya nie orzekła. Nieco odmiennie załatwiła tę sprawę konfederacya ziemi chełmskiéj, zawiązana 17 lipca (Noailles, Henri de Valois, III. 157). Zobowiązano się tu również zapobiegać wszelkim naruszeniom pokoju pospolitego, ale winnych postanowiono odesłać do najbliższego zjazdu koronnego, tj. sejmu konwokacyjnego. Téj saméj treści uchwały wydał także zjazd łowicki z 23 lipca (Noailles III. 85). Wszystkie te postanowienia miały jednak zasadnicze błędy: jedne chciały karać winowajców, a nie ustanawiały sądów, inne odsyłały ich do najniewłaściwszego forum, do sejmu, który leżał dopiero w dalszéj przyszłości, kiedy wzgląd na dobro publiczne wymagał jak najśpieszniejszego działania przeciw gwałtownikom, i który zresztą, zajęty innemi ważnemi a nagłemi sprawami, nie byłby znalazł dosyć czasu do wymiaru sprawiedliwości karnéj dla całego państwa. Przekonawszy się o niedostatkach wszystkich dotychczasowych postanowień, chwycono się niebawem innéj drogi, celem załatwienia sprawy, poczęto wprowadzać w poszczególnych ziemiach właściwe sądy kapturowe. Ze znanych nam postanowień, które wprowadziły te sądy, przytaczamy tu: konfederacyą gliniańską województw ruskiego i podolskiego z 31 lipca (Noailles III, 160), przyjętą późniéj dosłownie przez województwo sandomierskie, we wrześniu (Noailles III. 162, uw.); konfederacyą województw wielkopolskich z 15 października (Noailles III. 166); konfederacyą województwa mazowieckiego z 25 listopada (Teki Naruszewicza, t. 80, Nr. 150); konfederacyą województw krakowskiego i sandomierskiego z 16 grudnia (Noailles III. 163); ponowną konfederacyą województwa ruskiego z 2 marca 1573 (Noailles III. 274 i Plater, Zbiór pam. III. 35). Prócz tego wspomnieć należy jeszcze urywek kaptura bełskiego z 21 lipca 1572 (Noailles III. 159), którego treści bliżéj nie znamy.

Dr. Oswald Balzer.

Znoszenie jaj przez zwierzęta ssące.

Dziobaka i kolczatkę poznano w końcu zeszłego stulecia. Dr. Shaw 1799 roku opisał dziobaka pod nazwą *Platypus anatinus*, która to nazwa do pewnego stopnia dotychczas utrzymuje się w jego ojczyznie, tj. w Anglii. W następnym roku dziobak otrzymał od dr. Blumenbacha powszechnie używane do dziś dnia miano *Ornithorhynchus paradoxus*.

Dr. Shaw 1792 r. opisał kolczatkę czyli dziebielatkę nazywając ją *Myrmecophaga aculeata*, tj. mrówkojadem kolczatym, albowiem mniemał, że należy zaliczyć ją do mrówkojadów, jako posiadającą maleńki, bezzębny otwór gęby, długą rurkowatą mordę i długi język. W roku 1797 Jerzy Cuvier dał poznać inny gatunek kolczatki pod nazwą *Echidna setosa*. Ponieważ wcześniéj bo 1778 r. Forsterowie (1), ojciec i syn, tem samém mianem mieli oznaczyć pewien rodzaj ryby, przeto Illiger 1811 r. nadał kolczatkom rodzajową nazwę *Tachyglossus*. Obecnie obie nazwy: *Echidna* i *Tachyglossus*, bywają stosowane, co staje się powodem pewnego zamięszania. W 100 lat blisko po odkryciu wymienionych gatunków kolczatki Peters i Doria 1877 r. opisali trzeci gatunek, a w następnym roku Ramsay dał poznać czwarty jéj gatunek. Gatunek opisany przez Petersa i Dorię przedstawia pewne różnice w budowie nóg i języka, które posłużyły Pawłowi Gervais do utworzenia nowego rodzaju *Acanthoglossus* z jedynym gatunkiem *A. Bruynii*. Tak więc znamy obecnie pięć gatunków dziobaka i kolczatek, mieszczących się w trzech rodzajach, których znamiona są pokrótce następujące.

(1) Jan Jerzy Adam Forster od r. 1784 do r. 1787 był profesorem w Wilnie, gdzie i jego ojciec poszukiwał katedry.

Ornithorhynchus. Szczęki tworzą spłaszczony dziób pokryty miękką skórą. Zamiast zębów z każdéj strony u góry i u dołu po parze blaszek rogowych. Nogi krótkie, pięciopalcowe, palce spięte błoną. Ogon płaski. Skóra pokryta włosem. Pięta samca uzbrojona szponem przedziurawionym do którego otwiera się przewód gruczoła położonego w dolnéj części uda. Jedyny znany gatunek *O. paradoxus* mieszka w Australli i Tasmanii. Przebywa w rzekach i stojących wodach; na wybrzeżach kopie nory z dwoma wyjściami, jedne nad drugiem pod powierzchnią wody. Karmi się drobnemi zwierzętami wodnemi.

Echidna (*Tachyglossus*). Szczęki tworzą wydłużoną, nagą i cienką rurkę z maleńkim otworem gęby na końcu. Zupełny brak zębów, nawet rogowych. Język robakowaty, na końcu gładki, tylna część języka i podniebienie pokryte w tył podanemi rogowemi brodawkami. Nógi krótkie, pięciopalcowe, palce wolne, każdy z pazurem. Ogon krótki, gruby. Na grzbiecie i bokach ciała pomiędzy włosami długie kolce. Samiec podobnie jak w poprzednim rodzaju uzbrojony, lecz szpon znacznie mniejszy. Kolczatki są nocne, zamieszkują wilgotne lasy, karmią się owadami, zwłaszcza mrówkami. Kopią podziemne nory. Mogą się podobnie jak jeż zwijać. *E. hystrix*, mieszka w Australii; *E. setosa*, w Tasmanii; *E. Lawesii*, w południowéj części Nowéj Gwinei.

Acanthoglossus. Podobny do poprzedniego rodzaju, od którego różni się następującemi szczegółami: pysk znacznie dłuższy i mocniéj łukowaty. Nogi pięciopalcowe, ale tak z przodu jak z tyłu zewnętrzny i wewnętrzny palec szczątkowe tylko trzy pozostałe z pazurami. Przednia część języka z rogowemi brodawkami ustawionemi w trzy podłużne szeregi: Brodawki na podstawie języka ustawione w odmienny nieco sposób. Jedyny znany gatunek: *Acanthoglossus Bruynii* mieszkający na północy Nowéj Gwinei.

* *
*

Stanowisko dziobaka i kolczatki w układzie zwierząt było powodem niemałéj rozmaitości zdań. Blumenbach pomieścił dziobaka w grupie ssących płetwonogich (*Palmata*) swego układu, wyznaczając mu miejsce pomiędzy wydrą i morżem. Dr. Shaw trafniéj postąpił mieszcząc i dziobaka i kolczatkę w linneuszowskim rzędzie szczerbatych (*Bruta*), lecz ograniczając się z konieczności samą tylko zewnętrzną formą zwierząt, dostrzegł on jedynie ich podobieństwo do mrówkojada, polegające na zupełnym braku zębów. Ważne prace Sir Everarda Home (1802) nad anatomią w mowie będą-

cych zwierząt wykazały ich wzajemne podobieństwo i wielostronne powinowactwa, ukryte pod znacznemi napozór różnicami zewnętrznego wyglądu. Opierając się na tém podobieństwie E. Home połączył dziobaka i kolczatkę w jeden rodzaj, któremu nadał blumenbachowską nazwę *Ornithorhynchus*. Nadto zwrócił on uwagę na okoliczność, że prawdopodobnie dziobak i kolczatka znacznie różnią się od innych ssących swém płodzeniem, albowiem posiadają odmiennie zbudowane przyrządy płciowe, oraz w obu płciach nie mają brodawek sutkowych.

Prof. Geoffroy St. Hilaire uznając słuszność poglądu E. Home utworzył dla zajmujących nas zwierząt odrębny rząd, któremu nadał nazwę jednootwornych (1) (*Monotremata*), albowiem badania anatomiczne przekonały go, że kał, mocz i produkta płciowe wydostają się na zewnątrz przez jedyny otwór, podobnie jak u ptaków, gadów i ziemnowodnych, gdy tymczasem u innych ssących dla kału istnieje oddzielny otwór odbytu i oddzielny dla moczu i produktów płciowych. Późniéj, mniemając że jednootworne nie mają ani brodawek ani gruczołów mlecznych, oraz umocniwszy się w przekonaniu o ich jajorodności, stanowczo oddzielił je od gromady zwierząt ssących i uznał za gromadę pośrednią pomiędzy temi ostatniemi a ptakami i gadami.

Taki pogląd na stanowisko jednootwornych nie znalazł jednak powszechnego przyjęcia. Cuvier, który, jak widzieliśmy, oddzielił kolczatkę od prawdziwych mrówkojadów i nadał jéj nazwę *Echidna*, znakomicie przyczynił się do zbadania budowy anatomicznéj tak kolczatki, jako też dziobaka. Przyjął on zbiorową nazwę jednootwornych, lecz pomieścił je w swoim układzie jako grupę zwierząt szczerbatych.

Przeciwko zdaniu Geoffroy St. Hilaire powstali także inni zoologowie, pomiędzy innemi de Blainville, znakomity anatom francuski, który 1816 r. wykazał, że gromada zwierząt ssących daje się podzielić na trzy grupy: *ornithodelphes* (jednootworne), *didelphes* (workowate), *monodelphes* (łożyskowe). Późniejsze badania stanowczo potwierdziły słuszność poglądów wielkiego anatoma i zaproponowany przez niego podział zw. ssących powszechnie jest przyjęty z tą tylko różnicą, że niektórzy za przykładem Ryszarda Owena łączą jednootworne i workowate jako skupienie zwierząt bezłożyskowych. W takim razie gromada ssących rozpada się na dwie główne grupy: łożyskowych i bezłożyskowych, a ostatnia składa się z dwóch rzędów: workowatych i jednootwornych.

---

(1) Jednootworne otrzymały także polską nazwę stekowców.

Anatomiczne badania doprowadziły tedy do oznaczenia stanowiska jednootwornych w układzie zwierząt. Dla ostatecznego rozstrzygnięcia rozmaitych pod tym względem zagadnień pozostawało jednak wyjaśnić sposób ich rozmnażania się, do czego obecnie przejść by nam wypadło, lecz z uwagi że wielu czytelnikom niezawodnie brak wiadomości koniecznych do należytego zrozumienia faktów, nad któremi wypada się nam zastanowić, konieczną jest rzeczą przedewszystkiém poznać niektóre szczegóły dotyczące płodzenia wogóle i płodzenia zwierząt ssących w szczególności.

* * *

Bezpośrednie spostrzeżenia dają nam poznać jeden tylko sposób powstawania nowych organizmów jako potomstwo innych podobnych organizmów rodzicielskich. Wprawdzie nie należy ztąd wyprowadzać wniosku aby powstawanie istot ożywionych bez wpływu rodziców było rzeczą niemożebną; nawet jest ono bardzo prawdopodobném, pomimo to jednak nie znamy ani jednego faktu któryby niezbicie dowodził istnienia *samorództwa*, tj. powstawania organizmów bez udziału rodziców, czy to obecnie czyli téż w dawniejszych czasach. Zatém płodzenie rodzicielskie pozostaje jedynym znanym obecnie sposobem powstawania organizmów.

Smiało można powiedziéć, że każda istota żyjąca posiada zdolność wydawania potomstwa; indywidualne wyjątki są stosunkowo tak nieliczne że na bliższą wzmiankę nie zasługują. Wogóle rozróżniamy dwojakiego rodzaju płodzenie: *bezpłciowe i płciowe.*

Bezpłciowe płodzenie polega na oddzieleniu od ciała macierzystego pewnéj części, która przybiera postać nowego osobnika. *Podziałem* nazywamy rozmnażanie się polegające na podziale macierzystego organizmu na dwie lub więcéj części, z których każda uzupełnia się i zamienia na nowy organizm.

Jako *pączkowanie* odróżniamy formę płodzenia bezpłciowego, w któréj na organizmie macierzystym powstaje nabrzmienie powoli powiększające się i tym sposobem dające początek nowemu osobnikowi. Ponieważ przy podziale powstające połówki mogą być rozmaitéj wielkości i różnica może być bardzo nawet znaczna, przeto ostatecznie podział przechodzi w pączkowanie i pomiędzy temi sposobami płodzenia ściśléj granicy przeprowadzić nie można.

Pączki powstają albo na zewnętrznéj powierzchni rodzica albo wewnątrz jego organizmu. W pierwszym razie nazywamy je *zewnętrznemi*, w drugim zaś *wewnętrznemi*. Niekiedy wewnętrzne pącz-

ki są bardzo małe i bardzo wcześnie oddzielają się od organizmu rodzicielskiego; nazywamy je *zarodnikami*.

Płodzenie płciowe na tém polega, że dla utworzenia nowego osobnika potrzeba współudziału dwóch pierwiastków, czyli dokładniéj mówiąc dwóch komórek, które zlewają się z sobą i tym sposobem dają początek nowemu utworowi posiadającemu zdolność wytwarzania nowego osobnika. Jedną z tych komórek, dostarczającą materyału na budowę nowego organizmu nazywamy *jajkiem*, drugą, która daje popęd do przeobrażeń jajka, nazywamy *ciałkiem* albo *nitką nasienną*. Znaczenie nitek nie jest jeszcze należycie wyjaśnione.

Aby niepozostawiać czytelnika w niepewności dodaję, że pod nazwą komórki pojmujemy bryłkę substancyi przejrzystéj, mniéj lub więcéj ziarnistéj, zwanéj *protoplasmą* (*zarodzią*), w któréj mieści się bardziéj zbite ciało czyli *jądro*. W jądrze bardzo często znajduje się błyszczące ciałko lub ciałka, zwane *jąderkami*. Z komórek rozmaitego kształtu i rozmaicie przeobrażonych, oraz z wytworzonych przez nie produktów składa się cały organizm czy to roślinny czyli też zwierzęcy. Objawy życiowe organizmu, chociażby najbardziéj złożonego, są zbiorowym objawem życia składających go pojedyńczych komórek.

Pierwotnie jajko nie różni się od innych otaczających je komórek, stopniowo jednak wyróżnia się od nich przybierając znacznie większe wymiary i w wielu razach charakterystyczne położenie względem otoczenia.

* * *

Jajko posiada taką samę budowę jak komórka, lecz rozmaite jego części składowe odmiennie bywają nazywane: protoplasmę jajka odróżniamy jako *żółtko*, jądro jako *pęcherzyk zarodkowy*, a jąderka jako *plamki zarodkowe*, które rozmaicie bywają liczne.

Na żółtku powstają powłoki, które mogą być wytworem albo jego samego, albo otaczających je komórek.

W drobnoziarnistéj protoplasmie żółtka powstają znacznie grubsze, błyszczące ciałka zwane *żółtkiem odżywczem*, gdy tymczasem samę protoplasmę jajka odróżniamy jako *żółtko twórcze*. W jednych jajkach żółtko odżywcze jest jednostajnie rozproszone w twórczem, w innych zaś skupia się przeważnie na jednym biegunie jajka, gdy tymczasem na drugim zbiera się przeważnie żółtko twórcze otaczające pęcherzyk zarodkowy. U niektórych zwierząt, np. u ptaków, koło pęcherzyka zarodkowego skupia się prawie czyste żółtko twór-

cze tworzące małą tarczkę białawą, gdy tymczasem cała żółta masa składa się prawie wyłącznie z żółtka odżywczego, którego części składowe są połączone bardzo małą ilością protoplasmy. Budowę żółtka ptasiego najłatwiéj rozpatrzéć na gotowaném jajku kurzem, gdzie żółtko twórcze tworzy tak zwaną bliznę, a odżywcze wyraźnie odznacza się swym żółtym kolorem i tworzy to, co w życiu powszedniem właśnie dla tego zabarwienia nazywamy żółtkiem.

U wielu bardzo zwierząt, a pomiędzy niemi u zwierząt kręgowych, jajka powstają we właściwych przyrządach zwanych jajnikami. Z wyjątkiem niektórych ryb, jajko oddzieliwszy od jajnika przechodzi do właściwych przewodów czyli *jajowodów*, któremi wydostaje się na zewnątrz. Jajowody razem z przewodami moczowemi, albo się wprost na zewnątrz otwierają, jak np. u człowieka i wogóle u ssących, albo też wraz z kiszką grubą otwierają się do wspólnéj komory zwanéj *stekiem* (*cloaca*). W pierwszym razie znajdują się dwa zewnętrzne otwory, jeden dla kału, drugi dla moczu i produktów płciowych, w drugim zaś razie istnieje jedyny otwór steku, jak u ptaków, gadów; ziemnowodnych, niektórych ryb, oraz, jak widzieliśmy, u jednootwornych (1).

Jajko może się pokrywać w jajowodzie nowemi utworami, będącemi wydzieliną ścian tego ostatniego. Tym to sposobem na powierzchni jajka ptasiego osiada warstwa bezbarwnego białka, a na niéj wapienna, dziurkowata skorupa. U gadów jajko także otacza się w jajowodach rozmaicie grubą warstwą białka oraz skorupą, która u jajorodnych pokrywa się grubszą lub cieńszą powłoką wapienną.

* * *

Najwybitniejszą właściwością jajka jest jego zdolność do wytwarzania nowego osobnika, co się w następujący sposób odbywa.

Żółtko twórcze ulega podziałowi, czyli tak zwanemu *przewężaniu*, albo *segmentacyi*, a mianowicie stopniowo dzieli się ono na coraz liczniejsze części czyli kulki przewężne. Ostatecznie, tym sposobem otrzymujemy wielką ilość drobnych stosunkowo kulek czyli komórek zarodkowych, które grupują się według pewnych, dla każdego zwierzęcia stałych prawideł i tym sposobem dają początek nowemu osobnikowi. We wszystkich znanych wypadkach ko-

---

(1) Stosunek przewodów nasiennych i moczowych względem kiszki lub steku jest aki sam jak jajowodów i przew. moczowych.

mórki zarodkowe układają się najprzód w dwie, następnie w trzy warstwy, czyli listki zarodkowe: górny, dolny i środkowy, które dają początek pewnym, ściśle oznaczonym organom i do tego w całem państwie zwierzęcém pod tym względem te same panują prawa.

Ciało nowego zwierzęcia buduje się z żółtka twórczego, czyli z protoplasmy jajka, gdy tymczasem żółtko odżywcze dostarcza pokarmu téj protoplasmie, która skutkiem tego powiększa swoją objętość, tj. zarodek rośnie.

Przewężanie żółtka odbywa się w rozmaity sposób, odpowiednio do nagromadzonego w niém żółtka odżywczego i do sposobu rozłożenia jego cząstek. Jeżeli ilość tego żółtka jest stosunkowo mała, a jego cząstki jednostajnie rozłożone, wówczas całe jajko dzieli się z jednakową szybkością, a powstające przytém kulki przewężne są prawie jednakowéj wielkości. Przewężanie tego rodzaju odróżniamy jako *regularne*, a ulegające mu jajka odróżniamy jako *holoblastyczne*. Pomiędzy innemi, zwierzęta ssące posiadają jajka holoblastyczne. W innych razach, gdy żółtko odżywcze znacznie jest rozwinięte i prawie samo jedno tworzy pewną część jajka z zupełném niemal wyłączeniem żółtka twórczego, skupionego na przeciwnym biegunie koło pęcherzyka zarodkowego, przewężaniu ulega tylko nagromadzenie tego ostatniego, tworzące tak zwaną bliznę. Częściowe to przewężanie jest znamieniem jajek *meroblastycznych*, właściwych ptakom, gadom, rybom ościstym itd.

Pomiędzy temi krańcowemi formami jajek istnieją rozmaite formy przejściowe, nad któremi jednak zastanawiać się nie będziemy, albowiem ich znajomość nie jest potrzebna do zrozumienia zajmującego nas przedmiotu.

* * *

W stosunku do przychodzącego na świat płodu jajko zawiera rozmaitą ilość materyału i pokarmu, przeznaczonego do wytworzenia tego płodu. W wielu bardzo razach w jajku mieści się cały zapas materyału płodowego i matka po wytworzeniu jajka niczego więcéj nie udziela rozwijającemu się potomkowi. W innych wypadkach w jajku znajduje się bardzo mało materyału, a rozwijający się zarodek głównie czerpie pokarm z krwi swojéj matki.

Jajka, zawierające cały zasób materyału, potrzebnego do rozwinięcia się nowéj istoty, są stosunkowo duże, gdy tymczasem jajka z materyałem niewystarczającym są nadzwyczaj małe; jako przykład jaj pierwszego rodzaju może nam służyć jajko kurze i w ogóle

ptasie (uważane bez białka), a jako przykład jaj drugiego rodzaju przytoczę jajko człowieka i w ogóle zwierząt ssących, mające średnio 0,2 milimetra średnicy.

Wprawdzie samice wszystkich zwierząt rozmnażających się drogą płciową, a zatém wszystkich zwierząt ssących, wraz z człowiekiem, właściwie w pewnych odstępach czasu tak dobrze znoszą jajka, jak np. kura lub gołąb, ze względu jednak na to, czy w jajku znajduje się nagromadzony cały materyał embryologiczny lub nie, odróżniamy *zwierzęta jajorodne* i *żyworodne*. Pomiędzy pierwszemi zachodzi ta różnica, że u niektórych jajko bardzo wcześnie wydostaje się na zewnątrz i wyjąwszy najpierwsze jego zmiany cały rozwój odbywa się na zewnątrz matki, jak np. u kury i wszystkich ptaków, albo téż jajko dopóty pozostaje wewnątrz matki, tj. w jajowodzie, dopóki się z niego nowy osobnik nie rozwinie. W pierwszym razie odróżniamy zwierzęta jako *jajorodne* w ścisłém znaczeniu, w drugim zaś jako *jajo-żyworodne*, np. żmija, salamandra. Jajo-żyworodność tém się odznacza, że jajko podczas pobytu wewnątrz organizmu matki nie otrzymuje od niéj żadnego pokarmu. Niekiedy jajo-żyworodność do tego posuwa się stopnia, że w jajowodach matki potomstwo nietylko się wylęga, ale nadto odbywa w nich przeobrażenia, np. u salamandry i niektórych much.

U zwierząt w ścisłém znaczeniu *żyworodnych* rozwijający się zarodek otrzymuje pokarm od matki za pośrednictwem układu krwionośnego. Wymiana pomiędzy krwią matki i płodu następuje w tak zwaném *łożysku*, gdzie naczynia krwionośne pierwszéj i drugiego w ścisłym pozostają związku, a to w sposób następujący.

Płód zwierząt kręgowych, nie mówiąc o innych, posiada pewne właściwe sobie utwory, zwane *błonami płodowemi*, które albo zupełnie, albo w znakomitéj części zostają zrzucone podczas przyjścia i wkrótce po przyjściu na świat zwierzęcia. Żółtko, które nie zostaje od razu spożytkowane do budowania powstającego zarodka, mieści się w *pęcherzyku żółtkowym*, którego ścianki, będące przedłużeniem ścianek przewodu pokarmowego, są opatrzone siecią naczyniową, połączoną z naczyniami krwionośnemi zarodka. Drugą błoną płodową, któréj nie mają ani ryby, ani ziemnowodne (z wyjątkiem może bezogonowych), jest *omoczna*, będąca wypukliną końcowéj części kiszki, czyli steku, który pierwiastkowo zarówno istnieje u człowieka i zwierząt ssących, jak u ptaków, gadów itd. W dalszym jednak przebiegu rozwojowym u człowieka i ssących stek rozdziela się podłużną przegrodą na dwa kanały: na przedłużenie kiszki i na przewód moczo-płciowy, do którego otwierają się przewody moczowe

i płciowe. Naczynia krwionośne zarodka rozgałęziają się w ściankach omocznéj (1).

Dla utworzenia łożyska znacznie grubieje wysłanie odpowiedniéj części jajowodu, zwanéj macicą, w któréj się rozwój zarodka odbywa, oraz na jéj powierzchni wewnętrznéj powstają nierówności, tj. zagłębienia pooddzielane wzniesieniami, a naczynia krwionośne silnie się w tych miejscach rozwijają. Z drugiéj strony omoczna rośnie coraz bardziéj i ostatecznie rozpościera się na wewnętrznéj powierzchni tak zwanéj kosmówki, tj. błony otaczającéj zarodka, wraz ze wszystkiemi jego błonami. Na powierzchni kosmówki powstają nierówności, czyli *kosmki*, do których wchodzą gałąski naczyń omocznéj. Kosmki wchodzą w zagłębienia na wewnętrznéj powierzchni macicy i tym sposobem naczynia krwionośne płodu prawie bezpośrednio stykają się z takiemiż naczyniami macicy. Tym sposobem zarodek otrzymuje pokarm ze krwi matki, która za niego oddycha. W ten sposób powstaje łożysko (*placenta*) u zwierząt ssących, którego jednak zwierzęta workowate (*Marsupialia*) wcale nie mają z powodu mało rozwiniętéj omocznéj. To dało powód Owenowi do rozdzielenia gromady ssących na dwie grupy: *łożyskowych* i *bezłożyskowych*. Pierwsza z tych grup jest daleko liczniejsza i obejmuje zwierzęta w ścisłém znaczeniu żyworodne, druga zaś, bez porównania szczuplejsza, składa się ze zwierząt żywo-jajorodnych.

Chociaż to właściwie do traktowanego przedmiotu nie należy, wspomnę jednak, że pomiędzy rybami niektóre żarłacze, czyli rekiny są prawdziwemi żyworodnemi zwierzętami, lecz ich łożysko jest utworzone przez pęcherzyk żółtkowy, a nie przez omoczną, któréj ryby, jak nam wiadomo nie posiadają. Fakt żyworodności żarłaczy, odkryty przez Arystotelesa w IV wieku przed narodzeniem Chrystusa, przeszło 2000 lat był podawany w wątpliwość, bo dopiero w połowie bieżącego stulecia Johannes Müller stanowczo go stwierdził.

* * *

U zwierząt ssących matka nie przestaje udzielać pokarmu swemu potomstwu nawet po jego przyjściu na świat, gdyż przez pewien czas karmi je mlekiem, które powstaje w specyalnych gruczołach mlecznych. Karmienie mlekiem i odpowiednie gruczoły spotykamy

---

(1) Zarodek wielu zwierząt kręgowych (ssących, ptaków i gadów) posiada trzecią jeszcze błonę *owodną*, która w obecném roztrząsaniu nie ma dla nas znaczenia i dla tego pozostawiam ją bez bliższéj wzmianki.

u wszystkich zwierząt ssących i do tego wyłącznie u nich, jest to więc znamię gromady pierwszorzędnego znaczenia.

U zwierząt ssących okolica skóry, gdzie się przewody mleczne otwierają jest wzniesiona jako brodawka sutkowa, pozwalająca na pierwszy rzut oka rozpoznać zwierzę ssące, zwłaszcza, że brodawki zachowują się nawet u samców, które zresztą nie posiadają odpowiednio rozwiniętych gruczołów.

U jednootwornych gruczoły mleczne są bez brodawek; ich przewody otwierają się na powierzchni skóry gładko na brzuchu rozpostartéj. Gruczołom mlecznym przypisywano u tych zwierząt rozmaite inne znaczenia, aż wreszcie Owen znalazł zcięte mleko w żołądku maleńkiego, nagiego dziobaka, a J. Bennett miał sposobność wyciskać mleko z nabrzmiałych gruczołów samicy.

U jednootwornych, podobnie jak u workowatych, gruczoły mleczne są z każdéj strony pokryte włóknami mięsnemi, które kurcząc się wyciskają mleko. Młode nie potrzebują tedy ssać i poprzestają na łykaniu wypływającego pokarmu.

* * *

Sposób płodzenia jednootwornych, aż do ostatnich czasów wątpliwą był rzeczą.

W początkach tego wieku Geoffroy St. Hilaire, opierając się na podaniach o znajdowaniu jajek w gniazdach dziobaka uznał jednootworne za zwierzęta w ścisłém znaczeniu jajorodne, tj. znoszące jajka, które się na zewnątrz matki rozwijają. Zdanie to podzielali niektórzy badacze, lecz przeciw niemu powstał Ryszard Owen, największa powaga pod względem anatomii i fizyologii jednootwornych.

Ryszard Owen, do ostatnich czasów dyrektor zbiorów historyi naturalnéj w British Museum, jeden z najpłodniejszych i najgenialszych anatomów bieżącego stulecia, zwany angielskim Cuvier'em, przeszło 50 lat przy każdéj sposobności pracował nad anatomią i historyą płodzenia dziobaka i kolczatki, w czém dzielnie dopomagał mu dr. Jerzy Bennett, dawny jego współtowarzysz studyów uniwersyteckich, osiadły w Australii. Bennettowi zawdzięczamy wiadomości o zwyczajach dziobaka, ogłoszone 1834 roku, a następnie w znacznéj części sprawdzone przez J. Verreaux 1848.

Owen pierwszą pracę o jednootwornych ogłosił 1832 r., ostatnią zaś w grudniu roku zeszłego. Z uwagi na budowę jajka, która według niego miała odpowiadać budowie jajka w innych ssących; mając na uwadzé okoliczność, że błona śluzowa jajowodów podczas obecności w nich jajek znacznie nabrzmiewa; z uwagi na powiększe-

nie objętości jajka w jajowodzie, co przypisywał powiększeniu objętości żółtka, jak to ma miejsce u królika, lecz u ptaków spostrzegać się nie daje; wreszcie opierając się na spostrzeżeniach Bennetta, który znalazł w gnieździe dziobaka maleńkie dzieci, zaledwie nieco więcéj nad 2 cale (angielskie) długie, lecz nie mógł odszukać najmniejszego śladu skorup jajowych, oraz na zasadzie rozmaitych innych względów Owen przyszedł do wniosku, że dziobak, oraz przez analogią i kolczatka, jajek nie znoszą, lecz podobnie jak workowate wydają żywe potomstwo, które jednak nie pozostaje w ściślejszym związku ze ścianami jajowodów. Innemi słowy, Owen stale bronił zdania, że jednootworne, podobnie jak workowate, w stanie płodu są pozbawione łożyska. Tak więc oba wymienione rzędy uważał Owen za zwierzęta ssące jajo-żyworodne, i z tego powodu połączył je w jedną grupę; pierwotnie, odpowiednio do ich rozwoju nazwał je *Implacentatia*, tj. bezłożyskowe, a następnie, według budowy mózgu odróżnił jako *Lyencephala*.

Owen pierwszy zbadał maleńkie i oczywiście bardzo młode okazy jednootwornych: okaz dziobaka nieco więcéj nad 2 cale, i kolczatki nieco więcéj nad 1 cal długi. Te młodziutkie osobniki dostarczyły bardzo ciekawych faktów. Owen wykazał, że budowa ich gęby doskonale odpowiada pochłanianiu ciekłego pokarmu, wypływającego z otworów mlecznych, chociaż u dorosłych osobników byłoby to stanowczo niemożebném. Tym sposobem znikła wszelka wątpliwość co do karmienia mlekiem młodego potomstwa. Następnie Owen u tak młodych okazów dostrzegł mały guziczek pomiędzy nozdrzami położony, oczywiście odpowiadający takiemuż guziczkowi u płodu żmii, żółwi i niektórych ptaków (wodnych i kurowatych), gdzie służy do rozcinania miękkiéj, lub do kruszenia twardéj skorupy jajowéj. Guziczek jest utworem znikomym, albowiem u nieco starszych osobników wcale go nie ma. Obecność guziczka nie sprzeciwia się jajo-żyworodności, bo istnieje on u żmii, która rozmnaża się w ten mianowicie sposób.

Powaga imienia Owena, zdobyta genialnym umysłem i niezmordowaną pracą, rzuciła zupełny cień na innych badaczy, pracujących nad tym samym przedmiotem i mało, może nawet zamało zwracano uwagi na zdania przeciwne. Nawet nie uwzględniano tak stanowczego spostrzeżenia, jak ogłoszone 24 września 1864 r. w „Illustrated Melbourne Post“ i następnego roku powtórzone w dzienniku „Zoologist“, które w tłómaczeniu brzmi jak następuje:

Jajka dziobaka.

„Mniéj więcéj przed miesiącem schwytano dziobaka (*Ornithorhynchus paradoxus*), który znajduje się w posiadaniu p. Rumley, poborcy złota w Woods Points. Dziobak złożył dwa jajka, które były białe, miękkie i bez skorupy. Wielka szkoda że nie było sposobności bliżéj je rozpatrzéć, albowiem zostały wyrzucone wkrótce po złożeniu. Dotychczas pytanie, czy ta niezwykła istota łącząca ptaki ze ssącemi wydaje żywe potomstwo lub znosi jajka, było przedmiotem sporu pomiędzy naturalistami. Obecnie należy uważać je za rozwiązane:“

To nadzwyczaj ważne zawiadomienie dopiero w styczniu r. b. odgrzebano, gdy świeże spostrzeżenia zwróciły na ten przedmiot szczególną uwagę.

* *
*

W końcu roku zeszłego z Australii do Europy przybyła wiadodomość o stanowczém i niewątpliwém sprawdzeniu jajorodności kolczatki i dziobaka; co dziwniejsza, odkrycie zostało dokonane prawie jednocześnie, bo z różnicą kilku zaledwie dni, przez dwóch badaczy, którzy wzajemnie o sobie nie wiedzieli. Dr. Wilhelm Haacke, ówczesny dyrektor południowo-australskiego muzeum w Adelajdzie, odkrył jajko kolczatki d. 25 sierpnia r. z. a w cztery dni późniéj W. H. Caldwell, przebywający w Queensland, zawiadomił o jajorodności i dziobaka i kolczatki.

Dr. Haacke otrzymawszy parę żywych kolczatek po niejakiem ich oswojeniu przedsięwziął oględziny torby sutkowéj samicy, przyczem w torbie znalazł jajko długie koło dwóch centimetrów, pokryte, podobnie jak jajka gadów, pargaminową skorupką. Na nieszczęście zawartość znajdowała się w stanie rozkładu i skorupka pękła pod uciskiem palcy (*Zoologischer Anzeiger*, 1 grudnia 1884 r. N. 182, str. 647).

P. Caldwell, wychowaniec uniwersytetu w Cambridge otrzymał od Towarzystwa Brytańskiego (British Association) stypendyum dla odbycia podróży naukowéj, z poleceniem zbadania historyi rozwoju jednootwornych i dokładniejszego wyjaśnienia historyi zadziwiającéj ryby *Ceratodus*, posiadającéj i skrzela i płuca, która z jednéj wody do drugiéj przechodzi po suchym lądzie. P. Caldwell przybył do Australii 1883 r. Swoje odkrycie streszcza on w liście do wydawcy „Sydney Herald“ z d. 16 września 1884 r.

„Panie, posyłam panu następujące zawiadomienie w przekonaniu, że obudzi ono zajęcie niektórych czytelników pańskiego pisma.

Embryologia jednootwornych: *Ornithorhynchus* i *Echidna*, pospolicie zwanych dziobakiem i kolczatką, dotychczas wcale nie jest znana. Według saméj tylko ich budowy było prawdopodobném że znajomość ich rozwoju dostarczy ważnych rezultatów. Sprawdziło się to w wyższym daleko stopniu aniżeli przewidywałem. Obie formy są jajorodne. Jajka zawierają znaczną ilość żółtka odżywczego, a zatém przewężanie jest tylko częściowém (typ meroblastyczny). Jajka zostają złożone w stanie rozwojowym odpowiadającym stanowi 30 godzinnego płodu kurczęcia; są one okryte tęgą, giętką, białą skorupą; ich dłuższa średnica wynosi koło $^3/_4$ cala, a krótsza $^1/_2$ cala (angielskiego)."

„*Ornithorhynchus* składa na raz dwa takie jajka, gdy tymczasem *Echidna* składa jedno tylko. Pierwszy umieszcza jajka w gnieździe na końcu jednéj z nor, druga nosi jajko w podbrzusznéj torbie sutkowéj. Zebrałem już większą część stanów rozwojowych i spodziewam się otrzymać w ciągu obecnéj pory lęgowéj wystarczającą ich ilość." (*Annals and Magazine of Natural History*. Serya V, tom 14, grudzień 1884 r. str. 375).

Dr. Bennet, zamieszkały w Sydney, przesłał powyższy wyjątek z gazety australskiéj profesorowi Owenowi, który dołączył go do ostatniéj swéj pracy o jednootwornych, a mianowicie o kolczatce. Tak więc dwaj badacze, którzy utrwalili przekonania o wydawaniu przez jednotworne żywego potomstwa, z całą bezstronnością rzeczywistych miłośników prawdy pośpieszyli rozpowszechnić w Europie wiadomość stanowczo zbijającą ich długo pielęgnowane przekonanie, oparte na starannych, lecz, jak się pokazuje, niewystarczających spostrzeżeniach. Prof. Owen bez ogródki wyraża radość z powodu, że mu zostało dozwoloném doczekać rozwiązania zagadnienia biologicznego, które uważał za rozstrzygnięte od czasu gdy 1832 r. ogłosił pierwszą swą pracę o dziobaku (*Philosophical Transactions*).

Płód kurzy w pierwszéj połowie drugiego dnia, któremu mniéj więcéj pod względem rozwoju odpowiada zarodek jednootwornych zawarty w zniesioném jajku, posiada rurkę nerwową w znacznéj części z przodu zamkniętą, oraz w przednim końcu rozszerzoną jako pierwszy pęcherz mózgowy. Rozwijające się kurczę posiada w tym wieku rurkowate serce, oraz główne naczynia krwionośne, jako też zawiązki przewodów Wolffa, czyli przewodów pierwotnych nerek. Głowa jest w tym czasie ogromna, bo zajmuje blisko trzecią część długości całego zarodka.

Gniazdo dziobaka pierwszy opisał Bennet jako nagromadzenie suchéj trawy i chwastów spotykane w czasie wydawania potomstwa.

Torby kolczatki znamy z opisów Owena, według którego z każdéj strony brzucha istnieje u samicy wpuklenie skóry ½ cala głębokie, na dnie którego znajdują się ujścia gruczołów mlecznych. Ze spostrzeżeń Owena wynika, że torby są utworem czasowym, rozwijającym się w epoce płodzenia, gdy się powiększają gruczoły mleczne, co téż późniejsze spostrzeżenia o tyle potwierdziły, że chwilowe istnienie toreb jest rzeczą co najmniéj nader prawdopodobną. Haacke potwierdzając spostrzeżenia Owena w tém jednak pozostaje z nim w sprzeczności, że znalazł u kolczatki jedną tylko, nieparzystą torbę. Owenowi wiadomem było, że młoda, świeżo na świat wyszła kolczatka gnieździ się w torbie matki zanurzywszy w niéj głowę i przyczepiwszy się wcześnie rozwiniętemi pazurami.

* * *

Określenie stanowiska jednootwornych w układzie zwierząt nie przedstawia teraz żadnych trudności. Od innych zwierząt ssących wyróżniają się one następującemi znamionami.

W budowie skieletu przedstawiają właściwości, któremi zbliżają się przedewszystkiém do gadów, w części do ptaków, mianowicie zaś: drugi kręg szyjowy oraz żeberka szyjowe są podobnie jak u gadów zbudowane. Łopatka łączy się z mostkiem dwiema kośćmi: obojczykiem, który istnieje u człowieka i wielu ssących, oraz szeroką kością kruczą, zbudowaną podobnie jak u gadów, która u innych ssących przedstawia się jako bardzo krótki wyrostek tego samego nazwiska. Pomiędzy obojczykami i mostkiem znajduje się kostka w kształcie litery T, któréj inne ssące nie posiadają, ale jest ona w podobny sposób rozwinięta u gadów. Panewki kości biodrowych, służące do pomieszczenia główek kości udowych, są na dnie przedziurawione, podobnie jak u ptaków i krokodylów.

Mózgowie pod tym względem jest podobne do mózgowia gadów, że półkole mózgu wcale móżdżku nie zakrywają, a łączące je spoidło wielkie (*corpus callosum*) nadzwyczaj jest małe.

Ślimak ucha nie jest skręcony, jak to ma miejsce u innych ssących, a strzemię nie jest przedziurawione.

Jak widzieliśmy, jednootworne posiadają stek, podobnie jak ptaki, gady, ziemnowodne i niektóre ryby.

Jajka są duże i wystają na powierzchni jajników, czego nie spostrzegamy u innych ssących, lecz spotykamy u ptaków i gadów.

Wreszcie, jajka są zbudowane podobnie jak u gadów i bardzo wcześnie zostają zniesione, poczem rozwijają się po za organizmem matki.

Z drugiéj znowu strony jednootworne są do innych ssących podobne albowiem mają gruczoły mleczne, są pokryte siercią, ich szczęka dolna bezpośrednio styka się z czaszką (nie ma kości kwadratowéj).

Biorąc pod uwagę wykazane podobieństwa jednootwornych do ssących i do gadów oraz ptaków, najwłaściwiéj uczynimy pozostawiając je w gromadzie ssących jako odrębną podgromadą, stanowiącą przejście do wymienionych dwóch pozostałych gromad. Workowate, jako pozbawione łożyska, a zatém jajo-żyworodne, oraz pod względem budowy mózgu zbliżone do jednootwornych, utworzyć winny drugą podgromadę, a wszystkie inne ssące będą wówczas stanowiły trzecią podgromadę jako w ścisłém znaczeniu żyworodne i pod każdym względem wyższéj organizacyi. Jedném słowem, po 70 blisko latach usilnéj pracy wielu utalentowanych badaczy przychodzimy do wniosku, że de Blainville słusznie podzielił gromadę ssących na trzy wiadome nam podgromady. Cały zasób wiedzy i doświadczenia zebrany przez te 70 lat świetném jest potwierdzeniem idei francuskiego anatoma, który opierając się na bardzo szczupłym zapasie faktów odgadł rzeczywiste pokrewieństwo rozmaitych skupień zwierząt ssących, którego nie mógł należycie dowieść.

August Wrześniowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Biblioteka matematyczno-fizyczna. Serya III. Arytmetyka przez M. A. Baranieckiego, 1884.

W zamierzoném na szeroką skalę wydawnictwie: *Biblioteka matematyczno - fizyczna*—trzy razy spotykamy się z arytmetyką. W seryi pierwszéj, przeznaczonéj dla dzieci, mamy: *początki arytmetyki*, które już wyszły z druku, napisane przez p. Berkmana. Nie wdając się w ocenę téj książki zaznaczymy tu tylko, że jest to przewodnik dla uczącego, obejmujący zakres liczb od 1 do 10.000.

W seryi II-éj spotykamy znowu *arytmetykę*, którą pisać ma tenże sam p. Berkman. Nie można naturalnie przesądzać o książce, która dopiero wyjść ma z druku, ale jeżeli taka książka występuje w całym szeregu jednolitego wydawnictwa, można mniéj więcéj zdać sobie sprawę, co i jak powinno w niéj być traktowane. Otóż rozglądając się w seryi II widzimy, że nie można jéj odnieść do idealnie nawet rozwiniętéj szkoły elementarnéj, ludowéj: jest to zakres wyższych szkół miejskich, zakładów naukowych żeńskich,—arytmetyka więc w téj seryi powinna już objąć całość przedmiotu i być taką, jak arytmetyka dla klas niższych gimnazyalnych. Nadto, jeżeli-by ta arytmetyka była także przewodnikiem dla uczącego, powinny by obok niéj wyjść w oddzielnéj książce zadania arytmetyczne,—jeżeliby zaś zawierała tylko sam wykład, tj. była książką dla ucznia, to w niéj saméj powinny-by się znaleść zadania w dostatecznéj ilości. W każdym razie, w seryi II koniecznie powinniśmy znaleść obszerny zbiór zadań arytmetycznych, a tymczasem występują one jako tom II-gi seryi III-éj, dopełniający tom I téjże seryi: *arytmetykę teoretyczną*.

Obok takiego zupełnego wykładu *arytmetyki*, że tak powiém, *praktycznéj z zadaniami*, jaki z natury rzeczy powinien znaleść się w seryi II, było-by jeszcze miejsce dla arytmetyki *teoretycznéj*, ale już *bez zadań* w seryi III, odpowiadającéj, a właściwie mówiąc, przechodzącéj zakres gimnazyów i szkół realnych,—ale powinna-by to być istotnie arytmetyka teoretyczna, tj. stająca odrazu na ściślejszym gruncie, zajmująca się uogólnieniami i używająca wszędzie, gdzie to jest dogodne, znaków ogólnych. Taka książka może po części dać wskazówki nauczycielowi powtarzającemu arytmetykę w końcu kursu gimnazyalnego, po części przydać się uczniowi kończącemu szkołę, a zamierzającemu obrać sobie zawód z matematyką związany: w każdym razie wykład w niéj powinien być zwięzły i treściwy, bo czytać ją będzie tylko taki, którego umysł przywykł już do ścisłych rozumowań ogólnych. Tymczasem, gdy wyszła arytmetyka seryi III, napisana przez samego redaktora biblioteki, p. Baranieckiego, dostaliśmy ogromny tom, przeszło 400 stronic formatu ósemki, i spostrzegliśmy odrazu, że to kurs bardzo mało teoretyczny, w którym przy końcu każdego prawie § autor odsyła do odpowiedniego § zadań (nie wydanych jeszcze), przesadnie unika znaków ogólnych,—tak, że ze względu na ogólny charakter téj książki wypada ją cofnąć do seryi II. W takim zaś razie, mimowolnie nasuwa się przypuszczenie, czy i arytmetyki seryi II nie wypadnie cofnąć do seryi I, jako uzupełnienie kursu elementarnego, zaczętego w *początkach arytmetyki*.

Z tego już wnosić można, że redakcya nie miała jasno zakreślonego planu, przynajmniéj co się arytmetyki tyczy, a jeszcze wyraźniéj ujrzymy to, zająwszy się szczegółowym rozbiorem arytmetyki p. Baranieckiego.

Opiszemy najpierw zewnętrzną stronę téj książki. Dzieli się ona na *rozdziały*, to znowuż na obszerne *paragrafy*, składające się z *ustępów*. Drukowaną jest dwojakiemi czcionkami: większemi i mniejszemi i zawiera dwojakiego rodzaju odsyłacze: gwiazdkowe, odnoszące się do miejsc drukowanych większemi czcionkami i liczbowe, odnoszące się do miejsc drukowanych mniejszemi, albo też zawierające przypiski dydaktyczne.

Z przedmów do téj książki (bo jest ich dwie,—jedna ogólna od redakcyi, druga już osobiście od autora) dowiadujemy się, że to co jest w niéj drukowane większemi czcionkami, wraz z odsyłaczami gwiazdkowemi ma służyć za wzór dla nauczyciela w prowadzeniu wykładu, a zarazem jako książka do czytania dla ucznia przy pierwszém powtarzaniu kursu, ku czemu proponuje nawet autor drugie wydanie, zawierające tylko te miejsca. Nie bez pewnego przycisku

musimy się tu zapytać, czy dwa tak różne cele dają się z sobą połączyć? Nauczyciel w wykładzie trzymając się metody indukcyjnéj (jak tego zresztą chce sam autor), przez odpowiednio dobrane przykłady wyrabia i ugruntowuje w uczniach nowe pojęcia,—uczeń powtarzając kurs, ma już pojęcia gotowe, i nie podobna go zmuszać, aby szczegółowo sobie przypominał, jaką drogą do nich dochodził.

Miejsca drukowane czcionkami mniejszemi „częściowo powinny, a częściowo mogą być uwzględniane przy powtarzaniu kursu arytmetyki przed egzaminem dojrzałości, jako też przy przygotowaniach do egzaminów nauczycielskich" (przedmowa I). Gdyby więc było to drugie wydanie, wypadło-by, że uczeń powinien-by oba nabywać.

W obecném wydaniu miejsca drukowane małemi czcionkami nie tworzą oddzielnych choć-by §§, ale są tak rozrzucone, że nawet w ciągu jednego ustępu, zaczętego większemi czcionkami, występuje kilka wierszy mniejszemi, a potém znów daléj większemi. Podobnie mozajkowe drukowanie ujdzie w jakiéjś geografii, ale w książce matematycznéj, gdzie chodzi o ciąg rozumowania, pierwszy to chyba raz zostało przeprowadzone,—miejmy nadzieję, że i raz ostatni.

Przystępując do rozbioru téj książki pod względem treści i mając na uwadze podwójny cel tego nawet, co jest drukowane większemi czcionkami, zawahać się można z jakiego stanowiska na nią się zapatrywać, czy jako na przewodnik dla uczącego, czy jako na książkę dla ucznia? Ze względu jednak, że autor nie opowiada w niéj jak postępować z uczniami, ale traktuje sam przedmiot, a tylko w kilku miejscach w odsyłaczach robi dydaktyczne uwagi, wypadnie zapatrywać się na nią, jako na kurs, który uczeń *przy pierwszém powtarzaniu* odczytywać powinien. Otóż tu przedewszystkiém powiedzieć musimy, że książki téj takiemu uczniowi w żaden sposób do ręki dać nie można: zgubił-by się on w jéj ogromie, pojedyńczych ustępów nie zrozumiał-by z powodu rozwlekłego, wodnistego, a czasami oszołomiającego wykładu, z powodu obszernych, a dziwnie ciężko ukutych definicyj. Takie są bowiem charakterystyczne cechy książki p. Baranieckiego: im to zawdzięczać możemy, że obdarzył on literaturę naszą, *tak obszerną* arytmetyką, jaką się żadna inna literatura pochlubić nie może, szczególniéj jeżeli uwzględnimy szczupły stosunkowo zakres co do treści (1). Dziwną ironią losu do niego zwrócić trzeba własne jego zdanie, pomieszczone w XII

(1) Autor zupełnie nie mówi o podnoszeniu do potęg, o wyciąganiu pierwiastków, nawet rzecz o działaniach skróconych traktuje nie wyczerpująco.

tomie pamiętnika towarzystwa nauk ścisłych, w ocenie algiebry Niewęgłowskiego: „Jakby było się z czego chlubić: z wielkich rozmiarów! Owszém, wprost przeciwnie: w niewielkich stosunkowo rozmiarach zdołać jasno wyłożyć dobrze uporządkowaną treść—oto założenie piszącego podręcznik elementarny. Już sam wielki rozmiar chybia założeniu takiego podręcznika. A gdy się jeszcze w tych rozmiarach mieści wielce ciemny wykład, co wtedy?“

Zarzuty postawione książce p. Baranieckiego najłatwiéj byłoby udowodnić zacytowaniem jakichś kilku obszerniejszych ustępów; ze względu jednak, że zajęło-by to zbyt wiele miejsca, musimy tu poprzestać tylko na ogólnych wskazówkach w opowiadaniu treści, ale każdego odesłać możemy do saméj książki, radząc mu odczytać którykolwiek z paragrafów na pierwszych trzystu stonicach, pod koniec bowiem książki autor był już mniéj rozwlekłym. Przystępujemy teraz do szczegółowego przeglądu téj książki, przyczém winniśmy uprzedzić, że z jednéj strony obszerność dzieła, a z drugiéj stanowisko, na jakiém sam autor postawił się w przedmowie, gdzie mówi o nielicznych korzyściach, osiągniętych z przeglądania innych podręczników, o własnych obmyślaniach, wspomina kilkakrotnie o swojéj praktyce pedagogicznéj,—tak jedno jak drugie daje nam prawo do większych wymagań i upoważnia do surowszego sądu. Z tego też względu nie uniewinnia p. Baranieckiego ta okoliczność, że *niektóre* z usterek i braków, które wytkniemy, znaleść można i u innych autorów,—ci inni nie przemawiali w ten sposób w swoich przedmowach.

Rozdział I, traktujący o liczeniu, jest jednym z lepszych w téj książce, znajdujemy tu dobre określenie arytmetyki, słusznie bardzo w drobnym druku pomieszczone, i zwrócilibyśmy uwagę, że i takie określenia, jak np. „jedność jest to wynik z wymierzenia pewnego przedmiotu drugim takim samym“, powinny-by także należéć do ustępów drobnym drukiem. W każdym razie, nie mówiąc już o rozwlekłości, rozdział ten w skutek swego zbyt filozoficznego charakteru nie nadaje się nawet jako wskazówka w nauczaniu, a tém bardziéj nie może być przez małych uczniów czytany. Nie bardzo udało się autorowi objaśnianie pisania liczb, pozwolimy sobie nawet przytoczyć ten ustęp, bo choć nie jest szczególnie charakterystycznym, ale jest krótką w sobie całością i daje pojęcie o sposobie pisania autora. Na stronicy 19 czytamy:

„Gdy mamy większą liczbę, np. pięćdziesiąt sześć, czyli 5 dziesiątków i 6 jedności, to aby ją napisać, wypadało-by postawić cyfrę 5, rozumiejąc, że ona ma nam przedstawić dziesiątki zawarte w naszéj liczbie, a prócz tego cyfrę 6, jako przedstawienie pozostałych jedności. Gdy te dwie cyfry napiszemy obok siebie w takim po

rządku, w jakim one były w wyrażeniu:—5 dziesiątków 6 jedności— tj. gdy napiszemy — 56, — i gdy to zestawimy z przedstawieniem liczby pięć (jedności) — 5, — to widzimy, że dla oznaczenia pięciu dziesiątków, możemy używać téj saméj cyfry 5, co dla oznaczenia pięciu jedności, byle ją postawić tak, w liczbie — 56, — tj. na miejscu drugim, licząc miejsca od strony prawéj".

Podobne rozumowanie, czy też opowiadanie (bo nie wiemy jak to nazwać), ciągnie się na stronicy 20 i 21, a u dołu téj 21 zaczyna się ustęp:

„Gdy zestawimy ze sobą np. liczby: — 3524 — 18046 — 495 — 524087—to widzimy, że w każdą z nich wchodzi cyfra 4, ale w pierwszéj oznacza 4 jedności, w drugiéj 4 dziesiątki, w trzeciéj 4 setki itd., tj. że *wartość części liczby, przedstawionéj przez cyfrę, zależy od miejsca, na którym ta cyfra jest postawiona*".

Ostatni ustępik jest dla autora bardzo ważny, skoro dopiero z niego wyciąga autor zasadę pisania liczb, zamiast postawić ją o trzy stronice wyżéj przed pisaniem 56,—ale bezwzględnie biorąc razi on trochę w arytmetyce teoretycznéj, prędzéj by uszedł w podręczniku dla samouczków. Dodatkowym sposobem zanotujemy tu pretensyą do autora, że mówiąc o systemacie liczenia, opartym na liczbie 11, tak wyrobionym, że są w nim oddzielne nazwy dla liczb 121, 133., nie wskazuje w odsyłaczu szczegółowo źródeł skąd tę wiadomość zaczerpnął (1), bez wyraźnych dowodów nie chce się mimowolnie w to uwierzyć.

W rozdziałe II mówi autor o dodawaniu liczb całkowitych na 15 stronicach, i o odejmowaniu na drugich 15. Zadziwić się tu można, jakim sposobem starczyło mu na to materyału? Mniéj więcéj takim: Dowodowi téj prawdy, że suma nie zależy od porządku składników, autor poświęca całych 6 stronic (str. 29—35), z których 5 większego druku, a jedna drobnego: na niéj zaś spotykamy się z takiemi twierdzeniami: suma nie zmienia się gdy zmieniamy porządek dwu jéj pierwszych składników.... dwu ostatnich... dwu którychkolwiek sąsiednich... itp.

Dla czego autor wybrał taki sposób dowodzenia téj prawdy, która przy najściślejszym traktowaniu rzeczy dowodzi się przez rozkład składników na jedności, które późniéj rozmaicie grupujemy,— tego odgadnąć nie podobna.

Objaśnia daléj autor dodawanie liczb i na *pięciu* oddzielnych przykładach wypisuje tego rodzaju sztuki łamane:

---

(1) Jest wprawdzie odsyłacz, ale ogólnikowy i odnoszący się do całego ustępu.

$365+7497+966=300+60+5+7000+400+90+7+900+60+6=$
$=7000+(300+400+900)+(60+90+60)+(5+7+6)=$
$=7000+1600+210+18=$
$=(7000+1000)+(600+200)+(10+10)+8=$
$=8000+800+20+8=8828.$

Czyż nie umiejący dodawać nauczy się z podobnego objaśnienia, a umiejący, czyż zechce pięć razy nad podobnemi przekształceniami się zastanawiać lub je przerabiać? jeżeli zaś ucznia zmusimy do tego, jaka stąd korzyść? czyż to w ten sposób kształci się ścisłe myślenie?

Ale za to, jak drobiazgowo autor zajmuje się kwestyą, kiedyby można, a kiedy nie wykonywać dodawanie i odejmowanie, poczynając od ręki lewéj: nawet na elementarz dla samouczków, byłoby tych objaśnień za wiele.

Wspomnieliśmy już powyżéj, że autor lubuje się w ciężko ukutych definicyach, z zasady jakiéjś nadmiernéj ścisłości,—z drugiéj jednak strony pozwala sobie najgrubszych nieścisłości, takich, które staranny nauczyciel w opowiadaniu ucznia poprawia. I tak np. wypowiadając w 13 wierszach (str. 52) ostateczne prawidło odejmowania, zaczyna je autor od słów: „aby dwie liczby odjąć *od siebie*“ (?!). Nawiasowo dodamy, że podobnież (str. 112) zaczyna się ostateczne prawidło dzielenia: „aby podzielić dane liczby *przez siebie*“. Szczególnym także sposobem autor wysławia własności reszty z odejmowania (str. 45): „Jeżeli do odjemnéj dodajemy pewną liczbę, to *wypadnie* do reszty dodać“. Gdyby autor powiedział: to reszta wypadnie o tę liczbę powiększona, byłby jeszcze w porządku, ale w tym sensie co u autora nie zdarzyło nam się jeszcze spotkać słowa „wypadnie“ w prawdach matematycznych. Razi także, gdy autor w ustępie 16 (str. 54). przystępując do odejmowania liczb mianowanych prostych, ucieka się do wzoru:

odjemna = odjemnikowi + reszcie,

i odwołuje się do ustępu 18 (str. 41), a stamtąd znowuż do określenia liczby, ażeby wypowiedzieć tę tylko prostą prawdę: że odjemna i odjemnik powinny być jednogatunkowe, i że reszta będzie tego samego gatunku. Ten metafizyczny fanatyzm ścisłości już-by prędzéj uszedł w drobnym druku.

Rozdział III na 63 stronicach traktuje o mnożeniu i dzieleniu liczb całkowitych. Tu dopiero autor sypie jak z rogu obfitości objaśnienia trudnych i zawiłych kwestyj mnożenia przez liczbę jednocyfrową. Najpierw cała prawie stronica poświęcona braniu 6 złotych 4 razy, przyczém autor powiada: „za pomocą mnożenia krócéj wykonywamy dodawanie jednakowych składników“. Zdawało-by się,

że to już kwestya skończona, tymczasem spotykamy jeszcze napomknienia o tém razy kilka, a w ustępie 18 (str. 68 i 69) autor pokazuje, że mnożeniem 692 przez 4 zastępujemy dodawanie, które notabene wypisane jest w całéj rozciągłości; toż samo zupełnie powtarza przy mnożeniu 740593 przez 5, a wątpiąc, czy czytelnik dokładnie to pojął, na stronicach 70 i 71 przez całe prawie dwie stronice rozbiera znów kwestyą mnożenia 697 (już nie 692) przez 4!

Daléj o mnożeniu przez cyfrę znaczącą z zerami mamy pół trzeciéj stronicy, przyczém zabawia nas autor takiemi wypisywaniami (str. 72):

„ $30568 = 3 \times 10000 + 5 \times 100 + 6 \times 10 + 8$
$30568 = 3 \times 10 \times 10 \times 10 \times 10 + 5 \times 10 \times 10 + 6 \times 10 + 8$
albo jeszcze (na mocy ustępu 3):
$30568 = 3 \times 10000 + 5 \times 100 + 6 \times 10 + 8 \times 1$
$30568 = 3 \times 10 \times 10 \times 10 \times 10 + 5 \times 10 \times 10 + 6 \times 10 + 8 \times 1$“.

Przeglądającemu to, mimowoli wyrywa się wykrzyk: dla kogo! po co! to pisane?

Jako nowość pedagogiczną zanotować tu musiemy, że autor w ustępie 27 radzi wyrabiać w uczniach podwójny mechanizm przy mnożeniu; w tém nie znajdzie chyba naśladowców.

Nie możemy także pojąć, co tu znaczy ten pięciostronicowy ustęp o kątach, kwadratach, prostokątach, sześcianach i „sześciościanach, które nie są sześcianami“? Miejscem na to odpowiedniém jest tom V seryi I (1),—w kursie arytmetyki popularnym dla samouczków, służyć-by to mogło jako wstęp do miar kwadratowych i sześciennych, ale skąd to zostało przyczepione do mnożenia? Niesystematyczności w układzie książki dowodzi także pomieszczenie przy mnożeniu przemiany liczb napisanych w innym systemacie na systemat dziesiątkowy, a następnie o 30 stronic daléj, przy dzieleniu rozwiązywanie zadania odwrotnego. Oba te ustępy powinny były być pomieszczone razem drobnym drukiem w rozdziale I, traktującym o liczeniu.

Przystępując do dzielenia autor najpierw na pięciu stronicach objaśnia co to jest dzielenie w wypadku dzielenia zupełnego, tj. bez reszty, wciąż prawie zajmując się jednym przykładem 24 zł. przez 4 i 24 zł. przez 6 zł. i dopiero na str. 94, w odsyłaczu, ale nie gwiazdkowym (a więc takim, który autor zamierza opuścić przy powtórném wydaniu), cytuje 12 wierszy, traktujących o téjże kwestyi, a wyjętych z arytmetyki dla szkół narodowych, które doskonale całe te

---

(1) O najprostszych figurach geometrycznych.

pięć stronic mogą zastąpić, i które odczytując, czytelnik, znużony i oszołomiony poprzedzającemi wywodami autora, jakoś swobodniéj oddycha. Wyrozumiawszy ostatecznie, co autor chciał w téj gmatwaninie rozumowań, pomocniczych określeń i prawideł powiedzieć, nie możemy się na jego wywody zgodzić. Autor chce koniecznie uważać dzielenie tylko jako działanie odwrotne mnożeniu, co odpowiednie jest w algiebrze w obec sztucznych koncepcyj: jednomianów, wielomianów,—ale niedopuszczalne w arytmetyce przy rozwiązywaniu zadań, szczególniéj z liczbami mianowanemi, tu bowiem każde działanie odpowiada pewnym konkretnym faktom życiowym. Dzielimy pewną wielkość na kilka części równych, nie myśląc o jakiémś uprzedniém mnożeniu,—innym razem pytamy się, ile razy pewna wielkość mieści się w innéj, i żądamy całkowitego wypadku jako odpowiedzi: tu więc nawet *nie mogło* być uprzedniego mnożenia.

Autor wystąpił tu jako przeciwnik rozróżniania właściwego dzielenia i mieszczenia się, w skutek tego bardzo nieskładnie wypada przerozumowanie (ust. 10) dzielenia 22 zł. przez 4 zł., a gdyby autor w obszernéj swéj książce więcéj był dał wskazówek rozwiązywania zadań, byłby się przekonał, że bez *mieszczenia się* właściwie pojętego, natrafia się co krok na trudności tego właśnie rodzaju.

Autor w ogólności nie jasno postawił kwestyą ilorazu niezupełnego, nie dając mu żadnego konkretnego znaczenia, określanego tu jako: „liczbę posiadającą tę cechę, że iloczyn jéj i dzielnika jest mniejszy od dzielnéj, a jednocześnie iloczyn téj liczby powiększonéj o jedność i dzielnika, byłby już większy od dzielnéj“,— ale późniéj na str. 269 bez żadnych dopełnień w tém określeniu uważa liczbę 42,86 za iloraz nie zupełny, co jest jakby wskazówką, że ten iloraz nie koniecznie potrzebuje być całkowity. Nawiasowo dodamy tu, że pomieszczenie w jednym ustępie określenia ilorazu niezupełnego i dowodu, że każda liczba jest podzielną przez samą siebie i przez jedność, jest rażące, szczególniéj przy tak szczodréj numeracyi ustępów.

Pomimo tak obszernego traktowania rzeczy, autor ani na jednym przykładzie nie objaśnił dzielenia w sposób naturalny, tj. ten, w którym nazywa się rząd kolejno dzielonych jednostek, które potém w reszcie zamienia się na jednostki rzędu niższego: woli on sposób wykładany na stronicach od 102 do 112, które radzimy przerzucić temu, kto jeszcze nie powziął z naszych wzmianek pojęcia o rozwlekłości, z jaką autor pisze: szczególniéj początek, w którym autor na 3 stronicach objaśnia dzielenie 25438 przez 6, można nazwać pod tym względem klasycznym.

Nie mówi także autor o zmianach ilorazu przy powiększeniu lub zmniejszeniu tylko dzielnéj lub dzielnika w wypadkach dzielenia zresztą: czego tém bardziéj żałować należy, że uważniejsze zbadanie tych przypadków uchroniło-by go zapewne od ważnego opuszczenia, które już na błąd zakrawa: w ustępie 21, mówiąc o próbie dzielenia przez dzielenie, stosuje to i do dzieleń nie zupełnych bez żadnych zastrzeżeń. Ładnie wypadła autorowi próba, gdy ilorazem było 25, a resztą 14,—ale co by było w wypadku odwrotnym?

Zwrócimy tu jeszcze uwagę, że prawda tak elementarna, jak zastąpienie dzielenia przez 12, dzieleniami przez 3 i 4 powinna-by koniecznie znaleść miejsce w większym druku (str. 100), i że w obec półstronicowego prawidła o dzieleniu liczb, zbyteczna dążność do zwięzłości podyktowała autorowi prawidło: „w ilorazie otrzymujemy tyle cyfr, o ile jest ich więcéj w dzielnéj niż w dzielniku, albo o jednę więcéj“.

Rozpisaliśmy się tak obszernie nad początkowymi rozdziałami téj książki, aby dać pojęcie o sposobie pisania autora, i uzasadnić tém powyżéj wypowiedziany sąd, że książka ta nie może być daną uczącym się do ręki i w ogólności do żadnego dydaktycznego użytku się nie nadaje. Nie dotykając już więcéj téj kwestyi, w przeglądzie następnych rozdziałów będziemy, o ile możności, zwięzłymi.

W rozdziale IV autor mówi o miarach i o działaniach nad liczbami wielorakiemi. § 8 o miarach jest bezwarunkowo cennym ustępem téj książki, szkoda tylko, że autor nie opracował podobnież rzeczy o monetach: nie ma o nich wzmianki ani tu, ani daléj, np. przy regule łańcuhowéj. Następne cztery §§ traktują o działaniach z liczbami wielorakiemi, ale tylko w najprostszych przypadkach: wskazówek do rozwiązywania zadań choć-by typowych, ale bardziéj złożonych, nie znajdujemy. Rażą tu zestawienia np. takie: kilogramy, gramy, milligramy. Obszerniéj rozwodzi się autor nad tak zwanemi zadaniami czasu, ale zamiast podać tu realny sposób obliczania, usiłuje poprawić stary, scholastyczny sposób, w którym czas upłyniony upodobniony jest do liczby wielorakiéj,—co dosyć niezręcznie wypada.

W rozdziałe V mówi autor o podzielności liczb: dużo tu materyału, ale układ dziwnie chaotyczny i sposób traktowania rzeczy razi niekonsekwencyą. Autor nie chce uprościć sobie wykładu przez wprowedzenie potęg,—nawet w ustępach drobnym drukiem z początku unika znaków ogólnych, ze szkodą naturalnie dobitności dowodów, a potém nagle na str. 170 daje wzór ogólny z bardzo zawiłém znakowaniem. Z okazyi tego wzoru musimy zwrócić uwagę, że poszukiwanie za pomocą niego (notabene *daremne*) cech

podzielności przez 6 i 12 wygląda trochę śmiesznie,— a używanie symbolu $C_3 C_2 C_1$ dla oznaczenia liczby trzycyfrowéj w środku wywodów algiebraicznych jest licencyą, chyba niedopuszczalną.

Musimy tu także zwrócić uwagę na ustęp 5 (str. 183), w którym autor w większym druku chce wyrozumować sposób znajdowania dzielników liczby. Rozumowanie to jest jednym z takich ustępów, które upoważniają sprawozdawcę do nazwania téj książki „oszołomiająco napisaną,“—a nadto staje się ono istotnym dowodem (dla tego, kto je ostatecznie zrozumie) wtedy dopiero, gdy uwzględni się ustęp 3, pomieszczony małym drukiem. Autor wprawdzie wywinął się, odwołując się do tego ustępu przez odsełacz nie gwiazdkowy ale liczbowy, lecz w ten sposób ocalił tylko pozory.

Rozdział VI rozpoczyna autor od objaśnienia na 3 stronnicach powstawania ułamka $^3/_4$ łokcia. Zarzucić można temu rozdziałowi brak wszelkiego systematu w układzie i powtarzanie prawie identycznych rozumowań (np. str. 232, 3, 4, 5). Przy odejmowaniu ułamków autor ustawia przykłady w ten sposób:

a) $8^5/_6 - 3^5/_9$, *b*) $5^3/_8 - {}^3/_5$, *c*) $8 - 3^4/_7$, *d*) $9 - {}^7/_{16}$,—co dałoby się jeszcze pojąć, gdyby autor, uważając przypadek pierwszy, jako ogólny, ten tylko objaśnił, ale autor objaśnia każdy szczegółowo. Podobnież przy mnożeniu ułamków, najpierw mnoży autor 8 przez $^3/_4$, daléj napomyka o mnożeniu $2^3/_5$ przez $^3/_4$, a późniéj dopiero robi zwrot i rozpoczyna od $^5/_7 \times 4$.

Mnożenie kilku czynników autor objaśnia na dwóch stronnicach, ale ostatecznie nie pokazuje, jak je najlepiéj wykonać zaczynając od skróceń, a na dzielenie całkowitéj przez ułamek i ułamku przez ułamek podaje oddzielne, czysto-mechaniczne prawidła (str. 233 i 234), zupełnie zbyteczne, bo późniéj na str. 236 znajdujemy najprostsze ogólne prawidło, które dzielenie sprowadza do mnożenia.

Nie możemy się także zgodzić z autorem, na takie bezwzględne włączanie całkowitéj z ułamkiem przy mnożeniu i dzieleniu przez całkowitą: czego widocznie autor jest zwolennikiem, nie tylko bowiem nie podaje odnośnych prawideł, ale w swoich przykładach pisze:

$$8^2/_5\ c \times 3 = \frac{42 \times 3}{5} c \text{ (str. 230)}$$

$$76^1/_2 : 60 = \frac{153}{2} : 60 \text{ (str. 240).}$$

Nakoniec postawimy jeszcze pytanie, czy znajdzie się tak cierpliwy czytelnik, któryby odczytał to, co autor na str. 212 i 213 drobnym drukiem pomieścił.

Rozdział VII o liczbach dziesiętnych, jest już w zasadzie zepsuty założeniem autora, który postanowił traktować go tak, aby go czytać można było i przed rozdziałem o ułamkach zwyczajnych. Wskutek tego jest tu dużo powtórzeń z poprzedniego rozdziału a niema naturalnego logicznego ciągu. W nim także dziwnie już rażąco występuje zamiłowanie autora do sążnistych czysto mechanicznych prawideł: jako próbkę pozwolimy tu sobie przytoczyć dwa jeszcze najkrótsze (str. 251):

„Jeżeli dwie liczby [całkowite lub dziesiętne] mają początkowe cyfry na odpowiednich miejscach jednakowe, to ta z tych liczb jest większą, w której pierwsza (licząc od strony lewéj) z różnych od siebie cyfr przedstawia więcéj części liczby, oznaczonych na odpowiedniém miejscu.

Z tego (!) wypada że: zgrupowanie ilukolwiek i jakichkolwiek cyfr dziesiętnych na pewnych miejscach przedstawia mniejszą liczbę, niż cyfra 1 napisana na miejscu poprzedzającém to miejsce, na którém się znajduje pierwsza z owych cyfr."

Dodać winniśmy, że te prawidła drukowane są kursywą w większym druku, przedstawiają więc dla praktyki nauczania to, co uczeń na pamięć umieć powinien.

Zupełnie mechanicznie traktuje autor dzielenie, i również mechanicznemi kończy prawidłami (str. 272).

Znajdujemy tu także w drobnym druku rzecz o mnożeniu i dzieleniu skróconém, ale nie wyczerpująco traktowaną, przyczem autor wyłożony przez siebie sposób dzielenia niesłusznie nazywa sposobem Guy'ego.

Małych dwóch ustępów (6-y str. 263 i 9-y str. 274), zaczepiających o teoryą przybliżeń, rozbierać tu nie będziemy, bo to kwestya zbyt już specyalna, zaznaczyć jednak musimy, że są one z gorszącą niedbałością napisane.

Dodamy jeszcze, że ani w tym ani w następnym rozdziale, traktującym o zamianie ułamków, nie znajdujemy żadnych praktycznych wskazówek, tyczących się rozwiązywania zadań zawierających oba rodzaje ułamków, oraz otrzymywania wypadków przybliżonych w granicach czysto arytmetycznych;—autor i późniéj, przy regule procentu nie zajmuje się tém zupełnie, dobierając takie tylko przykłady, które w okrągłych liczbach wypadają.

W rozdziale IX autor mówi o stosunkach i proporcyach, przyczem słusznie bardzo dał odprawę tak zwanym stosunkom i proporcyom arytmetycznym. Na czele tego rozdziału autor postawił ścisłe wprawdzie ale za trudne dla uczniów określenie:

„Stosunkiem nazywamy wyrażenie liczby oderwanéj za pomocą dwu liczb, albo obu oderwanych, albo téż obu mianowanych jedno-

rodnych, z których pierwszą należałoby podzielić przez drugą, jeżelibyśmy chcieli ową liczbę wyznaczyć.“ Zarzuty, któreby można postawić temu rozdziałowi, są już bardziéj drobiazgowej natury i dlatego je pomijamy.

W ostatnim rozdziale X-ym znajdujemy najpierw rzecz o wielkościach proporcyonalnych, opracowaną, jak to autor w przypisku zaznacza, według arytmetyki Serret'a. Otóż paragraf ten, zupełnie odpowiedni do tak algiebraicznie traktowanéj arytmetyki, jak ją pisał Serret, jest nie na miejscu w arytmetyce p. Baranieckiego i zupełnie nie harmonizuje ani z tém co go poprzedza,—ani, co gorsza, z tém, co po nim następuje, a do czego on jest wstępem.

Gdy w poprzedzającym §, autor nie chciał oznaczać liczb literami, dla uogólnienia, a nawet ułatwienia wywodów,—tu staje odrazu na daleko wyższym stopniu ogólności, wprowadzając symbol na oznaczenie gatunku. Czytamy bowiem: „jakiekolwiek dwa stany, czyli dwie wartości wielkości A, nazwijmy A_1 i A_2.“

Po tak wyłożonéj teoryi wielkości proporcyonalnych, powinien z konieczności następować taki wykład reguł, jaki znajdujemy u Serret'a, tj. zaczynający rzecz od postawienia wzoru ogólnego,—autor tymczasem nawet po przykładach liczbowych nie stawia zadania ogólnego i wzoru nie podaje w regułach: złożonéj, proporcyonalnego podziału i mieszaniny. Tylko w regule procentu znajdujemy wzory, ale nie korzysta z nich autor przy rozwiązywaniu przykładów, tak że w wykładzie téj reguły niepodobna dopatrzéć się jakiegoś systematu.

Autor dużo mówiąc o regule złożonéj, nie podał głównéj jéj cechy, polegającéj na tém, że ilość szukana zależy *współcześnie* od innych, ale za to obdarował nas takiém określeniem reguły łańcuchowéj, jakie chyba jest i zostanie unikatem. Cytujemy je tutaj, bo ono może lepiéj charakteryzuje książkę, niż długie krytyczne wywody:

„W zadaniach takich mamy znaleść wartość pewnéj wielkości, odpowiadającą danéj wartości drugiéj wielkości, gdy drugie dane wartości tych wielkości nie przedstawiają pary odpowiadających sobie wartości, lecz są dwiema oddzielnemi ich wartościami, odpowiadającemi dwu danym wartościom innéj wielkości, lub téż dwu danym wartościom oddzielnym dwu różnych wielkości; w tym ostatnim razie mamy jeszcze dane albo parę odpowiadających sobie wartości tych dwu ostatnich wielkości, albo téż dwie ich oddzielne wartości, odpowiadające dwu danym wartościom ściom pewnéj innéj jeszcze wielkości, lub téż dwu danym wartościom oddzielnym dwu jeszcze innych wielkości; w tym ostatnim razie itd.; ostatecznie zaś, albo dane dwie wartości pewnych dwu wielkości sobie odpowiadają, albo téż odpowiadają dwu danym warto-

ściom pewnéj téj saméj wielkości. Takie zadanie nazywamy zadaniem na regułę łańcuchową" (str. 362).

Dla uzupełnienia niniejszego sprawozdania nadmienimy tu jeszcze, że przy regule proporcyonalnego podziału autor nawet niewiadomych nie oznacza literami, i nie wprowadza zupełnie szeregu stosunków równych, w skutek czego zadanie w ustępie 4-ym (str. 353) jest jakby z natchnienia rozwiązane; przy regule znów mieszaniny niema żadnych wskazówek rozwiązywania zadań tyczących się próby, a nawet opuszczony jest ogólny typ zadań, w których są dane cechy mieszaniny i jednego z mieszanych materyałów, oraz ilość tegoż materyału.

Ostatni § poświęcony jest regule fałszywego założenia, który jest prawie dosłownym przekładem z Serret'a, z opuszczeniem kilku charakterystycznych bardzo wyrazów, w których Serret notuje, że te zadania rozwiązywać można wprost, nie uciekając się do téj metody. To opuszczenie, czyżby było wskazówką, że autor seryo taki sposób rozwiązywania traktuje?

Zamykając rzecz całą, przychodzimy do wniosku, że arytmetyka p. Baranieckiego nie stanowi dodatniego objawu naszéj literatury dydaktyczno-naukowéj. Tém to jest przykrzejsze, że w obec okoliczności towarzyszących wydaniu téj książki, zjawia się ona nie jako nieudatna próba literacka pewnéj pojedyńczéj osobistości, lecz jako dzieło wyszłe pod redakcyą przedstawicieli nauki matematycznéj.

Nie tak się na nie zapatrują ci, którzy są mniéj więcéj świadomi istotnego stanu rzeczy, ale tak się ono przedstawi obcym a może i przyszłemu historykowi naszéj literatury naukowéj. Pocieszać się tylko możemy nadzieją, że inne tomy biblioteki zatrą to niemiłe wrażenie, a sam redaktor wykaże swoje zalety jako autor „wstępu do analizy."

Władysław Puchewicz.

Jan Brożek (J. Broscius) akademik krakowski 1585—1652. Jego życie i dzieła, ze szczególném uwzględnieniem prac matematycznych.—Ze źródeł rękopiśmiennych opracował Jan Nep. Franke. —Wydanie Akademii Umiejętności ku uczczeniu trzechsetnéj rocznicy urodzin Brożka.—Z wizerunkiem Jana Brożka.—8-ka str. IX, 303. Kraków 1884.

Dzieło prof. Frankego stanowi bardzo ważny przyczynek do dziejów oświaty w Polsce wogóle, a rozwoju nauk matematycznych u nas w szczególności, będąc bowiem monografią poświęconą opisowi życia i ocenie działalności naukowéj interesującego autora, opracowaną jest na tle historyi akademii krakowskiéj i daje ciekawy obraz stanu nauk i instytucyj naukowych u nas w XVII stuleciu.

Doniosłość monografii prof. Frankego polega na jéj krytyczném opracowaniu na podstawie mozolnego zbadania źródeł rękopiśmiennych, częścią nieznanych, na bogactwie szczegółów rzucających nowe światło na osobistość Brożka i stosunki jego ze współczesnymi, na wielce starannym i gruntownym rozbiorze i szczegółowéj ocenie wszystkich jego prac naukowych, wreszcie na umiejętnym układzie i przedstawieniu.

O Bożku pisało u nas wielu, ale tylko Sołtykowicz I Jerzy Samuel Bandtke (a w części i Majer w ocenie zawodu lekarskiego Br.), źródłowo opracowali jego życie; prace tych autorów nie są jednak wyczerpującemi i dokładnemi, bo nie znali oni wszystkich źródeł, a o rozprawach matematycznych Br. jako niespecyaliści sądu wydać nie mogli. Pisarze znów obcy, między innymi Chasles i Günther ocenili zasługi naukowe Brożka, ale wszystkich prac jego nie znali, a o życiu dokładnych wiadomości nie posiadali. Wszyscy biografowie Brożka powtarzali za wspomnionymi wyżéj dwoma autorami polskimi wszystkie dane bez krytyki, zmieniając często dowolnie wiele dat i faktów. Stąd w dotychczasowych biografiach Brożka mieści się wiele niedokładności, które dopiero prof. Franke w pracy swéj ostatecznie sprostował.

Obfity miał materyał prof. Franke do swéj monografii; były nim rękopismy znajdujące się w bibliotece jagiellońskiéj i archiwum senatu uniwersyteckiego w Krakowie, między którymi szczególną ważność miał kodeks zawierający efemerydy astronomiczne Dawida Origona, będące niegdyś własnością Brożka. Tu na marginesach lub na kartkach czystego papieru umyślnie wprawianych zapisywał Brożek wypadki życia swego przez długi okres czasu. Kodeks ten, przez nikogo dotąd nie zużytkowany, dostarczył wielu bardzo ważnych i ciekawych szczegółów. Daléj zbadał prof. Franke wszystkie notatki własnoręczne Brożka na dziełach drukowanych i wszystkie prace drukowane bądź samego Brożka, bądź współczesnych pisarzy związek z przedmiotem rozprawy mające.

Monografią o Brożku podzielił autor na trzy rozdziały: pierwszy zawiera opis życia naszego uczonego, drugi podaje treść i ocenę jego prac naukowych, trzeci zawiera dokumenty, wykazy i bibliografią; wreszcie w końcu dodany jest indeks nazwisk przytoczonych w książce.

Opis życia jest obszerny i przeprowadzony z możliwą ścisłością co do dat i faktów. Prof. Franke ustala przedewszystkiém nazwisko polskie naszego uczonego, którego nazywano rozmaicie: Brzoskim, Broskim, Brozkim, Brożkiem. Autor wykazuje, że to ostatnie nazwisko jest jedynie usprawiedliwioném. Daléj ustala prof. Franke datę

urodzenia naszego uczonego. Dotąd wszyscy, z wyjątkiem Majera, przyjmowali, że Brożek urodził się w roku 1581. Autor stwierdza, że data 1585, podana przez Majera, jest rzeczywiście prawdziwą: uczony nasz urodził się niewątpliwie 1 listopada (nowego stylu) 1585 r. Opowiadając dzieje pobytu Brożka w akademii jako słuchacza, podaje Franke spisy wykładów przedmiotów treści matematycznéj w uniwersytecie krakowskiém w latach 1604—1605 i wykazuje, jak nizkiém był stan ówczesny wiedzy w téj najwyższéj w kraju instytucyi naukowéj; geometrya ograniczała się na kilku księgach Euklidesa, arytmetyka wyjątkowo tylko pojawiała się w planie lekcyjnym, o Koperniku słychać wcale nie było. Płytkość w wykładzie i brak samodzielnych studyów cechowały ówczesnych mistrzów krakowskich. Jeżeli w takich warunkach Brożek zdołał nietylko poznać ówczesny stan nauk w Europie, a nawet wykształcić się na samodzielnego pisarza i uczonego, przypisać to należy jego wybitnym zdolnościom i niepohamowanéj żądzy wiedzy. Żądza ta, cześć i uwielbienie dla wielkiego Kopernika powiodły Brożka w r. 1618 do Prus i Warmii, to jest do miejsc, gdzie żył, pracował i umarł Kopernik. Prof. Franke prostuje mylnie dotąd podawaną datę wyjazdu Brożka do Prus, za którą powszechnie przyjmowano rok 1614, a idąc za Sołtykowiczem, wykazuje argumentami, których tamten nie daje, że Brożek dopiero w 1618 Kraków opuścił. Z podróży téj przywiózł Br. obfity plon składający się z korespondencyi Gizego i Kopernika i z listów samego Kopernika; dwa listy Gizego ogłosił drukiem, resztę miał ogłosić późniéj, ale niestety, przyrzeczenia nie dotrzymał, listy zaś Kopernika zaginęły i do téj pory odszukane nie zostały. Za zaniedbanie to dzisiejsi biograf. Kopernika ciężkie Brożkowi czynią zarzuty.

Pobyt Brożka we Włoszech (1620—1624), gdzie studyował medycynę, przedstawia Franke w nowém świetle, dzięki materyałom, jakich dostarczył mu prof. Antoni Favaro w Padwie, i przytacza dosłowny tekst łacińskiego tekstu Brożka do Galileusza, w którym pierwszy zapowiada swój nieurzeczywistniony niestety zamiar ogłoszenia listów Kopernika. List Brożka znajduje się w bibliotece florenckiéj między rękopismami Galileusza, a odpis z niego dostarczył Frankemu Artur Wołyński.

W opisie walki, jaką uniwersytet krakowski staczał z jezuitami, a w któréj to walce Br. głównym był szermierzem, podaje Franke kilka nowych szczegółów, między któremi zasługuje na uwagę dostarczony przez prof. Bobrzyńskiego, dokument, w którym profesorowie krakowscy solidaryzują się zupełnie z opiniami wyrażonemi przez swego kolegę Brożka w jego polemicznych broszurach, „gotowi raczéj dać sobie poucinać głowy, a nie dopuścić do uśmier-

cenia lub zaprzestania walki.“ Dowodzi téż prof. Franke, że dyskurs IV ziemianina z plebanem, przypisywany powszechnie Brożkowi, nie jest wcale jego pióra. Ciekawa jest notatka „pro memoria“ ręką Brożka skreślona, a mająca służyć jako dopełnienie do aktu fundacyjnego, którym 3.000 zł. na cele naukowe Akademii zapisał. Z notatki téj widać, jak oczytanym był Brożek w zagranicznéj literaturze naukowéj. Mniéj pochlebne świadectwo daje o nim broszura polemiczna przeciwko Magniemu, który na dworze Władysława IV pokazywał doświadczenia Toricellego. W broszurze téj zwalcza Brożek pogląd o istnieniu próżni w rurce Toricellego, lekceważąc sobie wszelkie doświadczenie, a argumentując przy pomocy zdań z Arystotelesa wyjętych.

Pomijamy inne szczegóły i charakterystykę Brożka doskonale skreśloną, a przechodzimy do rozdziału 2-go, w którym wyliczone i streszczone są wszystkie prace naukowe Br., nie wyłączając pozostałych w rękopiśmie. Mamy tu pierwszą rzetelną i pracowitą ocenę wszystkich pism naszego uczonego. Nie mogąc w tém miejscu powtarzać wywodów specyalnie matematycznych, powiemy tylko że prof. Franke rozbiera każdą pracę na podstawie ówczesnego stanu wiedzy i kreśli historyą ważniejszych poruszonych w pismach Brożka zagadnień, zapoznaje z jego metodami, twierdzeniami i poglądami. Na szczególną uwagę zasługuje rozbiór ważnej pracy Brożka: „Arithmetica integrorum“, stanowiącej najlepszą pracę matematyczno-pedagogiczną u nas w XVII stuleciu, stojącą na stopniu ówczesnych pojęć naukowych. W pracy tej Brożek zapoznaje czytelnika i z najnowszemi odkryciami naukowemi, a między innemi z Nepera rachunkiem skaźników (indeksów), z którego rozwinęła się nauka logarytmów (1). Gruntownemu rozbiorowi, który zmienia się w zupełną rozprawę naukową poddane są badania Brożka nad liczbami doskonałemi i liczbami zaprzyjaźnionemi. W pracach tych Brożek okazał się samodzielnym badaczem i wyprzedził innych uczonych, Ale najwyżej stanął on jako twórca, w pracy „Apologia pro Aristotele et Euclide contra Petrum

---

(1) Pan. M. A. Baraniecki w „Arytmetyce“ (Bibiloteka matematyczno-fizyczna, Serya III, Tom I, 1884 Warszawa str. XXXVIII—XLIII), daje także bardzo staranny rozbiór części arytmetyki Brożka, dopełniony przypiskiem prof. Frankego, (str. 371—375), p. t., Jan Brożek o liczbach doskonałych i o liczbach zaprzyjaźnionych.“ Przytoczone rozbiory są pierwszemi u nas, o ile wiemy, rozbiorami ważnéj pracy Brożka. Krótka wzmianka o niéj podana w artykule moim o Broscynszu w Encyklopedyi wychowawczéj (tom II, str. 324) nie daje pojęcia o wartości tej pracy naszego uczonego, zawiera bowiem tylko tytuły rozdziałów, (z których jeden) „de virgulis“ jak słusznie zauważył prof. Franke przetłomaczony został błędnie o „przecinkach“ zamiast laseczkach“ (rachunku za pomocą laseczek). *S. D.*

Ramum", w której odkrył nowe twierdzenia, w teoryi wielokątów gwiaździstych, wyprzedziwszy na półtora wieku Poinsota.

W krótkiem sprawozdaniu niniejszém pominąć musimy rozbiory pozostałych prac Broscyusa; dodamy tylko, że zdaniem prof. Frankego prace rękopiśmienne Brożka nie zasługują na wydanie drukiem, częścią bowiem posiadają małą wartość naukową, lub są nieukończone, częścią są wyciągami z innych autorów, częścią wreszcie wcielonemi zostały przez samego Br. do prac wydanych drukiem.

W rozdziale 3-im podany jest tekst następujących dokumentów i wykazów: *a*) dokument w sprawie z jezuitami, *b*) zapis 3000 złp. dla akademii krakowskiej *c*) rachunki z fundacyi Brożka od 1722—1780, *d*) zapis 15000 złp. dla akademii, *e*) testament Brożka, *f*) wykaz wykładów Brożka na wydziale filozoficznym od 1610—1636, *g*) wykłady na wydziale lekarskim uniwersytetu w Padwie w r. 1623, *h*) bibliografia.

Wydaniem doskonałej pracy o Brożku Akademia umiejętności godnie uczciła pamięć jednego z najlepszych uczonych naszych w XVII stuleciu, a prof. Franke wzbogacił naszą literaturę naukową dziełem istotnéj i trwałej wartości.

S. Dickstein.

Kryzys ekonomiczna, czyli Ewangelia p. Bismarka.

Tak zatytułowana broszura, napisana przez p. Juliusza Domerguea, pojawiła się ostatniemi czasy w Paryżu. Praca ta zaopatrzona obiecującym tytułem rzeczywiście wywołała sensacyą, zupełnie uzasadnioną ważnością poruszonych w niéj kwestyj, dotyczących pośrednio najżywotniejszych interesów Francyi. Stan przemysłu francuskiego poważne dziś budzi obawy, towar francuski coraz mniéj za granicą znajduje popytu, gdy tymczasem fabryki angielskie i niemieckie zarzucają rynki francuskie swojemi wyrobami.

Według p. Domerguea przyczyna złego leży w fałszywie pojmowanéj polityce ekonomicznej, któréj się Francya trzyma od roku 1860, polityce opartéj na dogmacie wolnego handlu, liczącéj tam i dziś jeszcze wielu zwolenników.

Pan Domergue, w pracy swojéj, streszcza poglądy Fryderyka Lista w kwestyi polityki ekonomicznéj i dowodzi, że ks. Bismark postawił sobie za zadanie całego życia urzeczywistnić program wskazany jeszcze w r. 1841 przez tego znakomitego ekonomistę. Jeżeli więc ks. Bismark jest faktycznym sprawcą jedności i potęgi dzisiejszych Niemiec, to Fr. List jest twórcą w znaczeniu moralném, nie jako Janem Ewangielistą Bismarka. Jakkolwiek List specyalnie miał na widoku Niemcy, jednakże z poglądów jego opartych na pewnych ogólnych prawach można wyciągnąć wiele wskazówek i przestróg, które i dla innych państw, a jak w tym razie dla Francyi użytecznemi być mogą.

O pracy Lista „System narodowy ekonomii politycznéj“, streszczonéj w broszurze p. Domerguea, współczesny Listowi August Trésfort (Denkreden u. Abhandlungen 1841) powiedział: „Dzieło to stanowić będzie epokę w naukowéj ekonomii narodowéj, a przedewszystkiém przyczyni się do usunięcia przesądów i niebezpiecznych błędów szkoły Smitha.“ W pracy téj głównie powstaje List przeciwko kosmopolitycznemu charakterowi szkoły manchesterskiéj, traktującéj ludzkość jako jedną wielką rodzinę, niepodzieloną politycznie na współzawodniczące między sobą organizmy państwowe. List pierwszy wykazuje konieczność zwrócenia gospodarstwa społecznego w kierunku narodowym, tj. nie troszczenia się o szczęście owéj utopijnéj, wyimaginowanéj ludzkości, a zajęcie się potrzebami i interesami społeczeństwa własnego w dziś istniejących warunkach politycznych.

Drugim niemniéj ważnym błędem, wytkniętym przez Lista szkole Smitha, jest owo wyłączne zajmowanie się jéj wartościami już wyprodukowanemi, a zupełne lekceważenie sił wytwarzających owe wartości. Jako podstawę siły i niezależnego bytu w przyszłości danego kraju List uważa nie nagromadzenie chwilowe, choćby w największéj ilości bogactw, lecz potężnie rozwinięty przemysł fabryczny, który potrafił opanować zwycięsko zagraniczne rynki handlowe. Głównym czynnikiem, wpływającym na rozwój przemysłu, jest ustanowienie ceł od wyrobów zagranicznych w epoce, w któréj przemysł krajowy dopiero zaczyna się rozwijać. „Handlu zewnętrznego“—powiada List—„pewnego kraju nie należy oceniać, wyłącznie według teoryi o wartościach, tj. biorąc jedynie w rachubę korzyść materyalną chwili, państwo musi jednocześnie wziąć pod uwagę całokształt stosunków, od którego zależy jego byt, jego pomyślność, jego potęga w teraźniejszości i przyszłości. Naród powinien poświęcić się i poddać prywacyi bogactw materyalnych, w celu zdobycia sił intelektualnych i społecznych; powinien poświęcić korzyści natychmiastowe, aby sobie zapewnić korzyści w przyszłości........ Jeżeli więc prawa protekcyjne powodują pewne poświęcenie wartości, to poświęcenie to jest skompensowane przez nabytek siły wytworczéj, która nietylko zapewni narodowi w przyszłości ilość nieskończenie większą bogactw materyalnych, lecz oprócz tego niezależność przemysłową w czasie wojny. Naród, który dąży do rozwinięcia u siebie przemysłu, uciekając się do systemu protekcyjnego, postępuje jak kapitalista, wydatkujący na wykształcenie swoich dzieci w pewnym fachu, obiecującym przynosić znakomite korzyści w przyszłości“.

Gdy przemysł pewnego kraju dojdzie już do tego stopnia rozwoju, że może z powodzeniem współzawodniczyć z przemysłem obcym, kraj ten powinien znieść cła i zawrzeć nowe traktaty handlowe o ile możności, na zasadzie wolnej wymiany, gdyż może być pewien, że zasada ta zwróci się tylko przeciwko jego współzawodnikom. Jakkolwiek cynicznemi mogą się wydać następujące słowa Lista, trudno jednak nie uznać praktycznéj ich wartości.

„Narodowi, który przez prawa protekcyjne udoskonalił swój przemysł fabryczny i swoję marynarkę kupiecką, do tego stopnia, że nie boi się niczyjéj konkurencyi, nie pozostaje nic mądrzejszego

do zrobienia, jak odepchnąć daleko od siebie środki, które ułatwiły wzniesienie się, starać się przekonać inne narody o korzyściach, wypływających z wolnego handlu i głośno wyznać swój żal, że tak długo szedł drogą fałszu i że tak późno przyszedł do poznania prawdy".

Że jednak polityka oparta wyłącznie na naiwności współzawodników, może w końcu zawieść, gdy ci zrozumieją własny swój interes, List uważa za konieczne, zabezpieczenie zbytu hyperprodukcyi przemysłowéj przez odpowiednio prowadzoną politykę kolonialną. Że zdanie to nie zostało głosem wołającego na puszczy, stwierdzają najnowsze wypadki polityki państw Europejskich. Uważając przemysł fabryczny za główną dźwignię bogactwa krajowego, rolnictwu naznacza List stanowisko drugorzędnego czynnika, którego rozwój zależy przeważnie od rozwoju pierwszego.

W celu poparcia swoich wywodów faktami historycznemi, cytuje List Anglią, któréj chytrze i konsekwentnie prowadzona polityka handlowa od czasów Elżbiety, zapewniła ową olbrzymią potęgę ekonomiczną, z którą przynajmniéj za życia Lista żadne inne państwo nie mogło współzawodniczyć. Oceniając poglądy Lista, p. Domergue wyraża się o nich z bezwarunkowém uznaniem, nie widząc pewnych słabych stron i niekonsekwencyj tam nawet, gdzie one dość wyraźnie występują. Trudno na przykład zgodzić się na usunięcie na drugi plan rolnictwa, którego ostatecznie od przemysłu w ogóle ściśle odgraniczyć nie podobna, gdyż przemysł fabryczny jest tylko dalszym ciągiem przemysłu rolnego, tj. dalszym ciągiem przetwarzania płodów surowych. Warunki etnograficzne, gleba ziemi, charakter ludności poczęści określają jakiego rodzaju przemysł jest najkorzystniejszy w danéj chwili i miejscu. Co do handlu, zbytni jego rozwój może być, według Lista, nawet szkodliwy, odciąga bowiem od przemysłu i rolnictwa, i absorbuje najlepsze siły narodu, a w razie utraty rynków zbytu, powoduje upadek, z którego narodu w innych kierunkach działalności niedołężnego nic już uratować nie może. Taki los spotkał miasta Hanzeatyckie, w chwili gdy Anglia zamknęła swoje porty dla okrętów Związku. Względnie jednak do Anglii nie przewidział List, że i na tém słońcu pojawią się plamy, które z czasem mogą zaćmić ów blask, który go tak olśniewał. Jakkolwiek przemysł angielski fabryczny i rolny doszedł do najwyższego stopnia rozwoju, to jednakże niesumienna polityka kolonialna, oparta wyłącznie na bezlitośném ssaniu zajętych prowincyj, wyradzała nienawiść, kończącą się oderwaniem od metropolii. Ruch nieprzyjazny, jaki się dziś objawia między krajowcami w Indyach, również zdaje się zapowiadać, że i tam dni panowania Anglii są już policzone.

Oprócz nieocenionéj wartości prac teoretycznych, praktycznéj agitatorskiéj działalności Lista zawdzięczają Niemcy zniesienie ceł wewnętrznych, czyli utworzenie t. z. Zoll-Vereinu, będącego niejako zawiązkiem przyszłej jedności politycznéj.

W. Kuszell.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

Wstęp.

W ogromnéj, wysokiéj sali, aparat sądowy roztoczył całą wspaniałość swą i grozę. Był to zimowy wieczór. Zwisające od sufitu żyrandole i lampy gorejące u ścian białych i gładkich, potoki światła lały na szkarłatne opony okien i stołów, na pstrociznę twarzy i ubrań tłumnie zgromadzonéj dziś publiczności. W głębi zasiadali członkowie sądu, z boku, pod jedną ze ścian, na dwu wysokich i ozdobnych ławach, miejsca swe już zajęli przysięgli. U jednego z okien, oskarżyciel publiczny, schylony nad obficie oświetlonym stołem, wczytywał się pilnie w rozwartą księgę praw, przy drugim sekretarz sądu, przerzucał stosy papierów. Urzędnik przeznaczony do strzeżenia porządku, w ubraniu zdobném w złote hafty, szybkim i cichym krokiem przebiegłszy salę, z piórem w ręku usiadł na stronie. Wśród wielkiéj ciszy, niezmąconej nawet powstrzymanemi na chwilę oddechami kilkuset piersi, przewodniczący sądowi, głośno i wyraźnie obwieścił zbrodnię, o którą podsądni oskarżonymi zostali. Nie było to przestępstwo, ale była to zbrodnia, straszna zbrodnia, jedna z tych która niekiedy, jak sny złośliwe i ponure przesuwają się przed udręczonemi oczami ludzkości. Kim byli, do jakiéj społecznéj warstwy należeli, jak wyglądali ci nieszczęsni i okropni ludzie, którzy ją popełnili? Kilkaset oczu, jednomyślnie zwróciło się ku ławie obwinionych.

Naprzeciw wysokich i ozdobnych siedzeń sędziów przysięgłych, obrońca z urzędu, zamyślony, niespokojny, nerwowym ruchem ręki, ołówkiem kreślił na kawałku papieru jakieś luźne notatki. Tuż za nim, nad wysoką poręczą ławy, podniosły się i w pełném świetle

stanęły, cztery męzkie postacie, w więziennych długich szarych ubraniach. Przed chwilą weszli tu oni przez nizkie drzwi, z za których ukazało się całkiem prawie ciemne wnętrze, bocznéj jakiejś sieni. Zdawać się mogło, że wychodzili z otchłani. Nizkie drzwi zamknęły się wnet za czterma uzbrojonymi żołnierzami, którzy stanąwszy z obu stron ławy zanurzyli sterczące nad ich głowami bagnety, w olśniewającém świetle lamp. Pomiędzy lśniącemi ostrzami bagnetów, twarzą w twarz z sędziami swoimi, w potokach światła, uwydatniających każdy rys i każdą niemal zmarszczkę ich twarzy, czteréj podsądni stojąc w nieruchomych i oczekujących postawach, odpowiadali na zwracane ku nim pytania przewodniczącego.

Nazwiska ich?

Cztery męzkie głosy dość wyraźnie, głośno, odpowiedziały z kolei.

— Piotr Dziurdzia.

— Stefan Dziurdzia.

— Szymon Dziurdzia.

— Klemens Dziurdzia.

Stan ich?

Chłopi, rolnicy i posiadacze ziemi. Ostatni tylko ziemi własnéj jeszcze nie miał, ale był synem i dziedzicem pierwszego, Piotra Dziurdzia, który nietylko że ją posiadał, ale przed laty kilku piastował w swéj wiosce ważny w społeczném życiu chłopów, urząd starosty.

Teraz, pytanie najciekawsze.

Czy przyznają się do popełnienia zbrodni, o którą obwinionymi zostali.

Znowu cztery głosy, z kolei, ciszéj lub donośniéj lecz zawsze wyraźnie, odpowiedziały.

— Przyznaję się.

Przyznają się. Niema więc już wątpliwości, że popełnili tę zbrodnię. Nie nędzarze, nie włóczęgi, nie członkowie proletaryatu, żyjącego w trującéj atmosferze palących zawiści i podstępnych łupów, ale rolnicy, którym wiatry Boże niosą rzeźwość i zdrowie:.. posiadacze, którym ziemia własna, rodzi bujne kłosy... pracownicy, których uznojone czoła, równać się mogą w powadze i czystości czołom uwieńczonym wawrzynem... Co to znaczy? Czy urodzili się już potworami? Czy, kiedy jeszcze w kolebkach byli, geniusz zbrodni napoił ich swym oddechem? Czy nie mieli serca, ani sumienia, ani w piersiach swych żadnéj z tych strun dobroci, litości, prawości, które z wiekowym mozołem ludzkość wypracowała w swém łonie? Byliż to może szaleńcy, idyoci, głupcy, którzy dobrego od złego odróżnić nie mogli?

Rzecz dziwna! Daremnie kilkaset par ludzkich oczu zatapiało się w ich twarzach, zgodności pomiędzy nimi a tém co popełnili dostrzedz nie było podobna. Nie wyglądali na tych, którzy już na świat ze sobą przynieśli zadatki zbrodniczych przeznaczeń, ani na szaleńców, ani na idyotów.

Pierwszy z nich, ten, który nazywał się Piotrem Dziurdzią, był wysokim, dość szczupłym i już nie młodym, ale jeszcze krzepkim i silnym człowiekiem. Włosy miał bardzo gęste, ciemnopłowe, siwizną przysypane i tak długie, że spadały mu aż na kołnierz więziennéj opończy. W oprawie tych długich, siwiejących włosów i krótko ostrzyżonego zarostu, twarz jego, bladawa nieco, łagodnością i powagą wyrazu swego, pociągające sprawiała wrażenie. Policzki jego, w więzieniu może wychudłe zakreślały prawidłowy i łagodny owal, usta pod płowym wąsem drżały trochę, na wązkim czole ciemniało kilka głębokich zmarszczek a siwe, zamyślone oczy, z pod brwi wypukłych i gęstych, wodziły dokoła powolném, poważném i bardzo smutném wejrzeniem. W chwili gdy stanął w ławie obwinionych, można było dostrzedz zaledwie widzialny ruch ręki, którym na piersiach swych skreślił znak krzyża, a gdy już odpowiedział na wszystkie zadane mu pytania, splecione ręce złożył na poręczy ławy i oczy wzniósł w górę. Wówczas w twarzy jego zjawiło się coś marzycielskiego, coś co zdradzało wewnętrzną, pokorną, w głębinach duszy szeptaną modlitwę. Wkrótce jednak powieki przykryły mu rozmodlone źrenice, grzbiet przygiął się, głowa na pierś opadła i tak już ze splecionemi rękami, poważny, łagodny, bardzo smutny pozostał.

Zupełnie niepodobnym do Piotra, był stryjeczny brat jego Stefan. Wysoki także ale barczysty i bardzo wyprostowany, brunet z czarnemi jak noc włosami i czarnym bujnym wąsem byłby on pysznym okazem silnego, kształtnego i pięknego chłopa, gdyby nie szczególne i uderzające, przedwczesne zestarzenie twarzy. Nie miał jeszcze lat 40-stu a ściągłe i prawidłowe rysy jego były tak zorane, zmięte, pomarszczone, że niepodobnaby na nich znaleść najmniejszego gładkiego miejsca. Przytém, mogło się zdawać że wielki jakiś ogień opalał twarz tę tak długo, aż powlekł ją ciemną, prawie bronzową cerą. Widocznem też było, że nie nędza fizyczna uczyniła ją taką, lecz że zmięły ją i spaliły w ten sposób gwałtowne namiętności i srogie zgryzoty. Była to twarz ponura i zrozpaczona, śmiała i roztropna. Czarne oczy Stefana, posępnie lecz roztropnie i nawet bystro spoglądały wprost przed siebie; w postawie i ruchach jego malowała się energja, któréj zbytek musiał znajdować sobie ujście w nieposkromionéj, gwałtownéj popędliwości.

Trzecim i zupełnie różnym od tamtych typem chłopskim był Szymon Dziurdzia. Nizki, chudy, z wełnistym splątanym włosem, który mu czoło całkiem prawie zakrywał, z otwartemi nieco usty i nosem małym, bombiastym, u czoła wklęsłym, był to człowieczek niemłody, brzydki, gapiowaty, bardzo widocznem nadużyciem alkoholu ogłupiony i prawie zezwierzęcony. Pijackie oczy jego, z blado błękitną źrenicą, pływały w chorobliwéj wilgoci; czasem grubym i ciemnym palcem ocierał sobie łzę z powiek i bezmyślnym ruchem rozmazywał ją po chudym i żółtym policzku. W ruchach, postawie i spojrzeniach jego malowało się przerażenie, z rozżaleniem połączone. Strwożony, rozżalony, ogłupiały, niewiedział co począć z rękami, które splatał, to wzdłuż ciała opuszczał, ust przytém ani na chwilę zupełnie nie zamykając.

Najmłodszym ze wszystkich, bardzo jeszcze młodym bo dwadzieścia dwa lata zaledwie mającym był Klemens, syn byłego starosty, Piotra Dziurdzi. Urodziwy, jasnowłosy ten parobek, z okrągłą, rumianą twarzą i błękitnemi jak niebo oczami, wydawał się makiem polnym, bujnie śród pola wyrosłym i tu w tę ciżbę ludzką, w tę atmosferę przeniknięta światłem sztucznem i grozą ważących się przeznaczeń, gwałtownie przesadzonym. Panującém uczuciem, które malowało się na młodzieńczéj i jak zorza świeżéj jego twarzy—był wstyd. Kiedy po raz pierwszy zwróciły się ku niemu spójrzenia tłumu, ognisty rumieniec buchnął mu do policzków i czoła. Zarumienił się znowu wymawiając wyraz: przyznaję się! i rumienił się potém za każdym razem, gdy w ciągu rozpraw sądowych imię jego wymawiano. Czasem zamyślał się i daleko, daleko kędyś patrzał. Wtedy, do oczu jego nabiegały łzy. Czasem znowu, młoda ciekawość przezwyciężała w nim wszelkie inne uczucia. Wtedy, z pod powiek, nieśmiało ale chciwie przypatrywał się wszystkiemu co go otaczało, a o czem pod strzechą swoją, ani nawet śnił kiedy, Boże mój! tak tu jasno, jak gdyby niebiosa otworzyły się i wszystkie swe blaski na ziemię wylały; tak tu ludno, jak gdyby zbiegło się pół świata, takie tu piękne ubiory, jak gdyby odbyć się miał wielki jakiś i wesoły festyn. A on tu co? zbrodniarz, którego sądzić mają. Jak osądzą? Bóg że to jeden wie. Za temi ścianami wiatry boże wieją, ku jego wiosce rodzinnéj lecą, ku téj chacie lecą, gdzie stara matka z załamanemi rękami została, ku temu polu lecą, które on orał już od lat paru, kiedy słonko świeciło jasno, zioła pachniały, serce biło równo, cicho, wesoło, nie tak jak teraz gdy kołacze w piersi ze wstydu i trwogi, niby na pogrzebie bijący dzwon...

Więc to ci czteréj ludzie popełnili tę zbrodnię przerażającą i ponurą, jak sen zimowéj, burzliwéj nocy? Była to też wtedy zi-

mowa, burzliwa noc.... Ależ dla czego? jakim sposobem? pod wpływem jakich pokus i poszeptów?

Z zeznań świadczących, z rozpraw sądowych, ze starannie wywoływanych późniéj, a pilnie słuchanych gawęd ludzkich, ze zwierzeń, które podsądni czynili przed swym obrońcą, od początku do końca swego, odsłaniła się przed tymi, którzy ją poznać zapragnęli, historya następująca.

I.

W Suchéj Dolinie zapanował ruch umysłów widoczny i stopnia wzburzenia dosięgający. O co tak bardzo szło mieszkańcom téj wioski, długim szeregiem czterdziestu może chat i ogrodów, dość malowniczo rozciągniętéj, pośród pól zlekka falujących i zdobiących je osinowych i brzozowych gajów. Większość chat miała pozór dostatni; były wprawdzie pomiędzy niemi niziuchne, ubożuchne i nadpróchniałe, ale nie brakowało i takich, które świeciły białemi kominami, sporemi oknami i porządnemi ganeczkami, opartemi na słupkach i zaopatrzonemi w wązkie ławeczki do siedzenia. Te pola, falujące i gajami zwieńczone miały pozór żyzności i niezłéj uprawy, za niemi zieleniło się trochę łąk i dobrych pastwisk, w ogrodach, gęste konopie stały gotowe do zdjęcia, okwitłe kartofle wyglądały obiecująco, bujne głowy kapusty dojrzewały, gęsto sadzone wiśniowe drzewa dawać musiały obfite plony owoców. Nędza więc zaglądała tu chyba kiedy niekiedy i tylko do najuboższych chat. Najdostatniejsze wyglądały tak, jak gdyby w nich nietylko chleba, ale nawet mleka i miodu a może i groszy nie brakowało. Jakiż więc niepokój wstrząsał w ten piękny wieczór letni mieszkańcami téj wioski. O czém gromada bab przed jednym z najdostatniéj wyglądających domóstw zebrana, gwarzyła tak żywo, że aż dokoła niéj zebrała się gromada dzieci starszych i młodszych. Dziewczynki od lat 7-miu do 14-stu, w sinych spódniczkach i szarych koszulach, bose, z głowami ukrytemi w czerwonych chusteczkach, z pod których wymykały się kosmyki jasno-płowych włosów, stanęły pod płotem długim szeregiem i splótłszy na spódniczkach małe, ciemne jak ziemia ręce, szeroko pootwierały oczy, napełnione wyrazem ciekawości, a w których błękitnych lub piwnych źrenicach, zachodzące słońce rozżarzało ruchome iskry. Przypatrywały się i przysłuchiwały babom, a baby gadały, gestykulowały, krzyczały. Chłopcy lat różnych stali za babami, nie tak przecież nieruchomo jak dziewczęta, które umieściły się pod płotem. Bosi także, jasno - włosi, w szare płótno odziani, wciskali się oni pomiędzy matki i ciotki, podnosili

ku twarzom kobiet twarze swe opalone, śmiałe i wesołe, które wykrzywiali w sposób najrozmaitszy, swawolnie przedrzeźniając gadatliwość i zażartość babską. Starsi targali kobiety za fartuchy i natarczywie wtrącali się do rozmowy; jeden z młodszych, pięcioletni może, w długiéj do stóp koszuli, z wypukłym brzuchem i opuchłemi żółtemi policzkami, trzymał wciąż palce w oślinionych ustach i bezmyślnemi błękitnemi źrenicami patrzał nieruchomo w twarz swojéj matki, a płaczliwym, przeciągłym głosem od chwili do chwili wołał: Ta.... ta!

Na wąskim dziedzińcu chaty, pod którą tłoczyły się baby i dzieci panował także gwar pewien, ale znacznie mniejszy, bo podnosiła go gromadka mężczyzn mniéj i ciszéj od niewiast mówiących. Jeden z nich, u wrót stajenki przyklęknąwszy, siekierą rozszczepiał kloc drzewa na drobne drewienka, a tak bardzo pogrążonym był w téj robocie, jak gdyby spełniał jakąś uroczystą i arcyważną czynność. Z pochyloną głową i zgiętemi plecami, chłop ten niemłody już i szczupły, ale jeszcze silny i czerstwy, był to jeden z najzamożniejszych i najroztropniejszych gospodarzy Suchéj Doliny, właściciel téj chaty, a zwał się Piotr Dziurdzia. Tuż za nim stali dwaj synowie jego, młodzi, lecz już dorośli parobcy, daléj stryjeczny brat Piotra, ale wcale doń niepodobny Stefan, w wymowie chłopów Stepan Dziurdzia, przypatrywał się jego robocie z ponurym wyrazem na przedwcześnie zestarzałéj, zmiętéj i jakby spalonéj twarzy; daléj jeszcze stał także Dziurdzia, imieniem Szymon, mizernie i smutnie wyglądający, a za każdém odetchnięciem, wydający z siebie mocny zapach wódki. Wódka to zapewne zaprawiła mu białka oczów krwistą barwą, wysuszyła i zażółciła policzki, ona téż może była przyczyną, że miał podartą koszulę i stopy bose, gdy inni przyodziani byli w porządne samodziałowe kapoty i grube ale dostatnie aż do kolan sięgające obuwie. Oprócz tych pięciu Dziurdziów, było tam jeszcze kilkunastu chłopów starszych i młodszych, więcéj i mniéj ożywionych, którzy jednak wszyscy zdawali się być mocno zajętymi tém co czynił Piotr Dziurdzia, spoglądali na siebie z uśmiechami na ustach i wyrazem żywéj ciekawości w oczach, wzruszali czasem ramionami i rzucali pojedyncze słowa lub wykrzyki. A przed wrotami dziedzińca baby gadały wciąż, krzyczały, gestykulowały; ta i owa z ferworu wielkiego aż przysiadała czasem ku ziemi, albo rękami uderzała o policzki i plecy sąsiadek, które odwracając się śpiesznie je odpychały i daléj swoje prawić zaczynały, aż do utraty tchu, aż do podniesienia głosów ku najwyższym i najprzeraźliwszym dźwiękom ludzkiéj krtani. Takim to właśnie głosem jedna z nich ku dziedzińcowi chaty zwracając się, zawołała:

— Pietruk! hej Pietruk! skończysz ty kiedy czy nie? A to słońce zajdzie i psy nie ludzie po polach chodzić będą!

— Pora *idźci* (iść) dalibóg pora! — chórem powtórzyło kilka piskliwych, kobiecych głosów.

Inne dodały.

— Czy wam nie wstyd, Pietruk, tak marudzić? Oj! *muszczyna* (mężczyzna), niby-to silny! A baba prędzéj-by tych trzasek naszczepiła jak on... gospodarz wielki!

Piotr Dziurdzia wykrzykników tych, ku niemu zwróconych, jakby nie słyszał, ani głowy podniósł, ani ustami poruszył. Rozszczepiał wciąż i odszczepiał polana, na cienkie drewienka z taką powagą i uroczystością, iż zdawać się mogło, że tuż, tuż przeżegna się i robotę swą przeżegna, tak była dlań ona ważną i niemal świętą. Dwaj w pobliżu niego stojący chłopi, jednocześnie stryjecznego brata jego, Stepana Dziurdzię, zapytali:

— Nie ma! no, i ani troszeczkę nie ma?

Zmarszczony, zgryziony Stepan odpowiedział:

— Tak jak nic nie ma! Kropelkę z siebie puści i żeby ją zabić więcéj już nie da! Dziecku, jak rozkrzyczy się, nie ma czego w gębę wlać.....

— A-a-a-a-a! — głośno i przeciągle dziwili się pytający.

— A wprzódy jak było?—Zapytał ktoś z boku.

— Wprzódy — odpowiedział chłop, bywało i więcéj jak garniec dadzą....

— Dwie?

— A dwie.

— To tak jak i u mnie! — Zauważył mizerny Szymon, jedna tylko, a bywało z garniec da... Chłopi trącili się łokciami i wejrzeniami, ukazali sobie wzajem ponurą twarz Stepana.

Przytém, ozwał się żartobliwy głos jakiś:

— Oj! biedaż tobie, Stepanie! Toż to tam teraz u ciebie piekło gorące.....

Inny z grubym śmiechem dodał:

— Jaż wczoraj słyszał jak *taja* (ta) wrzeszczała w swojéj chacie jak *oczyniona* (opętana)...

— Kto? — zapytał ktoś z boku.

— A Rozalka, Stepanowa żonka...

— Oj zła baba, to zła... jak ogień... dodał jeden z rozmawiających.

Stefan niżéj jeszcze pochylił głowę i milczał.

Z za wrót doleciał jeszcze znowu ten sam co wprzódy głos niewieści, tylko jeszcze piskliwszy i więcéj rozgniewany niż wprzódy.

— Pietruk! oj Pietruk! skończysz ty kiedy, czy nie?

Kilku z pomiędzy mężczyzn zaśmiało się chórem.

— Otjak Stepanowa żonka *hołasić*, pilno jéj wiedźmę łapać! Hej Pietruk, *chutko* (prędko) *idzi*! bo baba jak po swojemu rozgniewa się, to bieda będzie... już ty jéj nie poradzisz... wybije!..

Piotr Dziurdzia siekierę oddał jednemu z synów, aby ją do chaty zaniósł, a sam z klęczek powstawał, nie dla tego zapewne aby przeląkł się gniewu Stepanowej żonki, ale dla tego, że już robotę swoję ukończył. Pod ścianą stajenki leżał duży stos cienkich, suchych, do zapalenia wybornych drewienek. Pochylił się, ujął ten stos w ramiona i wyszedł z nim za bramę chaty. Tu powitał go chóralny okrzyk bab i otoczył rój dzieci. Dziewczynki poodrywały się od płota i podchodziły doń zwolna, chłopcy, jak źrebięta, skakali dokoła niego, wierzgając i wrzeszcząc.

— Won! poszli!—krzyknął Dziurdzia na dzieci, które też rozbiegły się na wsze strony, ale w pobliżu stanąwszy, przypatrywały się wciąż niesionemu przezeń drzewu, jakby to był przedmiot po raz pierwszy w życiu przez nie widziany. Jedna z bab, ta, która właśnie rej pomiędzy wszystkiemi innemi wiodła, wysoka, chuda, śniada, z czarném, pałającém okiem, Rozalka, Stefanowa żona, wyskakując naprzód i rękami za biodra swe chwytając, z niezmiernym zapałem do Piotra zawołała:

— A osinowe drzewo!

— Nu, a jakież?—pogardliwie odrzucił poważny chłop.

— Czy pewno osinowe?

I zaczęła daléj prędko i z zawziętością trzepać językiem.

— Bo jeżeli nie osinowe, to nic z tego nie będzie... wiedźma nie przyjdzie na inne drzewo, tylko na osinowe... *Prysiahnij* Pietruk, że osinowego drzewa narąbał, *prysiahnij*, tutże zaraz palce na krzyż złóż i *prysiahnij*, że osinowe...

Tracąc dech od szybkiego mówienia, targała rękaw i poły samodziałowéj kapoty Piotra, a obu łokciami odtrącała od siebie towarzyszki, które chwytając ją za ramiona i koszulę, zapalczywość jéj powściągać probowały. Sprobował uczynić to i Stepan. Ciemne oczy jego zaiskrzyły się; ściśniętą pięścią uderzył żonę w plecy tak silnie, że zatoczyła się o kroków kilka i byłaby upadła, gdyby nie płot, o który oparła się ręką. Wnet przecież, szybka jak błyskawica, zwinna jak wiewiórka przyskoczyła do męża, wycięła mu głośny policzek i w najmniejszym stopniu nie zajmując się nim daléj, biegła znowu za Piotrem, drogę mu zabiegając i wciąż na różne tony powtarzając.

— A osinowe drzewo? Pewno osinowe?... *Prysiahnij* Pietruk, że osinowe...

W gromadzie, postępującéj za Piotrem, wybuchnęły grube i piskliwe śmiechy. Stepan szedł ze zwieszoną głową, milcząc jak grób. Do policzka, który od otrzymanego uderzenia nabiegł krwistą czerwonością, ani się dotknął, ale ciemna i gruba skóra jego twarzy zfałdowała się w takie już mnóstwo zmarszczek, że niepodobna-by wynaleść na niéj najmniejszego gładkiego miejsca. Roziskrzone oczy wlepiał w ziemię i przez zaciśnięte zęby wyrzucił krótkie, niewyraźne przekleństwo. Wstydził się może i wrzał cały.

— *Wstydno*!—rzekła głośno niemłoda i widocznie schorowana, ale jeszcze urodziwa żona Piotra Dziurdzi, najdostatniej ze wszystkich kobiet ubrana i najmniéj krzycząca. Ja z moim wiek przeżyłam, synów pohodowałam, że wyrośli jak te dęby, a nigdy pomiędzy nami swarów i bitwy nie było, dalibóg nie było.

— Wstydno!—powtórzyło kilka głosów, a jeden z chłopów na Stepana wskazując, z uśmiechem dodał:

— *Takij* z niego *mużyk*? Babie przywodzić pozwala! ja by ją...

Nad tym gwarem słów i śmiechów, wzbił się znowu głos Rozalki, ale tak już tym razem ostry i rozpaczliwy, jakby jéj nóż do gardła przykładano.

— A osinowe drzewo? pewno osinowe? *prisiahnij* Pietruk, że osinowe...

Stary, nizki, chudy chłop, którego zwano Jakóbem Szyszką, wystąpił z gromady, zbliżył się do kobiety, którą wątpliwość co do gatunku narąbanego drzewa w rodzaj wściekłości wprawiała i z powagą przemówił:

— Nie *duryś*, Rozalka! Jaż tam był i widział, że drzewo jest osinowe... Toż i u mnie nieszczęście.... i ja chcę téj wiedźmie przeklętéj w oczy zajrzéć... czy ja by zgodził się, żeby drzewo insze było jak osinowe?...

Rozalkę słowa te jakby zimną wodą oblały, umilkła i cofnąwszy się nieco od Piotra, śpiesznym i nierównym krokiem, zwykłym istotom gwałtownym i niespokojnym, na czele innych niewiast postępowała. Zresztą, w miarę trwania pochodu, gromada malała. Na dziedzińcach chat, które mijano, porykiwały krowy, tylko co z pastwiska przygnane, drżącym, jękliwym głosem odzywały się owce, niewyprzężone pługi i brony stały tak, jak je właściciele ich, pośpiechem i ciekawością znać pobudzani, opuścili. Tu i ówdzie, ktoś pozostały w chacie rozniecił ognisko, a wijące się za małemi oknami złote jego blaski, na wieczerzę zapraszając, głód przypominały. Mężczyzni tedy i kobiety, odłączali się od gromady i za opłotkami dziedzińców, albo we wnętrzach domóstw znikali. Przedtém jednak

zbijając się na krótką chwilę w małe gromadki, zamieniali się urywanemi, a całą myśl ich mającemi streścić wyrażeniami.

— *Kamedya*! — Wzruszając ramionami mówili jedni.

— Niech *tuju kamedyu* licho porwie! — sierdziście odpowiadały kobiety. *Heto* bieda jest, *zhryzota*, *utrata* wielka a nie *kamedya*...

— Ciekawość! nu ciekawość, kto *heta* wiedźma!

— Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie?

Ostatnie to pytanie zawisło na ustach wszystkich; głosy różne męzkie, kobiece i dziecięce, stare i młode, powtarzały je w chatach, oborach, stajenkach, na dziedzińcach i u studzień, u których dziewczęta przy skrzypie żórawi, wodę czerpały. Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie?—Najstarsi odpowiadali.

— Czemu przyjść nie ma! Za *dzidów*, *pradzidów* naszych przychodziła, to i teraz przyjść musi...

Tymczasem Piotr Dziurdzia szedł wciąż naprzód krokiem powolnym i miarowym. Wychodząc z dziedzińca swojéj chaty, włożył był na swe gęste, siwiejące, długie włosy, starą czapkę, zniszczoném futrem baraniem oszytą. W długiéj kapocie z płótna na czerwony kolor zafarbowanego, w wysokich butach, w téj czapce, któréj strzępy zwisały mu nad gęstemi brwiami, z grubą więzią drzewa w ramionach, miał pozór kapłana niby, gotującego się do spełnienia uroczystego i publiczne sprawy na celu mającego obrzędu. Wyraz twarzy jego ściągłéj, krótkim zarostem otoczonéj, nie był wcale ponurym, ani rozgniewanym, tylko głęboko zamyślonym, prawie uroczystym. Milczał jak grób, patrzał wprost przed siebie, siwemi oczami, w których malowała się pokora, jakby prośba wewnętrznie do kogoś zanoszona. Można-by przypuścić, że w głębi duszy swéj odmawiał on w téj chwili żarliwe pacierze. Tuż za nim, szli dwaj jego synowie, rośli, jasnowłosi, z otwartemi i wesołemi twarzami parobcy; daléj, nizko chyląc głowę, ciężkim krokiem postępował Stepan, obok którego wlókł się w obdartém odzieniu swém i z pijacką twarzą Szymon Dziurdzia i bardzo poważnie stąpał stary, nizki, siwy Jakób Szyszko. Z kobiet, pozostały tylko żony trzech Dziurdziów i jakaś hoża dziewczyna, z wesołą miną, wciąż na młodego Klemensa Dziurdzię zerkająca i na niéj kończył się już ten pochód. Dzieci wszystkie, tak dziewczynki jak chłopcy, chciały bardzo przyłączyć się do orszaku, ale je odpędzono i jeden ów tylko czteroletni chłopczyna w koszuli, z wydętym brzuchem i nabrzmiałemi policzkami odpędzić się nie dał. W kilka kroków za idącemi, prędko, prędko, swemi małemi, bosemi stopkami dreptał on po czarnych nierównościach i bruzdach wiejskiéj ulicy i od czasu do czasu płaczliwie, przeciągle wołał:—Ta, to! Ludzie jednak składający po-

chód, na to dziecęce wołanie żadnéj nie zwracali uwagi. Tu i ówdzie gołębie zrywały się z dachów i ze słodkiém gruchaniem ulatywały w powietrze na srebrzystych, albo różowych skrzydłach; pyszne, jaskrawo opierzone koguty, spłoszone tententem licznych kroków, ciężko podlatywały z ziemi i siadały na płotach; przez wrota pootwierane, wybiegały żółte, czarne i pstre kundle, a poznawszy swoich ciekawie tylko lub obojętnie na przechodzących spoglądały. Tam, het, za wioską, polami i gajami, słońce już wnet zajść miało, bo ostatnie jego światła rzucały na ściany chat i twarze ludzkie, nietrwałe, różowe łuny. Rubinowo zaognione przed chwilą szyby okien bladły i gasły, natomiast coraz gęściéj złocił je blask roznieconych ognisk. Dymy nad kominami wprzódy rumiane i srebrne, szarzały; ryk bydła, beczenie owiec, stuki otwieranych i zamykanych wrót, cichły i milkły.

Za wioską, polami i gajami, ciemne gęste chmury półkolem objęły zachodni skraj nieba; słońce przejmowało jeszcze ich głębie fioletem i purpurą, ale było już niewidzialném. W pobliżu ostatnich lecz jaskrawych blasków jego blade i prawie liliowe, ciemniejsze potem i w środku swym aż prawie szafirowe sklepienie, wznosiło się nad ziemią, bardzo powoli okrywaną zmrokiem tak przezroczystym, że odbijały się w nim wyraźnie żółte barwy ściernisk i więdnących łąk, szara zieloność gajów i piasczysta białość dróg, przerzynających pola. Mniéj niż o wiorstę od ostatnich domóstw wioski, cztery drogi rozbiegały się z jednego punktu, w kierunki różne. Jedna z nich prowadziła do wioski, druga, falując, wraz z falującym gruntem przepadała kędyś w niedoścignionéj dla oka oddali; trzecia prosta i gładka końcem długiéj swéj taśmy znikała w głębiach najbliższego gaju; czwarta, najkrótsza, tu i ówdzie wierzbami i dzikiemi bzami osadzona, kończyła się u płotu otaczającego chatę, w pewnéj odległości od wioski zbudowaną, samotną, ocienioną kilku staremi drzewami. W pobliżu téj chaty widać było budowę niewielką, nizką, bez okien, w któréj od razu każdy świadomy spraw wiejskich rozpoznał-by kuźnię. Były to więc drogi rozstajne. W miejscu, z którego rozchodziły się one, w różne strony świata, z gęstego szlaku zieloności otaczającego pole, wystrzeliwał stary, wysoki krzyż. Naprzeciw krzyża, rozdzielony z nim wązkim szlakiem drogi, leżał ogromny, siwym mchem obrosły kamień. O parę kroków od kamienia, Piotr Dziurdzia stanął i ciężar swój z ramion na ziemię zrzucił, poczém wyprostował się, głośno odetchnął, w niebo spójrzał i z kieszeni kapoty hupkę wydobywszy, w milczeniu ogień krzesać zaczął. Głębokie milczenie zapanowało też pomiędzy towarzyszącymi mu ludźmi. Zbili się oni wszyscy w ściśniętą gro-

madkę, wzrok w ręce jego wlepili i zdawali się oddech w piersi wstrzymywać. Widocznie zapominali o wszystkiém, co nie było tą szczególną czynnością, dla któréj tu przybyli. Stefanowa silnie zacisnęła swe wązkie usta, żona Piotra i jeden z jego synów, przeciwnie, rozwarli je tak szeroko, że małe jakie ptaszę wygodnie wlecieć by w nie mogło; Jakób Szyszko wyprostował się i tak uroczystą przybrał postawę, że wydawał się daleko wyższym niż zazwyczaj; wnuczka jego, hoża ta dziewczyna, która w czasie pochodu wciąż na Klemensa Dziurdzię zerkała, teraz ze zmieszaniem ciekawości i przerażenia na twarzy ukryła się za plecy ładnego parobka, przygarnęła się cała do niego i brodę swą na ramieniu mu położyła. Ładny parobek najmniéj z pomiędzy wszystkich obecnych zajęty odbywającym się aktem, wybornie spostrzegł to zbliżenie się doń dziewczyny, uśmiechnął się nieznacznie, wpół z przyjemnością, wpół z urąganiem. Zdawało się, że i hożéj France i temu co się przed oczami jego działo i dziać miało, trochę urągał. W tém, Piotr Dziurdzia pochylił się ku ziemi i część przyniesionych przezeń suchych drewienek, buchnęła ogniem. Cztery kobiety, jednogłośnie i na całe gardło wrzasnęły. — O Jezu!

Dla czego ogień tak bardzo przeląkł je czy wzruszył? Wszak z blaskiem i gorącem jego oswajały się one od pierwszego dnia istnień swoich i od rana do wieczora każdego dnia! Tym razem przecież, wyglądały tak jak gdyby były nigdy w życiu swém ognia nie widziały. Wszystkie cztery wrzasnęły zrazu.— O Jezu. A potém Stefanowa zawiodła daléj jeszcze.— O Jezuż mój, Jezu najmiłosierniejszy! Piotrowa wzdychała głośno i raz po raz, Szymonowa głowę w obie strony kołysała i także wzdychała, Franka zaś, w obie garście pochwyciwszy ramię Klemensa, tak mocno je ścisnęła, że parobek łokciem rzucił i wzgardliwie ją oburknął:—*Otczepiś*! Czego do mnie przykleiła się... jak ten kleszcz! Kleszczem nazwana dziewka nie odczepiała się jednak i przyklejając się do pleców parobka jeszcze mocniéj, w same ucho półgłosem mu jęczała. Oj Klemens, Klemens, Klemens! oj, oj, Klemens! Mężczyzni milczeli, wkrótce też umilkły i kobiety, znowu usta pozaciskały, lub szeroko pootwierały i oddechy w piersi powstrzymując czekały. Czekali wszyscy. Na co? Na skutek ognia, który żółtą strugą obejmując osinowe drzewo, palił się zrazu nizko przy ziemi, potém płomienistemi języki strzelać zaczął coraz wyżéj.

Na polach pusto było i cicho. Stojąca na zachodzie chmura zagasła całkiem i tylko jeszcze wypływająca z za niéj blada złota łuna rozświecała widnokrąg. Kędyś za wzgórzem zaturkotały koła wozu i w dali umilkły; od wioski dochodziły poszczekiwania psów

i głuchy szmer ludzkiego mrowia; na żadnéj z dróg w cztery strony rozchodzących się od krzyża żywego ducha widać nie było, tylko u końca jednéj z nich drzwi kuźni rozpaliły się czerwono i ozwało się kilka uderzeń młota, które w najbliższym gaju echo powtórzyło głośno i przeciągle. Ale potém, przez długie kilka minut, nie odezwał się już i młot kowalski; w nizkich wierzbach za to, rosnących przy drodze, która do kuźni wiodła, parę razy płaczliwie zaskomlił lelak. W gromadce ludzkiéj, tłoczącéj się u ognia, przy omszałym kamieniu i na przeciw krzyża roznieconego, męzki, świéży głos, głośno i wyraźnie wymówił:

— Albo to prawda?

Wszyscy, nawet poważny i skupiony w sobie Piotr Dziurdzia, obejrzeli się na mówiącego. Był nim wysoki, ładny Klemens.

— Co takiego? co takiego? co ty gadasz? — zaterkotała Stefanowa.

— Albo to prawda, że wiedźma na ogień przyjdzie? z nogi na nogę przestępując, powtórzył parobek.

Tym razem wszystkie kobiety pootwierały szeroko usta, a Franka półgłosem znowu zajęczała. — Oj, Klemens, Klemens!—Ale siwy, chudy, nizki Jakób Szyszko uroczystym głosem rzekł:

— Za *dzidów*, *pradzidów* naszych przychodziła, to czemuż-by i teraz nie miała przyjść?

— A - le! — powtórzył chór głosów.

Klemens znowu z nogi na nogę przestąpił i mniéj trochę śmiało niż przedtém zauważył:

— Może jéj ze wszystkiém na świecie nie ma?

— Kogo? — Wrzasnęła Stefanowa.

— A wiedźmy... wahającym się już głosem odpowiedział parobek.

O! tym razem, przeciw tak zupełnie już krańcowym wątpliwościom, wybuchnęła burza. Stefanowa porwała się obu rękami za biodra i do Klemensa przyskoczyła.

— Wiedźmy nie ma?—krzyknęła,—a dla czegóż mleko u krów przepadło? ha? dla czego przepadło? Czy to ja łgę, że przepadło? Jeżeli ja łgę, to spytajcie się rodzonéj matki, czy nie przepadło?.... I u Szymona spytajcie się i u Jakóba i u wszystkich... Oj! biednaż główeczka moja! Mleka u krów kropeleczki nie ma... dziecku w gębę wlać czego nie ma... a on mówi, że wiedźmy nie ma... Oj dolo moja nieszczęśliwa! oj, paskudniku ty, niedowiarku, *haratyku* taki, że niech Pan Bóg broni...

W ten potok słów i krzyków niewieścich, Klemens wlać zdołał jeszcze słów kilka, więcéj, zda się dla drwiny i na przekór babie niż z przekonania wymówionych.

— Wiadomo! susza taka, że niech Pan Bóg broni, pasza kiepska, to i mleko przepadło...

Ale tym razem zwrócił się ku synowi, sam celebrujący w tym uroczystym akcie Piotr Dziurdzia i łagodnie, ale z wielką powagą mówić zaczął.

— *Hodzi*, Klemens, kiedy nasze *dzidy*, *pradzidy* w *heto* wierzyli, musić *heto prauda*. Nie *breszy* (szczekaj) darmo i czekaj. Może cud boski okaże się nam niegodnym, a *taja*, co nam *takuju kryudu* zrobiła, przyjdzie na ogień zapalony z tego osinowego drzewa, na którym powiesił się Judasz, psia jego dusza, co w żydowskie ręce wydał pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Przemówieniu temu odpowiedziało kilka głośnych westchnień, nad któremi wzbił się jękliwy, donośny, zapalczywy głos Stefanowéj:

— A osinowe drzewo? pewno osinowe?

Ale Jakób Szyszko uciszył niespokojną kobietę porywczym gestem i znowu w gromadce i dokoła niéj zapanowała cisza. W niskich wierzbach przy drodze załkał lelak, o kilka kroków za stojącymi nad ogniem ludźmi, dziecięcy, słaby, zmęczony głos, zapłakał: — Ta-to! Nikt na ten biedny, mały głos nie zwrócił uwagi, oprócz ponurego Stefana, który obejrzał się, kilka kroków postąpił i z głuchem, swarliwém sarkaniem podniósł z ziemi malca w koszuli, z wydętym brzuchem, nabrzmiałemi policzkami, palcem pogrążonym w ustach i błękitnemi oczami, pełnemi łez. Był to syn jego i Rozalki, jedyny. Ze swarliwém sarkaniem Stefan podniósł go z ziemi, ale wnet ściśle ramionami otoczył, do piersi przycisnął i bose stopy jego mokre od wieczornéj rosy, połą kapoty swojéj osłonił. Dziecko blade i obrzękłe, głowę na ramiona ojca pochyliło i wnet oczy przymknęło. O! widocznie potrzebowało ono, niezmiernie potrzebowało tego, dobrego, słodkiego mleka, które krowom jego rodziców odebrała złośliwa wiedźma!

Cicho i cicho! Na polu i drogach wciąż ani ducha żywego. W kuźni znowu odzéwa się stuk młota; echo powtarza je w najbliższym gaju; w ciszy powietrza ogień pali się zwolna, lecz coraz wyżéj. Piotr rzucił weń jeszcze sporą więź drzewa (Stefanowa ma okropną ochotę zawołać znowu: czy osinowe drzewo? czy pewno osinowe? lecz lęka się trochę Piotra i starego Szyszki, więc milczy i tylko niecierpliwie obu rękami fartuch swój targa.), płomień buchnął wysoko, a blaski jego padły na stojący na przeciw krzyż i mnóstwem złotych węży wiły się po nim coraz wyżéj, aż ku rozpiętym jego ramionom... Ujrzawszy krzyż nagle w złocie stojący, wszyscy obecni bez wyjątku pochylili głowy i przeżegnali się powoli, nabożnie...

W tejże chwili, za paru wzgórzami, na drodze, która falując po wzgórzach przepadała w dalekich przestworzach, dało się słyszéć dalekie jeszcze, ale rozgłośne śpiewanie. Po uciszonych przestrzeniach, po pustych polach, po drzemiącym świecie, śpiewanie to płynęło melodyjnie i szeroko, na nutę łagodną i tęskną. Śpiewający głos kobiecym był, silnym, czystym, rozległym, wyraźnie rzucającym w przestrzeń miłośne słowa pieśni.

— Czerez reczeńku, czerez bystruju,
Podaj ruczeńku, podaj miłuju;
Czerez bałoto, czerez zródeńko,
Chadzi do mienie, moje serdeńko,

Na twarzach gromadki, stojącéj przed ogniem i naprzeciw ozłoconego krzyża, odmalowały się zmięszane uczucia zadowolenia, przerażenia, nadewszystko zaś ciekawości. Sam nawet niedowiarek Klemens szeroko oczy roztworzył i rękę podnosił aby przeżegnać się po raz wtóry, ale ze wzruszenia zawisła mu ona w powietrzu.

— Idzie! *uże* idzie! Szepnęły kobiety.

Franka, ze strachu przed wiedźmą, na ziemi przysiadła, z całéj siły przytém trzymając się obu rękami kapoty Klemensa.

Niewidzialna śpiewaczka zbliżając się coraz śpiewała daléj;

— Hdzie ty dzieuczyno myślami błudzisz?
Skaży ty praudu, kaho ty lubisz?
Oj, znaju, znaju, kaho kachaju,
Tylko nie znaju z kim się zwieńczaju!

Tym razem trzy Dziurdziowe jednomyślnie na siebie spojrzały.

— Kowalicha, (kowalowa) czy co? szepnęła żona Piotra.

— Ale! odszepnęła żona Szymona, nikt *hetak* nie *spiewaje*, tylko ona!

Stefanowę od głowy do stóp wstrząsnęło namiętne drgnienie; przeciw zwyczajowi swemu nie rzekła nic, tylko prędko, z urągliwym wyrazem w oczach. które jak zuzle zapłonęły, obejrzała się na męża. Dziwna rzecz! Stefan tak szyję wyprężył i tak całkiem podał się naprzód, jakby chciał po przez wzgórze przejrzeć i zobaczyć tę, któréj głos tylko uszu jego dolatywał. Przyczem, od wyprężenia muskułów wygładziła się całkiem ciemna skóra jego twarzy i tylko czoło zmarszczone, zmięte rzucało na nią wyraz cierpienia.

Na szczycie małego wzgórza ukazała się i szybko zstępować zeń zaczęła postać kobieca, któréj rysów jeszcze rozpoznać nie było można. Szybko idąc, daléj pieśń swą śpiewała.

— Oj, pojdu, pojdu w las i lasoczki,
Hdzie rozćwietajuć drobne listoczki,
Tam ja chadziła i hawaryła,
Sudzi mnie Boże...

Nagle głos śpiewającéj urwał się i zamilkł. Znalazła się ona o kilka kroków od roznieconego ognia i jak w ziemię wryta stanęła. Teraz przy ostatnich światłach dnia i mięszających się z niemi blaskach płomienia postać i twarz jéj uwypukliły się z wyrazistością rzeźby. Młodą jeszcze była, wysoką, silną i kształtną. Z pod wysoko podniesionéj sinéj spódnicy, widać było silne i nagie jéj nogi, bosemi stopami tonące w gęstéj trawie. Oprócz sinéj spódnicy, miała na sobie tylko grubą koszulę, wielki pasiasty fartuch, dwoma rogami mocno do pasa przytwierdzony i napełniony takiem mnóstwem kwitnących ziół, że wylewały się zeń one na jéj spódnicę i czepiając się wzajem aż ku ziemi spływały. Były to liljowe czombry i brunelki, koniczyny różowe i białe, gwiazdziste rumianki, błękitne cykorye polne. Oprócz tego, w obu ramionach niosła ona ogromny snop roślin o długich, twardych łodygach, żółtéj dziewanny i śnieżnego tysiącznika, a był to snop tak wielki, że całą pierś i część twarzy jéj okrywał i że nad nim widać było tylko głowę jéj, wpółosłonioną czerwonawą chustką, z pod któréj, ze stron wszystkich, na grubą koszulę, ogorzałą szyję i wązkie gładkie czoło, wymykały się gęste, krótkie pasma włosów ciemnych, splątanych i bez połysku. W półosłonięta kwiatami i włosami twarz jéj wydawała się grubą i pospolitą; ogorzała, rumiana, z wiśniowemi usty, wypukłemi policzkami i wesoło zadartym nosem, jaśniała ona tylko dwojgiem oczu wielkich i podłużnych, które szarą, błyszczącą, wymowną źrenicą zdawały się mówić, śmiać się, pieścić i śpiewać... Tak z nagiemi nogami, zaróżowionemi odblaskiem ognia, z mnóztwem kwiatów wylewających się z fartucha i osłaniających piersi, z rozrzuconemi włosy i błyszczącém, śmiałem, śmiejącém się spojrzeniem, stanęła ona tuż pod krzyżem, który teraz, stał cały w płomiennym blasku. Pierwszy dźwięk, który z ust jéj wyszedł, brzmiał gapiowatem trochę zadziwieniem.

— Aaaa! rzekła, co wy tu takiego robicie, ludzie?

Ale wnet, jakby przypomniawszy sobie rzecz dobrze znaną, tonem zapytania dodała.

— Wiedźmę na ogień łapiecie? czy co?

A potém, skinęła głową i z zupełną już świadomością dokończyła.

— Aha! mleko u krów przepadło.

I kołysząc głową w obie strony, przeciągle zadziwiła się znowu. Aaaa! umum! dziwy, to dziwy!

W gromadce panowało milczenie grobowe. Zdawać się mogło, że dusze wszystkich tych ludzi zlały się w téj chwili w jedną duszę, która całą siłę swego myślenia, czucia, wzroku i słuchu, niby ostre żądło, w tę kobietę utopiła. Wszyscy powyciągali ku niéj szyje i oczy w nią wlepili. W kilku parach tych oczu nic jeszcze innego nie było, tylko zdziwienie i trochę obrzydzenia. Lecz wzrok Stefanowéj rozpalony i pełen zjadliwych uśmiechów szybko przenosił się z twarzy kobiety stojącéj pod rozpłomienionym krzyżem, na twarz męża, która szczególny przybrała wyraz; mętny uśmiech wewnętrznego niby lubowania się rozlał się po niéj całéj i starł z niéj całkiem zwykłą ponurość, zastępując ją głupowato wyglądającém lecz na wskróś przenikającém go zachwyceniem. Patrzał tak jak gdyby na coś czy na kogoś dosyć napatrzéć się nie mógł. Kobieta z ziołami tymczasem zapytała znowu.—Cóż? czy już przechodziła?

— Nikt nie odpowiedział, W błyszczących i śmiejących się jéj źrenicach, mignął niepokój.

— Cóż? powtórzyła; widzieli już wiedźmę? przechodziła?

Tym razem, z gromadki ozwał się łagodnie brzmiący, ale bardzo poważny głos Piotra Dziurdzi.

— *Abo nie wiedajecie*, że która pierwsza przejdzie koło ognia, ta jest wiedźmą.

— Nu, tonem głębokiego przekonania odparła kobieta, żeby ja tego nie wiedziała, wiem! To i któraż pierwsza przeszła?

Dwa poważne głosy męzkie z których jeden należał do Piotra Dziurdzi, a drugi do Jakóba Szyszki odpowiedziały.

— Ty.

A w mgnieniu oka potém, niby raca z trzaskiem wybuchając w powietrze, wybuchnął jeden niewieści głos, wszystkiemi tonami namiętności doprowadzonéj do furyi i żalu jakiegoś, graniczącego z rozpaczą, powtarzający w nieskończoność ten jeden wyraz.—Ty, ty, ty, ty!

Nic nad ten jeden wyraz Stefanowa wymówić nie mogła, bo trzęsła się od stóp do głowy a z pałających jéj oczu, toczyły się na śniade i chude policzki strumienie łez. Śmiała się, drżała, płakała i tupiąc nogami, wygrażając pięściami krzyczała.—Ty! ty! ty! ty!

— Ja? wymówiła kobieta stojąca pod rozpłomienionym krzyżem i opuściła ramiona tak, że żółte dziewanny i białe krwawniki rozsypały się po trawie i okryły jéj bose stopy.

— Ja! powtórzyła i załamała na spódnicy ciemne, spracowane ręce. Wiśniowe jéj wargi rozwarły się szeroko, w oczach mignęło

uczucie zgrozy. Trwało to jednak króciuchną chwilę i wnet po rumianych, pulchnych jéj policzkach, po czole wązkiem i ustach rozwartych, drgać poczęło mnóztwo figlarnych, wesołych uśmiechów, aż zwyciężywszy zdumienie i przerażenie, śmiech dźwięczny i zanoszący się wybuchnął z jéj piersi. Jak przedtém pieśń, tak teraz śmiech jéj, rozlegał się po drodze i polu szeroko, dźwięcznie, rozgłośnie. Czuć w nim było duszę żywą i świeżą, coś nakształt naiwności dziecka i niezmąconéj wesołości ptaka.

— Ja! ja! wołała śród śmiechu, ja pierwsza na ogień przyszła! Ja mleko krowom odebrała! ja wiedźma! oj, ludzie, ludzie! co wy wymyślili! czy wy *zdureli*! (zgłupieli) czy wam pomięszało się w głowach!

I śmiała się wciąż tak, że aż dłońmi boki sobie przycisnęła i przeginała na wszystkie strony swą silną i kształtną kibić. A gdy już tak wyśmiała się, że aż obu pięściami oczy z łez ocierać musiała, z drgającą jeszcze resztą śmiechu piersią, głośno splunęła.

— Pfu! zawołała, taką *brzydką* rzecz na chrześcijańską duszę powiedziéć! Czy wam nie wstyd.

Schylona, zbierała przez chwilę z ziemi upuszczone z rąk zioła i kwiaty. Potém wyprostowała się i tuż koło gromadki przechodząc rzekła jeszcze.

— Stójcież tu i czekajcie wiedźmy, bo jak Bóg jest w niebie, ona nie okazała się jeszcze. Mnie pilno do mego i do dzieci. Bywajcie zdrowi!

Skinęła głową ku obecnym tak wesoło i uprzejmie, jakby o tém co ją od nich spotkało całkiem już zapomniała, żwawym krokiem poszła drogą wiodącą ku samotnéj chacie i czerwono błyszczącéj obok niéj kuźni. Idąc, zaraz w początku drogi, na skoczną, hulaszczą nutę śpiewać zaczęła najweselszą z pieśni wiejskich.

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na reku,
O, jak zwiażuć białe ruczki,
Nie rozwiażuć do wieku!...

Ludzie pozostali u ognia, stali z pochylonemi głowami, w milczeniu, które pierwszy przerwał Piotr Dziurdzia.

— Ot i okazał nam Pan Bóg wszechmogący krzywdzicielkę naszą...

Żony Piotra i Szymona głośno westchnęły, a Stefanowa poskoczyła i przed mężem, trzymającym w objęciu dziecko, stanęła. Obu rękami trzymając się za biodra, naprzód pochylona, z wlepionemi weń oczami, przez zaciśnięte zęby wymówiła.

— Wiedźma, kowalicha! wiedźma miła twoja! Wiedźma twoje serdeńko najmilsze!

Zdawało się że trzy te wykrzykniki, niby trzy policzki w twarz mu rzucała. On, głowę swą ku głowie uśpionego dziecka pochylił i wyglądał zgryzionym, ponurym, lecz ani mniéj ani więcéj niż zwykle. Żony jakby nie widział i popędliwych gwiżdżących słów jéj jakby nie słyszał. Sam do siebie z cicha mruknął.

— To ja już dawno wiedział, że ona jest wiedźmą!

Hoża Franka opuściła plecy i ramię ładnego parobka i zwrócona w stronę, w ktorą poszła kowalowa, z palcem do ust przyłożonym, głęboko nad czemś rozmyślała. Ogień nie podsycany przygasał i blaski jego spełzły już z krzyża, który wznosił się teraz na tle zmroku wysoki, czarny, niemy. Ludzie którzy niby motyla na świecę, złapali wiedźmę na ogień rozniecony z osinowego drzewa, mogli już i do domów swych odejść, nie odchodzili jednak, dumali i słuchali jak przy drodze wiodącéj do kuźni, w wierzbach i dzikich bzach, coraz częściéj jęczały i łkały lelaki. Para goniących się nietoperzy, krętym lotem przemknęła nad drogą i na ściernisko upadła. Na drodze wiodącéj do kuźni, rozległ się jeszcze rozgłośny i czysty głos kobiecy, wyśpiewujący drugą strofę skocznéj pieśni.

— Hili, hili, szare husi,
Szare husi na piesok,
Pacierała lata młode,
I swoj tonki hałasok.

Śpiewowi temu zdawały się wtórować coraz częstsze uderzenia kowalskiego młota, a przez drzwi kuźni ulatywać zaczęły w mroczną przestrzeń coraz gęstsze roje czerwonych iskier. Śpiewająca kobieta przyśpieszała kroku, a gdy niewielka przestrzeń dzieliła ją od samotnéj chaty, z napełnionego jaskrawem światłem wnętrza kuźni, ozwał się męzki, basowy głos, który przy nieustającém stukaniu młota, połączył się z głosem niewieścim i donośnie wesoło zawtórował trzeciéj strofie pieśni.

— Hili, hili szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chaciela idźci za muż,
Ciepier siedzi i dumaj!

(*c. d. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

Z WYCIECZKI PO GALICYI.

WYCIECZKA DRUGA.

Odwiedziny w Borysławiu i uwagi ogólne o przemyśle galicyjskim.

I.

W połowie drogi między Stryjem a Samborem, na równinie bogatéj i uroczéj, ciągnącéj się wzdłuż sinych i fantastycznie postrzępionych Karpat, które w terasach wznoszą się coraz wyżéj, jak olbrzymie stopnie do nieba wiodące, leży miasto Drohobycz. Chociaż w przeszłości nie jaśniało ono nadzwyczajnemi zdarzeniami, cała bowiem sława historyczna tych okolic spada na pobliski Sambor, na którego rynku, przy odgłosie trąb i bębnów, dumny wojewoda Mniszech zaciągał ongi ochotników, by ci, jego zięciowi i córce Marynie, torowali drogę do tronu moskiewskiego,—mimo to w rocznikach galicyjskich Drohobycz zajmie miejsce poczesne, gdyż z dawien dawna rządzi się doskonale, zamiast długów, ma kapitały w kasie gminnéj, i pod tym względem między miastami galicyjskiemi należy do rzadkich wyjątków, a prócz tego położył on także nie małe zasługi około publicznego wychowania, ponieważ przed ćwierć wiekiem, tj. w epoce, kiedy Galicya pod względem umysłowym była krajem bardzo jeszcze zacofanym, ufundował u siebie ośmioklasowe gimnazyum, przeznaczając na ten cel znaczne kapitały. Cały zaś majątek Drohobycza, powstał z cebuli, która na doskonałéj ziemi tamtejszéj rodzi się jak nigdzie indziéj w Galicyi.

Gdy lat temu dwadzieścia, jako uczeń gimnazyalny bawiłem w tém mieście, nikt tam jeszcze wtedy nie wiedział, że w Borysła-

wiu, wiosce leżącéj o milę od Drohobycza, u samego podnóża Karpat, znajdują się skarby milionowe, które za lat kilka w formie oleju skalnego (petroleum, nafta) wypłyną na powierzchnię ziemi. Skarby w rzeczy saméj wypłynęły, roznosząc po całym świecie nazwę Borysławia, ale równocześnie zmieniły one także do niepoznania fizyognomię Drohobycza. Z miasteczka przeważnie chrześciańskiego, w którém życie każdemu cicho płynęło, bo i taniość była tu wielka, zrobiło się gniazdo na wskroś żydowskie; siedlisko galicyjskich cybularzy, zamieniło się w niezmiernie drogą stolicę bogaczów naftowych, przeważnie żydów, którzy powystawiali tu okazałe domy, nawet pałace. Autochtoni, wyparci na przedmieścia, sadzą wprawdzie cybulę jak dawniéj, ale majątki ich coraz mniejsze, a fizyonomie coraz smutniejsze, otoczeni bowiem ze wszystkich stron nowemi przybyszami, nie mają dawnéj swobody ruchów, i większą część swoich dochodów muszą oddawać tym, którzy umieją wyzyskiwać ich zręcznie. Nowocześni ci zdobywcy, rozsiedli się w śródmieściu i w głównych ulicach Drohobycza, a chociaż mają już miliony i co rok nowe robią, mimo to nie poczuwają się jeszcze do żadnych obowiązków względem kraju, który ich przytulił w latach ucisku, a dziś wzbogaca ich krwawą swoją pracą. Takimi, niestety, są dotąd żydzi galicyjscy, i mimo starań szlachetniéj myślących jednostek, nie możemy nawet przewidziéć, dokąd zajdziemy z tą masą, liczącą 700.000 głów, która obsiadłszy nasze wsie, miasteczka i miasta, karmi się sokami miejscowéj ludności.

Przykre te myśli trapiły mnie przed kilku dniami, gdy jadąc przez Drohobycz, w którym przenocowano mnie bardzo źle, za bardzo drogie pieniądze, dążyłem do małéj stacyi kolei żelaznéj, znajdującéj się tuż pod miastem, zkąd codzień kilka pociągów osobowych do Borysławia odchodzi.

Wzdłuż całych Karpat, ciągnie się dziś kolej żelazna, zwana Transwersalną. Przed laty jeszcze dziesięciu była gotowa tylko część jéj nie długa, między Stryjem a Chyzowem, i ta nazywała się wtedy Dniestrzańską, gdyż prowadzi przez równinę, którą Dniester przepływa. Na téj linii leży Drohobycz. Od tego miasta puszczono odnogę do Borysławia, a chociaż ma ona tylko 8 kilometrów długości, mimo to tak wielki ruch od początku na niéj panował, że dochód z niéj pokrywał zawsze połowę wydatków kolei Dniestrzańskiéj, mającéj 112 kilometrów długości. Samych robotników, pracujących w kopalniach, przyjeżdża do Borysławia i z powrotem

---

(1) Według ostatniego spisu ludności z r. 1880, Galicya liczy 5.958.907 mieszkańców. W téj liczbie żydów 686.593.

rocznie około pół miliona. Prócz tego co dzień odchodzi kilka pociągów z naftą i woskiem ziemnym.

Była godzina siódma rano, gdym bilet kupiwszy wyszedł na peron, by wsiąść do wagonu. Dzień był wilgotny, w nocy bowiem deszcz padał, jednak przyjemny, choć na niebie był dopiero początek marca. Słońce wschodziło duże, zaczerwienione, ale jeszcze zimne. Promienie jego oblały równinę, szeroką ledwie na pół mili, którą z trzech stron otaczają wyskoki Karpat. Tylko strona czwarta, ku wschodowi zwrócona, jest odkryta, i jeżeli tamtędy pojedziesz, to nie spotykając nigdzie gór a jeno małe pagórki, dostaniesz się w głąb' Galicyi, potém na Podole, do Rosyi południowéj, w końcu do morza Czarnego.

Do pociągu, w którym był tylko jeden przedział drugiéj klasy, a ani jednego pierwszéj, cisnęli się sami żydzi. W długich hałatach, z pejsami, brudni, obdarci, ci niosąc poduszki w rękach, tamci kosze na głowach, biegli, po niemiecku szwargocąc, kłócąc się i przeklinając. Między nimi były jednak i inne typy. Wśród tłumu wyróżniałem fizyognomie mniéj brutalne, za to bardziéj chytre; widziałem głowy przyzwoicie ostrzyżone, twarze z małemi brodami, figury, bądź w krótkich kożuszkach i butach wysokich, bądź nawet w paletotach i kaloszach. Byli to żydzi obcy, pruscy lub wiedeńscy, którzy pospołu z czernią jechali do Borysławia. Więcéj oni cywilizowani od żydów galicyjskich, ale téż i straszniejsi od nich. Do Borysławia wszystkim im śpieszno, tam bowiem leży ich ziemia obiecana, płynąca zamiast biblijnego mleka i miodu, doskonałym olejem skalnym i jeszcze droższym od niego woskiem ziemnym. Biegli więc wszyscy, krzycząc i przeklinając, bo każdy bał się, aby pociąg nie odszedł i jego nie zostawił. Pomieścili się jednak wszyscy, pociąg ruszył szczęśliwie, i za minut dwadzieścia, minąwszy fabrykę świec Gartenberga, stojącą na połowie drogi, przyjechaliśmy do Borysławia.

Chociaż ze stacyi do wsi, lub raczéj do miasteczka, jest przeszło ćwierć mili i do tego bardzo złéj drogi, mimo to przed dworcem kolejowym było pusto, jakby wymiótł. Nigdzie dorożki. Chcesz czy nie chcesz, musisz tedy iść pieszo, chyba żeś uprzedził jakiego nafciarza, by ten swój ekwipaż po ciebie wysłał. W takim razie poczekaj chwilę, ale jeśli do pięciu minut nikt nie przyjdzie, to powiédz sobie w duchu, tak jak ja to uczyniłem, że poczta zawiniła i razem z czernią żydowską maszeruj *per pedes apostolorum*. Wiedząc, jak jeszcze dzikim jest Borysław, byłem przezornym i naprzód uwiadomiłem znajomych o moim tamże przyjeździe; dzięki jednak nie zbyt wielkiéj skrupulatności poczty, list na dwa dni przedemną wy-

słany, odbył podróż tym samym co ja pociągiem, i na miejsce przyszedł równocześnie ze mną. Tak więc, złożywszy pakunki na stacyi, szedłem pieszo, brnąc w błocie po kostki. Ale mimo to, nie gniewałem się; przeciwnie, przymusowa ta przechadzka zrobiła na mnie jak najlepsze wrażenie.

Przedemną, w półkolu, stały góry, szpilkowemi lasami porośnięte, wśród których gdzie niegdzie widać było duże płaty śniegu. U ich podnóża, także w półkolu, leżał na terasie Borysław, cały ukryty w mgle sinawéj, którą tworzy dym, wylatujący z licznych kominów parowych. Dla każdego mieszkańca Galicyi, którego oko patrzy ciągle tylko na łany zbożem zasiane, a rzadko gdzie ujrzy jaką gorzelnię, browar lub młyn amerykański, obraz miejscowości przypominającéj, acz w miniaturze, Szląsk fabryczny, musi być miłem zjawiskiem. Gdy idziesz tą drogą, zapominasz o błocie, nie myślisz nawet o żydach, którzy w rękach swoich mają większą połowę Borysławia i w duszy rodzi ci się gorące pragnienie, aby biedna nasza prowincya miała jak najwięcéj takich miejscowości, sam bowiem instynkt, jeźli już nie znajomość ekonomii, mówi ci w téj chwili, że bez fabryk kraj nasz materyalnie nigdy się nie odrodzi, przeciwnie, uprawiając samo tylko zboże, którego zresztą bez przemysłu rolniczego z każdym rokiem mniéj będzie, musi z dniem każdym zapadać w nędzę coraz większą.

W pół godziny stanęłem w Borysławiu.

Dzięki uprzejmości dyrekcyi Banku Kredytowego we Lwowie, który od lat czterech prowadzi w Borysławiu eksploatacyą na wielką skalę, zwiedziłem kopalnie, magazyny, laboratorya; patrzyłem na robotników, spuszczających się w głąb' ziemi na 150 metrów, czasem jeszcze głębiéj, oglądałem wosk ziemny, wydobywany z tych studzien i dokładną mapę geologiczną, przedstawiającą bogactwa Borysławia, widziałem jak puszczano w ruch maszyny parowe, pompujące wodę z głębi ziemi i ułatwiające całą pracę, nareszcie wyszedłem na wyżynkę, zwaną „pagórkiem cesarskim“, skąd w r. 1880, monarcha austryacki, Franciszek Józef, oglądał Borysław.

Stąd miasteczko całe przedstawia się jak jedno wielkie obozowisko, na którem zamiast namiotów płóciennych, stoją domki drewniane, z dachami ostro do góry sterczącemi. Między niemi widać uliczki wąskie, błotniste, bez trotoarów. Ilekroć w życiu przechodziłem przez Mercato Vecchio we Florencyi, zawsze sobie powtarzałem, że nigdzie indziéj tylko tam, nieśmiertelny Alighieri musiał układać swoje „Piekło“. Dziś jednak sądzę, że gdyby Dante widział był Borysław, jego „Piekło“ miało by jeszcze jeden krąg więcéj, a z wszystkich najstraszniejszy. Całe terytoryum, liczące kilkaset

morgów, jest literalnie podziurawione, jak drzewo, które kornik stoczył. Znaczna liczba studzień jest czynna, i z tych przedsiębiorcy wydobywają bądź naftę, bądź wosk ziemny, ale kilkaset innych, może nawet kilka tysięcy, dla tego, że się nie opłacały, lub były źle założone, są dziś zasypane. Tylko niewielkie wklęśnięcia, albo pale nad ziemią sterczące, świadczą o miejscach gdzie się znajdowały. Ponieważ każda studnia, od góry do dołu musi być ocembrzona, przeto w ziemi borysławskiéj zniknęły już całe lasy. Jeżli kiedyś, za lat tysiące, potomkowie nasi odkryją tu kopalnie węgla, to ich geologowie nie jedną noc bezsenną strawią, nim rozwiążą zagadkę, czemu węgielnia leży tu nie w warstwach, lecz długiemi kolumnami zapuszcza się w głąb ziemi.

Na jednym końcu Borysławia ma swoje kopalnie żyd Liebermann, nazywany także „królem naftowym“, na drugim Towarzystwo francuskie. Między nimi w środku pracuje Bank Kredytowy. Niegdyś czerpanie nafty było tu bardzo łatwe. Studnie były oddalone jedna od drugiéj o 7 do 8 metrów, a najgłębsze miały najwyżéj 37 metrów. Mimo to niektóre z nich dawały dziennie po 24 hektolitry oleju. Dziś zmieniły się stosunki. Kto chce mieć naftę, musi teraz bardzo głęboko kopać, a to się już nie opłaca; co było u góry już wyczerpano. Bank Kredytowy uznał tedy za rzecz korzystniejszą, zająć się tylko eksploatacyą wosku ziemnego. Co to jest wosk ziemny?

Wosk ziemny (ozokrit) jest to masa, bardzo podobna do wosku pszczelnego, zwykle brunatna, czasem zielonawa, niekiedy także żółta jak pomarańcza, i wtedy na oko od prawdziwego wosku prawie się nie różni. Tylko jéj ciężar jest znacznie mniejszy od tamtego. Gdy wosk ziemny rozdzierasz, dzieli się na części włókniste i odór ma oleju skalnego. Na wodę rzucony pływa, w gorącu topi się, a zamieniony na świecę, pali się doskonale, lecz kopci jak nafta. Znajduje on się między pokładami soli lub węgla, i jak dotąd, w większéj ilości odkryto go dopiero w trzech miejscowościach. W Newcastel w Anglii, w Slanice w Rumunii i w Borysławiu. W ostatnich czasach zaczęto go także kopać w Truskawcu. Piękne to miejsce kąpielowe znane jest powszechnie, a od Borysławia leży o sześć kilometrów. Dawniéj nie wiedziano, co z woskiem ziemnym począć, odkąd jednak zaczęto z niego wyrabiać doskonałe świece (cerezynę), wartość jego urosła, i teraz w Borysławiu płacą za centnar 32 guldeny. Co do pochodzenia téj substancyi, zdania geologów są podzielone. Jedni utrzymują, że wosk ziemny jest pozostałością oleju skalnego, którego części więcéj lotne w ziemię wsiąknęły; drudzy przeciwnie mniemają, że nafta tworzy się dopiero z wosku. Druga

ta hypoteza, nie trafiająca do przekonania nawet profanom, nie ma między uczonymi wielu obrońców.

Jak dotąd, wydobywano w Borysławiu wosk sposobem rozbójniczym, to jest wiercono studnie gdzie bądź i brano co się dało. O posuwaniu się powolném a roztropném, o budowaniu galeryi, zwłaszcza że wosk leży w kilku warstwach, oddzielonych od siebie dość znaczną przestrzenią, nie było dotąd mowy. Chociaż Bank Kredytowy eksploatuje teraz kopalnie według przepisów górniczych, mimo to złe, które już zrobiono, nie tak prędko da się usunąć, znana to bowiem prawda, że łatwiéj człowieka od dziecka dobrze wychować, niż dorosłego a znarowionego naprawić, i łatwiéj dom nowy postawić, niż walący się tak wyrestaurować, by jak nowy był trwały.

Cały Borysław zrobił na mnie wrażenie wielkiego bankruta. Co miał najlepszego roztrwonił, a dziś goni już ostatkami. Wprawdzie ludzie roją się tu jeszcze jak w mrowisku, z kilkudziesięciu kominów bucha czarny dym, który lokomobile wyrzucają, ale mimo to na twarzach widać niezadowolenie. Nafta zaskórna wyczerpała się, a chociaż ostatniemi czasy w kilku innych miejscowościach w Galicyi zrobiono już odkrycie, że główne rezerwoary nafty znajdują się na 200 metrów w ziemi, gdzie niegdzie jeszcze głębiéj, mimo to borysławscy przemysłowcy nie zapuszczają się tak głęboko, bo albo nie wierzą w powodzenie, bądź też nie mają na to odpowiednich kapitałów. Nie wiercą oni także studzień sposobem kanadyjskim, przy pomocy maszyny parowéj, bo to drogo kosztuje. Ale chociaż widać tu wszędzie zacofanie, Borysław ma jeszcze wielkie skarby, gdyż dotąd rok rocznie produkcya jego reprezentuje 4.000.000 guldenów.

Ludność w Borysławiu jest przeważnie żydowska. Na 16.000 mieszkańców jest ledwie 5.000 chrześcian. Są to prawie sami robotnicy. Bank Kredytowy daje w swoich kopalniach zajęcie 1.500 ludziom, między którymi jest tylko 400 izraelitów. Żyd nie lubi pracować na 100 metrów w głębi ziemi i oddychać wpompowywaném powietrzem. On woli Mazura lub Rusina spuszczać do studni na drucianéj linewce, sam zaś chętnie stoi na górze, przy korbie, jeszcze chętniéj pośredniczy w sprzedaży nafty lub wosku, z przyjemnością także jeździ po wsiach okolicznych i szuka robotników, ale najchętniéj eksploatuje chrześciańskiego robotnika. Jeźli gdzie, to w Borysławiu można przekonać się naocznie, jaki wpływ wywiera czerń żydowska, ilekroć w przeważnéj sile rzuci się na autochtonów. Dawni mieszkańcy Borysławia, ruscy włościanie, którzy niegdyś mieli na swoich gruntach bogate kopalnie, tak się gdzieś rozpierzchli, że w biały dzień trzeba ich z latarnią szukać. Jedni rozpili się i po-

marli, drudzy zmienili się w robotników, rzadko zaś który utrzymał się przy ojcowiźnie. Takich zaś, którzy-by majątki porobili, jest ledwie pięciu. Czteréj pokupowali wioski w okolicy, piąty ma domy w Drohobyczu i w Samborze. Ale podczas gdy dawni panowie tych skarbów noszą dziś żydom wodę, za to ci, którzy przed dziesięciu laty przyszli tu z kilkoma guldenami, mają dziś kroćiowe fortuny i każdemu zuchwale urągają. Choćbyś był największym zwolennikiem równouprawnienia żydów, jednakowoż gdy po Borysławiu chodzisz, musisz sobie w duchu powiedziéć, że ci ludzie dopiero wtedy powinni-by mówić o równych prawach, gdyby wpierw przyjęli na swoje barki odpowiednią część obowiązków, ciążących dziś wyłącznie na rodziméj ludności. Ale oni ani chcą o tém słyszéć w Galicyi. Tu, w Borysławiu, gdzie są w przewadze liczebnéj, ich zuchwałość nie ma granic. Żyd gdzie indziéj potulny, nawet bojaźliwy, tu zapytany o co przez chrześcianina na ulicy, często gęsto nie raczy mu nawet odpowiedziéć. Krwawe sceny z roku ubiegłego, są najlepszą ilustracyą tutejszych stosunków. Wspomniałem wyżéj, że we wschodniéj części Borysławia, Towarzystwo francuskie ma wielkie kopalnie. Prowadzi ono eksploatacyę dobrze, i dba o swoich robotników. Zdawien dawna wystawiło ono dla nich baraki, założyło porządne kantyny, a wypłaty tygodniowe urządza tak sumiennie, że nikt nie może uskarżać się na jego kierowników. Rzecz łatwa do zrozumienia, że nafciarzom jak Liebermann, taki porządek był solą w oku. Żydzi borysławscy starają się wszelkiemi sposobami, a głównie lichwą, trzymać przy sobie robotnika, na końcu zaś tygodnia, zamiast gotówki, dają mu kwity, za które on tylko w kantynach żydowskich może otrzymać artykuły spożywcze. Że te są tam droższe i w najgorszym gatunku, tego nie potrzebuję nawet dodawać. Czyż można się dziwić, jeźli robotnik tak wyzyskiwany, marzył zawsze o Towarzystwie francuskiém jak o raju, do którego chciałby się dostać? Żydzi radzi byli pozbyć się współzawodników. W roku ubiegłym, pewnego dnia sierpniowego, tłum żydowski, liczący głów kilka tysięcy, rzucił się na baraki Towarzystwa i zniszczył je, przyczém kilku robotników ciężko zranił. Kilku z nich umarło. I podczas gdy czerń podmówiona, dopuszczała się gwałtów w Borysławiu, ich kierownicy, siedząc bezpiecznie w Drohobyczu, zatelegrafowali do Wiednia, co tamtejsze dzienniki w lot ogłosiły, że w Borysławiu wszczął się ruch antisemicki, że chrześcianie żydów mordują. W kilka godzin, na miejsce krwawych zamieszek. przyszedł z Drohobycza oddział wojska, a nie długo potém zjechała komisya sądowa. Uspokojono umysły, chrześcianie bowiem przysięgali krwawy odwet, kilkudziesięciu żydów poszło pod klucz i rozpoczęło się śledztwo. Ale

chociaż kilkunastu zamknięto do więzienia (obżałowani zostali razem na 16 lat zasadzeni) mimo to stosunki nie poprawiły się na lepsze, gdyż istotni przewódzcy potrafili uniknąć surowéj ręki sprawiedliwości i pod osłoną prawa, które umieją zręcznie obchodzić, prowadzą daléj niecne swoje rzemiosło.

Po zwiedzeniu kopalń, oglądałem przedmioty, wyrabiane z wosku ziemnego. Są to same świeczki, stoczki i świece, różnéj wielkości, począwszy od malutkich, które palą się na choinkach w wigilję Bożego Narodzenia, a skończywszy na olbrzymich stojących w kościołach przed wielkiemi ołtarzami. Kolor tych wyrobów jest także rozmaity, Widziałem między niemi białe jak śnieg i téj saméj barwy co świece z wosku pszczelnego.

— Gdzie te przedmioty bywają wyrabiane?—zapytałem pewnego przemysłowca, który ze stosunkami fabrycznemi dobrze jest obznajomiony.

— W rozmaitych miejscowościach—odrzekł, a jeżeli rzecz ta interesuje pana, to proszę spojrzéć na ten oto wykaz.

To powiedziawszy, podał mi papier, na którym czytałem:

„Jednoroczna produkcya wosku ziemnego w Borysławiu wynosi 260,000 zwykłych centnarów, czyli 130,000 centnarów metrycznych. Fabryki przerabiające wosk ziemny potrzebują tygodniowo: 1) Ujhelly w Stockerau pod Wiedniem 500 cnt. metr. 2) Himmelbauer w Ostrowie na Morawie 200 cnt. metr. 3) Wagemann w Wiedniu 100 cnt. metr. 4) Kochstetter w Florisdorf pod Wiedniem 100 cnt. metr. 5) Pilz w Aussig w Czechach 50 cntr. metr. 6) Ott w Frankfurcie 50 cnt. metr. 7) Gartenberg w Sosnowicach w Królestwie Pol skiem 700 cent. metr. 8) Kernbaum, także w Sosnowicach 500 cent. metr. 9) Landsberg we Lwowie 100 cent. metr. 10) Filth w Anglii 50 cent. metr. 11) Sarg w Wiedniu 100 cent. metr. 12) Biermann w Rosyi 100 cent. metr. 13) Gartenberg w Drohobyczu 150 cent. metr.“

— Okazuje się z tego, odrzekłem, że w saméj Galicyi przerabiamy ledwie dziesiątą część produkcyi, reszta zaś wychodzi po za nasze granice. Proszę mi teraz łaskawie powiedziéć, czy fabryki galicyjskie zaspakajają potrzeby naszéj prowincyi?

— Bynajmniéj! Część wyrobów, głównie ze Stockerau pod Wiedniem, wraca nazad do Galicyi.

— Jeźli tak, to fabryk przerabiających wosk ziemny należałoby więcéj u nas założyć. Wszak już to samo, co kosztuje transport wosku do Stockerau, a ztamtąd przywóz świec do Galicyi mogłoby stanowić piękny zysk dla fabryki. Prócz tego moglibyśmy wyrabiać także świece na eksport.

Na tę uwagę mój przemysłowiec uśmiechnął się na pół ironicznie, na pół z politowaniem.

— Mój panie, tylko na oko tak to się wydaje—odrzekł, w rzeczywistości inaczéj przedstawia się ta sprawa. Byśmy kiedykolwiek na eksport produkowali, o tém nawet marzyć nie możemy, a co do kosztów transportu, o których pan wspomniałeś, to te są niczém w porównaniu z tém, co każda fabryka w Galicyi musi wpierw pochłonąć i stracić, nim zacznie się opłacać. I wielkie jeszcze pytanie, czy fabryki będą się u nas kiedykolwiek opłacały. O ile wiem, nawet fabryka Gartenberga w Drohobyczu nie robi dobrych interesów. Ubiegłego roku bardzo się już chwiała, i gdyby nie to, że Gartenberg ma drugą taką fabrykę w Sosnowicach, w Kr. Polskiem, która świetnie idzie, to kto wie na czem by się już było skończyło.

— Zkąd jednak pochodzi, że w Sosnowicach zarabia?—zapytałem.

— Zaraz to panu wytłumaczę. Rząd rosyjski ustanowił od jednego wagonu świec (100 centnarów metrycznych) cło w wysokości 1200 rubli w złocie. Równocześnie jednak, aby wyrób tego artykułu umożliwić u siebie, pozwala wosk ziemny bez cła wprowadzać. Gartenberg tedy wozi do Królestwa sam wosk, i tam z niego świece wyrabia. Gdyby więc nie zyskiwał nic więcéj, krom cła, którego nie płaci, to już i tak musiałby tam robić świetne interesa.

Krótka ta rozmowa w Borysławiu, obudziła we mnie tyle myśli i tyle wspomnień, że postanowiłem spisać je jak najprędzéj, by rodacy moi, w innych częściach dawnéj Rzeczypospolitéj dowiedzieli się nareszcie, dla czego Galicya jest taka biedna, i czemu na własny przemysł nie może się zdobyć.

II.

Rok temu bawiłem na Ukrainie, u pewnego obywatela, który ma własną cukrownię, własną kolej żelazną i rok rocznie sadzi w swoim majątku 1500 morgów buraków. Gdym dnia pewnego wyjechał z nim w pole, by posiadłość jego oglądnać, zwracając się do mnie, zapytał:

— A w Galicyi kwitnie cukrownictwo?

— My go prawie nie mamy. Przed dwoma laty były u nas w ruchu dwie cukrownie, teraz jest już tylko jedna, a i ta ledwie dysze.

— Czy tam może ziemia zła, i buraki się nie rodzą?

— Tego nie mogą powiedziéć. Nasze Podole ma ziemię taką samą jak tutejsza, a w innych okolicach, jak w Przemyślskiem, Bełz-

kiem i na Pokuciu, rola jest także doskonała. W ogólności cała Galicya ma urodzajniejszą ziemię niż Wielkopolska, a mimo to księztwo produkuje buraków co nie miara, gdy przeciwnie u nas nikt o nich nie myśli, bo nie ma ich dla kogo sadzić.

— Kto jednak temu winien?

— Trochę my sami, choć stosunkowo jeszcze najmniéj. Główne złe wypływa z nieszczęsnego stosunku naszéj prowincyi do monarchii austryackiéj, która swoim niemcom wydała nas na pastwę.

Widząc że szlachcic spojrzał na mnie okiem zdziwionêm, starałem się, bodaj wogólnych zarysach, obznajomić go z naszemi stosunkami, lecz mimo wielkiego z méj strony wysiłku, nie udało mi się usprawiedliwić przed nim Galicyi. Wysłuchał, ręką machnął i rzekł:

— Źle, moi panowie, bierzecie się do rzeczy i basta! Kto ma taką, jak wy, wolność, ten powinien umieć wszystko zrobić. W waszych rękach leży wasze materyalne odrodzenie. Jeżeli ziemia z pod nóg wam się usuwa, samiście sobie winni.

Takie mniéj więcéj wyobrażenie mają o nas wszyscy: Kongresowiacy, Wielkopolanie, Litwini, Rusini. Każdy z nich jest głęboko przekonany, że właściciele ziemscy w Galicyi są niezmiernie zacofani, i że miasta nasze, nie mają należytego wyobrażenia ani o potrzebach kraju, ani o własnym interesie. Nie myślę ja bezwarunkowo bronić Galicyi; przeciwnie, sam przyznaję, że może w żadnéj innéj części mojéj ojczyzny, nie ma tyle co tu, błędów, śmieszności, nawet grzechów; z drugiéj jednak strony nie mogę Galicyi robić za to odpowiedzialną, że u niéj nie ma przemysłu, skoro nieszczęsne stosunki, których zmiana nie leżała w jéj mocy, przez wiek cały zmuszały ją do życia biernego. Kto inaczéj sądzi, ten niech zechce chwilę mnie posłuchać.

Cały świat godzi się już na to, że rola sama nie jest wstanie utrzymać państwa nowoczesnego, które jeźli ma żyć i rozwijać się prawidłowo, musi mieć wielkie dochody, a tych z saméj ziemi nie można wyciągnąć. Prostą tę prawdę zrozumiały najpierw Anglia i Francya, po nich poszły Niemcy i inne kraje, dla tego też zdawien dawna widzimy na zachodzie gorliwe krzątanie się około rozwoju przemysłu i handlu, aby dochody z tych dwóch gałęzi pracy ludzkiéj płynące, mogły pokryć wszystkie potrzeby nowoczesnych państw i społeczeństw. W jaki jednak sposób rozwinął się przemysł tak na Zachodzie, jak w środkowéj Europie, w Królestwie Polskiém i w Rosyi? Bardzo wielu sądzi, że powołała go do życia zbiorowa praca jednostek, bez żadnego przyczynienia się rządów. Jakkolwiek to przekonanie jest błędne, mimo to nie dziwimy się, że tak się roz-

powszechniło, ludzie bowiem mają krótką pamięć, a że w ostatniém pięćdziesięcioleciu słyszeli ciągle hymny na część wolności handlu i przemysłu, która miała cuda zdziałać, przeto rzecz naturalna, że jeszcze dziś nie jednemu może się zdawać, iż opieka rządów szkodziła zawsze i wszędzie prawidłowemu rozwojowi pracy ludzkiéj. Że zapatrywanie to jest mylne, o tém przekonały nas wypadki kilku lat ostatnich. Zasada *laissez faire*, *laissez passer*, korzystna dla mocnych, lecz zabójcza dla słabych, zbankrutowała nierównie prędzéj, niż się tego spodziewali sami jéj przeciwnicy, i teraz rządy europejskie starają się znów rozmaitemi sposobami ograniczać wolność tak handlu jak przemysłu. Czynią to zaś nie dla dogodzenia swojéj fantazyi, lecz w dobrze zrozumianym interesie społeczeństw ich pieczy powierzonych, ponieważ teorya Smitha, mimo iż dla niéj nie miał dość słów pochwały nawet tak gienialny człowiek jak Buckle, okazała się dotąd korzystną w Europie tylko dla jednéj Anglii, która dzięki dawniejszéj opiece rządu, postawiła swój przemysł na najwyższym szczeblu, i mając prócz tego cały handel w swym ręku, mogła zarzucić własnemi wyrobami rynki całego świata. W warunkach mniéj korzystnych znajduje się już jéj sąsiadka, Francya, i dla tego w chwili gdy to piszemy, ustanawia ona u siebie cła od zboża i bydła, aby zasłonić swoje rolnictwo przed niebezpieczną konkurencyą. Gdzie się więc podziała do niedawna jeszcze tak sławiona zasada *laissez faire*, *laissez passer*? W teoryi została mrzonką, w rzeczywistości okazała się zgubném hasłem. Im spokojniéj zaczynamy teraz przeszłość badać, tém dobitniéj występuje ta prawda, że niemal wszędzie przemysł zawdzięcza swoje istnienie opiece rządów. Wolność, głoszona przez angielskich samolubów, przyczyniła się gdzie niegdzie do jego rozwoju, lecz do życia nigdzie go sama nie powołała. Gdybyśmy chcieli dać wierny obraz tego, co dla zaszczepienia i utrzymania przemysłu, uczyniły rządy na zachodzie, w środkowéj Europie, nareszcie w Królestwie Polskiem i w Rosyi, to musielibyśmy znacznie przekroczyć ramy naszéj rozprawki. Aby więc uniknąć rozwlekości, przytoczymy tylko kilka szczegółów z dzieła d-ra Tadeusza Rutowskiego (1) który tę sprawę badał sumiennie. Dziwimy się, mówi tenże, iż Francya wywozi dziś rocznie za 1,600 miljonów franków samych wyrobów przemysłu artystycznego, a w tém wyrobów garncarstwa (Ceramiki) za 60 miljonów franków. Ależ to olbrzymie źródło narodowego bogactwa, przemysł artystyczny, artykuły galanteryjne, zbytku, mody, (Colbert powiedział, że mody więcéj znaczą dla Francyi niż złoto Peru dla Hiszpanji), zostało otwarte znacznym nie-

(1) W sprawie przemysłu krajowego.—Kraków 1883.

gdyś nakładem, wielkiemi ofiarami. Za czasów Franciszka I, a nawet dawniéj jeszcze, zwłaszcza za Henryka IV i Ludwika XIV, wydawano olbrzymie sumy na ugruntowanie importowanego z Włoch przemysłu jedwabniczego. Dziś ten przemysł dominuje na wszystkich targach świata, ale on nie spadł z nieba, ani go społeczeństwo własnemi siłami do życia powołało, lecz zostaje w ścisłym związku z temi subwencyami, o których historya francuzkiego przemysłu na każdéj karcie mówi. Za Henryka IV dawano ze skarbu 2.000 liwrów za każden warstat tkacki jedwabniczy w ruch puszczony. Podobnież subwencyonował Colbert holenderskich tkaczy wełnianych, którzy byli założycielami późniejszéj olbrzymiéj sukienniczéj produkcyi Francyi. Któż nie wie, ile kosztowała ta akademia smaku, wysoka szkoła, z któréj wywodzi się artystyczny przemysł dekoracyjny Francyi, słowem fabryki kobierców, obić meblowych, mebli i tapet, Savonnerie, Beauvais i Gobelins, zaszczepione miljonami skarbu francuzkiego, założone przez brabanckich i flamanckich majstrów-artystów? Koronki francuzkie, wydają się „naturalnym“ produktem francuzkiego smaku. A przecież wiążą się one w prostéj linji z ową panią Gilbert, która w zamku Colberta Louvay pod Alençon, z trzydziestu wenecyankami otworzyła pierwsze atelier, otrzymawszy ze skarbu 150.000 liwrów subwencyi, na owe czasy kolosalną sumę. Takie to subwencye i przywileje zagwarantowane edyktem z r. 1665, stworzyły przemysł miljonowy koronek, *Points de France*. Wenecyanki i Flamandki uczyły, a powstał z tego wnet rodzimy przemysł francuzki. Już we 20 lat było w saméj okolicy Havru 22,000 koronczarek. Tak samo powstała industrya zwierciadeł kryształowych, garncarstwo, owa przesławna *Poterie de France*, niezrównane artystyczne brązownictwo itp. Francuską politykę przemysłową odznaczało zawsze używanie całych środków. Napoleon dał miljon franków na nagrody i zachęty dla stworzenia przemysłu cukrowniczego z buraka, drugi zaś miljon na wynalezienie mechanicznego warstatu do przędzenia lnu. W Anglii wydawano krocie i miljony na ściągnięcie obcych przemysłowców, na wprowadzenie nowych industryj, na kupno maszyn, narzędzi, wynalazków. Miljony wydawano w formie premij eksportowych. Na przyjęcie wypędzonych z Francyi Hugenotów, którzy kilkadziesiąt gałęzi przemysłu w Anglii zaszczepili, złożono 200,000 funtów sterlingów. Na zaszczepienie i rozwój przemysłu lnianego, na wspieranie kultury lnu i doskonalenie procesu przędzenia i tkania, uchwalał angielski parlament od r. 1711 do 1828 bez przerwy od 6 do 20 tysięcy funtów sterlingów rocznie. Premie eksportowe, ażeby zdobyć dla płóciennictwa angielskiego, a zwłaszcza sławnego irlandzkiego, targi świata, trwały do r. 1830, a w roku

1829 wyniosły one 300,000 funtów sterlingów. To samo działo się w Belgii, Holandyi, w Prusiech, Saksonii, Wirtembergii, Bawaryi. W Saksonii i Wirtembergii, do dziś dnia wydatki na cele przemysłowe stanowią znacznie wyższy procent budżetu państw, niż w Austryi. Kiedy mianowicie według budżetu 1882/3 wypada w Austryi na cele przemysłowe 0.21 procent całego budżetu, to w tymże roku w Wirtembergji wypada 0.79 proc. a w Saksonji 1.18 proc. Jaskrawiéj występuje różnica, jeźli kwotę na cele przemysłowe rozliczy się na głowę mieszkańca. W Austryi wypada na głowę 9.43 feniki, gdy w Wirtembergii 20.63 feni. a w Saksonii 21.06 feni. Królestwo Polskie, przez lat dziesiątek wydawało z funduszu przemysłowego po 127.000 rs. rocznie, co biorąc wartość ówczesną pieniędzy, znaczy śmiało pół miliona guldenów austryackich. Obowiązek bezpośredniego popierania przemysłu, przejął potém Bank polski i spełniał przez lat trzydzieści. Na górnictwo wydawano jeszcze więcéj. W Rosyi subwencye dla przedsiębiorstw fabrycznych są ciągle na porządku dziennym, dawniéj zaś były regułą. Tak np. szambelan W. Pełczyński w swém dziele: „O stanie sił przemysłowych Rosyi do r. 1832" (Petersburg 1833) mówi, że rząd dopomógł pieniężném wsparciem i innemi środkami 54 gałęziom przemysłu. Dziś najzwyklejszą formą subwencyi, są olbrzymie obstalunki i liwerunki na potrzeby państwa, kolei, wojska itd.—Węgrzy (odkąd odzyskali byt państwowy) dają subwencye, pożyczki łatwe: i trzymają się ściśle protekcyi krajowego wyrobu przy wszystkich dostawach na potrzeby administracyi państwa. Kosztuje to wprawdzie drożéj, lecz za to przemysł powstaje. Węgrzy dopiero od lat kilkunastu mają samodzielność ekonomiczną, a dziś już niemal wszystko, czego rząd potrzebuje, w kraju dostaje. Rząd, jako największy konsument papieru, przyjął zasadę, żeby „ani jeden arkusz" nie był kupiony za granicami Węgier. Dla wojska pracują fabryki sukna i płótna w Preszburgu, Losoncz i Gacz, podobnież fabryki obuwia; dla ministerstwa rolnictwa fabryka calico w Preszburgu i nowa fabryka płótna lnianego w Keszmarku. Ministeryum dla rolnictwa, przemysłu i handlu, zawarło w r. 1881 z krajowemi fabrykami kontrakt na trzy lata. To samo dzieje się w młodziutkich państewkach naddunajskich. W Rumunii subwencyonuje rząd cały szereg gałęzi przemysłu. Naprzykład, na saméj granicy Siedmiogrodu, subwencyonuje teraz wielką fabrykę szkła, która ogromnie szkodzi przemysłowi węgierskiemu. Z drugiéj strony, pomoc i różne korzyści, zapewnione przez rząd rumuński zakładającym w kraju fabryki, są takie, że już wielu fabrykantów niemieckich tam się przeniosło, lub pozakładało filje. W ostatnich czasach rozwinął się bardzo wywóz austryackiego spirytusu do Bulgaryi. W lot

rząd bułgarski zawarł z francuzką kompanią ugodę, mocą któréj za znaczne przywileje i pieniężną subwencyą, kompania ta ma założyć w Bułgaryi kilka fabryk spirytusu, żeby kraj ten uczynić niezależnym od obcego przywozu. Toż samo ma się z żeglugą parową. Pruska *Seehandlung* pochłonęła miliony ze skarbu państwa, a dziś ks. Bismarck żąda znów milionów od Reichstagu, aby żeglugę morską ugruntować. Anglia płaci rocznie 15 milionów franków subwencyi różnym liniom żeglugi parowéj. Francya subwencyonuje linie łączące Francyą z Korsyką, Brazylią, Anglią, Antyllami i Nowym Yorkiem, francuskiemi Indyami, Algierem i Tunisem, kwotę 24 milionów franków. Nawet Włochy wydają na ten cel 8 milionów franków.

Ze szczegółów, któreśmy dotąd przytoczyli, a jest to ledwie milionowa część tego, coby w tym przedmiocie dało się jeszcze powiedziéć, okazuje się, że każdy rząd rozumny starał się zawsze o to usilnie by przemysł w jego państwie przyjął się i zakwitnął. To téż mimo że subwencyonował warstaty i fabryki, ustanawiał premie, zakładał szkoły przemysłowe, budował drogi, i ułatwiał kredyt, równocześnie wysokiemi cłami zabezpieczał także wyroby własnego kraju, wielkiemi zaś nagrodami ułatwiał ich wywóz za granicę. Sam Cobden, chociaż w naszém stuleciu był najgłośniejszym rzecznikiem wolności handlu i przemysłu, za co mu téż jego rodacy 75.000 funtów sterlingów w upominku złożyli, niejednokrotnie wyjawiał zdanie, że cła ochronne są tak długo potrzebne, póki wyroby, dla których zostały ustanowione nie udoskonalą się pod każdym względem. Gdy już będą najlepsze i najtańsze, i gdy prócz tego rozumnie uorganizowany handel zdobędzie dla nich wszystkie rynki na świecie, wtedy dopiero ostoją się bez ceł ochronnych, bo nie będą potrzebowały lękać się konkurencyi. Ponieważ pod tym względem nie każdy kraj jest tak szczęśliwy jak Anglia, przeto dziwić się nie można, że większość państw europejskich porzuca dziś egoistyczną teoryą Smitha, na któréj liberalizm wyzysk zbudował, i wraca do systemu ceł ochronnych, poczytując je za deskę ratunkową.

III.

Co rząd austryacki uczynił w Galicyi, by w niéj przemysł dźwignąć?

Przez lat 90, tj. od r. 1872 do 1862, rząd wiedeński tak się zachowywał wobec Galicyi, jak gdyby cały ten kraj nie był jego własnością, lecz dzierżawą, z któréj prędzéj lub późniéj będzie musiał

ustąpić. Im uważniéj przypatrujemy się systemowi rządów ówczesnych, tém uporoczywiéj nasuwa się pytanie, co więcéj w nim zadziwia, zła wola czy niedołęztwo? Jeżeli Austrya uważała Galicyą za swoją własność, a mimo to niszczyła ją pod każdym względem, tak moralnie, jak materyalnie, to twórcy téj polityki byli co najmniéj niedołężni. Bo czyż roztropny właściciel niszczy własny majątek? A jeżeli na Galicyą spoglądała jak na dzierżawę, to czy wtedy jéj polityka nie była nacechowana złą wolą? Wziąć kraj obszerny i z natury bogaty, powaśnić wszystkich jego mieszkańców, a ziemię tak wyniszczyć, aby sam kąkol rodziła, potém zaś kraj ten pierwszemu lepszemu odstąpić, czyżby to było roztropne i uczciwe? A jednak austryaccy mężowie stanu tak postępowali między 1772 a 1862 r. Wiemy, że Rzeczpospolita nie była państwem dobrze rządzoném. Pod względem zaś ekonomiczném należała ona do najsłabszych organizmów. Państwo, które swoich płodów wywoziło najwyżéj za 200 miljonów złotych polskich, przywoziło samych artykułów szlachcie potrzebnych najmniéj za 800 miljonów, takie państwo nie mogło stać o własnych siłach. Że skarb był zawsze pusty, że nie było za co wojska utrzymać, o tém wszyscy wiemy. Ale jeżeli my sami surowy dziś sąd wydajemy o naszych przodkach, że lekkomyślnie zgubili siebie i państwo, to cóż dopiero mamy mówić o monarchii, która mimo iż swą sąsiadkę wyprzedziła w gospodarności i w organizacyi państwowéj, przyłączywszy potém jéj część do swego organizmu, zaczęła ją eksploatować na sposoby rozmaite, jakby chciała koniecznie przywieźć do kija żebraczego wszystkich jéj mieszkańców. Gdy Austrya, jednego strzału nie dawszy, brała w posiadanie Galicyą, znalazła tu ludność tylko rolniczą, która gdzie niegdzie zajmowała się także przemysłem domowym, zaspokajającym nie zbyt wielkie potrzeby włościan i drobnego mieszczaństwa. Pierwszy kanclerz téj prowincyi, hr. Wrbna, rozpatrzywszy się w miejscowych stosunkach, głośno upominał, by z Galicyi nie brano, lecz do niéj wkładano. Innego atoli zdania byli ówcześni politycy wiedeńscy. Monarchią były dla nich tylko prowincye niemieckie tudzież kraje za niemieckie wówczas uważane, jak Szląsk, Morawa i Czechy, Galicya zaś miała pozostać rynkiem zbytu dla niemieckich fabrykantów. Kto odtąd w Galicyi chciał być innego zdania, tego uważano za buntownika. Aby zamierzony cel rychło osiągnąć, wzięto się energicznie do dzieła. Najpierw wygórowanemi podatkami kraj obciążono; następnie ustawą o stemplowaniu sreber i kosztowności zabrano mieszkańcom miliony; bankructwem podczas wojen francuskich zniszczono tysiące rodzin; za sól z Wieliczki i za tytoń zabierał rząd rok rocznie do 10 milionów; za sprzedane dobra królewskie ściągnął pienią-

dze do Wiednia; każdéj chwili brał depozyta sądowe z Tarnowa Lwowa i Stanisławowa; słowem prawie przez cały wiek polował na kapitały w Galicyi. W ciągu lat 90 zniknęły też z Galicyi pieniężne zapasy. Czyż w takich warunkach mógł przemysł dźwignąć się o własnych siłach? Gdzie indziéj, jakeśmy to wykazali, uznano, że miliony znajdujące się w rękach prywatnych nie stworzą przemysłu, jeżeli rząd sam nie poświęci na ten cel swoich milionów. W Galicyi rząd nie tylko sam nic nie dał, ale jeszcze zabrał co było, aby jéj mieszkańcom odebrać ostatnią nadzieję. Nie koniec jednak na tém, Polacy, mimo braku gotówki, mimo trudności stawianych im na każdym kroku, pamiętając, że Czartoryscy, Tyzenhauzy, Jezierscy i inni poczytywali zakładanie fabryk nie tylko za rzecz korzystną, lecz także za czyn patryotyczny, postanowili bądź co bądź stworzyć przemysł w Galicyi. Zaraz zobaczymy, jak z tymi obszedł się rząd wiedeński.

Hr. Miączyński, w Załościcach pod Złoczowem, kupił w r. 1840 pozwolenie na założenie fabryki przednich sukien. Postawiwszy gmach i sprowadziwszy wszystko potrzebne, uwiadomił władzę, że fabrykę wkrótce otworzy. W odpowiedzi otrzymał rozkaz płacenia od fabryki rocznie 10.000 guldenów podatków. Gdy po sumiennem obliczeniu okazało się, że fabryka, przy najświetniejszém nawet powodzeniu, takiego zysku nie przyniesie, właściciel postanowił wcale jéj nie otwierać.

Jakiś Holender założył pod Tarnowem krochmalnię. Ledwie ją w ruch puścił, kazano mu płacić podatek od 25.000 guldenów dochodu. Przestraszony Holender sprzedał czem prędzéj zakład, który nigdy już potém nie prosperował i wyniósł się z Galicyi.

Niejaki Schoenfeld, założył w Nawsiu Kołaczyckiem fabrykę wyrobów bawełnianych, która puszczona w ruch wielkim kapitałem i przez człowieka znającego się na rzeczy, wybornie się udała. Jak długo fabrykował nic mu nie mówiono, lecz gdy zaczął towar sprzedawać zabroniono mu tego, rząd bowiem odwołał się do patentów z r. 1777. 1784 i 1789, które mówiły o stemplowaniu towarów tak krajowych, jak zagranicznych. W moc tych patentów, wszystkie wyroby jego fabryki kazano mu przed sprzedażą, posyłać do Wiednia dla stemplowania. Ponieważ koszt téj podwójnéj przesyłki, do Wiednia i z powrotem do kraju, w czasach, gdy nie było kolei żelaznéj, znacznie przewyższał wszelki zysk fabryczny, przeto właściciel wolał zamknąć swój zakład kosztowny, niż narażać się na stratę niechybną.

W r. 1851 miało powstać akcyjne towarzystwo dla przemysłu tkackiego, na którego czele stali ks. Sapieha i hr. Krasicki, ale upadło, dzięki rządowi.

W r. 1842, właściciel Koropca nad Dniestrem, chciał zaprowadzić żeglugę parową na Dniestrze, a w owych czasach droga do Odessy była znakomitą linią eksportową, spławiano nią bowiem rok rocznie po 100.000 czetwierti zboża. Pod przewodem p. Mysłowskiego, zawiązało się towarzystwo posiadaczy dóbr naddnietrzańskich, przystąpili spekulanci z Tryestu i zgłaszali się kupcy bremeńscy, zakupiono wyborny materyał budowlany i zaczęto statki budować, ale gubernator Galicyi odmówił pozwolenia na przedsiębiorstwo i trzeba było wszystko porzucić.

W tym samym czasie chciał hr. Mitrowski uregulować Wisłokę własnym kosztem, ale pod warunkiem żeby przez lat kilka z téj drogi wodnéj tylko sam mógł korzystać. Rząd nie dał mu pozwolenia...

W Galicyi było w pewnéj epoce kilkanaście cukrowni, ale ponieważ rządowi nie podobała się kultura buraków, gdyż bał slę uszczerbku kultury tytoniu, którym handel zmonopolizował dla skarbu, i gdy z drugiéj strony nie chciał, by cukier galicyjski rugował z miejscowych targów cukier czeski i morawski, przeto systematycznemi sekaturami i stałem zwiększaniem podatków, do tego doprowadził, że dziś w Galicyi jest już tylko jedna cukrownia. Jedna z sekatur, któréj często używał, zasługuje na zanotowanie w tém miejscu. Gdy hr. Henryk Dzieduszycki zaczął w Tłumaczu budować wielką cukrownię, wtedy rząd postanowił mu najpierw za warunek, żeby wszystkie maszyny tylko z Wiednia sprowadzał, a następnie, żeby złożył kaucyą za wszystkie mosty między Wiedniem a Tłumaczem, gdyż bardzo być może że się z nich który zawali pod ciężkiemi maszynami. Hrabia złożył kaucyą, gdyż był magnatem, lecz czy byłby ją złożył człowiek uboższy?

W r. 1851, po kilkoletnich staraniach, krakowscy piekarze wyrobili sobie wolność wypieku, gdy poprzednio władza miejska nakładała ceny na białe pieczywo. Ogłoszona wolność przyniosla to, co w pierwszéj chwili musiało stać się z ludźmi do niéj nie przyzwyczajonymi: oto sprzedawano pieczywo małe, a po cenach wysokich. Widoczną było rzeczą, że piekarze, ufni w swoją wolność, jedynie przed konkurencyą ulegną. Aby stworzyć konkurencyą, trzeba było spółki. Tą myślą ożywieni, obywatele krakowscy postanowili utworzyć towarzystwo akcyjne, dla założenia wielkiéj piekarni, ale ponieważ rząd nie pozwolił zebrać się akcyonaryuszom i statut ułożyć, więc i towarzystwo nie przyszło do skutku.

Jedném z najzyskowniejszych źródeł bogactwa narodowego Galicyi, mogłaby być produkcya połączona z przędzeniem lnu i konopi. Już przed laty trzydziestu rodzlło się u nas rocznie lnu ćwierć

miliona, a konopi pół miliona centnarów, z których na ręcznych warstatach chłopi wyrabiali do dwóch milionów sztuk płótna grubego. Przędzenie lnu i konopi wzdłuż podnóża Karpat, gdyby było ożywione maszynami i kapitałami, stałoby się najważniejszą gałęzią produkcyjną i położyłoby tamę ogromnemu przywozowi lnianego przędziwa angielskiego do monarchii austryackiéj. Towarzystwo rolnicze we Lwowie, zastanowiwszy się uważnie nad tym przedmiotem, ułożyło w r. 1847 z wielką dokładnością wywód, jak koniecznem jest udoskonalenie uprawy i podniesienie industryi lnu i konopi. Rozprawa ta, umieszczona w II tomie Roczników Tow. rol. wykazała, że Galicya posiada wszelkie warunki do olbrzymiego wzrostu téj gałęzi przemysłu rolniczego, że materyał surowy znajduje się u nas w niezmiernéj ilości, że te same ręce, co dzisiaj ciężko a bezowocnie pracują, zyskałyby w dwójnasób plonu, gdyby umiejętniéj mogły pracować; słowem, że brak jedynie wykształcenia technicznego, aby nieobliczone dla kraju wyciągnąć korzyści. Wspomniana rozprawa nie mogła być ogłoszoną w czasie stosowniejszym, w owéj bowiem chwili wysyłał rząd własnym kosztem fabrykantów niemieckich i czeskich do Belgji, w celu dokładnego zbadania i wyuczenia się uprawy lnu i konopi. Towarzystwo rol. posyłając swój wywód rządowi, prosiło, aby do grona wspomnianego poselstwa *jeden* przynajmniéj uczeń z Galicyi był przyjęty, tém bardziéj, że produkcya lnu i konopi daleko wyższą jest u nas, niż w innych prowincyach monarchii austryackiéj. Rząd *przyjęcia jednego ucznia z Galicyi odmówił*, a Towarzystwu odpowiedział, że przemysł ten w Galicyi na niższym znajduje się stopniu, niźli w innych prowincyach, galicyanie powinni się zatém starać, aby wprzód to doścignąć, nim pomyślą o dalszém wykształceniu. Nie wolno więc było uczyć się Galicyi metody belgijskiéj, gdyż mogło by się zdarzyć, że Galicya byłaby potém współzawodniczyła z producentami niemieckimi. Dzięki téj metodzie, któréj rząd wiedeński trzyma się konsekwentnie, Galicya jeszcze ciągle sprowadza cienkie płótna z Czech, Morawy, Saksonii, Holandyi i Szwajcaryi.

Galicya, nie mając żadnéj instytucyi finansowéj, któraby rolnictwo wspierała, a wystawiona na wyzysk ze strony niemieckiéj, chciała koniecznie utworzyć u siebie Towarzystwo kredytowe. Otrzymała nareszcie koncesyą, lecz dopiero w r. 1841, *po dwunastoletnich* zabiegach.

Gdy rząd obejmował Galicyą, zastał w téj prowincyj 5.200 gorzelni gospodarczych, dzięki którym produkcya rolnicza stała na dość wysokim stopniu. Sławny fiskalizm austryacki doprowadził je-

dnak do tego, że dziś jest w Galicyi nie spełna 400 gorzelni a i z tych większa połowa chyli się do upadku.

Sądzę, że przykłady które przytoczyłem wystarczą, aby czytelnik mógł sobie utworzyć wierny obraz gospodarki austryackiéj, w téj części dawnéj Rzeczypospolitéj, która nazywa się teraz Galicyą. Faktów, jak powyższe, możnaby zebrać tysiące. Wszystkie zaś one udowadniają tę smutną prawdę, że ministrowie wiedeńscy, pragnąc wzbogacić prowincye niemieckie, *nie chcieli* w Galicyi przemysłu. Dla tego to nie tylko sami ze skarbu państwa nic nam nie dawali, ale na domiar złego stawiali najróżnorodniejsze przeszkody inicyatywie prywatnéj. Dzięki temu systemowi, w połowie bieżącego stulecia, Galicya była już zniszczona. Kiedy w ościennem Królestwie Polskiem dla wyrobów wełnianych było *wielkich zakładów 16*, *pomniejszych 1,181*; warstatów 5,405; przędzalni wełny 82, machin w tychże 1,175, i kiedy tam wyrabiano sukna 2,087,477 arszynów, to *równocześnie* w Galicyi nie było *ani jednéj fabryki lepszego sukna*, gdyż rząd ich nie tolerował, o czém przekonywa nas najlepiéj wspomniana wyżéj fabryka hr. Miączyńskiego. Kiedy w Królestwie Polskiem, do *wyrobów bawełnianych*, *było wielkich zakładów 52*, *a pomniejszych 2.340*, i gdy produkcya roczna wynosiła rocznie 16 miljonów arszynów, to równocześnie w Galicyi nie było *ani jednéj* fabryki bawełnianéj, jedyną bowiem w Nawsiu musiał właściciel zamknąć, wskutek niesumienności rządu. Kiedy w Królestwie Polskiem było *16 zakładów wyrobów jedwabnych*, które dostarczały 40,000 arszynów, to równocześnie w Galicyi *nie było ani jednego* podobnego zakładu. Kiedy w Królestwie Polskiem wyrabiano *płótna webowego* arszynów 18,376, cienkiego 995,612, grubego 1,074,041, innych tkanin 3,094,033, a prócz tego włościanie wyrabiali na własną potrzebę rocznie arszynów 9,412,519, to równocześnie w Galicyi, gdzie chłopi dostarczali rocznie około 2 miljonów sztuk płótna grubego, *nie było ani jednéj* porządnéj fabryki płótna. Kiedy w Królestwie Polskiem, miejscowe fabryki sukna i tkanin wełnianych, przerabiały rocznie 30,000 centnarów wełny na swoją potrzebę, którą w zupełności pokrywały, a oprócz tego do Rosyi, Prus i Austryi, chodowcy owiec wysyłali jeszcze wełny za 12 miljonów złotych polskich, to równocześnie Galicya, z prowincyj niemieckich była zmuszona sprowadzić sukna za 3½ miljona guldenów, a że wełny wywoziła tylko za 1½ miljona, więc na *tym jednym artykule traciła rocznie okrągłe 2 miljony guldenów*. Taki sam stosunek zachodził w innych gałęziach przemysłu (1).

(1) Cyfry czerpane z dzieła W. Kalinki. „Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem". Paryż, 1855.

Daty powyżéj przytoczone, odnoszą się do r. 1850. Od tego czasu produkcya Królestwa pomnożyła się dziesięć krotnie, a galicyjska stoi na dawném miejscu. Zapytuję teraz, na kogo spada odpowiedzialność za te opłakane stosunki, na mieszkańców Galicyi, czy też na tych, którzy tak pięknie nią się opiekowali? Wszak jeźli prawdą jest, co dziś mówią śmiertelni nasi nieprzyjaciele, niemcy, że mieszkańcy Galicyi tylko dla tego nie umieją u siebie stworzyć przemysłu że są leniwi, lekkomyślni i nie wytrwali, to w takim razie byli by do nas przyszli ci sami niemcy, którzy aby swoję dawną gospodarkę uniewinnić, tak namiętnie rzucają się teraz na nas; prócz nich byliby się także pojawili Francuzi, Belgowie, Holendrzy, i ci zasiali by nasz kraj tysiącem fabryk. Wszak w Królestwie, na Podolu, Ukrainie, ludność nie jest inna niż w Galicyi, a mimo to tam przemysł kwitnie, a tu go nie ma. Przytoczę jeszcze jeden przykład. Hr. Alfred Potocki, należący do pierwszych w kraju magnatów ma cukrownie na Podolu rosyjskiem, które prosperują, a jedyną, którą miał w Łańcucie, w Galicyi, musiał zamknąć, bo ciągle na niéj tracił. Kto więc winien, on, czy stosunki, w jakich znajduje się nasza prowincya? Zarzut przeto, że jedynie lenistwo nasze jest przyczyną naszéj nędzy, nie wytrzymuje najlżejszéj krytyki, bo przecie nawet arcypracowity i zapobiegliwy Holender musiał uciekać ze swojéj krochmalni pod Tarnowem, a jak wyszła kompania niemiecka, która kupiła fabrykę cukru w Tłumaczu, to wkrótce zobaczymy.

Chociaż obraz, któryśmy dotąd roztoczyli przed wzrokiem czytelnika, bardzo jest ponury, nie był by on jednak zupełny, gdybyśmy pominęli jeden ważny szczegół. Wspomniałem wyżéj, że gdy Austrya Galicyą brała w posiadanie, w prowincyi naszéj kwitł przemysł domowy, który prawie całkiem zaspokajał potrzeby miejscowéj ludności wiejskiéj. W Gorlicach, Andrychowie, Przeworsku, Tarnowie i na całém podgórzu karpackiem wyrabiano płótna, drelichy, obrusy, kożuchy, obuwie, narzędzia gospodarskie, wózki, doskonałe garnki, koszyki, zamki, kłótki i tysiące innych przedmiotów. Ponieważ dopiero w ciągu bieżącego stulecia powstał na wielką skalę przemysł fabryczny, przeto rzecz jasna że mógł-by się on u nas ugruntować na przemyśle domowym, gdyby rząd był chciał popierać zakładanie fabryk. Tymczasem nie tylko to nie nastąpiło, ale na domiar złego, fabryczny przemysł niemiecki, zalewając Galicyą tandetnemi ale taniemi wyrobami, zabił prawie zupełnie nasz przemysł domowy, który z groźnym nieprzyjacielem nie mógł utrzymać współzawodnictwa. Dopiero wystawa lwowska z r. 1877 przekonała nas, że są okolice, w których biedny ten przemysł jeszcze trochę dysze. Zwrócono się więc ku niemu, rząd aby nam dać dowód dobrych swoich chęci za-

łożył w Kołomei szkołę garncarstwa, nawet miał gdzieś wysłać nauczyciela koszykarstwa, lecz że to nas nie zbawi, to chyba wszyscy wiemy. Takie środki mogły być dobre przed dwustu laty, lecz nie w wieku pary. Po domowym przemyśle, przyszła kolej na nasze rzemiosła. Niemieckie fabryki wyrabiają u siebie wszelkie żelastwo, broń, narzędzia rolnicze, suknie, obuwie, meble, nawet drzwi i okna do mieszkań. Wprawdzie wszystkie te artykuły są partackie, ale ponieważ fabryki oddają je taniéj niż takie rzemieślnik galicyjski, rozporządzający jedynie siłą swoich rąk a nie pary, może wyrobić, przeto każdy rzuca się na produkt niemieckiéj przemysłowości, a nasi zaś rzemieślnicy mrą z głodu. Jak zabójczo wpływa ta obca konkurencya na nasze gospodarstwo domowe, o tém można przekonać się najlepiéj na wsi. Do niedawna jeszcze chłopi w Galicyi wschodniéj nosili czapki baranie, kobiety zaś płócienne spódnice, zwane dymkami. Dziś, na głowach chłopów widać coraz więcéj lichych kapeluszów filcowych, kobiety zaś, prawie już powszechnie noszą spódnice bawełniane. Skóry baranie i nasze dobre płótno domowe, odchodzi więc za granice Galicyi, by potém w innéj formie i za drogie pieniądze, wrócić do kraju.

IV.

Gospodarka, którą inaczéj niż wilczą nie możemy nazwać, trwała w Galicyi aż do dnia ogłoszenia konstytucyi, do r. 1862. Od tego czasu taktyka rządu przynajmniéj o tyle na lepsze się zmieniła, że Wiedeń nie stawia nam więcéj przeszkód. Przeciwnie ogłosiwszy zasadę *laissez faire*, *laissez passer*. pozwolił każdemu robić co zechce. Że jednak i ta zasada dla słabych okazała się zabójczą, to historya ostatniego dwudziestolecia aż nadto jasno wykazała. Dla Galicyi było już za późno dorównać w pochodzie przemysłowym innym prowincyom, które rząd przez cały wiek protegował, a zresztą zniechęcenie było tak wielkie, niewiara zaś tak powszechną, iż nie można się dziwić, że po dawniejszych doświadczeniach nikt nie chciał ryzykować swego majątku. Kapitałów w kraju nie było, obce bowiem fabryki zabrały wszelką gotówkę za swoje wyroby, ale choćby nawet znalazły się były pieniądze w jakiéj kieszeni prywatnéj, to czyż człowiek roztropny mógł je nieopatrznie wyrzucać? Jeżeli na założenie porządnéj jakiéj fabryki, i na pierwsze jéj wydatki potrzeba za granicą np. *pół miliona*, to nie przesadzę, gdy powiem że na taką samą fabrykę potrzeba by w Galicyi co najmniéj *milion*, jeżeli nie więcéj. Kalkulacya jest bardzo prosta, a nieomylna. Najpierw wszelkie opłaty rządowe, są u nas ciągle jeszcze 5 i 6 razy wyższe, niż gdzie indziéj, np. w Rosyi; następnie należałoby wyrabiać pracowników, lub też sprowadzać ich z za granicy za drogie pieniądze; nakoniec, przez

lat kilka, a może nawet kilkanaście, trzeba by walczyć tak z publicznością, przyzwyczajoną do obcych wyrobów, jak z konkurencyą zagraniczną, co również pochłonęło by znaczną gotówkę. Żywe przykłady, które przytoczę poniżéj, jasno to udowodnią. Walka taka, to nie drobnostka. Ludność galicyjska, jak w ogóle każda ludność biedna, kupuje przedewszystkiém towary tanie, których Niemcy dostarczają. Nie pyta ona tyle o jakość co o cenę. Na lichym towarze niemieckim traci wprawdzie potrójnie, czasem jeszcze więcéj, lecz biedak temu nie winien, że nie rozporządzając znaczniejszą gotówką, musi to brać co taniéj kosztuje. Bierze więc bawełnę zamiast płótna lub wełny, włókna z pokrzywy zamiast jedwabiu itd. Żadna fabryka krajowa nie poszłaby w ślady przemysłu niemieckiego, partactwo bowiem nie leży w polskim charakterze. Że tak jest istotnie, przekonywują nas o tém fabryki w Królestwie Polskiém, wyrabiające towar doskonały jak francuski. Fabryka galicyjska musiałaby pójść tą samą drogą, a wtedy jéj wyroby musiały by być droższe niż niemieckie. Dużoby zatém wpierw wody upłynęło, nimby publiczność, poznawszy ich wartość, porzuciła tandetę niemiecką. Zastanowiwszy się nad tém wszystkiém, zapytuję, czy nie miałem racyi, gdym twierdził powyżéj, że fabryka, wystawiona za granicą za *pół miljona*, kosztowałaby w Galicyi najmniéj *milion*, jeżeli nie więcéj? Gdy z drugiéj strony, wśród stosunków normalnych, obie fabryki musiałyby mieć zysk mniéj więcéj równy, zresztą prędzéj u nas mniejszy niż gdzieindziéj, więc czy można wydawać na to milion, lub nawet dwa, co jest warte ledwie pół miliona? Wznoszenie więc fabryk w Galicyi nie byłoby zdrowym interesem, lecz chyba lekkomyślnością lub też poświęceniem. Tak kalkulują dziś u nas nawet najbardziéj ryzykowni ludzie, tj. żydzi, i dla tego poczytują oni za nierównie lepszą hipotekę podpis czternastoletniego wyrostka, niż np. drugą fabrykę świec z wosku ziemnego w okolicy Borysławia. Jeżeli czytelnik, który nas słuchał do téj chwili, nie ma jeszcze dość jasnego obrazu naszych stosunków przemysłowych, to poprosimy go jeszcze o cierpliwość i przytoczymy kilka przykładów.

Hr. Henryk Dzieduszycki założył w Tłumaczu, nad Dniestrem, w okolicy bardzo urodzajnéj, olbrzymią cukrownię, największą w monarchji austrackiéj, która pochłonęła fortunę najpierw jego, potém żony, nareszcie jego brata. Gdy fabryka nie opłacała się, mówiono, że jéj założyciel wybrał dla niéj złe miejsce, ziemia bowiem w dobrach tłumackich miała być mokra, więc też nie mogła wydawać odpowiedniego plonu buraków co do ilości i wartości cukru. Prócz tego zarzucano także zarządowi, że nie prowadził przedsiębiorstwa dość umiejętnie i z należytém uwzględnieniem miejscowych

warunków. Gdy fabryka wraz z dobrami przeszła następnie na własność niemieckiego towarzystwa akcyjnego, które miało 4.200.000 kapitału, na jego czele stał sławny finansista Oppenheim z kolonji, wtedy ci, którzy wszystko złe w Galicyi jedynie polskiéj gospodarce przypisują, twierdzili jednomyślnie, że cukrownia tłumacka odegra w świecie przynależną jéj rolę i zamiast strat będzie zyski niosła. Wprawdzie ludzie, obznajomieni z ekonomiczną martyrologią Galicyi, innego byli zdania, lecz ci nie mieli wtedy głosu. Cóż się jednak okazało? Oto do kilku lat spółka Oppenheima straciła 2,407,016 guldenów, poczém przeprowadziła likwidacyą. W październiku r. 1882 tak fabryka, jak dobra tłumackie zostały sprzedane przez publiczną licytacyą. Nowy ich właściciel, p. Bredt, niemiec, zamknął fabrykę i ani myśli w ruch jéj puszczać. Słyszałem jak ludzie fachowi mówili, że gdyby w ziemię tłumacką włożył kto jeszcze kilkakroć, to niewątpliwie wydawałaby potém takie buraki, że fabryka musiałaby robić świetne interesa. Być może że tak jest istotnie, lecz czy to samo nie potwierdza w zupełności naszego założenia? Gdyby Galicya miała była ludzi jak Colbert, Turgot, Napoleon I, nareszcie choćby tylko takich jak Mostowski i Lubecki; gdyby w niéj były istniały instytucye, jak belgijska *Societé générale pour favoriser l'industrie nationale*, jak wirtembergska *Centralstelle für Gewerbe und Handel*, nakoniec jak Bank polski w Królestwie to wtedy fabryka tłumacka należałaby dziś niewątpliwie do pierwszych na świecie. Miliony, które pożarła, byłby stracił bądź rząd bądź wielkie instytucye finansowe, przez rząd zasilane, a dopiero resztę wzięliby ludzie prywatni na swoje barki. W Tłumaczu tego nie było, tu musiały jednostki wszystko same czynić, i dla tego przedsiębiorstwo runęło. Kto wie, ile jedna tylko fabryka żyrardowska w Królestwie polskiem pochłonęła pieniędzy tak rządowych jak bankowych, ten przyzna nam słuszność. A jednak ta fabryka dziś się opłaca i jest jedna z największych w Europie. Według sprawozdania wystawy moskiewskiéj z r. 1882, wyrabia ona rocznie towaru za 3½ miliony rubli.

Przejdzmy teraz do drugiéj cukrowni. Jest nią cukrownia w Sędziszowie, *jedyna* dziś w Galicyi. Powstała ona już w erze konstytucyjnéj, bo w r. 1869. Założyło ją kilku spólników, na których czele stał znany magnat hr. Adam Potocki z Krzeszowic. Zakładowy kapitał wynosił 500,000 guldenów, fabryka zaś sama miała wszystkie ulepszenia i mogła rocznie przerabiać 300,000 korcy buraków. Lecz cóż się okazało? Oto okoliczni właściciele, mając za sobą całowiekowe doświadczenie, nie wierzyli od samego początku w długowieczność cukrowni, i nie chcieli sadzić buraków. Gdy po kilku latach nabrali innego przekonania, spółka nie mogła się już utrzymać i musia-

ła likwidować, straciwszy ze swego kapitału 300.000 guldenów. Fabrykę nabył potém na własność sam hr. Potocki, lecz o ile się zdaje, nie opłaca się ona do dnia dzisiejszego, bo zrażeni sąsiedzi dotąd nie wierzą w jéj istnienie. Ilość przerabianych przez nią buraków nie dosiągnęła jeszcze 200.000 korcy. Być może, że magnat, jak Artur Potocki, potrafi ją utrzymać, ale to nie będzie jeszcze dowodem, że cukrownictwo ma dziś przyszłość w Galicyi. Gdzie rząd nie robi żadnych ułatwień i sam nie chce niczego zarezykować, tam każde hazardowne przedsiębiorstwo może być tylko fantazyą, wreszcie poświęceniem, nawet szaleństwem jednostek, nigdy zaś dobrym interesem.

Przejdźmy teraz do dwóch innych gałęzi przemysłu, mianowicie do tartaków parowych i do wyrobów oczkowych.

Hr. Kinsky, jeden z najbogatszych panów czeskich, fortunę bowiem jego obliczają na 40 milionów guldenów, posiada w naszych Karpatach, w dawnym obwodzie stryjskim, dobra Skole. Same lasy w tym majątku, jeszcze do niedawna siekierą nietknięte, obejmują przestrzeń 35.000 morgów. Drzewo w nich jest doskonałe, jak zresztą w całéj Galicyi. Ponieważ hrabia z dóbr skolskich nie otrzymywał długo prawie żadnego dochodu, przeto usłuchawszy rady swoich inżynierów, postanowił w mieście Stryju, leżącém nad rzeką tego samego nazwiska, założyć wielki tartak. Przed dwoma laty, fabryka, która wraz z kanałami, kosztowała przeszło milion guldenów, przyszła nareszcie do skutku. Zaledwie jednak zaczęto w niéj trzeć drzewo, nawiedziła Galicyą powódź, a że dzięki naszéj administracyi państwowéj, rzeki galicyjskie są dotąd nieregulowane, więc woda, w ciągu kilku godzin, przyprawiła hr. Kińskyego o stratę 100.000 guldenów. Wprawdzie magnat, jak on, rozporządzający milionami, mógł sobie poradzić, i wkrótce tartak na nowo w ruch puścił, lecz czy takiéj sztuki byłby dokazał inny przemysłowiec? O ile wiem, tartak hr. Kińskyego dotąd się nie opłaca. A dla czego? Bo taryfy na galicyjskich kolejach są tak wysokie, że towar nasz musi być z tego powodu bardzo drogi, ci zaś, w czyich rękach losy kraju spoczywają, nie uznali dotąd za stosowne wywrzéć nacisk na koleje, by te wygórowanemi opłatami nie zabijały przemysłu krajowego.

Lat temu ośm, p. Heidenreich kongresowiak, mieszkający we Lwowie, postanowił założyć w tém mieście pierwszą fabrykę wyrobów oczkowych. Ponieważ słyszał, że każdy zakład przemysłowy w Galicyi na wielką skalę od samego początku puszczony, musi przez dłuższy czas straty ponosić, przeto powiedział sobie, że zacznie od minimum, aby dopiero kiedyś dojść do maximum. Ciekawą

jest historya téj fabryki. W pierwszych trzech latach, p. H. pracował tylko na 10 ręcznych maszynach. W tym czasie wyrobił sobie także dość znaczną klientelę. Ujrzawszy na wystawie paryskiéj z r. 1878 nowe zupełnie maszyny do tego rodzaju wyrobów, zakupił takowe i do Lwowa sprowadził. Należało jednak wytworzyć jeszcze robotnika, co niezmiernie dużo czasu i pieniędzy kosztowało. W ostatnim kwartale r. 1881, cała produkcya téj fabryki wynosiła ledwie 7½ tuzinów na miesiąc. Mimo to właściciel nie ustawał, lecz szedł daléj. W r. 1882 podniosła się produkcya do 27 tuzinów, w r. 1883 do 63 tuzinów, a w r. 1884 fabryka wyrabiała już 130 tuzinów miesięcznie. Heidenreich był pewien, że w roku 1885 doprowadzi do 250 tuzinów miesięcznéj produkcyi. Nim zacząłem pisać niniejszy artykuł, zgłosiłem się wpierw do rzeczonéj fabryki, aby się dowiedzieć, jak się jéj teraz powodzi. Ku największemu mojemu zadziwieniu usłyszałem, że produkcyą, która na schyłku r. 1884 wynosiła już 180 tuzinów miesięcznie, właściciel musiał w tym roku zredukować na 100 tuzinów, a to z powodów następujących: 1) Każde przedsiębiorstwo, na większą skalę prowadzone, potrzebuje znacznego kapitału obrotowego, a tego w Galicyi nie sposób znaleść, gdyż nikt tu niewierzy, by jakakolwiek fabryka mogła się utrzymać. 2) Wszyscy kupcy są dotąd związani z fabrykami niemieckiemi, te bowiem od lat stu dostarczają Galicyi swoich wyrobów. Otrzymując od nich wyższy procent i dłuższy kredyt, wolą sprzedawać ich produkt, niż krajowy, który drożéj kosztuje. 3) Panie nasze mają dziwne zamiłowanie do bazarów wiedeńskich, które sprzedają towar tani, lecz lichy. Tak więc fabryka p. Heidenreicha nie może rozwijać się prawidłowo, gdyż znaczniejszéj ilości wyrobów nie ma gdzie pomieścić. W tém miejscu godzi się zanotować, że Galicya sprowadza rocznie z Niemiec za *półtrzecia miliona guldenów* wyrobów oczkowych. Sam Lwów potrzebuje ich za 500.000 guld. Gdyby fabryka Heidenreicha mogła dojść do rozwinięcia swéj normalnéj produkcyi, mianowicie do 350 tuzinów miesięcznie, to pokrywała-by dopiero $1/_{85}$ część ogólnego popytu, zatém, dla pokrycia wszystkich potrzeb, należało-by mieć 85 takich fabryk, których kapitał obrotowy wyrażał-by się cyfrą 4.400.000 guldenów, czysty zaś zysk, po umieszczeniu całéj produkcyi, wynosił-by rocznie 600.000 guldenów. Robotników byłoby zajętych stale najmniéj 1.500. Mężczyźni zarabiali rocznie od 600 do 700, robotnice od 200 do 300 guldenów. Jeżeli-by fabryka mogła produkować dziennie 150 tuzinów, czyli około 45.000 rocznie, co stanowiło-by mniéj niż $1/_7$ część potrzeb Galicyi, to wtedy opłaciło by się założenie w kraju naszym przędzalni, bielarni, farbiarni i apreterni.

P. Heidenreich, na zapytanie moje, czego jego fabryka jeszcze potrzebuje, a co już dotąd własną pracą osiągnął, tak mi odpowiedział:

„Dotąd pokonałem następujące trudności: 1) Wyroby moje są nietylko stosunkowo tańsze od wiedeńskich, czeskich i saskich, ale nawet pod względem jakości znacznie tamte przewyższają. Już bardzo dużo moich klientów, tak we Lwowie, jak na prowincyi, zaopatruje się stale w moje wyroby, i od nich tylko same podziękowania odbieram. 2) Stworzyłem personal robotników, bardzo wprawny, mogący produkować miesięcznie do 250 tuzinów.—Trudności, któreby należało usunąć, są następujące: 1) Zaprowadzić motor parowy, ułatwiający powiększenie produkcyi o 10%. 2) Postawić budynek, zastosowany do wyrobów oczkowych, przyczém produkcya powiększyła by się o drugie 10%. 3) Zaprowadzić maszyny do wyrobu cholewek pończochowych i skarpetkowych i ułatwiających powiększenie produkcyi o trzecie 10%. 4) Założenie kosztem fabryki, przynajmniéj dwóch magazynów, jednego we Lwowie, drugiego w Krakowie, dla ułatwienia sprzedaży towaru, i zdobycia dla niego praw obywatelstwa. Dopiero wówczas, choć i to powoli, sklepy nasze musiały-by wejść w stosunek z fabryką. 5) Na pokrycie tych wszystkich wydatków potrzeba-by najmniéj 100.000 guldenów. Fabryka tak rozszerzona, pokrywała-by przynajmniéj $1/15$ część potrzeb Lwowa i Krakowa. Usunięcie tych trudności nie leży jednak w mojéj mocy, w kraju bowiem taka panuje *niewiara* w możebność rozwinięcia przemysłu, że każde przedsiębiorstwo musi tu upaść w samym początku“.

Teraz ośmielę się zapytać, kto temu winien, że dziś w Galicyi wszyscy wiarę stracili, i z rezygnacyą, jak grecki helota, ręce opuszczają?

V.

Powiedziałem na początku poprzedniego rozdziału, że Wiedeń, odkąd w Austryi konstytucyą ogłoszono, nie stawia więcéj przeszkód naszéj pracy. Nie znaczy to jednak, że ją wspiera. Bynajmniéj! W gruncie rzeczy polityka nie została zmieniona, a tylko forma, w jakiéj się w obec nas objawia, jest trochę łagodniejsza. Zresztą chcemy wierzyć, że rząd byłby nawet bardzo zadowolony, gdyby dziś jakimś cudem w Galicyi przez jedną noc przemysł zakwitnął, ponieważ skarb państwa znalazł-by w nim zaraz obfite źródło dochodu, ale ze swojéj strony niczém on się do tego nie przyczynia. Przeciwnie Galicya jak była tak i została targowiskiem dla przemysłu niemieckiego.

Ulg podatkowych na rzecz przemysłowców nie ma żadnych. O tém, żeby rząd, jak w innych państwach, oddawał bezpłatnie grunta pod nowopowstające fabryki, lub żeby chociaż drzewo taniéj im sprzedawał, ani mowy nie ma. Kredytu na wytworzenie przemysłu w Galicyi państwo nie wytworzyło dotąd, i prawdopodobnie nigdy nie wytworzy. O środki nasze komunikacyjne nie wiele się stara. Czechy, mimo iż są o 500 mil kwadratowych mniejsze niż Galicya, mają 22 tysiące kilometrów dróg, gdy tymczasem Galicya ma ich ledwie 12 tysięcy. Gościńców bitych, tak zwanych „cesarskich“ jest w Czechach 4.291 kilom. w Galicyi zaś tylko 2.888 kilom. Dziś jeszcze rząd wydaje na drogi, licząc na kilometr kraju, w Austryi niższéj, na Szląsku i w Czechach po 20 guldenów, a w Galicyi połowę tego, 10 guldenów. Galicya mając 900 kilometrów rzek spławnych, nie ma dotąd *ani jednego metra* tak uregulowanego jak Elba, Mołdawa lub Odra. Ponieważ rzeki nasze są dotąd dzikie, więc też nie można ich użyć jako siły przemysłowéj. Dla szkolnictwa przemysłowego, państwo w Galicyi prawie nic nie robi. W r. 1881 było w Austryi 317 szkół przemysłowych, a z tych w Galicyi tylko 11, i to dzięki nie władzy centralnéj, lecz krajowi i naszemu własnemu Towarzystwu Pedagogicznemu. Chociaż górnictwo naftowe zaczyna w Galicyi rozwijać się coraz pomyślniéj, i chociaż w r. 1884 rząd *wziął samego podatku od naszéj nafty* 1.200.000 guldenów, mimo to kraj nie może od niego otrzymać szkoły górniczéj. Cała produkcya tytoniu w Cislitawii (bez Węgier) wynosi 32.590 centnarów metrycznych, z tego Galicya sama produkuje 23.580 cent. metr. Mimo to prowincya nasza ma tylko 5 fabryk tytoniu, a 21 znajduje się w prowincyach niemieckich. Dzięki temu zarządzeniu, w Galicyi żyje z fabrykacyi cygar i tytoniu tylko 3.184 robotników, a w Austryi Dolnéj, w Czechach i na Morawie 13.145 robotników. Jeszcze do roku ubiegłego, powroźnicy krajowi dostarczali miejscowym fabrykom tytoniu sznurków, za co rząd płacił im rocznie do 16.000 guldenów. Przed sześciu miesiącami polecono fabrykom galicyjskim, by sznurki z Wiednia sprowadzały. Druk ludowych książek szkolnych, tak polskich jak ruskich, uskuteczniał się ciągle w Wiedniu, i dopiero przed siedmiu laty minister Ziemiałkowski do tego doprowadził, że rzecz tę powierzono Zakładowi imienia Ossolińskich we Lwowie. Ale za to poczty galicyjskie swoje druki ciągle jeszcze z Wiednia otrzymują. Gdybyśmy wszystko chcieli wyliczyć, nie skończylibyśmy ani na dwóch stronicach. Niech wystarczy, jeźli dodam, że począwszy od umundurowania armii, a skończywszy na szkiełkach telegraficznych, rząd każe sporządzać wszystko w swoich niemieckich prowincyach, a Galicyi nie daje literalnie nic zarabiać.

O jakiémkolwiek więc wspieraniu z jego strony naszego przemysłu, nawet mowy być nie może.

Ekonomiści udowodnili oddawna, że gdzie gospodarstwo rolne nie jest w sposób prawidłowy popierane przez przemysł rolniczy, tam ono musi upadać. Chociaż przed stu laty Galicyą jeszcze w jednéj trzeciéj części pokrywały lasy dziewicze, mimo to dzięki gorzelniom, których wtedy było 5.200, produkowała ona zboża stosunkowo więcéj niż za dni naszych. Jeżeli weźmiemy na uwagę postęp, jaki w ciągu bieżącego wieku dokonał się we wszystkich gałęziach pracy ludzkiéj, tudzież okoliczność, że jedna czwarta część lasów galicyjskich została w tym czasie wycięta, a ziemia z pod nich na rolę zamieniona, to zjawisko powyższe będzie bardzo smutne, nawet zastraszające. Na jakiém właściwie stopniu znajduje się nasza produkcya rolnicza, a jaki wpływ na nią wywiera gdzie indziéj przemysł rolniczy, to najlepiéj okaże się z następującego zestawienia.

Czechy są krajem o 500 mil kwadratowych mniejszym niż Galicya, i mają ornéj ziemi tylko 2.484.410 hektarów, podczas gdy w Galicyi jest jéj 3.646.497 hekt., a mimo to wartość produkcyi rolnéj w Czechach, według źródeł urzędowych, wynosi w przecięciu 185.780.168 guld., w Galicyi zaś tylko 158.322.450 guld. Jeżeli-by Galicya miała przemysł rolniczy tak samo jak Czechy, to dochód z jéj ziemi wzrósł-by rocznie o 270 milionów, i dopiero wtedy dorównałby czeskiemu. Wszystkich gatunków zboża, mianowicie pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa, produkują Czechy znacznie więcéj niż Galicya. Czesi obsiewają pszenicą 245.000 hektarów i z nich zbierają 3.907.378 hektolitrów, czyli 15,6 hekt. z hektara. W Galicyi jest pod pszenicą 310.922 hektarów, a zbiera się z nich tylko 3.791.591 hektolitrów, tj. 12 hektl. z hektara. To samo dzieje się z żytem. Czesi produkują go za 14 milionów więcéj niż Galicya. Co do buraków cukrowych, to o tych nie ma nawet co mówić. W Czechach jednoroczny zbiór buraków reprezentuje kwotę 23.198.640 guldenów, a w Galicyi ledwie 534.990 guld. Rzecz naturalna, że im mniejszą jest siła produkcyjna, tém niższa musi być także kwota podatkowa. To téż wcale się nie dziwimy, że Czesi płacą od samego piwa 8.741.000 guldenów, a my tylko 953.000 guld. podatku. Znaczna ilość piwa obcego przychodzi do Galicyi, ponieważ browary nasze dla przyczyn, którém już wyłuszczył, nie mogą skutecznie współzawodniczyć z zagranicznemi. Jeszcze jeden szczegół wielce charakterystyczny. W r. 1837 było w Galicyi owiec 1.241.667, a dziś jest ich tylko 609.253, zatém mniéj niż połowa. Gdzie szukać przyczyny złego? W braku fabryk przerabiających wełnę, wywóz zaś

surowego materyału zagranicę nie musi się opłacać, skoro kraj coraz mniéj go produkuje.

Jakie są następstwa téj polityki? Ogólne zubożenie, niezmierne długi i ciągłe przechodzenie ziemi w obce ręce. Znakomity nasz historyk, Walery Kalinka, w dziele *„Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiém“*, wydaném w Paryżu przed laty 30-tu, tak mówi: „Handel z Austryą jest nieustanném, peryodyczném przelewaniem się ziemi galicyjskiéj do kas bankierów wiedeńskich. Rząd austryacki przywiódł nas do tego, iż staliśmy się jako owi piastowscy książęta, którzy w wieku XIII część monarchii Brandeburgskiéj, a w następnych aż do XVII wieku ziemie szląskie Niemcom sprzedawali. Każdy obrót handlowy jest dla nas nowym ziemi uszczerbkiem, a Galicya, aby opatrzéć swoje potrzeby, co rok musi część ziemi polskiéj Niemcom (żydom) sprzedawać“. Słowa te są, niestety do dziś smutną prawdą, ponieważ Galicya sprowadza rocznie obcych towarów za 87 milionów guldenów, a prócz tego uiszcza na rzecz państwa, w podatkach i innych należytościach 43 miliony. Nie dziw więc, że w r. 1868 długi tabularne wynosiły 92 miliony guld., a już w r. 1879 dosięgnęły cyfry 142 milionów. Odtąd stosunki wcale nie były lepsze, przeciwnie jeszcze się pogorszyły. Gdyby nie to, że w ostatniém trzydziestoleciu Galicya zjadła 75 milionów, które dostała jako indeminizacyę za pańszczyznę, i że w tym przeciągu czasu otrzymała także kilkaset milionów za swoje lasy, z których jeszcze żyje, to nikt nie jest w stanie pojąć, jakim cudem byłaby przetrwała do dnia dzisiejszego. Zaiste, gdyby nie te zasiłki nadzwyczajne, cała większa posiadłość była-by już w rękach żydowskich. Tym zasiłkom szlachta galicyjska przynajmniéj tyle zawdzięcza, że na 2.350 właścicieli tabularnuch jest dotąd żydów tylko 412! Choćby ten stosunek wydawał się każdemu innemu strasznym, my jednak musimy go uważać za bardzo jeszcze pomyślny.

Wszystko cośmy dotąd napisali, jest oparte na niezbitych faktach i cyfrach urzędowych. Jeźli by zaś kto przypuszczał, że może li dla tego przemysł u nas się nie dźwiga, iż nie mamy co przerabiać, to odpowiemy następującemi dowodami:

Soli produkujemy 41 procent produkcyi całéj Austryi. Państwo zmonopolizowawszy ją dla siebie, otrzymuje za nią czystego dochodu rocznie do 7 milionów guldenów. Sama sól jest więc źródłem dla olbrzymiego przemysłu chemicznego. Na 104.000 centnary siarki austryackiéj, wydobywamy 41.000 cent., lecz zamiast ją u siebie przetwarzać, wysyłamy ją na Szląsk i do Morawy. Cynku mamy rocznie 112.729 centn., cała zaś Austrya produkuje go tylko 215.639 centn. Co zaś najważniejsze, to produkcya nafty i wosku ziemnego.

Dawniéj czerpano naftę głównie w Borysławiu; teraz pojawiły się źródła w ziemi Sanockiéj, koło Ustrzyk i Liska, a jeszcze obfitsze pokłady znajdują się na Pokuciu, niedaleko miasta Kołomyi, w Słobodzie Rungurskiéj. Produkcya zeszłoroczna wynosiła w Galicyi 530.000 centnarów metrycznych. W roku bieżącym będzie znacznie większa, a o ile wzmoże się za lat kilka, tego nie można dziś nawet przewidzieć. Geologowie są zdania, że na całym pasie podgórskim znajduje się u nas nafta, a że co do jakości jest ona lepsza od kaukazkiéj, a nawet amerykańskiéj, więc jéj przyszłość zdaje się być zapewniona. Rząd jednak nie uczynił dotąd dla niéj zgoła nic, i tylko o to się postarał, że prócz dwóch podatków: dochodowego i zarobkowego, które każdy przedsiębiorca musi u nas płacić, parlament uchwalił dla nafty jeszcze podatek trzeci, konsumcyjny. Dzięki tym zarządzeniom nafta jest dziś u nas droższa niż w Rosyi, ale mimo to wielki ten przemysł nie zginie, bogactwo bowiem naftowe jest olbrzymie, jeźli tylko rząd choć cokolwiek zechce dla niego uczynić. Przed kilku dniami, więc dopiero w połowie marca r. 1885, minister handlu w Organie centralnym dla spraw kolejowych, ogłosił reskrypt do kolei Północnéj (Ferdynanda), Karola Ludwika i innych galicyjskich, tudzież do kolei państwowych węgierskich i Południowéj, w którym wzywa pomienione koleje, by dla nafty galicyjskiéj unormowały swoje taryfy i *nie wymagały przynajmniéj od niéj wyższéj opłaty niż przy produkcie zagranicznym*. Powyższy reskrypt ministeryalny sam potwierdza słuszność zażaleń naszych producentów, którzy skarżą się już od dłuższego czasu, że koleje robią wszelkie ułatwienia nafcie kaukazkiéj, co zabójczo wpływa na naftę galicyjską. Minister chce więc teraz to złe usunąć. Lecz czy to dosyć? Czy nie powinien on raczéj dołożyć starań, by nafcie kaukazkiéj transport ile możności utrudniano, a galicyjskiéj żeby ułatwiano? Czyż tego nie wymaga zdrowa polityka ekonomiczna?

Prócz skarbów górniczych, Galicya posiada także wielkie bogactwo w materyach rolniczych i bydlęcych. Skór wychodzi od nas większa połowa za granicę, ponieważ w kraju nie mamy ani jednéj porządnéj garbarni. Konopie uprawiamy na przestrzeni 31.790 hektarów, lnu zbieramy rocznie 136.000 centnarów metrycznych, a wełny 15.170 centnarów metr. Rzecz naturalna, że gdyby był na miejscu przemysł rolniczy, produkcya wszystkich tych artykułów znacznie by się powiększyła. Jeźli dodam, że mamy odpowiednią ilość węgla kamiennego i brunatnego, to chyba każdy musi mi przyznać, że Galicya ma wszelkie potemu warunki, żeby przemysł w niéj zakwitł, a jeżeli to dotąd nie nastąpiło, zaiste, nikt z nas temu nie winien, tylko nieszczęsne stosunki..

VI.

Przez długie lata Galicya wcale sobie z tego sprawy nie zdawała co się z nią dzieje. Myślała nawet, że jako kraj rolniczy, nie potrzebuje myśléć o niczém inném tylko o roli, i że to jéj wystarczy. Trzeba dopiero było przesilenia finansowego w r. 1873, olbrzymich długów i groźnéj konkurencyi amerykańskiéj, żeby ją z letargu ocucić. Wszelako niech nikt nie sądzi, że u nas wszyscy już przejrzeli. Bynajmniéj! Większość właścicieli ziemskich dotąd nie rozumie położenia. Im jeszcze zdaje się, że rola bez przemysłu może się obejść. Na szczęście jednak ci, którzy dziś stoją na czele władz autonomicznych kraju, innego są zdania, i dla tego to w ostatnich latach zaczęło się przynajmniéj coś robić.

Na mocy konstytucyi mamy samorząd; wolno nam zatém opiekować się szkołami elementarnemi, drogami, szpitalami, gospodarstwem gmin i miasteczek, nakoniec przemysłem, tak domowym jak fabrycznym. Na to wszystko trzeba jednak pieniędzy. Głównym majątkiem Galicyi, jako kraju, były dawne królewszczyzny, tudzież sól wydobywana z Wieliczki i z różnych warzelni. Dochód z królewszczyzn, nazywanych dziś dobrami kameralnemi, mimo drogiéj administracyi państwowéj, wynosi minimalnie rocznie 276.720 guldenów, za sól zaś wpływa do kas rządowych czysty zysk w kwocie 6.751.546. Oba te źródła bogactwa krajowego dają więc rocznie przeszło 7.000.000 guldenów. Gdyby sejm nasz, a względnie z jego łona wybierany wydział krajowy, otrzymał był po ogłoszeniu konstytucyi tak sól jak dobra skarbowe na wyłączną własność, to wtedy mając rocznie 7 milionów gotówki, mógłby już dawniéj pomyśléć o stworzeniu przemysłu w Galicyi. Rząd jednak nie oddał mu tych skarbów i tylko pozwolił mu pokrywać każdoroczne wydatki na szkoły, drogi, szpitale, itp. *dodatkami do podatków.* Gdy jednak w kraju biednym jak Galicya podatków nie można podwyższać w nieskończoność, więc rzecz naturalna, że Wydział krajowy musi myśléć najpierw o tém, bez czego się żadną miarą nie możemy obejść, dopiero gdy pokryje wydatki na szkoły, drogi i szpitale, przeznacza coś na przemysł. Jeżeli to „coś“ jest stosunkowo niewielkim zasiłkiem, kraj temu niewinien, gdyż z próżnego trudno nalać.

Odkąd dr. Mikołaj Zyblikiewicz stanął na czele autonomicznych rządów w Galicyi, wydział krajowy bez porównania gorliwiéj niż dawniéj zajmuje się sprawą przemysłu krajowego, i mimo naszego ubóstwa, sejm rok rocznie przeznacza coraz znaczniejszą kwotę na cele produkcyjne. Kiedy przed trzema laty, kraj przemysłowi

dał tylko 45.700 guldenów, to w roku ubiegłym, 1884, mimo gwałtownéj opozycyi kilku zacofanych szlachciców, przeznaczył już na ten sam cel 80.000 guldenów. Wydatek ten ma wzrastać aż do 100.000 stałéj rocznéj subwencyi. Lubo kwota powyższa jest jeszcze bardzo mała, zwłaszcza jeżeli się zważy, co kraj musi uczynić nim choć w dziesiątéj części na polu przemysłu sprosta ościennym prowincyom, to jednak należy ją uważać za zwrot nader pomyślny w naszych zapatrywaniach na potrzeby kraju. Skoro raz reprezentanci Galicyi zrozumieli, że bez przemysłu nie będziemy mieli dobrobytu, ani oświaty, ani cywilizacyi, więc chciejmy wierzyć, że teraz coraz gorliwiéj będą się zajmowali tą ważną gałęzią pracy ludzkiéj. Sejm zeszłoroczny, idąc za wskazówkami urzędnika wydziału krajowego dra Tadeusza Rutowskiego, o którego cennėm dziele we właściwém miejscu wspomniałem, ogłosił uchwałę, uwalniającą na lat 10 najrozmaitsze przedsiębiorstwa od opłat na cele krajowe, tj. od dodatków do podatków. Chociaż te opłaty wynoszą u nas prawie tyle co same podatki, bo 83%, mimo to wątpliwą jest rzeczą, aby ta jedna ulga wprowadziła do kraju obcych przemysłowców. Długiego jeszcze trzeba czasu i pracy bardzo mozolnéj a wytrwałéj, nim zachwiane zaufanie ugruntuje się w masach. Dopóki zaś zaufania nie będzie, dopóty nie można liczyć na gorliwe popieranie krajowych fabryk przez ogół mieszkańców, skutkiem czego każde przedsiębiorstwo będzie w początkach bardzo ryzykowne.

Dzięki inicyatywie marszałka powstał w ostatnich czasach Bank krajowy, który także, o ile zresztą na to jego siły starczą, będzie popierał przemysł krajowy. Marszałek sam zwiedza rozmaite okolice kraju i szczególnie w opiekę wziął przemysł domowy, zwłaszcza tkactwo, które, o ile się zdaje, jest na lepszéj drodze. Jakie już dziś są rezultaty téj pracy kilkoletniéj, trudno jeszcze dokładnie określić. Przekonamy się o tém dopiero za dalszych lat kilka. Dziś wolno nam tylko stwierdzić, że Galicya, mimo iż rząd niegdyś szkodził jéj rozmyślnie, a teraz swéj pomocy całkiem jéj nie użycza; mimo że jest biedną i ma dużo ludności żydowskiéj, często nieprzyjaznej rozwojowi, słowem, mimo iż pod wielu względami jéj położenie jest równie rozpaczliwe jak Irlandyi, jednakowoż przejrzawszy w ostatnim lat dziesiątku, zaczęła myśléć o sobie i z najwyższym wysiłkiem stara się dźwignąć materyalnie.

Czy cel osiągnie?

Wierząc w żywotność narodu, nie wątpię o jego przyszłości, ale ponieważ wiara sama nie wystarcza, zwłaszcza tam, gdzie idzie o pieniądze, o miliony, przeto ośmielę się dać moim ziomkom w tém miejscu nader ważną radę. Cel ochronnych od strony Niemiec, któ-

re w ciągu lat kilku stworzyły-by u nas przemysł, Galicya nigdy nie otrzyma. Nim-by coś podobnego nastąpiło, musiał-by wpierw stosunek pojedyńczych prowincyj do monarchii austryackiéj uledz zupełnemu przeistoczeniu, a na to dotąd się nie zanosi; tego więc nie należy nawet brać w rachubę. Czego jednak możemy śmiało żądać od Wiednia, to zwrotu naszych skarbów narodowych, naszéj soli i królewszczyzn. Myśl ta nie jest zresztą całkiem nowa, Sejm galicyjski na posiedzeniu z d. 24 września 1868 r. uchwalił rezolucyą, która domagała się zwrotu tych dwóch rzeczy. Chociaż rezolucya, dla wielu zbyt radykalnych żądań, musiała być w Wiedniu pogrzebioną, mimo to z faktu tego jeszcze nie wypływa konieczność przemilczania zawsze sprawy, która jest natury czysto ekonomicznéj i z polityką nie ma nic wspólnego. Zresztą rząd nie stracił-by nawet nic materyalnie, dochód bowiem siedmiu milionów, którego by się na jakiś czas wyrzekł, wrócił-by mu się z lichwą, acz w formie zmienionéj, jako podatek od wyrobów przemysłowych. Widzieliśmy, że Czesi od piwa płacą przeszło 8 milionów. Czyż takiéj saméj produkcyi nie może mieć Galicya, zwłaszcza gdy u niéj rodzi się doskonały chmiel i wyborny jęczmień browarny? Piwo zaś ma wielką przyszłość, i już wkrótce pójdzie nawet na czarny kontynent, bo winnice zjada filoksera. W ciągu roku bieżącego, w całéj monarchii austryackiéj odbywać się będą wybory do rady państwa, Galicya zatém wyśle do niéj nowych delegatów. Ponieważ ubiegłą sześcioletnią kampanją straciliśmy bezpowrotnie, więc aby złe naprawić, powinniśmy teraz w zwartym szeregu żądać rzeczy, która bądź-co-bądź może materyalnie kraj nasz odrodzić. A miejmy także i to na uwadze, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Austrya pójdzie daléj na Wschód i kto wié, czy nie dotrze aż do Syryi. Jeżeli to nastąpi, to dla produkcyi austryackiéj otworzą się nowe rynki zbytu, a wtedy my, jako pod względem geograficznym lepiéj od Niemców położeni, będziemy mogli także zarabiać. Lecz żeby było co sprzedawać, trzeba wpierw tyle produkować, by wystarczyło nietylko dla siebie, lecz i zostało jeszcze dla drugich, to zaś nie da się osiągnąć bez wielkich wkładów. Jeżeli delegaci galicyjscy zamiast myśléć o wielkiéj polityce, zajmą się raczéj tylko sprawami ekonomicznemi swego kraju i jeżeli, jak tego słusznie możemy od nich żądać, potrafią zręcznie korzystać ze stosunków i walki stronnictw, to w ciągu nowéj kampanii parlamentarnéj nie jednokrotnie zajdą takie okoliczności, iż to co dziś niejednemu wyda się prawdopodobnie mrzonką, za lat kilka może być faktem spełnionym, lub przynajmniéj bliskim urzeczywistnienia.

Józef Rogosz.

O WOJACH I RYCERZACH POLSKICH.

STUDYUM STAROŻYTNICZE.

Możnaby to nazwać osobliwszém zjawiskiem, że język polski nie posiada a przynajmniéj dziś już nieposiada utartego, powszechnie przyjętego a pierwotnego wyrazu swojskiego, na oznaczenie męża, zajmującego się rzemiosłem wojennėm, służbą wojskową. Stan ślachecki, którego monopolem była służba wojenna, zwał się z upodobaniem stanem *rycerskim*, jednostki tegoż stanu zwały się *rycerzami*, po czesku *rytiř*, całość stanu tego *rycerstwem*. Znacznie późniéj upowszechnił się gminny bardziéj i demokratyczny wyraz *żołnierz*, a jak wiadomo, tak rycerz jak żołnierz są pochodzenia obcego i jeden wywodzi się od niemieckiego *ryttera*, drugi od *soeldnera*.

Zatém naród tak rycerski, tak wojenny w dobrém znaczeniu wyrazu, albo nie posiadał albo zagubił pierwotne miano, określające pojęcie rycerza i żołnierza. Wyrazy bowiem takie jak wojak, wojownik, są późniejsze, pochodnego tworu, ani upowszechnione przez wszystkie warstwy narodowego języka, ani też nie oznaczają pierwotnego, prostego pojęcia męża z oszczepem, łukiem czy siekierą kamienną. Są to wyrazy kunsztem mowy dopiero wytworzone, poetyczne a nie odnoszące się do pojęć pierwotnéj językowéj prostoty i jeszcze prostszéj rzeczywistości.

Miałożby więc może wojenne rzemiosło w pierwotnéj Polsce, w lechickiéj Słowiańszczyznie być nieznane, zaniedbane, miałyżby pojęcia wojenne z téj przyczyny językowi naszemu być obce? Miałżeby objaw ten potwierdzać może prastare orzeczenie Jordanesa, który mieszkających na Powiślu Wenetów, nazywa *armis disperiti*?

Albo też może potwierdza on opowieść Theofilakta, który utrzymywał, że Słowianie zgoła nie znają broni, nie znają żelaza: która to okoliczność dozwala im żyć w spokoju i zgodzie. A może wreszcie tłómaczy się tém twierdzenie Porfirogenety o Chrobatach, że nigdy orężnie do obcego kraju nie idą, ani wojny nie wszczynają! Wprawdzie tenże sam autor, ledwo co opisawszy niewojownicze zalety Chrobatów, wylicza, że kraj ich daje 60.000 jazdy a 100.000 piechoty! Ha! może to tylko liche pospolite ruszenie na obronę kraju na odpór najazdu, może zresztą tak się oblicza rekrut pobrany przez zaborczego najezdnika, który z gołębi słowiańskich wykształcał krwiożercze sępy, wojownicze hufce.

Najpewniéj jednak rozumiéć należy owo: *armis disperiti* tak, że ono oznacza tylko ludzi, nie mających rzeczywistéj *broni cywilizowanéj*, broni, która w oczach rzymskiego obywatela mogła jedynie uchodzić za broń jako taką, gdy tymczasem przybory i narzędzia wojenne Słowian uważać on mógł tylko jako sprzęty domowe, gospodarcze, łowieckie, podróżne. Owych u Theofilakta opisanych posłów słowiańskich, występujących z gęślą w ręku, zamiast z bronią u boku, uważać wypadnie po prostu za *świątników słowiańskich*, którzy z całą sumiennością o sobie powiedziéć mogli, że żelaza ani broni nie znają, bo dla ich zawodu wojenne żelazo było obcém. Zaś ostatecznie, zamiłowanie Chrobatów do pokoju tłómaczy się ową niezawodną i powszechną cnotą słowiańską, polegającą na wstręcie do zaborów i krzywd wojennych.

Niepodobna jednakże przypuszczać, iżby Słowianie dla tego, że nie byli narodem zaborczym, nie znali zupełnie oręża, nie umieli bić się lub bronić. Może się najczęściéj źle bronili, ale obrona bywała wszędzie nie tylko wojenna, ale i zacięta, a mianowicie też na naszym północnym zachodzie lechickiéj Słowiańszczyzny.

Zatém i pojęcie ludzi wojennych, służby wojennéj, musiało miéć odpowiednie wyrazy w słowiańskiéj, lechickiéj, polskiéj mowie.

W starosłowiańskim języku wyraz ten istnieje. Istniał on także w polskim, a jeśli z biegiem okoliczności, z biegiem prądów cywilizacyjnych przytarł się lub zaginął, jeśli w zgubie téj odźwierciedlają się różne historyczne zajścia i prądy polityczno-społeczne, to wynika ztąd nowy dowód na pewnik dzisiejszéj metody historycznéj, że tam, gdzie wszystkie inne źródła dziejowe zawodzą, albo gdzie ich brak zupełnie, język bądź dodatnio bądź ujemnie daje nam jeszcze niejedną wskazówkę dla objaśnienia niezrozumiałych, zamierzchłych stosunków najdawniejszéj historyi.

Wstrzemięźliwym wprawdzie i ostrożnym być trzeba w owém wyczytywaniu dziejów z języka i wczytywaniu onych w języko-

znawstwo, ale pogardzać tym materyałem nie godzi się, zwłaszcza gdzie tenże tak niedwuznacznie do nas przemawia, jak w tym oto przypadku.

Jeśli istniał i przekazał nam się wyraz *wojewoda*, wyraz oznaczający męża *wodzącego woje*, toć musieli istnieć z rzeczy i nazwy kiedyś owi *woje*, których on wodził. Tém więcéj, że wyraz ten znachodzi się tysiąckrotnie w starosłowiańskim języku Nestora, a ztamtąd jako *woin* przeszedł do rosyjskiego, jako rodzime miano sołdata.

W polskiém wyraz pierwotny przepadł; spotykamy tylko jego szczątki w wyrazach pochodnych i złożonych, w rzeczownikach, słowach, imionach własnych ludzi i miejscowości.

Tak więc rzeczowniki: wojsko, wojak, wojownik, wojna, wojski, wojewoda; słowa: wojować, wojewodzić, wszystko to są wyrazy pochodzące od owego, źródłosłowu, który sam dla siebie tworzył wyraz, określający pewne pojęcie konkretne. Tak samo złożone imiona własne: Wojtech, Wojsław, Wojmir; raz nawet spotykany (Kod. kat. św. Wacł. I. p. 101) *miles Woen* nomine, co zupełnie odpowiada starosłowiańskim i rosyjskim *woinom* i poświadczonemu przez Lindego „*wojeń*", w znaczeniu żołnierza. U Czechów *Vogin* jest prawnuk Przemyśla (Kosmas, 22). Mają i oni imiona Wojno, Bojek (Reg. Boh. 236, 249). U nas są setki takich imion własnych, jak Władywoj, Budziwoj, Nawoj itd. a jako imię własne znajdujemy także u Długosza (Lib. Ben. II, p. 253) znanego nam już *Wojaka*. Nie mniéj liczne są imiona własne miejscowości, poświadczające istnienie owego źródłowego wyrazu, a więc owe Wojnowa, Wojnicze, Wojborze, Wojnieścia, Wojcze, Wojakowy, Wojwanowice, Wojsady; u Czechów Woicuriae [? Waioariae] (Erb. Reg. 21), Boykowice i Woykowice, Wojata (Erb. p. 77, 78).

Z tego wszystkiego wynika, że wyraz *woj* oznaczać musiał wojennego człowieka. Najstarsze źródła historyczne nasze są łacińskie, a te nie znają *wojów*, lecz *milites*, który to wyraz porówno oznaczać musi staropolskich wojów i zagnieżdżonych obcego autoramentu rytterów, *rycerzy*.

O pierwotném językowém znaczeniu wyraz *woj*, nie wiele więcéj można i potrzeba nam powiedzieć, daleko więcéj natomiast ciekawości wzbudza pytanie: jakie ci wojowie zajmować mogli stanowisko w organizacyi społecznéj powstającego lub co tylko skonsolidowanego państwa polskiego.

Tu nam przedewszystkiém powiedzieć wypadnie słów kilka o saméjże organizacyi tegoż państwa.

W czasie, w którym Polska wchodzi na historyczną widownię świata, znajdujemy w niéj bezsprzecznie organizacyą i system rządo-

wy monarchiczny. Monarchia ta jest niewątpliwie patryarchalno-despotyczną, nawet srogą, jak wszędzie owego czasu. Dosyć przeczytać, co w téj mierze o Chrobrym pisze Gallus, lub co u Kosmasa zawiera rzekoma mowa Liubusy o władzy książęcéj. Monarchia ta i władza nie jest może wierną kopią średniowieczno-zachodniéj, ale to przyzna zapewne każdy, w pomnikach owych epok oczytany, że ona, pod wpływem posuwającego się od zachodu chrześcijaństwa, zewnętrznie i powierzchownie, kształtuje się wedle wzorów téj właśnie zachodniéj monarchii Karola Wielkiego. Ztamtąd przejęła owe instytucye duków, palatynatu, komesów, kastellów, owe liczne dworskie i obozowe urzędy, które po części przypięły się do istniejących, rodzimych urządzeń, po części dopiero odpowiednie formy wyrobiły, jak prawie wszystkie urzędy dworskie.

Obce formy i pojęcia te bowiem nie koniecznie się zgadzają z domowemi i domorosłemi stosunkami. To też one walczą i wypierają się nawzajem: tak palatyn z wojewodą, kasztelanie z opolem, osiek i gród z kastellem czyli pierwotnie kościołem, wspaniali dworscy urzędnicy z prastarymi włodarzami i starostami. Jak w rzeczywistości, tak i w zwierciedle języka walka ta się objawia, bo łacińskie źródła średniowieczne, jakby w poczuciu niezgodności pojęć, raz swoich, to znów swojskich używają wyrazów.

Monarchia polska kształtuje się tedy wedle dwóch przeważnych pojęć zachodniego porządku społecznego: z jednéj strony *dominium*, państwa, a z drugiéj *servicium*, służby, między które się wciska trzecie kształtujące pojęcie *przywileju*, *beneficium*.

Dominus, pan, jest *dominus terrae*, pan ziemi, on co „sicut terre dominus ense prelato cum tympanis ingreditur“ (M. P. III. 473) Służba, *servicium*, co innego jak *servitus*, jemu należna od wszystkich w równéj mierze, choć różnorako, w odmiennéj formie. Nawet przecież św. Wojciech, jako „magister scolarum imperatoris *servicio ascriptus* accessit ad regiam curtem“, powiada Passio sti Adalberti (M. P. I. 165). Tak samo ten co *wojnę służy*, jak ten co swego władcy orze łany, rataj, chowa jego stada, kobylnik, łowi jego zwierzynę, np. bobrownik, piecze chleb dla jego zastępów i dworu, robi szczyty dla wojska, wozy itd.. wszyscy są równi *servientes*, z określoném *servicium*, służbą, po za którą są swobodni, bo służba różni się tém właśnie od niewoli nieokreślonéj, *servitus perpetua*, któréj podpadają niewolnicy, jeńcy wojenni lub za winę komuś przysądzeni.

Wszelka służba dla Pana wynagradza się: „propter officium debetur beneficium“, a wynagradza się im naturą, ziemią, nawet dzie-

dziczną, póki wola pańska po temu, oraz płodami téj ziemi, udziałem w zbiorze, zdobyczy łowieckiéj, wojennéj.

Między tymi *servientes domino terrae* są także niewątpliwie *milites*, osadzeni porówno jak inne kategorye służebników na ziemi pańskiéj gromadnie, a powoływani do służby kolejno i w potrzebie. Milicya ta, to są starożytni woje, mieszkający prawdopodobnie w licznych Wojnowach, Wojnieściach, Wojmirach itp. miejscowościach, nazwanych od servicium swych mieszkańców, podobnie jak Bobrowniki, Woźniki, Szczytniki itd.

Wyraziwszy twierdzenie, trzeba nam szukać dowodów:

1) że woje byli tak samo klasą służebną, jak służebni innego zawodu; 2) że mieszkali pierwotnie, jak tamci, gromadnie, jak się zdaje nad głównemi granicami, ścianami (zaścianki) i traktami wojennemi, zkąd na każde „zawołanie“ (proclamacio) musieli być gotowi, skoro Pan Ziemi uważał za stosowne *convocare exercitum suum*, wojsko swe, rozsiadłe po kraju.

Co do *służebnictwa* milesów, już Gall się o nich wyraża, jako o służebnikach, kiedy powiada: miles domino semper et in omnibus obediret, albo daléj jeszcze wyraźniéj: non ut domini sed ut *milites* vel *servi* suum obsequium pronis mentibus et cervicibus obtulerunt. Ważniejsza wszelako, że w przywileju Inocentego II z r. 1136, a więc kiedy już rycerstwo musiało być w pełnym rozkwicie, napisano w spisie posiadłości kościoła gnieźnieńskiego: że nemini fas sit ecclesiam b. Adalberti super possessione *rusticorum* infestare, a wyliczając tychże rusticorum *nomina et officia*, w końcu podaje dokument tenże kilku *milites*, Zoba, Stojniewa, Mentę. Ci milites nie mogą być „rycerze“, bo owszem są wyliczeni między *rustici*, pomiędzy kmieciami, że jako służebni przeszli z woli księcia na *własność* bogatego i potężnego kościoła gnieźnieńskiego. Odtąd byli oni *milites ecclesiae*. Kościół bowiem w pierwotnych czasach nie był wobec posług dla księcia tak wolnym jak następnie a mianowicie od czasu Bolesława Wstydliwego. Potrzebował on milites, wojów, kmiecych wojowników, służbistych a powolnych, nie zaś hardych i szumnych rycerzy, nie tylko dla obrony swych włości ale i na wojnę dla księcia, na służbę wojenną, ktora jako servicium na jego dobrach ciążyła.

Przypuszczenie powyższe o *kmiecym* stanie wojów, wynikające dość jasno z wyrażenia: *rusticorum*, w powyżéj wzmiankowanym dokumencie, stwierdza się dziwném napozór i nie zawsze racyonalnie tłomaczoném zjawiskiem, że nawet w 12, 13 i 14 wieku, kiedy stosunki społeczne w Polsce bardzo się zmieniły, ale zawsze trwały jeszcze dawne tradycye, książę bez ogródki najwspanialszego rycerza zwał swoim *kmieciem*. W obec niego bowiem, w obec jego wła-

dzy, tradycyjnéj już tylko a mniéj rzeczywistéj, pomimo dostatków i wpływów a z pominięciem nadań i uzyskanych przywilejów, nawet rycerz był zawsze tylko *służebnym kmieciem*. Ztąd to w r. 1284 „comes Berwoldus venator Kalisiensis,“ nazwany jest: „*honorabilis kmeto* noster et miles strenuus“; tak samo r. 1295 na Mazowszu „comes Laurencius, castellanus de Bala“ otrzymuje od księcia nadania ze względu na grata et fidelia servicia *cmethonis nostri comitis Laurencii*. Co więcéj, jeszcze r. 1315 Krystyn wojewoda nazwany jest noster fidelis *cmetho palatinus* a dostaje nie tylko dobra, ale w nich pełne dominium i pełną jurisdykcyą. Podobnież opat tyniecki różnych obywateli miasta Krakowa nazywa *cmethones nostri* ze względu na to, że z jego nadania, jak tamci z książęcego, dzierżyli posiadłości na Prądniku, byli jego służebnymi, kmieciami.

Tak samo tedy pewno i ów Adam, *boży kmieć*, chociaż siedział u Boga w wiecu, nie był jego równym za-panie-brat, jego wysokim radcą i dostojnikiem, ale raczéj jego służebnym.

W analogii do owego *cmetho noster* albo *homo noster*, pojawiające się wyrażenie: *miles servus*, *servitor* albo *miles noster*, *suus*, stwierdzają tak samo nie tylko służebnictwo *milesów-wojów* ale poniekąd i tradycyjnie rozumiane służebnictwo *milesów-rycerzy*, choćby nawet pasowanych lub wieńczonych koroną. Henryk IV, wkraczając do Polski, doniósł Bolesławowi Krzywoustemu, którego uważał za *swego* służebnika, „se fines *militis sui* intrare.“ Gall opowiada, że pokonany dux Pomeranorum temuż Bolesławowi se *servicio* et *milicie* deputavit. Kronika Książąt Polskich (M. P. III. 462) wyraża się, że Bolesław Krzywousty, tanquam *militi* sibi subjecto non ut *domino*, Sbigneo Mazoviam dereliquit. Tu występuje tradycyjne pojęcie milesa, będącego służebnym w przeciwieństwo do *milesa* mającego już *dominium*. U Czechów spotykamy milites *servientes* możnym panom, nie tylko księciu (Kosm. 299).

Nie mniéj i szczególnie téż z opisu dworu Mieszka u Ibrahima, wynika, że rycerstwo tego księcia jest jeszcze w stosunku zupełnie kmiecéj służebności, bo książę rozporządza jego rodzinami podobnie jak rodzinami innych służebnych, którzy-to z jego rąk przechodzą w ręce kościoła *cum cognacione*, *cum filiis*. Populacya stanowiła wtedy główne bogactwo władzy, więc téż jest przedniém staraniem księcia, kierować rodzinami tak innych służebników jak *wojów*, żeby przez wzrost téjże populacyi wzrastała jego potęga. Przy stwierdzoném prawie wielożeństwie (Mieszko miał 7 żon), nie była to rzecz trudna a nadzwyczaj zaludnione *gromadném osiedleniem* oazy wśród puszcz niezmierzonych, mogły na niejednego cudzoziemca robić wrażenie dziwnie obfitego zaludnienia kraju.

Wskazówek na *gromadne osiedlanie wojów*, pomijając analogią innych służebnictw i wzmiankę odnośną u Ibrahima, szukać téż głównie należy w opisie siły zbrojnéj Bolesława Chrobrego u Galla. Niepodobna przypuszczać, żeby przy ówczesnych środkach komunikacyjnych, naturze kraju i patryarchalnéj biedzie mieszkańców, pańskie wojsko mogło było być zwoływane na czas, gdyby wojowie, jak późniejsi na krocie liczeni rycerze, na setki mil się rozpościerali po kraju. Przeciwnie, siły zbrojne siedziéć musiały jakoby pod ręką, a tu siedziały na trakcie wojennym, który się ciągnął od Poznania przez Gdecz, Gniezno, Kruszwicę ku Włocławkowi. Kruszwicę wymienia „Kronika Książąt Polskich“ (M. P. h. III. p. 454), jako „castrum militibus opulentum“. Owo rozproszenie dominialnego rycerstwa i późniéj jeszcze wielce utrudniało każdą większą akcyą wojenną, tak że powszechnie pospolite ruszenia kończyły się zawsze na gromadniejszém skupieniu rycerstwa bliższego wojennéj ścianie, a dalsze województwa zwykle za późno przybywały.

Za owych zaś mieszkowych i przedmieszkowych czasów, wynika to już samo przez się z natury kraju, że w ogóle zaludniane być mogły tylko niektóre dostępniejsze pasy kraju, ściany i trakty wojenne, a reszta była puszczą, którą cywilizacya dopiero *de cruda radice* zdobyć musiała.

Charakterystyczną analogią dla sposobu osiedlania wojsk i trzymania ich jakoby na ziemskim urlopie, znajdujemy w czeskiéj historyi u Kosmasa z XI wieku. Stosunki cywilizacyjne i cywilizatorskie w owych wiekach tak były podobne na całym obszarze zachodniéj Słowiańszczyzny, że śmiało nie potrzeba nam się, zwłaszcza ze względu na pobratymczość Czechów, wyrzekać ich zastosowania. Otóż Kosmas powiada, że książe Brzetysław, porozumiawszy się z ojcem i wziąwszy *plus quam duo milia militum*, wynosi się z nimi na Węgry, gdzie go król Władysław, jako krewnego przyjmuje—*et concessit militibus ejus inhabitare locum* (—pamiętajmy że ich było 2.000 —), qui dicitur Banow, który wśród lasów i gór był „nimium aptus atque opimus venacionibus. Victualia autem (sepy, narzaz, krowa, itd.) et cetera nature adminicula per preceptum regis *ab adjacentibus* (od innych służebnych) subministrabantur eis regionibus“.

Czyż opis ten nie przedstawia nam może najstarszéj, bo niby gminoruchowéj formy osiedlania i rozsiedlania się wojowników, którzy następnie sami przeszli do uprawy roli i własności dziedzicznéj. Pierwotnie zaś dostarczać im muszą chleba sami służebni, a oni trudnią się tylko łowiectwem i—wojną.

Prawdopodobnie i u nas działo się podobnie lub tak samo. Wszak Mieszek dostarcza wojom swoim wszystkiego na zaspokoje-

nie potrzeb życia, a oni zamieszkiwali niezawodnie w swoich Wojnowach itp. osadach wojennych, które następnie ze zmianą militaryzmu polskiego, zwolna się wypleniły, poprzezywały, kiedy na gruzach bezwzględnego servicium wojennego, powstawały i rozpowszechniały się uprzywilejowane dominia, mające obok tradycyjnie przechowanéj i szanowanéj zależności, pewne opisane i w nowy obyczaj zamienione *jus militale*.

Osady te wojenne wypleniły się téż i wygasły, głównie w tych stronach Rzeczypospolitéj, które od czasów Łokietka względnie prawie nieprzerwanego na kilka wieków używały pokoju, a utrzymały się za to pod niespokojniejszą krzyżacką, litewską ścianą na Mazowszu, poźniéj na Litwie saméj, na Podolu i Ukrainie i het za porohami Dniepru, gdzie szczęk oręża nie ustawał.

Przełom staropolskiego militaryzmu i systemu osad wojowych, zaczyna się już dokonywać na samym progu historycznych dziejów Polski. Już za Mieszka I rozpoczęła się zmiana, wróżąca zgubę staropolskim wojom, a kładąca podwaliny bytu i rozwoju późniejszego rycerstwa polskiego.

Wojsko Mieszka, jak je nam Ibrahim opisuje, nie jest już prostą kupą domorosłych wojów, zbrojnych co najwyżéj w łuki (*villa sagittariorum* jeszcze r. 1136 się znachodzi. Kod. Wpl.), kusze i młoty kamienne, w oszczepy wypróbowane na niedźwiedziach i odyńcach, ale już zaczyna przybierać kształty zewnętrzne ówczesnéj cywilizowanéj siły zbrojnéj, bo książe sam sprawia im odpowiednie czasowi uzbrojenie.

Geniusz Mieszka starłszy się z światoborczą potęgą Niemców, dostrzegł, że jeśli się z młodem państwem swém chce ostać przed nawałą cywilizacyi, pracą z zachodu, to pod każdym względem sam dla siebie i kraju swego starać się musi wszelkiemi sposobami o jéj przyswojenie. Dla tego nietylko po *krzyż*, ale i po *miecz* chrześciaństwa sięgnął Mieszko oburącz, a oboje wziął nie zkądinąd, jeno z pobratymczych *Czech*.

Niechaj mi tu wolno będzie zrobić małe zboczenie, celem potrącenia o tę hipotezę najazdu, który niby miał dać pohop do zorganizowania państwa polskiego przez wojennych przybyszów z nad ujść Łaby. Wyobraźmy więc sobie coś nakształt brzetysławowéj wyprawy na Węgry. Tylko że na Węgrach już powiewał sztandar *pana ziemi*, więc się Brzetysław zadowolnić musiał gościnném przyjęciem, ale czemuż-by kiedyś nie była miała zawitać i nad Wartą podobna drużyna wojowników, przynosząc w porządku obozowym zarodki organizacyi państwowéj.

A jednak teorya ta, o ile tyczy przybyszów z nad ujść Łaby, jak już inni wykazali, nie ma wyraźnéj podstawy faktycznéj. Niema też wskazówek, żeby w kierunku, przez teoryą tę wskazanym, w ogóle kiedyśkolwiek szedł jakiś prąd historyczno-cywilizacyjny do Polski. A jak wiadomo teorya idzie i postępuje przez wieki temi samemi bitemi szlakami, a rzadko po ścieżynach tajemnéj kontrabandy. Powołać się można na szlaki Fenicyan, a potém Greków, Rzymian, którym wszystkim bliżéj było od Pontu i przez Bałkany lub helweckie i tyrolskie Alpy przeć się na północ i wschód, a jednak poszli wszyscy utartym fenickim szlakiem, wielkiém półkolem po falach morza śródziemnego i przez Gallią, zanim się zwrócili na wschód i północ.

Tak i do nas nie tamtędy przyszła cywilizacya, kędy do niéj szlaki znaczy taż teorya najazdów, bo téj cywilizacyi u ujść Łaby nie było, a tamte dzierżawy oddzielone były zresztą od nas nieprzeprawnemi rzekami, puszczami i bagnami nieprzebytemi. Szukałyż takiéj drogi choćby awanturnicze wyprawy wojenne Brzetysława itp.?

Przeciwnie przedstawia się krajobraz od strony Czech. Tam ani bagna ani puszcze nie bronią przystępu, trakty tam odwiecznie utorowane, wiodą wprost na żyzny Szląsk, który w staroczeskich źródłach nosi zawsze miano Polski.

Z tych to Czech przyszła do Polski wiara chrześciańska i organizacya cywilizowanego militaryzmu, a z faktów tych niezaprzeczonych, z daleko większém prawdopodobieństwem wnosić można, że już poprzednio tą samą drogą szły do téjże Polski pierwotne prądy cywilizacyjne, nowożytne pojęcia, które ukształtowały pierwsze twory państwowe, bądź na Szląsku, bądź w Chrobacyi, a następnie i w Wielkopolsce, o czém zresztą świadczą niejako przeróżne analogie w podaniach o Piastach i Przemysłowicach.

Z natury rzeczy wynika, że Czechy, o kilka set lat starsze w historyi i cywilizacyi od Polski, bo bliższe świata cywilizowanego i jego centrum, co same ztamtąd przejęły, to daléj podawały sąsiadom i pobratymcom północnym, od których ich wtedy ledwo jakiekolwiek odróżniały językowe i obyczajowe różnice. Czytając dziś dyplomataryusze czeskie z VI i następnych wieków, zdaje się jakoby się czytało polskie z XII wieku; tak podobne spotyka się tam stosunki i urządzenia.

Wracając do naszéj kwestyi specyalnéj, stwierdzić musimy, że z tych to więc Czech przyszła do Polski, zaraz za światłem chrześciaństwa, *reforma siły zbrojnéj*.

Mieszek, wojujący z Wichmanem i jego żelazném rycerstwem, przekonał się, że nielicznym zastępom najezdnika nie podoła kupa-

mi swoich lekkobronnych wojów, przeważnie pieszych — pedites barbarorum — dla tego: „misit ad Bolizlavum, regem Boemiorum, gener enim ipsius erat, accepitque ab eo *equitum duas acies*". Snać taka była o tém tradycya (Widukind, M. P. I. p. 141).

Musiał tedy już Bolesław czeski mieć wojsko zorganizowane na sposób zachodni, ciężką jazdę, okutą w żelazo, ferratas acies, które mogły stawić czoło chorągwiom rycerzy niemieckich. Z tych użyczył „duas acies" Mieszkowi, a gdy w nowéj walce piechota Mieszkowa pierzchnęła, niespodziewane natarcie niespodziewanéj jazdy rozstrzygło o losie Wichmana.

Mieszek widząc taką korzyść z nielicznéj, ale ciężkiéj jazdy, niepodobna przypuszczać, aby nie miał był starać się o zorganizowanie liczniejszéj drużyny w żelazo kutéj. Opowieść Ibrahima zdaje się stwierdzać pomyślny rezultat tych starań, bo od niego właśnie dowiadujemy się, że Mieszko już miał 3.000 takiego rycerstwa, a dawał mu odzież, konie, oręż i wszystko czego potrzeba. Nawet, obyczajem polskim, dziećmi ich rozporządzał, jakby własnością swą.

Z téj to właśnie okoliczności, wnosić należy, że zastęp ten rekrutować się musiał na razie z wybrańców wojowéj rzeszy i zachował jeszcze z początku dawną organizacyą. A Thietmar powiada o wojsku tém, że jest to „exercitus quantitate parvus, qualitate sua optimus et *omnis est ferreus*". (M. Pol. I. p. 255).

Nie podobna prawie przypuszczać, żeby wojsko to polskie, pierwsze wojsko historyczne, składało się już wtedy z owych osiadłych po wsiach dziedzicznych, uprzywilejowanych rycerzy, którzy z przejęciem obowiązku stawania na rozkazy księcia z pocztem ludzi, brali zarazem mniéj lub więcéj obszerne dominium nad wsią lub dobrami nadanemi. Kiedy się ten stosunek zamienił trudno oznaczyć. Zapewne zmieniał się zwolna. Śladu postępów zmiany dokumentami stwierdzić nie możemy, bo dokumentów z czasów Mieszka i Chrobrego niema. Ale wniosek wsteczny ze stosunków późniejszych, porównany z wzmiankami Galla, uprawnia nas do twierdzenia, że stosunek ten nowy wyrobił się, skoro znaczna liczba rycerstwa obcego do kraju naszego napływać zaczęła, szukając służby i hojności u książąt polskich.

Ci oczywiście przybywali *z bronią* i *zbroją*, tak kosztownym na owe czasy przyborem wojennym i byli dla tego pożądanymi „gośćmi". Ciężar zbrojenia *wojów* kosztem książęcym, ustawał w obec *rycerzy*. Jak późniéj zawsze w Polsce przedkonstytucyjnéj, tak pewno i od początku przyjmowano ich na obyczaju i prawie obcem i osadzano w kraju nie jako *wojów*, żyjących w gromadnéj

wspólności *wsi polskiéj*, lecz w oddzielnych *dworach*, jako mniéj lub więcéj udzielnych panów.

Obyczaj ten, zdaje się, już za Bolesława Chrobrego się zagęścił. On to na liczne wyprawy swoje nietylko organizował gęste zastępy wedle ziem i powiatów umundurowanych (diversitate indumentorum) wojów, ale też przedewszystkiém owe *ferratas acies*, które wtedy tak samo rozstrzygały bitwy, jak dziś iglicówki lub odtylcowe armaty gwintowane.

Rycerstwo obcego autoramentu zaćmiewa już za Chrobrego domorosłych wojów. Wprowadza się też obyczaj pasowania rycerstwa. Sam Bolesław r. 1013 *miles efficitur*, a pasując innych, wyróżnia ich złotemi łańcuchami in *signum miliciae*. Tych zaś nigdy mu nie było podostatkiem, skarżył się zawsze, „quod solis militibus indigeret“, a rekrutował ich najchętniéj z cudzoziemców, bo jak się Gall wyraża: „et quicumque *probus hospes* apud eum in milicia probabatur, non *miles* ille sed *regis filius* vocabatur et si quamdoque eorum aliquem infelicem in equis vel aliis audiebat, infinita dando“, wynagradzał, co zresztą wynikało także z dawnych obyczajów krajowych, bo wszakże Mieszko, wedle Ibrahima, dawał swoim wojom cały rynsztunek i konie.

W takiém położeniu rzeczy, o ile nowe rycerstwo zyskiwało na powadze i znaczeniu, na dostatkach, o tyle starodawni woje, których zawsze jeszcze jest liczba znaczna (r. 1015, Bolesław, wedle Thietmara, ma „magnam peditum magnitudinem“), w obec nowych milites, rycerzy, spada do rzędu „milites gregarii, caligati“; chodaczkowéj czerni.

Mniejsza użyteczność domorosłéj milicyi, w obec nowego autoramentu rycerskiego, już i w tém się okazuje, że Chrobry zniósł podobno starożytną *stróżę*, pełnioną in natura przez osobistą służbę wojów opolnych, a zamienił ją na podatek „de *aratro* sive *unce*“, po mierze żyta i owsa, oddawanych do gumien królewskich, od któréj to dani wolni byli tylko sami rycerze, „pro republica militantibus exceptis“ (M. P. II. p. 483).

Jak straszną zaś była przewaga żelaznych zastępów, widać nie tylko z wojennych dzieł Chrobrego, ale i późniéj z pogromu Mazowszan przez Kazimierza, który pobił im 30 pułków, chociaż sam tylko miał 3,—bo już wtedy „Polonia pene deserta jacebat“.

Organizacyą Chrobrego i jego militaryzmu rozwijał daléj Bolesław Śmiały. Nietylko że on sam był „miles strenuus“, ale i „*hospitum* susceptor benignus, datorque largorum largissimus“. To też jeśli dokumenta odpowiednie są prawdziwe, za jego czasów rycerstwo przednie jest już tak bogate, że nadaje kościołom (p. dok. mogilni-

cki, Kd. Wpl.) obszerne dobra i włości, nad któremi dzierżyło już książęce dominium.

Z tego, co powyżéj powiedzieliśmy, nie wynika zgoła, żeby *rycerstwo polskie* w przeciwstawieniu do wojów, ginących i zwolna spadających coraz bardziéj w chłopy, miało być ryczałtem pochodzenia cudzoziemskiego, albo zgoła niemieckiego (1). Wszak już zaznaczyliśmy, że Mieszek pierwsze zastępy swoje żelazne rekrutować mógł jedynie ze swojskich wojów. Ci, lub ich potomkowie, zapewne zarówno z cudzoziemcami rozsiedlali się po dominiach rycerskich. Nie mniéj i dworzanie królewscy, urzędnicy, kwapili się korzystać z przywilejów i nadań monarszych, fundując rody i dziedzictwa rycerskie. Ale i to wrażenie odnosi się z czytania kronik najdawniejszych, że masa żywiołów krajowych, spadająca coraz bardziéj, a raczéj nie wynosząca się nad poziom chodaczkowéj linii, nie koniecznie życzliwém okiem patrzała na przywileje i korzyści żelaznéj gwardyi, która brała na własność dostojeństwa i wielkie dobra, kiedy tymczasem czerń wojowa wiodła duszny żywot w biedzie, na małych źrebiach, a może nawet tylko w używalności wspólnéj własności (2),—aż i jéj w czasie trudnym do oznaczenia za przykładem rycerstwa, *włostność*, czyli własność osobistą, wydzielono i nadano. Nie było to jednak zrównaniem, bo kiedy rycerze wyrastali na coraz większych i udzielniejszych panów, ci jako *non habentes cmethones*, pozostają do niepoznania podobni do *rustici*, do kmieci. Tak w księgach sądowych krakowskich u Helcla (II. nr. 4041) jest pod r. 1394 proces, w którym sędzia zwie Macieja „rusticus", a ten dowodzi mu, że jest „miles". Z uposażenia byli to kmiecie, a jakie było ich uposażenie, poznajemy z przykładu, jaki nam przedstawia ów typowy miles *Woen*, którego sobie kanonik płocki Filip (r. 1273) trzymał dla pełnienia służby księciu powinnéj i który „ex paterna *successione* aream et quosdam agros forte ad

---

(1) Na Szląsku, zwłaszcza „post paganos", niestety rycerstwo się niemczyło i Niemcy otrzymali przewagę. W r. 1309 germanizacya już tak postąpiła, że Theutonici, mający w swych ręku ks. Henryka, po jego śmierci tak dalece owładnęli jego synami, że ci „nihil aliud poterant facere, nisi quod placeret Theutonicis et multas ab eis terras et civitates receperunt pro modica pecunie quantitate et dederunt eis consilium, *ut totam gentam polonicam exterminarent*, tam *ecclesiasticas personas quam seculares, milites maxime*." (Rocz. Wpol. M. Pol. III. p. 41). W Wielkopolsce i Małopolsce żywioł polski stawił silniejszy opór, a rycerstwo nowego autoramentu w części przynajmniéj znacznéj wzrastało na podstawie rodziméj.

(2) Wszak jeszcze Długosz w swym Liber Benef. (I. p. 203) zna *cmethones indistinctos agros* habentes, a kto wié czy i *conmetanei* wspominani w Kodeksie Wpolsk. nie odnoszą się do wspólnéj miedzy, w obrębie któréj wszystko jest wspólne.

duos boves“ posiadał, to jest tyle, ile parą wołów obrobić można. (Kod. Kat. Krak. I. p. 101).

Ślady prądów antagonizmu między rycerstwem a potomkami wojów zaznaczają nam się już w anarchii, powstałéj po śmierci Bolesława Chrobrego, kiedy to „in *dominos* (dominia mających?) *servi*, contra nobiles liberati, se ipsos in *dominium* extulerunt“ (Gall. M. P. I. p. 415). Czyż mielibyśmy przypuszczać, że powstańcami tymi byli rataje, bobrownicy lub rybacy? a nie raczéj owa warstwa domorosła, która się zaliczać musiała do malkontentów, w skutek powodzenia nie bywałéj w dawnéj Polsce warstwy przybłędów, „gości“ wojennych i krajowych karyerzystów, którzy pociągani na wojenne wyprawy zagraniczne, brali żołd *pro hasta* i obfite łupy wojenne, a upośledzeni wojowie marnieć musieli na łanowych zagrodach. Kiedy w wojnie Kazimierza z Masławem, nie żaden rycerz przedni, „quidam non de nobilium genere, sed de *gregariis militibus*“, zapędzonemu między wrogów królowi życie uratował, opowieść o tém chowano w następne wieki, jakoby na wstyd dla żelaznéj gwardyi. A z czasów Bolesława Śmiałego także coś znów słychać jakoby o wyraźnéj dosyć reakcyi staropolskiego żywiołu przeciwko żelaznemu rynsztunkowi gwardyi, bo Gallus opowiada, a za nim powtarzają wszyscy kronikarze, że z powodu utonięcia wielu pancernych na przeprawie przez rzekę w wojnie pomorskiéj, ta „causa fere totum loricarum usum de Polonia abolevit, quas antiquitus Magni Boleslai regis exercitus ingenti studio frequentavit“. Teraz, loricis Polonia dissuevit et sic expedicior hostem quisque invasit etc.

Niepodobna przypuszczać, żeby to brać należało dosłownie. Może to znaczy, że za Bolesława Śmiałego, żywioł polski w rycerstwie uprzywilejowaném już tak był silny, że mógł się przy danéj sposobności odważyć na zmianę obyczaju wojennego, ale i tak możnaby to rozumiéć, że Bolesław Śmiały nietylko już swe *acies curiales* „ubierał“ w żelazo, ale i czerń wojenną przymuszał do kłobuczka i harnaszu, co się nie podobało, bo Polak, wedle staréj tradycyi, żyjącéj w zastępach kmiecych wojów i u drobniejszego rycerstwa, z téj klasy powstającego, wolał—*expedicius hostem invadere.*

Reakcya ta, bądź co-bądź, musiała mieć powodzenie, bo wszakże i za Bolesława Krzywoustego, Henryk IV dziwi się pod Bytomiem, że Polacy prawie „nudos contra clipeatos, vel clipeatos contra loricatos nudis ensibus decertare“. Z drugiéj strony jednakże, powiada tenże sam kronikarz (Gall), że Krzywousty lubił na wyprawy chodzić „cum paucis electis“, a na wyprawę pod Kołobrzeg nie zabrał „nullum peditem, sed *milites* tantum *electos*“ (M. Pol. I. p. 446 cfr. 458), a jeśli czerń pieszą wziął kiedy z sobą, jak na wyprawę ma-

zowiecką, to ją czémprędzéj z łupami do domu wyprawiał—„pedites anteirent“. On téż to utrzymuje stale ową *acies curialis curialiter armata*, składającą się oczywiście z żelaznego rycerstwa, gdy wspomniane przez Galla ziemskie chorągwie, jak gnieźnieńska i wojewódzka, składać się mogły z lżejszéj jazdy.

Nie zamierzamy tu śledzić daléj postępu i rozwoju polskiéj *wojskowości* z jazdą, która z czasem tak świetnego stopnia doszła w sławnéj na cały świat husaryi, bo nie o rzemiosło rycerskie dziś nam chodzi, lecz o wyjaśnienie składników stanu rycerskiego i o stanowisko, jakie te składniki pierwotne w organizacyi społeczności polskiéj zajmowały.

Źródła nasze niestety nadto mało dają nam materyału do opisania pierwotnéj organizacyi wojów, a nie wiele więcéj mówią i o rycerstwie pierwotném. Wszak, żeby samo istnienie wojów, jako kmieci wojennych, stwierdzić, musieliśmy się uciekać do językoznawstwa. A poruszać się daléj możemy także tylko na polu hipotez, wspartych jedynie, że tak powiém, napomknieniami dziejowemi. Z tych tedy sądząc, zdaje się, że organizacya wojów staropolskich musiała być *dziesiętna* i *drużynowa*.

Nie można twierdzić, żeby treść opowiadań, zawartych w kronikach o czasach przedmieszkowych, uważać należało za fakta historyczne, ale daleko więcéj wiary przypisać należy tymże kronikarzom tam, gdzie zmyślone może fakta podają na tle *stosunków* współczesnych lub z tradycyi znanych, których zmyślać i fałszować nie mieli zupełnie powodu. Mniejsza więc oto, czy np. wedle opowiadania Mierzwy, Ziemowit polski rzeczywiście zreformował państwo polskie i wojsko polskie, ale jeśli tenże Mierzwa opowiada, że Ziemowit „instituit decanos, quinquagenarios, centuriones, chiliarchas etc.“, to zupełnie nie ma powodu zaprzeczać możliwości takiéj organizacyi, tém więcéj, że i w innych krajach słowiańskich znajdujemy ślady takiéjże organizacyi dziesiętnéj, jak mniemam z rzymskiéj organizacyi wojennych kolonij (agri decumates), przeniesionéj na cały świat północno-zachodni i wschodni. Nestor poświadcza nam tę organizacyą na kraje ruskie. Powiada on, że Włodzimierz kijowski kazał w dzień na ucztę przychodzić bojarom (boljar) i dworzanom i *setnikom* i *dziesiętnikom*. A Bolesław nasz, po zdobyciu Kijowa, Anastazego *dziesiętnika* przystawił do skarbów jako swego włodka, czyli włodarza.

Analogij takich nie będzie można spuszczać z oka, badając znaczenie owych *homines decimi*, których niekiedy dokumenta polskie wspominają, a których spotykamy także w całéj zachodniéj Słowiańszczyznie. Może bo też *dziesiątka* jest w ogóle organiczną

jednostką wszelkiego służebnictwa pierwotnego, nie wyłącznie tylko samych kmieci wojennych. Pod Lublinem jest, wedle Liber Benef. Długosza (I. p. 198), wieś *Dziesiąte*, zamieszkała przez sokolników.

Przypuszczać należy, że pierwotna organizacya ta, wraz z zakorzenieniem się rycerstwa w Polsce, rozwijać się przestała, a w miejsce *drużyn* (nestorowych) nastały rycerskie *chorągwie*. W drużynie, obok dziesiątki, było może drugim znakiem organicznym *zawołanie*, a więc znamię *głośne*, w chorągwi—sztandar, vexillum, znamię *widome*. Długo jeszcze zapewne brzmiały w Polsce, uświęcone tradycyjnie w potrzebach krwawych, *zawołania*, których imiona tak często zdradzają pochodzenie od miejscowości (Przeginia, Ołobok, Ulina, itp.); powtarzano je chętnie i mimowolnie, ze zwyczaju, chociaż przestały mieć znaczenie organiczne, które przeszło na *chorągwie*.

Jak wielkie znaczenie znak ten widomy pozyskał w średnich wiekach, widać już stąd, że na pieczęciach zwykle książęta, wyobraziciele władzy, dzierżą w ręku chorągiew. Cesarz na znak takiéj władzy, oczywiście i na znak lemaństwa, wojennego „servicium“, dawał lennikom swoim tyle sztandarów, ile ziem dzierżyć mieli. Ci znów dawali takież znaki swoim palatynom, wojewodom i tak daléj aż do rycerza panującego nad uczątkowém dominium, tak jak król lub książe nad całém. Wasalów swych zbierali oni pod znaki te, opatrzone w godła i klejnoty rodowe (erby) odpowiadające klenodiom regni czy summi dominii. Tak więc i towarzysz z chorągwią na kopii nosi ją, bo jest dominus, a czeladź téj broni zaszczytnéj i władczéj nie nosi, bo czeladź służy, nie mając dominium i dalszych służebnych.

Znaki te od *dworskiego* wojska, reprezentowanego przez uprzywilejowane rycerstwo, przeszły z czasem i na ziemskie drużyny, gdy takowe *zrycerzały*, zatém nastały chorągwie ziemskie i urzędy *chorążych ziemskich*.

Nowy znak wojenny nie koniecznie się cieszył powszechném uznaniem. Nie wystarczał on na wszelkie wypadki potrzeby. Porzucono go nawet jako niepraktyczny. W téj mierze charakterystyczną jest opowieść w „Kronice Polskiéj“ (M. P. III. 623) o bitwie Kazimierza z Masławem. W opowieści téj widocznie walczą pojęcia i znamiona nowe ze staremi tradycyami i godłami. W zwycięzkiéj walce owéj przewodzi szykom polskim jakiś mistyczny jeździec, z białą *chorągwią*. Ale chorągiew ta nie chroni zwycięzców od fatalnéj w bitwie pomyłki. Wysiekłszy wrogów, a rozmachani, sami siebie nawzajem bić poczynają, dopiero gdy *starodawnym obyczajem* na siebie

wołać zaczęli, gdy się uciekli do „*zawołania*", zaraz swoi poznali swoich i „albo equo *vexilliferum* ulterius non viderunt".

Stwierdza to i IV Statut wiślicki, jak niechętnie stosowano się do nowych porządków wojennych. Opiewa on pod r. 1368, że „quidam ex nostris nobilibus sub nullius *vexillo* se locare consueverunt", a następnie nakazuje, żeby każdy, *miles* czy *simplex* sub certis *vexillis* stawali. Tu prawo dość wyraźnie rozróżnia pasowanego, uprzywilejowanego rycerza, przedzierzgniętego na nobilisa, ślachcica, od jakiegoś *simplexa*, którym nikt inny być nie może, jak owi, gdzieś niegdzieś jeszcze gromadnie żyjący, dawni kmiecie wojenni, „milites gregarii, militelli, milites caligati" i jak ich tam przeróżnie nazywano. I u Czechów są, wedle Kosmasa, „milites secundi generis (p. 175), militia plebis" (p. 188). Du Cange wymienia aż trzy stopnie milesów.

Powiedzieliśmy już, że ten rodzaj osadnictwa najdłużéj się w pierwotnéj prostocie zachował na owém deskami zabitém Mazowszu, to téż dzięki zaściankowości téj dzielnicy kraju, późno wprawdzie, bo w r. 1421 wydany, ale dosadnie ilustrujący pierwotne stosunki Statut Ziemowita IV najwyraźniéj rozróżnia dwie kategorye rycerstwa i wyraźnie wymienia owego *miles communis*, qui non est *nobilis*, sed habet *jus militale*.

Pojęcie: *jus militale*, czeka jeszcze także na swego monografa. Nie pokusimy się dziś zatém o wyczerpujące oznaczenie jego zakresu. Nie powiemy jednakże zapewne za wiele, twierdząc, że pojęcie to powstało wtedy, gdy pojęcie *servicium militale* przybladło, przytarło się i nieledwie przygasło; gdy z wzrostem *dominialnéj* władzy rycerstwa, ustawało przeświadczenie i samowiedza o przymusie do służby wojennéj, a ustalało się już tylko poczucie moralnego i honorowego obowiązku osobistego.

Znajdujemy jednak niekiedy obok *servicium wojennego* ciężące na milesach inne jeszcze obowiązki, z których jedne zdają się być starodawne, jak *przewód wojenny*, stróża zamków, budowanie warowni, pościg złoczyńców (przynajmniéj na Mazowszu), inne z czasem narzucone zostały przez przewagę księcia, jak na Mazowszu „canum ductura, procuracio venatorum, portacio pabulorum, habitaculorum labores", same servicia ogólnie kmiece, które na Mazowszu dopiero przez księcia Bolesława r. 1447 zniesione zostały dla szlachty, z wyjątkiem znanego także wszelakim kmieciom pościgu złoczyńców. W Małopolsce już pod r. 1283 czytamy o milesie, że „non dabit nobis (tj. księciu) amplius *podwodas* (Kd. Młp. 121), który to ciężar następnie ogólnie ustał dla rycerstwa, gdy nad servicium górować zaczęło w pojęciach jego owo *jus militale*.

Już takowe uwydatnia się przedewszystkiém w prawie niezaprzeczonego dziedzictwa, które zrazu było warunkowém, i rozporządzalności własnością ziemską; daléj w prawie, żeby ich, tj. milesów nikt nie sądził, tylko sam książe lub król, jako najwyższy władca wojenny, żeby duchowieństwu dziesięciny oddawali wedle upodobania na rzecz wybranego kościoła, a nareszcie żeby posiadać mogli *nietylko ziemię*, ale i ludzi, *homines militum* i rozciągać nad nimi zupełną władzę i jurysdykcyą cywilną i kryminalną. Ten punkt jednakże dotyczy tylko rycerzy dominialnych, rycerstwa nadanego dobrami, *villas habencium*, a nie tych, którzy wedle sądowéj księgi czerskiéj należeli do „regestrum nobilium pauperum (sic), *cmetones non habencium*, *propriam culturam exarancium* i którzy niekiedy siedzą „*tanquam cmeto* in hereditate domini ducis et nullius est *hereditas*, nisi ipsius ducis. Tacy „ludzi" mieć nie mogli, bo gdzież-by ich podzieli?

Ci tedy milites communes, *chodaczkowa ślachta*, którą dopiero późniejsza polityka możnowładcza wciągnęła do koła *rycerskiéj ślachty* i rzekomo zrównała wojewodzie, nie jest produktem prostego zubożenia, ale schnącą latoroślą starodawnego pnia piastowskich wojów, do których także zaliczać wypadnie wojennie zorganizowane kozactwo z jego *siczami*, przypominającemi językowo najstarszą formę polskiéj fortyfikacyi, tak liczne po kraju *Osieki*. Wszystko to są niejako lodowcowe resztki organizacyi społeczno - politycznéj z samych początków monarchizmu polskiego.

Nowsi badacze lubią tę warstwę podlejszego rycerstwa nazywać rycerstwem *włodyczem*, czyli nawet *władyczem*, nie wyjaśniając jednak pochodzenia téj nazwy.

Pozwalamy sobie zastanowić się nieco bliżéj nad tą osobliwą nazwą. W łacinie wyraz ten tłómaczy się zawsze przez *miles*, nigdy przez *nobilis*, tak że włodyka rzeczywiście nikim innym być nie może, jak owym znanym nam już *miles communis*. Z góry oświadczyć należy, że forma *władyka*, rycerstwo *władycze*, zdaje się być fałszywą, gdyż musiała-by pochodzić od *władyki*, który wedle Knapiusza, Lindego i notorycznego zrozumienia *żywéj* mowy, tylko i jedynie oznacza biskupa obrządku greckiego, a żaden dokument nie stwierdza, żeby pojęcie rycerstwa *władyczego* odnosiło się do „milites ecclesie". Pozostaje nam więc tylko rozprawić się z *włodyką*.

Knapiusz nie zna *włodyki* i Linde o nim nic nie wié, ale za to poucza nas, że wyraz *włodek* oznacza to samo co *włodarz* (rolnik?). Przypuszczam tedy, że ów, *włodyka* jest gminną, przedrzeźniającą korupcyą *włodka*. Dotąd są na Mazowszu rodziny *Włodków*, w których mianie rodowém przechowała się nazwa całéj klasy społecznéj,

jak w owym *miles Woen* przechowała się nazwa *wojeń*, woin, odnosząca się do klasy społecznéj *wojów*. Nie wynika stąd jeszcze, żeby wszyscy *włodkowie* musieli być włodarzami. Asocyacya idej w tworach językowych nie zawsze bywa logiczną. Zresztą nazwę *włodyków* główne spotykamy na Mazowszu, a zupełnie wyjątkowo tylko w źródłach innych dzielnic, tak, że potrosze na prowincyonalizm zakrawa.

Mniejsza już teraz o nazwę *wojów*, czy następnie *włodyków*; zapytać jednak należy, czemu w najstarszych źródłach naszych tak ważna klasa służebnych *wojennych kmieci* nie znajduje wyraźniejszego uwzględnienia, na jakie zasługiwać się zdaje. Rzecz to bardzo naturalna. Piszący nadania itp., byli obcy stosunkom krajowym, a w czasach, kiedy pisali przekazane nam dokumenta, już rycerstwo uprzywilejowane, rycerstwo i wojsko dworskie (acies curialis), a za jego przykładem organizowane chorągwie ziemskie lub możnowładcze, tak górowały, tak, rzec można, zmonopolizowały dla siebie pozór i istotę wojskowości, że choćby najliczniejsze zastępy domorosłych wojów mogły w oczach piszących wyglądać na czerń luźną i nieprzydatną, któréj pochodzenie i organizacya były dla nich obojętne. Uważano to w czambuł za kmieci, chłopów, od których się też pozorem nie wiele różniły takie zastępy. A jednak kupy te nie obejmowały od pługa oderwanych *smerdów* i różnego innego narodu, różnemi zawodami zabawiającego się, ale właśnie służebników wojennych, do służenia wojny tradycyjnie obowiązanych. Na Rusi, jak „Akta Grodzkie i Ziemskie“ (Lwów), tylokrotnie wykazują, jeszcze w XV wieku z zaścianków stawały kompanie pieszéj „ślachty“ do boju.

A że ludzie tacy nie pełnili innego służebnictwa, prócz objętego w *servicium militale* i spełna używali owoców pracy swéj pokojowéj, musieli oni, w porównaniu z innymi służebnikami, robić wrażenie *ludzi wolnych*, o ile nie pełnili też podlejszéj służby i nie ponosili wszystkich angariów polskich. A takich ludzi, taką klasę ludzi, wspominają niejednokrotnie dokumenta. Sądzę, że mi tego nikt nie poczyta za lingwistyczne „salto mortale“, jeśli odwołując się na tożsamości nazw: *Wolbórz* i *Wojbórz*, *Wolimir* i *Wojmir*, Wojsław czyli Wolesław (Bolesław), zaznaczę bliskie pokrewieństwo źródłosłowów *woj* i *wol*, wywodząc stąd, że ludźmi *wolnymi* (1) są w starożytnéj

(1) Wszakże i u Karola Wielkiego z r. 807 w kapitularzu *de expedicione* nazwani są *liber* ci, co „mansos 5 de proprietate habere videntur“ i obowiązani są „in hostem venire“ na hiszpańską stronę *co szósty*—quinque sextum preparare faciant,—do Czech *co trzeci*, na Sorabów wszyscy pospolitém ruszeniem (Erb. Reg. Nr. 17). Więc i tu *liber* i *woj* są jedno.

Polsce właśnie nasi *woje*, gdyż i forma *wojeń* zdaje się odpowiadać ruskiemu *woljen*, a formę tę i my musielibyśmy mieć w języku polskim, bo mamy w starym języku *woleństwo* zamiast *wolność*.

Tu dopiero schodzi się poniekąd zapatrywanie nasze z badaczami nowszymi, którzy w pierwotnéj Polsce upatrują liczny i potężny stan średnich, wolnych właścicieli, czyli *mediocres*, tj. małych dziedziców, coś niby nakształt anachronicznych reprezentantów dzisiejszéj drobnéj posiadłości, cieszącéj się niezależném stanowiskiem obywatelskiém. Taka klasa jednak w obec pojęć panujących o powszechném *dominium* i powszechném, choć różnolitem *servicium*, byłaby dziejową anomalią. Jakże to często „homines liberi“ nazwani są nietylko *servientes*, ale po prostu *servi*! Wolność w średniowieczczyznie nie ma znaczenia politycznego i socyalnego, tylko po prostu przeważnie znaczenie *fiskalne*.

Reasumując, cośmy o wojach dotąd powiedzieli, stwierdzamy, że klasa ta, pierwotnie służebnych kmieci wojennych, podupaść i zaginąć musiała, a rozwinąć i podnieść się nie mogła, w obec przekształcenia milicyi staropolskiéj na wojsko dworskie i ziemskie. Przechowały się tylko jéj resztki w zaściankowéj szlachcie i poniekąd w kozactwie, z których pierwsza dostąpiła z czasem zrównania ze ślachtą, wyrosłą z rycerstwa obcego autoramentu, podczas gdy kozactwo daremnie się tego zrównania dobijało.

Na pniu téj rodziméj milicyi, za przewodem chrześciaństwa, zaszczepiło się wprowadzone do Polski rycerstwo, na średniowiecznym zachodzie wykształcone. Ztamtąd przez Czechy, wraz z nazwą *rytterów*, rycerzy, przeniosło się ono na polskie niwy i, jako zawiązek uprzywilejowanego stanu wojennego, dało początek do wykształcenia się oryginalnego rycerstwa *polskiego*, które się następnie, z biegiem wypadków dziejowych i okoliczności, zorganizowało w polityczny stan ślachecki. Woj, albo spadł do coraz bardziéj zapomnianego i na posługi ekonomskie używanego *włodka*, albo, gdzie się udało, wciskał się do szeregów żelaznéj gwardyi rycerzy. Z tych zaś ostatnich, pełniących także *servicium wojenne*, ale odpowiedniejsze potrzebom czasu i sztuki wojennéj, wykołysał się *nobilis*, *ślachcic*, u którego z czasem „servicium“ zamienia się na *officium* i na *jus militale*, w którém potém udział biorą zarówno rycerze i „milites communes“. W nadaniach rycerskich zwykle służba wojenna ściśle bywa określaną co do ilości koni i jakości broni, czasu itp., ale zdarza się już w r. 1256, że Sambor pomorski (Perlbach I. p. 137) nadaje dwom rycerzom 60 łanów, a jednak powiada tylko: „servicium quod essent nobis *exinde* facturi, eorum *committimus voluntati*,“ ich dobréj woli, poczuciu obowiązku w obec pana i kraju.

Główna różnica między rodzimym wojem a obcego autoramentu rycerzem, co do uposażenia, jest ta, że woj bierze za swe servicium pierwotnie tylko albo wolne utrzymanie, kosztem reszty ludności, jak np. Brzetysława i Mieszkowe zastępy, albo *kmiece wynagrodzenie*, osiada na książęcéj roli (woli?) w osadach, mających zapewne pierwotnie wspólną własność, eksploatujących role na wspólny rachunek, zanim nie nastąpił podział na łany i włóki. Wtedy każdy dostał swą *włostność* (włodstność, włodyka), okolem, zagroda przy zagrodzie, miedza przy miedzy.

Kiedy to nastąpiło trudno naturalnie oznaczyć. Zdaje się, że to chyba musiało być dopiero wynikiem zagnieżdżenia folwarcznego rycerstwa, któremu pan ziemi dawał obszary okopcowane, ujęte w granice, na własny a nie na wspólny z kimkolwiek użytek (gminny). Przedtém znano granice tylko między opolami, *ujazdy*, *circuitus*, którym daléj odpowiadały *przesieki* jako granice dzielnic i krajów. W obrębie ujazdów gospodarowano *na skoki*, *in modum scaccorum*, tj. raz tu raz owdzie siejąc, gdzie się cieplejsza i czystsza gleba wynurzyła z bagnisk, rąbanisk lub spalenisk puszczy.

Skoro zaś rycerze dostawać zaczęli ograniczone, okopcowane, obciosane grunta i dobra, dominia dziedziczne, musiało to oddziałać i na „uwłaszczenie" wojów i całéj reszty mieszkańców.

Kmieć wojenny, występujący do walki z domowym orężem, łukiem, kuszą, szczytem, oszczepem, siekierą kamienną, w rzemienie oprawną, mógł się ostatecznie utrzymać z uposażenia kmiecego, ze źrebia, jakie np. spotykamy opróżnione po takim kmieciu wojennym, „sortem vacantem militelli" w księdze fundacyi Henrykowskiego klasztoru Inna rzecz *rycerz*, *miles curie*, nie milicyant ziemski, ale jeździec w żelazo zbrojny a osadzony jako udzielny pan na dobrach. Pewnéj miary i reguły dla takich nadań i zobowiązań trudno dopatrzéć. Starych dokumentów nadawczych rycerskich u nas przechowało się bardzo mało. Dużo ich za to w kodeksach krzyżackich, i biskupstwa warmińskiego, gdzie szukać należy analogii. Na Mazowszu w XIV wieku Ziemowit daje milesom po 10 łanów in deserto, za co służyć muszą na koniu wartości 4 kop. „sub celeptra, vulgariter *clobuczek* et in pancerio cum clipeo et lancea". Zatém jest to nadanie *kopijnika*, jakoby późniejszego husarza. (Cod. Mazow. p. 116).

Napływ obcego rycerstwa do Polski musiał być bardzo wielki. Któżby się tego nie domyślił z Galla, a z późniejszych czasów mamy np. z r. 1278 ugody Leszka Czarnego z kujawskim Ziemomysłem, z których ostatni, będący jak swego czasu Chrobry lub Bolesław Śmiały, benignus hospitum receptor, przyrzec musiał, quod Theuto-

nicales milites et *filios* militum Theutonicalium (sekundogenitury) in terra et curia sua servare nie będzie (Kod. Maj. Pol. I. p. 422). Zastrzeżono to nie tyle pewno z polskiego patryotyzmu co dla konkurencyi i osłabienia przeciwnika.

Z przykładu tego widać wyraźnie, jak tacy przybysze naprzód przyczepiają się do dworu a potém osiedlają in terra i biorą *dominia et villas*, bądź za straty poniesione w koniach i rynsztunku, bądź za lub na wojenne usługi.

Dominia te składają się więc z darowizn roli, lasów, jezior, słowem posiadłości ziemskich, już zagospodarowanych (cum hominibus) albo téż nowin, na których przybysz osiedlał się i osiedlał już *swoich* nie księcia poddanych, na mocy listu donacyjnego, nadającego mu nie tylko używalność, a częstokroć i coraz częściéj dziedziczną własność ziemi posiadanéj poprzednio przez ogólnego Pana Ziemi, ale odstępującego mu częściowe albo pełne (plenum, merum) dominium nad ziemią i ludźmi. Wyrażenia odnośne w dokumentach brzmią: „cum omni dominio“ (Kd. Młp. II. p. 514); „cum omni jure ducatus nostri, nihil omnino pro nobis reservantes“ (Kd. Wpl. II. p. 253) itp. (1).

Przez takie nadania, bądź duchowne, których dzięki ogniotrwałym murom klasztornym posiadamy na pargaminach dość dużo, bądź rycerskie, których w drewnianych dworach zniszczały setki tysięcy, tak że do naszych czasów przejść mogło bardzo mało,—zaczął się Pan Ziemi, dzielić swém dominium z coraz szerszém kołem duchownych i świeckich panów i panoszów, dla których, w dążeniu do zyskiwania coraz szerszych przywilejów, było szczytem żądań, żeby uzyskać wszystkie *libertates ducales*.

W dyplomatach z różnych, a można powiedziéć, że prawie ze wszystkich dzielnic Polski, jakby nić czerwona ciągnie się i prawie temi samemi, bo z prawa kanonicznego zapożyczonemi, słowami wypowiada się zasada, że poddani uprzywilejowani przy każdéj sposobności mają nie tylko prawo, ale niejako *obowiązek stanu*, coraz więcéj zdobywać praw, wolności, nagród za trudy podejmowane i na zachętę do nowych usług. Dokumenta te wypowiadają zasadę, że *darmo nic*! Czytamy tam np. takie ogólne aforyzmy socyalno-polityczno-ekonomiczne: „Propter officium debetur beneficium“, „qui altari servit vivere debet ex altari“, „qui ad onus eligitur, repelli non debet a mercede“, „beneficium datur propter officium“, albo zgoła: „Et

(1) Regesta czeskie rozróżniają także *milites* qui *aratrum habent* (prosty woj), i qui integram villam tenet. Jeden i drugi są tam w służbie komesa i za wynagrodzeniem pieniężném 2, resp. 5 grzywien, muszą ustąpić z gruntu a potém *cui voluerit serviat* (wolny!). Reg. Bohem. u Erb. p. 194, N. 431.

quia hanc sibi quodammodo *nobilitas* legem imponit, ut debere se quod sponte tribuit, existimet, *et nisi in beneficiis creverit*, nihil se prestitisse putet"...; albo jeszcze charakterystyczniejsza mądrość stanu w dokumencie mazowieckim (z r. 1319), gdzie powiedziano: „et quia apud *nobilium* mentes *semiplenum* bonum videtur, quod sine *adieccione* relinquitur"... Mnożono potwierdzenia, transumpty przywilejów, żeby coś w dodatku pozyskać. Prześcigało się w téj mierze duchowieństwo, możni panowie i ślachta. Duchowieństwo zaś o tyle miało łatwiejsze pole, bo biło władzę zasadą nietykalną: że *deo servientes* żadnéj ziemskiéj władzy podlegać nie winni, ani sami ani rzeczy ich, „quia donum deo collatum non expedit legibus universorum subiacere," albo „legibus principum subiacere" (Kd. Wpl. I. p. 134).

Tak więc wzrastać musiała coraz bardziéj *materyalna* niezależność poddanych uprzywilejowanych od władzy, a zależność moralna zależy coraz bardziéj od dobréj woli, zrozumienia idei państwowéj, choć téż pozornie książęta i królowie nazywają swych współpanów, kmieciami i służebnikami.

Ale i cechy moralnego służebnictwa giną i zacierają się powoli a miarą ich zaguby jest może między innemi upowszechnienie „tytułu" *nobilis* na ogół rycerstwa, tytułu, który prawie przez całą pierwszą połowę dziejów Polski jest temuż rycerstwu obcy. Rycerz, bądź uprzywilejowany, bądź ziemski woj, dobijający się rycerstwa (chcący uchodzić *pro milite*, jak się wyraża księga Henrykowska) zwie się zawsze tylko *miles*, *miles curie*, miles *strenuus*, nigdy *nobilis*. W łacinie średniowiecznéj najstarszéj jest *nobilis* tytułem, który stanowi nieodłączny atrybut tylko najwyższego *dominium*. Jak inne części i charakterystyczne oznaki tegoż dominium, tak i tytuł ten z wyżyn monarszych ściągają zwolna do coraz niższego poziomu współdzierżycieli i uczestników tego dominium.

W najdawniejszych dokumentach stosuje się tytuł ten tylko do naczelników rządzącéj dynastyi. Tak mianowicie w dokumentach papiezkich. Król, książę, który późniéj jest serenissimus, w wiekach X, XI, XII, jest zawsze tylko *nobilis*, *nobilis vir*, *nobilis dux* itp. Następnie stosuje się on już do wszystkich członków rodziny monarszéj, potém stopniowo do możnowładzców tak duchownych jak świeckich, do wszystkich, którzy są *prelati*, *barones* et *officiales* regni et curie w ścisłém odróżnieniu od zwykłych milites, aż nareszcie staje się udziałem wszystkich tych, którzy mają *jus militale* i wywodzą ród swój przynajmniéj przez 3 generacye. Nadto Katalog biskupów krak. (M. P. III. p. 359) orzeka, że *nobilis* genere musi być zawsze *de domo* (np. Odrowąż) a *de villa*, (np. Janków).

Zdemokratyzowanie tytułu *nobilis* dokonało się już może pod koniec XIV wieku a zarazem merum i plenum *dominium* rozdzieliło się na krocie dziedzictw i imion, jak mówiono, rodzinnych gniazd.

Nie chodzi tu jeszcze o *dominium polityczne*, o władzę rządową, ale o byt materyalny, o podstawy bytu tego ekonomiczne. Na zakończenie tedy tych uwag naszych rozpatrzmy się w istocie tego właśnie dominium.

Pierwszém jego kryteryum jest *rozdawnictwo* ziemi. Jako dominus terrae, jéj dziedziczny pan, ma monarcha prawo dawać i rozdawać ją, o ile jest nierozdaną, komu zechce. Rycerzom rozdaje on ją z warunkiem zobowiązania ich do służby wojennéj. Nabytek jest pierwotnie dla nabywcy ściśle obwarowany. Nie wolno mu go sprzedać, zamienić, darować, bez zatwierdzenia pana ziemi, który baczyć musi, żeby się przez to nie uroniły jego servicia wojenne, na nadaniu ciążące. Sprzedaż więc np. tylko w ten sposób dochodzi, że sprzedający rezygnuje posiadłość w ręce księcia a ten, z całą formalnością przenoszenia kapelusza dominialnego z głowy na głowę, przenosi ją na nowego nabywcę, zastrzegając sobie z pierwotnego nadania wynikające *servicia*, jeśli ich wspaniałość monarsza nie raczyła przy téj sposobności zmniejszyć lub znieść zupełnie.

Z czasem ta najstarsza forma uruchomienia nieruchomości ustępuje coraz większéj samodzielności rycerstwa w szafowaniu ziemią przez sprzedaż dowolną, zamianę lub dalsze znów *rozdawnictwo* na rzecz kościołów, klasztorów, sług lub przyjaciół.

Drugiém kryteryum książęcego dominium jest *pobór*, bądź pierwotnie in natura, bądź w *robotach*, bądź ostatecznie w *pieniądzach*. Pan Ziemi rozkłada pobory dowolnie na swych służebnych, stosując się do starodawnego zwyczaju, ale nie wyrzekając się nowych pomysłów fiskalnych. Bardzo dokładnie oznaczyć można, w którym czasie powstały niektóre nowe wymysły fiskalizmu, z zagranicy przyniesione. Pobory stają się tém uciąźliwsze, o ile coraz więcéj zagnieźdźa się uprzywilejowanych dzierżycieli *condominii*, bądź duchownych, bądź świeckich, których dobra wszędzie się wyjmują z obrębu staropolskiego opola, starodawnéj jednostki terytoryalno-administracyjnéj i poborowéj. Ciężar poboru, nakładany nie na osoby, lecz na opole, przez takie ekscepcye zaciąża nad coraz szczuplejszém kołem kontrybuentów, a zatém staje się coraz nieznośniejszym i rozsadza, rozbija opola. Wyjęte jednak z pod książęcego dominium poborowego dobra, nie zyskują nic *na rzecz służebnych*, albowiem to co płacić i dawać musiały dawniéj księciu, odtąd dawać i płacić muszą, ingruente necessitate, albo też w stałym porządku, nowemu panu. Jak ironia brzmi po dyplomatach nadawczych wyraz

libertas, nadawana uprzywilejowanym dobrom. Książę nadaje *wolność* od *polskich* poborów i robót: to znaczy, że nie pobiera ich odtąd sam, ale odstępuje je nowemu panu przez siebie nadanemu i uprzywilejowanemu.

Ustępstwo to dokonywa się tylko zwolna i częściowo. Z analogii, późniejszych wprawdzie, ale tchnących pierwotną starożytnością stosunków mazowieckich (r. 1414) wnosić można, że zrazu Pan Ziemi, odstępując rycerzowi dobra i *homines suos*, nie całkiem ich zwalniał od wszystkich względem siebie obowiązków fiskalnych. Owszem dokumenta orzekają, że w takim majątku odstąpionym, książę tylko *unum servitorem* in uno manso et in villa locata, quem elegerint *liberum*, qui *ipsis* servicia opportuna exhibeat, nadaje, absolventes predictum servitorem ab omnibus *nostris* censibus etc. (Kod. Mazow. 157). Ten to *liber*, *wolny*, oczywiście był już zupełnie oddany na pastwę i posługi nowego pana, co znaczyło, że był *wolny*—od obowiązków dla Pana Ziemi. W témże znaczeniu wolni też bywali kmiecie nowych osad polskich i teutońskich, chociaż ta wolność miewała inne jeszcze znaczenie, o którém nie tu pora rozprawiać. Co do tamtych zaś, nadania kościelne, które zawsze przodują w kunszcie uzyskiwania przywilejów, już w r. 1241 i 1256 doprowadziły, jak dokumenta mazowieckie stwierdzają, do *trzech wolnych* ludzi na osadę. Późniéj oczywiście ustaje wszelkie ograniczenie, nastaje ogólna *wolność państwowa* a ogólna niewola prywatna. Książę i król nie pobiera nic prócz owego znanego *poradlnego* lub *podymnego* (królestwo), które dotrwało do konstytucyjnych czasów a dawało się, jak powiada przywilej koszycki, „in signum summi dominii et recognicionem corone regni Polonie“, a więc jako znamię dominium *politycznego* (Kd. Wpl. III. p. 426).

Nie mniéj ważnym przywilejem monarszym było tu *directura viarum*, czyli naznaczenie dróg handlowych, *ceł* i *myt*, pobieranych na tysiącznych nieledwie rogatkach. To źródło brzęczącéj gotówki i dochodu wydzierżawianego, szczególniéj nęciło wszystkich uprzywilejowanych *condominusów*. Duchowieństwo i rycerstwo pozyskało rychło zupełną wolność od wszelkich ceł i myt, ilekroć wieźli towar na własną potrzebę nabyty, ale prócz tego musiał monarcha częściowo lub całkowicie odstępować cła i myta w oddanych pod obce dominium miastach i wsiach. A gdzie ich nie odstąpił, tam dawał asygnacye na wypłaty.

Do dalszych regaliów należało *polowanie* i *eksploatacya górnicza*, z niemiecka tzw. *Berkracht*. Pierwsze postradali monarchowie zupełnie w dobrach prywatnych. Uprzywilejowane klasy pilnie się starały o to, żeby się zwolnić od servicium przyjmowania łowców królew-

skich, którzy pierwotnie po całym obszarze kraju, na rzecz monarchy wykonywali łowiectwo. *Górnicze* prawo monarchowie utrzymali wprawdzie dla siebie w *wielkich przedsiębierstwach*, jak Wieliczka itp. ale i z tych produkt i dochody zabierały w znacznéj części wieczyste zapisy, mianowicie duchowne—i różne jurgielty. Odstępowanie Berkrachtu prywatnym miało zresztą to dla kultury kraju ważne następstwo, że w wielu miejscach, gdzie dziś już tylko pozostały nazwy odnośne, jak Ruda, Rudki, Rudnice, Huta, Hamry itp., powstawały przed wiekami kuźnice, zaopatrujące kraj w potrzebne żelazo.

Niesłychanéj wagi funkcyą władzy monarszéj było oczywiście *sądownictwo*. Z czytania starych dyplomataryuszów odnosi się to wrażenie, że sądownictwo jest wprawdzie instytucyą moralną, ale więcéj jeszcze *finansową*, obliczoną na przysparzanie dochodów przez kary, na korzyść skarbu książęcego (pene regales, ducales) i na ździerstwa oficyalistów, z których każdy ma swą osobną juryzdykcyą (pene judiciales). To téż stany uprzywilejowane, żeby zdobyć tak obfite źródło dochodu, starały się najusilniéj o nabytek władzy sądowéj. Z drobnostkową akuratnością wyliczają dokumenta, jakie sądy tj. jakie rodzaje kar wartościowych lub pieniężnych, pozostają przy monarsze a jakie przechodzą w nadaniu na nowego pana, aż i z całéj juryzdykcyi nad służebnymi zaczyna z czasem kwitować dominus terre. Pod r. 1284 np. czytamy w kodeksie Wielkopolskim, że Tomisław z Szamotuł, otrzymuje potwierdzenie sądów niemieckich i polskich *absque omni assessore dominii nostri*, z czego wynika, że pierwotnie odstąpione już sądy patrymonialne bywały, in signum dominii, z taką pańską assessoryą, w pewnéj zawsze jeszcze zależności od Pana Ziemi. Pod r. 1351 w kod. Mazowieckim nazwany jest *bonus miles* ten, co ma zupełną juryzdykcyą (patrymonialną), władzę życia i śmierci nad swymi poddanymi, jak król ją ma nad nim, jako nad swym kmieciem i komesem, nad swym żołnierzem, będącym niejako tylko zawsze na urlopie. W księgach sądowych u Helcla (II. nr. 133) w sprawie o ślachectwo, powód zarzuca obżałowanemu: ipsum non esse nobilem *nec penas aliquas posse recipere* velut aliquem nobilem. A zatém *sądzenie* i *pobieranie kar* jest oznaką *dominii*, *condominii*, cechą rycerza i ślachcica. Doszło w téj mierze do tego, że jak u tegoż Helcla czytamy, ślachcic sprzedając wieś drugiemu, zastrzegał sobie i ekscypował *opłatki sądowe*.

Nareszcie przychodzimy do najważniejszego, jak dla naszéj materyi, punktu władzy monarszéj, tj. do prawa i zarazem obowiązku *obrony kraju*, *defensio terre* i *conservacio pacis in regni finibus*.

Płynie to już z rysu niezaborczéj wojowniczości słowiańskiéj, o którym na wstępie mówiliśmy, że w charakterze władzy monarszéj w Polsce przed prawem (zachodniego monarchizmu) stanowienia o *pokoju i wojnie*, idzie prawo i obowiązek *obrony kraju.* Wiemy to dobrze, że już pierwsi wojowniczy królowie polscy podejmowali różne wyprawy a zatém wojny zaczepne i zawierali układy, ale to się działo bez świadomości politycznego prawa, siłą mocarskich popędów i dla zatrudnienia i ukontentowania nagromadzonego rycerstwa. To też w dokumentach najstarszych nie mówi się o prawie Pana Ziemi do rozporządzenia wojną lub pokojem, ale prawie na każdéj karcie są jego układy z poddanymi o *defensio* terre, o obronę kraju, do któréj są wszyscy obowiązani, gdy tymczasem na wyprawę zagraniczną najmować ich sobie musi król i książę za pieniądze.

Zatém téż zakonkludować należy, że pierwotny element krajowy nosi przeważnie cechę wojskowości *obronnéj*, kiedy drugi żywioł, narosły wedle obcych wzorów i w wielkiéj części z obcych żywiołów, skłania się ku charakterowi *zaczepnemu*, *zaborczemu*, póki się nie rozpłynął zupełnie we krwi słowiańskiéj. Przypomnijmyż sobie, jak Krzywousty wyprawy swoie zaborcze, prawie zawsze prowadzi „wyborowym“ żołnierzem, a chodaczkowych rycerzy zostawia w domu. Mogły go do tego powodować względy praktyczne, ale niechybnie objawia się w tém także zasada, tak popularna po wszystkie czasy między późniejszém, już czysto polskiém rycerstwem, zasada tradycyjna wojowéj milicyi, że wojenni obywatele postanowieni są na *obronę kraju*, a nie na wojny podejmowane w widokach polityki królewskiéj. Zasada ta jeszcze widoczniéj się ujawnia w obyczaju już wspomnianym a prawem uświęconym, że nawet *rycerze* rzeczywiści, uprzywilejowani a późniejsi ślachcice, tylko do *granic państwa* obowiązani byli *in defensione adesse propris sumptibus*, a skoro wojsko granice przekroczyło, mieli prawo żądać od swego Pana *pro hasta*, za każdego kopijnika, pewną sumę żołdu. Zatém i oni mieli obowiązek bronić kraju swoją osobą i imieniem a na wojny *pańskie*, zagraniczne najmować się mogli za pieniądze, co nawet w tym razie nie sprowadzało zarzutu *nieślacheckiéj mytności*. Albowiem wedle ksiąg sądowych krakowskich (u Helcla II. nr. 535) nie jest *bonus miles* ten, co jest *mythny* lub co „causas fovet pro precio.“

Obyczaj owéj płacy żołdowéj po za granicami ziemi lub państwa tłómaczy, dla czego wielkie wyprawy wojenne, podejmowane pospolitém ruszeniem, zwykle przedwcześnie i bez zależytego skutku się kończyły, zwłaszcza jeśli, jak to już o Sieciechu powiada Chronicon Polonorum, wódz salaria militum, accepta a rege, sibi reservaret. (M. Pol. III. p. 453).

Z obowiązku więc obrony kraju wywiązywał się polski monarcha pierwotnie, jak widzieliśmy, za pomocą milicyi wojowéj a następnie obok tego za pomocą zgodzonych na ziemski kontrakt rycerzy. A to téż był jedyny, rzec można, punkt władzy monarszéj, który nigdy znikąd prawnie nie doznał uszczerbku, którego nigdy nie kwestyonowano. Owszem, głosem wielkim zawsze wołano do monarchy o *obronę*, z własnéj poręki jego i z własnych funduszów i środków, niegdyś tak ogromnych; i to wołano bez względu na to, że schłopiała milicya już zupełnie nie odpowiadała wymaganiom sztuki i czasu a rycerze nie koniecznie dbali o utrzymanie w pierwotnéj czystości swego obowiązkowego *servicium* wojennego i zapominali radzi o pierwotném znaczeniu swego w celach wojennéj służby nabytego *dominium*!

Lecz nie czyńmy im krzywdy ryczałtem! Przelewałać ślachta polską krew swą w obronie kraju na tysiącznych polach chwały, przelewała ją i bez rachuby a z ochotą,—ale niestety nigdy się ująć nie pozwoliła w *system*, a system to dopiero siła trwała i wielka, któréj ostatecznie nie sprostają najszczytniejsze zapały. *Nobile officium* bronienia ojczyzny jest ślachetne i wspaniałe, ale państwo i byt polityczny daleko bezpieczniéj i trwaléj polegają na twardem servicium, jakie kiedyś i w Polsce istniało, ale podupadło a zamieniło się w owo *jus militale*, bez realnéj egzekucyi.

Z tego cośmy powyżéj o dominium i jego rozczłonkowaniu powiedzieli konkludujemy ostatecznie, że władza monarsza w Polsce nie dopiero wtedy podupadła, gdy sejmy składać i rwać zaczęto, gdy się w stanie rycerskim odezwały polityczne żądze, ale już dawno przedtém, gdy ją przez rozdrobnienie bogatego i potężnego kiedyś dominium, zubożono, gdy zamiast ogromnych zasobów materyalnéj potęgi, zamiast *dominium plenum et merum* pozostało jéj tylko *jus ducale*, *omagiale* subjeccionis, fidelitatis, servicii et obediencie.

A już o Bolesławie Wstydliwym powiada Rocznik franciszkański krakowski: że był libertatum ecclesie conservator, militum verus amator, quia nihil sibi retinebat, sed *omnia* suis militibus tribuebat (M. P. III. p. 218).

Dr. Władysław Łebiński.

NALA.

POWIEŚĆ STAROINDYJSKA.

Poznanie sanskrytu, świętéj mowy Indów, wywołało na polu gramatyki w Europie zupełny przewrót. Całkiem nowy system traktowania kwestyi i prawideł językowych, ufundowany po części na gramatyce staroindyjskiéj, zajął miejsce starodawnego patrzenia na prawa językowe przez zużyte już okulary gramatyki łacińskiéj. Sanskryt głównie dał początek do zajęcia stanowiska historycznego w pytaniach gramatycznych i badania historycznego w rozwoju każdego objawu językowego. Wywołał on daléj sposób naukowo porównawczy w dziedzinie filologii, stwarzając nawet nowe działy nauki: lingwistykę i gramatykę porównawczą. Gramatyka porównawcza znowu rzuciła bogate promienie światła na stosunek wzajemny różnych narodów, na historyą ich wyłaniania się z pierwotnych siedzib, na stopień oświaty, jaki w pojedyńczych epokach zajmowały, opanowując tym sposobem nietylko samę gramatykę, ale wciskając się gwałtownie i do historyi, archeologii, mytologii, a nawet częścią i do historyi pojęć prawniczych. Gramatyka porównawcza wykazała nam np., czego historya nigdy nie wyjaśniła, które narody tworzyły tak zwaną familią indoeuropejską, i stara się nawet odtworzyć mowę, którą w czasie wspólnego bytu mówiły. Ważność narzeczy staroindyjskich jest już dziś ogólnie uznana i po wszystkich prawie wszechnicach europejskich utworzono katedry dla gramatyki porównawczéj i sanskrytu.

Za językiem poszło i zajęcie się głębsze literaturą staroindyjską i choć dotąd nie tyle zwracano może uwagi na nią ze stanowiska literackiego, jak gramatycznego, zaczęto się jednak w ostatnich czasach pilnie rozczytywać w utworach literatury staroindyjskiéj. Znaleźli się pilni tłómacze, zwłaszcza angielscy, francuscy i niemieccy, którzy się starają narodom swym przyswoić zajmujące płody téj bogatéj literatury. Tylko my Polacy byliśmy do tego czasu prawie zupełnie obojętni na te wielkie zdobycze naukowe, płynące z poznania sanskrytu. Tu i tam znajdzie się ktoś, co przytoczy w dziełach swych jakiś wyraz sanskrycki, ale zdarza się to bardzo rzadko, a oprócz tego nie pochodzi zwykle to popisywanie się sanskrytem z własnych studyów na tém polu, lecz są to, z małymi wyjątkami, rzeczy gdzieś indziéj zasłyszane i czerpane. Ś. p. ks. Franciszek Malinowski wydał wprawdzie i polską gramatykę sanskrytu, ale nie znalazł, czy raczéj nie umiał wywołać zapału dla niełatwego zresztą języka tego. Polacy oddawna nie czuli wielkiego popędu do kwestyj gramatycznych i to może powodem, że do tego czasu mało kto z nas gruntowniéj sanskrytem się zajmował.

A warto poznać ten język i literaturę jego! Pomijam, że zmieniając nieco słowa Goethego, kto nie zna literatur obcych, ten także nie zna dokładnie swéj własnéj, i że duch ludzki ciągle potrzebuje nowego pokarmu, nowych pojęć i poglądów, i że ich nawet szuka, gdy ich nie ma, nastręcza literatura staroindyjska wiele czynników, nęcących do zwrócenia na nią uwagi. Odznacza się ona tak wielkiém bogactwem najrozliczniejszych rodzajów płodów umysłowych, jak może żadna literatura europejska. Poezya i proza ze wszystkiemi działami swemi są tak obszerne, że życie nie wystarcza, aby wszystko przeczytać i poznać. To też uczeni indyjscy wybierają sobie zwykle jeden dział, np. literaturę prawniczą, i tym zajmują się specyalnie, podczas gdy resztę tylko encyklopedycznie z podręczników znają.

A jakież to w poezyi staroindyjskiéj wielkie bogactwo oryginalności? Inny wyraz uczucia, inne poglądy, inne zapatrywania, inne bogi, inna wiara i, rzeczmy, inne przesądy nęcą swą oryginalnością i niezwykłością. Inny to zupełnie świat! Tam człowiek jeszcze bardziéj zbliżony do bogów, niż w poezyach homerycznych, tam naiwność nadaje człowiekowi nawet pewien stopień boskości, a bogów przyobleka w jeszcze grubsze szaty śmiertelnéj ludzkości, niż to Grecy uczynili.

A jakaż tam fantazya? Ind, patrzący z podziwem na niebotyczne i na grzbiecie swym noszące niejako firmament niebieski góry Himalaja, spoglądając na szerokiém korytem płynący Ganges

którego brzegi ledwie mógł przejrzéć, żyjący w kraju, gdzie cała natura wysiliła się na to, aby wydać tak w królestwie zwierząt, jak i roślin to, co ma najpyszniejszego i największego, przebywający w klimacie, który podbudza fantazyą, nie mógł sobie inaczéj wyobrazić niczego, jak tylko w formie wielkiéj, majestatycznéj, nadludzkiéj. Widział on nawet czasem wielkość tam, gdzie jéj nie było. To jest zarazem klucz do zrozumienia poezyi indyjskiéj. W poezyi téj wszystko wielkie, wszystko nadzwyczajne, wszystko nadludzkie. Jeżeli poeta maluje cnotę, to cnota ta tak musi być moralnie wielką, jak wielkim fizycznie jest jego Dawaladżiri; jeżli znów przedstawia złość, to ta złość w najdzikszych objawia się rysach, jak srożący się lew lub tygrys jego kraju. Ale może właśnie ta naiwność dziecięca, któréj wszystko w większych przedstawia się rozmiarach, pociąga nas i sprawia, że nie odpychamy jéj, tak samo jakbyśmy nie odepchnęli od nas dziecka, naiwnie nam szczebiocącego! Bo cóż ono winno temu, że się mu wszystko większe wydaje, jak nam doświadczeńszém okiem na świat patrzącym?

Bujnéj téj fantazyi Indów przypisać należy także, że dzieła ich niezwykłą odznaczają się objętością. Stworzyć epopeję kilkotomową, jakie posiadają rzeczywiście, odpowiada zupełnie duchowi indyjskiemu.

Miłośnikom zatém poezyi powinna być pożądana niniejsza próba poezyi staroindyjskiéj. Przedstawia ona poezyą epiczną i jest przeszło 120-tą tylko częścią wielkiéj bardzo epopei, p. t. Mahâbhârata, obejmującéj ni mniéj ani więcéj jak 220.000 wierszy.

Literatura staroindyjska posiada, tak samo jak grecka, dwie wielkie epopeje: Râmâjana i Mahâbhârata. Każda z nich sławi jednę z obu dynastyj, które prawdopodobnie w północnéj części Indyj panowały.

Do dynastyi, którą sławi Mahâbhârata—Râmâjana nie obchodzi nas—należał Bharata, którego każdy potomek wedle staroindyjskich reguł gramatycznych zwał się Bhârata (z długiém â); ponieważ zaś „mahâ“ znaczy „wielki“ (por. gr. μέγ-ας; łac. mag-nus, lit. magoju, got. mag-an, słow. mog-ą), dlatego Mahâbhârata znaczy: wielki potomek Bharaty.

Przytoczona powieść jest epizodem z trzeciéj książki powyższego poematu, który w swéj objętości podzielony jest na ksiąg ośmnaście. Każda znów książka rozpada się na pieśni.

Dla lepszego zrozumienia treści przytoczonego wyjątku, podaję z Mahâhbâraty, co następuje. Jeden z potomków Bharaty, imieniem Wjâsa, miał dwóch synów: Dhṛtaraszthrę i Pandu. Pierwszy

z nich zrezygnował, choć starszy, po śmierci ojca, dla ślepoty swéj z tronu i zajął się wychowaniem dzieci swoich i brata. On sam miał stu synów, brat zaś tylko pięciu. Synowie Dhṛtaraszthry byli dzikiego i złego charakteru; najstarszy z nich Durjodhana (= Nieuczciwy rycerz) jest personifikacyą wszystkiego złego.

Zupełny kontrast tworzą z nimi synowie króla Pandu, zwani dla tego Pândawami. Są oni mądrzy, waleczni, zacni, w obejściu przyjemni, wogóle przedstawiają pierwiastek dobry. Najstarszy z nich Judhiszthira (= Rycerz waleczny, zacny), do którego się odnosi ów tytuł epopei, jest ideałem rycerza indyjskiego. Ponieważ zaś pierwiastek dobry ze złym nigdy się nie zgadza, dlatego i kuzynowie ci ciągłe mają kłótnie i boje i one to są przedmiotem całéj epopei. W walce téj zwyciężają to synowie Dhṛtaraszthry, to znów synowie króla Pandu. Zdarzyło się raz, że grali w kostki, przyczém Judhiszthira przegrywa królestwo swoje i braci, a nawet żonę i zostaje zmuszony tułać się z braćmi po borach lat dwanaście. Tu spotyka między innymi pokutnika Bṛhadaśwę i ten mu opowiada, aby go pocieszyć i dać nadzieję odzyskania państwa, powieść o królu Nali, który także przez grę w kostki państwo utracił i z żoną rozłączyć się musiał, a przecież w końcu, wytrwawszy zawsze w cnocie, i państwo i żonę odzyskał (1).

Dla wyjaśnienia niektórych szczegółów, zachodzących w podanym niżéj poemacie, niech posłużą jeszcze następujące uwagi:

Do właściwości poezyi epicznéj indyjskiéj pod względem formy należy także, że poeta stara się zawsze uwydatnić, kto z osób jego poematu przemawia; dlatego dodaje zawsze imię lub charakter osoby przemawiającéj. Stąd zaczyna się każda pieśń od słów: „Bṛhadaśwa rzecze", aby przypomniéć czytelnikowi sytuacyą epizodu. Poeta indyjski posuwa się nawet tak dalece, że wśród toku opowiadania, gdy się zmienia osoba mówiąca, nie stara się tego wierszem opisać, lecz poprostu powiada np. Nala rzecze (por. pieśń II). Aby i pod względem formy dać wierny obraz poezyi epicznéj staroindyjskiéj, zatrzymałem właściwość tę w tłómaczeniu.

Inną rzeczą rzucającą się w oczy jest częste użycie wołacza: królu, władco, Bhârato itd. Są to wszystko przydomki Judhiszthiry, któremu, jak nadmieniłem, Bṛhadaśwa opowiada i do którego się w mowie swéj zwraca. Gdy więc coś podobnego zajdzie, odnosi się to do słuchającego Judhiszthiry.

---

(1) Dalsza treść Mahâbhâraty nie należy do krótkiéj téj przedmowy. Ktoby wszakże chciał poznać wątek całego poematu, niech przeczyta: Monier Williams, Indian epic poetry, London and Edinburgh, 1863.

Oryginał jest pisany wierszem rytmicznym 16 zgłoskowym. Wiersz taki byłby naturalnie w języku polskim za nużący; dlatego użyłem wiersza 13 zgłoskowego z rytmem jambicznym. Epicznym wierszem staroindyjskim jest właściwie dwuwiersz „śloka" zwany. Różni się on wszakże tém od greckiego dystychu, że w nim oba wiersze są równego charakteru, gdy tymczasem w dystychu pierwszy jest hexametr, a drugi pentametr. Ponieważ więc oba wiersze śloki ten sam mają charakter, dlatego można mówić o wierszu pojedyńczym.

Formę nazw zachowałem taką, jaka jest w sanskrycie, pisząc ją naturalnie polską ortografią, przyczém wszakże dla ułatwienia druku zastąpiłem mózgowe: *t*, *d*, *n*, zwyczajnemi zębowemi: *t*, *d*, *n*. Jednego tylko głosu sanskryckiego nie mogłem oddać polskim znakiem, tj. samogłoskowego „r". Sanskryt posiada bowiem tak samo, jak jeszcze dziś język czeski (1), serbski, słowieński, samogłoskowe „r" które, wymówione jak samogłoska, tworzy osobną zgłoskę, tak iż np. Bṛ-ha-da-śwa jest wyrazem czterozgłoskowym, co ze względów językowych i metrycznych zachować należało. Oznaczyłem dlatego to „r" u dołu kropką: ṛ.

Zresztą starałem się tłómaczyć, ile możności, dosłownie, gdyż tylko w ten sposób oryginału się ani nie upiększa, ani nie oszpeca. Że nie wszędzie jednak mogłem dosłowne dać tłómaczenie, wypływa z natury rzeczy. Tłómaczyłem zaś wedle oryginału, wydanego przez prof. Jerzego Bühlera, w: „Third book of sanskrit". Second edition. Bombay, 1877.

W końcu przychodzi mi wyrazić życzenie, aby nieudolna ta praca zachęciła zdolniejszych może do zajęcia się literaturą staroindyjską i rozszerzania jéj między nami. Jeżeli zdołam kogo do tego nakłonić, będę się czuł szczęśliwy. Do tego dołączam prośbę o pobłażliwość czytelników. Dokonanie tłómaczenia z każdego starszego języka jest trudne; cóż dopiero z sanskrytu, posiadającego nadzwyczaj wiele właściwości językowych, których oddać innym językiem i zachować tę samę piękność myśli i formy zupełnie nie podobna. A ja jestem pierwszy, który się pokusiłem z sanskrytu na polskie tłómaczyć. Na nowinie każdemu się ciężko orze.

Dr. Jan Leciejewski.

(1) Por. np. czeskie drn = pol. darń; brh = pol. bróg (stóg); tr-če-tl (trzyzgłoskowe) = pol. sterczéć.

Pieśń pierwsza.

Bṛhadaśwa rzecze:
Syn Wîraseny, Nala, królem był potężnym.
Bogaty w cnoty, piękny, znawca koni,
Przewyższał królów wszystkich, jako Indra bogów,
I jaśniał ponad wszystkich, jako słońce w blasku.
Cnotliwy książę ten Niszadhów znał i wedę (1)
I choć grał w kostki, mówił prawdę, wojskiem silny.
Był mężom i niewiastom miły, bo uprzejmy,
Był łucznik celny, słowem: drugi Manu (2) prawie.
Podobnym był mu u Widarbhów Bhîma mężny.
Bohatyr ten, obfity w cnoty, nie miał dzieci,
Choć, pragnąc ich, dokładał starań jak największych.
Odwiedził go raz brahman mądry, zwan Damana.
Przyjęli go potomstwa żądni, jak przystało,
Król Bhîma z żoną, królu, gościa czcząc zacnego.
Z wdzięczności za to zesłał im Damana w darze
Córeczkę jako perłę i trzech synów tęgich:
Cną Damajantę, Damę, Dantę i Damanę,
Cnotami wszemi słynnych, straszną mocą strasznych.
Najbardziéj jednak szczęściem, kształtem i kibicią
Wysmukłą zasłynęła piękna Damajanti.
Gdy doszła lat dziewiczych, sto służebnic zdobnych,
Sto przyjaciółek, jako Siaczę (3), ją obsiadło.
Błyszczała tam Bhîmówna, klejnotami lśniąca,
W tych dziewic gronie, cudna, jako błyskawica.
Ni między bogi, ni półbogi nie widziano
I nie słyszano o tak cudnéj krasawicy.
I Nala, jako tygrys, nie ma rówiennika.
Z postaci istny to Kandarpa (4) w ciele ludzkiém.
I stało się, że wobec Damajanty Nalę,
A wobec Nali Damajantę wysławiano,
Tak iż pochwały słysząc swe nawzajem ciągle,
Nie widząc się poczęli kochać, o Kauntejo! (5)
Nie mogąc ukryć dłużéj uczuć swych już Nala,

---

(1) Księgi religijne Indów. (2) Jeden z ojców rodzaju ludzkiego, których w każdéj „kalpie" (przeciąg 432 000.000 lat) było czternastu. (3) Siaczi, żona Indry, najwyższego boga Indów. (4) Przydomek Kâmy, boga miłości. (5) Przydomek Judhiszthiry, któremu Bṛhadaśwa opowiada i do którego się w mowie zwraca.

Do gaju poszedł izbom niewiast poblizkiego,
Gdzie ujrzał wnet łabędzie w złote pióra strojne.
Z chodzących w gaju ptaków gdy jednego schwycił,
Powietrzny goniec ludzkim głosem rzecze Nali:
„Ach! pozwól żyć mi, królu! oddam ci przysługę!
Twe imię sławić będę wobec Damajanty,
By myśli jéj zajęte tobą tylko były“.
Tak zagadniony puścił zaraz król łabędzia.
Łabędzie wtenczas podążyły w kraj Widarbhów.
W Widarbhów kraj przybywszy, blizko Damajanty
Usiadły wszystkie. I spostrzegła stado ptaków,
A widząc z gronem dziewic ptaki dziwnopióre,
Poczęła chwytać ucieszona je pośpiesznie.
Łabędzie wtenczas na wsze strony się rozpierzchły,
Tak iż za każdym jedno pogoniło dziewczę.
Za którym zaś pobiegła Damajanti chyżo,
Ten głosem ludzkim do niéj tako się odezwał:
„O Damajanti! Król Niszadhów, Nala zwany,
Jak Aświnowie (1) piękny; z ludzi nikt mu równy,
Małżonką jego gdybyś była, pięknolica,
Owoców pełen byłby żywot twój, przekrasna!
Gandharwów (2), bogów, ludzi, wężów i Râkszasów (3).
Oglądaliśmy; wszakże żaden mu nie równy.
Jak Nala męczyzn krasą, tak tyś dziewic perłą!
Małżeństwo pięknéj z pięknym doskonałe będzie“.
Tak zagadniona od łabędzia Damajanti,
Odrzeknie jemu: „Powiédz równe słowa Nali!”
Przyrzekłszy to widarbhskiéj córce, mężowładco,
Odleciał łabędź i odpowiédź zaniósł Nali.

Pieśń druga.

Brhadaśwa rzecze:

Łabędzia słowy Damajanti upojona,
Miłości swéj dla Nali całkiem się oddała.
Chodziła smutna, blada, zamyślona ciągle,
Wychudła i zbiedniała od przeczęstych westchnień.
Jak obłąkana patrzy w niebo dzikiém okiem

---

(1) Bogowie światła, odpowiadają greckim Dyoskurom. (2) Śpiewacy niebiescy, coś w rodzaju naszych Cherubinów. (3) Rodzaj półbogów, odpowiadających greckim Demonom.

A zżółkła twarz jéj świadczy o miłości szale.
Daremnie szuka w strawie, we śnie lub zabawie
Uciechy. Dzień i noc czuwając, we łzach tonie.
Widarbhów władcy wtenczas Damajanty drużki
Doniosły o żałosnym Damajanty stanie.
Gdy to usłyszał Bhîma od służebnic grona,
Głęboką uczuł boleść nad nieszczęsną córką.
Ujrzawszy wszakże sam ją, poznał, iż dojrzała
I nadszedł czas już, by wybrała męża sobie.
Zaprosił więc władyków, mężowładco, prosząc,
By udział wziąć raczyli przy wyborze męża.
Gdy władcy usłyszeli, że ma Damajanti
Wybierać męża sobie, wszyscy szli do Bhîmy.
Podwórze słońmi, końmi, wozy napełnili,
Ubrani będąc w wieńce strojne i klejnoty.
Władyków tych szlachetnych Bhîma silnoręki
Ugościł wedle stanu; we czci każdy mieszkał.
W tym samym czasie dwu brahmanów mądrych, świętych
Chodziło tu i owdzie po królestwie Indry:
Nârada i Parwata, obaj mądrzy, święci.
Zwiedzili także bogowładcę, w dom przyjęci.
Uczciwszy ich Maghawan (1), pytał, jak się mają
I jak im zdrowie służy i gdzie wszędzie byli.
Nârada rzecze:
„Szczęśliwie wiedzie nam się i byliśmy wszędzie!
I wszędzie, Maghawanie, są królowie zdrowi.“
Bṛhadaśwa rzecze:
Nârady mowę usłyszawszy, Wali-Wṛtry
Pogromca (2) rzecze: „A królowie, praw obrońcy,
Co z życia wzgardą w boju śmierć ponoszą chrobrze.
I których niebo jest i krowa szczęściodojna (3),
Gdzież są rycerze ci? nie widzę ich przybyłych
W gościnę do mnie, choć ich kocham i szanuję!
Po słowach Siakry (4) rzecze święty mu Nârada:
„Widarbhów króla córka, Damajanti, słynie
Pięknością nadzwyczajną między dziewicami.

---

(1) Przydomek Indry.

(2) Pogromcą Wali i Wṛtry jest Indra; Wala i Wṛtra są demonami bogom wrogimi.

(3) Wedle mitologii indyjskiéj istnieje w niebie krowa, która godnym tego zsyła szczęście i spełnia wszystkie życzenia.

(4) Przydomek Indry.

W niedługim czasie będzie męża wybierała,
I do niéj dążą króle, królewicze zewsząd.
Tę perłę dziewic chcą mieć króle, królewicze,
Chcą posieść ją usilnie, Wali-Wṛtry gromicielu!“
Gdy to opowiadano, światowładcy z Agnim
Przybyli nieśmiertelni przed tron bogów króla,
I wszyscy usłyszeli mowę Nâradową.
I rzekli wszyscy: „Pójdźmy także tam z drugimi!“
I wszyscy światowładcy wraz z licznymi wozy
W Widarbhów kraj dążyli, jak królowie wszyscy.
I Nala usłyszawszy o władyków zjeździe,
Podążył także, marząc o swéj Damajancie.
Ujrzeli go bogowie w drodze, stojącego
Na ziemi; wtenczas równał się Manmacie (1) z wzrostu.
I widząc go jaśniejącego jako słońce,
Stanęli zadziwieni nad nim światowładcy.
A zatrzymawszy wozy w biegu nieśmiertelni,
I zszedłszy z wyżyn nadpowietrznych, zawołali:
„Stój, Niszadhczyku! królów królu prawdomówny!
Przysługę wyświadcz nam i posłem bądź-że naszym!“

Pieśń trzecia.

Bṛhadaśwa rzecze:
I obiecując rzecze Nala: „Spełnie wam to!“
A równocześnie pytał ich, pokornie stojąc:
„Kto wy jesteście? komu od was wieść poniosę?
I co mam działać dla was? opowiedźcie składnie!“
Na słowa Nali tak odrzecze mu Maghawan:
„Niebianów widzisz w nas dla Damajanty tutaj
Przybyłych. Jestem Indra, to jest Agni, a to
Wód władca; tamten Jama, ludzkich ciał niszczyciel (2).
Przybycie nasze oznajm Damajancie, mówiąc:
„„Bogowie tu przybyli, by pozyskać ciebie:
Król bogów Siakra, Agni, Jama i Waruna (3)
Jednego z bogów tych w małżeństwo wybierz sobie!““

---

(1) Przydomek Kâmy, boga miłości.

(2) Agni, bóg ognia; Jama, bóg śmierci i sędzia umarłych, równa się greckiemu Plutonowi.

(3) Waruna, bóg wód, jak u Greków Neptun.

Na słowa Siakry te pokornie odrzekł Nala:
„Nie ślijcie mnie, co w tymże celu tu przybyłem!
Jak może człowiek ze zdrowymi zmysły spełniać
Zlecenie takie za drugiego? Miejcie litość!“
Bogowie rzekli:
„Wyrzekłeś wprzódy: „„Spełnię wam to““, Niszadhczyku!
Dlaczegóż się więc wahasz? Idź bez zwłoki, Nalo!“
Bṛhadaśwa rzecze:
Na słowa bogów tak odezwie się Niszadhczyk:
„Jak zdołam wejść w dom czujną strażą otoczony?“
„Wstęp znajdziesz“—odpowiedział Siakra po raz wtóry.
I Nala rzekłszy: „Pójdę!“ szedł w dom Damajanty.
Zobaczył tam Bhîmównę w towarzyszek gronie
Urodą jaśniejącą i wdziękami piękną,
I delikatną i wysmukłą, długooką.
Zaciemniającą blask księżyca swą pięknością.
Gdy ujrzał nadto uśmiech jéj uroczy, zawrzał
Miłością tém silniejszą, lecz nieszczęsny rozkaz
Przytłumił ją. Na widok jego krasawice
Skoczyły z siedzeń wdziękiem jego uderzone.
Odezwać się nie śmiały, uwielbienia pełne.
„Jak piękny! Jaka postać! jaka męskość w twarzy!
Kto jest on? Bóg czy Jaksza (1), czy Gandharwa może?“
Tak myśląc nie zdołały słowa rzec żadnego
Z podziwu nad urodą jego krasawice.
Gdy uśmiechnięty stał tak, pierwsza Damajanti
Odezwie się do Nali uśmiechnięta także:
„Kto jesteś, cudny mężu, miłość wzbudzający,
Co jako bóg się zjawiasz? wiedzieć chcę od ciebie!
Jak wszedłeś tutaj od nikogo niewidziany?
Strzeżony dom mój pilnie, a król-ojciec srogi!“
Tak zagadniony Nala rzecze Widarbhównie:
„Przed sobą Nalę widzisz; posłem jestem bogów:
Bogowie: Siakra, Agni, Jama i Waruna
Żądają ciebie; wybierz więc jednego z bogów!
Ich mocą także wszedłem tutaj niewidziany.
Gdym wchodził w dom, nikt mnie nie widział, nikt nie wstrzymał.
Z tą wieścią, szczęsna, posłan jestem ja od bogów;
Słyszałaś rzecz mą; postąp wedle woli twojéj!“

---

(1) Rodzaj gieniuszów.

Pieśń czwarta.

Brhadaśwa rzecze:

Oddawszy bogom hołd, z uśmiechem rzecze Nali:
„Małżonkę pojmij! Cóż ci więcéj mam powiedzieć?
Osoba moja i co moje jest, za prawdę
To wszystko twoje też! Wesele zgotuj chyżo!
Łabędzi mowa pali serce moję, władco!
Dla ciebie, bohatyrze, królów tu zwołano,
Jeżeli ty mną wzgardzisz, która cię ubóstwiam,
Nie wzdrygnę się przed wodą, ogniem lub trucizną.“
Na mowę tę odrzecze Nala Widarbhównie;
„Jak możesz chcieć człowieka w bogów obecności?
Kurzowi światotwórców tych szlachetnych, wielkich
Nie jestem nawet równy. Ku nim zwróć twe myśli!
Nie czyniąc woli bogów, człowiek śmierć ponosi.
Dla dobra mego wybierz z bogów męża sobie!
Niepokalane szaty i niebieskie wieńce
I dyamenty, boga wziąwszy, nosić będziesz!
Hutasię (1), bogów pana, który świat ten cały
Zdusiwszy, łykać przywykł, któraż nie chciałaby?
Lub boga, przed którego berłem drżą z bojaźni
Gromady wszystkie stworzeń, któraż nie chciałaby?
Lub Dajtjów i Dânawów gromiciela (2) cnego,
Książęcia bogów wszystkich, któraż nie chciałaby?
Lub jeżli wolisz, wybierz sobie z światotwórców
Warunę! słuchaj rady przyjaciela twego!“
Po słowach takich Nali rzecze Damajanti
Ze łzami w oczach głosem smutnym i żałosnym:
„Złożywszy hołd niebianom wszystkim, ludzi władco,
Wybieram ciebie mężem; ta jest wola moja!“
Do drżącéj i stojącéj ze czcią rzecze Nala:
„Jak mogę, ja posłaniec bogów, na to przystać?
Jak mogę, dawszy słowo zwłaszcza bogom, w sprawie
Ich własnéj działać, korzyść *moję* mieć na oku?
Nie to mi rozkazano! Gdy nastąpi ma rzecz,
Natenczas za mną mówić będę; czyż nie słusznie?“
Radosną łezkę kryjąc w oku Damajanti,

---

(1) Przydomek boga Agni.
(2) Przydomek Indry; Dajtje i Dânawy są demonami bogom przeciwnymi.

Królowi Nali zwolna uśmiechnięta rzecze:
„Znalazłam środek tobie nieszkodliwy, władco,
Przez który wina żadna cię nie spotka, królu!
Ty, mężu zacny, i bogowie z Indrą w przedzie
Przyjdziecie wszyscy razem na wyboru miejsce.
Ja wtenczas wobec bogów, ciebie, królu dzielny,
Wybiorę mężem; tak unikniesz następstw wszelkich."
Po słowach Widarbhówny Nala, o władyko,
Podążył tam, gdzie niebowładcy go czekali.
Wnet idącego zobaczyli światotwórcy
I nagląc o rzecz całą go wypytywali:
„Czyś widział, królu, Damajantę miłolicą?
Cóż każe nam oznajmić wszystkim? Powiedz królu!"
Nala rzecze:
„Posłany od was do mieszkania Damajanty
Przebyłem bramę wielką i strzeżoną pilnie;
Wstępującego mnie tam żaden człek nie widział
Z wyjątkiem córki króla;—wszak to waszą mocą.—
Widziałem drużki jéj i one mnie widziały.
Zdziwione były wszystkie, widząc mnie, niebianie!
Gdym was oznajmił, białogłowa owa, rzekłbym,
Szalona mnie wybiera, o bogowie święci;
Tak mówiąc: „„Niech przybędą z tobą, mężu dzielny,
Bogowie razem, tam gdzie wybór ma nastąpić.
W ich obecności ciebie ja wybiorę, Nalo!
W ten sposób ujdziesz, silnoręki, następstw wszelkich.""
Tak wypełniłem ściśle rozkaz wasz, bogowie;
We waszych rękach wszechmoc, bogi nieśmiertelne!"

Pieśń piąta.

Brhadaśwa rzecze:
Gdy nadszedł czas stosowny w biegu doby świętéj,
Rozkazał Bhîma zwołać królów na samobór (1),
Na wieść tę ludziowładcy wszyscy zakochani,
Pobiegli śpiesznie, chciwi zyskać Damajantę.
Złotymi słupy lśniącą i błyszczącą bramą
Na scenę weszli dumnie, jako lwy na górę.

(1) Samobór (po staroind. svajamvara) jest to zwyczaj, wedle którego panna, doszedłszy pełnoletności, wybiera sobie publicznie z przybyłych mężczyzn sama męża. Powyższa pieśń daje nam opis takiego samoboru.

Na ławach siedli wkoło chrobrzy możnowładcy,
Ubrani w woniejące wieńce i klejnoty.
Widziałeś tam ramiona silne jako pałki,
Foremne, gładkie i w pięć palców zakończone.
Jak gwiazdy lśniły twarze królów pięknym włosem
I okiem śliczném i nadobnym nosem zdobne.
Na scenę weszła tedy Damajanti cudna,
Zwracając na się oczy i umysły królów.
Na członkach jéj zawisnął chciwy wzrok wielmożów.
I nikt z patrzących nie mógł stamtąd go oderwać.
Gdy wywołano nazwy królów, o Bhârato,
Ujrzała Damajanti pięciu mężów równych.
A widząc wszystkich całkiem podobnego wzrostu,
W zwątpieniu nie poznała, który z nich jest Nala,
Gdyż każden, na którego spojrzy, równy Nali.
Rozmyśla w duszy więc dziewica skłopotana:
„Jak poznam bogów? jak odróżnię króla Nalę?“
Tak myśli w głębi duszy smutna Widarbhówna
I znów rozważa znane jéj znamiona bogów:
„Ze znamion bogów, jakich starsi mnie uczyli,
Nie widzę żadnych u stojących tu na ziemi.“
Dumała długo, rozważała znów dokładnie,
Aż w końcu bogów samych prosić umyśliła.
Oddawszy cześć więc bogom mową, jak i myślą
I ręce wzniósłszy drżąc pokornym rzecze głosem:
„Przez prawdę, że łabędzie o tém mi doniosły,
Iż Nala mnie za żonę wybrał, wskażcie mi go!
Przez prawdę, że ni mową, ani myślą nawet
Nie kłamię, wskażcie mi go, o niebianie, przecie!
Przez prawdę, że od bogów on mi przeznaczony mężem,
Bogowie nieśmiertelni, wskażcie mi go wreszcie!
Przez prawdę, że co ślubowałam Nali, winnam
Dotrzymać także, wskażcie mi go, proszę,
I kształt przybierzcie wam właściwy, światotwórcy,
Bym poznać mogła ludziowładcę Punjaślokę (1)!“
Żałosną Damajanty skargą tą wzruszeni,
Bogowie postać swą na prośbę jéj przyjęli.
Widziała tedy bogów z okiem nieruchomém,
Bez kurzu, w wieńcach świeżych; ziemi nie tykali (2).

---

(1) Przydomek Nali.

(2) Po tych znamionach poznawano bogów; tuż za nimi są podane znamiona charakteryzujące człowieka.

Ż podwójnym cieniem zaś i wieńcem zwiędłym, spocon
Na ziemi stał Niszadhczyk, okiem chwiejném znaczny.
Poznawszy bogów zaś i króla Punjaślokę,
Wybrała Niszadhczyka mężem, o Pândawo (1)!
Wstydliwie potém szaty jego kraj schwyciwszy,
Prześliczny wieniec na ramieniu mu złożyła,
Spełniając w sposób taki wybór krasawica.
I głośny szmer podziwu rozległ się po scenie
Wśród bogów, ludzi i brahmanów, o Bhârato,
Podziwiających i sławiących piękność Nali.
Do Damajanty zaś Kaurawjo (2), pięknorosłéj,
Radośnym Nala głosem tako się odezwie:
„Ponieważ w bogów obecności, krasawico,
Mnie śmiertelnika bierzesz, wiernym będę tobie!
Dopóki tchnienia będzie w piersi méj, dziewico,
Dopóty będę z tobą; prawdę tę ci mówię!"
Słowami temi uszczęśliwił Damajantę.
Oboje dziś szczęśliwi; lecz i w szczęściu nawet
Wspomniawszy bogów, o opiekę ich prosili.
Bogowie święci też zadowoleni całkiem
Z wyboru wszyscy, osiem darów dali Nali.
Dar oglądania bogów i szczęśliwość wieczną
Dał Nali Siakra, mąż najulubieńszy Siaczy.
Dar pojawiania się gdziekolwiek dał mu Agni
I ogień sam się zjawiający dał mu także.
Straw przyprawianie i cnót biegłość dał mu Jama.
Wód rządca wód dostatek w każdém miejscu dał mu,
I wieńce wonne; wszyscy wraz zaś parę dziatek.
Rozdawszy dary, bogi w niebo powrócili,
Władyki także, znając wybór Damajanty,
Wesoło odjeżdżali, jako byli przyszli.
Po bogów i władyków wyjechaniu sprawił
Wesele chętnie Bhîma młodym nowożeńcom.
Mieszkawszy tam do woli Nala, mąż niezrównan,
Odjechał, z Bhîmą pożegnawszy się, do domu.
Weselem i radością błyszcząc, jako słońce,
Poddanych jednał sobie, sprawiedliwym będąc.
Rumaki, jako król Jajati lub Nahusza (3),

---

(1) Przydomek Judhiszthiry, do którego opowiadający Bṛhadaśwa się zwraca.
(2) Przydomek Judhiszthiry.
(3) Jajati i Nahusza, dwaj królowie sławni ze składania rumaków na ofiarę.

W ofierze bogom składał lub też inne dary,
Lub też naprzemian w gajach ślicznych i ogrodach
Zabawiał się wraz z Damajantą boski Nala,
I zrodził Nala z Damajanty niezrównanéj
Chłopczyka Indrasenę z córką Indrasenką.
Tak ofiarując i rozkoszy używając
Panował nad szczęśliwym krajem król szczęśliwy.

Pieśń szósta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Wracając z samoboru Damajanty bogi.
Dwâparę z Kalim (1) razem w drodze zobaczyli.
Kalemu rzecze tedy Siakra, wrogogromca:
„Z Dwâparą dokąd dążysz Kali, powiedz.“ Na to
Odpowie Kali: „Na samobór Damajanty;
Przybywszy tam wybiorę ją, jak serce każe.“
Odrzecze jemu z śmiechem Indra: „Już za późno!
Wybrany został Nala w naszéj obecności.“
To usłyszawszy Kali gniewem zawrzał wielkim
I bogom hołd oddawszy, rzecze słowa takie:
„Człowieka wobec bogów mężem wybrać śmiała?
Niech za to słusznie kara spotka ją straszliwa!“
Kalemu rzecze wszakże święte grono bogów:
„Za naszém pozwoleniem został wybran Nala.
I która-ż nie wzięłaby szlachetnego Nali,
Co prawa wszystkie zna i wielkie spełnił śluby,
Co czytał wszystkie księgi wedy i akhjanę? (2)
Bogowie w domu jego zawsze ofiar syci,
A on uczciwy, stały, zacny i spokojny,
I światotwórcom samym prawie wyrównywa!
Takiego Nalę kto przeklinać chciałby, Kali,
Ten sam przekląłby siebie, sam zabiłby siebie!
Takiego Nalę kto przeklinać chciałby, Kali,
Niech wpadnie lepiéj w trosk jaskinię, w mórz przepaście!“
To rzekłszy bogi, poszli. Kali zaś Dwâparze:
„Nie zdołam—rzecze—wściągnąć gniewu! wstąpię w Nalę,

---

(1) Dwâpara, personifikacya trzeciego wieku świata; Kali, demon i personifikacya gry w kostki. Miał on tylko władzę nad tym, kto zaniedbał oczyszczenia rytualnego przed spełnieniem czynności religijnych.

(2) Akhjana, tradycya religijna Indów.

Wyrzucę go z królestwa, żonę mu odbiorę!
Ty tylko w kostki wszedłszy, pomoc nieś skuteczną.

Pieśń siódma.

Brhadaśwa rzecze:
Umowę tę zawarłszy Kali i Dwâpara
Udali się na miejsce, gdzie król Nala bawił.
Szukając sposobności długo czekał Kali,
Aż wreszcie przecie w roku znalazł ją dwunastym,
Gdy Nala, choć po—moczu chodził, modły czynił,
Nie oczyściwszy nóg wprzód; wtenczas wszedł weń Kali.
A w mocy mając Nalę, poszedł do Puszkary
I rzekł mu: Idź i zagraj z Nalą w grę kostkową!
Zwyciężysz bowiem Nalę, gdyż ci dopomogę,
I wygrasz w grze Niszadhów państwa, własność Nali!
Po słowach tych Puszkara udał się do Nali,
A Kali stał się bykiem (1) krów Puszkarze w kostkach.
Przybywszy zaś do Nali, rzecze mu Puszkara (2),
Pogromca wrogów: „Grajmy w byka, drogi bracie!"
Nie zdołał oprzeć się wezwaniu król szlachetny,
Z małżonki obecności szczęście sobie wróżąc.
W grze wszakże tak się był rozpalił, że z przyjaciół
Nie zdołał nikt od gry szalonéj go odciągnąć,
Mieszczanie nawet z doradcami, o Bhârato,
Przybyli ujrzeć króla w grze zapalonego.
Woźnica poszedł wtenczas do królowéj z wieścią:
„Mieszczanie nasi stoją przed pałacu bramą!
Niech Nali kto oznajmi: „„Naród twój się zebrał,
Nie znosząc klęski króla, praw ich strzegącego"".
Nieszczęściem tedy pchana i ze łzami w oczach
Królowa smutkiem przygnębiona rzecze Nali:
„O królu! naród twój u bramy z doradcami
Oglądać pragnie ciebie, pełen czci dla króla."
Lecz na błagania pięknookiéj owładnięty
Król przez Kalego nic nie odpowiedział nawet.
Doradcy wtenczas wszyscy z mieszczanami wśród mów:
„Nie ten, co dawniéj!" smutni do chat powrócili.

---

(1) Bykiem zwała się główna kostka, od któréj także owa gra tę samę nazwę otrzymała. Reszta kostek zwała się krowami.

(2) Puszkara był bratem Nali.

Gra Nali zaś z Puszkarą trwała, Judhiszthiro,
Miesiące całe. Punjaśloka wciąż przegrywał.

Pieśń ósma.

Bṛhadaśwa rzecze:
Tak szalonego widząc króla Damajanti
I w grze zapalonego, jakby był bez zmysłów,
Bojaźni i boleści pełna Bhîmy córa
Przemyśliwała, królu, nad szaleństwem męża.
A bojąc się nieszczęścia, chcąc mu też zaradzić
—Widziała bowiem Nalę, całkiem ogranego—
Odezwie się do Bṛhatseny, mamki swojéj,
Kobiety wiernéj, doświadczonéj i wymownéj:
„Idź, Bṛhatseno, i zwoławszy rajców, oznajm,
Że skarbów co przegrano i co pozostało.“
Na tę wiadomość rajcy wszyscy się zebrali
I mówiąc sobie: „O nas idzie!“ szli do Nali.
I po raz wtóry przyszli wierni przed dom jego,
Lecz on, choć żona go błagała, został przy grze.
Na mowę swą głuchego całkiem widząc męża,
Do komnat zawstydzona poszła Damajanti.
Lecz słysząc, iż w grze Nala ciągle ma nieszczęście
I wszystko traci, rzecze mamce po raz wtóry:
„Idź, Bṛhatseno do Wârszneji, do woźnicy,
I przywiedź go; tak każe Nala dla spraw ważnych!“
Na słowa Damajanty Bṛhatsena wierna
Woźnicę przywieść rozkazała mężom mądrym.
Wârszneji zaś Bhîmówna pochlebiając rzecze
Łagodnym głosem, słabą stronę jego znając:
„Wszak wiesz, iż król twe słowo zawsze wielce ceni!
W nieszczęściu jego więc z pomocą śpiesz mu chętnie!
Im bardziéj władca nasz przegrywa w grze z Puszkarą,
Tym bardziéj jeszcze rośnie żądza jego do gry,
I w miarę jak Puszkarze kostki są powolne,
Tak w kostkach Nali wciąż nieszczęście się objawia.
Pokrewnych i przyjaciół mów nie słucha wcale
I na błagania moje nawet głuchym stał się,
—Choć Nali szlachetnego winą to nie będzie,
Że mowy méj nie słucha wcale w swém szaleństwie—
Pomocy twéj więc żądam; spełnij prośbę moję!
—Bo miłość ma dlań nie ustanie chyba z śmiercią—

Zaprzęgnij drogie Nali konie, szybkie jak myśl sama,
I dzieci nasze wziąwszy, podąż do Kundiny!
U krewnych oddasz tam me dzieci, wóz i konie
I mieszkać sam tam możesz lub iść, dokąd pragniesz.“
Wârszneja, sługa Nali, Damajanty mowę
Ogłosił rajcom całą, rady ich żądając.
Po rozważeniu rzeczy dostał pozwolenie.
Zabrawszy zatém dzieci pędził do Widarbhów.
Oddawszy konie tu woźnica i skarb woza:
Dziewczynkę Indrasenkę z chłopcem Indraseną
Pożegnał Bhîmę, stroskan wielce o los Nali.
Odszedłszy stamtąd poszedł do Ajodhji miasta;
Tu udał się do króla Ṛtuparny, smutny,
I za woźnicę służył mu, o królu mężny!

Pieśń dziewiąta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Po wyjechaniu Wârsznejowém państwo całe
I wszystko mienie Punjaśloce wziął Puszkara.
I uśmiechnięty, królu, rzekł zgranemu Nali:
„Pograjmy jeszcze! Jaką stawkę stawisz teraz?
Masz tylko Damajantę, resztę już zabrałem.
O Damajantę grajmy więc, jeżeli pragniesz!“
Puszkary mową ciężko zranion Punjaśloka
Z boleści w sercu wielkiéj nic nie odpowiedział.
A myśl Puszkary odgadując, rozgniewany
Zdjął z ciała wszystkie swe klejnoty, mąż ten sławny,
I jedną szatą odzian, na pół nagi, smutny
Oddalił król się ścigan losem mu przeciwnym.
I Damajanti, w jednéj szacie téż, szła za nim.
Tułając się bez dachu przebył z nią trzy noce.
Puszkara zaś, o królu, w mieście głosić kazał:
„Kto z Nalą waży się przestawać, śmiercią zginie!“
Zakazu więc i złości bojąc się Puszkary,
Mieszczanie nie przyjęli go w gościnę, królu!
W sąsiedniém mieście także przyjąć go nie chciano.
Trzy noce więc się błąkał, wodą samą żyjąc.
Lecz chociaż z głodu drzew korzonki tylko jadał,
Szedł daléj jednak; Damajanti zaś wciąż za nim.
Po wielu dniach, znów głodu męczarniami trapion,
Zobaczył ptaków stado z pióry złocistemi.

Pomyślał tedy sobie mężny król Niszadhów:
„Dziś będę miał pokarmu dosyć! skarb to dla mnie!“
I szatą rzucił na nie spodnią, swą jedyną.
Lecz ptaki szatę wziąwszy wzniosły się w powietrze.
A wznosząc się wołały słowa te do Nali,
Nagiego widząc go na ziemi i smutnego:
„Jesteśmy kostki, głupcze, żądne szaty twojéj;
Niemiło było nam, żeś z szatą odszedł jeszcze.“
Odlatujące widząc kostki te a siebie
Bez szaty Punjaśloka rzekł do Damajanty;
„Nieszczęsne kostki, które z państwa mnie wyzuły,
Że głodny i zmęczony darmo szukam strawy,
Dla których mnie w gościnę nikt dziś przyjąć nie chce,
I szatę mi unoszą, w ptaki się zmieniwszy!
W nieszczęście wielkie wprowadziłem cię bezmyślny!
Ja, mąż twój! słuchaj zatém rady ci życzliwéj!
Dróg wiele wiedzie do Dekhanu przez Awanti (1)
I przez skaliste szczyty góry Ṛkszawanta.
Tu góra Windhja i Pajosznja, rzeka morska;
Na drodze pustelń wiele, i owoców dużo.
Tu wiedzie droga do Widarbhów, tam prowadzi do Kosialów,
Lecz południowa wprost prowadzi do Dekhanu.“
Te słowa Nala, troskliw o los Damajanty,
Rzekł zrozpaczony żonie swojéj, o Bhârato!
Lecz Damajanti łzami się zalawszy, smutnie
Odrzecze Nali słowy z płaczem mieszanemi:
„Drży serce moje, członki wszystkie mi tężeją,
Gdy zamiar twój rozważam, królu i małżonku!
Jak zdołałabym cię opuścić, coś wyzuty
Z królestwa, bogactw, szaty tu w bezludnym lesie,
Coś znużon, zgłodzon i nieszczęściem twém przejęty?
Ja w lesie strasznym tym znużenie twe rozpędzę.
Małżonka bowiem wedle lekarskiego zdania
W dolegliwości każdéj środkiem jest najlepszym.“

Nala recze:

„Jak rzekłaś, niech się stanie, piękna Damajanti!
Nad żonę niéma przyjaciela, ni lekarstwa.
Ja nie opuszczę ciebie; czegóż się więc boisz?
Nie ciebie, ale mnie samego opuściłbym przez to!“

---

(1) Imię miasta, zwanego dziś: Udżdżajini.

Damajanti rzecze:
„Jeżeli, królu, mnie opuścić nie chcesz tutaj,
Dla czegoś pokazywał drogę do Widarbhów?
Nie mogę pojąć, czemu mię opuścić pragniesz?
—Ach! zmysły straciłabym, gdybyś mnie opuścił!—
I czemu drogę mi wskazujesz ciągle, mężu?
Powiększasz przez to boleść mą, rycerzu boski!
A jeźli w myśli masz, ażebym szła do krewnych,
Toć pójdźmy razem do Widarbhów, masz-li wolą!
Widarbhów król cię uszanuje, sławodawco,
I czczony, królu, mieszkać będziesz w domu naszym.“

Pieśń dziesiąta.

Nala rzecze:
„Godnością równy-m ojcu twemu, bez wątpienia!
Lecz w biedzie będąc jakiéjkolwiek, doń nie pójdę.
Bogaty i szczęśliwy stamtąd odjechawszy,
Jak śmiałbym ja tam stanąć, powód smutku twego?“
Bṛhadaśwa rzecze:
Tak rozmawiając w drodze z Damajantą Nala,
Pocieszał wierną żonę swoję, na pół nagą.
Idąc tak odziani jedną tylko szatą,
Spragnieni, głodni przyszli do chałupy jakiéjś.
Do chaty wszedłszy bez wahania król Niszadhów
Z Bhîmówną, usiadł razem z nią na twardéj ziemi.
I choć bez szaty i bez łoża, okurzeni,
Zasnęli ze znużenia, na tle gołéj ziemi.
Szczególnie Damajanti trudem i nieszczęściem
Złamana i znużona snem usnęła twardym.
Jednakże nie tak smacznie, jako Damajanti,
Spał Nala, smutku pełne serce i myśl mając.
O stracie państwa, opuszczeniu przez przyjaciół
I o tułactwie w lesie myśląc, tak rozważał:
„Cóż mam uczynić teraz? jak postąpić sobie?
Cóż lepsze dla mnie, śmierć czy też osamotnienie?
Z miłości tylko ku mnie cierpi ona smutek;
Beze mnie zaś się uda do rodziny może!
Wraz *ze mną* spotka ją *nieszczęście* bez wątpienia;
Beze mnie wątpię znowu, czy ją spotka *szczęście*.
Tak rozmyśliwszy i głęboko rozważywszy,
Opuścić Damajantę za najlepsze uznał.

„Nie może jéj na drodze dla postaci świętéj;
Dla cnoty z ócz świecącéj nikt nic złego zrobić!“
Tak myśląc wciąż o Damajancie przez Kalego
Niecnego dał się uwieść, aby ją porzucić.
Lecz widząc siebie bez ubrania, Damajantę
Zaś w szacie całéj, przeciąć szatę postanowił.
„Jak przetnę szatę, lubéj méj nie budząc ze snu?“
To myśląc wstał i obszedł chatę król wokoło.
I chodząc tu i owdzie znalazł w kącie chaty
Miecz Nala ostry, porzucony tam bez pochwy.
Uciąwszy nim połowę szaty, odział się nią
I, śpiącą zostawiając żonę, uciekł niecnie.
Lecz żal mu było; wrócił więc do chaty znowu,
A widząc Damajantę, płakać zaczął gorzko.
„Ta, któréj wiatr ni słońce dawniéj nie widziało,
Ta dziś na ziemi w kącie chaty śpi samotna,
Z uśmiechem w twarzy, piękna, w szczęścia krótkim szale!
Co powié, gdy się zbudzi i pół szaty ujrzy?
Przeze mnie opuszczona, sama jedna w lesie,
Żmij, zwierząt pełnym, błąkać będzie się nieboga!
Wasowie (1), Âditjowie (2), Rudry (3) i Aświny
Wraz z Marutami (4) niech cię strzegą; w cnocie tarcz twa“.
To rzekłszy do małżonki śpiącéj, niezrównanéj,
Pędzony przez Kalego uszedł śpiesznie Nala.
Lecz znów się wraca król do chaty, znów odchodzi,
Tu przez Kalego, tam miłości siłą ciągnion.
Jakoby rozdwojone było serce jego,
To biegnie, to ku chacie wraca, jak huśtawka.
Lecz przez Kalego odciągnięty odszedł Nala wreszcie,
Małżonkę śpiącą opuszczając wśród łez gorzkich.
Obałamucon przez Kalego i zamyślon
Szedł smutny lasem, żonę zostawiając samą.

Pieśń jedenasta.

Bṛhadaświa rzecze:
Gdy Nala poszedł, Damajanti odpocząwszy
Zbudziła się przecudna, sama jedna w lesie.

(1) Wasowie, nazwa ośmiu półbogów światła. (2) Aditjowie, dwunastu bogów światła, a zatém dobrych bogów. (3) Rudry, bogowie burzy; było ich jedenastu. (4) Bogowie wiatrów.

Nie widząc wszakże męża, z smutku i boleści
Zaczęła wołać głośno Niszadhczyka, królu!
„Hej! mężu! królu! panie! czemuż mnie opuszczasz?
Zabiją mnie, zaginę tu w bezludnym lesie!
Czy tak twe słowo tylko dotrzymujesz, królu?
Wszak dałeś mi je, a dziś śpiącą mnie opuszczasz!
Jak mogłeś odejść bez małżonki wiernéj tobie,
Szczególnie, że nie ja, lecz inny ktoś zawinił.
Spełń przyrzeczenia, które w obecności bogów
Wyrzekłeś sam był dawniéj względem méj osoby!
Czas śmierci naszéj nie jest nam oznajmion, królu,
Dlatego ja zdradzona dłużéj żyć nie pragnę!
Lecz dosyć żartu tego, mężny bohatyrze!
Ja, śmiała, dziś się boję; pokaż mi się przecież!
Widziałam cię, widziałam, królu i poznałam,
Gdy kryłeś się za krzaki; czemu nie odpowiész?
Okrutnyś, ach! o królu! że mnie tu przybyłéj
W żałości cieszyć nie przychodzisz, o władyko!
Nie smucę się nad losem moim lub czémśkolwiek,
Lecz ciebie żal mi, że samotny będziesz, królu!
Że głodny i pragnący i trudami zmęczon
Wieczorem przy korzonkach drzew mnie miéć nie będziesz".
Boleścią zdjęta srogą, jakby gniewem wrząca,
Biegała tu i tam, płacząca i zmartwiona.
To skacze jak dziewczynka, to znów woła, płacze,
Nareszcie bólem zwyciężona, pośród westchnień
I we łzach tonąc rzecze wierna Damajanti:
„Kto klątwą swą nieszczęście to na Nalę zesłał,
Niech większéj jeszcze biedy dozna w swéj miłości!
Kto w złości Nalę niewinnego w nędzę wtrącił,
Niech w większéj jeszcze nędzy żywot wiedzie smutny!"
Tak lamentując żona króla szlachetnego:
„Hej, królu!" woła ciągle, tu i tam biegając.
Gdy tak nad miarę płacze, jak orlica morska
I nieustannie lamentuje i narzeka
Bhîmówna, chodząc po samotnym lesie,
Pochwycił wąż ją wielki, głodem rozjątrzony.
W objęciach węża i kłopotem skołatana
Nie myśli jeszcze tak o sobie, jak o Nali.
„Obrońco! czemu mnie ujętéj siłą węża
I opuszczonéj w lesie nie przybywasz w pomoc?
Cóż zrobisz, Niszadhczyku, gdy mnie wspomnisz sobie

Od klątwy wolny, przy rozumie i bogactwach?
Gdy zmęczon głodny i znużony będziesz, Nalo,
W zmęczeniu któż cię rozweseli, mój ty luby?"
Wtém łowiec jakiś w lesie owym gęstym chodząc,
Usłyszał krzyk jéj i natychmiast biegł na pomoc.
Czémprędzéj przeszył węża strzałą wyostrzoną,
A ubitego posiekł potém w drobne sztuki.
Tak wybawiwszy ją i wodą oczyściwszy
I strawą posiliwszy, spytał jéj, Bhârato:
„Kto jesteś, sarnooka ty niewiasto, i skąd
Do lasu przyszłaś? W nędzę taką jakże wpadłaś?"
Na zapytanie jego Damajanti, władco,
Opowiadała wszystko, jak się było stało.
Myśliwy przytém patrząc na pół nagie piersi,
Na biodra jéj okrągłe, członki delikatne
I twarz jak księżyc wpełni piękną i z rzęsami
Pięknemi oko, namiętnością się rozpalił.
Słówkami więc przymilać zaczął się pięknemi
Jéj łowiec rozkochany; lecz myśl jego zgadła,
I zrozumiawszy zamiar jego niecny, wierna,
Zawrzała gniewem strasznym jak i oburzeniem.
Myśliwiec wszakże pożądliwy i za słaby
Powstrzymać żądzę, z namiętnością patrzał na nią.
Lecz Damajanti z bólu nad utratą państwa
I męża w chwili gniewu klątwę nań rzuciła:
„Jak ja o Nali nie przypuszczam nic niecnego,
Tak nędzny ten nikczemnik niechaj w miejscu skona!"
Po słowach tych myśliwy martwy padł na ziemię,
Jak drzewo od pioruna nagle powalone.

Pieśń dwunasta.

Bṛhadaśwa rzecze:

Zabiwszy łowca, biegła daléj liliooka
W straszliwym i bezludnym lesie, pełnym zwierząt:
Tygrysów, panter, lwów, bawołów i niedźwiedzi
I ptaków różnych i złoczyńców i złodziei,
Zarosłym głogiem, mangą, lodhrą i akacyą
Padmaką, amalaką, plakszą i kadambą (1).
Widziała góry kruszców rozmaitych pełne,

(1) Nazwiska roślin w Indyach rosnących.

Potoki, wodospady, straszne widowiska.
Bawołów, dzików, wężów leśnych i niedźwiedzi
Widziała Widarbhówna stada bardzo liczne,
Chowana dawniéj w zbytkach i wygodzie wszelkiéj.
Lecz mimo tego długo się nie obawiała.
W gęstwinie wszakże zabłąkawszy się nieszczęsna,
Zaczęła smutne żale głosić Widarbhówna:
„Szerokopierśny, silnoręki królu Nalo!
Gdzie jesteś, czemuś mnie opuścił w dzikim lesie?
Ty, któryś bogom z koni i rozlicznych rzeczy
Ofiary składał liczne, czemuś dla mnie fałszyw?
Racz wspomniéć na przysięgi, dane mi przez ciebie,
Szlachetny mężu, zacny i rozumny księciu!
I co łabędzie tobie o mnie powiadały,
A mnie o tobie, racz przypomniéć sobie, królu!
Rycerzu! czy też może wcale mnie nie kochasz?
I czemu w lesie dzikim tym się nie odzywasz?
Już pysk otwiera i pożera mnie okropny
Król boru, tygrys głodny! czemu nie ratujesz?
„ „Nad ciebie żadna droższa nie jest mi,“ “ mówiłeś;
Spełń teraz mowę twoję, dawniéj wyrzeczoną!
Rozpaczającéj i płaczącéj żonie twojéj,
Spragnionéj, pragnion, mężu, czemu nie odpowiész?
Jak sarną z trzody wyłączoną, wielkooki,
Pogardzasz mną płaczącą, wrogów gromicielu!
Mocarzu! w wielkim lesie ja tu Damajanti
Samotna wołam cię; dlaczego nie odpowiész?
Szlachetny z rodu i z postaci niezrównany,
Czyż nie zobaczę cię na górze téj, mój zbawco,
Lub w lesie tym okropnym, lwów, tygrysów pełnym,
Śpiącego, siedzącego lub też stojącego?
I kogóż spytam nieszczęśliwa tu o ciebie:
„ „Czyś widział może króla Nalę tutaj w lesie?“ “
„ „Król Nala liliooki, o którego pytasz,
Jest tutaj w lesie.“ “ Któż mi taką wieść przyniesie?
Król boru, tygrys czterozębny, wielkoszczęki
Wprost do mnie pędzi; ja bez strachu stoję, mówiąc:
„ „Tyś zwierzów panem, tyś w tutejszym lesie królem!
Jam Damajanti, córka króla widarbhskiego,
Małżonka szukająca, smutna i strapiona.
Pociechy słowo powiédz, jeźliś widział Nalę
Lub jeźli, borów królu, nic o Nali nie wiész,

Ach! poźréj mnie i zakończ raz mój smutny żywot!“ “
Lecz on na płacz mój i żałośne jęki głuchy,
Odchodzi sobie, borów król, do rzeki kryształowéj.—
Tę górę wielką, najeżoną wierzchołkami
Niebotycznemi, serce barwą nęcącemi,
Co jak proporzec jaki bór ten zdobi wielki,
Tę gór królową spytam ja o ciebie, królu!
„ „Ty, góro wielka, co aż prawie nieba sięgasz
Ty, góro piękna i obronna! cześć ci składam!
I witam cię; królewską córkę masz przed sobą,
Królewską żonę i zięciową, Damajantę.
Widarbhów król mym ojcem; rycerz to potężny,
Imieniem Bhîma; bogacz to i pan klas czterech.
Koronacyjnych i przeróżnych innych obiat
Ofiarnik szczodry, król wyborny, pięknooki,
Pobożny i szlachetny, prawdomówny, szczery,
Zdolności, męstwa pełen, prawy i szczęśliwy
Obrońcą jest Widarbhów i pogromcą wrogów.
Ty, góro święta, we mnie widzisz córkę jego.
Mym teściem zaś jest król Niszadhów sławny, mężny
Mający imię znane, imię Wiraseny.
Po ojcu prawnie odziedziczył rządy państwa
Pogromca wrogów Nala, Punjaśloką zwany.
I on pobożny; czyta wedę i czci ogień,
Ofiary składa liczne i jest królem dobrym,
Małżonkę jego, góro dobra, widzisz we mnie,
Małżonka szukającą, najlepszego z wszystkich!
Powietrze drące szczyty twoje, góro dobra,
Czy nie widziały może tutaj w lesie Nali,
Mężnego, jako słoń, mądrego i silnego?
Niszadhów króla Nalę czy widziałaś może?
Dlaczego pytającéj mnie, samotnéj, smutnéj
Dziś nie pocieszysz, góro, jakby córkę swoję?
Ach! kiedyż dźwięcznie - męski, jako szum obłoku
Usłyszę głos ja Nali, słodki jak amṛta?!“ “ (1)
To rzekłszy górze piękna córa władykowa
Szła daléj, kroki swe na północ skierowawszy.
Uszedłszy trzy dni i trzy noce, zobaczyła
Las pustelniczy, piękny jak gaj najcudniejszy,
Mający pokutników Bhṛgu i Wasiszcie (2)

(1) Amṛta, napój bogów, grecki nektar. (2) Dwaj pokutnicy staroindyjscy, sławni z ostréj reguły życia.

Podobnych; skromnych w jadle, lecz w pokucie wielkich.
Ujrzawszy pokutników, wielce się cieszyła
Przepiękna krasawica, ciemno-długooka.
I weszła do pustelni Nali wierna żona,
Najlepsza z kobiet, zacna Damajanti,
A pozdrowiwszy pokutników, stała cicho.
„Witamy“—pokutnicy wszyscy jéj odrzekli,
I pokłoniwszy się jéj: „Usiądź“, powiedzieli,
„I oznajm śmiało, co chcesz, byśmy uczynili?“
I rzecze pięknowzrosła: „Znajdę-ż pośród ogniów
Palonych bogom i pokuty tu zbawienie?“
„Zbawienie pewno, dobra i cna ty niewiasto!
Lecz powiédz, krasawico, ktoś ty i co żądasz?
Gdy piękność twoję i urodę ujrzeliśmy,
Zdumienie ogarnęło nas; lecz wprzód odpocznij!
Czy lasu tego tyś bogini, czy téj góry,
Czy rzeki téj? oznajmij, krasawico boska!“
Odrzekła tedy pytającym: „Nie jam boru
Boginią, ni téż góry, ni téż rzeki waszéj!
Śmiertelną jestem, wiedzcie, pokutnicy wszyscy!
Obszernie wam opowiem wszystko, posłuchajcie!
Widarbhów królem jest władyka, Bhîma zwany;
Jam córka jego, wiedzcie, pokutnicy wszyscy!
Niszadhów królem jest rozumny, sławny Nala;
Niezwalczon ten bohatyr jest małżonkiem moim!
Brahmanów kocha on i bogów czci gorliwie.
Niszadhów ten obrońca słynny i potężny
Od ludzi niepoczciwych, chytrych i złośliwych
Ograny został, tracąc państwo i majątek.
Jam żoną króla tego, wiedzcie, pokutnicy,
Jam Damajanti; za małżonkiem moim tęskniąc,
Przebiegam lasy i wyżyny, nieszczęśliwa,
Szukając Nali, męża mego rycerskiego.
Czy jest tu może w gaju waszym, pokutnicy,
Czcigodny król Niszadhów, Nala ludziowładzca,
Za którym przyszłam w bór ten nieprzystępny, dziki,
Okropny, straszny, dzików i tygrysów pełny?
Jeżeli w kilku dniach nie znajdę króla Nali,
Połączę się z wiecznością, biorąc życie sobie.
Bo na co żyć mi bez małżonka, wrogobójcy?
I jakże będę żyła po utracie męża?“
Skarżącéj tak się w opuszczeniu córce Bhîmy

Odrzekli pokutnicy, przyszłość przewidując:
„Szczęśliwa, och! szczęśliwa będzie przyszłość twoja!
My pokutnicy widzim to; wnet ujrzysz Nalę,
Niszadhów króla, wrogogromcę walecznego;
Bhîmówno! prawodzierżcę ujrzysz ty w radości,
Od klęsk wolnego i w klejnoty bogatego,
Nad miastem swojém władnącego, zwycięskiego,
Strasznego wrogom, przyjaciołom serdecznego!
Szczęśliwa ujrzysz w szczęściu męża królewskiego!“
To rzekłszy żonie Nali z rodu królewskiego
Zniknęli pustelnicy, ognie i pustelnie.
Ujrzawszy cud ten wielki, bardzo się zdziwiła
Synowa Wîraseny, śliczna Damajanti.
„Czy sen marzyłam? Jakże się to przygodziło?
Gdzie pokutnicy i gdzie ich mieszkania?“
Myślała długo tak Bhîmówna Damajanti,
Z żałości za małżonkiem blada i mizerna.
I poszła w inną stronę, wyrzekając smutnie
Płaczliwym głosem ciągle i ze łzami w oczach:
„Ach! drzewo każde jak szczęśliwe tutaj w lesie!
Licznemi błyszczy kwiaty, dumnie jak szczyt góry!
A ty asioko! czy widziałaś może króla,
Mężnego Nalę, wrogogromcę, męża mego?
Połową szaty odzianego, w niewygodzie,
Nieszczęściem dotkniętego, w bór ten przybyłego?
Bym bez kłopotu szła stąd, uczyń to, asioko!
Sprawdź nazwę twą, asioko (1) czyli trosk pogromco!“
Obszedłszy potém drzewo nieszczęśliwa, poszła
Bhîmówna piękna w stronę jeszcze okropniejszą.
Widziała drzew tam wiele, rzek widziała wiele,
Gór cudnych wiele i rozlicznych zwierząt wiele.
Przeszedłszy znowu Damajanti kawał drogi
Ujrzała karawanę, w słonie, konie liczną,
Przeprawiającą się przez rzeczkę czystą, miłą,
Szeroką, przezroczystą i zarosłą trzciną.
I widząc karawanę piękna żona Nali,
Wstąpiła w grono ich postacią czarująca,
Choć tylko skrawkiem szaty przyodziana, smutna,
Zwalana nawet i w obliczu zakurzona.

---

(1) Asioka, nazwa drzewa; asioka znaczy właściwie: nie mający smutku, troski zmartwienia; stąd powyższa gra wyrazów.

Ujrzawszy ludzie ją, zaczęli pierzchać jedni,
Zdumieni stali drudzy, inni zaś wołali,
Swywolnie szydząc jedni, przeklinając drudzy.
Lecz kilku, których litość zdjęła, zapytało:
„Kto jesteś? jak się zowiesz? czego szukasz w lesie?
Ujrzawszy cię zadziwiliśmy się! śmiertelna-ś?
Czy Jakszi, czy Râkszasi (1), czy niewiasta boska?
Ktokolwiek jesteś, szczęście przynieś nam i broń nas,
By karawana ta szczęśliwie stąd odeszła,
I uczyń, aby wszędzie szczęście nam służyło!“
W kłopocie swym nad stratą męża rzecze tedy
Wodzowi karawany i obecnym wszystkim:
„Śmiertelną jestem, lecz pochodzę z rodu królów,
I królem jest mój teść i królem mój małżonek.
Widarbhów królem ojciec, a Niszadhów mąż mój,
Przesławny Nala; właśnie jego szukam tutaj.
Jeżeli wiécie o nim coś, powiédzcie! proszę.
Pokażcie Nalę, wrogobójcę walecznego!“
Do krasawicy rzecze wtenczas wódz gromady,
Imieniem Siuczi: „Słuchaj mowy méj, królowo!
Jam kupiec i wódz karawany, o niewiasto!
Człowieka z nazwą Nala nie widziałem nigdy.
Pantery, słonie z bawołami i tygrysy
Widziałem w lesie tym bezludnym i straszliwym,
Lecz ludzi, oprócz ciebie, nie widziałem wcale!
Miéj nas w opiece Manibhadro (1), królu Jakszów!“
Odrzecze tedy kupcom wszystkim i wodzowi:
„Gromada wasza dokąd zmierza? racz powiedziéć!“
Przewodnik karawany rzecze:
„Subâhy, króla Czedów, jest ta karawana;
Za zyskiem ciągnie w kraje ludne, śmiertelniczko!“
(*d. n.*)

---

(1) Jakszi i Râkszasi, demony żeńskie.

(2) Manibhadra, bóg mający pod sobą duchów opiekuńczych, Jakszów. Mówiący zwraca się przy końcu swych słów do boga, aby zapobiedz nieszczęściu, któreby mogło może spotkać karawanę w skutek zejścia się z Damajantą.

BALONY

PO STULETNIM ROZWOJU.

Stuletnia rocznica wynalezienia balonów tylko co minęła. Pamiętały o niéj zaledwie nieliczne towarzystwa aeronautyczne,—nic nie przypomniało téj wrzawy, z jaką przyjęto pierwsze ich narodzenie. A żaden może inny wynalazek tyle co balony zapału nie wzbudził, na cześć ich pisano ody, bito medale,—tryumfy, które za dni naszych osiągnęła elektryczność, słabe tylko dać mogą pojęcie o tém ożywieniu, jakie balony śród ówczesnego społeczeństwa wywołały.

Do wrzawy téj niemało zapewne przyczyniła się i chwila, w któréj wystąpiły,—nastrój umysłów, podniecony wysoko oczekiwaniem zmian wielkich, które wkrótce nastąpić miały. Balony urzeczywistniały odwieczne pragnienie człowieka wyrażone w bajce o locie Ikara ku słońcu, budziły nadzieje wielkie, były obrazem swobody, któréj brakło na ziemi. Dziecię się narodziło, powiedział o nich Franklin, zobaczym, co nam przyniesie, gdy w młodziana wyrośnie.

Nadzieje te po stu latach nie urzeczywistniły się zgoła, dziecię dzieckiem zostało. Zawód ten był tém dotkliwszy, że inne wynalazki, których początek mniéj więcéj na téż same czasy przypada,—maszyna parowa, stos galwaniczny, chemia wreszcie cała, wyrosły bujniéj i wydały plon obfitszy, aniżeli najśmielsze rojenia przewidywać mogły. Niepowodzenia wszakże nie zdołały przełamać wytrwałości tych, co pierwotnym nadziejom wierni pozostali, i ledwie rok po stuletnim jubileuszu balonów upłynął, dowiedzieliśmy się, że słynne zadanie kierowania balonem rozwiązane nakoniec zostało. Zobaczmy, jak dalece cel ten osiągnięty został i przyjrzyjmy się dziejom zabiegów, które doń doprowadziły.

Historya balonów, jakkolwiek niedługi tylko okres czasu obejmuje, pełna jest szczegółów ciekawych, faktów wesołych i dramatycznych, drobnych powodzeń i wielkich zawodów; nie brak jéj nawet legendy. Legenda ta występuje skromnie, w postaci wyprasowanéj i wydętéj spódnicy pani Montgolfier, która synowi jéj Stefanowi pomysł balonu nasunąć miała; inna wszakże wersya pierwszy pomysł balonów wiąże ze słynném oblężeniem Gibraltaru 1799—82,—młody Stefan Montgolfier, który, zamiast mozolić się nad łaciną licealną, wolał zajmować się kwestyami mechaniki, marzył, jakby się z góry do oblężonéj twierdzy dostać. Jakakolwiek zresztą była podnieta, wespół ze starszym bratem swoim Józefem pomysł ten urzeczywistnił w Annonay, gdzie obaj bracia po ojcu oddziedziczyli fabrykę papieru. Balon ich, sporządzony z płótna, miał 39 stóp średnicy i ważył 490 funtów, u dołu posiadał otwór, wynoszący kilka stóp kwadratowych. W pewnéj odległości poniżéj tego otworu zawieszony był kosz z drutu metalowego, wypełniony materyałami palnemi; płomień ogrzewa powietrze, które stąd staje się lżejszém, wznosi się w górę i zwolna wypełnia balon, a skoro wraz z powłoką waży już mniéj aniżeli jednaka objętość powietrza otaczającego, balon wznosi się w górę, zabierając wraz z sobą materyały płonące, które mu siłę wzlotu nadają. W górze powietrze jest rzadsze, balon przeto oczywiście tak tylko wysoko podnosić się może, dopóki nie dojdzie do warstwy, w któréj ciężar jego wyrównywać będzie ciężarowi powietrza wypchniętego.

Po raz pierwszy balon taki wzniósł się w Annonay 5 czerwca 1783 r., a 19 września t. r. Montgolfier puścił balon swój w Wersalu w obecności króla;—do balonu przyczepiona była klatka, z owcą, kogutem i kaczką. Gdy ogień wygasł, a powietrze w balonie stopniowo stygło, balon się zwolna opuścił a zwierzęta bezpiecznie na ziemię wróciły.

Balony, wypełnione powietrzem ogrzaném, na cześć wynalazcy swego otrzymały nazwę *montgolfierów*, ale rychło ustąpić musiały balonom innego rodzaju.

Od dwudziestu już lat znano gaz zwany wodorem, o którym z doświadczeń Cavendisha wiedziano, że jest prawie czternaście razy od powietrza lżejszy, a ta nadzwyczajna jego lekkość nasunęła profesorowi fizyki w Paryżu, Charles'owi, szczęśliwą myśl użycia go do napełniania balonów. Wykonał to bardzo szybko, bo już 27 sierpnia 1783 r. pierwszy *szarlier* wzniósł się w górę na polu Marsowém. Wielkością wyrównywał prawie pierwszemu montgolfierowi i spadł w niedalekiéj wiosce skąd sprowadzony został w opłakanym stanie

poturbowany widłami przez chłopów, przerażonych niespodzianém tém zjawiskiem.

Montgolfier nie dał za wygraną i pod opieką akademii urządził balon, mający 57 stóp wysokości i 6.000 stóp sześciennych objętości, który dla doświadczeń puszczano codziennie w górę i ściągano przy pomocy sznura. W doświadczeniach tych brał gorliwy udział młody profesor fizyki z Reims, Pilatre de Rozier, zagorzały wielbiciel nowego wynalazku, i w galeryjce otaczającéj kosz płomienisty wznosił się często do wysokości 324 stóp.

Próby te ośmieliły go do kroku stanowczego,—wzniesienia się w górę balonem swobodnym. Zamiar ten wydał się wszakże zbyt ryzykownym ówczesnym władzom rządowym i zezwolenia odmówiły; postanowiono jednak wysłać w górę balonem przestępcę na śmierć skazanego, któremu, w razie szczęśliwego na ziemię powrotu, życie miano darować. Za pośrednictwem wszakże margrabiego Arlandes Pilatre uzyskał audencyą u króla i zdołał wymódz upragnione zezwolenie, przedstawiwszy mu, że niepodobna dopuścić, aby chwała, która niewątpliwie czeka pierwszego żeglarza powietrznego, dostała się w udziale złoczyńcy. Wreszcie tedy 17 października 1783 Pilatre wraz z Arlandes'em wznieśli się montgolfierem w krótce po zachodzie słońca; a w górze ujrzeli je znowu i po raz drugi byli świadkami zachodu słońca. Wznieśli się do wysokości 3.000 stóp, a skoro przestali ogień podsycać, balon zwolna na ziemię się opuścił.

W kilka tygodni późniéj, 1 grudnia, odbył i Charles podróż powietrzną swoim balonem, w towarzystwie Roberta. W ciągu kilku minut aeronauci wznieśli się z Tuilleries na wysokość 3.000 stóp i w ciągu dwu godzin przebyli 5 mil. Ludność paryska była cała w poruszeniu, wszystkie place publiczne i dachy zapełnione były widzami, wydającymi okrzyki na cześć śmiałych żeglarzy, którzy im z góry ukłony przesyłali. Charles obmyślił dokładnie urządzenie balonu, które też odtąd istotnym zmianom nie uległo. Łódka uczepioną była u siatki pokrywającéj balon, klapka u góry służyła do wypuszczania gazu, jak u balonów dzisiejszych.

Odtąd podróże balonowe szybko się bardzo rozpowszechniły,—brali w nich udział często uczeni i ludzie chciwi wrażeń; przedewszystkiém jednak zachowały znaczenie prostego widowiska. W Warszawie po raz pierwszy puszczał się balonem słynny aeronauta Blanchard w towarzystwie Jana Potockiego w r. 1788.

Z powodu niebezpieczeństwa ognia i słabéj siły wzlotu mongolfiery wyszły niemal zupełnie z użycia, ale i balonami napełnionemi wodorem aeronauci rzadko się teraz posługują, za przykładem bowiem Greena od r. 1819 balony wypełniają się zwykle gazem oświe-

tlającym. Gaz ten jest wprawdzie od wodoru znacznie cięższy, ale posiada nad nim tę wyższość, że jako cięższy słabiéj dyfunduje, to jest nie tak łatwo przechodzi przez powłokę. Ztąd to *greeniery* posiadają mniejszą wprawdzie aniżeli szarliery siłę wzlotu, ale mogą się dłużéj w powietrzu utrzymywać. Balonami takiemi Green odbył 1.400 podróży, a uszedłszy wszelkich niebezpieczeństw, które mu nieraz śmiercią groziły, zmarł w 90 roku życia, we własnym zamku, nabytym z zysków, jakie mu podróże te przyniosły.

II.

Siła wzlotu balonu oblicza się bardzo łatwo, stosuje się tu bowiem bezpośrednio znana zasada Archimedesa, tycząca się ciał zanurzonych w wodzie. Ponieważ woda jest od korka cztery razy cięższa, kawałek przeto korka ważący łut jeden traci przez zanurzenie w wodę na ciężarze cztery łuty tj. tyle właśnie, ile waży ilość wody równéj mu objętości; niedostaje mu przeto trzech łutów, aby można było powiedzieć, że żadnego nie ma ciężaru; aby go zatém w wodzie utrzymać, trzeba doń przyczepić ciężar trzech łutów, inaczéj podnosi się na powierzchnię wody, a mianowicie z siłą trzech łutów.

Powietrze w warunkach normalnych jest około 770 razy lżejsze od wody; litr wody waży kilogram, litr powietrza zatém prawie 1,3 grama. Wodór znów jest od powietrza 14 razy lżejszy, litr przeto wodoru waży 1,3/14 tj. 0,09 grama, niespełna jeden decygram. Siła więc wzlotu jednego litra wodoru wyraża się przez różnicę obu powyższych liczb 1,3—0,09 czyli 1,21 grama. Małe baloniki, dla zabawy dzieci wyrabiane, posiadają objętość zaledwie jednego lub kilku co najwyżéj litrów a wzlot ich powstrzymuje się już ciężarkiem bardzo drobnym; balon wszakże, napełniony wodorem a obejmujący metr sześcienny czyli tysiąc litrów, udźwignąć już może tysiąc razy więcéj, zatém 1,21 kilograma. Wraz z wymiarami przeto balonu wzrasta i siła jego wzlotu; balon, którym wzniósł się Charles z Robertem zawierał obszar 500 metrów sześciennych, dźwignąć mógł przeto, licząc w to i ciężar saméj powłoki, 500×1,21 czyli 605 kilogramów, około półtora tysiąca funtów.

Balony napełnione wodorem, czyli szarliery, przedstawiają wszakże tę niedogodność, że otrzymywanie wodoru wymaga oddzielnego urządzenia i jest kosztowne; inną ujemną ich stroną jest, jakeśmy wspomnieli już wyżéj, silna dyfuzya wodoru, to jest szybkie przenikanie jego przez powłokę; pod obu temi względami ustępuje on

gazowi oświetlającemu, który w miastach większych wyrabia się fabrycznie i zawsze mieć go można na zawołanie, lubo z powodu większego ciężaru siłę wzlotu o wiele mniejszą przedstawia; metr sześcienny gazu oświetlającego w warunkach normalnych waży 0,82 kilograma, siła przeto wzlotu każdego metra sześciennego takiego gazu wynosi 1.3—0,82 czyli 0,48 kilograma; balon nim wypełniony téj saméj objętości co balon Charles'a—500 m. sz., dźwignąłby tylko 240 kilogramów. Aby więc greenijery osiągnąć mogły też samę co szarliery siłę wzlotu, trzeba im nadawać większą znacznie objętość. Mniejsze tego rodzaju balony, używane do zwykłych widowisk, obejmują około 700 metrów sześciennych i ważą razem z łódką 150 kilogramów; zabierać mogą dwóch ludzi wraz z potrzebnym balastem. Największy z urządzonych dotąd balonów, „Orzeł" Godarda, miał 14.000 metrów sześciennych objętości i ważył ze wszystkiemi przynależytościami 1.300 kilogramów. Bardziéj zasłynął wszakże „Olbrzym" Nadara, złożony z dwóch, umieszczonych jeden nad drugim balonów, który obejmował 6.000 metrów sześciennych, a wysokością sięgał na 45 metrów, to jest dorównywał nieledwie wieży kościelnéj; z powodu wielkości swéj służyć mógł na podróż dwudniową, gondola zawierała dwie kajuty, dla kapitana i podróżnych. Długa na 4 metry. miała mniéj więcéj wymiary wagonu kolejowego i pomieścić mogła 35 do 40 osób. Największa podróż, olbrzymem tym podjęta, skończyła się niewesoło: 18 października 1863 r. o 5 po południu balon z dziewięciu podróżnikami wzbił się w Paryżu i przebiegłszy ponad Belgią i Holandyą opuścił się dnia następnego o 10 rano w królestwie Hanowerskiém,—sznur jednak utrzymujący kotwicę zerwał się, skutkiem czego łódka w gwałtownych podskokach wlokła się na znacznéj przestrzeni, przez pola i lasy, a kilku podrożnych uległo ciężkim poranieniom.

Znaczniejsza siła wzlotu pozwala balonowi nietylko większy dźwignąć ciężar, ale także i na większą wzbić się wysokość; w górze bowiem powietrze coraz staje się rzadszém, a balon dotrzéć może tylko do warstwy, od któréj gatunkowo już lżejszym nie będzie. W miarę téż jak gaz pod coraz mniejszém znajduje się ciśnieniem, rozszerza się i wydyma balon, grożąc jego rozerwaniem: dla tego téż balon nie powinien być nadmiernie wypełnionym, a u spodu należy pozostawić otwór, dozwalający ujście gazowi.

Znacznie jeszcze mniejszą siłę wzlotu, aniżeli balony wypełnione gazem oświetlającym, posiadają montgolfiery. W balonie takim, większych nieco wymiarów, powietrze ogrzewa się co najwyżéj do 60° lub 70° C, gęstość jego przeto niewiele tylko maleje, a siłę

wzlotu jednego metra sześciennego tak ogrzanego powietrza oceniać można na 0,26 kilograma, co dla balonu o 500 metrach sz. objętości wydaje siłę wzlotu 130 kilogramów zaledwie. Montgolfier tedy wysoko nigdy wzbić się nie zdoła.

Pod pewnym jednak względem przedstawia on wyższość nad balonami z wodorem lub gazem oświetlającym. U tych bowiem opuszczenie na ziemię sprowadzić można jedynie przez oswobodzenie gazu, za otwarciem górnéj klapki; a gdy znów zachodzi potrzeba wzniesienia się w górę, ulżyć należy balonowi przez wyrzucenie balastu, który stanowią zwykle wory z piaskiem. Ponosi się tu przeto bezustanną stratę gazu lub balastu, któréj w czasie podróży wynagrodzić już nie można, przez co zdolność przesuwania balonu w kierunku pionowym rychło ustaje. Téj właśnie ujemności mongolfiery nie przedstawiają przez podsycanie bowiem lub przytłumianie ognia sprowadzać można dowoli podnoszenie się lub opuszczanie balonu.

Oba więc rodzaje balonów okazują pewne korzyści i w pierwszych chwilach oba miały swoich stronników. Pilatre de Rozier, ów zuchwalec, co pierwszy na jazdę balonową się odważył, zapragnął połączyć zalety obu,—znaczną siłę wzlotu jednego ze swobodniejszą ruchliwością drugiego. Wielki tedy szarlier związał z małym mongolfierem umieszczonym niżéj, i takim szarliero - mongolfierem zamierzył 15 czerwca 1785 r. dostać się z Boulogne do Anglii. Z powodu nader łatwéj palności wodoru połączenie to dwóch balonów nad wyraz było ryzykowném i da się chyba wytłómaczyć niedostateczną jeszcze podówczas znajomością własności tego gazu. Rzeczywiście téż pierwsza iskierka, która z dolnego ogniska padła na balon górny, spowodowała wybuch wodoru, a aeronauta nierozważny zapewne krok swój życiem przypłacił. Pierwszy więc żeglarz powietrzny, pierwszy téż padł ofiarą téj żeglugi. Ofiar było po tém wiele jeszcze, często zapewne skutkiem zbytniéj zuchwałości lub nierozwagi. Pani Blanchard, wdowa po słynnym aeronaucie, o którym wspominaliśmy wyżéj, zmarłym 1808 r., zginęła w czasie 67 swéj żeglugi powietrznéj, gdy wzniósłszy się z Tivoli w Paryżu, podróż swą uświetnić chciała ogniami sztucznemi,—raca rzymska przebiła balon, a aeronautka znalazła śmierć na bruku paryskim.

Smutne wypadki nie zawsze wszakże były następstwem nierozwagi tylko,—nie brakło téż ofiar i śród aeronautów wzbijających się w górę w celach czysto naukowych.

III.

Pierwsza wyprawa naukowa podjętą została w lipcu 1804 r. przez Robertsona w Hamburgu. W tymże samym roku wznieśli się w górę dwaj znakomici uczeni francuscy, Gay - Lussac i Biot i dosięgli wysokości 4.000 metrów, a 14 września tegoż roku Gay-Lussac sam wzbił się do 7.000 metrów, dopiero w roku 1852 Barral i Bixio wznieśli się również wysoko.—Humboldt i Bonpland na Chimborasso zdołali się wedrzeć zaledwie na 6.100 metrów. Wysokość, w jakiéj się znajdują, oceniają aeronauci ze stanu barometru, a nawet ruch barometru stanowi jedyną dla nich wskazówkę, czy się balon wznosi w górę, czy téż opada.

Również w celach naukowych urządziło wyprawę balonową słynne obserwatoryum angielskie w Kew, gdzie w r. 1852 wzniósł się Welch i w 1858 w łonie stowarzyszenia naukowego brytańskiego zawiązała się komisya balonowa; z jéj inicyatywy Glaisher dokonał w latach 1862—1863 około 30 wzniesień, a w czasie jednéj z tych wypraw, wraz z Coxwellem, miał podobno dobić się do 11,000 m.;— na wysokości téj, najwyższéj, do jakiéj człowiek dotrzéć zdołał, Glaisher stracił przytomność, a towarzysz odmroził rękę.

W nowszych czasach wyprawy naukowe znalazły licznych miłośników między uczonymi, głośnych nawet nazwisk,—jak Flammarion, Fonvielle, zwłaszcza téż bracia Tissandierowie. Szereg tych wypraw upamiętniony został wypadkiem bardzo smutnym. W towarzystwie Gastona Tissandiera wznieśli się 15 kwietnia 1875 r. dwaj uczeni Sivel i Crocé-Spinelli. Jakkolwiek w wysokości téj aeronauci oddychali tlenem nabranym w pęcherzach, dwaj towarzysze Tissandiera ulegli zaduszeniu, a i on sam stracił na czas pewien przytomność, zdążywszy zaledwie otworzyć poprzednio klapę. Przyczyna zresztą wypadku tego należycie wyjaśnioną nie została.

Z tak licznych wypraw w sprawie nauki podjętych skorzystała ona niewiele, nie zdobyła faktów nowych, któreby skąd inąd znane nie były.

Im wyżéj się wznosimy tém bardziéj obniża się temperatura, wszakże nie wszędzie i nie zawsze jednakowo; z początku spadek ten jest szybszy, aniżeli w wysokościach znaczniejszych,—w pobliżu powierzchni ziemi termometr opada o 1° mniéj więcéj na każde 80 metrów, w wysokości 3.000 m. o 1° na każde 150 m., a w wysokości 6.000 dopiero na każde 300 m. Im wyżéj się wznosimy, tém ciemniejszym staje się błękit niebieski, a w znacznéj wysokości pozorne to sklepienie nieba staje się zupełnie niemal czarném, gwiazdy zaś świecą blaskiem niezwykłym; wszyscy téż żeglarze powietrzni z za-

chwytem opowiadają o okazałości zorzy i zmierzchu, o blasku chmur, o wspaniałości zachodzącego słońca i wschodzącego księżyca. Im wyżéj się wznosimy, tém suchszém staje się powietrze, tak, że papier i pergamin skręcają się, jakby pod wpływem gorąca. Powietrze przepływa w górze bezustannie, jakkolwiek wrażenia wiatru nie sprawia, gdyż balon unosi się wraz z prądem powietrza; ruchu tego aeronauta nie doznaje, jak nie czujemy ruchów ziemi. Ze szklanki do brzegów napełnionéj, podczas jednéj z najszybszych podróży, nie wypłynęła ani kropelka wody. Im wyżéj się wznosimy, tém słabszym staje się głos, tak że aeoranauci zaledwie porozumiewać się mogą; z ziemi jednak dźwięki dochodzą wyraźnie do tysiąca, a nawet dwóch tysięcy metrów. Im wyżéj się wznosimy, tém niższą staje się temperatura wrzącéj wody, — na wysokości kilku tysięcy metrów można rękę bezpiecznie zanurzyć w gotującą się wodę. Nieraz aeronauci przerzynali się przez chmury i stwierdzili, że chmura jest mgłą unoszącą się na wysokości, jak powiedziéć możemy, że mgła to chmura rozpostarta tuż na powierzchni ziemi.

Wszystkie te spostrzeżenia łatwo wyjaśnić się dają i są tego rodzaju, że wywnioskować je można z ogólnych praw fizycznych; meteorologia więc, bo o nią tu przecież głównie idzie, z wypraw balonowych istotnych korzyści nie odniosła. Stan pogody przedewszystkiém zawisł od kierunków, w jakich wieją wiatry, a stąd meteorologią określono jako dynamikę powietrza. Z obserwacyj wszakże, które nam balony przyniosły, wiemy tylko, że w różnych wysokościach i w różnych czasach wiatry wieją w różnych kierunkach, a szybkość ich często bardzo jest znaczna, 10 do 40 metrów na sekundę,—gdy pociągi pośpieszne rzadko biegną z szybkością większą nad 14 metrów. Balon koronacyjny Napoleona, który puszczono w Paryżu 1804 r., obwieszony trzema tysiącami lampek kolorowych, w ciągu 22 godzin dostał się do Rzymu; Green w 19 godzin odbył drogę z Londynu do Weilburga, a Tissandier przez pół godziny ubiegł ośm mil geograficznych.

Dorywcze spostrzeżenia, jakie za pomocą balonów prowadzić można, dla meteorologii nader podrzędne miéć mogą znaczenie. Czy, jak to sądzą niektórzy, w przyszłości obserwacye te będą tak obfite i systematyczne, że będą mogły stać się istotnym przyczynkiem do znajmości wiatrów, w górnych warstwach atmosfery wiejących,—trudno to teraz przewidziéć. Tymczasem, jest to mrzonka tegoż samego rodzaju, co projekt wyprawy balonowéj do niedostępnego wciąż jeszcze bieguna północnego.

IV.

Rozwój swój w ciągu lat ostatnich zawdzięcza aeronautyka wyłącznie tylko usiłowaniom zastosowania jéj do celów wojennych. Usiłowania te zresztą rozpoczęły się bezpośreduio po odkryciu balonów, już w r. 1793 bowiem założoną została w Meudon pod Paryżem, pod kierunkiem kapitana inżynieryi Contelle, szkoła aeronautów wojskowych, a z wychowańców jéj powstała w roku następnym kompania aerostijerów, złożona z 24 osób, używana do rozpatrywania stanowisk nieprzyjacielskich. Istotne usługi kompania ta oddała mianowicie w bitwie pod Fleurus 24 czerwca 1794 r.; w ciągu dziewięciu godzin balon użyty był do rekognoskowania nieprzyjaciela, a wiadomości tą drogą dostarczane przyczynić się miały do zwycięstwa. Balon ten trzymany był przez żołnierzy, za pomocą sznurów, połączonych z siecią pokrywającą balon, i przesuwany z miejsca na miejsce. Następnie jednak kapitan Contelle nie tyle był szczęśliwym, burze uniemożebniały prowadzenie obserwacyj, a liczne trudności z całą tą rzeczą połączone skłoniły Napoleona I do rozwiązania kompanii aerostijerów i zniesienia szkoły w Meudon.

Przez długi czas potém balonami posługiwano się rzadko, ale nie zapomniano o nich zupełnie. Rosyanie w r. 1812, a Austryacy w 1849 (pod Wenecyą) puszczali balony, obciążone bombami, które z góry miały być na nieprzyjaciela rzucane; w obec niemożności jednak kierowania balonami, zamiar ten przeprowadzić się nie dał. Szczęśliwszym był Napolen III, który do zrekognoskowania pozycyj nieprzyjacielskich pod Solferino 1859 r. użył aeronautów Nadara i Godarda, a przy téj sposobności udało się téż po raz pierwszy zdjąć fotograficznie z balonu obraz okolicy, który się potém korzystnie dał zużytkować.

Na większą skalę działalność balonów wystąpiła w czasie wojny północno - amerykańskiéj 1861 r. Używane były tam wyłącznie balony uwiązane (tak zwane *ballons captifs*) na sznurze 100 do 200 metrów długim, które za pomocą drutów telegraficznych przesyłały bezustannie do kwatery głównéj wiadomości o wszelkich ruchach wojsk stanów południowych, a na zasadzie tych wiadomości również telegraficznie wydawane były rozporządzenia różnym oddziałom. Stanowcze zwycięztwo pod Richmond zawdzięcza armia północna przeważnie dokładnie urządzonéj téj służbie balonowo - telegraficznéj.

Pamiętne usługi, jakie balony oddały oblężonemu przez Niemców Paryżowi 1870—1871 w historyi ich stanowią istotną epokę.

Za pośrednictwem jedynie balonów, przebiegających po nad głowami wojsk oblegających, zdołał Paryż utrzymać związek pocztowy z prowincyą. Większa część tych balonów miała po 2.000 metrów sześciennych objętości; wyrabiane były z najlepszéj perkaliny—zbitéj a cienkiéj tkaniny bawełnianéj, powleczone pokostem lnianym. Balon zabierał cztery osoby z klatką gołębi i pocztą, ważącą 500 kilogramów. Aby uniknąć strzałów nieprzyjacielskich szybowały one w wysokości 1.600 do 1.800 metrów,—wysokość tę wskazywał barometr, do oznaczenia zaś kierunku biegu służyła igiełka magnesowa. Za każdy balon płacono z początku 4.000, następnie 3.500 fr., gaz oświetlający, używany do napełniania balonu kosztował 300 fr., narzędzia 300 do 600 fr., a aeronauci pobierali po 200 do 300 frank. Pierwszy balon wzbił się 23 września 1870, ostatni 28 stycznia 1871, ogółem było ich 64; z téj liczby pięć dostało się w ręce Niemców, dwa wpadły w morze. Jeden opuścił się pod Chrystyanią w Norwegii, przebiegłszy drogę 900 kilometrów w ciągu 15 godzin. Projekt przesłania balonu z Tours do Paryża, przy niemożności kierowania nim, spełznąć oczywiście musiał na niczém.

Oprócz balonów pocztowych posługiwano się w Paryżu także balonami uwiązanemi; jeden z nich, uczepiony u lokomotywy, przebiegał drogę obwodową dokoła Paryża. W początkach grudnia 1870 ustanowiono także kompanie aerostijerów przy armiach, zanim jednak działalność swą rozwinąć zdążyły, pokój został zawarty.

Doświadczenie zdobyte w czasie téj wojny na użyteczność balonów zwróciło bliższą uwagę, nietylko we Francyi, ale także w Anglii i w Niemczech,—jak dawniéj jednak, tak i teraz idzie wyłącznie o zastosowanie ich do celów wojennych. We Francyi ministeryum wojny ustanowiło w r. 1871, pod prezydencyą pułkownika Laussedat, specyalną komisyą, która założyła szkołę aeronautów wojskowych w Meudon. W Anglii od r. 1879 istnieje również kompania aeronautów pod kierunkiem półkownika Nobel. I w Berlinie zawiązało się 1880 r. stowarzyszenie aeronautyczne, zostające pod opieką generała Moltkiego. Istotne wszakże usługi balony wtedy dopiero oddawać by mogły, gdyby biegiem ich kierować można było.

V.

Nad wynalezieniem sposobów kierowania balonami pracowano już dawno, usiłowania te jednak powieść się nie mogły choćby dla tego, że sposoby służące do biegu statków po wodzie chciano bezpośrednio zastosować do żeglugi powietrznéj. Guyton de Morveau i książe Chartres używali wioseł, Vallet myślał o skrzydłach młyń-

skich. Stosunki jednak są tu zgoła odmienne; statek pływa po wodzie, balon unosi się w powietrzu. Wiosło znajduje w wodzie punkt oporu; wiatr, cisnąc na żagiel, posuwa statek wsparty na wodzie. Balon podpory takiéj nie posiada, nie przerzyna on w kierunku poziomym powietrza, ale posuwa się wraz z niém, unoszony jego prądami. Jest on poniekąd w położeniu takiém, jak kropla wody w mięszaninie wody z alkoholem, posiadającéj, tenże sam co ona ciężar właściwy; a powietrze jest-to środek nader ruchliwy, przybierać może wszelkie prędkości, zarówno w biegu wirowym, jak i postępowym,—wszystkim tym ruchom, wraz z niém ulega i balon. Łatwo ocenić, jakie przezwyciężyć musi trudności, aby mógł posuwać się w żądanym kierunku i ze stateczną zawsze szybkością.

Ze sposobów proponowanych do poruszania balonu przydatną okazała się jedynie szruba, a na pomysł użycia jéj do tego celu wpadł van Hecke, zanim jeszcze zastosowaną została do okrętów. Odegrywa tu ona zresztą rolę takąż samą,—obracając się, wkręca się ona niejako w powietrze, jak szrubka, którą w ścianę wkręcamy, i ciągnie balon za sobą. Plan olbrzymiego balonu szrubowego obmyślił generał Meusnier; szruba wszakże miała mieć znaczenie pomocnicze tylko, a głównie miał balon korzystać z prądów powietrza, które w różnych wysokościach wieją w różnych kierunkach. Do tego wszakże trzeba było ułatwić ruch balonu w kierunku pionowym, umożebnić swobodne podnoszenie się jego i obniżanie. W tym celu proponował Meusnier opatrzenie balonu powłoką podwójną,—przestrzeń wewnętrzna tylko miała być wypełniona wodorem, zewnętrzna zaś powietrzem; przez zagęszczanie lub rozrzedzanie za pomocą pompy tego powietrza, sprowadzać można było powiększanie lub zmniejszanie ciężaru balonu, a tém samém obniżać go lub podnosić. Pomysł Meusniera, lubo w zmienionéj formie, urzeczywistniony został w nowszych konstrukcyach.

Pojąć łatwo można, że do wprawiania w obrót szruby trzeba było siły potężniejszéj, nad pracę ręczną. Myślano tedy o zastosowaniu jedynego podówczas znanego motora — maszyny parowéj. Projekt ten urzeczywistnić pragnął Giffard w 1855 r., próba jednak na małą skalę przeprowadzona zgoła się nie udała. Giffard obmyślił wprawdzie środki dla ustrzeżenia gazu od niebezpiecznego sąsiedztwa ognia, ale w każdym razie maszyna parowa stanowi ciężar zbyt wielki dla balonu, a stopniowy ubytek zapasu węgla sprowadza ciągłą zmienność jego ciężaru.

Giffard zasłynął więcéj z balonu uwiązanego (*ballon captif*), który urządził podczas wystawy powszechnéj w Paryżu 1878 r. Kolosalny ten balon zalecał się doskonałém urządzeniem, mianowicie też

powłoką, prawie wcale dla gazu nieprzepuszczalną. Składała się ona z kilku warstw tkaniny bawełnianéj i gumy, z jednéj i drugiéj strony okrytych muślinem; po stronie zewnętrznéj balon powleczony był pokostem i pokryty bielą cynkową, aby jak najmniéj pochłaniał promieni słonecznych. Powłoka ta miała 11 milimetrów grubości,—oczywiście użycie jéj możliwém jest tylko przy balonach jak największych wymiarów. Lina utrzymująca balon miała 600 metrów długości, grubości zaś u dołu 76 milimetrów;—balon zabierał po 50 naraz podróżników. Za tym przykładem balony uwiązane urządzane bywają w różnych miastach i znajdują zawsze licznych amatorów podróży powietrznéj, nie grożącéj niebezpieczeństwem.

Ustęp o balonach uwiązanych przerwał nam historyą balonów szrubowych. Widzieliśmy, że jednę z głównych przeszkód stanowił brak stosownego, dostatecznie lekkiego motoru. Nietylko wszakże konstrukcya maszyny parowéj znacznie się w ciągu ostatnich dziesiątków lat udoskonaliła, ale powstały i motory innego rodzaju, jak maszyna gazowa. Ruch tej maszyny, która może być o wiele lżejszą aniżeli równéj siły motor parowy, polega na ciągłém spalaniu przeprowadzonego do niéj gazu oświetlającego, co powoduje bezustanny ruch tłoka. Podobną tedy maszynę gazową zastosował do balonu z pewném powodzeniem inżynier moguncki Hänlein; poważnie wszakże aeronautyka rozwijała się dałéj tylko w istotnéj ojczyźnie balonów—we Francyi.

Już podczas oblężenia urządzeniem balonu, którym-by kierować można było, zajął się gorliwie naczelny konstruktor marynarki francuskiéj, Dupuy de Lôme. Opracował on dokładnie zadanie, które sobie założył i wystąpił daleko skromniéj aniżeli wynalazcy dawniejszych maszyn olbrzymich i fantastycznych, zamierzył zyskać na początek to tylko, aby balon posuwać się mógł pod pewnym kątem względem kierunku wiatru. Dla łatwiejszego pokonywania oporu powietrza zarzucił on dotychczasową formę kulistą i balonowi swemu nadał postać podłużną. Dla wzmożenia zdolności ruchu w kierunku pionowym przyjął dawną propozycyą Meusniera, umieściwszy wewnątrz balonu, wypełnionego wodorem, mały balonik dodatkowy (*ballonet*), w którym za pomocą prowadzącéj do niego rury i wentylatora powietrze może być zagęszczane i rozrzedzane; balonik ten więc kompensacyjny odegrywa niejako rolę pęcherza pławnego u ryb.

Pierwszą próbę z balonem swym przeprowadził Dupuy de Lôme 2 lutego 1872 r. Balon szedł pierwotnie z wiatrem, następnie szruba wprawioną została w ruch, ster ustawiono w kierunku prostopadłym do wiatru, a balon posunął się po przekątnéj dwóch sił, któ-

rym był poddany, pędu wiatru i działania szruby. Przy zupełnéj ciszy powietrza szruba, poruszana ręką, nadawała balonowi szybkość własną 2,2 metra na sekundę, wiatr w czasie doświadczenia sunął z chyżością 14—15 metrów, balon zdołał względem kierunku wiatru zboczyć o 12°.

Balon ten wykazał tedy w zasadzie możliwość walki z wiatrem; szwankował on na zastosowaniu pracy ręcznej do poruszania szruby, szło więc odtąd o wynalezienie motoru silnego a dostatecznie lekkiego.

Olbrzymi rozwój elektrotechniki, w ciągu niewielu lat ostatnich dokonany, wskazywał wyraźnie drogę, którą obrać należało. Maszyna dynamoelektryczna, wraz z obsługującą ją bateryą galwaniczną może być dostatecznie lekką, by balonu zbytecznie nie obciążała, zostawując przytém zawsze ciężar niezmienny. Pomysł ten urzeczywistnili gorliwi i biegli aeronauci, bracia Tissandier; pierwszą swą próbę wykonali 8 listopada 1883,—balon ich osiągnął szybkość własną 2,8 metra, przez czas jakiś posuwał się nawet przeciw wiatrowi.

Próby ich wszakże zaćmiło powodzenie, jakie osiągnąć zdołali dwaj kapitanowie francuscy, Karol Renard, dyrektor wojskowego zakładu aerostatycznego w Chalais pod Meudon, i współpracownik jego Artur Krebs. Podróż ich próbna, dokonana 9 sierpnia r. z., zyskała słuszny rozgłos i zwróciła na siebie powszechną uwagę, zdołali oni bowiem osiągnąć rezultat pomyślniejszy, aniżeli wszyscy ich poprzednicy. Balon ich, wzniósłszy się w górę w Chalais, w ciągu 23 minut przebiegł 7,6 kilometrów, a wykonawszy pewną ilość ewolucyj, wrócił do punktu, z którego wyszedł. Szczegóły konstrukcyi swéj wynalazcy zachowują w tajemnicy, treściwą tylko o niéj wiadomość złożyli akademii nauk.

Balon Renarda i Krebsa, którego rysunek przedstawiły niedawno wszystkie pisma ilustrowane, ma „postać cygara“, jest z obu stron zaostrzony i w ogóle niezbyt szeroki dla zmniejszenia oporu powietrza. Prąd elektryczny, wytworzony przez bateryą złożoną z 32 ogniw, wprawia w ruch maszynę dynamo-elektryczną, wywołującą obrót wielkiego wału, na końcu którego osadzoną jest szruba. Wał obraca się z siłą $8\frac{1}{2}$ koni parowych, szruba składa się z dwu skrzydeł mających razem około siedmiu metrów długości; w tylnéj części łodzi umieszczony jest ster, bardzo starannie zbudowany, podobnie jak i szruba, z rusztowania drewnianego, obciągniętego jedwabiem; ma on postać czworokątną, a powierzchnie boczne utworzone są z piramid nieznacznéj wysokości,—przy pomocy tego steru zmieniać można kierunek balonu. Balon sam ma długości $50\frac{1}{2}$ metra, szero-

kości 8$^{1}/_{2}$ m., obejmuje 1864 m. sześciennych. Wraz ze sznurami waży 496 kilogramów, łódka 452, ogółem zaś, ze szrubą, bateryą, maszyną i różnemi przyrządami dodatkowemi 2.000 kilogramów.

Łódka, zbudowana ze sztywnéj trzciny bambusowéj, ma przeszło 30 metrów długości a dwa wysokości; w części środkowéj posiada trzy okna, pozwalające żeglarzom rozpatrywać okolicę, ponad którą się unoszą. Jest ona również obciągnięta jedwabiem chińskim, dla zmniejszenia tarcia powietrza. Z balonem związaną jest szeregiem sznurów, połączonych między sobą sznurem poprzecznym, który ma na celu zabezpieczenie łódki od ruchów bocznych. W tylnéj części, obok steru, znajdują się dwa wielkie wiosła; o przeznaczeniu ich wynalazcy w sprawozdaniu swém nie mówią,—służą one może tylko do ułatwiania manipulacyi ze sterem.

Od balonu do łodzi schodzą dwie rury; jedna z nich prowadzi do znanego nam już balonika kompensacyjnego,—jakie ma przeznaczenie druga, trudno się domyślić. Tissandier sądzi, że służy ona do wypuszczania nadmiaru gazu, gdy balon w górze, znajdując się pod mniejszém ciśnieniem, zbyt się wydyma.

Balon Rénarda i Krebsa odbył już kilka podróży, a lubo nie wszystkie zupełnie się powiodły, rzeczą jest niewątpliwą, że może on skutecznie z wiatrem walczyć. Tak np. d. 8 listopada r. z. balon żeglował przeciw wiatrowi z bezwzględną szybkością 23 kilometrów na godzinę (przeszło 6 metrów na sekundę); że zaś szybkość wiatru wynosiła 8 km, balon posuwał się z istotną szybkością 15 km. na godzinę, i zatoczywszy ponad Billancourt półokrąg o średnicy 160 metrów, wrócił do zwykłego swego punktu wyjścia, do warsztatów Chalais-Meudon.

Z prób tych i z pobieżnych dosyć wzmianek pism paryskich istotne znaczenie wynalazku tego ocenić trudno. Jakkolwiek wiatr podczas podróży 8 listopada był bardzo łagodny, możliwość walki z prądami atmosferycznemi w zasadzie wykazaną została, ale dla skutecznego jéj prowadzenia trzeba zapewne motorów potężniejszych, z doskonaleniem przeto tych przyrządów związana jest przyszłość aeoronautyki.

Balon Renarda i Krebsa, jak widzieliśmy, jest wynikiem licznych poprzednich usiłowań i stanowi ogniwo w szeregu prac dalszych, dla których stanie się podnietą. W samém urządzeniu balonu niejedna zapewne zmiana zaprowadzoną jeszcze będzie. Słusznie zwrócono uwagę na to, że sposób przyczepienia łódki za pomocą łączników niedostatecznie sztywnych jest bardzo niekorzystny; gdyby ją

można było bezpośrednio połączyć z balonem, sprowadziłoby to nietylko ulżenie przez zarzucenie sieci i sznurów, ale miałoby jeszcze tę korzyść, że znajdująca się na niéj szruba działałaby bezpośrednio na balon; obecnie zaś, jak słusznie uważa Paweł Combes, rzeczy mają się tak, jakbyśmy konie u wozów przyprzęgali z boku, i to jeszcze za pomocą sznurów.

Niewątpliwą w każdym razie jest rzeczą, że aeronautyka w ostatnich latach znacznie postąpiła.

VI.

W dziedzinie téj Francya nieprzerwanie wszystkim innym krajom przoduje. Podczas wojny 1870 Niemcy pragnęli posługiwać się balonem przy oblężeniu Sztrasburga, i zaangażowali nawet aeronautę angielskiego Coxwella; wszelkie ich jednak usiłowania spełzły na niczém. W jesieni 1882 Baumgarten i Wülfert dokonali w Charlottenburgu próby z obmyślanym przez siebie sposobem kierowania balonem,—próba ta wszakże najzupełniéj się nie powiodła. W sierpniu znów 1883 r. Wald przedstawiał berlińskiemu towarzystwu aerostatycznemu model statku powietrznego, który ma być w olbrzymich rozmiarach zbudowany z cieńkiéj blachy miedzianéj,—wątpić wszakże wolno, czy, znajdzie się kapitał na urzeczywistnienie tak niepewnego pomysłu.

Aeronauci angielscy w prostszy sposób usiłują osiągnąć możliwość podróży balonowych w żądanym kierunku. Pomysł, na którym metoda ta polega, nie jest zgoła nowy: idzie tu o zużytkowanie prądów powietrza. w różnych wysokościach wiejących w różnych kierunkach. Balon wznosi się w górę lub obniża, dopóki nie natrafi na żądany prąd wiatru. Kapitan J. Templer, jeden z oficerów angielskiego korpusu aeronautycznego, niejednokrotnie zdołał w ten sposób odbyć oznaczoną z góry podróż. Ze spostrzeżeń swych wnosi on, że do wysokości 1.500 metrów w ogólności napotkać można trzy różne kierunki wiatrów. Balon kompensacyjny Meusniera ułatwić wprawdzie może wyszukanie żądanego wiatru; na nieszczęście jednak o wiatrach wiejących w pewnéj nad ziemią wysokości wiemy zbyt mało, aby los podróży na ich łaskę zdawać można było. Kapitan Templer wygrał wprawdzie zakład, że w ciągu półtoréj godziny odbędzie podróż balonową z pałacu kryształowego na plac parad wojskowych w Barnet, w odległości 32 kilometrów; można to wszakże uważać tylko za rodzaj sportu angielskiego, który kwestyi podróży balonowych zgoła nie rozwiązuje.

Wspomnieć tu wreszcie wypada o usiłowaniach mających na celu wznoszenie się w powietrze zgoła bez balonów, przy pomocy przyrządów od powietrza cięższych. Lot ptaków i owadów możliwość zadania tego wskazuje. Im lepiéj wszakże naturę lotu ptaków badano, tém trudniejszém stawało się sztuczne naśladowanie ruchów ich skrzydeł. Człowiek uważany jako motor, przedstawia się korzystniéj aniżeli inne motory, posiada bowiem ciężar mniejszy, aniżeli maszyna parowa, wytwarzająca jednakową pracę; ustępuje wszakże znacznie pod tym względem ptakom, a więcéj jeszcze owadom. Korzystny ten stosunek tłómaczy możliwość lotu tych zwierząt. Drobne maszyny latające czyli ptaki mechaniczne, w których ruch skrzydeł wywoływano za pomocą skręconego sznurka kauczukowego, stanowią tylko ciekawostki mechaniczne; nie przechodziły one ciężaru jednego kilograma, ani nie wzbijały się wyżéj nad dwa metry w górę.

Do pomyślniejszych nieco rezultatów doprowadziło zastosowanie szruby; i szrubowe te jednak przyrządy, jakkolwiek nazwano je szumnie helikopterami, są także dotąd jedynie tylko zajmującemi zabawkami. Motylek papierowy przez całą swą długość ma przeciągniętą nitkę kauczukową, połączoną na końcu z dwoma skrzydełkami, szrubowato ułożonemi; nitka ta gdy po skręceniu się rozkręca, wprawia w obrót owe skrzydełka, co wywołuje w kręcanie się ich w powietrze i motylek do pewnéj wysokości podnosi się w górę.

Nieco okazaléj przedstawiają się inne przyrządy, nazwane aeroplanami, utworzone z dosyć wielkiéj płaszczyzny, która przy pomocy szybko obracających się szrub może wznosić się w powietrzu w kierunku ukośnym względem poziomu. Budową ciekawych tych przyrządów zajmowali się mechanicy francuscy Pénaud i Tatin. Ten ostatni przedstawił w roku 1879 aeroplan, którego płaszczyzna obejmowała 0,7 metra kwadratowego, i którego szruby obracane były za pomocą drobniutkiego motora o powietrzu ścieśnioném. Prace tego wynalazcy zyskały nawet niedawno nagrodę akademii, do rezultatów wszakże praktycznych daleko jeszcze, a motory, któremi dotąd rozporządzamy, nie przedstawiają widoków, aby przy pomocy przyrządów od powietrza cięższych człowiek zdołał w górę się wzbijać.

I balony zresztą, pomimo postępów w ostatnich latach dokonanych, nie prędko zapewne rywalizować zaczną z kolejami żelaznemi i okrętami. „Następcy nasi na scenie świata, mówi znany pisarz francuski Flammarion zwykłym swym stylem przesadnym, wi-

dzieć będą atmosferę przerzynaną lekkiemi statkami, w epoce, gdy przez harmonją spełnionych postępów, nie będzie już granic między narodami, a ziemia cała będzie konfederacyą stanów zjednoczonych, żyjących w blasku i wolności."

Proroctwa takie nie wiele kosztują. Tymczasem, jak widzieliśmy i wynalazcom i tym co im poparcie dają, idzie jedynie o wyzyskanie balonu w celach wojennych:

Słowa Flammariona przed kilku zaledwie laty wypowiedziane dziś stanowią zapewne anachronizm, brzmią w uszach naszych jak dotkliwa ironia.

S. K.

OCENY PANA TADEUSZA.

(Pan Tadeusz Adama Mickiewicza. Studyum estetyczno - literackie przez dra Henryka Biegeleisena. Z dodaniem facsimile Karty z autografu „Pana Tadeusza", oraz podobizny medalionu i kart tytułowych pierwszego wydania „Pana Tadeusza" z r. 1834. Warszawa. Nakład Teodora Paprockiego. 1884).

W lipcu roku zeszłego minęło lat pięćdziesiąt od czasu, jak po raz pierwszy ukazało się w druku arcydzieło Mickiewicza „Pan Tadeusz". Gdy się pojawiło, nie powitano go tak jak na to zasługiwało; nie było wtedy ani rozgłośnych oklasków ani obszernych krytyk; a co ważniejsza nie było nawet zbyt wielkiéj liczby czytelników, coby je posiadać pragnęli, gdy w przeciągu lat dwudziestu pięciu wyszły dwa tylko nowe wydania „Pana Tadeusza" i to nie w osobnym przedruku, ale w edycyach zbiorowych dzieł Mickiewicza.

Natomiast po latach pięćdziesięciu, umyślnie w roku jubileuszowym, wydano rozległe, blisko 30 - arkuszowe dzieło, poświęcone wyłącznie szczegółowéj, a nawet drobiazgowéj analizie arcy - tworu, rozpatrującéj krytycznie zarówno dzieje jego utworzenia, jak i technicznego wykonania co do układu i stylu. Przed ukazaniem się zaś studyum tego było wiele ocen krytycznych i było wiele wydań „Pana Tadeusza" nie tylko w Dziełach zbiorowych, ale i oddzielnie, nie tylko tekstu samego, ale też i ozdobionego ilustracyami.

Tak zestawione fakta zastanawiają wielce i pobudzają do szukania ich przyczyny czy też przyczyn. Najzwyklejszém w podobnych wypadkach objaśnieniem bywa zdanie, za pewnik niemal poczytywane, że prawdziwe arcydzieła potrzebują czasu, ażeby je zrozumiano i oceniono. Zapewne, jest w tym aksyomacie jakaś cząstka prawdy; ale za niewzruszoną zasadę poczytywać go nie można, a posługiwać się nim wolno chyba tylko w mowach pochwalnych, tam

zwłaszcza, gdzie niepodobna odszukać czynników bliższych i szczegółowych które-by nam w dokładniéjszy sposób wytłómaczyły zjawiska zrazu niezrozumiałe.

Takie czynniki co do oceny „Pana Tadeusza", co do losu, jaki go w przeciągu lat 50 spotykał, odnaleźć się dadzą; a poznanie ich nie tylko literacką, jak sądzę, ciekawość zaspokoić ale też rzucić niejakie światło na rozwój pojęć polityczno społecznych u nas może.

I.

W r. 1834 ziemie dawnéj Rzeczypospolitéj pozostawały jeszcze ciągle pod silném, przygnębiającém wrażeniem pogromu z przed lat kilku. Młodzież skupiała się wprawdzie w mniejsze lub większe kółka i tém namiętniéj przywiązywała się do haseł już to wyrobionych na miejscu, już to z emigracyi przejętych, im dotkliwiéj zato była prześladowana; ale ogół pogrążony był albo w gorączce niepokoju o byt materyalny, albo w apatyi. Życie umysłowo - literackie po dwuletniém uśpieniu zaledwie budzić się zaczęło w „noworocznikach" i lichych czasopismach, których artykuły po większéj części były prostemi przekładami (jak np. w „Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych" lub „Magazynie Powszechnym", „Lwowianinie"). Tam gdzie dla rozwoju narodowego najswobodniejsza stosunkowo nastała chwila, to jest w W. ks. Poznańskiém powstawało właśnie w połowie 1834 pisemko skromne rozmiarami, ale przynajmniéj oryginalnemi artykułami i rysunkami rzeczy ojczystych zasilone p. n. „Przyjaciel ludu". I ono jednakże z początku o rzeczach bieżących i ludziach spółczesnych zachowywało ostrożne milczenie. Jedyny organ naówczas w polskim języku, dostępny dla wszystkich, jako wychodzący w stolicy Rosyi „Tygodnik Petersburski", w tym roku dopiero zaczął umieszczać obszerniejsze opracowania literatury polskiéj dotyczące.

Zresztą gdyby nawet było więcéj pism naówczas w kraju, to i tak one-by nie mogły były mówić o „Panu Tadeuszu", gdyż pod panowaniem rosyjskiém od roku nie dozwolono ani kupować dzieł Mickiewicza, ani pisać o nim w druku (1); pod panowaniem zaś austryackim i pruskim lubo specyalnego zakazu pod tym względem nie było, wystrzegano się wszelako wzmianek o pismach, wychodzących na emigracyi. Nieznajomość „Pana Tadeusza" nawet

---

(1) Jeszcze w roku 1833 w Warszawie wyszło trzytomowe wydanie Pism Mickiewicza, nakładem Mersbacha.

wśród inteligencyi była tak wielka, że najgłówniejszy ówczesny krytyk Michał Grabowski, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie znał go jeszcze w roku 1840, gdy pisał recenzyą „Witoloraudy“, Syrokomla zaś poznał go dopiero około r. 1852—naturalnie w formie nie drukowanéj, ale rękopiśmiennéj. W kraju zatém „Pan Tadeusz“ nie mógł się ani rozchodzić w znaczniejszéj liczbie egzemplarzy, ani być ocenionym za pośrednictwem artykułów drukowanych.

Jedno i drugie stać się mogło jedynie na emigracyi.

Tu wogóle mówiąc „Pan Tadeusz“ z początku przyjęty został chłodno. Wprawdzie przyjaciele i najbliżsi znajomi Mickiewicza, Bohdan Zaleski, Witwicki, Januszkiewicz, którym on odczytywał swój poemat, prosząc o zdanie, unosili się nad jego pięknościami; wprawdzie szlachta, znając z wyjątków ten utwór, podobała w nim sobie;— ale pozewnątrz, w czasopismach emigracyjnych i w szerszych kołach rodaków zamieszkałych w Paryżu, nie było tego entuzyastycznego uznania. Zdaje się, że dwa głównie powody nie dozwoliły ogółowi emigracyjnemu ocenić należycie treści i wykonania „Pana Tadeusza“.

Jedni ubolewali, że Mickiewicz mając przed sobą obfitą kopalnię materyałów z dziewięciu wieków historycznych, kopalnię bogatą „tyloma sprzecznościami źle spojonych narodowości, dziwaczném życiem polskiego społeczeństwa, pełną jeszcze azyatyckich miazmów Żydowstwa, Ormian, Tatarów, a prawie nietkniętą od artysty, bo jeden dopiero Malczeski wydobył z niéj Miecznika“, że Mickiewicz „zwiedzając to Herkulanum nie ukochał tam żadnéj posągowéj postaci, ani przywódców Rzeczypospolitéj jak Sobieski, Zamojski, ani buntowników jak Zborowscy, Nałęcze, ani zdrajców jak Gliński; nie rozmiłował się w żadnym z dramatów wojenno-politycznych odgrywanych to na szwedzkiéj lub tureckiéj granicy, to sejmowych lub elekcyjnych;—ale się zapatrzył z rozkoszą w szary koniec naszych pokątnych dziejów i starannie odnowił obraz szlachty wylęgłéj pod czasy ostatniego z Augustów, kiedy krew przestała już obiegać żyły rzeczypospolitéj“ (1). Tym niezadowolonym chodziło więc o to, żo poeta nie uświetnił swoim talentem jakiéjś ważnéj postaci dziejowéj, jakiegoś wielkiego zdarzenia, w którém zajaśniała dawniejsza kraju potęga, że nie dał obrazu, w którym wpatrując się pokolenia współczesne uczyły się czcić i wielbić przeszłość wiekopomnemi zapisaną czynami.

(1) Zob. „Wspomnienie o piśmiennictwie polskiém w emigracyi“ z r. 1840; oddruk z „Kalendarzyka Pielgrzymstwa“, wyd. A. Jełowickiego. Przytoczone w dod. mies. do „Czasu“, 1856, t. II, 417, 418,

Drudzy znów po autorze III części „Dziadów“ spodziewali się poematu, w którymby namiętne uczucia patryotyczne jeszcze dzielniejsze, jeszcze ognistsze znalazły podsycenie. Wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem téj chwili (1), kiedy poeta „uniesiony natchnieniem pragnął wydrzéć przyszłości jéj tajemnice, kiedy podnosząc się prawie do tonu wzniosłego szału wizyonerów, myślą szturmował do nieba, wyzywał Boga do walki, rozwijając potęgę natchnienia dotychczas nieznaną i taką siłę umysłu, że ją musiał skierować ku niebu, gdyż na ziemi nie mogła znaleźć zastosowania“. Po tym entuzyastycznym wybuchu, który stawiał poetę na „trójnogu proroczym, na takiéj wyżynie, jakiéj dosięgnąć żaden z poprzedników nie marzył nawet“, ujrzano ze zdziwieniem, że poeta ten „przenosi się gieniuszem do sfery czysto materyalnéj i ironicznemu rozsądkowi Cervantesa poświęca najświetniejsze natchnienie liryczne, jakie kiedykolwiek oświeciło Polskę“. Spółcześni uginając się pod brzemieniem cierpień, nie mieli ogółem biorąc ani ochoty ani możności spokojnego rozpamiętywania scen życia prywatnego swych ojców, tak szeroko w poemacie roztoczonych. Od człowieka górującego gieniuszem domagali się oni kordyału, któryby pokrzepił ich siły, roznamiętnił uczucia, rozentuzyazmował duszę nękaną zarówno niedostatkiem, przygnębieniem jak i niezgodą wewnętrzną. Odsłonięcie „strony materyalnéj w przeszłości“ nie wystarczało temu znękanemu społeczeństwu; ono potrzebowało głosu proroczego, coby działając na jego uczucie utrzymywał w naprężeniu siły do walki nieustającéj.

Wreszcie był i trzeci, daleko słabszy od poprzednich co do swego ogólnego znaczenia, ale dla wielu umysłów wstrząsniętych objawami niezgody ważny powód, który sformułował przyjaciel poety, Stefan Witwicki pisząc o powiatowszczyznie (2). Raziło go samo rozpoczęcie poematu, samo ograniczenie treści na pewnéj tylko cząstce kraju. Ten—powiada Witwicki—„którego wiersze cała nasza młodzież umié na pamięć, który po Niemcewiczu, jakby obyczajem kapłaństwa, zostaje wieszczem i piastunem narodowym, by urokiem swych pieśni wychował ducha w pokoleniu nadchodzącém, jakże np. zaczyna ostatnie swoje dzieło: Litwo, ojczyzno moja! Prawdziwie, dziwne to poety roztargnienie, jakiemu żaden Polak nie uwierzył i nie uwierzy. Nie mógłże Mickiewicz zawołać Polsko, ojczyzno moja. Takiém wyłącznem opasywaniem się litewszczyzną grzeszy dwojako: nasamprzód, że mimo chęci i wiedzy zasiewa

(1) Zob. „La Pologne captive et ses trois poètes“, 1864, str. 79, 80.
(2) „Wieczory Pielgrzyma“, tom I, r. 1837, a właściwie już 1835.

wśród braci kąkol prowincyonalizmu; powtóre, że swoim przykładem wciąga do tegoż młodych pisarzy. Kto wié, może niezadługo który nowy poeta, naśladując niby Mickiewicza, zacznie jaką epopeję od słów: O ziemio czerska, ojczyzno moja! — albo: o powiecie latyczowski, hajsyński, ojczyzno moja! itp."

Byli wreszcie i tacy, którzy nie głośno wprawdzie, nie w druku, ale prywatnie w listach, lekceważąco mówili o poemacie Mickiewicza, jako o utworze zawierającym treść błahą, rozwlekle opowiedzianą. Tak sądził poeta Franciszek Morawski, zajęty wówczas tłómaczeniem Byrona. „Mickiewicz — powiada on — w *Tadeuszu*, a zwłaszcza w pierwszym tomie tak często nieznośnie jest długi, że zdaje się, iż nigdy wygadać się nie może, czyni to nawet bez przyczyniania obrazowości i wdzięku, słowem, więcéj niż *dormitat* (drzémie). W poemacie miałby krytyk prawo błąd ten wytknąć; nikt przecież tego nie uczynił. A dlaczego? Dlatego jedynie, że autor nie nazwał *Tadeusza* poematem, lecz kroniką szlachecką, przez co zyskał prawo do wybajania się *ad libitum*".

Takie było zdanie przeciętnego ogółu inteligencyi. Gienialne tylko umysły potrafiły ocenić naówczas poemat Mickiewicza, a najprzód zazdroszczący mu sławy Juliusz Słowacki. Lubo miał srogą do niego urazę za wystawienie w bardzo złém świetle swego ojczyma w III części „Dziadów", idąc jednak za szlachetnemi popędami swego kapryśnego skądinąd serca, natychmiast po odczytaniu „Pana Tadeusza" pisał do matki: „Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos. Adama nowy poemat obudził we mnie wiele dźwięków przeszłości. Bardzo to piękny poemat, podobny do romansu Walter Skota wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje wybornie; heroina poematu, choć gęsi pasie, ma jakąś w sobie świéżość dawnych opisów, coś dziwnie zachwycającego prostotą. Mieści wiele opisów nieba, stawów, lasów i jest mistrzowską ręką skreślony; natura cała żyje i czuje. Poemat raczéj żartobliwy niż smutny, a jednak często z najweselszych napozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jest to poemat zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca dmącego w róg myśliwski: cudowny opis trochę mi przypomniał pana Jakóba trąbiącego w lesie, — i drugi opis żyda grającego na cymbałach, także prześliczny. Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli".

Drugi gienialny poeta Zygmunt Krasiński po pierwszém już odczytaniu „Pana Tadeusza" miał dla niego słowa uznania; lubo nie ogarniał poematu w całéj jego doniosłości. Dnia 30 października 1834 pisał z Medyolanu do Gaszyńskiego: „*Pan Tadeusz* jest epopeją

drobnéj szlachty naszéj, jest wiecznym jak Don Quixote, jak Poliszynel we Włoszech, przenosi o cztery głowy Monachomachię, jedyném jest dziełem dla Polski. Wallenrod jest poema arystokratyczne, Pan Tadeusz jest poematem drobnéj szlachty". W sześć lat jednak potém uwielbienie jego wzrosło do zachwytu: „Odczytałem niedawno *Pana Tadeusza* — pisał do przyjaciela — to epopeja. Znam trzy epopeje wielkie. Iliadę, Don Quixota i Pana Tadeusza, który jest środkującym zlewkiem Odysei i Don Kiszota... Poeta stał na przesmyku między znikającém pokoleniem a między nami. Nim umarli, widział ich, a teraz już ich niéma. Właśnie to jest stanowisko epopeiczne. Dokonał tego Adam po mistrzowsku. To plemię umarłe uwiecznił. Ono już nie zaginie. Temu lat sześć, czytając Pana Tadeusza, nie pojmowałem całéj wielkości; dziś biję czołem i mówię, że to jest epopeja. Więcéj powiedziéć nie można, ani potrzeba".

Gdy się te pojęcia o „Panu Tadeuszu" w społeczeństwie naszém na wychodztwie wyrabiały, Niemcy uczuli potrzebę przyswojenia sobie téj „historyi szlacheckiéj", jak ją sam poeta nazwał. Spazier przetłómaczył i już w r. 1836 wydał jéj tłómaczenie w Lipsku. Znakomity powieściopisarz niemiecki, znany pod pseudonimem Wilibalda Alexisa napisał z powodu tego przekładu w „Blätter für litterarische Unterhaltung" dobry rozbiór. Równocześnie i w pismach francuskich pojawiły się pochlebne oceny dla zapoznania cudzoziemców z dziełem polskiego poety, pisane przez emigrantów, najprzód w dzienniku „Le Polonais" r. 1835, potém w „Brise du Nord" r. 1838 (przez J. Wysłoucha). Do czasopisma angielskiego „Monthly Magazine" napisał artykuł o „Panu Tadeuszu" Stanisław Worcell, który zawiadamiając o têm Mickiewicza, nazwał poemat jego „kamieniem grobowym, położonym ręką gieniuszu na staréj Polsce naszéj, który tak uderzający obraz przed oczami jéj synów nieboszczki matki ich przedstawia, że nie tylko całą jéj duszę wyczytać w niéj mogą, ale jeszcze i te rozeznają rysy rodzinne, które w nichże samych przelała i które stanowią przejście ze zmarłego do żyjącego pokolenia, bratając tym sposobem przeszłość z przyszłością, a z grobu wydobywając zaród przyszłego naszego życia (1).

Z kraju, a mianowicie z W. księstwa Poznańskiego doszedł poety bardzo pochlebny głos znanego mecenasa literatury, Edwarda hr. Raczyńskiego, który 28 lipca 1836 tak do niego pisał: „Od pięciu lat, jak się pan z naszych stron oddaliłeś, zrobiłeś współziomkom swoim upominek, który tak długo niezawodnie trwać będzie jak polski język. Ja Tadeusza wszędzie z sobą wożę; uważam go jak gale-

(1) Korespondencya Mickiewicza, 1872, t. II 136.

rya obrazów narodowych, i pragnąłbym, abyś pan talent swój podobnym poświęcił przedmiotom" (1). Odtąd w każdym niemal liście donosił poecie, jak się utworem jego rozkoszował, odczytując codzień po obiedzie, jakby na wety, z jakie dwieście wierszy (2).

Zważyć jednak wypada, że te pochlebne zdania były albo prywatnie tylko autorowi komunikowane, albo téż były pisane pod adresem zagranicy. Krytyka emigracyjna publiczna musiała naturalnie odczuć wpływ tych objawów, musiała powody, które wywołały chłodne przyjęcie „Pana Tadeusza" przez ogół emigrantów, uznać za niezupełnie uzasadnione, albo przynajmniéj niezdolne obniżyć znaczenia utworu jako dzieła sztuki; — ale mimo to uznania swego nie posuwała do stopnia zapału. Najwymowniejszém w tym względzie świadectwem jest ocena, pomieszczona w „Kalendarzyku Pielgrzymstwa" na r. 1840 napisana prawdopodobnie przez znanego w swoim czasie na emigracyi krytyka Ropelewskiego. „Pan Tadeusz" traktowany tu jest w tonie pobłażliwéj wyższości; nazwano go „pierwszym romansem prawdziwie polskim i pierwszym dobrym romansem w naszém piśmiennictwie", ale odmówiono mu tytułu „poematu", choć często „poetyckie barwy przybiera i wierszowaniem strojny": co więcéj odmówiono mu godności „wysokiego romansu", takiego np. jak Walter - Skota Ryszard w Palestynie, Iwanhoe, Purytanie „epopeje, które największy twórca z nowoczesnych pisarzy zakreślił od ręki, śród zatrudnień około roli i budowli". Nie wahano się powiedzićé, że Pan Tadeusz jest to „coś nakształt *Pana Czerwonki*", dziś całkowicie już zapomnianego utworu, „tylko posunione do majestatu ksiąg dwunastu i opatrzone rymem, wyborną zbroją przeciwko razom czasu". Zdaniem tedy krytyka emigracyjnego „Pan Tadeusz" jest sobie „romansem obyczajowym i jeszcze nie bardzo wglądającym w duszę człowieka, ale zatrzymującym się chętnie na powierzchni téj różnobarwnéj, dziwacznéj społeczności szlacheckiéj". Krytyk czuje nawet potrzebę usprawiedliwienia szczegółowości w obrazkach Pana Tadeusza. „Skromne to założenie— powiada—poeta wypełnił z rozrzutnością talentu. Czując, że jest przy schyłku towarzystwa, które maluje, nie zaniedbał żadnego szczegółu, naznaczył najlżejsze odmiany, wszystkie jego ruchy uchwycił i w tak dokładnie urobiony manekin tchnął życie dawne. Nie można mu też brać za złe drobiazgowości w opisach; nie był tu do niéj skłoniony powszechną dziś chorobą poezyj, ale samą naturą rzeczy. W sztuce mówność idzie w odwrotnym stosunku wagi przedmiotu: wielkie charaktery wyraża się kilkoma zarysami; ale mienione

(1) Tamże str. 119. (2) Tamże str. 132.

draperye całéj społeczności potrzebują szczegółowéj, pracowitéj roboty. Kiedyś wyobraźnia potomków naszych odbudowywać będzie z Panem Tadeuszem domową i szarą stronę historyi naszéj: jaskrawo błyśnie przed ich oczyma, jak szlachta piła, jak się pieniała, jak bronią, którą już nie błyskała u granic kraju, umiała dochodzić krzywd osobistych, a potém odrysują się na tle przeszłości obce im już postacie ówczesnych ekonomów, kluczników, wojskich, wreszcie sędziów i podkomorzych, nie w powadze urzędu, ale w niedbałym stroju, w codziennéj zwyczajności zachowanych. Zaścianki zahuczą próżniackim i hałaśnym rojem, zabrzęczą szablami. Jeśliby nielitościwa cywilizacya wygnała od nas wschodnią architekturę i wschodnie stroje, mistrzowski porównawczy opis karczmy i figury żydowskiéj przechowa ich pamięć potomności. Jeżeli wreszcie, jak mniemam, późne wnuki pomimo czasu oddali, nie będą bardzo smakowały w tak wydanych pradziadach, to przecie dojrzą z rozczuleniem, że nawet śród pieniactwa, hulanek i bezładu przechowała się tam świętość rodziny i pobożna cześć poświęcenia.“ W końcu stając w obronie wolności poety, iż taki temat nie zaś bohaterski wybrał do utworzenia poematu, powiada, że Mickiewicz „kaprysowi swojemu dogodził w sposób przynoszący zaszczyt piśmiennictwu.“

Był-to najumiarkowańszy zapewne sąd, jaki w sferach emigracyjnych a stąd późniéj i w krajowych się ustalał; ogół inteligencyi nie czuł jeszcze wówczas jego powierzchowności i jednostronności. Chociaż bowiem zaczęto i w druku nazywać „Pana Tadeusza“ epopeją, jak np. Hipolit Cegielski, który go nazwał „jedyną epopeją po Iliadzie i Odyssei, żywym obrazem narodowego życia Polski;“ (1)—to przecież szczegółowiej zajrzéć w ten obraz nikt nie próbował, a Wojciech Cybulski, który w uniwersytecie berlińskim około r. 1842 miał odczyty o literaturze polskiéj wieku XIX, lubo bardzo szeroko rozprawiał o wszystkich innych poezyach Mickiewicza, o „Panu Tadeuszu“ zaledwie w kilku pobieżnych wzmiankach napomknął.

Sąd ów w „Kalendarzyku Pielgrzymstwa“ z r. 1840 wygłoszony utrzymał się jeszcze w całéj widocznie sile nawet w r. 1856, po śmierci poety, kiedy autor piszący w dodatku miesięcznym do „Czasu“ (podobno Julian Klaczko) o „rękopismach po Adamie Mickiewiczu i niedrukowanych ustępach z Pana Tadeusza“ (t. II, 408—434) uważał za stosowne przytoczyć go w całéj rozciągłości i nawet słówkiem nie dał poznać, iż go nie podziela. Taki-to silny wpływ wywierały na zdanie o utworach sztuki okoliczności społeczno-polityczne, w których nie pożądano spokojnych, epicznych obrazów, ale inwektyw lub hymnów bojowych.

---

(1) Zob. „Orędownik Naukowy,“ 1845, N. 25.

II.

Po śmierci poety, konieczność zapewnienia dzieciom jego wychowania lub wykształcenia, przytém otrzymana możność drukowania pism jego w Warszawie, a tym sposobem rozpowszechnienia ich jawnie po całym kraju, otworzyły i dla „Pana Tadeusza" nowy okres.

W r. 1859 ukazuje się pierwszy osobny druk tego poematu w Toruniu, dokonany nieprawnie, bo bez zezwolenia rodziny poety. A w tymże roku Gruszczyński mając odczyt w Poznaniu o Wojnie Chocimskiéj Wacława Potockiego, dla porównania rozwinął w krótkim ustępie swój pogląd pełen zachwytu na epopeję Mickiewicza, którą śmiało zestawia z Odyseją, twierdząc, że Pan Tadeusz „obejmuje całość życia narodowego wieku swego, w najdrobniejszém rozgałęzieniu i w najdelikatniejszych odcieniach plastycznie wyrzeźbionego", i dowodząc tego ostatniego zdania za pośrednictwem rozbioru głównych poematu postaci: Robaka, Zosi, hrabiego (1). To zatém, co w poprzednim okresie było poglądem nielicznych, a raczéj wyjątkowych jednostek, teraz przeszło na własność duchową ogółu inteligencyi, za przedstawiciela któréj można było słusznie poczytywać Gruszczyńskiego, występującego z takim poglądem w odczycie publicznym.

Odtąd zgodziwszy się na taki sąd ogólny, zabrano się do rozbioru szczegółów.

Pierwszą w tym kierunku próbę uczynił Fr. R. pisząc artykuł trochę zaszumnie „studyum" zatytułowany, p. n. „Czas w Panu Tadeuszu" (2). Wychodzi tu już autor wprost z założenia, że poemat Mickiewicza jest epopeją, bada zaś, „czy i o ile potrafił się utrzymać Mickiewicz co do czasu wśród szranek epikowi dozwolonych." Autor pierwszy zwrócił tu uwagę czytelników i badaczów, że „Pan Tadeusz" rozpoczyna się w czas żniw żytnich, to jest w ostatnich dniach lipca, albo pierwszych sierpnia, że dzień przybycia Tadeusza do Soplicowa był piątkiem, że poeta popełnił omyłkę przedstawiając sobotnie śniadanie w r. 1811 na Litwie złożone z wędlin, półgęsków,

(1) Dwie Prelekcye Gruszczyńskiego. Poznań 1860.

(2) „Tygodnik poznański" pod redakcyą Kazimierza Szulca: r. 1862 str. 271 i nst. Winienem tu sprostować błąd dwukrotnie w książce p. Biegeleisena pojawiający się. Raz na wstępie str. LXXXV powiedziano, że artykuł ten ukazał się w „Roku Poznańskim" z 1844 i ma napis „Chronologia Pana Tadeusza." Drugi raz kazano go szukać w czasopiśmie, które w téj formie nigdy nie istniało p. t. „Rok, tygodnik poznański" i to niby w r. 1846 pod redakcyą *Dominika* Szulca; strona tam podana 438 jest również mylna.

ozorów itd., ale że ta omyłka niknie zupełnie wobec tak świetnie przeprowadzonego planu kompozycyi, że w przeciągu dni pięciu zdołał nam pokazać „olbrzymi obraz życia, obyczajów całego narodu“, gdy akcya Iliady spotrzebowała dni jedenaście. Wywody autora są wogóle cenne, dają nam bowiem możność jasnego ogarnięcia wypadków i związania ich z odpowiedniemi dniami tygodnia, czego poeta sam nie uczynił, raz tylko jeden wzmiankując o niedzieli. Błędném jest atoli wyjaśnienie daty w epilogu. Autor sądzi, że dzień Najświętszéj Panny Kwietnéj, to dzień Zwiastowania. Chociażbyśmy bowiem przyjęli jego rozumowanie, oparte zresztą na kalendarzu nowego stylu, iż to święto przypadło w kwietniu, to i tak jeszcze zupełnie niezrozumiałą byłoby rzeczą, jakim sposobem wojsko polskie, idące pod rozkazami króla westfalskiego, Hieronima Bonapartego, mogło się w kwietniu 1812 znaleść w Soplicowie, gdy jeszcze wojna Rosyi nie była wypowiedziana, gdy to wojsko, jak z historyi wiadomo, około 29 czerwca znajdowało się dopiero w okolicy Grodna, a książę Poniatowski 4 lipca ucierał się z tylną strażą korpusu Bagratyona między Grodnem a Lidą (1)... Z samego zresztą poematu wiadomo, że ów dzień Najświętszéj Panny Kwietnéj lubo wielce uroczysty, był jednak tylko „świętem kościelném (ks. XI, w. 105), i że pobyt jeneralicyi polskiéj w Soplicowie przypadł na ówczas, kiedy król Westfalski i książę Poniatowski „już zajęli część Litwy do Grodna po Słonim“ (ks. XI, w. 83). Przypuścić więc należy, że pod nazwą Najświętszéj Panny Kwietnéj rozumiał Mickiewicz święto kościelne Nawiedzenia Najświętszéj Maryi Panny, przypadające 2 lipca.

W tym samym roku w czasopiśmie francuskiem „Revue Contemporaine“ ukazał się artykuł napisany przez Chojeckiego pod pseudonimem Charles Edmond, a zatytułowany „De l'esprit poétique de la Lithuanie. L'oeuvre de Mickiewicz“ (2). Oprócz ogólnikowego wstępu, który miał usprawiedliwić szeroki tytuł, mamy tu właściwie pobieżny rozbiór Pana Tadeusza z przytoczeniem dwu obszernych wyjątków (opis puszczy, gra wojskiego) w przekładzie. Chojecki należał do pokolenia gorącego i namiętnego, a chociaż z biegiem czasu znacznie ochłódł, w sądzie jego atoli o Panu Tadeuszu słychać jeszcze echa poglądów emigracyjnych. „Charakter wszystkich postaci poematu—powiada on—jest może trochę powierzchowny i pospolity. Mickiewicz nie podniósł żadnéj z nich do wyżyny własnéj swéj godności; wszystkie one, z wyjątkiem Robaka i Hrabiego, odlane na

(1) Zob. Czwarty i piąty buletyn wielkiej Armii (Kalend. polit. pijarski na r. 1813 str. 299, 304.

(2) Przedrukowany w La Pologne captive et ses trois poètes. Lipsk, 1864.

formę tak materyalną, że w żadnéj nie dostrzegamy nawet iskierki prawdziwéj duchowości; jakiekolwiek okoliczności wpływałyby na ich życie, jakiekolwiek objawionoby im prawdy, wszystkoby przeszło ponad nimi, nie sprawiłoby w nich zmiany, tak są one, że tak powiem, z jednéj sztuki i tak zamknięte dla wyższych aspiracyj moralnych. Poeta na całém swém dziele wycisnął pieczęć rozsądku prozaicznego i ironicznego podobnie jak Cerwantes „który swoim Don Kiszotem „wygnał wprawdzie z Kastylii wszystkich błędnych rycerzy, ale zarazem zabił egzaltacyą, dowodząc, że tylko życie praktyczne było stosowne dla narodu rozumiejącego swe zadanie na ziemi.“ Stąd nie podoba mu się wcale ironia, z jaką 'poeta mówi o przygodach hrabiego. W wykonaniu poematu wyróżnia trzy rodzaje natchnienia: 1) indyjski, polegający na ożywianiu przyrody i nadawaniu najdrobniejszéj nawet rzeczy roli czynnéj; 2) homeryczny, mianowicie w opisie serwisu; 3) romantyczny, głównie przejawiający się w postaci Robaka a raczéj w jego przygodach. Autor żałuje, że tego trzeciego rodzaju natchnienia tak mało jest w „Panu Tadeuszu.“

Z powodu wypadków r. 1863 nastąpiła dziesięcioletnia przerwa w badaniach dotyczących „Pana Tadeusza.“ A w tym przeciągu czasu powoli dokonywała się zmiana w zapatrywaniach politycznych inteligentnego ogółu. To, czego pragnęli od Mickiewicza emigranci po r. 1831, stawało się mniéj pożądaném a niekiedy przez zbyt gorliwych neofitów wyklinaném; namiętne wybuchy zaczęto ganić i potępiać, a pracę spokojną podnosić i wielbić. Ta zmiana w poglądach politycznych przyczyniła się do zmodyfikowania sądów o arcydziełach poezyi nowożytnéj; a między innemi powodami wpłynęła także na mocne zaznaczenie wartości „Pana Tadeusza“ w przeciwstawieniu do III części „Dziadów“. Zwrot, jaki w pojęciach się objawił już przed r. 1862, nabrał wtedy siły i świadomości.

W r. 1872 najprzód w „Dzienniku Poznańskim“ a potém oddzielnie ukazały się „Uwagi nad Panem Tadeuszem“ (str. 90) napisane przez Hugona Zatheya. Było-to już studyum na szerszą skalę podjętém, mającém na celu umiejętne udowodnienie, że Pan Tadeusz jest epopeją, oraz scharakteryzowanie głównych cech poematu. Przyznając, że z powodu wybujałego indywidualizmu był w narodzie naszym materyał na epopeję, temperamentem sangwinicznym tłómaczy, dlaczego ona u nas tak długo nie powstawała. Dopiero w czasie wojen napoleońskich naród stanąwszy u pewnego kresu granicznego mógł spojrzéć w epokę poniekąd już zamkniętą i skończoną i ożywić to w pieśni, co zamierało w życiu. Następnie autor, opierając się na wywodach Hegla, wyjaśnia właściwości epopei, a stosując określenie jéj do Pana Tadeusza, widzi w naszym utworze wszystkie cechy

prawdziwego eposu, przyczém Jacka Soplicę (Robaka) utożsamia z ojczyzną; historya jego bowiem, zdaniem Zatheya, wyobraża los całego narodu w jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Niebawem wszakże opowiadając szczegółowo tę historyą i dając bliższe określenie charakteru Jacka, popada z sobą w sprzeczność mieniąc Jacka przedstawicielem nie już całéj ojczyzny ale tylko „skompromitowanych.“ Roztrząsa potém autor religijność, surowość obyczajów, przywiązanie sług, stosunek rezydentów do rodziny, stosunek wieśniaków do szlachty, rozbiera charaktery, analizuje obrazy natury. Wytyka brak w poemacie kobiety—gospodyni i brak uwydatnienia ciemnéj strony wpływu żydowskiego. Zanadto silnie akcentuje przedmiotowość utworu, „Słyszymy—powiada—natchnione słowo poety, a nie widzim jego twarzy; czujemy ciepło jednostajnie rozlane po całém dziele a nie widzimy *ani piersi ani serca* (?) poety; dotykamy się kształtów, które wyrzeźbił, a nie znać ręki rzeźbiarza.“ Ostatecznie zaś formułując swe zdanie, mówi z zapałem: „Pan Tadeusz jest szczytem twórczości Mickiewicza, jest najważniejszym i najznakomitszym faktem w historyi polskiéj poezyi—i jedyny ten poemat ma warunki ziszczenia pięknego marzenia poety: że kiedyś nawet wieśniaczki wezmą do ręki: te księgi proste jako ich piosenki... Po Iliadzie i Odysei nie było i niemasz epopei wyższéj i bardziéj oryginalnéj jak Pan Tadeusz. Nie idąc śladem wielkich poematów Homera, równą im jest co do wartości pod każdym względem i możemy być pewni, że bezstronny sąd całego świata postawi Pana Tadeusza w jednym szeregu z epopejami Hellenów.“

W tym kierunku zestawiania „Pana Tadeusza“ z epopejami greckiemi następcy poszli daléj; nie tylko chcieli go widziéć „w jednym szeregu“ z niemi, ale zażądali, żeby go postawiono wyżéj nad nie. W r. 1873 miał w Tarnowie odczyt nauczyciel gimnazyalny Fr. Habura p. n. „Pan Tadeusz a Iliada“ i w szumnych frazesach zaczął zestawiać Zosię z Heleną, Tadeusza z Eneaszem... dowodząc wyższości cywilizacyi chrześcijańskiéj nad klasyczną, a zarazem Pana Tadeusza nad Iliadą. Mianowicie, zdaniem prelegenta, wzniosła postać Robaka, którą poeta nasz zastąpił bogów homerowskich nie chybiając wierze w opatrzność, wyższość tę poematowi naszemu nadaje. W obu epopejach widnieje wielka piękna idea „ludzkości“ (Achilles i Pryam; Jacek i Gierwazy), ale ludzkość Achillesa nie wynikała z serca, jako wolą bogów nakazana; u Mickiewicza przeciwnie rodząc się w sercu przechodzi w czyn. Jako najwspanialszą ideę pana Tadeusza przedstawia emancypacyą kmieci. Za bohatera uważa Tadeusza, „co wyrósł sercem nad innych, co miał serce ogarniające całą ludzkość.“ Pomijając inne tego rodzaju określenia, zaznaczyć

wypada, iż p. Habura dojrzał podmiotowość w niektórych miejscach naszego poematu, wbrew twierdzeniu Zatheya, i że podmiotowość tę nie za wadę, lecz za zaletę utworu poczytał (1).

Odmiennym tonem przemówił w r. 1874 Albert Gąsiorowski w książce p. n. „Adam Mickiewicz od wyjazdu z Petersburga i Pan Tadeusz“ (tom pierwszy, Wadowice str. 192). Nie jest ta praca dotychczas ukończona; nie znamy zatém ogólnego sądu o poemacie, ale z rozbioru szczegółów, w obszernym zakresie podjętego, widać, że się autor do bezwarunkowych wielbicieli epopei nie zalicza. I on przecież uważa „Pana Tadeusza“ za wybitny obraz życia narodowego w stanowczéj chwili. W jakim stosunku zostawał poeta do swojéj kreacyi, tego w dotychczas wydanéj części swego studyum nie określił stanowczo; wyróżnił tylko trzy punkty zapatrywania się, które w poemacie dostrzegł. Najprzód zdaje się mu twórca Pana Tadeusza być epikiem „który jak drugi Homer ociemniawszy, zerwał wszelki stosunek z teraźniejszym światem, w sercu jego zastygło uczucie a zatopił się cały we wspomnieniach; więc je odtwarza z dokładnością i pilnością człowieka, który wierzy, że spełnia miły cieniom przodków uczynek.“ Lecz czasem zdaje mu się, że poeta „stworzył według swego pomysłu obrazy przyrody i życia ludzkiego, idealne a piękniejsze od rzeczywistości.“ Najczęściéj wszakże autorowi przychodziło na myśl, że poeta „okiem pogardy patrzy na stworzone przez siebie postacie,“ że „szyderstwo ściąga jego usta do gorzkiego uśmiechu“, że „obrazuje wady i słabości narodu, aby je gryzącą chłostać satyrą.“ Na tę stronę utworu najbaczniejszą zwrócił uwagę Gąsiorowski, twierdząc i starając się dowieść, że „*żadna* z osób będących przedstawicielami charakteru narodowego nie jest tak czystą i wzniosłą moralnie, aby za idealny wzór dobrego służyć mogła,“ że „jeżeli jaka z wielkich cnót upięknia którą z postaci, to w téj saméj przy cnocie, wystawione są słabości niezgodne z prawem życia rodzinnego i społecznego,“ że „co najwięcéj umysłowa strona tych ludzi z krwi i kości, żyjących i działających w poemacie to jak ugór zarośnięty chwastem, potrzebujący sprawienia; a stąd dążenia tych ludzi przy wielkich małe, przy szczytnych nizkie, cele ich życia często tak drobnostkowe, że litość bierze nad nimi i radzibyśmy im mówili: życie wasze mogło być tak piękne wśród waszych stosunków i otoczenia, a wyście je tak nizko przeżyli“ (95, 96). W rozbiorze charakterów stara się autor wykazać ich ułomność mianowicie pod względem moralnym. Jacek to „rubaszna, egoistyczna natura,

---

(1) „Pan Tadeusz a Iliada.“ Odczyt publiczny Fr. Habury, miany 21 listopada 1873 w Tarnowie. Odbitka z „Dziennika Mód.“ Kraków, 1874 str. 33.

niezdolna do szlachetnych porywów i uniesień," nie mająca miłości bliźniego ani przed zabiciem Stolnika ani później, gdy przywdział habit bernardyna. Duma niepohamowana przejmowała nawskróś jego istotę; nawet w habicie wstydzi się oddać prawéj dziedziczce to, co mu się od Targowiczan dostało; istota jego pokuty „zupełnie jest fałszywa, bo on się stosownie do potrzeby nie skruszył wewnętrznie, nie złagodniał, nie zwyciężył swojéj gwałtowności, nie zniżył się do pokory; nie miał w sobie nawet nic z chrześcijanina." Sędzia—to wprawdzie człowiek wielce uzdolniony do życia praktycznego, ale jest porywczy, gwałtowny, upornie trwa na stanowisku wyłączności szlacheckiéj, ma szczególną do pieniactwa skłonność, a co ważniejsza moralność jego jest mocno podejrzana, jeżeli przyjmuje darowiznę dóbr od Jacka, z wiedzą, jak się dobra te bratu jego dostały. Tadeusz—to chłopak pełen kaprysów, uporu i nie bardzo miłosierny. Zosia byłaby arcydoskonałym typem dziewczęcia szlacheckiego „gdyby choć trzy lata upłynęły od owéj chwili, gdy ujrzawszy niespodziewanie Tadeusza w swoim pokoiku, krzyknęła jak dziecko przestraszone we śnie, do pożegnania relikwiarzykiem i łzami wyruszającego na wojaczkę młodzieńca." Słowa Zosi wypowiedziane wówczas do Tadeusza:

Niechaj pan zawsze z sobą relikwie nosi
I ten obrazek, a niechaj pamięta o Zosi—

słowa tak proste, tak szczere wydają się Gąsiorowskiemu niewłaściwemi z powodu wieku Zosi; tak wypowiedziane uczucie uważa za „obrażające w nierozwiniętém dziewczęciu."Ależ choćby z Pamiętników Ewy Felińskiéj wiedziéć było można, że w epoce, w któréj rzecz poematu się odbywa, trzynastoletnie nawet panny wychodziły już za mąż, a bardzo wcześnie wprowadzane były między gości i obznajmiały się z mową serca a raczéj komplementów.

Takie i tym podobne krytyczne uwagi, z uporem starające się wyszukać ujemności moralne w postaciach poematu zarówno głównych jak i drugorzędnych (np. Podkomorzy) rzadko kiedy mogą się ostać wobec bezstronnéj rozwagi. Z uwag innego rodzaju zasługuje na podniesienie to, co mówi Gąsiorowski o braku przedstawicieli płci niewieściéj i o chronologii w „Panu Tadeuszu." Nie tyka on kwestyi dni w tygodniu jak Fr. R., ale roztrząsa wiek niektórych osób. Nie można się wprawdzie i tu zgodzić na jego wywody, gdy np. mówi, iż Sędzia nie mógł skończyć retoryki w jezuickiéj szkole z powodu, że zakon jezuitów zniesiono w r. 1773, i gdy poprawia poetę, zamieniając szkołę jezuicką na pijarską; bo pod tym względem poeta może być najzupełniéj usprawiedliwionym, jeżeli np. Sę-

dzia kończył szkoły u jezuitów na Białéj Rusi, gdzie, jak wiadomo, przetrwali do r. 1820. Nie pisząc się jednak na rozumowanie Gąsiorowskiego, zauważyć trzeba, że poruszył kwestyjkę ciekawą, a dotychczas przez nikogo nie dotkniętą. Istotnie wynalezienie objaśnienia co do lat sędziego i Jacka jest bardzo trudne, a może nawet niepodobne. Jeżeli bowiem Sędzia siedział retorem u jezuitów, kiedy Jacek prowadził życie hajdamackie tj. około r. 1793, toby w r. 1811 nie mógł miéć chyba więcéj nad lat 30, gdy tymczasem w poemacie występuje jako stary, poważny obywatel mający co najmniéj pięćdziesiątkę.

W r. 1875 wyszła w Paryżu bardzo interesująca broszurka p. n. „Adam Mickiewicz podczas pisania i drukowania Pana Tadeusza; list do syna Adama przez J. B. Zaleskiego.“ W niéj mamy szczegółowo skreślone zewnętrzne dzieje powstania i rozwijania się arcydzieła poety naszego. Obok korespondencyi Mickiewicza jestto najważniejsze źródło do oznaczenia dat napisania pojedyńczych ksiąg Pana Tadeusza, jako téż okoliczności, wśród których poeta je tworzył.

W r. 1877 ukazał się w „Ateneum“ artykuł Władysława Nehring o „Panu Tadeuszu.“ Dwa mianowicie przypuszczenia miał na myśli autor: jedno, że Mickiewicz znał krytykę Schlegla na Hermana i Dorotę Goethego, i że według zasad tam rozwiniętych pisał swoję „piękną i wzorową epopeję“; oraz drugie: że poeta nasz napisał był przed Panem Tadeuszem inny poemat: „Legionista,“ w którym główną figurą był Jacek Soplica, że pierwotnie Robak nie był przeznaczony na główną osobę w „Panu Tadeuszu, nigdzie bowiem w pierwszych trzech pieśniach nie ma żadnych napomknień o stosunku Robaka do Tadeusza; że z „Legionisty“ weszły do Pana Tadeusza takie np. sceny jak narada u Maćka w Dobrzynie, znaczna część treści dwu ostatnich ksiąg i Robak w karczmie. Gdy poeta wsunął ten ostatni ustęp, gdzie była wzmianka o niedzieli, nie spostrzegł się, że poprzednie zdarzenia przypadną na piątek i sobotę, a stąd owo mięsne śniadanie w dzień postny. Oprócz szczegółowego rozwinięcia tych dwu przypuszczeń, którym pewnéj podstawy odmówić niepodobna, Nehring raz jeszcze zwrócił uwagę na brak kobiet w Panu Tadeuszu, pierwszy dotknął podobieństwa pomiędzy Pamiątkami JPana Seweryna Soplicy a arcydziełem Mickiewicza, oraz wykazał życiowe wpływy w niém odbite. Nehring w portrecie Telimeny widzi psychiczną brzydotę i zarzuca poecie jako fałsz w obrazie Litwy z 1811 i 1812 wprowadzenie takiéj postaci; pytając, czy możliwa aby jéj podobnych było w Litwie na początku naszego wieku tak wiele, że mogła uchodzić za typ Litwinki. Pod tym względem, zdaje mi się, że

Nehring zapatruje się niewłaściwie; poecie w obrazie Telimeny o typ nie chodziło, ale o jednostkę, która mu była nieodbicie potrzebna dla kontrastu poetyckiego.

W „Roczniku Słowiańskim“ na rok 1878 w Kijowie wyszedł obszerny „Rozbiór poematu Mickiewicza Pan Tadeusz z historycznego punktu widzenia“ napisany w języku rosyjskim przez Emiliana Kala (1). Po wstępie, bardzo żywo przypominającym poglądy Zatheya, brane nie wprost z jego rozprawy, ale ze skróconego wyciągu zamieszczonego w „Rysie dziejów literatury polskiéj“ Zdanowicza-Sowińskiego, autor podaje osnowę poematu z początku szczegółową, potém zwięzłą, a następnie, lubo uważa historyą Jacka Soplicy za treść i węzeł całego utworu, przyznaje wszakże, że myślą jego zasadniczą było zobrazowanie spolonizowanéj Litwy ze wszystkiemi jéj prywatnemi i społecznemi polskiemi urządzeniami. Widzi subjektywny pierwiastek i nie gani go, a ze słów poety wzdychającego do jazdy, która wojuje szaraki, i piechoty, która nosi broń na ptaki, wyprowadza wniosek, że Mickiewicz „trzeźwo patrząc na rzeczy ganił zagraniczną działalność emigrantów polskich i był przekonany, że ojczyzna daleko więcéj zyska, jeżeli rodacy zamiast za oręż chwycą za sierp i kosę, a zamiast gazetami zajmą się rachunkami domowemi.“ Z analizy obrazów natury, życia wewnętrznego szlachty i jéj zewnętrznych stosunków niewiele mamy do zaznaczenia oryginalnych spostrzeżeń. Kal zauważył, że niektóre przymioty szlachty, jak np. religijność, czystość obyczajów a szczególniéj wierność małżeńską Mickiewicz przedstawił „zbyt idealnie“ (2). Hrabia zdaniem Kala, miał być w myśli poety „przedstawicielem téj części młodzieży, która szukając na Zachodzie cywilizacyi i oświaty, nie wyrzekała się przecież uczuć narodowych i przyswoiwszy sobie pewne małoznaczące cudzoziemskie przywyknienia, mogła wnieść do kraju nie jednę pożyteczną zasadę, nie jednę zdrową myśl“ (3). Autor sądzi, że jeżeli domowe życie szlachty przedstawił poeta drobiazgowo, to nie zrobił tego względem objawów życia społecznego, gdyż wyprowadził tylko na jaw zajazdy, porządki prawne i staropolskie sejmiki (4). Przyznaje Mickiewiczowi bezstronność w odmalowaniu Rosyan w przeciwieństwie do Niemców, których tylko z komicznéj przedstawił strony; a lubo widzi, iż poeta polski chciał wykazać wyższość swoich rodaków nad Rosyanami, nie poczytuje mu tego za złe, uważając to za rzecz naturalną (5).

---

(1) Sławianskij Jeżegodnik 1878, str. 70—115: „Razbor poemy Mickiewicza Pan Tadeusz s istoriczeskoj toczki zrenja.“

(2) Tamże, str. 100.—(3) Tamże, str. 103.—(4) Tamże, str. 104.—(5) Tamże, str. 114.

W poście r. 1878 Stanisław Tarnowski wystąpił z trzema odczytami o Panu Tadeuszu. Z samego przeznaczenia téj pracy wynikało, że nie mógł to być naukowy rozbiór poematu, ale tylko estetyczna pogawędka o arcydziele. Tarnowski jako mówca mistrzowski zebrał wszyskie kwiaty wymowy, ażeby z nich upleść wspaniały wieniec i złożyć go u stóp wielkiego poety ku podziwowi ogółu. Odznaczając się delikatném i subtelném poczuciem piękna wykazał wszystko, co tylko było wielkiego, wspaniałego lub prawdziwego i trafnego w kompozycyi, w charakterystyce osób, w opisach natury, w przedstawieniu bitwy. Była-to świetna mowa pochwalna tém się różniąca od zwykłych tego rodzaju utworów, że odnosiła się do przedmiotu ze wszech miar godnego pochwały (1).

W r. 1883 p. Adam Bełcikowski zamieścił w „Nowéj Reformie“ (N. 72—75) „Kilka myśli o Panu Tadeuszu“ (2). Wykazał tu różnice sposobu tworzenia Mickiewicza od techniki Goethego: odrzucenie stałych „epitetów“, skrócenie długich mów, przyśpieszenie tempa akcyi, barwność języka. Co do powtarzania dłuższych ustępów, autor mniema, iż „możnaby posądzić Mickiewicza, że temi powtarzaniami chciał wywołać jedynie: komiczne wrażenie przez delikatną, pełną uszanowania dla Homera i gienialną parodyą sposobu przez niego w innych okolicznościach używanego“. Za bohatera poematu poczytuje nie Tadeusza lub Jacka, ale całą ojczyznę. To tłómaczy, zdaniem autora, dlaczego postacie poematu stoją w równym z sobą rzędzie, dlaczego liryzm tak ważne w nim znajduje miejsce, dlaczego są w nim tak szerokie opisy natury. „Ludzie XIX wieku—powiada on—my nie jesteśmy Grekami klasycznéj epoki; nasze uczucie jest delikatniejsze i tkliwsze; co Grek pokrywał i pochłaniał w sobie olimpijskim spokojem, z tém my musimy się wywnętrzyć i wyrzucić z siebie jako ciężar nazbyt nas ugniatający.“

W tymże roku p. D. Zgiński napisał i wydał rozprawkę „O humorze w Panu Tadeuszu“.

W roku 1884 w „Dzienniku Poznańskim“ (N. 120 — 136) drukowało się studyum Aëra. Zestawia on Pana Tadeusza z Homerem; podaje charakterystykę osób, sądzi, że „ani w Polsce ani na Litwie istnieć nie mógł“ taki hrabia jakiego Mickiewicz wystawił, gdyż pan wychowany za granicą proces zdałby na plenipotenta, samby w gwarne towarzystwo polującéj szlachty nie wchodził i dla zdobycia serduszka Zosi po łopuchach-by i trawach się nie czołgał. Uważa za pomysł znakomity, iż Tadeusza przedstawił poeta jako *tabula ra-*

---

(1) Zob. moje sprawozdanie z odczytów Tarnowskiego w „Niwie“ 1878, t. I. 794—804.

(2) Przedrukował je w 1884 „Tygodnik Powszechny.“

sa, na któréj przyszłość dopiero ma niezatarte głoski wypisać, Zosię poczytuje za najpiękniejszą z postaci kobiecych, jakie poezya nasza wystawiła. I on sądzi, że bohaterem poematu jest cały naród i dowodzi, że domaganie się wyraźnego indywidualnego bohatera w epopei nie jest rzeczą słuszną. Humorystyczny charakter epopei, będący czysto-narodowego pochodzenia jest, zdaniem Aëra jéj „największą zaletą". Historycznie zaś biorąc jedną z głównych zalet Pana Tadeusza były słowa miłości i pokoju wśród niesnasek emigracyjnych.

Równocześnie ze wzmożonym ruchem na polu studyów nad Panem Tadeuszem ukazywały się nowe wydania poematu z ilustracyami i bez nich; a prócz tego wyszły dwa nowe przekłady na język niemiecki (Weissa i Lipinera), na język rosyjski (Berga) i czeski (Krasnohorskiéj). Z powodu tych przekładów rozprawiano naturalnie o poemacie naszym i w obcém czasopiśmiennictwie.

Wobec takiego zainteresowania się „Panem Tadeuszem" podjęcie specyalnéj o nim pracy było rzeczą wielce pożądaną. Dokonał jéj p. Henryk Biegeleisen, młody uczony, który w krótkim przeciągu czasu pracami historyczno - literackiemi i wydawnictwami pozyskał sobie rozgłos. Pracy jego jako najszczegółowszéj, przyjrzymy się bliżéj.

III.

Autor rozpoczyna studyum swoje od wstępu, w którym zebrał starannie z korespondencyi samego poety i z opowiadań spółcześników wszystkie szczegóły z życia Mickiewicza w czasie pisania „Pana Tadeusza". Jestto najdokładniejsza i najwszechstronniéj przedstawiona historya powstania tego poematu i wypadków, wśród których Mickiewicz go pisał. Z konieczności dotknąć tu autor musiał początkowych dziejów emigracyi. Wobec braku krytycznie opracowanéj historyi naszych wychodźców, autor poszedł za poglądem, który w ostatnich kilkunastu latach ze względów politycznych bardzo niekorzystnie działalność ich wystawić usiłował; a na potwierdzenie tego poglądu przytacza p. B. liczne wyjątki z listów Mickiewicza. Zdaje mi się, że p. B. zbyt pochopnie a niekrytycznie uogólnia jaskrawe szczegóły i na ogół działań emigracyi je przenosi, i sądzę, że gdyby się był ograniczył na zaznaczeniu, jak ruchy emigracyjne na Mickiewicza oddziaływały, bliższym byłby prawdy. Listy, jako wyraz chwilowego usposobienia i nastroju, spowodowanego jakimś faktem pojedyńczym lub kilku faktami, nie mogą być brane nie tylko za zdanie historyi ogarniającéj całość znaną faktów danéj

chwili, ale nawet za zdanie zupełne i całkowite pewnéj osobistości po przejściu tego lub innego usposobienia. Są one bardzo cennym materyałem w ustaleniu szczegółów dziejowych zewnętrznych i usposobienia osób, ale w oznaczeniu poglądu ogólnego wymagają szczególnéj baczności krytyka. Mickiewicz nie był w tém położeniu na emigracyi, ażeby mógł całkiem bezstronne o niéj wydawać zdanie, już przez to samo, że w wypadkach, które ją poprzedziły, nie brał udziału. Jako objaw reakcyi przeciwko przecenianiu znaczenia emigracyi potępianie jéj daje się wytłómaczyć; ale obecnie jest ono już spóźnioném i winno ustąpić miejsca spokojnéj historycznéj ocenie.

Co się tyczy dziejów powstania poematu są one nadzwyczaj sumiennie spisane, o ile naturalnie starczyły materyały. Jednę tylko wadę zarzucić-by im można, wadę, która całemu wogóle dziełu zaszkodziła niemało, a mianowicie brak dobrze obmyślanego planu. Z początku zamierzył widocznie autor historyą tę obrobić krótko ale w miarę pisania znajdując coraz to nowy materyał, robota rosła; zabrakło mu cierpliwości do dokładnego przejrzenia tego, co już napisał, więc posługiwał się frazeológicznemi przejściami, ażeby nowe wiadomości, które powinny były znaleźć się już dawniéj, dołączyć dopiero w dalszym ciągu. I tak na str. V—VII dotyka autor sprawy opóźnienia w pisaniu „Pana Tadeusza“ z powodu zajęcia się przygotowaniem do druku i korektą pism Stefana Garczyńskiego. Zdawałoby się rzeczą słuszną, iż po raz pierwszy wspominając nazwisko Garczyńskiego powiedziéć wypadało, jakie stosunki łączyły go z naszym poetą, jeżeli się nie chciało uważać téj okoliczności za znaną czytelnikom specyalnego studyum o „Panu Tadeuszu“. P. B. tymczasem dopiero na str. XXIX, kiedy już o bardzo różnorodnych a z Garczyńskim związku nie mających rzeczach wypisał się, uważał za potrzebne dać objaśnienie, kiedy i wśród jakich okoliczności Garczyński poznał Mickiewicza. Dokonał tego za pośrednictwem łącznika frazeologicznego, mówiąc bowiem, że Mickiewicz wyjechał dla pielęgnowania chorego przyjaciela, dodaje objaśnienie, odkąd Garczyński miał już początki suchot. Ze względów czysto formalnych nic takiemu związaniu zarzucić nie można; ale ze względu na naturalne połączenie, pożądaném byłoby objaśnienie o Garczyńskim wcześniejsze. Podobnież rzecz o emigracyi na str. IX—XI właściwsze miejsce znalazła-by wcześniéj, to jest tam, gdzie po raz pierwszy mówi autor o pobycie poety naszego w Paryżu.

Te dwa przykłady nie są bynajmniéj odosobnione; mają owszem liczne towarzystwo we wstępie. Nie myśląc tu szczegółowego robić wykazu, poprzestaję na nich dla scharakteryzowania układu i sposobu wiązania w grupy wiadomości pracowicie zbieranych. Autor

zanadto się daje opanowywać kojarzeniem się wyobrażeń, a w skutek tego bardzo często zawcześnie rozprawia o tém, coby przy ściślejszém zachowaniu planu musiało być odłożoném na późniéj, lub téż w niestosowném miejscu podnosi szczegóły, których właściwa doniosłość okazałaby się wyraźniéj, gdybyśmy je w inném połączeniu poznali. Np. wpływ Giaura na Pana Tadeusza, o którym mówi autor zaraz na początku wstępu (VII, VIII), mógłby daleko stosowniéj być wykazanym tam, gdzie autor starał się wykazać różnorodne czynniki, jakie się na wytworzenie poematu złożyły (str. XLV — LXXVIII).

Po tym wstępie historycznym rozpoczyna się rozbiór estetyczny. Zgóry przedewszystkiém zaznaczyć potrzeba, co i autor w liście prywatnym zastrzegł, iż rozbiór ten nie jest zupełny, że dotyka tylko niektórych kwestyj. Zdziwić się tylko można, że p. B. przedsiębiorąc tak obszerne i tak pracowite studyum nad „Panem Tadeuszem“, odłożył na późniéj rzecz najważniejszą, to jest analizę psychologiczną i estetyczną charakterów w tym poemacie występujących. Co prawda, charaktery te dotychczas bywały najczęściéj w studyach nad „Panem Tadeuszem“ przedmiotem roztrząsania; myślał więc zapewne autor, że przedewszystkiém zająć się potrzeba temi pytaniami, które najmniéj do téj pory zwracały uwagi. Ze względu jednak metodycznego takie pomijanie rzeczy już roztrząsanych nie może zasłużyć na pochwałę. Od zrozumienia bowiem charakterów w poemacie zależy przeważnie ocena jego wartości i doniosłości estetyczno-społecznéj; a że charaktery te rozmaicie bywały i mogą być rozumiane, stąd téż wyniknąć muszą różnice w ocenie całości. W skutek pominięcia téj najważniejszéj kwestyi w rozbiorze estetycznym, książka p. B. przedstawia się jako zbiór rozpraw luźnie ze sobą zestawionych, nie zaś jako całość zaokrąglona, lub téż część pierwsza takiéj całości.

Wszystkich rozpraw jest dziewięć: 1) Obraz życia szlacheckiego w Panu Tadeuszu, 2) Plan i kompozycya poematu, 3) Przedmiotowość Mickiewicza w P. T., 4) Podmiotowość Mickiewicza w P. T., 5) Malowniczość M-a w P T., 6) Epizody w P. T., 7) Dyalog w P. T., 8) Technika Homerowska w P. T., 9) Styl Mickiewicza w P. T.

Dlaczego w takim porządku rozprawy te zostały ułożone, trudno określić. Jeżeli pierwsza rozprawa miała na celu przedstawić treść poematu, w przeciwstawieniu do dalszych, zajmujących się jego techniką, to jest na to zaszczupła i wygląda bardzo nieproporcyonalnie względem reszty dzieła. Jeżeli zaś miała dostarczyć materyału, na którym mógłby autor osnuć wszystkie dalsze wywody, to zamiaru tego przez nią nie osiągnięto; autor do niéj się nie odwo-

łuje, a jeżeli mu potrzeba, to powtarza nie raz i nie dwa też same cytaty. Dlaczego o technice Homerowskiéj mówi autor na 8 miejscu, i dlaczego wogóle robi z tego osobną rozprawę, nie wiadomo, gdyż pisząc o przedmiotowości, o dyalogu i o stylu, wszystko co tu osobno powiedział autor dałoby się stosowniéj zużytkować. Podobnież niepodobna zrozumiéć, dlaczego dyalog odłączony został od stylu i traktowany osobno; naukowo rzeczy biorąc, dyalog jako jedna z form stylu powinien był jedną być objęty rozprawą; uniknęłoby się tym sposobem niejednego powtórzenia. O „epizodach" mówi autor na 6 miejscu, gdy po temu najodpowiedniejszy był rozdział, w którym plan i kompozycya poematu rozbiorowi poddaną została. Przy takiém drobieniu i rozłączaniu kwestyj ściśle do siebie należących, nie znajdujemy natomiast wcale rozdziału o sytuacyach. Czyżby o nich w „Panu Tadeuszu" nic nie było do powiedzenia? Bynajmniéj. Mówi o nich autor, ale w rozproszeniu, przy sposobności, gdy o innych kwestyach rozprawia.

Jako estetyk zrozumie p. B., dlaczego tak nastaję na układ dzieła. Gdzie układ jest jasny, przejrzysty i na pewnéj zasadzie oparty, tam i czytelnik oryentuje się łatwo, chwyta w lot pogląd autora, przyswajając go sobie lub z nim do walki występując; ale gdzie są różnorodne rzeczy złączone a jednorodne rozłączone, tam uwaga czytelnika nuży się, a w skutek tego z trudnością goniąc za myślą autora, zna ją i pojmuje dopóki czytanie się odbywa; potém wrażenia się zacierają — i po złożeniu książki szczegóły tylko pojedyńcze utkwią w pamięci, pogląd zaś ogólny ulatnia się z łatwością; książka zatém nie osiąga skutku zamierzonego i pożądanego przez autora.

Przejdźmy do saméj treści. We wstępie p. B. parokrotnie z naciskiem zaznaczył, że uważa „Pana Tadeusza" nie za epopeję, ale za powieść (str. XXXIV, LXXXV), powiadając, że ją „niewłaściwie" i „sztucznie" wyniesiono do znaczenia epopei narodowéj, oskarżając „nowszą krytykę" o popełnienie tego estetycznego błędu. W samém dziele autor roztrząsa wszędzie poemat nasz ze stanowiska reguł, określających treść i formę epopei, wytykając braki, jakie z zaniedbania czy pominięcia tych reguł w „Panu Tadeuszu" dostrzega. Obraz całego narodu — powiada — odmalowany do najdrobniejszych szczegółów może najpiękniéj w Iliadzie i Odysei, *poznał* (?) teoretycznie pierwszy Hegel. Goethe poszedł w Hermanie i Dorocie inną drogą, rozszerzając szczupłe ramy swego obrazka za pomocą nieskończonéj perspektywy. Mickiewicz, niezadowolony tą idealną formą, przedstawił realnie całe bogactwo narodowego życia w rozmiarach i masach *heroicznéj epopei*. Z otwartém sercem *obejmuje* tu

poeta *cały strumień* narodowego życia w epoce najwyższéj chwały Napoleona, z prawdziwą epiczną wszechstronnością ogarnia i tuli do łona, nie opuszczając żadnéj właściwości, żadnego charakterystycznego rysu... Pan Tadeusz to ognisko, do którego schodzą się promienie z całéj Polski“ (str. 4, 6). Jeżeli zestawia Pana Tadeusza z jakimi utworami, to ma na widoku tylko epopeje takie jak Iliada i Odyseja, albo sielankę epiczną taką jak Herman i Dorota. Porównywując zdanie we wstępie wyrażone z tém, co w dziele samém mówi p. B., dostrzegamy sprzeczność, któréj nigdzie nie tylko znieść się nie stara, ale nawet jéj złagodzić. Ponieważ autor przywiązuje wielką wagę do określeń i reguł, sprzeczność ta témbardziéj razi uważnego czytelnika, który znajduje się w kłopocie co do poglądu samego autora. Co do mnie, to jakkolwiek widzę w „Panu Tadeuszu“ brak wszechstronnego obrazu życia narodowego w danéj epoce, brak mianowicie kobiety dojrzałéj z dodatnim charakterem i przedstawiciela mieszczaństwa, które już przynajmniéj od roku 1794 swoje polityczne stanowisko zaznaczyło, uznać go jednak muszę nie tylko za „historyą szlachecką“, ale i za epopeję zarówno ze względu na treść jak i ze względu na formę. Gdybyśmy byli zmuszeni uważać „Pana Tadeusza“ tylko za powieść epiczną, to wówczas musielibyśmy zganić cały sposób traktowania przedmiotu, zbyt poważny i podniosły w wielu miejscach względnie do treści, rozpatrywanéj tylko w jéj jednostkowém znaczeniu jako wypadek nie zaś jako cecha znamienia życia narodowego. Z drugiéj zaś strony przy takiém rozumieniu rzeczy historya miłosna w „Panu Tadeuszu“ wydałaby się nam jako zbyt pobieżnie przedstawiona, a więc stosownie do przypuszczalnego założenia niewyzyskana. Łatwo wszelako dowieść, że takie zapatrywanie się jest całkiem mylne, jeżeli przyjmiemy, że „Pan Tadeusz“ jest epopeją. Wówczas w obrazie życia narodowego miłość będzie musiała odegrać taką tylko rolę, jaką ma w ogóle tego życia, które się przeważnie składa z powikłania spraw i interesów innego niż erotyczny charakteru. Wówczas też owe ustępy o położeniu polityczném Europy, działalność Robaka, wkroczenie wojsk Napoleońskich wydadzą się nam nie tylko potrzebnemi, ale koniecznemi.

Wié o tém wszystkim p. B. i dlatego w samém dziele nie robi „Panu Tadeuszowi“ zarzutów jako powieści epicznéj, ale tylko jako epopei. Wypowiada je w sposób bardzo dosadny, rozprawiając o planie i kompozycyi poematu. Krytyk twierdzi, że „całość poematu działa *więcéj*, jak mozaika z przecudnych epizodów ułożona, nie zaś jak jednolita architektoniczna ludowa“ (str. 31). Ażeby dowieść tego twierdzenia, autor opiera się na aksyomacie staréj poe-

tyki, że „akcya poematu jest wtedy tylko jednolitą, jeżeli wychodzi jak z centralnego organu od bohatera poematu i stąd rozpościera się na wszystkie strony coraz daléj i daléj, jak fale około wrzuconego w wodę kamienia". Według téj teoryi „od początku aż do końca utworu powinna występować jedna wybitna osoba, do któréj się odnoszą wszystkie zdarzenia pośrednio i bezpośrednio". Twierdzenie to, lubo przez wielu powtarzane, jest zupełnie dowolne. W pierwszéj europejskiéj epopei, Iliadzie, Achilles od II do XVIII pieśni nie występuje czynnie wcale, siedząc w namiocie; bo też nie o niego chodzi, lubo w inwokacyi o nim pieśniarz i o jego gniewie śpiewać pragnie. W Iliadzie nie osoba pojedyńcza wytwarza jedność poematu, ale przedstawienie stosunków Greków z Trojanami; starcie się obu narodów, oto wątek poematu wywołujący jednolitość akcyi. Podobnież i w naszéj epopei nie jest bohaterem ani Tadeusz ani Robak, ale szlachta polska w chwili promiennych przyszłością nadziei. Wykazanie zatém, że Jacek dopiero właściwie czynnym jest w IV pieśni, że w V i VI niéma go zgoła, w VIII tak jakby go nie było, a nie może już być w XI i XII, nie dowodzi zgoła braku jednolitości akcyi. Inne wywody krytyka, mające na celu dowiedzenie, że „Pan Tadeusz" to tylko „prześliczna mozaika przedmiotów i figur" nie mają bynajmniéj siły przekonywającéj. Tadeusz nie jest bohaterem aż do V pieśni tak samo jak nim nie jest Hrabia, Sędzia lub Telimena: są to poprostu różni tylko przedstawiciele szlachty polskiéj, mający swoję odrębną indywidualność. Spór Asesora z Rejentem biegnie równolegle z główną akcyą, nie będąc z nią połączony—to prawda, ale niesłusznèm i nieuzasadnionèm jest domaganie się autora, iżby poboczne osoby działały „tylko pod wpływem stanu i dominujących stosunków, spowodowanych przez główną osobę". Tak wystawione działanie pobocznych figur dowodziłoby owszem, że poeta tworzy sztucznie manekiny tylko, nie zaś żywe, własnym indywidualizmem nacechowane osobistości. Jest to chyba wielką naszego poety zaletą, iż każda jego osoba, lubo z całością związana, ma swój własny charakter, ulegający mniéj lub więcéj wpływom otoczenia i wypadków, lecz ogólnych nie zaś „spowodowanych przez główną osobę". Spór Asesora z Rejentem jest tak samo potrzebnym do scharakteryzowania usposobienia i narowów szlachty, jak spory w karczmie o herby lub krój taratatki; przyczyniają się one do wszechstronniejszego odmalowania życia szlacheckiego, co było głównèm poety zadaniem. Równie błędnèm jest zapatrywanie się autora na stosunek historyi miłosnéj ze sprawą zajazdu. Krytyk gorszy się, że cała akcya od V pieśni począwszy nie ma ściślejszego związku z „zawikłaniami Tadeusza". Ależ one tego „ściślejszego" związku mieć na-

wet nie mogły, chociaż się z niemi łączyły za pośrednictwem obudzonéj w Hrabi zazdrości. Poeta dobrze zrobił, że interesa materyalne i podrażnioną miłość własną, niknącą wszakże wówczas, gdy wspólna myśl wyższa lub potrzeba obrony przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi łączy powaśnionych, odmalował szerzéj niż miłosne zapały, gdyż tak było i tak jest w świecie rzeczywistym. Ponieważ poeta pragnął odtworzyć życie ogółu szlachty polskiéj, nie zaś przygody miłosne Tadeusza lub hrabiego, nie potrzebował zatém mówić o nich we wszystkich księgach i czynić ich sprężyną wszystkich wypadków. Zapaliwszy się raz do robienia zarzutów, krytyk popada nieraz w sprzeczność sam z sobą. I tak np. str. 13 twierdzi i dowodzi, że „osoby poematu są ściśle związane z wypadkami politycznemi“ i że „na powszechno-dziejowym gruncie obraca się *cała powieść*“; a na stronie 53 ubolewa nad tém, że „cały stan polityczny nie odbija się na osobach powieści.“ Na tém miejscu mówi wprawdzie krytyk tylko o zarysie stanu politycznego, umieszczonym w I księdze „Pana Tadeusza“; ale wobec takiego twierdzenia, owe ogólne zdania na str. 13 wyrażone musiałyby być znacznie zmodyfikowane, jeśli krytyk chciał uniknąć zarzutu o nieścisłość wyrażenia. Gdyby był rozważył chłodno a dokładnie cały układ poematu, toby przyznał zapewne, że tło polityczne traktował Mickiewicz po mistrzowsku, że potrafił bardzo umiejętnie złączyć sprawę całego kraju z interesami powaśnionych rodów i z historyą miłosną, że w rozmowie przy stole, w obecności Rykowa, nie mogły być sprawy polityczne poruszane inaczéj niż tak jak je Mickiewicz przedstawił.

Pomijając drobniejsze zarzuty, wypływające wogóle z mylnego założenia, iż w poemacie potrzebnym był nieodzownie „jeden główny bohater,“ przystępuję do rozpatrzenia tych, które z innego punktu widzenia wyniknęły.

Najważniejszym byłby zarzut, że w Panu Tadeuszu akcya „wogóle nie rozwija się z charakterów“ (str. 33), gdyby się okazał uzasadnionym. Mojém zdaniem tak nie jest. W stosunkach politycznych akcya wypływa istotnie z usposobienia i charakteru narodu, który pomimo wszelkich wad swoich ma jednę wielką zaletę: kocha kraj nadewszystko i gotów zapomnieć o swoich waśniach i interesach, gdy ojczyzna poświęceń i działania wymaga. W stosunkach sąsiedzko-społecznych wszystko, co się dzieje w poemacie, jest skutkiem zalet lub wad osobistości, które w nim występują, zarówno rozmowy przy stole, jak spory, zarówno polowanie, jak zajazd i bitwa, zarówno przyjęcie gościnne sztabu polskiego jak oswobodzenie włościan przez Tadeusza i uwagi Gierwazego tym aktem wywołane. W stosunkach wreszcie indywidualno-miłosnych wszystkie postępki

przygody i zawikłania są rezultatem charakteru Tadeusza, Hrabiego, Telimeny i Zosi. Tadeusz jako młodzieniec świeży, nieobeznany jeszcze ze światem, nieśmiały, łatwo się daje ująć uśmiechowi podstarzałéj, ale zręcznéj kokietki, umiejącéj nadać sobie wdzięk młodości i zainteresować do swojéj osoby; ale jako nieodrodny syn Sopliców, będąc gwałtownym, prędkim i szorstkim, poznawszy omyłkę, bez ceremonii daje uczuć Telimenie zmianę swoich popędów, a wiedząc że popełnił złe, chce się czémprędzéj z domu oddalić zwyczajem wszystkich ludzi krewkich, którzy uniknąć chcą konsekwencyj swego nierozważnego postępowania. Jego ostatnia rozmowa z Telimeną odkrywa nam jego trzeźwe a w wyrażeniach rubaszne zapatrywanie się na miniony z nią stosunek. Podobnież możnaby wykazać, iż sentymentalny Hrabia widzący wszystko przez szkła konwencyonalnéj poezyi, ale w gruncie człowiek dobry, Telimena zepsuta życiem petersburskiém, ale z sercem litościwém, Zosia prosta, bierna, ale w małych rzeczach rezolutna, działają i mówią zgodnie ze swoim charakterem.

P. B. nie ocenił widocznie doniosłości swego frazesu, którego zresztą niczém nie poparł, wypowiadając zarzut mogący zniszczyć wszystkie zachwyty nad „Panem Tadeuszem“ nie tylko bezwzględnych chwalców, ale nawet i jego samego. Przeciwnie, w poemacie naszego poety widzimy doskonale przedstawioną zależność wszystkich słów i postępków, całéj słowem akcyi od charakterów w niéj udział biorących. W „Panu Tadeuszu“ nic się nie dzieje przypadkiem ani témbardziéj nic takiego, coby z charakterem osób było niezgodne. Ta właśnie zaleta sprawia, że opowiadanie i malowanie wywiera wrażenie takie jak rzeczywistość, że wszystkie szczegóły wydają się nam jakby powtórzeniem znanych i widzianych rzeczy, osób lub zdarzeń.

Zarzut, że charaktery nie rozwijają się w dyalogu, gdyż poeta zarówno główne jak podrzędne osoby oraz ich czynności „sam opisuje zamiast je przedstawiać“ (str. 33)—w tak ogólném wyrażeniu nie może być również za słuszny uznany. Sam krytyk na następnéj stronicy zaznacza, że poeta z Hrabią i Gierwazym, z terytoryum i z całą historyą przed zaczęciem powieści zapoznaje nas w dyalogu, a w osobnéj rozprawie dyalogowi poświęconéj (str. 283—298) przytacza wiele innych przykładów i modyfikuje swoje pierwotne zdanie, powiadając, że „akcya i charaktery Pana Tadeusza rozwijają się w części przynajmniéj za pomocą rozmowy.“ Gdyby był to zdanie sformułował trochę rozciągléj, gdyby zamiast „w części przynajmniéj“ był powiedział „w znacznéj części“ byłby jeszcze bliższym prawdy.

W oznaczeniu nastroju, w jakim trzymany jest Pan Tadeusz, nie okazał się p. B. zdecydowanym i pewnym siebie. Raz utrzymuje, iż „tęskno-radośnym, na pół elegicznym tonem tak właściwym epicznemu poecie tchnie całe opowiadanie o tém dzielném pokoleniu, które znikło już nazawsze“ (str. 11), drugi raz w przeciwstawieniu do naiwnego Homera nazywa Mickiewicza „humorystycznym poetą“ (23), trzeci raz twierdzi, że Mickiewicz w Panu Tadeuszu „jest na wskroś realistą“ (291), czwarty raz widzi w nim „wiele duchowego pokrewieństwa z Ariostem“ (49), a po wielekroć akcentuje tę okoliczność, że poeta był romantykiem. Taka różnorodność określeń wywołuje zamieszanie w umyśle czytelnika, który nie może sam tych różnorodnych, nieraz wprost ze sobą sprzecznych i wyłączających się właściwości zlać w jednę całość i wyobrazić sobie poetę takim, jakim się w Panu Tadeuszu przedstawia. A gdy jeszcze z tą rozmaitością oznaczeń połączą się bardzo nieokreślone pojęcia, jakie krytyk do wyrazów romantyczność, realizm, humor przywiązuje, to trudno doprawdy zdać sobie sprawę, czém się według p. B. epopeja nasza znamionuje. Krytyk gdzie tylko ujrzy księżyc lub brak dokładnego wyjaśnienia wypadku, wytyka zaraz romantyzm, humor miesza z żartobliwością i ironią, a za właściwość realizmu poczytuje posługiwanie się karykaturą i „przewróceniem wszystkiego na wspak“ (str. 137). Zdaje się, że krytyk sam nie wyrobił sobie wyraźnego i ściśle określonego pojęcia o charakterze poematu, a rozbierając szczegóły, do nich tylko różne swe oznaczenia stosował, nie zważając, jak one w połączeniu i skupieniu się przedstawią.

Faktem jest, iż Mickiewicz w Panu Tadeuszu traktuje ludzi i rzeczy realistycznie; ale realistą „na wskroś“ nie jest i być nie mógł, jako wychowaniec klasycyzmu a twórca romantyzmu naszego. Pomimo przekonania, że poeta odtwarzać winien rzeczywistość w jéj charakterystycznych objawach i odtwarzać tak, ażeby w zestawieniu wypadków i w ich połączeniu jaknajmniéj było dowolności artystycznéj; pomimo usposobienia już w samém zaraniu twórczéj działalności uwydatnionego do kreślenia przedmiotowo postaci ludzkich, działania ich, myśli uczuć i mowy; nie mógł się przecież Mickiewicz i nie potrzebował wyzbywać ani nawyknień poetyckich, przejętych z czytania epopei greckich, ani téż tego podmiotowego nastroju, jaki rozwinął i z liryki do epiki wprowadził romantyzm. Taką mi się wydaje gieneza sposobu artystycznego tworzenia, jaki się odbił w Panu Tadeuszu. Z niéj wynika ta nowa charakterystyczna cecha, jaką wniósł do poezyi naszéj Mickiewicz, a mianowicie realizm, miarkowany wspomnieniami klasycyzmu i dążeniami romantyzmu. Tak pojęta, może ułatwić pogodzenie tych różnorodnych twierdzeń,

jakie w książce p. B-a napotykają się obok siebie niezharmonizowane i nieujęte w jeden ogólny pogląd. P. B. zdaje się niekiedy żałować, że Mickiewicz wprowadzając liryzm i dramatyczność do swojego utworu zamącił spokój epickiego opowiadania, i rozprawiając o malowniczości i dyalogu w Panu Tadeuszu, niejednokrotnie różne objawy nie-epickiemi nazywa; ale niekiedy znowuż staje na właściwém w ich ocenie stanowisku objaśniając je rozwojem życia wewnętrznego, które u epików starożytnych nie uwydatniało się z taką siłą i z taką głębią, jak w czasach nowszych. Wprawdzie nie piszę się wcale na mniemanie p. B., że „świat wewnętrzny nie był jeszcze za Homera znany“ (str. 67), bo istnienie uczuć rodzinnych i rodowych, wiara w bogów itd. itd., głośno przeczą takiéj opinii, która nawet ze stanowiska Hegla nie dałaby się usprawiedliwić, ale bądź-co-bądź uważam za rzecz niewątpliwą, iż świat ten wewnętrzny w daleko prostszych wyrażał się objawach niż dzisiaj i mógł być plastyczniéj i przedmiotowiéj ujęty i przedstawiony. Było-to dziejową niemal koniecznością, że w „Panu Tadeuszu“ podmiotowość zajęła dość znaczne miejsce; a ponieważ podmiotowość ta nie zaszkodziła bynajmniéj ani planowi dzieła, ani charakterystyce osób, ani rozwojowi wypadków, nie możemy na nią sarkać; ze względu zaś na ogólny jeszcze, uczuciowy stan umysłowości narodu, uważać ją za dobrą i odpowiednią zamiarowi poety. Całkiem objektywne utwory poezyi u nas dziś jeszcze niezupełnie dobrze są oceniane i rozumiane.

Z kwestyą podmiotowości łączy się kwestya tak zwanego „humoru“ w Panu Tadeuszu. W poemacie tym niéma, zdaniem mojém, humoru w estetycznéin znaczeniu tego wyrazu, niéma owego „uśmiechu z poza łez“, jaki charakteryzuje taki nastrój; jest natomiast dobroduszna ironia, a czasami, w bardzo rzadkich wypadkach, sarkazm. Ironia ta różni się od ironii romantycznéj tym właśnie przymiotem, jaki był właściwością naszego poety, to jest dobrodusznością. Ona to unosi się łagodnie uśmiechnięta ponad tym rozgwarem życia, jaki wre czy-to w Soplicowie we dworze lub w karczmie, czy w Zaścianku wśród mniejszych i większych, oświeceńszych i ciemnych; ona wskazuje nam w poecie mędrca, który lubo sam przebywa na wyżynach myśli, rozumie i uznaje objawy najprostszych, mało co od stanu pierwotnego różnych form uspołecznienia i rozwoju duchowego; ona to sprawia, że nie czujemy zbyt dotkliwie rozstępu, jaki zachodzi pomiędzy codziennemi, potocznemi zajęciami, zabawami i rozmowami ludzi zapełniających widownię „Pana Tadeusza“, a spowiedzią Jacka lub ukazaniem się sztabu polskiego, gdyż towarzysząc tamtym powszednim objawom, szeroko rozprowadzonym, sprowadza je do właściwego ich znaczenia, zakreśla im odpowiednie miejsce na skali życia narodowego.

Najobszerniejszą, najszczegółowszą, prawdziwie wyczerpującą przedmiot rozprawą jest w książce p. B. rozdział o „Malowniczości w „Panu Tadeuszu“ (str. 113—266). Jest to rzecz tak dalece w sobie zaokrąglona i luźnie tylko z innemi rozprawami zestawiona, że w niéj autor rozszerza się nad okolicznościami, wśród których powstał Pan Tadeusz (str. 182—187), a więc raz jeszcze przedstawia to, co we wstępie napisał. Wyróżnia tu naprzód opisy osób i miejscowości, „przyobleczone w historyczną sukienkę“ od opisów, tamujących tok opowiadania. Za przykład pierwszych podaje opisy gry Wojskiego, Jankiela i inne, za przykład drugiego opis dworku Maćka nad Maćkami, Karczmy i innych. Następnie zastanawia się nad rozmaitemi środkami techniki poetyckiéj w malowaniu ludzi i rzeczy, jako to: uwydatnianie miejscowości, oznaczenie położenia i otoczenia, ubioru, użycie kontrastów. Najobszerniéj wszakże rozwodzi się nad krajobrazami, które bardzo szczegółowo i trafnie analizuje, oparłszy się zasadniczo na uwagach Brandesa w dziele: Główne prądy literatury wieku XIX. Oddając należną pochwałę pracowitości autora i trafności jego szczegółowych spostrzeżeń, nie mogę i tutaj nie wytknąć zdań sprzecznych, które ogólny pogląd zaciemniają. Na pytanie: jakie oświetlenie przeważa w obrazach Pana Tadeusza znajdziemy po kolei następujące odpowiedzi:

1) Mickiewicz „jako *prawdziwy romantyk* rozjaśnia niby, to znów zaciemnia urocze zjawisko, nie pokazując go nigdy w pełném oświetleniu słoneczném (1), w któremby rozwiało cały urok poetycznego *clair-obscur*“ (str. 147).

2) „Koloryt i oświetlenie krajobrazów Mickiewicza, są *jasne* i ciepłe“ (str. 147).

3) U Mickiewicza „zasadnicze oświetlenie jest łagodne, jasne i promieniejące“ (str. 245).

4) W krajobrazach Pana Tadeusza „najczęściéj spotykamy romantyczne zjawisko światłocieni, *clair-obscur*“ (str. 246).

5) „Ulubioném oświetleniem Mickiewicza jest błyszczenie, migotanie (2) i odbicie światła“ (str. 247).

6) „Krajobrazy Mickiewicza odznaczają się przedewszystkiém tęczowym i błyszczącym kolorytem“ (str. 251).

---

(1) Słowa te wypowiada autor z powodu Zosi. Otóż trzy karty przedtém (str. 141) powiedział autor te słowa: „Zosia występuje *zawsze* w *promienistym blasku słonecznym*, otaczającym jéj główkę“.

(2) Nawiasem dodam, że p. B. poczytujący błyszczące i migotliwe oświetlenie za właściwe romantyzmowi tylko, myli się. Przykład z Pana Tadeusza (str. 243) „Dach *złocił się* od słońca“ itd. ma swój odpowiednik w II ks. Przemian Owidyusza przy opisie pałacu słońca „clara micante auro, flammasque imitante pyropo“ etc.

7) Natura w Panu Tadeuszu „odmalowana przeważnie w żywych i jasnych kolorach“ (str. 253).

8) Wreszcie autor w kilkunastu miejscach powtarza z naciskiem, że w obrazach przyrody Mickiewicz był realistą (str. 181, 198, itd. itd.). Podobne zagmatwanie panuje w dziele p. B-a i co do orzeczenia, czy podmiotowość w krajobrazach jest uprawnioną i o ile Mickiewicz jest podmiotowym w malowaniu przyrody. Raz zdaje mu się, że „subjektywne pojmowanie (!) natury jest dziś jedynie uprawnione“ (str. 164), drugi raz sądzi, że nawskroś liryczne krajobrazy „nie licują z epicznym nastrojem“ (str. 237), z czegoby oczywiście wynikał wniosek, że jeżeli podmiotowe, a więc liryczne przedstawianie natury jest jedynie uprawnione, to w poematach epicznych nie powinno być krajobrazów wcale. Raz utrzymuje, że „Mickiewicz przedstawił nam przyrodę taką, jaką jest, była i będzie zawsze i *dla każdego*“ (str. 195), z czegoby wynikało, że w krajobrazach jego niéma podmiotowych pierwiastków, ale niebawem odkrywa krytyk u Mickiewicza humorystyczny sposób traktowania obrazów natury (str. 216), a więc już indywidualny, od chwilowego nastroju zależny.

Wykaz takich sprzeczności, a może tylko nieścisłości mógłby być dość pokaźnym; nie zamierzam jednak go wypisywać; zwłaszcza że i tak już zbyt długo o ujemnych stronach dzieła mówiłem. Nie chciałbym, ażeby czytelnicy zbyt pochopni do uogólnień, mieli niekorzystne o niém wyobrażenie, gdyż obok błędów są tu tak wielkie i tak rzadkie u naszych pisarzów przymioty, że autorowi wdzięczni być winniśmy za pracę sumienną, szczegółową i na wiele dotychczas nierozpatrywanych kwestyj zwracającą uwagę. Wadą główną w wykonaniu całości jest brak dobrze obmyślanego planu, ten brak, który p. B. wytyka nie tylko innym poematom naszym, ale nawet samemu Panu Tadeuszowi... Zalety zaś są w szczegółach; w pracowitéj i umiejętnéj analizie całéj technicznéj strony poematu. Za wybornie obrobiony rozdział uważam rzecz o stylu w Panu Tadeuszu, dotkniętą przez autora po raz pierwszy, a wykonaną dokładnie z całą znajomością przedmiotu. Autor określiwszy ten styl jako „indywidualny i charakterystyczny“ uważa go za „wprost przeciwny epickiemu nastrojowi“. Pogląd ten jest w związku z kwestyą realizmu Mickiewicza i stosownie do jéj rozwiązania może być pochwalonym lub zganionym. Ale nie na nim opiera się wartość rozdziału, tylko na wskazaniu różnych środków stylowych, którémi się Mickiewicz w Panu Tadeuszu posługiwał, jako to: inwersyj, antytez, onomatopei, epitetów, przenośni, porównań, anafor, gradacyj itd. Na każdą niemal uwagę autora zgodzić się tu można, tak, iż ten rozdział wolno poczytywać za trwały nabytek naszéj krytyki stylistycznéj.

Język i styl samego autora za piękny uchodzić nie może; lubo nie brak mu ożywienia, zręcznych zwrotów i subtelności analitycznéj. Pod względem poprawności i czystości za wzór służyć nie będzie: takie nieznośne giermanizmy jak: „z reguły“ (zam. zazwyczaj, pospolicie), „przychodzą“ (zam. znajdują się) itp. są tu dość częste. Niektórych wyrażeń autor dobrze widać nie rozumie, kiedy np. mówi na str. XXXV o „ostatniém pomazaniu“ Pana Tadeusza przed jego „chrzcinami“; albo kiedy wyznaje (str. 47), że niejasnym dla niego jest wiersz z Pana Tadeusza: „Lis wznosi kitę i wiatr *nią*, jak wachlarzem, ku *swym* nozdrzom tuli“, nie domyślając się, że *wiatr* jest tu biernikiem zależnym od słowa *tuli*.

Na tych uwagach poprzestaję. P. Biegeleisen książką swą, ogłoszoną w 50-ą rocznicę wyjścia z druku Pana Tadeusza rozpoczął okres szczegółowych, krytycznych studyów nad najznakomitszym naszym poematem; jest-to największa pochwała, jaką pracy jego oddać można; torowanie bowiem drogi jest sprawą najtrudniejszą, w któréj popełnione błędy nie mogą zadziwiać, a okazane zalety na tém większe zasłużyć powinny uznanie.

P. Chmielowski.

TABLICA ŚMIERTELNOŚCI

MIESZKAŃCÓW MIASTA WARSZAWY,

ułożona na podstawie jednodniowego spisu ludności, odbytego w dniu 9 lutego 1882 roku.

Warunki wśród których człowiek żyje, zarówno klimatyczne jak ekonomiczne i wywiązujące się z obyczajów, nawyknień i porządku życia, oddziaływają bardzo stanowczo na jego organizm a zatém na stan zdrowia i długość życia. Dla tego téż przeciętna długość życia ludzkiego okazuje się rozmaitą w różnych krajach i miejscowościach. Zbadać jak się faktycznie przedstawia długość życia ludzkiego jest rzeczą bardzo ważną dla celów naukowych zarówno jak i praktycznych; medyk hygienista, porównywając przeciętne lata umierających w rozmaitych miejscowościach, znajduje wyjaśnienie, jakie warunki są korzystne dla zdrowotności ogólnéj i może dawać wskazówki co robić należy żeby oszczędzić ludziom cierpień fizycznych a przysporzyć im zdrowia i siły. Ekonomista, rozważając liczbę ludzi dojrzałych, do pracy zdatnych, w stosunku do dzieci i starców, rozporządza materyałem do wniosków o możliwym stopniu wzrastania bogactwa w danym kraju i o kierunku w którym praca wytwórcza może być korzystniéj użytą. Nowoczesne instytucye społeczne ubezpieczenia życia oparte są już specyalnie na faktach śmiertelności, operują one nad nimi zapomocą rachunku prawdopodobieństwa i zapewniając zyski kapitalistom, ofiarują z drugiéj strony publiczności jednym więcéj sposobów oszczędzania się w wydatkach i zapewniania jakich takich środków dla swego potomstwa, które bez tego, przy śmierci głowy rodziny, pozostając w nędzy łatwiéj by uległo niszczącym jéj wpływom i opłakanym skutkom, daje więc to spo-

łeczeństwu możność lepszego rozwijania sił własnych i osiąga się przez to większy pożytek dla ogółu.

Dla tych powodów, wielu uczonych, pojmując dobrze całą ważność badań nad ludzką śmiertelnością, pracowało usilnie nad ułożeniem, o ile można jaknajściślejszych, tablic, wskutek czego wiele krajów i miast europejskich posiada już, dla różnych epok, mniéj lub więcéj ścisłe cyfry. Warszawa pozostała w tyle i co gorsza, nie bardzo zanosi się na to, aby brak ten wkrótce, w pożądany sposób, uzupełniony został.

Praca niniejsza ma być maleńkim krokiem naprzód, jaki ośmieliłem się, o ile na to posiadane przezemnie materyały pozwoliły, uczynić. Ponieważ jednak sam przedmiot mało jest znany naszemu społeczeństwu, zatém, chcąc być zrozumianym przez jaknajszersze koło czytelników, uważam za właściwe przedewszystkiém, w kilku chociaż wyrazach, dać pewne pojęcie o tém, co się przez prawdopodobieństwo zejścia (śmierci) rozumi i co przedstawiają tak zwane tablice śmiertelności.

Wyobraźmy sobie 10.000 osób, które jednocześnie skończyły lat 30 i przypuśćmy, że z nich w ciągu roku umarło np. 100. Stosunek liczby drugiéj do pierwszéj, tj. 100 : 10000=0,01 nazywa się prawdopodobieństwem zejścia w ciągu roku dla 30-letniéj osoby. Znając to prawdopodobieństwo, obrachować można liczbę osób, jaka z pośród pewnéj liczby 30-letnich, jednocześnie żyjących, umrze w ciągu roku; dość bowiem tę ostatnią liczbę pomnożyć przez prawdopodobieństwo śmierci 30-letniéj osoby. Przyjmując np. 0,01 za prawdopodobieństwo śmierci dla 30-letniéj osoby, z pośród 4.000 takich osób, w ciągu roku najprawdopodobniéj umrze: 4000 $\times$ 0,01 = 40.

Przypuśćmy daléj, że dla każdego wieku znamy prawdopodobieństwo zejścia w ciągu roku. Wówczas z łatwością obliczymy, ile osób np. z 10.000 nowonarodzonych umiera w ciągu pierwszego roku życia, a więc téż, ile dożyje jednego roku; z ostatniéj liczby—ile umiera pomiędzy pierwszym a drugim rokiem życia i ile dożyje dwóch lat itd. Gdy otrzymane rezultaty tak zestawimy z sobą, że w pierwszéj kolumnie stać będą liczby: 0, 1, 2, 3, itd., oznaczające lata, a obok nich liczby osób, dosięgających lat życia, liczbami pierwszéj kolumny wskazanych, to mieć będziemy tak zwaną tablicę śmiertelności.

Zachodzi teraz pytanie, z jakich dat statystycznych i w jaki sposób tablicę śmiertelności otrzymać można?

Pomijając Halley'a metodę, jako całkiem już zaniedbaną, bo nie wytrzymującą krytyki, wszystkie inne sposoby dają się sprowadzić w swéj zasadzie, do dwóch następujących.

Pierwszy polega na tem, żeby posiadać liczbę wszystkich urodzonych, w pewném społeczeństwie, ludzi w ciągu pewnego szeregu po sobie idących lat, np. w ciągu 100-u lat, i liczby zmarłych w ciągu pewnego roku, z podziałem tych ostatnich ze względu na ich wiek. Znając bowiem liczbę zmarłych w pewnym wieku i liczbę jednocześnie z nimi urodzonych, iloraz, otrzymany z podzielenia liczby pierwszych osób przez liczbę drugich, wskaże nam prawdopodobieństwo z jakiém nowonarodzony umrze w pewnym wieku, co—jak wiemy—posłuży do ułożenia tablicy śmiertelności.

Sposób ten, jakkolwiek ścisły i jasny w zasadzie, jest jednak bardzo trudny do przeprowadzenia w praktyce, bo wymaga długoletniéj (około 100-letniéj) obserwacyi, w czasie któréj wielu z pośród współcześnie urodzonych opuszcza rodzinne społeczeństwo, utrudniając tém samém obserwacyą, która musiałaby więc być przeprowadzoną z nadzwyczaj mozolną i niezmiernie wytrwałą staranności. Zresztą sposób ten, jako w części zależny od śmiertelności, panującéj przed wielu latami, nie daje zupełnie dokładnego wyobrażenia o téj śmiertelności, jaka istnieje w chwili, gdy tablica jest układaną.

Sposób drugi polega znów na tém, aby w danéj chwili oznaczyć liczbę żyjących każdego wieku (spis ludności) i liczbę zmarłych, również każdego wieku, w ciągu bezpośrednio po spisie następującego roku. Wtedy bowiem, dzieląc odpowiednie sobie liczby ostatnie przez pierwsze, otrzymamy prawdopodobieństwa zejść dla każdego wieku w ciągu roku, które widzieliśmy—również służą do ułożenia tablicy śmiertelności.

Drugi ten sposób, jak łatwo dostrzedz, usuwa pierwszą a zmniejsza drugą trudność poprzedniéj metody, posiada więc warunki, które przypuszczać pozwalają, że wydać może bardzo cenne owoce.

Oba jednak opisane sposoby przedstawiają inną jeszcze, wspólną sobie, trudność, która, chociaż nie odbiera im ważności to jednak, jeżeli nie zostanie usuniętą, osłabia bardzo ścisłość otrzymanych rezultatów.

Aby to zrozumieć, wyobraźmy sobie raz jeszcze 10000 żyjących, ale obecnie już tak jak się w rzeczywistości przedstawiają, tj. nie mających jednocześnie ukończonych 30-u lat życia, lecz będących w wieku od 30 do 31 lat, w dniu, dajmy na to 1 stycznia 1882 r. i pewną liczbę. np. 100-u, zmarłych w tymże wieku, w ciągu 1882 roku. Według ogólnéj zasady drugiego sposobu układania tablic śmiertelności, stosunek 100 : 10000 = 0,01 będzie prawdopodo-

bieństwem zejścia w ciągu roku dla 30-letniego człowieka. Łatwo jednak zauważyć można, że sposób ten nie daje zupełnie ścisłego rezultatu, gdyż pomiędzy 100-u zmarłymi w ciągu 1882 r. są tacy, którzy dopiero po 1-ym stycznia 1882 r. skończyli 30 lat, a więc zostali zaliczeni do téj setki zmarłych pomimo, że się nie mieszczą pomiędzy 10000-mi żyjących w dniu 1-ym stycznia 1882 r., w wieku od 30 do 31 lat. I naodwrót, niektórzy z pośród 10.000 żyjących w d. 1-ym stycznia 1882 r., w wieku od 30 do 31 lat, zmarli w ciągu 1882 roku już po skończeniu 31-u lat, a więc nie zostali wliczeni do 100-u zmarłych w tymże czasie pomimo, że są zaliczeni do 10.000 żyjących w d. 1 stycznia 1882 roku.

Okoliczności te wymagają uwzględnienia, jeżeli omawiane sposoby układania tablic śmiertelności mają dać zupełnie ścisłe rezultaty.

A jednak do niedawna nie zwracano na to uwagi tak, że dopiero dr. G. F. Knapp (1) i dr. Gustaw Zeuner (2) dokładnie ten przedmiot wyświetlili i podali zupełnie ścisłe sposoby usunięcia tych niedokładności, objaśniając, jak powinna być prowadzoną statystyka śmiertelności, aby dała możność pokonania opisanych trudności.

Jakie to są sposoby, o tém nie tu miejsce mówić i dla tego też odsyłamy ciekawych do naszéj broszury (3), w któréj znajdą treściwy opis sposobu, podanego przez dr. Zeunera.

Tutaj nadmienimy tylko, że do ułożenia dokładnéj tablicy śmiertelności nie wystarcza jeden spis. Przeciwnie, im więcéj takich spisów uwzględnimy, tém bogatszy zbierzemy materyał, który w końcu pozwoli nam ułożyć wysokiéj wartości tablicę.

Na nieszczęście dotąd daty statystyki śmiertelności nie są zbierane w dość racyonalny sposób, doniosłość prac obu powyżéj wzmiankowanych uczonych nie została jeszcze dostatecznie ocenioną i uwzględnioną, wskutek czego układający, pod naciskiem potrzeby, tablice śmiertelności są zmuszeni uciekać się do różnych hipotez i wymyślać rozmaite, że tak powiem, spekulacye rachunkowe, byle dojść do rezultatów, więcéj lub mniéj zbliżonych do rzeczywistego stanu rzeczy. Te zaradcze sposoby bywają bardzo rozmaite, zależą od pomysłowości autorów, a więc ważną jest rzeczą, aby każda w ten sposób powstała tablica była zaopatrzoną w objaśnienie, jaką ją drogą otrzymano.

---

(1) Ueber die Ermittlung der Sterblickheit aus den Auszeichnungen der Bevölkerungs-Statistik. Lipsk, 1868 r.

(2) Abhandlungen aus der Mathematischen Statistik. Lipsk, 1869 r.

(3) Z dziedziny statystyki matematycznéj, Warszawa, 1884.

Jednéj z takich spekulacyjnych dróg postępowania użyliśmy do ułożenia tablicy śmiertelności dla mieszkańców Warszawy i dla tego téż, przed jéj podaniem, opiszemy posiadane przez nas materyały i sposób przeprowadzenia rachunku.

Za materyał, do ułożenia tablicy śmiertelności, posłużyła mi liczba żyjących mieszkańców miasta Warszawy, oznaczona przez odbyty w dniu 9 lutego 1882 r. spis ludności, oraz liczba zmarłych w czasie od d. 9 lutego 1882 r. do d. 9 lutego 1883 r., podawana tygodniowo i rocznie w specyalnie wiadomościom statystycznym poświęconych dodatkach do „Gazety policyjnej" miasta Warszawy.

Z wydrukowanéj już części I „Rezultatów spisu jednodniowego ludności miasta Warszawy" (tablica Nr. 1) dowiadujemy się mianowicie, że w d. 9 lutego 1882 r. Warszawa posiadała stałych i niestałych (oprócz przyjezdnych) mieszkańców (1):

W wieku od lat—do lat:	Mężczyzn:	Kobiet:	Razem:
0 — 5	22738	22980	45718
5 — 10	16533	17352	33885
10 — 20	40169	44016	84185
20 — 30	36573	40954	77527
30 — 40	25647	28683	54330
40 — 50	18858	21264	40122
50 — 60	12098	14650	26748
60 — 70	6119	7774	13893
70 — 80	1589	2453	4042
80 — 100	385	589	974

Ponieważ jednak, jak to późniéj zobaczymy, powyższe liczby porównywać nam przyjdzie z liczbą zmarłych w ciągu bezpośrednio następującego po spisie roku, a w liczbie zmarłych, w wieku od 0 do 5 lat, znajdują się też dzieci, urodzone po spisie, z których jednak nie wszystkie, zmarłe w ciągu roku od chwili ich urodzenia się do liczby zmarłych w ciągu 1882 roku są zaliczone,—zatém, dla zmniejszenia ztąd powstać mogącego błędu, do liczby żyjących w wieku od 0 do 5 lat dodamy po połowie liczby urodzonych w ciągu bezpośrednio następującego po spisie roku, mianowicie: 3709 chłopców i 3562 dziewcząt, gdyż od 9 lutego 1882 r. do 9 lutego 1883 r. urodziło się: 7418 chłopców i 7124 dziewcząt.

Ze sprawozdania o ruchu ludności miasta Warszawy za rok 1882 (2), pokazuje się, że w ciągu 1882 r. (według kalendarza starego stylu) zmarło w Warszawie:

(1) Liczbę osób, posiadających więcéj, jak 100 lat — pomijamy.

(2) Dodatek do Nr. 54 „Gazety policyjnéj" (23 marca 1883 r.)

W wieku od lat—do lat:	Mężczyzn:	Kobiet:	Razem:
0 — 5	4131	3677	7808
5 — 10	229	235	464
10 — 20	272	250	522
20 — 30	523	387	910
30 — 40	420	346	766
40 — 50	466	355	821
50 — 60	424	348	772
60 — 70	374	339	713
70 — 80	196	214	410
80 — 100	156	183	339

W tych liczbach mieszczą się jednak przyjezdni i mieszkańcy okolicznych wiosek, którzy należą do parafii Warszawskich. W sprawozdaniu wykazaną jest tylko ogólna ich liczba: 1094, którą strącić należy w stosunku proporcyonalnym do ogólnéj liczby zmarłych, skoro żadnych innych, pod tym względem, wskazówek nie posiadamy. Nadto, ponieważ podane wyżéj liczby obejmują zmarłych w ciągu 1882 roku (v. s.), nam zaś są potrzebne liczby zmarłych w czasie od 9 lutego 1882 r. (n. s.) do 9 lutego 1883 r. (n. s.), przeto potrącić jeszcze należy zmarłych w ciągu pierwszych czterech tygodni 1883 r. (v. s.), co uczyniwszy, otrzymujemy na liczbę zmarłych w czasie od 9 lutego 1882 r. (n. s.) do 9 lutego 1883 r. (n. s.) następujące daty:

W wieku od lat—do lat:	Mężczyzn:	Kobiet:	Razem:
0 — 5	3776	3330	7106
5 — 10	196	204	400
10 — 20	246	229	475
20 — 30	496	365	861
30 — 40	398	314	712
40 — 50	424	326	750
50 — 60	396	326	722
60 — 70	347	321	668
70 — 80	173	195	368
80 — 100	145	173	318

Zaznaczyć tu musimy *jednę* ze słabych stron naszéj Warszawskiéj statystyki ludności — mimo, że jéj wykazy są zastosowane do szematów zalecanych przez budo-peszteński kongres statystyczny z 1876 r., mianowicie zwyczaj wykazywania liczby zmarłych, z podziałem na takie odstępy wieku, jak od 5 do 10 lat, gorzéj jeszcze od 10 do 20, od 20 do 30 lat itd., a najgorzéj od 80 do 100 lat. Lepiéj byłoby za-

chować odstępy jednoroczne: od 5 do 6, od 6 do 7 itd., albo przynajmniéj *jednostajnie* pięcioletnie.

Dla nas nawet odstępy pięcioletnie, ale *jednostajnie* pięcioletnie, byłyby bardziéj pożądane (które zresztą z jednorocznych sami sobie wyprowadzićbyśmy potrafili), bo nie mogąc, z powodu braku odpowiednio zebranych dat, zastosować ulepszonéj przez Knapp'a i Zeuner'a metody i nie mogąc nazbyt ufać ścisłości naszych dat statystycznych, mniejsze zapewne popełnimy błędy, zachowując odstępy pięcioletnie, aniżeli trzymając się odstępów jednorocznych, gdyby się nawet takowe w sprawozdaniu znajdowały.

Z tego samego powodu i dla dzieci w najmłodszym wieku zachowaliśmy odstęp od 0 do 5 lat, mimo, że sprawozdanie dzieli je na zmarłe w wieku od 0 do 6 miesięcy, od 6 do 12 miesięcy, od 1 roku do 2 lat i od 2 do 5 lat.

Dzieląc liczby zmarłych w czasie od 9 lutego 1882 r. do 9 lutego 1883 r. przez liczbę żyjących odpowiedniego wieku, w dniu 9 lutego 1882 r., otrzymujemy następujące przeciętne prawdopodobieństwa zejścia w ciągu roku dla mieszkańców Warszawy:

W wieku od lat—do lat:	Dla mężczyzn:	Dla kobiet:
0 — 5	0,14278	0,12546
5 — 10	0,01185	0,01175
10 — 20	0,00612	0,00520
20 — 30	0,01356	0,00891
30 — 40	0,01552	0,01095
40 — 50	0,02248	0,01533
50 — 60	0,03273	0,02225
60 — 70	0,05671	0,04129
70 — 80	0,10887	0,07949
80 — 100	0,37662	0,29202

Chodzi teraz o oznaczenie prawdopodobieństw zejścia w ciągu roku dla ludzi każdego wieku po szczególe, a więc dla nowonarodzonych, dla 1, 2, 3 letnich itd.

Do tego użyjemy ku pomocy jednéj z tablic zagranicznych, mianowicie tablicy śmiertelności mieszkańców miast belgijskich, ułożonéj przez Quetelet'a (1), dla tego właśnie, że jest ułożoną specyalnie *dla miast*.

Z tablicy téj, na przeciętne prawdopodobieństwa zejścia w ciągu roku przez mieszkańców miast belgijskich, otrzymujemy następujące liczby:

(1) Zaczerpnęliśmy ją z dzieła p. Eugeniusza Pereire: Tables de l'intérêt Composé, des annuités et des rentes viagéres. Paryż, 1873.

W wieku od lat—do lat:	Dla mężczyzn:	Dla kobiet:
0 — 5	0,11787	0,09661
5 — 10	0,01273	0,01240
10 — 20	0.00659	0,00724
20 — 30	0,01492	0,01184
30 — 40	0,01453	0,01468
40 — 50	0,01822	0,01565
50 — 60	0,02836	0,02237
60 — 70	0,05035	0,04095
70 — 80	0,09567	0,08934
80 — 100	0,18768	0,017928

które porównawszy z odpowiedniemi liczbami, otrzymanemi dla mieszkańców Warszawy, przekonamy się, że stosunki przeciętnéj śmiertelności mieszkańców miasta Warszawy do śmiertelności mieszkańców miast belgijskich są następujące:

W wieku od lat—do lat:	Dla mężczyzn:	Dla kobiet:
0 — 5	1,21116	1,29862
5 — 10	0,93087	0,94758
10 — 20	0,92868	0,71823
20 — 30	0,90885	0,75253
30 — 40	1,06813	0,74591
40 — 50	1,23381	0,97955
50 — 60	1,15409	0,99463
60 — 70	1,12631	1,00830
70 — 80	1,13797	0,88975
80 — 100	2,00671	1,62885

Liczby te wskazują poprostu, ile razy śmiertelność mieszkańców Warszawy, w różnych latach życia, jest większa lub mniejsza od śmiertelności mieszkańców miast belgijskich, np. w wieku od 80 do 100 lat śmiertelność mężczyzn, zamieszkałych w Warszawie, jest dwa razy większa od śmiertelności tegoż wieku mężczyzn, zamieszkałych w miastach belgijskich.

Rozciągnąwszy otrzymane stosunki na poszczególne lata życia, czyli pomnożywszy prawdopodobieństwa zejść w ciągu roku, oznaczone z tablicy Quetelet'a dla każdego poszczególe wieku, przez odpowiednie, w ostatniéj tabliczce wskazane stosunki, otrzymamy ostatecznie prawdopodobieństwa zejść dla mieszkańców Warszawy każdego poszczególe wieku, z pomocą których łatwo już da się ułożyć następująca tablica śmiertelności mieszkańców Warszawy.

Wieku lat	Mężczyzn dożyło:	Mężczyzn przeciętna długość życia, lat:	Mężczyzn prawdopodobna długość życia, lat:	Kobiet dożyło:	Kobiet przeciętna długość życia, lat:	Kobiet prawdopodobna długość życia, lat:	Wieku lat	Mężczyzn dożyło:	Mężczyzn przeciętna długość życia, lat:	Mężczyzn prawdopodobna długość życia, lat:	Kobiet dożyło:	Kobiet przeciętna długość życia, lat:	Kobiet prawdopodobna długość życia, lat:
0	10000	25,36	5,24	10000	30,16	14,08	49	2713	17,47	17,20	3450	20,64	21,31
1	6883	35,62	36,90	7315	40,05	44.42	50	2651	16,87	16,53	3391	19,99	20.60
2	5985	39,87	42,61	6413	44,61	50,72	51	2577	16,34	15,93	3324	19.39	19,92
3	5512	42,26	45,31	5928	47,22	53.20	52	2501	15,82	15,39	3256	18,78	19.27
4	5207	43,71	46,64	5605	48,91	54,63	53	2421	15,33	14,88	3187	18,18	18,63
5	5023	44.29	46,86	5401	49,74	55,07	54	2352	14,76	14,32	3117	17,57	18,00
6	4928	44,14	46,46	5304	49,64	54,68	55	2284	14,19	13,76	3047	16,97	17,36
7	4868	43,68	45,84	5238	49,26	54,09	56	2215	13,61	13,19	2977	16,35	16,72
8	4814	43,16	45,20	5182	48,79	53,42	57	2135	13,10	12,68	2911	15,71	16,06
9	4768	42,57	44,53	5133	48,25	52,70	58	2055	12,59	12,18	2845	15,07	15,37
10	4735	41,87	43,77	5092	47,64	51,94	59	1975	12,08	11,68	2778	14,42	14.68
11	4709	41,09	42,96	5065	46,89	51,10	60	1894	11,58	11,18	2706	13,79	14,02
12	4685	40,30	42,14	5043	46,09	50,22	61	1812	11,08	10,69	2627	13,19	13,37
13	4665	39,47	41.29	5024	45,26	49,33	62	1727	10,60	10,21	2541	12,62	12,76
14	4643	38,66	40,45	5002	44,46	48,45	63	1641	10,13	9,74	2452	12 06	12,16
15	4619	37,86	39,62	4978	43,67	47,58	64	1555	9,66	9,26	2360	11,51	11,58
16	4593	37,07	38.82	4951	42,91	46,74	65	1468	9,21	8,79	2264	10,97	11,01
17	4562	36.32	38,04	4924	42,14	45,89	66	1375	8,80	8,36	2164	10,46	10.47
18	4529	35,58	37,28	4896	41,38	45.04	67	1282	8.40	7,94	2064	9,94	9,92
19	4493	34,86	36,54	4865	40,64	44,21	68	1201	7,93	7,51	1967	9,41	9,40
20	4453	34,17	35,83	4833	39,90	43,39	69	1123	7,45	7,08	1870	8,87	8,89
21	4405	33,53	35,15	4797	39,20	42,58	70	1042	6,99	6,68	1757	8,41	8,45
22	4349	32,96	34,51	4759	38,51	41,79	71	962	6,53	6,25	1654	7.90	7,96
23	4284	32,45	33,91	4718	37,84	41,01	72	881	6,08	5,82	1558	7,35	7.44
24	4214	31,98	33,35	4677	36,95	40,22	73	799	5,65	5.41	1462	6.80	6,93
25	4151	31,46	32,74	4635	36,50	39,44	74	717	5,24	5,01	1355	6,30	6,28
26	4093	30,90	32,11	4593	35,83	38,66	75	636	4,85	4.69	1244	5,82	5,61
27	4039	30,30	31,44	4550	35,16	37.89	76	567	4,38	4,19	1133	5,34	4,94
28	3987	29,69	30,77	4507	34,49	37,10	77	499	3,90	3,59	1024	4,93	4,32
29	3937	29,06	30,08	4464	33,82	36,32	78	428	3,47	3,00	924	4,33	3 67
30	3887	28,43	29,39	4420	33,15	35,54	79	359	3,04	2,51	823	3,80	3,05
31	3830	27,85	28,74	4376	32,48	34,76	80	300	2,54	1,95	724	3,25	2.48
32	3772	27,27	28,10	4332	31.80	33,98	81	214	2,36	1,77	556	3,08	2,31
33	3715	26,68	27,44	4288	31,12	33,22	82	147	2,21	1,65	417	2.94	2,26
34	3658	26,09	26,79	4244	30,44	32,42	83	95	2,14	1,63	302	2,87	2,28
35	3601	25,49	26,13	4200	29.76	31,64	84	62	2,02	1,57	224	2.70	2,16
36	3546	24,88	25,46	4153	29,09	30,87	85	39	1,91	1,55	164	2,50	2,00
37	3491	24,26	24,78	4103	28,43	30,13	86	25	1,70	1,36	118	2,28	1,75
38	3436	23,64	24,10	4054	27,77	29,38	87	15	1,50	1,12	80	2,12	1.63
39	3381	23,02	23.42	4005	27,11	28,63	88	8	1,37	1,00	52	2,00	1,50
40	3326	22,39	22,74	3957	26,43	27,88	89	4	1,25	1,00	33	1.86	1,36
41	3254	21,88	22,16	3902	25,79	27,17	90	2	1.00	1,00	19	1,86	1,50
42	3181	21,37	21.59	3847	25,15	26,45	91	1	0,50	0,50	12	1,67	1.33
43	3108	20,86	21,01	3791	24.52	25,74	92	0	—	—	7	1,50	1,25
44	3036	20,34	20,43	3736	23,87	25,01	93	—	—	—	4	1,25	1,00
45	2965	19,82	19,83	3681	23,22	24.26	94	—	—	—	2	1,00	1,00
46	2902	19,24	19,18	3625	22,57	23,51	95	—	—	—	1	0,50	0,50
47	2839	18,65	18.52	3567	21,93	22,76	96	—	—	—	0	—	—
48	2775	18,07	17,86	3509	21,29	22,02							

Dla objaśnienia nieświadomych, uważamy za właściwe wytłómaczyć w paru słowach, co oznacza „przeciętna i „prawdopodobna długość życia.“

Jeżeli wyobrazimy sobie pewną liczbę osób, np. 10000 nowonarodzonych aż do chwili ich wymarcia, to wszystkie te osoby, razem wzięte, przeżyły pewną sumę lat. Ta suma lat, przedzielona przez liczbę wszystkich uwzględnionych osób, jak w obecnym przykładzie przez 10000, daje liczbę, nazwaną „przeciętną długością życia“ nowonarodzonego i oznaczającą liczbę lat, po upływie których wszystkie te osoby jednocześnie umrzećby musiały, aby wypełnić tę samą sumę lat, jaką rzeczywiście przeżyły. To samo stosuje się i do każdego innego wieku.

„Prawdopodobną długością życia“ nazywamy znów taką liczbę lat, po upływie których wymiera połowa osób branych pod uwagę; tak, że każda z tych osób ma równą szansę niedożycia, jak i przeżycia téj liczby lat, którą „prawdopodobna długość życia“ wskazuje. Np. w naszéj tablicy, liczba 5,24 oznacza, że nowonarodzony chłopiec posiada taką samą szansę zejścia przed dojściem do 5,24 lat, jak i przeżycia tego wieku.

Jakkolwiek tablica załączona nie może sobie rościć pretensyi do ścisłości, bo ułożoną została tylko na podstawie jednego spisu jednodniowego, oraz na wątpliwéj wartości datach jednorocznéj tylko śmiertelności i to datach, podanych w bardzo rozluźnionych granicach wieku (szczególniéj od 80 do 100 lat); to jednak, ponieważ się opiera bądź co bądź na danych faktycznych, a nie hipotetycznych i tam, gdzie zabrakło dat własnych, opartą została na bardzo poważnéj tablicy zagranicznéj—sądzę, że nie jest ona pozbawioną pewnéj *względnéj* wartości i dla tego może być, dopóki coś lepszego się nie znajdzie (1), z nienajgorszym skutkiem użytą do różnego rodzaju badań nad ruchem ludności warszawskiéj.

Takie uwagi, podzielone zresztą przez bardzo poważną osobę, któréj za radę składam tu serdeczne podziękowanie, zachęciły mnie do zajęcia się niniejszą pracą i ośmieliły do ogłoszenia jéj drukiem.

Bolesław Danielewicz.

---

(1) Dotąd nie posiadamy jeszcze własnéj tablicy śmiertelności; tablica bowiem, ułożona przez ś. p. Józefa Słomińskiego, nie była podaną przez autora do druku, straciła więc swój rodowód i stanowi tém samém zabytek o nieznanéj wartości, zresztą posiadać może tylko specyalne znaczenie, bo, jak o tém wyczytaliśmy w „Gazecie Warszawskiéj“ (N. 47 z 1879 r.), została ułożoną na podstawie dat zebranych w b. Warszawskiéj Dyrekcyj ubezpieczeń. Tablica znów podana przez piszącego niniejsze, w „Ekonomiście“ (N. 5 z 1879 r.), jako ułożona metodą Halley'a, nie ma wartości i drukowaną była jedynie dla tego, aby wykazać na cyfrach, jak marne mają znaczenie daty statystyczne czerpane z naszych akt cywilnych.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Korzon Tadeusz. — Historya wieków średnich, wyłożona sposobem elementarnym, przez... z dołączeniem 4 map kolorowanych, 46 rysunków i tablic genealogicznych. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa 1884.

Książka pana Korzona należy do tych rzadkich publikacyj, które treścią swoją i układem powinny zwracać na siebie najżywszą uwagę wszystkich wykształconych warstw naszego społeczeństwa. Cóż żywotniejszego bowiem może być dziś dla nas nad sprawę wychowania publicznego, co bardziéj pouczającego nad obraz dziejów powszechnych, o których dokładną znajomość tak małośmy się do niedawna troszczyli.

Literatura nasza, obfitująca w dzieła najrozmaitszéj treści, jaśniejąca imionami tylu znakomitych poetów i uczonych jest dziwnie uboga w zakresie pedagogii i dydaktyki. Ogólnie pisano u nas i myślano bardzo mało o wychowaniu publiczném, a jeżeli w połowie XVIII wieku reforma Konarskiego i następujące po niéj usiłowania komisyi edukacyjnéj kwestyą tę na lepsze wprowadziły tory, to zamieszki krajowe i szczęk oręża, nieustannie przepełniający prowincye polskie aż do r. 1815 udaremniły w znacznéj części i zwichnęły najlepsze zamiary rządów krajowych i obywateli. Nastąpił nadto w skutek rozbioru Rzeczypospolitéj fatalny zwrot w dziejach wychowania publicznego. Prowincye, które w r. 1772 dostały się pod panowanie pruskie i austryackie nie mogły doznać wcale zbawiennych skutków reformy szkolnéj, przez komisyą edukacyjną wprowadzonéj. W Galicyi więc dzisiejszéj, w części Wielkopolski, w Prusiech królewskich, a niebawem i na całém zachodniém Powiślu, jak daleko sięgał wpływ rządów niemieckich, wychowanie publiczne musiało się rozwijać odtąd w kierunku niemającym nic

wspólnego z tradycyą epoki Stanisławowskiéj. A jeżeli obywatelska prawdziwie działalność ks. Adama Czartoryskiego i gorliwość Tadeusza Czackiego umiały stworzyć na Wołyniu i Litwie nowe ogniska oświaty i szkoły tamtejsze lepszym ożywić duchem, to zbawienny wpływ tych instytucyj nie sięgał bezpośrednio po za brzegi Niemna i Buga, ani też nie zdołał, uniesiony prądem wypadków, ująć wychowania publicznego w pewien, ogólnie unormowany system pedagogiczny, tém mniéj zaś stworzyć literaturę, którąby sprawę edukacyi z umiejętnego traktowała stanowiska. Gorzéj jeszcze pod tym ostatnim względem działo się w Galicyi, gdzie głównym celem edukacyi było raczéj zgermanizowanie młodego pokolenia, aniżeli wykształcenie. Kiedy więc nareszcie po licznych zmianach, w roku 1867, galicyjskie szkoły pod względem języka wykładowego stanowczo zostały zreformowane, okazała się gwałtowna potrzeba polskich książek szkolnych. Nadaremnie jednak szukano, w zasobnéj zresztą literaturze naszéj, dzieł odpowiadających potrzebom gimnazyów galicyjskich, bo albo ich nie było wcale, albo też nie mogły być łatwo zastosowane do systemu nauczania obowiązującego w całéj monarchii austryackiéj. Trzeba przeto było starać się o książki nowe zupełnie. Ale tu znowu, nieprzełamana niemal nastręczała się trudność z powodu wielkiego braku uzdolnionych pedagogów. Stan nauczycielski w Galicyi, aż do owéj reformy, nie przedstawiał żadnych widoków dla młodzieży krajowéj. Pominąwszy bowiem okoliczność, że rząd wszystkie prawie posady profesorów obsadzał Niemcami, stanowisko Polaka, jako nauczyciela gimnazyalnego było wtedy bardzo przykre i pod każdym względem upośledzone. Zawodowi nauczycielskiemu przeto poświęcali się ludzie mniéj zdolni, zwykle tacy, którzy na innéj drodze, lepszéj karyery dobić się nie mogli. A chociaż wśród tego trafiały się i wyjątki, to jednak ogólny system nauczania w języku niemieckim sprawiał, że nawet zdolniejsi nauczyciele, Polacy, nie władali do tego stopnia językiem ojczystym, aby mogli sumiennie na polu literackim pracować. Gdy przeto nie znalazł się nikt, ktoby się odważył w krótkim czasie wypracować książkę szkolną, odpowiadającą zarówno wymaganiom umiejętnym jako i dydaktycznym, chwycono się najniewłaściwszéj, naszém zdaniem, acz wówczas jedynie wiodącéj do celu drogi tłómaczenia książek szkolnych niemieckich na język polski. Tłómaczenia te dokonywane zwykle dorywczo, bez należytéj zresztą znajomości języka polskiego, musiały się przyczynić nie mało i do utrudnienia nauki i do skażenia mowy ojczystéj, którego skutki do dnia dzisiejszego jeszcze niemile uczuwać się dają. Najgorzéj jednak było z tak zwanemi „podręcznikami“ do historyi powszechnéj. Książki te, pisane

przez Niemców i dla Niemców, odznaczające się stylem suchym i częstokroć niezrozumiałym dla ucha polskiego, przelewały w umysły młodzieży naszéj pojęcia, na obcéj wypielęgnowane glebie, a przedstawiające historyą z germańskiego punktu widzenia, podług którego Niemcy były od wiek wieków ogniskiem wszelkiéj cywilizacyi i źródłem wszelkiego postępu, rozlewającém dobroczynne wpływy swoje na całą rzeszę narodów europejskich. Jeżeli wyobrażenia tego rodzaju niezupełnie dadzą się usprawiedliwić i historycznie uzasadnić, to zawierają w sobie nadto jeszcze ten błąd kardynalny, że wprowadzają do nauki dziejów powszechnych jednostronność, która z historyi stanowczo powinna być usunięta. Otóż ażeby tego dokonać, trzeba było starać się o książki oryginalne, przez Polaków pisane, któreby nie czyniąc ujmy prawdzie historycznéj, uwzględniły i właściwości stylu polskiego i zasadom gramatyki polskiéj gwałtu niezadawały i rzecz samą nareszcie przedstawiły w sposób jasny i zrozumiały. Na nieszczęście zamiary te nie ziściły się dotąd wcale, a usiłowania jednostek pożądanego nie odniosły skutku. Oprócz dwóch książek, oryginalnie napisanych, którym jednak rada szkolna galicyjska odmówiła aprobaty (1), wydawano w Galicyi same tylko tłómaczenia, które acz do dzisiejszego dnia używane, grzeszą tak rażącemi błędami przeciw językowi polskiemu, że władze szkolne polecają profesorom poprawiać zbyt jaskrawe usterki, ażeby w ten sposób przynajmniéj zapobiedz skażeniu języka i stylu u młodszego pokolenia. W obec takiego stanu rzeczy każda książka, traktująca o historyi powszechnéj, a napisana oryginalnie, budzi u nas ciekawość i pewne zadowolenie, a cóż dopiero jeżeli autorem jéj jest człowiek tego rodzaju co p. Korzon, który nietylko dowiódł, że samodzielnie na polu naukowém pracować potrafi, ale i w publikacyach popularnych umie pogodzić ścisłość umiejętnego badania z przejrzystością stylu i poprawnością języka. Nowa książka p. K., obejmująca wykład dziejów średniowiecznych, a będąca właściwie skróceniem obszerniejszéj pracy w tym rodzaju, wydanéj w r. 1872, nie zawiodła wprawdzie nadziei, jakie do téj publikacyi przywiązywaliśmy, ale wyznajemy to otwarcie, nie zadowoliła nas zupełnie. Po tém co p. K. do tego czasu napisał spodziewaliśmy się więcéj. Jego Historya wieków średnich ma wiele zalet: odznacza się stylem jasnym, gładkim i poprawnym, jest napisana ze znajomością rzeczy, uwzględnia nietylko zewnętrzną stronę dziejów, ale i rozwój kultury,

---

(1) Benoni Kar. Rys dziejów pow. dla użytku wyższych klas gimnazyalnych. Tom I. We Lwowie 1875; i Sokołowski August. Historya powszechna dla użytku wyższych klas gimnazyalnych. Tom I. Lwów 1878.

słowem stoi o wiele wyżéj od ³/₄ podręczników szkolnych, o których poprzednio mówiliśmy, ale obok tego znajdują się w niéj i usterki, osłabiające znacznie korzystne wrażenie, jakie czytelnik na pierwszy rzut oka odnosi. Zacznijmy od układu książki. Zaprzeczyć się nieda, że historycy niemieccy, których u nas przeważnie naśladują, starają się zwykle cały wątek dziejów powszechnych ugrupować na tle historyi narodów germańskich, dotykając pobieżnie tylko wypadków ważniejszych z świata romańskiego i słowiańskiego. Błąd ten, bardzo łatwy zresztą do wytłómaczenia, pociąga za sobą inny o wiele więcéj grzeszący przeciw równowadze dziejowéj. Powiedziawszy sobie raz, że historya Niemiec jest osią, około któréj obracają się losy całéj ludzkości, autorowie germańscy lekceważą dzieje innych narodów, traktują je pobieżnie, a nawet mimo tyle sławionéj gruntowności niemieckiéj, nie uważają za rzecz konieczną obznajomić się chociaż powierzchownie z dziejami obcemi, szczególniéj zaś, jeżeli to są dzieje Słowian lub broń Boże Polaków. Na polu historyi polskiéj panuje téż w świecie uczonym niemieckim taka sama ignorancya, jak u dawniejszych Francuzów w dziedzinie geografii. Nie tak dawno wyszło w Berlinie, w *szóstém* wydaniu dzieło (1), traktujące o historyi powszechnéj, gdzie Katarzyna Jagiellonka figuruje jako córka Zygmunta Augusta (2), a Michał Korybut Wiśniowiecki, jako potomek Piastów (3). Co gorsza inny uczony niemiecki, używający zresztą bardzo słusznie rozgłośnéj sławy, Leopold Ranke, twierdzi, że biskupi greccy wtedy dopiero przystąpili do unii, kiedy im zagrożono wydaleniem z senatu (!) polskiego (4), gdzie jak wiadomo nigdy krzeseł nie zajmowali. W obec takiéj nieznajomości dziejów naszych pomiędzy uczonymi Niemcami dziwić się nie można, że w podręcznikach szkolnych niemieckich historya narodów słowiańskich zazwyczaj w najszczuplejszych zamyka się ramach. Nakazuje to zarówno duma narodowa jak i niemożność rozpisywania się o tém, czego autorowie dokładnie nie znają. A jeżeli mimo to w kompendyach tego rodzaju spotyka się mniéj rażących usterek, to pochodzi to stąd, że piszący obracają się w kole najogólniejszych frazesów i powszechnie znanych faktów, gdzie nawet rzetelna ignorancya rzadko pobłądzić może. Wiedział o tém dobrze p. Korzon i postanowił dlatego wbrew zwyczajom niemieckich autorów, w swoim podręczniku rozszerzyć zakres historyi narodów słowiańskiego i romańskiego szczepu, popadł jednakże równocześnie w błąd inny, usunął bowiem dzieje państwa niemieckiego na drugi plan, przezna-

---

(1) Wernecke Geschichte der neuer. Zeit. Berlin, 1873. 2) Tenże V, 135. 3) Tamże. 4) Ranke Die Römischen Päpste etc. VII-te aufl. Leipzig 1878 p. 476.

czając im ostatnie miejsce w okresie III i IV, a wstawiając natomiast historyą angielską i francuską. Układ ten wydaje nam się zupełnie niewłaściwym, bo jakikolwiek jest sąd autora o historyi niemieckiéj, tyle zawsze przyznać musi, że od XI wieku począwszy dzieje monarchii germańskiéj mają uniwersalne znaczenie i nadają, że się tak wyrazimy, ton historyi europejskiéj.

Porządek średniowieczny polegał na harmonii dwóch władz naczelnych: papieskiéj i cesarskiéj; obie szły jednak w uroszczeniach swoich za daleko: stolica apostolska, nie zadowolniając się rządem duchownym, wymagała bezwzględnéj niemal uległości władz świeckich, nawet w sprawach czysto materyalnéj natury; cesarze, chwyciwszy się oburącz tradycyi rzymskich cezarów, uzurpowali sobie rząd nad całym światem chrześciańskim, rozdawali hojną ręką kraje, które do nich nigdy nie należały, przyznawali tytuły królewskie i książęce, mięszali się do wewnętrznych rządów kościoła, uciskali wolność municypiów lombardskich, słowem cały świat chrześciański zamierzyli poddać swoim wpływom, aby był pasterz jeden i jedna owczarnia, tak jak przed wiekami w rzymskiém imperium.

Takie pojmowanie władzy z obu stron musiało wywołać starcie, które w konsekwencyi pociągnęło za sobą najpierw zamięszanie, a następnie upadek średniowiecznego porządku rzeczy. Zachwiał on się najpierw w Niemczech i we Włoszech, gdzie bezpośrednio stykali się reprezentanci władzy świeckiéj i duchownéj, a późniéj dopiero uległ przeobrażeniu w innych państwach europejskich. Wszystko to więc co się działo w Anglii, we Francyi i w Polsce, z czego się wywiązało życie parlamentarne Albionu, władza despotyczna królów francuskich i przewaga duchowieństwa polskiego w sm t-nym okresie podziałów, to wzięło początek w olbrzymiéj walce papiestwa z cesarstwem, to było tylko dalszym ciągiem tego procesu, który rozkładał średniowieczny porządek społeczeństwa europejskiego na nowe wprowadzając je tory. W istocie upadła w połowie XIII wieku zasada cezaryzmu, tak jak ją pojmował Fryderyk Barbarossa, cesarze niemieccy stargali w bezowocnéj walce z kościołem siły swojego państwa, stracili dawniejsze swoje znaczenie, a z wygaśnięciem Hohensztaufów, którzy z wytrwałością, godną lepszéj sprawy, podtrzymywali walącą się budowę średniowiecznego cesarstwa, nastąpiła nowa epoka. Miejsce wszechwładzy cesarskiéj, za którą nadaremnie walczyli tak długo Salijczycy i Hohensztaufowie, zajęła polityka dynastyczna, a pierwszym jéj reprezentantem w Europie jest Rudolf z Habsburga, rozpoczynający nowy okres historyi niemieckiéj. Że ten cesarz, o którym p. K. z przekąsem wyrażać się zdaje, pojął na wstępie położenie swoje, że się zrzekł dumnéj

polityki Sztaufów i nie wahał się poświęcić Włoch dla uratowania Niemiec, to świadczy chlubnie o jego zdolnościach politycznych. Trzeźwy mąż stanu, wolał pracować nad ugruntowaniem potęgi swojego domu, niż uganiać się po polach lombardskich za złudną marą wszechwładzy cesarskiéj, która wskrzesić się już nie dała, a chociaż przytém nieszczędził słów uległości dla papieża, chociaż uronił niejedno z praw cesarskich we Włoszech, to za to zyskiwał potężne poparcie w Gwelfach niemieckich i włoskich, zyskiwał pomoc stolicy apostolskiéj a pozbywał się tego tylko, co w obec stosunków ówczesnych historyczne jedynie miało znaczenie. Nie była więc ta uległość pierwszego Habsburga względem Grzegorza X ani abdykacyą ani błędem politycznym, przeciwnie wzmacniała stanowisko cesarza w Niemczech i ułatwiała mu: ową politykę dynastyczną, która odtąd staje się hasłem nietylko królów niemieckich, ale i wszystkich potężniejszych rodzin, panujących w środkowéj Europie. Wyznają ją otwarcie i Andegaweńczycy francuscy i Plantageneci angielscy i czescy Przemyślidzi i niemieccy Luksemburgowie i wreszcie litewsko - polski szczep Jagiellonów. Jeżeli więc nowa ta era w polityce wyszła z Niemiec, w Niemczech się najpierw ustaliła, jeżeli początek swój wzięła od niemieckiego króla, téż słuszną i sprawiedliwą będzie rzeczą, gdy historyą niemiecką na czele tych epok postawimy. To co się w tym samym czasie przygotowuje zwolna na zachodzie Europy we Francyi i w Anglii: zasada absolutnéj monarchii z jednéj, a podstawy parlamentarnego życia z drugiéj strony, to są niezaprzeczenie objawy bardzo ważne, mające jednak dla historyi średniowiecznéj drugorzędne znaczenie. Dobrze i pożytecznie o nich wiedzieć, koniecznie trzeba zaznaczyć ich powstanie i wzrost, ale pamiętać oraz wypada, że panowanie ich nie jest z téj epoki, iż kiedyś dopiero po latach wielu, zawładną one całym kontynentem europejskim i staną się osią dziejowego życia cywilizowanych narodów.

Wyłuszczywszy w ten sposób przyczyny dla których rozkład historyi p. K. wydał nam się niewłaściwym, musimy przyznać, że co do traktowania przedmiotu, książka jego nie małe posiada zalety. Rozdział pierwszy, opowiadający dzieje wędrówek, należy bezwzględnie do najlepszych i chyba to mu zarzucić można, że za obszernie rzecz całą traktuje. W innych ustępach pochwalić musimy, że autor stara się uwzględnić kulturę, że przedstawia w barwnych, acz często zbyt grubo nałożonych obrazach, stan społeczeństwa w każdéj epoce, że podaje wiadomości z literatury i ruchu umysłowego i że to wszystko umié połączyć z wątkiem dziejów powszechnych, nie przerywając nagle toku opowiadania i nie tworząc odrębnych działów na końcu książki, jak to się dzieje u autorów

niemieckich podług raz przyjętego szablonu. Przytém wszystkiém jednak nie uniknął p. K. licznych usterek, których zarówno jak i zalet książki jego milczeniem pominąć nie możemy. W kwestyach zasadniczych nie zawsze zgodzilibyśmy się z autorem. Postać Grzegorza VII przedstawiona jest raczéj w sposób ujemny niż dodátni, a przecież nie godziło się zapomniéć, że człowiek ten, pracujący tak szczerze nad reformą kościoła, był oraz gorliwym patryotą włoskim, że mu chodziło nietylko o podniesienie władzy papieskiéj, lecz także i o złamanie wpływów niemieckich we Włoszech. W ogóle okazuje się p. K. mniéj wyrozumiałym dla papieży niż dla cesarzy, chociaż postacie takie jak Hildebrand, Aleksander III, Inocenty III i IV są, a przynajmniéj powinny być dla nas o wiele sympatyczniejsze niż ów cezaryzm średniowieczny, na gruncie germańskim wyrosły, a drapujący się niezgrabnie w togę imperatorów rzymskich. Ze stanowiska pedagogicznego i naukowego musimy się zastrzedz przeciw dwóm rzeczom: 1) przeciw przytaczaniu uwag takich jak na str. 284 o Bonifacym VIII, 2) przeciw wydawaniu apodyktycznych sądów tam, gdzie krytyka historyczna do pewnych rezultatów w badaniach swoich niedoszła, jak to p. K. uczynił ze Stanisławem Szczepanowskim na str. 158. Co do pierwszego punktu pamiętać trzeba, że nie wszystkie podania historyczne, chociażby najbardziéj były uzasadnione i do prawdy zbliżone, są odpowiedne dla młodych umysłów, a już najmniéj te, które mogą obrażać uczucia religijne, albo budzić wątpliwości co do powagi i posłannictwa instytucyj kościelnych. Historyk może z pewną słusznością potępić Bonifacego VIII, może nawet tak jak Długosz użyć jaskrawego porównania, aby sąd swój tém lepiéj uwydatnić, pedagog układający podręcznik dla młodzieży, winien surowości sądu, jeżeli go już przytoczyć musi, odjąć przynajmniéj, zbyteczną w tym razie, ostrość wyrażenia. Szkoła nie powinna być nigdy areną walk wyznaniowych, a podręczniki dla młodzieży przeznaczone winny unikać starannie tego, co może wywołać dysputę dogmatyczną lub wpłynąć na podrażnienie uczuć religijnych. Są wprawdzie epoki, w których kwestye wyznaniowe ominąć się nie dadzą, ale i tam przedmiotowe przedstawienie rzeczy, jako téż takt nauczyciela mogą postawić kwestyą tak, że ani prawda historyczna, ani przekonanie religijne uczniów naruszone nie będą.

Inaczéj nieco ma się rzecz z drugim wypadkiem, gdzie autor biskupa krakowskiego, Szczepanowskiego, wprost „zdrajcą i buntownikiem“ nazywa. Tu ze stanowiska naukowego musimy się oświadczyć przeciw apodyktyczności sądu. Dla nas, a zapewne także i dla p. K., nie jest jeszcze wina biskupa wyjaśniona stanowczo,

a w takich wypadkach poważni dziejopisarze (1) zalecają autorom dzieł naukowych pewną wstrzemięźliwość, którą i w podręcznikach szkolnych zachowywać wypada, tém bardziéj, gdy, jak to zgodnie instrukcye przepisują, uczeń ma znaleść w książce tylko zdarzenia krytyką historyczną dostatecznie wyjaśnione i żadnéj nie ulegające wątpliwości. Z téj saméj przyczyny uważamy wywód słowa „król“ od Karola W. za zbyt hazardowny (porów. co o tém pisze Linde) a przeniesienie bitwy z Węgrami w r. 907 pod mury Pressburga (str. 105) za nieuzasadnione (porów. Büdingera I, 224). Równie niepewna jest wiadomość o służbie wojskowéj i namiestniczéj godności św. Metodego, na co słusznie zwrócił uwagę w gruntownéj swojéj rozprawie ks. Tad. Gromnicki (2). Od kwestyi zasadniczych przechodzimy do usterek innego rodzaju. Dotyczą one przedewszystkiém historyi polskiéj i austryackiéj. I tak na str. 363 powiada p. K. że Kazimierz W., „urządził we Lwowie łacińską stolicę biskupią“ podczas gdy Reifenkogel (3) dowiódł, że za czasów tego króla biskupów lwowskich nie było.

Na str. 367 utrzymuje, że Kazimierz na gruntach wsi Bawół *wybudował ozdobne domy z kamienia* dla uniwersytetu. Kwestya ta sporna niegdyś, dziś przez Ekielskiego i kodex uniwersytecki rozjaśniona, przedstawia się w ten sposób, że o gmachach na Bawole mowy być nie może i że zaledwie ślady fundamentów dadzą się odszukać. Skąd wniosek naturalny, że budowa może rozpoczęta za Kazimierza W. czasów, późniéj zaniechaną została. Również mylném jest lub co najmniéj niedokładném zdanie, jakoby Żyżka (str. 354) „nie chciał żadnego króla“, gdy jak wiadomo zgadzał się na powołanie Władysława Jagiełły a z Zygmuntem Korybutem w najlepszych zostawał stosunkach. Podobnych usterek dopuszcza się autor i w historyi austryackiéj. Na str. 216 czytamy: „współzawodnika zaś margrafa Austryi (*Leopolda* Babenberga) wynagrodził (Fryderyk I) wielkim przywilejem (privilegium majus) i podniesieniem Austryi do tytułu księstwa (1156).“ Tymczasem Leopold nieżył już w r. 1156, a przywiléj, o którym mowa, otrzymał brat jego Henryk II Issomirgott. Zresztą dokument ten nazywa się u historyków austryackich przywilejem *mniejszym* (privilegium minus) a to aby go odróżnić od większego (*majus*), który jak to krytyka historyczna dowodnie wykazała, został podrobiony w XIV w. za czasów Rudolfa IV.

---

(1) Dr. Wilh. Maurenbrecher: Ueber die Objectivität des Historikers w Raumera Histor. Taschenb, Leipzig 1882 p. 332.

(2) Sprawozd. Akad. Umiej. Krak. t. X, str. 333.

(3) Die Gründung der röm. kath. Bisthümer in den Territorien Halicz und Wladimir. Wien 1874.

Inne mniéj ważne błędy, wyniknęły, już to z niedokładnego zrozumienia źródeł, jak zdanie o Grzegorzu turoneńskim (str. 66), już téż zbyt ogólnikowych wyrażeń, jak „w Europie nie było już pogan“ (str. 170), albo w końcu z usterek stylistycznych jak np. (6) „Longobardów, którzy długo mieszkali *na* dolnéj Elbie“... (115) „żadnéj wojny feudalnéj“... itd. usterki te i niedokładności jednak, chociaż rażą czytelnika fachowego, tak znowu nie mają znaczenia, obniżającego wartość książki. Owszém sądzimy, że praca p. K., któréj zalety poprzednio kilkakrotnie podnosiliśmy, zasługuje na uznanie ze strony pedagogów i historyków naszych, a jeżeli ma wady pewne to dadzą się one z łatwością w drugiém wydaniu usunąć. Nie małą téż zaletą książki p. K., są tablice genealogiczne, mapki i drzeworyty. Dziś gdy środki uzmysławiające nauki wszelkiego rodzaju, tak bardzo się upowszechniły i wydoskonaliły a młodzież nasza i zakłady prywatne nie są wstanie łożyć wiele na zakupno przedmiotów tego rodzaju, ba zwykle wcale ich nieposiadają, są ilustracye przy tekście umieszczone wraz z mapkami, jedyną prawie pomocą dla tych, co na własne tylko ograniczeni są siły. Pojęli to dawniéj już Niemcy i Francuzi, zaczynają pojmować teraz i Polacy, a jeżeli się niemylimy p. K. był właśnie jednym z pierwszych, który tę nowość w swojéj historyi starożytnéj zaprowadził. Wprawdzie zdarzyło nam się, w niektórych pobieżnych zresztą wzmiankach o dziejach średniowiecznych p. K., czytać ubolewanie nad nieudolném wykonaniem rycin tam umieszczonych, na zarzut ten jednak odpowiedziéć musimy zgorszonym recenzentom, że drzeworyty te w niczém nie są gorsze od illustracyj dołączonych np. do niemieckiéj książki Gindelego, a w każdym razie lepiéj że są niż gdyby ich wcale nie było.

August Sokołowski.

Pamiętniki Stanisława hr. Nałęcz Małachowskiego posła do Stambułu w czasie sejmu czteroletniego, jenerała wojsk polskich, senatora kasztelana królestwa polskiego itd. itd. Objaśnił i z manuskryptu wydał Wincenty hr. Łoś. Poznań, Żupański, 1885. 8-a str. 190.

Autor pamiętników, synowiec głośnego marszałka sejmu wielkiego, a ojciec znanego z rewolucyi listopadowéj Gustawa, po ukończeniu szkół akademickich w Krakowie w ośmnastym roku życia rozpoczął zawód publiczny jako członek świty starosty szczerzeckiego Potockiego, przeznaczonego w r. 1788 na posła do Turcyi. Po dwuletnim pobycie w Stambule, powróciwszy do kraju żeni się, bierze skromny udział w powstaniu Kościuszki, po ostatnim rozbiorze

Polski dostaje się pod panowanie Austryi. W r. 1812 wystawia pułk kirasyerów i przyjmuje udział w kampanii, Bije się pod Smoleńskiem i Możajskiem, w odwrocie wielkiéj armii dostaje się do niewoli i przez dwa lata przebywa w Twerze i Tambowie. Dymisyonowany w stopniu generała, po kongresie wiedeńskim zostaje senatorem kasztelanem Królestwa, na wypadki z roku 1831 patrzy z Krakowa, resztę życia w spokoju przepędza na wsi i w r. 1859 umiera.

85 lat życia, spędzonych na stanowisku członka ambasady, żołnierza, dygnitarza i ziemianina w epoce przewrotów i burz, dostarczyćby mogło do pamiętnika szczegółów obfitych i cennych, gdyby autor, uzdolniony do zrozumienia przesuwających się przed oczami jego widoków, we właściwym czasie stosowny gromadził materyał. Małachowski opisał współcześnie w formie listów do żony tylko pobyt swój w Rosyi, który żywszego interesu nie budzi; wspomnienia zaś z pierwszych ośmnastu lat życia i od 1788 do 1831 r. kreślił w 78 roku życia z pamięci. Mógł pojmować dobrze, co widział i wypadki oceniać rozsądnie, lecz do pióra, nie mając zgromadzonych poprzednio notat, wziął się zapóźno. W pamięci 78 letniego starca, z żywych i pełnych wspomnień przeszłości, blady i szczupły jedynie ocalał zarys, mnóstwo szczegółów zniknęło, wiele przedstawiło się błędnie. Nie bez interesu się czyta poświęcony osobistym i familijnym sprawom pamiętnik z pierwszych ośmnastu lat życia, z jaką jednak ostrożnością z podanych w nim szczegółów korzystać trzeba, dowodzą mylnie przytoczone zdarzenia ze sfery interesów publicznych. Mniejsza, że niemogąc sobie przypomnieć napisu na rozdawanych młodzieży szkolnéj medalach, zamiast *diligentiae* podaje *diligentibus*; mniejsza, że przed rokiem 1788 znajduje w Krakowie otwartą dopiero w r. 1817 księgarnię Grabowskiego (str. 71);—charakterystyczniejszém jest, że zatarł w sobie starzec pamięć o naturze takiego faktu, jak sejm wielki, który dla tego konfederackim nazywa „że był nadzwyczajnie zwołany i z całéj Polski“ (72); zapomniał nazwisk sekretarzy sejmowych, z Siarczyńskiego robiąc Siewczyńskiego, z Narbutta Ancutę (73). Nie ustrzegł się błędów i w bardzo pobieżnych wspomnieniach z lat następnych. Zapomniał o dacie swojego wyjazdu z Warszawy do Turcyi—raz podaje dzień 7 września 1788, na inném miejscu 9 września 1789 (str. 76, 81); wspominając znowu o medalach szkolnych, znajduje na nich napis *bene merentibus* zamiast *diligentiae* zdaje mu się, że koronacya cesarza Mikołaja poprzedziła sąd sejmowy z r. 1828 (119) itp. Do historyi wypadków, poprzedzających 29 listopada 1830 r. nic ważnego Małachowski podać nie umiał,—nieznany skądinąd fakt, że syn jego Gustaw zapobiegł wybuchowi spisku koronacyjnego (170), wymaga sprawdzenia. Wogó-

le, pod względem treści pamiętniki Małachowskiego prezentują się bardzo ubogo; lepsza zaś ich cząstka ogłoszoną już była w r. 1876 we Lwowie.

Wydawca, p. Wincenty Łoś, usiłował objaśnić pamiętniki Małachowskiego zapomocą dopisków pod tekstem, a oprócz tego skreślił „kilka słów wstępnych", zajmujących znaczną część książki (str. 1—49). Dopiski są liczne, bez jednych jednak, jako zbytecznych, możnaby się obejść zupełnie; inne znowu, jako bałamutne, szkodzą książce, nieświadomego dziejów czytelnika w błąd mogą wprowadzić. Do zbytecznych zaliczamy np. wiadomość o podróży Stanisława Augusta do Kaniowa (79), niewywołane potrzebą notatki biograficzne ludzi (Niemojewskich, Winc. Krasińskiego, Potiemkina itp.), o których w pierwszéj lepszéj encyklopedyi informacyą znaleść można dokładną; — bałamutnych znajdujemy niemało. Bezzasadnie twierdzi p. Łoś, że „aż do r. 1874 sprawa sądu sejmowego (z r. 1828) była niejasną z powodu zupełnego braku aktów urzędowych, drukiem ogłoszonych," skoro główne źródło—skarga prokuratora jeneralnego Wyczechowskiego opublikowaną została współcześnie; zna wydawca sejm 1827—29 r. (171), którego niebyło; mylnie podaje datę śmierci Juljusza Małachowskiego (173) itp. Tam, gdzie objaśnienia były koniecznie, p. Łoś ich nie dał. Luźna wzmianka Małachowskiego o Wańkowiczu (121) wymaga objaśnienia, że był sędzią ziemskim mińskim i wybranym w r. 1790 na posła z województwa mińskiego; sprostować wypadało wiadomości pamiętnikarza, że „*wojska królewskie* przymusiły konfederacyą barską do ustąpienia z kraju" (54), albo, że August III „*co rok*... jeździł *na sejm* do Warszawy" (59); zwrócić należało uwagę na błędnie podaną datę wyjazdu Małachowskiego do Turcyi (76, 81). Nie godzi się wydawcy cudzéj pracy zmieniać pod względem treści, obowiązany jest przecież oczywiste błędy poprawić. Jeżeli Małachowski wyjazd swój do Turcyi oznacza raz datą 7 września 1788, drugi raz datą 9 września 1789 r.—wypadało wydawcy przynajmniéj rok 1788 jako wyraźnie błędny poprawić; nie godziło się też starosty szczerzeckiego nazywać „szczyżeckim" i „strzyżeckim" (76, 80).

W obszernym wstępie zamierzył p. Łoś podać życiorysy znakomitszych Małachowskich i ocenę pamiętników,—zadaniu jednak siły jego sprostać nie mogły. Dla przedstawienia działalności takich ludzi, jest marszałek Stanisław lub kanclerz Jacek, wypadało robić poszukiwania po archiwach, nie zaś ograniczać się na encyklopedyach i okolicznościowych artykułach czasopism. Śród chaosu wiadomości w każdym wierszu niemal podaje autor szczegół mylny lub wyrażony nieściśle. Marszałka Małachowskiego nazywa Arystotele-

sem polskim (17), chociaż był zaledwie Arystydesem; improwizuje datę wyjazdu pamiętnikarza do Turcyi (32), domyśla się, że Jan Nepomucen Małachowski dostał order św. Stanisława (23), kiedy wiadomość o tém mógł mieć dokładną (*Kalendarzyk nar. i obcy* na rok 1792, II. 407); zna istniejącą bibliotekę Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół nauk, niebywałe za czasów księstwa warszawskiego urzędy i instytucye (24). Obok braku wiedzy historycznéj i nieudolnéj formy, zdradza wydawca pochopność do nadmiernéj w pochwałach przesady. W autorze pamiętnika posągową niemal spostrzega postać, w czém tyle jest prawdy, ile ścisłości w tytule książki, że skromny, ośmnastoletni towarzysz ambasady Potockiego był „posłem do Stambułu.“

Wł. Smoleński.

Niedola Nibelungów. Przekładał Ludomił German. (Wiślickiego Adama wydawnictwo dzieł tanich 65—70). Warszawa 1885. str. 442.

Sam już tytuł tego przekładu wskazuje, jakie stanowisko zajął p. German wobec krytyki tekstu. Nie nazwał go *pieśnią Nibelungów*, gdyż nazwa ta, jakkolwiek od stu lat już w Niemczech tak utarta, zdaniem przeważnéj części dzisiejszych uczonych nie jest pierwotną. Mimo to jednak, gdyby ktoś porównał przekład niniejszy z najważniejszym dziś dla nauki wydaniem *K. Lachmanna*: *Der Nibelunge Nôt*, przekonałby się, że nasza „Niedola Nibelungów“ jest znacznie obszerniejsza; zawiera bowiem o 61 zwrotek więcéj, niż wymieniona edycya oryginału. Z drugiéj zaś strony, gdyby kto zajrzał do tak rozpowszechnionéj dziś w Niemczech małéj edycyi *Zarncke'go*: *Das Nibelungenlied* (5 wyd. Lipsk 1884), znalazłby tam jeszcze przeszło 60 zwrotek więcéj, niż w naszym przekładzie. Jakże to wytłómaczyć?

Wiadomo, że sławna epopeja niemiecka zachowała się nam w 10 rękopismach w całości, i we fragmentach z 18 innych manuskryptów. Pochodzą one z XIII, XIV i XV stulecia i podają tekst poematu nieraz bardzo odmienny. Zdaniem Karola Bartscha, jednego z najskrzętniejszych w tym kierunku badaczy, cieszącego się dziś wielkiém uznaniem, nie mamy rękopismu, któryby zawierał pierwotną postać epopei niemieckiéj. Powstała ona zapewne w dzisiejszéj Austryi wyższéj około połowy XII stulecia, że jednak w drugiéj połowie tegoż wieku forma jéj obfitująca w asonancye nie odpowiadała już ówczesnemu smakowi, wzięli się do niéj dwaj poeci i przerobili na epopeję rymowaną. Jeden z nich uczynił to również

w Austryi około r. 1170; drugi zaś nie wiedząc nic o jego pracy, dokonał tego samego gdzieś nad Renem w kilkanaście lat późniéj. W ten sposób zyskała epopeja nową formę w dwu odrębnych niezależnych od siebie przeróbkach. Lecz i te przeróbki nie zachowały się nam w pierwotnych rękopismach. Wszystkie bowiem rękopismy, jakie dotychczas znamy, są tylko późniejszemi, mniéj lub więcéj dokładnemi odpisami lub téż nawet przeróbkami tych dwu redakcyj. Wobec tego więc nie można prawie marzyć o odtworzeniu pierwotnego tekstu, zwłaszcza że już obie pierwotne przeróbki dość znacznie musiały od siebie się różnić. Podczas gdy jeden z najważniejszych rękopismów pierwszéj redakcyi, oznaczany przez *A.*, ma tylko 2316 zwrotek,—to najważniejszy manuskrypt drugiéj przeróbki, oznaczany literą *C*, ma ich 2440, tj. 124 strofek więcéj. Otóż na rękopiśmie *A.* oparł wydanie swe Lachmann, manuskrypt *C* zaś jest podstawą edycyj Zarnckego i Holtzmanna. Prof. *Zarncke* uważa najdłuższą formę epopei za najpierwotniejszą, odwrotnie zaś *Lachmann* sądzi, że najkrótsza forma poematu jest najbardziéj zbliżona do pierwotnéj jego postaci. Różnica ta zdań jest w związku z teoryą o powstaniu takich dzieł epicznych, jak Iliada i Odysseja, Nibelungi, itp. Jedni widzą w takiéj epopei jednolitość planu i kompozycyi, uważają ją więc za dzieło *jednego* poety (Zarncke, Bartsch); inni zaś sądzą, że jest to zbiór oddzielnych pieśni ludowych, więc dzieło *wielu* mistrzów. Otóż zdaniem *Lachmanna* składa się epopeja niemiecka z 20 pieśni ludowych, zestawionych wedle porządku wydarzeń i powiązanych z sobą pewną ilością zwrotek późniejszych. Stąd téż nawet najkrótszy rękopism *A.* zawiera już mnóstwo interpolacyj, które K. Lachmann stara się wydzielić, odznaczając je w drugiéj i trzeciéj edycyi (Berlin 1841, 1851) pismem odmiennem. Że co do szczegółów nawet pomiędzy zwolennikami jego nie zawsze jest zgoda, najlepiéj widzimy z tego, że profesor berliński *Max Roediger* w ostatniéj swéj pracy (*Kritische Bemerkungen zu den Nibelungen*, Berlin 1884) uważa za interpolacye jeszcze 55 innych strof, zatrzymanych przez Lachmanna, broni zaś odrzuconych przez niego trzech zwrotek.

P. German nie poszedł w swym przekładzie ani za Lachmannem ani za Zarnckem, lecz wybrał słusznie drogę pośrednią. Najbardziéj, jak widać, przypadło mu do smaku zdanie Bartscha, który broniąc jednolitości poematu nie oparł się, jak Zarncke, na najdłuższéj jego postaci *C.*, lecz przyjął za podstawę rękopismy płynące z tego samego źródła, co *A.* Rękopismy te uważa on za odpisy *pierwszéj* przeróbki pierwotnego poematu, a ponieważ zawierają one przeszło 60 zwrotek więcéj niż *A.*, sądzi, że zwrotki te zostały w *A*

wypuszczone. Stąd też wydanie jego krytyczne zawiera 2379 zwrotek i nosi tytuł *Der Nibelunge Nôt* (Lipsk 1870—80). Do tego tekstu najbardziéj jest zbliżony przekład p. Germana; brak w nim tylko dwu zwrotek Bartscha, 1769 i 1872. Nie mamy wszystkich wydań pod ręką, by skontrolować, dlaczego, p. G. wypuścił te właśnie dwie zwrotki, które się znajdują tak w najkrótszych jak i w najdłuższych tekstach. Nawet Lachmann uważa tylko pierwszą z nich za interpolowaną, druga zaś ma u Zarnckego i Holtzmanna tylko nieco odmienną formę. Przekład pana G. podzielony jest, jak rękopismy pierwszéj redakcyi, na 39 rozdziałów; gdy odpisy drugiéj przeróbki, a z nimi i wydania Zarnckego i Holtzmanna, mają ich tyko 38. Poeta bowiem nadreński połączył króciutki rozdział 34 z 33 w jednę całość, a nadto zmienił tytuł poematu *der Nibelunge Nôt* na *der Nibelunge Liet* (słowa kończące ostatnią zwrotkę). W nadpisie każdego rozdziału podana jest treść jego; niepewna jednak, czy te nadpisy były już w pierwotnym poemacie; niektóre bowiem ważne rękopismy pierwszéj redakcyi nie posiadają ich wcale. Wszystkie manuskrypta drugiéj przeróbki zawierają nadto w nadpisach wyraz *aventiure*, powtarzany zwykle w edycyach niemieckich, jakkolwiek wiele rękopismów pierwszéj redakcyi nie ma go wcale; słusznie więc p. German nie używa go w swym przekładzie.

Co do szczegółów, słusznie p. G. nazywa swą piękną pracę „pierwszym wiernym przekładem polskim“ (1). Wedle słów własnych tłómacza, nie szło mu tyle „o wierność słów, ile o wierność myśli i kolorytu“, co mu się zdaniem naszém wcale dobrze udało. Sądzimy jednakże, że wierność myśli i kolorytu nie byłaby na tém straciła, gdyby i o wierność słów było większe nieco staranie. Pierwsza np. zwrotka brzmi w oryginale:

Uns *i*st in *a*lten m*ae*ren—w*u*nders v*î*l ges*e*it
von h*e*lden l*o*beb*ae*ren,—von gr*ô*zer *a*reb*e*it;
von fr*ö*uden, h*ô*chgez*î*ten,—von w*e*inen *u*nde kl*a*gen,
von k*ü*ener r*e*cken str*î*ten—muget *i*r nu w*u*nder h*oe*ren s*a*gen.

W przekładzie p. Germana:

Prawią nam stare pieśni o przeszłości cudach:
O bohaterach słynnych, o znojach, o trudach,
O godach i rozkoszy, o łzach i boleści,
O bojach i zapasach! Słuchajcie powieści!

---

(1) W r. 1881 wyszło już w Warszawie tłómaczenie „Pieśni o Nibelungach“ dokonane przez Antoniego J. Szabrańskiego“ jako część składowa „Biblioteki Najcel. Utworów Lit. Europ.“ (P. R.).

Jak widać, obrał p. G. wiersz trzynastozgłoskowy, a rymy męskie oryginału zastąpił żeńskiemi, co wszystko można tylko pochwalić. Nie zmieniając więc w niczém formy, możnaby przez użycie dokładniejszych wyrażeń przekład ten zrobić jeszcze wierniejszym, a więc np.

Prawią nam stare baśni o rozlicznych cudach,
O słynnych bohaterach i o wielkich trudach;
O godach i uciechach, o łzach i boleści,
O walkach też śmiałków słuchajcie powieści.

Interpunkcya przez nas przyjęta zmienia nawet myśl trochę; sądzimy, że nie na niekorzyść. Większéj nieco zmiany dopuścilibyśmy się zaraz w drugiéj zwrotce i w wielu a wielu innych, wprzód jednakże musielibyśmy stoczyć walkę z p. G. o kwestye krytyczne, a następnie o odpowiednie wyrażenia i zwroty polskie.

Język przekładu jest w ogóle gładki i potoczysty; w doborze wyrazów posługuje się p. Dr. G. często archaizmami, np. błamy 59, bułaty 406, gzła 976, rubieże 67, 72, woje 66, 376, brona (Thor) 582, świetlica 225 itp. Obok wyrazu *tarcz*, mamy tu często równoznaczny wyraz staropolski *szczyt*, w zwrotce zaś 766, są nawet oba te słowa razem użyte: „Przygotowano *tarcze* i stalowe *szczyty*". Nie wiemy, jaką lekcyą przyjął w tym miejscu p. German; w tekstach jednakże, które mamy pod ręką, czytamy: „Sätile unde schilde (lub: Die setel zuo den schilden) bereiten man began", co znaczy: „Siodła i tarcze przygotowywać poczęto". Lubuje się też tłómacz w wyrazach niepolskich, jak *witeź* 90, 104, 463, *wraża* posoka (krew) 203, 205, *glejty* (Geleite) 164, *tum* (tuom, Dom), itp. Przymiotnik *wraży* brzmi dziś po polsku *wrogi*; w obu jednakże przytoczonych miejscach niepotrzebny on wcale, tekst bowiem oryginału nie wymaga takiego określenia. Wyraz *witeź* brzmiał-by po polsku *wiciądz* (por. *zwycięzca* = z-wicięz-ca), stsłow. bowiem jego forma jest *vitęzь* (1); por. (w) rzeciądz = stsł. řetęzь; pieniądz = pěnęzь; ksiądz = кънęзь. Wyrazów *staroniemieckich* mamy i dziś jeszcze w naszym języku nie mało; sądzilibyśmy więc, że w używaniu ich należałoby się nam o ile możności ograniczać. Któż dziś np. zrozumie, że w zwrotach: Mieli dostatek *spiży* 380, dość *spiży* gotowéj 917, jest mowa o *jadle* (spîse, Speise)? Znacznie rzadziéj używa p. G. starszych form językowych, np. cnego *krolewica* 302, prawdziwa forma polska, wcale zgrabnie użyta w rymie do: dziewica. Mielibyśmy może pretensyą do tłómacza, że sławny *pierścień*, który stał się w znakomitéj trylogii *Wagnera* (Der Ring des Nibelungen) niejako ogniwem, łączącym powieści o Wölsungach i Nibelungach, nie jest dość dokładnie określony.

---

(1) Serb. chorw. i słow. *vitez*, czes. *vitěz*, górno-łuż. *vićaz*, ros. *vitjazь*.

Wprawdzie i w epopei niemieckiéj nie gra on tak bardzo ważnéj roli, zawsze jednakże oznaczony jest jako „ein guldîn vingerlîn“, „ein vingerlîn von golde“, lub téż „gold“; tymczasem p. G. zowie go po prostu *obrączką* 679, lub *pierścieniem* 847. Wprawdzie możemy się domyśléć, że pierścień był *złoty*; nigdy jednakże możebyśmy nie wpadli na myśl, że to złoto Renu i najważniejsza część skarbu Nibelungów, jak go przedstawia nam sławny kompozytor i poeta niemiecki. Za błędy drukarskie zapewne należy uważać: poznał 129, zamiast *pozna* (jak wymaga myśl), ani 137, zam. *ni* (jak wymaga rytm); zresztą aina 965 zam. wina, itp.

Lecz dajmy już pokój szczegółom wobec faktu, że całość przedstawia się szczęśliwie. Krótki wstęp na pierwszych 16 stronicach podaje najkonieczniejsze informacye historyczno-literackie. Pozwolimy tu sobie jeszcze zwrócić uwagę na błąd w notatce metrycznéj na str. 6. Nie *cztéry* akcentowane zgłoski ma pierwsza połowa każdego wiersza w strofie Nibelungów, lecz tylko *trzy*, jak to uwidoczniliśmy w umieszczonéj już wyżéj pierwszéj zwrotce poematu.

Sądzimy, że cała nasza czytająca i zajmująca się literaturą powszechną publiczność prawdziwie wdzięczna będzie panu G. za to, że jéj ułatwił dokładniejsze zapoznanie się z treścią i formą prastaréj epopei niemieckiéj. *Jan Hanusz.*

Odpowiedź p. Władysławowi Puchewiczowi na jego artykuł o książce: Arytmetyka przez M. A. Baranieckiego, 1884.

Badającego historyą nauczania arytmetyki w Polsce zwrócić muszą uwagę dwa wybitne, a zupełnie analogiczne fakty. Mianowicie oba dzieła, tak *Arithmetica integrorum* Brożka (r. 1620), jak i wydana przez Komisyą Edukacyjną *Arytmetyka dla szkół narodowych* Lhuilier'go (wyd. pierw. r. 1778), którymi słusznie chlubić się może nasza literatura naukowa, chociaż przez pewien przeciąg czasu poważnie uwzględniane w nauczaniu (1), nie wywarły wpływu na późniéj układane podręczniki, a tymsamym i na późniejszą naukę tego przedmiotu w szkołach. Objaw ten co do *Aryt. dla sz. nar.* tak Trybulski objaśnia: „autor jéj, niewykazawszy błędów dawnéj metody i nie potępiwszy jéj ani jednym słówkiem, tymsamym pozwolił rutynistom ignorować ją i pogrążyć się napowrót w błogim spoczynku bezczynności.“ Nie było „żywéj wymiany myśli, gorącego starcia się dwu przeciwnych obozów“ (*Enc. wych.*, t. I, str. 396). Godząc się

---

(1) Co do podręcznika Brożka, por. w dziele prof. J. N. Frankego *Jan Brożek*.... str. 207.

najzupełniéj na ten pogląd, doznawałem niemiłego uczucia, że rok już ubiegał od ogłoszenia mojéj *Aytmetyki*, a nie pojawiał się artykuł, wyrażający niezadowolenie z pracy mojéj. A przecież w niéj w wielu miejscach potępiałem tradycyjnie zachowywane przez wielu uczących niedbałe objaśnianie postępowań arytmetycznych, postawiwszy natomiast wskazówki dostatecznie szczegółowe, jak w szkole średniéj ogólnéj (tj. przygotowywującéj do wyższych studyów specyalnych) nauczanie arytmetyki uczynić środkiem kształcącym stopniowo ścisłe myślenie, jak powolnie rozwijać to, by uczeń zdawał sobie sprawę z każdego kroku, iżby, prócz osiągnięcia bezpośredniéj korzyści, przygotował się należycie do wymagań pedantycznéj ścisłości przy nauce algiebry i gieometryi. Książka więc moja, tuszę sobie, przedstawiała materyał do „żywéj wymiany myśli.“ Taką dla mnie pożądaną sposobność przedstawia poświęcony méj pracy artykuł p. Puchewicza, nauczyciela szkoły realnéj w Warszawie, ogłoszony na str. 174—186 bieżącego tomu *Ateneum*.

Aby ograniczyć rozmiary mojéj odpowiedzi, rozważę tylko te *wszystkie* zarzuty (1) p. Puchewicza, odnoszące się do *treści* mego dzieła, które są jakkolwiek sformułowane i poparte wskazówką tego, czego stawiający je zdaje się pragnąć.

Co do metody wykładu.—P. Puchewicz jakby aprobował (str. 176) to, że trzymam się metody indukcyjnéj. A jednak zaraz potym powiada, że przy powtórzeniu kursu „nie podobna“ wymagać od ucznia, „aby szczegółowo sobie przypominał, jaką drogą do nich (do nabytych pojęć) dochodził.“ Podobnie daléj, mówiąc o liczeniu (str. 178), p. Puchewicz robi mi zarzut, iż dopiero z porównania z sobą kilku napisanych liczb „wyciągam zasadę pisania liczb, zamiast postawić ją o trzy stronnice wcześniéj przed pisaniem 56“ (pierwszéj z napisanych liczb). Gdybym postąpił tak, jak mi radzi p. Puchewicz, to czyżby wtedy właśnie nie miał do mnie słusznéj pretensyi, że nie trzymam się metody indukcyjnéj?

Co do przeznaczenia dzieła.—P. Puchewicz się waha, czy na moję książkę można się zapatrywać „jako na przewodnik dla nauczyciela, czy jako na książkę dla ucznia.“ Z przedmowy jednak mo-

---

(1) W ustępie, w którym mówi o planie *Bibl. mat. fiz.*. p. Puchewicz wypowiada swój pogląd, że „arytmetyka dla (?) klas niższych gimnazyalnych“ powinna „być taką“, jakiéj wymaga „zakres wyższych szkół miejskich, zakładów naukowych żeńskich“. Nie licowałoby to choćby z zasadą jednostopniowości w nauczaniu w naszych gimnazyach męzkich i szkołach realnych—że już się powstrzymam od innych uwag co do takiego poglądu.—W tymże ustępie p. Puchewicz zaznacza zawód, jaki go spotyka, iż w *Bibl.* nie będzie arytmetyki „przechodzącéj zakres gimnazyów i szkół realnych“.

jéj widział, że chcę „naprzód dostarczyć uczącym szczegółowego materyału do zajęć teoretycznych w czasie lekcyj arytmetyki w szkole średniéj ogólnéj“ (str. IX). Łatwo, zdaje mi się zrozumieć, że w obecnych warunkach to właśnie mogło być głównym moim celem. Bardzo bowiem wielu uczących matematyki nie korzysta z tego kształcącego materyału, jakiego dostarcza sumienne traktowanie (zaraz od początku kursu w klasie I) teoretycznéj części nauki arytmetyki, chociaż obowiązujące rozkłady lekcyj aż nadto pozostawiają na to czasu. Słusznie p. Puchewicz mówi, że „nie opowiadam jak postępować z uczniami, ale traktuję sam przedmiot“; dlaczego jednak nie zwrócił uwagi na wyraźnie wypowiedzianą przezemnie przyczynę tego: „różne bowiem bywają grupy uczniów, których przygotowanie należy odpowiednio uwzględniać“?—Dość, zdaje mi się, dobitnie się wyraziłem, mówiąc, że gdy się odda w szkole średniéj ogólnéj „stanowczą przewagę metodzie indukcyjnéj“, to „nie może być mowy o tym, aby książka, podręcznik arytmetyki, była w ręku ucznia wcześniéj, niż przy pierwszym powtarzaniu całego już kursu“ (wszystko powyższe na str. VI). Nie wiem zatym, na jakiéj podstawie p. Puchewicz mniema, iż „zawahać się można, z jakiego stanowiska na nią (moję książkę) się zapatrywać“; nie wiem również, jakim sposobem doszedł do przekonania, iż „wypadnie zapatrywać się na nią, jako na kurs, który uczeń *przy pierwszym powtarzaniu* odczytywać powinien“ (str. 170). Widzimy tu nadto, że bardzo dla siebie wygodnie p. Puchewicz, przytoczywszy i podkreśliwszy moje słowa: przy pierwszym powtarzaniu, opuszcza dalsze: *całego już kursu*; czy godzi się jednak na takim *dowolnym* wypaczeniu pojęcia o przeznaczeniu książki opierać budowę swych wniosków?

Co do rozmiarów.—Skutkiem właśnie takiego niespodziewanego zapatrywania się na moję książkę, p. Puchewicz dużo mówi: o jéj zbytniéj obszerności, o rozwlekłości, wodnistości oszałamiającego wykładu itp. i wylicza, ile to stron poświęcam na każde z czterech działań. W powodzi tego rodzaju ogólników, p. Puchewicz raz tylko uzasadnić usiłuje zbyteczność jakiegoś ustępu, mianowicie zbyteczność (nawet drobnym drukiem) szczegółowego objaśnienia własności, iż suma nie zależy od porządku składników. Zupełnie jednak analogiczne objaśnienie własności, iż iloczyn nie zależy od porządku czynników, nie razi go. Dlaczego? Czyżby tylko dlatego, że podobne rozumowanie o iloczynie jest w książkach profesorów Bertrand'a i Serret'a? Jeżeli bowiem potrzeba tak dowieść własności iloczynu, to z tychże powodów trzeba równie pedantycznie dowieść i owéj własności sumy, choćby inni jéj nie dowodzili. Jeżeliby sposób przez

rozmaite grupowanie jedności, według zdania p. Puchewicza, był na to wystarczający, to, konsekwentnie, grzeszyłbym w dobrym towarzystwie Bertrand'a, Serret'a i innych, gdyż i własności iloczynu możnaby dowodzić wprost przez rozmaite grupowanie składników. Ponieważ jednak takie postępowanie co do iloczynu byłoby co najmniéj niezręczne, zatym i dowodzenie p. Puchewicza co do sumy ostać się nie może. Nadto, znającemu elementy matematyki wyższéj, wobec szeregów t. z. warunkowo zbieżnych (tj. gdy suma szeregu zależy od porządku wyrazów-składników), nie powinno się wydawać zbytecznym dodatkowe, bo drobnym drukiem, ścisłe uzasadnienie w arytmetyce owéj własności sumy skończonéj ilości składników.—Wracając do ogólnego zarzutu zbytniéj obszerności, zaznaczam, że nigdzie z rozmiarów mojego dzieła *nie chwalę się*. Owszem, wolałbym, by książka moja była mniéj gruba, a tymsamym tańsza. Niesłusznie więc p. Puchewicz zwraca do mnie to, co niegdyś powiedziałem o *Algiebrze* Niewęgłowskiego, który w przedmowie wyraźnie zaleca czytelnikowi baczność na „rozmiary" swéj książki, napisanéj dla „początkujących" (wyraźnie w przedmowie). Nadto w mojéj ocenie *dowiodłem* błędów i niesystematyczności owéj pracy Niewęgłowskiego, nie wypaczając tego, co on mówił, i nie pozwalając sobie niczym nie popartych wyrzeczeń... P. Puchewicza tak dalece unosi chęć przedstawienia w dowolnym świetle méj książki, iż, nie zaznaczając ani jednem słowem mego wstępu historycznego i przypisków innych autorów, przedstawia rzecz tak, jakby arytmetyka obejmowała „przeszło 400 stron" (str. 175), gdy tymczasem na nią przypada ich 366. I to nie mało—prawda. Ale dlaczego nawet w takim drobiazgu p. Puchewicz jest nieścisły?

Co do zakresu.—P. Puchewicz znajduje, iż moje określenie arytmetyki jest dobre. Obejmuje zaś ono (por. str. 4, 5, 196, 331) tylko liczby całkowite i ułamkowe. Robi mi jednak zarzut, iż „nie mówię o podnoszeniu do potęg, o wyciąganiu pierwiastków." Przecież nauka o wyciąganiu pierwiastka nie może się obyć bez wprowadzenia pojęcia o liczbach, które nie są ani całkowite, ani też ułamkowe (np. pierwiastek kwadratowy z 3). Nie rozumiem więc, czego chce p. Puchewicz. Gdy zaś nie mogło być mowy o wyciąganiu pierwiastka, to z jakiéj racyi mówić o przygotowaniu do tego: o podnoszeniu metodycznym liczb wielocyfrowych do potęg?—P. Puchewicz tu dodaje, że „nawet rzecz o działaniach skróconych traktuję niewyczerpująco". Ale, podobnie jak w wielu innych miejscach, nic więcéj dla uzasadnienia swego sądu nie mówi, z czegobym się mógł dowiedziéć, co przez to wyrzeczenie rozumie, tj. czego brak znajduje. Nawet domyśléć się nie mogę.

Przechodząc do zarzutów szczegółowych, zaznaczyć naprzód muszę, że p. Puchewicz wciąż zmienia stanowisko, z którego patrzy na książkę—jak mu dogodniéj. To pragnie, by rozdział I „był przez małych uczniów czytany“ (str. 177), lub jest przedmiotem jego troskliwości (str. 179) „uczeń, nie umiejący dodawać“ (czyż takich przyjmują do klasy I gimn?), to znowu ma pretensyą, iż niektóre ustępy są tak napisane, iż „prędzejby uszły w podręczniku dla samouczków“ (str. 178, 180).

Co do dodawania.—Naturalnie, w początkowych rozdziałach książki musiałem wskazać, jak zachować stopniowanie przy nauczaniu, oraz szczegółowo rozwinąć zaniedbywane dotąd uzasadnianie postępowania przy t. z. czterech działaniach. Nie było to zadanie łatwe, a sposób, w jaki to przeprowadziłem, zadawala tych pracowitych nauczycieli, którzy go stosują.—Z przykładów, na których uzasadniam stopniowo możność uskuteczniania dodawania liczb wielocyfrowych zapomocą dodawań częściowych (... setek, dziesiątków, jedności), p. Puchewicz wypisuje najwięcéj złożony, nie wspomniawszy, że łatwiejsze go poprzedzają. Z tego zaś udowodnienia jest niekontent, nie mówiąc dlaczego, a tylko woła ogólnikowo: „czy to w ten sposób kształci się ścisłe myślenie?“ Odpowiem krótko zapytaniem: jak p. Puchewicz udowodni inaczéj, niż ja to robię, to ważne postępowanie? Czyż objaśnieniem prostszych kwestyj nie należy ucznia przygotować do trudniejszych? Bardzo łatwo zganić, ale proszę coś na to miejsce postawić.

Co do odejmowania. — P. Puchewicz gani wyrażenia: aby dane dwie liczby odjąć od siebie, lub podzielić przez siebie. Śmiem zwrócić uwagę, że i wyrażenia: aby jednę z dwu danych liczb odjąć od drugiéj, lub podzielić przez drugą (choć, przyznaję, nieco zręczniejsze (1) — z innego względu), również nie wskazują wyraźnie, którą z dwu danych liczb rozumiemy przez wyraz: jednę; czy tak, czy inaczéj, nie może być dokładnie to oddane, czego zdaje się chcieć p. Puchewicz—bo, według swego zwyczaju, tego wyraźnie nie wypowiada. Zupełnie podobnie rzecz się ma z wyrażeniem: dwie liczby przez siebie pomnożyć, przeciwko któremu nic nie mówi. Zwrócić jeszcze należy uwagę, że co do odejmowania w całéj arytmetyce, a co do dzielenia w tych rozdziałach o liczbach całkowitych nie może być wątpliwości żadnéj, która z danych dwu liczb jest odpowiednio odjemną lub dzielną. Niesłusznie więc p. Puchewicz chwali „starannego nauczyciela, który takie (rzeczy) poprawia“; ja zaś tu

(1) Mianowicie z uwagi, że gdy np. mówimy: dodać do siebie liczby 5 i 7, to możnaby mniemać, że mamy do 5 dodać 5, a do 7 dodać 7.

bynajmniéj nie „pozwalam sobie najgrubszych nieścisłości“ (aż tak!).—P. Puchewicz jest niekontent z wyrażenia „jeżeli do odjemnéj dodajemy pewną liczbę, to wypadnie do reszty dodać“ i słusznie— tylko, że ja tego nie powiedziałem (1).

Co do mnożenia.—Wskazuję jak *objaśniać* postępowanie przy mnożeniu liczby wielocyfrowéj przez jednocyfrową i podaję dwa na to sposoby, a drugi nie dla tego, abym „wątpił, czy czytelnik dobrze pojął“ pierwszy, boć, jak mógł łatwo zauważyć p. Puchewicz, ów drugi sposób jest trudniejszy, a ma swą racyą bytu ze względu na metodę.—Czyżby naprawdę wypisanie rozkładu

$$30568 = 3 \times 10 \times 10 \times 10 \times 10 + 5 \times 10 \times 10 + 6 \times 10 + 8 \times 1,$$

zaznaczającego piśmiennie dziesiątkowość naszego systemu liczenia, miało być zbyteczne lub rażące, tym więcéj, że z tego robię późniéj użytek na str. 247?—Gdyby nie było ustępu o kwadratach i sześcianach, o których wiadomości nie są wymagane od ucznia, wstępującego do klasy I, to jakże mógłbym uzasadniać tak metodyczne, jak w méj książce podałem, obliczanie, ile np. stopa kwadratowa ma cali kwadratowych, lub sześcienna sześciennych? O cóż więc idzie? Czy właściwie i pożytecznie byłoby tu odsyłać czytelnika do tomu seryi I *Bibl.*, który, w dodatku, jeszcze się nie pojawił?—Rzecz o tym, jak liczbę, wypisaną w systemacie np. szóstkowym, wyrazić w dziesiątkowym, lub odwrotnie, nie powinna być traktowana w rozdziale o liczeniu piśmiennym, bo tak nigdy nie pisano, a tam się mówi o różnych istotnie używanych sposobach pisania liczb. Poważni autorowie, np. Bertrand, Serret nie robią téż tego, a tworzą (zawsze już po dzieleniu) osobne rozdziały. Moim zdaniem właściwe na to miejsce jest przy mnożeniu i dzieleniu, bo zapomocą tych właśnie działań owe zadania się rozwiązują.—W ust. 27-ym nie wprowadzam żadnéj nowości: tak właśnie postępuje się w praktyce w odpowiednim przypadku.

Co do dzielenia.—P. Puchewicz jest zdania, że istniéć może jakieś dzielenie, które w swéj istocie nie jest działaniem odwrotnym mnożeniu. Na to nie znajduję żadnéj odpowiedzi, którąbym mógł wypisać, nie zmieniając tonu mego artykułu. Dostatecznie w méj książce *pozytywnie* dowiodłem, że wymysł niemiecki jakiegoś osobnego działania: „mieszczenia się“ jest bałamuctwem, nie uchodzącym w nauczaniu poważnym. Wyłożyłem w książce aż nadto dro-

---

(1) Moje *nieskażone* wyrażenie jest takie: „jeżeli do odjemnéj dodajemy lub od niéj odejmujemy pewną liczbę, *nie zmieniając odjemnika*, to wypadnie odpowiednio do reszty dodać lub od niéj odjąć tę samę liczbę“ (str. 45).

biazgowo, jak, zgodnie z naukowym poglądem na łączność działań, odpowiednie objaśnienia dawać należy, i znajduję, że zrobiłem w téj kwestyi wszystko, co do mnie należało. — P. Puchewicz robi mi zarzut, że „ani na jednym przykładzie nie objaśniłem dzielenia w sposób naturalny (?), t. j. ten, w którym nazywa się rząd kolejno dzielonych jednostek, które potém w reszcie zamienia się na jednostki rzędu niższego". Nie popełniłem tego błędu dlatego, że proponowany przez p. Puchewicza sposób niewiele wart, choćby z tego względu, że nie może być zastosowany w przypadku dzielnika większego, np. 672. Ten zaś sposób, który szczegółowo (bo szło o rzecz ważną) wyłożyłem naprzód na łatwiejszym przykładzie, jest ogólny i choć nie sądzę, aby miał być aż „klasycznym", to jednak muszę go uważać za jedynie dobry, dopóki ktoś lepszego nie postawi. Proszę dać inne, lepsze objaśnienie postępowania w dzieleniu, ścisłe, wysnute z określenia dzielenia, a stosowne do różnych przypadków.

Co do próby dzielenia przez dzielenie. — P. Puchewicz mówi: „....uważniejsze zbadanie tych przypadków uchroniłoby go zapewne od ważnego opuszczenia, które już *na błąd zakrawa* (tak): w ustępie 21, mówiąc o próbie dzielenia przez dzielenie, stosuje to i do dzieleń niezupełnych bez żadnych zastrzeżeń. Ładnie wypadła autorowi próba, gdy ilorazem było 25, a resztą 14,—ale co by było w wypadku odwrotnym?" Za pozwoleniem! Dlaczego p. Puchewicz pomija to, że w tymże ustępie 21-ym (str. 115, wiersz 13 od dołu) odejmuję resztę od dzielnéj:

$$„7500339 - 14 = 300013 \times 25"$$

i mówię zaraz: „przyjmując więc liczbę (7500339—14) jako dzielną". Niechaj czytelnik sam nazwie odpowiednio to przeoczenie p. Puchewicza i jego śmiałe powiedzenie: „na błąd zakrawa".

Od téj kwestyi poczynając, p. Puchewicz już „jest o ile możności zwięzły". Wskutek tego niczym nie popiera swych w ostatniéj instancyi ferowanych wyrzeczeń, a prócz ustępu o miarach wszystko już mu się nie podoba (1). Nie mogąc nic na to poradzić, a w dotychczasowéj odpowiedzi czerpiąc otuchę do spokojnego pogodzenia się z losem, muszę zaprotestować przeciwko popełnionym przez p. Puchewicza nieścisłościom, co jest moim obowiązkiem, gdyż wywołane było przez moję książkę.

Poszukiwanie zapomocą wzoru, podanego na str. 170, cech podzielności przez 6 i 12, jest według p. Puchewicza *daremne* (jego

---

(1) Nie twierdzę, aby moja książka, jak każda, nie miała stron słabych. Dotąd zauważyłem niedokładność wyrażenia na str. 175 w 3-im wierszu od dołu, oraz możność korzystnéj zmiany redakcyi paru ustępów, nie wskazanych jednak przez p. Puchewicza.

kursywa). Gdyby jednak zwrócił uwagę na odsyłacz podany w tym miejscu: „patrz niżéj w § 14, us. 18“, to by znalazł to, o co mu idzie, szczegółowo rozwinięte na str. 180. Co więc warte jego upewnienie, że owo poszukiwanie jest „daremne“?

Sposoby, najczęściéj przeprowadzane, objaśniania dzielenia ułamków na str. 232 — 4, nie są „czysto mechaniczne“, gdyż się opierają na zmianie wartości ułamka wskutek powiększenia licznika lub mianownika, czym się także tłómaczy np. skracanie ułamków lub sprowadzanie ich do spólnego mianownika; czy i to tłómaczenie ma być „czysto mechaniczne“?

Co do dzielenia skróconego, p. Puchewicz mówi: „autor wyłożony przez siebie sposób dzielenia niesłusznie nazywa sposobem Guy'ego“ (str. 184; nb. nie dodaje dlaczego „niesłusznie“). Niema co: śmiało powiedziane. Czy można jednak prosić p. Puchewicza, by zechciał zajrzéć do tomu XX *Comptes rendus* paryskiéj akademii nauk za r. 1845? Tam znajdzie raport Cauchy'ego o dzieleniu, które podał Guy. Cauchy je opisuje na str. 68 tego tomu, a na następnéj tak kończy: „en traçant avec sagacité la marche que l'on doit suivre dans la division approximative, pour obtenir le quotient de deux nombres avec un degré d'approximation déterminé, (l'auteur) a ainsi apporté un perfectionnement utile à une opération usuelle de l'arithmétique“. Dopóki p. Puchewicz nie dowiedzie, że Cauchy „niesłusznie“ ten raport ułożył, sądzę, że „słusznie“ ów sposób nazywam sposobem Guy'ego.

W ustępie o regule łańcuchowéj p. Puchewicz znajduje, iż „główna jéj cecha polega na tym, że ilość szukana zależy spółcześnie od innych“. Sądzę, iż ta „cecha“ (!) służy także np. znanemu zadaniu o robotnikach, kopiących rów długi, szeroki etc. To jedno. Powtóre, we *wszystkich* arytmetykach w ustępie, zatytułowanym: reguła łańcuchowa, wprost rozwiązywane bywają odpowiednie zadania, a w *żadnéj* dotąd nie podano określenia téj reguły. A więc podane w méj książce jest *pierwszym*, dotąd jedynym, określeniem reguły łańcuchowéj. Nakoniec, w naszym języku jest przykry zbieg zakończeń w wyrazach: wielkość (Grösse, grandeur), ilość (Anzahl, quantité), wartość (Werth, valeur), których unikać nie podobna. W określeniu matematycznym nie można nadto omawiać powtarzających się wyrazów, choćby wypaść miało coś tak niedźwięcznego, jak zdania, przytoczone przez Chirurga filozofii w jednéj z jego *Ramot*. Przemilczał p. Puchewicz o tym, że przed tym niedźwięcznym określeniem jest w książce odpowiednie przygotowanie na starannie dobranym zadaniu. Z praktyki mojéj pedagogicznéj pozwolę sobie zaznaczyć, że przy wyprowadzaniu tego określenia z zadania nie

spotyka się żadnéj trudności. Gdy p. Puchewicz tak się na to moje określenie oburza, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wyczekiwać na jego określenie reguły łańcuchowéj, na które tyle pokoleń nauczycieli, tyle setek książek dotąd się zdobyć nie mogło. Gdy je poda, a będzie ono przystępniejsze od mego, wprowadzę je z wdzięcznością do dalszych wydań méj książki.

P. Puchewicz znajduje, że „§ poświęcony regule fałszywego założenia jest prawie dosłownym przekładem z Serret'a, z opuszczeniem kilku charakterystycznych bardzo wyrazów". Na to mam jedyną odpowiedź: p. Puchewicz myli się. Przypuścić muszę, że chyba nie czytał odpowiedniego ustępu w dziele Serret'a, albo przynajmniéj tak dawno, że go zapomniał (1). Przed napisaniem owych słów należało porównać. Tak się zawsze w podobnych razach robi.

Tego, co p. Puchewicz mówi w dwu ostatnich ustępach swego artykułu poprostu nie rozumiem. Jakie to były „okoliczności, towarzyszące wydaniu téj książki"? Jaką to „redakcyą przedstawicieli nauki matematycznéj" możnaby mieć na myśli, kiedy od samego początku *Bibl.* jedynym jestem jéj redaktorem? Jakim sposobem ta książka jest moją „nieudatną próbą literacką", kiedy moje próby mają już po kilkanaście lat wieku? Dlaczego ja mam dopiero „wykazać swoje zalety jako autor wstępu do analizy", jeżeli ich już niema być w *Arytmetyce*, jakby p. Puchewiczowi nie było wiadomo, że *Arytm.* nie jest moją pierwszą pracą ogłoszoną?

Na zakończenie, uważam za właściwe zaznaczyć, iż p. Puchewicz w swym artykule, którego ani recenzyą, ani też krytyką nazwać nie mogę, używa o mnie lub o mojéj pracy takich wyrażeń: autor zabawia nas, najgrubsze nieścisłości, oszołamiający wykład, sztuki łamane, na błąd zakrawa, wygląda trochę śmiesznie, ironia losu, nieudatna próba literacka i t. d. Mniemam, iż z niniejszéj mojéj odpowiedzi wynika bezpośrednio, że p. Puchewicz nie obliczył się z siłą swych argumentów, które miały go upoważniać do przybrania takiego tonu.

Dr. M. A. Baraniecki.

---

(1) Niéma również całkiem w Serret'a książce (przynajmniéj w wyd. VI, z roku 1875) owych „kilku charakterystycznych bardzo wyrazów, w których Serret notuje, że te zadanie rozwiązywać można wprost, nie uciekając się do téj metody", bo to się z samo przez się z natury tych zadań rozumié. Że nie zalecałbym stosowania téj metody, wynika wprost z tego, że po téj regule nie odsyłam czytelnika do *Zadań arytmetycznych*, gdy po każdéj z innych reguł to czynię. Ze sposobu, w jaki traktuję regułę fałszywego założenia, wprost wynika, że przyznaję jéj drugorzędne, prawie tylko historyczne znaczenie, mniéj silnie ją akcentuję, niż to Serret czyni.

= Wyszedł niedawno w Paryżu **Czwarty tom Korespondencyi** *Adama Mickiewicza* (str. 400 i 4 karty nlb.). W publikacyi téj oprócz listów, które się mieściły dawniéj w drugim tomie „korespondencyi“ pierwszego wydania, znajduje się wiele dokumentów i listów zupełnie nowych a pracowicie przez syna wielkiego poety zebranych i na jaw wydobytych. Na czele mieści się list Ignacego Domejki do ks. Jana Siemieńskiego pracującego nad obszernym życiorysem naszego wieszcza, pisany w r. 1880 z Santiago, a zawierający kilka ciekawych szczegółów wraz z ogólnym rzutem oka na te lata życia Mickiewicza, których świadkiem bezpośrednim lub pośrednim był sam Domejko. Potém idzie „Ustęp z Pamiętników Mikołaja Malinowskiego“ znany już wprawdzie w głównych punktach z „Kroniki Rodzinnéj“, ale w zupełności tu dopiero pojawiający się. Ważne są dla biografów następujące w nim „Dokumenta odnoszące się do Mickiewicza“, po większéj części teraz dopiero z archiwów wydobyte. Znajdujem tu drukowany już przed laty w „Gazecie Warszawskiéj“ Dowód Szlacheckiéj Rodowitości Mickiewiczów, a daléj po raz pierwszy w druku pojawiające się: „Wywód Familii Urodzonych Mickiewiczów herbu Poraj“ wraz z tablicą gienealogiczną, „Kopie Metryk Urodzenia i Pogrzebów Mickiewiczów z ksiąg kościoła nowogrodzkiego“, kopie sprawozdań z posiedzeń uniwersyteckich, na których Adam Mickiewicz w r. 1819 zdawał egzamin (rzecz ta była znana poprzednio ze streszczenia przez Michała Żmigrodzkiego), „Wiadomość o uczniach seminaryum nauczycielskiego w r. 1818/19“, kopia raportów o niestawieniu się Adama Mickiewicza na czas oznaczony w Kownie r. 1820, prostująca mętne o tém ustne podania, wiele dokumentów odnoszących się do sprawy filaretów w r. 1823/4; kopia aktu, którym Adam Mickiewicz i dwaj jego bracia Aleksander i Jerzy dają pełnomocnictwo bratu Franciszkowi w rzeczach majątkowych. Trzeci dział w IV tomie „Korespondencyi“ stanowią „wyjątki z listów o Adamie Mickiewiczu a między niemi list Domejki do Maryi Puttkamerowéj, list Niemcewicza do Witwickiego, list Grotkowskiego, który pierwszy raz był na lekcyi Adama w kolegium francuskiém. Czwarty dział wypełniony jest nowo odszukanemi listami samego wieszcza i wiele z nich znaliśmy już z czasopism; tu się znajdują w skupieniu; ciągną się one od str. 77 do 148. Ostatni wreszcie, piąty dział mieści „Listy do Adama Mickiewicza“ od r. 1839 do zgonu poety, znacznie w stosunku do pierwszych wydań pomnożone. Ten suchy spis wystarczy do zainteresowania szerokiego ogółu, który niewątpliwie pośpieszy dopełnić zbiór korespondencyi Mickiewicza tym nowo ogłoszonym tomem.

SPROSTOWANIE.

Szanowny Panie Redaktorze! W ostatnim zeszycie Ateneum w rozbiorze Studyów Nehringa (str. 563) Szan. Pan przyznając słuszność krytycznym postrzeżeniom autora „co do sprzeczności, niejasności, zagadkowości w Grażynie“, dodaje nieco niżéj, że Grażynę „dotychczas tradycyjnie przeceniano“ i że dopiero „w ostatnich czasach po odczycie prof. Tarnowskiego, który wszystkie dawniejsze pochwały zebrał i podniósł do wyższéj jeszcze potęgi, nastąpiła reakcya przeciw temu poglądowi, a wśród niéj głos prof. Nehringa był *pierwszym* (r. 1882); *równocześnie* dał poznać swe zdanie p. Tretiak (1883).“

Z zestawienia dat powyższych *równoczesność* mego zdania okazuje się dość wątpliwą i sądzę, że czytelnik nie może jéj inaczéj zrozumiéć, jak tylko w ten sposób, że oto ja w ocenie Grażyny poszedłem za zdaniem prof. Nehringa. Pójść za tak poważnym głosem— nic by w tém naturalnie nie było złego, ale mógłby mię spotkać zarzut od ludzi znających moję książkę o Mickiewiczu, że drukując w r. 1883 ocenę Grażyny: 1) albo nie znałem wcześniejszéj o rok pracy w tym przedmiocie prof. Nehringa, 2) albo nie uwydatniłem tego, że ją znałem. Otóż od tego zarzutu jestem wolny, a to dlatego że głos prof. Nehringa o Grażynie nie tylko nie jest o rok wcześniejszym od mego, ale i owszem jest o rok późniejszym. Wprawdzie w Studyach literackich szanownego profesora wrocławskiego (wydanych 1884) pod tytułem rozdziału: „Grażyna i Konrad Wallenrod,“ znajduje się odsyłacz: „Obacz Biblioteka Warsz. 1882, II, 341“, ale odsyłacz ten odnosi się zapewne do Wallenroda, nie zaś do Grażyny, téj bowiem rozbiór w Studyach od str. 240 do 249 jest późniejszą wstawką, nie istniejącą w Bibliotece Warszawskiéj. W Bibliotece z r. 1882 w artykule „O nowszych kierunkach literatury polskiéj,“ do którego właśnie prof. Nehring odsyła czytelnika, jest tylko krótka wzmianka o Grażynie, dotycząca niemal wyłącznie stosunku, jaki zachodzi pomiędzy tym poematem a recenzyą Jagiellonidy i Żynilą.

Z prawdziwem poważaniem.

Józef Tretiak.

Przyp. Red. Ażeby sprostowanie to uczynić pełniejszém, dodać wypada, że już w r. 1882 w N. 25 „Prawdy“ p. A. G. Bem poczynił Grażynie bardzo ważne zarzuty. Niebawem pomieścimy w piśmie naszém rozprawę p. Chlebowskiego poruszającą kwestyą źródeł Grażyny z innego punktu niż to dotychczas robiono.

† **Stanisław Egbert Koźmian**, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu zmarł 23 kwietnia r. b. Był on rówieśnikiem Zygmunta Krasińskiego i jego towarzyszem uniwersyteckim. Urodzony we Wronowie w Lubelskiém 21 kwietnia r. 1811, pobierał nauki gimnazyalne w Warszawie i tamże wszedł do uniwersytetu, zawiązując stosunki koleżeństwa i przyjaźni z kilku młodzieńcami, którzy następnie z różnym stopniem talentu działalność swą na polu literackiém rozwinęli. Oprócz Krasińskiego poznał tu Konstantego Gaszyńskiego, Dominika Magnuszewskiego, Leona Ulrycha. Jak ta młodzież, tak i Koźmian wziął bardzo wcześnie udział w pracach piśmienniczych. Czasopisma nasze z r. 1830 zawierają niejedną jego poezyą z podpisem S. K., lub S. E. K. (wiersz do Henryety Sontagowéj wyszedł wtedy osobno). W roku następnym, wraz z wielu innymi, czynnym był na innéj Marsowéj arenie. Emigrował następnie do Anglii, gdzie pod przewodnictwem Dudley - Stewarta zaznajomił się z ówczesnemi znakomitościami politycznemi i literackiemi. Nauczywszy się gruntownie jezyka angielskiego, zajął się przekładem Szekspira. W r. 1846 ogłosił piękny wiersz „do mistrzów słowa“, który Zygmuntowi Krasińskiemu przyznawano. W r. 1848, gdy dla niektórych części dawnéj Rzeczypospolitéj szczęśliwszy zdawał się otwierać okres, przeniósł się do Berlina, a choć ten okres zamknął się prędko, nie opuścił już kraju i osiadł w W. ks. Poznańskiém, gdzie brat jego, ksiądz Jan, już od połowy r. 1845 zaczął wydawać miesięcznik, przeniknięty duchem ściśle zachowawczo - katolickim, p. p. „Przegląd Poznański“. Stanisław Koźmian, który od samego założenia czasopisma tego był najpłodniejszym jego spółpracownikiem, podając szczegółowe sprawozdania z ruchu naukowo - literackiego, stał się odtąd spółredaktorem bardzo gorliwym, aż do roku 1865“, w którym „Przegląd Poznański“ wychodzić przestał. Równocześnie pisywał rozbiory literackie do „Gazety Wielkiego księstwa Poznańskiego,“ która od r. 1846 przeszła była pod redakcyą Napoleona Kamieńskiego, a ustała z końcem czerwca r. 1865. Rozbiory te w formie feljetonowéj były pisane jako „Listy z nad Lutyni“. W roku 1862 ogłosił zbiór swoich studyów angielskich w dziele p. n. „Anglia i Polska“ (2 tomy, Poznań). W roku 1866—69 wydrukował dwa tomy „Dzieł Dramatycznych“ Szekspira, podając przekład pięciu utworów (Sen Nocy Letniéj, Król Lir, Dwaj panowie z Werony, Król Jan, Król Ryszard drugi). Od roku 1868 stale osiadł w Poznaniu i jako członek Towarzystwa przyjaciół Nauk uczestniczył w jego pracach, miewając odczyty treści naukowo - literackiéj. Jeden z takich odczytów, odnoszący się do osobistości, która nie tylko w niemieckiéj literaturze, ale i w naszéj odegrała pewną rolę, wy-

szedł osobno w r. 1869 p. n. „Konrad Celtes“. W r. 1870-72 wydrukował w dwu tomach swoje „Pisma wierszem i prozą“. Po śmierci Karola Libelta w r. 1875 został obrany prezesem Towarzystwa przyjaciół Nauk i godność tę piastował aż do zgonu. Ostatnia jego praca większych rozmiarów wyszła r. 1877 w Poznaniu p. n. „Podróż nad Renem i w Szwajcaryi w r. 1846 odbyta“. Talent - to był niepowszedni. Lubo wykształcony w okresie najgorętszego rozwoju romantyzmu, nie uległ całkowicie jego prądowi; ceniąc w klasykach jasność myśli i wyrażenia, poprawność kompozycyi, starał się i w swoich pismach te przymioty zachować, a brak w obcych gorliwie i surowo wytykał. Jako gorliwy obywatel dobro kraju zawsze miał na uwadze, widząc je w stałém trzymaniu się kierunku zachowawczego z silném zabarwieniem katolickiém.

† **Ludwik Wolski** zmarł 26 kwietnia. Urodzony w r. 1819 w Radomiu, ukończywszy szkoły miejscowe, został urzędnikiem w b. Komisyi rządowéj spraw wewnętrznych, gdzie doszedł w końcu stopnia naczelnika oddziału statystycznego. Zajmował się gorliwie statystyką i gieografią królestwa polskiego, a prace swoje w tym kierunku pomieszczał w pismach peryodycznych. Główniejsze z nich są: Rzeki, kanały spławne i handel drogą wodną“ i „Opis jezior w królestwie polskiém“, „Wykaz statystyczny miast królestwa polskiego z r. 1856“; „Wiadomości statystyczne o przemyśle fabrycznym, rzemiosłach i handlu w królestwie polskiém“, „O ludności i jéj ruchu“; „O włościanach“. Te i tym podobne rozprawy mieściły się kolejno to w „Bibliotece Warszawskiéj“ od r. 1849, to w „Kalendarzu wydawanym przez obserwatoryum astronomiczne Warszawskie“ (od r. 1857—60), to w „Dzienniku Powszechnym“ za czasów Wielopolskiego.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

PAN STAROŚCIC BRAŃSKI.

I.

Pierwsza w świat wyprawa.

O wczesnéj wiośnie pamiętnego roku 1733, z Wielkiego Iłowca, wsi o cztery mile od Poznania odległéj, wyjeżdżała dostatnia i wygodna bryczka, zaprzężona trzema końmi, za nią zaś postępowały dwa inne pod siodło. Stary masztalerz, Podhorecki, wiózł w niéj dwóch najmłodszych synów swego pana, a dziedzica W. i Małego Iłowca, ImćPana Krzysztofa Starzeńskiego herbu Lis, którzy z rodzicielskiego domu wyruszali w świat szukać stanowiska i szczęścia, a prócz skromnéj wyprawy, wieźli trzysta złotych polskich w kieszeni. Chociaż drogę mieli przed sobą daleką, nie mógł ich ojciec hojniéj wyposażyć, albowiem potomstwo było liczne a skromne jego dochody płynęły głównie z wełny; to téż pewnego razu nawet z wyprawieniem synów do szkół Jezuickich w Poznaniu, wypadło mu zaczekać aż do czasu strzyżenia owiec. Mimo to nie szczędził pan Krzysztof niczego, by dać stosunkowo jak najlepsze wychowanie dziesięciorgu dzieciom: sześciu synom, co wyrośli silni i wyniośli jak dęby, oraz czterem córkom, które wzrostem dorównywały niemal braciom. Miał przeto o czém do myślenia niezamożny szlachcic wielkopolski, chcąc tak licznéj gromadce zapewnić przyszłość, odpowiednią godności rodu, który począwszy od XV wieku liczył w swém gronie zasłużonych członków;—lecz przy boskiéj pomocy wywiązał się dość szczęśliwie z trudnego zadania. Najstarszego syna, Józefa, wyprawił do saskiéj stolicy króla Imci do Drezna, by tam służył w wyborowym korpusie gwardyi konnéj Augusta II; jakoż młodzieniec przeszedłszy w krótkim czasie stopnie drabanta i wielkiego muszkietera, dosłużył się godności porucznika. Młodszy, Piotr, prze-

znaczony również do wojskowości, szukał fortuny w pułku polskiéj dragonii; Melchior i Paweł wstąpili do stanu duchownego, a mianowicie pierwszy został Jezuitą, drugi Benonitą. Dwaj najmłodsi, Maciej i starszy jego brat nieznanego nam imienia, których spotkaliśmy wyjeżdżających z rodzinnéj wioski, dążyli do Białegostoku, z listem polecającym do późniejszego hetmana, wówczas zaś chorążego koronnego, bogatego i popularnego już wtedy magnata, Jana Klemensa Branickiego, spodziewając się na jego świetnym dworze znaleść los i szczęście. Zasób nauki tych dzielnych młodych ludzi nie był wielkim, lecz obok zalet urody i zręczności fizycznéj posiadali oni gruntowną a w owéj epoce ważną i cenioną znajomość łacińskiego języka, która torowała drogę w świecie i ułatwiała przystęp do każdego zawodu. Do tak pożądanéj biegłości w mowie starożytnych Rzymian, doszli dzięki pilnemu rozczytywaniu się we wzorowych dziełach klasycznéj łaciny; zdaje się, że największy przy tém talent okazał najmłodszy syn właściciela Iłowca, Maciej, skoro jemu właśnie przypadł w dziedzictwie niewielki zbiorek najlepszych autorów rzymskich, który wraz z innemi zapasami wiózł z sobą na bryczce.

Piętnastoletni zaledwie pan Maciej, zostawszy członkiem urządzonego na wielką skalę Białostockiego dworu, znalazł w nim doskonałą pod wielu względami szkołę życia i rycerskiego rzemiosła. Pora, w któréj zawital do Białegostoku, nie była wcale pokojową. Po zgonie Augusta II wybuchła zacięta walka pomiędzy zwolennikami Stanisława Leszczyńskiego, obranego królem po raz drugi przez kilkadziesiąt tysięcy szlachty, a pomiędzy Augustem III, narzuconym Rzeczypospolitéj przez postronne mocarstwa. Branickiemu, jako chorążemu koronnemu, wypadało trzymać się zbrojnie i być gotowym na usługi ojczyzny, nad którą zawisła groźna chmura. Czytamy o nim, jako o stronniku króla Stanisława, lecz widocznie nie bardzo mu dowierzano, skoro, jak się sam uskarża, regimentarz korony, Poniatowski „zagrzewał go *indiscrete* ordynansami,“ to jest znaczną część jego siły zbrojnéj ściągnął pod swe bezpośrednie dowództwo. To też gdy niedługo potém Poniatowski ustąpił regimentarstwa Józefowi Potockiemu, nabiera chorąży kor. otuchy i prosi go za pośrednictwem Mniszcha, marszałka w. k., aby mu nie odbierał téj garści żołnierza, którą ma jeszcze przy swym boku.

Nadzieja ta zawiodła go w okrutny sposób—zdaje się bowiem, że wkrótce dawniejsze podejrzenia zostały stwierdzone faktami, nie pozwalającemi wątpić, że Branicki przeszedł na saską stronę. Dotknięci zdradą Stanisławczycy, postanowili zemścić się na zmienniku; jakoż już w drugiéj połowie marca r. 1734 wziął go do niewoli na

Rusi Czerwonéj Adam Tarło, starosta jasielski, marszałek konfederacyi dzikowskiéj, i oddał w ręce regimentarza. Więziony przez długie miesiące najprzód w Jarosławiu, następnie zaś dla większego bezpieczeństwa w Kamieńcu Podolskim, w listach błagalnych, jakie śle do Mniszcha, nigdy nie śmie powiedzieć, jakoby się czuł niewinnym, lecz prosi tylko o łaskę i miłosierdzie. Po ośmiu miesiącach ciężkiéj niewoli mówi, że „w téj nieszczęśliwéj sytuacyi swojéj od wszystkich jest opuszczony“ (1). W istocie, praktykowanym wtedy dość powszechnie zwyczajem, widząc, że fortuna odwróciła się od chorążego, porzucili go wszyscy podwładni i tłumnie przeszli do zwycięzcy; pozostał przy nim jedynie szesnastoletni Starzeński, aby z prawdziwém poświęceniem dzielić w kaźni niedolę swego pana. Zacny ten czyn stał się źródłem i zawiązkiem przyszłéj fortuny młodzieńca.

Kiedy sprawa elektora saskiego odniosła stanowczy tryumf, Branicki nietylko odzyskał wolność, lecz z rąk wdzięcznego monarchy, dla którego cierpiał, otrzymał liczne oznaki pańskiéj łaski, w ich liczbie zaś hetmaństwo polne koronne. Gdy przeto do wielkiego majątku, odziedziczonego po przodkach, przybyły liczne królewszczyzny, można było właściciela Białegostoku zaliczać do najmożniejszych w kraju magnatów.

Bezpośrednio po uwolnieniu z więzienia, wyprawił on wiernego młodzieńca do swéj rezydencyi, gdzie tenże miał przebywać pod nadzorem i kierunkiem hetmańskiego sekretarza, Markowskiego. Podróż z Kamieńca do Białegostoku odbył pan Maciej konno, w towarzystwie wiernego masztalerza Podhoreckiego. Stanąwszy na miejscu, od razu wszedł do kancelaryi, i używany do prac biurowych, w chwilach wolnych od urzędowych zajęć, przepisał cały zapas manuskryptów starego Markowskiego, między któremi znajdował się zwięzły, lecz treściwy rys historyi Polski, spis traktatów i przymierzy Rzeczypospolitéj z postronnemi państwami, zbiór praw, statutów i konstytucyi, niemniéj formy procedury cywilnéj i kryminalnéj, zupełny wykład służby wojskowéj, wreście biografie wszystkich znakomitszych w kraju rodzin. Mozolna i na pozór niewdzięczna praca kopisty, odwdzięczyła się niemałą korzyścią pilnemu i żądnemu wiedzy wyrostkowi; nie przepisując bowiem bezmyślnie, lecz zastanawiając się bacznie nad każdym szczegółem, przyswoił on sobie niepospolity zasób wiadomości, które mu się w późniejszém życiu okazały wielce pożyteczne.

---

(1) Kantecki K. Szkice i opowiadania, 313—315.

Pan chorąży koronny nie zapomniał o przywiązanym do siebie młodzieńcu; powróciwszy do domu, przywiózł mu w upominku kosztowną szczero-złotą ładownicę, ozdobioną jego herbem, nadto wyjednawszy ulubieńcowi miejsce towarzysza w pułku jazdy, zatrzymał go jednak przy sobie, przeznaczając do biura wojennego. Sędziwy Markowski przygotowywał sobie w nim następcę, a bystry i pilny pracownik umiał się stać, wkrótce niezbędnym. Branicki zostawszy w r. 1735 hetmanem polnym koronnym, otrzymał dla niego stopień porucznika jazdy w chorągwi królewicza Karola; niedługo potém został Starzeński pisarzem wojska koronnego i starostą sądowym brańskim, lecz była to tylko tytularna posiadłość, gdyż skąpy hetman zastrzegł sobie pobieranie dochodów do końca życia. W ten sposób los młodego starosty był ustalony; ustalał się również zawód starszych braci. Pierwszy z nich, Józef, odstąpiwszy młodszemu szefostwa szwadronu, powrócił do rodzinnéj Wielkopolski, a osiadłszy w dziedzicznéj wiosce, pozyskał zaufanie szlachty, z jéj wyboru otrzymał pisarstwo ziemskie poznańskie, bywał rozjemcą wszystkich sporów okolicznéj braci i posłem na sejm, w końcu zaś otrzymał kasztelanią gnieźnieńską (1763 r.).

Maciej Starzeński łącząc z wzorowem prowadzeniem się trzeźwość, umiarkowanie i oszczędność, mimo dość szczupłych dochodów złożył po niejakim czasie jedenaście tysięcy złotych pol., za skromną tę kwotę nabył od swego dobrodzieja małą wioszczynę Jeżewo, z czternastu poddanymi. Gdy w kilka lat późniéj znalazł się znów w posiadaniu czterdziestu tysięcy, wziął je Branicki na wykupno wsi Złotoryi.

Był to mająteczek nader szczupły w porównaniu z fortunami zamożnéj szlachty podlaskiéj. Lubo zaś stanowisko i takt pana pisarza wojska kor. wywoływały powszechny szacunek, uważano go jednak za obcego na Podlasiu, a znaczniejsze rodziny nie pożądały bliższych związków z przybyszem. I tak napróżno ubiegał się o serce i rękę siostry Kuczyńskich, staréj i zamożnéj szlachty podlaskiéj; wbrew woli panny, wydali ją bracia za wdowca z Litwy, Jundziłła. Tém większe zatém zdziwienie wywołał świetny związek małżeński, jaki utalentowany przybysz zawarł wkrótce potém w dalszéj okolicy. Obowiązki wojskowe zniewalały go do częstych wycieczek do Lwowa i innych miejscowości. Podczas jednéj z takich wypraw zaproszony na wieś, został przedstawiony i polecony ImćPanu Trębińskiemu, podsędkowi lubelskiemu, a ujęty wdziękami piętnastoletniéj jego córki, tak zręcznie wziął się do dzieła, że w przeciągu dwóch tygodni nastąpiły zaślubiny. Do téj szybkiéj decyzyi skłoniły

pannę zarówno osobiste zalety kawalera, jak gorące pragnienia widzenia Białegostoku i Warszawy.

Związek ten sprawił na Podlasiu wielkie wrażenie i wywołał niemały podziw, albowiem Trębiński był obywatelem zamożnym, poważanym i wpływowym, panna zaliczała się do prawdziwych piękności a z dwóch starszych jéj sióstr jedna zaślubiła Dzieduszyckiego, dygnitarza koronnego, druga zaś wyszła za senatora, Szeptyckiego, kasztelana przemyskiego. Podziw wzrósł, gdy młodociana pani Starzeńska zawitała na dwór białostocki. Świeżość jej olśniewającéj urody, wdzięk i urok w obejściu, ujmujące towarzyskie zalety i rozwinięte już w tak młodym wieku talenta do muzyki, śpiewu i malarstwa—zjednały jéj powszechne uwielbienie; sam nawet stary hetman nie pozostał nieczułym na tyle powabów, a żona jego, Izabela z Poniatowskich Branicka, lubo bez słusznego powodu, nie zdołała się niekiedy powstrzymać od napadów zazdrości, tém trudniejszéj w niniejszym razie do zrozumienia, że nie należała wcale do czułych żon...

Ponieważ sądzono powszechnie, że piękna pani wywiera przeważny wpływ na hetmana, widoczną zaś było rzeczą, iż tenże w porze oczekiwanego bezkrólewia odegra pierwszorzędną rolę w Rzeczypospolitéj przeto liczni na białostockim dworze posłowie, rezydenci i wszelkiego rodzaju wysłańcy postronnych dworów obsypywali ją grzecznościami i otaczali nieustannie, co wpłynęło pomyślnie na wykształcenie i umysłowy rozwój młodéj mężatki.

Pierwszym owocem małżeńskiego pożycia państwa Starzeńskich był syn imieniem Michał, bohater naszego opowiadania i zarazem autor obszernych, w języku francuzkim pisanych pamiętników, na których oparliśmy rzecz naszą. Przyszedł on na świat 29 września r. 1757 w pałacu Branickich, w Warszawie (1). Pan hetman tyle względów okazał wtedy uroczej położnicy, że wyjazd swój ze stołecznego miasta zwlókł o kilka dni, chcąc się doczekać jéj wyzdrowienia. Nadzór nad nowonarodzonym powierzył rezydentowi swego pałacu a wysłużonemu majorowi, staremu Szuczkowskiemu. Była to ostrożność wcale nie zbyteczna, gdy bowiem ojciec był cały oddany pełnieniu powinności swego urzędu, matka zaś przedewszystkiém myślała o odzyskaniu sił, oddano malca na mamki do jakiegoś Niemca na ulicy Trębackiéj. Wprawdzie różne zatrudnienia i poważna tusza nie pozwalały majorowi doglądać powierzonego mu dziecka; w pewną nie-

---

(1) Pałac ten, nazwany późniéj domem Dyzmańskiego, leży przy ul. Miodowéj i Podwalu.

dzielę jednak znalazł szanowny rezydent swobodną chwilę na odwiedzenie maleńkiego pupila. Nie mały był tedy podziw i oburzenie starca, gdy go ujrzał w domu, zażywającym nieszczególnéj opinii. Z właściwą wojskowemu żywością, natychmiast biedne dziecię zabrał do swego mieszkania i nie ustąpił, gdy zuchwały Niemiec wytoczył mu proces, dowodząc, iż Szuczkowski naraża na szwank jego dobre imię. Poczciwy major doniósłszy panu Starzeńskiemu, że jedynaka jego wyrwał „ze szpon szatana", ocalone chłopię wyprawił do Białegostoku.

Ale w rezydencyi hetmańskiéj nie łatwo było o pomieszczenie; podobno w pałacu brakło już miejsca dla nowego, choć tak małego lokatora, a może też rozmiłowana w światowych przyjemnościach matka nie chciała słuchać jego płaczu. Drugi pisarz biura wojennego, Sobolewski, wraz z matką i babką zajmował domek w mieście, tuż obok młyna na stawie; jemu więc oddano chłopca. Tutaj spędził on trzy błogie lata; z domku tego wyniósł najmilsze, choć z powodu dziecięcych lat nieco zamglone wspomnienia o wzorowym porządku, czystości i dobrych obyczajach, jakie tam panowały. Olbrzymi hajduk czy kozak nosił go od czasu do czasu przed oblicze rodziców. Nierównie mniéj szczęśliwie płynął mu czas po rozstaniu się z tą zacną rodziną. Mieszkał wtedy w małym pokoiku, z dodanym sobie mentorem, awanturniczym cudzoziemcem, imieniem Drake.

II.

Na Białostockim dworze.

Na schyłku rządów Augusta III Branicki, wówczas jako hetman w. k. i kasztelan krakowski (1762), pierwszy cywilny i wojskowy dostojnik Rzeczypospolitéj i pan olbrzymiéj fortuny, zgromadził w Białymstoku dwór świetniejszy i okazalszy od rezydencyi niejednego udzielnego księcia rzeszy niemieckiéj. Pułk piechoty i dragonów, dwie kompanie piechoty: węgierska i janczarska, jako nieodłączne od osoby hetmana w., stanowiły ciągłą i stałą załogę jego siedziby. Nadto utrzymywał jeszcze hetman z własnéj szkatuły dwa szwadrony, jeden ułanów, drugi tak zwanych forpocztów, złożone z saméj szlachty podlaskiéj. Oddziały te nie ustępowały w niczém wojskom liniowym, a były szkołą dobrych żołnierzy. Oficerowie składali się z Sasów, Prusaków i Polaków, po powrocie z siedmioletniéj wojny umieszczonych w pułkach; nie brakło komendanta placu, była szkoła budowli cywilnych i wojskowych, inżynieryi, miernictwa, jazdy, sala musztry i władania bronią, oraz pensya żeńska.

Służba wojskowa odbywała się tutaj niemal z surowością pruskiego systemu, łagodzonego tylko saską grzecznością i ogładą. Każdego z czynnych adjutantów hetmańskich, czy był Polakiem, czy cudzoziemcem, jeśli tylko nosił tytuł i mundur, wyciągała pobudka ranna bez litości z łóżka. Sam sędziwy wódz tych hufców celował nadzwyczajną punktualnością, która jednak odnosiła się podobno więcéj do formy, niż do treści. Przywykły do rychłego wstawania, już o szóstéj godzinie bywał na nogach. W ciągu pierwszéj godziny w dniu załatwiał sprawy gospodarcze; od siódméj do ósméj przychodzili sekretarze cywilni czytać mu listy i odbierać polecenia do odpowiedzi na nie, poczém do dziewiątéj zabawiał się w towarzystwie zaufanych przyjaciół, rozweselony przez nich niekiedy opowiadaniem drobnych, mniéj więcéj jaskrawych wypadków kroniki dworskiéj. Pomiędzy dziewiątą a dziesiątą stawiali się wszyscy oficerowie załogi z oddziałem służbowym i muzyką wojskową; nigdy bowiem nie uchylał się hetman od udziału w popisach swéj armii. O godzinie jedenastéj oddawał ceremonialną wizytę żonie, poczém szedł na mszę do kaplicy, w końcu podpisywał wszystkie akta i papiery wojskowe. W samo południe zajeżdżał przed pałac powóz, którym Branicki odbywał przejażdżkę, zwiedzał budowy i inne urządzenia, poczém wracał o pierwszéj i śpieszył na pokoje, gdzie zastawał kobiece towarzystwo, zwykły personal pałacowy, komendanta, oraz gości, zatrzymanych na obiad. Poobiednią kawę, jeśli pozwalał stan powietrza, zastawiano w ogrodzie, około trzeciéj zaś rozchodziło się towarzystwo. Wtedy hetman zasypiał lub udawał że śpi, aby się uwolnić od nagabywań,—pani hetmanowa zaś cofała się do swych komnat. O godzinie piątéj następowała ogólna przechadzka najprzód do ogrodu, a daléj do zwierzyńca, gdzie się popisywała wyborna trupa włoskich śpiewaków i balet przy akompaniamencie doskonałéj muzyki. Kończył się dzień wieczerzą, zastawianą o godzinie ósméj tylko dla zwykłych stołowników.

Politycznie, mimo olbrzymich środków, w stanowczych chwilach bezradny, na kartach dziejów nieszczególne pozostawił hetman wspomnienie, lecz przyznać trzeba, że jako prywatny obywatel posiadał nie małe przymioty i zasługi, zarysowujące się tém wydatniéj w obec nieporządnego i chaotycznego gospodarowania współczesnych magnatów polskich, między którymi do nielicznych wyjątków należeli tacy ludzie jak teść hetmański, Poniatowski, Flemming i bracia Czartoryscy.

Służba białostockiego dworu była wzorową i przedstawiała się gościowi świetnie, gdyż dobrze żywiona i płacona, pełniła gorliwie swe obowiązki i usilnie dbała o pozostanie na korzystném dla siebie

miejscu. W przeciwstawieniu do nędzy chłopów innych okolic, we wszystkich majątkach hetmańskich panował dobrobyt, a włościanie zamożni i traktowani po ludzku, nie czuli dotkliwego jarzma poddaństwa (1). Kto nie dorabiał się na roli, znajdował utrzymanie przy budowie licznych domów i gmachów, któremi możny magnat skwapliwie upiększał swoje państwo. Były to budowle trwałe i rzetelnego użytku, jak kościoły, szpitale, zakłady sióstr miłosiernych, klasztory dla duchownych obowiązanych do utrzymywania szkół, instytut dla inwalidów (w Tykocinie), obsługiwany doskonale przez naczelnego lekarza i zręcznych chirurgów itd. Gospodarstwo na folwarkach Branickiego stało, jak wiemy, wyżéj niż, ogólnie biorąc, w całym kraju; na obszernych łąkach pasły się ogromne stada koni wszelkich ras, a między niemi pyszne ogiery z różnych części świata, urocze ogrody zawdzięczały swą świetność umiejętnéj ręce głównego ogrodnika z Holandyi, a oranżerya współzawodniczyła z drezdeńską. Wyprawy myśliwskie hetmańskiéj drużyny trwały zwykle po sześć tygodni, lecz czasu tego używał Branicki o tyle pożytecznie, że w przerwach pomiędzy jedną a drugą walką z niedźwiedziem lub odyńcem, zwiedzał i lustrował swe wioski. Żniwo myśliwskie bywało obfite; nierzadko padało trupem 120 samych wilków, a zwycięski zastęp Nemrodów mógł się słusznie pochlubić, że zabezpieczał okolicę, uwalniając ją od tych groźnych szkodników.

W takim to otoczeniu i wśród takich warunków rósł mały Michał pod dozorem pana Drake. Na szczęście burzliwy Mentor nie wiele się troszczył o Telemaka, zostawiając go całemi dniami w towarzystwie Jasia, syna pułkownika przedniéj straży wojska litewskiego, Andrzeja Węgierskiego, szlachcica wielkopolskiego, który porzuciwszy służbę, objął posadę koniuszego i zarządcy piwnic het-

---

(1) Taki mniéj więcéj sąd wydaje autor naszego pamiętnika. Znajdujący się w zbiorze rękopisów Poznańskiego towarzystwa przyjaciół nauk (nr. 255) oryginalny dokument z datą 7 marca 1724 w Warszawie i z wielką królewską pieczęcią, zawiera wyrok sądu referendarskiego kor. w sprawie skargi sołtysów i wybrańców starostwa brańskiego przeciw J. Kl. Branickiemu, chorążemu kor., staroście brańskiemu i bielskiemu. Skarżący twierdzili, że jego plenipotent Kruszewski, wbrew prawu poodbierawszy im po jednéj włóce z każdego łanu, „onych do wydawania z każdéj włóki odebranéj czynszu i hiberny po złotych dwanaście, od sepu cztery szanki miary brańskiéj, owsa téjże miary tyleż, tudzież do oddawania serów, gęsi, kur, jaj i innych danin przymusza i przez egzekucyą ze dworu zesłaną wyciąga; do pełnienia robocizn, tak w żniwa z sierpem po dni sześć, jako i do wywozu żyta do Brzegu przyniewala, piwa warzenia powodom według prawa wolnego zabrania, i inne *praeiudicia* onym czynić waży się,—urodzony zaś starosta brański tych wszystkich krzywd i agrawacyi czynić nie zakazuje i owszem pozwala. Sąd referendarski (Stefan Potocki, referendarz kor.) skargę oddalił, wysłał jednak komisyą dla zbadania podziału włók i łanów.

mańskich. Był on sercem i duszą przywiązany do hetmana i chętnie by się za niego dał porąbać; jako reprezentant gościnności domu, miał obowiązek zagrzewania do picia. Jak gdyby na karę za grzechy, zaślubił prześliczną kobietkę, która mu zatruła życie. Dom jego był zaledwie o dwadzieścia kroków oddalony od mieszkania państwa Starzeńskich; to też Drake był wspólnym nauczycielem obydwóch chłopców.

Pani Branicka, nie ustępująca innym magnatkom w zamiłowaniu przepychu, otaczała się sześciu paziami, przybranymi po sasku, a pochodzącymi z najlepszych rodzin szlacheckich. Młodzieńcy ci pobierali wojskowe i cywilne nauki, a stary Sas, Egwalt, ich przewodnik, udzielał lekcyj języka niemieckiego, wraz z nimi i małemu Starzeńskiemu, albowiem Drake, niewiadomo czy Szwajcar czy Francuz, utrzymywał, że przedmiot ten nie należy do jego wydziału. Natura tego chłopca, wychowywanego w dość niepospolitych warunkach, była też skomplikowaną i niezwykłą. Żywy, roztropny, uważny, a zarazem swawolny, łagodny i powolny, gdy z nim postępowano łagodnie, uparty i zacięty, gdy mu się zdawało, że doznaje krzywdy, potrzebował umiejętnéj i systematycznéj edykacyi, któraby zapanowała nad jego wrażliwym umysłem, lecz na taką metodę wychowania nie zanosiło się wcale. Zaledwie malec nauczył się biegać, a już go przybrano po huzarsku w pałasz, wojskową czapkę, pióro i buciki z ostrogami. Hetman mając się ruszyć od stołu, udawał, że do wstania potrzebuje obcéj pomocy, wołał więc przystrojonego tak chłopczyka, aby mu podał laskę, czapkę, w końcu i rękę wśród homerycznego śmiechu towarzystwa. Po obiedzie zasypiał Branicki, a mały huzar czuwał tuż, aby muchy nie przerywały słodkiéj drzemki pańskiéj.

Nastały teraz ciężkie dla pacholęcia czasy przedwczesnéj edukacyi, prowadzonéj w myśl panujących pojęć. Zajmowała się nią nieco, o ile czas pozwalał, piękna, zaledwie dwudziestoletnia, lecz niepraktyczna matka; z jéj też, jak się zdaje, zlecenia Włoch Sartini, dyrektor baletu, wystawiał drobne nóżki malca na prawdziwe męczarnie, włożono mu nawet żelazny pręt na plecy, albowiem wydawało się synhedrynowi wychowawczemu, że jest niekształtny, co uchodziło wtedy za straszne nieszczęście. Dwie, wedle własnych jego słów, brzydkie jak grzech śmiertelny wiedźmy, z których jednéj było na imię Barbara, druga zaś zwała się Jabłonowska, pełniły obowiązki policyi poprawczéj. Dręczono biedaka na przeróżne sposoby, jak np. papilotami, a zręczny fryzyer, Francuz, sprzedawał żywicę w formie plastru, który miał zniszczyć ślady drobnego zarostu na młodocianém czole.

Drake był sobie pedagogiem szczególnego nabożeństwa. Należał on do wielkich miłośników płci słabéj, a znalazłszy raz pod tym względem niejaką przeszkodę w skromnéj osóbce swego wychowańca, wymierzył mu tak silny cios pięścią, że ten upadłszy na wznak, zranił się w głowę i opalił sobie włosy. Na szczęście zwabiona łoskotem, przybiegła z pomocą straż, ustawiona przy drzwiach pana pisarza wojska kor.; Drake wzięty pod areszt, utracił posadę, a niewinna ofiara smutnéj katastrofy do końca życia zachowała wstręt ku cudzoziemskim awanturnikom.

Wyswobodzony z więzów pierwszéj w życiu niewoli, dostąpił Michał zaszczytu towarzyszenia matce w podróży do Lwowa, a ztamtąd do Psar, rezydencyi owdowiałéj wtedy babki po kądzieli, pani Trębińskiéj, zacnéj i bogobojnéj kobiety. Wraz z całym swym domem, uważała ona przybyłego wnuczka za ósmy cud świata, podziwiając, że szczebiotał po francusku i niemiecku, rysował, popisywał się różnemi ćwiczeniami i nieźle bębnił. Tutaj, na wsi, rozpoczęła się nowa faza wychowania faworyta, odmienna od poprzedniéj. Odtąd aż do późnych lat żyli w jego wspomnieniach nauczyciel religii i języka polskiego, ks. Popławski, szlachcic z Podlasia, stary i szanowny Francuz, kawaler orderu św. Ludwika, Laskaris i jego rodak Sirris, nauczyciel książąt Sanguszków—wszyscy ludzie poważni i uczeni.

Niestety, zbyt krótko korzystał uczeń z ich nauki; snać już od najmłodszych lat było jego przeznaczeniem nieustannie zmieniać miejsce pobytu i w téj przedwczesnéj tułaczce po świecie, wśród coraz nowych warunków rozpoczynać tylekroć przerywaną edukacyą. Rodzice zawiózłszy syna do Warszawy, umieścili go na pensyi w domu sędziwych Francuzów, państwa Souchet. Codzień w porze obiadu i wieczerzy znajdował się tutaj w towarzystwie sześciu do ośmiu dorastających ładnych panien z dobrych domów polskich, które późniéj widywał jako słynne piękności zalotnego dworu Stanisława Augusta. W towarzystwie tém czuł się szczęśliwym i swobodnym, nabył lepszego akcentu francuskiego, nauczył się różnych gier młodzieńczego wieku i nabrał téj szczeréj, niekłamanéj wesołości, która go nie opuszczała w najcięższych chwilach późniejszego życia.

Ale i na pensyi państwa Souchet nie długo popasał, gdyż odebrawszy go z niéj, umieszczono w kolegium Teatynów (1). Datę

---

(1) Przy ulicy Długiéj, gdzie dom Elerta, następnie własność Ostrowskiego, pisarza aktowego królestwa Polskiego.

owych przenosin możemy dokładnie oznaczyć: działo się to w chwili zgonu Augusta III.

Była to pora nader ważna zarówno w życiu hetmana, jak jego powiernika, Macieja Starzeńskiego, miała bowiem ziścić lub zawieść żywione przez nich oddawna nadzieje. O charakterze i stanowisku pisarza wojska koronnego na białostockim dworze nie wiele się dowiadujemy z naszego pamiętnika, którego autor wspomina o ojcu tylko pobieżnie i ogólnikowo, wypada nam przeto zaczerpnąć wiadomości o nim z innego źródła, a mianowicie z pamiętników Marcina Matuszewicza, zasługujących w ogólności na wiarę, lubo w ustępach poświęconych Starzeńskiemu, grzeszących pewnym doń uprzedzeniem, albowiem pan Marcin uważał się za rywala starosty brańskiego i rzeczywiście miał w nim współzawodnika, ubiegając się o brzesko - litewską kasztelanią.

Starzeński obok niepospolitych zalet umysłu, bystrości i rozumu, miał wadę temperamentu, która nieraz do niego zniechęcała ludzi i nie dozwalała mu pozyskać szerszéj popularności, to jest pewną szorstkość i popędliwość. Matuszewicz mimo swych uprzedzeń zowie go „rozumnym i głębokim“, daléj zaś „uczonym i wielkiéj wersacyi człowiekiem“, a przytacza fakt dowodzący, jak dalece, gdy chciał, umiał przejednać i pozyskać przeciwników, lecz opowiada także o jego „przykrym i niecierpliwym humorze“, który nad tym rozumnym i zręcznym człowiekiem do tego stopnia brał górę, „że ledwo z kim łagodnie postępował“. Podobno zrażona szorstkiém jego obejściem, traciła niekiedy szlachta serce do samego hetmana, ten zaś, co nam się wydaje niezbyt podobném do prawdy, w pewnych chwilach miał większy „afekt okazywać samochwalczemu Matuszewiczowi i nieraz mu jakoby mówił, że go nad starostę preferuje i jeżeli zostanie królem, tedy mnie upewniał, że pierwszym jego będę faworytem...“ To prawda, że „humor“ pisarza wojska kor. dawał się czasami we znaki nawet teroryzowanemu przezeń Branickiemu, lecz ten lubo zniechęcony chwilowo, nie mógł się nigdy obyć bez ulubionego powiernika. Towarzysz jego więzienia w Kamieńcu Podolskim zwyciężał ostatecznie każdego rywala, choćby ten nawet przez czas pewien brał nad nim górę. I tak wkradał się nadzwyczajnie w łaski hetmańskie przybłęda ze Szwajcaryi, Beck, sekretarz cudzoziemskiéj ekspedycyi, „człek bystrego rozumu i wielkich obrotów“, w skutek czego powstała „wielka emulacya“ pomiędzy nim, a starostą brańskim. Pewnego razu polecił Branicki Matuszewiczowi porozumiéć się z Beckiem w sprawie układów z Francyą (r. 1756), lecz w obec Starzeńskiego zachować najgłębszą tajemnicę. Szlachcic niesłychanie tém zdziwiony, że hetman „kazał mu się strzedz

najpoufalszego konsyliarza swego", tajemnicę niełaski pańskiéj tłómaczy faktem dość wątpliwéj wiarogodności, że wszechwładny dotąd powiernik brał i od francuskiego i warszawskiego dworu po 300 dukatów rocznéj pensyi, gdy mu ją zaś cofnął poseł francuski, hr. Broglie, „człowiek żywy i impetyczny"—ochłódł w przyjaźni dla Francyi.

Jednakże panowanie układnego Szwajcara niedługo trwało; gdy kompromitującą go korespondencyą z królem pruskim przejął i odkrył dwór saski (1759), dostał się Beck pod areszt i pod strażą został odesłany do Gdańska, co go tak dotknęło, że „płakał i ryczał od płaczu", a otrzymawszy szczupłą pensyą od skąpego Fryderyka II, „zaczął z frasunku pić" i umarł wkrótce.

Starzeński podtrzymywał plany swego pana zostania królem, sam wedle utrzymującéj się dotąd w rodzinie tradycyi, dążył do pozyskania po nim buławy. Twarda rzeczywistość nie odpowiedziała błogim nadziejom, a roli odegranéj przez zgrzybiałego hetmana podczas bezkrólewia, nie można nazwać szczęśliwą. Trudną też była walka z nieprzyjacielem energicznym, na wszystko zdecydowanym, nie wzdrygającym się przed żadnym środkiem, podczas gdy po stronie tak zwanych „patryotów" była chwiejność i bezradność, gdy w przeddzień akcyi książe Panie-Kochanku ciągle się zapijał, a Branicki choć stojący nad grobem i bezdzietny, nie chciał słyszéć o wydatkach, niezbędnych dla przygotowania się do zwycięzkiéj walki, pod wrażeniem sprzecznych rad swego otoczenia nie umiał się zdobyć na szybką decyzyą i zbyt wiele liczył na obcą pomoc, która go zawiodła, jak się żali w jednym z listów do rządu francuskiego. To też nie dziw, że potém musiał się schronić do węgierskiego Bardyowa i patrzéć, jak jego armia topniała nakształt wiosennego śniegu.

O udziale starosty brańskiego w tych wypadkach posiadamy nader szczupłe wiadomości; wiemy tylko, że w owym czasie często cierpiał na bolenie wielkie krzyża i łamanie kości w nogach, a zdaje się, że swemu dobrodziejowi udzielał rad pokojowych, albowiem jego syn mówi, że bez zdrowych rad pana Macieja, byłby Branicki wzniecił płomień wojen domowych.

Niepowodzenia i klęski bywają złymi doradcami; zwykły one wszędzie, a zwłaszcza w Polsce, usposabiać do podejrzeń i posądzeń o zdradę, gdyż do naturalnych popędów ludzkich należy składanie przyczyny własnych nieszczęść na obce barki. Sądzę, że w podobny sposób należy sobie wytłómaczyć chwilowy brak zaufania, okazany staroście brańskiemu przez hetmana, pod wpływem obcych podszeptów. W dniu 28 czerwca 1764 r. odbyła się w Bardyowie narada, w któréj uczestniczyli, oprócz hetmana, biskup krakowski, woje-

woda wołyński, wojewoda lubelski, kasztelan łęczycki, generał Mokronowski, starosta leżajski Potocki i pułkownik Poniński. „Starosta brański“—są słowa historyka, czerpiącego z urzędowych źródeł, który zawsze się znajdował na radach, wykluczony z téj rady“. Biskup krakowski, Sołtyk, dotychczasowe klęski przypisuje zdradzie, w tajemnéj z hetmanem rozmowie do łez go porusza, zupełnie opanowuje przygnębionego starca, odtąd mu służy za sekretarza, wydaje manifesta i ordynanse wedle własnego upodobania, kasztelana łęczyckiego zaś używa za kopistę (1).

Chwilowe to usunięcie Starzeńskiego nie wpłynęło na późniejszy stosunek hetmana do dawnego powiernika. Siedmioletni jego syn zawsze pod nadzorem majora Szuczkowskiego, znalazł nowy przytułek w konwikcie, czyli w tak zwaném *collegium nobilium* o. o. Teatynów. Umieszczono go tutaj wraz z czterdziestu towarzyszami w ogromnym salonie, rozdzielonym na wzór stajni na dwadzieścia przegród; pewna ilość szczęśliwszéj dziatwy miała osobne pokoje.

O. Antoni Maria Portaluppi, superior konwiktu, Włoch duszą i ciałem, należał do nauczycieli Stanisława Augusta. Wypadek ten pociągnął za sobą prędkie wyrestaurowanie budynku i sprowadzenie do Warszawy większéj liczby zakonników, a mianowicie podeszłego wiekiem Rotingo, młodszego ojca Labini, Mariani, Piselli i innych. Niemłody już Portaluppi mieszkał w przepysznie urządzonych komnatach, niedostępnych dla profanów, lecz doskonale znanych wszystkim Włoszkom, śpiewaczkom i tancerkom warszawskiego teatru, które niemal co niedzielę i święto przychodziły tutaj na podział haraczu, składanego zakonnikowi z wdzięczności przez Poniatowskich, Czartoryskich i całą „familią“ w postaci najrozmaitszego rodzaju łakoci i przysmaków. Wesołe towarzystwo zaszczycał nieraz swą obecnością książe Stanisław Poniatowski, a złośliwi utrzymywali nawet, że dla jego przyjemności w przybytku kościelnym zgromadzały się śpiewna opera i skoczny balet. Rzecz prosta, że wśród takich stosunków nie zwracano uwagi na czterdziestu okratowanych malców, zaliczanych do motłochu. Rodzice płacili suto za ich utrzymanie; mimo to dziatwa przymierała głodna. Nieoszacowany o. Rotingo ustawiwszy w dwóch celach szafy, pełne przedziwnych konfitur i cu-

---

(1) Biblioteka Ossolińskich, poczet nowy, t. V, r. 1864, Jan Klemens Branicki, przez Ludwika Nabielaka, str. 100. Matuszewicz (IV, 245), który wtedy bawił w Warszawie, opowiadając rzecz *ex auditu*, dopuszcza się przesady. Wedle niego Sołtyk „miał publiczną mowę, wyrażając to, że hetman w. k. tych, których ma przy sobie i którym najwięcéj konfiduje, ma zdrajców swoich domowych, podając w suspicyą Mokronowskiego, Starzeńskiego i pułkownika Węgierskiego.

krów, operował niemi doskonale, z wielką zręcznością, wymieniając je na dukaty. Był także mistrzem w innéj sztuce i jako wytrawny dystylator, przyprawiał cudownie likwory, wody pachnące, czekoladę, a uchodził za nader uczonego chemika i farmaceutę, co mu się wywdzięczało pięknym dochodem i pozwalało błogo płużyć w sukni zakonnika. Ojcowie Labini i Mariani, nie podzielając talentów towarzysza, nie zajmowali się niczém, lecz nie mogli się skarżyć na nudy, płynące z próżniaczego trybu życia, albowiem codzień, o czwartéj po południu zgromadzało się u jednego z nich liczne towarzystwo włoskich kupców, aktorów i pięknych kobiet.

Z takich to figur składało się w siódmym dziesiątku XVIII wieku warszawskie zgromadzenie zakonne Włochów - Teatynów, oddając się tém swobodniéj przyjemnościom światowego życia, że stało pod wysoką protekcyą samego króla JMci, a w odpowiedzi na wszelkie zarzuty mogło wskazać, iż wychowaniec jednego z członków zakonu pozyskał tron i koronę!

Gdy tylu płochych mnichów myślało tylko o sobie, jedynym niemal człowiekiem, który z gorliwością pełnił obowiązek czuwania nad kilku chłopcami oddanymi jego opiece, był Sirelli, krewny kardynała. Prócz niego godzi się wymienić zacnego Ormianina, Mikołajewicza, bez którego nie byłby mógł wcale istniéć rzekomy instytut wychowawczy, miał on bowiem zarząd nad owemi dwudziestu klatkami i czynił co mógł, aby rzecz nie doszła do ostateczności. Natomiast pseudo-nauczyciele, Francuzi, Niemcy i Włosi, byli istnemi karykaturami pedagogów; dopuszczano się też w obec i względem nich wszelkich wybryków i niegodnego rozpasania, które nie miało granic, gdy Mikołajewicz uznojony całodzienną pracą twardo zasypiał. Do stołu z uczniami nie zasiadał żaden Teatyn; i nie dziw, albowiem spleśniały chleb, stęchła mąka, pomięszana z piaskiem kasza i resztki mięsa, składały się na pożywienie biednych dzieci.

Na szczęście od ostatniego niedostatku obronił siedmioletniego Michała, aniołem stróżem przezeń nazwany major Szuczkowski. Przeznaczył on mu do usługi szlachcica kaprala, imieniem Pawlusia, dał pieniędzy na herbatę i inne wydatki, lecz złe pożywienie klasztorne stało się przyczyną niebezpiecznéj choroby kamienia pęcherzowego, który wprawdzie wyszedł szczęśliwie, lecz wpłynął niepomyślnie na dalsze życie pacyenta.

Dbając tak mało o swych uczniów, byli jednak Teatyni bardzo tkliwi na głos opinii i tak dalece ambitni, że żadnemu z wychowawczych zakonów nie chcieli ustąpić pierwszeństwa. Mianowicie wzniecila się rywalizacya pomiędzy nimi a ich sąsiadami, Pijarami, którzy dzięki reformie Konarskiego, zażywali w kraju coraz większéj wzię-

tości. Ponieważ zaś uczniowie *scholarum piarum* przygotowywali się do przedstawienia polskiego dramatu bezpośrednio po ukończeniu aktu koronacyi,—przeto i Teatyni, nie chcąc pozostać w tyle, postanowili wystąpić również z widowiskiem dramatycznem, i to włoskiém; dla tego oddana pod ich opiekę dziatwa musiała zarzucić łacinę i francuzczyznę, a uczyć się na gwałt po włosku i wbijać sobie w głowę role w zaimprowizowanym widowisku. Wprzód jednak zaszedł w gmachu klasztornym wypadek, charakteryzujący ówczesny stan polskiego społeczeństwa. Antagonizm, jaki rozrywał wtedy Rzeczpospolitą, rozłączając ją na dwa wielkie stronnictwa, udzielił się nawet pacholętom, które przejmując od rodziców i krewnych ich sympatye i antypatye, zapłonęły niebywałą w tak młodym wieku namiętnością. Pomiędzy kilko i kilkunastoletnimi wychowańcami klasztoru wybuchła zacięta walka polityczna. Jedni z tych zuchów należeli do zapalonych stronników Stanisława Augusta, inni do zaciętych jego adwersarzy. Drudzy, wśród których nie brakło naturalnie bohatera naszego opowiadania, w skutek dziwnego braku tolerancyi zakonników, zostali wyłączeni od udziału w koronacyjnych uroczystościach.

Hetman powrócił do kraju, i już na dworze warszawskim żywiono błogą nadzieję, że przed nowém słońcem ugnie sędziwego kolana, a hołd tak wielkiego pana uświetni obrząd koronacyjny. Stało się inaczéj, bo dumny, choć przygnębiony klęską magnat odmówił przyjazdu do stolicy na koronacyą młodego szwagra; męzkie to postanowienie, jeśli możemy wierzyć naszemu pamiętnikowi, było skutkiem usilnych rad starosty brańskiego. Ten wiedząc co o nim sądzą w Warszawie, pragnąc uniknąć pierwszych wybuchów zawiści przeciwników, a zarazem poratować skołatany stan zdrowia, umyślił wraz z żoną i synem wyjechać do wód w Pirmont. Wyruszono tedy w drogę sześciokonnym powozem i dwoma brykami o czterech i dwu koniach, pełnemi wszelkiego rodzaju zapasów; sam starosta towarzyszył żonie konno, a za nim podążał wierny Pudkowski.

Pierwszym celem podróży był Ilowiec, dom 70-letniego kasztelana gnieznieńskiego, męża trzeciéj z kolei żony i ojca mnóstwa dzieci, które się mieściły w dwóch przyległych domach. Potrzeba wychowania wyjątkowo licznego potomstwa, przeszkodziła kasztelanowi w powiększeniu dziedziczonego majątku; mimo to nie zaciągnął długów, albowiem żył skromnie, a nie mając politycznéj ambicyi, nie potrzebował kaptować, karmić i upajać braci szlachty. Przyjazdowi brata ucieszył się bardzo; to też podejmował go hojnie i nader gościnnie. Nazajutrz zasiadło do stołu czterdzieści osób obojga płci, złożone z synów gospodarza i ich żon, z córek i zięciów, a nad-

to grono prześlicznych panien kilkunastoletnich, które zamieszkali w sąsiedztwie rodzice powierzyli kasztelanowi, aby razem z jego dziećmi pobierały lekcye od nauczycieli języka francuskiego, niemieckiego i muzyki. Składano się na pensye dla metrów, gospodarz zaś ponosił koszta utrzymania.

W Iłowcu złożono walną naradę, w jaki sposób odbywać dalszą podróż. Starosta chciał jechać na samo miejsce własnemi końmi, lecz gdy pani starościna oświadczyła się za pocztą, zdanie jéj przemogło, albowiem pełen galanteryi mąż nie miał zwyczaju stawiać oporu kobietom; puścili się więc pocztą w towarzystwie synowca starosty, umiejącego po niemiecku, panny Jabłonowskiéj i służącego Niemca.

Nie będziemy przytaczali szczegółowego opisu téj przykréj peregrynacyi, w ciągu któréj p. Starzeńskiemu nieraz zapewne przyszło żałować poddania się woli małżonki, ani opowiadali o zdzierstwie niegodziwych celników Fryderyka II w Berlinie i o wielkiéj rewii, urządzonéj przez tego króla. Sam pobyt w Pirmont nie nastręcza dla dzisiejszego czytelnika nic zajmującego; dość powiedziéć, że staroście po smutnych doświadczeniach dawniejszych lat, spędzone tu wśród niekrępowanéj swobody tygodnie, zaliczał do najszczęśliwszych chwil w życiu.

W powrocie wstąpili nasi podróżni do Drezna, gdzie od zamieszkałych Polaków i niemieckich znajomych doznali jak najgościnniejszego przyjęcia, poczém przez Wrocław zjechali do Białegostoku. Hetman upadający pod ciężarem lat i smutnych zawodów, odczuwał boleśnie nieobecność powiernika, do którego rady i pomocy był przywykł, a na zdolnościach i prawości charakteru polegał, mimo przeciwnych podszeptów i własnego, chwilowego zniechęcenia. Sprawy wojenne znajdowały się dotąd w zawieszeniu, z powodu oczekiwanych na tém polu zmian; zresztą na dworze hetmańskim wszystko szło dawnym trybem, choć w skutek niedawnéj katastrofy nie tak swobodnie i wesoło, jak przedtém. Pewien przymus wywołało téż podobno zjawienie się na nim dwóch postaci: Andrzeja Mokronowskiego, ozdobionego orderami św. Stanisława i orła białego, mianowanego brygadyerem z pensyą odstawną i Jakubowskiego, Polaka, który spędził życie we Francyi. Pierwszy starosta brański wpadł na myśl, że Mokronowskiego, który oddawna już odgrywał dwuznaczną rolę, wysłał dwór warszawski, jako swego pełnomocnika, który-by uchodząc za malkontenta, tém większe mógł oddawać sprawie królewskiéj usługi. Jakubowski, przydany mu do boku, miał pełnić téż same obowiązki. Mokronowski, znany ze stosunku z hetmanową, jeden z najpiękniejszych mężczyzn w Eu-

ropie, przebył tyle dziwnych przygód, co Don Kiszot,—towarzysz jego miał celować dowcipem i ułożeniem Sanszo-Panszy. Ostatni, ożeniwszy się w Warszawie, pod tym pozorem jeździł tam i napowrót, a zarazem komunikował generałowi wiadomości, których nie można było powierzać poczcie. Napróżno jednak usiłowali obydwaj pozyskać hetmana obietnicami najwyższych łask nowego dworu; odrzucił on stanowczo wszelkie ofiary, a przezorniejszy niż sądzono, oceniając należycie postępowanie rzekomych przyjaciól, trzymał się od nich zdala, cały zaś wpływ i rząd zostawił w ręku pisarza wojska kor.

Dalszém wychowaniem starościca zajął się jego stryj, Melchior, który w zakonie oo. Jezuitów zajmował był wysokie stanowisko. Trudno było o szczęśliwszy wybór, albowiem zakonnik ten odznaczał się głęboką nauką i talentem pisarskim (tłómaczył z francuskiego i włoskiego, niemniéj pisywał gładkie wiersze), a co najważniejsza, wielkim taktem w postępowaniu i darem pedagogicznym. Można było państwu Starzeńskim powinszować takiego nauczyciela, gdyż tylko człowiek téj powagi, co o. Melchior, mógł wpłynąć zbawiennie na swawolny umysł znarowionego malca, ująć go w należne karby i pokierować nim umiejętnie zarówno pod umysłowym, jak moralnym względem. Zacny stryj umiał hamować żywość wybuchów bratanka i zwracać ją na właściwe tory, umiał wpoić w niego zamiłowanie do nauk i szlachetny zapał do pracy. „Jeżeli umiem cokolwiek—przyznaje wdzięczny uczeń—zawdzięczam to metodzie stryja“. Znajomość języka francuskiego i włoskiego ułatwiła mu wydoskonalenie się w łacinie; zamiast obciążać pamięć gramatycznemi prawidłami, kazał mu nauczyciel tłómaczyć z łacińskiego na polskie i odwrotnie. Owa metoda okazała się w praktyce tak skuteczną, że już po dwóch latach mógł pojętny chłopiec czytywać w oryginale Owidyusza, Cycerona, Tacyta itd.

Stanowisko ojca ułatwiało nadto synowi bliższe zapoznanie się z przedmiotami, obcemi dla uczonego Jezuity. Oficerowie biegli w geometryi, rysunku i wojennéj architekturze, oraz Sękowski, cywilny budowniczy, pozwalali mu korzystać ze swych lekcyj, dzięki czemu stawiając późniéj wiele budynków, nie potrzebował nigdy architektów. Od kapitana Pleinera, Sasa, uczył się konnéj jazdy od Czecha Wakulskiego sztuki robienia bronią, od kapitana piechoty, Prusaka, musztry pieszéj Były generał francuski, Inflantczyk, Trzeciak, dostarczał mu wyborowych dzieł o historyi taktyki wojennéj; to téż po trzech latach pobytu w Białymstoku został starościc kadetem dragońskiego pułku, przywdział mundur porucznika i w tym charakterze przeniósł się do pałacu. Tutaj zajmował go wyłącznie

ojciec, dyktując mu wszystkie korespondencye biura wojennego, nadto przekazując wygotowywanie kopij i utrzymywanie dziennika, który nosił hetmanowi do podpisu. Z nastaniem wiosny cała młodzież Białostocka odbywała piesze ćwiczenia; nasz młodzieniec pełnił tu najprzód obowiązki kaprala, następnie zaś adjutanta przy zacnym instruktorze kapitanie Melitzu.

Przed porą przeniesienia do pałacu, zajmował on wraz z o. Melchiorem pierwsze piętro domu, wystawionego przez Branickiego, za młodych lat dla pewnéj mieszczanki, która następnie wyszła za wójta Białostockiego. Dwie wielkie stajnie, przytykające do domu, przeznaczono na zajazd dla gości, na dole zaś mieściła się gospoda, w któréj obiadowały zwykle osoby świéżo przybyłe, zanim je wezwano na dwór hetmański. Wieczorem zgromadzali się tam oficerowie i urzędnicy biura wojennego, ażeby wytchnąć po całodziennych trudach i rozweselić się kielichem w godzinach, gdy już nie czuwało nad nimi baczne oko pogrążonego we śnie hetmana. Widok tych ludzi, poważnych wiekiem i służbą, składających hołdy Bachusowi, tak wielkim wstrętem przejmował starościca, że przez całe życie miał niewstrzemięźliwość w obrzydzeniu.

Nie zapuszczając się w opis politycznych wypadków, wspomnimy tylko o jednym z epizodów konfederacyi barskiéj, który się rozegrał niemal pod oczyma autora naszego pamiętnika, i stąd téż utkwił silnie w młodocianéj jego pamięci. Na Podlasiu połączyło się z sobą kilku marszałków, dowodzących powiatowemi konfederacyami, a ich drobne oddziały złożyły się na poważną stosunkowo siłę trzech tysięcy ludzi, z tych przynajmniéj siedmiuset żołnierzy należało do wojska księcia Karola Radziwiłła, jemu téż zawdzięczano ośmnaście dział i nieco amunicyi. Wszyscy ci konfederaci mieli równocześnie podstąpić pod Białystok i uprowadzić hetmana, wraz z dwoma pułkami koronnemi, dwiema kompaniami piechoty węgierskiéj i janczarskiéj, wraz z sześciu setkami jazdy, będącemi na własnym jego żołdzie.

Branicki uwiadomiony doskonale o konfederackich zamysłach, wydał stosowne rozkazy pisarzowi wojska kor. Chodziło przedewszystkiém o to, aby nie dopuścić, iżby wojsko koronne walczyło jawnie przeciw Rosyanom. O świcie podążyła mała armia hetmańska na pozycyą, jaką jéj wypadało zająć pomiędzy konfederatami a wojskiem rosyjskiém. Oddział kniazia Galicyna odbył przyśpieszony pochód celem zaskoczenia przeciwnika jeszcze w nocnym obozie, lecz spóźniwszy się podczas przeprawy przez Narew, stanął na miejscu dopiero o godzinie siódméj. Konfederaci natarłszy nań, gdy wychodził ze wsi, zmusili go do cofnięcia się wgłąb błotnistego

lasku; ustawione na sąsiednieh wzgórzach działa, dawały ognia aż do wieczora. Wtedy hetman z powodu późnego wieku i trudnego położenia nie chcący uczestniczyć bezpośrednio w wypadkach, musiał ustąpić niecierpliwości wojsk koronnych, dotychczas bezczynnych i niemych widzów bitwy, a oburzonych okrucieństwem rozpojonego kozactwa; dwustu ludzi z czterema działami poszło w charakterze eskorty parlamentarza, generała Puget. Galicyn stracił wielu ludzi i niemal wszystkie konie; zewsząd otoczony mógł był dostać się do niewoli, lecz konfederaci zaprzestawszy kanonady, położyli koniec zwycięzkiéj walce. Cofnęli się spokojnie, nie mając zaś wodza, ani organizacyi, chybiwszy celu wyprawy, rozłączyli się, a każdy marszałek poszedł swoją drogą.

Ludzie hetmańscy pogrzebali zabitych i pośpieszyli na pomoc rannym; pomieszczono ich w teatrze i w innych budynkach, opatrzywszy wszystkich dość wcześnie. To téż z wyjątkiem może dziesięciu, wkrótce powrócili ranni do zdrowia, i obdarzeni hojnie, opuszczali miejsce chwilowego przytułku; nasz starościc sam sporządzał spis rozdzielonych zasiłków i pasportów, dawanych wyjeżdżającym. W ogólności przyznać trzeba, że lubo zgrzybiały hetman nie przystąpił do konfederacyi, któréj chaotyczność i niedołęztwo nie rokowały w jego oczach powodzenia, jednakże roztropném postępowaniem sprawił wiele dobrego, a mianowicie w epoce powszechnéj ruiny, zachował od zniszczenia dawne województwo podlaskie, to jest powiaty: drohicki, bielski i mielnicki, oraz część Litwy, sąsiadującéj z Białymstokiem. To téż gdy w r. 1773 zgasł bez choroby i bez cierpień, żal po téj niepowetowanéj stracie, był serdeczny i głęboki, a pogrzeb ostatniego potomka sławnego rodu Gryfów Branickich należał do najwspanialszych, jakie kiedykolwiek widziała Rzeczpospolita.

Był to ostatni odblask świetności dawnéj hetmańskiéj rezydencyi; miejsce, gdzie jeszcze świéżo wrzało życie, walczyły namiętności, jaśniał przepych—zaległy wkrótce pustka i milczenie. Niemal nazajutrz po pogrzebie pana tych murów i włości, wypróżnił się i ucichł Białystok do niepoznania. Pułk piechoty liniowéj, przywiązany do godności hetmana, otrzymał rozkaz ruszenia do Lwowa, jazdę wyprawiono do Warszawy, piechotę węgierską i janczarską do Lubomli (?). W Białymstoku pozostali nadal tylko inwalidzi, niezdolni do czynnéj służby, mający tutaj rodziny i domy, jak saski major Klewin, kapitani Boniatowicz i Dessein, porucznicy: Piramowicz, Makomaski, Sobolewski i Makowski: natomiast wyjechali podpółkownicy Zabużański, Abselowicz, kapitan Sękowski, adjutant hetmana i inni. Pan pisarz wojska koronnego przestrzegał bacznie

porządku i czuwał nad tém, aby pojedyńcze oddziały wojska wyruszały w drogę dobrze zaopatrzone, nie mając nic do żądania od dotychczasowéj zwierzchności, oddawał im dzienniki i archiwalne zbiory.

Kurdwanowski, jeden z najstarszych przyjaciół Branickiego, przez śmierć jego utracił dobrodzieja, generał Puget nie mogąc się rozstać z miejscem długoletniego pobytu, wziąwszy dymisyą, zamieszkał w Białymstoku. Ks. Betański, po Becku sekretarz cudzoziemskiéj ekspedycyi, człowiek zacny i ze wszech miar zasłużony, otrzymał probostwo w Tyczynie jeszcze za życia hetmana. Ten nagradzając wierną i nieskazitelną jego służbę, kazał mu wybudować pałacyk wedle planu, jaki sobie sam wyrysował, z innemi bowiem talentami łączył biegłość w malarstwie i architekturze. W kilka lat późniéj znakomite jego zalety wyniosły go na biskupstwo przemyskie. Lekarz nadworny, który czterdzieści lat spędził przy boku hetmana, rodowity Węgier, nazwiskiem Klemens, przeniósł się do Żabina, majątku otrzymanego w nagrodę za wierną służbę. Wyjechała również orkiestra, aktorzy i balet. Słowem wszyscy dawniejsi słudzy i urzędnicy Branickiego pozostali na miejscu lub wyruszyli w świat, zadowoleni ze swego losu, bez pretensyi i żalu do ludzi.

Administracya dóbr zmarłego hetmana była wzorowa; przynosiły one do trzechkroć stu tysięcy florenów rocznego dochodu. Dzierżaw i dzierżawców nie było tu wcale. Potrzeba się było urodzić w służbie Branickich, wychować pod okiem i kosztem hetmana, przebyć młodość przykładnie, w różnych okazyach złożyć dowody rozsądku, kilka lat spędzić pod nadzorem starego komisarza, człowieka wypróbowanéj uczciwości, a dopiero taka przeszłość zjednywała zaufanie. Wsie Ruszcza, Branice i Tyczyn zostawały pod zarządem stryja naszego bohatera, który się ożenił z siostrą znakomitego poety, Ignacego Krasickiego; Tykocin, Choroszcza i Sobolewo pod rządami komisarza Gierzkowskiego. Olbrzymiéj postaci dawny kapitan Otocki piastował godność admirała floty Tykocińskiéj, złożonéj z dwudziestu statków, a zaopatrzonéj w śpichlerze, zdolne pomieścić pięćdziesiąt tysięcy korcy zboża, spławianego co roku do Gdańska.

Ponieważ włościan nie przeciążano pracą i nie wynajdowano nowych pomysłów dla ich uciemiężenia, przeto byli zadowoleni ze swego położenia i spokojni. Zimą przywozili zboże w ziarnie do składów admiralicyi; admirał na czele naładowanéj floty przybywał do Gdańska, a sprzedawszy zboże, wracał do domu z kilkunastu tysiącami czerw. złotych i z zapasami kolonialnych towarów na rok cały. Po opędzeniu wszystkich wydatków, zostawało na 24 czerwca każdego roku piętnaście do dwudziestu tysięcy dukatów.

III.

Wyjazd z Białegostoku i pobyt za granicą.

Na dwa lata przed zgonem hetmana, jak się zdaje, skutkiem wytężonéj pracy, zapadł starosta brański niebezpiecznie na oczy i z poradą lekarzy pojechał na kuracyą do Paryża, w towarzystwie oficera polskiego, rodem Szweda a nazwiskiem Szulca. Ale głośni okuliści francuscy nie poznali się wcale na rodzaju choroby i tak go dręczyli lekarstwami bez najmniejszego skutku, że byłby może z ich łaski zupełnie wzrok utracił, gdyby nie roztropna rada jakiegoś zakonnika, by co prędzéj porzuciwszy stolicę świata i uczonych eskulapów, a przedewszystkiém przystrzygał włosy u powiek w miarę, jak będą rosły, gdyż zapalenie powstało w skutek drażnienia temi włosami nerwów, a bez zalecanego przystrzygania musiałoby pozostać nieuleczoném. Słowa prostego mnicha trafiły od razu do przekonania pacyenta; jakoż puściwszy się niezwłocznie w drogę, dojechał do Gdańska, tu jednak ciężko zaniemógł, i tylko staraniom włoskiego lekarza księżnéj Sanguszkowéj zawdzięczał ocalenie. Przybyła do niego żona, z którą razem po wyzdrowieniu powrócił do domu.

Wtedy już przewidując bliski koniec swego dobrodzieja i polityczne wypadki, a z właściwą sobie bystrością widząc, że bez krewnych w okolicy, bez obowiązanych przyjaciół, których mu się nie udało zjednać, nie wesołym byłby dalszy żywot jego w tych stronach, umyślił się przenieść do galicyjskiéj swéj posesyi Olejowa. Tymczasowo zamieszkał w majętności, nabytéj przez siebie, a oddalonéj o trzy mile od Białegostoku, w Strabli, gdzie zdala od gwaru publicznego życia pragnął pędzić dni, oddany literaturze, gospodarstwu i sielskim rozkoszom. Jedyną, nadzwyczajną nagrodą, jaką otrzymał od hetmana za czterdziestoletnią służbę, był udzielony mu z pozwoleniem Augusta III, tak zwany *consensus ad cedendum* na jego korzyść starostwa brańskiego, z sądownictwem w powiatach bielskim i goniądzkim. Od wielu już lat pełnił obowiązki starosty, bądź to osobiście, bądź przez trzech bezinteresownych i nieskazitelnych sędziów; to téż nie zdarzyło się nigdy, aby trybunał zniósł w owéj porze wyrok dwóch tych grodów. Wiemy już, że niezbyt hojny hetman zatrzymał sobie do śmierci dochody starostwa, staroście zaś przeznaczył tylko łąkę o 40 morgach, która przynosiła rocznie sto wozów wybornego siana. Żywił niém pan pisarz wojska koronnego swe konie rasowe, umieszczone w Jeżewie i Złotoryi, albo-

wiem Strabla była jeszcze wtedy bagnem. Dopiero z chwilą śmierci hetmana, wszystkie dochody starostwa, przechodziły na jego własność.

Z tego wiejskiego zacisza wyrwał starostę bardzo rychło pełen uprzejmości list owdowiałéj hetmanowéj, wzywający go najgrzeczniéj do stolicy. Przybywszy do Warszawy wraz ze synem, zastał Starzeński u pani Branickiéj Joachima Chreptowicza, podkanclerzego w. ks. lit., Andrzeja Mokronowskiego, który pod koniec życia hetmana nie pokazywał się w Białymstoku, ks. Orłowskiego, pijara, który poprzednio zarządzał ogrodem na Zoliborzu, tuż pod Warszawą, oraz Stanisława Karwowskiego. Starostę przyjęto jak najserdeczniéj i poproszono o wzięcie udziału w roztrząsaniu nowego planu gospodarczéj administracyi dóbr pani krakowskiéj. W towarzystwie tem uchodził podkanclerzy za najbieglejszego w teoryi ekonomii, wolnéj od dawnych przesądów; pijar zaś, wsławiony jako ogrodnik, był jego wiernym poplecznikiem. Karwowski najprzód pisarz w biurze wojenném białostockiém, następnie sędzia brański, zajmował się sporządzeniem sumaryusza sądowego archiwum; nie miał on tu wcale wpływu, ani znaczenia.

Komisya ta rozpoczęła swe obrady, a do prowadzenia protokułu wzięto szesnastoletniego starościca, z powodu jego wprawy w szybkiém pisaniu. Większość jéj, stojąca pod wodzą nie wątpiącego o niczém Chreptowicza, żądała odprawienia wszystkich dawnych urzędników i gospodarskiéj służby hetmana, jako niezdolnych do wykonywania przepisów udoskonalonéj metody agronomicznéj— ułożenia sądowéj obrony przeciw osobom, które będą rościły prawo do spadku po zmarłym bezpotomnie, ostatnim z rodu hetmanie (w téj kwestyi otrzyma Karwowski wskazówki i rozkazy od podkanclerzego), sprzedania w jak najkrótszym czasie przepysznego doskonalonego w ciągu wieków, stada złożonego z czterystu koni, a nabycia natomiast mułów i osłów—w końcu uczynienia pomiarów wszystkich dóbr, mianowicie gruntów włościańskich, oczekując ztąd potrojenia dochodów.

W przeciwstawieniu do powyższéj propozycyi, dał starosta brański treściwy obraz majątków zmarłego hetmana; wspomniał, że dostojna wdowa straci rzeczywiście dochody, przywiązane do hetmańskiego urzędu, lecz natomiast oszczędzi sobie wydatków, wypływających z tegoż samego powodu. Zamiast obrony sądowéj i odpornéj akcyi przeciw Potockim, jako spadkobiercom hetmana (1),

---

(1) Dziedziczyły po Branickim dzieci Piotra Potockiego, starosty szczerzeckiego i córka po Janie, staroście Kaniowskim.

należałoby raczéj próbować przyjaznego porozumienia i jeśli można, w jednéj chwili przeciąć niepokończone procesa; starosta gotów osobiście przyłożyć ręki do zawarcia zgody, nie myśli zać wcale doradzać wojny na pióra. Przeciw sprzedaży stada oświadczył się stanowczo. Tak ważnéj zmiany nie godzi się zaprowadzać bez porozumienia ze spadkobiercami, zwłaszcza, że są osobne fundusze, przeznaczone na utrzymanie stada, sprzedaż zaś jest nieuzasadnioną i nie przyniosłaby oczekiwanych korzyści—koń arabski lub turecki zawsze będzie cennym, wartość zaś muła i osła pozostanie stale nizką, Ogólny wymiar gruntów, oraz wszelkie zmiany tak tyczące się folwarków, jak powinności włościan, mogłyby tylko sprowadzić nieład i zamęt, a przyniosłyby tém większą szkodę, jako podjętę nie w dziedzictwie, lecz w dożywotniéj posesyi cudzéj własności.

Trafne te argumenta sam jeden Mokronowski przyjął głośném uznaniem; inni milczeli. Podziękowano staroście grzecznościami, obietnicą orderów i urzędów, których on nie przyjął, oświadczając, że jako o jedyną nagrodę, prosi o względy kasztelanowéj krakowskiéj.

Wkrótce potém na wyraźną zachętę téj pani, wysłał Starzeński do Lipska swego syna wraz z osieroconym już Janem Węgierskim. Po pełnéj drobnych przygód podróży stanęli obaj najprzód w Warszawie, gdzie starościc widział cały dwór a na nim piękne twarzyczki z pensyi Soucheta—następnie zaś w domu sędziwego, lecz zawsze jeszcze czerstwego stryja, w towarzystwie powabniejszych z każdym dniem pensyonarek. Ostatnie dni karnawału spędzili młodzi podróżni w Poznaniu, a najlepiéj bawili się na wielkiéj reducie maskowéj. Pan Michał, lubo niedawno wyrósł z lat chłopięcych, wedle własnych słów znał już maskarady, to też intrygował wszystkie kobiety, nie szczędząc praktykowanych przy tém konceptów i dowcipów. W końcu zabawy, gdy już publiczność po większéj części rozeszła się do domu, pozostali zdjęli maski i zawiązał się pomiędzy nimi stosunek znajomości. Starościc spotkał tu wuja, Ksawerego Rostworowskiego, miał zaś zajście z młodym Krzyckim, przybyłym świeżo z Paryża, który mu podobno pozazdrościł względów własnéj siostry. Zręczny i cięty wychowaniec Białegostoku, wsparty powagą wuja i młodych wojskowych, których sobie potrafił ująć, upokorzył przeciwnika, zniewalając go do uznania błędu, lecz przysporzył sobie w nim skrytego wroga, jak bowiem sam pięknie mówi, nie należy nikogo poniżać.

Nazajutrz przedstawili się nasi młodzieńcy w pierwszych poznańskich towarzystwach: u pani Gurowskiéj, kasztelanowéj przemęckiéj, u Mycielskiego, starosty koźmińskiego, Górzeńskiego i wie-

lu innych. Zapoznali się także z „miłemi" pannami Chłapowskiemi, które przyjechały na karnawał w towarzystwie krewnych. Wymogły one na młodych turystach przyrzeczenie, że odwiedzą Turwią, rezydencyą ich ojca, kasztelana międzyrzeckiego; i wprzód jednak pospieszyli do Gołuchowa, do Rostworowskiego, dziada Michała, szanownego i uczonego starca, który spędziwszy całe życie na dworze Augusta II i III, po śmierci ostatniego usunął się w zacisze domowego życia z tytułem szambelana i tajnego radzcy. Ośmioletniego wtedy jedynaka sam wychowywał, podobnie jak poprzednio zajmował się edukacyą dwóch synowców. Z towarzystwa i rozumnych jego rad wiele skorzystali młodzi podróżni; podziwiali w Gołuchowie wzorowe gospodarstwo, czystość i zamożność w chatach włościańskich, suszenie bagien, wybicie kanałów, ogrody, plantacye; otrzymali od hojnego gospodarza wyborowe dzieła o rolnictwie, listy polecające a nawet jako przewodnika i towarzysza podróży jego własnego synowca, Ksawerego, który znał Saksonią równie dobrze jak Wielkopolskę.

Spełniając obietnicę, wstąpili do Turwi. Znaleźli tutaj oddanego Bachusowi kasztelana, jego dwie córki i prześliczną krewną, bez matki lub guwernantki, i zepsutego brakiem nadzoru kasztelanica. Stary Chłapowski dorobiwszy się znacznego majątku i senatorskiéj godności, spoczywał na laurach i folgował bez skrupułu swym nałogom. Niedość na tém; dwa razy dziennie zgromadziwszy całą służbę i wszystkich obdartusów, jakich mu się udało spędzić, kazał im odmawiać pacierze i psalmy. Taki tryb życia gospodarza domu nie mógł być przyjemnym młodemu towarzystwu. Na szczęście uraczywszy się obficie, szedł on spać już o siódméj wieczorem, a wtedy rozpoczynała się dopiero zabawa młodych. Korzystając z dogodnéj sposobności, wyprawił kasztelan do Lipska razem z gośćmi własnego syna.

Stanąwszy u celu podróży, przedstawili się młodzieńcy osobom, do których mieli listy polecające, a więc rektorowi uniwersytetu, dyrektorowi biblioteki, redaktorowi słynnéj Gazety literackiéj, w jednéj osobie, imieniem Bel, dyplomacie angielskiemu lordowi North, tajnemu radzcy Kaudenbachowi, byłemu rezydentowi obydwóch Augustów saskich w Hadze i w Londynie, bankierowi Fregne i innym; nadto mieli rekomendacye do barona Schönfeldt, słynnego z pism agronomicznych. Zarówno Starzeński, jak Węgierski, rozporządzali kwotą po 220 dukatów rocznie; otrzymywali z banku na raz po 50 cz. zł. a z każdego wydatku musieli się co miesiąc wyrachować. Ta potrzeba ciągłych obliczeń wraz z nadzorem bankiera, skłaniała ich do porządku. Natomiast Chłapowski wziąwszy za ukaza.

niem wekslu poznańskiego bankiera całą gotówkę, żartował sobie z towarzyszów, zapominając o francuzkiém przysłowiu: *rira bien, qui rira le dernier.*

Niedługo po przybyciu do Lipska otrzymali niespodziane odwiedziny marszałka dworu księcia Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, wojewody nowogrodzkiego; dał on wyraz zdziwieniu swego pana, że przyjechawszy z Polski, i to z Białegostoku, dotychczas nie byli u niego. Na przymówkę odpowiedzieli grzecznie młodzieńcy, że skoro się urządzą w domu, nie omieszkają złożyć uszanowania księciu, jakkolwiek co prawda nie bardzo łaknęli odnowienia téj znajomości z powodu dumy, uczonéj pedanteryi i dziwactw magnata. Po raz pierwszy widzieli go w r. 1764 w Białymstoku, gdy hetmanowi wręczał urzędownie, nadany mu przez Ludwika XV order złotego runa.

Książę przygotowywał się do tak pięknego obrzędu z hiszpańską wystawnością, a wystąpił w przepysznym stroju kastylijskiego granda i z powagą prawdziwego Kastylijczyka dekorował Branickiego, któremu to odznaczenie miało osłodzić gorycz doznanego ze strony Francyi zawodu. Podczas ceremonii miał Jabłonowski czas zwrócić oko na jednę z panien honorowych hetmanowéj. Ujęty jéj wdziękami, ponieważ nie był podobno najszczęśliwszym w pierwszém małżeństwie, uważał za właściwe zaślubić pannę dobrze wychowaną, która będąc ubogą, zawdzięczałaby mu wszystko. Jakoż ta druga żona w braku posagu wniosła mu tytuł księżniczki Woronieckiéj. Bardzo bogaty, ozdobiony mnóstwem orderów, członek wielu akademij, autor licznych dzieł, dzięki pochlebstwom, jakich mu nie szczędzili uczeni w zamian za obiady i hojne dary—nabrał o swéj wielkości nadzwyczajnego wyobrażenia. Za największą swą zasługę uważał słusznie wydanie własnym nakładem sławnéj mapy Polski Zanoniego, za najznakomitsze zaś dzieło *L'empire des Sarmates.* Odbywał długie i dalekie podróże, zanim osiadłszy w Lipsku, zakupił tu piękny dom na przedmieściu i założył pożyteczną do dnia dzisiejszego instytucyę pt. *Societas Jablonoviana.*

Po przypomnieniu książęcego marszałka, wizyta u Jabłonowskiego stała się konieczną. Przeprowadzono obydwóch gości przez tłum służby, wyłącznie polskiéj, lecz przybranéj po turecku, węgiersku i mołdawsku, poczém zatrzymał ich marszałek dworu uwagą, że się spóźnili o kilka minut, ponieważ zaś książę tak rozłożył godziny, że każda minuta ma swe przeznaczenie, przeto poprosił, aby zechcieli zaczekać w sali cesarzów. Był to długi pokój na trzeciém piętrze, pełen wizerunków cezarów rzymskich, prawdziwych karykatur, pomalowanych na błękitno. Tu ich przyjął Jezuita, znany im z Białe-

gostoku, oświadczając, że wojewoda nowogrodzki zjawi się niebawem na posłuchanie, a zarazem dodał, że uprzejmy gospodarz czyni dla nich jedyny wyjątek, albowiem z zasady nie przyjmuje u siebie studentów. Jakoż nie kazał na siebie czekać zbyt długo; był nader ugrzeczniony i rozprawiał wiele o swych naukowych zajęciach. Zręczny starościc brański mówił o Jadźwingach i starożytnych mieszkańcach Podlasia, o ich zamkach, o pomiarze i katastrze, o którym wiedział z ojcowskich rękopismów, w końcu choć nieszczerze prosił go o radę i opiekę. Słowa te wprawiły księcia w dobry humor, niebawem ukazała się księżna z książką i poszytem w ręku. Poznała ona natychmiast dawnych znajomych z Białegostoku, ci zaś śledzili bacznie, jakie wrażenie na pięknéj kobiecie sprawi przypomnienie dawnych chwil swobodnych, w porównaniu z dzisiejszą niewolą i narzuconą powagą. Biedna kobieta musiała wygłosić lekcyą przy pomocy zeszytu; młodzieńcy powinszowawszy jéj postępów, skrócili odwiedziny, aby dłużéj nie być świadkami bolesnego przymusu. Książę zaprosił ich raz na zawsze na posiedzenia literackie, poprzedzane co tydzień obiadem.

Rektor uniwersytetu, Bel, przekonawszy się o stopniu wykształcenia obydwóch Podlasian, uwolnił ich od lekcyj publicznych, co nam się dziś wydaje dziwném, lecz znajduje poniekąd wytłómaczenie w korzyści, jaką ciągnął z wolnego czasu uczniów. Zajmował on urząd naczelnego cenzora ksiąg, przesyłanych ze wszech stron świata dla sprzedaży na jarmark lipski, z każdego dzieła pobierał trzy egzemplarze: dla biblioteki elektorskiéj, uniwersyteckiéj i dla siebie. Uwolnieni od publicznych prelekcyj młodzieńcy, chętnie mu dopomagali w mozolnym trudzie cenzorskim, czytając książki, zaznaczając ustępy jaskrawsze lub pod jakimkolwiek względem zasługujące na uwagę, wreszcie robiąc wyciągi. Praca ta zaprzątała ich w ciągu dwóch godzin rannych dziennie (od 9 do 11-ej), poczem następowała lekcya robienia bronią i obiad. Od drugiéj do czwartéj po południu brali lekcye matematyki u profesora Borka, od 4—6 zaś lekcye fizyki; druga godzina należała do publicznych prelekcyj.

Więcéj może, niż wykłady profesorów z katedry, rozwijało wrażliwy umysł młodzieńca obcowanie z ludźmi rzetelnéj nauki i znajomości świata. Nie brakło mu tak korzystnych znajomości, lubo nie z wszystkich poleceń, przywiezionych z kraju, mógł tutaj korzystać. I tak przywiązywał wielką wagę do stosunków z głośnym autorem agronomicznym, który przytém jako gospodarz zażywał niemałéj sławy, to jest z hr. Schönfeldem. Ale gdy wyraził chęć zwiedzenia jego wzorowo urządzonych folwarków, których nazwy były wyliczone w książce pod wizerunkiem sławnego męża, odpowiedziano

mu, że wszystkie jego dobra przeszły już w inne ręce, albowiem zaprowadzając coraz to nowe reformy, musiał na nakłady sprzedawać jednę wieś po drugiéj. Między najkorzystniejszemi dla starościca znajomościami należy wymienić sędziwego barona Kaudenbacha, któremu przedłożyl świetne rekomendacye w listach samego króla Stanisława Augusta i Brühla (syna), generała, artyleryi koronnéj. Stary dyplomata po wystąpieniu ze służby żył w Lipsku z jedyną córką, dawno już dojrzałą, lecz wysoce ukształconą i bardzo miłą; młodego Starzeńskiego tak wkrótce polubił, że go zaprosił na stałego gościa wieczorów przez nią urządzanych o siódméj, dwie zaś poprzedzające godziny spędzał z nim sam na czytaniu i grze w szachy. Drwiła młodzież z tych samotnych i jak mniemano, nudnych posiedzeń żywego i rwącego się do życia studenta z sędziwym ex-rezydentem, lecz on mimo młodości był dość roztropnym, aby zrozumiéć, ile ów czas, na pozór marnie spędzony, przyczynia się do jego wykształcenia i umysłowego rozwinięcia. To téż z niewyczerpaną i w tym wieku zadziwiającą cierpliwością czytywał przezorny starościc swemu poważnemu towarzyszowi, pisał pod jego dyktowaniem, notował czynione przezeń uczone i rozumne spostrzeżenia i uwagi, odnoszące się do historyi wieku, do spraw ogólno-europejskich, konstytucyi cesarstwa niemieckiego, dziejów Polskich itd. Tak czynny współudział w pracy światłego i wytrawnego statysty, wpływał bardzo zbawiennie na młody umysł. Po zajęciach naukowych i grze w szachy następowała zabawa w salonie i świetna zwykle kolacya, albowiem baron był bardzo bogaty, posiadał znaczne kapitały w holenderskich i angielskich bankach, oraz nieoszacowane zbiory drogich kruszców, medalów, rycin, starych sreber itd.

Nie tak korzystnie spędzał czas młody Chłapowski, który od swych towarzyszów nierównie mniéj umiał, żartował sobie z ich pilności i pędził hulaszczy żywot. Przyszło nawet między nimi do gwałtownego zajścia, z którego starościc wyszedł obronną ręką jako silniejszy fizycznie i rębacz nielada, już bowiem w Białymstoku nauczyciel robienia bronią Michelis i jego pomocnik, Pasek, uważali go za trzeciego z rzędu pomiędzy swymi uczniami.

Jednostajność nauk i zajęć naszych studentów przerwał przyjazd nowego towarzysza, Komarzewskiego, poleconego im gorąco listami z Warszawy. Był to człowiek już nie młody, liczył bowiem lat 40, jeśli nie więcéj, wysłany z Galicyi na naukę przez generał-majora i ulubieńca Stanisława Augusta, który chciał choć późno uzupełnić edukacyą brata i dać mu tém samém możność zajęcia wyższego stanowiska w społeczeństwie. Lubo brakło przybyszowi wyższego ukształcenia, miał wrodzoną żywość umysłu, dowcip i miły hu-

mor; dotychczas pędził życie wesoło i bez kłopotów, jako plenipotent majątku pewnego galicyjskiego magnata. W Lipsku oddał się szczególniéj matematyce, wojennéj architekturze i inżynieryi, przy czém musiał się tém pilniéj przykładać do pracy, że z obcych języków umiał tylko jeden łaciński. Spędziwszy tutaj rok, wedle planu brata równie długo miał zabawić w Strasburgu, następnie zaś podróżować. Węgierski, jako niezależny, postanowił mu towarzyszyć; tą samą chęcią oddychał starościc, napisał nawet w tym celu do ojca i dziada Rostworowskiego. Jakoż ostatni przysłał już wnukowi weksel na pięćset dukatów, aby się mógł puścić w drogę, skoroby otrzymał ojcowskie pozwolenie. Ale niecierpliwie oczekiwana odpowiedź starosty nie wypadła pomyślnie. Donosił on, że syn uprzedza jego zamiary względem swéj przyszłości; tém nieszczęśliwszym czuje się przeto, że będąc przybyszem w Galicyi, narażony na tysiączne przykrości i kłopoty z powodu zniesienia starych praw a wprowadzenia nowych, nie mając przytém doświadczonego pełnomocnika, na którym by mógł polegać, zniewolony jest do liczenia na pomoc syna. W końcu przyrzeka nawzajem zająć się o tyle jego losem, aby nie żałował poniesionéj ofiary.

Bez wahania zastosował się młodzieniec do ojcowskiego życzenia; w trzy dni późniéj nie było go już w Lipsku (1).

K. Kantecki.

---

(1) Pisałem w r. 1884, przed wyjściem *Złotéj Księgi*, w któréj p. Włodz. Kozłowski pomieścił artykuł o Starzeńskich.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

II.

Oj, dawno już, dawno, mieszkańcy Suchéj Doliny, podejrzywali Pietrusię, wnuczkę ślepéj Akseny, że posiadała ona wiadomości i moce takie, jakich posiadać nie można bez niejakich stosunków z nieczystą siłą. Były to wprawdzie podejrzenia niejasne i przez nikogo głośno nie wyrażane, ale pochodziło to tylko stąd, że wśród niezliczonych trudów i trosk powszedniego żywota nie zajmowano się niemi bardzo, i stąd jeszcze, że nikt nie posiadał jasnych dowodów, aby Pietrusia uczyniła komukolwiek, cokolwiek złego. Niemniéj, podejrzenia te, w stanie zawiązkowym wprawdzie i głuchym, istniały. A jakżeby mogły nie istniéć, skoro pewne okoliczności życia Pietrusi, jako też pewne jéj postępki i cechy charakteru, wyjątkowemi były, to jest, nie zupełnie takiemi, jak wszystkich innych mieszkanek Suchéj Doliny. Te wszystkie inne, na przykład, rodziły się w téj wiosce, przed oczami ludzi, tak, że ludzie pamiętali ich chaciny i dziecięce lata; następnie, po wyjściu za mąż, żyły one w chatach, nie samotnie śród pola stojących, ale rzędem przy sobie zbudowanych, tak, że w jednéj wybornie widać i słychać było wszystkie sprawy i sprawki drugiéj, a życie ich upływało różnie, swarliwie lub zgodnie, pracowicie lub leniwo, dostatnio lub ubogo, jak tam już któréj natura była i Pan Bóg dał, ale tak jak Piotrusia, żonka Michała kowala, nie wychodziła zamąż i nie żyła żadna. Żadna też niewiedziała tyle dziwnych rzeczy, co ona. Skąd ona je wiedziéć mogła? Chyba od ślepéj babki swojéj Akseny, która przed wielu laty przywędrowała tu skądciś z malutką wnuczką, i wtedy jeszcze ślepą nie będąc, prosiła u ludzi o pracę jak o łaskę, a otrzymawszy ją, czyli pełniąc różne służby, to u najdostatniejszych gospodarzy Su-

chéj Doliny, to w pobliskich dworach, Pietrusię swoję na dorosłą dziewkę wyhodowała. Zdawało się, że na to tylko czekała, aby oślepnąć, a gdy to się już stało, nie krzyczała, nie lamentowała, tylko wgramoliwszy się omackiem na piec, kądziel i wrzeciono w ręce wzięła i do wnuczki rzekła:

— Teraz ty duża i chwalić Boga, silna. Możesz pracować i mnie żywić do końca życia mego, tak jak ja ciebie żywiła od maleńkości, kiedy ci ojciec i matka jednego roku zmarli. Na przyodziewek sama sobie zarobię. Prząść i na pamięć potrafię.

Sucha to już wtedy i bardzo stara była babina, z twarzą, która wyglądała tak, jakby ją kto z żółtawéj kości wyrzeźbił, i oczami zaszłemi jakąś białą plewą. Nos miała długi i śpiczasty, wargi tak wyschłe i żółte, że ich prawie widać nie było, czoło w tysiąc drobnych zmarszczek sfałdowane. Przyodziewek jéj był tak mały, że można było uwierzyć, że zarobi nań sobie, na pamięć przędąc. Samodziałowa sina spódnica, fartuch, koszula gruba i czepek z czarnéj bawełnicy tak ściśle i gładko oblepiający głowę, że trochę tylko białych jak mleko włosów, wydobywając się z pod niego, otaczało jéj czoło. Jakby na dowód, że to co mówiła prawdą było, na piecu siedząc, jedną rękę do kądzieli podniosła, a drugą z wrzecionem przed siebie wyciągnęła i prząść zaczęła. Nie widziała nic a nic, ani nawet dnia od nocy rozróżnić nie mogła, jednak z pod palców jéj wywijała się nitka długa, a tak równa i cienka, że i z najlepszemi oczami wyprząść by taką nie łatwo. Od chwili do chwili palce śliniła i nić długą, równą, cienką snuła; w żółtéj i jakby z kości wyrzeźbionéj jéj ręce wrzeciono kręciło się, furczało; wyschłe jéj wargi zarysowały zaledwie widzialny uśmiech, a białkiem powleczone oczy zdawały się patrzéć w twarz wnuczki i mówić:

— A co? widzisz? ja choć ślepa, do niczego jeszcze nie jestem. Tylko strawę mi daj a na przyodziewek sama zarobię.

Pietrusia, siedemnastoletnia podówczas dziewka, zdrowa i rumiana, choć jeszcze jak młoda topola cienka i wysmukła, siedziała na brzeżku pieca i oczy mając pełne łez, już, już wybuchnąć miała wielkim nad kalectwem babki płaczem i lamentem; jednak, widząc, że babka nie płacze, lecz owszem uśmiecha się trochę i wrzecionem furka a furka, pochyliła się, kolana i stopy jéj ucałowała i rzekła tylko.

— *Dobre*, babulo, żywić ja ciebie będę i pilnować jak oka w głowie, tak jak ty mnie żywiła i pilnowała od maleńkości, kiedy mi ojciec i matka jednego roku pomarli. Tak mnie Boże dopomóż, że będę.

Przy ostatnich wyrazach uderzyła się pięścią w piersi i zapłakała trochę, ale niedługo, bo i sama płaksiwą nie była i babka po głowie ją pogłaskawszy, zaraz rzekła:

— Nu, *ciepier* (teraz) do roboty *idzi*. Nie ma czasu bzdurzyć. Piotrowa dziś *nieduża* (słaba), krów sama nie podoi i świń nie nakarmi. Idź krowy doić i świnie karmić.

Poszła i niby żwawy duch skrzętności uwijała się po zagrodzie. Była to zagroda Piotra Dziurdzi, którego żonka chorowała wtedy, albo niedomagała przez lat kilka, a że córki w domu nie było i synowie pacholętami zaledwie będący, żenić się jeszcze nie mogli, więc gospodarstwem kobiecem, za strawę i przyodziewek trudniła się Aksena wprzódy, teraz trudnić się zaczęła Pietrusia. Piotr był gospodarzem dostatnim i mogącym pozwolić sobie na ten zbytek, aby chorą żonę jego, sługa zastępowała. Było to zresztą koniecznością, na której wychodził nie najgorzéj. Jak wprzódy Aksena, tak teraz Pietrusia robiły wszystko co należało, z gorliwością kobiet, które nic a nic na całéj ziemi Bożéj nie posiadając, ludziom którzy coś posiadają, z całych sił zasługiwać się muszą, zasługiwały się téż one jak tylko mogły. Chata Piotra pełną była nietylko pracy niewieściéj, oszczędzającéj i przysparzającéj dobra wszelkiego, ale i czegoś innego jeszcze, co nie będąc do życia niezbędném, uprzyjemnia je przecież i rozwesela. Dwie te kobiety, z których jedna bardzo starą i ślepą, druga młodziutką, żwawą i wysmukłą była, napełniały mu chatę bajkami i pieśniami. Aksena umiała mnóstwo bajek, a Pietrusia mnóstwo pieśni. Były tam bajki i pieśni tutejszéj okolicy właściwe i te, która Aksena przyniosła z sobą z tych stron dość dalekich, z których przed kilkunastu laty tu przywędrowała. Wędrowała, wędrowała, przytułku i pracy szukając, aż tu przywędrowała, przytuliła się wraz z dzieckiem i wszystko co miała mieszkańcom Suchéj Doliny oddała. Bajki z różnych stron pozbierane w wieczory zimowe opowiadała, a pieśni choć już sama nie śpiewała nigdy, to nauczyła ich wnuczkę swoję, któréj żywiołami rodzinnemi zdawały się być: ruch, śmiech i śpiewanie. Skąd u téj sieroty i tułaczki ubogiéj wzięła się żywość i wesołość taka, że porównać-by ją można do ustawicznie tryskającéj, przejrzystéj wody źródlanéj? Trudno powiedziéć. Zapewne w sposób taki utworzyła ją sama natura, a wiele także znaczyło i to, że choć biedy i głodu zaznała czasem, złego obejścia się nie zaznała nigdy. Osłaniała ją przed niém babka, ludziom zasługując się na to, aby jéj nie krzywdzili, a sama za dzieckiem przepadając, jak podróżujący w noc ciemną przepadał-by za jedyną gwiazdą, która-by przyświecała jego samotnéj i kamienistéj drodze. Wszystkich swoich na kamienistéj swéj drodze, Aksena

potraciła: córkę, która urodziwszy Pietrusię, wkrótce potém umarła; zięcia, którego z téj ziemi zdmuchnęło tchnienie zarazy; męża, który z ręką zdruzgotaną w kole młócarni umarł w szpitalu; syna, który poszedł do wojska, kędyś na skraj świata i nigdy już nie powrócił: rozłajdaczył się może i w turmie zgnił, albo go na wojnie zabili... Oprócz tych wszystkich swoich ludzi, straciła ona jeszcze jedną rzecz swoję: mianowicie, wioskę rodzinną, która piasczyste grunta mając, a łąk i pastwisk nie mając, tak ubogą była, że kawałka chleba, gdy go zapotrzebowała dać jéj nie mogła. Nie z własnéj woli, ale z konieczności poszła w świat cudzy. I któż o tém wszystkiém wiedząc, zaprzeczyć-by mógł, albo chociaż dziwić się temu, że wnuczka była dla niéj tą jedyną gwiazdą, która przyświeca ciemnéj i kamienistéj drodze podróżnika. To téż nie biła jéj ona i nie łajała nigdy. Wprawdzie, pocałunkami i pieszczotami obdarzała ją bardzo rzadko; po prostu, nie miała na nie czasu i zawsze zmęczona fizycznie, z twardemi muskułami i silnemi nerwami swemi, potrzeby ich nie czuła. Ale nie zjadła nigdy łyżki strawy, zanim wprzód wnuczki nie nakarmiła, nie kupiła sobie przyodziewku żadnego, zanim ją czysto i cało nie przyodziała; na noc brała ją z sobą na piec i sukienną derką starannie okrywała, w niedzielę i święta śpiewać ją uczyła i opowiadała jéj różne dzieje o dawnych czasach i ludziach, o dalekiéj stronie rodzinnéj, o czartach, upiorach, zbójcach, i—aniołach, które sieroty strzegą i nad niemi srebrzyste skrzydła swe roztaczają. Pietrusia czuła się otoczoną skrzydłem anielskiém i czasem do rówieśnic swych mówić zaczynała:—„Ona, jak ten anioł nademną...“ Lecz nigdy rozpoczętéj mowy nie kończyła. Wyrazów jéj brakowało czy téż wstyd ją ogarniał, że tak śmiało tajemne myśli swe wypowiadać zamierza. Milkła, powieki z długiemi rzęsami na szare źrenice spuszczała i róg fartucha w palcach kręciła. Ale zmięszanie to, jak wszelkie uczucie smutne albo przykre, przemijało w niéj bardzo prędko. Ani w smutku, ani w milczeniu, ani w nieruchomości długo wytrzymać nie mogła. Idąc podskakiwała zwykle, jakby ją do tańca brała ochota, pracując przyśpiewywała sobie; jedząc nawet gadała i gadanie śmiechem przeplatała. Taką już była jéj natura. Po zupełném oślepnięciu babki, na dni kilka spowolniała trochę i umilkła, ale i to jéj prędko przeszło. Aksena nie skarżyła się wcale, owszem, po całych dniach i wieczorach, na piecu siedząc, spokojnie sobie przędła i gdy potrzeba jéj wypadła, z ludźmi rozmawiała, doradzała im i rozpowiadała rzeczy różne, jak gdyby nie wydarzyło się jéj nic osobliwego. Pietrusia, nosiła jéj na piec strawę, dmuchając na nią, gdy była gorącą, kartofle w krupniku łyżką drobiąc, skwarki z zacierki lub kaszy wyławiając. W ręce ślepéj, które

wyciągały się po żywność i w powietrzu błądziły, łyżkę i chléb wkładała, tonem namowy mówiąc:—*Jesz* (jedz), babulu, *jesz* sobie, ja miskę potrzymam. Każdéj niedzieli, z rana, gdy wszystko zrobiła, co tylko w chacie do zrobienia było, z kubłem wody i grzebieniem w ręku na piec właziła i przez całe półgodziny, trudniła się myciem i czesaniem babki. Szmatą umoczoną w wodzie, myła i szarowała twarz jéj tak gorliwie, że przez parę dni potém błyszczała ona zupełnie tak, jakby wyrzeźbioną była z żółtawéj i wypolerowanéj kości. Potém na białe jéj włosy wkładała czepiec z bawełnicy czerwonéj lub czarnéj, a jeśli kiedy, w sobotę, więcéj niż zwykle czasu mając, suto go bawełnianą taśmą wygarnirowała lub wąziutkim i błyszczącym galonikiem oszyła, to już bardzo zadowolona, z lubością przed ustrojoną tak babulą kołysała głową, językiem o podniebienie uderzając i powtarzając: — Ot ślicznie! oj! jak ślicznie! Czerwoném garnirowaniem, albo błyszczącym galonikiem otoczona, kościana twarz staréj, ślepemi oczami swemi, zdawała się surowo wpatrywać w okrągłą, rumianą, roześmianą twarz wnuczki. Żółtym palcem dotykając czepca swego stara pytała.

— A skąd wzięłaś galonik?

— Piotr jeździł do miasta, to go prosiłam żeby kupił.

— A skąd *hrosze* miałaś?

— Z lata jeszcze schowałam, kiedy to żąć chodziłam do dworu.

Stara milkła. W głosie wnuczki słyszała szczerość. Ale po chwili zapytywała znowu.

— A nie udaje się kto do ciebie?

Oczy spuszczając, dziewczyna odpowiadała.

— A udają się. To już ja tobie, babulo, przeszłéj niedzieli mówiła.

— Stepan Dziurdzia?—tonem zapytania szeptała stara.

— Ale!

— A więcéj kto?

— Toż ja mówiła. Michałko Kowalczuk.

— Aha! to nic... Na to ty dziewka, żeby do ciebie *kawaliry* udawali się. Ale galonu od nich nie brałaś, ani paciórek, ani hroszy, ani nic? Nie brałaś?

— Nie brałam.

— Pewno?

— Dalibóg.

— Pamiętaj. Sierotą jesteś i tylko na boskiéj opiece, nie daj się skrzywdzić, bo zginiesz tak jak ta kropla wody w wielkiéj rzece... Ja już teraz na ciebie nie patrzę, ale Pan Bóg patrzy i ludzie także patrzą. Pamiętaj, żeby na tobie grzechu przed Bogiem, a wstydu

przed ludźmi nie było. Kiedy który lubi, niech żeni się, a kiedy żenić się nie chce, to ty jego przy przybliżeniu się wszelakiém, raz, dwa, trzy, w pysk! *taj hodzi*! Dziewczyna powinna być jak ta szklanka, kiedy ją w wodzie krynicznéj wymyją, ot co!

I długo jeszcze staruszka w sposób taki do wnuczki przemawiała, a powtarzało się to każdéj niedzieli. Jednéj zaś niedzieli tak do niéj rzekła.—Jeżeli kogo polubisz i zechcesz koniecznie, żeby on z tobą ożenił się, to powiédz mnie. Ja na to sposób znajdę... Na to już ja twoją babką i jedyną na tym świecie opiekunką jestem, żeby ciebie w każdéj godzinie ratować...

Bardzo zawstydzona, ale zarazem i zaciekawiona Pietrusia szepnęła.

— A jakiż to sposób, babulo?

Stara po cichutku prawić poczęła.

— Wszelakie są na to sposoby. Można nietoperza w mrowisku zakopać i jak go mrówki ze wszystkiém zjedzą, z kosteczek jego jedną taką wybrać; można i ziela takiego poszukać, co nazywa się *zaharduszką*, a korzonki ma takie, jak niby to dwie rączki połączone... Można i innego ziela...

Wszystko to stara prawiła z powagą wielką i tajemniczością niejaką a prawiłaby była daleko dłużéj, gdyby ją była Pietrusia mocno za fartuch nie pociągnęła. Przytém wstydliwie lecz razem radośnie zachichotała.

— *Hodzi*, babulo, szepnęła, *hodzi*! Niczego mi tego nie trzeba. Ani nietoperza, ani *zaharduszki* ani innego ziela nie trzeba. On i tak ożeni się ze mną.

Stara widocznie z natężeniem wielkiem uszy nastawiła.—Który? zapytała.

— A Michałko?

— Kowalczuk?

— Ale.

Babka przyzwalająco pokiwała głową.

— Dobrze, rzekła, dobrze, czemu nie? chatynkę swoję i kawałek swojéj ziemi po ojcach ma. Przytém rzemieślnik... Ajaj! Jakby było dobrze! *Kab tolko* żeniłsia!

— Oj, oj! tryumfująco zadzwoniła Pietrusia, dalibóg ożeni się! mówił mnie nie raz, ale sto razy...

Tak mówiąc rozpromieniła się cała. Z młodziutkich wesołych oczu jéj trysnął snop promieni, zęby jak perły błysnęły z za czerwonych warg. I wielka, niezmącona radość tak ją całą napełniała, że nie mogąc na miejscu wysiedzieć, zeskoczyła z pieca i zaczęła, po izbie kręcąc się, na całe gardło wyśpiewywać.

— Jeść u menie mój mileńki
Wsia maja rodzina,
Jak przyjedzie on do menie
Szczaśliwa hadzina!

Izba była pustą, bo w niedzielny ranek Piotr z Piotrową pojechali do kościoła, a chłopcy na ulicy wiejskiéj z rówieśnikami hulali. Piosenka przez Piotrusię rozpoczęta miała drugą, trzecią i czwartą strofę i dziewczyna prześpiewała je wszystkie, jak fryga zwijając się po izbie, stół mokrą szmatą wycierając, do pieca na gotującą się strawę zaglądając, kury nakoniec, które na środek izby powyłaziły, do ciemnych spędzając podpiecków. Kiedy nakoniec, śpiewanie dziewczyny i gdakanie kur i chrząkanie wypędzonego do sieni wieprzka umilkły, ze szczytu pieca ozwała się Aksena.

— Pietrusia!

— A co?

— *Chadzi tu.*

Wskoczyła na tapczan u pieca stojący i zapytała.

— Co, babulo?

— Ot co. Michałku teraz dwudziesty pierwszy roczek idzie.

— Ale, potwierdziła dziewczyna.

— To to i bieda. Jakże on z tobą ożeni się, kiedy jemu trzeba do wojska iść?

Dziewczynę uwaga ta babki przestraszyła zrazu bardzo.

— Nie może być! krzyknęła.

Stara głową pokiwała.

— Oj dziecko z ciebie gorzkie! albo ty o tém nie wiedziała?

Co ona tam miała o jakiemś wojsku wiedziéć? Ani pomyślała nigdy, że jakie wojska są na świecie. I *miły* nie mówił jéj ani razu, że w *sołdaty* pójdzie, choć o tém dobrze wiedziéć musiał, ale zwyczajnie młody, kiedy lubił dziewczynę, szeptał z nią u opłotka albo i kibić jéj obejmował, wtedy o tém co będzie kiedyś, nie myślał. Stara Aksena, wiele wiadomości o świecie i doświadczenia posiadała. Czy raz już, czy raz w swém życiu widziała chłopców w *sołdaty* branych, którzy wracali nie prędko, nie prędko, a czasem tak jak i jej syn rodzony, nie wracali nigdy! Jeżeli która dziewczyna czekała na nich, rutkę przez życie całe siać była zmuszoną, bo choć powrócił który, to z innem sercem, z innemi myślami. A jeżeli ślub z nim wzięła, zanim w świat poszedł, jeszcze gorzéj było, bo życie sołdatki, to już takie życie, że niech od niego Bóg święty obroni! Wszystkie te i wiele innych rzeczy, długo Aksena do ucha dziewczynie szeptała, aż Pietrusia splótłszy na twarzy ręce, rozpłakała się rzewnemi łzami.

— Nu, tonem perswazyi zaczęła babka, to idź za Stepana Dziurdzię. I on do ciebie chętny a gospodarz z niego dostatni. Słodkie ci życie z nim będzie.

Dziewczyna zatupała po tapczanie bosemi nogami stopy.

— *Za niszto*! (za nic) krzyknęła; żeby tam nie wiem co, Stepanową żonką nie będę.

— Czemu? gospodarz taki i młody i wyrośnięty jak ten dąb i *bratów* ma bogatych.

Pietrusia oczów nie odsłaniała i z ruchami gwałtownéj niechęci i niecierpliwości, wciąż tylko powtarzała.

— *Za niszto*! nie pójdę za niego! nie pójdę! nie pójdę!

I dopiero na gwałtowne dopytywanie się babki, niechęci swéj przyczynę wyznała. Było tam raczéj przyczyn dwie.

— *Hadkij* (wstrętny) mnie on i *wielmi zapalczywyj. Bić budzie*!

Ani słowa przeciw temu Aksena powiedziéć nie mogła. Znala Stepana Dziurdzię oddawna i wiedziała, że istotnie był on gniewliwy, porywczy, łatwy do swarów i bójek. Oczy jego miewały od młodu błyski silnych i srogich namiętności, gesty były prędkie i zapalczywe, głos szorstki i gruby. Pracowitym był, roztropnym w radzie i rozmowie, upijał się bardzo rzadko, gospodarstwo miał dostatnie a długu grosza jednego nie miał; jednak we wsi miru i powagi nie posiadał, bo opryskliwością swą, grubem łajaniem i skorą do bójki pięścią naraził się wszystkim a dziewczęta, to już wprost uciekały od niego, tak się go bały. Kilka razy już do chat różnych swaty posélał i nigdzie go nie przyjęto. Dziewczęta zanosząc się od płaczu, krzyczały w niebogłosy: *bić budzie*! jeszcze kiedy zabije! i rzucały się do nóg rodzicom, błagając, aby nie wydawali ich za tego *Heroda*. Stepan wykrzykiwać począł, że nie dba o te *durne* i pośle swatów do drugiéj wioski, ale w tém, w chacie stryjecznego brata jego, Piotra, Pietrusia dorosła i odtąd Stepan, na żadną inną dziewkę ani spojrzał. W nią oczy wlepił i do chaty braterskiéj chodził a chodził. Przyjdzie bywało, i bez potrzeby żadnéj zasiedzi się na ławie godzinę i dwie. Czasem orać trzeba, albo kosić, albo młócić a on siedzi i za dziewczyną oczami wodzi, na krzątanie się jéj i skoki patrzy, śpiewania jéj słucha i gniewliwa twarz jego łagodnieje tak, że możnaby ją, zda się, niby masło na chleb posmarować. Piotrowi już raz powiedział.

— Biedna ona czy nie biedna, ja do niéj swatów przyślę...

— Przybłęda, zauważył Piotr.

— Przybłęda, czy nie przybłęda, swatów przyślę, żebym tylko u niéj przychylność jaką zobaczył.

Ale przychylności dla niego w Pietrusi nie było ani śladu. Jak Stepan w nią tak ona w Michałka Kowalczuka oczy wlepiła i tak samo jak inne dziewczęta z płaczem teraz babce mówiła.

— *Nie chaczu*! *Za niszto nie chaczu*! bić będzie! jeszcze kiedy zabije!

Po tém, co powiedziała jéj babka o przyszłym a niezawodnym losie Michałka, wypłakała się i znowu krzątać się po chacie i śpiewać zaczęła.

— Ni tam szczaście, ni tam dola,
Hdzie bohaty ludzie,
Kto z miłości sia załuczyć
Tomu miłość budzie!

Przerywając sobie śpiewanie, rzekła.

— Ot, może nie pójdzie... co tam! Może Michałek w sołdaty i nie pójdzie...

Potém dodała.

— Żeby tylko dziś przyszedł...

Aksena, któréj może żal było, że wnuczkę do płaczu gadaniem swem doprowadziła, ozwała się z pieca.

— Rzuć wiennik do ognia.

— A na co? zadziwiła się Pietrusia.

— Rzuć wiennik do ognia, powtórzyła stara, jak spalisz wiennik, goście będą.

Pietrusia wrzuciła w ogień starą miotłę, a gdy dnia tego Kowalczuk przyszedł istotnie do chaty Piotra, uwierzyła święcie w cudowną skuteczność tego środka i doradzała go potém wszystkim rówieśnicom swoim. I czy jedną również dziwną i jeszcze dziwniejszą rzecz Pietrusia ludziom mówiła i doradzała. O tych wszystkich rzeczach dowiedziała się od babki, a ponieważ ustawicznie trzepała językiem, niczego w tajemnicy nie zachowała i nie pomyślała nawet nigdy o tajeniu się z czemkolwiek. Jednak, pomimo wczesnéj mądrości swéj, nie odgadła raz wróżby, która tyczyła się własnéj jéj doli. Dnia pewnego, chleb z pieca łopatą dostawała. Zazwyczaj pieczenie chleba udawało się wybornie. Doświadczone nawet gospodynie dziwowały się zawsze doskonałości jéj pieczywa, szepcąc pomiędzy sobą, że chyba jéj jakaś *siła* dopomaga, kiedy tak nigdy w niczém nie chybi. Siłą tą była istotnie pilność i zręczność dziewczyny, która gdy cokolwiek robiła, to już całą duszą i z dziwną zgrabnością. To téż i teraz, bochny chleba jeden po drugim ukazywały się na łopacie i z łopaty zsuwały się na stół, rumiane, pulchne, w miarę wypieczone, pachnące tak, że aż izba cała zapachniała.

Dobry kęs chleba—wesele chłopa. Piotr siedząc na ławie, z łokciami o stół opartemi, uśmiechał się w zwykły sobie sposób łagodny i poważny; wciąż jeszcze niedomagająca Piotrowa, piorąc jednak u pieca grube szmaty, z uśmiechem też o czemś prawiła; dwaj dorastający chłopcy hałasując, palcami pulchności chleba probowali i jedna tylko doskonała piekarka nie śmiała się i nie uśmiechała nawet. Tak ważną czynność jak wydobywanie z pieca chleba spełniała ona zawsze z policzkami rozognionemi od gorąca, z rękawami koszuli zawiniętemi po łokieć z wydętemi wargami i trochę nawet zmarszczoném czołem. Nagle krzyknęła.

— Aj! aj!

I ostatni bochen chleba na stół zsunąwszy, łopatę, na ziemię upuściła i ręce załamała.—Oj Bożeż, mój Boże! z płaczem prawie zawiodła. Piotr i Piotrowa jednocześnie szyje powyciągali, na chleb spojrzeli i jednogłośnie rzekli.—Pęknięty, czy co?

Nie mylili się. Ostatni bochen chleba wyszedł z pieca nawskróś prawie pęknięty, jakby nożem na dwoje rozkrojony.

— Pęknięty, powtórzyła Pietrusia.

Kilka sekund trwało milczenie, aż z pieca ozwał się stary głos Akseny.

— Któściś odłączy się!

Piotrowa rękę do czoła i piersi poniosła.

— W imię Ojca i Syna... Niech Pan Bóg miłosierny... nas od wszelkiego nieszczęścia broni!

— Któściś odłączy się! powtórzyła stara.

— Z chaty, czy ze wsi? zapytał Piotr.

Aksena po chwili namysłu odpowiedziała.

— Może z chaty, a może i ze wsi, ale któściś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodzi!

Istotnie, odłączył się od Suchej Doliny ktoś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdzi dusznie obchodził; Michał Kowalczuk los wyciągnął i ze wsi wywędrował—do wojska. Przedtém jednak, widziano o zmroku dwoje ludzi, długo siedzących na wielkim, omszałym kamieniu, za wsią, tam gdzie drogi rozchodziły się w cztery strony świata i wznosił się stary, wysoki krzyż. Dwaj parobcy przechodzili tamtędy ze dworu, w którym najmowali się do młócarni, i rozpowiedzieli w wiosce, że Pietrusia na kamieniu pod krzyżem, żegna się ze swoim Kowalczukiem. Mówili o tém śmiejąc się na całe gardło. Zaśmiały się kobiety.—Niechaj żegna się, mówiły, bo to już będzie na wieki wieków, amen.

Wszyscy we wsi jednogłośnie utrzymywali, że Pietrusia pożegnała się ze swoim miłym, na wieki wieków, amen. Powrócić, to

powróci on tutaj pewno, bo swoję ziemię i chatę w Suchej Dolinie ma, ale aż za sześć lat, a sześć lat to dla dziewczyny wiek. Albo za kogo innego tymczasem pójdzie albo i zestarzeje a Kowalczuk jéj nie zechce. Gdzieby on tam za sześć lat jeszcze jej zechciał. Z inném sercem i z innemi myślami z dalekiego świata powróci. Nawet stara Aksena toż samo mówiła wnuczce, która jednak przecząco głową wstrząsnęła i wciąż powtarzała.—Powiedział, że jak powróci, ożeni się ze mną. Powiedział: czekaj ty na mnie, Pietrusia...

— I ty *durna* będziesz czekać?

— Będę.

Stara zaniepokoiła się bardzo, zeschłe wargi jej i kościane policzki często odtąd poruszały się w sposób taki, jakby coś z trudnością wielką w bezzębnych dziąsłach swych przeżuwała. Kilka razy jeszcze do wnuczki rzekła.

— Idź za Stepana, może nie będzie bić, a jeżeli kiedy i wybije, to co? Lepiéj zawsze w mężowskiéj chacie siedziéć, jak przez całe życie na cudzem horować.

Ale na te wszystkie perswazye i namowy Pietrusia jedną tylko miała odpowiedź.

— Nie *chaczu*, nie *pajdu*.

Piotrowa także namawiała ją, żeby za Stepana szła.—Bogaty, mówiła, i pracowity, gospodarny, nie pijący. Będziesz u niego w kupnych perkalach chodzić i sadło łyżką jeść.

Dziewczyna odpowiadała.

— Niechaj Stepanowe sadło świnie jedzą.

Te namowy, które spotykała ze stron wszystkich, obudziły w niéj gniew, pierwszy zapewne w życiu. Zaciskała potém usta i nie odpowiadała nic. Żeby tam niewiadomo co mówili przed nią o Michałku i o Stepanie—milczała. Baby swoje, a ona swoje. One gadają, namawiają, użalają się nad jéj głupotą, łają nawet—ona milczy; krowy bywało doi, czy szmaty pierze, czy świnie karmi, czy chleb mięsi i milczy. Uparła się. Mniemała téż zapewne, że ludzie pogadają, pogadają i w pokoju ją zostawią, pozwalając, aby sobie żyła wedle woli. I byłoby to najpewniéj nastąpiło, gdyby tylko Stepan odczepił się od niéj. Ale on o tém ani myślał. Kilka razy chciał już objąć ją i pocałować to na dziedzińcu, to w ogrodzie, to w oborze; zawsze jednak zdołała ona uciec od niego tak, że ani do uścisków ani do kłótni nie przyszło. Raz przecież przyszedł w niedzielę, kiedy w chacie prócz niéj i staréj Akseny nie było nikogo. Ujrzawszy go we drzwiach Pietrusia skoczyła do komory, gdzie zaczęła niby to groch z worka na wieczerzę do garnka sypać, ale Stepan wnet znalazł się przy niéj i obejmując ją jedną ręką, drugą probował zasunąć

z wewnątrz drzwi komory. Przyczem wyglądał tak strasznie i tak przeraźliwie klął dziewczynę, którą już teraz na pewno, jak mówił, w pułapkę pochwycił, że zrazu krzyknęła ona w niebogłosy i ciemno zrobiło się jéj przed oczami. W mgnieniu oka przecież odzyskała przytomność i może na pamięć przyszły jéj słowa i rady babki, bo z twarzą czerwoną jak piwonia, z iskrzącemi się oczami, zaciśniętemi usty, wyrwała się z objęć chłopa, i obie ręce w górę podniosła. Raz, dwa, trzy w pysk! *taj hodzi!* Stepan jak oparzony z komory wyskoczy a potém i z chaty. Uczynił to głównie dla tego, że usłyszał w sieniach kroki Piotra, a świadka wstydu swego mieć nie chciał. Pietrusia w ogniu i łzach cała, upadła do kolan babki, która na krzyk jéj zsunęła się z pieca i na kiju wsparta, stała przed drzwiami komory, kościanemi szczękami gwałtownie poruszając i bielmem zaciągniętemi oczami zdając się z natężeniem wpatrywać w przestrzeń. I teraz jednak nie wybuchnęła ona ani gniewem, ani lamentem, tylko żółte jéj ręce po chwilowem błądzeniu w powietrzu znalazły głowę wnuczki i ogarnęły ją tak jak gdyby drogi jakiś przedmiot utracony, na nowo chwytały. Po chwili rzekła.

— Nu, Pietrusia, już nam tu niema czego popasywać... Już tobie tutaj dobréj doli nie będzie. Pokłońmy się Piotrowi i Piotrowéj żonie za chléb i za sól i gdzieindziéj *mandrujmy*.

Chléb i sól Pietrusia z łatwością znalazła, bo słynęła już w okolicy całéj za pracownicę wyborną. W małym, sąsiednim dworku szlacheckim wzięto ją za folwarczną dziewkę i pozwolono babkę trzymać przy sobie, z warunkiem, aby za strawę stara przędła dla dworu len i wełnę. W dwa dni po owéj ostatecznéj rekuzie, którą w postaci trzech rozgłośnych policzków Stepan Dziurdzia od ubogiéj sieroty otrzymał, o samym świcie otworzyły się drzwi Piotrowéj chaty i wyszła z nich Pietrusia, w krótkiéj siermiężce i sinéj spódnicy, w płytkich trzewikach i czerwonéj chustce na głowie. Cały przyodziewek swój i babki w płóciennym worku na plecach niosła a u piersi trzymała, owiniętą w płótno przęślicę. Za nią szła ślepa Aksena, w siermiędze także, płytkich trzewikach i czarnym czepcu. Jedną ręką kijem wciąż dotykała ziemi, drugą trzymała mocno rękaw siermięgi wnuczki. Były obie jednostajnie prawie wysokie i szczupłe; wyszły z chaty Piotra i szły przez wieś wyprostowane i milczące. Nad niemi, pod wiosennem niebem, tułały się jeszcze białe mgły nocne, z obu stron stały domostwa pozamykane i nieruchome drzewa ogrodów. Krowy nie ryczały, kury nie gdakały i psy nawet nie szczekały jeszcze. Tu i owdzie tylko, około wrót otwartych, albo za nizkim płotem ukazywała się wcześniéj od innych zbudzona jakaś postać ludzka i ujrzawszy te dwie kobiety w sinem świ-

taniu przez wieś idące, obojętnie albo z litością w głosie je pozdrawiała.

— Z Bogiem idźcie!

One jednogłośnie odpowiadały.

— Z Bogièm zostawajcie.

I szły daléj. Rumiana dziewczyna z wesołemi oczami prostowała się i przyśpieszala kroku a do rękawa siermięgi jéj przyczepiona, stara babka dreptała za nią pośpiesznie, lecz spokojnie, w świat którego nie widziała wlepiając swe ślepe źrenice i dotknięcie jego czując w powiewie rannego wiatru, który dokoła jéj czarnego czepca i żółtéj kościanéj twarzy, podnosił i strzępił białe jak mleko włosy.

Co tam działo się z Pietrusią w folwarku szlacheckim, o trzy wiorsty od Suchej Doliny, mieszkańcy wsi nie wiele o tém wiedzieli. Służyła i koniec. Za mąż nie szła. W rok po wyjściu jéj ze wsi Stepan Dziurdzia, formalnie i według zwyczajów wszelkich swaty do niéj posyłał. Odprawiała swatów z niczém, a Stepan potém przez cały tydzień wódkę pił w karczmie i bił się z kim popadło. Ludzie na dobre mówić już zaczęli, że dziewka cościś mu zrobiła, kiedy tak zapomniéć jéj nie może i desperuje po niéj. Napić mu się czegoś dała, aby nigdy już od niéj nie odstał. I na co jéj to, kiedy go nie lubi i nie chce? Będąca wówczas przy życiu matka Stepana, za syna na Pietrusię rozgniewana srodze, raz rzekła.—Wiadomo. Babkę ma wiedźmę co tylko to i wymyśla, żeby ludziom biedę jaką zrobić. Niebawem przecież Stepan ożenił się z dziewką z sąsiedniéj wioski i gadaniny ludzkie o Pietrusi ustały. Widywano ją rzadko; czasem tylko dziewki z Suchej Doliny, idąc od żniwa lub grabienia spotykały się z nią, gdy także szła do domu z sierpem lub grabiami i mijając dziewczynę, któréj lata za dwudziestówkę już przeszły, niby tak sobie ale w rzeczy saméj do niéj śpiewać zaczynały.

— Hyli, hyli szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chaciela idźci za muż,
Ciepier siedzi i dumaj.

Czasem też ktoś dawno znajomy spostrzegłszy ją, z politowaniem głową pokiwał albo i zażartował.—A cóż, twój Kowalczuk? prędko powróci?

Nie prędko, ale powrócił i było to dla niego rzeczą konieczną, bo miał podewsią, po ojcach odziedziczoną ziemię i chatę, w któréj tymczasem cudzy jakiś człowiek, dzierżawca podobno, gospodarował. Dnia pewnego, w niedzielę, gruchnęła po wsi wieść o tém, że

Kowalczuk powrócił już z wojska i w swojéj chacie porządek z dzierżawcą robi a wieczorem, kiedy mnóstwo ludzi rozmawiało, piło i tańczyło w karczmie, on sam ukazał się tam ale w postaci tak zmienionéj, że zaledwie poznać go zdołano. Gdy wieś opuszczał suchy był jakiś, chuderlawy, na dorastające pacholę więcéj niż na urodziwego mężczyznę wyglądający i tak jak wszyscy chłopi w Suchej Dolinie, ubierający się w sukienną siermięgę albo kapotę z sinego czy czerwonawego płótna. Teraz, gdzie! Lata wojskowych ćwiczeń i marszów rozszerzyły mu ramiona i piersi, a twarz wprzódy bladą, oblały zdrową, głęboką śniadością, zmężniał i wyprostował się; czarny wąs urosł mu nad wargami, oczy patrzały śmiało i roztropnie a miał na sobie nie siermięgę i nie kapotę ale surdut z ciemnego sukna, porządne buty na nogach a na szyi jaskrawą chustkę. W tém ubraniu z papierosem w ręku zjawił się w karczmie a ze stron wszystkich witany i podziwiany, wszystkich nawzajem poznawać i witać zaczął. Od razu poznać można było po nim, że dużo świata widział, porozumniał, wygrzeczniał, ale do wioski swojéj z radością powracał. Dawnym znajomym garniec wódki zafundował i sam parę kruczków wypił, ale więcéj to już za nic nie chciał. Papierosy palił, rozprawiał, o szerokim świecie rozpowiadał i pomiędzy tańczących wmięszawszy się, z dziewczętami *miecielicę* i *kruciela* tak zawzięcie i zgrabnie wywijał, jak gdyby był nigdy ze wsi nie wyjeżdżał. Na środku karczemnéj izby wznosiły się takie chmury pyłu, że mętnie tylko rozróżniać w nich można było ciężkie postacie tańczących parobków i pstrą odzież dziewcząt. Ale Kowalczuka każdy mógłby zaraz wyróżnić w téj gromadzie, wirującéj śród gęstéj kurzawy, nietylko po ciemnym surducie i jaskrawéj chustce na szyi, ale najbardziéj po zręczności i gibkości ruchów. On to z największą fantazyą wykrzykiwał w tańcu: hu, ha! i po kilkudziesięciu obrotach *miecielicy* z najbardziéj zamaszystą gracyą, zdyszaną swą tancerkę dokoła izby oprowadzał. Ze wszystkiemi dziewczętami żartobliwe kłótnie porozpoczynał, ze wszystkiemi choć raz przetańczył, w oczy każdéj zajrzał, jedną nawet wstydliwie od niego uciekającą, pomiędzy piecem a drzwiami schwycił i wycałował—a o Pietrusi ani wspomniał, ani się o nią u kogokolwiek zapytał. Przypomniały mu ją starsze kobiety, które go wprost z pomiędzy tańczących porwawszy, ścisłém kołem obstąpiły i języki porozpuszczały. Tak i tak, z Pietrusią było, mówiły, tak i tak. To i to działo się pomiędzy nią a Stepanem, to i to doradzali jéj ludzie, tam i tam poszła, tak i tak dogryzają jéj czasem i śmieszne pieśni do niéj śpiewają. Kowalczuk słuchał babskiego gadania i śmiał się tak, że aż mu z pod czarnego wąsa białe zęby błyskały, że aż gruby śmiech jego przygłuszał babskie gadanie,

ale nie mówił nic. Ani o Pietrusi, ani o swoich zamiarach nie powiedział jednego słowa i poczęstowawszy baby wódką i sérem, znowu tańczyć i hulać zaczął jeszcze sierdziściéj niż wprzódy. Wtedy, jasno zrobiło się wszystkim, że on już o Pietrusi ani myśli.—Z inném sercem i z innemi myślami powrócił, powiadano. Inni dodawali.—Gdzie jemu teraz o niéj myśléć. Przybłęda ona i tyle tylko, że koszulinę jaką na grzbiecie ma, a już i stara z niéj dziewka, ot chyba już jéj dwudziesty czwarty roczek idzie. On by mógł teraz ożenić się i z panienką jaką...

Może ci, którzy tak utrzymywali, nie mylili się wcale, może istotnie Kowalczuk nie myślał już o Pietrusi i upłynione lata, zaznane wrażenia, zatarły w nim pamięć o dziewczynie i przyrzeczeniach, które po sobie jéj pozostawił. Przez dwa tygodnie ani widział jéj, ani starał się zobaczyć. Powiadano, że ze swoim dzierżawcą wciąż porządek robił, co właściwie znaczyło, że wyprawiał go z chaty, nie bez głośnych kłótni i pretensyj o zrujnowanie gospodarstwa, z któremi nawet do sądów poszedł. Widać było od razu, że zamierzał porządnie rękawy zawinąć do pracy, nietylko rolnéj ale i kowalskiéj, oświadczył bowiem gromadzie, że tak jak dziad i ojciec jego kowalstwem się tu trudnili, tak i on trudnić się niem będzie, czyja więc łaska niechaj do kuźni jego przybywa. W parę tygodni dopiero po swym powrocie, w gorący dzień letni, poszedł sobie drogą, het, daleko, pomiędzy szerokie pola. W białym, płóciennym surducie i wojskowéj czapce na głowie, szedł widać bez celu, zwolna, papierosa palił i z fantazyą przeginał się trochę w obie strony, zwyczajnie jak kawaler dostatni, rozumu swego świadom i którego o nic głowa nie boli... Tak zaszedł aż za brzozowy lasek, jedno z okolicznych wzgórz obrastający, a za którym leżała szmata pola, dojrzałem zbożem okryta. Dziś właśnie, zboże to żąć zaczęto; kilkanaście żniwiarek pochylało się nad złocistą falą, która w miarę poruszania się ich rąk, zdawała się do stóp im się skłaniać, Kowalczuk stanął u skraju lasku i patrzał na jedną ze żniwiarek, która wyprostowawszy się podjęła w ramionach wielki snop żyta i kilka kroków uszedłszy, rzuciła go tam gdzie wiele już innych snopów leżało. Potém, sierpem w powietrzu błysnąwszy pochyliła się znowu i żąć zaczęła; żnąc zbliżała się coraz ku temu miejscu na którém stał Kowalczuk, ale głowy nie podnosiła wcale i tylko ręce jéj poruszały się prędko, coraz prędzéj, krzesząc sierpem tuż nad ziemią stalowe błyskawice. Kowalczuk usta trochę otworzył i w tę żniwiarkę wpatrywał się jak w tęczę papieros niedopalony za siebie rzucił i ręce na piersi skrzyżował. U skraju lasku, pomiędzy brzozami, stał jak słup i pod czarnym wąsem uśmiechać się zaczął. Dostrzegł wyraźnie, że zbliżająca się ku

niemu żniwiarka, jakkolwiek schylona, doskonale wiedziała, że on tam stoi; zerkała czasem na niego z pod powiek, ale nie odzewała się ani słówkiem i głowy nie podnosiła, owszem, coraz prędzéj i zapalczywiéj żęła. Kiedy nakoniec o kilka kroków tylko znalazła się od niego, Kowalczuk odezwał się sam.

— Dobry wieczór, Pietrusia!

Wtedy i ona wyprostowała się, ręce z sierpem na spódnicę opuściła i odpowiedziała:

— Dobry wieczór.

Ale nie patrzała na niego; powieki z długiemi rzęsami okrywały jéj źrenice, profilem ku niemu zwrócona, zdawała się oczekiwać czegoś, albo po prostu, śród pracy przez chwilę odpoczywać. Kowalczuk z gracyą oparł się łokciem o wystający sęk drzewa i mrużąc oczy przemówił znowu.

— Czy to pięknie, taką obojętność dawnemu znajomemu okazywać?

Żniwiarka wzruszyła ramionami i nie podnosząc powiek gniewnym jakby tonem odburknęła.

— Jaka tam obojętność!

— A jakże! czy-to tak Pietrusia przywitać się ze mną powinna?

— Kiedy kto zemną nie wita się, to i mnie witać się potrzeby nie ma.

Kowalczuk opuścił drzewo, o które wspierał się i parę kroków ku niéj postąpił. Oczy jéj były ciągle spuszczone, a ręce z sierpem na spódnicę opadały. Od kilku już godzin żęła, dzień był skwarny i gęste, bujne krople znoju świeciły na ogarzałém jéj czole i policzkach tak prawie czerwonych, jak polny mak, który z ciemnych włosów opadał jéj za ucho. Kowalczuk patrzał w nią jak w tęczę. Zdawało się, że przypatrywał się tak tym kroplom potu, któremi twarz jéj gęsto skropioną była.

— Cóż ty?—zaczął znowu—pracujesz a horujesz...

— Horuję—odpowiedziała.

— Jak ten wół w jarzmie?

— Jak ten wół...

— U cudzych ludzi?

— U cudzych.

— I starą babulę przy sobie żywisz.

— Żywię.

Znowu krok bliżéj ku niéj postąpił.

— A czemu za Stepana Dziurdzię nie poszła? —zapytał.

— Bo nie chciałam—odpowiedziała.

— A namawiali ludzie?

— Namawiali.

— I babula kazała?

— Kazała.

— To i czemuż nie szła? Było iść, we własnéj byś chacie pracowała, w kupne perkale ubierała się i codzień *jajecznię* ze słoniną jadła...

Tym razem, dziewczyna żywo z nogi na nogę przestąpiła i odburknęła.

— Niechaj Stepanową jajecznicę *świnie* jedzą...

— A teraz dziewczęta śmieszne pieśni do ciebie śpiewają, że niby już stara dziewka z ciebie.

Wzruszyła ramionami.

— Niechaj sobie śpiewają.

Kowalikowe oczy roziskrzyły się i ręce zatrzęsły się trochę.

— Co ty tak do mnie, niby gadasz, niby nie gadasz... jak do psa jakiego... Rzuci słoweczko i znów milczy i w oczy nawet nie spójrzy... co ja tobie złego zrobił?..

Tym razem, Pietrusia z rąk sierp upuściła i dłonie do głowy podnosząc, zajęczała.

— Oj, zrobił ty mnie, zrobił, niedolę dla życia całego i pośmiewisko dla ludzi... Dwie niedziele już temu powrócił, a o mnie ani wspomniał, ani nawet przyszedł dobre słowo powiedziéć, ani w tę stronę gdzie ja była spójrzał...

Wstrzymała łzy, które niemal wytryskały jéj z oczu, schyliła się po sierp i czyniąc ruch taki jakby odejść miała, wpół z płaczem, wpół z gniewem zawołała:

— Nie chcesz ty mnie, nie chcę ciebie i ja... *Idzi* z Łabudową córką *żenisia...* najbogatsza w *całom siele* i oczy ma takie, że jedne na prawo patrzy a drugie na lewo... *Idzi* do Łabudowéj córki... z *Bohom* od *menie.*

Otóż te oczy, te oczy, które u Łabudowéj córki zezowate były i przebrzydłe, stanowiły u Pietrusi czar taki, że silniejszego nadeń żadna wiedźma wymyśléć by nie mogła. Zresztą, nic tak bardzo osobliwego w niéj nie było. Równie zgrabnych i świeżych jak ona znaleść by można na świecie mnóstwo. Ale oczy jéj przez to były osobliwemi, że wprost mówiły i wymową swą przyciągały, jak złotym sznurkiem. Opowiadały one całą jéj duszę, o któréj usta wiele mówić ani umiały, ani śmiały. I teraz także, w szarych jéj źrenicach, któremi ogarniała twarz Kowalczuka, było także mnóstwo wyrazów namiętnéj skargi i żałośliwéj prośby, wrodzonéj wesołości i długiéj tęsknicy, że Kowalczuk schwycił ją za rękę i trochę ku sobie pociągnął.

— Na mnie czekając, za Stepana nie szła?—Przyśpieszonym szeptem zapytał.

— A na kogóż?— odszepnęła.

— A ciężko było żyć?

Palcem, na którym od sierpa czy noża pozostała czerwona kresa, łzę z policzka ocierając, odpowiedziała.

— Ciężko.

— Na mnie czekając w takiém horowaniu i ludzkiém pośmiewisku żyła?—pytał jeszcze.

— A na kogóż?

— Pobóż się!

Palce na krzyż złożyła i oczy ku roziskrzonym błękitom nieba podniosła.

— Tak mnie Boże i Najświętsza Panno dopomóż, że za tobą własnéj duszy nie czułam i tak na ciebie czekałam, jak na tego ptaka, co kiedy przyleci to już słońce zaświeci i miła wiosna będzie...

Schwycił ją teraz w pół i do gaju pomiędzy brzozy pociągnął.

— Toż i doczekałaś się, bo jak Bóg jest na niebie, tak cię za żonę wezmę i na gospodynię do swojéj chaty wprowadzę. Zapomniał ja troszkę o tobie, to jest prawda, ale jak tylko twoje horowanie i ten twój ciężki pot zobaczył, to zaraz serce cościś ścisnęło mi jak w kleszczach, a jak twoje oczy popatrzały na mnie, to cościś we mnie rozpłynęło się jak ten miód...

Pośród brzóz, pośród zielonych, w powiewach wietrzyku i świergocie ptastwa, przyciskał ją mocno do piersi, ręką jakby stworzoną do kowadła i młota, z twarzy jéj zcierał pot i łzy, i usta z których wydobywały się śmiech i łkania, pocałunkami zamykał.

Długo potém w Suchéj Dolinie ludzie gadali, że Pietrusia i *temu* także *cościś zrobić* musiała. Bo któż kiedy słyszał, aby chłopiec, szczególniéj jeśli w szeroki świat pójdzie, sześć lat o dziewczynie pamiętał, a jeszcze taki, któremu by najbogatsze dziewczęta wieszały się na szyję; aby ożenił się z dziewką nie tak to już młodą, ze wszystkiém ubogą, przybłędą... Stepanowi zrobiła i temu zrobiła, tylko tamtemu odrobiła potém, a tego już sobie zabrała. Jakieś takie ziele zna, czy co? a może i coś gorszego jeszcze...

(*d. c. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

AFGANISTAN

I JEGO STANOWISKO GEOGRAFICZNO-DZIEJOWE.

Afganistan w ostatnich czasach stał się głośnym jako „magazyn prochowy“ Azyi, a może i Europy; od kilku lat już po raz drugi iskra pada nań, a politycy i geografowie z trwogą i zajęciem natężają uwagę i usiłują przewidzieć, jak dalekie obszary obejmie wybuch. Nie bez interesu więc zapewne będzie i dla naszych czytelników *geograficzny zarys Afganistanu*, jaki tu dać zamierzyliśmy, ze szczególném uwzględnieniem jego geograficzno-strategicznych stosunków.

Interes, jaki obecnie budzi Afganistan, zależy głównie na ciągłém zbliżaniu się rosyjskich bagnetów, ku jego północnéj krawędzi: „orzeł dwugłowy, mówi Vambery, coraz daléj rzuca cień swych skrzydeł od Kaspii i Jaxartu po za Oxus ku podnóżom Hindukuh!“ Stosowném przeto wydaje się nam rzucić przedewszystkiém choć przelotnie okiem na *historyczne i przestrzenne warunki* tego tak ważnego w dzisiejszéj polityce zjawiska.

Od chwili, gdy w roku 1580 „północny Pizarro“ na czele kozackiéj watahy przekroczył „Pas Kamienny“, rozpoczynają się podboje rosyjskie w Azyi i trwają dotychczas; jakkolwiek bowiem kozacy przelecieli, rzec można, galopem Syberyą i po kilkudziesięciu latach stanęli już nad cieśniną Behrynga, to jednak Rosya nie dosięgnęła jeszcze wszędzie naturalnych granic.

Na przestrzeni między zachodniemi odnogami Ałtaju a Uralem stepy południowo - zachodniéj Syberyi zlewają się bez przeszkody ze stepami Turanu (Kirgiskie), ową dziedzinę Arimana „krainą piekielną“ (Tartarya), solno-piasczystą, bezwodną, bezdrzewną, z horyzontem bez końca, tęsknym jak nieziszczone pragnienie; gdzie „każda kropla wody jest kroplą życia“, gdzie samotne drzewa są czczone jako osobliwość i świętość, gdzie powietrze drżące nad rozpalonym

piaskiem tworzy ruchome miraże a słone bagna chłoną wędrowca w swych zdradliwych głębiach; gdzie tumany piasku (Tebbad) w lecie, a śniegu (Buran) w zimie przebiegają pustynię „jak demony“, a w zawody z niemi ruchliwe hordy łupieskie, co „nie spoczywają ani pod cieniem drzew, ani pod opieką króla“, „na koniu nie znają ni ojca, ni matki“, co „łączą się z wrogiem, łupiącym kibitkę ojcowską“—i gdzie tylko nad nielicznemi rzekami „siewcami złota“ (Serafszan) powstało życie osiadłe uciśnione, niewolnicze, pogardzane i pogardy godne (Tadżiki, Sarty).

U wrót takiéj krainy stanęli Rosyanie, podbiwszy Syberyę; tu już i *geograficzne* i *etnograficzne względy* pchały ich naprzód, nie mogli się już powstrzymać, jak kula tocząca się po równi pochyłéj, i od tego czasu posuwają się ku południowi „z żywiołową koniecznością sił przyrody“, „refleksyjnym ruchem człowieka dręczonego przez muchy“. Albowiem na całym tym obszarze, aż do Iranu nie napotkali naturalnéj granicy, pierwsze zetknięcie się z Kirgizami było niby kamykiem rzuconym w mrowisko: pobiwszy jedno plemię, a nieuzyskawszy strategicznéj granicy, wikłali się w wojnę z drugiém; po Kirgizach, Kokańcach, Chiwińcach, Bucharcach przyszła koléj na *Turkomanów.*

Kraj Turkomanów leży między Amu - Darią na północy, północną krawędzią Iranu na południu i morzem Kaspijskiém na zachodzie. Łańcuch skalistych dziko poszarpanych gór, ciągnący się od zatoki Bałkan na południo - wschód do krawędzi Iranu (Paropamizus), pod nazwami: Bałkan, Kiurrendag i Kopetdag, dzieli Turkmenię na dwie części: południową i północną. Południowa część, zasłonięta od północnych wiatrów górami, zraszana wodami Atreku i Giurgienu, żyzna i wydająca płody południa, jest jedną z najrozkoszniejszych krain na ziemi. Pełno tu romantycznych widoków skał stromych, łąk kwietnych, niw bujnych, lasów i kryształowych strumieni spadających w kaskadach ku rzekom głównym. „Tu, mówi pewien podróżny, łączy się wdzięk angielskich krajobrazów, z majestatycznemi formami świata alpejskiego“. Tu spotykamy ślady dawnéj cywilizacyi w ruinach miast i kanałów, na miejscu których obecnie leżą tylko nieliczne wsie Turkomanów, a w pobliżu ujścia Atreku nad morzem Kaspijskiém rosyjski fort Czykislar.

Północna część w ogóle zupełnie odmienny przedstawia widok. Składa się ona z bagnisto-solnéj wyżyny Ust'-Urt między morzem Kaspijskiém i Aralskiém i z piasczystéj pustyni Kara-Kum na południe od Amu - Darii. Jest to kraina bezwodna, nie liczne studnie nad drogami karawanowemi zawierają wodę słonawą, gęstą o nieprzyjemnéj siarczanéj woni. Gorąco dochodzi tu 54°C. a powietrze

napełnia pył tak subtelny, że przenika przez namioty filcowe, pudruje włosy, sprawia zapalenie w oczach i trzeszczenie w zębach. Miryady owadów tak dokuczliwych, że od ich ukąszeń wielbłądy z bólu tarzają się po ziemi, a czasem nawet zdychają. Roślinność tylko zrzadka daje się spotykać i składa się z krzaków ciernistych, roślin solnych i twardéj trawy, stanowiącéj paszę dla wielbłądów. I ta kraina jednak inną była, niegdyś, miała w swych dniach młodzieńczych chwile potęgi i świetności. „Depczemy tu nieraz, mówi dr. Jaworski (1), po milowych zwaliskach, których minioną świetność zdradzają zabytki starożytnéj kultury, o któréj jednak dzisiejsze pokolenia nie mają żadnéj świadomości. I nic w tém zaiste dziwnego, gdyż hordy światoburzców-Czyngischana, Tamerlana i Nadira przeszumiały jak straszliwy huragan po nad tą krainą, a śmiertelne tchnienie pustyni dokonało dzieła zniszczenia". W ogóle Turan jest „krainą upadku, gdzie wysychają źródła, opadają rzeki, rujnują się kanały, morza zamieniają w jeziora, jeziora w kałuże a te ostatnie w wykwity solne, albo przestrzenie piaszczyste". Podanie ludów tutejszych mówi, iż „żaby wypiły morze, a teraz dopijają jego resztek—Kaspijskiego i Aralu" (2).

Tylko na skraju téj pustyni wzdłuż północnych stoków Kiurrendagu i Paropamizu ciągnie się szereg zieleniejących oaz, błogosławionych krain Ormuzda, staczających śmiertelną walkę ze spiekłemi piaskami pustyni Arimana, walkę zupełnie analogiczną do téj, jaką według pojęć egipskich staczał Osiris z Typhonem. Szereg tych oaz u stóp Kiurren i Kopetdagu zowie się Achal-oazą; tu wśród bujnych niw i ogrodów leżą turkomańskie ufortyfikowane auły jak Kizil Arwat i Beurma zdobyte przez Rosyan, Geok-Tepe ów „garczek gliniany", jak go nazywali Rosyanie, który jednak sprawił im wiele kłopotu bohaterską obroną zanim został zdobyty przez Skobelewa (1881 r.). Nakoniec Aschabad. Na wschód od Achal-oazy u stóp Paropamizu nad rzekami spływającemi z Afganistanu (Tedżend i Murghab) już na progu do tego kraju leżą jeszcze dwie oazy Sarachs i Merw, też w ostatnich czasach zajęte przez Rosyę. Ważniejszą z nich jest *oaza Merw.*

Jak żyzny Egipt jest „darem Nilu", tak Merw jest darem bystréj i głębokiéj rzeki Murghab (Marghus starożytnych) spływającéj z Paropamizu. Rzeka ta tworzy na wysokości 900' (3) wązką (2 mile) i długą (30 mil) oazę i ginie w palących piaskach pustyni. Dzięki

(1) Ob. Petermann's Mitteilungen 1883, s. 410.
(2) Ob. Aus Allen Weltteilen 1885, s. 90.
(3) Ob. Peterm. Mitteil, 1884, s. 198.

swéj żyzności tak kontrastującéj z bezpłodnością okolicznéj pustyni, Merw był znany i słynny już w głębokiéj starożytności. Merw to „piękny i święty“ Mouru Zend Avesty, trzecia z rzędu kraina obfitości stworzona przez dobrego Ormuzda. Późniéj u Strabona znajdujemy znów Merw (Margiana), jako nadzwyczaj żyzną oazę, którą Antiochus Soter otoczył murem na 1500 stadyj w obwodzie. Winogrona miały tu rosnąć tak bujnie, że pnie ich zaledwie dwóch ludzi obejmować mogło, a grona bywały na dwa łokcie długie. Podobnież arabscy geografowie sławią żyzność Merwu i zowią go „królem świata“ (Merw Szach Dżechan). Kalif Al Mamun obrał go sobie za rezydencyą, był on wtedy pełen pałaców ogrodów, gajów, strumieni, kwitnął uprawą jedwabiu, bawełny i melonów, był siedliskiem nauk. Upadek zupełny Merwu datuje od końca zeszłego wieku, gdy chan Buchary, zawojowawszy tę oazę, zniszczył groble i kanały, a mieszkańców uprowadził w niewolę. Oaza stała się pustynią; aż dopiero w 1834 roku osiedliło się tutaj jedno plemię Turkomanów i zajęło uprawą zboża i melonów, oraz hodowlą wielbiądów.

Turkomanie, czyli Turkmeni (w liczbie około 1 miliona) są narodem tureckiego plemienia, u którego typ turecki dzięki niedostępności pustyni zachował się najczyściéj; są to, jak się wyraża Vambery, „Turcy *par excellence*“. Turkomanie dzielą się na kilka pokoleń, jako to: Jomudów żyjących nad dolnym Giurgenem, Atrekiem i na północ od niego i należących nominalnie częścią do Rosyi, częścią do Persyi; Goglanów między Atrekiem i Giurgenem (na wschód poprzednich), którzy należą do Persów. Na północ od Jomudów, na półwyspie Mangiszłak żyją podlegli Rosyi Ogurdżale, Szichce lub Szichlary i w ogóle mieszanina różnych pokoleń. Tekowie, pokolenie do niedawna niepodległe najpotężniejsze (blisko połowa wszystkich Turkmenów), dzielą się na Achal-Teków i Merw-Teków, zamieszkujących oazy, od których noszą swe nazwy; Turkmeni Ssaryk i Salera mieszkają nad Murghabem w górę od Merwu i nad Tedżendem.

Co do cech zewnętrznych, to Turkmeni są smukli, ale dobrze zbudowani, łatwo znoszą głód, oraz niewygody klimatu i dalekich podróży. Zmysły wzroku i słuchu nadzwyczaj rozwinięte. Cera ciemna, prawie brązowa, kości policzkowe wydatne, lecz nie tak znacznie jak u Kirgizów. Oczy małe i głęboko osadzone, zmrużone zapewne skutkiem blasku i pyłu pustyni, lecz spojrzenie śmiałe, dumne i pełne zaufania w swe siły. Włosy na głowie i brodzie kruczéj czarności, zęby olśniewająco białe. Tu i owdzie zdarzają się piękne kaukaskie typy w skutek skrzyżowania z perskiemi brankami. Noszą długie szlafrokowego kroju odzienie, czapkę bardzo

wysoką barankową, która chroni od zimna jak również od promieni słonecznych i służy za poduszkę. Strój kobiet tém się różni, że zamiast czapki noszą na głowie szale, oraz różne ozdoby ze złota, srebra i różnobarwnych kamyków, i to w takiéj ilości, że twarz ich, któréj nie zasłaniają, wygląda jak „święty obraz w kaplicy". Za mieszkanie służą namioty filcowe stożkowego kształtu, podobne do uli (Kirghahs). Jedyne ich upiększenie stanowi rozwieszona na ścianach różnorodna broń.

Turkmeni wiodą życie po części osiadłe, po części koczujące. Osiedli zajmują się już-to rybołówstwem, dobywaniem soli i nafty na wybrzeżach i wyspach morza Kaspijskiego, już rolnictwem (pszenica, jęczmień, ryż, proso, a przeważnie rodzaj kukurydzy dżugara, która daje 200 ziarn; z owoców arbuzy i melony). Turkmeni koczujący trudnią się hodowlą bydła, owiec, koni i wielbłądów; jednak uboga kraina zmuszała ich do szukania zyskowniejszego zarobku w rabunkach, w niespodzianych napadach na Chiwę i północną Persyę; Turkoman jest „rabusiem z profesyi". Z tych rabunków zasłynęli szczególniéj Tekowie; wyprawy ich sięgały na mil 150; z jednéj strony przeszkadzali oni handlowi karawanowemu między rosyjskim portem Krasnowodzkiem (nad zatoką Bałkan) i Chiwą, z drugiéj, dostając się doliną Tedżendu do Iranu, zamienili okolicę Meszedu w pustynię. W północnéj Persyi napady ich były postrachem i zarazem podstawą chronologii. Życie takie wyrobiło w Tekach charakter okrutny, témbardziéj że Persowie, gdy im się udało schwycić rabusiów, mścili się na nich straszliwie: „gdy spotkasz, mówią oni, żmiję i mieszkańca Merwu, to wprzód zabij mieszkańca Merwu". Oto co w tym przedmiocie opowiada Stein (w Petermann's Mitteilung. 1880 r.). W roku 1861 łupiezka banda Turkomanów (alaman), która zapędziła się w okolice Meszedu, została przez Persów rozbita, przyczém około stu Teków dostało się do niewoli. Z najwyższego rozkazu powiązano im ręce i nogi, przykuto do żelaznych sztab i popędzono mil 150 do Teheranu, gdzie mieli być rozstrzelani. Ministrowie, chcąc urządzić ludowi widowisko wedle gustu, rozkazali przywiązać tych nieszczęśliwych do murów miejskich i rozstrzeliwać oddziałowi piechoty z odległości 300 kroków. Niewprawni w strzelaniu Persowie bardzo źle trafiali w swe żyjące tarcze i ten charakterystyczny sport mógł-by się był przedłużać do nocy, gdyby posłowie europejscy nie byli się w to wdali i nie skrócili mąk tych nieszczęśliwych przez to, że oddział piechoty został posunięty bliżéj. Mimo to, strzelanie trwało do wieczora. Wielu jeńców uwolnionych przez kule, które poprzecinały powrozy, wlokło się umyślnie ku strzelającym, aby prędzéj mękom koniec położyć.

W roku znów 1875 dla nowomianowanego gubernatora Chorossanu urządzono powitalną uroczystość, dla uświetnienia któréj dwudziestu schwytanych Turkomanów nadziano na bagnety i obnoszono dokoła.

Życie wśród ciągłych niebezpiecznych łupiezkich wypraw wyrobiło w Turkomanach wielkie zamiłowanie do koni. Rączości i wytrwałości konia zawdzięczał Turkoman życie; bez konia zginąłby niechybnie, z koniem był królem pustyni. To też konie opiewają oni w pieśniach pod nazwą „czupraśli“ tj. bystry, rączy (tylko w zastosowaniu do konia) i „karughli“ tj. wojownik i koń.

Mimo srogości dla wrogów wywołanéj łupiezkiem życiem i straszliwemi odwetami Persów, Turkomanie nie pozbawieni są szlachetnych stron charakteru, które wyrażają się w wolném stanowisku kobiety (mimo rzadkiéj zresztą poligamii), przywiązaniu do dzieci, zamiłowaniu w poezyi narodowych bardów, czci dla poległych bohaterów, wierności danemu słowu (rewers pozostaje tam w ręku dłużnika nie wierzyciela), gościnności, męstwie i nieograniczoném zamiłowaniu wolności. To ostatnie posuwają oni aż do negowania wszelkiéj władzy, wyjąwszy chwilowych wodzów wyprawy lub niebezpieczeństwa gdy woda grozi przerwaniem grobli i zalaniem oazy. Zresztą chan nosił tytuł tylko tak sobie dla przyjemności. Nie możebną też do urzeczywistnienia była niedawno w Anglii powstała myśl utworzenia z Turkomanów jednolitego państwa jako przedmurza Afganistanu i Indyi od strony Rosyi. Rosya ze swéj strony tak dla zabezpieczenia handlu jak i swych granic od ciągłych napadów musiała raz skończyć z Turkomanami, opanowała ich oazy, nareszcie ich główne ognisko Merw. Zająwszy Merw, Rosya zagroziła Afganistanowi a pośrednio—indyjskim posiadłościom Anglii.

Stein, mówiąc w zacytowanéj wyżéj pracy o konieczności podbicia Turkomanów, tak kończy: „kończymy życzeniem, aby obie wielkie potęgi europejskie (Rosya i Anglia), których interesa w Azyi są tak zaangażowane, mogły się porozumiéć w interesie najwyższego dobra ludzkości, aby wspólnym usiłowaniem położyć koniec azyatyckiemu barbarzyństwu i dopomódz do zwycięstwa dziełu cywilizacyi.“

Przytaczając przed kilku laty powyższe słowa, uczyniliśmy następującą uwagę:

Piękne to zaiste, lecz naszém zdaniem zbyt idyliczne życzenie; albowiem do tych *szczególnych*, miejscowych geograficzno-etnograficznych czynników posuwania się Rosyan w Turanie, któreśmy na początku wymienili, dołączają się jeszcze *ogólniejsze* a mianowicie: pragnienie ludów kontynentalnych do wyłamania „krat kontynen-

talnego więzienia,“ aby z okrzykiem „talassa“ wstąpić na ów „najdogodniejszy most międzynarodowych stosunków“ i powtóre: odwieczne dążenie ludów północnych ku bogatym krainom południa drogami stanowiącemi przerwy w górskiéj równoleżnikowéj osi starego świata. Objawy dziejowe związane z warunkami geograficznemi mają cechę stałych praw; zmieniają się aktorzy tj. państwa i narody, lecz nie zmienia idea. Rosya w Europie objęła dążenie ku południowi (przez bramę Czarnomorską) po Waregach, w Azyi (przez Turan i bramę Chorossańską) po Mongołach. Wolno ale nieustannie krok za krokiem posuwa się „olbrzym północy“ ku południowi przez stepy Turanu, z pierwotnych pikiet kozackich powstają miasta, w miarę jak linia pikiet posuwa się dalej. Projekta kolei żelaznej, ku podnóżom Hindukuh i odnowienia koryta Amu-Darii, usadowienie się nad ujściem Atreku, którego dolina jest najdogodniejszą drogą do Merwu i wciąż ponawiające się wyprawy w tę stronę — wszystko to dowodzi, że chmura gromowa, dążąca z północy, wciąż zbliża się, potężnieje, nabrzmiewa.... A gdy pioruny wypadłe z niej rozlegną się kiedyś śród śnieżnych szczytów Hindukuh i Pamiru, to potężnem echem wstrząsnąć mogą w posadach cały Ląd Stary od Atlantyku do oceanu Wielkiego.

Słowa te zaczynają się spełniać: echa pierwszych strzałów odbiły się już o zachodnie gałęzie Hindukuh, Rosya postawiła nogę na próg Afganistanu.

I.

Między górnemi częściami Indu (Attok) i Amu Darii (Kunduz), gdzie najbardziej zwęża się (do 60 mil) „pacierzowy grzbiet“ wielkiego azyatyckiego kontynentu, wyżyna Iranu północno-wschodnim kątem trapezu (Hindukuh) przytyka do olbrzymiej wschodnio-azyatyckiej wyżyny (Pamir, „Dach świata“) i niby tępym klinem oddziela surowe i mroźne niziny Azyi północnéj — dziedzinę ruchliwych, wojowniczych nomadów, od zwrotnikowych rozkosznych nizin Hindostanu — owej „krainy cudów“, owego „celu zdobywców“. Klin ten, to *Afganistan*, Drangiana i Arachosia starożytnych, Pasztunka (Paktunka) Afganów.

Już samo wyżej oznaczone *położenie* Afganistanu uczyniło go krajem przejściowym („Das Land der Passage“, „Durchzugsland“ u Rittera) między centralną i zachodnią Azyą z jednej a Indyami z drugiéj strony; rzeczywiście bowiem, wykluczywszy drogę morską, która przed odkryciem Portugalczyków i rozwojem żeglugi mało była

używana, kto chciał dostać się do Indyj, ten musiał przejść Afganistan. Ztąd przysłowie Indusów: „nie może być panem Indyi, kto nie stał się wprzód panem Kabulu." To znaczenie Afganistanu, jako kraju przejściowego, które wywarło wielki wpływ na jego etnograficzne i dziejowe stosunki, znajduje poparcie także w jego *oro- i hydrograficznych* warunkach, do których obecnie przechodzimy (1).

II.

Afganistan w ściślejszém znaczeniu, jako pewna fizyko-geograficzna, a po części i etnograficzna całość, przedstawia czworokątną wyżynę wielkości półwyspu Pirenejskiego (2), która na północy i wschodzie ma za naturalne granice potężne góry skrajne—Hindukuh i Soliman; na zachodzie zaś i południu, jakkolwiek nie posiada tak wybitnych granic geograficznych, to jednak ciągnące się tam trudne do przebycia pustynie Persyi i Beludżystanu, oddzielając Afganistan od reszty wyżyny Iranu, zapewniają mu i z tych stron przynajmniéj granice strategiczne (3).

---

(1) Fakta do niniejszéj pracy czerpaliśmy z Rittera Erdkunde, Reclus'a Nouvelle Geogr. Univers., artykułów Vambery'ego i Trumppa w Unsere Zeit i Allg. Ztg., z czasopism wojskowych: Wehr-Ztg., Vedette itd., pozostawiając sobie samodzielność usystematyzowania i niektórych wniosków.

(2) Wymiary geometrycznego czworokątu są następujące: bok północny=160 mil, wschodni=130, południowy=120, zachodni=80. Przekątnia dłuższa od Barogilu do jez. Hamun=200 mil przekątnia krótsza od wyłomu Herirudu w Paropamizie do południowego końca Solimanu=150 mil. Powierzchnia tego geometrycznego czworokąta jest nieco większa od geograficznego, gdyż geograficzne boki północny i wschodni zaginają się we wnętrze figury geometrycznéj.

(3) *Polityczne granice* Afganistanu niezupełnie zgadzają się z jego granicami naturalnemi, a na północy daleko po za nie wybiegają. Podajemy je tutaj w przypisku jako objaw nietrwały, nie mający cechy jakiegoś geograficznego prawa, lecz odpowiadający tylko danéj chwili i dla niéj tylko mający znaczenie. Wschodnia granica polityczna (z Indyami) najbardziéj zgadza się z naturalną, a mianowicie ciągnie się wzdłuż łańcucha Solimanu, w pobliżu angielskich fortów Thalu (nad r. Kurum), Kohatu i Dżamrudu (nieco na zachód Peszaweru), przecina rzekę Kabul i daléj ku północy ciągnie się jeszcze na pewnéj przestrzeni wzdłuż południowéj gałęzi Hindukuh; lecz niebawem zwraca się na zachód równolegle do rzeki Kabulu, odgraniczając przytykający z północy niepodległy Kafiristan i dosięgnąwszy w okolicach doliny Tagau i przejścia Chewak, głównego grzbietu Hindukuh, biegnie wzdłuż niego do gór Karakorum tam, gdzie przejście Barogil prowadzi z wyżyn Pamiru na dolinę Indu. Ztąd granica przechodzi na północ Hindukuh i biegnie przez Pamir do górnych części Amu-Darii, gdzie zaczyna się granica północna (z Bucharą). Granica północna idzie w kierunku zachodnim wzdłuż Amu-Darii aż do tego punktu (Chodża Salih), gdzie rzeka zwraca się na północo-zachód, to jest do 66° dług. wsch. od Greenw. Tu granica opuszcza Amu-Darię i ciągnie przez stepy Turko-

A) Góry skrajne.

1. Góry Soliman ciągną się z południa na północ równolegle z Indem do wyłomu rzeki Kurum. Są to nagie, dziko poszarpane skały, spadające ku nizinie Indu stromemi ścianami i krótkiemi terrasami; terrasy te poprzedzielane są przez liczne łańcuchy gór wznoszące się równolegle do głównego jeden za drugim „w militarnym szyku“. Jeden z najwyższych szczytów Takti Soliman („tron Salomona“), leżący w połowie łańcucha, w odległości 14 mil od Indu sięga przeszło 11000'. Na północ wyłomu rzeki Kurum góry rozgałęziają się i tracą nazwę Solimanu; te, które ciągną się nieco ku północowschodowi, na granicy Afganistanu, noszą nazwę gór Solnych, z powodu obfitości soli kamiennéj; daléj na północ, do wyłomu rzeki Kabulu, ciągną się góry Khyber. Przez tę wschodnią krawędź wyżyny afgańskiéj prowadzi kilka przejść (*kotul* Afganów), które łączą świat

---

mańskie w kierunku południo-zachod. przez Murghab do rzeki Herirud. Granica ta z Turkmenią idąca przez pustynię, jak słusznie zauważył Reclus, jest całkiem nieokreślona i przesuwa się stosownie do obfitości spadłych śniegów, bogactwa pastwisk, rozwoju irrygacyi, postępów lotnego piasku itp. Zachodnia granica (z Persyą) biegnie ku południowi wzdłuż rzeki Herirud (do punktu jêj zwrotu ku północy), wzdłuż pustyń perskich do jeziora Hamun. Południowa granica (z Beludżystanem) ciągnie się ztąd na wschód przez pustynię Seistan (Sedżestan) w pobliżu południowego łuku Hilmendu i rzeki Lora, daléj przez zachodnie odgałęzienie południowego Solimanu, na północ angielskiéj warowni Quettah i dosięga głównego łańcucha tych gór, gdzie zaczyna się granica wschodnia.

Powyższe rozszerzenie swych granic politycznych daleko na północ po za Hindukuh, które włączyło do Afganistanu turkiestańskie krainy Badakszan (z Wakhanem) Kunduz, Balk, Andżui i Maimene, otrzymał Afganistan 1872 r. gdy wskutek układu między Anglią i Rosyą rzeka Amu-Daria stała się kresem, po za który rosyjskie zdobycze w Azyi centralnéj nie miały przekroczyć. Jednakże kraina ta, oddzielona od właściwego Afganistanu potężnemi górami, ciąży wraz z Turkmenią ku Rosyi i prędzéj lub późniéj wejdzie w skład tego państwa. Obecnie naprzykład Rosya w układach z Anglią żąda rozszerzenia swych granic między Murghabem i Herirudem do Paropamizu (Nation. Ztg. 1885 N. 232).

Ten polityczny obszar Afganistanu (między 29^0 i $37\frac{1}{2}^0$ szer. pn. oraz 61^0 i 75^0 dług. wsch. od Green.) ma obejmować 13.000 mil kw. i przeszło 8.000.000 mieszkańców (inni podają tylko przeszło 5,000.000), a mianowicie Afganów (głównie w geograficznym Afganistanie) 5 milionów, Turków (Uzbeków) (głównie w Turkiestanie) i Mongołów (Hazareh i Aimak) $1\frac{1}{2}$ miliona, Tadżików (w obu częściach kraju) $1\frac{1}{2}$ miliona i Beludżów (na południu) 50 tysięcy.

Władcą kraju jest emir, rezydujący w Kabulu; prowincyami turkiestańskiemi rządzą gubernatorowie przezeń mianowani, reszta kraju podzielona jest między pokolenia rządzone przez swych chanów, zależnych często tylko nominalnie od emira.

Wojska regularnego (według „Daily News“) posiada emir obecnie 61,500 ludzi i 222 dział.

Irański z Indyjskim; najważniejsze z nich są: Guleri, utworzone wyłomem rzeki Gomal, daléj ku północy wyłom rzeki Kurum i nakoniec słynne przejście Khyberskie, leżące nieco ku południowi od wyłomu rzeki Kabulu, w samym zaś wyłomie skały przypierają bezpośrednio do rzeki i czynią przejście niemożliwem. Na północ wyłomu Kabulu ciągną się między dolinami Kunaru i Indu już południowe gałęzie Hindukuh.

2. Góry Hindukuh (Caucasus Indicus i Paropamisus, starożytnych) ciągną się z północo-wschodu na południo-zachód od wyłomu Indu i gór Karakorum do zachodniéj granicy Afganistanu, to jest do rzek Murghab i Herirud, gdzie te zwracają się ku północy. W ściślejszym znaczeniu nazwę Hindukuh nosi tylko wschodnia, wyższa część północnéj krawędzi Afganistanu (z wierzchołkami do 25000' leżącemi jednak nie w głównym łańcuchu lecz w jego południowych odgałęzieniach) do wąwozów Bamiańskich, pochylająca się na północ ku dolinie Amu-Darii, a na południe ku dolinie Kabulu. Hindukuh wysyła odgałęzienia prawie prostopadłe do linii rzeki Kabulu, oddzielone od siebie dolinami lewych jéj dopływów (Ghorbendu, Pandżiru i Tagau, Aliszengu, Kunaru, Pandżikory i Swatu). Doliny te noszące po części miano Kohistanu, po części (ku północy) Kafiristanu, są w dolnych częściach bardzo żyzne i pokryte ogrodami drzew owocowych i łanami zboża. Najbardziéj z tych gałęzi Hindukuh wysunięta na wschód, zwana górami Lahori (szczyty do 22000') oddziela się od głównego łańcucha między dolinami Kunaru i Indu (Gilgit), wysyła ku południo-zachodowi poboczne gałęzie rozdzielone dolinami Pandżikory i Swatu i przecięta przez ich połączenie, Lundi, dosięga rzeki Kabulu na północ Khyberu. Ta gałąź Hindukuh wraz z Solimanem tworzy wschodnią krawędź wyżyny Afgańskiéj.

Przez główny grzbiet Hindukuh prowadzą z Turanu do Afganistanu przejścia liczne lecz bardzo uciążliwe, niektóre bowiem przewyższają wysokość szczytów alpejskich, i z tego powodu przez większą część roku są niedostępne (śniegi i wody powstałe z nich). Z kilku przejść w północno-wschodniéj części gór najdogodniejsze jest Barogil (12000'), prowadzące z wyżyn Pamiru na dolinę Kunaru; według zdania Biddulpha „główny grzbiet azyatyckiego lądu można tu łatwo przebyć w powozie.“ Ku zachodowi przejścia są daleko wyższe, przewyższają wysokość Mont-Blanc'u i przez cały rok są zawalone śniegami i lodami; dogodniejsze z nich są: Nuksan („droga niedoli“) i Dora. Nieco na wschód Nuksanu w bocznéj gałęzi gór wznosi się najwyższy szczyt Hindukuh: Tiricz Mir (25000'). W zachodniéj łukowatéj części gór, objętéj z obu stron północnéj i połu-

dniowéj przez dwa bardzo rozgałęzione i głęboko w góry sięgające systemata rzeczne Kunduzu (Surkhab i Inderab) i Baranu (Ghorbend i Pandżir), których cztery doliny tworzą romb, przejścia prowadzące z jednego systemu do drugiego, cisną się obok siebie i są niższe od dwóch poprzednich a mianowicie zaczynając od wschodu: Chewak (przeszło 12000') z Inderab do Pandżiru, Tal, Saria, Szewa, Bazarak, Szatpal, Parwan, Doszak (Sar Alang), Kuoszan (Kipczak), którym Baber wkroczył z północy do Kabulu, Gwasgar, Czardar, Farindshal, Szibertu (Szabar), i nakoniec słynne wąwozy Bamiańskie. Te ostatnie leżą na zachodnim krańcu właściwego Hindukuh i prowadzą wprost do doliny Kabulu. W tym punkcie gór różne pisma podają różne nazwy przejścia tak, iż nieświadomy rzeczy nie wie, jakie właściwie przejście prowadzi tędy z Chulm do Kabulu; pochodzi to ztąd, że wskutek znacznego rozszerzenia się pasma gór w tém miejscu, droga przecinająca je musi przechodzić nie jeden (jak zwykle podają) lecz kilka wąwozów, z których trzy południowe: Unna (11000'), Hadżjak (12000') i Irak (13000') (ten ostatni w tymże samym łańcuchu co poprzedni lecz nieco daléj na północ, między Hadżjakiem i Szibertu) są wyższe, trzy zaś północne: Akrobat, Dendanszikan i Karakotul—niższe. Dendanszikan jest z nich najniższy ale bardzo przykry, czego wymownym dowodem jest sama nazwa znacząca: „wybijacz zębów.“ Między temi dwiema grupami przejść leży zamknięta górami, wysoka równina Bamianu, sięgająca wysokości równin Quito i Bogoty w Kordylierach (przeszło 8000'). Okolice Bamianu były w odległéj starożytności miejscem świętem Buddyzmu, który tu dosięgnął z Indyj przez Kabul. Liczne groty, służące niegdyś za pustelnie, któremi obie ściany bamiańskiéj drogi podziurawione są, według wyrażenia Burnesa „jak plastry miodu,“ dwa olbrzymie kolosy tak zwane But-Bamian (wyższy 140' według Jaworskiego) wykute w tychże ścianach, i inne pamiątki świadczą o rozwoju Buddyzmu w tych stronach przed spustoszeniem ich przez Dżengischana. Przejścia Bamiańskie noszą jeszcze nazwę Hindukusz, która nie właściwie została rozprzestrzeniona na cały łańcuch gór ztąd na wschód do Karakorum. Nazwa ta znaczy „zabójca Indów“ i według Ebn Batuty ma pochodzić ztąd, że niewolnicy indyjscy, prowadzeni niegdyś przez te wysokie wąwozy do Turkiestanu, z powodu dotkliwego dla nich zimna umierali w znacznéj liczbie.

Na południo-zachód od wąwozów Bamiańskich, między górnemi dolinami Hilmendu na południu, a Surkhabu (Kunduz) i Dehas (Balk) na północy, ciągną się ku źródłom Murghabu i Herirudu góry Kohi-Baba („matka gór“) z wierzchołkami na 18.000'. Na źródłowiskach obu tych rzek góry rozszczepiają się na trzy łańcuchy, two-

rząc niższą, ale dziką i niedostępną krainę Hazareh, zwaną w starożyności Paropamizem. Obecnie części tych gór noszą różne nazwy: średni łańcuch zwie się głównie Sefidkuh tj. „góry białe“ a południowy Siahkuh tj. „góry czarne.“ Między średnim łańcuchem i północnym leży niezdrowa dolina górnego Murghabu (Meruczak), o któréj istnieje przysłowie: „woda Meruczaku zabija tak szybko, że Allah nie ma czasu dowiedziéć się o tém.“ Między średnim łańcuchem a południowym, leży dolina górnego Herirudu czyli Heratu. Równina Heratu (2.600’), ograniczona górami i zroszona licznemi kanałami Herirudu, pokryta ogrodami i lasami drzew owocowych, obfitująca w róże, przedstawia podobnie jak doliny Ispahanu i Szirazu, rajski widok. Herat z tego powodu otrzymał miano „miasta 100.000 ogrodów,“ „perły Chorossanu“. Mimo piękności okolic, samo miasto Herat, jak w ogóle miasta na wschodzie, należy do najbrudniejszych w świecie: na ciasnych ulicach napotykają się cuchnące kałuże, nieczystości i padlina. Gdy angielski podróżny, Conolly objawił pewnego razu swe zdziwienie, iż mimo takich brudów, klimat Heratu jest zdrowy, pewien Heratczyk odrzekł: „gdyby brud zabijał, to gdzież możnaby znaleść Afgana?“

B) Wyżyna.

Między powyższemi dwoma łańcuchami granicznemi (Solimanem i Hindukuh), zbiegającemi się pod kątem ostrym na północowschodzie w pobliżu przejścia Barogil, rozciąga się wyżyna Afganistanu napełniona licznemi łańcuchami gór, rozłożonemi wachlarzowato między ramionami kąta; a ponieważ ramiona te przy końcach wyginają się rozbieżnie, więc całość przedstawia się nakształt kielicha kwiatu, z którego wychodzą liczne pręciki (rzeki). Wyżyna ta ma dwie główne pochyłości—wschodnią i zachodnią. Linia dzieląca te dwie pochyłości i stanowiąca główny dział wodny Afganistanu, idzie od zachodniego krańca, właściwego Hindukuh, na południe przez wyżynę Ghazny, następnie wstępuje na łańcuch gór, ciągnący się do południowych granic Afganistanu pod różnemi nazwami (Dżadran, Kohnak, Toba, Czappar), uogólnianemi na niektórych mapach pod jedną nazwą „zachodniego Solimanu.“ Każdą z powyższych dwóch części wyżyny przerzynają, w kierunkach przeważnie ukośnych do głównego działu wód, łańcuchy gór porozdzielane dolinami rzecznemi, tworzącemi odosobnione krainy.

1. *Łańcuchy i krainy wschodniéj części.* Na północy gór Dżadran ciągną się od wyżyny Ghazny i rzeki Logaru na wschód do gór Khyberu góry Sefidkuh (po persku) czyli Spinghar (po afgańsku) ograniczone z północy i południa dolinami Kabulu i Kurumu. Góry te prze-

szło 15.000' wysokie (szczyt Sikaram), pokryte wiecznemi śniegami (zkąd pochodzi ich nazwa „góry białe“), wysyłają ku północy odgałęzienia spadające stromo ku rzecze Kabul i oddzielone często tylko szerokością jéj łożyska od przeciwległych odgałęzień Hindukuh.

Sefidkuh odrzyna od Irańskiego trapezu jego północno-wschodni róg i tym sposobem wraz z górami Hindukuh tworzy trójkąt o zaokrąglonym nieco rogu zachodnim oraz o boku południowym przerwanym w części zachodniéj (ku wyżynie Ghazny) albowiem Sefidkuh nie dochodzi tu do Hindukuh. Trójkąt ten obejmuje dorzecze Kabulu, które konturami swemi przypomina dorzecze Padu ale przewyższa je skalą wymiarów pionowych. Dorzecze Kabulu w części południowéj, wzdłuż rzeki głównéj, przedstawia wyżynę Kabulu zwaną Kabulistanem, w części zaś północnéj—krainę górzystą napełnioną odnogami Hindukuh i zwaną, jak już wiemy, Kohistanem i Kafiristanem.

Kabulistan składa się z dwóch terras: zachodnią wyższą terrasę stanowi wyżyna Kabulu, w ściślejszém znaczeniu (miasto Kabul 6.000'), wschodnią niższą—wyżyna Dżellalabadu (miasto Dżellalabad 1,800'). Granicą między niemi jest rzeka Surkhrud, wypływająca z Sefidkuh i wpadająca do Kabulu powyżéj Dżellalabadu. Obie terrasy, jak to już ze znacznéj różnicy ich pionowego wzniesienia domyślać się można, różnią się znacznie od siebie charakterem swéj przyrody. Wyższa terrasa, poprzerzynana łańcuchami gór, nieznacznéj względnéj wysokości, i głębokiemi dolinami potoków górskich, spływających z Sefidkuhu do Kabulu, spada stromemi ścianami prawie bezpośrednio do rzeki tak, iż pozostawia nad nią tylko wązką ścieżkę. Klimat odpowiada strefie umiarkowanéj i nosi cechę kontynentalnego. W zimie spada wiele śniegu, lato ma dni bardzo ciepłe ale noce bardzo zimne. Zresztą okolice Kabulu wydają południowo-europejskie owoce. Kabul był ulubioną rezydencyą sułtana Babera, który w swych „Pamiętnikach“ zachwyca się malowniczością jego okolic, cudną zielenią ogrodów i obfitością kwiatów (ma się tam znajdować 50 gatunków tulipanów). Rzeczywiście dolina Kabulu pełna ogrodów, kwiatów, łąk i niw bujnych stanowi cudowny kontrast z ciemną nagością skał pobliskich i ze wspaniałemi piramidami dalekiego Hindukuh lśniącemi srebrzystym dyademem śniegów i lodów. Na północ Kabulu w pobliżu spływu Ghorbendu z Pandżirem równina zmienia charakter: na niewielkiéj przestrzeni przedstawia pustynię lotnego piasku; wiatr rzuca te piaski w szczeliny skał i wydaje tony podobne do dalekiego bicia w bębny z akompaniamentem dźwięków harfianych. Dawni autorowie mówią o pogrzebanych

tu hufcach zbrojnych, których muzyka gra wciąż jeszcze pod ziemią. Rzecz godna uwagi, że w okolicach miasta Kabulu, równie jak wzdłuż całego dorzecza Kabulu (w górach Khyber, około Dżellalabadu, koło Kabulu, na równinie Beghram, przy spływie Ghorbendu z Pandżirem) dają się napotykać wieże z niepalonéj cegły, zwane Topas albo Stupas, sięgające bardzo odległéj starożytności. Według Rittera, są to, podobnie jak i kolosy bamiańskie, zabytki epoki buddyjskiéj, która wyprzedziła epokę mahometańską w Afganistanie. Niższa terrasa czyli równina Dżellalabadu jest niejako rozszerzeniem doliny Kabulu w ściślejszém znaczeniu, która dotąd była tylko wązką ścieżką, a znów zwęża się u wyłomu Kabulu w górach Khyberu. Wskutek niższego położenia, równina ta przypomina klimatem i roślinnością (ryż, pomarańcze, nawet palma daktylowa) pobliskie Indye. Cieplejszy klimat sprowadza tu z wyższéj terrasy nomadów na zimowisko. Już sułtan Baber, bystry postrzegacz, gdy w marszu swym z Kabulu do Indyj przyszedł na granicę obu terras nad rzeką Surkhrud, do miejscowości Gundamuk, był niezmiernie uderzony różnicą przyrody na równinie Dżellalabadu od téj, jaką dotąd widział na wyższéj terrasie Kabulu: „wszystko, powiada w swych pamiętnikach, było tu nowe, ujrzałem inny świat.“ Podróżnik angielski Burnes, jadąc z Indyj do Kabulu, podobnież zauważył tę różnicę: za Gundamuk przyroda zmienia swą fizyognomią, w Dżellalabad pszenica była już zżęta (przy końcu kwietnia), a w Gundamak miała zaledwie trzy cale wysokości; tu trzeba było zmienić lekkie indyjskie ubranie na cieplejsze wełniane. Podróżny spotkał się tu po raz pierwszy z koczowniczém ruchliwém życiem wyżyny Iranu, tak różném od osiadłego kontemplacyjnego życia Indyj, które towarzyszyło mu aż dotąd. Tak więc Kabulistan przedstawia w szczególności to, co w ogóle Afganistan, to jest—kraj przejściowy między Azyą zachodnią i Indyami, gdy wschodnia niższa jego część nosi charakter indyjski, zachodnia wyższa, według słów Rittera, ma więcéj wspólności z Iranem, Anatolią, Arkadyą, Kastylią i Maghrebem, niż z Indyami. Wyższa terrasa Kabulu przechodzi na południu (na owéj przerwie w południowym boku trójkąta) w wynioślejszą jeszcze (przeszło 7.500'), chłodną, kamienistą i pustą wyżynę Ghazny, która już i pod względem hydrograficznym stanowi przejście do wyżyny Iranu, albowiem południowa jéj część leży już po za działem wodnym indo-irańskim (afgańskim).

Od tegoż samego północnego krańca gór Dżadran ciągnie się na południo-wschód do Solimanu drugi jeszcze łańcuch, oddzielony od poprzedniego (Sefidkuh) wąwozami Szutargardan i Peiwar, które prowadzą z dorzecza Kurumu do dorzecza Kabulu (Logar). Ten

łańcuch, zapewne północno-zachodnia gałęź Solimanu (Soliman centralny) sięgająca do wąwozu Szutargardan wraz z północno-wschodnią gałęzią, sięgającą do wąwozu Khyber, a więc do dwóch krańców Sefidkuhu, obejmują krainę wyższego Kurumu i nadają całemu systemowi Solimanu postać olbrzymiéj kolumny, podpierającéj poprzeczny łańcuch Sefidkuh a więc dźwigającéj wyżéj wspomniany północny trójkąt Afganistanu; w dźwiganiu tém dopomaga (że się tak wyrazimy) i zachodni Soliman jako boczna, nieco ukośna podpora. Kapitel téj kolumny, obejmujący właśnie ową krainę wyższego Kurumu, wyrzeźbiony jest jego doliną i dolinami jego dopływów (np. Khost, dolina Szamilu) z koryncktiém niemal bogactwem.

Na południe od owego centralnego Solimanu, między górami Kohnak na zachodzie i północną częścią właściwego Solimanu na wschodzie, rozpościera się trzecia kraina, równie jak poprzednie, dobrze nawodniona, kraina rzeki Gomalu, z któréj prowadzą przez góry Kohnak wąwozy Sarwandi i Sargo do południowéj części wyżyny Ghazny, zajętéj przez wodozbiór niewielkiego jeziora Abistada (blisko 7.000'). Na południu kraina Gomalu przechodzi w bezwodną odznaczającą się krańcowym klimatem pustynię Siwistan, o któréj sami krajowcy powtarzają przysłowie: „o Boże, mając Siwistan, poco stwarzałeś piekło.“

Cała ta południowo-wschodnia część Afganistanu zawarta między zachodnim Solimanem, stanowiącym wybitny dział wód afgańskich oraz wschodnim Solimanem, poprzerywanym przez rzeki afgańskie dążące do Indu, ciąży ku Indyom, to też plemiona tutejsze są prawie niezależne od kabulskiego emira, a Anglicy w 1879 włączyli na chwilę ten kraj do swych posiadłości, szukając w zachodnim Solimanie swéj „umiejętnéj granicy.“

2. *Łańcuchy i krainy zachodniéj części.* Łańcuchy téj części, tak oddzielające się od głównego działu wodnego jako też od Kohi-Baby i Siahkuhu, mają wyłącznie kierunek południowo-zachodni, to jest kierunek większéj przekątni afgańskiego czworoboku, zbudowanego na kierunkach dwóch łańcuchów skrajnych (Hindukuh i Soliman), i ciągną się między dolinami rzek, należących do wodozbioru jeziora Hamun i naśladujących tenże sam kierunek. Góry te jednak kończą się wprzód niż rzeki: nie dochodzą do jeziora Hamun, lecz spadają ku piaszczystemu morzu pustyni nakształt stromych poszarpanych przylądków.

Najznaczniejsze z tych gór, mało znanych i noszących różne nazwy (Ghorat, Gasarman, Pagman, Gulkoh, Gondan, Ghati, Amran, Takatu) są góry Pagman, Amran i Takatu. Pierwsze połączone z Hindukuh zapomocą poprzecznego jarzma (między źródłami Ghor-

bendu i Hilmendu ciągną się od północnego łuku Ghorbendu między Hilmendem i Argandabem; w nich to leży wspomnione wyżéj przejście Unna, prowadzące od źródeł Hilmendu do źródeł Kabulu. Gałęzią tych gór na lewo od Argandabu są góry Gulkoh, przez które przejście Szeridana prowadzi z Ghazny do Kabulu. Góry Takatu ciągną się na granicy z Beludżistanem na północy angielskiéj fortecy Quettah, są bardzo wysokie (do 12000') ale posiadają wygodne przejście, prowadzące z południa na północ, na równinę Piszin (dolina rzeki Lory), która dzięki swéj żyzności stanowi ważną podstawę operacyjną dla wojsk angielskich, wkraczających od Quetty do Afganistanu. Góry Amran, ciągną się między dolinami rzek Lory i Dory. Przez góry te przejścia Kodżjak (7300') i niższe Gwadża prowadzą z wyżyny Piszin na wyżynę Kandaharu (3500'). Tu kończą się promienie górskiego wachlarza, wspomnianemi wyżéj skalistemi przylądkami, a sama wyżyna w porównaniu z leżącą na północ wyżyną Ghazny, doznaje znacznego obniżenia i przyjmuje po części charakter piaszczystéj pustyni, po części Karstu, przypominającego swą bezleśnością, znikającemi rzekami i stalaktytowemi grotami Krainę i Istryę. Tylko wązkie, wyżłobione nakształt szpar, doliny systematu Hilmendu, dzielące wyżynę na szereg wąskich i długich smug wyżynowych, stanowią archipelag żyznych oaz wśród pustyni, siedlisko rolników pośrod nomadów; na nich widnieją łany zboża i ogrody owocowe.

Tu więc występuje już w całéj swéj doskonałości typowy charakter Iranu: walka wody z suszą i spiekotą, kontrast rajskiéj zieleni oaz ze śpiekłemi piaskami pustyni („szmaragdy w złotéj oprawie“), charakter który wyraził się w pojęciach religijnych starożytnych Persów, jako walka pierwiastku dobrego i złego (Ormuzda i Arimana), w poezyi zaś wschodniéj jako opiewanie wody, jéj przezroczystości, szmeru, chłodu itd., jako jakieś upojenie, oczarowanie człowieka bogactwami i pięknościami przyrody, które tém potężniéj uderzały go tutaj, iż występowały na tle ubóstwa i grozy pustyni. W jednéj z takich oaz, u wierzchołka ostrego kąta utworzonego rzekami Argandab i Tarnak, na równinie skropionéj licznemi rzekami i kanałami, wpośród ogrodów owocowych wznosi się Kandahar, trzecie wielkie miasto Afganistanu obok Kabulu i Heratu. Tutaj, podobnie jak na równinie Dżellalabadu, panuje ciepły klimat, śnieg pada bardzo rzadko, a lata z powodu blikości pustyń bywają zbyt gorące, tak iż część mieszkańców Kandaharu (podobnie jak Teheranu) przenosi się na lato w okoliczne góry.

Wyżyna Kandaharu na południu i południo-zachodzie przechodzi w piasczyste pustynie Sarawan i Sedżestan, gdzie porosłe lasami

trzciny okolice jeziora Hamun zniżają się do 1200′ i gdzie tu i owdzie widać ślady dawnego życia w ruinach sterczących „jak białe mary", wśród zamglonéj od pyłu atmosfery. Pustynia od południowo-zachodniéj części Afganistanu rozciąga się daléj ku północy wzdłuż zachodniéj granicy do odgałęzień Siahkuhu, które napełniają pozostałą część Afganistanu zwaną Chorossanem.

Z tego orograficznego opisu Afganistanu widzimy, iż jego układ pionowy bardzo przypomina tenże układ półwyspu Pirenejskiego. Hindukuh, spadający ku nizinie Amu-Darii i dolinie Kabulu, odpowiada Pirenejom, spadającym ku nizinie Garonny i dolinie Ebro; podobnie téż jak Pireneje, zniżając się ku zachodowi, przechodzą w rozgałęzioną górzystą krainę Galicyi, tak Hindukuh w krainę Hazareh. Afgański dział wodny, idący z wyżyny Ghazny na południe, przypomina „Iberyjski kraj źródłowy", idący w tymże samym prawie kierunku z wyżyny Reinosy. Dwie pochyłości Afganistanu: wschodnia, krótsza, i zachodnia, dłuższa, z rzekami odpowiednich kierunków i krainami rzecznemi, także przedstawiają analogię z półwyspem Pirenejskim.

III.

Najwynioślejsza z opisanych wyżyn Afganistanu, wyżyna Ghazny ma dla tego kraju ważne *hydrograficzne* znaczenie: jest ona podobnie jak St. Gotard, jak wyżyna Wałdajska itp. hydrograficzném centrum, z którego w różne strony wypływają prawie wszystkie rzeki afgańskie. Ztąd-to miasto Ghazna (Ghusni) jako węzeł komunikacyi (podobnie jak Nowogród W. na wyżynie Wałdajskiéj) było niegdyś siedliskiem władzy nad Afganistanem i punktem wyjścia do jéj rozszerzenia w Indyach (państwo Ghaznewidów), póki Kabul niżéj położony i cieszący się łagodniejszym klimatem nie wydarł mu tego naczelnego znaczenia. Jeżeli do rzek, spływających z wyżyny Ghazny, dodamy rzeki spływające z Paropamizu, to otrzymamy wszystkie rzeki Afganistanu. Główny afgański, czyli indo-irański dział wodny dzieli te rzeki na dwie główne grupy: wschodnią i zachodnią. Rzeki téj ostatniéj biegną wzdłuż promieni górskiego wachlarza, rzeki zaś pierwszéj grupy biegną przeważnie wpoprzek tych promieni i po części przerywają je. Zachodnia grupa dzieli się jeszcze na dwie podrzędne: północno-zachodnią i południowo-zachodnią, między któremi dział wodny stanowi Siahkuh. Tak więc ostatecznie mamy trzy grupy rzek afgańskich.

1. *Rzeki pierwszéj, to jest wschodniéj grupy*: Kabul, Kurum i Gomal płyną ku wschodowi i wyłamawszy się przez wschodnią kra-

wędź Afganistanu, spływają do Indu (Gomal tylko czasowo). Otwierają one drogi z wyżyny Iranu na nizinę Indyjską, stwierdzając przejściowy charakter Afganistanu i czyniąc go „państwem w obrębie indyjskiego systemu". Są to *rzeki indo-afgańskie*; to też już w Wedach indyjskich znajdujemy o nich wzmiankę.

Najznaczniejszą z tych rzek jest Kabul, Cophes starożytnych (75 mil dług.). Rzeka ta powstaje z dwóch strumieni źródłowych: właściwego Kabulu, spływającego z gór Pagman w pobliżu przejścia Unna i z Logaru, spływającego z wyżyny Ghazny. Połączona rzeka, wyginając się lekkim łukiem ku północy, płynie w głównym wschodnim kierunku przez wyższą i niższą terrasę Kabulistanu; następnie po wyłomie między górami Khyberskiemi i odgałęzieniami Hindukuh wstępuje na równinę Peszaweru, ów próg z Indyj na wyżynę Iranu i pod Attokiem wlewa swe wody do Indu. Mimo obfitości wód, Kabul nie jest żeglowny z powodu bystrości biegu, tylko drzewo na nim spławiają lub czasem przemknie się maleńka łódź mekkańskiego pielgrzyma, wracającego do Indyj. Gdy w czasie wojny 1879 r. kawalerya angielska przebywała wpław tę rzekę pod Dżellalabadem, została uniesiona silnym prądem i straciła kilkudziesięciu ludzi. Prawe dopływy Kabulu z Sefidkuhu, są to krótkie i bystre potoki górskie, których dolinami wije się droga do miasta Kabulu na wyższéj terasie, mijając zbyt wąską dolinę rzeki głównéj. Lewe dopływy z Hindukuh: Baran, Aliszeng, Kameh, czyli Kunar (z Barogilu) i Lundi (ta ostatnia, spływ Pandżikory i Swatu, wpada już poniżéj wyłomu, na równinie Peszaweru) są znaczniejsze i tworzą obszerniejsze doliny, prowadzące do przejść Hindukuh. Szczególniéj pierwsza, która wpada nieco poniżéj Kabulu w punkcie wygięcia rzeki ku północy i któréj systemat rozszerza się ku północy nakształt wachlarza (Pehdam, Ghorbend, Pandżir, Tagau), obejmującego swém rozwinięciem łukowatą, pełną przejść zachodnią część Hindukuh od przejścia Chewak do wąwozów Bamiańskich.

2. *Rzeki drugiéj, to jest północno-zachodniéj grupy*: Herirud-Tedżend i Merwrud (Murghab) (*rud*—rzeka po persku) płyną najprzód ku zachodowi między łańcuchami Paropamizu, a potém zwracają się ku północy, przerywają północną krawędź wyżyny Iranu, otwierają drogę do stepów Turkomańskich, tworzą tam wązkie i długie oazy i giną w piaskach pustyni. Są to *rzeki turano-afgańskie.*

Pierwsza z tych rzek przed swém zniknięciem tworzy oazę Sarachs, druga—oazę Merw, będącą progiem z Turkiestanu na wyżynę Iranu, podobnie jak równina Peszaweru z Indyj. To też Merw ma ważne strategiczne znaczenie, térnbardziéj, że z powodu swéj żyzno-

ści może stanowić podstawę operacyjną dla armii, wkraczającéj do Afganistanu.

3. Nakoniec *rzeki trzeciéj, to jest południowo-zachodniéj grupy* Hilmend, Farehrud i Harud, płyną w kierunku południowo-zachodnim, to jest w kierunku obniżania się wyżyny Afgańskiéj i w kierunku przerzynających ją górskich łańcuchów, porozdzielanych od siebie dolinami. Rzeki te należą wyłącznie do wyżyny Iranu, gromadzą bowiem swe wody w wewnętrznym jeziorze Hamun, ku któremu zbiegają się nakształt promieni eliptycznego kwadrantu. Są to *rzeki irano-afgańskie.*

Najznaczniejszą z tych rzek jest, Hilmend, Erymanthus starożytnych (175 mil dług.). Hilmend wypływa między Kohi-Babą i Pagmanem w pobliżu źródeł Kabulu i rzek turkiestańskich: Surkhabu (Kunduz) i Dehas (Balk), tak, iż według charakterystycznego wyrażenia tamtejszych mieszkańców: „jeden człowiek w jednym dniu może pić wodę ze wszystkich czterech“. Rzeki systematu Hilmendu wypływają przeważnie z wyżyny Ghazny i płyną w tymże samym, co i główna rzeka kierunku; dla tego łączą się tak z nią, jak i między sobą, pod bardzo ostremi kątami. Taką rzeką jest Argandab, z dopływami: Tarnak, Argesan, Dora. Rzeka Lora, wytryskająca z gór Toba i przepływająca równinę Piszin i Szorawak, nie dosięgnąwszy Hilmendu, ginie w piaskach. Rzeka Kaszrud, wypływająca z Paropamizu, łączy się z Hilmendem już przy samém ujściu do jeziora Hamun. Nakoniec Farehrud i Harud, także wypływające z Paropamizu, wpadają, równie jak i Hilmend, samodzielnie do jeziora Hamun.

Jezioro to pięknéj indygowéj barwy zmienia często nietylko poziom wód ale i miejsce; jest jeziorem wędrowném, podobnie jak i rzeki doń wpadające. Wynika to po części z osadzania mułu przez rzeki, po części z nawiewania piasku przez wiatry okolicznéj pustyni. Zmiana koryt rzecznych, a stąd i kanałów irygacyjnych, wywołuje zmianę siedzib ludzkich; stąd między innemi tak wiele tu ruin. W nowszych czasach jezioro Hamun uległo podziałowi na dwa odosobnione wodozbiory tak, iż Farehrud i Harud wpadają do oddzielnego jeziora. Lasy trzciny i sitowia, porastające nad temi jeziorami służą za schronienie miryadom błotnego ptastwa i dokuczliwych owadów, dostarczają paszy dla bydła, a także materyału na maty, tratwy i budowę chat. Wznoszące się tu i owdzie z okolicznych równin stożki bazaltowe służyły za punkta obronne, takim np. jest Kohi Kwadża, albo „zamek Rustema“, oblegany niegdyś daremnie przez armię Nadira (afgańska Gergovia).

Powyższym podziałem hydrograficznym nie został objęty tylko, wprawdzie samodzielny, ale bardzo nieznaczny wodozbiór jeziora Ab-istada („śpiąca woda“). Płytkie to jezioro ma bardzo zmienny poziom i wodę tak słoną, iż ryby wpływające doń ze słodkich wód rzeki Ghusni (Ghazny), zdychają i szczątkami swemi pokrywają wybrzeże. Dolina Ab-istady i wpadającéj doń z północy rzeki Ghusni ułatwia komunikacyę między doliną Hilmendu (Tarnak) i doliną Kabulu (Logar). Zresztą cały ten systemat jest tylko niedoszłym dopływem systematu Hilmendu: tylko zbyt suchy klimat nie pozwala wodom Ghusni dosięgnąć rzeki głównéj; jednak w r. 1878 wody jeziora w czasie wysokiego stanu przelewały się chwilowo do systematu Hilmendu.

Wszystkie te rzeki Afganistanu, z wyjątkiem Hilmendu, nie są żeglowne, lecz woda ich, skrapiając pustynie, tworzy wśród niej pasy rolnicze i ułatwia podłużną lądową komunikacyę; poprzeczna zaś komunikacya odbywa się za pośrednictwem brodów, mających tu ważne znaczenie strategiczne (np. forteca Giriszk nad brodem Hilmendu) lub za pomocą łodzi ze skór kozich. Dolina Hilmendu jest jakby zieloną wstęgą, łączącą Azyę zachodnią i centralną z Indyami („droga królewska“); to téż wzdłuż téj doliny przechodziły oddawna ludy, karawany i armie; ona to zjednała Afganistanowi miano: „Das Land der Passage“.

IV.

O klimacie Afganistanu jużeśmy wspominali nieco przy opisie niektórych ważniejszych i lepiéj znanych miejscowości. Tutaj dodamy tylko, że w ogóle klimat Afganistanu jest chłodniejszy niżby się tego spodziewać można z jego geograficznego położenia, odpowiadającego północnemu Egiptowi i południowéj Sycylii (29°—37° szer. pn.), a przytém suchy i krańcowy. Wynika to ze znacznego wzniesienia kraju nad poziom morza. Zimy w ogóle bywają mroźne i bardzo śnieżne, tak, iż kraj wtedy staje się bezdrożnym (klęska Anglików 1842 r., powolne ich posuwanie się 1879 r., choroby w wojsku indyjskiém, nieprzywykłém do zimna, padanie wielbłądów itp.), lata przeciwnie—bardzo gorące; nie mówiąc już o południowych i niżéj położonych częściach kraju, ale nawet w Kabulu, według świadectwa Vambery'ego, gorąco dla Europejczyka jest nieznośne. Wśród najgorętszych dni lata noce bywają chłodne, tak, iż Afganie, podobnie jak wiele ludów, zamieszkujących kraje z kontynentalnym klimatem, cały rok bez kożucha obejść się nie mogą; można-by do

nich zastować słowa Dantego o duszach w czyścu skazanych „a tormenti caldi e geli“. W szczególności jednak napotykają się znaczne różnice klimatu w różnych miejscowościach, jak we wszystkich krajach górzystych, z powodu różnic pionowego wzniesienia. Gdy na szczytach Hindukuh, Kohi-Baby i Sefidkuhu na wysokości 13000' wieczna panuje zima, niektóre doliny tych gór, np. dolina Kunaru i Swatu mają klimat podzwrotnikowy, podobnież niższa terrasa Kabulu (równina Dzellalabadu), po części równina Heratu, wiele niskich dolin Solimanu itd. Wyżyna w wysoko położonych okolicach Ghazny cierpi wielkie mrozy i groźne dla życia mieszkańców burze śniegowe. Idąc zaś stąd w kierunku południowym i południowo-zachodnim, spotykamy, już-to z powodu niższéj szerokości geograficznéj, już z powodu obniżania się wyżyny okolice, gdzie rzadko śnieg pada i gdzie lata są tak gorące, że jak wiemy, mieszkańcy z piekłem je porównywają, gdzie zamiast śniegowych zamieci wieje palący wicher pustyni. Z drugiéj strony silne ogrzanie południowych pustyń, a stąd znaczne rozrzedzenie powietrza wywołuje silne wiatry z chłodniejszych gór, ograniczających wyżynę Kandaharu i Hamunu z północy. Mieszkańcy tych okolic umieli zużytkować siłę północnych wiatrów na poruszanie licznych wiatraków, szczególnéj struktury o skrzydłach poziomych z rogoży (sitowia) (1).

Płody roślinne składają się głównie ze zbóż europejskich (pszenica udaje się do 7000') i owoców europejskich; jednakże pomarańcze, cytryny, a témbardziéj bawełna, trzcina cukrowa i palma daktylowa napotykają się tylko w niektórych nisko położonych dolinach. Za to jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie, brzoskwinie, morele, winogrona rosną obficie, stanowiąc codzienne pożywienie i przedmiot handlu. Kabul szczególniéj słynie z morw, Ghazna ze śliwek, Kandahar z fig i granatów, Herat z winogron i melonów. Obfitość owoców w ostatniém mieście wywołała oryginalny zwyczaj: każdy może wejść do ogrodu i jeść owoców do syta, a zapłata określa się stosownie do różnicy, jaka zaszła między wagą konsumenta przy wejściu i wyjściu. Z roślin lekarskich i kuchennych rośnie w Afganistanie asafetyda, szafran i rabarbar, które stanowią przedmiot handlu. Uprawa z powodu suchości klimatu odbywa się przy pomocy kanałów irygacyjnych, które dla ochrony wody od parowania rozprowadzane są często w galeryach podziemnych. Z płodów leśnych dąb rośnie do wysokości 3000', dzika oliwa do 6000', sosna do 10000'. Kraj cierpi jednak niedostatek drzewa, z tego powodu mieszkania i całe miasta zbudowane są z niepalonéj cegły, łodzie jak wiadomo

(1) Według sprawozdania afgańskiéj komisyi granicznéj („Nowosti“).

robią się ze skór kozich, a tratwy i skrzydła wiatraków z sitowia. W ogóle płody Afganistanu należą do strefy umiarkowanéj tak, iż dla Europejczyka przybywającego tu z Indyj, Afganistan robi przyjemne wrażenie rodzinnego kraju.

Ze zwierząt dzikich trafiają się szakale, lisy, wilki, niedźwiedzie, lamparty, lwy i tygrysy; te ostatnie podobnie jak i małpy, żyjące w północno-wschodniéj części kraju w górach, otaczających doliny Kunaru i Swatu, przypominają bliskość Indyj. W Seistanie gromady dzikich osłów przebiegają pustynię, podnosząc tumany pyłu. Ze zwierząt domowych hodowany jest wielbląd (dromader), jako zwierze juczne; stada bydła, owiec i kóz są liczne i dostarczają pożywienia (baranina) i surowych płodów do jedynych fabrykacyi wełnianych (szale) i skórzanych (Kandahar i Kabul). Koni jest mniéj, głównie dostarcza ich kraina Hazareh (stąd Herat prowadzi niemi handel).

Bogactwa mineralne, mało eksploatowane, są znaczne: żelazo, miedź, siarka, węgiel itp. napotykają się często, sól obficie w górach Solnych: także srebro w północnych górach, złoto w niektórych rzekach itd.

(*dok. nast.*) *Wacław Nałkowski.*

NALA.

POWIEŚĆ STAROINDYJSKA.

Pieśń trzynasta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Te słowa przewodnika słysząc krasawica,
Pobiegła z karawaną ową, smutna ciągle.
Po pewnym czasie drogi w lesie tym ogromnym
Spostrzegli staw uroczy z trawą i drzewami,
Z kwiatami, owocami i ptakami wkoło,
Staw z wodą czystą, słodką, chłodem swym nęcącą.
Strudzeni drogą, spocząć z bydłem umyślili.
Za wolą wtedy wodza weszli w bór cienisty
I na zachodnim brzegu obóz rozłożyli.
Gdy o północy niema cisza nastąpiła,
I karawana spała, przyszła trzoda słoni
Za wodą do krynicy, mącąc ją swym brudem.
Spostrzegły przytém słonie swojskie tam będące,
Bieżały pędem ku nim, chucią płciową wściekłe.
Nie do wstrzymania był lecących słoni napad,
Lawinie z szczytów gór lecącéj w przepaść równy.
Zatamowawszy drogę śpiącéj karawanie,
Deptały niespodzianie ją, na ziemi drżącą.
„Ach! ach!“ wołali kupcy i szukali skrycia,
Za krzaki się chowając, snem pijani jeszcze.
Niejeden zaś po stracie swych wielbłądów chodząc
Wśród pieszych, został w tłoku pozbawiony życia.

Znów inny pchnięty nagle lub strącony z drzewa
Pod kopytami śmierć znajdował niespodzianą,
W tém zamieszaniu, które słonie wywołały,
Zginęło, królu, prawie całe kupców grono.
Gdy nastał dzień, uratowani od zagłady
Pierzchali z miejsca tego, płacząc nad nieszczęściem,
Nad śmiercią brata, ojca lub też przyjaciela.
I Damajanti wyrzekała: „Cóż zdziałałam?
Gromadę, z którą w lesie tym się połączyłam,
Zabiło stado słoni; ja-m nieszczęściu winna.
—Czyj czas nie przyszedł, nie zaginie, mówią starzy,
I to przyczyną tylko, że dziś żyję jeszcze,—
Bo ludzie owi nie są winni téj zagłady!
I ja z lat młodocianych nie mam winy żadnéj;
Jedynie przy wyborze męża pogardzone bogi
Z powodu Nali w gniewie mszczą się dziś nade mną.“
Tak wyrzekając nieszczęśliwa pięknogłowa,
Szła, królu, jako sierp księżyca jesiennego.
Pod wieczór przyszła w drodze do wielkiego miasta,
Do miasta króla Czedów, przyszłość widzącego.
Wybladłą, smutną, nędzną, i w łachmanie brudnym
Idącą jak bez zmysłów zobaczyli ludzie.
A widząc ją wchodzącą do czedzkiego miasta
Mieszczańskie dzieci, biegły za nią z ciekawości.
Widziała także ją z pałacu matka króla
I rzekła mamce: „Idź i przywiedź ją tu do mnie!
Ubogą tę niewiastę wyśmiewają ludzie,
A piękność jéj powiększy blask mojego domu.“
I ludzi oddaliwszy i do siebie wziąwszy,
Spytała Damajantę zadumioną, królu!
„Choć smutkiem przygnębiona-ś, piękne nosisz ciało!
Jak błyskawica w chmurze świecisz; ktoś jest, powiedz!
Nie ludzka postać twoja, choć ci brak klejnotów.
Nie boisz się samotna ludzi, bogorówna?“
Te słowa usłyszawszy, rzecze jéj te słowa:
„Śmiertelną jestem, wierz mi, męża szukającą,
Służącą z rodu szlachetnego; mieszkam, gdzie chcesz;
Mą strawą owoc; śpię, gdzie wieczór mnie zastanie.
Małżonek mój cnotliwy, szczerze mi oddany;
—I ja-m mu żoną wierną, jak cień idącemu.—
Namiętność w grze jedynym była błędem jego.
W grze także ogran pobiegł z smutku w bór samotny,

Jedyną szatą odzianego, nieszczęsnego
Małżonka mego, by pocieszać, poszłam wraz z nim.
Pewnego razu zabłąkawszy się w głąb' lasu
Zostawił z zapomnienia szatę swą w gęstwinie.
Za nagim więc chodziłam, nie śpiąc nocy wiele.
Gdym raz po długim czasie znowu spała, przeciął
Mą szatę i tak odzian odszedł mnie niewinną.
Małżonka szukam więc strapiona dnie i noce,
Lecz znaleść go nie mogę, pana mi drogiego."
Do łzy lejącéj rzewne i tak się skarżącéj
Królewska rzecze matka, sama rozrzewniona:
„Zamieszkaj u mnie; cieszyć będę się niezmiernie!
Małżonka twego poszukają słudzy moi,
Lub może sam nadejdzie, błądząc tu i owdzie.
Mieszkając u mnie, znajdziesz męża, ty poczciwa!"
Królewskiéj matki mowę słysząc Damajanti,
Odrzecze: „Mieszkać mogę pod warunkiem tylko,
Że resztek jeść i nóg nikomu myć nie będę (1),
Że z męszczyznami mówić mi nie będzie trzeba
I skarzesz tego, który cnoty méjby żądał.
By męża znaleść, pójdę sama do brahmanów.
Jeżeli na to godzisz się, zostanę chętnie.
Jeżeli nie, ma dusza mieszkać tu nie pragnie."
Radosném sercem rzecze jéj królewska matka:
„Wypełnię wszystko! szczęść ci, co masz takie śluby!"
To rzekłszy do Bhîmówny matka króla, rządco,
Odezwie się do córki, zwiącéj się Sunandą:
„Służącą masz, Sunando, nową, boskopiękną,
Latami równą tobie; drużką twą niech będzie!"
Sunanda ucieszona, poszła do mieszkania
Zabrawszy z gronem drużek także Damajantę.

Pieśń czternasta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Król Nala opuściwszy Damajantę, władco,
Zobaczył ogień wielki gorejący w lesie,
A z środka słyszał głos istoty niewidzialnéj,
Głos wołający ciągle: „Nalo! pójdź na pomoc!

(1) Jedzenie resztek i mycie nóg było wedle ówczesnych pojęć nader ubliżające i sprowadzało na człowieka pewien rodzaj moralnego poniżenia.

Wstąp w ogień śmiało!“ I wstąpiwszy w środek ognia,
Zobaczył Nala tam Siajânę, wężów króla,
W krąg zwiniętego i pokornie proszącego:
„Ja-m wężem Karkotaką, królu; oszukałem
Naradę przeświętego, cnego pokutnika,
Rozgniewan za to zaklął mnie, o królu, słowy:
„ „Bądź nieruchomy, aż dopóki Nala kiedyś
Nie pójdzie tędy; wtenczas z klątwy zwolnion będziesz!“ “
Dla klątwy téj nie mogę ruszyć się tu z miejsca:
Szczęśliwym cię uczynię, ratuj mnie, o władco!
Pomocnym będę ci—a nie ma mi równego—!
Podźwignij mnie, nie ciężki-m, potém szybko odejdź!“
To rzekłszy wężów książę, przybrał wielkość palca.
Podźwignął go więc Nala, by z płomieni wynieść.
Gdy przybył poza ogień na bezpieczne miejsce
I złożyć chciał go, rzekł mu za się Karkotaka:
„Idź kroków kilka, licząc je o Niszadhczyku!
Natenczas spuszczę szczęście na cię wielkie, Nalo!“
Gdy dziesięć kroków zliczył, wąż go kłem ukąsił,
Po ukąszeniu znikła nagle postać jego.
Ujrzawszy Nala siebie zmienionego, węża
W właściwym zaś mu kształcie, zdziwił się niezmiernie.
Pocieszał go więc Karkotaka słowy temi:
„Dlatego-m dał ci kształt ten, by cię nie poznano,
I położenia twego nieszczęsnego, Nalo!
Mój jad dokuczać będzie komuś, co cię trapi; (1)
I z jadu tego póki nie uwolnisz członków,
Dopóty z żalem on przebywać będzie w tobie.
Przez kogo obrażony będziesz ty niewinnie,
Rzuć klątwę nań, a znajdziesz odpuszczenie na to.
Nie potrzebujesz bać się dzika ani wroga,
Ni mędrców, ni brahmanów z łaski méj, o królu!
Trucizna moja bólu sprawiać ci nie będzie,
A w bitwach, władco, zawsze ty zwycięscą będziesz!
Idź królu stąd: „Woźnicą ja-m Bâhuką“ mówiąc
Do Rtuparny; zna on wiedzę grania w kostki.
Za koniowznawstwo da ci król ten kostkoznawstwo.
Z Iśwaków rodu jest on; szczęście ci przyniesie.
Gdy w kostkach mistrzem będziesz, będzie szczęście z tobą

(1) Karkotaka ma tu na myśli Kalego, który, jak wiadomo, wstąpił w Nalę, a któremu teraz trucizna jego boleści sprawiać będzie; por. pieśń 20.

I żonę ujrzysz swoję! nie smuć się więc wcale!
Gdy postać twą zaś przybrać zechcesz, mężowładco,
Wspomniawszy na mnie, szatę tę przyodziéj wtenczas!
Odziany szatą tą odzyskasz postać swoję."
To rzekłszy, dał mu potém boskich sukien dwoje.
Tak nauczywszy Nalę, szaty mu też dawszy,
Król wężów wtenczas, królu, zniknął niespodzianie.

Pieśń piętnasta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Gdy po zniknięciu węża Nala daléj poszedł,
Do miasta Ṛtuparny przybył w dniu dziesiątym.
Do króla udał się „Bâhuką jestem—mówiąc.
„W jeżdżenia sztuce nie ma nigdzie mi równego.
W przypadkach trudnych i niezwykłych ja celuję;
Pokarmów też przyprawę lepiéj znam od innych;
Wszelakie sztuki na tym świecie i rzecz każdą
Postaram się wykonać. Ṛtuparno! przyjm mnie!"
Ṛtuparna rzecze:
„Bâhuko! zostań u mnie! ty mnie zaspokoisz.
By konie szybko biegły, zawsze się starałem.
Starania dołóż więc, by konie szybkie były.
Koniuszym moim będziesz; płacą twą sto setek.
Do usług twych Wârszneja i Dżîwala będą,
Zabawisz z nimi się, Bâhuko! zostań u mnie!"
Bṛhadaśwa rzecze:
Po słowach tych zamieszkał Nala szanowany
Z Wârsznejà i Dżîwalą w mieście Ṛtuparny.
Mieszkając król tam myślał o swéj Widarbhównie,
Co wieczór wiersz ten jeden powtarzając ciągle:
„Cóż robi teraz ona, głodna i pragnąca,
Nieszczęściem się trapiąca? komuż teraz służy?"
Do króla tak się skarżącego rzekł Dżîwala:
„Tak ciągle za kim płaczesz? powiédz mi, Bâhuko!"
Odrzecze mu król Nala: „Pewien człowiek próżny
Miał żonę zacną, mowa jéj stanowcza była.
Z przyczyny błahéj głupiec ów się z nią rozłączył
I w rozłączeniu błąka się trapiony żalem,
A dręczon wyrzutami, dniem i nocą ciągle
Powtarza o północy, o niéj myśląc, wiersz ów.

Gdziekolwiek przyjdzie w swéj wędrówce po tym świecie,
Wspomina wszędzie sobie nędzę jéj, niegodny.
Niewiasta ta w nieszczęściu szła do boru za nim,
A on nikczemnik ją opuścił; żyje-ż jeszcze?
Samotna i dróg nie zna! na toż zasłużyła?
Pragnienie i głód męczą ją! ach! żyje-ż jeszcze?"
Tak wspominając król Niszadhów Damajantę,
Zaginion niby mieszkał w domu króla tego.

Pieśń szesnasta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Gdy Nala z żoną po utracie państwa służbę
Przyjęli, słał brahmanów Bhîma na wywiady,
I dawszy bogactw nadzwyczajnych wiele, rzekł im:
„Szukajcie Nali i méj córki Damajanty!
Krów tysiąc dam ja temu, kto ich przyprowadzi
I w posiadanie wieś dam wielką, miastu równą.
Jeżeli przywieść nie zdołacie ich oboje,
Lecz ich poznacie, krów dam w darze setek dziesięć".
Po słowach tych brahmanie poszli w różne strony,
Czy Nali gdzie nie ujrzą lub też córki Bhîmy:
Do Czedów miasta przybył brahman zwan Sudewa.
I ujrzał tamże Widarbhównę w domu króla
Dzień dobry (1) mu życzącą razem ze Sunandą,
Cudownie piękną, niewypowiedzianie śliczną.
Spostrzegłszy pięknobrewę smutną i wychudłą,
Ze znamion odgadł, iż to Damajanti i rzekł.
Sudewa rzecze:
„Ta, którą wprzód widziałem, jest podobną téj tu.
Skończone więc zadanie, skoro ją znalazłem.
Podobna księżycowi, z pięknėm licem, piersią,
Królowa ta przewyższa drugie jako światło
Ciemności i jak pełni blask nów księżycowy.
Bez męża posmutniała, jak bez wody rzeczka,
Lotusu (2) zwiędłych liści pełna, a bez ptastwa,
Jak rzeczka od zdziczałych słoni zamącona,
Cnotliwa, piękna, stroju godna choć niestrojna,
Jak młody sierp księżyca na niebieskim stropie,

(1) Należało to do licznych ceremonij staroindyjskich.
(2) Kwiat indyjski, od poetów bardzo często wspominany.

Miłości uciech pozbawiona i bez krewnych
Wiodąca życie smutne z żalu za małżonkiem,
— Mąż bowiem głównym strojem żony jest niestrojnéj —
Przez niego opuszczona płacze nieszczęśliwa.
— Że przy tém życiu jeszcze w rozpacz nie popadła?! —
Gdym ujrzał czarnowłosą w smutku pięknobrewę,
Choć szczęścia godną, duch się mój żałością przejął.
Do krańca nieszczęść kiedyż dojdzie krasawica
I ujrzy męża, jak Rohini (1) tęskna księżyc?
Radować będzie się Niszadhczyk, gdy ją znajdzie
I państwo znów odzyska, które był utracił.
Cnotliwéj bowiem i szlachetnéj Widarbhówny
Niszadhczyk godzien, jak i jego czarnooka.
Należy mi pocieszyć smutną i tęskniącą
Małżonkę walecznego bohatyra tego.
Pocieszę ją, co lice ma, jak księżyc, blade
Z kłopotu nad nieszczęściem wprzód jéj nieznanego".

Bṛhadaśwa rzecze:

Wnioskując tak z rozlicznych poznak, że to ona,
Przystąpił brahman do Bhîmówny i rzekł do niéj:
„Sudewą jestem, przyjacielem brata twego;
Na rozkaz króla Bhîmy szukać cię przyszedłem.
Twój ojciec zdrów i matka twa i bracia twoi
I dzieci twoje, tam żyjące, też są zdrowe.
Tyś winna, że twych krewnych grono jest w rozpaczy
I sta brahmanów po wszem świecie cię szukają".
Poznawszy go wnet Damajanti, Judiszthiro,
Pytała o znajomych wszystkich swoich z rzędu.
I rozpłakała się wspomnieniem rozrzewniona,
Sudewę, przyjaciela brata zobaczywszy.
Płaczącą i łkającą widząc ją Sunanda
I skrycie ze Sudewą szeptającą, królu,
Odezwie się do matki: „Ma służąca płacze,
Z brahmanem się spotkawszy; spytaj o przyczynę!"
Z królewskich komnat wtenczas matka Czedów króla
Udała się do Damajanty i brahmana.
Sudewę przywoławszy, rzecze doń królowa:
„Niewiasta ta małżonką czyją jest lub córką?
I czemu rozłączona z mężem i krewnymi?
I czemu przyszła tutaj i jak ją poznałeś?

(1) Pierwsza żona księżyca.

Usłyszéć pragnę ja dokładnie to od ciebie;
Odpowiédz mi więc szczerze na pytanie moje!"
Sudewa, brahman mądry, tak zagadnion od niéj
O Damajancie chętnie prawdę opowiedział.

Pieśń siedmnasta.

Sudewa rzecze:
„Widarbhów król rozumny, sławny zwie się Bhîma;
Urocza Damajanti ta jest córką jego.
Niszadhów królem jest syn Wiraseny, Nala;
Małżonką Punjaśloki jest ta krasawica.
Od brata ogran Nala i pozbawion państwa,
Opuścił Damajantę, kryjąc się gdzieś nieznan.
Za Damajantą chodzim więc po świecie całym.
Ukrytą ją znalazłem ja w mieszkaniu twojém.
Poznałem po znamieniu ślicznem między brwiami,
Podobném lotusowi, które wnet spostrzegłem,
Choć brudem było skryte, jak i księżyc chmurą.
Dla wyróżnienia dał jéj stwórca tę odznakę,
Dla któréj, choć zbrudzona, piękność jéj nie cierpi,
Lecz świeci, choć bez ozdób, jasno jako złoto.
Małżonkę tę królewską, jak po skwarze ogień,
Poznałem ja po ciele i znamieniu owém".
Bṛhadaśwa rzecze:
Sudewy mowę usłyszawszy, mężowładco,
Sunanda zmyła brud zakrywający znamię.
Po zmyciu brudu piękne znamię Damajanty
Zabłysło jako księżyc na bezchmurném niebie.
Ujrzawszy znamię matka króla i Sunanda,
Ze łzami w oczach uściskały ją serdecznie.
Otarłszy łzy, po chwili rzecze matka króla:
„Méj siostry córką jesteś, tém znamieniem znaczna.
Twa matka, jak i ja córkami szlachetnego
Jesteśmy króla Sudâmana, pięknobrewo!
Ją pojął Bhîma silny, mnie zaś Wîrabâhu.
W ojczystym domu widywałam dzieckiem ciebie.
Czém dom ojcowski dla cię, tém i mój ci będzie,
I władza moja, Damajanti, jest i twoją".
Radosném sercem przywitała Damajanti
Poznaną właśnie ciotkę i to rzekła do niéj:
„Choć mnie nie znałaś, dobrze mi tu było zawsze;

Że przyjemnością wszelką otoczona teraz
Wiodłabym milsze jeszcze życie, ja nie wątpię;
Racz puścić wszakże, matko (1), mnie tułaczkę biedną!
Maleńkie dzieci me znajdą się tam same.
Za ojcem tęsknią już, a za mną cóż dopiero?
Jeżeli pragniesz sprawić mi przyjemność jaką,
—Chcę jechać do Widarbhów—szybko daj mi woza!"
Wesoła chętnie na to ciotka jéj przystała
I otoczoną wojskiem silném z wolą syna
Na wózku, który ludzie pchali, odesłała
Uszczęśliwioną, wraz z pokarmem i napojem.
Wprost wtenczas do Widarbhów zaraz się udała.
Radośnie powitało grono ją pokrewnych.
Ujrzawszy krewnych wszystkich i swe dzieci w zdrowiu
I ojca, matkę, i przyjaciół koło całe,
Złożyła cześć niebianom i brahmanom piękna
Królowa Damajanti w mierze nadzwyczajnéj.
Sudewę zaś ucieszył Bhîma krów tysiącem,
Włościami i pieniędzmi, wesół, że ma córkę.—
　Gdy noc przebyła w domu ojca krasawica
I wypoczęła, rzekła, królu, do swéj matki:
„Jeżeli żywą mieć mnie pragniesz, spełń, co powiém!
Postaraj się wynaleść także męża Nalę!"
Królowa Damajanty słowy rozżalona,
Płakała bez ustanku, królu, nic nie mówiąc.
W tym smutku gdy ją zobaczyło otoczenie,
Wołało: „ach! ach!" i płakało także rzewnie.
Do króla Bhîmy rzecze wtenczas to małżonka:
„Twa córka Damajanti tęskni za swym mężem
I wstydu się wyzuwszy, rzekła sama, królu:
„ „Niech idą szukać słudzy twoi Punjaśloki!" "
Uwiadomiony o tém król, brahmanów znowu
Na wszystkie wysłał strony, by szukali Nali.
Na rozkaz tedy króla widarbhskiego rzekli
Brahmanie Damajancie: „Idziem szukać Nali".
Odrzecze na to im Bhîmówna: „We wszech krajach
I między ludźmi wszemi głoście bez ustanku:
„ „Gdzie jesteś, graczu, który-ś szaty pół mi wziąwszy,
Opuścił w lesie śpiącą lubą twą, o luby!
Siedziała tam biedaczka, oczekując ciebie,

(1) „Matka" znaczy tu tyle, co starsza osoba.

W kłopocie wielkim, resztką szaty swéj odziana.
Płaczącéj ciągle z smutku i zmartwienia
Pociechę ześlij i odpowiedź daj żądaną!“ “
Tak proście wy go, by nademną się zmiłował,
Bo żar miotany wiatrem, w końcu bór zniweczy.
Ktokolwiek waszę mowę słysząc, da odpowiedź,
Pytajcie tego zaraz, kto on i gdzie mieszka?
A jeźli na pytanie wasze coś odpowié,
Dokładnie spamiętajcie to i mnie donieście.
Lecz by nie poznał, że na rozkaz mój mówicie,
Musicie nieznużenie częściéj go odwiedzać!
Czy biedny będzie bardzo, czyli téż bogaty,
Czy bogactw żądny, myśli jego zbadać trzeba“.
Po słowach jéj brahmanie poszli na wsze strony,
By szukać wszędzie Nali, króla nieszczęsnego.
Królestwa, miasta, wsie, szałasy i pustelnie
Zwiedziwszy wszystkie, Nali znaleść nie zdołali,
Choć wszyscy słowa Damajanty, o władyko,
Głosili wszędzie, jak im była poleciła.

Pieśń ośmnasta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Po długim czasie brahman pewien, zwan Parnâda,
Wróciwszy z drogi, rzekł Bhîmównie takie słowa:
„Szukając Nali Niszadhczyka, Damajanto,
Przyszedłem do Ajodhji, miasta Bhângasury (1).
Tam rozgłosiłem mowę twą, niewiasto mądra,
Przed Ṛtuparną wielkim i bogatym, pani!
To usłyszawszy nic nie odrzekł Ṛtuparna,
Ni z rajców żaden, choć niejeden raz pytałem.
Gdym odszedł z pozwoleniem króla, przyszedł do mnie
Natenczas człowiek Ṛtuparny, zwan Bâhuką,
Koniuszy księcia tego, brzydki i niekształtny,
Lecz w jeździe biegły i mistrz potraw doskonały.
Westchnąwszy ciężko, człek ten wśród łez nieustannych
I przywitawszy grzecznie mnie, zagadnął potém:
„ „Niewiasta zacna, choć popadnie w nędzę, stróżem
Jest sobie sama, za co niebo jéj zapłatą,
Małżonka, który ją opuścił, nie przeklina,

---

(1) Nazwa rodzinna króla Ṛtuparny, u którego służył Nala za koniuszego.

Lecz wiedzie życie czyste, cnoty tarczą bronna.
I choć mąż popadł w biedę i ją wyrwał z uciech,
I rzucił potém, złości za to dlań nie żywi;
Choć mąż bez strawy i od ptaków z szat wyzuty
I dręczon kłopotami, złości dlań nie żywi.“ “
Gdy słowa te słyszałem, prędko tu wróciłem,
Dowody mając; idź, i oznajm to królowi!“
To usłyszawszy wśród łez w oku od Parnâdy,
Do matki poszła skrycie Damajanti, mówiąc:
„O planie, który mam, nie powiem Bhîmie słowa,
Lecz tobie i Sudewie zamiar mój odkryję
— Nie wyjaw wszakże Bhîmie mojéj tajemnicy!—
I jeźli mnie miłujesz, musisz mi dopomódz,
By z mężem jak najprędzéj złączył mnie Sudewa
I znów ze skutkiem mógł wykonać swe zadanie“.
Parnâdę potém, gdy wypoczął, obdarzyła
Bogactwy rozlicznemi wdzięczna Widarbhówna.

Damajanti rzecze (do Parnâdy):

„Zrobiłeś dla mnie, czego inny mi nie zrobi,
A z mężem wkrótce się zobaczę, mężu święty!“

Bṛhadaśwa rzecze:

Na słowa jéj błogosławieństwem odpowiedział
I udał się do domu, rzecz spełniwszy swoję.
Sudewie rzecze wtenczas smutna Damajanti
Te słowa, Judhiszthiro, w obecności matki:
„Sudewo! idź do miasta, co się zwie Ajodhją,
I zszedłszy się przypadkiem niby z królem, rzecz mu:
„ „Samobór Damajanti znów przygotowuje!
Zdążają tam królowie, jak i królewicze;
Na dzień jutrzejszy wyznaczono termin jego.
Jeżeli możesz, wrogogromco, jedź tam także.
O wschodzie słońca będzie męża wybierała,
Gdyż nie wié, czy bohatyr Nala żyje, czy nie?“ “
Na rozkaz jéj podążył brahman, o władyko,
Do króla Ṛtuparny i rzekł słowa owe.

Pieśń dziewiętnasta.

Bṛhadaśwa rzecze:

Sudewy mowę usłyszawszy Ṛtuparna,
Pochlebnie głosem słodkim rzecze do Bâhuki:
„Mam zamiar jechać na samobór Damajanty

I w jednym dniu tam stanąć; można-ż to Bâhuko?"
Tą mową króla, o Kauntejo, ciężko zranion
W nieszczęściu swojém tak rozmyślał Nala zacny:
„Czyż zdolna Damajanti tak postąpić sobie!
Czy może tylko podstęp to, by mnie zwabiła?
Ach! zbrodnię spełnić jest gotowa Widarbhówna,
Przeze mnie nikczemnika obrażona niecnie!
Natura kobiet słaba, a mój błąd okropny,
Niech czyni w swém sieroctwie, co się jéj podoba
Z rozpaczy i żałości, w którą ją popchnąłem!
Nie! tego nie uczyni, zwłaszcza że ma dzieci!
Co prawdy lub nieprawdy w tém, przekonam się sam.
Za celem Ṛtuparny jadąc, mój osiągnę".
Tak rozmyśliwszy w duchu rzekł Bâhuka smutny
Do króla Ṛtuparny, ręce swe złożywszy:
„Życzenie spełnię twe, o królu, i zawiozę
W dniu jednym cię do miasta widarbhskiego, władco!"
Obejrzał potém konie cny Bahuka, królu,
Obejrzał paszę, jak król Ṛtuparna kazał,
Pośpiesznie w skutek zachęcenia pana swego
Poszedłszy do nich. I wnet przyprowadził konie
Wytrwałe, szybkie, silne, dobréj krwi i rasy,
Od błędów wolne, pięknonozdrze, wielkoszczękie.
Ujrzawszy je król wszakże, rzecze gniewny nieco:
„Tak spełniasz wolę naszę? tak nas oszukujesz?
Jak mają wieść nas konie te tak dychawiczne
I jakże chcesz się udać w podróż z końmi temi?"
Bâhuka rzecze:
„Te konie nas zawiozą do Widarbhów pewno!
Jeżeli innych żądasz, powiédz, a zaprzgęnę".
Ṛtuparna rzecze:
„Ty znawcą doskonałym jesteś, o Bâhuko,
Zaprzęgnij te więc, które uznasz za najlepsze!"
Bṛhadaśwa rzecze:
Natenczas zaprząg znawca Nala czwórkę dzielnych
Do wozu koni dobréj i szlachetnéj rasy.
Gdy na wóz zaprzęgnięty król z pośpiechem siadał,
Rumaki zaraz dzielne padły na kolana.
Natenczas z mężów mąż, król Nala, o władyko,
Pogłaskał konie siłą i odwagą szybkie,
Lejcami śmiało potrząsł, śpiesząc się w odjeździe,
Wârszneji usiešć kazał i dał znak do jazdy.

Na hasło dane przez Bâhukę konie dzielne
Pobiegły przez powietrze dziwnie szybkim pędem.
Ujrzawszy konie swe lecące jak wiatr szybko,
Ajodhji władca szczęsny zdumiał się niemało.
Wârszneja także widząc kierowanie koni,
Uwielbiał Bâhukowe w duszy konioznawstwo.
„Czyż on Mâtali, króla bogów jest woźnica?
Zalety bowiem wielkie jego tkwią w Bâhuce.
Lub może Nala król, zdobywca grodów wrogich?
Bo równa wiedza i u Nali i Bâhuki
I równy wiek też i u Nali i Bâhuki.
Lecz ciała brzydkość na przeszkodzie porównaniu“.
Tak myśląc wiele i głęboko wciąż Wârszneja,
Woźnica Punjaśloki dumał sobie, królu.
Król Ṛtuparna zaś Bâhuki widząc biegłość
I starań jego wielkość, cieszył się niezmiernie.

Pieśń dwudziesta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Gdy wóz tak w szybkim pędził biegu, Bhângâsurze,
Zdobywcy grodów wrogich, spadła wierzchnia szata.
Lecz mimo szybkiéj jazdy spostrzegł stratę swoję.
„Podniosę szatę“, rzekł do Nali więc król sławny.
Lecz Nala rzecze jemu: „Szata twa daleko!
Nie możem wracać się jodżany (1) znów na powrót!“
Po słowach tych jechali daléj i przybyli
Do wibhîtaki (2) z liściem i owocem licznym.
Ujrzawszy ją król w prędkim biegu, rzekł Bâhuce:
„I moję sztukę w rachowaniu znaj, woźnico!
Nie każdy rzecz zna każdą—trudno wiedziéć wszystko —
I nigdzie nie zna człowiek jeden nauk wszystkich.
Na drzewie tym owoców ile jest i liści?
I spadłych ile? Twierdzę, iż jest więcéj nad sto!“
Wóz zatrzymawszy, rzekł Bâhuka mocarzowi:
„Przedziwne opowiadasz rzeczy, wrogogromco!
Przy tobie, królu mężny, zetnę wibhîtakę,
— Gdyż nie wiém, czy masz słuszność, czyli też niesłuszność—
I porachuję jéj owoce wobec ciebie.

(1) Jodżana, miara staroindyjska, równająca się 2 milom.
(2) Wibhîtaka jest drzewo indyjskie, terminalia bellerica.

Wârszneja chwilkę tylko niech potrzyma cugle!"
Woźnicy rzecze wtenczas król: „Nie czas tu bawić!"
Bâhuka rozgniewany srodze, odpowiedział:
„Zaczekaj chwilkę, albo sam jedź daléj, panie!
Masz drogę prostą; jedź! Wârszneja cię powiezie!"
Schlebiając, rzekł mu Rtuparna „Kurów synu!
Nad ciebie nie znam ja woźnicy, o Bâhuko,
I tobą dumny pragnę stanąć u Widarbhów.
Dlatego proszę cię serdecznie, nie czyń zwłoki!
Życzenie każde chętnie spełnię ci, Bâhuko,
Gdy u Widarbhów dziś mi jeszcze słońce wskażesz".
Bâhuka rzecze tedy: „Ściąwszy wibhîtakę,
Popędzę do Widarbhów; uczyń wolę moję!"
Niechętnie prawie rzekł mu król więc: „Rachuj sobie!"
Skoczywszy z woza szybko, ściął drzewinę owę
I zdziwion wielce rzecze słowa te królowi:
„Zliczyłem; ile rzekłeś, tyle jest owoców.
Przedziwną, widzę, masz w rachunkach biegłość, królu!
Usłyszéć chciałbym sposób, w który się to dzieje".
Odrzecze jemu wtenczas król śpieszący w drodze:
„W grze w kostki biegły jestem, więc i w rachowaniu".
Bâhuka rzekł mu więc znów: „Naucz mię téj sztuki!
A przyjmij za nią konioznawstwo, wrogogromco!"
Bâhuce rzecze wtenczas Rtuparna chciwy
Poznania konioznawstwa i ciekawy: „Owszem!
Jak rzekłeś, weźmij zacną sztukę grania w kostki,
A w zamian za to mam od ciebie konioznawstwo".
I wyszedł z Nali w kostek grze biegłego teraz,
Truciznę Karkotaki z paszczy zionąc Kali.
Truciznę wyzionąwszy przybrał postać swoję.
Przeklinać chciał go w złości król Niszadhów, Nala,
Lecz Kali rzekł do niego w strachu, ręce wzniósłszy:
„Powstrzymaj gniew twój, królu! sławą cię obdarzę;
Przeklęła mnie już matka Indraseny w gniewie
Przez ciebie opuszczona; odtąd wśród mąk wielkich
Siedziałem w tobie, królu, ku nieszczęściu memu,
Trucizną króla wężów palon dniem i nocą.
O łaskę błagam cię! wysłuchaj, co ci powiem.
Ktokolwiek z ludzi sławić będzie cię na świecie,
Nie pozna on bojaźni, któréj ojcem jestem,
Jeżeli mnie nie przeklniesz, który ciebie proszę".
Po słowach jego Nala złość powstrzymał swoję.

— Kalego wszakże nikt nie widział oprócz Nali.—
Pozbywszy przeszkód się Niszadhów król waleczny
I wsiadłszy na wóz, ruszył z końmi ognistymi
I pędził nimi, co jak ptaki, szybko biegły,
Kierując ucieszony wozem wedle woli,
Aż przybył do Widarbhów król wszechsłynny wreszcie.
Gdy Nala się oddalił, odszedł też i Kali.
Nieszczęście jedno przebył tak król Nala ziemiowładny
Pozbywszy się Kalego, lecz nie kształtu swego.

Pieśń dwudziesta pierwsza.

Bṛhadaśwa rzecze:
Wieczorem u Widarbhów byli rzeczywiście.
Wnet Bhîmie Ṛtuparnę ludzie oznajmili.
Na prośbę tedy Bhîmy wjechał do Kundiny,
Turkotem woza napełniając całe miasto.
Ten turkot posłyszały także konie Nali
A słysząc go zarżały, jak za Nali dawniéj.
I Damajanti turkot ten słyszała woza,
Lecący jako grzmot straszliwy z chmury ciemnéj.
To też gdy wstrzymał konie Nala, jako zwykł był,
Poznała zaraz, że to Nala z końmi stanął.
I pawie na przedsionku i po stajniach słonie
I konie usłyszały turkot woza tego,
A słysząc turkot woza, słonie wraz z pawiami
Wydały głos radosny, głowy swe podnosząc.
Damajanti rzecze:
„Ach! jakże turkot ten, rozbrzmiewający wkoło
Me serce rozwesela! Nala bawi tutaj!
Jeżeli dziś nie ujrzę pięknéj twarzy Nali,
Rycerza cnót pełnego, umrę bez wątpienia.
Jeżeli dziś nie doznam wśród objęcia jego
Słodyczy uściśnienia, umrę bez wątpienia!
Jeżeli do mnie nie przystąpi dziś Niszadhczyk,
W płomieniach złotych ognia szukać będę śmierci.
Pamiętać nie chcę kłamstw, pamiętać nie chcę uraz,
Doznanych, ani mów czczych więcéj w życiu mojém.
Władyka Nala, szczodry, wyższy ponad drugich
W rzezańców towarzystwie podłém dziś się bawi.
Gdy wspomnę na to, ja mu wierna dniem i nocą
Z boleści nad tym stanem serce mi się kraje“

Bṛhadaśwa rzecze:
Tak płacząc i odchodząc do rozumu prawie
Wstąpiła na dach domu, pragnąc ujrzeć Nalę.
Widziała stamtąd śród podwórza Ṛtuparnę
Na wozie pięknym, wraz z Wârszneją i Bâhuką.
Wârszneja i Bâhuka zeszli potém z woza,
Odprzęgli konie i wóz na bok postawili.
I władca Ṛtuparna zeszedł także z woza
I zbliżył się do Bhîmy, króla potężnego.
Z największą czcią go przyjął Bhîma, choć zdziwiony
Przybyciem jego; nie znał bowiem planów córki.
I król waleczny Ṛtuparna też się dziwił,
Nie widząc ani królów, ani królewiczów.
Od Bhîmy wszakże przywitany i zapytan:
„Twa sprawa jaka? Bodaj szczęście ci przyniosła!“
Namyślał się chwileczkę i powiedział wreszcie:
„Przybyłem tutaj, aby cię też raz odwiedzić“.
Król Bhîma się uśmiechnął i pomyślał w duszy:
„Przyczynę lichą podał pojawienia swego!
Nie ta jest jednak!“ Potém go opuścił rzekłszy:
„Wypocznij sobie, bo podróżą zmęczon jesteś!“
Spoczynku myślą rozweselon i otoczon
Orszakiem udał się do komnat dlań gotowych.
Gdy Ṛtuparna wraz z Wârszneją, królu, poszli,
Bâhuka wóz zabrawszy poszedł do wozowni,
I uprząż z koni zdjąwszy dobrze je opatrzył.
Pogłaskał je i usiadł na krawędzi woza.
Ujrzawszy Damajanti smutna Bhângâsurę.
Z Wârszneją, z woźniczego rodu i Bâhuką,
Rozmyśliwała: „Kto z turkotem tym nadjechał?
Tak Nala zwykł był jeździć; lecz nie widzę Nali.
Wârszneja pewnie sztuki téj się też nauczył,
I on to, drugi Nala, sprawił turkot taki.
Czy może Ṛtuparna jest podobien Nali
I jazda jego dorównywa jeździe Nali?“
Tak myśląc Damajanti, umyśliła w końcu
Służącą posłać, by szukała Niszadhczyka.

Pieśń dwudziesta druga.

Damajanti rzecze:
„Kesini! idź i dowiedz się, kto ten woźnica,

Co na krawędzi siedzi, niski i niekształtny.
Uprzejmie pozdrów go, ma droga, i ostrożnie
Wybadaj go następnie, kim jest rzeczywiście!
Domyślam bowiem się, iż Nalą jest ten człowiek,
Jak radość i przeczucie serca mi powiada.
Powtórzysz w końcu mowy słowa mu Parnâdy,
I co odpowié, donieś mi, ty pięknobiodra!“

Bṛhadaśwa rzecze:

Pobiegłszy służka szybko do Bâhuki, rzekła:
— Widziała wszystko Damajanti z ganku swego —
„Pomyślnych chwil i szczęścia życzę ci, rycerzu!
Przychodzę tu do ciebie z woli Damajanty.
Skądeście przyszli i dlaczego tu przybyli?
Otwarcie powiédz; chce to słyszéć Widarbhówna!“

Bâhuka rzecze:

„O samoborze słyszał wielki król Kausialja
Powtórnym Damajanty od brahmana w domu.
Na wieść tę przybył król końmi pośpiesznymi,
Sto jodżan przeleciawszy; jego-m ja woźnicą!“

Kesini rzecze:

„A trzeci z was kto? skąd i z rodu jest jakiego?
I ty z jakiego-ś rodu i woźnicą czemu-ś?“

Bâhuka rzecze:

„Wârszneja Punjaśloki był woźnicą sławnym;
Gdy Nala zginął, udał się do Bhângâsury,
I ja-m koniuszy i powozić umiem dobrze,
Dlatego Ṛtuparna przyjął mnie do jazdy.“

Kesini rzecze:

„Czy wie Wârszneja, dokąd udał się król Nala,
I tobie może téż powiedział, o Bâhuko?“

Bâhuka rzecze:

„Oddawszy tu Wârszneja dzieci króla Nali,
Szedł w świat daleki; a o Nali nic on nie wie!
I żaden człowiek nie wie o nim, krasawico;
W postaci obcéj chodzi nieznan on po świecie.
O Nali losach tajnych wie sam Nala tylko.
Bo poznać nie da Nala się nikomu nigdzie.“

Kesini rzecze:

„Co brahmanowi, do Ajodhji przybyłemu
Na słowa jego rzekłeś, kiedy wołał ciągle,
„„Gdzie jesteś graczu, który-ś szaty pół mi wziąwszy,
Opuścił w lesie śpiącą lubą twą, o luby!

Siedziała tam biedaczka, oczekując ciebie
W kłopocie wielkim resztką szaty swéj odziana.
Płaczącéj ciągle z smutku i zmartwienia
Pociechę ześlij i odpowiedź daj żądaną!" "
Te same słowa powtórz dziś dosłownie!
Usłyszeć je od ciebie znów chce Widarbhówna."

Bṛhadaśwa rzecze:

Kesini mowę gdy usłyszał Nala, królu,
Zraniło mu się serce, załzawiło oko.
Lecz boleść powściągnąwszy władca nieszczęśliwy,
Choć łzy mu głos tłumiły, znowu się odezwie:
„Niewiasta zacna, choć popadnie w nędzę, stróżem
Jest sobie sama, za co niebo jéj zapłatą.
Małżonka, który ją opuścił, nie przeklina,
Lecz wiedzie życie czyste, cnoty tarczą bronna.
I choć mąż popadł w biedę i ją wyrwał z uciech
I rzucił potém, złości za to dlań nie żywi;
Choć mąż bez strawy i od ptaków z szat wyzuty
I dręczon kłopotami, złości dlań nie żywi."
To mówiąc Nala czuł się bardzo nieszczęśliwy,
A łez nie mogąc wstrzymać, płakał, o Bhârato!
Kesini zaś się oddaliwszy, Damajancie
Opowiedziała mowę i wzruszenie jego!

Pieśń dwudziesta trzecia.

Bṛhadaśwa rzecze:

Służącéj mowę usłyszawszy Damajanti
I przeczuwając, że Bâhuka Nalą, rzekła:
„Kesini, idź raz jeszcze i Bâhukę zbadaj,
Zważając pilnie na czynności i ruch jego.
By wstrzymać tu go, nie daj ognia mu, Kesini!
Na prośbę jego nie śpiesz mu się podać wody,
Gdy znamię jakie ujrzysz, boskie albo ludzkie,
Lub coś nadzwyczajnego, donieś mi natychmiast!"
Po słowach Damajanty poszła znów Kesini.
Znamiona koniuszego wybadawszy potém.
Wróciła, oznajmując wszystko Damajancie,
I znaki wszystkie, które była w nim spostrzegła.

Kesini rzecze:

„Nadzwyczaj dziwny jest on; nie widziałam nigdy

Człowieka podobnego jemu, Damajanti!
Choć niską wchodzi bramą, nigdy się nie zgina.
Lecz wchód za przyjściem jego dlań się rozprzestrzenia.
Ze względu na mocarza Rtuparnę strawy
Rozlicznéj dano mu i mięsa zwierzęcego,
Do mycia naczyń mu potrzebnych przyniesiono,
Na które skoro spojrzał, wody pełne były.
Umywszy się Bâhuka potém, poszedł na bok
I trawy wiązkę wziąwszy podniósł ją ku słońcu
Po małéj chwili gorejący powstał ogień.
Ujrzawszy to zdumiona, przyszłam tu oznajmić.
I inny cud niezwykły oglądałam także,
Że ogień dzierżąc w ręku, sam się nie oparzył.
Prócz tego jeszcze jeden cud widziałam wielki,
Jak kwiaty, które wziął i zdusił ręką wolno,
Jak kwiaty te rękoma jego poduszone,
Tym bardziéj pachnąc świeżość znowu odzyskały.“

Bṛhadaśwa rzecze:

Te czyny Punjaśloki słysząc Damajanti,
Powzięła przekonanie, iż ich sprawcą Nala,
A sądząc, iż mąż Nala kryje się w Bâhuce,
Łagodnym rzecze głosem do Kesini płacząc:
„Idź jeszcze raz i zabierz mięsa pieczonego
Bâhuce powolnemu i przyjdź do mnie, droga!“
Poszedłszy do Bâhuki, wzięła z ognia mięsa
Kesini i przyniosła Damajancie, królu.
Po smaku i przyprawach mięsa pieczonego
Poznała zaraz, płacząc, iż woźnica Nalą.
Wzruszenie gdy minęło i twarz gdy umyła,
Posłała dzieci swoich dwoje doń z Kesinią.
Poznawszy Indrasenkę, jak i jéj braciszka,
Do serca swego je przycisnął król Bâhuka.
I mając je na łonie, dzieciom boskim równe,
Zapłakał głośno nad nieszczęsnym losem swoim.
Zdradziwszy tak Niszadhczyk wielkie swe wzruszenie,
Odepchnął nagle dzieci i rzekł do Kesini:
„I ja mam takich dzieci dwoje, ma staruszko,
Ujrzawszy nagle te tu, zapłakałem sobie.
Posądzą cię o bezwstyd, boś tak często u mnie;
Ja-m gościem tutaj tylko; idź więc precz ode mnie!“

Pieśń dwudziesta czwarta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Wzruszenie Punjaśloki cnego oglądawszy
Kesini, poszła z wieścią znów do Damajanty.
I znów Kesinię Damajanti, smutku pełna,
Wysłała do swéj matki, tak jéj mówić każąc:
„Bâhukę strzegłam, Nali w nim się domyślając.
Co w kształcie jego mi wątpliwe, zbadać pragnę.
Dlatego proś go tutaj lub mnie puść do niego!
Czy z wiedzą czy bez wiedzy ojca być to musi.“
Po słowach tych królowa objawiła Bhîmie
Zamiary córki; król dał pozwolenie swoje.
Za ojca więc i matki pozwoleniem, królu,
Przyjęła Damajanti Nalę w swém mieszkaniu.
Ujrzawszy Damajantę nagle władca Nala,
Z żałości i nieszczęścia zaczął płakać rzewnie.
Ujrzawszy go w wzruszeniu takiém Damajanti,
Popadła również w żal i smutek krasawica.
W czerwonéj sukni, z włosem zaplecionym, brudna (1)
Te słowa Damajanti rzecze do Bâhuki:
„Czyś widział kiedykolwiek, aby człowiek zacny
Zostawił swą małżonkę śpiącą w lesie pustym,
Małżonkę wierną i niewinną, lecz znużoną?
Któż mógłby zdradzić tak kobietę oprócz Nali?
Występek jakiż popełniłam względem niego,
Że w lesie śpiącą zostawiając, uszedł sobie,
Niepomny, że bogami gardząc, jego wzięłam!
Jak mógł opuścić mnie, co kocham go nad wszystko?
On, który w obecności bogów wierność przyrzekł,
Nad ogniem rękę dzierżąc, gdzież się błąka w świecie?“
Gdy tak mówiła Damajanti, wrogogromco,
Łez gorzkich strumień z oczu lał się jéj obfity
Z ócz czarnobrewych Nala strumień łez płynący
Ten widząc, rzecze do płaczącéj słowa takie:
„Królestwo-m stracił, lecz nie moją winą własną!
Z Kalego-m winy, o kobieto, stracił wszystko.
Lecz jakiém prawem ty wiernego ci małżonka
Opuszczasz i innego chcesz wybierać nędzna?
Na rozkaz króla przebiegają gońcy ziemię:

(1) Znamiona wielkiéj żałoby i smutku

„ „Bhîmówna, głosząc, po raz wtóry za mąż idzie.“ “
Ten zarzut Nali usłyszawszy Damajanti,
Złożyła ręce i z bojaźni drżąca, rzecze:
Potwarzy miotać nie racz na mnie, bohatyrze!
Ja-m bogów ostawiła, a wybrała ciebie!
Dla ciebie brahmanowie szli na wszystkie strony,
W swych rymach słowa me śpiewając w każdym kraju,
Aż w końcu brahman mądry, zwan Parnâdą, królu,
W Kosiali (1) znalazł ciebie w domu Rtuparny.
Na słowa pieśni jego ty się odezwałeś.
By ciebie zwabić, wymyśliłam podstęp taki,
Bo nikt prócz ciebie w jednym dniu, o ziemiowładco,
Nie zdolen jodżan setkę końmi przebiedz, królu!
Tych stóp się dotknę na stwierdzenie prawdy, władco,
Że myślą nawet nie zgrzeszyłam przeciw tobie!
Niech Wiatr, co świadkiem stworzeń wszystkich na tym świecie,
Odbierze życie mi, jeżeli grzech popełniam!
Niech Słońce, które ciągle świat obiega cały,
Odbierze życie mi, jeżeli grzech popełniam!
Niech Księżyc, który jak szpieg środkiem krąży stworzeń,
Odbierze życie mi, jeżeli grzech popełniam!
Ci trzej bogowie trzechświat utrzymują cały,
Niech oni prawdę ci poświadczą, niech mnie zdradzą!“
Po słowach takich Wiatr odezwie się z powietrza:
„Nie popełniła ona grzechu, mówię-ć prawdę.
Bogaty skarbiec cnoty Damajanty nie naruszon;
Świadkami i stróżami jéj lat trzy byliśmy.
Podstępu zaś użyła, aby zwabić ciebie,
Bo nikt, jak ty w dniu jednym jodżan sto nie jedzie.
Znalazła cię Bhîmówna, a Bhîmównę ty znów!
Nie wahaj więc się dłużéj z żoną swą połączyć!“
Gdy Wiatr to mówił jeszcze, spadł deszcz kwiatów na nich,
Głos bębnów boskich rozległ się i wietrzyk zawiał.
Gdy cud ten wielki ujrzał Nala król, Bhârato,
Poprzestał podejrzywać Damajantę, królu!
I oblekł szatę owę, kurzem niedotkniętą,
Słów króla wężów pomny i wnet kształt swój zyskał.
W postaci dawnéj widząc męża Bhîmy córka,
W objęcia padła jego, głośno się radując.
I Nala, król, Bhîmównę, piękny jako dawniéj,

(1) Druga nazwa miasta Ajodhji.

Uściskał i powitał dzieci swe radośnie.
Do piersi swéj twarz piękną jego przycisnąwszy,
Wzdychała ze wzruszenia ciężko długobrewa.
Podobnie król ściskając brudem pomazaną
Małżonkę swoję, stał wzruszeniem nieruchomy.
Poznanie Nali z Damajantą w wszech szczegółach
Opowiedziała Bhîmie matka jéj, o królu!
Król rzecze wtenczas: „Gdy dokona oczyszczenia
I z żoną się zabawi Nala, udam doń się.“
Tymczasem oni w nocy powiadali sobie
Koleje życia swego, mile czas spędzając.
Wesoło w domu Bhîmy Nala z Widarbhówną
Bawili się tam, pocieszając się nawzajem.
Po latach trzech tak zszedłszy się z małżonką znowu
I widząc życzeń swych spełnienie, czuł się szczęśliw.
I Damajanti męża mając, też wzmocniała
Jak zboże napółwzrosłe po spadnięciu deszczu.

Pieśń dwudziesta piąta.

Bṛhadaśwa rzecze:
Spędziwszy noc tak Nala, poszedł z Widarbhówną
Ubrany pięknie, złożyć cześć teściowi swemu.
Jak syna przyjął go z weselem wielkiem Bhîma
I wedle stanu go uczciwszy, cieszył się z nim.
I Nala, cześć przyjąwszy tę, jak mu przystało,
Gotowość swą do usług w zamian ofiarował.
Natenczas powstał w mieście wielki krzyk radości
Ucieszonego tłumu, że powrócił Nala.
Skropiono drogi i kwiatami ozdobiono,
I w bramach wszystkich sypał kwiaty lud poddany
I Ṛtuparna słysząc, że Bâhuka w Nalę
Się zmienił i pojednał z żoną, też się cieszył.
Przywiódłszy doń król Nalę, uniewinnił zięcia.
„Szczęśliwym bądź, rzekł Ṛtuparna, z żoną twoją!
Jeżelim cię obraził może, Niszadhczyku,
Nie wiedząc, iż przebywasz w domu moim, królu,
Jeżelim z wolą lub bez woli kiedykolwiek
Postąpił sobie z tobą źle, racz mi wybaczyć.“
Nala rzecze:
„Nie wyrządziłeś krzywdy mi najmniejszéj, królu,

A choćby-ś i wyrządził, chętnie ci daruję.
Oddawna jesteś przyjacielem mym i krewnym;
I nadal jeszcze racz zachować przyjaźń dla mnie!
W dostatki wszelkie opływałem ja u ciebie;
Jak w domu własnym miałem się w twym domu, królu!
Koniarstwo dotąd mą jest tajemnicą jeszcze;
Powierzyć ci ją, królu, jeźli wola, pragnę."

Bṛhadaśwa rzecze:

Po słowach tych dał Ṛtuparnie wiedzę owę.
Z wdzięcznością przyjął ją, prawidła jéj pojąwszy.
Pojąwszy koniożnawstwo władca Bhângâsuri,
Woźnicę wziął innego i do domu wrócił.
Gdy Ṛtuparna był pojechał, mężny Nala
Niedługo bawił się w Kundinie, mężowładco!

Pieśń dwudziesta szósta.

Bṛhadaśwa rzecze:

Po jednym już miesiącu z Bhîmą się pożegnał
I z służalcami kilku do Niszadhów jechał.
Wziął wóz przepyszny z sobą i szesnaście słoni,
I koni pięćdziesiątkę i piechurów sześć set,
Że ziemia drżała od pośpiechu ziemiowładcy,
Ze złością skrytą udał się król wielkoduszny,
Syn Wiraseny, Nala, do Puszkary i rzekł:
„Zagrajmy znowu! bogactw nazbierałem licznych;
Ja stawiam Damajantę i me mienie całe
Za przedmiot gry téj; ty Puszkaro staw królestwo!
Rzucimy kostki wszakże—także me życzenie—
Raz jeden tylko! Bacz więc! i o życie gramy!
Zwycięsca zaś zabiera państwo lub bogactwa.
Odpłatę dać należy! tak nam każe zwyczaj.
Jeżeli gry nie pragniesz, łuki niech zaświszczą
I w pojedynku ty lub ja niech spokój znajdzie!
O ziemię ojców w każdy sposób walczyć trzeba
I środkiem każdym; tak uczyli mnie starcowie!
Z dwóch walk wybieraj jednę sobie dziś, Puszkaro;
Kostkami w grze lub łukiem, w boju walczyć będziem."
Po słowach Niszadhczyka rzekł Puszkara z śmiechem,
W nadziei zwyciężenia Nali w odpowiedzi:
„Cześć tobie! bogactw nazbierałeś do odpłaty!

Ach! dzięki! Damajanty los rozstrzygnion dzisiaj!
Bhîmówna wraz z bogactwy twemi dziś wygrana
Mnie służyć będzie, jak Apsaras (1) w niebie Siakrze.
Wspominam ciągle cię i czekam, Niszadhczyku,
Bo nie znajduję w grze z innymi przyjemności.
Wygrawszy dziś zaś Damajantę niezrównaną,
Osięgnę cel mój; dawno o niéj już myślałem."
Dowcipy jego nierozsądne wysłuchawszy,
Chciał głowę mieczem rozciąć mu rozgniewan Nala.
Lecz chociaż oko gniewem wrzało, z śmiechem rzekł mu:
„Zagrajmy! poco gadać? po grze cicho będziesz!"
Zaczęli więc grę potém Nala i Puszkara
I w jednéj grze Puszkarę ograł mężny Nala.
Ograwszy zaś Puszkarę, rzecze uśmiechnięty:
„Królestwo me jest; żaden wróg go nie zaburzy,
A Widarbhówny nie zobaczysz, nikczemniku!
Do stanu niewolników jéj upadłeś, niecny!
Nie ty sprawiłeś, żem ograny został dawniéj;
Kalego sprawa była to, lecz tyś nie wiedział.
Lecz nie na tobie zemszczę się za winy innych.
Żyj sobie więc do woli! życie ci daruję
I skarby wszystkie, własność twoję, zabierz z sobą!
Gdyż kocham cię, rycerzu—nie wątp o tém wcale!—
I przyjaźń ma od ciebie nigdy nie odstąpi.
Puszkaro! bratem bądź mi wciąż i żyj lat setkę."
W ten sposób pocieszywszy brata Nala zacny
Do miasta go własnego posłać przyobiecał.
Pocieszon tak przez Niszadhczyka rzekł Puszkara
Do Punjaśloki, ukłoniwszy się z pokorą:
„Pomyślność wieczna ci! żyj lat tysiące szczęsny,
Ty, który życie z miastem mi darujesz, władco!"
W gościnie bawił tam Puszkara miesiąc jeszcze,
A potém chętnie udał się do miasta swego.
Puszkarę odesławszy w zdrowiu i z bogactwy,
Do miasta wszedł szczęśliwy pięknie ubranego.
Mieszczanie i wieśniacy ucieszeni bardzo,
W pokorze rzekli wszyscy z ministrami wspólnie:
„Szczęśliwi dziś jesteśmy po wsiach i po miastach!
Przychodzim służyć ci, jak bogi Siatakracie (2)

(1) Nimfa niebieska.
(2) Przydomek Indry.

Gdy miasto się uspokoiło w swéj radości,
Wyruszył z wojskiem silném król po Damajantę.
Straszliwy wrogom rodzic jéj, szlachetny Bhîma,
Obdarzył hojnie córkę swą i puścił z mężem.
Gdy Widarbhówna z dziećmi nadjechała zdrowa,
Był Nala szczęśliw, jako bogów król w Nandanie (1).
Znaczenie odzyskawszy znowu w Dżambudwipie (2)
I państwo swoje, rządził niém sławiony wielce.

Przełożył *Jan Lieciejewski.*

---

(1) Ogród Indry.
(2) Stara nazwa Indyj wschodnich.

ZDROWOTNOŚĆ MIESZKAŃ NASZYCH.

Nietrudno będzie dowieść jak ważnym w zachowaniu zdrowia czynnikiem jest *dobre mieszkanie*, gdy się zastanowimy, że nie mniéj, jak trzecią część życia naszego w domach mieszkalnych już podczas samego snu spędzamy. Dodajmy do tego czasy dzieciństwa, wszelkie choroby przebyte, obowiązkowe, przymusowe i dobrowolne (szczególniéj po miastach) zajęcia i rozrywki pod dachem, warunki naszego klimatu, długie jego zimowe wieczory,—a przekonamy się że przeszło połowa życia upływa nam w zamknięciu między czterema ścianami.

Łatwiéj jeszcze przekonać, jak szkodliwe wpływy *złych mieszkań* niszczyć mogą to, co jest nam najdroższe. Oto rozpatrzmy bliżéj kiedy, w jakich okolicznościach te wpływy przeważnie działają. A więc: w dzieciństwie, w czasie snu, w czasie choroby i rekowalescencyi. Głównie przeto w momentach pewnéj bezbronności organizmu naszego, kiedy największéj potrzebujemy ochrony.

Że w dzieciństwie, chorobie i czasu powrotu do zdrowia organizm, jako słabszy lub chwilowo znękany, wrażliwszym jest na złe wpływy, łatwe jest do pojęcia i wie to każdy; lecz nie wszystkim zapewne wiadomo, że w czasie snu, właściwa normalnemu organizmowi odporność bardzo znacznie się zmniéjsza. Dzieje się to wskutek omdlenia reakcyi nerwowéj, wskutek zwolnienia w krążeniu soków i opóźnionéj przez to przemiany materyi, spadku temperatury, nie mówiąc już o dodatkowych, ułatwiających wtargnięcie i rozwój zarazków zjawiskach, jak zaleganie koniecznych fizyologicznych funkcyj, nagromadzenie się śluzów w drogach oddechowych i jamie ustnéj, transpiracyi skóry itp. Odpowiednio do tego i zarażenia się chorobami najłatwiéj podczas snu przychodzą. Któryż np. z lekarzy, zamieszkujących okolicę nawiedzaną przez febry błotne, nie obserwował mnogich wypadków zarażenia zimnicą, przez sen choćby

krótkotrwały w miejscu silniéj zapowietrzoném, wtedy, gdy czuwanie lub praca fizyczna tamże, ochraniała inne indywidua od objawów choroby, bo dopomagała im do zwalczenia w sobie i wydalenia zarazka. Potrzeba zdrowego mieszkania, jest już dziś prawie ogólną, bo do ogólniéj znanych prawideł hygieny zaliczyć wypada i świadomość o zbawiennym lub szkodliwym jego wpływie na zdrowie nasze. Również, każdy już z nas dzisiaj umiałby (tak się przynajmniéj nam zdaje) poznać się na warunkach *zdrowego mieszkania.* W tém zwykłém znaczeniu, jeżeli jest ono nie wilgotne, jest suche, na zimę ciepłe, bez przeciągów, gdy jest w dodatku obszerne, wysokie a widne, więc z dostatkiem powietrza a światła, nie ma złego sąsiedztwa, a niech to będzie jeszcze domek w ogrodzie wśród drzew,—to już i dla najbardziéj kapryśnych nic do życzenia nie pozostawi i nigdy obwinioném nie będzie o szkodliwe działanie na zdrowie.

A jednak są jeszcze warunki inne, mniéj ogółowi znane, z pierwszorzędném, kardynalném znaczeniem w kwestyi zdrowotności mieszkania.

Mieszkanie człowieka powinno być, oprócz przytoczonych warunków, jeszcze:

1. Wolne od współlokatorów: roślin, owadów, myszy.

2. Czystością swą możliwie zabezpieczone od grzybków-pleśni i spokrewnionych z niemi grzybków-bakteryj.

3. Powinno być zaopatrywane w powietrze z warstw wyższych po nad ziemią.

4. Powinno być *absolutnie* przedzielone od wyziewów ziemnych.

Skazując rośliny na wygnanie z mieszkań ludzkich, trudno co prawda przeciwko nim samym poważny postawić zarzut; co więcéj sprawiedliwość wymaga nawet, wyliczenia małych ich zasług. Że niektóre z nich, kwiatów, silnym zapachem nabawią czasem zawrotu głowy amatora flory pokojowéj,—to za to, dostarczają one dla zdrowia potrzebnéj wilgoci, szczególniéj w czasie mrozów (bo wtedy powietrze mieszkań najsuchsze). Są przytém ozdobą trudną do zastąpienia. Jeżeli są one szkodliwe, to tylko dlatego, że się bez ziemi w wazonach obejść nie mogą. Przytaczane przez obrońców roślin pokojowych inne zasługi, jak np. dostarczanie tlenu, tak potrzebnego dla istot żyjących, a pochłanianie ' wasu węglowego, przez te ostatnie wydzielanego, podlegają krytyce. Każda roślina, co wdzień pod działaniem słonecznych promieni zrobi dobrego, to nocą popsuje, gdyż nocny proces jéj oddechania jest wprost przeciwny. Kwas

węglowy nocą roślina oddaje napowrót. Oddech więc roślin, w pożytku lub szkodliwości zredukowany jest do zera; lecz oddech to a raczéj wyziew ziemi z wazonów jest tutaj okolicznością obciążającą, która koniecznie werdyktu potępiającego wymaga. Wyjątek stanowią niektóre cebulkowe. Mając zapas pokarmu w cebulach nagromadzony, potrzebują tylko wody i z jéj pomocą są zdolne kwiaty wykształcić. Czytelnikowi znany zapewne sposób trzymania tych kwiatów w szklannych flakonach z wodą.

W ziemi każdéj, a témbardziéj w żyznéj, w humus obfitéj ziemi wazonowéj, odbywa się ciągły proces chemiczny, zależny poczęści od rozwoju drobnych tworów żyjących. Procesowi temu towarzyszy trwałe wydzielanie gazów stanowczo szkodliwych ustrojom wyższym a więc człowiekowi. Przy dostatku wilgoci i w temperaturze pokojowéj, proces ten potęguje się. Niedziw więc, że ujemne jego działanie zwróciło uwagę wielu lekarzy. Prof. Eichwald opisuje uporczywą malaryę zimniczą u pewnéj kobiety w Petersburgu. Dama ta miała w swoim salonie oranżeryą i większą część dnia w tym salonie przesiadywać zwykła. Po kilku dawkach chininy choroba ustępowała, lecz jednocześnie z powrotem do zdrowia, chora opuszczała swój pokój sypialny, wracając do zwykłego przepędzania czasu w salonie. Febra objawiała się znowu, znowu była leczoną, i tak się powtarzała dopóty, aż prof. Eichwald zwrócił uwagę na kwiaty jako przyczynę złego. Po usunięciu ich z mieszkania, chora raz wyzdrowiawszy, już więcéj nie zapadała na febrę. Prof. Tomasi-Crudeli (1) z Rzymu jest zdania, że fabrykantem szkodliwych tych emanacyi, jest wykryty przez niego mikrob (Bacillus Malariae) żyjący przeważnie w ziemiach wilgotnych, humusowych. Mal'aria, nowoczesna nazwa zimniczego zakażenia, jest więc, jak widzimy, bardzo odpowiednią dla téj choroby dziś tak rozpowszechnionéj.

Z mieszkań naszych wypędzić trzeba owady, bo z pomiędzy nieprzyjemnych i dokuczliwych, niektóre mogą być wprost szkodliwemi dla zdrowia ludzkiego. Jeżeli muchy kąsające przenoszą zarazki karbunkułowe z jednego zwierzęcia na drugie i to szczepienie podskórne im się udaje, to czemużby muchom pokojowym nie miało z równym sukcesem udawać się przenoszenie zarazków, np. cholerycznych, na przedmioty na pokarm człowieka przeznaczone, jak mleko, owoce itp. i przeszczepianie ich tamże dla dalszego rozwoju. A przytém, miliardy ich trupów, że weźmiemy za przykład jesienną

(1) Tomasi Crudeli: La Malaria de Rome et l'ancien drainage des collines Romaines. Paris 1880.

epidemię much, są wstanie zatruć powietrze pokoju i dostarczyć pokarmu dla konkurujących o wszystko i niczém nie gardzących wszędobylskich bakteryj, (przez które to pewnie żyjątka w naturze nic zaginąć nie może).

Co mómimy o owadach, to podniesione do wyższéj potęgi stosować wypada do myszy i szczurów. I te również bez szpitali i przedsiebierstw pogrzebowych obchodzić się zwykły, a podlegają wielu chorobom, nietylko swoistym, lecz i u ludzi powszechnym. Są to stworzenia nadzwyczaj wrażliwe i łatwo przyjmujące (jak o tém doświadczalne laboratoria przekonywają) zarazki chorób wspólnych zwierzętom i ludziom (karbunkuł, dyfteryt). Czy więc nie mogą być one roznosicielami tych chorób? A nawet w innych chorobach, czy nie biorą na siebie roli osób trzecich, pośredników pokątnych? Bardzo to niehygieniczna i niesympatyczna społeczność. Żaby np. i węże, bo i tych gości w wiejskich naszych, szlacheckich nawet domach spotkać można, nie są tyle szkodliwe, jako stworzenia o krwi zimnéj; jeżeli więc i mają swemu gatunkowi właściwe choroby, to zapewne zupełnie odrębne, na ludzi nie przechodzące. Wobec śmierci jednak wszyscyśmy równi. Pośmiertne szczątki jednych i drugich jednako zapachnąć mogą. A któż z wieśniaków nie zaznał téj przyjemności w domu, gdzie Tord-boyaux do tępienia myszy użyją, nie wspominając o zdechłych z pragnienia, jak się to najczęściéj myszom w zamknięciu przytrafia. O uczcie dla bacillusów wtedy zbyteczném byłoby mówić.

Lecz może o nich samych, o tych mikrobach Pasteur'a, bacillusach Kocha, lasecznikach, pora już słów parę powiedziéć!

Są to przedewszystkiém stworzenia gołém okiem niewidzialne, chyba w znaczném nagromadzeniu jednostek jako kolonie. Pod mikroskopem niewprawne oko dostrzeże zaledwie, jakby odrobinę sieczki rozsianéj na polu widzenia. Nazwa też ich od kształtu zapożyczona: bakterya (βακτηρία — pałeczka), lasecznik (Bacillus—laska), mikrokokki (μικρός —drobny, Coccum—ziarno, jądro); a chociaż jest ich setki rodzai i odmian i wszystko to prawie pałeczki i ziarnka, to dla wprawnego oka rozpoznanie ułatwia ugrupowanie się cząstek. Jak zdala rozpoznajemy gatunek lecących ptaków, po kluczu żórawie lub dzikie kaczki, po gromadce gołębie, tak i pod mikroskopem widząc gromadki, szeregi, dwójki itp. kombinacye pałeczek i ziarnek, już wnosić możem o gatunku bakteryj, jakkolwiek ostatecznie rozstrzygają dopiero ich biologiczne własności, zachowanie się względem farb pewnych i próbne szczepienia zwierzętom.

W historyi naturalnéj miejsce tych tworów drobnowidzowych na kresach państw roślinnego i zwierzęcego. Sposobem życia i rozmnażania się do roślin (jak one bez wilgoci obejść się nie mogą i jak one tworzą zarodki, nasionka), a darem ruchu do zwierząt zbliżone,—stanowić powinny odrębne państwo, a państwo potężne, bo śmiało powiedziéć można, najliczniejsi to mieszkańcy ziemi. Przytém, w walce o byt najpotężniejsze, najpłodniejsze, najbardziéj na różnicę temperatury zahartowane, z rozciągłą zdolnością przystosowywania się do otaczających warunków, ogólnym prawom natury dla istot żyjących najmniéj podległe. Wśród téj to groźnéj rzeszy, mamy także naszych wrogów nieprzejednanych. Są one jak wiadomo, przyczynami wielu chorób. Lekarze - badacze albo już odnaleźli, albo podejrzewają, że dla każdéj zaraźliwéj choroby istnieje osobny gatunek bakteryj. I tak: w karbunkule *bacillus anthracis*, w tyfusie powrotnym *spirilla*, w suchotach odrębny lasecznik. Towarzyszą one zawsze róży, ospie, błonicy; a w nowszych czasach dla zimnicy *bacillus malariae*, dla cholery *bacillus przecinek* odnaleziony. Dla dwóch ostatnich wprawdzie akta nie są jeszcze zamknięte. Hodowcy studyując ich życie, odkryli jedną z bardzo doniosłych własności, swoistą téj grupie stworzeń. Oto, nieszkodliwy, obojętny pierwotnie gatunek bakteryi, przy odpowiedniéj, dogodnéj dla niego kulturze, nabrać może w następnych swych pokoleniach wysokiéj jadowitości. Po pewnym jednak czasie, dosiągnąwszy niejako szczytu dzielności, przeżywa się, słabnie. W tym więc razie, nie wyłamały się one z pod powszechnego prawa natury. Że takie samoistne kultury bakteryi w przyrodzie się powtarzają, objaśni nam łatwo każda z epidemij, ze swym cyklicznym, wzmagającym się, równym i słabnącym w końcu przebiegiem.

Pokrewne bakteryom, lecz więcéj do roślin zbliżone są pleśnie. Któż ich nie widział w kałamarzu na atramencie, na konserwach zimowych kompotów, na serach gnojonych, na ścianach wilgotnych piwnic. I ten rodzaj grzybków jest zdolnym powiększyć swą siłę żywotną, a nawet stać się jadowitym przy odpowiednich warunkach. Miliardy zarodków pleśniowych kiełkują wszędzie, gdzie tylko grunt dla nich jest odpowiedni. Zapalne choroby uszu polegają często na rozwoju grzybka z gatunku *Aspergillus*. Pleśnie także wydzielają z siebie gazy niezdrowe, stęchliznę, a przytém znajdujemy zawsze z niemi razem bakterye, czy-to jako towarzysze wspólnego stołu, czy jako pasorzytów na mniéj silnych, lub może sprzymierzonych w jednakim celu.

Prof. Naegeli z Monachium, chcąc objaśnić niektóre fakta i pogodzić sprzeczne zapatrywania epidemioznawców, zbudował nastę-

pującą hypotezę. Dla wywołania choroby z grupy chorób miazmowo-zakaźnych, np. tyfusu brzusznego, potrzeba takiego zaczepno-odpornego przymierza dwóch różnych zarazków. Miazmatowy, który wprzód w ziemi powinien się rozwielmożnić, po przejściu do organizmu człowieka i osłabiając jego odporność, ma tam grunt przygotować, dla właściwego zarazka—*contagium*. Bez tego przygotowawczego działania pierwszego, drugi zaszczepić się, tj. rozwinąć nie ma dość siły.

„Czy nie prościéj, jak słusznie mówi Wernich (1), działanie grzybka miazmowego, zredukować do szkodliwego wpływu gazów, jakie on wytworzyć jest w stanie i gazom tym przygotowawcze działanie przypisać?" A nawet, jak mnie się zdaje, jeden i ten sam grzybek - zarazek może obie role przyjąć na siebie, i gazy trujące produkować i w następstwie zarażać organizm swoją istotą chorobotwórczą, jak tchórz, co swoje ofiary w kurniku podkurza.

Wernich na dowód słuszności zapatrywania, cytuje swe doświadczenia nad odżywczemi płynami, specyalnie przygotowanemi dla hodowli bakteryj. Płyny takie, wystawione przez pewien czas na działanie wyziewów z rozkładu materyj organicznych, daleko prędzéj i łatwiéj przyjmowały w następstwie szczepiony zarazek i sprzyjały rozmnażaniu się jego, niż płyny téj saméj treści, lecz niewystawiane poprzednio na działanie gazów smrodliwych. Czyż analogicznie i do organizmu człowieka zastosować by tego nie można?

Przejściem do punktu 3-go naszego zadania, będzie zwrócenie uwagi na tę okoliczność, że ciężar gatunkowy gazów, wydzielanych przez ziemię, większy jest od gatunkowéj ciężkości powietrza; stąd też, warstwy powietrza niżéj nad ziemią złożone, obfitować muszą w znaczniejszą ilość téj szkodliwéj domieszki. W warstwach wyższych, zwykle ruch większy, możebne więc rozrzedzenie, rozwianie tego co jest szkodliwe. Słusznémby łoby żądanie, zaopatrywać parterowe mieszkania w powietrze, przez lufty bliżéj sufitu umieszczone lub przynajmniéj przez tak zwane oberlufty w oknach.

Mimochodem zaznaczyć wypada, że z gatunków ziemi grunta przepuszczalne od dawna są uważane za najniezdrowsze, najbardziéj sprzyjające rozrostowi zarazków. Wydzielają one również z łatwością gazy, w czém im wsiąkająca z powierzchni woda znakomicie dopomódz może. Grunta ściste, gliniaste, są zdrowsze, raz dla tego, że wydzielanie gazów hamują, a powtóre, że przystęp do nich powietrza, koniecznego warunku dla należytego rozwoju grzybków-bakteryj, jest utrudniony.

---

(1) Dr. A. Wernich. Desinfectionslehre. Wien, 1882.

Znany jest fakt z czasów wojny Krymskiéj, że armia francuska, dziesiątkowana przez cholerę w Konstantynopolu i pod Warną, przeniósłszy się pod Sewastopol, pomimo skupienia, niewygód i trudów wojennych, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu w krótkim bardzo czasie znacznie na zdrowiu zyskała, co ostatecznie przypisać należy skalistemu, nieprzesiąkliwemu gruntowi półwyspu i jego małéj zdolności do reprodukowania zarazków i wydzielania gazów. Słynny chirurg Pirogow, nie mógł się dość nachwalić świetnych rezultatów swych operacyj, dokonywanych po chatach włościańskich w Małorosyi, gdzie jak wiadomo podłogę zastępował zawsze tok gliniany. Nigdy nie miał on tam zakażenia ran i gangreny. Jakkolwiek, łatwemu gojeniu się ran sprzyjała bez wątpienia i ta okoliczność, że to się działo po wsiach, gdzie nie ma wykształconych zarazków szpitalnych,—część jednak dobroczynnego wpływu sprawiedliwie przyznać tu można seperacyi mieszkań od wyziewu ziemnego. Niestety, dziś już na Litwie i Rusi włościanie, jednocześnie z przeróbką chat kurnych na kominowe; układają podłogi, zapominając o tradycyonalnéj, glinianéj podkładce, w miejsce któréj niebaczni, częstokroć (niby dla ciepła) ścielą słomę, która próchniejąc pomnaża jeszcze wyziewy.

Jak dobrze jest zamknąć drogę wyziewom ziemnym cisnącym się do mieszkania, przekona nas spostrzeżenie sławnego epidemiologa prof. Hirscha z czasu cholery pod Gdańskiem. W pewnym majątku wiejskim z 9-ciu domków folwarcznych, obok siebie stojących, dwa w środku były to chatki na dawny słowiański sposób, z klepiskiem glinianém, mocno ubitém, zamiast podłogi. Inne domy, zbudowane na piwnicach, zupełnie zresztą suchych, z podłogami z bali, widne, z dostatkiem powietrza, jak się zdawało, były o wiele zdrowsze od dwóch środkowych. Ogólna liczba wszystkich mieszkańców wynosiła 150. Cholera wybuchła najprzód w jednym ze 7 domostw, przyniesiona tam przypadkowo przez chorą na ulicy podjętą. W następstwie 17 osób z liczby mieszkańców 7 domów lepszych zmarło na cholerę, a żaden lokator dwóch szczęśliwie upośledzonych, o klepisku glinianém, nie doznawał nawet napadu choroby.

Jeżeli wyziewy ziemne niezdrowe są w wiejskich mieszkaniach, to o ileż one szkodliwszemi być muszą w miastach, gdzie ziemia jest przesiąknięta i przepełniona odpadkami organicznemi. Miejskie mieszkania tylko na piętrach bez zaprzeczenia mogą być zdrowsze. Malarya np. rzadko na wyższe wstępuje piętra. Ale i tam gazy trujące dostać się mogą bez podpadnięcia rozwianiu, a to przez pory murów, klatki schodowe i inne drogi. Wciąganie ich zawsze ma miejsce, jak o tym przekonywują zatrucia gazem do oświetlania, przy pęknięciu rury gdzieś wgłębi ziemi.

Dla czego tak późno pomyślano o gazach niezdrowych w mieszkaniach ludzkich, kiedy na szkodliwość ich dla zwierząt domowych zwrócono poniekąd uwagę i dawniéj? Délafond np. w 1843 r. (1) radził dla uniknięcia wyziewu „des gaz malfaisants“, mogących zatruwać owce, co drugi rok wyrzucać warstwę ziemi z pod mierzwy w owczarniach, zastępując ją nową ziemią, gliniastą, mocno ubitą. I u nas w Polsce, na Litwie i Rusi, więcéj chyba dbają o inwentarze niż o siebie i swą rodzinę, bo łatwiéj jest znaleźć w majątku wiejskim dobrą oborę, owczarnię, a przedewszystkiém stajnię porządną niż dom hygieniczny. Nawet tak zwane pałace, są to po większéj części murowane partery, które nigdy, pod względem zdrowotnym porównania z domem drewnianym wytrzymać nie mogą; mury bowiem przez swą kapilarność, ciągną bez przerwy wilgoć ziemną do góry, a przytém, ściany ich mniéj *oddychają* niż ściany w domu drewnianym. Reumatyzmy to podarunek wilgotnych parterów. Piętrowe, są po wsiach prawdziwą rzadkością. Dla czego w znacznéj części Wielkorosyi, włościanie mają domy piętrowe, a sypialnie zawsze na piętrze? Czemu przypisać tę dla zdrowia szczęśliwą konstrukcyą: czy instynktowi, czy doświadczeniu, czy przypadkowi? Czy téż może celowemu i surowemu przez Sardamskiego cieślę poleceniu poddanym, holenderskich modeli.

Chaty włościan naszych, a i nasze niektóre domy szlacheckie stoją chyba pod względem zdrowotnym niżéj od mieszkań nawodnych pierwotnego człowieka. Te ostatnie były przynajmniéj od spodu przewiewne. Jakie to miewamy powietrze w niektórych mieszkaniach w czasie roztopów wiosennych lub w porze deszczowéj, kiedy wsiąkająca w grunt woda wypycha wszelkie gazy w ziemi zawarte w stronę mniejszego dla nich oporu, a więc z pod podłogi do mieszkań; a z mieszkań przez nieopalane już piece wcale nic nie ubywa. Dodajmy do tego jeszcze, jak to jest we zwyczaju, piwniczkę domową, skąd kapusty, kartofle i inne ogrodowiny zioną całą moc gazów-fermentów na pożytek gospodarza i jego gości. A dla kompletu mefitycznego obrazka dorzućmy zapach od szczurów, myszy, grzyba drzewnego,—i któż się wtedy nie ulituje nad więźniem podobnego lokalu? jak można winić takiego, że nie jest silnym do pracy fizycznéj, do walki o byt. kiedy już od dzieciństwa na charłactwo ciała i ducha skazany!

Znane łacińskie przysłowie o zdrowiu duszy, lepiéj-by zaczynać od właściwszego dla jéj zdrowia początku,—*In tecto salubri, cor-*

---

(1) Délafond. Maladies de sang des bêtes à laine. 1843.

pus sanum; *in corpore sano*, *mens sana*, i zdanie to rozpowszechniać do przysłowiowéj wziętości.

Prawdziwych chorobowych zarazków, zważywszy na ich drobnotę i lotność, tak czy inaczéj, całkowicie uniknąć nie możemy, pomimo ciągłych wysiłków nauki o dezynfekcyi. Postarajmyż się więc zapobiedz im na drodze pośredniéj, przez uczynienie organizmu naszego bardziéj odpornym, a to usuwając wpływy osłabiające, bo odporność jest nam wrodzoną. Zarazki, jak trafnie powiada dr. Port (od którego dużo wiadomości czerpiemy) (1), porównać można do iskier wielkiego pożaru w mieście. Te z nich, które dosięgnąć możem, tłumić należy, lecz w obec wyżéj po nad dachami lecących, jesteśmy bezsilni, wiedząc napewno, że gdzie która z tych iskier na słomianą upadnie strzechę—zapali i nowy pożar roznieci. A więc pokryjmy domy nasze materyałem niepalnym, a klęsk od ognia ubędzie.

Może dożyjemy tego, że będą wydawane rozporządzenia administracyjne odnośnie do „zamknięcia“ wyziewu ziemnego, na podobieństwo przepisów prawnych, po miastach już obowiązujących, co do strzech słomianych i dachów gontowych. W Bawaryi dokonywują już przeróbek w téj myśli w domach rządowych, koszarach, szpitalach i więzieniach; jakkolwiek trudniéj jest przeprowadzić je ściśle w domu już zbudowanym, niż przy zakładaniu nowych dlań fundamentów. Gdyby choć na początek, właściciele mieszkań letnich, jako miejsc gdzie się zapas zdrowia gromadzić powinien, zechcieli uwzględnić wyżéj podane fakta.

Jak zapobiedz wciskaniu się oddechu ziemnego do gmachów miejskich, murowanych, zostawiam do roztrzygnięcia specyalistom-technikom. Dla mieszkańców wsi, podam na zakończenie opis domu drewnianego, na powyższych zasadach.

Przestrzeń cała, pod dom mieszkalny przeznaczona, powinna być splantowana i 8-calową warstwą gliny pokryta. Glina powinna być zmieszana z czystym mineralnym piaskiem, dla zapobieżenia pękaniu, i silnie ubita. Na spód fundamentów także warstwa gliny; dla dokładności, nieszkodziło-by otaczać cały fundament od spodu i boków gliną, o ile jest w ziemi.

Fundament dostatecznie wysoki (2 łokcie po nad ziemią) zaopatrzony ma być w przerwy, tj. okna obszerne i dość liczne dla swobodnego przewiewu powietrza.

Odosobnienie drewnianych podwalin od kamienia lub cegły dokonywa się w sposób następujący. Gotuje się lak asfaltowy z gliną, aż

---

(1) Dr. Port. Zur Aetiologie des Abdominaltyphus Vortrag. München, 1881.

przez dodawanie gliny, przy ciągłym mięszaniu zrobi się gęsta czarna masa. Téj masy kładnie się na gorąco warstwę $^1/_3$ cala grubą na fundamencie, szerokością odpowiednią podwalinie drewnianéj. Warstwę tę, dla ułatwienia przystępu cieślom przy zakładaniu podwalin. nakrywa się pasmami tektury smołowcowéj. To samo pod końce poprzecznych wiązań i legarów do podłóg. Legary przechodzące gdziekolwiek przez mury, należy dla zapobieżenia próchnieniu drzewa, i grzybowi drzewnemu osmołować mięszaniną laku asfaltowego ze smołą czarną, szewcką zwaną, o tyle o ile w murze zakryte będą.

Gdy już dom nakryty, przystępujemy do położenia na legarach spodniéj, tak zwanéj u nas „czarnéj podłogi" z bali suchych 3-calowych. Po dokładnym dopasowaniu, należy zalać wszystkie szpary smołą z asfaltem na gorąco, z poprawkami po ostygnięciu. Następnie po wysmarowaniu całéj przestrzeni obficie asfaltem z dodaniem smoły, położyć warstwę 4-calową gliny rzadkiéj, mieszanéj w $^1/_3$ części z piaskiem mineralnym, i silnie ubijać codzień, aż do zupełnego uschnięcia (co nie tak prędko następuje). Glina łączy się ściśle z asfaltem i ma tę dodatnią stronę, że neutralizuje absolutnie jego przykry zapach.

Po zupełném uschnięciu, zalać raz jeszcze szpary gliną rozrzedzoną. Wtedy dopiero kładną się deski, jako właściwa podłoga lub jako podkładka dla posadzki kostkowéj, tak jednak, aby pomiędzy gliną i deskami została próżnia przynajmniéj jedno-calowéj wysokości. Można być pewnym, że przez tak hermetyczną podłogę ani wyziew ziemny nie przejdzie, ani chłód od spodu nie przeniknie, w czém także warstwa powietrza między gliną a deskami podłogi zawarta, znakomicie przeciwdziałać będzie. Myszy przytém komunikacyi nigdy tu nie otworzą, asfaltu bowiem nie gryzą.

W kominach muszą być założone specyalne (od dołu do góry) lufty, komunikujące z lochem, dla utrzymania trwałego przeciągu powietrza pod domem. Lufty te przegrodzone powinny być siatką chroniącą od zatkań przez gniazda mysie. W oknach podmurowania, takież siatki, od najść wszelkiego rodzaju zwierząt i możliwego zanieczyszczenia.

Wewnątrz domu nie wiele szczegółów. Sufity wysokie, dla wiejskiego domu dość 5 $^1/_2$ łokcia, rachując od położonéj już podłogi. Tynki malowane olejno, bez obić papierowych. Jakaż to łatwość odświeżania ścian takich przez zmywanie mokremi szmatami. Wentylatory pod sufitami, okna z oberluftami, w tych ostatnich siatki od much i komarów. Kominek choć jeden na parę pokoi.

Z dodatkowych hygienicznych rzeczy, wanna z urządzonemi rurami na zewnątrz do wlewania i wypuszczania wody. Waterklo-

zet, w pokoiku z wentylatorem u góry i luftem u dołu do pieca, w którym specyalnie przepalać trzeba, dla utrzymania ciągłego ruchu powietrza. Kto może, niech kuchni i spiżarni w domu nie mieści.

Jakkolwiek podobny dom będzie rodzajem fortecy, to jednak postarać się trzeba i na zewnątrz jego usunąć złe wpływy. Trafny wybór miejsca niepoślednią w tém gra rolę. Miejscowość wzniesiona, z zapewnionym odpływem spadków atmosferycznych, z gruntem ścisłym, gliniastym, byle bez wody zaskórnéj, oto najbardziéj zapraszająca do osiedlenia. Wokoło domu nie nazbyt dużo drzew, krzewów,—otwarty przewiew i dostęp promieni słońca. Absolutna czystość dokoła, uprzątanie liści, śmietnisk i wszelkich gnić mogących materyi. Na ostatek: studnia *zdrowotna* ze spadkiem dokoła i częste zlewanie wody.

W takiém mieszkaniu, mam przekonanie, możnaby wytrzymać oblężenie każdéj zarazy, nawet cholery,—bodajby do nas nieprzyszła.

Dr. Wacław Korybutt Daszkiewicz.

ZARYSY

RUCHU LITERACKIEGO RUSINÓW. (1)

Literatura małoruska rozwija się i rozrasta stopniowo na całéj przestrzeni, zamieszkanéj przez plemię rusińskiéj, liczące obecnie około 18 milionów głów pod panowaniem Rosyi i Austryi; ruch ten literacki wśród narodu rusko-ukraińskiego, jak go sami rusini lubią nazywać, powinien być interesującym dla czytelników „Ateneum“ zarówno z powodu bliskiego powinowactwa plemiennego, jak i dla żywotności swéj, któréj dowodzi mnożenie się pism i książek, występowanie coraz to nowych talentów, które lubo pracować im przychodzi wśród okoliczności najmniéj przyjaznych, usilnie starają się utrzymać się na wysokości ogólno-europejskich idei. Dla tego postaramy się w krótkich zarysach wskazać historyą tego rozwoju i obecny stan téj literatury.

I.

Pierwsze pomniki ruchu piśmienniczego nad Dnieprem pochodzą z wieku X i XI, z czasów po przyjęciu chrześciaństwa przez księcia Włodzimierza i całą ludność ziemi Kijowskiéj. Niektóre z tych pomników znane są powszechnie, jak np. „Latopisiec Ne-

(1) Artykuł obecny rozpoczyna szereg szkiców pisanych przez Ukraińca, biorącego udział czynny w ruchu umysłowym małoruskim. Czytelników naszych niewątpliwie zainteresuje, jak się na ten ruch zapatrują sami Małorusini. *(Przyp. Red.)*

stora", „Pateryk peczerski", albo jak wysoce artystyczny poemat „Słowo o pułku Igora".

W drugiéj połowie wieku XVII i na początku w. XVIII kultura, oświata i literatura rusińska stały już na stopniu dość wysokim jak na owe czasy, ale język literacki różnił się wtedy zupełnie od mowy narodu; bo na całéj Ukrainie, tak samo zresztą jak i wszędzie w Europie ludzie oświeceni i piszący uważali za konieczne używać w swych pracach języka odmiennego od żywéj mowy ludu. Twory literackie ówczesne składały z mięszaniny języków cerkiewno-słowiańskiego, rusińskiego i polskiego. Ale niebawem zrodziła się i zaczęła się szerzyć chociaż bardzo leniwie myśl wprowadzenia do książek języka ludowego, myśl tę rozpoznać można w utworach dramatycznych Teofana Prokopowicza, Jerzego Koniskiego, Dowgalewskiego i innych. Zapewne, że przy okolicznościach przyjaznych, język ludowy prędko-by zapanował w literaturze i zarzucono-by sztuczny język książkowy, ale stało się inaczéj: wypadki tak się złożyły, że literatura rusińska zacichła i na długo rozwój jéj został powstrzymany.

Wypadki to bardzo rozmaite i powikłane, opisywać ich tutaj nie możemy, ani chcemy dotykać strony ich politycznéj; nadmienimy tylko, że zawsze i wszędzie warunki życia politycznego i państwowego oddziaływać muszą stanowczo na rozwój lub upadek myśli i literatury.

Wiadomo, że w epoce rozwijania się oświaty i literatury na południu, tj. na Małorusi,—na północy; w ziemiach Wielkorosyjskich, których ogniskiem była Moskwa, oświata była jeszcze bardzo słaba, a ciemnota panowała powszechnie; świadczą o tém nie tylko pisarze cudzoziemscy jak Fletscher i Olearius, ale i czystéj krwi Wielkorosyanin Pososzkow przyznaje to i ubolewa, że duchowieństwo tak jest ciemne, iż nawet „od najgłupszego odszczepieństwa nie umie się obronić" (od samaho durackaho raskoła nie znajet oprawiti siebia). Powoli z południa oświata szerzyła się ku północy. Piotr I najenergiczniéj zajął się szczepieniem jéj i szerzeniem wszystkiemi środkami rządowemi; ale na północy nie było sił odpowiednich, trzeba było ściągać je z Kijowa, ze stolicy południa, w skutek czego ludzie uczeni i oświeceni, chąc niechcąc, musieli przenosić się na północ, słabły więc siły naukowe na Ukrainie. Akademia kijowska główny rozsadnik oświaty i nauki małoruskiéj zaczyna odtąd tracić to swoje znaczenie i przekształca się w końcu na proste seminaryum.

Do zniżenia stopnia oświaty, a zatém i do zacichania literatury, przyczynił się może jeszcze więcéj upadek kraju ekonomiczny. Jeszcze za czasów carewny Zofii zaczęła się wojna, ciągnąca się po-

tém przez całe panowanie Piotra I; toczyła się ona przedewszystkiém na południu, niszczyła więc i wycieńczała zasoby miejscowe. Następstwa wojny, głód, powietrze 1710 r. dziesiątkowały ludność, któréj téż wielką ilość odrywano od roli, wysyłając na roboty przy fortyfikowaniu Kijowa, a nawet w dalekie strony do budowania Petersburga i kopania kanału ladoskiego. Coraz silniéj krzepnąca i wzmacniająca się na północy centralizacya administracyjna uznała za konieczne wprowadzić na Ukrainie prawo poddaństwa, a starszyznę wojskową przerobić na dworzaństwo wedle prawa wielkorosyjskiego i oddać mu na własność dusze kozackie.

A jak pierwéj starszyzna małoruska, naśladując polskich panów z łatwością przyswoiła sobie polskie obyczaje i język, teraz nowokreowane dworzaństwo jeszcze łatwiéj stosowało się do zwyczajów i języka panującego plemienia wielkorosyjskiego. W tymże czasie powstaje literatura wielkorosyjska, albo ściśléj mówiąc tworzy się język literacki rosyjski, przed którym otworzyła się wielka przyszłość silnego rozwoju. Przy końcu w. XVIII Rosya miała już akademią, dwa uniwersytety, język urzędowy, który zapanował w kościele, w szkole, w sądach i w administracyi. Łatwo więc zrozumiéć, że ludzie zdolniejsi z południa ciągnęli na północ, szukając oświaty, lub karyery na służbie. Bez przesady powiedziéć można, że w końcu XVIII i na początku XIX wieku Rosyą oświecali i rządzili Małorusini, że wspomnimy tu nazwiska: Razumowskich, Zawadowskiego, Bezborodków, Troszczyńskiego, Kuczubeja, Sperańskiego i innych.

Krótko mówiąc, o ile w XVIII w. oświata i literatura wzmagały się na północy, o tyle upadały na południu. Język małoruski i jego literatura zostały zarzucone, potępione. Oświeceni ludzie nie czuli potrzeby i nie widzieli żadnego praktycznego celu w używaniu swego języka, o oświecaniu ludu zapisanego w poddaństwo nikt wtedy nie myślał.

Współcześnie niemal z zupełnym upadkiem piśmiennictwa małoruskiego rozpoczyna się budzenie się do życia rozlicznych narodowości słowiańskich; ten duch odrodzenia musiał się przedostać na obszary małoruskie i zjawia się tu, chociaż w odmiennéj formie. Kiedy już literaturę uważano za upadłą zupełnie i skazaną na zaginienie, otwiera się właśnie nowy jéj peryód. Nie można tego nazwać odrodzeniem, rodzi się ona na nowo, i odrazu staje się narodową z języka, nawskroś demokratyczną i wysoce ludzką z nastroju; pozostaje téż do dzisiaj wierną tym swoim zasadom, nie odstępując od nich w ciągu kilkudziesięcioletnich wysiłków swoich i rozrostu.

II.

Protoplastą nowéj literatury małoruskiéj jest Jan Kotlarewski, urodzony w Połtawie w r. 1769 i zmarły tamże w r. 1838. Syn ubogich rodziców, Kotlarewski uczył się w seminaryum duchownêm, a po skończeniu nauk został nauczycielem przy dzieciach bogatego obywatela; żyjąc na wsi, widział codziennie i zbliska ubóstwo, pognębienie i ciemnotę ludu poddańczego, a przypatrując się temu, czuł konieczność jakiéjś ulgi dla upadających pod brzemieniem, uznał potrzebę puszczenia chociażby kilku promieni światła dla rozproszenia ogólnéj ciemności. Ale jak tego dokazać. Wychowany w seminaryum „Kotlarewski musiał znać utwory literackie swych poprzedników, pomiędzy któremi było nie mało od pochwalnych i zapewne téż nie był wolnym od przesądu współczesnych sobie, od mocno zakorzenionego wówczas pojęcia, że języka ludowego w książce używać należy tylko dla wykazania komicznéj strony prostaków. Umiał jednak wyzyskać to w swych celach narodowych i przedsięwziął przetłómaczyć Eneidę Wirgiliusza na język małoruski, rysując w niéj obrazy smutnego stanu ukraińskiego. Musiał jednak uciekać się do omówień do aluzyi. Nie chcąc drażnić panów, a chcąc zwrócić uwagę na biédę i nędzę ludu wiejskiego wybrał formę komiczną, humorystyczną; jednakże w jego „Eneidzie" lub w „Odzie do księcia Kurakina" czuć łzy gorzkie i boleść prawdziwą, przedzierające się przez ten śmiech wesoły, boleść i łzy nad dolą swego narodu.

„Eneidy" pierwsze trzy księgi wydrukowane były po raz pierwszy w r. 1798 a wydanie to wyczerpało się dość prędko, bo w r. 1808 zjawiło się nowe dopełnione przekładem trzech ksiąg następnych. Odtąd do dni obecnych „Eneida", razem z innymi pismami Kotlarewskiego, była już przedrukowana 22 razy. Popularną była ona zapewne, kiedy w r. 1809 trzecie wydanie robił swoim kosztem jeden z magnatów połtawskich Koczubéj.

Oprócz „Eneidy" i „Ody do ks. Kurakina," Kotlarewski napisał operetkę „Natałka-Połtawka" i wodewil „Moskal Czarywnyk." Prace Kotlarewskiego przesiąkłe są ideą narodowości, demokracyi, humanitarności, a obok tego język ich czysty, żywy i zachwycający, widać w nich głęboką znajomość życia ludu i pełne są czysto małoruskiego humoru.

Jednocześnie ze scenicznemi utworami Kotlarewskiego grano w teatrze połtawskim, czy ściśléj mówiąc, w teatrze Troszczyńskiego, podobne utwory także małoruskiego pisarza Bazylego Hohola (ojca Mikołaja Gogola, znanego autora „Martwych dusz"), ale z nich jedna tylko komedyjka „Prostak" była drukowana w roku 1862.

III.

Głos Kotlarewskiego pobudził innych do pracy, do studyowania kraju i ludu małoruskiego, co w roku 1816 spowodowało założenie w Charkowie pisma peryodycznego „Ukrainśkyj Wistnyk“; przetrwało ono do r. 1829, kiedy okoliczności zmusiły do zaniechania tego wydawnictwa, które stało się punktem zbornym dla całéj grupy uczonych, etnografów i beletrystów małoruskich. W „Wistnyku“ drukowały się poezye Piotra Artemowskiego-Hułaka. Hułak, syn księdza, urodził się w gub. kijowskiéj w r. 1790, zmarł w Charkowie w r. 1866. W r. 1818 skończył uniwersytet Charkowski i tamże rozpoczął wykład języka i literatury polskiéj, potém przeszedł na katedrę geografii i statystyki, a nakoniec na katedrę historyi Rosyi, którą wykładał lat 26, a przez lat dziesięć (1840-1850) był rektorem uniwersytetu.

Literaturą zajmował się nie długo; pierwszym i najlepszym jego utworem była bajka „Pan ta Sobaka“, która zjednała mu odrazu dużo wielbicieli ale zarazem i nieprzyjaciół wielu. Obok obrobienia artystycznego w duchu narodowym, w bajce téj dużo myśli głębokich. W tym samym czasie, kiedy tacy koryfeusze nauki jak Karamzyn, chwalili w Petersburgu poddaństwo i niewolę ludu, Hułak w formie humorystycznéj wykazywał odwrotną stronę medalu, i śmiałemi rysami skreślił obraz tragiczny przerażającego ucisku, obraz w którym wedle sprawiedliwych słów Kostomarowa: „wyraża się chociaż panujące nad sobą ale boleśne uczucie ludu, znoszącego, bez nadziei polepszenia, samowolę panowania nad poddaństwem.“ Obraz taki nie mógł się podobać ogółowi właścicieli poddanych, a ponieważ wkrótce potém nastały czasy wpływów archimandryty Focyusza, Magnickiego, i wszechwładztwo Arakczejewa—Hułak zamilkł. Ale nieprzyjaciele nie mogli wybaczyć mu satyry „Pan ta Sobaka“ i innych jak „Sałopyj ta Liwria,“ a nie zadowolnili się ani zamknięciem „Wistnyka“ ani milczeniem Hułaka. Niejaki Czerniajew zaskarżył jakoby w Charkowie zawiązano stowarzyszenie rewolucyjne, na czele którego stoją profesorowie: Artemowski-Hułak, Kronenberg i Kunicki. Oskarżenie okazało się fałszywém i cesarz i Mikołaj zwiedzając Charków, łaskawie sam uspokoił Hułaka, ale pomimo to muza satyryka nie odezwała się już więcéj.

W tymże „Ukraińskim Wistnyku“ występowali po raz pierwszy i inni poeci, z pomiędzy których należy wspomnieć o Lwie Borowikowskim, piszącym prześliczne bajki.

IV.

Po zamknięciu „Ukraińskiego Wistnyka,“ czas jakiś wydawano „Słowianina,“ ale i ten istniał nie długo; pisarze małoruscy częściéj wydawali książki oddzielne, almanachy, w których drukowano utwory całego szeregu utalentowanych poetów, beletrystów, etnografów, historyków. Nazwiska niektórych z pomiędzy nich znane są zaszczytnie daleko po zagranicami Małéj Rusi, jak Kwitka, Hrebenka, Kostomarów, Bodianski, Srezniewski Maksymowicz. Po roku trzydziestym coraz bardziéj szerzyło się przekonanie, że literatura małoruska nie jest zgoła zjawiskiem przypadkowém, ani jakimś prowincyonalizmem, ale faktem wywołanym przez potrzeby życia narodowego, rozwijania i oświecania masy ludowéj. Nowi pisarze pojmowali poważniéj swe obowiązki i zakładali swym pracom cel wyższy, rysując w niéj ideały nie tylko życia domowego, ale i stosunków społecznych.

W szeregu tych autorów pierwsze miejsce należy się Grzegorzowi Kwitce (ur. 1778, zmr. w Charkowie 1843). Kwitka był synem zamożnego obywatela, ale nie odebrał wychowania systematycznego; w ciągu swego życia, a szczególnie w latach młodości, przebywał rozliczne koleje, był mnichem, urzędnikiem, aptekarzem, oficerem, póki nie trafił nakoniec do kółka ludzi wykształconych, których wtedy w Charkowie przy niedawno odkrytym uniwersytecie było niemało; rej wodził pomiędzy nimi znany pracownik na polu oświaty I. J. Karazin. Tu Kwitka zajął się sprawami społecznemi i niemałe położył zasługi około założenia w Charkowie teatru i instytutu dla panien.

Z dwudziestu powieści Kwitki za najlepsze uchodzą „Marusia“ i „Serdeszna Oksana“, chociaż i inne, jak „Mertwećkyj wełykdeń“, „Kozyr Diwka“, „Dobre roby dobre bude“, „Ot tobi i skarb“, dużo mają zalet. Powieści tych główną zasługą prawda etnograficzna i artystyczna. Opisując miejscowości, ludzi, ich obyczaje i życie duchowe, Kwitka nigdzie nie rozmija się z rzeczywistością, zawsze i wszędzie wiernie oddaje *życie*. Nie można tego powiedziéć o jego utworach dramatycznych; pozostawił ich pięć, a wszystkie pisane były dla wywołania wesołości. Usiłując zabawić publiczność, autor stwarza typy przesadzone, niebywałe, a czasem jak w operetce „Satana“ wyprowadza na scenę chłopa kalekę, półidiotę, żeby się z niego naśmiewać. Sceniczne utwory Kwitka pisał w dwóch językach; niektóre z osób działających (urzędnicy i żołnierze) mówią językiem książkowym albo narzeczem wielkoruskiém, inne znowu (typy ludo-

we) po małorusku. Mieszanina taka bardzo niemiła w czytaniu i na scenie dużo zaszkodziła tym sztukom, które zresztą, jak „Szelmenko pysar“, „Szelmenko deńszczyk“, albo dramat „Szczyra lubow“ niezmiernie rzadko ukazują się na scenie.

W ogóle jednak dzieła Kwitki znakomicie wzbogaciły literaturę małoruską. Rosyjscy pisarze i krytycy, jak współczesny Kwitce Bieliński i późniejszy Petrow, czy to z powodu nieznajomości warunków życia ludowego na Małorusi, czy z innych jakich przyczyn, nieprzyjaźnie a nawet z naganą odzywali się o powieściach Kwitki, ganiąc je właśnie zato, co stanowi największą ich zasługę, wierność etnograficzną tak artystycznie przez Kwitkę oddaną; nazywali to „zbytkiem sentymentalizmu.“

Powieści Kwitki drukowano w Moskwie w 1834 i 1837, w Charkowie w 1841, w Petersburgu w 1858; wydanie kompletne powieści i dramatów wyszło we Lwowie w 1878, w setną rocznicę jego urodzin. Rocznicę tę obchodzono w Charkowie, i postanowiono tam wydać wszystkie jego pisma z biografią szczegółową, redakcyą wydawnictwa wziął na siebie profesor uniwersytetu charkowskiego Potebnia. Jednakże wydania dotąd nie widać, a powieści Kwitki dzisiaj już stanowią rzadkość bibliograficzną.

Jeszcze trudniéj odszukać pisma małoruskie zmarłego w r. 1877 profesora uniwersytetu moskiewskiego Józefa Bodiańskiego, które wydawał pod pseudonimem „Iśko Materiuka“. Bodiański, syn dziaka ze wsi Warwy powiatu Łochwickiego, urodził się w r. 1805. Po ukończeniu seminaryum duchownego, wstąpił on na uniwersytet w Moskwie, gdzie się zaznajomił z „kółkiem Stankiewicza,“ który wywarł wpływ silny na rozwój duchowy i całe życie jego. W r. 1835 wyszła w Moskwie niewielka książeczka, zawierająca trzy skazki Bodiańskiego i przedmowę do nich, z której bije miłość dla ludu wiejskiego głęboka i tkliwa. Potężnemu talentowi Bodiańskiego okoliczności nie pozwoliły się rozwinąć, owszem skazały go na milczenie. Gdy znany Tadeusz Bułharyn wydał swe badania pod tytułem „Rossija w istoriczeskom, statisticzeskom i dr. otnoszenijach,“ Bodiański ostro i niemiłosiernie skrytykował te badania w piśmie „Moskowskij nabludatiel;“ krytyka ta narobiła Bodiańskiemu mnóstwo nieprzyjaciół w sferach literackich i po za niemi.

W lat kilka potém Bodiański, po powrocie z zagranicy, zajął w uniwersytecie mosk. katedrę literatu słowiańskich w r. 1846, wybrany był na sekretarza „Towarzystwa Rosyjs. Starożytności“ i na redaktora wydawanych przez nie „Cztienij“. Pomiędzy pomnikami drukującemi się w „Cztienijach“ Bodiański zamieścił „Historyą Rus-

sow“ Jerzego Koniskiego, za co przeniesiono go do uniwersytetu kazańskiego; po roku wrócił na swoją katedrę w Moskwie, ale już nie wrócił do redaktorstwa „Cztienij“. Stracił téż zupełnie ochotę do pisania po małorusku, do czego zapewne przyczynił się nie mało proces Szewczenki, o którym wspomnimy niżéj.

Należy się jeszcze wspomnienie Eugeniuszowi Hrebence wychowańcowi liceum nieżyńskiego. Hrebenka (ur. 1812, zmr. 1848) znany na Ukrainie z niewielu ale prześlicznych bajek, od których nie posiada chyba piękniejszych żadna literatura słowiańska. „Prykazki“ jego były drukowane po raz pierwszy w Petersburgu w r. 1834. W dziwnie pięknych alegoryach malują one ciężkie życie prostego ludu, jego nędzę i ciemnotę, rozpustne życie obywateli, sprzedajność sądów itp. W „prykazce“ „Róża i chmiel“ Hrebenka w postaci róży przedstawia lud wiejski, opleciony ze wszech stron przez panów i urzędników, którzy, jak chmiel obwity koło krzaku róży, nie dają mu wzrastać w siłę i dobić się do światła słonecznego, a zmuszają do nędznego wegetowania pod uciskiem bezprawia, wśród ciemności i nędzy.

Pięknym wierszem Hrebenka przetłómaczył poemat Puszkina „Połtawa“, chociaż tłómaczenie nie wyrównywa oryginałowi a nawet w wielu miejscach zmienia myśli autora. Niektóre liryczne utwory Hrebenki są tak popularne, że śpiewane bywają po wioskach.

Hrebenka, tak samo jak Kwitka, nosił się z myślą wydawania dla ludu pisma w języku małoruskim, celem popularyzowania elementarnych wiadomości naukowych; zamiary te jednak rozbiły się o niepodobne do pokonania przeszkody, tak samo jak zamierzone także przez Hrebenkę wydawnictwo pisma literackiego małoruskiego.

V.

Wspominaliśmy o Mikołaju Kostomarowie, nie wiele pisał on po małorusku, ale nazwisko jego wiąże się z historyą literatury małoruskiéj i z losami genialnego poety Szewczenki, dla tego należy mu się tutaj miejsce zasłużone. Kostomarów znany jest powszechnie jako historyk: 6 tomów jego monografii i 2 tomy „Historyi ruskiéj w życiorysach głównych jéj działaczy“ stanowią cały skarb dla nauki historycznéj w ogóle; oceną jednak tych prac pisanych po rosyjsku, zajmować się tu nie będziemy.

Kostomarów urodził się w r. 1817 w powiecie Ostrogoskim gub. Woroneskiéj. Nauki uniwersyteckie ukończył w Charkowie i zaraz

oddał się studyom nad historyą i narodem małoruskim. Mieszkając w Charkowie, gdzie się wówczas skupiał literacki ruch małoruski, Kostomarow przyjął w nim udział czynny, biorąc do serca zadania, które sobie wtedy stawiano; jakoż w r. 1838 ogłosił drukiem w osobném wydaniu dramat historyczny „Sawwa Czałyj," w 1839 „Ballady Ukraińskie," w 1840 zbiór poezyj: „Wytka", potém tragedyą „Peryasławśka Nicz." Potém poezye i opowiadania Kostomarowa drukowano w różnych almanachach i w piśmie „Osnowa", a w r. 1875 w Odesie wydano dzieła wszystkie Kostomarowa w języku małoruskim pod tytułem „Twori Jeremii Hałki (jego pseudonim).

Poezye Kostomarowa zarówno oryginalne jak i tłómaczone nie odznaczają się ani obrazowością ani bogactwem fantazyi, nie czuć w nich artystycznego talentu, ani nawet uczucia żywszego; jest to sucha proza rymowana, czasem obficie nadziana poważnemi myślami. Wyżéj można cenić jego utwory dramatyczne, szczególnie „Peryasławśka Nicz." Treść tragedyi i bohater wzięty z czasów wojen Chmielnickiego, z tych smutnych czasów kiedy codziennie niemal samo życie nawiązywało węzły okropnych tragedyj, zlewając ziemie ukraińskie krwią polską i kozacką. Osnowa tragedyi następna. Na święta wielkanocne 1649 r. zebrał się w Peryasławiu tłum ludu a wśród niego toczy się spór zawzięty z powodu zabranéj przez księdza płaszczenicy (1). Ksiądz uspakaja ludność, tymczasem zjawia się, jako obcy wędrowiec, bohater narodowy Łyseńko, zbiegły z niewoli od Polaków i uważany przez peryasławian za zabitego. Łyseńko w gorącéj mowie pobudza lud do powstania przeciw Polakom i uwolnienia wiary i kościoła z rąk żydowskich. W Peryasławiu mieszka siostra Łyseńki Maryna, która kocha Polaka i jest przezeń kochana, a kochanek to starosta peryasławski. Na rozkaz brata Maryna wzywa starostę na nocną schadzkę nad brzegiem Alty. Kiedy zadzwoniono na jutrznię zaczyna się między Polakami i Kozakami rzeź, w któréj giną starosta i Łyseńko. Tragiczność cała skupia się tu w osobie Maryny, w duszy jéj toczy się straszna walka pomiędzy miłością kochanka a miłością ojczyzny. Doskonale namalowane tu wysoki patryotyzm kobiety i cała głębia idei narodowości; równie wzniośle zarysowane inne osoby tragedyi, napisanéj wierszem pięknym i językiem czystym.

„Peryasławśka Nicz" od początku do końca pisana równie dobrze i pięknie, jak piękną jest myśl jéj zasadnicza, poświęcenia i miłości ojczyzny, nie wahania się w obec najcięższych ofiar osobistych,

(1) Tak się zowie malowane wyobrażenia Chrystusa w grobie, wystawiane w cerkwiach w wielkim tygodniu.

dla szczęścia i powodzenia ojczyzny. „Peryasławśka Nicz“ świadczy o sile talentu dramatycznego Kostomarowa; dalszemu jego rozwijaniu się przeszkodziły jednak okoliczności, o których późniéj mówić nam wypadnie.

VI.

Do wzbogacenia literatury ukraińskiéj przyczyniło się jeszcze kilku pisarzy, nie tyle co powyżsi utalentowanych i dla tego mniéj znanych. Paweł Bielecki Noseńko, współczesny Kotlarewskiemu, obywatel pow. Przyłuckiego. Pisma jego drukowane po jego śmierci nie odznaczają się ani formą ani treścią; w roku 1871 w Kijowie wydano tego autora „Prykazki“ w czterech częściach; „Hostyneć zemlakam—Kazki slipoho bandurysta“ i „Horpyniada żartowliwa poema“.

Kiryło Topola pisał sceny dramatyczne pod tytułem „Czary“, drukowane w Moskwie 1837. Ambroży Metlinśkyj więcéj pracował nad etnografią, aniżeli nad poezyą; to samo można powiedzieć o Michale Maksymowiczu b. profesorze i rektorze uniwersytetu kijowskiego, jednakże jego tłómaczenie poematu „Słowo o pułku Igora“ i niektórych psalmów Dawida odznaczają się pięknością języka ludowego.

Dwaj bracia Pisarewscy, Korenićkyj, Dumitraszko - Raicz, Semen Metlinśkyj pisali i drukowali w rozmaitych książkach zbiorowych wiersze dobre na swój czas, ale dzisiaj już zapomniane. Nierównie więcéj utalentowanym był Wiktor Zabiła, na nieszczęście mało dbał o to co pisał. Niektóre z jego utworów lirycznych jak „Ne szczebeczy sołwejko na zory raneńko“, „Hude witer welmy w poli, rewe, lis łomaje“ i inne, do których dorobił muzykę Glinka, dzisiaj jeszcze śpiewane są po całéj Ukrainie, zarówno w chatach wieśniaczych jak i w pańskich salonach. Tutaj téż wspomniéć należy o poetach niepozbawionych talentu jak Szczegolew (w Charkowie), Korsun, Afanasiew, ale wszyscy oni razem przygotowywali tylko grunt, na którym zrodził się i wyrósł genialny poeta narodowy Taras Szewczenko. Zanim jednak poświęcimy mu swą uwagę, musimy jeszcze wrócić wstecz do czasów „Ukraińskiego Wistnyka“ i wspomniéć o innym odłamie plemienia rusińskiego, zamieszkałym w granicach państwa Austryackiego, w Galicyi, na Bukowinie i w Węgrzech.

VII.

Pisarze małoruscy w pierwszéj ćwierci XIX wieku nie poprzestawali na saméj beletrystyce, owszem uważali za konieczne opra-

cowanie naukowe języka i zbadanie etnograficzne swego kraju. Pierwszą pracą na tém polu była „Hramatyka Ukraińskaho jazyka“ Pawłowskiego, wydana w r. 1818, a następnie ukazują się jeden za drugim zbiory etnograficzne. Najprzód zjawił się w r. 1819 w Petersburgu „Opyt Sobranija starinnych małorossiejskich piesień“ księcia Certelewa. Zawierał on dziewięć dum i jedną pieśń, ale miał wielkie znaczenie jako pierwszy początek; w lat kilka potém, w r. 1827 Maksymowicz wydał swój zbiór, zawierający już 127 pieśni ludowych i słownik do nich, w r. 1834 wydaje on dwa jeszcze zbiory „Ukrainskije narodnyje dumy“ i „Gołosa (nuty) ukrainskich piesień“. W r. 1836 wydaje Łukaszewicz nowy zbiór „Małoruskija i Czerwonoruskija narodnyja piesni i dumy“ (176 numerów). W r. 1838 profesor i potém akademik Izmaił Srezniewski rozpoczął w Charkowie wydawanie „Małorossijskoj i Zaporożskoj Stariny“: w ciągu lat sześciu wydał tego zbioru sześć ksiąg. Zbiory te i „Eneida“ Kotlarewskiego przesłane do Galicyi, stały się bodźcem do rozbudzenia wśród tamecznych Rusinów ruchu literackiego. Stolicą i punktem środkowym życia umysłowego Rusi galicyjskiéj był Lwów, jednakże Rusini pokarm duchowy czerpali z Ukrainy, a nadewszystko z Kijowa. Po upadku ruchu naukowego i literackiego w Kijowie, pokarm ten zrobił się mało pożywnym. Ale już i w Galicyi odkryło się dla Rusinów źródło rozwijania i szerzenia oświaty własnemi siłami. W czasach największego upadku literatury małoruskiéj w Rosyi, cesarz Józef II dbając o podniesienie oświaty, założył w r. 1783 we Lwowie seminaryum duchowne dla Rusinów, a w roku następnym otworzył uniwersytet we Lwowie, na którym pewne przedmioty wykładane były w języku rusińskim, i wtedy to zaczęła się podnosić oświata wśród Rusinów. Ale nie trwało to długo. Rząd austryacki w polityce wewnętrznéj trzymał się zgubnéj zasady *divide et impera*, opiekował się więc Rusinami wtedy tylko, kiedy potrzebował ich podburzyć na Polaków; skoro zaś taka potrzeba mijała, skoro uznał, że Polacy są dostatecznie poskromieni, porzucał Rusinów, oddając ich na wolę Niemców i Polaków. Polityka ta ciągnie się niby nitka czerwona przez całą historyą Austryi od czasu przyłączenia do niéj Galicyi. Nie łatwo nawet wyobrazić sobie, jak wielce szkodliwą była ta polityka dla obu plemion, zmuszonych żyć obok siebie, pod władzą jednego rządu, żywić się z tych samych naczyń i krzepić się tą samą wodą.

Po trzecim rozbiorze Polski, w prowincyach przyłączonych do Austryi zapanował bezwarunkowo żywioł niemiecki, oświecanie Rusinów zdawało się już wtedy zbytecznéin, do takiego stopnia, że język ludowy (?) wygnano nawet ze szkół elementarnych, a wszystkie

starania metropolity Michała Lewickiego i kanonika Mogilnickiego, o przywrócenie go spełzły na niczém. Wśród inteligencyi polskiéj na nieszczęście nie znalazł się nikt, ktoby wyjaśnił, jeżeli nie rządowi to społeczeństwu jakie szkody sprowadzi na kraj cały ucisk języka i innych praw narodowości Rusinów. Zdawało się, że Rusini skazani są już na zupełną zagładę. Ale narody nie łatwo tracą najdroższy dla siebie organ wyrażania myśli —*język*. Narodowość żyje dopóty, dopóki *żyje* jéj język.

Zaledwo dostały się do Lwowa z za kordonu książki małoruskie, zaraz iskra tlejąca rozżarzyła się na nowo, wśród studentów rusinów zrodziła się myśl o możności odrodzenia w Galicyi literatury rusińskiéj. Na czele téj młodzieży stanął Markijan Szaszkiewicz (ur. 1811 w Złoczowskiém, zmarł w r. 1843). Obdarzony z natury znakomitym talentem poetyckim, władał doskonale żywym językiem ludowym i dużo z jego utworów lud przyswoił sobie, stały się one pieśniami ludowemi, do czego nie mało się przyczyniały wyrażone w nich idee demokratyczne, przejęte uczuciem ludzkości.

Do kółka Szaszkiewicza przyłączyło się kilku pisarzy utalentowanych jak Mikołaj Ustianowicz, Jan Wagilewicz i inni. Złożyli oni ze swych utworów, a w części z pieśni ludowych zbiór „Rusałka", który po długich walkach z cenzurą udało się im wydrukować w r. 1837 w Budzyniu (na Węgrzech). Rząd austryacki zabronił „Rusałki"; prześladował zarówno autorów jak i wydawców. Zaszło tu zabawne *qui pro quo*. Główną winą almanachu miało być to, że język w nim był podobny do „rosyjskiego", którego nie należy dopuszczać ze względów politycznych; w rzeczy zaś saméj „Rusałka", pisana była najczystszym ludowym językiem rusińskim halickim, nierównie więcéj różniącym się od „rosyjskiego" niż ten w którym za pozwoleniem rządu drukowali swe utwory Józef Lewicki (Stich na czest halickaho metropolita. Przemyśl, 1838), Lesieniecki (Wozzrenie Straszyliszcza w Pestie i Budie) itd.

Pisarze jak Lewicki, Lesieniecki, Ilkiewicz nie mogli mieć żadnego wpływu na rozwijanie się literatury rusińskiéj w Galicyi, nie rozumieli bowiem téj prawdy najprostszéj, że rozwój ten może być użytecznym dla kraju i narodu, tylko pod warunkiem trzymania się drogi, na którą skierowali go Szaszkiewicz i Kotlarewski, drogi żywego ludowego języka. W głowach Lesienieckiego, Ilkiewicza i im podobnych pokutowały pojęcia z pierwszéj połowy ośmnastego wieku, że język książkowy musi być różnym od języka żywego, pisali więc „dla ludu" w języku, który dziwił i oburzał pisarzy małoruskich nad Dnieprem. Maksymowicz np. w r. 1841 pisał z powodu

utworów Lesienieckiego: „to nie język, lecz sztuczny wytwór słowiano-ruski, w którym u nas (tj. w Rosyi) pisano wiersze przed stu laty". Doradzał on zarzucenie téj niemożebnéj mięszaniny i pisanie w języku ludowym, ale rady jego pozostały głosem wołającego na puszczy, młodzi zaś pisarze narodowi byli prześladowani, a przytém jako ubodzy nie mieli środków niezbędnych dla wydawnictw literackich. Tak więc sprawa rozkwitu literatury narodowéj rusińskiéj w Galicyi stanęła „na punkcie zamarzania" i stala na nim aż do roku 1848.

HYPNOTYZM

WOBEC OSTATNICH BADAŃ NAUKOWYCH

I.

Teorya magnetyczna Mesmera uznająca istnienie płynu magnetycznego, rozlanego powszechnie w naturze, pewnéj siły elektryczno-życiowéj oddziaływającéj na daną jednostkę przez pośrednictwo magnetyzera, została potępioną przez paryską akademią nauk i towarzystwo medyczne, jako teorya czysto hypotetyczna, nie posiadająca żadnych naukowych podstaw. Pomimo to jednak teorya ta znajdywała propagatorów, pośród których najwięcéj uwydatnili się w początkach bieżącego stulecia: ksiądz Faria—portugalczyk, oficer późniéj zaś generał Noizet, dr. Bertrand, Dupotet, Lafontaine.

Podniesiona w 1825 r. w paryskiéj akademii medycznéj przez Foissac'a kwestya magnetyzmu oddaną została pod sąd komisyi specyalnéj, która po latach pięciu dopiero (w 1831 r.) orzekła w sprawozdaniu Hussona, iż „magnetyzm uważany jako czynnik zjawisk fizyologicznych, lub jako środek terapeutyczny mógłby znaleść zastosowanie w zakresie nauk medycznych i dla tego lekarze sami powinniby go próbować, lub rozciągnąć dozór nad tego rodzaju doświadczeniami, jak to ma miejsce w krajach północnych" (1). Akademia odrzuciła ten wniosek, a w 1840 r. ogłosiła, iż odtąd nie będzie odpowiadała na żadne stawiane jéj kwestye magnetyczne.

James Braid, lekarz angielski, nową wygłosił teoryą w tym przedmiocie w 1841 (2). Odrzucił on płyn życiowy, magnetyczną siłę nerwową, przy pomocy których tłómaczono sobie zjawiska zagadkowe stanu zwanego magnetycznym, któremu on pierwszy dał

(1) Dupotet. Cours de magnetisme. Paris 1840, p. 441.

(2) James Braid. Neurypnology. London and Edinburgh. 1841.

nazwę hypnotyzmu. Działanie, pod wpływem którego znajduje się osoba zahypnotyzowana, nie pochodzi z zewnątrz. Hypnotyzm jest-to pewien sen nerwowy, wywołany sztucznie przez długie natężone skierowanie uwagi, a szczególniéj wzroku na jakiś przedmiot, najlepiéj zaś na jakiś przedmiot błyszczący. Ściśle biorąc, hypnotyzm oznacza nie jeden lecz szereg stanów, w najrozmaitszy wahających się sposób pomiędzy snem zwykłym a głębokim snem patologicznym, wobec zupełnego braku świadomości i siły woli z jednéj strony i wobec pewnéj prawie nie do uwierzenia egzaltacyi funkcyi zmysłów oddzielnych, zdolności intelektualnych i siły woli z drugiéj strony. Idee poddawane osobie zahypnotyzowanéj przybierają postać rzeczywistości przedmiotowéj.

Zjawiska hypnotyczne nie są jednak nowe; znane były one oddawna na wschodzie. Fakirzy indyjscy, stojący przez długi czas w niezwykłéj pozycyi, nieczuli i nieruchomi—są to hypnotycy, zasypiający przez wpatrywanie się w koniec nosa. Podobnież i omphalopsychiści, pewna sekta azyatycka, przez wpatrywanie się pewien czas w pępek (uważany przez nich za najszlachetniejszą część ciała, gdyż przezeń człowiek styka się z bóstwem, podobnie jak dziecko z swą matką) wpadają w stan hypnotyczny; uważani są oni przez lud za świętych.

Cała historya Wschodu z jego fanatyzmem i uległością niewolniczą jest przejawem wpływów hypnotycznych. W Indyach istnieją trzy wielkie szkoły zwane *mahtam*, w których wykładane są tajemnice téj wiedzy, zwanéj *dżog*. Trzy te szkoły: nad Gangesem, w okolicy Orissy i na południu Indyj, pozostają w zależności od klasztoru centralnego w Tybecie, gdzie w tajemniczém otoczeniu mieszczą się najwydatniejsi z pośród uczonych ascetów. Tu się kryje siła hypnotyzująca czterdzieści milionów Indyan, siła rozkazująca i kierująca dowolnie poddaną sobie ludnością. Anglicy wiedzą o tém dobrze i dlatego baczną zwracają uwagę na klasztor tybecki. Powstanie cipayów w 1857 r. pod dowództwem jednego z wtajemniczonych Nana-Sahib'a przekonało ich o potężnym wpływie *mahtamów* na ludność ulegającą poddanym jéj hypnotycznie rozkazom. Prasa publiczna w Kalkucie i Bombayu zajmuje się nieustannie od lat kilku *mahtam'ami*, najsurowsza jednak krytyka nie może im odmówić ich zdolności umysłowego oddziaływania na zewnątrz, tego rzutu ducha, téj siły przejawiającéj się tak potężnie w zjawiskach zadziwiających najbardziéj sceptyczne umysły. Myśl ich zwrócona w nieskończoność, wolna od trosk światowych potęguje się tak, iż zdolną jest oddziaływać na umysły znajdujące się w pewnéj psychicznéj od niego zależności.

Dwie są szkoły badaczów zjawisk hypnotycznych. Jedna przypisuje zjawiska te działaniu magnetyzmu zwierzęcego (*zoomagnetyzm*), druga—działaniu wyobraźni. Jeżeli dwa tak różne sposoby zapatrywania się na jedne i te same zjawiska zostaną przyjęte przez cały świat naukowy, wtedy zjawiska te staną się dla nas zrozumialszemi.

Jeden z obrońców zoomagnetyzmu A. Chevillard (1) dowodzi, iż zjawiska nazywane spirytystycznemi nie są niczém jak tylko przejawami nieświadomemi magnetyczno-dynamicznego działania płynu nerwowego, czyli elektryczności zwierzęcéj, która jest prawdopodobnie zmodyfikowanym płynem elektrycznym. Zjawiska magnetyczno-zwierzęce wytwarzają stan nieświadomy woli osobistéj i nieświadomość w wykonywaniu tejże woli. Zjawiska te są dowodem promieniowania nerwowego.

Inny znowu uczony, dr. Baréty (2) uznaje istnienie w człowieku, a prawdopodobnie i w zwierzętach, specyalnéj i odrębnéj siły nerwowéj czyli *neuryczněj*. Siła ta znajduje się w stanie statycznym i dynamicznym; stan dynamiczny przejawia się w krążeniu wewnętrzném i w promieniowaniu na zewnątrz. Siła nerwowa promieniuje według praw promieniowania światła i ciepła; promienie te odbijają się i łamią tak samo, jak promienie świetlne i cieplne. Kolory żółty i fioletowy pochłaniają je, przez czerwony i zielony przechodzą całkowicie. Żółty kawałek papieru może się jednakże stać przenikliwym dla promieni nerwowych przez zmoczenie go rozczynem siarczanu chininy. Niektóre osoby mogą być przewodnikami siły nerwowéj, mogącéj działać na odległości kilku centymetrów do kilku metrów z siłą 1 do 2 metrów na sekundę. Osoby w wysokim stopniu *neuryczne* potężny wywierać mogą wpływ na osoby mniéj neuryczne. Z osób neurycznych tworzyć można baterye neuryczne bardzo znacznéj niekiedy siły.

Teorya ta bardzo się zbliża do teoryi fizycznéj genewskiego fizyka Zieglera (3). Ziemia i magnesy sztuczne, mówi on, posiadają dwojakiego rodzaju magnetyzm: dynamiczny, działający na żelazo i niektóre inne ciała, i magnetyzm podrażniający czyli oddziaływający tylko na organizmy zwierzęce i roślinne. Pewne ciała nieposiadające własności dynamicznych, jak np. siarczan chininy, kwas salicylowy, cyanek potasu i inne, wykazują w wysokim stopniu własno-

---

(1) A. Chevillard. Etudes experimentales sur le fluide nerveux. Paris. 1882, p. 115.
(2) Dr. Baréty. De propr. d. Magnét. animal. Paris. 1882, p. 37 et suiv.
(3) Ziegler. Le rayonnement magnétique. Genève, 1881.

ści magnetyzmu podrażniającego. Siarczan chininy działa podobnie jak biegun południowy magnesu, odpowiadający ujemnemu biegunowi prądu elektrycznego; kwas salicylowy działa odwrotnie. Magnetyzm ten promieniuje, działa zatém na odległości, promienie zaś jego, przechodząc przez soczewkę szklanną lub téż żelazną, łamią się i tworzą ogniska magnetyczne, znajdujące się w dwa razy większéj odległości od soczewki niż ogniska świetlne.

Teorya promieniowania nerwowego nowe zyskuje poparcie ze strony Ch. Richet'a (1), który na zasadzie swych badań naukowych w kwestyi poddawania umysłowego dochodzi do wniosku, iż siła intelektualna mózgu przerzuca się na zewnątrz i odbija się w myśli sąsiedniéj.

Dr. Liébeault stawiał następujący zarzut obrońcom magnetyzmu zwierzęcego w r. 1868: „Dwa czynniki, różniące się najzupełniéj, działanie myśli i działanie płynu obcego nie mogą wywierać tychże samych wpływów na tęż samę osobę, nie byłyby bowiem różnemi... Moi przeciwnicy powinni by wykazać niemoc myśli poddanéj lub niepoddanéj, wywołującéj zjawiska snu i oddziaływającéj na stronę fizyczną w postaciach stanu biernego, jeżeli chcą ustalić zasadę działania płynu magnetycznego na organizm drugiéj osoby" (2).

Doświadczenia magnetyczne dr. Dupotet, czynione nad dziećmi, były o tyle jednak przekonywające, iż dr. Liébeault przyznał możliwość istnienia i oddziaływania płynu magnetycznego. Sam Dupotet (3) tak się odzywa o swych doświadczeniach: „Każde dziecko uśpione, magnetyzowane w ciągu 5 do 10 minut, dostatecznie wykazuje zmianę, jaka zachodzi w zwykłym stanie jego istnienia. Zmianę wywołuję w sposób następujący: Staję w odległości jednéj stopy od dziecka i prowadzę swe ręce ponad powierzchnią jego ciała, nie dotykając się jego pokrycia; po kilku minutach przerywam owe ruchy, zbliżam palec ku gołéj lub okrytéj powierzchni dziecka, nie dotykając się jéj wcale, i wywołuję lekkie kurczenie mięśni. Jeżeli działam na rękę, przejawiają się wtedy słabe ruchy konwulsyjne w palcach, a często nawet całe ciało przyjmuje udział w tym ruchu magnetyzmowym. Jeżeli siłę, któréj istnienie w sobie przypuszczam, skieruję na głowę dziecka, wówczas sen staje się intensywniejszym."

---

(1) Revue philosophique. 1884, Décembre: La suggestion mentale, par Ch. Richet.

(2) Union magnétique, 1868, N. 231, p. 270,

(3) Dupotet, Manuel du Magnétisme, 1868, p. 2.

Doświadczenia prof. Dumont z Nancy, czynione nad śpiącemi dziećmi w pewnéj od nich odległości, potwierdziły w zupełności zdanie dra. Dupotet.

Longpretz, magnetyzer z Liège, oddawna leczy magnetyzmem przez dotykanie rękoma części chorych nawet przez ubranie; przyprowadzał on do zdrowia w ten sposób dzieci kilkomiesięczne, nie zdolne jeszcze do odczuwania wpływów umysłowego poddawania. Nawet dzieci, uważane przez lekarzy jako niewyleczalne, udawało mu się uzdrawiać po kilku próbach magnetycznych.

Dr. Liébeault (1) opisuje 45 wypadków leczenia dzieci sposobem magnetycznym, i we wszystkich wypadkach nadspodziewane otrzymał rezultaty. Koklusz, gorączka, wymioty, biegunka, bóle, paraliże itd. ustępowały po kilku posiedzeniach. Pomyślne te rezultaty potrzeba przypisać działaniu magnetycznemu; poddawanie umysłowe nie mogło bowiem mieć miejsca, szczególniéj w tych razach, gdy dzieci były uśpione poprzednio, podobnie jak to czynili Dupotet i Dumont, którzy oddziaływali na bardzo młode dzieci, nie dotykając się ich wcale. Zjawisko to objaśnia się tém, że siła nerwowa magnetyzera wywołuje pewne wstrząśnienie nerwowe w osobie magnetyzowanéj, wprowadza w stan czynny, czyli pobudza do życia tę część systemu nerwowego, w któréj życie jakby zamarło; w innym razie osłabia działalność nerwową, jeżeli działalność ta jest nadmierną. Innemi słowy, siła nerwowa magnetyzera ustanawia równowagę w systemie nerwowym osoby magnetyzującéj się, któréj system w danym razie jest jakby dalszym ciągiem systemu nerwowego magnetyzera. Ruch molekularny w obu systemach nerwowych staje się jednakowym, osoba więc magnetyzująca może odczuwać i poddawać myśli osobie zamagnetyzowanéj. Im więc więcéj rozwiniętym jest system nerwowy magnetyzera w stosunku do osoby magnetyzowanéj, tém silniéj oddziaływa na tę ostatnią.

Magnetyzm zwierzęcy staje się więc, jak widzimy, przedmiotem poważnych badań naukowych, badania zaś te wyjaśnić nam mogą pewne zagadkowe dla nas dotąd zjawiska psychologiczne.

II.

Kwestya hypnotyzmu podniesiona przez Braid'a zwróciła na siebie uwagę wielu lekarzy w roku 1853, gdy fizyolog Carpenter

---

(1) Etude sur le zoomagnétisme par. Dr. A. A. Liébeault. Paris - Nancy, 1883 p. 11 — 22.

w swych sześciu wykładach, w Royal Institution w Manchester, o fizyologii systemu nerwowego, z szczególniejszém uwzględnieniem somnambulizmu, uznał najzupełniéj fakty wykazane przez Braid'a, oraz przyjął jego teoryą. Teorya ta wprowadzoną została do Francyi przez dra Azam'a z Bordeaux około 1860 r., szczegółowiéj ją zaś rozwinął dr. Liébeault z Nancy w r. 1866. W tymże czasie poglądy Braid'a doszły i do nas i wyłożone zostały po raz pierwszy w dziele dra Szokalskiego: „Fantazyjne objawy zmysłowe" (Warszawa, 1863).

Teorya hypnotyzmu jednak zyskuje charakter pozytywny dopiero od r. 1878 dzięki studyom i doświadczeniom prof. Charcot i jego szkoły w szpitalu Salpêtrière w Paryżu. W ostatnich latach kwestya hypnotyzmu licznych znajduje badaczów, zwłaszcza we Francyi.

Zjawiska hypnotyczne zasadzają się na prawie kojarzenia się wyobrażeń i na prawie kojarzenia się ruchów. Pierwsze z tych praw polega na tém, że jeżeli z pomiędzy dwóch wyobrażeń, zjawiających się jednocześnie lub bezpośrednio po sobie w jednym i tym samym akcie świadomym, odtworzoném zostanie przypadkowo jedno, pociąga ono za sobą wtedy i drugie i odtwarza je także. To samo stosuje się do ruchów. Reprodukcya jednego z pomiędzy dwóch lub kilku ruchów, wykonanych jednocześnie lub z kolei, wyłuje reprodukcyą ruchów innych, i im częściéj się to powtarza, tém łatwiejszém jest ich kojarzenie się, czyli to, co nazywamy przyzwyczajeniem. Wyobrażenia wywoływać mogą na téj zasadzie skojarzone z niemi ruchy, ruchy zaś—skojarzone z niemi wyobrażenia. Pewien przedmiot wywołuje szereg ruchów, skojarzonych z wyobrażeniem tegoż przedmiotu, dokonywanych zwykle w stanie normalnym. Dajmy szklankę osobie zahypnotyzowanéj, a osoba ta wykona wówczas ruchy, towarzyszące piciu, dajmy jéj miotłę a zacznie wtedy zamiatać. Do téj kategoryi zjawisk należy naśladowanie ruchów, wykonywanych w obec osoby zahypnotyzowanéj; jest to naśladowanie najzupełniéj automatyczne. Raz wywołane ruchy powtórzone być mogą po kilka razy bez powtórnego ich wywołania. Pewne ruchy nadają osobie zahypnotyzowanéj odpowiedni wyraz twarzy (1). Wszelkie tego rodzaju ruchy wywoływać można także słowem. Oprócz ruchów wywołać można w ten sposób bezwładność, paraliż, utratę mowy (afazyą), ślepotę i głuchotę jednostronną, a niekiedy zupełną, katalepsyą itd., lub téż usunąć którykolwiek z tego rodzaju stanów, jeżeli jest tylko czysto nerwowym. O zjawiskach tych obszerniéj pomówimy niżéj, przy objaśnieniu teoryi *ideoplastyi*.

---

(1) Zob. „O poddawaniu uczuć" przez J. Wł. Dawida. Ateneum, 1884. T. IV.

Nie wszystkie osoby mogą być hypnotyzowane. Najłatwiéj udaje się hypnotyzować osoby histeryczne: kobiety w ogóle posiadają więcéj wrażliwości hypnotycznéj niż mężczyzni. Nie tylko osoby nerwowe, lecz także osoby najzupełniéj zdrowe mogą posiadać wrażliwość hypnotyczną. Nie wszystkie jednak osoby nerwowe odznaczają się taką wrażliwością. Hypnotyzm zatém niesłusznie zaliczony został do newroz przez niektórych lekarzy, którzy doświadczenia swe czynili wyłącznie na osobach histerycznych.

Wrażliwość hypnotyczna zależną jest prawdopodobnie od stosunków odruchowych pomiędzy systemem mózgo-rdzeniowym a systemem ganglionarnym, głównie zaś pomiędzy mózgiem a nerwami naczynio-ruchowemi.

Im częściéj bywa kto hypnotyzowany, tém jest wrażliwszy, tém łatwiéj więc można go uśpić.

Wrażliwość hypnotyczna ujawnia się, według badań dra Ochorowicza (1), pod wpływem działania magnesu. Magnes więc użyty być może jako środek dla wykazania wrażliwości hypnotycznéj.

Działanie fizyologiczne magnesu spostrzeżoném już było w r. 1779 przez Andry i Thouret, a następnie przez Beckera w r. 1829, Bulmeringa w r. 1835, Lippic'a w r. 1846 i przez Maggiorani w latach ostatnich (1869—1880). Dziś fizyologiczne działanie magnesu nie podlega wątpliwości i uznaném zostało przez świat naukowy.

Wszystkie osoby wrażliwe na magnes posiadają, jak utrzymuje dr. Ochorowicz (2), wrażliwość hypnotyczną, tj. mogą być hypnotyzowane. Z 700 osób badanych przez niego 236 okazało się wrażliwemi na magnes.

Zastosowany w tym celu przez p. Ochorowicza magnes, nazwany przezeń *hypnoskopem*, posiada kształt niezupełnéj rurki 5,5 centymetrów długości i 3.4 centym. średnicy,—rurki wyciętéj przez całą długość, brzegi zaś tego wycięcia oddalone od siebie na 1.5 centymetrów są biegunami magnesu. Kształtem swym przypomina on elektromagnes Joule'a, z tą różnicą, że linie siły skierowane są w nim na wewnątrz. Magnes ten zawiesza się na palcu wskazującym tak, ażeby dotykał biegunów magnesu i pozostawia się go w téj pozycyi przez dwie minuty. Osoby wrażliwe na magnes (około 30 na 100) odczuwają wtedy pewne nieprzyjemne łaskotanie, jakby mrowie, chłód lub gorąco i suchość, czasem kłucie, rzadko ból lub uczucie nabrzmienia palca, które niekiedy bywa rzeczywistém, albo też cięż-

(1) Comptes-Rendus de la Société de Biologie. Paris, 1884. Nr. 20, p. 325.

(2) La lumière électrique, 1884, Nr. 45, p. 211. L'Hypnoscope, par dr. J. Ochorowicz.

kość w palcu lub w całéj ręce. Głównemi jednak objawami są tu objawy przedmiotowe, jak: ruchy mimowolne, znieczulenie, paraliż, tężec. Zjawiska te znikają po upływie kilku minut przez lekkie potarcie palca. Objawy wrażliwości magnetycznéj nie zależą ani od siły magnesu, ani od jakości bieguna. Powtarzane przejawiają się silniéj, lecz posiadają tenże sam charakter.

Działanie fizyologiczne magnesu jest niezaprzeczenie rzeczywistém, doświadczano go bowiem nieraz na osobach śpiących i na zwierzętach, lecz i wyobraźnia bierze w działaniu tém pewien udział. Dr. Ochorowicz sądzi, iż w większości wypadków magnes jest tylko podścieliskiem (substratum) innego działania, na tyle jednak słabego z fizycznego punktu widzenia, że nie daje się ocenić żadnym z naszych instrumentów, a przejawia się tylko przez pośrednictwo systemów nerwowych wyjątkowo wrażliwych. Jest to nowy i nieznany nam przejaw—częściowa modyfikacya zjawisk elektrycznych.

Dr. Ochorowicz wyraża nadzieję, iż hypnoskop znajdzie zastosowanie w medycynie. Wszystkie osoby wrażliwe na magnes powinny-by być leczone sposobem hypnotycznym, przez właściwe poddawanie, szczególniéj w chorobach nerwowych.

Każda anomalia funkcyjna w systemie nerwowym uwidocznia się pod wpływem działania magnesu (u osób wrażliwych na magnes) i znika następnie, dzięki temuż wpływowi. Organiczne nawet anomalie systemu nerwowego w mniejszym niekiedy przejawiają się stopniu pod wpływem działania magnesu. Magnes znaleść więc może na téj zasadzie zastosowanie w diagnostyce i terapii lekarskiéj. Dr. Ochorowicz utrzymuje nawet, iż zastosowanie hypnoskopu w medycynie wywoła potrzebę wprowadzenia odmiennéj terapii dla osób hypnotycznych, działanie bowiem środków lekarskich u tychże osób może być zwiększane lub osłabiane przez stosowne poddawanie hypnotyczne.

Zjawisko przeprowadzania pewnych stanów patologicznych z jednéj połowy ciała do drugiéj znaném jest od lat kilku; w ostatnich czasach zjawisko to skonstatowano na osobach hypnotycznych. Jako czynnik przeprowadzający używany bywa magnes zwykle. Stosuje się to do objawów patologicznych tak czucia jak i ruchu, tak samo powstałych jak i wywołanych w rozmaitych stadyach hypnotyzmu.

Profesor Charcot (1) wyróżnia trzy stadya hypnotyzmu: letarg, katalepsyą i somnambulizm. Podział ten, niezupełnie trafny, stosować się może tylko do niektórych osób hypnotycznych. Dr. Bern-

(1) Comptes-Rendus de l'Academie des sciences, 1882

heim nie zgadza się również na podział Charcot. Stopień stanu hypnotycznego zależy od temperamentu, od stopnia indywidualnéj wrażliwości, nie zaś od sposobu hypnotyzowania. Jeżeli w stanie letargu (oczy zamknięte) otworzyć jedno oko, to otrzyma się półkatalepsyą téjże połowy ciała, którą to katalepsyą przeprowadzić można przez działanie magnesu do drugiéj połowy ciała. Katalepsya prawéj ręki pod wpływem magnesu, działającego na lewą rękę przechodzi do téj ostatniéj, która przyjmuje tęż samę pozycyą, jaką miała poprzednio ręka prawa. Paraliż, poddany w stanie somnambulizmu w lewéj ręce, przechodzi pod wpływem magnesu do ręki prawéj.

Ch. Féré i A. Binet (1) przytaczają bardzo ciekawy tego rodzaju przykład. Choréj histeryczce zahypnotyzowanéj kazano pisać cyfry. Po przebudzeniu zaczęła pisać cyfry prawą ręką aż do 12, następnie po pewném wahaniu zaczęła pisać lewą ręką pod wpływem magnesu ukrytego w pobliżu téjże ręki. Znaki pisane lewą ręką były zupełnie symetryczne do pisanych ręką prawą. tj. były pisane odwrotnie: w lustrze dopiero można było spostrzedz podobieństwo ich do cyfr pisanych ręką prawą. Halucynacye wszystkich zmysłów przeprowadzane być mogą również z jednéj połowy ciała do drugiéj.

Prof. Bernheim występuje przeciw tak stanowczo wypowiadanym twierdzeniom pp. Féré i Binet i doświadczenia ich przypisuje wyłącznie poddawaniu.

III.

Zjawisko fizyologicznego zrealizowania pewnego wyobrażenia (idei) nazwaném zostało przez Durand de Gros (2) *ideoplastyą* i w tém znaczeniu użytém zostało przez dra Ochorowicza (3). Zjawisko ideoplastyi może mieć miejsce nietylko wskutek poddawania wyobrażenia ze strony osoby drugiéj, lecz również i wskutek samopoddawania bez współudziału drugiéj osoby.

Zjawiska ideoplastyi są częściowemi przejawami ogólnego prawa, *prawa odwrotności*. Prawo to polega na tém, że jeżeli siła *a* przekształca się w siłę *b*, to i siła *b* może się również przekształcić w siłę *a*. Jeżeli ruch mechaniczny przekształca się w ciepło, to i ciepło może się przekształcić w ruch mechaniczny.

---

(1) Comptes-Rendus de la Société de Biologie, 1884. Nr. 27, p. 445.

(2) Durand de Gros. Cours théorique et pratique de Braidisme. Paris, 1860, p. 44

(3) Comptes-Rendus de la société de Biologie, 1884. Nr. 25, p. 409, Nr. 27, p. 456

Wyobrażenie wywoływaném bywa przez wrażenie zmysłowe, w ideoplastyi zaś odwrotne spostrzegamy zjawisko: wyobrażenie wywołuje wrażenie zmysłowe. Odwrotne to przekształcenie nazywaném bywa *halucynacyą*, jeżeli dokonywa się bez współudziału drugiéj osoby, jeżeli zaś zostaje wywołaném, wtedy nazywaném bywa *poddawaniem* (*suggestion*). Jest to ideoplastya wrażeń zmysłowych, czyli *ideoplastya bierna*. Percepcya podniety nieegzystującéj nosi nazwę ideoplastyi *dodatniéj*; niemożliwość percepcyi czynnika rzeczywistego otrzymała nazwę ideoplastyi *ujemnéj*.

Zjawisko ideoplastyi możliwém jest tylko w stanie monoideizmu, tj. w stanie gdy dane wyobrażenie przez skupienie na niém uwagi zagłusza inne wyobrażenia, gdy dochodzi do maksymum możliwego spotęgowania. Wtedy oddziaływa ono na cały system nerwowy. Wyobrażenie jest wtedy tylko punktem wyjścia pewnego działania, nie zaś właściwym czynnikiem. Wyobrażenie górujące w danéj chwili obudza pewien częściowy stan organiczny, z którym w nieświadomém znajduje się skojarzeniu. Wyobrażenie pewnéj zmiany organicznéj wywołuje tym sposobem ową zmianę nieświadomie przy współudziale nerwów naczynio-ruchowych. Psychologia i fizyologia stykają się w tym punkcie. Wyobrażenie, oswobadzając się ze swych skojarzeń psychicznych w stanie monoideizmu, odnajduje swe skojarzenia organiczne i wywołuje odpowiednie zmiany w pewnych organach. Skojarzenia *organo-organiczne* (drażnienie pewnego nerwu powstrzymuje ruch odpowiedniego organu życiowego) należą do fizyologii, skojarzenia zaś *ideo-organiczne*, będące przyczyną zjawisk ideoplastycznych, należą zarówno do psychologii jak i do fizyologii.

Halucynacya, czyli przywidzenie jest następstwem pobudzania ośrodków zmysłowych. Halucynacyą wywołać można przez poddanie osobie zahypnotyzowanéj pewnéj idei określonéj. Poddając osobie zahypnotyzowanéj wyobrażenie pięknego ogrodu, kwiatów, owoców, wywołać można w jéj mózgu, a mianowicie w ośrodkach zmysłowych, obrazy odpowiednie, jak gdyby one były rzeczywiście odbiciem wrażeń zewnętrznych. Jeżeli się powie osobie zahypnotyzowanéj, np. „co za piękny ogród, jakie ładne jabłka, proszę zerwać jedno i spróbować“, osoba ta wykona natychmiast ruchy, jakoby zrywała jabłko i jadła je. Jeżeli się jéj poda pewien przedmiot, nadając mu nazwę innego przedmiotu, odmienne posiadającego własności, np. wodę, nazywając ją amoniakiem, lub kartofel, albo kawałek krédy, mówiąc, że to jabłko, wówczas wodę przyjmie ona za amoniak i przy wąchaniu jéj poczuje zapach amoniaku, jedząc zaś krédę lub kartofel, odczuje smak jabłka.

Mnie samemu udawało się nieraz zadziwiające wywoływać halucynacye; dokładność w odczuwaniu poddawanych wrażeń jako rzeczywistych była tak uderzającą u niektórych osób, że gdybym się nie był przekonał o prawdziwości tych halucynacyj, przypuściłbym, iż były udane. Badając osoby hypnotyzowane i porównywając wyniki tych badań z tém, czegom sam doświadczał, gdy byłem hypnotyzowany, przekonałem się, iż osoba zahypnotyzowana może rozumować, zastanawiać się, może posiadać świadomość stanu w jakim się znajduje, może nawet udawać do pewnego stopnia, stan jéj jednak hypnotyczny nie jest udany.

Halucynacye pewne, tak samo jak i rzeczywistość, ulegają prawom optyki. Lustro odbija, lornetka przybliża, soczewka powiększa owe obrazy fantazyjne; pryzmat zdwaja przedmioty, choć one istnieją w wyobraźni tylko. Lecz prawom optyki ulegają tylko halucynacye tak zwane objektywne (przedmiotowe), czyli właściwie obrazy iluzyjne, np. pewne punkty rzeczywiste, którym wyobraźnia nadaje postać jakiegoś przedmiotu. Halucynacye właściwe, tj. halucynacye wewnętrzne, czyli mózgowe, i halucynacye subjektywne, czyli zmysłowe, jako nie mające nic wspólnego z rzeczywistością, nie ulegają prawom optyki.

Jeżeli podamy osobie zahypnotyzowanéj kawałek kartonu, mówiąc jéj, iż to jest lustro, wówczas osobie téj przedstawi się, że rzeczywiście lustro ma przed sobą, a halucynacya ta trwać może czas jakiś jeszcze po przebudzeniu; osoba zbudzona widzi siebie w lustrze istniejącém w jéj wyobraźni. Wrażenie, wywołane słowem w stanie hypnotycznym, istniéć może przez pewien czas w mózgu po przebudzeniu, bez ponownego działania wywołującéj je podniety. W ten sposób tylko można wyjaśnić pewne zjawiska somnambuliczne, które z pozoru zdają się być nadzwyczajnemi.

Jeżeli osoba zahypnotyzowana widziała pod wpływem poddanego jéj wyobrażenia na czystym kartonie portret jakiéjś osoby, to po przebudzeniu odróżni karton ten z pomiędzy innych i na téjże saméj stronie widziéć będzie ów portret nieistniejący i widziéć go będzie tak długo, dopóki nie zniknie w jéj mózgu wrażenie, wywołane w stanie hypnotycznym. Ruch wywołany w mózgu nie znika w chwili przebudzenia, lecz trwać może daléj i po przebudzeniu. „Proszę liczyć do 10 i przy 6 się obudzić“ — mówi dr. Bernheim do osoby zahypnotyzowanéj, która rzeczywiście budzi się, wymówiwszy 6, lecz liczy daléj do 10, sama nie wiedząc dla czego.

„Po obudzeniu, się poczujesz pan zapach wody kolońskiéj“— mówi Bernheim do zahypnotyzowanego młodego człowieka. Zbudzony (bardzo inteligentny i nie nerwowy) odczuwa zapach nie wy-

raźny, jakby zapach octu. „Poddałem panu wyobrażenie zapachu wody kolońskiéj, czy pan czujesz co jeszcze?“ „Czuję wodę koloń-ską“—odpowiada.

Poddawanie paraliżu czucia, czyli znieczulanie miejscowe jest zjawiskiem znaném oddawna, z którego niejednokrotnie korzystał Broca przy wykonywaniu niektórych operacyj chirurgicznych. Znieczulenie takie może być o tyle znaczne, iż pacyent sądzi, że pozbawiony jest zupełnie znieczulonego członka. Znieczulenie to przeprowadzoném być może przez działanie magnesu do odpowiedniego członka drugiéj połowy ciała. Znieczulenie zastosować można także tylko wyłącznie do jednego przedmiotu. Stosuje się to również do znieczulania zmysłów. Sposobem poddawania w stanie hypnotycznym uczynić można tę lub ową osobę z otaczających niewidzialną dla zbudzonego hypnotyka. Inne zmysły otrzymywać mogą jednak wrażenia od téjże osoby. Głos i dotknięcie osoby niewidzialnéj mogą być odczuwane najzupełniéj.

Niektóre osoby histeryczne nie znoszą hałasu pewnego chińskiego instrumentu muzycznego, zwanego *tam-tam* i pod wpływem tego hałasu wpadają natychmiast w katalepsyą. Jednéj z takich histeryczek zahypnotyzowanych w Salpêtrière pokazano *tam-tam* i poddano jéj wyobrażenie, iż po przebudzeniu nie zobaczy owego instrumentu i nie usłyszy hałaśliwego jego dźwięku. Po zbudzeniu jéj *tam-tam* nie istniał dla niéj wcale, a dźwięk jego żadnego nie wywierał na nią wrażenia. Po zatarciu poddanego znieczulenia wzrokowego i słuchowego instrument działał natychmiast jak zwykle. Pozostawiona zaś pod wpływem poddanéj idei nie odczuwała hałasu w ciągu 11 dni.

Jedna z chorych tegoż szpitala Salpêtrière posiada z każdéj strony okolic sutkowych miejsce histerogeniczne, naciśnienie którego wywołuje natychmiast atak histeryczny. Jeżeli znieczulić wzrok i dotykanie choréj dla percepcyi pewnéj osoby, wtedy silne nawet naciskanie miejsc histerogenicznych, wykonywane przez ową osobę, pozostaje nieodczuwaném i nie wywołuje ataku. Zbliżenie się zaś innéj osoby ku niéj przejmuje ją strachem.

Świadoma jednakże tylko czuciowość pozbawioną być może wrażliwości. Gdy pokażemy osobie hypnotycznéj sześć pochewek od termometrów, z których jedna wyróżnia się z pośród innych górną swą częścią i część tę uczynimy niewidzialną, osoba ta zliczy wtedy pięć tylko pochewek. Lecz gdy jéj pokażemy dolne części pochewek, wtedy zliczy wszystkie sześć.

Jeżeli pokazać osobie zahypnotyzowanéj kwadratowy kawałek papieru czerwonego z czarnym punktem we środku, twierdząc jéj,

iż około tego punktu niema nic czerwonego, osoba ta wówczas nie odczuwa nieistniejącéj dla niéj barwy. Lecz jeżeli następnie pokazać jéj punkt czarny na białym arkuszu papieru, wtedy punkt wyda się jéj otoczonym zielonym kwadratem. Brakło więc jéj tylko świadomości barwy czerwonéj, która pozostawiła wrażenie na siatkówce oka.

Jeżeli uniemożliwimy osobie zahypnotyzowanéj, sposobem poddawania, wszelką percepcyą co do pewnéj znanéj jéj osoby, wtedy osoba zahypnotyzowana po przebudzeniu stracić może najzupełniéj pamięć o wszystkiém, tyczącém się téj osoby. Osoba hypnotyczna może widziéć ową osobę, lecz jéj nie poznaje; jest to osoba zupełnie dla niéj nowa.

Percepcya każdego przedmiotu składa się z wielu pierwiastków odnośnie do każdego ze specyalnych zmysłów. Wszelkie wrażenie, pochodzące od danego przedmiotu, oddziaływa na pewną ilość komórek mózgowych, które specyalizują się dla tejże percepcyi. Jeżeli grupa komórek mających styczność z wzrokiem np. zostanie sparaliżowaną przez poddanie odpowiedniego wyobrażenia, to centr ideacyi pobudzany jest jeszcze wtedy przez oddziaływanie innych grup, pamięć więc nie ginie jeszcze wówczas; pamięć wtedy dopiero ginie, gdy wszystkie pierwiastki percepcyi przestaną funkcyonować. Podobne zjawisko powstać może wskutek przyczyn organicznych. Taine (1) opowiada o pewnéj młodéj amerykance, która po długim śnie straciła pamięć o wszystkiém, czego się nauczyła. Musiała się na nowo uczyć czytać, rachować, poznawać przedmioty i osoby otaczające. Podobne wypadki cytują dr. Azam z Bordeaux i dr. Dufay z Loir-et-Cher.

Bernheim, opierając się na licznych doświadczeniach, mówi, że jeżeli powiedziéć osobie zahypnotyzowanéj, iż po przebudzeniu przypomni sobie wszystko, co się z nią dzieje, wtedy osoba ta, wyprowadzona z stanu hypnotycznego, rzeczywiście powtórzy wszystkie szczegóły czynionego nad nią doświadczenia. Hypnotyk nie jest zatém automatem nieświadomym. Halucynacya—mówi Bernheim (2), jest aktem psychicznym: *osoby zahypnotyzowane widzą to, co sądzą, że powinny widziéć.* Wyobraźnia jedynie realizuje zjawisko, hypnotyk widzi je myślą, pojmuje je i odczuwa.

W szpitalu Salpêtrière w Paryżu przedstawiono pewnéj osobie zahypnotyzowanéj fikcyjny portret mężczyzny, dodając, iż mężczyzna ten ma na sobie surdut niebieski ze złotemi guzikami. Po prze-

(1) H. Taine. De l'intelligence. Paris, 1883. I. p. 156.

(2) Revue philosophique. 1885. N. 3. Mars. p. 315—316.

budzeniu jéj na zapytanie, jak był ubrany ów mężczyzna na portrecie, odpowiedziała: w niebieski surdut; gdy ją zaś zapytano, jakie miał guziki? miedziane—odpowiedziała po pewném wahaniu. Pamiętała zatém, iż guziki były żółte, lecz zapomniała, lub téż nie przypuszczała, że guziki były złote. Ponieważ zaś sądziła, iż guziki były miedziane, musiała zatém rozumować (1).

Osoba zahypnotyzowana traci siłę oporu, nie może przeciwdziałać, lecz zmuszoną jest ulegać wpływom poddawanych jéj wyobrażeń, staje się automatem. Automatyzm jest wynikiem monoideizmu: umysł ulega poddanemu wyobrażeniu, nie posiada bowiem w tejże chwili innego, któreby mógł wybrać i oprzeć się w ten sposób wyobrażeniu poddanemu.

Jeżeli osobie zahypnotyzowanéj powiedziano, iż nie pamięta swego nazwiska i nazwano ją inaczéj, wie ona, że to nie jéj nazwisko, nie umie jednak wypowiedziéć, a niekiedy przypomniéć sobie właściwego. Wyobrażenia jéj, uczucia, sympatye, namiętności, przesądy mogą być zmienione, modyfikowane w tenże sposób stosownie do woli hypnotyzującego. Można poddawać jéj również wyobrażenia czynów jakoby przez nią dokonanych lub mających być dokonanemi.

„Przyjdź pani takiego a takiego dnia o takiéj a takiéj godzinie do mnie—mówi Ch. Richet (2) do pewnéj kobiety zahypnotyzowanéj. Zbudzona nie pamięta oznaczonego dnia i godziny i pyta, kiedy ma przyjść. Kiedykolwiek w ciągu przyszłego tygodnia. O któréj godzinie? O któréjkolwiek. I najakuratniéj osoba ta przychodzi do mnie w dniu i o godzinie, kiedy jéj oznaczyłem. Doświadczenie to powtórzyłem trzy razy z tą i cztery razy z inną kobietą i zawsze się udawało.“

Dr. Bernheim (3) opisuje fakt następujący:

„Zeszłego sierpnia mówię do somnambulisty S... starego sierżanta, podczas gdy tenże spał: Idź pan w pierwszą środę października do dra Liébeault, tam pan znajdziesz prezydenta rzeczypospolitéj, który wręczy panu medal i pensyą.—3 października otrzymałem od dra Liébeault list następujący: „S... był u mnie dziś o godzinie 11 bez 10 minut. Widziałem go kłaniającego się z wielkiem uszanowaniem, a następnie usłyszałem to wymówione przezeń słowo: eksce-

---

(1) Revue philosophique. 1884. I. sem. p. 481. Revue politique et littéraire. 1884. p. 200.

(2) Ch. Richet. L'Homme et l'intelligence. Paris, 1884, p. 253.

(3) Dr. Bernheim. La suggestion dans l'état hypnotique et dans l'état de veille. Paris, 1884. p. 28.

lencyo! Zapytałem go, do kogo mówi?—Do prezydenta rzeczypospolitéj—odpowiedział." W kilka dni potém mówił mi, że myśl pójścia do p. Liébeault przyszła mu do głowy niespodzianie 3 października o godzinie 10 rano."

Bardzo ciekawemi pod tym względem są doświadczenia p. Liègeois (1).

Pani T... poddano, ażeby poszła po czterech dniach do pani S..., znajdzie ją w sali jadalnéj, ażeby nalała sobie kieliszek likieru znajdującego się w szafce i poczęstowała panią S... Przed odejściem spostrzeże dziewczynkę ubraną dziwacznie w kolory czerwony i zielony. Po zbudzeniu T... nic nie przypominała sobie z tego, co jéj poddano. Nazajutrz, uśpiona przez dra Liébault, mówi nie zapytywana przez nikogo, że ma pewną sprawę do załatwienia w niedzielę, lecz że nie będzie miała na to czasu. Liébault odrzekł jéj, iż to samo może uczynić w sobotę. W niedzielę rano pani S... pisze do p. Liègeois o bytności u niéj T... i o jéj zachowaniu się z wszelkiemi szczegółami zgodnemi z tém, co jéj poddano we śnie hypnotycznym.

Inne doświadczenie z tąż osobą nie mniéj jest ciekawém. Zeznała ona w biurze policyi, iż przyszedł do niéj jakiś człowiek, chcąc jéj odstąpić za bardzo nizką cenę sześć kuponów obligacyj skarbowych. Ponieważ wzbraniała się je przyjąć, uważając je za skradzione, człowiek ten rzucił jéj owe kupony, jako nie mające żadnéj wartości dla niego, gdyż nie mógł ich nigdzie sprzedać, i wyszedł. Kupony te zwróciła p. Liègeois, który całą tę historyą poddał jéj wczasie snu hypnotycznego, dla nadania zaś jéj pozoru rzeczywistości umyślnie przyniósł z sobą owe kupony. Człowiek sprzedający kupony i głos jego były wytworem poddanego jéj wyobrażenia, były halucynacyą.

Panna E... zeznaje, iż zabiła swą przyjaciółkę. Innym razem taż sama E... strzela do swéj matki, nie wiedząc najzupełniéj o tém, że pistolet nie był nabity.

Pan W... (zdrów zupełnie) podaje ciotce swéj szklankę wody zatrutéj arszenikiem; w rzeczywistości był to pewien proszek nieszkodliwy. Wyobrażenie to poddano mu w stanie zupełnego czuwania, nie usypiając go poprzednio.

Liègeois przytacza liczne przykłady osób podpisujących kwity, weksle, zeznania fałszywe pod wpływem poddanego im wyobrażenia. Panna E... z Nancy podpisuje weksel na 500 fr., których nie po-

---

(1) Comptes-Rendus de l'Académie des sciences morales et politiques 1884. 2 semestre. J. Liègeois. De la suggestion hypnotique dans ses rapports avec le droit civil et criminel. p. 174.

życzała; pani O... także z Nancy wydaje weksel na tysiąc a następnie na sto tysięcy franków, które jakoby miały być pożyczone przez jéj męża, itd.

Osoby zahypnotyzowane nie zdolne są stawić ża-dnego oporu zamachom zbrodniczym i stają się ich ofiarą.

Dr. Prosper Despine (1) opisuje wypadek jaki miał miejsce w okolicy Draguignan w departamencie Var w 1865 r., gdzie pewien żebrak Castellan zgwałcił Józefinę H..., zahypnotyzowawszy ją poprzednio, za co skazany został na 12 lat ciężkich robót. Józefina H... nie mogła się oprzéć wpływowi Castellana i opuściła dlań dom rodzicielski.

Ofiary takich nadużyć nie pamiętają w stanie normalnym o niczém, co z niemi zaszło, w stanie dopiero hypnotycznym mogą opowiedzieć szczegóły zbrodni.

Osoby hypnotyczne, którym poddano myśl zbrodni, mogą ją wykonać nawet po upływie pewnego czasu. To też sądy baczną zwrócićby powinny uwagę, czy czyny zarzucane osobom podsądnym nie były im poddane przez inne osoby. Powinny również przyjąć na uwagę możliwość tego rodzaju wypadków w sprawach cywilnych, tyczących się testamentów, zapisów, weksli, zeznań itd. Osoby hypnotyczne powinnyby również zachować ostrożność i pozwalać się hypnotyzować tylko w obecności osób, do których mają zaufanie.

Ideoplastyą ruchów dr. Ochorowicz nazywa *ideoplastyą czynną*, która również jak i poprzednia może być *dodatnią* i *ujemną*. Wykonywanie wszelkich ruchów poddawanych należy do ideoplastyi czynnéj dodatniéj; niemożliwość wykonywania zwykłych nawet ruchów wskutek chwilowéj utraty pamięci ruchów należy do ideoplastyi czynnéj ujemnéj.

Objawy patologiczne ruchu i czucia, powstające pod wpływem pewnych wyobrażeń, notowane były poraz pierwszy w 1869 r. przez dra Russell Reynolds (2) Nienormalności ruchu przejawiają się w postaci spazmów lub paraliżu, najczęściéj w postaci paraliżu górnych kończyn. Są to paraplegie powstające przez wyobraźnię, jak je nazywa Erb (3). Reynolds opisuje następujący wypadek takiego paraliżu.

Młoda kobieta, mieszkająca razem ze swym ojcem sparaliżowanym, zmuszona była udzielać codziennie lekcye w miejscu znacznie

---

(1) Dr. Pr. Despine. Psychologie naturelle. Paris. 1868. I. p. 586.

(2) Russel Reynolds. British med. journal. II. p. 378. 835. Remarks on paralysis aud other disorders of motion and sensation dependent ou idea.

(3) Erb. Paraplegie durch Einbildung. Handbuch der Krankh. des Nervensystems. Ziemssen. B. XI. 2 Theil. 1878. S. 826.

odległém od swego mieszkania. Przechadzka piesza męczyła ją bardzo i pod wpływem tego zmęczenia przyszła jéj myśl, iż i ona również może zostać sparaliżowaną i że wtedy położenie ich stanie się okropném. Pod ciągłym wpływem téj myśli zaczęła uczuwać osłabienie w nogach, a po niedługim czasie chodzenie stało się najzupełniéj niemożliwém. Reynolds zrozumiał przyczynę choroby i zastosował leczenie czysto moralne; po kilkokrotnych próbach udało mu się przekonać pacyentkę, iż może chodzić najzupełniéj dobrze, co w rzeczywistosci miało miejsce.

Badania Charcot'a stwierdziły najzupełniéj możliwość takich paraliżów psychicznych. Paraliż *poddany* osobie hypnotycznéj przedstawia często wszelkie cechy paraliżu organicznego. Nawet u osób nigdy niehypnotyzowanych można wywołać paraliże przez poddanie im myśli, iż są sparaliżowanemi (1). W taki sam sposób można uniemożliwić wykonywanie pewnych ruchów, uniemożliwić pisanie lub wymowę pewnych wyrazów, liter lub cyfr, czyli poddać je w zapomnienie,—wykreślić je z pamięci.

Binet i Féré (2) poddali pewnéj choréj zahypnotyzowanéj wyobrażenie, iż niepamięta nazwiska *Féré*, którego zna od lat dziesięciu. Chora ta po przebudzeniu nie tylko, że nie mogła wymówić nazwiska *Féré*, lecz nie rozpoznawała, gdy je wymawiano, nie mogła go przeczytać ani napisać. Jestto zjawisko afazyi skomplikowanéj: afazya ruchu wymowy, agrafia, ślepota i głuchota wyrazowa. Po siedmiominutowém działaniu magnesu na prawą rękę wymówiła dobrze nazwisko *Féré*, lecz po odjęciu magnesu kilka razy zaledwie zdołała je wymówić, poczem wymówiła *Féry*, a daléj nie pamiętała już wcale tego nazwiska. Poddanie wyobrażenia spowodowało w tym razie paraliż pierwiastków komórkowych, uzdolnionych specyalnie do percepcyi i artykulacyi wyrazu, magnes zaś, przeprowadzając bezwładność funkcyonalną na prawą stronę, która nie posiada aparatu mowy, przywrócił chwilowo stronie lewéj zdolność funkcyonalną i umożliwił tym sposobem wymowę i percepcyę zapomnianego wyrazu.

Jest jeszcze trzecia kategorya zjawisk ideoplastycznych, którą p. Ochorowicz nazywa *ideoplastyą materyalną*. Ideoplastya materyalna obejmuje rzeczywiste zmiany przedmiotowe funkcyj życiowych pod wpływem pewnego wyobrażenia (*idei*); np. wyobrażenie oparzenia wywołać może rzeczywiste zapalenie miejscowe. W danym razie jestto ideoplastya materyalna *dodatnia*, wywołana przez ideoplastyą

---

(1) Bottey. Société de Biologie. 15 Mars 1884.

(2) Binet et Féré. Les paralysies par suggestion. Revue scientifique. 1884. 2 semestre. N. 2. p. 46, 47.

bierną dodatnią. Dr. Ochorowicz wywoływał sposobem poddawania odwrotne zjawiska tejże ideoplastyi, które nazywa ideoplastyą materyalną *ujemną*. Dwudniowa fluksya zębów ustąpiła po 25 minutach tylko wskutek wywołania biernéj ideoplastyi halucynacyjnéj. W taki sam sposób zmniejszać można temperaturę w gorączce (Ochorowicz otrzymał zmniejszenie o 0.9°, trwające kilka godzin), zmieniać frekwencyą pulsu, zwiększać lub zmniejszać ilość wydzielin rozmaitych i wymianę materyi wogóle, oznaczać dowolnie czas trwania snu i leczyć bezsenność, można zmieniać nawet potrzeby i charakter moralny danéj osoby na pewien czas (kilka tygodni). W tenże sam sposób można również zabezpieczać od wpływów, mogących spowodować pewne zmiany funkcyonalne. Jestto ideoplastya materyalna ujemna. Można wywołać np. pewien opór w organizmie wpływom rozmaitych substancyj szkodliwych, jak alkohol w znacznéj ilości, opium, morfina itd.

Wpływ wyobraźni na leczenie chorób znanym jest oddawna. Tak zwane cudowne uzdrowienia przez środki zupełnie obojętne dla organizmu, jak np. pigułki z chleba (autor tych słów sam leczył skutecznie pigułkami z chleba febrę *intermittens*),—przez środki homeopatyczne itd. należą do zjawisk ideoplastyi. Nawet słowem uzdrowić można chorego. Profesor Charcot wyleczył w ten sposób histeryczkę nie mogącą się poruszyć z łóżka, stawiając ją na nogach i każąc jéj iść naprzód (1).

Demarquay i Giraud-Teulon ótrzymali znakomite rezultaty przez zastosowanie hypnotyzmu jako środko terapeutycznego w chorobach macicy, a Leblois—w histeryi.

Poddane wyobrażenie gra zatém rolę stosownego w danéj chorobie środka leczniczego; jeżeli zaś działanie jego jest dynamiczném, co zdaje się nie ulega wątpliwości, to należy przypuścić, iż działanie danego środka leczniczego jest również dynamiczném. Przypuszczenie to znajduje poparcie w nowéj teoryi profesora chemii fizyologicznéj w Paryżu p. A. Gautier (2).

„Nie materya sama przez się działa na nasze zmysły, lecz forma jéj raczéj, budowa téjże materyi, czyli lepiéj mówiąc, natura ruchu odpowiadającego tejże formie... Siła lub sposób działania téj lub owéj materyi zależy nietylko od ilości żywéj siły, lecz również od sposobu ruchu wibracyjnego cząsteczek materyi przekazywanego naszym organom. Siła żywa związaną jest ze specyficzną naturą każdego

(1) Revue politique et litérraire. 1884. II semestre. N. 5, p. 131.

(2) Revue scientifique. I semestre. 1885. N. 1. La structure des corps et leurs propriétés phisiologiques, par A. Gautier.

atomu téj materyi, sposób wibracyi jednak jest jednocześnie funkcyą ciężarów atomowych i budowy molekularnéj, wiążącéj ściśle owe atomy... Wszelkie odczuwania świadome lub nieświadome, spowodowane przez działanie fizyczne lub chemiczne lub przez proste wrażenia na umysł, przejawiają się zwykle w działaniach dynamicznych; łącząc się zwyczajnie pomiędzy sobą, wyjaśniają nam wpływ magnesu i opór metali, wystarczających niekiedy dla usunięcia bólu lub przeprowadzenia go z jednego członka do drugiego.

Większość czynników prawdziwie lekarskich oddziaływa na nas *dynamicznie* bądź bezpośrednio, bądź przez pośrednictwo pewnéj kombinacyi lub reakcyi chemicznéj; działanie to wywołuje ruchy nerwowe lecz nie podtrzymuje ich, w rezultacie bowiem niema środków lekarskich prawdziwie *dynamoforycznych*. Działanie lekarskie w więcéj bezpośrednim znajduje się stosunku z molekularnym układem i fizycznemi własnościami ciał, niż z naturą pierwiastków wchodzących w owe kombinacye.“

Jako dowód dynamicznego działania substancyj lekarskich na system nerwowy może posłużyć fakt, że cyanek potasu wywołuje te same zjawiska w organizmie co i przecięcie nerwu krtaniowego górnego i drażnienie go powyżéj tegoż przecięcia. Cyanek potasu działa zatém na nerw ten dynamicznie.

Chinina i kwas salicylowy, posiadające własności magnetyczne, jak widzieliśmy wyżéj, działają raczéj mechanicznie na system nerwowy niż sposobem chemicznym; w podobny sposób działają zapewne i inne środki lekarskie, a przedewszystkiém środki tak zwane nerwowe.

Rozszerzający się horyzont nowego świata zjawisk fizyologiczno-psychicznych zwraca, jak widzimy, na siebie uwagę uczonych i zachęca do nowych wiele obiecujących badań, mogących nam lepiéj jeszcze wyjaśnić istotę tych zjawisk oraz mogących wykazać ich użyteczność w zastosowaniu praktyczném.

Dr. A. Złotnicki.

O KREDYCIE RZECZOWYM

DLA ROLNIKÓW

wedle projektów francuskich.

Kwestya zastosowania krótko-terminowego kredytu wekslowego do warunków rolnictwa zajmuje oddawna ekonomistów francuskich, ale niepomyślne stosunki kredytowe rolników we Francyi dowodzą wymównie, że usiłowania te jeszcze nie przyniosły owocu. Przyczyny szukać należy w wymaganiach kredytu wekslowego, trudnych do pogodzenia z warunkami przemysłu rolnego. Krótkoterminowość i niezbędna akuratność w wypłacie są, dla średniéj nawet własności, ważnemi przeszkodami do korzystania z usług banków. Rolnik nie ma téj łatwości, jaką ma handlujący w wynalezieniu funduszu na pokrycie długu lub w zrealizowaniu wartości, stanowiących stan czynny jego majątku. Tylko z czasem wprowadzenie w organizm gospodarstwa rolnego środków odpowiednich, przez praktykę wskazanych, zbliżyć może kredyt rolny do wymagań kredytu bankowego. Usiłowania robione w tym celu winny baczyć na to, że kredyt rolny musi zostawać w związku ścisłym z istotą rolnictwa i że wymaga dla siebie odpowiedniéj organizacyi. W dzisiejszych warunkach eksploatacyi, przemysł rolny nie jest pozbawiony kredytu, ale kredyt ten jest osobisty, udzielony jednéj osobie przez drugą, i dla tego krępują go warunki miejscowe. Po za sferą wielkiéj własności, któréj posiadacze, dzięki rozległości swych interesów, są ogólnie znani i dla których kredyt traci swój charakter specyalnie rolny, a staje się handlowym i stosuje się z łatwością do ustaw banków zwyczajnych, po za tą sferą, powtarzam, rolnik pożycza nie wiele i szukając kredytu, musi ograniczać się promieniem, w którym

jest znany, gdzie jego wartość indywidualna może być ocenioną, gdzie rękojmie, jakie przedstawia, ogólnie są wiadome. Tak więc kredyt rolny jest osobistym i miejscowym i takim pozostać musi, bo to wynika z jego natury. Cała trudność polega na tém, ażeby pogodzić te dwa warunki, cechujące kredyt rolny, z wymaganiami kredytu wekslowego; usunięcie téj trudności pozwoliło-by rolnictwu osiągnąć z kredytu korzyści te same, jakie on przynosi handlowi.

Dotychczas we Francyi nie umiano nakłonić kredytu wekslowego do rozpatrywania się w warunkach miejscowych, nie znaleziono formy dla stowarzyszenia, które-by umiało zebrać poważniejszy fundusz i obejść szkopuł trudnéj kontroli, zapewnieniem zaciągającemu pożyczkę udziału w zyskach towarzystwa.

Przesilenie, które rolnictwo francuskie przechodzi obecnie, zwróciło uwagę rządu na tę w ostatnich czasach zaniedbaną przez niego gałąź produkcyi krajowéj. Komisye, podkomisye, ankiety organizowały się z właściwą francuzom werwą; rządowi dzielnie dopomagały towarzystwa prywatne, mające półurzędowy charakter, jak: towarzystwo ekonomistów, towarzystwo krajowe rolnicze, izby handlowe itd. Poszukiwania te wykazały, że rolnictwo we Francyi jest: 1) zanadto przeciężone podatkami, 2) nie może walczyć z konkurencyą zagraniczną i 3) potrzebuje ułatwienia kredytu. Pierwsze dwa warunki, jako mające znaczenie ściśle lokalne, nie interesują czytelnika polskiego; pomijam je więc, zaznaczając jedynie, że ciała prawodawcze wprowadziły już po części w wykonanie żądania rolników, podnosząc lub wprowadzając cło na inwentarz i płody rolnicze, przywożone z zagranicy. Ponieważ kwestya kredytu krótkoterminowego, a specyalnie obsługującego własność ziemską, jest równie palącą u nas jak we Francyi i ponieważ można znaleść pewną analogią naszych stosunków kredytowych ziemskich z francuskiemi, przypuszczam, że streszczenie usiłowań robionych we Francyi, w celu ulepszenia kredytu rolnego może zainteresować szersze koło czytelników polskich. Dla tego korzystam z raportu deputowanego I. B. Josseau, członka specyalnéj komisyi, wyznaczonéj przez towarzystwo rolnicze krajowe, ażeby nie tylko zaznajomić czytelnika ze stanem obecnym kredytu rolnego we Francyi, ale zarazem, posługując się tekstem raportu, dać pobieżny rys obecnego stanu kredytu, zastosowanego do potrzeb rolnictwa w innych krajach Europy.

Zanim przystąpię do streszczenia wniosków komisyi, niech mi będzie wolno powiedziéć w kilku słowach jakim sposobem powstała.

Podczas ostatnich rozpraw w senacie nad podwyższeniem cła od przywożonego zboża, zwolennicy szkoły manchesterskiéj zachę-

cali niejednokrotnie rząd do zarzucenia systemu protekcyi, jako niedołężnego, a do zwrócenia uwagi wyłącznéj na opłakane pod względem kredytu warunki produkcyi rolnéj. Ówczesny minister rolnictwa Méline zwrócił się z zapytaniem do krajowego towarzystwa rolniczego, prosząc go o zdanie w téj mierze. Towarzystwo rolnicze wydelegowało specyalną komisyą, któréj wnioski uzyskały potwierdzenie ogólnéj sesyi towarzystwa, odbytéj w dniu 1 kwietnia roku bieżącego.

Zapytanie ministra brzmiało jak następuje:

„Jakie jest zdanie towarzystwa rolniczego co do użyteczności kredytu dla rolników, jakie zdaniem jego przedsiębrać środki i co myśli towarzystwo o całości projektu przedstawionego senatowi".

Towarzystwo rolnicze ze swojéj strony nakreśliło następujący programat, powierzając jego opracowanie specyalnie w tym celu wybranéj komisyi (1):

1) Czy obecny stan kredytu rolnego wystarcza na potrzeby eksploatacyi rolnéj?

2) Czy należy wprowadzić odpowiednie zmiany w prawodawstwie, mające na celu zrównanie rolnictwa z handlem i przemysłem pod względem korzystania z usług kredytu wekslowego?

Czy zkądinąd rozszerzenie kredytu nie przyniesie szkody rolnictwu.

3) Gdyby rozszerzenie kredytu okazało się niezbędném, co potrzeba zrobić i jakie modyfikacye zaprowadzić w prawodawstwie obecném?

A mianowicie, czy nie należy zmienić artykułu 2076 kodeksu cywilnego, pozwalając rolnikowi, zarówno właścicielowi jak dzierżawcy, zaciągać pożyczkę, z zachowaniem prawa własności, pod zastaw zboża, bądź na pniu, bądź już zebranego, pod zastaw drzewa już ściętego lub na wyrób przeznaczonego, pod zastaw narzędzi rolniczych i inwentarza żywego?

Na jakich warunkach mają się zawierać pożyczki? Czy należało-by dla skonstatowania zastawu żądać od pożyczającego piśmiennego poświadczenia i takowe urzędownie ujawniać.

4) Według jakiéj procedury, cywilnéj czy handlowéj, przystępować do zrealizowania należności?

---

(1) Jakkolwiek nie jedno z zadanych pytań odnosi się jedynie do warunków miejscowych, nie obawiam się znużyć czytelnika, przytaczając ten kwestyonaryusz w dosłownem jego brzmieniu, gdyż całość przedstawia szemat dogodny dla każdego społeczeństwa rolniczego.

5) Czy należy zrównać wszelkie zobowiązanie rolnika z zobowiązaniami handlującego, czy tylko wówczas, gdy przybiera formę sola-wekslu?

6) Czy leży w interesie kredytu dzierżawców, ażeby artykuł 2102 kodeksu cywilnego, dotyczący prawa właściciela do własności ruchoméj dzierżawcy, został zredukowany do wartości przedstawiającéj sumę rat za 2 lata, za rok bieżący i rok następny?

7) Członkowie towarzystwa mieszkający za granicą i korespondenci zagraniczni są proszeni o zdanie sprawy ze stanu rolnictwa w kraju, w którym stale przebywają, a mianowicie: Czy ma ono kredyt dostateczny; na jakich warunkach może zaciągać pożyczki? Jakie są prawa, omawiające rzeczony kredyt, i czy stanowią one część prawa zwyczajnego, czy téż kredyt krótkoterminowy rolny ma swoje odrębne paragrafy?

Czy egzystuje dostateczna ilość banków zadosyć czyniących potrzebom rolnictwa?

Jaka jest stopa procentowa pożyczek?

Czy pożyczki zaciągają się w bankach specyalnie obsługujących własność ziemską?

Odpowiedzi na siódme pytanie służą jedynie za materyał dla wyjaśnienia pierwszych 6-iu pytań, komisya więc w swym raporcie pomieszcza tylko suche dane o stosunkach kredytowych rolnictwa za granicą. Nie mniéj jednak samo zgrupowanie czterech systematów gospodarstwa rolnego jest dość wymowném. Streszczam je tém chętniéj, że w poniżéj podanych ostatecznych wnioskach komisyi, odnajdziemy niejednokrotnie echa instytucyj zagranicznych.

Z pośród gospodarstw europejskich, w Anglii i Szkocyi znajdują rolnicy kredyt najłatwiejszy. Odpowiednia organizacya banku narodowego, z jego licznemi filjami wpośród okręgów przeważnie rolniczych, ułatwia kredyt rolnikom, upodobniając ich niejako z innymi przemysłowcami. Bank otwiera rolnikom rachunki na tych samych warunkach co handlującym. Banki szkockie, z któremi publiczność jeszcze lepiéj jest oswojoną aniżeli w Anglii, oddają względnie większe jeszcze usługi, a mają one 844 filij. Publiczność szkocka do tego stopnia zżyła się z operacyami tych banków, wzorowo administrowanych, że zarówno rolnicy jak kupcy i przemysłowcy załatwiają swoje rachunki za pomocą przekazów. Systemat czeków wszedł w tak ogólne użycie, że banki szkockie bywają reprezentowane przez uwierzytelnionych agentów na jarmarkach, a nawet na znaczniejszych targach; kupno-sprzedaż załatwia się za pośrednictwem tych agentów, sposobem przekazu z rachunku kupującego na rachunek

sprzedawcy. Ale należy zauważyć, że jeżeli w Anglii i Szkocyi rolnicy używają kredytu na równi z handlującymi, to dla tego, że podlegają tym samym prawom egzekucyi w razie nieuiszczenia się na termin i na równi z innemi przemysłowcami mogą być ogłoszeni za bankrutów. Jest to najlepszym dowodem, że zrównanie zobowiązań rolnika z zobowiązaniami handlującego podnosi kredyt pierwszego.

Rumunia rozwiązała w części trudne zadanie kredytu krótkoterminowego dla rolników przez utworzenie kas kredytowych ziemskich. Mają one na celu dostarczaniem kredytu wspomagać rolnictwo i przemysł pozostający z rolnictwem w związku. Kapitał zakładowy kas kredytowych nie może być mniejszym nad 150.000 franków, w niektórych dochodzi do 300.000. Inicyatywa otwierania kas kredytowych powinna wychodzić od ziemian, a to przez wpłacenie $^1/_3$ przyszłego kapitału zakładowego, rząd dostarczając pozostałą część, bierze pod uwagę sumę wpłaconą przez interesowanych i w stosunku do niéj wnosi swoją wkładkę, w ten więc sposób wysokość kapitału zakładowego oznacza interesowany okrąg. Według statutów kas, stanowiących osobny paragraf prawa, część rządowa może być spłacona każdéj chwili, a wówczas kasy tracą swój półurzędowy charakter i zamienią się na towarzystwo wzajemnego kredytu. Wspólność ustawy dając identyczny charakter tym instytucyom utrwalić tylko może powagę poszczególych kas. Cyfra interesów kas kredytowych ziemskich staje się probierzem stanu ekonomicznego każdéj miejscowości.

Administracya kasy jest powierzaną dyrektorowi, wybranemu przez zgromadzenie ogólne stowarzyszonych. Rachunki roczne są sprawdzane przez 3 kontrolerów, z których dwóch wybierają stowarzyszeni a trzeci mianowany jest przez rząd.

Kasa kredytu ziemskiego pożycza na zastaw inwentarza żywego i martwego, dyskontuje weksle, daje pożyczki na papiery publiczne i przyjmuje wkłady na rachunek bieżący.

Przedstawiony do dyskonta weksel musi mieć dwa podpisy osób akredytowanych w kasie. Stopa dyskonta nie może przenosić 7% a termin nie może przenosić dziewięciu miesięcy. Wszelkie tranzakcye zawierane z kasą są uważane za czyn handlowy i są sądzone według kodeksu handlowego.

Pożyczki na zastaw ruchomości, pozostawionych w ręku pożyczającego, rozciągają się na zbiory, inwentarz, narzędzia rolnicze, jako też na wszystkie przedmioty większe, których transport byłby utrudniony. Przywiléj wierzyciela do przedmiotu, na zastaw którego

została udzielona pożyczka, wówczas jest ważny wobec prawa, jeżeli został urzędownie zarejestrowany.

W razie nie uiszczenia się na termin, zastaw może być wystawiony na publiczną licytacyą bez poprzedniego wyroku sądowego i według procedury, zachowywanéj przy zaległościach podatkowych. Dłużnik jest odpowiedzialny na cały czas długu za całość zastawu, a za zatracenie bądź uszkodzenia takowego może być pociągnięty do odpowiedzialności karnéj. Dług kasy idzie zaraz po kosztach sądowych, kosztach pogrzebu i wydatkach porobionych w celu zachowania zastawu.

Kasy kredytowe ziemskie funkcyonują od lat czterech. Korespondent rumuński towarzystwa rolniczego francuzkiego wyraża się o tych kasach, że jakkolwiek nie mają one więcéj nad 4 lata egzystencyi, już dziś oddają krajowi rzeczywiste usługi. Nie tylko średnia i większa własność ziemska ale i włościanie przyuczają się do operacyj pożyczkowych. Ma on nadzieję, że niezadługo każde miasto powiatowe będzie miało swoję kasę kredytową ziemską.

Konieczność reformy kredytu rolnego była uznana i w Belgii; prawem z dnia 15 kwietnia 1884 roku parlament belgijski nadał mu następującą ustawę:

Kasa państwowa oszczędności zostaje upoważnioną do użytkowania części swego kapitału rezerwowego na pożyczki rolnikom. Pożyczki te mają być ubezpieczone na własności ruchoméj pożyczającego.

Akt pożyczki winien być zarejestrowany i z chwilą uiszczenia długu wymazany z rejestru.

W razie niewypłacalności dzierżawcy, właściciel gruntu ma pierwszeństwo przed innemi wierzycielami. Prawo reguluje jego pretensye do 3-ch lat zaległych, do roku bieżącego, jak i do straconych korzyści, które mu sąd przyzna w razie, gdyby kontrakt był ważnym na czas dłuższy.

Dla zrealizowania swéj należności wierzyciel ma prawo używać tych samych środków jakie prawo zabezpiecza właścicielom wydzierżawionego gruntu.

Osobne prawo redukuje o wiele cenę zarejestrowania długu, zaciągniętego przez rolnika na wyżéj wzmiankowanych warunkach.

Oto jest w głównych rysach nowe prawo belgijskie. Dopiero przyszłość wykaże, czy ono wystarcza do zadosyćuczynienia wymaganiom rolnictwa. Ale wskazuje ono, że rząd belgijski nie lęka się ułatwienia kredytu rolnikom i że w Belgii projekt zwiększenia tego kredytu przestał wywoływać obawy o nadużycia tego najważniejszego elementu dzisiejszych stosunków ekonomicznych. Przywileje, dane

wierzycielowi w Belgii, nie stawią go na tym stanowisku co prawa rumuńskie; ale jeżeli pomiędzy jasno określoném prawem wierzyciela do przedmiotu, na zastaw którego została udzielona pożyczka, jak to ma miejsce w Rumunii, a odpowiedzialnością całym swoim majątkiem ruchomym za zaciągniętą pożyczkę, jak to ma miejsce w Belgii, jest jeszcze różnica to ta różnica, jest tylko formalna, gdyż treść pozostaje ta sama.

Tak tu jak tam występuje myśl zastąpienia kredytu osobistego kredytem rzeczowym.

W północnych Włoszech, w przeciągu ostatnich lat dwudziestu, potworzyły się banki wzajemnego kredytu na wzór banków niemieckich Schultze-Delitsch'a. Promotorem tego ruchu był znany ekonomista, deputowany Luzzati. Banki te są towarzystwami opartemi na wzajemności, kapitał ich zakładowy powstaje z wkładów stowarzyszonych. Klientelę ich stanowią wyłącznie właśni akcyonaryusze, wzajemnie solidarni. Banki dyskontują z równą łatwością weksle wystawione przez rolników jak i weksle kupieckie; ale tu należy zauważyć, że prawo włoskie wszystkie weksle uważa za weksle handlowe. Banki wzajemnego kredytu rozwijają się nader pomyślnie, już dziś odnajdujemy je we wszystkich znaczniejszych ogniskach przemysłu rolnego w Lombardyi. Banki te dyskontują na 6, 7 do 8 procent, a płacą od depozytów od 3 do 5%; ponieważ koszta administracyi są minimalne, różnica pomiędzy stopą dyskonta, na którą bank pożycza, a tą, na jaką sam przyjmuje wkłady, stanowi sama przez się dochód dostateczny dla egzystencyi banków. Statystyka wykazuje, że banki wzajemnego kredytu nie mogą się uskarżać na klientelę ziemiańską nietylko co do wypłacalności, ale i ze względną na akuratność w wypłacie.

Biorąc przykład z banków włoskich, Leon Say w swéj broszurze „Dix jours dans la Haute Italie" twierdzi, że kredyt krótkoterminowy rolny jest wówczas tylko prawidłowy, jeżeli klientela banku obsługującego rzeczony kredyt nie jest złożoną wyłącznie z rolników. Bank lub towarzystwo, któreby przyjęło do swego programu operacye kredytowe z rolnikami, winno poświęcić na ten cel pewną tylko część rozporządzalnego kapitału. Weksle rolników są długoterminowe i w większéj części wypadków odnawiane, to jest płacone w terminie nowym wekslem w zamian za stary. Mają więc one dla banków charakter lokacyi kapitału, bez możności redyskontowania ich w ogólnym rezerwoarze gotówki, którym we Francyi jest bank francuzki a we Włoszech—Włoski; nie przedstawiają zatém one dla banków charakteru lokacyi i gotówki zarazem, jaki mają weksle handlowe.

Dla tego autor życzy sobie widzieć w prawidłowo prowadzonym portefeuillu towarzystw kredytowych obok weksli rolników odpowiednią liczbę weksli handlowych.

Wspomniany powyżéj ekonomista włoski Luzzati, patronuje również połączenie w jednych i tych samych instytucyach operacyj kredytowych ziemskich z dyskontem handlowém. Ponieważ prawo włoskie zabrania towarzystwom kredytowym ziemskim zajmować się, na wzór Crédit Foncier francuskiego, innemi operacyami, oprócz pożyczek hypotecznych, Luzzati sformułował nowy projekt do prawa, mający na celu reformę tych towarzystw. Chce on połączyć operacye handlowe z kredytowemi ziemskiemi. Według autora projektu prawodawca z 1869 roku (data utworzenia towarzystw kredytowych włoskich) nie zwrócił uwagi na to, że nagromadzona gotówka w kasach tych towarzystw jest bezczynną i że kraj traci procent od kapitałów tam złożonych. Tylko przez połączenie operacyj handlowych z dzisiejszym programatem towarzystw kredytowych ziemskich, potrafią one zadosyć uczynić wymaganiom ekonomii.

W myśl tych uwag, deponowany w miesiącu marcu r. b. projekt reformy towarzystw kredytowych, — oprócz pewnych zmian, które mają na celu uproszczenie pożyczek długoterminowych hypotecznych, a które pomimo całéj swéj żywotności zaprowadziły-by nas za daleko od głównego przedmiotu,—traktuje także sprawę kredytu krótko-terminowego, zastosowanego do potrzeb rolnictwa. W tém prawie, które niezadługo ma być dyskutowane w izbie włoskiéj, znajdziemy nie jedną cechę wspólną z nowo-wprowadzoném prawem belgijskiém.

Wyjmując z całości projektu paragraf, traktujący o kwestyi nas obchodzącéj podaję go w dosłowném tłómaczeniu:

„Za gwarancyą pożyczek krótkoterminowych, udzielonych właścicielom ziemskim przez towarzystwa kredytowe ziemskie, może służyć własność ruchoma pożyczającego, pod postacią produktów i owoców już zebranych, albo mających być zebranemi w ciągu roku, pod postacią inwentarza martwego, znajdującego się w zabudowaniach gospodarskich, pod postacią maszyn i narzędzi rolniczych, pod postacią wreszcie inwentarza żywego".

„Ażeby prawo wierzyciela do przedmiotu, na zastaw którego była udzielona pożyczka, miało cechę prawną,

a) pożyczka winna być skonstatowana aktem,

b) akt ten winien być zarejestrowany".

„Pożyczający może być odpowiedzialny całym swym inwentarzem żywym i martwym, ale pożyczka może być także gwaranto-

wana jednym lub wieloma w akcie pożyczki poszczególnie wymienionemi przedmiotami".

Nie chcę przesądzać z góry rezultatów, jakie wydać może prawo jeszcze nieustanowione, ale muszę wskazać, że Włochy równie jak Anglia, Rumunia i Belgia są zdecydowane porobić możliwe reformy w prawodawstwie obecnem, któreby zachęciły kapitalistów do zwrócenia się ku najważniejszemu z przemysłów — przemysłowi rolnemu.

We Francyi wspomniany powyżéj artykuł 2076 kodeksu cywilnego wymaga, aby przy pożyczkach na zastaw — rzecz stanowiąca przedmiot zastawu pozostała w ręku wierzyciela, aż do chwili uregulowania długu. Ten warunek nie pozwala dzierżawcy ani małemu właścicielowi zaciągać pożyczek innych, prócz opartych na jego kredycie osobistym, i zmusza własność ziemską do zapisywania na hipotekę, wszystkich długów, dla których gwarancya osobista nie byłaby dostateczną.

Towarzystwo rolnicze krajowe szacuje wartość inwentarza żywego i martwego we Francyi w przybliżeniu na 12 miliardów fr., dodając do téj cyfry kapitał reprezentowany przez zboże na pniu, owoce nie zebrane i las przeznaczony na wyrąb, szacowane znowu na 3 miliardy, otrzymujemy sumę olbrzymią 15-u miliardów fr. kapitału w rolnictwie tkwiącego, którą art. 2076 kodeksu pozbawia możności korzystania z kredytu.

W handlu i przemyśle towary, narzędzia i instalacya stanowią gwarancyą kredytu; dla własności nieruchoméj—tylko ziemia i budowle. W przemyśle rolnym rolnik, zarówno dzierżawca jak właściciel, nie może wskazać żadnéj gwarancyi prawnéj dla kredytu rzeczowego, prócz ziemi i budowli, chociaż inwentarz żywy i martwy stanowi znaczną część jego majątku Kładę nacisk na wyraz rzeczowy, mówiąc o warunkach tego kredytu, którego w żadnym razie nie należy identyfikować z kredytem osobistym. Artykuł 2076, nie uznając własności ruchowéj rolnika za gwarancyą długu, niweczy tém jego kredyt rzeczowy. A jednakże na 92 członków-korespondentów, do których udało się towarzystwo, prosząc ich o zdanie, znalazło się 25, którzy oświadczyli się przeciwko zmianie dzisiejszych stosunków. Ogólnie powtarzający się motyw uznania za dobry stanu dzisiejszego stosunków kredytowych rolnych, polega na obawie, że zwiększona łatwość w otrzymaniu kredytu może doprowadzić rolnictwo do ruiny. Raport komisyi odpowiada na to: „Czy dla tego, że znalazło się kilku nierozważnych, którzy nadużyli dobrodziejstw kredytu hypotecznego, ktokolwiek zażądać może zniesienia ustawy hypoteczněj? Należy przypuścić, że większość rolników, pożyczających na

zastaw własności ruchoméj, zrobi to w celu zwiększenia swego kapitału obrotowego, dla kupna maszyn lub wprowadzenia ulepszeń, od których zależy przyszłość rolnictwa".

Nie ulega wątpliwości, że jakakolwiek była by wartość osobista rolnika pożyczającego, przez zastosowanie kredytu rzeczowego do warunków eksploatacyi znacznie się zwiększy kredyt gospodarza rolnego. Nie chcąc przesadzać wpływu jaki wywrzeć może proponowana reforma, z góry już można przewidziéć, że pozwoli ona rolnikowi zwracającemu się do banków, lub do prywatnego kapitalisty, otrzymać pieniądz na wygodniejszych jak dotąd warunkach.

Jeżeli proponowane reformy nie stworzą prawidłowego kredytu rolnego, to w każdym razie ulepszą istniejący dzisiaj. Kredyt rolny będzie zawsze więcéj zależał od wpływów ekonomicznych i klimatycznych, aniżeli od rozporządzeń prawnych; nie mniéj jednakże, nadając pożyczkom rolnym formę wekslu, poddając spory o nich sądom handlowym, których procedura jest szybsza i zastosowana do natury wekslu, a przedewszystkiém otwierając bądź jeden bank centralny z filiami, bądź szereg banków miejscowych, specyalnie dyskontujących weksle rolników, krok naprzód będzie zrobiony.

Dla tych przyczyn, a biorąc wzór z przykładów zagranicznych, komisya dała następującą odpowiedź na wyżéj wzmiankowane pytania, postawione przez towarzystwo rolnicze:

1) Ponieważ w większéj części kraju kredyt udzielony rolnictwu, nie jest wystarczający dla należytéj eksploatacyi gruntu, przeto rząd jest proszony o przedsięwzięcie odpowiednich środków w celu powiększenia tego kredytu.

2) W tym celu należy ustanowić nowe prawo, któreby usunęło z prawodawstwa obecnego dyspozycye, tamujące rozwój kredytu rzeczowego, zastosowanego do rolnictwa.

3) A więc należy zmienić artykuł 2076, pozwalając rolnikom zaciągać pożyczki na zastaw inwentarza żywego i martwego, z prawem używania go i nie tracąc prawa do własności przedmiotu.

4) Ograniczyć to uwzględnienie do przemysłu rolnego jedynie.

5) W razie niemożności uprawnienia tego „zastawu zostającego na gruncie" (gage à domicile), zagwarantować pożyczkę całym ruchomym mieniem pożyczającego, jak to się dzieje w Belgii.

6) Ażeby nadać pożyczce charakter prawny, winna być ona zarejestrowana w odpowiednio urządzonéj księdze.

7) W poszukiwaniu na niewypłacalnym dzierżawcy, pierwszeństwo do jego aktywów ma właściciel wydzierżawionego gruntu; ale gdy oprócz jego należności są jeszcze długi, gwarantowane własnością ruchomą dzierżawcy na wyżéj wskazanych warunkach, pra-

wa jego zredukują się do rat zaległych, do roku bieżącego i do roku przyszłego.

8) Takie ograniczenie praw właściciela wówczas tylko jest ważne, gdy własność dzierżawcy obciążają gwarantowane przez nią pożyczki.

9) W razie nie uiszczenia się na termin rolnika, przedmiot, który służył za gwarancyą, może być bez wyroku sądowego sprzedany na licytacyi w 30 dni po upływie terminu.

10) Zobowiązania rolnika, zaciągnięte pod postacią sola-wekslu winny ulegać procedurze kodeksu handlowego, wszakże bez zastosowania prawa o upadłościach.

Józef Winnicki.

Dr. WŁADYSŁAW NIEGOLEWSKI.

Poznań 1 maja 1885 r.

Dnia 19 marca 1885 r. umarł w Poznaniu dr. Władysław Niegolewski.

Zbyt świeżą jeszcze jego mogiła, zbyt świeżymi jeszcze namiętności ludzi, którzy wśród ostatnich dni jego życia ostro przeciw niemu występowali, zbyt niezatarty jeszcze żal wiernych przyjaciół i zwolenników, aby można o nim ostatnie, sumienne, beznamiętne, wypowiedziéć słowo, aby nakreślić rys i sprawiedliwą ocenę jego życia takim, jakim go historya przyszłym społeczeństwa pokoleniom przekazać powinna. Bo jeżeli kto, to Władysław Niegolewski, którego całe życie było pracy dla kraju poświęconém, który chciał stanąć i umiał stać na świeczniku, który społeczeństwu swojemu przez długie lata był sztandarem, około którego się kupiono, zapewne pracą swą, miłością rodzinnéj ziemi, wybitnymi czyny na to zasłużył, aby jego imię w dziejach nie zostało zapomniane.

A jeżeli w obec tak świeżéj straty występujemy z pośmiertném o nim wspomnieniem, jeżeli dziś pomimo że sami stojąc wśród walki jaka się pod koniec jego dni toczyła, może niezupełnie bezstronnie działanie ścierających się opinij ocenimy, nie mniéj jednakże nie wstrzymujemy się od nakreślenia tych słów, to tego powodem, że właśnie takie życie, jakiém było życie Niegolewskiego, życie pełne czynu i walki, może służyć społeczeństwu za drogoskaz i przestrogę, którędy iść, co działać, czego zaniechać należy.

Urodzony pod koniec 1819 roku jako syn oficera byłych wojsk polskich, żołnierza z pod Somo-Sierry, ozdobionego osobiście przez Napoleona krzyżem legii honorowéj, wstąpił Niegolewski jeszcze przed r. 1830 do gimnazyum Maryi Magdaleny, po opuszczeniu którego ukończył nauki szkolne w ewangelickiém gimnazyum w Pozna-

niu. Studya uniwersyteckie odbywał przeważnie w Bonn, gdzie ze szczególném zamiłowaniem studyował prawo publiczne, które wtedy wykładał słynny profesor Dahlmann. Wrodzone skłonności do publicznego życia i parlamentarnego zawodu miał tam zmarły sposobność wykształcić do należytéj siły pod kierunkiem znakomitego prawnika, szczerze też pracował w nauce a uzyskawszy pierwszą nagrodę za rozprawę konkursową z dziedziny prawa publicznego, otrzymał w r. 1845 od uniwersytetu w Bonn stopień doktora obojga prawa *cum venia legendi*, t. j. z uprawnieniem do rozpoczęcia wykładów uniwersyteckich bez napisania specyalnéj rozprawy habilitacyjnéj. Na skutek tego ofiarował mu też podówczas uniwersytet Zurychski katedrę profesorską; ale Niegolewski nie chciał się ekspatriować, chciał powrócić do kraju i dlań pracować, nie przyjął też ofiarowanéj sobie, tak zresztą nęcącéj młodego człowieka i zaszczytnéj, profesury, a powróciwszy do kraju, niebawem pokazał, że nie tylko powraca ożywiony najlepszemi chęciami—na tych brak pono się nigdy w naszém społeczeństwie nie możemy skarżyć, ale bogaty w naukę i silną wolę, na których oparty umiał to przeprowadzać, co chciał, by z dziedziny myśli przeszło w dziedzinę czynu, a czemu zewnętrzne, od społeczeństwa naszego niezależne, czynniki nie stały na przeszkodzie.

Naukowa jego działalność, przynajmniéj co się tyczy pisania rozpraw i dzieł—skończyła się z opuszczeniem sal uniwersyteckich, bo polityczne i społeczne prace nie pozostawiały dość wolnego czasu, na oddawanie się literaturze naukowéj. Nie mniéj jednakże tak w mowach sejmowych jak w przemówieniach na wiecach stawiał on często z dziedziny prawa publicznego zasady i wyciągał wnioski, które przedewszystkiém społeczeństwo wielkopolskie w swym stosunku prawno-politycznym do rządu pruskiego za istotne zdobycze naukowe może uważać. On bowiem najszczegółowiéj i najsumienniéj zajął się przestudyowaniem wszelkich orędzi królewskich, traktatów, przemówień, rozporządzeń rządowych dotyczących ziem polskich w skład królestwa pruskiego wchodzących, a praca ta jego służyła i może służyć istotnie za systematyczne opracowanie prawnego stosunku rządu pruskiego do ziem dawniéj polskich.

To też dokładna znajomość wszelkich przepisów prawa państwowego i międzynarodowego o stosunku Polaków, podległych pruskiemu berłu, do tegoż rządu dozwoliła następnie tak wybitną i zaszczytną odegrać rolę na arenie *politycznéj*, gdzie on największe położył zasługi, gdzie sławę zyskał największą. Do służby parlamentarnéj wstępował Niegolewski trzykrotnie. Nasamprzód, wkrótce po opuszczeniu ław uniwersyteckich, w epoce r. 1848 i następnych,

gdzie jego wystąpienia tak w parlamencie frankfurckim jak sejmie berlińskim ogólną na siebie zwróciły uwagę, szerokie nawet pomiędzy przeciwnikami znalazły uznanie. Każdy jego występ był opartym na głębokiéj znajomości przedmiotu, o którym mówił, był nacechowany gorącą miłością sprawy, dla któréj działał; każda mowa ujęta w piękną formę, wypowiedziana z właściwym zmarłemu retoryczném zacięciem, nie przemijała też żadna bez głębszego wrażenia. Toć z owych czasów jeszcze pochodzi ów przez rozmarzonych i idealnych wówczas Niemców przyznany zmarłemu tytuł „advocatus patriae“, zaiste tytuł zaszczytny dla 29-letniego, świeżo dopiero w szranki walk parlamentarnych wstępującego człowieka. Ale zyskane uznanie i imię nie zadowolniły go jeszcze, lecz raczéj były dalszym tylko bodźcem do usilnéj pracy. To też zaledwie powrócił z Frankfurtu, wystąpił w r. 1849 po raz pierwszy jako obrońca sądowy w sprawie oskarżonego o zdradę stanu adwokata Krauthofera, któremu rząd pruski wytoczył proces polityczny o zbrojne wystąpienie pod Mosiną i Kórnikiem w czasie rozruchów 1848 r. Ogłoszona w r. 1849 przez rząd pruski amnestya nie obejmowała bowiem urzędników, a ponieważ po każdym zatargu starają się o znalezienie ofiarnego kozła, aby ten za wszystkich i wszystko odpokutował, więc też prokuratorya z całą skwapliwością i namiętnością przygotowywała akt oskarżenia przeciw Krauthoferowi. Oskarżony bronił się osobiście, ale do pomocy zawezwał Niegolewskiego, który w świetném przemówieniu przesadę aktu oskarżenia wykazał, i wyrok uniewinniający dla swego uzyskał klienta.

W tym samym jeszcze roku 1849 udał się jako poseł do Berlina, i należał do założycieli koła sejmowego polskiego, do dziś się utrzymującego. Koło postanowiło nie brać żadnego udziału w dyskusyach wewnętrznych stosunków niemieckich, lecz tylko w sprawach wprost Poznańskiego i Prus Królewskich dotyczących. Niestety abstynencya ta posuwała się nie raz zbyt daleko ze szkodą nawet interesów naszego społeczeństwa, ale nie o tém tu miejsce mówić; zresztą zasadę samę w gruncie za słuszną, podanie jéj myśli za jednę z zasług zmarłego uważać należy.

Położywszy podwaliny naszéj organizacyi sejmowéj, wycofał się Niegolewski na lat kilka z parlamentarnego życia, odbywał praktykę sądową, następnie osiadł na wsi, r. 1855 ożenił się z Wandą hr. Kwilecką, a w rok późniéj zamieszkał w Poznaniu, otworzył prywatne biuro dla obrony praw narodowych na drodze legalnéj, spisywał różne petycye do sejmu i przygotowywał dla koła polskiego potrzebne do akcyi parlamentarnéj materyały. Mieszkając w Poznaniu, odczuł on brak odpowiedniéj instytucyi dla skupienia ludzi

nauki, odczuł brak takiéj skarbnicy, gdzieby można składać i przechowywać drogie sercu pamiątki i za jego współstaraniem założone zostało w r. 1857 poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które dziś już stało się poważną instytucyą, mającą własny gmach i muzeum, tak samo dziś bogate w rzeczy sztuki, jak w rodzime pamiątki. Wraz z Niegolewskim przyczynili się przeważnie do założenia tego Towarzystwa zmarły już przed 24 laty Tytus hr. Działyński, przedostatni z tego tak sympatycznego rodu, oraz mieszkający po dziś dzień w Poznaniu dr. Kazimierz Szulc. Za staraniem Niegolewskiego otrzymało to Towarzystwo pierwszy zawiązek swego majątku, on to bowiem nakłonił kilku obywateli do przekazania na rzecz Towarzystwa kilku akcyj „Bazarowych“ jednéj z naszych najstarszych, a doskonale prowadzonych spółek akcyjnych.

W r. 1859 wstępuje zmarły na nowo do sejmu i rozpoczyna tu swe najświetniejsze działanie. Któżby nie znał choć z nazwiska sprawy Baerensprunga? „Nie mogąc się nad nią rozszerzać, wspomnimy tylko, że Niegolewski, zrozumiawszy, jakiemi ona grozi klęskami, nie szczędził ni zabiegów, ni pracy, ni grosza własnego, nazbierał potrzebnych dowodów i zdemaskował przed światem całą machinacyą w słynnéj interpelacyi. Gdy téż powrócił z Berlina do kraju, zebrane w Żerkowie obywatelstwo w dowód uznania srebrny mu wieniec złożyło. Wieniec ten, niesiony na pogrzebie przed trumną, był wymownym protestem nie przeciwko krytyce, na którą ostatnie zmarłego działanie nie wątpliwie zasłużyło, lecz przeciwko formie i sposobom, w jakich tę krytykę niejednokrotnie prowadzono.

Po interpelacyi Baerensprungowskiéj przyszła koléj w r. 1861 na tak zwany „Walny wniosek“, który — opierając się na opracowanym i złożonym parlamentowi frankfurckiemu przez Niegolewskiego memoryale, na mocy którego zmarły nader dla nas, choć teoretycznie tylko, korzystną rezolucyą sejmową uzyskał,—żądał wprowadzenia w życie zagwarantowanych praw i instytucyj. Że wniosek ten nie otrzymał rządowéj sankcyi chyba nie potrzeba wspominać; toć od wieków dobrze nam są znane intencye margrabiów i kurfirstów brandenburskich. Postawienie tego wniosku i znakomita jego obrona w sejmie jest również zasługą Niegolewskiego. W skutek wypadków, które późniéj zaszły, Niegolewski znalazł się, podobnie jak w r. 1846 i 1848, w stanie przymusowéj bezwłasnowolności. Skoro to minęło, a lekarze pokrzepili nadwątlone przez okoliczności jego siły, wstąpił Niegolewski w r. 1867 do nowopowstającego parlamentu związku północno-niemieckiego i wniósł protest przeciw wcieleniu do niego prowincyj oderwanych od rzeczypospolitéj w końcu zeszłego stulecia. Nie zrażony bezskutecznością tego kroku, ponowił go w r. 1871 przy organizacyi nowego cesarstwa niemieckiego.

Nastała epoka walki „kulturowéj“. Niegolewski, syn t. zw. liberalnéj ery, występował dawniéj niejednokrotnie przeciw dążeniom partyi ultramontańskiéj w księstwie, mianowicie gdy partya ta po roku 1866,—czego nikt nie może zaprzeczyć, choćby nawet jéj przyznawał pewne i poważne zasługi, jako to baczniejsze zwrócenie uwagi na naukowe i moralne wychowanie młodzieży, krzewienie oszczędności, karności — poczęła niezupełnie zgodnie z dążeniami społeczeństwa postępować, gdy zaczęła, łudzona przez Berlin, interesa społeczeństwa swym partyjnym podporządkowywać interesom; ale gdy przyszło ministeryum Falka, gdy na pobudkę „auf! auf! gegen Rom“ poczęto zakazywać obrządków, gdy chciano znaleść ludzi, którzy-by za pieniądze nadużyli swego charakteru duchownego i pasterstwo swoje za żołd otrzymany na służbę germanizacyi oddali, gdy równocześnie zaczepiono nasz język, a duchowieństwo pomimo ciężkich warunków, pomimo zabrania mu dochodów, pomimo więzienia, nie tylko nie dało się użyć za narzędzie Niemcom, ale stanowczo wystąpiło w obronie naszego języka w kościele; Niegolewski wraz z innymi posłami uważał sprawę kościoła za sprawę społeczeństwa, i przeciw t. zw. majowemu prawodawstwu najsilniejszą akcyą rozwinął. W epoce téj, będąc prezesem koła polskiego w parlamencie, występował nader często, walczył o każdy paragraf ustaw, bronił wolności ambony, wychowania duchownych, zakonów, bronił szkół i nadzoru nad nimi, obywateli Poznania pokrzywdzonych przez rejon forteczny, ścierał się z koryfeuszami i inicyatorami walki „kulturowéj“, a z tych parlamentarnych zapasów wychodził tylko liczbą głosów „nationalliberalnych“, nie ich argumentami pobity.

W roku 1876 stawia wspólnie z Władysławem Taczanowskim w parlamencie niemieckim walny wniosek, mniéj więcéj taki sam, jaki 15 lat pierwéj w izbie pruskiéj postawił. W roku 1877 stara się przeszkodzić zakusom Anglików, którzy dla zrobienia dywersyi w ostatniéj wojnie wschodniéj nosili się z zamiarem urządzenia jakich „legionów“ w Konstantynopolu, i dla skrzyżowania tych planów liczne i dalekie podejmuje podróże.

Roku 1878 składa kongresowi berlińskiemu, wraz z hr. Platerem i J. Dobrzańskim znany memoryał; w 1880 świéżo po uchwaleniu niemieckich ceł na zboże, domaga się, aby zgodnie z przepisami wiedeńskiego traktatu, zboże pochodzące z królestwa polskiego i prowincyi południowo- i północno-zachodnich wolném było od cła.

Oto krótki rys działania Niegolewskiego. Jak ono było szczytném, jak wiele w niém tkwiło i pracy i miłości i poświęcenia, już każdy się przekonał. Szkoda, że na niém nie przestał, szkoda że nie ustąpił naówczas dobrowolnie z publicznéj widowni i w ciszy domo-

wego życia, kochany i szanowany od społeczeństwa, nie spoczął. Gdyby był to uczynił, nigdy by i jeden głos nie był się podniósł przeciwko niemu, ostatnie jego chwile nie byłyby zatrute zgryzotą, a przy jego trumnie byłby kraj cały, szczerém uznaniem i żalem przejęty, gorzkie łzy żałoby przelewał. Na nieszczęście społeczeństwa i na nieszczęście zmarłego stało się jednak inaczéj: on nie umiał się cofnąć w odpowiedniéj chwili.

Bolesna to w obec nieporosłéj jeszcze mogiły o ostatnich latach zmarłego wspominać, ale im wyżéj kto stanął, tém wyższą ma odpowiedzialność za wszelkie swe czyny, a skoro zamiarem naszym nie jest napisanie panegiryku lub mowy pochwalnéj na cześć zmarłego, skoro chcemy go takim przedstawić, jakim go historya ma przyszłym opisać pokoleniom, to, choć z bólem, musimy pokrótce i o jego działalności z ostatnich lat pomówić. Urwanie tego opisu na roku 1880 byłoby niesprawiedliwém w obec zmarłego, bo byłoby pochlebstwem, a on, pomimo swych win z ostatnich lat, jednak był wyższym po nad tych, co potrzebują pochlebstwa; byłoby daléj niesprawiedliwém w obec całéj liczby żyjących i uczciwie dla kraju pracujących ludzi, którzy w ostatnich czasach stanowczo przeciw niemu wystąpili.

Niegolewski umiał prowadzić, ale nie umiał słuchać, nie umiał cudzego uszanować zdania. Pomimo całéj nauki i wytrawności politycznéj, pomimo gorącego przywiązania do kraju, dla którego ni krwi, ni mienia, ni pracy nie szczędził, przebijała się w nim anarchiczna natura, nie umiał on panować nad sobą, nałożyć hamulca swym namiętnościom, swym osobistym niechęciom. I w jednym i w drugim, tak fatalnym dla zmarłego kierunku, stanął do jego dyspozycyi „Goniec Wielkopolski“ i oddał mu przez to istotnie niedźwiedzią przysługę. A jakkolwiek pisma tego zupełnie bezwzględnie nie można potępić, bo ono się w znacznéj mierze przyczyniło do rozbudzenia świadomości narodowéj wśród niższych warstw ludności, to jednakże popełniło ono liczne grzechy w obec społeczeństwa, a najcięższy w obec zmarłego. Ono to podniecało pychę i ambicyą Niegolewskiego, ono w brzydki sposób szarpało niemiłe redaktorom osobistości, a przez to ostudzało szacunek dla zmarłego, zwiększało liczbę jego nieprzyjaciół, ono też stąd powodem, że Niegolewski w r. 1881 pomimo, a może właśnie dla swych gwałtownych występów na zebraniach przedwyborczych w Wągrówcu i Krobi, przez społeczeństwo już nie został na posła do parlamentu wybrany, gdzie obawiano się jego, w miarę lat i zmniejszającego się powodzenia w mowach, rosnącéj gwałtowności tak w obec obcych, jak swoich. Przed laty były takie występy, tchnące gorącą miłością

przeszłości, a silną wiarą w przyszłość konieczne. Ale obecnie, chwała Bogu, nie na brak samowiedzy cierpimy, ale na brak zasobów materyalnych; stąd też od efektownych występów publicznych, zaszczytnych, nie raz potrzebnych, ale praktycznie bezowocnych, ważniejszą dla nas i konieczniejszą cicha praca w domu, na własnym zagonie. I Niegolewski to odczuł, i on to mówił; niestety, słowa jego nie były w zgodzie z czynami, a przeciwieństwo to zachwiało zupełnie jego stanowiskiem i powagą. Nie zdobył on się na program pozytywny, jak pracować należy, prawda że i nikt inny się jeszcze nań nie zdobył, ale społeczeństwo przyszło już do przekonania, że nie może żyć samą agitacyą, samém przypominaniem swych praw i instytucyj. Dla tego też nie chciało już ono mieć za przewodnika człowieka, co nie umiał się trzymać w swym własnym domu programu organicznéj pracy, usunięto się od niego, a on się z swym programem chciał społeczeństwu narzucić; i oto powód ostatnich, tak zaciemniających jego dawne znaczenie i zasługi, kroków.

W czasie ostatnich wyborów pozwolił, że nadużyto jego nazwiska wśród walki wyborczéj dla obalenia innych kandydatów, a już to było smutném, bo wiedziano, że nie pojedzie do Berlina; gdy zebranie w Poznaniu przyjęło listę posłów, na któréj go nie pomieszczono, jego imieniem złamano u nas zasadę solidarności przy wyborach, téj solidarności, którą on sam zawsze jako najpierwszy obowiązek każdego przedstawiał, jego imieniem wydarto legalnemu, przez centralny nasz komitet wyborczy naznaczonemu posłowi przeszło tysiąc głosów, jego imieniem zdemoralizowano przeszło tysiąc ludzi, zdemoralizowano ich, bo przyuczono do niesłuchania, do zerwania z karnością, tyle konieczną wśród naszych stosunków.

W obec takich faktów, ostra krytyka była słuszną, była nawet konieczną. Z taką wystąpili też u nas przeciwko Niegolewskiemu ludzie, którzy nie mniéj od zmarłego kochają kraj, nie mniéj od niego się nauczyli. Niestety, dołączyła się do téj poważnéj i w wyższym celu prowadzonéj krytyki cała plejada ludzi, bezimiennych korespondentów, co w ogóle niedorośli do tego, by poważną krytykę napisać, a ci właśnie pozwalali sobie w nikczemny sposób niegodnymi epitetami szarpać zmarłego, niepomni ani jego wielkich zasług, jakie miał niewątpliwie, ani stanowiska, jakie zajmował.

Kończąc na tém nasze uwagi, dodajmy, że z głębokim żalem stało społeczeństwo koło trumny zmarłego, z żalem, że go traci, z żalem że tak zaćmił swą sławę, i niejednemu przypomniały się mimowoli słowa dra Witolda Skarzyńskiego, b. posła do parlamenta, w r. z. o zmarłym powiedziane, że smutno patrzéć, jak pod koniec życia marnieją nasze proroki.

Ale przebaczyć trzeba temu wiele, kto wiele umiłował; łagodnym sędzią trzeba być dla tych, co błądzili, lecz w dobréj wierze błądzili. A złéj wiary nikt, nigdy, w niczém Niegolewskiemu nie może zarzucić. Skoro więc Niegolewski już dziś się zalicza do umarłych, skoro z ustąpieniem na zawsze z widowni świata, umilkła namiętność i gaśnie żar osobistych niechęci, skoro w zimnéj złożony mogile zmarły już powstać nie może na nowo, by naprawić, co w dobréj wierze, ale źle uczynił, to i my zapuśćmy zasłonę na te kilka ostatnich lat z życia zmarłego, wspominając go jak przez 30 przeszło lat żył tylko dla społeczeństwa, jak wiele dla niego poświęcał, jak wiele dla niego pracował, zaznaczmy nasz żal po stracie męża i do licznych wieńców jakie trumnę jego zdobiły i my garść kwiatów uznania dorzućmy.

Dr. J. M.

CAILLETET CONTRA WRÓBLEWSKI.

I.

Powtarzano już tysiące razy że „nic nowego pod słońcem“, że każdy odkrywca czy wynalazca miał już swego poprzednika. Czytaliśmy też książkę p. t. „Le vieux neuf,“ któréj autor na zasadzie cytat dowodzi, że najważniejsze wynalazki ostatnich czasów, jako to maszyny parowe, maszyny tkackie, fotografia, koleje żelazne, telegrafia, już dawno zostały dokonane. Nawet gdy Bell wynalazł telefon, pojawiło się mnóstwo artykułów, które jak na dłoni wykazały, iż zaszczyt tego wynalazku należy się nie Bellowi lecz Reisowi, a potém nie Reisowi lecz Drawbankowi, potém znów komuś innemu, tak że już teraz mamy pięciu czy sześciu wynalazców przedbellowskich. Pomimo, iż to wszystko jest prawdą, największą zasługę gotowiśmy przypisywać Bellowi.

Weźmy pod analizę ten świeży fakt, aby wyprowadzić z niego wniosek o prawie pierwszeństwa wynalazcy.

Czytaliśmy świeżo ogłoszony wyjątek z Illustracyi francuzkiéj z r. 1854, w którym jakiś anonim B. podaje prawdziwie znakomity pomysł telefonu. Przyrząd ten został nawet opisany w kilkotomowém dziele Du Moncel'a, używaném przez specyalistów, p. t. Exposé des Aplications de l'Electricité, a mimo to nie przeszedł nawet do podręczników uniwersyteckich.

Dla czego? Dla tego, że p. B. nie mógł wykonać swego pomysłu, a jeśli go wykonał, to tak niedoskonale, że chyba nie mógł nim nawet samego siebie przekonać o racyonalności pomysłu.

Nieco późniéj zbudował swój telefon Reis. Przyrząd ten przenosił muzykę, a nawet twierdzą niektórzy, że i jakiś frazes o warczą-

cych dźwiękach. Na tém się wszakże skończyło. Oddano jednak sprawiedliwość Reisowi za wynalezienie aparatu elektrycznego, wykazującego *możność* przenoszenia dźwięków (muzyki) i wspominano o tém w wielu w podręcznikach elementarnych.

Przeszło jednak lat kilkanaście i ani sam Reis, ani nikt inny telefonu nie udoskonalił. Bo też nie można go było udoskonalić na téj podstawie, na któréj się oparł Reis. Aby zrobić telefon Reisa czułym na muzykę i na głos, dokładnie przenoszącym zlewające się drgania, nie zaś działającym skokami, trzeba było wprowadzić do przesyłacza Reisa nową zasadę tj. zmianę przewodnictwa węgla pod wpływem ciśnienia, co uczynili Edison i Hughes, a odbieracz uczynić lepiéj działającym, pewniejszym itd., co uczynił Bell.

W teraźniejszéj stacyi telefonicznéj przesyłacz jest całkowicie zasługą Edisona i Hughes'a a tylko odbieracza zawdzięczamy Bellowi. Pomimo to przypisujemy mu pierwszeństwo wynalazku telefonii. Dla czego? Dla tego, że on pierwszy zbudował, okazał i oddał do użytku przyrząd tyle doskonały i gotowy że można się było nim posługiwać dla celów naukowych i praktycznych.

Gdyby Reis zaprzeczał pierwszeństwa Bellowi, to możnaby mu było zarzucić, dla czego przez lat tyle nie zrobił ze swego przyrządu tego, co dał nam Bell, a gdyby chciał w teraźniejszéj stacyi telefonicznéj odkrywać szczegóły, które już do jego pomysłu należały, to możnaby mu powiedziéć, iż on znów wziął pomysł od Page'a i innych. Idąc tak daléj, moglibyśmy dojść do tego, że zaszczyt wynalezienia telefonu należy się Vocie, Oerstedowi, Amperowi a może nawet owym grekom, którzy badali własności bursztynu i magnesu.

Podobne niedające się rozwiązać kwestye widocznie pochodzą ztąd, że chcemy się dobadać ścisłéj granicy tam, gdzie nie ma granicy. Nie znamy właściwie początku żadnéj rzeczy, i nigdy nie będziemy mogli wskazać wynalazcy bez poprzedników, albowiem wszelki pomysł jest następstwem i wynikiem rzeczy poprzednich i nigdy tak jak Minerwa w zbroi i w szyszaku bez żadnych precedencyi z głowy Jowisza nie wyskoczy.

Zdawałoby się więc, że tylko ważność odkrycia czy wynalazku daje miarę zasługi. Lecz i ten wniosek musimy zmodyfikować, bo i ważność jest wielce względną. Wtedy, gdy nie znano analizy spektralnéj, nikt nie mógł ocenić wynalazku pryzmatów szklanych i płonną byłaby rozprawa, co jest ważniejsze, czy wynalazek szkła i pryzmatów szklanych, czy analiza spektralna? doświadczenie Galvaniego, czy Volty? itd. Byłby to czysty scholastycyzm. Moglibyś-

my się także sprzeczać w takim razie o to, co jest ważniejsze czy węgiel wchodzący w skład rośliny, czy roślina. Zgodnie więc z duchem naszego wieku, należałoby się obchodzić w takich razach bez uogólniań i płonnych porównań i poprzestawać na zaznaczeniu genetycznego związku, jeżeli takowy istnieje. Porównywanie zaś wtedy tylko jest możliwe, jeśli dwa odkrycia powstały napewno niezależnie jedno od drugiego, a w takim razie, to z nich będzie miało górę, które jest doskonaléj opracowane, bardziéj skończone, i to, które autor na szersze pole, płodne w następstwa wprowadził.

II.

Sprawa, którą powyższym wstępem poprzedziliśmy, znana już jest zapewne czytelnikom ze wzmianek dziennikarskich. Musimy ją jednak przedstawić szczegółowo, aby dać czytelnikowi materyał do samodzielnego jéj osądzenia.

P. Jamin, znany fizyk, sekretarz stały Akademii Paryzkiéj, pomieścił w „Revue des Deux Mondes" popularny artykuł p. t. „W jaki sposób skroplono powietrze", w którym wszczął nietylko kwestyą stosunku i zasług dwóch odkrywców pp. Cailleteta i Wróblewskiego, kwestyę pierwszeństwa, ale nadto chce rozpowszechnić przekonanie, iż p. Wróblewski świeci tylko blaskiem uzurpowanym.

P. Jamin mówi:

...„Boyle i Mariotte byliby bardzo zdziwieni, gdyby im ktoś powiedział, że to powietrze, którego własności poddali prawom, może być sprowadzone do płynu, takiego samego jak woda, a nawet do stanu ciała stałego, takiego jak śnieg. Potrzeba było prawie dwóch wieków do przygotowania tego nowego odkrycia: *my sami nie znaliśmy go aż do kwietnia 1883 r., w którym Akademia nauk* (*Paryzka*) *otrzymała z Krakowa* te dwie depesze:

„Tlen skroplony zupełnie: ciecz bezbarwna jak kwas węglany (9 kwietnia).

„Azot oziębiony został skroplony przez zmniejszenie ciśnienia; ciecz bezbarwna (16 kwietnia).

Wróblewski.

„I tak powietrze zostało zredukowane do objętości tysiąc lub tysiąc pięćset razy mniejszéj od objętości w warunkach zwykłych; przestało być gazem i przyjęło wygląd wody. *Ten zdumiewający rezultat jest tylko ostatniém słowem długiego szeregu prób, które pozostały płonnemi*; jest to uwieńczenie budynku dawno zaczętego, nad któ-

rym pracowało wielu robotników. Jakie jest znaczenie i zasługa każdego z nich? Jest-to długa historya, dobrze fizykom znana".

Historyę tę streszcza p. Jamin aż do r. 1877, w którym pojawiły się prace pp. Cailletet'a i Pictet'a, i powiada o tych doświadczeniach, że *wykazały możliwość* skroplenia tlenu, ale go *nie skropliły*, że do skroplenia potrzeba było tylko:

„Szukać środków oziębienia dostatecznie potężnych i należało się uciec do wrzenia gazów więcéj opornych, aniżeli kwas węglany lub tlenek azotu. W tym celu Cailletet zaczął studyować etylen".

„Etylen jest to węglowodór tego samego składu, co i gaz do oświetlania; oziębiony za pomocą kwasu węglanego do—73 stopni, pod ciśnieniem 56 atmosfer, etylen przechodzi łatwo w ciecz, która wrze w powietrzu przy—103 stopniach (1), temperaturze zbyt jeszcze wysokiéj dla projektowanego badania; ale temperatura ta *powinna się znacznie zniżyć, w razie dokonywania doświadczenia w próżni*. P. Cailletet zamierzał to zrobić, ogłosił swój projekt całemu światu i kazał robić aparaty, gdy akademia otrzymała dwa telegramy, które na początku przytoczyłem. P. Wróblewski był obecnym w szkole normalnéj na doświadczeniach p. Cailleteta, którego aparaty kupił; zawiózł je do Krakowa, zapewnił sobie współpracownictwo swego kolegi p. Olszewskiego i doprowadzał etylen do wrzenia nie w powietrzu, lecz w próżni machiny pneumatycznéj. Zobaczył, że jego temperatura zniża się aż do 150 stopni. *Był to największy dotąd otrzymany stopień zimna*; był on dostatecznym; powodzenie było zupełném i okazało się, że tlen, ściśniony poprzednio w rurce szklannéj, staje się cieczą stałą, z meniskiem dobrze określonym".

„Kończąc, powiada wreszcie p. Jamin, nie mogę się powstrzymać od wszczęcia kwestyi *zawsze delikatnéj*: komu należy przypisać zasługę skroplenia gazów? Bez zaprzeczenia w przeszłości Faraday'owi, a w czasie obecnym, temu, co...... zbudował odpowiednie aparaty, i który...... wziął to zadanie za przedmiot ciągłych zajęć, p. Cailletet. Wprawdzie w ostatniéj chwili, dwóch ludzi nieznanych dotąd, z których jeden asystował pracom Cailletet'a, który *mu się*

---

(1) Uczony sekretarz stały akademii paryskiéj popełnił tu gruby błąd, który p. Wróblewski poprawia w swéj replice („Comment l'air à été liquefié. Reponse à l'article de M. Jamin etc.") jak następuje: „Nie mówiąc już o tém, że gaz oświetlający nie zawiera więcéj jak 4 procent etylenu, i że podlega prawom skroplenia zupełnie innym jak etylen, pozwolę sobie zwrócić uwagę pańską, żeś pan został wprowadzony w błąd, albowiem pan zmieszał formen z etylenem, niewłaściwie kopiując liczby podane przeze mnie w moich doniesieniach. Formen to właśnie trzeba oziębić do—73°, aby się skroplił pod ciśnieniem 56 atmosfer, etylen zaś pod tém ciśnieniem skrapla się już w temp. +9.2°C, jak to zresztą wykazał już p. Van der Waals.

zwierzył, gdy już nie było prawie nic do zrobienia, pośpieszyli się z wykonaniem ostatecznego doświadczenia, które zapowiedział Cailletet; dokonali oni dzieła *zręcznego robotnika, ale nic nie wynaleźli* i jakkolwiek chcieli, nic nie odebrali panu Cailletet. We Francyi, gdzie obyczaje naukowe zachowały swą surowość, opinia publiczna osądziła nieprzychylnie ten postępek i jestem szczęśliwy, że mogę się powołać na świadectwo naszego nieodżałowanego sekretarza stałego, Dumas'a. Oto jest ostatni list, napisany przezeń z Cannes do jednego ze swych kolegów, w kwestyi przyznania nagrody:

„...Akademia przyznaje w téj chwili nagrodę Lacaze'a. Ma ona kandydatów możliwych, mogących przedstawić prace szczegółowe, dobrze wykonane, użyteczne dla nauki i godne uznania. Żadna z nich jednak nie wychodzi z rzędu zwyczajnych.

„Przeciwnie p. Cailletet wydaje mi się być godnym téj nagrody, albowiem wyświadczył znakomitą usługę chemii ogólnéj, a raczéj filozofii naturalnéj, stworzywszy znakomity instrument, za pomocą którego skroplił kilka gazów najbardziéj opornych i *uczynił możliwém* (*et rendu possible*) skroplenia wszystkich.

„Kwestya postawiona przez Lavoisiera, została rozwiązana przez Cailleteta;—powiedziałem, przez Cailleteta: powietrze otaczające nas może być zamienione przy pomocy ciśnienia i zimna na płyn, dający się porównać (*comparable*) z wodą.

„Jest-to wypadek, który zaznaczy historya nauki; łączy on nazawsze nazwisko Lavoisier'a, Faraday'a i Cailleteta. Tymczasem ostatnie doświadczenia dokonane w Krakowie, zwracając uwagę na dwóch współzawodników Cailleteta, mogą wywołać ten rezultat, że przypisaną będzie szczęśliwym eksploatatorom jego sposobów działania (procédés), zasługa, która powinna być zachowana dla ich wynalazcy. Jest-to jednocześnie kwestya słuszności i *interesu patryotycznego.* Chciałbym, aby akademia powzięła postanowienie proklamowania świetnéj usługi, wyświadczonéj przez p. Cailleteta, przeznaczając mu nagrodę Lacaze'a; *nie należy zostawiać świata uczonego w wątpliwości* o prawdziwym autorze odkrycia, stawiającego gazy trwałe w jednym rzędzie ze zwykłemi materyami, którym możemy według woli naszéj nadawać stan stały, ciekły i lotny"—(podpisano) Dumas.

III.

Pan Jamin tedy podniósł kwestyę „zawsze delikatną" i rozwiązał ją wbrew jéj delikatności stanowczém uderzeniem topora, otrzymanego od znakomitego Dumas'a. Zobaczymy, iż za świadectwem

innego uczonego p. Debray, waga czy powaga tego topora jest podejrzaną. Bądź-co-bądź cios ten mglistéj kwestyi zasługi pierwszeństwa nie rozwiał: mgła się zeszła i kwestya pozostała daléj „zawsze delikatną", a „interes patryotyczny", który tu zupełnie niepotrzebnie został wtrącony i zabarwia tę sprawę niby politycznym odcieniem, tylko na niekorzyść p. Jamina przemawia. My jednak nie pójdziemy w tym względzie za przykładem uczonych francuskich i starając się kwestyą tę przedstawić zupełnie obiektywnie, do patryotyzmu czytelników odwoływać się nie będziemy.

Dla obiektywnego zaś przedstawienia rzeczy musimy rzucić pobieżny szkic historyczny usiłowań skraplania gazów.

Domysły o możliwości skroplenia gazów, a pomiędzy innemi powietrza, datują się od bardzo dawna. Powstały one widocznie wtedy, gdy upatrzono analogią pomiędzy gazami a parami. Jeżeli ciało stałe można za pomocą podniesionéj temperatury zamienić na ciecz, a potém na parę, przedstawiającą analogię z gazem, jeśli naodwrót parę można przez zniżenie temperatury zamienić na ciecz, a potém na ciało stałe, więc prosty stąd wniosek, iż stan skupienia zależy od temperatury i że gazy, które z parami porównywano, dadzą się skroplić, jeśli tylko użyjemy dość niskiéj temperatury.

Do jakiego stopnia i jak dawno już wierzono w możliwość skroplenia gazów, dowodzi tego fakt, że wielki rodak Jamina i Dumasa, Lavoisier, mąż zarówno genialny w pomysłach, jak krytyczny i ścisły w swych poglądach, wyraził się w jednéj z rozpraw:

„Gdyby ziemia dostała się nagle w okolice bardzo zimne,—jak te na przykład, w których znajduje się Jowisz, albo Saturn, to woda, która tworzy nasze rzeki i morza a prawdopodobnie i większą część znanych nam cieczy, zamieniły-by się na stałe góry i skały. Powietrze wówczas, lub przynajmniéj pewne części składowe powietrza przestały-by być gazami i zamieniły-by się na płyny, o których dziś pojęcia żadnego nie mamy".

Nie tylko zależność stanu skupienia od temperatury i względność zwykłego stanu ciał nam znanych w stosunku temperatury, w jakiéj się obracamy, naprowadzały na ten domysł. Wiedziano téż od bardzo dawna, że i ciśnienie wpływa na wrzenie cieczy, a więc i na skraplanie par. Im ciśnienie jest większe, tém wrzenie cieczy bardziéj utrudnione, tém skroplenie pary łatwiejsze. W zniżeniu tedy temperatury i powiększoném ciśnieniu widziano sposoby skroplenia gazów. Proste te poglądy były najzupełniéj słuszne i potwierdzone zostały późniéj przez teoryę i doświadczenie.

Przedewszystkiém silnie poparte one zostały przez krytykę prawa Boylego i Mariotte'a, znanego od ostatniéj ćwiartki wieku XVII (rok

1662 i 1679). Według tego prawa, objętość gazów jest ściśle odwrotnie proporcyonalną do ciśnienia na nie wywieranego. Tymczasem nie tylko teoretyczne wywody ale i doświadczenia wykazały, iż prawo Mariotte'a jest ściśłe tylko w pewnych granicach tempeatury i ciśnienia, że dla każdego ciała lotnego istnieje dana termperatura, w której to prawo jest ścisłem. W niższéj temperaturze od danéj, ciało lotne zmniejsza swą objętość więcéj niż wskazuje prawo Mariotte'a. Pary, do których tak samo jak do gazów stosuje się to prawo (zawsze w pewnych granicach temperatury), tém bardziéj od niego odstępują, tém silniéj się kurczą, im bliżéj są temperatury, w któréj para się skrapla. Wnoszono więc stąd, że gdyby gazy kurczyły się w nizkich temperaturach silniéj niż każe powyższe prawo, to fakt ten dowodził-by, iż gazy są także tylko parami i że mają jakiś, choćby nie dający się przy znanych wtedy środkach otrzymać, punkt skroplenia.

Liczny szereg prac doświadczalnych, podłożył grunt realny pod te wywody.

Przedewszystkiém skroplono znaczną liczbę gazów, inaczéj mówiąc, otrzymano przez oziębienie i ciśnienie ciecze z ciał, które do owego czasu istniały dla nas tylko jako ciała lotne.

Colladon w r. 1828 zaczął skraplać gazy w rurce bardzo cienkiéj o grubych ścianach zagiętéj w końcu w postaci przewróconéj litery U, i oziębionéj za pomocą mieszaniny oziębiającéj. Do rurki téj wtłaczał pod wielkiém ciśnieniem, za pomocą prasy hidraulicznéj gaz, który chciał skroplić.

Przyrząd jego bardzo prosty, tak jak cel, do którego miał służyć, wznowiony został w ostatnich czasach i posłużył do ostatecznego skroplenia gazów.

IV.

Ważniejsze, zarówno pod względem teoretycznym i praktycznym, były na tém polu prace genialnego Faraday'a. Skroplił on przy temperaturze nie bardzo różniącéj się od temperatury topniejącego lodu i pod ciśnieniem co najwyżéj 40 atmosfer siarkowodór, chlorowodór, tlenek azotu, kwas węglany, etylen i inne gazy najbardziéj odstępujące od prawa Mariotta. Przekonany, że i pozostałe gazy powinny się dać skroplić przy niższéj temperaturze, używał do oziębiania mieszaniny, złożonéj z zamienionego na ciało stałe kwasu węglanego i eteru, *któréj parowanie powiększał wypompowywaniem powietrza za pomocą machiny pneumatycznéj.* Wiadomo bowiem, iż im parowanie jest silniejsze, tém silniéj oziębia się ciało ulatniające się, a więc i na-

czynie, w którém ono jest zawarte. Tym sposobem zniżał on temperaturę mniéj więcéj do—110°C. Jednakże nie mógł skroplić kilku gazów, jako to: wodoru, tlenu, azotu, gazu błotnego (formenu) i tlenku węgla. Przyczynę zaś nieudania się tych usiłowań widział Faraday w niedość niskiéj temperaturze. Zobaczymy potém, iż pogląd jego był najzupełniéj słusznym. Na zasadzie tego i licznych genialnych odkryć, które Faraday poczynił w innych działach fizyki, mamy prawo przypuszczać, iż gdyby wyłącznie daléj na tém polu pracował, to z wszelkiém prawdopodobieństwem udałoby mu się skroplić i owe oporne gazy.

Mało jednak uwagi zwrócono na to zdanie Faraday'a i Natterer starał się skraplać gazy przeważnie za pomocą wysokiego ciśnienia. Wywarł on na tlen ciśnienia 1354 atmosfer a na wodór około 2800. Gazy te jednak nie skropliły się. Zobaczymy późniéj, że dla tego skroplić się nie mogły, iż Natterer wyszedł z fałszywego założenia.

Ostateczne jednak rezultaty Faraday'a i Natterera sprawiły to, że już zrezygnowano ze skroplenia owych pięciu gazów, które nazwano, dla odróżnienia od dających się skroplić, trwałemi, doskonałemi i niektórzy sądzili, że doświadczenia, wykazujące uchylanie się tych gazów od prawa Mariotte'a były nie ścisłe. Lecz przypuszczenia takie wobec klasycznych, nieporównanych prac Regnault'a były zupełnie nie uzasadnione i po nich tylko przesadni zwolennicy ścisłéj klasyfikacyi wierzyli w 5 gazów doskonałych. Inni, opierając się na wynikach prac Regnault'a, oraz na rozumowaniu, że żadne ciało ważkie, nie może być zupełnie pozbawione siły skupienia, uważali skroplenie gazów stałych tylko za kwestyę czasu, za kwestyę spotęgowania środków, mogących usunąć czynniki, przeszkadzające objawieniu się téj siły.

V.

Po Faraday'u i Nattererze, fizycy odstraszeni trudnościami nie brali się do pracy, do któréj widocznie nowych sposobów użyć potrzeba było. Tymczasem jednak rozwijała się nauka w rozmaitych kierunkach. Rozwijała się i ustalała teorya gazów, teorya ciepła dosięgła wysokiego stopnia rozwoju, chemia pozyskała nowe środki, technika spotężniała i stała się podatniejszą. Jednėm słowem, dla nauki powstał prawie nowy okres po epoce, do któréj się odnoszą powyższe prace Faraday'a, Natterera i Regnault'a.

Najważniejszym z tych postępów było doskonałe obrobienie teoryi mechanicznéj ciepła i będącéj z nią w związku teoryi mecha-

nicznéj budowy gazów. One to przygotowały grunt do jasnego spojrzenia na naturę kwestyi skroplenia gazów trwałych.

Według teoryi mechanicznéj budowy gazów, ciała lotne składają się z cząsteczek obdarzonych bardzo szybkim ruchem. Są one doskonale sprężyste i latają we wszystkich kierunkach. Uderzając o ściany naczynia, sprawiają ciśnienie. Jeśli wywieramy na gaz ciśnienie, tj. zbliżamy jego cząsteczki, to skupiamy je w przestrzeni dwa, trzy razy mniejszéj, a zatém sprawiamy, że podwójna, potrójna itd. ilość cząsteczek uderza na tę samą powierzchnię naczynia niż poprzednio, w skutek czego parcie gazu na naczynie wzrasta podwójnie, potrójnie (prawo Mariotte'a). Daléj, przy ściskaniu gazu w rurce tłok prędko się poruszający nadaje cząstkom gazu pewien impuls i prędkość ich wzrasta. Ruch ten, ta dodana „siła żywa", nie mogąca się pojawić jako mechaniczna praca, według ogólnéj zasady, zamienia się na ciepło. Przeciwnie, jeśli mamy gaz ściśniony w rurze pod tłokiem i zwolnimy nagle ciśnienie tłoka, tak, że gaz rozszerzając się, wysunie tłok, to na tę pracę mechaniczną gaz musi zużyć część swéj siły żywéj, a stąd nastąpi równoważne téj stracie obniżenie temperatury gazu.

Zobaczymy późniéj, jakie to ma zastosowanie do skraplania gazów. Zaznaczymy teraz tylko, iż teoryę tę zawdzięczamy Bernonouilli'emu, Joule'owi, Mayer'owi, Helmholtz'owi, Clausius'owi i innym, i przejdziemy do niezmiernie ważnego szczegółu, do odkrycia, „punktu krytycznego" gazów.

Zasługa odkrycia tego należy do Andrews'a (1873). Uczony ten, mając na celu porównawcze zbadanie gęstości cieczy i gazu przy jednéj temperaturze, tj. właśnie w téj temperaturze, w któréj ciecz zamienia się na parę, odkrył, że dla każdéj cieczy istnieje pewna dana, właściwa jéj temperatura, przy któréj ciecz ta nie może pozostać w stanie ciekłym, lecz zamienia się na parę, bez względu na to jak wysokie będzie ciśnienie działające na nią. Inaczéj mówiąc, dla każdego gatunku par i gazów istnieje pewna specyalna granica temperatury, powyżéj któréj żadne ciśnienie ich nie skropli.

Tę granicę temperatury, powyżéj któréj ciało lotne nie da się skroplić, nazwano „punktem krytycznym."

To nam tłómaczy, dla czego usiłowania Natterera nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Wychodząc ze słusznéj zasady, że dla skroplenia gazu trzeba cząstki gazu zbliżyć do siebie, uciekał się on, jakeśmy powiedzieli, do olbrzymich ciśnień. Lecz nie uwzględnił późniéj dopiero wyjaśnionego faktu, że przez ciśnienie powiększamy siłę żywą cząstek gazu, która rośnie wraz z ciśnieniem i pomimo wzajemnego zbliżenia cząstek nie pozwala im się skupiać ja-

ko ciecz. Odkrycie Andrews'a jest więc jakby wynikiem teoryi gazów: wykazuje ono, że za pomocą zniżenia temperatury potrzeba koniecznie zmniejszyć siłę żywą cząsteczek, aby skupienie się ich na ciecz mogło nastąpić pod wpływem ciśnienia.

Andrews badania swe przeprowadzał na gazach łatwo dających się skroplić. Oczywistą jednak jest rzeczą, że to prawo stosować się musi i do „gazów trwałych." Wniosek więc łatwy, że dla skroplenia gazów trwałych potrzeba iść za wskazówką Faraday'a, to jest trzeba przedewszystkiém starać o otrzymanie jak najniższéj temperatury i dopiero w niéj probować rozmaitych ciśnień.

Widzimy więc, że po pracach Andrews'a, droga do skroplenia gazów była zupełnie wytknięta. Punkt ciężkości kwestyi przeniesiony został na kwestyę otrzymania temperatur niższych od dotychczas otrzymanych. O możliwości zaś téj nikt chyba nie mógł wątpić.

Przekonywamy się zatém, iż Mariotte a następnie uczeni sprawdzający jego prawa, a wreszcie Faraday i Andrews przygotowali dostateczny grunt do skroplenia gazów. Zachodzi teraz pytanie, czy nauka wskazywała środki otrzymania niższych temperatur, czy téż uczony, który by chciał pracować nad zgęszczeniem gazów, musiałby sam odkryć ciała i sposoby dające nadzieję otrzymania niższych temperatur. Musimy się nad tym przedmiotem bliżéj zastanowić.

VI.

Oddawna już każdy podręcznik fizyki głosi, iż ciecz zamieniając się na parę oziębia się. Pochodzi to ztąd, że cząstki pary otrzymują swą siłą żywą, kosztem ciepła cieczy parującéj. Oziębienie to tém jest znaczniejsze im dana ciecz wrze w niższéj temperaturze. I tak eter wrze w niższéj temperaturze niż alkohol i dla tego téż w palcu zmoczonym eterem uczuwamy większe zimno niż wtedy, gdy na skórze naszéj ulatnia się alkohol. Daléj oziębienie jest tém znaczniejsze dla danéj cieczy parującéj, im pod niższém ciśnieniem ona paruje. I tak eter parujący pod $1/2$, $1/4$ $1/10$ itd. częścią ciśnienia atmosferycznego będzie wrzał w coraz niższéj temperaturze i będzie sprawiał coraz większe oziębienie w porównaniu z oziębieniem przy ciśnieniu 1 atmosfery.

Są to rzeczy tak proste i tak znane, że gdybyśmy zażądali od któregokolwiek nie z wielkich uczonych, ale każdego nauczyciela fizyki, recepty na otrzymanie najniższéj temperatury, to bezwarunkowo powiedział by: weź ciecz (znaną) wrzącą w najniższéj tempe-

raturze, i pozwól jéj się ulotnić przy najniższém, jakie możesz otrzymać, ciśnieniem.

Gdyby zaś kto postawił pytanie, w jaki sposób można ściśnięty i oziębiony do ostatnich granic gaz, jeszcze bardziéj oziębić, to każdy fizyk powiedziałby mu, że trzeba nagle zwolnić ciśnienie.

Kwestye te tak były omawiane w rozmaitych pracach i artykułach popularnych, traktujących o teoryi mechanicznéj ciepła i gazów, że nikt chyba nie zarzuci nam, iż tylko dla tego możemy teraz tak mówić o tych środkach, ponieważ zostały już zastosowane.

Dodać jednak należy, że rozumowanie to wcale nie przesądza skuteczności tych środków w określonym celu. Chcemy tu tylko to powiedzieć, że gdyby zażądano od jednego z tysiąca fizyków podania możliwych przy obecnym stanie nauki sposobów oziębienia gazu, to podałby on bezwątpienia środki powyższe.

Zachodzi teraz pytanie, jakie to są mianowicie pewne ciała o niskim punkcie wrzenia. Weźmy tabliczkę gazów skroplonych, ułożoną na zasadzie badań Faraday'a:

Kwas siark.	skroplić	się	daje	przy—1°,1	ciepła	pod	ciśn.	1,0 atmos.
Siarkowodór	„	„	„	„	„	„	„	9,9 „
Chlorowodór	„	„	„	„	„	„	„	25,3 „
Tlenek azotu	„	„	„	„	„	„	„	31,1 „
Kwas węglany	„	„	„	„	„	„	„	37,2 „
Etylen	„	„	„	„	„	„	„	42,5 „

Tabliczka ta pokazuje nam, że aby przy temperaturze 1°,1 C. skroplić wymienione gazy potrzeba użyć dla kwasu siarkowego ciśnienia 1 atmosfery, dla siarkowodoru około 10 atmosfer itd. Jednocześnie cyfry te oznaczają, że skroplony kwas siarkowy wrze przy temp. 1°,1 przy zwykłém ciśnieniu powietrza, siarkowodór przy dziesięć razy większém itd. Jeślibyśmy zaś pomieścili wszystkie te ciecze (gazy skroplone) pod jedném i tém samém ciśnieniem, to okazałoby się naturalnie, iż gaz wrze w temperaturze tém niższéj, im większego ciśnienia trzeba było użyć do jego skroplenia w temperaturze 1,°1. I tak, gdybyśmy przyjęli, iż wszystkie te ciecze znajdują się pod ciśnieniem około 9 atmosfer, to etylen wrzałby już przy temperaturze około 70 stopni zimna, kwas węglany dopiero w wyższéj a mianowicie około 50 stopniach zimna, tlenek azotu potrzebowałyby jeszcze wyższéj temperatury około—40, kwas solny—30, siarkowodór wrzałby przy kilku tylko stopniach zimna, aby zaś kwas siarkawy pod tém ciśnieniem doprowadzić do wrzenia, to trzebaby ograzać go do kilkudziesięciu stopni ciepła.

Tabliczka téżta, ułożona na zasadzie badań Faraday'a, okazuje, że parując siarkowodór ciekły przy zwyczajném ciśnieniu atmosferyczném, otrzymamy temperaturę niższą, niż gdybyśmy w tych warunkach parowali kwas siarkawy, że ulatniający się kwas solny da oziębienie większe niż siarkowodór, tlenek azotu większe niż kwas solny, kwas węglany większe niż tlenek azotu, a wreszcie etylen większe niż kwas węglany. Wreszcie jasną i powszechnie znaną było rzeczą, że te punkta wrzenia, będą tém niższe, a zatém i oziębienie wskutek parowania tém większe, im pod niższém ciśnieniem będą te ciecze wrzały, a naturalnie najniższym będzie dla każdéj punkt wrzenia, a więc i sprawiane oziębienie,—w próżni.

VII.

Przy takim stanie rzeczy rozpoczęli swe prace pp. Pictet i Cailletet.

Pictet przygotowywał ciekły kwas siarkawy i przez parowanie go przy małém ciśnieniu otrzymywał ciekły kwas węglany, który parując znowu pod zmniejszoném za pomocą pompy pneumatycznéj ciśnieniem, oziębiał rurkę miedzianą zawierającą tlen, który chciał skroplić. Tlen ten był pod ciśnieniem okoko 500 atmosfer.

Gdy cała maszynerya była w należytym ruchu, Pictet otwierał kran od rurki zawierającéj tlen. Wskutek tego tlen znalazł się nagle pod ciśnieniem 1 atmosfery. Rozszerzając się nagle wskutek tego, musiał zużyć na pracę mechaniczną tego rozszerzenia pewną ilość ciepła, którego i tak już mało posiadał, będąc oziębiony kwasem węglanym. Nastąpiło więc jeszcze znaczniejsze obniżenie temperatury i tlen wytrysnął z rurki jako biały pędzel ciekły. Zjawisko to trwało tylko parę sekund, poczem wydzielać się zaczął gaz. Wniesiono także, iż w środku pędzla tlen zamienił się na ciało stałe podobne do śniegu. Ani jednak ciekłego ani stałego tlenu nie można było w tych warunkach zbadać należycie. O istnieniu tych stanów wyprowadzono raczéj pośredni wniosek.

Gdy p. Pictet używał do swego doświadczenia aparatów prawdziwie fabrycznych, p. Cailletet wykonał swą pracę przy pomocy narzędzia, że tak powiemy laboratoryjnego. Aby módz patrzéć na proces skraplania uciekł się do rurek szklannych o grubych ściankach. Wtłoczywszy do takiéj rurki tlennik azotu lub gaz błotny, tlen, azot pod ciśnieniem 300 atmosfer i oziębiwszy je kwasem siarkawym do—29 stopni, zwalniał nagle ciśnienie. Wtedy gazy oziębione rozszerzając się gwałtownie, jeszcze bardziéj się oziębiały

i w rurce pokazywała się mgła, dowodząca, że te gazy przyjęły stan kroplisty.

Więc pp. Pictet i Cailletet udało się stwierdzenie możliwości skraplania gazów trwałych za pomocą środków dyktowanych przez naukę i powszechnie znanych. Okoliczność ta w niczém nie zmniejsza ich zasługi, choć nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że każdy inny fizyk, któryby się wziął do skraplania gazów w tym czasie, użyłby tych samych środków. Pp. Cailletet i Pictet należy się uznanie ducha inicyatywy, trzeźwego spojrzenia na kwestyę i energii, nie cofającéj się przed koniecznością wielkich nakładów i wielkiéj pracy. Jeżeli zaś o tém wspominamy, to tylko dla zaznaczenia, że zastosowanie do otrzymywania nizkich temperatur cieczy wrzących przy niskich temperaturach pod zmniejszoném ciśnieniem, oraz oziębianie gazów przez nagłe rozszerzenie nie jest pomysłem tych zasłużonych wynalazców i dla tego téż p. Jamin nie może z tego tytułu rezerwować prawa monopolu dla p. Cailleteta i nazywać innych, którzy po p. Cailletet używali tych środków, uzurpatorami.

Pp. Pictet i Cailletet *okazali tedy pierwsi doświadczalnie możliwość skraplania gazów* trwałych a pomiędzy niemi tlenu, i zaszczyt tego odkrycia pozostawi im wiecznie nauka, bez względu na to, że już dawniéj miewano podobne pomysły, że wynalazcy ci używali środków bardzo popularnych, że używali przyrządów, które w znacznéj części były już dawniéj znane i używane. Tém większy dla nich zaszczyt, iż środkami znanemi osiągnęli to, co było nieznaném i co innych odstraszało trudnościami.

Toż samo prawo chcielibyśmy zarezerwować dla pana Wróblewskiego.

Zanim jednak przystąpimy do przedstawienia pracy p. Wróblewskiego, musimy zwrócić uwagę czytelnika na to, iż odkrycie uczonych francuskich mogło być uważane tylko za początek skraplania nie zaś za samo skroplenie tlenu tj. otrzymanie go w postaci cieczy. Ten pędzel, o którego ciekłości lub stałości wnosi się tylko pośrednio, ta mgła a raczéj tak nazwana przez odkrywcę, „ebullition tumultueuse,“ którą widział p. Cailletet, to jeszcze nie ciecz, która ma widoczną granicę, którą mamy w ręku i któréj własności możemy oznaczyć. To momentalne przelotne zjawisko, to tylko dowód możliwości. Pozostało więc do otrzymania z tlenu cieczy takiéj, która się tak odznacza w rurce jak się odznaczają inne ciecze nam znane, i którąby dała się tak długo utrzymać, aby stanowiła materyał gotowy do badania rozlicznych jéj własności.

Na tę potrzebę zwrócili uwagę zaraz po ogłoszeniu prac p. Picteta i Cailleta, Jamin i Berthelot i wszyscy zresztą uczeni. Pierw-

szy z nich powiedział: Ostateczne doświadczenie trzeba jeszcze wykonać, trzeba tlen utrzymać ciekłym przy punkcie wrzenia. Berthelot zaś wyraził się, że z doświadczeń Cailletet'a „nic więcéj wnieść nie można, przynajmniéj dopóty, dopóki nie uda się jakiemu uczonemu, za wskazówką obecnych spostrzeżeń, otrzymać trwałe i dające się obserwować ciecze w stanie statycznym, co się jeszcze nikomu nie udało otrzymać z gazów najprzód przez p. Cailletet'a, że tak powiem, skroplonych w stanie dynamicznym, które się pod okiem obserwatora tworzą i natychmiast znowu znikają."

Otóż ten pożądany rezultat otrzymał nie p. Cailletet, rozporządzający swą nauką, metodą nabytą, aparatami i wielkim majątkiem, ale p. Wróblewski.

P. Cailletet jednak nie porzucił pracy, tak pięknie rozpoczętéj. Usiłował on właśnie otrzymać ów ostateczny rezultat. W tym celu rurkę, w któréj tlen skraplał, zgiął tak jak Colladon i oziębiał ją etylenem skroplonym, którego temperatura wrzenia, mierzona przez p. Cailletet'a termometrem z siarkiem węgla, wynosi—105°. Pomimo to jednak, że tlen był ściśnięty przy tém oziębieniu do 150 atmosfer, nie było żadnego śladu skroplenia; dopiero po zwolnieniu ciśnienia pokazała się „*ebullition tumultueuse*," która trwała przez czas dający się oznaczyć i podobna była do padania kropelek na ścianki rurki. Rozgraniczenia pomiędzy cieczą a gazem Cailletet nie widział i nie wiedział, czy ciecz już przed wrzeniem istniała (preegzystowała), czy też utworzyła się podczas zmniejszenia ciśnienia. W końcu opisu tego doświadczenia, które w 1882 roku ogłosił, Cailletet powiada, że ma nadzieję zniżyć jeszcze bardziéj temperaturę, przy pomocy swych aparatów przez użycie gazów trudniéj jeszcze dających się skroplić niż etylen, a więc wrzących w niższéj temperaturze od tego ostatniego. Widocznie więc sądził, że przy użyciu etylenu daléj się już nie posunie.

Tymczasem p. Wróblewski otrzymał ten pożądany rezultat przez użycie etylenu, od którego już Cailletet odstępował. Zniżył zaś temperaturę jego wrzenia przez zalecone przez Faraday'a, a zastosowane przez Natterera i niedawno przez Pictet'a parowanie gazu skroplonego w próżni.

Aparatem, za pomocą którego dosięgnął celu, była pompa Cailletet'a, odpowiednio zmodyfikowana. Etylen gazowy zgęszczał się najprzód w aparacie Natterera obłożonym lodem z solą, następnie jako ciecz oziębiał się jeszcze przepływając przez wężownicę miedzianą pomieszczoną w naczyniu, zawierającém używaną przez Faraday'a mieszaninę stałego kwasu węglanego i eteru, i spływał obficie do naczynia szklanego, w którém zanurzona była rurka do zgęsz-

czania tlenu. Gdy dostateczna ilość etylenu do tego naczynia napłynęła, łączono go z pompą Bianchi'ego, która zmniejszała ciśnienie do 2,5 centymetra rtęci. Do mierzenia temperatury służył termometr wodorny, dający w tych warunkach pewniejsze wskazówki niż używany przez Cailletet'a termometr z siarkiem węgla, który marznąc przy—110 stopni, pokazuje blisko punktu zamarzania większą ilość stopni. Najniższa temperatura jaką otrzymał Wróblewski, gdy monometr w pompie Bianchi'ego pokazywał 2,5 centym. rtęci, była—136°C i raz tylko spadł termometr do—139°C.

Okazało się, iż przy oziębieniu tlenu do—130 stopni potrzeba tylko ciśnienia 20 atmosfer dla zupełnego skroplenia tlenu, który zbiera się wtedy w ramieniu rurki na dół zgiętéj, jako ciecz przezroczysta, bardzo ruchliwa, bezbarwna, z wyraźną granicą górną, czyli z tak zwanym meniskiem. Po zmniejszeniu ciśnienia, ciecz ta pieni się, ulatnia się na powierzchni, a przy jeszcze mniejszém ciśnieniu wrze w całéj masie.

Otrzymany więc został tlen w prawdziwym stanie ciekłym, a z nim—możność otrzymywania jeszcze niższych temperatur.

Daléj używając powyższych przyrządów i powyższych ciał, p. Wróblewski skroplił jeszcze azot i tlenek węgla.

Gazy te przy—136° i pod ciśnieniem 150 atmosfer nie skraplały się. Gdy nagle uwolnił je p. W. od ciśnienia, pojawiło się gwałtowne wrzenie w azocie i mniéj gwałtowne w tlenku węgla. Co do tych więc gazów, otrzymał p. W. stadyum otrzymane przez p. Cailletet'a dla tlenu. Znalazł jednak sposób, aby i przy téj temperaturze otrzymać z nich ciecze z meniskiem. W następném doświadczeniu nie zwolnił ciśnienia nagle, lecz powoli i zatrzymał to zwalnianie na 50 atmosferach. Wtedy gazy te skraplały się i zajmowały dół rurki z widocznym meniskiem. Gdyby p. Cailletet domyślił się zrobić to samo w ostatniém doświadczeniu z etylenem, parującym pod ciśnieniem jednéj atmosfery, to nie p. Wróblewski, ale on pierwszy otrzymałby tlen ciekły z meniskiem.

Domysł ten, pomiędzy innemi, okazuje nam z jaką teoretyczną świadomością rzeczy i jasnym samodzielnym poglądem pracował p. Wróblewski nad swém zadaniem.

Czy mu wolno było użyć etylenu i pompy Cailleteta?

Na to pytanie odpowiedziéć należy także pytaniem: Czy mu wolno było użyć pompy Natterera i Bianchi'ego, mieszaniny eteru z kwasem węglanym itd. itd?

Mógł użyć i używał do późniejszych doświadczeń, ściślejszych, na większą skalę i głębszych innych aparatów, przy których daleko gładziéj i łatwiéj odbywa się praca. Że użył do pierwszéj roboty zmo-

dyfikowanéj pompy p. Cailletet'a, to nie można mu brać za złe, iż zamiast utrudniać sobie pracę fabrykacyą nowego aparatu, wziął pompę wypróbowaną i sprzedawaną publicznie. W pompie téj zresztą nie ma nic genialnego i nic, coby cechowało indywidualność p. Cailletet'a. Może ktoś zarzuci, iż p. W. zabrał p. C. pomysł systemu rurek szklanych. Taki zarzut doprawdy nie byłby poważnym.

P. Wróblewski, czego mu nikt nie zaprzeczy, jest fizykiem skończonym, z wielką erudycyą, zdolnością i sprytem. Jasno to zobaczymy na dalszéj jego pracy, w któréj cała jego samodzielność się objawi. Zobaczymy téż, czy człowiek, co się żywi cudzemi pomysłami, „szczęśliwy eksploatator pomysłów p. Cailletet," byłby zdolny poczynić tak samodzielne a skuteczne postępy, wyprzedzające znacznie p. Cailletet'a. Doprawdy, przypuszczać, aby fizykowi takiemu jak Wróblewski potrzeba było podpowiedzenia znaczenia etylenu, próżni i pompy zgęszczającéj, jest zarzutem, który tylko zapał „patryotyczny" może usprawiedliwić.

VII.

Napaść p. Jamin'a miałaby za sobą jakieś cechy prawdopodobieństwa, gdyby p. Wróblewski był nie fizykiem lecz rzemieślnikiem, lub gdyby przynajmniéj ni ztąd ni z owąd wziął się do skroplenia gazów. Tymczasem doprowadziła go do tego punktu praca, która mu bardzo zaszczytny rozgłos w świecie naukowym zrobiła.

Powtórzymy tę historyę ze słów samego p. Wróblewskiego opublikowanych w zacytowanéj obronie przeciwko Jamin'owi. Z cytaty téj poznają jednocześnie czytelnicy osobisty stosunek p. Cailletet'a do Wróblewskiego.

„Począwszy od roku 1876, uwaga moja była zwróconą na kwestyę, tyczącą się sposobu pochłaniania gazów przez ciecze i ciała stałe. Trzy są teorye tego objawu: pierwsza, postawiona przez Daltona, została niedawno rozwiniętą w sposób bardzo ciekawy przez jednego ze znakomitszych fizyków austryackich, p. Stefan'a z Wiednia. Według téj teoryi, zjawisko to jest czysto mechaniczném. Gaz pochłonięty tworzy mięszaninę mechaniczną z ciałem pochłaniającém i zachowuje w tym nowym środku wszystkie własności, które go charakteryzują w stanie lotnym. Druga teorya przypuszcza, że gaz pochłonięty pod wpływem ciała pochłaniającego przechodzi w stan ciekły i znajduje się w tém ciele w stanie ciekłym. Teorya ta jest nader rozpowszechnioną w Anglii, gdzie ją podtrzymywał Graham, a jeszcze teraz czytamy w angielskich rozprawach o fizyce i che-

mii, że kiedy wodor przechodzi przez rurkę platynową, rozgrzaną do czerwoności, znajduje się w stanie ciekłym. Wreszcie trzecia teorya, stworzona jeszcze na początku tego wieku przez przeciwników Daltona, uważa zjawiska pochłaniania za czysto chemiczne.

„Ustanowienie praw dyffuzyi gazów w ciałach pochłaniających i publiczna zachęta do tych badań, wygłoszona przez J. Clerk-Maxwell'a doprowadziły mię ostatecznie do badania kwestyi sposobu pochłaniania gazów. Ażeby ją rozwiązać, wybrałem początkowo drogę wskazaną badaniami pp. Exnera i Stefana, mianowicie, badanie objawów pochłaniania za pomocą badania objawów dyffuzyi gazów w ciałach pochłaniających. Ustanowiwszy prawa dyffuzyi gazów w kauczuku, wykazałem, że prawa te w niczém się nie różnią od prawa przechodzenia gazów przez błony porowate nie pochłaniające, zkąd wywnioskowałem, że hipoteza Grahama była fałszywą i że objawy w kauczuku nastąpiły zgodnie z poglądem pp. Daltona i Stefana. Co się tyczy cieczy, byłem tego zdania, że objawy w nich powinny być daleko więcéj powikłane, a że zależą one od ciśnienia, zdecydowałem się badać te zjawiska pod silném ciśnieniem i przedłużyć moje badania aż do takiego ciśnienia, pod którém gaz pochłonięty się skropli, gdyż jedynie posuwając badanie aż do takiego ciśnienia można się przekonać, czy teorya Grahama jest prawdziwą, czy nie. Jeżeli ona jest prawdziwą, ciecz powinna się we wszystkich zmięszać stosunkach (tj. bez względu na stosunkową ilość składnika) z gazem skroplonym. Jeżeli jest fałszywą, ciecze te nie powinny się mięszać, a pochłanianie nie powinno przekraczać pewnéj granicy.

Ażeby urzeczywistnić te doświadczenia, wymyśliłem specyalny przyrząd. Potrzebując dobrego mechanika, który by mi zrobił powyższy przyrząd, udałem się na początku kwietnia 1881 r. do Paryża, gdzie znałem z reputacyi p. Ducretet. To, czego od niego żądałem, było zupełnie nowém. W przyrządach pp. Andrews i Cailletet do zgęszczania gazów, używano tylko rurek włoskowatych. Ja żądałem przyrządu, gdzie mógłbym zgęścić gaz w rurkach, mających wewnętrznéj średnicy 15 milimetrów pod ciśnieniem 40 do 50 atmosfer. P. Ducretet, po pewném wahaniu się, zgodził się na zrobienie takiego przyrządu; lecz, ponieważ nie byliśmy pewni powodzenia, potrzebowałem laboratorium, gdzie bym mógł robić próby. Udałem się więc do szkoły normalnéj, z zamiarem proszenia Sainte - Claire-Deville'a o pozwolenie mi robienia prób w jego laboratorium. Bawił jednak wtedy we Włoszech. Zwróciłem się więc do p. Debray, który mi przyrzekł wyjednać pozwolenie p. Sainte-Claire-Deville'a. Postanowiłem tedy powrócić w sierpniu, tj. w tym czasie, kiedy p. Ducretet wykończy mój przyrząd.

Po powrocie moim dowiedziałem się o śmierci Sainte-Claire-Deville'a i jednocześnie o nominacyi p. Debray na dyrektora laboratorium. P. Debray przyjął mnie w sposób nader serdeczny i życzliwy, znany wszystkim, którzy byli z nim w stosunkach. Ażeby zgęścić gaz w moim przyrządzie, potrzebowałem prasy hydraulicznéj, a że w laboratorium p. Debray nie było odpowiedniéj prasy, a nie chciałem narażać laboratorium na koszta, kupiłem więc od p. Ducretet pompę Cailletet'a. O ile się nie mylę, była to 300-tna pompa Cailletet'a dotąd sprzedana. Tak więc ten historyczny egzemplarz, nad kupnem którego tyle się rozpisałem, został obstalowanym i kupionym przezemnie na rok blizko przed przybyciem p. Cailletet do Paryża dla robienia doświadczeń z etylenem.

Zarzucasz mi pan (tj. Jamin), że używałem pompy p. Cailletet, Szczególny zarzut! Pocóż więc ją sprzedają. Gdybym nie miał pompy Cailleteta, kupiłbym inną. Pompa do zgęszczania nie jest wynalaskiem p. Cailletet. Ażeby być logicznym, według pana, należałoby wzbronić wszystkim biologom posługiwania się mikroskopem, nie jest on bowiem ich własnym wynalazkiem.

Kwestya pochłaniania gazów zmusiła mię do opierania moich badań, na ścisłém mierzeniu ilości gazów pod silném ciśnieniem. To było zupełnie nowe zadanie. Dotąd mierzono tylko objętość gazów pod silném ciśnieniem, lecz nigdy ilość. Mierzenie tych ilości wymaga znajomości stosunku między objętością, ciśnieniem i temperaturą gazu. Stosunek ten jest dobrze znanym, dzięki doświadczeniom p. Andrews, jedynie dla kwasu węglanego i dla tego też rozpocząłem moje badania od tego gazu. Z cieczy wybrałem wodę.

Doświadczenie dało mi odpowiedź, któréj szukałem. Kwas węglany skroplony nie mięszał się z wodą. Pochłanianie nie przekroczyło pewnéj granicy, a nasycając wodę kwasem węglanym pod silném ciśnieniem przy niskiéj temperaturze, otrzymałem wodan kwasu węglanego (1). Kwestya więc, w tym szczególnym wypadku, została rozwiązaną na korzyść teoryi chemicznéj.

Odkrycie to miało w Paryżu dużo rozgłosu. Przypuszczano, że skład tego wodanu odpowiada formule: $CO_2 + H_2O$.

Przemowa p. Debray, który na posiedzeniu d. 30 stycznia 1882 r. przedstawił moją pracę akademii, była nadzwyczaj gorącą. Wurtz winszował mi, a p. Troost prosił mię o powtórzenie tych doświadczeń podczas jego wykładów w Sorbonnie, w sali, gdzie pan odbywa swoje

(1) Odkrycie to stanowi wielką zasługę p. Wróblewskiego. Wszyscy mu ją przyznają.

wykłady i przed publicznością, która pana słucha. Zapraszano mię również, żeby je powtórzyć w Towarzystwie Fizycznêm.

Jeżeli wobec tego wszystkiego i wobec całego szeregu artykułów, które ogłosiłem w „Comptes rendus", tyczących się składu wodanu kwasu węglanego, rozpuszczalności kwasu węglanego w wodzie pod silném ciśnieniem i stosunku, jaki zachodzi między objawami włoskowatości i rozpuszczalności gazów w cieczach, nazywasz mię pan człowiekiem nieznanym, nie mogę być odpowiedzialnym za nieuwagę, z jaką musiałeś czytać sprawozdania akademii, któréj wkrótce zostałeś dożywotnim sekretarzem".

W dalszym ciągu p. Wróblewski wspomina, że w tydzień po ogłoszeniu jego pracy o wodanie kwasu węglanego, tj. w lutym roku 1882 przybył do Paryża p. Cailletet z nową pompą dla czynienia doświadczeń z etylenem, ale dowiedziawszy się o rezultatach przez p. Wróblewskiego otrzymanych, zamiast zająć się tlenem, rzucił się do badań nad innemi wodanami gazów. Rezultatem tych poszukiwań zbyt szybkich i dorywczych, bez naukowéj metody prowadzonych, było wynalezienie wodanu fosforowodoru i kilku innych ciał, których charakteru p. C. nie mógł oznaczyć. Stąd widać—powiada p. W.,—jakie to można było zwierzenia od p. C. otrzymać.

Swoją drogą przyznaje p. Wróblewski Cailletetowi wielką zasługę, że pierwszy użył etylenu jako środka oziębiającego, chociaż pierwszy pomysł tego nie do niego należy. Jamin nazwał Cailleteta „nie uczonym z profesyi, lecz raczéj ciekawym", a p. W. sądzi, że jego największą zasługą jest to, że posiadając znaczny majątek, stara się być użytecznym nauce. Jednakże nie znając metody naukowéj, nie umiał skorzystać ze środka tak silnego. Otrzymał tylko kilka centymetrów sześciennych etylenu, który parował pod ciśnieniem atmosferycznêm. Cała technika jego była wadliwą, o czém łatwo się przekonać, porównawszy sprawozdanie z nieudatnego doświadczenia Cailletet'a, ze sprawozdaniem p. Wróblewskiego o skraplaniu tlenu, a szczególniéj „o użyciu skroplonego tlenu, azotu, itd., jako środków oziębiających". Różnice techniczne są pomiędzy obu doświadczeniami ogromne, a właśnie od techniki zależał tu pomyślny rezultat.

Rzecz widoczna, że p. C. nie mógł skroplić tlenu etylenem wrzącym pod ciśnieniem atmosferycznêm, bo temperatura ta jest aż 15 stopni wyższą od temperatury krytycznéj tlenu. Tylko po nagłém zwolnieniu ciśnienia zobaczył „une ebullition tumultueuse, qui persiste pendant un temps appréciable, et ressemble à la projection d'un liquide dans la partie du tube refroidi" (wrzenie gwałtowne, któ-

re trwa przez czas, dający się określić, i podobne do rzutu cieczy w oziębionéj części rurki). A jednak, jak to już wyżéj wspomnieliśmy, był środek skroplenia tlenu, nawet za pomocą etylenu, wrzącego przy ciśnieniu atmosferyczném: środek tak prosty jak jajko Kolumba: trzeba było po ściśnięciu gazu do 150 atmosfer zwolnić nagle ciśnienie, *ale zatrzymać je nakoniec na 30 do 40 atmosferach.* Pan Cailletet nie umiał znaleść tego sposobu, dyktowanego przez mechaniczną teoryą gazów, ale znalazł go p. Wróblewski dla pierwszego skroplenia azotu i tlenku węgla. Otrzymał je w postaci płynów statycznych, oziębiwszy do 136⁰ i zatrzymawszy rozszerzenie przy pewném ciśnieniu. P. C. użył tej metody po niewczasie, gdy już praca p. W. nad tlenem, azotem i tlenkiem węgla była ogłoszona. Któż więc komu mógł udzielać naukowych zwierzeń?

Co się tyczy zastosowania próżni do obniżenia temperatury, to jest to jeden z faktów najelementarniejszych, zastosowany zresztą do skraplania gazów przez Faraday'a, Natterera i Pictet'a. Czemuż więc nie im lecz Cailletet'owi przypisywać prawo do tego pomysłu?

P. Jamin twierdzi, że p. C. miał zamiar zastosować parowanie w próżni. Zamiar nie dowodził-by jeszcze niczego, témbardziéj, że nie ma na to żadnego dowodu. Przedstawiając swą notę o nieudatném doświadczeniu z etylenem d. 1 maja 1882 r., p. C. mówi tylko: „spodziewam się, iż zagęszczając aparatami mojemi gazy, trudniéj dające się skraplać niż etylen, zdołam jeszcze obniżyć granicę tego wielkiego zimna". Widocznie nie wiele spodziewał się od etylenu, kiedy chciał użyć środka bardziéj skomplikowanego. W lipcu tegoż roku zawiózł swe aparaty do Chatillon, gdzie również nie czynił doświadczeń z etylenem w próżni, a w liście zapieczętowanym, który kazał przeczytać w akademii 4 sierpnia 1884, wspomina także tylko o tém, że spodziewa się otrzymać niższe temperatury przez wrzenie etylenu i formenu pod ciśnieniem atmosferyczném. Podobnież w rozprawie bardzo szczegółowéj o użyciu etylenu nie ma żadnéj wskazówki, aby myślał o parowaniu etylenu w próżni. Wreszcie, gdy w akademii czytano 16 kwietnia 1883 r. depeszę p. Wróblewskiego, p. Cailletet nazwał jego pracę „bardzo interesującą i godną uwagi", prosząc akademią, aby w sprawozdaniu wspomniano o jego pracach, przy czém nie powiedział ani słowa o etylenie w próżni. Uczynił-by to chyba, gdyby jakiś pomysł powierzył p. Wróblewskiemu.

Rok cały upłynął między ogłoszeniem doświadczeń Cailleteta z etylenem a skropleniem tlenu przez p. W. Nie można przypuścić, aby przez ten czas p. C. nie starał się urzeczywistnić swego pomysłu. Czy więc to dowodzi, iż więcéj wiedział i lepiéj umiał patrzéć

na zadanie niż p. W., który dla swéj pracy miałby się żywić jego zwierzeniami? Co więcéj, nawet w kilka miesięcy po doniesieniu p. Wróblewskiego, Cailletet nie mógł przeprowadzić tlenu w stan cieczy statycznéj....

Przypuśćmy, że trzeba było doświadczenia Cailletet'a dla nauczenia p. W. użycia etylenu. Jeżeli jednak nikt nie weźmie za złe p. W., iż nauczył się z prac Faraday'a Natterera i Pictet'a zastosowania próżni, to chyba téż nie będzie nikt uważał z p. Jaminem za „deprawacyę obyczajów" tego, iż skorzystał z publikowanéj pracy p. Cailletet'a. Inaczéj, należało-by potępić wszystkich tych, którzy pobudzeni jakąś pracą poprzedników, czynili nowe wynalazki i odkrycia. P. Wróblewski nie podziela tego zdania i wprost przyznaje, iż wiele a wiele korzystał z prac nie tylko poprzedników pp. Cailletet'a i Pictet'a i ich samych, ale jeszcze wielu innych uczonych, pracujących późniéj nad tym przedmiotem, jako to Amagat'a, Sarrau i innych, i bezwątpienia w pracach jego znaleźlibyśmy niejeden czynnik, będący zasługą tych ostatnich. Więc p. Wróblewskiemu nie możnaby nic zarzucić, nawet w takim razie, gdyby pomysł użycia etylenu wziął od Cailletet'a. Zaszczytną zaprawdę byłaby podobna pożyczka dla podobnego rezultatu. Lecz jakieśmy to już kilkakrotnie zaznaczyli, zbyt śmiałéj potrzeba hipotezy na takie przypuszczenie. Upoważnić-by mogły jedynie do niego fakta, dowodzące, że p. Wróblewski nie zna fizyki i nie umié się oryentować. Ale w takim razie, równém prawem możnaby mu zarzucić, że dowiedział się od p. Cailletet'a, iż do skroplenia gazów potrzeba nizkiéj temperatury i ciśnienia! Jednem słowem, jeśli się dobadywać będziemy pochodzenia wiadomości powszechnie znanych u fizyka téj miary, co p. Wróblewski, to wejdziemy na drogę jeszcze delikatniejszą niż kwestya pierwszeństwa, bo na drogę... absurdów.

Przytoczywszy ten cały materyał faktyczny, z którego słuszność sprawy p. Wróblewskiego jasno się okazuje, rozbierzmy jeszcze wartość moralną postąpienia p. Jamina, względem naszego rodaka. Fakta, które nam do tego posłużą, zaczerpniemy wyłącznie ze źródeł francuskich, które ma w ręku p. W.

P. Jamin nazwał p. W. „człowiekiem dotychczas nieznanym", szczęśliwym eksploatatorem cudzego pomysłu", „który nic nie wynalazł" i „którego postępek został nieprzychylnie osądzony we Francyi".

Tymczasem p. Cailletet pisze do p. W.: „P. Debray zawiadamia mnie, iż udało się panu skroplić tlen w sposób zupełny (d'une maniére complète). Jestem szczęśliwy z powodu téj dobréj nowiny i przesyłam panu szczere powinszowanie.... W każdym razie jestem

bardzo rad pańskiemu powodzeniu... *Będę jeszcze więcéj szczęśliwy*, jeśli się dowiem, że udała się panu robota *przy pomocy aparatów podobnych do moich*".

Ważniejsze są jeszcze oświadczenia znakomitego uczonego Debray:

„Pańskie doniesienia o tlenie, azocie i tlenku węgla żywo zainteresowały akademię i szkołę normalną. *Żałowaliśmy wprawdzie trochę, że te doświadczenia, tak interesujące, nie zostały zrobione przez p. Cailletet'a w naszém laboratoryum; ale nasz przyjaciel (Cailletet) nie ma cierpliwości i wytrwałości, którą pan okazuje przy wszystkich swych pracach. Ma on umysł bardzo sprytny (ingénieux), lecz brak mu metody naukowéj*, bez któréj postąpić naprzód nie można.

„Trzeba teraz, żebyś pan oznaczył gęstość tlenu ciekłego..... Praca to delikatna, ale nie przechodzi środków pańskiego talentu."

Wreszcie po nadesłaniu przez p. Wróblewskiego wiadomości o temperaturze, otrzymywanéj przy pomocy wrzącego tlenu, p. Debray pisał.

„Pańskie doniesienie było czytane wczoraj w akademii i *uzyskało najżywsze uznanie* (le plus vif succès). Jest to zresztą uznanie dobrze zasłużone. We wszystkich badaniach dajesz pan dowody wielkiéj zręczności i godnéj uwagi konsekwentości. Winszuję tego panu szczerze."

Co się zaś tyczy Dumas'a, to po skropleniu tlenu telegrafował Debray do p. Wróblewskiego:

„Powinszowanie ode mnie i od Dumasa."

Było to zresztą głosem ogółu. Tak też pisały i gazety. Wojna rozpoczęła się dopiero wtedy, gdy p. Wróblewski okazał szeregiem swych prac, iż na każdym punkcie wyprzedza p. Cailletet'a, i że jeżeli go już teraz nie zaćmił, to wkrótce go zaćmi. P. Wróblewski nietylko dążył szybkim i pewnym krokiem, ale jeszcze ślady swych kroków rył głęboko w granicie historyi, prostując dokładnemi danemi niewyraźne i chwiejne doniesienia Cailletet'a. Tak np. było z formenem.

P. Cailletet proponował Wróblewskiemu, aby przez rok pracował z nim razem. Uczony nasz odmówił swego współpracownictwa...

Nastąpiła nareszcie chwila przyznania nagrody Lacaze'a i weszła na stół ślizka kwestya pierwszeństwa. P. Wróblewski nie miał do niéj pretensyi. Lecz uczeni francuzcy musieli stoczyć walkę z samymi sobą i dla rozcięcia węzła gordyjskiego wpadli w rozdraźnienie, nie licujące z powagą nauki, które wywołało patrzenie na prace Wróblewskiego przez okulary patryotyzmu i które tylko zaszczyt przynosi p. Wróblewskiemu. Gdyby było niewątpliwem, że nagro-

dę Lacaze'a należy przyznać Cailletet'owi, nie byłoby też rozdrażnienia.

A zaprawdę trudność była wielka.

P. Cailletet wprawdzie pierwszy wykazał doświadczalnie możliwość skroplenia tlenu, lecz p. Wróblewski oświadczył, że pierwszy raz tlen w stanie statycznym otrzymał Pictet. Sam zaś pan Wróblewski poczynił takie postępy na polu skroplenia gazów, iż obec nich możnaby się zrzec prac Cailletet'a i Pictet'a, gdy tymczasem na odwrotne twierdzenie niktby nie przystał.

Więc autor odkrycia, o którém mówi sam p. Jamin, że było nie znane aż do otrzymania depeszy od p. Wróblewskiego,—więc ten, któremu się udało „otrzymać szczęśliwy rezultat, będący ostatniém słowem długiego szeregu prób płonnych i uwieńczeniem budynku rozpoczętego,“—więc ten, który pierwszy otrzymał największy stopień zimna,—(1) więc odkrywca wodanu kwasu węglanego i pracy nad prawami włoskowatości i dyffuzyi gazów,—więc fizyk skończony, którego pomysłowość, prostotę, ścisłość i szerokość poglądu, technikę w doświadczeniach każdy musi podziwiać,—więc, jedném słowem, ten, co pierwszy pokazał światu tlen i azot jak wodę w rurce i opracował wzorowo metodę skraplania gazów tak, że się stała dostępną dla każdego,—ten który mnóstwo danych naukowych, niedających się porównać z liczbą faktów, odkrytych przez p. Cailletet'a, ogłosił,—ten fizyk wielkiéj nauki, jasnego poglądu i przenikliwego sprytu musiał zostać „robotnikiem“ „eksploatującym sposoby działania p. Cailletet'a,“ a to dla tego „żeby nie pozostawić w wątpliwości świata uczonego, kto jest prawdziwym autorem odkrycia.“

Ale możnaby p. Jamin'owi powiedziéć „pas trop de zèle!“ Zbyt heroiczne lekarstwo zostało użyte dla oczyszczenia drogi p. Cailletet. Ten zapał, który aż metę przesadzić przymusił, okazuje najlepiéj, iż owa „wątpliwość“ nieladajakiéj jest potęgi. Szkoda więc téj straconéj napróżno energii, która stanu kwestyi bynajmniéj nie poprawia. Przeciwnie, trochę mniéj gorączki patryotycznéj i czynników osobistych sympatyi pozwoliłoby całą sprawę dosyć gładko poprowadzić.

P. Cailletet był *pierwszym*, który wykazał możliwość skroplenia tlenu—jemu więc należy się nagroda pierwszeństwa, choć właściwie

---

(1) W następnych doświadczeniach za pomocą wrzącego azotu w próżni (w temperaturze jego krzepnięcia) p. Wróblewski otrzymał temperaturę około—210 stopni, przy któréj, pod ciśnieniem 180—190 atmosfer otrzymał skroplony wodór w postaci pieniącéj się cieczy.

Pictet pierwszy otrzymał tlen w postaci cieczy statycznéj, a Wróblewski dopiero stworzył prawdziwą metodę przemiany gazów trwałych w ciecze, stał się ostatecznym zdobywcą oraz organizatorem téj dziedziny wiedzy.

Zgodnie więc z tém, cośmy na wstępie powiedzieli, trzeba było oddać *suum cuique*, bez żadnych porównywań i wszczynania śliskiéj kwestyi zasług. Bo jakeśmy to już powiedzieli, scholastycyzmem jest roztrząsać, czyją jest większa zasługa Galvaniego czy Volty, odkrywcy szlifowania szkieł czy wynalazcy lunet i analizy spektralnéj.

Térnbardziéj, że jeżeli miarą zasługi ma być to, czyjemi pracami więcéj się będą posługiwali uczeni, na czyje się będą powoływali i z czyich będą brali punkt wyjścia, to szala ważności z pewnością nie przechyli się na stronę Cailletet'a.

Przejęci wdzięcznością i podziwem dla p. Cailletet'a za jego zapał, odwagę, za wykazanie możliwości skroplenia tlenu, z pewnością nie wszczynalibyśmy téj kwestyi; lecz zmuszeni do obrony naszego, brutalnie napadniętego uczonego, bierzemy w rękę broń, którąśmy chcieli postawić w pochwie. Czy Francya naukowa będzie wdzięczna tym, którzy tę walkę podjęli, którzy gwałtem chcieli wynieść wyżéj p. Cailletet'a przez obniżenie wartości uczonych takich, jak autor pracy „o użyciu wrzącego tlenu, azotu itd. jako środków oziębiających“ wątpimy. Ojczyźnie Lavoisier'ów, Laplace'ów, Cuvierów, Cl. Bernardów takich środków do zdobywania sławy nie potrzeba.

Bronisław Rejchman.

TEATR MEININGEŃSKI.

Wypadki dziejowe dziwne niekiedy ślady zostawiają w historyi sztuki.

Ktoby przypuszczał, że zjednoczenie Niemiec przyczyni się do reformy sceny?

A jednak, tak się stać może.

Po utworzeniu cesarstwa nastała dla zmedyatyzowanych królewiąt i kieszonkowych książąt doba politycznych dąsów.

Zawzięci Achillesowie pozamykali się gniewni w namiotach platonicznego separatyzmu; filozoficzniéj usposobieni, oglądnęli się naokoło siebie, ażali nie ma gdzie jakiéj idealnéj krainy, z któréj dałoby się wykroić państewko, mogące wynagrodzić straty poniesione na ołtarzu „szerszéj“ ojczyzny.

Ten i ów znalazł czego mu było potrzeba... w Walhalli lub na Helikonie.

Jeden dziki, niedostępny, a wstydliwy jak Hipolit, spotkał szczęściem dla swego niezwyciężonego wstrętu *für das Ewig Weibliche*, muzę rodzaju męskiego, równie jak on samotną, z którą zawarłszy artystyczne śluby, poznał w muzyce tajemnice Świętego Graala i nowemu kultowi jednę na cały świat wystawił świątynię.

Drugi, zbrojny w przeciwnościach olimpijską pogodą, stworzył sobie panowanie w niezmierzonych dzierżawach poezyi, przyjąwszy za ministrów Schillera, Goethego, Szekspira, którzy mu do obrony idealnego tronu dostarczyli całego legionu nieśmiertelnych bohaterów.

Każdy na swój sposób protestował przeciwko wszechwładztwu materyalnéj siły.

Król bawarski, przykładając rękę do odrodzenia opery w duchu Wagnera, pozostał wiernym ideałom monarchiczno - arystokratycznym; tylko, doznawszy zawodu w rachubach na trwałość ziemskiéj potęgi, przeniósł swoje wszechwładztwo we mgły mytyczne; straciwszy wiarę w solidarność mocarzy tego świata, zbratał się jedynie z bogami skandynawskich legend, a zmierziwszy sobie pomorską arystokracyą i junkierskie *pickelhauby*, ukochał rycerstwo Tannhäuserów, Lohengrinów, Tristanów, Parsifalów.

Rozczarowanie odosobniło go jeszcze bardziéj od spraw doczesnego padołu, i spędza większą część życia w górach, na łowach za estetycznemi wrażeniami, kryjąc się przed *Walkiryami* w rozkosznéj nad jeziorem pustelni, tonąc w czarach niewidzialnéj muzyki, któréj tajemnicze odgłosy dochodzą go z pieczar fantastycznie oświetlonych, lub z gajów oblanych bladą smugą księżycowych promieni. To znów poprzedzony niewiadomym nikomu rozkazem, zjawia się w widowni mnichowskiego teatru i sam jeden, otoczony „zmrokiem bogów“, żyje przez parę godzin życiem „Nibelungów“.

Niech zwyczajni śmiertelnicy, którym zresztą zdaleka dobrze życzy, przypisują mu mecenasostwo sztuki, apostolstwo reformy Wagnera; on w tym świecie, dla siebie wyłącznie wskrzeszonym, czuje się władcą absolutnym, jest królem w państwie złudzeń, nieznającém pruskiéj hegemonii.

Książę meiningeński zdaje się inaczéj praktykować opozycyą.

I on rozszerza granice swoich rządów zdobyczami z dziedziny sztuki, ale jest w tych rządach coś rewolucyjnego.

Przedewszystkiém książe ukochał dramat, a więc życie, a więc cierpienia i radości żywych ludzi, co już jest zerwaniem z monarchiczno-arystokratyczną tradycyą; a potém, z jakiemiż to on ludźmi przestaje!

Wallenstein prowadzi u niego wojny, Egmont politykuje, Fiesco spiskuje, Wilhelm Tell mści się za ucisk swego kraju, Brutus obala tron cezarowy!

Wreszcie do udziału w tych wszystkich tragedyach książe po raz pierwszy powołał lud i każe mu działać, każe mu cierpiéć, cieszyć się i zdobywać sobie należną cząstkę bohaterstwa.

Więc téż w małém miasteczku Turyngii kipi tyle namiętności, wre tyle żądz i ambicyj, odgrywają się takie wstrząsające dramata, że od pewnego czasu zwraca na nie oczy Europa... artystyczna, choć Meiningen ściśle biorąc, jest tylko jednym teatrem, a poddani dynastyi dzielą się na widzów i aktorów.

Ale nad tém wszystkiém panuje książę Jerzy niepodzielniéj i bezpieczniéj niż wielu władców, bo jakby jakiémś przeczuciem przyszłości wiedziony, oparł się na masach.

Porównał ktoś Meiningen do Weimaru z czasów Goethego; porównanie to, zdaniem mojém, wtedy dopiero będzie miało pozór trafności, jeżeli dodamy, że jest to Weimar zdemokratyzowany.

Duch czasu zrobił swoje—arystokracya wszelkich talentów ustąpiła w nowoczesnym Weimarze hasłu „*hromada wełykij czołowik*" i na scenie meiningeńskiéj, jak w historyi, tłumy ważną zaczęły odgrywać rolę.

Ten pierwiastek demokratyczny, jako jeden z czynników przyszłego wewnętrznego przekształcenia sceny, niepoślednie ma także znaczenie w stosunkach zewnętrznych teatru meiningeńskiego.

Pod tym względem krzewiciele reformy w operze i w dramacie biegunowo różnią się między sobą; do Beyreuth musi jeździć Europa, a Meiningen jeździ do Europy.

Nareszcie, jeden jeszcze rys charakteryzuje pokrewieństwo téj reformy dramatu z nastrojem naszéj epoki—realizm, usiłowanie osiągnięcia nieledwie dotykalnéj prawdy życiowéj w przedstawieniu dzieł nawet najbardziéj poetyckich. Jest to także forma demokracyi w sztuce, która na scenie meiningeńskiéj szerokie znajduje zastosowanie.

A teraz zsumowawszy to, co nowego do teatru wnosi meiningeńska dramaturgia: wysunięcie na wybitny plan tłumów, wyrzeczenie się wirtuozowstwa znakomitych aktorów i wprowadzenie do scenery realizmu, można się spodziewać zapytania: jakim sposobem takie inowacye pogodzić się mogą ze sztuką w wielkim stylu, która z natury rzeczy musi być arystokracyą?

Odpowiedź brzmi bardzo prosto—książę jest nawskróś artystą i dzięki jego artyzmowi to pierwiastki demokratyczne stają się czynnikami estetycznemi.

Przedewszystkiém są one wynikiem jednéj ogólnéj zasady, stanowiącéj kapitalną podstawę reformy w teatrze: dążenia do osiągnięcia *całości*.

Całość, to jest dzieło takie, jakie wyszło z myśli i z serca poety, była może zawsze ideałem artystycznych kierowników sceny, ale w urzeczywistnieniu napotykała przeszkody częścią w niedość wydoskonalonych technicznych warunkach teatru, częścią we właściwościach talentów wykonawczych, które brały na siebie przedstawienie danego utworu.

Teatr meiningeński obie te przeszkody usunął: pod względem techniki scenicznéj korzysta ze wszystkich nabytków, których mu

dostarcza ciągły postęp w materyalnéj stronie sztuki, a wirtuzowstwu aktorskiemu zakreślił takie granice, jakich niezbędnie wymaga wytworzenie harmonijnego *ensemblu*.

Mówiono niejednokrotnie, że jest to cnota z potrzeby, że wyższe talenta nie znalazłyby na scenie meiningeńskiéj odpowiedniego uposażenia, ani chciałyby się poddać demokratycznemu strychulcowi, niwelującemu do jednego poziomu wszelkie zapędy indywidualnéj twórczości.

Zarzut dowodzi niedokładnéj znajomości organizacyi teatru meiningeńskiego.

Kierownictwo, które dziesiątki tysięcy wydaje na przybory i szczegóły sceneryi, nie zawahałoby się opłacić suto kilku pierwszorzędnych talentów; nie robi tego, bo nie chce, bo inne sobie wytknęło zadanie, bo mu idzie o wierne oddanie dzieła poety, nie o tryumfy aktora.

Tę odmienność celów należy mieć zawsze na uwadze, sądząc teatr meiningeński. Kiedy Rossi, Salvini, Irwing, Coquelin, Sara Bernhardt jeżdżą po świecie, publiczność obojętną jest na to, co grają, i patrzy tylko na to, jak grają—poezya utworu schodzi na drugi, wirtuozowstwo artysty wysuwa się na pierwszy plan.

U meiningeńczyków podobne upośledzenie autora uważane jest za ciężki grzech, a dla ustrzeżenia się go idą na ofiarę wszelakie wygórowane ambicye aktorskie.

Przesady dopuszcza się kto twierdzi, jakoby taka abnegacya ułatwiona była na scenie meiningeńskiéj, nagromadzeniem saméj zdecydowanéj mierności, wymusztrowanéj tylko reżyserską dyscypliną.

Nie trzeba zapominać, że meiningeńczycy grają jedynie wielki repertuar i że żadna dyscyplina nie wykrzesze z nieudolności bohaterów Szekspira, Schillera, Goethego, Moliera, Kleista, Grilparzera. Aktorzy, którzy to grać mogą tak, że gra ich sprawia wrażenie choćby tylko jasnéj i wyraźnéj nuty w akordzie całości, muszą być zdolnymi aktorami.

Jeżeli może być mowa o jakiemś ułatwieniu artystom meiningeńskim abnegacyi aktorskiéj, to jedno podnieść i zaakcentować należy—stosunek do nich księcia Jerzego.

Jest on w swoim rodzaju jedyny.

Wyobraźmy sobie kierownika teatru łączącego w swojém zwierzchnictwie dwojaką władzę: reżysera, dyrektora nad aktorami i panującego nad poddanymi.

Taka kumulacya powagi dziwnie odpowiada potrzebom niemieckiego charakteru, jego lojalnym nałogom i artystycznym aspi-

racyom; dodajmy jednak, że gdy idzie o aktorów, pierwsze występują słabiéj od drugich.

Natura aktora, jego chorobliwie niemal rozwinięta miłość własna pozwala mu skłonić głowę tylko przed wyższością w sztuce; to też imponuje mu nie stanowisko hierarchiczne, nie tytuł dworski, ale prawdziwa, głęboka znajomość literatury i teatru, gruntowne wykształcenie artystyczne.

W téj wszechstronnéj kompetencyi księcia Jerzego szukać należy tajemnicy wpływu, jaki wywiera na aktorów swego teatru.

Dostojny kierownik, wsparty pomocą wysoce utalentowanego reżysera Chronegka, jest duszą sceny meiningeńskiéj. Wszystkie główniejsze role męskie osobiście z artystami studyuje, powierzając księżnie pracę nad rolami kobiecemi; sam nie zraża się mozołami licznych prób, na których dokładaném prowadzeniu opiera się doskonałość szczegółów i artystyczna harmonia całości; z pod jego estetycznéj kontroli nie wymknie się żaden szkic dekoracyi, żaden rysunek kostiumu, żaden model rekwizytu; jest wszędzie, wszystko oceni: i urządzenie sceny, i pozę aktora, i malowniczość grupy statystów, i efekt światła, i stopień teatralnego złudzenia.

Cóż dziwnego, że wobec takiego przykładu z góry, artyści rozgrzewają się nigdy niestygnącym zapałem dyrektora i pod jego działaniem gotowi są zawsze do ofiar ze swoich ambicyj.

Zresztą, w imię czegóż żąda się od nich tych ofiar? Jedynie w imię sztuki i czci dla poety, którego mają tłómaczyć.

Pod tym względem również uprzedzone jest zdanie tych, którzy twierdzą, że u meiningeńczyków poświęca się gra aktorów dla wymagań sceneryi, dla efektów sztuki dekoracyjnéj.

Kto uważnie przypatrywał się przedstawieniom w teatrze meiningeńskim, ten niewątpliwie przekonał się, że ofiary indywidualnéj twórczości aktora, o ile są wymagane i spełniane, wychodzą na korzyść stylu dzieła i jego organicznéj całości.

Dlaczego wrażenie gry meiningeńczyków jest tak jednolitém?—Nie dlatego bynajmniéj, ażeby poziom jéj był jednakowo miernym, ale że wszystkie siły, uczestniczące w przedstawieniu, dążą do wyżyn, na których unosi się natchnienie poety i że téj jednolitości wrażenia nie narusza ani zbyt osobisty polot pierwszorzędnego, ani rażąca nieudolność podrzędnego aktora, ani obojętny, bezmyślny udział statysty. Wszyscy mają jeden cel: przedstawiane dzieło, i dlatego celu ten, kto dziś grał głównego bohatera, jutro zagra ćwiartkową rolę, a nawet stanie w grupie między figurantami.

Wyradza się ztąd pewna solidarność uzdolnień, skierowana ku jednéj myśli—ku wytworzeniu jak najdoskonalszego *ensemblu*, a daje

ona artystom, w zamian za ustępstwa czynione z miłości własnéj, zadowolenie, które w nich wyrabia nastrój, przypominający wiarę aktorów widowisk pasyjnych w Oberammergau, z tą różnicą, że górale bawarscy wierzą w świętość tego co przedstawiają, a artyści meiningeńscy w wielkość sztuki, któréj służą.

Z téj saméj zasady wzorowéj całości wynikło rozsławione dziś w Europie wyemancypowanie na teatrze meiningeńskim tłumu, podniesienie mas do godności czynnika scenicznego, powołanie ludu do odegrania samoistnéj roli.

Wiadomo, jak się z tém załatwiano dawniéj, jak się to jeszcze dziś u nas praktykuje. Gromada chórzystów, poinformowana o tyle tylko, żeby wiedziała skąd wejść, którędy wyjść, kiedy podnieść prawą a kiedy lewą rękę, snuła się po scenie obojętna, apatyczna, żadnego udziału w akcyi nie biorąca, najczęściéj niewiedząca, o co rzecz idzie, i była w stanie zneutralizować najsilniejsze, najszczytniejsze wrażenia widza.

Wagner w operze ścierpieć tego nie mógł i dał początek reformie; książe meiningeński i Chronegk cudów w tym kierunku dokonali.

Lud na scenie meiningeńskiéj jest osobistością zbiorową, a zarazem indywidualną; żyje, działa, czuje, kocha, nienawidzi—odbija się w nim cała psychologia tłumów.

Różny od ludu w Oberammergau, który unisonowém skandowaniem wierszy i pewną symetryczną koordynacyą ruchów robi wrażenie czegoś nieosobistego, oderwanego, symbolu raczéj, aniżeli rzeczy, gmin u meiningeńczyków gromadzi w jednostkach, w grupach rozmaite rysy, które mu nadają charakter, temperament, rasę i narodowe cechy. Nie ma w nim nic bezimiennego, szarego: naokoło Cezara są Rzymianie, w ojczyźnie Wilhelma Tella Szwajcarzy, w obozie Wallensteina pstra zbieranina z całego świata.

A jak to wszystko spożytkowane na potrzeby sytuacyi! Jaka rozmaitość fizyognomii, odbijających jéj dramatyczny czy tragiczny nastrój!

Trzeba widzieć w jaką wulkaniczną potęgę jednoczą się te masy, kiedy je wspólne ożywia uczucie, a jak się rozpryskują na charakterystyczne grupy pod wpływem różnych indywidualnych usposobień; trzeba widzieć uniesienie dla nadchodzącego tryumfalnie Cezara, sprzeczność i chwiejność popędów podczas przemówień na Forum Brutusa i Antoniusza; najrozmaitsze objawy grozy, rozpaczy, gniewu przy zwłokach Juliusza; trzeba widzieć niemą wściekłość tłumów w scenie strzału do jabłka w „Wilhelmie Tellu“, ażeby zrozu-

mieć, jaki dramat w okrzyku ludu, jaką tragedyą w jego milczeniu zawrzéć potrafi mistrzowska reżyserya.

Tło tych wspaniałych obrazów odpowiada w zupełności ich imponującéj treści.

Tyle już mówiono i pisano o artyzmie meiningeńczyków w malarstwie dekoracyjném, o ich nieledwie pedancko-archeologicznéj ścisłości w kostiumach i rekwizytach, i o zmyśle malowniczości w efektach oświetlenia, tyle się nasprzeczano o burzę w „Wilhelmie Tellu“, o deszcz w „Juliuszu Cezarze“, że podnoszenie tych wspaniałości materyalnej sceneryi byłoby tylko zbytecznem powtarzaniem rzeczy znanych.

Przeciwko jednemu tylko należy zaprotestować --jakoby to było główną zasługą meiningeńczyków.

Ktoby chciał powodzenie swego teatru oprzéć jedynie na wrażeniach panoramy, dioramy czy cykloramy i na efektach żywych obrazów, ten nie potrzebowałby szukać motywów w Szekspirze, Schillerze, Goethem—lada cyrkowa pantomina byłaby do tego przydatną.

Scena wystawiająca arcydzieła literatury europejskiéj z nabożeństwem i czcią religijną, rozpoczynającą się od uszanowania każdego wiersza tekstu, obejmującą każde słowo, każdy gest aktora, nawet statysty, a kończącą się na wiernem odwzorowaniu miejsca za pomocą dekoracyi, czasu za pomocą kostiumu i rekwizytu i na odtworzeniu zmysłem artystycznym poetycznéj atmosfery, w któréj działają ludzie i odbywają się wypadki—taka scena wolna jest od podobnego zarzutu.

Meiningeńczycy wojują reżyseryą—dobrze, niech i tak będzie; ale jest to reżyserya, zasługująca na nazwę aktu twórczego, bo wywołuje przed oczy całe światy, które odkrywać trzeba, kierując się zaledwie kilku słowami poety, bo wlewa w jego dzieło życie całkowite, zupełne, bo ją czuć jak ducha obecnego wszędzie w grze artystów, w malowniczości krajobrazu, w architekturze komnaty, w kroju ubioru, w układzie grupy, w rysunku akcesoryów, w naśladowaniu głosów natury.

Gdzie taki duch kieruje teatrem, poeta może być spokojnym o swoje dzieło, ukaże się ono przed oczyma publiczności takiém, jakiém je sobie wymarzył, a może nawet wspanialszém.

I dla tego warto było widziéć meiningeńczyków, bo w swoim rodzaju jest to scena jedyna.

Gdyby teatr meiningeński był tylko zwykłém, choćby dobrém towarzystwem, grającém w obcym języku, nie poświęcaliby-

śmy mu tyle uwagi, potrzebnéj dla naszéj własnéj sceny, dla któréj ugaszczanie cudzych bogów jest drogim, a nawet niebezpiecznym zbytkiem.

Ale scena meiningeńska reprezentuje reformę w sztuce dramatycznéj, więc z poznania jéj odnoszą korzyści wszyscy: publiczność, która dopiero dowiaduje się jak wyglądają arcydzieła, grane ze zbiorowém mistrzowstwem, artyści, którzy mieli dotykalne przykłady poświęcania ambicyj aktorskich dla sztuki i reżyserya, która się przekonała, co trzeba umiéć i jak trzeba pracować, aby sięgnąć po laury, Laubów, Dingelstedtów i Chronegków.

Władysław Bogusławski.

WRAŻENIA LITERACKIE.

= **M. L. Leger: La Save, le Danube et le Balkan, Voyage chez les Slovènes, les Croates et les Bulgares.** *Paris 1884.* L. Leger, od niedawna profesor języków słowiańskich w Paryżu, położył sobie za cel zapoznanie Francuzów ze światem słowiańskim, a zwłaszcza z tak mało znaną południową Słowiańszczyzną. Tak poprzednie jego publikacye, jak i obecna praca świadczą o żywém się zajęciu stosunkami słowiańskiemi. Wszystkim jednakże jego dziełom braknie ścisłości naukowéj. Są to bardzo pięknie i lekko pisane felietony, ale nie dzieła naukowe. Nie chcemy mu wprawdzie z tego robić za wielkiego zarzutu. Chce on zainteresować szerszą publiczność, a do tego są odpowiedniejsze dzieła więcéj popularne, niż ciężko naukowe. U p. Legera znika jednakże drugi wzgląd zupełnie, a występuje zwykle tylko gonienie za zewnętrzną formą. W podobnym duchu pisana jest i powyższa praca. Autor odbył w r. 1882 podróż po południowéj Słowiańszczyznie, tj. przejechał się koleją żelazną z Paryża do Białogrodu serbskiego, ztąd przemknął się na olbrzymich falach Dunaju do bułgarskiéj Palanki nad Lomem, następnie dopiero, ponieważ ku wielkiemu żalowi autora, kolei nie było na jego usługi, wózkiem do Zofii, stolicy państwa bułgarskiego i Tatarskiego Bazarczyka, leżącego nad Marycą. Zdawać by się mogło, że człowiekowi, którego zadaniem jest poznanie narzeczy słowiańskich, pożądana będzie, choćby dla odmiany, podróż, która nastręcza więcéj sposobności do zetknięcia się z ludem i poznania jego zwyczajów, charakteru i narzecza w kraju, który mu był do tego czasu całkiem nieznany; przeciwnie, autor nie ma słów do opisania radości, gdy w Bazarczyku ujrzał znów tęsknie wyglądaną międzynarodową po-

stać konduktora kolejowego. Filipopolis, zwany po bułgarsku Plowdiwem był kresem podróży autora. Przejażdżki téj, w któréj go jeszcze po kilka zaledwie dni zatrzymały tylko słowieńska Lublana, chorwacki Zagrzeb i bułgarski Isztiman, opisuje p. Leger swoje wrażenia, z których poznać, że autor ma więcéj zmysłu do studyowania hoteli i restauracyj, niż życia społecznego kraju. Stosunki literackie więcej go zajmowały. Lublana daje mu sposobność zapoznania nas ze stanem umysłowym Słowieńców, liczących tylko około 1,300,000, którzy otrzymawszy autonomią, całemi siłami starają się podnieść oświatę u siebie. Dążą do tego różne towarzystwa, jak „Matica slowenska“, rodzaj akademii nauk, i „Drużba św. Mohora“ (Towarzystwo św. Hermagorasa) i różne czasopisma, polityczne i naukowe. W Zagrzebiu nie zapomina zastanowić się nad literaturą chorwacką. W żywych kolorach maluje wzrost akademii zagrzebskiéj, która nad spodziewanie pod każdym względem się wzmaga; dowiadujemy się o jéj publikacyach, zasługujących na zaszczytne uznanie (jak: Monumenta spectantia historiam Slavorum meridionalium, Rad, Starohrwacki pisci), poznajemy się z najwybitniejszemi postaciami chorwackiemi, jak Račkim, Szulkiem, Matkowiciem a w końcu spotykamy się z charakterystyką biskupa Strossmayera, którego czynność dobrze i bezstronnie ocenia. Przybywszy do Białogrodu, uwydatnia dobrze różnicę pomiędzy patryotycznemi dążnościami Chorwatów a zacofanymi nieco Serbami. Dowiadujemy się znów o stanie naukowym, na czele którego stoi „Uczeno drużtwo,“ wydające co rok: Glasnik (Orędownik), o towarzystwie medyczném i rolniczém, o bibliotece, o muzeum zawierającém bardzo cenne pamiątki archeologiczne, ważny zbiór numizmatyczny i galeryą bohatyrów serbskich, o stanie drukarń i szkół w Serbii i o niektórych osobistościach, jak o Nowakowiciu, Mijatowiciu, Mileczewiciu, Kujundżiciu itd. U Czarnogórców autor nie był—zapewne dla zbyt niewygodnéj komunikacyi—dla tego téż ich pomija, chociaż pod niejednym względem zasługują na poznanie. Za to zajmuje się dość obszernie, choć zarazem dość powierzchownie Bułgarami, których autor najmniéj zna. Wiadomości, które o nich podaje, są częścią ogólnéj cechy, częścią czerpane więcéj z książek, jak z własnych spostrzeżeń. O Bułgaryi wyzwolonéj sądzi z wrażeń, jakie na nim zrobiła Zofia; o Rumelii tj. téj części Bułgaryi, która wprawdzie otrzymała autonomią, ale została pod zwierzchnictwem sułtana, a którą widział reprezentowaną tylko miastem Plowdiwem, podaje bardzo mało. Ciekawe są daty co do wzrostu szkół i oświaty w Bułgaryi, która od czasu wyswobodzenia czemprędzéj stara się zrzucić z siebie postać turecko-azyatycką, a przybrać fizyognomią europejską. O stosunkach socyalnych i eko-

nomicznych zwiedzanych krajów nie znajdujemy prawie żadnéj wzmianki. Zkądże miał je poznać autor, patrząc za kraj z okna wagonu lub kajuty? Aby zaś poznać i podać kilka wiadomości o literaturze chorwackiéj lub serbskiéj, nie potrzeba doprawdy tak dalekiéj odbywać podróży. Życzyćby także należało większéj konsekwencyi w transkrypcyi imion słowiańskich. Autor używa np. dla oznaczenia chorwacko-serbskiego: ć aż trzech sposobów, pisze bowiem: Obrenovi*tch*, Risti*tch*, obok Pajacevi*cs* i Puci*ch* (Pucić). Forma zewnętrzna i sposób przestawienia zasługuje na uznanie.

Wiosna ożywia nie tylko naturę. Właśnie o téj porze roku panuje zwykle w Paryżu ruch wielki w świecie literackim i artystycznym. Wystawy wszelkiego rodzaju, a przedewszystkiém sztuk pięknych, następują jedna po drugiéj. Gdy „salon" zwraca uwagę powszechną, dziesiątki innych wystaw walczą o lepsze. Publiczność, chcąc dotrzymać pola, zwiedza gorliwie wszystkie, wydając swój sąd o postępie, jaki się zaznaczył w rozwoju geniuszu ludności. W chwili, gdy te słowa piszemy, w świecie literackim panuje niezwykłe ożywienie. Setki nowych dzieł wychodzą na świat. Czy ta mnogość płodów literackich odpowiada ich wartości rzetelnéj,—o tém należałoby powątpiewać; zapewne, gdzie tak znaczna liczba utworów literackich wychodzi w świat, wiele jest lichoty; są jednak dzieła niepośledniéj wartości. Czy że natura sama usposabia człowieka do lekkości umysłu, czy też prosty zbieg okoliczności, lecz w chwili obecnéj przedewszystkiém zapanował ruch nadzwyczajny w literaturze pięknéj. Beletrystyka w ostatnich dniach pozyskała wiele nowości, o których właśnie zamierzamy obszerniéj pomówić. Pan Wiktor Tissot, znany autor wielu dzieł z podróży po Europie, człowiek obdarzony nadzwyczajną spostrzegawczością, świeżo ogłosił drukiem dzieło „*de Sadowa à Sedan.*" Pan Tissot niemal do ostatnich czasów cieszył się nadzwyczajną wziętością nie tylko wśród Francuzów. Podróże jego czytał świat cały; Niemcy może jedni patrzyli nań z niechęcią. Pisał on i o nas. Wszystkim dobrze są znane najpierwsze prace jego: *les Prussiens en Allemangne* oraz *le voyage au pays des milliards*, które narobiły tyle wrzawy, a uważano je za coś nadzwyczajnego. Wiele jeszcze pisał w tym rodzaju pan Tissot, lecz świat i Francuzi sami wreszcie poznali się na nim. Pan Tissot dzisiaj powszechnie uważany jest za dobrego blagiera, który będzie pisał o wszystkiém, chociażby o tém niemiał żadnego pojęcia; zapewne, nie można mu odmówić wielkich zdolności, nadzwyczajnego daru obserwacyi i pięknego wysłowienia, — natomiast w pracach jego widnieje brak

wszelkiéj podstawy gruntownéj wiedzy i znajomości przedmiotu. Piękne, lecz puste frazesa, w dodatku nie bezstronne, nie mogą zastąpić braku treści. A jednakże tak niedawno jeszcze pana Tissot ceniono na wagę złota. Znany wydawca paryzki Dentu wysyłał go w podróż po świecie własnym kosztem, nie zastanawiając się nad wydatkami. Pod tytułem *de Sadowa à Sedan* Wiktor Tissot ogłosił pamiętniki Oskara Meding'a. Meding, nim został sekretnym ambasadorem przy dworze tuljeryjskim, przeszedł karyerę niezwykłą. Urodzony w Prusach, narazie szukał szczęścia w biurach administracyi miejscowych. W kraju swym nie znalazł powodzenia; wówczas udał się na służbę króla Hanoweru Jerzego V. Sprytny umysł Medinga pojął od razu, iż na dworze monarchy tego, który słynął ze zbytku i pyszności, łatwiéj mu będzie osiągnąć cel zamierzony. Jak wiadomo, król Jerzy był niewidomym. W chwili, gdy Oskar Meding wstąpił na służbę króla hanowerskiego, powstały najpierwsze nieporozumienia państwa tego z Prusami. W rzeczywistości król Jerzy nie był usposobiony wrogo względem Prus, lecz spostrzegł, iż liberalne ministeryum berlińskie dąży do zburzenia samodzielnych państw na korzyść jedności niemieckiéj. Pierwszą misyą nazbyt drażliwą Medinga, było wywiedzenie się nazwiska autora artykułu, jaki się ukazał w Gazecie Augsburskiéj w roku 1860. Artykuł ten był wystosowany przeciwko rządowi hanowerskiemu, a w szczególności przeciwko dwom ministrom jego Borries'owi i Platenowi. Dzisiaj już nie jest tajemnicą, kto był autorem artykułu, który podówczas narobił tyle wrzawy; jest nim żelazny książę. Wkrótce tron hanowerski runął i Meding zmuszony był udać się do Paryża, w charakterze tajemniczego ambasadora. Zadaniem jego było popierać interesa tronu hanowerskiego wobec dworu francuskiego, wreszcie jednać opinią ogółu i prasy, przychylną restauracyi tronu dynastyi Gwelfów. Meding w Paryżu został przyjęty nadzwyczaj serdecznie i przez lat cztery był wtajemniczonym we wszelkie sprawy dyplomacyi francuzkiéj, aż do owéj chwili fatalnéj. Czytając notatki Medinga, poznaje się całą chwiejność charakteru Napoleona III i jego ministra. Ze wszystkiego widać, że król Hanoweru Jerzy V był lichym dyplomatą, lecz kuzyn jego Napoleon III wcale nie był lepszym. Meding jest znany w literaturze niemieckiéj pod pseudonimem Samarowa, a romanse jego, osnute na tle wypadków politycznych zjednały mu rozgłos i... ładną fortunę. Pamiętniki Medinga, które właśnie świéżo drukiem ogłosił Wiktor Tissot, mające charakter czysto prywatny, a jako takie, bardziéj zasługują na uwagę, albowiem były pisane szczerze, bez żadnéj ukrytéj myśli.—Pod tytułem: *Madame de Sévigné historien* F. Combes, profesor historyi, na wydziale literackim

uniwersytetu w Bordeaux, podaje wyborną charakterystykę dworu i wieku Ludwika XIV według pani Sévigné, tj. li tylko według jéj pamiętników. Dzieło to bez wątpienia jest najciekawszém ze wszystkich, jakie wydano o dworze Ludwika XIV. Pan Combes pozostawił całą oryginalność pani Sévigné w charakterystyce ówczesnych osób, co rzuca zupełnie oryginalne światło na ową epokę. Praca pana Combes czyta się z wielkiem zajęciem, a skreślone tu portrety wybitnych osobistości, oraz pełne humoru anegdotki i opowieści urozmaicają i bez tego zajmującą całość.

Szanowny Redaktorze.

Ocena moja Arytmetyki p. Baranieckiego wywołała odpowiedź jego, pomieszczoną w majowym zeszycie „Ateneum". Nie mam zupełnie zamiaru pisać tu odpowiedzi na tę odpowiedź, bo jakkolwiek w zasadzie nie jestem przeciwnikiem poważnéj polemiki, w artykule jednak p. B. nie znajduję punktu wyjścia do takowéj. Czuję się tylko w obowiązku przesłać panu te słów kilka w obronie nie mojéj oceny, ale ogólnéj zasady naukowo-pisarskiéj, któréj p. B. w swéj odpowiedzi nie uszanował.

Przyjęte jest w całym świecie naukowym cytatę z pewnego źródłowego dzieła, a nawet powołanie się na takowe, uważać za poważny argument, a to bardzo często ułatwia i skraca przeprowadzenie wszelkich rozpraw i dowodów. Cóżby się jednak stało z tym argumentem, gdyby czytelnik mógł przypuszczać, że autor na poparcie swego twierdzenia, odwołuje się do takich dzieł i artykułów, które właśnie są stanowczym dowodem czegoś wręcz przeciwnego. Tak się rzecz ma właśnie z powołaniem się p. B. na *Comptes rendus* paryzkiéj akademii nauk, na dzieło dostępne tylko dla mieszkańców wielkich centrów naukowych, a słusznie za źródłowe uważane. Fakt to poważny i ze względu na poszanowanie naszéj literatury naukowéj nie można go pominąć milczeniem;—dla tego sądzę, że zechcesz pan, zamieścić w swém piśmie te słów kilka wyjaśnienia, a czytelnik wybaczy zbyt specyalnie matematyczny jego charakter.

W różnych arytmetykach i dziełach o przybliżeniach liczebnych spotykamy wykład różnych sposobów dzielenia skróconego,—a wszystkie te sposoby dadzą się jakby pomieścić w dwóch grupach: w jednéj te, które są prostem odwróceniem metody mnożenia skróconego podanéj przez Oughtred'a, i do tych należy sposób podany w książce p. B., w drugiéj zaś te, które oparte są na bezpośredniém

badaniu dzielenia i przez to zyskują na dokładności i wyrazistości, i do tych znowuż należy sposób przez Guy'ego podany.

Dla tego też wyraziłem się w mojéj ocenie: „autor wyłożony przez siebie sposób dzielenia skróconego niesłusznie sposobem Guy'ego nazywa". Do takiego wyrażenia miałbym prawo nawet w takim wypadku, gdyby była wyszła jakaś arytmetyka przez Guy'ego napisana, i w niéj był pomieszczony ten sposób, który znajdujemy w książce p. B.,—wedle bowiem przyjętego w nauce zwyczaju taki sposób zostaje bezimiennym, jako nie zawierający nic oryginalnego. Wobec zaś istotnego stanu rzeczy, wyrażenie to moje było za słabe—miałem prawo powiedziéć „fałszywie nazywa", tém bardziéj, że sam byłem tą omyłką p. B. mocno zdziwiony, a nawet zgorszony, sposobu bowiem Guy'ego nie potrzeba szukać w jakichś mało dostępnych archiwach matematycznych,—jest on z całą drobiazgowością wyłożony na 13 stronicach w arytmetyce Serret'a, przyczém nazwisko „Guy" spotykamy kilkakrotnie w tekście i w tytułach,—a arytmetyka Serret'a, to ta szczególnie wyróżniona przez p. B., który mówi w przedmowie, że z *przeglądania* wielu innych nieliczne odniósł korzyści, przypuszczać więc należało, że tę już dobrze przejrzał.

A jednak to wyrażenie moje wywołało następujące słowa w odpowiedzi p. B.: „Niema co: śmiało powiedziane. Czy można jednak prosić p. Puchewicza, by zechciał zajrzéć do tomu XX *Comptes rendus* paryskiéj akademii nauk za r. 1845? Tam znajdzie raport Cauchy'ego o dzieleniu, które podał Guy (1). Dopóki p. Puchewicz nie dowiedzie, że Cauchy „niesłusznie" ten raport ułożył, sądzę, że „słusznie" ów sposób nazywam sposobem Guy'ego".

To jest właśnie rdzeń kwestyi. W owym tomie, we wskazaném przez p. B. miejscu znajdujemy istotnie sprawozdanie Cauchy'ego o metodzie Guy'ego, i jakkolwiek nie jest tam szczegółowo ten sposób opisany, wskazane są jednak wyraźnie dwie charakterystyczne jego cechy, tyczące się nawet nie *przebiegu rozumowania*, ale po prostu *mechanicznéj strony* w wykonywaniu dzielenia, a mianowicie: uwzględnianie w cząstkowych mnożeniach cyfry bezpośrednio następującéj po ostatniéj z zatrzymanych cyfr dzielnika (2)

---

(1) Tu cytuje p. B. słów kilka tekstu z owego raportu Cauchy'ego, które jednak są tylko ogólnikowo wyrażoną pochwałą sposobu Guy'ego, ale w niczém go nie określają, a tém samém nie wykazują zgodności jego z tym sposobem, który znajdujemy w książce p. B.

(2) .... si l'on tient compte uniquement des produits, dont l'ordre surpasse une certaine limite, *et des reports, qui proviennent des produits de l'ordre immédiatement inférieur à la limite, dont il s'agit* (str. 68).

i wprowadzenie liczby granicowéj: 1,8 (1). Cechy te *nie mają nic wspólnego* ze sposobem, który p. B. dał wydrukować w swéj książce, i nie potrzeba nawet *zrozumienia* tego sposobu, wystarczy powierzchowna znajomość jego *mechanizmu*, aby jasno widzieć, że Cauchy mówi o jakimś zasadniczo odmiennym sposobie.

Jakże więc mógł p. B. na to sprawozdanie się powołać?—Odpowiedź na to pytanie, choćby najzwięźlejsza, mówiłaby niewątpliwie daleko więcéj niż moja długa ocena arytmetyki,—nie wypisuję tu jednak téj odpowiedzi i ograniczam się na zanotowaniu faktu.

Władysław Puchewicz.

W dniu 23 maja otwartą została w gmachu resursy obywatelskiéj wystawa czasowa obrazów, szkiców i kartonów zmarłego artysty-malarza, członka komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, Aleksandra *Lessera.* Zwracamy uwagę czytelników „Ateneum" na powyższą wystawę ze względu na zasługi, położone przez Lessera dla sztuki krajowéj, nadmieniając przytém, iż część obrazów przeznaczona została na sprzedaż, oraz, że dochód z biletów wejścia, sprzedaży broszurki dra H. Struvego i katalogów, po potrąceniu wydatków urządzenia wystawy, obrócony będzie na powiększenie funduszu, zbieranego na kupno placu i budowę domu dla Towarzystwa.

---

(1) Nous ajouterons, qu'á la limite 2, ci dessus rappelée, on peut substituer avec avantage la limite plus basse 1,8, *qui se trouve elle même indiquée par l'auteur du mémoire* (str. 69).

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

